

Rodzina Połanieckich





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

HENRYK SIENKIEWICZ

Rodzina Połanieckich

TOM I

I

Była godzina pierwsza po północy, gdy Połaniecki zbliżał się do dworu w Krzemieniu. Za swoich dziecinnych lat był on dwukrotnie w tej wsi, dokąd jego matka, daleka krewna pierwszej żony dzisiejszego właściciela Krzemienia, wozila go na wakacje. Połaniecki usiłował teraz przypomnieć sobie tę miejscowość, ale przychodziło mu to z trudnością. Po nocy, przy księżycu, wszystko brało kształty odmienne. Nad zaroślami, łąkami i grudzią leżał nisko biały tuman, zmieniając całą okolicę w bezbrzeżne jezioro, które to złudzenie powiększały jeszcze odzywające się w tumanie chóry żab. Noc była lipcowa, bardzo pogodna i oświecona pełnią. Chwilami, gdy żaby milkły, słychać było derkacze, grające po rosie, a czasem z daleka, od błotnistych stawów, ukrytych za olszynami, odzywał się, jakby z pod ziemi, głos bąka.

Połaniecki nie mógł się oprzeć urokowi tej nocy. Była mu ona jakaś swoja i tę swojskość odczuwał tem lepiej, że dawniej nieczęsto bywał w kraju, a dopiero przed dwoma laty powrócił na stałe z za granicy, gdzie spędził pierwszą młodość, a później zajmował się sprawami handlowymi. Teraz, gdy wjeżdżał do tej śpiącej wioski, przypominało mu się także własne dzieciństwo, pamiętne ze względu na matkę, która od pięciu lat nie żyła, i dlatego, że przykrości i troski tego dzieciństwa, w porównaniu do dzisiejszych, wydawały się zupełnie blahe.

Bryczka wtoczyła się nakoniec do wsi, którą poczynał krzyż, stojący na wydmie. Pochylił się on już bardzo i groził upadkiem. Połaniecki pamiętał go dlatego, że w swoim czasie pochowano pod tą wydmą wisielca, którego znaleziono na gałęzi w pobliskim lesie, a potem ludzie bali się tamtędy nocą przechodzić.

Za figurą poczynały się pierwsze chaty. Ale ludzie już spali. W żadnym oknie nie było światła. Jak okiem sięgnąć, połyskiwały tylko na nocnym tle nieba oświecone księżycem dachy chałup, które w tym blasku wydawały się srebrne i siwe. Niektóre chałupy były umazane wapnem i świeciły jasno-zielono, inne, ukryte w sadkach wiśniowych, w gąszczu słoneczników lub tyczkowej fasoli, zaledwie wychylały się z cienia. Po podwórkach szczeły psy, ale jakby przez sen, dając wtór rzechotaniu żab, graniu derkaczy, bąków i tym wszystkim wołaniom, któremi odzywa się letnia noc, a które potęgują jeszcze wrażenie ciszy.

Bryczka, posuwając się zwolna sypką, piaszczystą drogą, wtoczyła się nakoniec w ciemną aleję, popstrzoną tylko tu i owdzie światłem, wdzierającym się przez liście. Na końcu tej alei poświstywali stróże nocni. Przy ujściu bielił się dwór, w którym kilka okien było oświeconych. Gdy bryczka zaturkotała przed gankiem, z domu wybiegł służący chłopak, który począł pomagać Połanieckiemu przy wysiadaniu, a oprócz tego zbliżył się stróż nocny i dwa białe psy, widocznie bardzo młode i łagodne, gdyż, zamiast szczekać, jęły łasić się, wspinać się na gościa i okazywać z jego przybycia radość tak wielką, iż stróż musiał miarkować jej wylew za pomocą kija.

Chłopak zdjął z bryczki rzeczy Połanieckiego, on sam zaś znalazł się po chwili w jadalnym pokoju, gdzie czekała na niego herbata. Przy jednej ścianie stał orzechowy kredens, obok zegar z wielkimi wagami i kukułką, z drugiej strony dwa liche portrety kobiece w strojach z ośmnastego wieku, na środku zaś stół, nakryty białą serwetą, otoczony krzesłami o wysokich poręczach. Pokój ten, oświecony jasno, pełen pary, unoszącej się z samowara, wyglądał dość gościnnie i wesoło.

Połaniecki począł przechadzać się wzdłuż stołu, ale skrzypienie własnych butów raziło go w tej ciszy, poszedł więc ku oknu i patrzył przez szyby na oświecone księżycem podwórze, po którym te same dwa białe psy, które witały go z takim wylaniem, gonily się teraz ze sobą.

Po jakimś czasie drzwi przyległego pokoju otworzyły się i weszła młoda osoba, w której Połaniecki domyślił się córki właściciela Krzemienia, urodzonej z drugiej jego żony. Na jej widok wyszedł więc z framugi okna i, zbliżywszy się w swoich skrzypiących butach do stołu, skłonił się i powiedział swoje nazwisko.

Panna wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Wiedzieliśmy z depeszy o pańskim przyjeździe. Tatko trochę chory i musiał się położyć, ale jutro rad będzie pana zobaczyć.

— Nie moja wina, że przyjechał tak późno — odpowiedział Połaniecki — pociąg przychodzi dopiero o jedenastej do Czerniowa.

— A z Czerniowa jeszcze dwie mile do Krzemienia. Mówił mi ojciec, że pan tu nie pierwszy raz.

— Przyjeżdżałem tu z matką, gdy pani nie było jeszcze na świecie.

— Wiem. Pan jest krewny ojca.

— Ja jestem krewny pierwszej żony pana Pławickiego.

— Ojciec bardzo ceni związki rodzinne, choćby najdalsze — odrzekła panna.

I zaczęła nalewać herbatę, odganiając od czasu do czasu drugą ręką parę, która, podnosząc się z samowaru, przesłaniała jej oczy. Gdy rozmowa się przerwała, słychać było tylko tyk zegara. Połaniecki, którego interesowały młode kobiety, przypatrywał się panie Pławickiej. Była to osoba średniego wzrostu, dość wysmukła; włosy miała ciemne, twarz łagodną, ale jakby zgaszoną, pleć nieco opaloną od słońca, oczy niebieskie i prześliczne usta. Wogóle była to twarz kobiety spokojnej i delikatnej. Połaniecki, któremu nie wydała się brzydka, ale też nie wydała się piękna, myślał jednak, że jest dość miła, że może być dobra i że pod tą powierzchownością niezbyt świetną może posiadać mnóstwo tych rozmaitych przymiotów, które posiadają zwykle wiejskie panny. Jakkolwiek był młody, życie nauczyło go jednej prawdy, że kobiety, przy bliższym poznaniu, wogóle zyskują, mężczyźni wogóle tracą. Słyszał także o panie Pławickiej, że całe gospodarstwo w Krzemieniu, prawie zresztą zrujnowane, polega na jej głowie, i że to jest jedna z najbardziej zapracowanych istot na świecie. Otóż w stosunku do tych kłopotów, które musiały ją obciążać, wydała mu się spokojną i pogodną. Prócz tego pomyślał, że zapewne jej się spać chce. Widać to było nawet po jej oczach, mrużących się mimowoli pod światłem wiszącej lampy.

Egzamin byłby wypadł wogóle na jej korzyść, gdyby nie to, że rozmowa z nią szła trochę trudno. Ale tłómaczyło się to tem, że się widzieli po raz pierwszy w życiu. Przyjmowała go przytem sama, co dla młodej panny mogło być kłopotliwe. Nakoniec wiedziała, że Połaniecki przyjechał do nich nie w odwiedziny, ale po pieniądze. Tak było w istocie. Matka jego oddała przed bardzo dawnym czasem dwadzieścia kilka tysięcy rubli na hipotekę Krzemienia, które Połaniecki chciał teraz odebrać, raz dlatego, że zalegano bardzo z procentami, a powtóre, że, będąc współnikiem domu handlowego w Warszawie, wszedł w rozmaite interesa i potrzebował kapitału. Z góry też obiecał sobie nie czynić żadnych ustępstw i swoje koniecznie odzyskać. W tego rodzaju sprawach chodziło mu zawsze o to, by okazać się człowiekiem nieugiętym. Nie był on nim może z natury, ale uczynił sobie z nieugiętości zasadę, a zarazem sprawę miłości własnej. Skutkiem tego często przesadzał, jak czynią zawsze ludzie, którzy coś w siebie wmawiają.

I teraz więc, patrząc na tę pannę miłą, ale widocznie senną, powtarzał sobie wbrew współczuciu, które się w nim budziło:

— Wszystko to dobrze, ale musicie zapłacić.

Po chwili rzekł:

— Słyszałem, że pani wszystkim się tu zajmuje: czy pani lubi gospodarstwo?

— Lubię bardzo Krzemień — odpowiedziała.

— I ja lubię Krzemień, gdy byłem chłopcem. Ale gospodarzyłbym w nim nie chciałem... Takie trudne warunki...

— Trudne, trudne... Robimy też, co w naszej mocy.

— To jest, pani robi, co w pani mocy.

— Pomagam ojcu, który często jest cierpiący.

— Ja się na tych rzeczach nie znam, ale z tego, co widzę i słyszę, wnoszę, że większa część rolników nie może liczyć na przyszłość.

— Liczymy na Opatrzność...

— To wolno, ale wierzycieli nie można do niej odsyłać.

Twarz panny Pławickiej pokryła się rumieńcem — i nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

A Połaniecki powiedział sobie:

— Skoro zaczął, to idź dalej.

I rzekł:

— Pani pozwoli sobie wyjaśnić cel mego przybycia.

Panna spojrzała na niego wzrokiem, w którym Połaniecki mógł wyczytać: „Dopieroś przyjechał, godzina jest późna, ja ledwie żyję ze zmęczenia — że też najprostsza delikatność nie wstrzymała cię od rozpoczęcia takiej rozmowy”.

Głośno zaś odrzekła:

— Ja wiem, dlaczego pan przyjechał, ale może będzie lepiej, gdy pan z ojcem o tem pomówi.

— Dobrze; przeproszam panią — odrzekł Połaniecki.

— To ja przeproszam pana. Ludzie mają prawo dopominać się o swoje i ja jestem do tego przyzwyczajona. Ale dziś jest sobota; w sobotę ma się tyle roboty. Zresztą w tego rodzaju sprawach, pojmuje pan... Czasem, gdy przyjeżdżają żydzi, układam się sama... Ale tym razem wolałabym, żeby pan mówił z papą. Będzie nam obojgu łatwiej.

— Więc do jutra — rzekł Połaniecki, któremu zabrakło odwagi do powiedzenia, że w sprawach pieniężnych chce być traktowany, jak żyd.

— Może pan pozwoli jeszcze herbaty?

— Nie; dziękuję. Dobranoc pani.

I, wstawszy, wyciągnął rękę; panna zaś podała mu swoją daleko mniej serdecznie, niż na powitanie, tak, że dotknął zaledwie końców jej palców.

Odchodząc, rzekła:

— Służący wskaże panu pokój...

I Połaniecki został sam. Czuł pewien niesmak i był niezadowolony z siebie, choć nie chciał wewnętrznie tego przyznać. Począł nawet wmawiać w siebie, że dobrze zrobił, gdyż przyjechał tu nie dla prawienia grzeczności, ale po pieniądze. Co mu panna Pławicka? Ani go grzeje, ani ziębi. Jeśli go będzie miała za gbura, to tem lepiej, bo zwykle tak się dzieje, że im wierzytel jest bardziej przykry, tem się go starają spłacić prędzej.

Ale niesmak silniejszy był od tego rozumowania, albowiem jakiś głos szeptał Połanieckiemu, że tym razem nie chodziło tylko o dobre wychowanie, ale trochę o litość nad zmęczoną kobietą. Odczuwał przytem, że, postępując tak obcesowo, czyni zadość swej pozie, nie swemu sercu, ani swym wrodzonym instyngtom. Był zły także i na pannę Pławicką, tem bardziej, że mu się podobała. Jak w tej uśpionej wiosce, jak w tej nocy księżycowej, tak i w tej pannie znalazł coś swojskiego, czego napróżno szukał w kobietach zagranicznych, a co wzruszało go więcej, niż się spodziewał. Ale ludzie wstydzą się często uczuć bardzo dobrych. Połaniecki wstydział się często wzruszeń, więc postanowił być nieubłaganym i przycisnąć nazajutrz starego Pławickiego z pominięciem wszelkich względów.

Tymczasem chłopak zaprowadził go do sypialni. Połaniecki odprawił go zaraz i został sam. Był to ten sam pokój, który mu dawano, gdy za życia pierwszej żony pana Pławickiego przyjeżdżał do nich z matką. Więc wspomnienia opadły go znowu. Okna wychodziły na ogród, za którym był staw; w wodzie przeglądał się księżyc — i staw widać było lepiej, niż za dawnych czasów, bo wówczas przesłaniał go wielki stary jesion, który musiała złamać burza, gdyż w tem miejscu sterczał tylko pień ze świeżem odłamaniem na wierzchu. Światło księżycy zdawało się zbierać na tem odłamaniu, które też błyszczowało bardzo mocno. Wszystko to razem czyniło wrażenie ogromnego spokoju. Połaniecki, który żył w mieście wśród zajęć handlowych, zatem w ustawicznym natężeniu władz umysłowych i fizycznych, a zarazem w ustawicznym niepokoju, mimowoli odczuwał ten nastrój otaczającej go wsi, tak, jak się odczuwa ciepłą kąpiel po wielkim trudzie. Wnikała w niego ulga. Próbował myśleć o swoich sprawach, o tem, jak się one obrócą, czy dadzą straty, czy zyski, wreszcie o swoim wspólniku Bigielu, i o tem, jak on załatwi rozmaite interesa podczas jego niebytności — ale nie mógł. Natomiast zaczął myśleć o pannie Pławickiej. Osoba jej, jakkolwiek uczyniła na nim dobre wrażenie, była mu obojętną, choćby dlatego, że dopiero co ją poznał. Ale zajęła go, jako typ. Miał lat trzydzieści kilka, był zatem w wieku, w którym instyngt z siłą niemal nieubłaganą popycha mężczyznę do założenia ogniska domowego, pojęcia żony i stworzenia rodziny. Największy pesymizm jest bezsilny wobec tego instyngtu; nie broni od niego ani artyzm, ani żadne zadania życiowe. Skutkiem tego żenią się mizantropi, pomimo swej filozofii, artyści, pomimo sztuki,

jak również wszyscy tacy ludzie, którzy twierdzą, że swoim celom oddają nie pół, ale całą duszę. Wyjątki potwierdzają zasadę, że ogół nie może żyć konwencjonalnym kłamstwem i płynąć przeciw prądom natury. Po większej części nie żenią się tylko ci, którym do małżeństwa stanęła na przeszkodzie ta sama siła, która małżeństwa tworzy, to jest ci, których miłość zawiodła. Stąd starokawalerstwo, jeśli nie zawsze to najczęściej, jest ukrytą tragedią.

Połaniecki nie był ani mizantropem, ani też człowiekiem, wygłaszającym przeciwne małżeństwu teorie. Przeciwnie: chciał się ożenić i był przekonany, że powinien to uczynić. Czuł, że przyszedł na niego czas, więc szukał naokół siebie kobiety. Z tego wypływało to ogromne zajęcie, jakie budziły w nim kobiety, a zwłaszcza panny. Jakkolwiek spędził kilka lat we Francji i w Belgii, nie szukał miłości u mężatek, chyba u nazbyt łatwych. Był to człowiek żywy i czynny, który utrzymywał, że romansować z mężatkami mogą tylko próżniacy, i że wogóle obleganie cudzych żon jest możliwe tam, gdzie ludzie mają bardzo wiele pieniędzy, mało uczciwości, a nic do roboty, zatem w społeczeństwach, gdzie istnieje cała klasa od dawna zubożona i pogrążona w wytwornej bezczynności towarzyskiego a zarazem i szelmowskiego życia. On sam był istotnie bardzo zajęty, że zaś kochać chciał po to, by się ożenić, więc tylko panny budziły w nim zarówno psychiczne, jak i fizyczne zaciekawienie. Gdy spotykał jakąś na swej drodze, przedewszystkiem i od pierwszej chwili zadawał sobie pytanie: „Czyby nie ta?” — albo przynajmniej: „Czyby nie taka?” Obecnie myśli jego kręciły się w podobny sposób koło panny Pławickiej. Poprzednio słyszał o niej wiele od jej krewnej, zamieszkałej w Warszawie — i słyszał rzeczy dobre, a nawet wzruszające. Obecnie jej cicha, łagodna twarz stawała mu przed oczyma. Przypomniał sobie jej ręce, bardzo ładne, o długich palcach, choć nieco opalone; jej ciemno-niebieskie oczy, oraz małe, czarne znamię, które miała nad ustami. Podobał mu się także jej głos. Przytem, jakkolwiek powtarzał sobie przyrzeczenie, że nie poczyni żadnych ustępstw i musi swoje odebrać, jednakże zły był na los, który przyprowadził go do Krzemienia, jako wierzyciela. Mówiąc do siebie językiem kupieckim, powtarzał w duchu: gatunek jest dobry — ale nie będę „reflektował” — bom nie po to przyjechał.

Jednakże „reflektował” i to tak dalece, że rozebrał się i położywszy, długi czas nie mógł zasnąć. Koguty poczęły piąć, szyby blednieć i zielenieć, on zaś widział jeszcze pod zamkniętymi powiekami pogodne czoło panny Pławickiej, jej znamię nad ustami i ręce, nalewające herbatę. Potem, gdy już sen począł go morzyć, zdawało mu się, że trzyma te ręce w swoich i przyciąga je ku sobie. Nazajutrz zbudził się późno i, przypomniawszy sobie pannę Pławicką, pomyślał: „Aha! to ona tak wygląda!”

II

Właściwie zbudził go chłopak, który przyniósł mu kawę i wziął do czyszczenia rzeczy. Gdy z niemi powrócił, Połaniecki spytał go, czy niema w domu zwyczaju schodzić się w jadalnym pokoju na śniadanie.

— Nie — odpowiedział chłopak — bo panienka rano wstaje, a starszy pan śpi do późna.

— A panienka wstała?

— Panienka w kościele.

— Prawda: dziś niedziela. A panienka nie jeździ ze starszym panem?

— Nie; starszy pan jeździ na sumę, a potem idzie do kanonika, więc panienka woli jeździć na ranną mszę.

— Co państwo w niedzielę porabiają?

— Siedzą w domu. Na obiad przyjeżdża pan Gątowski.

Tego Gątowskiego Połaniecki znał małym chłopcem. Za owych czasów przeżywał go „niedźwiadkiem”, był to bowiem chłopak tłusty, niezgrabny i mrukliwy. Służący objaśnił, że ojciec pana Gątowskiego umarł od lat sześciu i młody sam gospodarzy w sąsiednim Jałbrzykowie.

— I przyjeżdża tu co niedziela? — spytał Połaniecki.

— Czasem i w powszedni dzień wieczorem.

— Konkurent! — pomyślał Połaniecki.

Po chwili spytał:

- Starszy pan wstał już?
- Musiał pan dzwonić, bo Józef poszedł do pana.
- Jaki Józef?
- Kamerdyner.
- A ty czym jesteś?
- Ja jemu do pomocy.
- Idź-że się spytać, kiedy można będzie widzieć się z panem.
- Chłopak wyszedł i po chwili wrócił.
- Starszy pan kazał powiedzieć, że jak się ubierze, to poprosi.
- Dobrze.

Chłopak wyszedł; Połaniecki został sam i czekał, a raczej nudził się dość długo. Wreszcie zaczęło mu braknąć cierpliwości i chciał już wyjść do ogrodu, gdy ów Józef przyszedł mu oznajmić, że starszy pan prosi.

I przez sień poprowadził go do pokoju, leżącego z drugiej strony domu. Połaniecki wszedł i w pierwszej minucie nie poznał pana Pławickiego. Pamiętał go mężczyzną w sile wieku i nader pięknym, obecnie stał przed nim człowiek stary, z twarzą pomarszczoną, jak pieczone jabłko, której małe, uczernione wąsiki próżno usiłowały nadać pozór młodości. Tak one, jak również czarna, zaczesana z boku czupryna, oznaczały tylko niewygasłe dotąd pretensye.

Lecz pan Pławicki otworzył ramiona:

— Stach! Jak się masz, drogi chłopcze! Chodź tu!

I, wskazawszy na swą białą kamizelkę, objął głowę Połanieckiego i przycisnął ją do piersi, która poruszała się szybkim oddechem.

Uścisk trwał przez czas długi, a nawet dla Połanieckiego mocno za długi; wreszcie pan Pławicki rzekł:

— Niechże ci się przypatrzę. Wykapana Anna, wykapana Anna! Moja biedna, kochana Anna!

I pan Pławicki zaszlochał, następnie otarł serdecznym palcem prawą powiekę, na której zresztą nie było łzy — i powtórzył:

— Wykapana Anna!... Twoja matka była zawsze dla mnie najlepszą i najzyczliwszą krewną.

Połaniecki stał przed nim zmieszany, oraz nieco odurzony i przyjęciem, jakiego się nie spodziewał, i zapachem fiksatuaru, pudru i różnych perfum, którymi pachniały twarz, wąsy i kamizelka pana Pławickiego.

— Jak się wujaszek ma? — spytał wreszcie, sądząc, że ten tytuł, jaki zresztą dawał w latach dziecińczych panu Pławickiemu, będzie najlepiej odpowiadał uroczystemu nastrojowi przyjęcia.

— Jak się mam? — powtórzył pan Pławicki — nie długo mi już! nie długo! Ale właśnie dlatego witam cię tem serdeczniej w moim domu... po ojcowsku!... I jeśli błogosławieństwo człowieka, stojącego nad grobem, a zarazem najstarszego członka rodziny, ma w twoich oczach jaką cenę, to ci je daję.

I, chwyciwszy powtórnie za głowę Połanieckiego, ucałował ją i przeżegnał. Młody człowiek zmieszał się jeszcze bardziej i na twarzy jego odbił się przymus. Matka jego była krewną i przyjaciółką pierwszej żony pana Pławickiego. Z nim samym nie łączyły jej nigdy, o ile pamiętał, serdeczniejsze stosunki, więc ta uroczystość przyjęcia, do której jednak mimowoli musiał się dostrajać, była mu ogromnie przykra. Sam Połaniecki nie miał najmniejszych uczuć rodzinnych dla pana Pławickiego, więc myślał w duchu: „Ta małpa błogosławi mnie, zamiast gadać o pieniądzach” — i chwyciła go pewna złość, która mogła mu być pomocną do postawienia jasno rzeczy. Tymczasem pan Pławicki rzekł:

— Siadaj teraz, drogi chłopcze, i bądź, jak u siebie.

Połaniecki siadł i zaczął mówić:

— Kochany wuju, bardzo mi jest przyjemnie wuja odwiedzić; byłbym to pewnie zrobił, nawet nie mając interesu, ale wuj wie, że przyjechałem także w tej sprawie, którą moja matka...

Tu pan Pławicki położył mu nagle rękę na kolanie:

— A kawę piłeś? — spytał.

— Piłem — odpowiedział zbity z tropu Połaniecki.

— Bo to Marynia rano wyjeżdża do kościoła. Przepraszam cię także, żem ci nie odstąpił mego pokoju, ale ja, stary, przyzwyczailem się tu spać. To moje gniazdo...

To rzekłszy, okrążył ruchem ręki wskazał na pokój.

Połaniecki powiódł mimowoli oczyma za ruchem ręki. Niegdyś ten pokój był dla niego ustawiczną pokusą, wisiała w nim bowiem broń pana Pławickiego. Od dawnych czasów zmieniło się w nim tylko obicie, które teraz było różowe, przedstawiające w nieskończonej ilości kwadratów młode pasterki, ubrane à la Watteau i łowiące ryby na wędkę. W oknie stała toaleta, biała nakryta, z lustrem w srebrnych ramach, zastawiona mnóstwem słoików, pudełek, faszeczek, szczotek, grzebieni, pilniczków do paznokci i t. d. Obok, w kącie, fajczarnia — z bursztynowymi głowami cybuchów; na ścianie, nad kanapką, dzicza głowa, pod nią dwie dubeltówki, torba, trąbki, i wogóle przybory myśliwskie; w głębi stół z papierami, dębowe półeczki z pewną ilością książek, wszędy pełno gratów, mniej więcej potrzebnych i ładnych, zwiastujących jednak, że mieszkaniec tego pokoju jest osiłą, naokoło której obraca się wszystko w domu, i że sam o siebie dba wielce. Jednym słowem, był to pokój starego kawalera i egoisty, pełnego drobiazgowej troskliwości o swą wygodę i pełnego pretensyi. Połaniecki nie potrzebował też wiele domyślności, by odgadnąć, że pan Pławicki za nic i dla nikogo nie odstąpiłby swego pokoju.

Lecz gościnnie gospodarz pytał dalej:

— Było ci tam dosyć wygodnie? Jak spędziłeś noc?

— Dziękuję; doskonale: wstałem późno.

— Z tydzień jaki przecie u mnie zabawisz.

Połaniecki, który był bardzo żywy, podskoczył na krześle.

— Chyba wuj wie, że ja mam interesa w Warszawie i współnika, który sam jeden pilnuje teraz całej roboty. Dlatego muszę wyjechać jak najwcześniej i pragnąłbym dziś jeszcze załatwić sprawę, dla której przyjechałem.

Na to pan Pławicki odezwał się z pewną serdeczną powagą:

— Nie, mój chłopcze. Dziś jest niedziela, a oprócz tego uczucia rodzinne powinny iść przed interesami. Dziś witam cię i przyjmuję, jako krewnego — jutro, jeśli chcesz, wystąpisz jako wierzyciel. Tak jest. Dziś przyjechał do mnie mój Stach, syn mojej Anny! Do jutra! Tak być powinno, Stachu. Mówi ci starszy krewny, który cię kocha i dla którego powinieneś to zrobić...

Połaniecki zmarszczył się nieco, ale po chwili odrzekł:

— Niechże będzie do jutra.

— Teraz przemówiła przez ciebie Anna... Czy palisz fajkę?

— Nie. Palę tylko papierosy.

— Wierzaj mi, że źle robisz. Ale mam dla gości i papierosy.

Dalszą rozmowę przerwał turkot powozu przed gankiem.

— To Marynia przyjechała z rannej mszy — rzekł pan Pławicki.

Połaniecki, spojrzawszy w okno, dojrzał różową panienkę w słomianym kapeluszu, wsiadającą z powoziku.

— Poznałeś Marynię? — spytał pan Pławicki.

— Miałem przyjemność — wczoraj.

— Drogie dziecko. Nie potrzebuję ci mówić, że żyję tylko dla niej...

W tej chwili uchyliły się drzwi i młody głos spytał:

— Można?

— Można, można: jest tu Stach! — odpowiedział pan Pławicki.

Marynia weszła szybko z kapeluszem, przewieszonym na wstążkach przez ramię, i uściskawszy ojca, podała rękę Połanieckiemu. W różowej, perkalowej sukni wyglądała nadzwyczaj zgrabna i ładna. Było coś w niej z nastroju niedzielnego, a przytem z rzeźwości poranku, który był pogodny i jasny. Włosy miała nieco roztrzgane przez kapelusz, policzki zarumienione — młodość biła od niej. Połanieckiemu wydała się dziś i weselsza, i ładniejsza, niż była wczoraj.

— Suma będzie dziś trochę później — rzekła do ojca — bo kanonik zaraz po rannej mszy pojechał do młyna dysponować Siatkowską. Ona bardzo źle. Ma papa jeszcze z pół godziny czasu.

— Dobrze — odrzekł Pławicki — przez ten czas poznacie się bliżej ze Stachem Połanieckim. Mówię ci, wykapaną Anna! Ale tyś jej nigdy nie widziała. Pamiętaj też

Maryniu, że on jutro, jeśli zechce, będzie naszym wierzycielem, ale dziś, to tylko krewny i gość.

— Dobrze — odpowiedziała panna — będziemy mieli wesołą niedzielę.

— Pani tak późno poszła spać wczoraj — rzekł Połaniecki — a dziś była na rannej mszy.

A ona odrzekła wesoło:

— Na rannej mszy bywam ja i kucharz, żebyśmy mieli czas potem pomyśleć o obiedzie.

— Zapomniałem wczoraj powiedzieć — rzekł Połaniecki — że przywożę pani ukłony od pani Emilii Chwastowskiej.

— Nie widziałam Emilki już półtora roku, ale pisujemy do siebie dość często. Ona ma wyjechać do Reichenhall, dla swojej małej.

— Była na wyjeździe.

— A mała jak się ma?

— Na swoje dwanaście lat wyrosła nad miarę i bardzo anemiczna. Nie zdaje się, żeby była bardzo zdrowa.

— Pan często bywa u Emilki?

— Dosyć. To prawie jedyna moja znajomość w Warszawie. I przytem bardzo lubię panią Emilię.

— Powiedz mi, mój chłopcze — spytał pan Pławicki, biorąc ze stołu parę świeżych rękawiczek i wkładając je do kieszeni na piersiach — czem ty się właściwie zajmujesz w Warszawie?

— Ja jestem tem, co nazywają „aferzystą”. Mam dom komisowo-handlowy na spółkę z niejakim Bigielem. Spekuluję na zbożu, na cukrze, czasem na lasach i na czem się da.

— Bo ja słyszałem, że ty jesteś inżynier?

— Jestem technik. Ale nie mogłem po powrocie znaleźć zajęcia przy żadnej fabryce i puściłem się na handel, tem bardziej, że miałem i o tem jakie takie pojęcie i że we wspólnie byłem już od lat czterech, choć interesa prowadził sam Bigiel. Ale właściwym moim zawodem jest farbiarstwo.

— Jak powiadasz? — spytał pan Pławicki.

— Farbiarstwo.

— Teraz takie czasy, że trzeba się do wszystkiego brać — rzekł z godnością pan Pławicki. — Nie ja ci to będę brał za złe. Byle zachować dawne uczciwe tradycje rodzinne — żadne zajęcie nie hańbi człowieka.

A Połaniecki, któremu na widok panny powrócił dobry humor i którego rozbawiła nagle *grandezza* pana Pławickiego, pokazał swoje zdrowe zęby w uśmiechu i odpowiedział:

— To chwała Bogu.

Panna Marynia uśmiechnęła się również i rzekła:

— Emilka, która także pana bardzo lubi, pisała mi kiedyś, że pan doskonale prowadzi swoje interesa.

— Bo tu tylko z żydami trudno, a zresztą konkurencja łatwa. Ale i z żydami, byle nie wydawać manifestów antysemitycznych i spokojnie swoje robić, można trafić też do ładu. Co do pani Emilii jednak, ona się tyle zna na interesach, ile jej mała Litka.

— Tak, ona nigdy nie była praktyczna. Żeby nie brat męża, pan Teofil Chwastowski, byłaby straciła cały majątek. Ale pan Teofil bardzo Litkę kocha.

— Kto Litki nie kocha? Ja pierwszy przepadam za nią. To takie dziwne dziecko i takie kochane. Mówię pani, że mam do niej zupełną słabość.

A panna Marynia spojrziała uważniej na jego szczera, żywą twarz i pomyślała:

— Musi być trochę raptus, ale ma dobre serce.

Pan Pławicki zauważył tymczasem, że czas na sumę i począł się żegnać z panną Marynią tak, jakby wyjeżdżał w kilkumiesięczną podróż, następnie uczynił jej na głowie znak krzyża i wziął kapelusz. Paniątka uściśnęła rękę Połanieckiego żywiej, niż przy porannem powitaniu, ten zaś, siadając do powoziku, powtarzał sobie w duchu:

— O, mocno ładna! mocno sympatyczna!...

Za aleją, którą Połaniecki przyjechał dnia wczorajszego, powozik wytoczył się na drogę, gdzieś tam tylko wysadzoną starami i popróchniałymi brzożami, stojącymi w nierównych odstępach. Po jednej stronie ciągnęło się pole kartoflane, po drugiej jeden

ogromny łan żyta, z ociążalymi już i pochylonymi kłosami, który zdawał się spać w spokojnym powietrzu i w pełnym świetle słonecznym. Między brzoźkami przelatywały przed powozem sroki i dudki. W dali widać było, idące ścieżkami przez płową toń zbóż i zanurzone w niej po pachy, dziewczki wiejskie, w czerwonych chustkach na głowie, podobne do kwitnących maków.

— Dobre żyto — rzekł Połaniecki.

— Niezłe. Robi się, co w ludzkich siłach, a co Bóg da, to da. Jesteś młody, mój drogi, więc dam ci jedną przestrożę, która ci się w przyszłości przyda. Zrób zawsze, co do ciebie należy, a resztę zdaj na Pana Boga. On najlepiej wie, czego nam potrzeba. Urodzaj tego roku będzie dobry — i wiedziałem to z góry, bo jak mnie ma Bóg czem dotknąć, to mi zsyła znak.

— Co takiego? — spytał ze zdziwieniem Połaniecki.

— Za fajczarnią — nie wiem, czy uważałeś, gdzie ona stoi — ile razy ma być coś złego, tyle razy pokazuje mi się mysz przez kilka dni z rzędu.

— Musi być dziura w podłodze.

— Niema dziury — rzekł, przymykając oczy i potrząsając tajemniczo głową, pan Pławicki.

— A żeby kota sprowadzić?

— Nie sprowadzę, bo jeśli taka jest wola Boża, żeby ta mysz była dla mnie znakiem i ostrzeżeniem, to nie chcę iść przeciw tej woli. Otóż tego roku nic mi się nie pokazało. Mówiłem to Maryni... Może Bóg zechce w jakikolwiek sposób okazać, że czuwa nad naszą rodziną. Słuchaj, mój drogi: wiem, że ludzie gadają, że jesteśmy zrujnowani, a przynajmniej w bardzo złych interesach. Otóż sam osądz: Krzemień, wraz ze Skokami, z Magierówką i Suchocinem, ma około dwustu pięćdziesięciu włók. Jest tam około sześćdziesięciu tysięcy rubli Towarzystwa — i nic więcej, i około stu tysięcy długów hipotecznych, wraz z twoją sumą. Więc mamy już sto sześćdziesiąt tysięcy. Liczmy teraz tylko po trzy tysiące rubli za włókę, to uczyni siedmset pięćdziesiąt tysięcy — razem: dziewięćset dziesięć tysięcy...

— Jakto? — przerwał ze zdumieniem Połaniecki — to wuj liczysz długi do swego majątku?

— Żeby majątek był nic nie wart, toby mi nikt grosza na niego nie dał, więc muszę doliczyć dług do wartości majątku...

A Połaniecki pomyślał: „Waryat, z którym niema co gadać” — i słuchał dalej w milczeniu.

Pan Pławicki zaś mówił:

— Magierówkę chcę rozparcelować. Młyn sprzedam, a w Skokach i Suchocinie mam margiel — i wiesz, na ile go obliczyłem? Na dwa miliony rubli.

— Ma wuj kupca?

— Dwa lata temu przyjechał tu niejaki Schaum i rozpatrywał pola. Wprawdzie pojechał, nic nie wspominając o interesie, ale jestem pewny, że wróci. Inaczej, byłaby mi się pokazała mysz za fajczarnią...

— Ha! niechże wraca.

— Wiesz, co mi także przychodzi do głowy. Skoro jesteś „aferzystą”, weź ty się do tego interesu. Znajdź sobie tylko współników.

— To za gruba dla mnie sprawa.

— Więc znajdź mi kupca: dam ci dziesięć procent od zysków.

— Co panna Marya myśli o tym marglu?

— Marynia, jak to Marynia. Złote dziecko, ale dziecko! I ona jednak wierzy, że Opatrzność czuwa nad naszą rodziną.

— Słyszałem to od niej wczoraj.

Tymczasem zaczęli się zbliżać do Wątorów i do leżącego na wzgórzu wśród lip kościoła. Pod wzgórzem stało kilkanaście chłopskich drabiniastych wózków, oraz kilka bryczek i powozików.

Pan Pławicki przeżegnał się.

— To nasz kościółek, który musisz pamiętać. Wszyscy Pławiccy tu leżą i ja wkrótce będę leżał. Nigdzie nie modlę się lepiej, jak tu.

— Widzę, że będzie sporo ludzi — rzekł Połaniecki.

— Jest bryczka Gątowskiego, kocz Zazimskich, powozik Jamiszów i kilka innych. Jamiszów musisz także pamiętać. Ona niepospolita kobieta, on, niby wielki agronom i radca, ale safandula, który nie rozumiał jej nigdy.

W tej chwili poczęto dzwonić na wieżycze kościelnej.

— Spozrzedli nas i dzwonią — rzekł pan Pławicki — suma zaraz wyjdzie... Zaprowadzę cię po mszy na grób mojej pierwszej żony; pomódl się za nią, bo to przecie twoja ciotka... Zaczna była kobieta, świeć jej Panie!

Tu pan Pławicki podniósł znów palec, by obetrzeć prawe oko, Połaniecki zaś spytał, chcąc zmienić nastrój rozmowy:

— A pani Jamiszowa była kiedyś bardzo piękna? Czy to ta sama?

Twarz pana Pławickiego rozjaśniła się nagle. Na chwilę wysunął koniec języka z uczerwonionych wąsików, następnie zaczął klepać Połanieckiego po łydce i rzekł:

— Warta jeszcze grzechu, warta, warta!...

Tymczasem zajechali i, obszedłszy kościół, weszli bokiem do zakrystyi, nie chcąc przeciskać się przez tłum. Panie siedziały w bocznych ławkach, tuż przed stallami. Pan Pławicki zajął ławkę kollatorską, w której byli tylko państwo Jamiszowie: on, człowiek, wyglądający bardzo staro, z twarzą inteligentną i zgnębioną, ona, kobieta dobrze pod sześćdziesiąt, ubrana niemal tak, jak panna Marynia, to jest w suknię perkalową i słomiany kapelusz. Pełne grzeczności ukłony, jakie jej począł składać pan Pławicki, i uprzejmy uśmiech, z jakim mu je oddawała, wskazywały, że panują między nimi blizkie i oparte na wzajemnej adoracji stosunki. Po chwili pani, podniósłszy lornetkę do oczu, zaczęła przyglądać się Połanieckiemu, nie rozumiejąc widocznie, kto mógł panu Pławickiemu towarzyszyć. W tylnej ławce za nimi, jeden z sąsiadów, korzystając z tego, że msza jeszcze nie rozpoczęta, kończył jakieś opowiadanie o polowaniu, powtórzył bowiem kilkakrotnie drugiemu sąsiadowi: „Moje psy dobrze goniom...”; potem obaj przerwali tę rozmowę i zaczęli obmawiać Pławickiego i panią Jamiszową tak głośno, że każde słowo dochodziło do uszu Połanieckiego.

Potem wyszedł ksiądz ze mszą. Na widok tej mszy i tego kościółka pamięć Połanieckiego znów wróciła do lat dziecińczych, gdy bywał tu z matką. Mimowoli rodziło się w nim zdziwienie, jak dalece na wsi nic się nie zmienia, prócz ludzi. Jednych składają na księżej grudzi, drudzy się rodzą, ale nowe życie podstawia się w dawne formy, i kto przyjeżdża po długiej niebytności, z daleka, temu się zdaje, że to wszystko, co poprzednio widział, było wczoraj. Kościół był ten sam; nawa była równie pełna płowych głów chłopskich, szarych sukman, czerwonych i żółtych chustek, oraz kwiatów na głowach dziewczynek; tak samo pachniało kadzidłem, świeżym tatarakiem i wyziewami ludzkimi. Za jednym z okien rosła ta sama brzoza, której cienkie gałązki wiatr, gdy się podniósł, rzucał na okno i, przesłaniając je, napełniał kościół zielonawem światłem; tylko ludzie byli nie ci sami: część tamtych rozsypywała się sobie spokojnie w proch, lub wydostawała się trawą z pod ziemi; ci zaś, którzy zostali jeszcze, byli jacyś pochyleni, zgarbieni, mniejsi, jakby powoli zasuwali się pod ziemię. Połaniecki, który chlubił się tem, że unika wszelkich zagadnień ogólnych, a który w gruncie rzeczy, mając jakby nie wyłonioną jeszcze dostatecznie z wszechbytu słowiańską głowę, zajmował się niemi mimowoli ciągle, myślał teraz, że jednak jest okropna przepaść między tą wrodzoną ludziom namiętnością życia, a koniecznością śmierci. Myślał także, że może dlatego wszystkie systemy filozoficzne mijają, jak cienie, a msza po staremu się odprawia, iż ona jedna obiecuje dalszy i nieprzerwany ciąg.

Sam, wychowany za granicą, nie bardzo weń wierzył, przynajmniej nie był go pewny. Czuł on w sobie, jak wszyscy dzisiejsi, najnowsi ludzie, niepohamowany wstręt do materializmu, ale wyjścia jeszcze nie znalazł, i co więcej, zdawało mu się, że go nie szuka. Był nieświadomym pesymistą, jak ci, którzy szukają czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odurzał się zajęciami, do których przywykł, i tylko w chwilach wielkiego przypływu owego pesymizmu pytał siebie: na co to wszystko? na co się zdało robić majątek, pracować, żenić się, płodzić dzieci — skoro wszystko kończy się przepaścią? Ale to było czasem i nie zmieniało się w stałą zasadę. Ratowała go od niej młodość — nie pierwsza — ale też jeszcze nie gasnąca, pewna tęgość duchowa i fizyczna, samozachowawczy instynkt, przyzwyczajenie do pracy, żywość charakteru i wreszcie ta siła elementarna, która popycha męczyznę w objęcia kobiety. I teraz więc od wspomnień dziecińczych, od myśli o śmierci, od zwątpienia

o celowości małżeństwa, przeszedł do myśli właśnie o tem, że tego, co w nim jest lepsze, nie ma komu oddać, a dalej przeszedł do panny Maryni Pławickiej, której perkalowa suknia, pokrywająca młode i wysmukłe ciało, nie schodziła mu z oczu. Przypomniał sobie, że gdy wyjeżdżał, pani Emilia Chwastowska, wielka przyjaciółka jego i panny Maryni, powiedziała mu, śmiejąc się: „Jeśli pan, będąc w Krzemieniu, nie zakocha się w Maryni, to zamknę przed panem drzwi”. On jej odpowiedział z wielką fantazyą, że jedzie tylko wydusić pieniądze, nie zakochać się, ale to nie była prawda. Gdyby w Krzemieniu nie było panny Pławickiej, byłby zapewne dusił pana Pławickiego w dalszym ciągu listownie, albo sposobami prawnymi. Myślał też o niej i o tem, jak ona wygląda, już w drodze, i był zły, że jedzie także po pieniądze. Wmawiając w siebie wielką stanowczość w takich razach, postanowił przedewszystkiem dochodzić swej należności i raczej gotów był przesadzić, niż nie dosadzić w terminie. Obiecywał to sobie, zwłaszcza pierwszego wieczora, gdyż Marynia, jakkolwiek podobała mu się dosyć, nie uczyniła na nim tak wielkiego wrażenia, jak myślał, a raczej uczyniła inne. Ale dzisiejszego rana bardzo wpadła mu w oko. „Sama jest, jak ranek — mówił sobie — ładna, i wie, że ładna! Kobiety zawsze to wiedzą!”

To ostatnie odkrycie usposobiło go dość niecierpliwie, albowiem pragnął wrócić jak najprędzej do Krzemienia, by dalej obserwować kobiety na tym okazie, który w Krzemieniu mieszkał. Jakoż msza skończyła się niebawem, pan Pławicki wyszedł zaraz po przeżegnaniu, miał bowiem jeszcze przed sobą dwa obowiązki: pierwszy, pomodlenia się na grobach obu żon, które leżały pod kościołem, drugi — odprowadzenia pani Jamiszowej do powozu; że zaś żadnego nie chciał opuścić, więc musiał się liczyć z czasem. Połaniecki wyszedł z nim razem, i wkrótce znaleźli się przed płytami kamiennymi, wprawionemi tuż obok siebie w ścianę kościelną. Pan Pławicki klęknął i modlił się przez chwilę w skupieniu, potem, wstawszy, obtarł łzy, które naprawdę zawisły mu na rzęsach, a wreszcie, wzięwszy Połanieckiego pod ramię, rzekł:

— Tak! straciłem obie — i żyć muszę.

Tymczasem przed kościelnymi drzwiami ukazała się pani Jamiszowa w towarzystwie męża, tych dwóch sąsiadów, którzy ją obmawiali przede mszą i młodego pana Gątowskiego. Na jej widok pan Pławicki pochylił się do ucha Połanieckiego i rzekł:

— Jak będzie wsiadała do powozu, uważ, jaką ma jeszcze nogę.

Po chwili złączyli się obaj z towarzystwem; rozpoczęły się ukłony i powitania. Pan Pławicki przedstawił Połanieckiego, potem, zwracając się do pani Jamiszowej, dodał z uśmiechem człowieka, przekonanego, że mówi coś, na co nie byle ktoby się zdobył:

— Mój krewny, który przyjechał wujaszka uścisnąć i... przycisnąć...

— Pozwalamy tylko na pierwsze, inaczej będzie z nami sprawa — odrzekła dama.

— Ale Krzemień, to twarda rzecz — mówił dalej Pławicki — połamię sobie na nim zęby, choć młody.

Pani Jamiszowa przymknęła oczy.

— Ta łatwość — rzekła — z jaką pan temi iskrami sypie... *c'est inoui!* Jak dziś zdrowie pana?

— W tej chwili czuję się zdrów i młody.

— A Marynia?

— Była na rannej mszy. Czekamy państwa o piątej. Moja mała gosposia łamie sobie tam główkę nad podwieczorkiem. Śliczny dzień...

— Więc przyjedziemy, jeśli moja newralgia mi pozwoli... i jeśli pan mąż pozwoli.

— Sąsiedzie? jakże? — spytał pan Pławicki.

— Zawsze chętnie, owszem! — odpowiedział zgnębnym głosem sąsiad.

— Zatem, *au revoir!*

— *Au revoir!* odpowiedziała pani.

I, zwróciwszy się do Połanieckiego, wyciągnęła do niego rękę:

— Miło mi było poznać pana.

Pan Pławicki podał jej ramię i odprowadził do powoziku. Dwaj sąsiedzi odjechali również, Połaniecki został przez chwilę sam z panem Gątowskim, który przypatrywał mu się dość niechętnie. Połaniecki pamiętał go niezgrabnym chłopakiem, teraz zaś z „niedźwiadka” wyrósł mężczyzna duży i może przyciężki w ruchach, ale raczej przystojny, z bardzo

pięknym, jasnym wąsem. Połaniecki nie zaczynał z nim rozmowy, czekając, aż tamten pierwszy się odezwie, lecz ów, zasadziwszy ręce w kieszenie, milczał uparcie.

— Dawne maniery mu zostały — pomyślał Połaniecki.

I z kolei uczył także niechęć do mruka.

Tymczasem pan Pławicki, wróciwszy od powozu Jamiszów, spytał naprzód Połanieckiego: „Uważałeś”? — a potem rzekł:

— No, Gątosiu, pojedziesz swoją bryczką, bo w koczku tylko dwa miejsca.

— Pojadę bryką, bo wiozę psa dla panny Maryi — odpowiedział młody człowiek.

I, skłoniwszy się, odszedł. Po chwili Pławicki i Połaniecki znaleźli się na drodze do Krzemienia.

— Ten Gątoski, to też podobno jakiś powinowaty wuja? — spytał Połaniecki.

— Dziewiąta woda po kisielu. Oni bardzo podupadli. Ten, Adolf, ma jeden folwarczek i pustki w kieszeni.

— Ale w sercu pewnie nie pustki?

Pan Pławicki wydał usta:

— Tem gorzej dla niego, jeśli mu się coś marzy. Może on i dobry człowiek, ale sympłak. Ani to wychowania, ani wykształcenia, ani majątku. Marynia lubi go — raczej: znosi.

— A, znosi?

— Widzisz, jest tak: ja poświęcam się dla niej i siedzę na wsi, ona poświęca się dla mnie i siedzi na wsi. Tu są pustki; pani Jamiszowa jest znacznie od niej starsza, młodzieży wogóle niema, życie nudne, ale co robić? Pamiętaj, mój chłopcze, że życie to szereg poświęceń. Trzeba tę zasadę nosić w sercu i w głowie. Zwłaszcza ci, co należą do uczciwych i trochę widniejszych rodzin, nie powinni o niej zapominać. A Gątoski bywa zawsze u nas w niedzielę na obiedzie — i dziś, jak słyszałeś, wiezie psa.

Umilkli i jechali wolniej po piasku. Sroki przelatywały teraz przed nimi z brzozy na brzozę w stronę Krzemienia. Za powozikiem jechał na bryczce pan Gątoski, który, rozmyślając o Połanieckim, mówił sobie:

— Jeśli przyjechał ich gnębić, jako wierzyciel, nadkręcę mu karku, jeśli jako konkurent — nadkręcę mu też.

Z dziecińczych lat miał on nieprzyjazne dla Połanieckiego uczucia. Niegdyś spotykali się oni czasem i wówczas Połaniecki go wyśmiewał, albo, jako starszy o parę lat, nawet bijał.

Wreszcie przyjechali i w pół godziny później znaleźli się wszyscy wraz z panną Marynią w jadalnym pokoju przy stole. Młody psiak, przywieziony przez Gątoskiego, korzystając z przywileju gościa, kręcił się pod stołem, a czasem wspinał się na kolana obecnych z wielkim zaufaniem i radością, objawianą za pomocą kiwania ogonem.

— To jest Gordon, ceter — mówił Gątoski — on jest jeszcze głupi, ale to mądre psy i przywiązują się okrutnie.

— Śliczny jest i bardzo panu wdzięczna — odpowiedziała panna Pławicka, patrząc na lśniaco-czarną sierść i żółte piętna nad oczyma psa.

— Znadto przyjemny — dodał pan Pławicki, pokrywając kolana serwetą.

— Do pola też takie lepsze od zwyczajnych ceterów.

— Pani i poluje? — spytał Połaniecki.

— Nie, nigdy nie miałam do tego ochoty. A pan?

— A ja czasem. Zresztą żyję w mieście.

— Dużo bywasz? — spytał pan Pławicki.

— Prawie nigdzie. U pani Emilii, u mojego współnika Bigiela, u Waskowskiego, który był niegdyś moim profesorem, a który teraz jest dziwakiem — i oto wszystko. Oczywiście czasem chodzę do ludzi, gdy mam do nich interesa.

— To źle, mój chłopcze. Młody człowiek powinien mieć i utrzymywać dobre stosunki towarzyskie, zwłaszcza, gdy ma do nich prawo. Kto się potrzebuje pięć, to co innego, ale ty, jako Połaniecki, możesz wszędzie bywać. Ja ci to powiadam. Z Marynią wiecznie mam te same historie. Dwa lata temu, gdy skończyła ośmnaście lat, zawiozłem ją w zimie do Warszawy. Rozumiesz, że tego się darmo nie robi i że to wymagało pewnych ofiar z mojej

strony. No i cóż? Siedziała po całych dniach u pani Emilii i czytały książki. Dzikus mi się urodził i dzikus pozostanie: możecie sobie podać ręce.

— Podajmy sobie ręce! — zawołał wesoło Połaniecki.

A ona odrzekła, śmiejąc się:

— Kiedy, sumiennie, nie mogę, bo to niezupełnie tak było: czytywałam książki z Emilką, prawda, ale bywaliśmy z papą dużo i wytańczyłam się na całe życie.

— Niech się pani nie zarzeka.

— Nie! ja się nie zarzekam, tylko nie tęsknię.

— To widocznie nie wywiozła pani wspomnień.

— Widocznie. Została mi tylko pamięć, ale to jest co innego.

— Tego ja, pani, nie rozumiem.

— Bo pamięć, to jest skład, w którym leży przeszłość, a wspomnienie ma miejsce wówczas, gdy się do tego składu wchodzi, żeby coś wydobyć.

Tu panna Marynia przestraszyła się nieco własną odwagą, z jaką zapuściła się w filozoficzny wywód nad różnicą pamięci i wspomnień, skutkiem czego zaczerwieniła się dość mocno; Połaniecki zaś pomyślał:

— I niegłupia, i śliczna.

Głośno zaś rzekł:

— Mnie to do głowy nie przyszło, a to takie łatwe.

I objął ją oczyma, pełnemi sympatyi. Była rzeczywiście bardzo ładna, bo uśmiechnięta, nieco zmieszana pochwałą, a zarazem i uradowana nią szczerze. Zarumieniła się jeszcze więcej, gdy śmiały młody człowiek rzekł:

— Jutro, przed wyjazdem, poproszę o miejsce... choć w składzie.

Ale on mówił to tak wesoło, że nie można się było na niego gniewać, i że panna Marynia odpowiedziała mu nie bez pewnej kokieteryi:

— Dobrze, ale i ja wzajemnie...

— W takim razie musiałbym schodzić do składu tak często, że wolę od razu w nim zamieszkać.

To wydało się panie Pławickiej nieco za śmiałe na tak krótką znajomość, ale tymczasem pan Pławicki ozwał się:

— Podoba mi się Połaniecki. Wolę go od Gątosia, który siedzi, jak mruk.

— Bo ja umiem mówić tylko o tem, co się da wziąć w rękę — odpowiedział z pewnym smutkiem młody człowiek.

— To weź w rękę widelec — i jedz.

Połaniecki uśmiechnął się, panna Marynia nie, gdyż żal jej się zrobiło Gątowskiego, skutkiem czego skierowała rozmowę na rzeczy, które dadzą się wziąć w rękę.

— Albo kokietka, albo ma dobre serce — pomyślał znów Połaniecki.

Lecz pan Pławicki, który widocznie przypomniał sobie ostatni pobyt zimowy w Warszawie, spytał:

— Powiedz mi Stachu, ty znasz Bukackiego?

— Jakże. To przecie mój bliższy krewny, niż wuja.

— My z całym światem jesteśmy krewni — literalnie z całym światem. Bukacki, to był najgorliwszy tancerz Maryni. Obtańcowywał ją na wszystkich wieczorach.

Połaniecki zaczął się znowu śmiać.

— I za całą nagrodę poszedł do składu, w kurz. No, ale tego przynajmniej odkurzać nie trzeba, bo taki koło siebie staranny, jak np. wujaszek. To największy elegancja w Warszawie. Co on porabia? Administruje świeżem powietrzem, to się znaczy, że jak pogoda, wychodzi lub wyjeżdża na spacer. Przytem jest oryginał, który ma jakieś szczególne zakomórki w głowie. Ten człowiek podpatruje takie rozmaite rzeczy, któremi nikt innyby się nie zajmował. Kiedyś, po jego powrocie z Wenecyi, spotykam go i pytam, co tam widział, a on mi odpowiada: „Widziałem na Riva degli Schiavoni, jak raz płynęło pół skorupki od jajka i pół cytryny: stykały się, potraçały, oddalały, zbliżały, wreszcie — pa! pół cytryny wpadło w pół jajka i popłynęły razem. Patrz, co to znaczy harmonia!” Oto, czem zajmuje się Bukacki, choć dużo umie i np. na sztuce zna się dobrze.

— A mówią o nim, że bardzo zdolny?

— Może, ale do niczego. Zjada chleb — i na tem koniec. Żeby przynajmniej był przytem wesoły, ale on jest w gruncie rzeczy melancholik. Zapomniałem powiedzieć: i kocha się w pani Emilii.

— Emilka dużo przyjmuje? — spytała panna Marynia.

— Nie. Bywam ja, Waskowski, bywa Bukacki, no i jeszcze Maszko, adwokat, ten, co to kupuje i sprzedaje majątki ziemskie.

— Ona pewnie i nie bardzo może przyjmować, bo dużo czasu musi poświęcać Litce.

— Biedactwo drogie — rzekł Połaniecki — Pan Bógby dał, żeby jej przynajmniej pomógł ten Reichenhall!

I wesoła twarz jego pokryła się w jednej chwili prawdziwym smutkiem. Teraz panna Marynia spojrzała na niego oczyma, pełnemi sympatyi — i z kolei pomyślała po raz drugi:

— On jednak musi być naprawdę dobry.

A pan Pławicki zaczął mówić, jakby sam do siebie:

— Maszko, Maszko... Ten także kręcił się koło Maryni. Ale ona go nie lubiła. Co do majątków, ceny teraz takie, że pożał się Boże.

— Właśnie Maszko twierdzi, że w tych warunkach dobrze jest kupować.

Tymczasem obiad się skończył i przeszli do salonu na kawę, podczas której pan Pławicki dworował sobie z pana Gątowskiego, co zwykł był czynić w chwilach dobrego humoru i co młody człowiek znosił cierpliwie ze względu na pannę Marynię, ale z miną, która zdawała się mówić: „Ej, żeby nie ona, wytrząsłbym z ciebie wszystkie kości!” Po kawie panna Marynia siadła do fortepianu, podczas gdy ojciec kładł pasyansa. Grała nieszczęśliwie, ale jej jasne i spokojne czoło ładnie rysowało się nad pulpitem. Koło piątej pan Pławicki spojrział na zegarek i rzekł:

— Jamiszowie nie przyjeżdżają.

— Przyjadą jeszcze — odpowiedziała Marynia.

Ale on od tej pory ciągle spoglądał na zegarek i co chwila ogłaszał nowinę, że Jamiszowie nie przyjeżdżają. Nakoniec koło szóstej rzekł grobowym głosem:

— Musiało się zdarzyć nieszczęście.

Połaniecki stał w tej chwili koło panny Maryni, która rzekła przyciszonym głosem:

— Oto i bieda! Tam się pewnie nic nie stało, ale papa będzie do wieczora w złym humorze.

Połaniecki chciał w pierwszej chwili odpowiedzieć, że za to nazajutrz, jak się wyśpi, to będzie w dobrym, ale widząc istotną troskę na twarzy panny, odrzekł:

— To, ile pamiętam, niedaleko: niech pani pośle kogo dowiedzieć się, co się stało.

— Możeby posłać kogo, papo?

Lecz on odpowiedział z goryczą:

— Zbytek łaski. Pojadę sam.

I, zadzwoniwszy na służącego, wydał polecenie, by zaprzęgano. Poczem zastanowił się przez chwilę i rzekł:

— Enfin, na wsi zawsze może się trafić, że ktoś przyjedzie i zastanie moją córkę samą. To nie miasto. Przytem jesteście krewni. Ty, Gątowski, możesz mi być potrzebny, więc bądź łaskaw pojechać ze mną.

Wyraz najwyższej niechęci i niezadowolenia odbił się na twarzy młodego człowieka. Przeciągnął ręką po swej płowej czuprynie i rzekł:

— Nad stawem jest wyciągnięte czółno, którego ogrodnik nie może zepchnąć; obiecałem pannie Maryni, że je zepchnę, tylko ostatniej niedzieli nie puściła mnie, bo łało, jak z cebra.

— To skocz i spróbuj, do stawu trzydzieści kroków, za parę minut wrócisz.

Gątowski, rad nie rad, wyszedł do ogrodu, pan Pławicki zaś, nie zwracając uwagi na Połanieckiego i córkę, powtarzał, chodząc po pokoju:

— Newralgia w głowie, założyłbym się, że newralgia w głowie; Gątowski, w razie potrzeby, może skoczyć po doktora. Ten safandula, ten radca bez rady, pewnoby nie posłał.

I, potrzebując widocznie wyrzucić na kimś swój zły humor, dodał, zwracając się do Połanieckiego:

— Nie uwierzysz, co to za cymbał!

— Kto taki?

— Jamisz.

— Ale, papo... — zaczęła panna Marynia.

Lecz pan Pławicki nie dał jej skończyć i rzekł ze wzrastającym złym humorem:

— Wiem! Nie podoba ci się to, że ona okazuje mi trochę przyjaźni i troskliwości. Czytaj sobie artykuły rolnicze pana Jamisza, uwielbiaj go, stawiaj mu posągi, ale pozwól mi mieć moje sympaty.

Tu Połaniecki mógł podziwiać istotną słodycz panny Maryni, gdyż, zamiast się znierpliwić, podbiegła do ojca i, podsuwając czoło pod jego uczernione wąsiki, rzekła:

— Zaraz zaprzęgną, zaraz! Może trzeba, żebym i ja pojechała, a tymczasem niech się brzydki tatuś nie gniewa, bo sobie zaszkodzi.

Pan Pławicki, który rzeczywiście był do niej mocno przywiązany, pocałował ją w czoło i rzekł:

— Wiem, że w gruncie rzeczy masz dobre serce, ale co tam znów Gątowski robi?

I przez otwarte drzwi ogrodowe począł wołać na młodego człowieka, który też powrócił niebawem zmęczony i rzekł:

— W środku stoi woda i za daleko wyciągnięte; próbowałem i nie mogę.

— To bierz czapkę i ruszajmy, bo słyszę, że zajęchali.

W chwilę potem młodzi ludzie zostali sami.

— Papa przywykł do trochę wykwinniejszego towarzystwa, niż jest na wsi — rzekła panna Marynia — więc dlatego lubi panią Jamiszową, ale i pan Jamisz jest bardzo zacny i rozumny człowiek.

— Widziałem go w kościele. Wydał mi się, jakby przybity.

— Bo naprawdę, to on jest chory, a przytem bardzo zapracowany.

— Tak, jak pani.

— Nie. Pan Jamisz doskonale prowadzi gospodarstwo, a przytem dużo pisuje o rzeczach rolniczych. Naprawdę jest to lumen naszej okolicy. I taki zacny człowiek! Ona również dobra kobieta, tylko dla mnie nieco przesadna.

— Ex-piękność!

— Tak. Przyczynia się też do jej przesady i to ciągle życie na wsi, przez które się trochę rdzewieje. Myślę, że w mieście wszystkie dziwactwa ludzkie i śmieszności ścierają się wzajemnie, a na wsi łatwiej ludzie zmieniają się w oryginałów. Zwolna odwyka się od towarzystwa, zachowuje się jakiś przestarzały sposób w obejściu z ludźmi i dochodzi się do przesady. My wszyscy musimy się ludziom z wielkich miast wydawać zardzewiali i trochę śmieszni.

— Nie wszyscy. Bynajmniej! — odpowiedział Połaniecki. — Pani na przykład — bynajmniej!

— Więc to przyjdzie z czasem — odpowiedziała z uśmiechem.

— Czas może także przynieść zmiany.

— U nas tak mało się zmienia — i najczęściej na gorsze.

— Ale w życiu panien wogóle zmiany są przewidywane.

— Chciałabym naprzód, byśmy z papą mogli przyjść do ładu z Krzemieniem.

— Więc ojciec i Krzemień, to dwa główne, jedyne cele w życiu pani?

— Tak. Ale mało mogę pomódz, bo się mało znam na czemkolwiek.

— Papa, Krzemień — i nic więcej! — powtórzył Połaniecki.

Nastała chwila przerwy w rozmowie, po której panna Marynia spytała Połanieckiego, czy nie zechce pójść do ogrodu. Poszli i wkrótce znaleźli się nad brzegiem stawu. Połaniecki, który za granicą należał do różnych stowarzyszeń sportowych, zepchnął na wodę czołno, któremu Gątowski nie mógł poradzić, ale pokazało się, że jest dziurawe i że nie można niem pływać.

— Oto przykład, co jest moje gospodarstwo! — rzekła, śmiejąc się, panna Marynia.

— We wszystkim i wszędzie woda przecieka. I nie wiem, jak się usprawiedliwić, bo ogród i staw należą wyłącznie do mnie. Ale przed spustem każę czołno naprawić.

— Bodaj, że to jeszcze to samo, w którym zakazywano mi jeździć, gdy byłem małym chłopcem.

— Bardzo być może. Czy pan uważał, że rzeczy daleko się mniej zmieniają i dłużej trwają, niż ludzie. Czasem smutno o tem myśleć.

— Miejmy nadzieję, że będziemy trwali dłużej, niż to czólno zmurszałe i nasiąknięte, jak gąbka, wodą. Jeżeli to samo, co za moich dziecinnych lat, to nie mam do niego szczęścia. Dawniej nie pozwalano mi na niem jeździć, a teraz skaleczyłem sobie rękę o jakiś spróchniały gwóźdź.

To rzekłszy, wydobyl z kieszeni chustkę i poczał lewą ręką owijać palec prawej. Ale szło mu tak niezgrabnie, że panna Marynia, widząc to, rzekła:

— Nie da pan sobie rady, trzeba pomódz.

I poczęła obwiązywać mu dłoń, którą on kręcił nieznacznie, by jej utrudnić zadanie, bo miło mu było czuć jej delikatne palce przy swoich. Ona spostrzegła, że jej przeszkadza i spojrziała na niego, ale w chwili, gdy ich oczy się spotkały, pojęła powód i, zarumieniona, schyliła się, chcąc niby wiązać uważniej. Połaniecki uczuł ją blisko, uczuł ciepło, bijące od niej, więc i jemu serce zabiło żywiej.

— Mam bardzo mile wspomnienia — rzekł — z dawnych moich tutejszych wakacyi, ale teraz wywozę jeszcze milsze. Pani jest bardzo dobra, a przytem zupełnie, jak jaki kwiat, w tym Krzemieniu. Pod słowem, nie przesadzam.

Panna Marynia zrozumiała, że młody człowiek mówi to szczerze, może nieco za śmiało, ale raczej przez wrodzoną żywość, niż dlatego, że został z nią sam na sam; więc nie obraziła się, tylko zaczęła niby gderać żartobliwie swoim miłym, przyciszonym głosem:

— Proszę mi nie mówić grzeczności, bo naprzód źle obwiążę rękę, a powtóre ucieknę.

— To niech pani źle obwiąże rękę, ale zostanie. Taki śliczny wieczór.

Marynia skończyła robotę z chustką i poszli dalej. Wieczór rzeczywiście zapowiadał się śliczny. Słońce zniżało się, staw, nie marszczony powiewem wiatru, lśnił ogniem i złotem. W dali, za wodą, majaczyły spokojnie olszyny; bliższe drzewa rysowały się w zarumienionem już powietrzu bardzo czysto. Na podwórzu, za domem, klekotały bociany.

— Miły Krzemień, bardzo miły! — powtarzał Połaniecki.

— Bardzo — odpowiedziała Marynia.

— To też ja rozumiem pani przywiązanie do tego miejsca. Przytem, jak się w coś wkłada pracę, to to jeszcze bardziej przywiązuje. Rozumiem też, że na wsi można mieć dobre chwile... Ot, jak teraz. Przecie tu jest tak dobrze. W mieście ogarnia czasem zmęczenie, zwłaszcza tych, którzy, jak ja, siedzą po uszy w rachunkach, a przytem są samotni. Bigiel, mój współnik, ma żonę i dzieci — to dobrze! Ale ja co? Ja nieraz mówię sobie: Ot, pracuję i co mi z tego? Dajmy na to, że będę miał trochę pieniędzy — i co dalej? — nic. Jutro zawsze takie same, jak dziś, robota i robota! Widzi pani, jak się człowiek wciągnie w coś, jak idzie tym pędem, np. robienia pieniędzy, to mu się zdaje, że to cel. Ale przychodzą chwile, w których myślę, że mój oryginał Waskowski ma słusność, i że nikt, kto się kończy na *ski*, albo na *wicz*, nie potrafi włożyć w to całej duszy i poprzestać na tem wyłącznie. On powiada, że w nas jeszcze za świeża pamięć poprzedniego istnienia, i że wogóle Słowianie mają inną misję. To jest wielki oryginał i filozof i mistyk. Ja się z nim sprzecam i robię pieniądze, jak mogę, ale teraz naprzykład, jak tak chodzę z panią po tym ogrodzie, to, doprawdy, zdaje mi się, że on ma słusność.

I przez chwilę szli w milczeniu. Światło stawało się coraz bardziej rumiane i twarze mieli jakby zanurzone w czerwonym blasku. Przyjazne, wzajemne uczucia wzrastały w nich z każdą chwilą. Było im z sobą dobrze i spokojnie.

Połaniecki odczuwał to widocznie, gdyż po jakimś czasie rzekł:

— Co mnie pani Chwastowska mówiła i co jest prawda, to, że do pani ma się w godzinę po poznaniu więcej ufności i bliżej się jest z nią, niż z kim innym w miesiąc. Teraz to sprawdziłem. Zdaje mi się, że panią znam od dawna. Myślę, że tylko osoby niezwykle dobre robią takie wrażenie.

A panna Marynia odpowiedziała z prostotą:

— Emilka kocha mnie bardzo i dlatego mnie chwali. Choćby to była prawda, co ona mówi, to jednak przypuszczam, że nie ze wszystkimi taka być potrafie.

— Wczoraj, rzeczywiście, zrobiła pani na mnie inne wrażenie, ale była pani zmęczona i senna.

— Byłam trochę.

— I czemu pani spać nie poszła! Służący mógł mi zrobić herbaty, a wreszcie byłoby się i bez tego obeszło.

— Nie, tak mało gościnni nie jesteśmy. Papa mówił, że wypada, by które z nas pana przyjęło. Bałam się, że zechce sam czekać, a jemu to szkodzi, więc wolałam go zastąpić.

Połaniecki pomyślał: „Pod tym względem mogłaś być spokojną, ale jesteś poczciwa, że starego egoistę osłaniasz.”

Następnie rzekł:

— Przepraszam panią i za to, że zaraz zacząłem mówić o interesach. To kupieckie przyzwyczajenie. Ale też potem sam sobie powiedziałem: „Jesteś taki, owaki!” — i ze wstydem przepraszam.

— Niema za co, bo niema winy. Panu powiedziano, że ja się wszystkim zajmuję, więc pan udał się do mnie.

Zwolna zorze rozpalają się coraz mocniej. Po niejakiem czasie wrócili ku domowi, o ile że wieczór zapowiadał się piękny, więc siedli na werandzie ogrodowej. Połaniecki wszedł na chwilę do salonu, poczem wrócił ze stołeczkiem od nóg i, przyklękawszy, zaczął go podsuwać pod stopy panny Maryni.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odpowiedziała, pochylając się i obejmując rękoma suknię — jaki pan dobry! dziękuję bardzo!

A on mówił:

— Ja jestem z natury nieuważny, ale wie pani, kto mnie nauczył trochę troskliwości? Litka. Ją trzeba nadzwyczaj ochraniać i pani Chwastowska musi o tem pamiętać.

— I ona pamięta — odrzekła panna Marynia — i wszyscy będziemy jej w tem pomagali. Gdyby była nie wyjechała do Reichenhallu, byłabym ją zaprosiła do nas.

— A jabym przyjechał za Litką bez zaproszenia.

— Więc zapraszam pana w imieniu papy raz na zawsze.

— Niech pani tego lekko nie mówi, bom gotów nadużyć grzeczności. Mnie tu jest bardzo dobrze, więc, ilekroć będzie mi źle w Warszawie, to tu ucieknę — pod opiekę pani...

Teraz Połaniecki wiedział już, że słowa jego przeznaczone są na to, by ich zbliżyć, by nawiązać między nimi sympatyę, i mówił je równie umyślnie, jak szczerze, a mówiąc, patrzył na tę łagodną, młodą twarz, która, oświecona zachodzącym słońcem, wydawała się jeszcze spokojniejsza niż zwykle. Panna Marynia podniosła też na niego swe niebieskie oczy, w których było jakby pytanie: „Czy mówisz to wypadkiem, czy umyślnie?” i odrzekła nieco ciszej:

— Dobrze.

I oboje umilkli, czując, że istotnie coś zawiązuje się między nimi.

— Dziwi mnie, że papa nie wraca — rzekła wreszcie panna Marynia.

Rzeczywiście słońce zaszło; w czerwonym zmierzchu począł krążyć cichym lotem lelek, a w stawie ozwały się żaby.

Lecz Połaniecki nie odpowiedział na uwagę panienki i, jakby pogrążony we własnych myślach, zaczął mówić:

— Ja nie analizuję życia, bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, jak naprzykład w tej chwili, to czuję, że dobrze, gdy źle, to źle — ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy, jaki wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pesymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach, bez dna, tak jak mój jeden znajomy, asystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... I potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoności... Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego dojść, na niczem odpocząć... Zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czem usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca, niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... Powtóre, że mi się ochota do roboty psuje i że robię się niedołęgą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury — czy mądrych, czy głupich, mniejsza z tem — ale jest. Żyć trzeba, więc trzeba z życia wydobyć, co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzach nie potrafimy — na to od biedy zgoda. Ale ja

sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój — i wie pani co? — kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkim podzielić. Potem musi być śmierć — dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy. „*That’s not my business.*” jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa — czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę... Jeśli są dyamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo niema nikogo, ktoby uznał, że one coś warte. Tak samo i człowiek musi mieć kogoś, ktoby go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta — byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja i bardzo kochana. To wszystko, czego można chcieć, bo z tego idzie spokój — i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jako poeta, ale jako człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drugą głowę — to jest i cel. A potem niech będzie co chce. Oto moja filozofia.

Połaniecki twierdził, że mówi jak kupiec, ale mówił także jak człowiek rozmarzony, bo tak podział na niego i ten wieczór letni, i obecność tej młodej dziewczyny, która pod tak wieloma względami odpowiadała tym wygłoszonym przed chwilą poglądom. Połanieckiemu również musiało to przyjść do głowy, gdyż, zwróciwszy się wprost do niej, rzekł:

— Ja tak ot myślę, ale i z tem się zwykle przed ludźmi nie wygaduję. Dziś mi się jakoś na to zebrało, bo powtarzam, że pani Emilia ma słusność: z panią się jest w jeden dzień bliżej, niż z innemi w rok. Pani musi być bajecznie dobra! Oto, byłbym głupstwo zrobił, gdybym nie przyjechał do Krzemienia. I będę przyjeżdżał tak często, jak pani pozwoli.

— Niech pan przyjeżdża... często.

— Dziękuję.

I wyciągnął rękę, a panna Marynia podała mu także dłoń, jakby na znak przymierza.

Ach, jak i on się jej podobał, ze swoją twarzą szczerą, męską, ze swoją ciemną czupryną i pewną dzielnością w całej postawie, ze swemi żywemi oczyma! Przywiózł przytem tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło; jakieś nowe widnokreśli, wybiegające daleko poza staw i olszyny, które zamykały widnokrąg krzemieński. Zrobili też jednego dnia tyle drogi, ile jej można było zrobić.

Siedzieli więc znowu jakiś czas w milczeniu i wędrowali dalej, w milczeniu równie pospiesznie, jak w rozmowie. Marynia wskazała wreszcie ręką na światło, które się zwiększało za olszynami, i rzekła:

— Księżyc.

— Aha! księżyc! — powtórzył Połaniecki.

Ów zaś rzeczywiście wysuwał się z wolna z za olszyn, czerwony i wielki jak koło. Ale tymczasem psy zaszczekały, powozik zaturkotał z drugiej strony domu, i po chwili, w salonie, do którego poprzednio już wniesiono lampy, ukazał się pan Pławicki.

Marynia weszła do salonu, Połaniecki za nią.

— Nic się nie stało — rzekł pan Pławicki. — Zajechała ich Chromecka, że zaś myśleli, że odjedzie wkrótce, więc nie dawali znać. Jamisz trochę chory, ale jutro wybiera się do Warszawy. Ona obiecała się tu pojutrze.

— Więc wszystko dobrze? — spytała Marynia.

— Dobrze. A wy coście tu porabiali?

— Słuchaliśmy żab — odpowiedział Połaniecki — i dobrze nam było.

— Pan Bóg wiedział na co i żaby stworzył, więc choć mi spać po nocy nie dają, nie narzekam. Ale tymczasem niech Marynia da herbaty.

Herbata czekała gotowa w drugim pokoju. Pan Pławicki opowiadał przy niej o swojej wizycie u Jamiszów. Młodzi byli milczący, tylko od czasu do czasu spoglądali na siebie pełnemi światła oczyma i na dobranoc uścisknęli się bardzo mocno za rękę.

Panna Marynia czuła pewną ociężałość, rozbierając się, jakby ją ten dzień zmęczył; ale było to dziwne jakieś i miłe zmęczenie. Potem, gdy już jej główka wsparła się na poduszce, nie myślała o tem, że jutro poniedziałek, że zaczyna się nowy tydzień powszedniej roboty, tylko myślała o Połanieckim i w uszach jej brzmiały jego wyrazy:

— Kto mnie uzna, jeśli nie kobieta, byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna, bardzo moja i bardzo kochana.

Połaniecki zaś mówił sobie, zapalając w łóżku papierosa:

— Dobre to, śliczne, miłe — gdzie taka druga?

III

Lecz nazajutrz był szary dzień i panna Pławicka obudziła się z wyrzutami. Zdawało jej się, że wczoraj dała się unieść jakimś prądomi dalej, niż należało i że wprost była z Połanieckim kokietką. Przejmowało ją to szczególnym niesmakiem z tego głównie powodu, że jednak ów Połaniecki przyjechał jako wierzyciel. Wczoraj o tem zapomniała, dziś zaś mówiła sobie: „Niechybnie przyjdzie mu do głowy, że go chciała ująć lub ułagodzić” — i na tę myśl krew napłynęła jej do policzków i czoła. Miała ona naturę prawą i wiele ambycyi, która wzburzała się na każde przypuszczenie, że może być posądzoną o wyrachowanie. Teraz, uwierzywszy w możliwość takiego posądzenia, uczuła z góry jakby urazę do Połanieckiego. Jedną jeszcze przytem myśl była nad wszelki wyraz przykrą: oto wiedziała, że wogóle w kasie krzemienieckiej grosz nie może grosza dogonić, że pieniędzy niema, i że, jeżeli, wskutek zamierzonej parcelacyi Magierówki, były na nie w przyszłości widoki, to ojciec będzie się wykręcał, gdyż inne długi uważa za pilniejsze od długu Połanieckiego. Obiecywała sobie wprawdzie, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, by Połaniecki został koniecznie i przed innymi splacony, ale wiedziała, że niewiele może wskórać. Ojciec wyręczał się nią chętnie w gospodarstwie, ale w sprawach pieniężnych rządził się sam i rzadko kiedy słuchał jej zdania. Rola jego pod tym względem polegała wprawdzie na wykręcaniu się wszystkim ze wszystkiego, na obietnicach nigdy niedotrzymywanych, na zwłokach i na przedstawianiu urojonych obliczeń i nadziei za rzeczywistość. Ponieważ dochodzenia wierzytelności, opartych na hipotekach ziemskich, same przez się są trudne i powolne, a obrona daje się przedłużać niemal dowolnie, przeto pan Pławicki trzymał się istotnie przy Krzemieniu dzięki swemu systemowi. W końcu groziło to wszystko równie nieubłaganą, jak zupełną ruiną, tymczasem jednak stary człowiek uważał się za „głowę od interesów” i tem niechętniej słuchał zdań i rad córki, że zaraz posądzał ją, iż wątpi o jego „głowie” — to zaś obrażało w najwyższym stopniu jego miłość własną.

Panna Marynia przeszła już z powodu tej „głowy” i jej sposobów przez niejedno upokorzenie. Życie jej wiejskie było tylko pozorną sielanką pracy i gospodarskich zajęć. Nie brakło w niem ani przykrości, ani bólów, i jej spokojna twarz mogła oznaczać nietylko słodczy charakteru, ale i jego siłę, a przytem wielkie wyrobienie duchowe. Lecz upokorzenie, które groziło teraz, wydało się jej trudniejsze do zniesienia od innych.

— „Niechże on przynajmniej mnie nie posądza!” — mówiła sobie. Ale jak mogła na to poradzić? Pierwszą jej myślą było wezwać Połanieckiego na rozmowę, wprzód nimby się widział z jej ojcem, i wyznać mu cały stan rzeczy, jak się wyznaje człowiekowi, do którego się ma ufnąć. Następnie przyszło jej do głowy, że taka rozmowa byłaby nie czem innym, jak prośbą o wyrozumiałość, litość, a zatem upokorzeniem. Gdyby nie to, że panna Marynia, jako kobieta odczuwająca wszystkie drgnienia swego serca i innych, czuła nawpół świadomie, nawpół instynktowo, że między nią a tym młodym człowiekiem coś się od razu zapowiedziało, coś się już prawie zaczęło — a zwłaszcza, że coś mogło i musiało stać się w przyszłości nieuniknionem, byłaby się jednak chwyciła tej drogi. Lecz wobec takiego stanu rzeczy zdawało jej się, że nie może. Pozostawało jej tylko jedno: zobaczyć się z Połanieckim, zatrzeć swym obejściem się z nim wczorajsze wrażenia, porozrywać te nici sympatyj, które wzajem między sobą nawiązali, i dać mu zupełną swobodę postępowania. Taki sposób wydał jej się najlepszy, więc dowiedziawszy się od służącej, że Połaniecki nietylko już wstał, ale wyszedł po herbacie ku gościńcowi, postanowiła go odszukać.

I przyszło jej to łatwo, on bowiem wrócił już z rannej przechadzki i, stojąc za boczną ścieżką ganku, porośniętego dzikiem winem, rozmawiał z tymi samymi dwoma psami, które w dniu przyjazdu tak się do niego lasiły. Nie spostrzegł też jej od razu, i Marynia, stojąc na stopniach, słyszała, jak mówił do psów:

— To psiska żołąd biorą za pilnowanie domu — co? osypkę jedzą — co? a na obcych nie szczekają, jeszcze się laszą. A głupie kundysy, a próżniaki!

I klepał je po białych głowach. Następnie, ujrawszy ją przez szpary w winie, skoczył, jak wyrzucony z procy, i stanął przed nią wesoły i rozjaśniony.

— Dzień dobry pani. Ja sobie tu z psami rozmawiam. Jak pani spała?

— Dziękuję.

I chłodno wyciągnęła ku niemu rękę, on zaś patrzył na nią oczyma, w których najwyraźniej widać było, jak wielką i głęboką przyjemność czyni mu jej widok.

I on nie mniej podobał się biednej pannie Maryni. Po prostu podobał jej się z całej duszy. Serce też ścisnęło się jej żalem, że na jego serdeczne „dzień dobry” wypada jej odpowiadać tak ceremonialnie i zimno.

— Może pani idzie do gospodarstwa? To, jeśli pani pozwoli, pójdę razem. Dziś muszę wracać do miasta, więc dobra mi jedna więcej chwila w towarzystwie pani. Bóg widzi, że gdybym mógł, tobym został tu dłużej. Ale znam teraz drogę do Krzemienia.

— Prosimy zawsze, jeśli panu kiedykolwiek czas pozwoli.

Połaniecki zauważył teraz chłód bijący od jej słów, od jej twarzy, i zaczął patrzeć na nią ze zdziwieniem. Jeśli jednak panna Marynia liczyła, że uczyni on tak, jak zwykle ludzie czynią, i dostroi się natychmiast do jej tonu, to się zawiodła. Połaniecki zbyt był żywym i śmiałym, by od razu nie spytać o przyczynę.

Jakoż, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Coś pani jest?

Marynia zmieszana się:

— Pan się myli.

— Nie. I ja dobrze widzę, i pani dobrze wie, że się nie mylę. Pani jest dla mnie taka, jak była pierwszego wieczoru. Ale wtedy ja zawiniłem, bom zaczął nie w porę mówić o pieniądzech. Wczoraj przeprosiłem panią za to i było dobrze — i jak dobrze! Dziś znów jest inaczej — niechże mi pani powie dlaczego?

Żadna, najrzęczniejsza dyplomacya nie zdołałaby bardziej zbliżyć z tropu panny Maryni. Oto jej się zdawało, że zdoła go swem postępowaniem oziębici i oddalić, on zaś, pytając tak wręcz, raczej zbliżał się jeszcze bardziej.

I mówił dalej tonem człowieka, któremu wyrządzają niesprawiedliwość:

— Niech mi pani powie szczerze, co to jest? niech pani powie! Ojciec pani mówił, że wczoraj miałem być gościem a dziś wierzycielem. Ale to jest głu... to jest nic! Ja się na takich różnicach nie rozumiem, a wierzycielem pani nigdy nie będę, chyba dłużnikiem, bom już pani dłużny i wdzięczny za tę wczorajszą dobroć — i Bóg widzi, jak mi chodzi o to, bym zawsze mógł być dłużny.

I znów patrzył w jej oczy, pilnie bacząc, czy w nich nie zjawi się wczorajszy uśmiech; lecz Marynia, której serce ścisnęło się coraz bardziej, szła dalej drogą, którą obrała, raz dlatego, że ją już obrała, a powtóre i z obawy, by przyznawszy, że dziś jest inną, nie była zmuszoną do wyjaśniania przyczyn.

— Upewniam — odrzekła wreszcie z pewnym wysileniem — że albo się pan mylił wczoraj, albo się myli dziś. Ja jestem zawsze jednakowa i zawsze będzie mi miło, jeśli pan wywiezie od nas dobre wspomnienie.

Słowa były grzeczne, ale mówiła je panienska tak niepodobna do wczorajszej, że na twarzy Połanieckiego zaczęło się przebijać zniecierpliwienie i gniew.

— Jeśli pani chodzi o to — rzekł — bym udawał, iż w to wierzę, to niech będzie, jak pani chce. Wyjadę jednak z przekonaniem, że na wsi poniedziałek bardzo się różni od niedzieli.

Marynię dotknęły te słowa, wyglądały one bowiem tak, jakby Połaniecki rościł sobie już jakieś prawa z powodu jej wczorajszego obejścia się z nim. Ale odpowiedziała raczej ze smutkiem, niż z gniewem:

— Cóż ja na to poradzę!

I po chwili odeszła, oświadczywszy, że musi pójść powiedzieć dzień dobry ojcu. Połaniecki został sam; odpedził psy, które znów próbowały łaścić się, i zaczął się złościć.

— Coto jest? — pytał w duchu. — Wczoraj dobrze, dziś źle! Zupełnie inna kobieta. Jakie to wszystko głupie, jakie marne! Wczoraj krewny — dziś wierzyciel. Co jej do tego? Czemu mnie jak psa traktuje? Czym kogo ograbił? Wiedziała i wczoraj, po com przyjechał. Dobrze! Chcicie mnie mieć wierzycielem, nie Połanieckim — dobrze! Niechże to piorun trzaśnie!

Marynia tymczasem wbiegła do pokoju ojca. Pan Pławicki wstał już i siedział przybrany w szlafrok przed biurkiem zapełnionem papierami. Na chwilę odwrócił się, by odpowiedzieć na dzień dobry córki, poczem zaraz zajął się nanowo czytaniem papierów.

— Papo — rzekła Marynia — przyszedłam pomówić o panu Połanieckim... czy papa...

Lecz on jej przerwał, nie przestając patrzeć na papiery.

— Twojego Połanieckiego ugniotę w rękę, jak wosk.

— Wątpię, czy to będzie łatwo. Wreszcie jabyłm chciała, żeby on przed innymi był splącony, choćby z największą naszą stratą.

Wówczas pan Pławicki odwrócił się od biurka i zaczął na nią patrzeć. Potem spytał zimno:

— Proszę. Czy to opieka nad nim, czy nademną?

— To jest kwestya naszego honoru...

— W czym, jak sądzisz, potrzebuję twojej rady?

— Nie, papo, ale...

— Co za patetyczny dzień nam nastał! Co tobie jest?

— Ja tylko proszę papy na wszystko...

— A ja cię także proszę, byś to zostawiła mnie. Usunęłaś mnie od gospodarstwa — i ustąpiłem, bo o te parę lat, które mi do życia zostają, nie chcę się sprzeczać z rodzonym dzieckiem. Ale zostawże mi choć ten kąt w domu, choć tę jedną izbę, i pozwól mi załatwiać te sprawy, które się w niej załatwić dają.

— Papo drogi, przecie ja tylko proszę...

— Żebym się przeniósł na folwark? któreż czworaki mi wyznaczasz?

Tu pan Pławicki, który mówiąc o „patetycznym” dniu, widocznie nie chciał tylko, by ktoś dzielił z nim monopol, powstał w swoim perskim szlafroku, jak król Lear, i chwycił za poręcz fotelu, dając przez to do zrozumienia okrutnej córce, że inaczej, rażony jej okrucieństwem, padłby jak długi na ziemię. Lecz jej lzy cisnęły się do oczu, a gorzkie poczucie własnej bezsilności napływało do serca. Przez chwilę stała w milczeniu, walcząc z żalem i ochotą do płaczu, poczem rzekła cicho:

— Przepraszam papę...

I wyszła z pokoju.

W kwadrans potem wszedł do niego, na żądanie pana Pławickiego, Połaniecki, ale zły, rozdrażniony, lubo usiłujący nad sobą panować.

Pan Pławicki, powitawszy się z nim, usadził go przy sobie na krześle, z góry przygotowanym i, wzięwszy go dłonią za kolano, spytał:

— Stachu, wszak tego domu nie spalisz? Wszak mnie, którym ci ręce otworzył, jak krewny, nie zamordujesz? wszak mi dziecka nie uczynisz sierotą?

— Nie — odrzekł Połaniecki — domu nie spalę, wuja nie zarznę i żadnego dziecka nie uczynię sierotą. Proszę nawet, by wuj w ten sposób nie zaczynał mówić, bo to do niczego nie doprowadzi, a dla mnie jest nieznośnem.

— Dobrze — odpowiedział pan Pławicki, nieco jednak dotknięty tem, że jego styl i sposób wyrażania się tak małe zyskują uznanie; — pamiętaj tylko, że do mnie i do tego domu przyjeżdżałeś jeszcze dzieckiem.

— Przyjeżdżałem, bo przyjeżdżała matka, a matka po śmierci ciotki Heleny przyjeżdżała dlatego, że wuj nie płacił procentów. To wszystko nie ma się nic do rzeczy. Suma tkwi na hipotece od dwudziestu jeden lat. Z procentami zaległymi wynosi około dwudziestu czterech tysięcy rubli. Dla okrągłości niech będzie dwadzieścia równo — ale tych dwadzieścia muszę mieć, bo po to przyjechałem.

Pan Pławicki pochylił głowę z rezygnacją.

— Po to przyjechałeś?... Tak. Ale czemu ty byłeś wczoraj taki inny, Stachu?

Połaniecki, który pół godziny temu zadał to samo pytanie pannie Maryni, aż podskoczył na krześle, ale pomiarkował się jeszcze i rzekł:

— Proszę o przystąpienie do interesu.

— Ja się przed tem nie cofam, tylko pierwej pozwól mi powiedzieć parę słów i nie przerywaj mi. Mówiłeś, że procentów nie płać. Prawda. Ale czy wiesz dlaczego? Matka twoja nie oddała mi przecie całego swego majątku i nie mogła tego bez pozwolenia rady familijnej uczynić. Może gorzej dla was, że się tak nie stało, ale mniejsza z tem. Ostatecznie, wzięwszy te kilkanaście tysięcy rubli, powiedziałem sobie tak: kobieta została sama na świecie, z jedynem dzieckiem — niewiadomo, jak sobie poradzi, niewiadomo, co może wypaść — niechże te pieniądze, które ma u mnie, będą jej funduszem żelaznym, niech rosną, by w danym razie miała o co ręce zacześcić. I od tej pory byłem jakby waszą

kasą oszczędności. Matka dała mi dwanaście tysięcy rubli — dziś masz u mnie przeszło dwadzieścia cztery. Oto rezultat. A teraz: czyż zapłacisz mi za to niewdzięcznością?

Na to Połaniecki rzekł:

— Kochany wuju Pławicki: proszę mnie nie brać ani za głupszego, niż jestem, ani za waryata. Powiadam po prostu, że na takie plewy ja się nie złapię — bo za grube. Powiadasz wuj, że mam dwadzieścia cztery tysiące rubli — więc gdzież są? Proszę o nie — bez gadaniny i jeszcze takiej!

— A ja cię proszę o cierpliwość i umiarkowanie, choćby dlatego, że jestem starszy — odrzekł z urazą i godnością pan Pławicki.

— Mam współnika, który za miesiąc wnosi dwanaście tysięcy rubli na umówiony interes — ja muszę wnieść tyleż. Powiadam to jasno i oświadczam, że po dwóch latach kołatania listami — nie mogę i nie będę dłużej cierpliwy.

Pan Pławicki wsparł rękę na biurku, czoło na dłoni — i milczał.

Połaniecki patrzył na niego, czekając odpowiedzi — patrzył z wzrastającą niechęcią i w duszy zadawał sobie pytanie: Czy to jest kręciciel? czy bzik? czy egoista, tak zaślepiony w sobie, że dobro i zło mierzy tylko własną wygodą? — czy wreszcie wszystko razem?

Tymczasem pan Pławicki trzymał czoło ciągle ukryte w dłoni i milczał.

— Nareszcie chciałbym coś wiedzieć... — zaczął Połaniecki.

Lecz tamten potrząsnął ręką, dając znać, że chce być jeszcze sam ze swymi myślami.

I nagle podniósł rozjaśnioną twarz.

— Stachu — rzekł — po co my się kłócimy, kiedy jest tak prosty sposób wyjścia.

— Jaki?

— Bierz margiel!

— Co?

— Sprowadź tu swego współnika, sprowadź jakiego specjalistę, oszacujemy mój margiel i zrobimy we trzech spółkę. Twój... jak się tam nazywa? Bigiel? spłaci mi tyle, ile na niego wypadnie, ty albo coś dopłacisz, albo nie — i pójdziemy razem, a zyski mogą być olbrzymie.

Połaniecki wstał.

— Proszę pana — rzekł — do jednej rzeczy nie jestem przyzwyczajony, mianowicie, żeby ktoś drwił ze mnie. Ja nie chcę pańskiego marglu — tylko moich pieniędzy, a to, co mi pan mówisz, uważam po prostu za niegodne, albo bezrozumne wykręty.

Nastąpiła chwila ciężkiej ciszy. Jowiszowy gniew zaczął się zbierać w brwiach i na czole pana Pławickiego. Przez chwilę piorunował śmiałka oczyma, poczem, przysunąwszy się szybko do kołków, na których wisiała broń, zdjął myśliwski nóż i, podając Połanieckiemu, rzekł:

— A więc jest inny sposób: uderzaj!

I otworzył szeroko szlafrok, lecz Połaniecki, nie panując już nad sobą, odtrącił rękę z nożem i zaczął mówić podniesionym głosem:

— To jest licha komedia — nic więcej! Z panem szkoda tracić słów i czasu. Wyjeżdżam, bo mam dosyć pana i pańskiego Krzemienia, ale zapowiadam, że sumę moją sprzedam choćby za pół ceny pierwszemu z brzegu żydowi, który potrafi sobie z panem poradzić.

Na to prawa ręka pana Pławickiego wyciągnęła się uroczyście.

— Idź — rzekł — sprzedawaj! wpuść żyda w gniazdo rodzinne, ale wiedz o tem, że przekleństwo moje i tych, którzy tu żyli, znajdzie cię wszędzie.

Połaniecki wypadł z pokoju biały ze złości, w salonie zaś klął, co wlaźło, szukając swego kapelusza. Znalazłszy go wreszcie, chciał wyjść, obaczyć, czy bryczka nie zajechała, gdy wtem weszła Marynia. Na jej widok pomiarkował się nieco, lecz, przypomniawszy sobie, że właściwie to ona zajmuje się wszystkim w Krzemieniu, rzekł:

— Żegnaj panią. Sprawę z ojcem pani skończyłem. Ja przyjechałem po moją należność, a on dał mi naprzód błogosławieństwo, potem margiel, a potem przekleństwo. Dobry sposób spłacania należności!...

Była chwila, że Marynia chciała wyciągnąć do niego rękę i powiedzieć: „Ja rozumiem pański gniew; przed chwilą byłam także u ojca i błagałam go, żeby pana spłacił przed wszystkimi. Niech pan postąpi z nami i z Krzemieniem, jak pan chce, ale niech pan mnie

nie obwinia, niech pan nie myśli, że ja należę do spisku przeciw panu, i niech pan ma dla mnie choć trochę szacunku”.

I już jej ręka wysuwała się naprzód, już powyższe słowa zawisły jej na ustach, gdy Połaniecki, podniecając się coraz bardziej wewnątrz i tracąc nanowo coraz bardziej równowagę, dodał:

— Oświadczam to pani dlatego, że gdy pierwszego wieczora chciałem być mówić z panią, pani obraziła się i odesłała mnie do ojca. Dziękuję za skuteczną radę, ale że ona lepsza dla państwa niż dla mnie, więc następną sam obmyślę.

Wówczas usta Maryni pobladyły, w oczach zaświeciły łzy oburzenia, a zarazem głębokiej urazy. Podniosła głowę i rzekła:

— Może pan mówić jakie chce obelgi, bo za mną nikt się nie ujmie...

I zawróciła ku drzwiom, pełna w duszy upokorzenia i niemal rozpaczy, że to są jedyne owoce, jakie zbiera za swoją pracę, w którą kładzie wszystkie siły i cały zapal swojej młodej, prawej duszy. Połaniecki spostrzegł też, że przebrał miarę. Mając uczucia bardzo żywe, przeszedł w jednej chwili do litości — i chciał biedz za nią, przeproszać, ale już było za późno. Marynia wyszła.

To przyprawiło go o nowy napad złości. Tym razem jednak ogarnął tą złością i siebie samego. Nie żegnając się już z nikim, siadł na bryczkę, która tymczasem zajęczała, i ruszył z Krzemienia. W duszy wrzał mu taki gniew, że przez czas jakiś nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o zemście: „Sprzedam, choćby za trzecią część ceny, i niech was tradują! Daję sobie słowo uczciwego człowieka, że sprzedam. Choćbym nie potrzebował, sprzedałbym — na złość!”

I w ten sposób zamiar zmieniał się w zawzięte i zaprzysiężone postanowienie, Połaniecki nie był zaś z rodzaju ludzi, którzy nie dotrzymują przyrzeczeń, danych bądź komukolwiek, bądź sobie. Chodziło teraz jedynie o to, czy znajdzie kupca na sumę tak trudną do wydobycia, że, aby dojść do niej, trzeba było, bez przerośni, rozgryźć „Krzemień”.

Tymczasem bryczka wytoczyła się z alei na otwartą połowę drogę. Połaniecki, ochłoniwszy nieco, zaczął teraz myśleć o Maryni, w taki mozajkowy sposób, złożony z poczucia jej uroku, z wrażeń, jakie uczyniła na nim jej twarz i postawa, ze wspomnień o niedzielnej rozmowie, z niechęci, litości, urazy, zawziętości, a wreszcie z niezadowolenia z siebie, które potęgowało jeszcze zawziętość względem niej. Jedno z tych uczuć brało naprzemian górę nad innymi i narzucało im swą barwę. Chwilami przypominał sobie wysoką postać Maryni, jej oczy, jej ciemne włosy, jej śliczne, lubo może za szerokie usta, wreszcie jej wyraz — i opanowywał go poryw sympatyj ku niej. Myślał, że jest ogromnie dziewicza, a zarazem, w ustach, w ramionach, w liniach całej postawy, ma coś kobiecego, co pociąga ku sobie z niepohamowaną siłą. Przypomniawszy jej głos łagodny, jej spokojne wejrzenie i jej bardzo widoczną dobroć. Wówczas, na myśl, jak był dla niej szorstki przed wyjazdem, na wspomnienie tonu, jakim do niej mówił, poczynał kląć siebie. „Jeśli ojciec jest stary komedyant, krętacz i głupiec (mówił sobie), i jeśli ona to wszystko czuje, to jest tem nieszczęśliwsza. A więc co? więc każdy człowiek z kawałkiem serca byłby to zrozumiał i zlitował się nad nią, nie zaś napadał na zapracowane biedne dziecko — ja to zrobiłem, ja!” Tu miał ochotę spoliczkować się, bo zarazem wyobrażał sobie, coby to było, jakie niezmiernie zbliżenie, jaka wyjątkowa tkliwość byłaby powstała między nimi, gdyby po całej kłótni z ojcem obszedł się z nią, jak był powinien, to jest z największą delikatnością. Byłaby mu oto podała obie ręce na pożegnanie, a onby je ucałował — i rozjechałby się, jak dwoje ludzi sobie blizkich. „Niechby wreszcie dyabli wzięli pieniądze!” — powtarzał w duchu — „a teraz niech wezmą i mnie!” I czuł, że porobił rzeczy, które się już nie dadzą naprawić, to zaś poczucie odbierało mu resztę równowagi i popychało tem bardziej po tej drodze, której błędność uznawał. I znów zaczynał monologować mniej więcej w taki sposób: „Skoro wszystko stracone, niechże się wszystko spali. Sprzedam sumę byle żydowi — niech ich straduje, niech wylecą na bruk, niech stary szuka urzędu, a ona niech idzie na guwernantkę, albo za Gątowskiego...” Tu nagle poczuł, że zgodzi się raczej na wszystko, niż na tę ostatnią myśl. — Gątowskiemu nadkręciłby karku! Niech ją kto chce bierze, byle nie taki bałwan, taki niedźwiadek, taki ryfa. I piękne epitety zaczęły się sypać na nieszczęśliwego Gątowskiego; na niego przeszła cała złość, jakby on rzeczywiście był sprawcą wszystkiego, co się stało. Przyjechawszy w tak ludożerczym usposobieniu do Czerniowa, byłby może Połaniecki, jak drugi Ugolin, wpił się od razu Gątowskie-

mu zębami „tam, kędy czaszka do barków przypada”, gdyby był go na stacyi spostrzegł. Na szczęście, zamiast „czaszki” Gątowskiego, spostrzegł tylko kilku urzędników, kilku chłopów, kilku żydów i pogiębioną a inteligentną twarz radcy Jamisza, który go poznał, a gdy pociąg niebawem nadszedł, zaprosił go, dzięki dobrym stosunkom z zawiadowcą, do osobnego przedziału.

— Znałem jeszcze pańskiego ojca — rzekł — i znałem go za jego świetnych czasów. Wziąłem z jego sąsiedztwa żonę. Pamiętam, miał wtedy Zwichów, Brzęczącą, Mocarze i Rozwady w Lubelskiem. Piękna fortuna! Dziadek pański był jednym z większych właścicieli w tamtych stronach — ale to musiało teraz przejść w inne ręce.

— Nie teraz, ale już dawniej. Ojciec mój stracił za życia cały majątek. Był chory, mieszkał w Nizy, nie pilnował i tak to poszło. Żeby nie sukcesya, którą po jego śmierci dostała matka, byłoby ciężko.

— Ale pan za to dajesz sobie dobrze rady. Ja znam wasz dom. Miałem z wami przez Abdulskiego interes o chmiel.

— To Abdulski dla pana pośredniczył?

— Tak, i muszę przyznać, że byłem ze stosunku zupełnie kontent. Wyszliście ze mną przyzwoicie — i widzę, że porządnie prowadzicie interes.

— Inaczej nikt się nie ostoi. Mój wspólnik, Bigiel, jest uczciwy człowiek, a i ja nie jestem panem Pławickim — odpowiedział Połaniecki.

— Jakże to? — spytał zaciekawiony Jamisz.

Połaniecki, z resztkami niewygasłego jeszcze rozdrażnienia, opowiedział mu całą sprawę.

— Hm! — odrzekł Jamisz — skoro pan mówisz o nim tak bez ogródek, to pozwólże, abym i ja tak mówił, choć pański krewny.

— On sam żaden krewny; pierwsza jego żona była krewną i przyjaciółką mojej matki — oto wszystko.

— Ja go znam od dziecka. To jest człowiek więcej popsuty, niż zły. Był jedynakiem, więc naprzód rozpieścili go rodzice, a potem czyniły to samo obie żony. Obie były kobiety ciche i łagodne, dla obojwóch był bożyszczem. Przez całe lata rzeczy układały się w ten sposób, że on był tem słońcem, koło którego kręcały się inne planety, i nareszcie doszedł do przekonania, że jemu się od świata należy wszystko, a ludziom od niego nic. W takich warunkach, gdy się zło i dobro własną tylko wygodą mierzy, nic łatwiejszego, jak zatracić zmysł moralny. Pławicki to jest mieszanina uroczyści i folgi: uroczyści, bo sam zawsze na chwałę swoją celebrował, a folgi, bo sobie na wszystko pozwalał. Zmieniło się to niemal w jego naturę. Potem przyszły też trudne okoliczności, którym potrafi się oprzeć tylko człowiek z charakterem, a on go nigdy nie miał. Zaczął się wykręcać i w końcu do tego przywykł. Nas, panie, ziemia uszlachetnia, ale też i ziemia psuje. Mnie jeden mój znajomy bankrut mówił: „To nie ja kręcę, to mój majątek kręci, a ja za niego gadam”. — I to trochę tak jest. Więcej w naszym zawodzie, niż w każdym innym...

— Wyobraź pan sobie — odpowiedział Połaniecki — że ja, który pochodzę z roli, nie mam żadnego pociągu do rolnictwa. Wiem, że ono będzie zawsze, bo być musi, ale w tej formie, jak jest dziś, nie widzę dla niego przyszłości. Wy wszyscy musicie zginąć.

— Ja też nie patrzę różowo. Pomijam, że ogólny stan rolnictwa jest w całej Europie zły, bo to rzeczy znane, ale pomyśl pan tylko: ma szlachcic czterech synów, więc każdy z nich odziedziczy tylko czwartą część ojcowskiego majątku. Tymczasem cóż się dzieje? Każdy, przywykły do ojcowskiej normy życia, chce żyć jak ojciec — ot już koniec łatwy do przewidzenia. Po drugie: ma szlachcic czterech synów — to zdolniejsi obierają rozmaite zawody, — na roli, o zakład, zostaje najmniej zdolny. Po trzecie: to, co całe szeregi pokoleń zapracowały, jedna lekkomyślna głowa zniszczy. Po czwarte: my jesteśmy niezli rolnicy, a zli administratorowie, dobra zaś administracya znaczy więcej od dobrej uprawy roli: więc cóż za wniosek? ziemia zostanie, ale my, którzy ją dziś przedstawiamy, pod formą większej własności, prawdopodobnie musimy z niej wyjść. Tylko, widzisz pan, może z czasem wrócimy.

— Jakto?

— Bo naprzód, to, co pan mówisz, że pana do ziemi nic nie ciągnie, to jest złudzenie. Ziemia, panie, ciągnie i ciągnie z taką siłą, że każdy, przyszedłszy do pewnych lat, do

pewnej zamożności, nie może się oprzeć chęci posiadania choćby kawałka ziemi. Przyjdzie to i na pana. I to jest naturalne. Ostatecznie, wszelkie bogactwo może być uważane za fikcję, prócz ziemi. Wszystko wychodzi z niej i wszystko istnieje dla niej. Jak bilet bankowy jest kwitkiem na monetę metalową, leżącą w banku państwa, tak i przemysł, i handel, i co pan chcesz, jest ostatecznie zmienioną na inny kształt ziemią... a co do was zwłaszcza, którzyście z niej wyszli, musicie do niej wrócić.

— Ja przynajmniej nie myślę.

— Co pan wiesz? Dziś robisz majątek, ale jak go zrobisz? I w tem jest przyszłość. Połanieccy byli rolnikami — teraz jeden obrał inny zawód. Większość dzieci rolników musi także obrać inny zawód, choćby dlatego, że inaczej nie może. Część ich zmarnieje, część dorobi się i wróci — a wróci nietylko z kapitałem, ale z nową energią i z tą znajomością ścisłej administracji, jaką specjalne zawody wyrabiają — wróci przez ten pociąg, który ziemia wywiera, i wreszcie z poczucia obowiązków, których panu tłumaczyć nie potrzebują.

— To, co pan mówisz, ma tę dobrą stronę, że wówczas taki mój wujaszek-nie-wujaszek, Pławicki, będzie należał do typów zaginionych.

Pan Jamisz zamyślił się przez chwilę, poczem rzekł:

— Nić się ciągnie i ciągnie, póki się nie urwie, ale w końcu musi się urwać. Oni się nie utrzymają, mojem zdaniem, przy Krzemieniu, choćby rozparcelowali Magierówkę. Ot, kogo mi żal, to Maryni. To nadzwyczaj pocziwe dziecko. Bo pan nie wiesz, że stary chciał przed dwoma laty sprzedać Krzemień i wynieść się do miasta, i że nie stało się to w części na prośby Maryni. Czy to ze względu na pamięć matki, która tam leży, czy dlatego, że tyle się mówi i pisze o obowiązku trzymania się przy ziemi — dość, że dziewczyna robiła co mogła, by do sprzedaży nie dopuścić. Wyobrażało sobie biedactwo, że byle się wziąć ze wszystkich sił do roboty, można wszystkiego dokazać. I prawdziwie, że wyrzekła się całego świata dla tego Krzemienia. Dla niej to będzie cios, jak się nić wreszcie urwie, a musi się urwać... Szkoda dziewczyny lat.

— Pan jesteś dobry człowiek, panie radco! — zawołał Połaniecki ze zwykłą sobie żywością.

Stary człowiek uśmiechnął się.

— Ja lubię to dziecko, bo to wreszcie i moja pupilka w zawodzie gospodarskim; pewnie, że będzie smutno, jak nam jej zbraknie.

Połaniecki zaczął przygryzać czas jakiś wąsy, wreszcie rzekł:

— Niech wyjdzie za mąż za kogo w okolicy, to i zostanie.

— Wyjdzie, wyjdzie... Niby to pannie bez majątku łatwo. Kto u nas jest? Gątowski. Tenby ją wziął. Dobry człowiek i wcale nie tak ograniczony, jak mówią. Ale ona nie ma dla niego uczucia, a bez uczucia nie wyjdzie. Jałbrzyków mały mająteczek. Staremu się przytem zdaje, że Gątowski są czemś mniej od Pławickich — i Gątowski także już w to uwierzył. Jak to pan wie, u nas ten uchodzi za familianta, komu się podoba za takiego uważać. Bo ludzie niby się śmieją, a w końcu przywykają. Przytem jeden podnosi nosa dlatego, że się dorabia majątku, a drugi dlatego, że go traci — i nic innego mu nie pozostaje. Ale mniejsza z tem. To jedno wiem, że kto Marynię weźmie, perlę weźmie.

Połaniecki miał w tej chwili w duszy to samo i przekonanie i poczucie. Pogrążywszy się więc w milczeniu, zaczął na nowo rozmyślać o Maryni, a raczej przypominać ją sobie i wyobrazać. Nagle wydało mu się nawet, że będzie bez niej tęsknił; ale przypomniał sobie także, że podobne rzeczy nieraz już mu się wydawały, a potem czas rozwiewał te złudzenia. Jednakże myślał o niej jeszcze nawet i wówczas, gdy zbliżali się już do miasta, i wysiadając w Warszawie, mruczał przez zęby:

— Jak się to głupio stało! jak głupio!...

IV

Po powrocie do Warszawy, pierwszy wieczór spędził Połaniecki w domu swego wspólnika Bigiela, z którym, jako z dawnym kolegą szkolnym, łączyła go i osobista zażyłość. Bigiel, z pochodzenia Czech, ale z rodziny, osiadłej w kraju od kilku pokoleń, prowadził już przed połączeniem się z Połanieckim niewielki dom bankowo-handlowy i zyskał sobie opinię kupca, niezbyt wprawdzie przedsiębiorczego, ale uczciwego i nadzwyczaj pewnego

w stosunkach. Gdy Połaniecki jeszcze przed ostatecznym powrotem z zagranicy wszedł w spółkę, dom rozszerzył znacznie swą działalność i stał się poważną firmą. Wspólnicy dopełniali się doskonale. Połaniecki, nierównie zdolniejszy i bardziej rzutki, miał więcej pomysłów i ogarniał łatwiej całość każdej sprawy, natomiast Bigiel pilnował lepiej jej wykonania. Gdy chodziło o to, by okazać energię, lub przycisnąć kogoś do muru, tam Połaniecki był jedyny; natomiast gdy szło o rozmyśl, o obejrzenie interesu z dziesięciu stron i o cierpliwość, tam zaczynała się rola Bigiela. Usposobieniem byli sobie wręcz przeciwni i może dlatego mieli dla się wzajemnie szczerą przyjaźń. Przewaga w stosunku była po stronie Połanieckiego. Bigiel wierzył w jego niepospolite zdolności, a kilka pomysłów, istotnie bardzo dla domu szczęśliwych, jakie dał Połaniecki od czasu wejścia w spółkę, utwierdziły tę wiarę. Marzeniem obydwoh było dojść z czasem do takiego kapitału, by móc założyć fabrykę perkalów, którą kierowałby Połaniecki, administrował Bigiel. Ale, jakkolwiek obaj mogli się już liczyć do ludzi niemal zamożnych, była to odległa przyszłość. Mniej cierpliwy, a bardzo na wszystkie strony spokrewniony Połaniecki, próbował wprawdzie zaraz po przyjeździe do kraju poruszyć w tym celu miejscowe, tak zwane „swojskie” kapitały. Ale spotkała go ogólna nieufność. Zauważył przytem rzecz dziwną. Oto jego nazwisko otwierało mu wszystkie drzwi, ale raczej szkodziło, niż pomagało mu w interesie. Zdawać się mogło, że tym ludziom, do których się zgłaszał, nie mieściło się w głowie, jakim sposobem jeden z nich, zatem człowiek z dobrego domu i z nazwiskiem kończącym się na *ski*, może dobrze prowadzić jakikolwiek interes. Połanieckiego złościło to z początku tak, że roztropny Bigiel musiał gasić jego wybryki za pomocą przedstawień, iż podobna nieufność jest istotnie opartą na latach smutnych doświadczeń. I, znając dobrze historię rozmaitych przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych, cytował mu cały szereg nazwisk, poczynawszy od pana podskarbiego Tyzenhauza, a skończywszy na rozmaitych bankach włościańskich i Tellusach, które, prócz nazwy, nie miały w sobie nic ziemskiego, czyli, inaczej mówiąc, pozbawione były wszelkich realnych podstaw. — „Czas jeszcze nie przyszedł — mówił Bigiel — ale czas przyjdzie, a raczej już nadchodzi. Do tej pory było tylko amatorstwo i dyletantyzm, teraz dopiero zjawiają się tu i owdzie ludzie fachowi.”

Połaniecki, który mimo swego temperamentu, miał zmysł spostrzegawczy dość rozwinięty, poczynił przytem rozmaite dziwne odkrycia w tych sferach, do których jego stosunki otwierały mu przystęp. Oto spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił. Podnoszono to nawet z naciskiem, ale było w tem uznaniu jeszcze jakby pewne pobłażanie. Każdy dawał zanadto do poznania, że się na to zgadza, że uważa to za potrzebne, nikt zaś nie zachował się tak, jakby fakt, iż Połaniecki czemś się zajmuje, uważał za rzecz zupełnie zwykłą i naturalną. „Oni mnie wszyscy *protegują*!” — mówił Połaniecki — i to była prawda. Doszedł też do przekonania, że gdyby naprzykład chciał sięgnąć po rękę którejś z panien z tak zwanego „towarzystwa” — to jego dom bankowo-handlowy i nazwa „aferzysty” byłyby mu mimo owego uznania, raczej przeszkodą niż pomocą. Prędzejby mu oddano każdą z tych dziewczyn, gdyby, zamiast zyskownego przedsiębiorstwa, miał jaki obdłużony majątek, lub gdyby, żyjąc jak wielki pan, zjadał po prostu procenta od kapitału, albo nawet i sam kapitał.

Uczyniwszy całe tuziny tego rodzaju spostrzeżeń, Połaniecki zaczął zaniedbywać stosunki, a w końcu zaniechał ich zupełnie, poprzestając na domu Bigielów, pani Emilii Chwastowskiej i tych znajomościach męskich, jakie były konieczne przy jego życiu kawalerskiem. Jadał u François z Bukackim, ze starym Waskowskim i z adwokatem Maszko, z którymi ustawicznie rozprawiał i spierał się o rozmaite kwestye; bywał często w teatrze i na wszelkiego rodzaju zabawach publicznych, zresztą prowadził życie dość odosobnione, i dlatego, mimo wielkiej i wyrozumowanej ochoty, jak również mimo dostatecznego majątku, dotychczas się nie ożenił.

Zajechawszy, po powrocie z Krzemienia, niemal wprost do Bigielów, wylał naprzód całą żołąć na „wujaszka” Pławickiego, sądząc, że w gospodarzu znajdzie powolnego i współczującego słuchacza; ale Bigiel mało się wzruszył opowiadaniem i rzekł:

— Ja takie typy znam. Zresztą, prawdę powiedziawszy, skąd Pławicki weźmie pieniędzy, skoro ich nie ma? Z długami hipotecznymi trzeba mieć świętą cierpliwość. Majątek ziemski łatwo łyka pieniądze, ale oddaje je z największem wysileniem.

— Słuchaj, Bigiel — odrzekł Połaniecki — od czasu, jak tyjesz i sypiasz po obiedzie, z tobą trzeba mieć także świętą cierpliwość.

— Bo tak szczerze — mówił niewzruszony Bigiel — czy ty koniecznie potrzebujesz tych pieniędzy? Czy nie masz do rozporządzenia sumy, jaką każdy z nas obowiązany jest wnieść.

— Ciekawym, co tobie, albo Pławickiemu do tego? Mam u niego, muszę odebrać i skończyło się.

Wejście pani Bigielowej z całym stadkiem dzieci położyło tamę kłótni. Była to młoda jeszcze kobieta, ciemno-włosa, niebiesko-oka, bardzo dobra i bardzo zajęta dziećmi, których było sześcioro i które Połaniecki nadzwyczaj lubił. Była też za to szczerą jego przyjaciółką, jak również pani Emilii Chwastowskiej. Obie te panie, znając i kochając Marynię Pławicką, postanowiły ożenić z nią Połanieckiego, obie namawiały go bardzo silnie, by osobiście jechał po pieniądze do Krzemienia; teraz więc pani Bigielowa płonęła ciekawością, jakie te odwiedziny uczyniły na nim wrażenie.

Ale z powodu dzieci nie można się było dogadać. Najmłodszy z tych, które już chodziły na własnych nogach, Jaś, objawszy rękoma łydkę Połanieckiego, począł za nią ciągnąć, wołając: „Pan, pan!” — co w jego języku brzmiało: „Pam! pam!” — dwie dziewczynki, Ewka i Joasia, wgramoliły się bez ceremonii na kolana młodego człowieka, a Edzio i Józio wytoczyli przed nim sprawę. Dzieci czytały *Zdobycie Meksyku* i bawiły się w „zdobycie Meksyku,” więc Edzio, podniósłszy brwi i przekręciwszy dłonie do góry, mówił z zapalem:

— Dobrze! ja będę Kortezem, a Józio rycerzem na koniu, ale jak Ewka, ani Joasia nie chcą być Montezumą, to jakże? Przecież tak nie można się bawić, prawda? Ktoś musi być Montezumą, bo inaczej któż będzie Meksykanami dowodził?

— A gdzie są Meksykanie? — spytał Połaniecki.

— No — rzekł Józio — Meksykanami są przecie krzesła i Hiszpanami także.

— To czekajcież, ja będę Montezumą — a teraz zdobywajcież Meksyk!

Tu wszczął się rwetes nieopisany. Żywość Połanieckiego pozwalała mu zmieniać się chwilami w dziecko. Stawił on tak zacięty opór Korteżowi, że Korteż począł mu odmawiać prawa do takiego oporu, twierdząc, nie bez słuszności historycznej, że skoro Montezuma został pobity, to powinien się dać pobić. Na to Montezuma odpowiadał, że go to mało obchodzi i walczył dalej. W ten sposób zabawa przedłużała się coraz bardziej.

Lecz pani Bigielowa, nie mogąc doczekać końca, spytała wreszcie męża:

— Jakże wizyta w Krzemieniu?

— Zrobił to, co teraz robi — odpowiedział z flegmą Bigiel — przewracał wszystkie krzesła i wyjechał.

— Mówił ci co?

— O pannę nie miałem czasu go zapytać, ale z Pławickim rozstał się, jak nie można gorzej. Chce sprzedać swój dług na Krzemieniu, co oczywiście pociągnie za sobą zupełne zerwanie stosunków.

— Szkoda — odrzekła pani Bigielowa.

I przy herbacie, gdy dzieci spać poszły, poczęła wprost wypytywać Połanieckiego o Marynię.

— Nie wiem — odpowiedział Połaniecki — może jest ładna, może nie! Nie zastanawiałem się nad tem.

— To nieprawda — odpowiedziała pani Bigielowa.

— A więc nieprawda! A więc jest miła, ładna i co pani chce. Można się w niej zakochać, można się z nią ożenić, ale noga moja więcej u nich nie postanie. Wiem doskonale, dlaczego mnie tam panie wysyłały, tylko lepiej mnie było ostrzedz, kim jest jej ojciec, bo ona musi być do niego z usposobienia podobna, a jeśli tak jest, to dziękuję uniżenie.

— Niech się pan zastanowi, co pan mówi: „jest ładna, jest miła, można się z nią ożenić” — a potem: „musi być do ojca podobna!” — Przecie to się nie trzyma!

— Być może, wszystko mi jedno! Nie mam szczęścia i dość na tem!

— A ja powiadam panu dwie rzeczy: po pierwsze, że pan powrócił pod silnym wrażeniem Maryni, a po drugie, że to jest jedna z najlepszych panien, jakie w życiu widziałam i że szczęśliwy będzie, kto ją weźmie.

— Czemuż jej dotąd nikt nie wziął?

— Bo ona ma dwadzieścia jeden lat i niedawno w świat weszła. Niech pan zresztą nie myśli, żeby nie miała już starających się.

— Niechże ją bierze kto inny.

Ale Połaniecki powiedział to nieszczerze, myśl bowiem, że ją może wziąć kto inny, była mu niezmiernie przykra. Czuł też w duszy wdzięczność dla pani Bigielowej za jej pochwały dla Maryni.

— Niech tam! — rzekł — ale pani jest dobrą przyjaciółką.

— Nie tylko Maryni, ale i pańską, i pańską. Proszę tylko o szczerą, ale zupełnie szczerą odpowiedź: jest pan pod wrażeniem, czy nie jest?

— Ja? pod wrażeniem? Szczerze mam powiedzieć? — ogromnie!

— A widzi pan! — odrzekła pani Bigielowa, której twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

— Cóż widzę? Nic nie widzę! Podobała mi się ogromnie — prawda! Pani nie ma pojęcia, jakie to sympatyczne i pociągające stworzenie. I dobre musi być! Ale cóż? Przecie ja drugi raz do Krzemienia nie mogę jechać. Wyjechałem taki zły, mówiłem nietylko Pławickiemu, ale i jej, takie przykre rzeczy, że to niepodobna.

— Bardzo pan nabroił?

— Raczej zanadto, niż za mało.

— To można listem ułagodzić.

— Jabym miał pisać do Pławickiego i przeproszać? Za nic w świecie! Przecie on mnie zresztą przeklął.

— Jakto, przeklął?

— Jako patriarchy rodu. W swoim imieniu i wszystkich przodków. Mam taki do niego wstręt, że nie umiałbym dwóch słów nakreślić. To jest stary, patetyczny komedyant. Ją prędzejbym przeprosił, ale na co się to zdało? Ona musi z ojcem trzymać. To i ja rozumiem. W najlepszym razie odpisze mi, że jej bardzo przyjemnie, i na tem stosunek się urwie.

— Jak Emilka wróci z Reichenhallu, to pod pierwszym lepszym pozorem ściągniemy tu Marynię — i wtedy, to już będzie pańska rzecz, by się te nieporozumienia zatarły.

— Zapóźno, zapóźno! — powtórzył Połaniecki. — Dałem sobie słowo, że tę sumę sprzedam — i sprzedam.

— To może właśnie będzie lepiej.

— Nie, to będzie gorzej! — wtrącił pan Bigiel. — Ja go namawiam, by sumy nie sprzedawał. Mam przytem nadzieję, że kupca na nią nie znajdzie.

— A tymczasem Emilka ukończy kurację Litki.

Tu pani Bigielowa zwróciła się do Połanieckiego:

— Zobacz pan, jak teraz inne panny będą się panu wydawały po Maryni. Ja nie jestem z nią tak blisko, jak Emilka, ale postaram się znaleźć pierwszy lepszy pozór, żeby do niej napisać i dowiedzieć się, co też ona o panu myśli.

Na tem skończyła się rozmowa. Połaniecki, wracając do domu, spostrzegł, że jednak ta Marynia zajęła już wcale niepoślednie miejsce w jego duszy. Prawdę mówiąc, nie mógł prawie o czem innym myśleć. Miał jednak współcześnie poczucie, że ten stosunek zaczął się w warunkach niepomyślnych i że lepiej byłoby wybić sobie z głowy tę dziewczynę, póki jest jeszcze czas po temu. Jako człowiek duchowo raczej tęgi, niż słaby i nie przywykły oddawać się marzeniom dlatego tylko, że są miłe, postanowił trzeźwo ocenić położenie i rozważyć je ze wszystkich stron. Panna posiadała wprawdzie wszystkie niemal te warunki, których wymagał od przyszłej swej żony, i nadto przypadła mu osobiście do serca. Ale posiadała przytem i ojca, którego Połaniecki już nie znosił; a oprócz ojca, prawdziwe brzemię pod postacią Krzemienia z przyległościami. „Z tą uroczystą starą małpą nie żyję się nigdy i nie mogę się żyć — myślał Połaniecki — albowiem z nim dwojaki tylko stosunek jest możliwy: trzeba albo mu się poddać, do czego bezwarunkowo nie jestem zdolny, albo nim potrząsać codziennie, tak, jak potrząsnąłem w Krzemieniu. W pierwszym razie, ja, człowiek niezależny, poszedłbym w nieznośną niewolę starego egoisty, w drugim — rola mojej żony byłaby trudna, przykra i nasze pożycie mogłoby się popsuć”.

— Spodziewam się — mówił sobie dalej — że to jest trzeźwe i logiczne rozumowanie. Byłoby ono błędne tylko wówczas, gdybym ją już kochał. Sądzę jednak, że tak nie jest. Jestem nią zajęty, nie zakochany w niej. To są dwie rzeczy różne. Ergo: trzeba przestać o niej myśleć i niech ją bierze kto inny!

Na tę ostatnią myśl znów zapiekło go żywe uczucie przykrości, ale pomyślał: „Jestem nią tak zajęty, iż to jest rzecz naturalna. Ostatecznie, zgryzłem niejedną przykrość w życiu, zgryzę i tę. Przypuszczam także, że będzie się ona z każdym dniem zmniejszała”.

Ale wkrótce spostrzegł, że, prócz tej przykrości, zostaje w nim jeszcze uczucie żalu, z powodu zniknięcia tych widoków, które otwierały się przed nim. Zdawało mu się teraz, że podniesiono przed nim jakąś zasłonę przyszłości i pokazano, co by być mogło, a potem spuszczone ją nagle i życie jego wracało na dawną drogę, nie prowadzącą ostatecznie do niczego, a raczej prowadzącą do pustkowi. Połaniecki czuł, bądźco bądź, że stary filozof Waskowski ma słuszość, i że robienie pieniędzy może być tylko środkiem. Poza tem zagadka życiowa winna być inaczej rozwiązana. Musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które, spełnione w sposób cny i prosty, prowadzi do uspokojenia duchowego. To uspokojenie jest duszą życia — i bez niego nie ma ono, krótko mówiąc, sensu. Połaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, to jest nosił i on w sobie część tego wielkiego niepokoju, który w obecnej schyłkowej epoce jest zmorą ludzką. I w nim wykruszyły się te podstawy, na których dotąd wspierało się życie. I on zwątpił, czy potykający się o wszystkie przydrożne kamienie racjonalizm zdoła zastąpić wiarę, a wiary dotychczas nie odzyskał. Od współczesnych „dekadentów” różnił się jednak tem, że się nie rozluźnił w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie, i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał, owszem, mniej więcej uświadomione poczucie, że życie, jakie ono jest, tajemnicze, czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregiem prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite: „dlaczego?” to jednak należy coś zrobić — sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią. Może być wprawdzie niedorzeczną, ale przynajmniej człowiekiem, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż pozostaje? Założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żeniliby się i nie wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumowo męskie instynkta Połanieckiego, wskazywała mu małżeństwo jako jeden z głównych celów życia. Jego wola była od dawna napięta i zwrócona ku temu celowi. Przez chwilę panna Marynia wydała mu się być ową przystanią, „do której okręt w noc pochmurną zmierza”. — Teraz więc, gdy sobie wyrozumował, że światła tej przystani nie dla niego były zapalone, że trzeba płynąć dalej, zacząć nanowo żeglugę po nieznanym morzach, ogarnęło go uczucie i zmęczenia i żalu. Ale własne rozumowania wydały mu się logiczne i wrócił do domu z ustalonym prawie zupełnie przekonaniem, że „jeszcze nie ta” i „jeszcze nie tym razem”.

Nazajutrz, poszedłszy na obiad, znalazł w restauracji Waskowskiego i Bukackiego. Po chwili nadszedł też i Maszko, ze swoją twarzą aroganta, długimi faworytami, monoklem w oku, wypiekami na twarzy i białą kamizelką. Po powitaniu, wszyscy zaczęli wypytywać się Połanieckiego o wyprawę do Pławickiego, w części bowiem wiedzieli, dlaczego panie nastawały na jego osobisty wyjazd, a prócz tego, znali pannę Pławicką od pani Emilii Chwastowskiej.

Po wysłuchaniu opowiadania, przezroczyły, jak sewrska porcelana, Bukacki, rzekł z właściwą sobie flegmą:

— Więc wojna? To jest panna, która działa na nerwy i teraz pora byłaby o nią uderzyć. Kobieta na kamienistej drodze łatwiej przyjmuje ofiarowane sobie ramię, niż na równym gościńcu.

— To jej podaj — rzekł z pewną niecierpliwością Połaniecki.

— Widzisz, mój kochany, są trzy przeszkody. Naprzód, jeszcze bardziej działa mi na nerwy pani Emilia; powtóre, miewam co rano ból w szyi i tylnej części głowy, co zapowiada chorobę mózgową; a potrzecie, jestem goły.

— Ty goły?

— Przynajmniej teraz: kupiłem kilkanaście Falków, wszystko *avant la lettre*, i wypłucałem się na jaki miesiąc — a jeśli dostanę z Włoch jednego Masaccia, o którego się układam w tej chwili, to się zrujnuję na jaki rok.

Waskowski, który z rysów, a raczej z wypieków na twarzy, podobny był nieco do Maszki, lubo daleko starszy i lubo twarz miał pełną słodyczy, utkwiał swoje niebieskie oczy w Bukackiego i rzekł:

— I to choroba wieku. Kolekcjonerstwo i kolekcjonerstwo na wszystkie strony!

— Oho! będzie rozprawa — zauważył Maszko.

— Nie mamy nic lepszego do roboty — odpowiedział Połaniecki.

A Bukacki podniósł rękawicę.

— Co pan masz przeciw kolekcjonerstwu?

— Nic — odpowiedział Waskowski. — To jest taki starszokowaty, godny naszych czasów, sposób kochania sztuki. Czy nie myślicie, że jest w tem coś zgrzybiałego? Po-
dług mnie, to jest bardzo charakterystyczne. Niegdyś nosiło się w sobie zapal dla wielkiej sztuki, kochało się ją tam, gdzie była: w muzeach, w kościołach; dziś sprowadza się ją sobie do prywatnego gabinetu. Dawniej kończyło się na kolekcjonowaniu, dziś się od niego zaczyna — i zaczyna się od dziwactw. Nie mówię do Bukackiego, ale dziś naj-
młodszy chłopak, byle miał trochę pieniędzy, poczyna kolekcjonować — i co? nieraz nie przedmioty sztuki; ale jej dziwactwa, albo przynajmniej drobiazgi. Widzicie, moi drodzy, mnie się zdawało zawsze, że miłość i amatorstwo, to są dwie rzeczy różne, i przypusz-
czam naprzykład, że wielki amator kobiet nie jest człowiekiem zdolnym do podniosłego uczucia.

— To być może. W tem coś jest! — rzekł Połaniecki.

— Co mnie to może obchodzić — rzekł Maszko, rozczesując palcami swoje angielskie bokobrody — w tem tkwi przedewszystkiem zrządzenie starego pedagoga na nowsze czasy.

— Pedagog? — powtórzył Waskowski. — Naprzód, od czasu, jak mi spadł niespo-
dzianie kawał chleba, wyrzekłem się rzezi niewiniątek i roli Heroda; powtóre, mylisz się pan, że ja zrządzę. Ja niemal z radością widzę i notuję coraz nowe dowody, że jesteśmy przy końcu epoki, i że wkrótce przyjdzie nowa.

— Jesteśmy na pełnym morzu i nie prędko zawiniemy do brzegu — mruknął Maszko.

— Daj spokój — odpowiedział Połaniecki.

Lecz niezrażony Waskowski ciągnął dalej:

— Amatorstwo prowadzi do wyrafinowania, a w wyrafinowaniu giną wielkie ide-
ały i ustępują chęci używania. Wszystko to nic innego, jak pogaństwo. Nikt sobie nie zdaje sprawy, do jakiegośmy stopnia spoganieli, ale jest co? jest duch aryjski, który nie kosztuje, nie zastyga nigdy, duch, mający w sobie tchnienie boże, więc moc twórczą — i temu duchowi już ciasno w pogańskich więzach i reakcja już się poczyna, i nastąpi odrodzenie się tak na tem polu, jak i na innych w Chrystusie... To niewątpliwa rzecz.

I Waskowski, który miał oczy, jak dziecko, to jest odbijające tylko zewnętrznie przed-
mioty, a utkwione wiecznie jakby w nieskończoność, utkwił je teraz w oknach, przez które widać było szare chmury, między którymi przedzierały się gdzieniegdzie promienie słońca.

Bukacki zaś rzekł:

— Szkoda, że mnie głowa pobolewa, bo to będzie ciekawa epoka.

Lecz Maszko, który Waskowskiego nazywał „piłą” i nudził się jego rozprawami, wsz-
czynanemi rzeczywiście z lada powodu, albo i bez powodu, wydobył z bocznej kieszeni surduta cygaro, przygryzł koniec i, zwróciwszy się do Połanieckiego, rzekł:

— Słuchaj, Stasiu, czybyś ty rzeczywiście sprzedał tę sumę, którą masz na Krzemie-
niu?

— Stanowczo. Dlaczego pytasz?

— Bo jabył może *reflektował*.

— Ty?

— Tak. Wiesz, że często *reflektuję* tego rodzaju interesa. Możemy o tem pogadać. Dziś napewno nic ci nie mogę powiedzieć, ale jutro każę sobie przysłać wyciąg hipoteczny Krzemienia i powiem ci, czy rzecz jest możliwa. Może po obiedzie przyjdiesz do mnie na kawę i może coś ułożymy.

— Dobrze. Jeśli co ma być, wołałbym, żeby było prędko, bo jak się tylko załatwię z Bigielem, chciałbym wyjechać.

— Dokąd się wybierasz? — spytał Bukacki.

— Nie wiem. W mieście zanadto już gorąco. Gdzieś do drzew i wody.

— Także stary przesąd — rzekł Bukacki — w mieście zawsze po jednej stronie ulicy jest cień, czego niema na wsi. Chodzę sobie cienistą stroną i jest mi dobrze, dlatego nigdy w lato z miasta nie wyjeżdżam.

— A profesor nie wybierzesz się gdzie? — spytał Waskowskiego Połaniecki.
— Owszem. Pani Emilia namawia mnie do Reichenhall. Może się i wybiorę.
— A to jedźmy razem. Mnie wszystko jedno, gdzie pojedę. Lubię Salzburg, a przytem miło mi będzie zobaczyć panią Emilię i Litkę.

Bukacki wyciągnął swą przezroczytą rękę, wziął wykalaczkę z kieliszka i wykalając zęby, począł mówić swym zimnym i obojętnym głosem:

— Wre we mnie tak wściekła burza zazdrości, że i ja gotów jestem jechać z wami. Połaniecki, strzeż się, żebyś nie wybuchnął, jak dynamit.

Było coś tak zabawnie przeciwnego między słowami a tonem Bukackiego, że Połaniecki począł się śmiać, po chwili zaś odpowiedział:

— Do głowy mi nie przyszło, że można się zakochać w pani Emilii. Dziękuję ci za ideę!

— Biada wam obojgu! — odrzekł Bukacki, wykalając dalej zęby.

V

Nazajutrz, po wczesnym obiedzie u Bigielów, Połaniecki udał się o oznaczonej godzinie do Maszki. Czekano tam na niego widocznie, bo w gabinecie zastał wykwintną zastawę do czarnej kawy i kieliszki do likierów. Sam Maszko nie ukazał się jednak zaraz, gdyż, jak mówił służący, przyjmował jakieś panie. Jakoż przeze drzwi dochodził z salonu jego głos i słowa kobiece. Połaniecki począł się przypatrywać tymczasem przodkom Maszki, których kilka portretów wisiało na ścianach i o których autentyczności powątpiewali przyjaciele młodego adwokata. Zwłaszcza pewien zezowaty infułat dostarczał Bukackiemu przedmiotu do conceptów, ale Maszko nie zrażał się tem. Postanowił on narzucić, bądźcobądź, światu siebie, swoich przodków, swoją genialność do interesów, wiedząc, że w tem społeczeństwie, w którym żył, będą sobie ludzie z tego podrywali, ale nikt nie zdobędzie się na energię, by wystąpić czynnie przeciw tym pretensjom. Posiadając sam energię i zuchwałność bez granic, a oprócz tego rzeczywisty spryt do interesów, postanowił wybić się w górę za pomocą tych środków. Ludzie, którzy go nie lubili, nazywali go bezczelnym i był on nim istotnie, ale był z rozmysłu. Pochodząc z rodziny, wątpliwie nawet szlacheckiej, traktował ludzi, niewątpliwie pochodzących ze starych rodów, jakby był bez porównania lepiej od nich urodzonym, ludzi niewątpliwie bogatych, jakby był od nich bogatszym — i udawało mu się — i owa taktyka robiła swoje. Pilnował się tylko, by nie popaść w zupełną śmieszność, ale granice w takim postępowaniu wyznaczył sobie nadzwyczaj szerokie. Ostatecznie doszedł do tego, do czego chciał: był przyjmowany wszędzie i wyrobił sobie duży kredyt. Niektóre obroty przynosiły mu rzeczywiście spore zyski, ale pieniędzy nie zbierał. Uważał, że na to czas nie przyszedł i że musi jeszcze wkładać w przyszłość, chcąc, by mu się wypłaciła tak, jak od niej żądał. Pieniądzy wprawdzie nie trwonił i nie zbytkował, sądząc, że w ten sposób wchodzi w świat parweniusze — ale gdzie trzeba było, okazywał się, według własnego wyrażenia, „solidnie hojnym”. Uchodził też za człowieka nader gładkiego w interesach i nadewszystko słownego.

Słowność jego oparta była wprawdzie na kredycie, ale też i podtrzymywała go w wysokim stopniu, co znow pozwoliło mu robić obroty istotnie wielkie. Nie cofał się zaś przed byle czem. Posiadał, prócz odwagi i pewnego zapędu, wyłączającego długie rozmysły, jeszcze i wiarę w swe szczęście. Powodzenia wzmocniły tę wiarę. Nie wiedział wprawdzie nigdy sam, ile ma majątku, ale obracał dużymi pieniędzmi i ludzie mieli go za bogatego.

Ostatecznie sprzężną jego życia była raczej próżność, niż chciwość. Chciał wprawdzie być bogatym, ale przedewszystkiem pragnął uchodzić za wielkiego pana, na sposób angielski. Przystosował do tego nawet swoją powierzchowność i był niemal dumny ze swej brzydoty, wydawała mu się bowiem arystokratyczną. Jakoż tkwiło, jeśli nie coś niepospolitego, to przynajmniej coś nieswojskiego w jego wydętych ustach, szerokich nozdrzach i czerwonych wypiekach na twarzy. Była pewna siła i brutalność, jaką czasem mają Angliki, a ów wyraz potęgowała jeszcze ta okoliczność, że, nosząc binokle, musiał zadzierać głowę do góry, a przy rozczesywaniu jasnych bokobrodów palcami, zadzierał ją jeszcze bardziej.

Połaniecki nie znosił go z początku i aż nazbyt mało to ukrywał; później przyzwyczaił się do niego, zwłaszcza, że i Maszko obchodził się z nim inaczej, niż z innymi, może przez

uznanie, jakie po cichu dla niego żywił, może też dlatego, że chce nadto nabierać z góry człowieka tak czupurnego, było to narażać się na natychmiastową odprawę, w najlepszym razie, nieprzyjemną. W końcu, spotykając się często, młodzi ludzie przyzwyczaili się do swych wzajemnych słabości, i teraz naprzykład, gdy Maszko, odprawivszy swoje panie, pokazał się w gabinecie, zbył się na chwilę swej wielkości i, powitawszy Połanieckiego, począł mówić jak zwykły śmiertelnik, nie zaś jak wielki pan, ani jak Anglik.

— Z babami! z babami! *c'est toujours une mer à boire!* Umieściłem ich kapitalik i płacę im procenta najregularniej. Nie! Przychodzą przynajmniej raz na tydzień pytać, czy nie było jakiego trzęsienia ziemi.

— Cóż mi powiesz? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem napij się kawy.

I, podpalivszy alkohol pod maszynką, rzekł:

— Z tobą przynajmniej nie będzie marudztwa. Wykaz hipoteczny widziałem. Suma nie jest łatwą do odzyskania, ale za straconą jej uważać niepodobna. Oczywiście, odzyskanie pociąga za sobą koszta, podróże i tak dalej, dlatego nie mogę ci dać tyle, ile całość wynosi, ale dam ci jej dwie trzecie i wypłacę w trzech ratach w ciągu roku.

— Ponieważ powiedziałem sobie, że zbędę wszystko, choćby za mniej, więc przystaję. Kiedyż pierwsza rata będzie płatna?

— Za kwartał.

— To zostawię pełnomocnictwo na Bigiela na wypadek, gdybym musiał wyjechać.

— A teraz wybierzesz się do Reichenhallu?

— Prawdopodobnie.

— Ej, kto wie, czy ci naprawdę Bukacki nie poddał jakiej myśli?

— Każdy ma swoje. Ty naprzykład?... Dlaczego ty kupujesz tę sumę na Krzemieniu? Przecie to jest dla ciebie za mały interes.

— Między większymi robią się i mniejsze. Ale z tobą będę otwarty. Wiesz, że ani moja pozycja, ani mój kredyt nie należą do ostatnich, ale i jedno i drugie wzmocni się, gdy będę miał za sobą kawał ziemi, i to taki duży. Słyszałem sam od Pławickiego w swoim czasie, że byłby gotów Krzemień sprzedać. Otóż przypuszczam, że teraz jest jeszcze bardziej gotów, i że można będzie cały ten majątek nabyć tanio, na jakieś spłaty, za jakąś marną na razie gotówkę, z dodatkiem *rente viagère*. Zobaczą wreszcie! Później, oporządziwszy go trochę, jak konia na jarmark, można go będzie sprzedać, a tymczasem będę miał tytuł własności, o który, *entre nous*, mocno mi chodzi.

Połaniecki słuchał z pewnym przymusem słów Maszki, poczem rzekł:

— Muszę ci i ja powiedzieć otwarcie: kupno nie pójdzie łatwo. Panna Pławicka jest bardzo sprzedaż przeciwna. Ona, jak to kobiety! Kocha się w swoim Krzemieniu i uczyni wszystko, co będzie mogła, żeby został w jej i ojca rękach.

— Więc w najgorszym razie zostanę wierzycielem pana Pławickiego i nie myśl, żeby suma mi przepadła. Naprzód, mogę ją, za przykładem twoim, sprzedać, powtóre, jako adwokat, mam daleko większą łatwość wydobycia jej. Mogę sam wynaleźć sposoby wypłacenia i wskazać je Pławickiemu.

— Możesz także subhastować Krzemień i nabyć go na licytacji.

— Mógłbym, gdybym był kim innym, ale Maszce dyabło nie wypada. Nie! Znajdą się inne środki, na które może i panna Pławicka, którą zresztą bardzo cenię i wysoko stawiam, chętnie się zgodzi.

Połaniecki, który w tej chwili dopijał resztek kawy, postawił nagle filiżankę na stole.

— A! — rzekł — można i tak dojść do tytułu własności.

I znowu chwyciło go uczucie wielkiej przykrości i gniewu. W pierwszej chwili chciał wstać i powiedzieć Maszce: „Sumy nie sprzedam!” — i pójść. Pohamował się jednak, Maszko zaś rozczesał bokobrody i odpowiedział:

— A gdyby?... Mogę ci słowem zaręczyć, że w tej chwili jeszcze takiego planu nie mam, że przynajmniej nie postawiłem go sobie wyraźnie. Ale... a gdyby? Pannę Pławicką poznałem w swoim czasie w Warszawie którejś zimy i podobała mi się bardzo. Rodzina jest dobra, majątek zrujnowany, ale duży i możliwy do uratowania. Kto wie! To taka myśl, jak i każda inna. Jestem z tobą zupełnie lojalny, jak zresztą jestem zawsze. Pojechałeś niby po pieniądze, ale ja wiedziałem, dlaczego cię te panie tam wyprawiły. Wróciłeś jednak zły, jak dyabeł, więc przypuszczam, że nie masz zamiarów. Jeśli mi powiesz, że się myślę,

to ustąpię natychmiast — nie od planu, bo, jakem ci zaręczył, nie mam go jeszcze, ale nawet od myślenia o nim, jak o czemś możliwym. Daję ci na to słowo. Tylko znów w razie przeciwnym nie trzymajże się zasady: „ni dla mnie, ni dla kogo” i nie zagradzaj pannie drogi. A teraz słucham cię.

Połaniecki przypomniał sobie swoje wczorajsze rozumowania; pomyślał także, że Maszko ma słuszność, mówiąc, iż w takim razie nie powinien pannie zagradzać do niczego drogi, i po pewnym czasie odrzekł:

— Nie, Maszko, ja nie mam żadnych zamiarów względem panny Pławickiej. Możesz się z nią żenić, albo nie! Powiem ci jednak otwarcie: jest jedna rzecz, która mi się w tem nie podoba, chociaż dla mnie korzystna: oto, że ty kupujesz tę sumę. Wierzę, że nie masz jeszcze gotowego zamiaru, ale na wypadek, jeśli go poweźmiesz? To jakoś będzie dziwnie wyglądało... Na jakiś nacisk, na jakąś sieć... To zresztą twoja rzecz...

— Tak dalece moja, że gdyby mi to powiedział kto inny, nie ty, tobym mu pierwszy to przypomniał. Mogę ci jednak ręczyć, że gdybym powziął taki zamiar, o czem wątpię, to nie zażądałbym ręki panny Pławickiej, jako procentu od mojej sumy. Jak skoro mogę sobie sumiennie powiedzieć, że kupiłbym sumę w każdym razie, to ją tem samem i mam prawo kupić. Przedewszystkiem, jak dziś rzeczy stoją, chcę kupić Krzemień, bo mi to potrzebne — więc wolno mi użyć wszelkich godziwych środków, które mnie do celu prowadzą.

— Więc dobrze. Sprzedaję. Każ wygotować kontrakt i przyslij mi go, lub przyjdź z nim sam.

— Kontrakt kazałem wygotować memu dependentowi, chodzi tylko o podpisy.

Jakoż w kwadrans później kontrakt został podpisany. Tego dnia Połaniecki, spędzając wieczór u Bigielów, był zły, jak nigdy; pani Bigielowa nie umiała ukryć zmartwienia i Bigiel, namyśliwszy się nad wszystkim dokładnie, rzekł pod koniec wieczora ze zwykłą rozważą i powolnością:

— Że Maszko ma i ten plan gotowy, to nie ulega wątpliwości. Idzie tylko o to, czy zwodzi ciebie, mówiąc, że go nie ma, czy i siebie także.

— Niech Bóg ją zachowa od Maszki — ozwała się pani Bigielowa. — To widzieliśmy tu wszyscy, że ona podobała mu się bardzo.

— Przypuszczałem — odpowiedział Bigiel — że tego rodzaju człowiek będzie szukał majątku, ale mogłem się mylić. Również być może, że zechce wziąć żonę z dobrej, starej rodziny, aby umocnić przez to swoje położenie towarzyskie, pozawierać stosunki, spokrewnić się z licznymi rodzinami i w końcu wziąć w swoje ręce interesa całej pewnej sfery towarzyskiej. To także niezłe wyrachowanie, zwłaszcza, że gdy zechce skorzystać ze swego kredytu dla Krzemienia, to z czasem, przy swej obrotności, może go oczyścić.

— I jak pani mówi, panna Pławicka podoba mu się przytem naprawdę — dodał Połaniecki — a ja sobie przypominam teraz, że Pławicki także mi o tem coś wspominał.

— Więc co, panie? — pytała pani Bigielowa — więc jakże będzie?

— Więc panna Pławicka, jeśli zechce, to wyjdzie za pana Maszkę — odrzekł Połaniecki.

— A pan?

— A ja jadę tymczasem do Reichenhall.

VI

I rzeczywiście, w tydzień później wyjechał do Reichenhallu, ale przedtem jeszcze otrzymał list pani Emilii, wypytujący go o wyprawę do Krzemienia. Na list ów nie odpisał, mając zamiar ustnie nań odpowiedzieć. Dowiedział się również, ale dopiero w wigilię wyjazdu, iż Maszko poprzedniego dnia wyjechał do Krzemienia, i wiadomość ta obeszła go więcej, niż się spodziewał. Mówił sobie wprawdzie, że nie dalej, jak w Wiedniu, już o tem zapomni, ale zapomnieć nie mógł i głowę miał tak zajęętą myślą o tem, czy panna Pławicka wyjdzie za Maszkę, że z Salzburga napisał list do Bigiela, niby w interesach, ale właściwie żądający przysłania mu wiadomości o Maszce. Słuchał też piąte przez dziesiąte rozpraw towarzyszącego mu Waskowskiego o wzajemnym stosunku do siebie ludów austriackich i o misji narodów nowożytnych w ogólności. Nieraz tak był zajęty myśleniem o Maryni, że wprost nie odpowiadał na pytanie. Dziwiło go też, że chwilami widzi ją

tak wyraźnie, jakby przed nim stała, więc nietylko jako dokładny obraz, ale jako żywą istotę. Widział jej miłą, łagodną twarz ze ślicznymi ustami i z maleńkim znamieniem nad górną wargą, jej oczy, patrzące spokojnie, w których widać było skupienie i uwagę, z jaką słuchała jego słów; widział całą jej postać, wysmukłą, giętką, od której biło ciepło wielkiej, a zarazem niezmiernie dziewiczej młodości. Przypomnił sobie jej jasną suknię i końce stóp, wyglądające z pod jej sukni, i delikatne, lubo nieco opalone, ręce, i ciemne włosy, poruszone powiewem w ogrodzie. Nigdy nie spodziewał się, żeby mogła istnieć pamięć tak niemal dotykalna — i to pamięć osoby, widzianej przez czas tak krótki. Rozumiał jednak, że to jest dowód, jak głębokie naprawdę zrobiła ona na nim wrażenie, i gdy chwilami przechodziło mu przez głowę, że to wszystko, co się tak wycisnęło w jego pamięci, może posiadać Maszko, prawie nie chciało mu się w to wierzyć. Pierwszym jego porywem w takich chwilach, zresztą zgodnym z jego czynną naturą, była niepowstrzymana chęć, żeby temu przeszkodzić. Musiał sobie dopiero przypominać, że to jest sprawa już w jego woli rozstrzygnięta, i że postanowił sobie zaniechać panny Pławickiej.

Obaj z Waskowskim dojechali do Reichenhallu wczesnym rankiem i zaraz pierwszego dnia, zanim dowiedzieli się o adresie pani Emilii, spotkali ją wraz z Litką w parku miejscowym. Pani Chwastowska, która nie spodziewała się ich, a przynajmniej nie Połanieckiego, ucieszyła się na ich widok szczerze. Radość jej została tylko przyćmiona tem, że Litka, dziecko wyjątkowo wrażliwe, a przytem chore na astmę i na serce, ucieszyła się jeszcze bardziej, tak nawet bardzo, że dostała silnego bicia serca w połączeniu z dusznością i niemal omdleniem.

Ale były to częste u niej objawy i, gdy atak minął, pogoda wróciła na wszystkie twarze. Wracając do domu, dziecko trzymało za rękę „pana Stacha” i w chmurnych zwykle jej oczach świeciła głęboka radość. Od czasu do czasu ścisła tę rękę, jakby chcąc się upewnić, że on naprawdę przyjechał do Reichenhallu i że jest przy niej. Połaniecki wprost nie miał czasu o niczem mówić z panią Emilią, ani ona o nic go rozpytać, bo Litka pokazywała mu Reichenhall i, szczebiocząc bez ustanku, chciała mu od razu pokazać wszystkie piękniejsze miejsca. Co chwila zaś mówiła:

— To nic jeszcze. Thumsee ładniejsze, ale pójdziemy tam dopiero jutro.

Poczem, zwracając się do matki:

— Mama pozwoli, prawda? Ja teraz mogę dużo chodzić. To niedaleko. Mama pozwoli, prawda?

Chwilami znów odsuwała się od Połanieckiego i, nie puszczając jego ręki, patrzyła na niego swymi wielkimi oczyma, powtarzając:

— Pan Stach! pan Stach!

Połaniecki okazywał jej ze swej strony największą tkliwość, na jaką mógłby się zdobyć starszy brat; raz wraz też gderał na nią dobrotliwie:

— Kociak niech tak nie leci, bo się zadyszcy.

A ona przytulała się do niego i, wysuwając naprzód usteczka, odpowiadała, niby się gniewając:

— Cicho, pan Stach!

Połaniecki spoglądał jednak od czasu do czasu na jasną twarz pani Emilii, jakby chcąc jej dać poznać, że pragnie z nią pomówić. Ale nie było sposobu, gdyż pani Emilia nie chciała psuć wesołości Litce i wołała jej pozostawić wspólnego przyjaciela na wyłączną własność. Dopiero po obiedzie, który jedli razem, w ogrodzie, wśród zieloności i świągotania wróbla, gdy Waskowski począł opowiadać Litce o ptakach i o miłości, jaką miał dla nich św. Franciszek z Assyżu, a dziecko, wsparłszy główkę na ręce, zasluchało się zupełnie, Połaniecki zwrócił się do pani Chwastowskiej.

— Czy pani nie zechce się przejść do końca ogrodu?

— Dobrze — odpowiedziała. — Litko, zostań na minutkę z panem Waskowskim, my w tej chwili wracamy.

I poszli, poczem zaraz pani Emilia spytała:

— I cóż?

Połaniecki począł opowiadać, ale, bądź że chciał się lepiej przedstawić pani Emilii, bądź że postanowił rachować się z jej naturą mimozy, bądź wreszcie, że ostatnie myśli o Maryni nastroiły go na jakąś tkliwszą niż zwykle nutę, dość, że całkowicie rzecz przekreślił. Przyznał się wprawdzie do kłótni z panem Pławickim, ale milczał o tem, że

przed wyjazdem z Krzemienia odezwał się i do Maryni w sposób szorstki, natomiast nie szczędził jej w opowiadaniu pochwał i wreszcie tak skończył:

— Ponieważ ten dług stał się od razu powodem nieporozumień między mną a Pławickim, co musiało się odbić i na pannie Maryni, więc wolałem go sprzedać i właśnie przed samym wyjazdem sprzedałem Maszce.

Pani Emilia, która nie miała najmniejszego pojęcia o sprawach pieniężnych, a natomiast posiadała prostotę zupełnie anielską, odrzekła:

— To dobrze pan zrobił. Między wami nie powinno być takich rzeczy, jak pieniądze.

Lecz Połaniecki zawstydził się w tej chwili, że wyprowadza w pole taką naiwną duszę i odrzekł:

— Tak!... Raczej, nie! Myślę, że źle zrobił. Bigiel jest także zdania, że to nie było dobrze... Maszko może ich przyciskać, może stawiać rozmaite żądania, może wystawić na sprzedaż Krzemień... Nie, pani, to nie jest postępek delikatny, ani taki, któryby mógł nas zbliżyć, i nie byłbym tego uczynił, gdyby nie to, że doszedł do przekonania, iż trzeba sobie to wszystko raz na zawsze wybić z głowy.

— A, nie! Niech pan tego nie mówi. Ja wierzę, że we wszystkim jest przeznaczenie — i wierzę także, że Opatrzność przeznaczyła was wzajem dla siebie.

— Tego ja, pani, nie rozumiem. Jeśli tak jest, to nie potrzebuję o nic zabiegać, bo w każdym razie muszę ożenić się z panną Pławicką.

— Nie. Ja mam kobiecą głowę i może mówię niedorzeczności, ale mi się zdaje, że Opatrzność chce i obmyśla wszystko tak, jakby było najlepiej, ale zostawia ludziom wolę, ci zaś często nie chcą iść za tem, co im przeznaczono, i dlatego tylu jest nieszczęśliwych.

— Może. Trudno jednak iść za czem innym, jak za własnym przekonaniem. Rozum to także latarka, którą nam Bóg dał w rękę. Kto mi przytem zaręczy, czy panna Marynia wyszłaby za mnie?

— Powinnam już mieć od niej wiadomość o pańskich odwiedzinach w Krzemieniu, i dziwię się, że dotychczas nie mam. Myślę, że najdalej jutro list nadejdzie, bo my pisujemy do siebie co tydzień. Czy ona wie o pańskim wyjeździe do Reichenhallu?

— Nie. Ja sam, będąc w Krzemieniu, nie wiedziałem jeszcze, dokąd pojedę.

— To dobrze, bo będzie szczerą, chociaż ona i tak byłaby szczerą.

Na tem skończyła się rozmowa pierwszego dnia. Wieczorem, na prośbę Litki, postanowiono pójść nazajutrz do Thumsee i wyjść zrana, tak, aby obiad zjeść nad jeziorem, powrócić zaś powozem, lub, o ileby Litka nie była zmęczoną, to piechotą, byle zdążyć przed zachodem słońca. Waskowski i Połaniecki stawili się przed willą tych pań przed dziewiątą rano. Obie były już przybrane i czekały na werandzie, obie zaś wyglądały tak zjawiskowo, że aż stary pedagog Waskowski został tem odurzony.

— Że też Pan Bóg tworzy sobie czasem z ludzi zupełne kwiaty! — rzekł, ukazując zdala na matkę i córkę.

Rzeczywiście i pani Emilia, i Litka, były przedmiotem podziwu dla całego Reichenhallu. Pierwsza, ze swoją uduchowioną anielską twarzą, była jakby wcieleniem miłości i tkliwości macierzyńskiej, a zarazem egzaltacyi; druga o chmurnych wielkich oczach, płowej czuprynie i rysach tak delikatnych, wyglądała raczej na jaki artystyczny pomysł, niż na żywą dziewczynkę. Dekadent Bukacki mawiał o niej, że jest utkana z mgły, ledwie trochę zaróżowionej przez świt. Jakoż było w tej dziewczynie coś prawie niezemskiego, które to wrażenie potęgowała jeszcze jej choroba, jej nadmierna wrażliwość i uczuciowość. Matka kochała ją ślepo, otaczając również; ale dziecko, wyjątkowo z natury słodkie, nie dało się popsuć.

Połaniecki, który w Warszawie widywał panią Emilię kilka razy tygodniowo, był do obydwóch szczerze przywiązany. W mieście, w którym sława kobieca jest mniej szanowaną, niż gdziekolwiek na świecie, robiono z tego powodu plotki, oczywiście najniesłuszniejsze, gdyż pani Emilia była pod każdym względem czysta, jak dziecko, i nosiła swą egzaltowaną głowę po prostu w błękicie, jakby nie wiedząc, że zło istnieje. Była nawet tak dalece czystą, że nie rozumiała potrzeby zwracania uwagi na pozory. Przyjmowała z radością tych, których kochała Litka, lecz odmówiła kilka dobrych partyi, wyraźnie oświadczając, że osobiście nic jej na świecie, prócz Litki, nie potrzeba. Jeden tylko Bukacki utrzymywał, że pani Emilia działa na jego nerwy; Połaniecki tak się przystosował

do owego błękitu, otaczającego tę kryształową kobietę, że wprost nie zbliżał się nigdy do niej z myślą zmaconą przez pokusę.

I teraz więc, po uwadze Waskowskiego, odrzekł z prostotą:

— Rzeczywiście bajecznie obie wyglądają!

I przywitawszy je, powtórzył mniej więcej to samo pani Emilii, jako coś, co w danym wypadku zwróciło jego uwagę. Ona uśmiechnęła się z zadowolenia, prawdopodobnie dlatego, że pochwała obejmowała także Litkę i, zbierając suknię do drogi, rzekła:

— Miałam rano list i umyślnie go wzięłam, by panu pokazać.

— Wolno zaraz przeczytać?

— Wolno. Proszę.

I ruszyli drogą leśną ku Thumsee, pani Emilia, Waskowski i Litka na przedzie, Połaniecki nieco za nimi, z głową schyloną nad listem.

List brzmiał jak następuje:

„Droga moja Emilko! Dziś odebrałam twoją litanieć pytań i zaraz odpowiadam, bo i mnie pilno podzielić się z tobą myślami. Pan Połaniecki wyjechał w poniedziałek, zatem dwa dni temu. Pierwszego wieczora przyjechałam go, jak przyjmuję wszystkich — i nic a nic nie przyszło mi do głowy, ale nazajutrz było święto, miałam wolny czas i byliśmy prawie całe popołudnie nietylko razem, ale sam na sam, bo papa pojechał do państwa Jamiszów. Cóż ci mam powiedzieć? Taki sympatyczny, taki szczery, a przytem prawdziwy mężczyzna! Z tego, co mówił o Litce i o tobie, zaraz zmiarkowałam, że ma dobre serce. Chodziliśmy długo nad stawem, po ogrodzie. Obwiązywałam mu rękę, bo się skaleczył o łódź. Mówił rzeczy takie rozumne, że się zasluchiwałam w jego słowa. Ach, moja Emilko, wstyd mi się przyznać, ale moja biedna głowa trochę się zawróciła przez ten wieczór. Ty wiesz przecie, jaka tu jestem sama, zapracowana, i jak rzadko widuję podobnych ludzi. Zdawało mi się, że przyjechał gość z jakiegoś innego i lepszego świata. On mi się nietylko podobał, ale mnie tak ujął swoją serdecznością, że nie mogłam zasnąć i ciągle o nim myślałam. Wprawdzie nazajutrz pokłócili się z papą, a nawet i mnie się trochę dostało, choć Bóg widzi, ilebym dała za to, żeby między nami nie było tego rodzaju spraw. W pierwszej chwili dotknęło mnie to mocno, i gdyby ten brzydki człowiek wiedział, ilem się napłakała w swoim pokoju, toby mnie pożałował. Ale później pomyślałam, że on musi być bardzo żywy, że papa nie miał słuszności, i nie gniewam się już. Powiem ci też do uszka, co mi jakiś głos szepce ciągle: oto, że on tego długu, który ma na Krzemieniu, nie sprzeda nikomu, choćby dlatego, żeby przyjechać tu jeszcze. To, że się tak źle rozstali z papą, to nic. Sam papa tego do serca nie bierze, bo to są jego sposoby, nie zaś uczucia, ani przekonania. We mnie ma pan Połaniecki szczerą przyjaciółkę, która zrobi wszystko, co będzie mogła, by zaraz po rozprzedaży Magierówki ustały te wszystkie powody nieporozumień i wogóle te brzydkie sprawy pieniężne. Wówczas on musi przyjechać, choćby dla odebrania swej należności — nieprawda? Może też i ja podobałam mu się trochę, że zaś człowiek taki żywy powie czasem coś przykrego, nie trzeba się dziwić. Nic mu o tem nie mów, jak go zobaczysz, i nie łaj go, niech cię Bóg broni. Nie wiem dlaczego, mam jakąś ufność, że on nie zrobi krzywdy ani mnie, ani papie, ani mojemu kochanemu Krzemieniowi, i myślę, że dobrze byłoby na świecie, gdyby wszyscy byli do niego podobni. Ściskam najserdeczniej ciebie, moja droga, i Litkę. Napisz mi o jej zdrowiu jak najobszerniej i kochaj mnie tak, jak ja ciebie”.

Połaniecki, skończywszy czytać, wsunął list do bocznej kieszeni surduta, następnie zapiął go, następnie przesunął kapelusz na tył głowy, następnie uczuł nagle wielką ochotę połamania swej laski na drobne kawałki i wrzucenia jej w strumień; nie uczynił tego jednak, tylko począł mruzczeć przez zaciśnięte zęby:

— Tak? dobrze! Znasz ty Połanieckiego?... Licz na to, że cię nie pokrzywdzi! Dobrze wyjdiesz!

Potem zwrócił do siebie mowę w sposób następujący:

— Dobrze ci tak! bo to jest anioł, a tyś go nie wart.

I znów porwała go chęć połamania w kawałki własnej laski. Oto ujrzał teraz wyraźnie, że dusza tej dziewczyny gotowa była oddać mu się z całą wiarą i ufnością, a on zgotował jej od razu jeden z takich bolesnych i dotkliwych zawodów, których pamięć — zostaje raz na zawsze i boli wiecznie. Sprzedać sumę, to było nic, ale sprzedać ją człowiekowi,

pragnącemu ją kupić w takim zamiarze, jak Maszko, to znaczyło powiedzieć tem samem pannie: „Nie chcę cię — i idź sobie za niego, jeśli ci się tak podoba”. Co za gorzkie rozczarowanie dla niej, po tem wszystkim, co do niej mówił owej niedzieli, po tych słowach przyjaznych, otwartych, a zarazem przeznaczonych na to, by wniknęły do jej serca. Bo one były jednak na to przeznaczone i Połaniecki czuł, że ona tak je wzięła. Mógł sobie teraz powtarzać, ile razy chciał, że one do niczego nie obowiązują, że za pierwszą bytnością i w pierwszej rozmowie z kobietą człowiek wysuwa tylko rogi, jak ślimak, i próbuje, na jaki grunt trafił. Nie byłoby to mu teraz żadną pociechą. Zresztą, nietylko nie był w humorze usprawiedliwiania się przed samym sobą, ale raczej pragnąłby się był spoliczkować. Pierwszy raz zobaczył tak wyraźnie, że mógłby uzyskać i serce i rękę Maryni, im zaś ta możliwość przedstawiała mu się bardziej realnie, tem strata wydawała mu się bardziej niepowetowaną. Na dobitkę, od chwili przeczytania owego listu, począł się w nim nowy przewrót. Własne rozumowania, że powinien zaniechać Maryni, wydały mu się naraz i płaskie i nędzne. Połaniecki, przy wszystkich swych wadach, miał wdzięczne serce i list ów wzruszył go do wysokiego stopnia tą dobrocią i wyrozumiałością, tą gotowością do kochania, jakie w nim tkwiły. Skutkiem tego wspomnienie Maryni poróżowiło nagle w jego sercu i pamięci, poróżowiło nawet tak mocno, że pomyślał:

— Ja teraz zakocham się w niej, jak Bóg w niebie!

I ogarnęło go rozczulenie dla Maryni, przed którym nawet złość na samego siebie musiała ustąpić. Po chwili, połączywszy się z resztą towarzystwa, wysunął się nieco z panią Emilią naprzód i rzekł:

— Niech mi pani daruje ten list.

— Z największą chęcią. Prawda, jaki pocziwy? A nie przyznał mi się pan, że i jej się coś dostało na wyjeździe? Ale nie będę panu robiła wymówek, skoro ona sama bierze pana w obronę.

— Pani! gdyby to co pomogło, prosiłbym, by mnie pani obiała. Ale tu już niema o czem mówić, bo to rzeczy niepowetowane.

Pani Emilia nie podzielała jednak wcale tego zdania. Owszem, widząc wzruszenie Połanieckiego, nabrała pewności, że sprawa, w której obie strony czują tak żywo, stoi jak najlepiej i musi skończyć się pomyślnie. Na samą tę myśl jej śliczna słodka twarz rozjaśniła się wielką radością.

— Zobaczmy to za kilka miesięcy — rzekła.

— Ani pani się domyśla, co możemy zobaczyć — odparł Połaniecki, myśląc o Maszce.

Na to znów pani Emilia:

— Niech pan pamięta o jednej rzeczy, że kto raz zyska serce Maryni, ten się nie zawiedzie nigdy.

— Wierzę — odpowiedział ze smutkiem Połaniecki, — ale też takie serca, raz zrażone, nie powracają więcej.

Dalej nie mogli rozmawiać, bo Litka i pan Waskowski przysunęli się do nich. Po chwili dziewczynka zagarnęła, jak zwykle, Połanieckiego na wyłączną swą własność. Las, zanurzony w łagodnym porannem świetle pogodnego dnia, zajmował ją nadzwyczajnie, więc poczęła wypytywać o rozmaite drzewa, co chwila zaś wykrzykiwała z radością:

— Rydze!

Lecz on odpowiadał jej mechanicznie, myśląc o czem innym:

— Rydze, kotku, rydze!

Nakoniec droga zniżyła się i pod stopami ujrzeli Thumsee. Po upływie pół godziny, zeszli na bity gościniec, ciągnący się nad samym brzegiem, na którym widać było tu i owdzie drewniane kładki, powyciągane na kilka kroków w wodę. Litka miała ochotę zobaczyć z bliska wielkie ryby, które widać było w przezroczystej toni. Połaniecki, wzięwszy ją za rękę, wprowadził ją w tym celu na jedną z kładek.

Ryby, przyzwyczajone do okruszyn chleba, rzucanych przez gości, zamiast uciekać, zbliżyły się jeszcze i wkrótce cały ich wianek otoczył stopy Litki. W błękitnawej toni widać było złotawo-brunatne grzbiety karpów i szarą plamistą łuskę lososiostrągów, oraz okrągłe oczy, wpatrzone jakby z wyrazem prośby w dziewczynkę.

— Wracając, weźmiemy dużo bułek — mówiła dziewczynka. — Jak one dziwnie patrzą. Co one myślą?

— One myślą bardzo powoli — rzekł Połaniecki — i tak, dopiero za godzinę albo za dwie powiedzą sobie: „Aha! tu stała jakaś dziewczynka z płową czupryną, w różowej sukience i w czarnych pończoszkach.”

— A o panu Stachu, co pomyśla?

— Pomyśla, że jakiś cygan, bo ja nie mam płowej czupryny.

— Nie. Cygany nie mają przecie domu.

— I ja nie mam domu, Litko. Mogłem go mieć, ale go sprzedałem.

Połaniecki wymówił ostatni wyraz w jakiś niezwykły sposób i wogóle był w głosie jego smutek. Dziewczynka spojrzała na niego uważnie i zaraz wrażliwa jej twarzyczka odbiła jego smutek, tak jak owa ton odbijała jej własną postać. Potem, gdy się połączyli z resztą towarzystwa, podnosiła na niego od czasu do czasu swoje chmurne oczy, z wyrazem pytającym i niespokojnym. Wreszcie, ścisnąwszy mocniej jego rękę, za którą trzymała, rzekła:

— Co panu jest, panie Stachu?

— Nic, dziecinko. Rozglądam się po jeziorze i dlatego nic nie mówię.

— Bo ja się tak cieszyłam wczoraj, że panu pokażę Thumsee.

— Owszem. Chociaż niema skał, bardzo tu ładnie! A tamten domek z drugiej strony?

— Tam będziemy jedli obiad.

Tymczasem pani Emilia rozmawiała wesoło z Waskowskim, który, niosąc w rękę kapelusz i szukając co chwila po kieszeniach chustki dla obtarcia łysiny, opowiadał jej swoje spostrzeżenia nad Bukackim.

— On jest Arya — kończył — i dlatego w ciągłym niepokoju dąży do spokoju. Teraz kupuje obrazy i sztychy, myśląc, że tem zapełni próżnię. Ach, pani, na co ja patrzę! Toż to te dzieci wieku noszą w duszy taką otchłań, jak naprzykład to jezioro, a w dodatku bezdenną, i myślą, że można ją zapełnić obrazkami, akwafortami, amatorstwem, dyletantyzmem, Baudelaire’em, Ibsenem, Maeterlinckiem, wreszcie dyletantyzmem naukowym. Biedne ptaki, rozbijające głowy o ściany klatek! To tak samo, jakbym chciał wypełnić to jezioro, wrzuciwszy w nie ten kamyk.

— A cóż może zapełnić życie?

— Wszelka szersza idea, wszelkie większe uczucie, ale pod jednym warunkiem, by były poczęte w Chrystusie. Gdyby Bukacki po chrześcijańsku kochał sztukę, dałaby mu pogodę, której mimowoli szuka.

— A mówił mu pan to?

— I to, i wiele innych rzeczy. Ja i jego i Połanieckiego ciągle namawiam, by czytali życie św. Franciszka z Assyżu. Nie chcą i śmieją się ze mnie. A jednak, to był największy człowiek i największy święty średnich wieków, który odrodził świat. Gdyby się teraz znalazł podobny, odrodzenie w Chrystusie nastąpiłoby jeszcze szersze i jeszcze zupełniejsze.

Zbliżało się południe, z niem upał. Las poczynął pachnąć żywicą, a jezioro wygładziło się zupełnie w ciszy pełnej blasku i, odbijając błękit bez plamki, zdawało się drzemać.

Doszli wreszcie do domu i ogrodu, w którym była restauracja, i siedli pod cieniem buku, przy zastawionym stole. Połaniecki, przywoławszy kelnera w brudnym fraku, zamówił obiad, poczem rozglądali się w milczeniu po jeziorze i okolicznych górach.

O parę kroków od stołu rosła kępa irysów, zwilżana przez wodotrysk, urządzony między kamieniami.

Pani Emilia, spojrzawszy na kwiaty, rzekła:

— Gdy jestem nad jakim jeziorem, a przytem patrzę na irysy, zdaje mi się, że jestem we Włoszech.

— Bo nigdzie niema ani tyle jezior, ani tyle irysów — odrzekł Połaniecki.

— Ani tyle upojenia dla każdego człowieka — dodał Waskowski. — Ja od wielu lat jeżdżę tam co rok, jesienią, szukać sobie schronienia na ostatnie dni. Długi czas wahałem się między Perugią a Assyżem, ale ostatniego roku przeważał Rzym. To jest jakby sień do innego świata, w której widać już jego światło. Pojadę tam w październiku.

— Szczerze panu zazdroszczę — rzekła pani Emilia.

— Litka ma dwanaście lat... — zaczął Waskowski.

Lecz Litka przerwała:

— I trzy miesiące.

— I trzy miesiące; więc choć na swój wiek jest bardzo mała i trzpiotka wielka, czasby jej już rozmaite rzeczy w Rzymie pokazać — mówił dalej Waskowski. — Nic się tak nie pamięta, jak to, co się widziało w dzieciństwie. A choć się wielu rzeczy nie odczuje, ani zrozumie, to przychodzi później i przychodzi bardzo przyjemnie, bo tak, jakby ktoś od razu oświecił jakieś wrażenia, zanurzone w cieniu... Niech pani jedzie ze mną w październiku do Włoch.

— W październiku nie mogę, bo mam swoje kobiece powody, które mnie zatrzymują w Warszawie.

— Jakie?

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Pierwszy i najgłówniejszy, a czysto kobiecy — rzekła, wskazując na Połanieckiego — to ożenić tego pana, który siedzi taki posępny i w gruncie rzeczy... taki rozkochany.

Połaniecki obudził się z zamyślenia i machnął ręką.

A Waskowski zapytał ze zwykłą naiwnością dziecka:

— Zawsze z Marynią Pławicką?

— Tak — odrzekła pani Emilia. — Był w Krzemieniu i próżnoby się zapierał, że go bardzo chwyciła za serce.

— Mogę się nie zapierać — odrzekł Połaniecki.

Lecz dalsza rozmowa została przerwana w przykry sposób, bo Litka niespodziewanie zasłabła. Uczyniło się jej nagle duszno i dostała jednego ze swych zwykłych ataków bicia serca, które przejmowały trwogą o jej życie nawet lekarzy. Matka porwała ją w tej chwili na ręce, Połaniecki skoczył po łód do restauracji. Waskowski zaś począł ciągnąć z wysileniem do stołu ławkę ogrodową, by dziecko mogło się na niej wyciągnąć i swobodniej oddychać.

— Zmęczyłaś się, dziecinko? prawda? — pytała poblądłymi ustami pani Emilia. — Widzisz, kochanie, że było za daleko... A doktor jednak pozwolił!... Tak gorąco! Ale to nic! to przejdzie! to przejdzie!... Moje skarby, moje kochanie!!...

I poczęła całować wilgotne czoło dziewczynki. Tymczasem Połaniecki wrócił z lodem, a za nim nadbiegła miejscowa gospodyni, z poduszką w ręku. Po chwili ułożono małą na ławce, i podczas gdy pani Emilia obwijala łód w serwetę, Połaniecki, schyliwszy się nad chorą, pytał:

— Jakże ci, kociątko?

— Tylko duszno trochę, ale lepiej... — odpowiedziała, otwierając, jak rybka, usta dla schwywania oddechu.

Nie było jednak wiele lepiej, bo nawet przez sukienkę widać było, jak to małe, chore serce bije gwałtownie w piersiach.

Wszelako pod wpływem lodu atak uspokajał się zwolna, a wreszcie uspokoił się zupełnie, pozostawiając po sobie tylko zmęczenie. Litka poczęła się znów uśmiechać do matki, która również ochłonęła nieco z przerażenia. Dziecko należało pokrzepić przed powrotem, więc Połaniecki kazał podać obiad, którego, prócz Litki, nikt zresztą prawie nie tknął, wszyscy bowiem spoglądali na nią co chwila z tajoną obawą, czy duszność znowu jej nie chwyci. W ten sposób upłynęła godzina. Goście poczęli zwolna napływać do restauracji. Pani Emilia chciała wracać do domu, lecz należało czekać na powóz, po który Połaniecki posłał do Reichenhallu.

Powóz nadszedł wreszcie, ale w drodze czekał ich nowy niepokój. Jakkolwiek jechali noga za nogą i po gościńcu bardzo równym, małe nawet wstrząśnienia męczyły Litkę, tak, że w pobliżu już Reichenhallu poczęło jej znów czynić się duszno. Prosiła, żeby jej wolno było wysiąść, ale pokazało się, że i droga piesza męczy ją. Wówczas pani Emilia postanowiła ją nieść, Połaniecki jednak, uprzedzając to macierzyńskie poświęcenie, które zresztą nie było w miarę sił pani Emilii, rzekł:

— Lituś, chodź, ja cię poniosę. Inaczej mama zmęczy się i będzie chora.

I nie pytając dłużej, podniósł ją lekko z ziemi i niósł zupełnie swobodnie, na jednej tylko ręce, żeby zaś upewnić i ją, i panią Emilię, że go to wcale nie męczy, począł żartować:

— Jak taki kot chodzi po ziemi, to zdaje się wcale nieduży, a teraz ot, gdzie to te długie nożyska wiszą. Trzymaj się mnie za szyję, to będziesz się mniej kołysała.

I szedł, jak umiał najrówniej, a spieszenie, bo chciał, by lekarz mógł się nią zająć jak najprędzej; idąc, czuł, jak jej serce bije na jego ramieniu, ona zaś, trzymając się go swemi chudemi ramionkami, powtarzała:

— Niech mnie pan puści! Ja... nie mogę... Niech mnie pan puści!

A on odpowiadał:

— Nie puszczę! Widzisz, jak to źle męczyć się na piechotę. Od tej pory weźmiemy zawsze z sobą takie duże, wygodne krzesło na kółkach, i jak się dziecko zmęczy, to je posadzimy, a ja będę popychał.

— Nie, nie! — powtarzała Litka ze łzami w głosie.

On zaś niósł ją z taką tkliwością, jak starszy brat, lub jak ojciec, i serce miał istotnie wezbrane, raz dlatego, że tę małą kochał istotnie, a powtóre, że przyszło mu do głowy to, o czym dotąd nie myślał, a przynajmniej czego nie odczuwał dość wyraźnie: mianowicie, że małżeństwo otwiera także drogę ojcostwu i tym wszystkim skarbowi szczęścia, które się w niem mieszczą. Teraz, niosąc tę drogą sobie, choć obcą dziewczynkę, zrozumiał, że Bóg stworzył go do życia rodzinnego, nietylko na męża, ale i na ojca, jakoteż, że właściwy cel i znaczenie życia tkwi w tem właśnie.

I wszystkie jego myśli uleciały do Maryni. Czuł teraz ze zdwojoną siłą, że ze wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkał, ją przedewszystkiem wybrałby za żonę i z nią chciałby mieć dzieci.

VII

W ciągu następnych dni Litka nie była chora, ale czuła się osłabioną, wychodziła jednak, ponieważ doktor nakazał jej wychodzić, ale polecił bardzo usilnie umiarkowany ruch pod górę. Waskowski poszedł do niego umyślnie, by dowiedzieć się, jaki jest stan jej zdrowia. Połaniecki czekał na niego w czytelnicy, ale już z jego twarzy poznał od razu, że nic dobrego nie przynosi.

— Lekarz nie widzi natychmiastowego niebezpieczeństwa — rzekł stary człowiek — ale skazuje to dziecko na wczesną śmierć i wogóle każe nad niem czuwać, bo, jak mówi, niepodobna odgadnąć dnia, ani godziny.

Połaniecki zakrył oczy ręką:

— Co za nieszczęście, co za cios!... Matka jej nie przeżyje. Śmierć nad takim dzieckiem! Wierzyć się nie chce!

Waskowski miał łzy w oczach.

— Pytałem — rzekł — czy ona musi przy tem dużo cierpieć. Doktor powiedział, że niekoniecznie i może zgasnąć tak cicho, jakby zasnęła.

— Matce nie mówił nic o jej stanie?

— Nie mówił. Powiedział wprawdzie, że jest wada serca, ale dodał, że u dzieci często przechodzą takie rzeczy bez śladu. Sam nie ma nadziei.

Lecz Połaniecki niełatwo poddawał się nieszczęściu.

— Co tam jeden doktor — rzekł. — Trzeba dziecko ratować, póki jest iskra nadziei. Doktor mógł się nie poznać. Trzeba ją zawieźć do specjalisty do Monachium, lub jego tu sprowadzić. Panią Emilię to przerazi, ale trudna rada! Czekajże pan. Można i tego uniknąć. Ja go sprowadzę — i to zaraz. Pani Emilii powiemy, że taki a taki sławny lekarz przyjechał tu do kogoś, i że jest sposobność poradzenia się o Litkę. Nie można zostawić jej bez ratunku. Trzeba tylko do niego napisać, by wiedział, jak z matką gadać.

— A do kogo chcesz pisać?

— Do kogo? Czy ja wiem! Miejscowy doktor wskaże specjalistę. Chodźmy do niego zaraz, by nie tracić czasu.

I sprawa została załatwioną tegoż samego dnia. Wieczorem poszli obaj do pani Emilii. Litka była zdrowa, ale milcząca i zaszępiła. Uśmiechała się wprawdzie i do matki i do swego przyjaciela, okazywała obojgu wdzięczność za troskliwość, jaką ją otaczali, ale Połaniecki nie mógł jej rozbawić. Mając głowę nabitą myślą o groźnym jej niebezpieczeństwie, poczytywał mimowoli ów jej smutek za oznakę rozwijającej się choroby, za wczesne przeczuwanie blizkiej śmierci i z przestachem mówił sobie w duszy, że ona już nie jest taka, jak zwykle, jakby niektóre nitki, łączące ją z życiem, były pozrywane. Przestach jego powiększył się jeszcze, gdy pani Emilia rzekła:

— Litka się dobrze ma, ale wie pan, o co mnie dzisiaj prosiła? — żebyśmy wrócili do Warszawy.

Połaniecki wysiłkiem woli potłumił niepokój i, zwróciwszy się do małej, rzekł, udając wesołość:

— Ach, ty niegodziwe stworzenie! To nie żalby ci było Thumsee?

A dziewczynka poczęła potrząsać swoją płową główką.

— Nie! — odrzekła po chwili.

I łzy zakręciły się jej w oczach, ale prędko nakryła je rzęsami, z obawy, by ich kto nie zobaczył.

— Co jej jest? — pomyślał Połaniecki.

A jej była bardzo prosta rzecz. Oto w Thumsee dowiedziała się, że jej chcą zabrać jej przyjaciela, jej „pana Stacha”, jej najmilszego towarzysza. Usłyszała, że on kocha Marynię Pławicką, a dotąd była pewna, że on kocha tylko ją i mamę. Usłyszała, że mama chce go ożenić z tamtą, a dotychczas uważała go za swoją wyłączną własność. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co jej groziło, odczuwała jednak, że ten pan „Stach” odejdzie od niej i że stanie się jej krzywda — pierwsza, jakiej w życiu doświadczała. I żeby to kto inny jej tę krzywdę wyrządził, mniejby to ją dotknęło, ale właśnie mama i „pan Stach!” To było jakby koło błędne, z którego dziecko wyjść nie umiało i nie mogło. Jakże im się tu poskarżyć na nich samych? Widać, że tak chcą, że tak sobie życzą, że to im potrzebne i że będą szczęśliwi, gdy się tak stanie. Oto mama powiedziała, że „pan Stach” kocha pannę Marynię, a on nie zaprzeczył, więc trzeba ustąpić, połknąć łzy i milczeć nawet przed mamą.

I Litka zamknęła w sobie pierwszą gorycz życiową. Tak jest! musiała ustąpić, że zaś gorycz złem jest lekarstwem dla chorego i tak serca, zatem to ustąpienie mogło być zupełnie i bardziej tragiczne, niż ktokolwiek z otaczających ją mógł przypuścić.

Lekarz-specjalista przyjechał w dwa dni później z Monachium i, zabawiwszy dwa dni w Reichenhallu, potwierdził zupełnie zdanie miejscowego doktora. Panią Emilię uspokoił, Połanieckiemu zaś powiedział, że życie dziecka może przetrwać miesiące i lata, ale będzie wisiało zawsze jak na nitce, która z lada powodu zerwać się może. Kazał oszczędzać małej wzruszeń, zarówno wesołych, jak smutnych, i czuwać nad nią z największą bacznością.

Otoczono ją więc opieką i pieczyotami. Oszczędzano jej nawet najmniejszych wzruszeń, tylko nie oszczędzano jej największych, jakimi były listy Maryni. Echo tego, który nadszedł w tydzień później, odbiło się jednak o jej nasłuchujące teraz pilnie uszki. Mogło ono wprawdzie rozproszyć jej obawy o „pana Stacha”, ale wstrząsnęło nią silnie. Pani Emilia wahała się cały dzień, czy Połanieckiemu pokazać ten list. On się jednak dopytywał teraz codziennie o wiadomości z Krzemienia, musiałaby więc wprost skłamać, chcąc zataić, że nadeszły. Zresztą poczuwała się do obowiązku powiedzenia Połanieckiemu prawdy, by wiedział, jakie napotka trudności.

Drugiego więc wieczora po odebraniu listu, ułożywszy spać Litkę, sama zaczęła rozmowę w tym przedmiocie:

— Marynia bardzo do serca wzięła to, że pan sprzedał tę sumę na Krzemieniu.

— To był list?

— Tak.

— Może mi go pani pokazać?

— Nie. Mogę tylko przeczytać panu większe ustępy. Marynia jest pognębiona.

— Czy ona wie, że ja tu jestem?

— Dotychczas musiała nie odebrać mego listu, ale dziwi mnie także, że pan Maszko, który bawi w Krzemieniu, nie wspominał jej o tem.

— Maszko wyjechał do Krzemienia przede mną i nie był pewny, czy pojedę do Reichenhallu, zwłaszcza, że mu w ostatnich dniach mówił, że zapewne zmienię projekt.

Pani Emilia poszła do biurka po teczkę z listami. Wróciwszy do stołu, poprawiła lampę, poczem, usiadłszy naprzeciw Połanieckiego, wydobyła list z koperty, ale, nim go zaczęła czytać, rzekła:

— Bo widzi pan, jej nie o samą sprzedaż tej sumy chodzi. Ale pan wie... Trochę jej się rozmarzyła główka, więc to miało dla niej i inne znaczenie... Ją naprawdę spotkało wielkie rozczarowanie!

— Pani — rzekł Połaniecki — komu innemu nie przyznałbym się, ale pani powiem otwarcie. Zrobiłem jedno z największych głupstw w życiu, ale też za żadne nie zostałem tak ukarany.

A ona podniosła na niego ze współczuciem swe tklive, blado-niebieskie oczy.

— Biedny pan! Więc pan naprawdę taki zajęty Marynią? Przecież nie przez ciekawość pytam, tylko z przyjaźni.. Bo jabym się starała to wszystko naprawić, ale chciałabym być pewna...

— Wie pani, co mnie dobiło? — przerwał gwałtownie Połaniecki — tamten poprzedni list! W Krzemieniu podobała mi się! Zacząłem o niej myśleć. Mówiłem sobie: ta byłaby miłsza i lepsza niż jakakolwiek. Ta jest taka, jakiej właśnie szukałem! Ale cóż? Ja sobie dawno powiedziałem: nie będę człowiekiem miękkim i swego nie daruję. Pani rozumie, że jak się z czego zrobi zasadę, to człowiek się jej trzyma, choćby przez ambicję. Przytem w każdym z nas siedzi dwóch ludzi, z których drugi krytykuje to, co robi pierwszy. Ten drugi począł mi mówić: „Daj pokój, z ojcem nie wytrzymasz”. A to istotnie nieznośna figura! Więc postanowiłem sobie dać pokój. I dlatego pozbyłem się tej sumy. Oto jak było. Dopiero później spostrzegłem, że nie mogę pozbyć się myśli o pannie Pławickiej, i że wciąż mam to samo wrażenie: „Ta jest taka, jakiej szukałeś!” I poznałem, że głupstwo zrobił. I było mi żal. Potem, jak przyszedł ten list, jak się przekonałem, że i z jej strony coś było, że ona mnie mogła pokochać i być moją, tak ją również pokochałem. I daję pani słowo, że albo tracę głowę, albo to jest prawda! Póki się samemu człowiekowi coś roi, to nic, ale gdy się zobaczy, że i tam były otwarte ramiona, co za ogromna różnica! Dobił mnie ten list i rady nie mogę sobie dać!

— Wolę panu nie czytać wszystkiego — odrzekła po chwili pani Emilia. — Naturalnie, ona pisze, że krótki sen skończył się przebudzeniem prędszem, niż się spodziewała. O panu Maszce mówi, że jest bardzo delikatny w sprawach pieniężnych, jakkolwiek pragnie, by się obróciły na jego korzyść.

— Wyjdzie za niego, jak Bóg w niebie!

— Pan jej nie zna. A o Krzemieniu oto, co pisze: „Papa ma ochotę pozbyć się majątku i zamieszkać w Warszawie. Ty wiesz, jak kocham Krzemień, jak się z nim zrosłam, ale wobec tego, co się stało, już ja sama zwątpiłam, czy moja praca mogłaby się na co przydać. Będę jeszcze próbowała bronić milego kawałka ziemi! Papa jednak powiada, że sumienie nie pozwala mu wzięć mnie na wsi, i to jest tem bardziej gorzkie, że niby o mnie chodzi. Doprawdy, że czasem życie zakrawa na ironię. Pan Maszko ofiaruje papie trzy tysiące dożywotnie i całą sumę z parcelacy Magierówki. Nie dziwię mu się, że szuka własnej korzyści, ale w razie takiego układu doszedłby prawie darmo do majątku. Sam papa powiedział mu: „W ten sposób, jeśli rok pożyję, wezmę za Krzemień trzy tysiące, bo Magierówka i tak moja”. Ale pan Maszko odpowiedział, że w dzisiejszym stanie rzeczy za Magierówkę zabiorą pieniądze wierzyciele, gdy zaś papa zgodzi się na taki układ, jaki on proponuje, to weźmie do ręki gotówkę, a oprócz tego może żyć trzydzieści lat, albo i więcej. To także prawda. Wiem, że papie w zasadzie podoba się ten projekt, chodzi mu tylko o to, by więcej utargować. Jedyna w tem wszystkim pociecha, że gdy zamieszkamy w Warszawie, to będę widywała częściej ciebie, moja droga Emilko, i Litkę. Szczerze i z całej duszy kocham was obie i wiem, że na wasze przynajmniej serca zawsze mogę liczyć”.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Połaniecki rzekł:

— Więc tak! Pozbawiłem ją Krzemienia, ale za to posłałem jej aspiranta!

I mówiąc to, nie odgadywał, że Marynia napisała w liście niemal te same słowa, i że tylko pani Emilia opuściła je umyślnie, nie chcąc go ranić. Maszko, jeszcze za ostatniej bytności Pławickich w Warszawie, czynił już pewne zabiegi o rękę panny Maryni, nie potrzebowała więc teraz wielkiej domyślności, żeby odgadnąć, co znaczy nabycie przez niego sumy od Połanieckiego i przyjazd na wieś. W tem właśnie tkwiła cała gorycz, zalewająca jej serce, i głęboka uraza, jaką czuła dla Połanieckiego.

— Trzeba to wszystko koniecznie wyjaśnić — mówiła pani Emilia.

— Posłałem jej aspiranta! — powtórzył Połaniecki — nie mogę się nawet tłómaczyć tem, że nie wiedział o zamiarach Maszki.

Pani Emilia obracała czas jakiś w swych delikatnych palcach list Maryni, poczem rzekła nagle:

— To tak nie może zostać! Ja chciałam pana z nią połączyć przez przyjaźń, jaką mam dla obojga, ale teraz jest jeden powód więcej, mianowicie pańskie zmartwienie. To byłby wyrzut dla mnie i ja tak pana nie mogę zostawić. Niech pan nie traci nadziei... Jest ładne

przysłowie francuskie, a bardzo brzydkie polskie o potędze i woli kobiecej. Doprawdy, że ja chcę bardzo pomódz!

Połaniecki chwycił jej rękę i podniósł ją do ust.

— Pani jest najlepsza i najzaczniejsza w świecie istota, jaką spotkałem.

— Byłam bardzo szczęśliwa — odpowiedziała pani Emilia — a ponieważ myślę, że do tego jest tylko jedna droga, więc chciałabym, żeby moi bliscy nią poszli.

— Ma pani słuszność. Ta droga, albo żadna! Skoro żyję, więc chcę, żeby się to życie komuś i mnie na coś zdało.

— A ja, skoro pierwszy raz w życiu podjęłam się roli swatki — rzekła, śmiejąc się, pani Emilia — chcę także, żeby się to na coś zdało. Trzeba tylko pomyśleć, co teraz wypada zrobić.

To rzekłszy, podniosła oczy w górę. Światło lampy padało w pełni na jej drobną, młodą jeszcze bardzo twarz, na jej jasne włosy, nieco zwichrzone nad czołem, i było w niej coś tak uroczego, a zarazem i dziewiczego, że Połanieckiemu, jakkolwiek głowę miał zajęętą czem innym, przyszło na myśl przezwisko, które jej dawał Bukacki: wdowy-dziewicy.

— Marynia ma dużo prostoty — rzekła po chwili namysłu — i najlepiej mnie zrozumie, gdy jej napiszę szczerą prawdę. Powiem jej to, co pan mnie mówił: że pan wyjechał zajęty nią bardzo; że to, co pan zrobił, zrobił pan nie obliczywszy się z sobą, pod wpływem tylko tej myśli, że nie mógłby się pogodzić z ojcem; ale, że obecnie pan najszczerzej tego żałuje, prosi, by nie brała tego za złe i nie odejmowała nadziei, że się pozwoli przebłagać.

— A ja napiszę do Maszki, że odkupię u niego tę sumę z takim zyskiem, jakiego on żąda.

Pani Emilia poczęła się śmiać.

— Oto ten trzeźwy, wyrachowany pan Połaniecki, który się chlubi, że pozbył się polskiego charakteru i polskiej lekkomyślności.

— A tak! a tak! — zawołał już weselszym tonem Połaniecki. — Wyrachowanie polega na tem, żeby nie żałować na to, co warte.

Lecz w tej chwili sposepniał.

— A jeśli ona odpowie, że jest narzeczoną Maszki?

— Nie przypuszczam. Pan Maszko może być najzaczniejszy człowiek, ale on nie dla niej. Ona nie wyjdzie za mąż bez przywiązania, a wiem, że pan Maszko nie podobał się jej zupełnie. To się nigdy nie stanie. Pan Maryni nie zna. Niech pan tylko uczyni ze swojej strony, co w pana mocy, ale o pana Maszkę niech pan będzie spokojny.

— Więc, zamiast pisać, zatelegrafuję dziś do niego. On nie może w Krzemieniu długo jednym ciągiem bawić i musi w Warszawie odebrać moją depezę.

VIII

Odpowiedź Maszki, którą Połaniecki odebrał w dwa dni później, brzmiała: „W dniu wczorajszym nabyłem Krzemień.” — Jakkowiek z listu Maryni można było przewidzieć, że rzeczy wezmą taki a nie inny obrót, i młody człowiek powinien był być na to przygotowany, wiadomość sprawiła na nim wrażenie uderzenia piorunu. Zdawało mu się, że stało się zarówno niespodziewane, jak niepowetowane nieszczęście, za które cała odpowiedzialność spada na niego. Pani Emilia, znając lepiej, niż ktokolwiek, przywiązanie Maryni do Krzemienia, miała również przecucie, którego nie potrafiła ukryć, że przez tę sprzedaż sprawa zbliżenia do siebie dwojga młodych ludzi utrudnia się w wysokim stopniu.

— Maszko, jeśli nie ożeni się z Marynią — mówił Połaniecki — to złupi starego Pławickiego w ten sposób, że swoją opinię ocali, a tamtego zostawi bez grosza. Gdybym był sprzedał tę sumę pierwszemu lichwiarzowi, staryby się wykręcał, coś splancał, więcej obiecywał — i ruina Krzemienia przewlokłaby się o całe lata, w ciągu których mogłoby się zdarzyć coś pomyślnego, a przynajmniej byłby czas sprzedać Krzemień w dobrych warunkach. Teraz, jeśli zostaną bez grosza, to będzie moja wina.

Ale pani Emilia patrzyła na sprawę także i z innej strony.

— Nietylko w tem złe — mówiła — że Krzemień został sprzedany. Gdyby to kto inny przyczynił się do tego, nie pan, i to zaraz po bytności u Maryni, cała rzecz nie miałaby tego znaczenia; ale to właśnie jest najgorsze, że Marynia tak bardzo nie spodziewała się tego po panu.

Połaniecki odczuwał to również dobrze, że zaś przywykł zdawać sobie jasno sprawę z każdego położenia, rozumiał więc także, że Marynia jest dla niego tak dobrze, jak stracona. Wobec tego pozostawało jedno: przyznać, iż tak jest, zapomnieć o niej i starać się o inną żonę. Ale cała dusza Połanieckiego buntowała się przeciw temu. Naprzód jego uczucie dla panny Maryni, jakkolwiek nagle, nie umocnione ani czasem, ani bliższą znajomością, jakkolwiek oparte przeważnie na uroku niemal wyłącznie fizycznym, jaki jej postać na nim wywarła, wzrosło w ostatnich tygodniach znacznie. Sprawił to i jej list, i budzące się w Połanieckim przekonanie, że jej wyrządził krzywdę. Brała go teraz nad nią litość i nie mógł o niej myśleć bez wzruszenia; skutkiem tego samo uczucie powiększyło się o te dwa pierwiastki, grające nader ważną rolę w każdym męskim sercu. Następnie ów energiczny, muskularny człowiek nie umiał nigdy poddawać się biernie zbiegowi zdarzeń. Natura jego wprost nie mogła tego znieść. Widok trudności podniecał go właśnie do czynu. Nakoniec sprzeciwiła się zaniechaniu Maryni i jego miłość własna. Myśl, że musi kiedyś sam przed sobą przyznać, że był tylko sprężyną, w ręku takiego Maszki i jednym ze środków do jego celów, że mu się dał zużytkować, a przynajmniej użytkować, napępiała go wściekłością. Choćby Maszko nie otrzymał ręki Maryni, choćby skończyło się na Krzemieniu, i to już było dla Połanieckiego więcej, niż mógł wytrzymać. Teraz brała go niepowstrzymana ochota wystąpić przeciw Maszce, narzucać mu kamieni pod nogi, pokrzyżować przynajmniej dalsze jego plany i pokazać mu, że jego adwokacki spryt, w zetknięciu się z prawdziwą męską energią, nie wystarcza.

Te wszystkie i szlachetniejsze i mniej szlachetne powody popychały Połanieckiego z nieprzetartą siłą do przedsięwzięcia czegośkolwiek, do jakiegoś działania. Tymczasem położenie było tego rodzaju, iż nie pozostawało niemal nic do roboty. W tem przeciwieństwie tkwił właśnie dramat. Siedzieć w Reichenhallu, pozwolić Maszce przeprowadzać swoje plany, rozciągać swoje sieci, starać się o rękę panny Pławickiej — nie! za nie! A więc co? I na to ostatnie pytanie nie było odpowiedzi. Po raz pierwszy w życiu Połaniecki miał takie uczucie, jakby go uwiązano na łańcuchu, i im mniej był przyzwyczajony do takiego położenia, tem znosił je trudniej. Poznał też po raz pierwszy w życiu, czym jest bezsenność i rozdrażnione nerwy. Ponieważ Litka w ostatnich dniach znów uczuła się gorzej, więc nad całym towarzystwem zawisła ciężka, jak ołów, atmosfera niepokoju, w której życie stawało się nieznośnem.

Po upływie tygodnia przyszedł znowu list Maryni... Tym razem nie było w nim wzmianki ani o Połanieckim, ani o Maszce. Marynia donosiła tylko o sprzedaży Krzemienia bez żadnej skargi, bez żadnego objaśnienia, jak się sprawa odbyła. Ale z tego właśnie można było wnosić, jak głęboko dotknęła ją ta sprzedaż.

Połaniecki wolałby był, żeby go o nią oskarżała. Rozumiał przytem dobrze, że milczenie o nim w liście dowodzi, jak dalece został wykreślony z serca tej panny, podczas gdy milczenie o Maszce może dowodzić czegoś całkiem przeciwnego. Ostatecznie, jeśli jej tak chodziło o ten Krzemień, to mogła do niego wrócić, oddając dzisiejszemu właścicielowi jego swą rękę; może więc porała się właśnie z tą myślą. Stary Pławicki miał wprawdzie swoje szlacheckie uprzedzenia i Połaniecki liczył na nie, ale, uważając go przedewszystkiem za egoistę, przypuszczał, że w danym wypadku poświęci dla własnej wygody i córkę i uprzedzenia.

Koniec końcem, siedzenie w Reichenhallu z założonemi rękoma i czekanie na wiadomość, czy panu Maszce podoba się zaofiarować swą rękę pannie Pławickiej, stało się dla Połanieckiego wprost niemożliwe. Litka powtarzała także od czasu do czasu prośbę do matki, by wracać do Warszawy, więc i Połaniecki postanowił wracać, tem bardziej, że zbliżał się termin, w którym obaj z Bigielem mieli rozpocząć nowy interes.

Postanowienie to przyniosło mu na razie wielką ulgę. Wróci, zajrzy położeniu z blizka w oczy i może coś przedsięwziąć. Zawsze było to coś więcej, niż siedzieć w Reichenhallu. I pani Emilia i Litka przyjęły wiadomość o jego wyjeździe bez zdziwienia. Wiedziały, że przyjechał tylko na kilka tygodni i spodziewały się rychło zobaczyć go w Warszawie. Pani Emilia miała także w połowie sierpnia wyjechać. Przez resztę miesiąca postanowiła zostać razem z Waskowskim w Salzburgu, potem zaś wracać do Warszawy. Tymczasem przyrzekła Połanieckiemu, że doniesie mu kilkakrotnie o zdrowiu Litki, a oprócz tego będzie pisała do Maryni, by dowiedzieć się, jakie są naprawę jej myśli względem Maszki.

W dniu wyjazdu obie panie, wraz z Waskowskim, odprowadziły go na kolej. Gdy już był w wagonie, uczyniło mu się nieco żal odjeżdżać. Bądźcobądź, nie wiedział, jak się wszystko obróci w Warszawie, tu zaś otaczały go najczulsze istoty, jakie miał w świecie. Wychylony przez okno, patrzył na smutne oczęta Litki, podniesione ku niemu, i na przyjazną twarz pani Emilii, z takim uczuciem, jakby to była jego rodzina. I znowu uderzyła go nadzwyczajna piękność młodej wdowy, jej aż nadto delikatne rysy, anielski wyraz twarzy i jej postać zupełnie panińska, przybrana w czarną suknię.

— Niech pan będzie zdrow — mówiła pani Emilia — i niech pan do nas napisze z Warszawy; mniej więcej za trzy tygodnie się zobaczymy.

— Za trzy tygodnie — powtórzył Połaniecki. — Napiszę z pewnością. Do widzenia, Lituś!

— Do widzenia! Niech się pan kłania Ewce i Joasi!

— Dobrze!

I wyciągnął jeszcze rękę przez okno:

— Do widzenia! Niech panie pamiętają o przyjacielu.

— Nie zapomnimy, nie zapomnimy! Chce pan, żebyśmy odmawiały nowennę na pańską intencję? — pytała z uśmiechem pani Emilia.

— Dziękuję i za to. Dobrze! Do widzenia, profesorze!

Pociąg ruszył w tej chwili. Panie poczęły machać jeszcze parasolkami, póki coraz śpieszniejszy oddech lokomotywy nie przesłonił kłębam dymu i pary okna, przez które wyglądał Połaniecki.

— Mamo — spytała Litka — czy naprawdę trzeba mówić nowennę za pana Stacha?

— Trzeba, Lituś. On taki dla nas dobry. Trzeba prosić Boga, żeby był szczęśliwy.

— A czy on jest nieszczęśliwy?

— Nie... To jest... widzisz, każdy ma swoje zmartwienie i on ma swoje.

— Ja wiem, ja słyszałam w Thumsee — odrzekła dziewczynka.

I po chwili dodała ciszej:

— Będę mówiła nowennę...

A profesor Waskowski, który przy całej swej poczciwości nie umiał nigdy utrzymać języka, rzekł po chwili do pani Emilii, gdy Litka poszła naprzód:

— To złote serce i on kocha obie panie, jak brat. Teraz, gdy nam specjalista powiedział, że niema najmniejszej obawy, mogę wszystko powiedzieć. To Połaniecki umyślnie go sprowadził, bo się zaniepokoił o małą w Thumsee.

— On? — spytała pani Emilia. — No, widzi pan, co to za człowiek!

I łzy wdzięczności zakreśliły się jej w oczach. Po chwili zaś dodała:

— Ale ja mu się odplączę za to, bo mu dam Marynię.

Połaniecki odjeżdżał również z sercem przepelnionem życzliwością i wdzięcznością dla pani Emilii, albowiem człowiek, któremu się coś nie powiedzie i który wskutek tego popada w zmartwienie, żywiej odczuwa przyjaźń ludzką. Siedząc więc teraz w kącie wagonu i mając świeżo w myśli obraz pani Emilii, mówił sobie:

— Ot, gdybym się był w niej zakochał! Co za spokój, co za pewność szczęścia! I cel w życiu byłby znaleziony; wiedziałbym, dla kogo pracuję, wiedziałbym, że czemś jestem, że moje istnienie ma jakiś sens. Ona mówi wprawdzie, że nie wyjdzie za męża, ale za mnie — kto wie! Tamta może być sobie doskonałością, ale może mieć także bardzo oschłe serce.

Tu uczuł nagle, że jednak o tej myśli spokojnie, podczas gdy na każde wspomnienie tamtej chwytą go jakiś niepokój, zarazem przykry i przyjemny. Czuł, że go coś ciągnie tylko do tamtej. Świeżo oto ścisnął rękę pani Emilii i uścisk ów nie zostawił mu żadnego wrażenia, podczas gdy dziś jeszcze pamiętał ciepło dłoni panny Maryni i doznawał pewnego rodzaju dreszczu na samo o tem wspomnienie.

I aż do Salzburga myślał już tylko o „tamtej”. Tym razem myśli jego poczęły nawet przybierać kształt, jeśli nie postanowień, to pytań, jak ma względem niej postąpić i co w tym zbiegu rzeczy jest jego obowiązkiem?

— Nie da się zaprzeczyć, że ja jestem przyczyną sprzedaży Krzemienia — mówił sobie. — Krzemień nie tylko miał dla niej tę wartość pieniężną, jaką dałoby się może z niego wyciągnąć, gdyby nie przyspieszona sprzedaż, ale i tę wartość, którą przywiązywało do

niego jej serce. Otóż pozbawiłem ją jednej i drugiej; krótko mówiąc: skrzywdziłem ją! Postąpiłem prawnie, ale to dla sumienia, złożonego z czegoś więcej, niż z paragrafów, nie wystarcza. Zawiniłem i przyznaję się do tego, a skoro tak, to muszę to naprawić w jakikolwiek sposób.

Ale jak?

— Na odkupienie Krzemienia od Maszki nie jestem dość bogaty. Mógłbym to może uczynić, rozwiązując spółkę z Bigielem i wycofywując wszystkie moje pieniądze, to zaś jest materyalną niemożebnością. Bigiel mógłby przez to upaść, więc tego nie zrobię. Pozostaje mi zatem jedno, mianowicie: utrzymać z Pławickimi stosunki jakimkolwiek sposobem, a następnie oświadczyć się w krótkim czasie o rękę panny Pławickiej. Jeśli dostanę kosza, to przynajmniej uczynię, co do mnie należy.

Ale tu ów drugi, wewnętrzny człowiek, o którym Połaniecki wspominał, zabrał głos i począł mówić:

— Nie zasłaniaj się kwestyą sumienia. Gdyby panna Pławicka była starsza o dziesięć lat i brzydka, to mógłbyś tak samo przyczynić się do sprzedaży Krzemienia, pozbawić ją wszystkiego, czegoś pozbawił, i do głowyby ci nie przyszło oświadczać się o jej rękę. Powiedź sobie od razu, że panna Pławicka ciągnie cię, jak obcęgami, za pomocą swojej twarzy, oczu, ust, ramion, całej postaci — i nie oszukuj się.

Lecz Połaniecki trzymał wogóle krótko tego drugiego wewnętrznego człowieka i traktował go czasami bardzo niegrzecznie, zgodnie więc z tą metodą, powiedział mu:

— Naprzód, nie wiesz, głupcze, czy i w takim razie nie starałbym się krzywdy nagrodzić. Że zaś w tym wypadku chcę ją wynagrodzić, oświadczać się o pannę, to właśnie jest naturalne. Ludzie oświadcniają się zawsze kobietom, które im się podobają, nie zaś takim, do których czują odrazę. Jeśli więc nie masz nic lepszego do powiedzenia, to milcz.

Wewnętrzny człowiek próbował jeszcze kilku nieśmiałyh uwag, jak np., że pan Pławicki może kazać zrzucić pana Połanieckiego ze schodów, że mogą go w najlepszym razie przez próg nie puścić; ale pan Połaniecki jakoś się tego nie uląkł. Ludzie, myślał, nie chwytają się dziś takich środków, jeśli zaś Pławiccy mnie nie przyjmą, to tem gorzej dla nich.

Przypuszczał jednak, że jeśli mają choć trochę taktu, to go przyjmą. Zresztą wiedział, że pannę Marynię będzie widywał u pani Emilii.

Rozmyślając w ten sposób, przyjechał do Salzburga. Była godzina czasu do nadejścia pociągu z Monachium, którym miał jechać do Wiednia, więc postanowił przejść się po mieście. Tymczasem w sali restauracyjnej ujrzał nagle jasny kraciasty pidżak Bukackiego, jego monokl i jego małą głowę, nakrytą jeszcze mniejszym miękkiem kapeluszem.

— Bukacki, czy jego duch? — zawołał.

— Uspokój się, Połaniecki — odpowiedział z flegmą Bukacki, witając go tak, jakby się rozstali przed godziną. — Jak się masz?

— Co ty tu robisz?

— Jem kotlet na margarynie.

— Do Reichenhallu?

— Tak. A ty do domu?

— Tak.

— Nie oświadczyłeś się pani Emilii?

— Nie.

— Więc ci przebaczam. Możesz jechać!

— Schowaj koncepta na lepszą porę. Litka jest bardzo zagrożona.

Bukacki spowaźniał i, podniósłszy brwi, począł mówić:

— Aj! aj! Czy to zupełnie pewne?

Połaniecki odpowiedział mu pokrótce, jakie jest zdanie lekarzy.

Bukacki milczał przez chwilę, następnie rzekł:

— I nie ma tu człowiek być pesymistą! Biedne dziecko i biedna matka. W razie nieszczęścia, zupełnie sobie nie wyobrażam, jak ona je zniesie.

— Ona jest ogromnie religijna, ale strach o tem myśleć.

— Wyjdźmy trochę na miasto — rzekł Bukacki — tu można się udusić...

I wyszli. Po drodze Bukacki począł powtarzać:

— I nie ma tu człowiek być pesymistą. Cóż jest taka Litka? Po prostu gołąb! Każdyby jej pożałował, tylko śmierć nie pożałuje.

Połaniecki milczał.

— Sam nie wiem teraz — mówił Bukacki — czy jechać do Reichenhallu? W Warszawie, jak jest pani Emilia, to i ja mogę wytrzymać. Raz na miesiąc oświadczam się jej, raz na miesiąc dostaję odkosza i tak sobie żyję od pierwszego do pierwszego. Teraz, pierwszy minął, więc zatęskniłem do mojej pensyi... Czy matka zdaje sobie sprawę ze stanu małej?

— Nie. Dziecko jest zagrożone, ale może być, że pozostaje mu jeszcze z parę lat.

— Ha! może nikomu z nas nie pozostaje więcej. Powiedz mi, czy ty często rozmyślasz nad śmiercią?

— Nie. Co mi to pomoże? Wiem, że tę sprawę muszę przegrać, więc sobie głowy nad nią nie łamię, zwłaszcza przed czasem.

— W tem rzecz, że musimy przegrać, a jednak procesujemy się aż do końca. Oto cały sens życia, które inaczej byłoby tylko nudną farsą, a tak jest zarazem głupim dramatem. Co do mnie, mam teraz trzy rzeczy do wyboru: albo się powiesić, albo jechać do Reichenhallu, albo do Monachium obejrzeć raz jeszcze Boeckliny. Gdybym był logiczny, wybrałbym to pierwsze, ponieważ zaś nie jestem logiczny, więc wybiorę Reichenhall. Pani Emilia warta jest Boecklinów, i jako rysunek i jako kolor.

— Co słyhać w Warszawie? — spytał nagle Połaniecki, który to pytanie miał na ustach od początku rozmowy. — Widziałeś Maszkę?

— Widziałem. Kupił Krzemień i jest wielkim posiadaczem, a ponieważ ma rozum, więc stara się wszelkimi siłami, by się nie wydać zbyt wielkim. Jest łaskawy, wyrozumiały, pobłażliwy, przystępny, to jest zmienił się na korzyść, nie moją wprawdzie, bo cóż mnie to może obchodzić! Ale zapewne na swoją własną.

— Nie żeni się z panną Pławicką?

— Słyszałem, że ma ochotę. Twój wspólnik, Bigiel, coś o tem wspomniał, również jak i o tem, że Krzemień został kupiony w warunkach zbyt dla Maszki korzystnych. Na miejscu dowiesz się o tem lepiej.

— Gdzie są obecnie Pławiccy?

— W Warszawie. Mieszkają w hotelu Rzymskim. Mała wcale niebrzydka. Byłem u nich, jako kuzynek, i rozmawiałem o tobie.

— Mogłeś wybrać miłszy dla nich przedmiot rozmowy.

— Pławicki, który jest rad z tego, co się stało, powiedział, że im oddał przysługę — zapewne, niechcący — ale oddał... Pytałem panny, jakim sposobem poznała cię dopiero w Krzemieniu. Odpowiedziała mi, że w czasie jej bytności w Warszawie musiałeś być zapewne za granicą.

— Rzeczywiście, wyjeżdżałem wtedy w interesach domu do Berlina i bawiłem tam długo.

— Owóż urazy w nich dla ciebie nie spostrzegłem. Tyle się jednak nasłuchałem o miłości panny do zajęć sielskich, że przypuszczam, iż musi być trochę zła, żeś ją ich pozbawił. W każdym razie nie okazuje tego.

— Być może, że okaże dopiero mnie, a sposobności jej nie zbraknie, gdyż zaraz po powrocie będę u nich.

— W takim razie oddaj mi jedną małą przysługę. Ożeń się z panną, bo z dwojga złego wolę zostać twoim kuzynem, niż tego Maszki.

— Dobrze — odpowiedział krótko Połaniecki.

IX

Po powrocie do Warszawy, Połaniecki przedewszystkiem udał się do Bigiela, który dokładnie rozpowiedział mu, w jakich warunkach Krzemień został sprzedany. Warunki te były nader dla Maszki korzystne. Zobowiązał się on wypłacić po upływie roku trzydzieści pięć tysięcy rubli, które miały wpłynąć z parcelacyi Magierówki, a prócz tego płacić po trzy tysiące rubli rocznie aż do śmierci pana Pławickiego. Połanieckiemu nie wydało się to zrazu układem zbyt dla Pławickich niepomyślnym, lecz Bigiel był innego zdania.

— Ja zbyt śpiesznie ludzi nie sądzę — mówił — ale ostatecznie Pławicki jest starym egoistą, który dla własnej wygody poświęcił przyszłość dziecka, a prócz tego człowiekiem

lekkomyślnym. W tym wypadku renta jest niby oparta na Krzemieniu, ale Krzemień, jako majątek zrujnowany, w który trzeba wkładać, ma wartość fikcyjną. Jeśli Maszko doprowadzi go do porządku, to dobrze, jeśli nie, to w najlepszym razie będzie zalegał z wypłatą, a przez całe lata Pławicki może grosza nie widzieć. Co wtedy zrobi? Odbierze napowrót Krzemień. Ale Maszko pozaciąga do tego czasu nowe długi, choćby dlatego, żeby spłacić stare, i — w razie jego bankructwa — Bóg wie ilu wierzycieli wyciągnie po Krzemień ręce. Ostatecznie wszystko polega na uczciwości Maszki, który może być sobie porządnym człowiekiem, ale prowadzi interesa ostro, którego zatem jeden fałszywy krok może zrujnować. Kto wie, czy samo kupno Krzemienia nie jest takim krokiem, bo, chcąc uporządkować majątek, musi wyciągnąć swój kredyt do ostateczności. Widziałem takich, którym się długo udawało, póki nie rzucili się na kupno wielkich majątków ziemskich.

— Pławickim zostanie zawsze gotowizna za Magierówkę — rzekł Połaniecki, jakby chcąc uspokoić własne obawy o ich przyszłość.

— Jeśli stary Pławicki jej nie przeje, nie przegra, nie zmarnotrawi.

— Ja muszę coś obmyślić. Przyczyniłem się do sprzedaży, więc muszę radzić.

— Ty? — spytał ze zdumieniem Bigiel. — Myślałem, że wasze stosunki są zerwane.

— Spróbuję je zawiązać nanowo. Jutro będę u nich.

— Nie wiem, czy cię radzi zobaczą.

— I ja nie wiem.

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? Bo chodzi o złamanie lodów. Samego mogą cię nie przyjąć... Szkoda, że mojej żony niema... Po całych wieczorach przesiaduję teraz sam i grywam na wiolonczeli, ale w dzień mam dużo czasu i mogę iść, gdzie chcesz.

Połaniecki jednak odmówił i nazajutrz, przybrawszy się z wielką starannością, poszedł sam. Wiedział, że jest przystojnym człowiekiem, a choć zwykle niewiele o tem myślał, teraz postanowił nie zaniedbać niczego, co by mogło przemówić na jego korzyść. Idąc, miał także pełno w głowie pomysłów: co powie, co zrobi w takim a takim razie, i z góry starał się przewidzieć, jak go przyjmą.

— Będę jak najprostszym i najotwartszym — mówił sobie. — Ostatecznie, to jest najlepszy sposób.

I sam nie wiedział, kiedy znalazł się przed Rzymskim hotelem. Wówczas serce poczęło mu bić nieco żywiej.

— Byłoby nieźle jednak — pomyślał — żebym ich nie zastał. Zostawiłbym kartę i później zobaczyłbym, czy Pławicki odda mi wizytę.

Lecz natychmiast powiedział sobie: „Nie tchórz!” — i wszedł. Dowiedziawszy się od portyera, że pan Pławicki jest w domu, posłał swoją kartę i po chwili poproszono go na górę.

Pan Pławicki siedział przy stole i pisał listy, pociągając od czasu do czasu dym z cybucha, zakończonego wielkim bursztynem. Na widok Połanieckiego podniósł głowę i, spojrzawszy na niego przez złote binokle, rzekł:

— Proszę, proszę!

— Dowiedziałem się od Bigiela, że państwo jesteście w Warszawie — rzekł Połaniecki — i przychodzę złożyć moje uszanowanie.

— Bardzo to pięknie z twojej strony — odrzekł Pławicki — i co prawda, tom się tego nie spodziewał. Rozstaliśmy się w bardzo przykry sposób i to z twojej winy. Ale ponieważ poczułeś się do obowiązku odwiedzenia mnie, więc ja, jako starszy, otwieram ci znowu ramiona.

Jednakże otwarcie ramion ograniczyło się tym razem do wyciągnięcia przez stół ręki, którą Połaniecki uścisnął, mówiąc sobie w duchu:

— Niech mnie licho porwie, jeśli ja tu do ciebie przyszedłem i jeśli względem ciebie poczuwam się do jakiegokolwiek obowiązku.

Po chwili spytał:

— Państwo przenosicie się do Warszawy?

— Tak jest. Ja stary wieśniak, przywykły do wstawania ze słońcem i do moich zajęć rolniczych... mnie ciężko będzie w waszej Warszawie. Ale nie godziło mi się więzić dziecka, więc zrobiłem tę jedną więcej ofiarę.

Połaniecki, który spędził dwie noce w Krzemieniu, przypomniał sobie, że pan Pławicki wstawał około jedenastej i że właściwie trudnił się interesami Krzemienia, nie jego rolą;

pominał to jednak milczeniem, albowiem głowę zajęta miał w tej chwili czem innym. Oto od numeru, który zajmował pan Pławicki, otwarte drzwi prowadziły do innego, w którym musiała mieszkać panna Marynia. Połanieckiemu, który zezował w kierunku tych drzwi od chwili wejścia, przyszło do głowy, że ona może nie chce do niego wyjść, więc spytał:

— A panny Maryni nie będę miał przyjemności zobaczyć?

— Marynia wyszła obejrząc mieszkanie, które znalazłem dziś rano. Przyjdzie zaraz, bo to o parę kroków. Wyobraź sobie, cacko, nie mieszkanko! Ja będę miał gabinet i sypialnię, Marynia także bardzo ładny pokoik... jadalny jest wprawdzie trochę ciemny, ale salonik, jak bombonierka...

Tu pan Pławicki przeszedł do opowiadania o mieszkaniu z obfitością słów dziecka, które coś bawi, lub starego wygodnisia, któremu uśmiecha się zmiana na lepsze. W końcu rzekł:

— Ledwom się obejrzał, jużem znalazł. Warszawka to moja stara przyjaciółka i znam ją dobrze.

Lecz w tej chwili ktoś wszedł do przyległego pokoju.

— To pewno Marynia — rzekł Pławicki.

I począł wołać:

— Maryniu, czy to ty?

— Ja — ozwał się młody głos.

— Chodźże tu; mamy gościa.

Panna Marynia ukazała się we drzwiach. Na widok Połanieckiego zdziwienie błysnęło na jej twarzy.

Połaniecki, wstawszy, skłonił się, a gdy zbliżyła się do stołu, wyciągnął ku niej na powitanie rękę. Ona podała mu swoją zarówno chłodno, jak grzecznie. Poczem zwróciła się do ojca, jak gdyby nikogo więcej nie było w pokoju.

— Widziałam mieszkanie — rzekła. — Ładne i wygodne; nie wiem tylko, czy ulica nie zbyt hałaśliwa.

— Wszystkie ulice są hałaśliwe — zauważył pan Pławicki. — To nie wieś.

— Przepraszam, pójdę zdjąć kapelusz — odrzekła panna Marynia.

I wróciwszy do swego pokoju, nie ukazywała się przez czas dość długi.

— Nie pokaże się więcej — pomyślał Połaniecki.

Lecz ona widocznie poprawiała tylko włosy przed lustrem po zdjęciu kapelusza, poczem weszła znowu i spytała:

— Nie przeszkadzam?

— Nie — rzekł Pławicki — nie mamy już ze sobą żadnych interesów, z czego, mówiąc nawiasem, rad jestem mocno. Pan Połaniecki przyszedł tylko z grzeczności.

Połaniecki poczerwieniał nieco i chcąc zmienić przedmiot rozmowy, rzekł:

— Wracam z Reichenhallu, przywożę pani ukłony od pani Chwastowskiej i od Litki, i to jest także jeden z powodów, dla których ośmieliłem się przyjść.

Na chwilę, ów chłodny spokój, który był na twarzy panny Maryni, znikł.

— Pisała mi Emilka o ataku Litki — rzekła. — Jakże ona się teraz ma?

— Drugiego nie było.

— Spodziewam się też znowu listu i może już przyszedł, ale go nie odebrałam, ponieważ Emilka adresowała prawdopodobnie do Krzemienia.

— To ci go odeślą — rzekł Pławicki. — Dałem polecenie, by wszystko, co przyjdzie, tu odsyłano.

— Państwo już nie powrócicie na wieś? — spytał Połaniecki.

— Nie; nie powrócimy — odrzekła panna Marynia, której oczy przybrały napowrót wyraz chłodnego spokoju.

Nastąpiła chwila milczenia. Połaniecki patrzył na młodą dziewczynę i zdawał się walczyć sam ze sobą. Jej twarz ciągnęła go z nieznaną mu dotąd siłą. Czuł coraz wyraźniej, że w takiej właśnie znalazłby największe upodobanie, że taką mógłby pokochać, że to jest jego typ kobiety wybranej — i tem bardziej jej chłód stawał mu się nieznośny. Dałby teraz Bóg wie co, by w tych rysach odnaleźć znów ten wyraz, który widział w Krzemieniu, to zajęcie się jego słowami i zasluchanie, tę zaciekawioną przezroczyście oczu pełnych uśmiechów; dałby Bóg wie co, żeby to wszystko wróciło, a nie wiedział, jaką drogą iść

do tego, powolną, czy prędką, więc dlatego się wahał. Wybrał nakoniec tę, która była zgodniejsza z jego naturą.

— Wiedziałem — rzekł nagle — jak pani kochała Krzemień, i mimo tego, być może, że przyczyniłem się do jego sprzedaży. Jeśli tak jest, to powiadam pani otwarcie, że tego najmocniej żałuję i nigdy żałować nie przestanę. Na swoją obronę nie mogę nawet powiedzieć, że to uczynił w uniesieniu i bez namysłu. Owszem, namyśliłem się, tylko namysł był zły i bezrozumny. Tem większa moja wina i tem bardziej proszę panią o przebaczenie.

To rzekłszy, wstał. Policzki mu zapłonęły, z oczu biła prawda i otwartość, ale słowa jego pozostały bez wrażenia. Połaniecki szedł błędną drogą. Zamało on znał kobiety wogóle, żeby mógł sobie zdać sprawę, jak dalece sądy ich, zwłaszcza o mężczyznach, bywają zależne od ich uczuć, zarówno chwilowych, jak stałych. Wszystko na mocy tych uczuć może być przyjęte za dobrą, lub złą monetę; wszystko tłómaczone na złe lub dobre, uznane za słuszne lub za fałszywe; głupota może być poczytaną za rozum, rozum za głupotę, egoizm za poświęcenie, poświęcenie za samolubstwo, grubiaństwo za otwartość, otwartość za brak delikatności. Mężczyzna, który w danej chwili budzi niechęć, nie może mieć dla kobiety słuszności, nie może być szczerym, nie może być sprawiedliwym, nie może być dobrze wychowanym. Owóż panna Marynia, czując do Połanieckiego od chwili przyjazdu Maszki do Krzemienia głęboką urazę i niechęć, wzięła mu teraz wprost za złe jego otwartość. Pierwszą jej myślą było: „Cóż to za człowiek, który uznaje za bezrozumne i złe to, co kilka dni temu zrobił z rozmysłem?...” Następnie Krzemień, jego sprzedaż, przyjazd Maszki i znaczenie tego przyjazdu, które odgadła, to była w niej jakby rana, która jątrzyła się coraz bardziej. I teraz zdawało jej się, że Połaniecki rozkrwawia tę ranę z całą bezwzględnością człowieka o szorstkiej naturze i grubych nerwach.

On wstał i, z oczyma w jej twarzy, czekał, czy się ku niemu nie wyciągnie przyjazna i przebacząca ręka, z jasnym poczuciem, że jedno takie wyciągnięcie dłoni może stanowić o jego losie; lecz jej oczy pociemniały na chwilę, jakby z bólu i gniewu, twarz zaś stała się jeszcze zimniejsza.

— Niech pan się tem nie kłopoce — odrzekła z lodowatą grzecznością. — Papa jest owszem bardzo rad z układu i z całego stosunku z panem Maszką.

To rzekłszy, wstała także, jakby rozumiejąc, że Połaniecki chce się pożegnać. On zatrzymał się jeszcze chwilę, zrażony, zawiedzony, pełen uczucia upokorzenia, jakiego doznaje zawsze człowiek, którego odepchnięto, wreszcie pełen urazy i tłumionego gniewu.

— Jeśli tak — odrzekł — to i ja niczego więcej nie pragnęłam.

— Ale tak! ale tak! — zrobiłem dobry interes — zakończył pan Pławicki.

Połaniecki wyszedł — i schodząc po kilka schodów od razu, z zaciśniętym na głowę kapeluszem, powtarzał sobie w duchu:

— Noga moja u was więcej nie postanie.

Czuł jednak, że gdy wróci do domu, to go zadławi gniew; ruszył więc przed siebie, nie myśląc o tem, gdzie go nogi poniosą. Zdawało mu się w tej chwili, że nie kocha Maryni, że ją nawet nienawidzi, ale jednak myślał o niej, i gdyby myślał spokojniej, zdałby sobie sprawę, że samo zobaczenie jej wstrząsnęło nim głęboko. Widział ją oto znowu, patrzył na nią, porównał z rzeczywistością ten jej obraz, który nosił w pamięci — i obraz, stawszy się przez to jeszcze wyraźniejszy, bardziej realnie ponętny, tem silniej działał na niego. I, mimo gniewu, w głębi jego duszy podnosiło głowę ogromne upodobanie i zachwyty. Istniały teraz dla niego jakby dwie Marynie: jedna potulna, przyjazna, zasłuchana i gotowa kochać, Marynia z Krzemienia; druga, ta lodowata panna z Warszawy, która go odrzuciła. Kobieta często zdwaja się tak w sercu męskiem, które wówczas najczęściej gotowe jest przebaczyć tej nieprzyjaznej dla tamtej kochanej. Połaniecki nie przypuszczał nawet, żeby Marynia potrafiła być taką, jaką dziś okazała się dla niego, z tego powodu w jego gniewie było jakby pewne zdziwienie. Znając swoją istotnie niezaprzeczoną wartość i będąc dostatecznie zarozumiałym, nosił w sobie przeświadczenie, do którego nie chciałby się przyznać sam przed sobą, że dość mu wyciągnąć rękę, by za nią pochwyciło. Tymczasem pokazało się inaczej. Ta potulna panna Marynia wystąpiła nagle nietylko w roli sędziego, który wydaje wyroki i potrafi potępić, ale zarazem i w roli jakby królowej, u której można być w łasce lub niełasce. Połaniecki nie mógł się z tą myślą oswoić i szamotał się z nią, ale taka jest natura ludzka, że gdy poznał, iż dla tej panny nie jest tak pożądanym, jak sądził, że ona nietylko nie ceni go zbyt wysoko, ale niżej od siebie samej,

wbrew niechęci, urazie, gniewowi, cena jej wzrosła w jego oczach. Jego miłość własna została zraniona, a z drugiej strony jego wola, istotnie silna, gotowa była porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je. Wszystkie te myśli krążyły teraz bezładnie w jego głowie, a raczej były to bardziej poczucia, niż myśli, poszarpane i same szarpiące. Powtarzał sobie stokroć, że wszystkiego poniecha, że musi i chce poniechać, a jednocześnie był dość słabym i małym, by w tej samej chwili, gdzieś w najtajniejszym kącie duszy, liczyć na przyjazd pani Emilii i na tę pomoc, jaką ów przyjazd mógł mu przynieść.

Pogrążony w tej duchowej rozterce, nie opamiętał się, aż w połowie Zjazdu. Wówczas zadał sobie pytanie: „Po licha ja szedłem na Pragę?” — i zatrzymał się. Dzień był pogodny i schylał się ku wieczorowi. Wisła płynęła poniżej w blasku, a za nią i za bliższymi kępami zieloności widać było rozległy kraj, zakryty na widnokręgu mgłą różową i sinawą. Hen, za temi mgłami, był Krzemień, który Marynia kochała i który straciła. Połaniecki, utopiwszy oczy w mgły, powiedział sobie:

— Ciekawym, coby zrobiła, żebym jej go oddał?

Lecz nie umiał sobie tego dokładnie wyobrazić, natomiast wyobraził sobie, że utrata tego kawałka ziemi była dla niej istotnie wielką przykrością — i zrobiło mu się jej żal. W tym żalu poczęła się rozplwąć jego uraza i przesłaniać się jakby mgłą. Sumienie jęło mu szeptać, że miał to, na co zasłużył.

Wracając, mówił sobie:

— Jednakże ja o tem wszystkim ciągle myślę.

I rzeczywiście tak było. Nigdy w najważniejszych sprawach pieniężnych nie doznawał ani pół takiego niepokoju, nigdy też nie pogrążył się w nie tak dalece. I znów przyszło mu na myśl to, co mówił Waskowski, że natura jego, jako Połanieckiego, nie zdolna jest włożyć całej duszy w robienie pieniędzy. Nigdy nie doświadczył równie jasnego poczucia, że mogą być sprawy od tego ważniejsze i po prostu bardziej pozytywne. Po raz drugi ogarnęło go pewne zdziwienie.

Była już blisko dziewiąta, gdy zaszedł do Bigiela. Bigiel, sam w obszernym, pustem mieszkaniu, siedział we drzwiach otwartych na ogrodową werandę i wygrywał na wiolonczeli, tak, że aż wszystko w domu drgało. Ujrawszy Połanieckiego, przerwał jakieś tremolo i spytał:

— Byłeś dziś u Pławickich?

— Byłem.

— Jakże panna?

— Jak karafka „frapowanej” wody. Na taki gorący dzień to przyjemność. Zresztą grzeczni ludzie.

— Przewidywałem to.

— Graj dalej.

Bigiel począł grać „Träumerei” i grając, przymykał oczy, lub podnosił je na księżyc. W ciszy muzyka zdawała się napełniać słodyczą dom, ogród i samą noc.

Gdy skończył, milczał przez chwilę, poczem rzekł:

— Wiesz co? Jak pani Emilia wróci, żona moja zaprosi ją do siebie na wieś, a z nią i pannę Pławicką. Może tam te lody między wami stopnieją.

— Zagraj jeszcze raz „Träumerei”.

Dźwięki ozwały się po raz drugi, spokojne i rozmarzone. I Połaniecki był zbyt młodym, by nie miał być również choć trochę marzycielem. Więc wyobraził sobie, że Marynia słucha z nim razem „Träumerei” z rękami w jego rękach, z głową na jego piersiach, kochająca bardzo i nad wszystko w świecie kochana.

X

Pan Pławicki był jednak człowiekiem co się nazywa dobrze wychowanym, albowiem trzeciego dnia oddał wizytę Połanieckiemu. Oddał ją nie drugiego, taka bowiem skwapliwość oznaczałaby chęć utrzymania blizkich stosunków, i nie czwartego, albo piątego, byłoby to bowiem dowodem braku znajomości zwyczajów światowych, tylko w terminie najwłaściwszym i jedynie wskazanym przez przykazania „savoir vivre”. Pan Pławicki szczycił się całe życie znajomością tych przykazań oraz właściwych im odcieni i zachowywanie

ich uważał za najwyższą mądrość ludzką. Jako człowiek wyrozumiały, pozwalał wprawdzie istnieć i innym gałęziom wiedzy, pod warunkiem wszelako, żeby się nie przeceniały, a zwłaszcza, by nie miały pretensji narzucania się ludziom prawdziwie dobrze wychowanym.

Połaniecki, dla którego wszystko było pożądanem, co nawiązywało jakąkolwiek nić dalszych stosunków z panną Marynią, z trudnością potrafił ukryć radość, jaką mu sprawiło przybycie pana Pławickiego. Radość ta odbiła się też w uprzejmem i pełnym dobrego humoru przyjęciu. Musiał on zresztą podziwiać pana Pławickiego i wpływ, jaki na niego uczyniło miasto. Czupryna jego lśniła się, jak skrzydła krucze, małe wąsiki sterczały do góry, walcząc o lepsze pod względem barwy z czupryną, biała kamizelka okrywała wysmukłą pierś, pąsowy zaś gwoździak przy czarnej żakietce dodawał jakiegoś świątecznego blasku całej postaci.

— Pod słowem, nie poznałem wujaszka w pierwszej chwili! — zawołał Połaniecki. — Myślałem, że jaki młodzik wchodzi.

— Bonjour, bonjour! — odpowiedział pan Pławicki. — Chmurny dzień, trochę tu ciemno, i chyba dlatego wziąłeś mnie za młodzika.

— Chmurno, czy jasno — co to za figura! — odpowiedział Połaniecki.

I, chwyciwszy bez ceremonii w bok pana Pławickiego, począł nim obracać i mówić:

— Talia zupełnie jak u panny. Chciałbym mieć taką!

Pan Pławicki, mocno zgorzony tak bezceremonialnym powitaniem, ale zarazem jeszcze mocniej uradowany tym podziwem, jaki wzbudzała jego postać, mówił, broniąc się:

— Voyons! Waryat jesteś. Mógłbym się pogniewać! Waryat jesteś.

— Ale wujaszek nazawraca głów, ile sam zechce.

— Co powiadasz? — spytał pan Pławicki, sadowiac się w fotelu.

— Powiadam, że wujaszek przyjechał tu na podboje...

— Nie myślę o tem wcale. Waryat jesteś!

— A pani Jamiszowa? Albo to nie widziałem na własne oczy...

— Co?

Tu pan Pławicki przymknął jedno oko i wysunął koniec języka, ale trwało to chwilkę tylko, poczem podniósł brwi i rzekł:

— Widzisz, Jamiszowa?... Dobre to na Krzemień... Między nami, nie znoszę afektacyi, bo to zawsze trąci prowincyą. Niech Jamiszowej Pan Bóg nie pamięta, ile mnie ona namęczyła swoją afektacyą. Kobieta powinna mieć odwagę zestarzyć się — wtedy stosunek kończy się przyjaźnią, inaczej zaś staje się niewolą.

— I wujaszek czuł się motylem w pętach?

— Tylko nie mów tak — odrzekł z godnością pan Pławicki — i nie wyobrażaj sobie, żeby coś między nami było. Gdyby też i było, nie usłyszałbyś odemnie o tem ani słowa. Wierz mi, jest wielka różnica między wami, a nami z poprzedniego pokolenia. My nie byliśmy może świętymi, ale umieliśmy milczeć, a to jest wielka cnota, bez której to, co się nazywa prawdziwym szlachectwem, nie istnieje.

— Z tego wnoszę, że mi się wuj nie przyzna, gdzie odemnie pójdzie z tym czerwonym gwoździkiem przy wyłogu.

— Owszem, owszem... Maszko dziś prosił na śniadanie mnie i kilka innych osób. Z początku odmówiłem, nie chcąc zostawić Maryni samej... Ale nasiedziałem się dla niej tyle na wsi, że istotnie należy mi się trochę rozrywki. A ty nie jesteś proszony?

— Nie.

— To mnie dziwi. Jesteś, jak sam powiadasz, „aferzystą,” ale nosisz porządne nazwisko. Maszko zresztą sam jest adwokatem... Wogóle jednak powiem ci, iż nie myślałem, żeby on potrafił się tak postawić.

— Maszko potrafi postawić się nawet na głowie...

— Bywa wszędzie, wszyscy go przyjmują... A ja miałem niegdyś do niego uprzedzenie.

— A teraz wuj nie ma uprzedzenia?

— Muszę przyznać, że ze mną postępował w całej tej sprawie z Krzemieniem, jak gentleman.

— Panna Marynia jest tego samego zdania?

— Zapewne... chociaż myślę, że jej ten Krzemień leży na sercu... Dla niej to zrobiłem, żem się go pozbył, ale młodość nie wszystko potrafi zrozumieć. Zresztą wiedziałem o tem

i gotów jestem znieść każdą przykrość ze spokojem. Co do Maszki... zapewne!... Ona nie może mu nic zarzucić. Kupił Krzemień, to prawda, ale...

— Ale gotów go oddać?...

— Ty należysz do rodziny, więc, między nami mówiąc, myślę, że tak jest... Jego Marynia zajęła bardzo, jeszcze za naszego poprzedniego pobytu, ale to jakoś nie szło. Dziewczyna była za młoda — nie dość jej się podobał, ja sam, trochę się krzywiłem, bo mnie uprzedzono co do jego rodziny. Bukacki ostrzył sobie na nim zęby — ot i skończyło się na niczem...

— Nie skończyło się, skoro się rozpoczyna na nowo.

— Bom się przekonał, że on pochodzi z bardzo dobrej rodziny, niegdyś włoskiej... Oni się kiedyś nazywali Masco — i przyszli tu z Boną, a potem osiedli na Białorusi. On, jeśliś zauważył, ma nawet trochę twarz włoską.

— Nie, on ma portugalską.

— To już wszystko jedno... Ostatecznie, pomyśl: sprzedać Krzemień, a jednak go mieć — to nie lada głowa wymyśli... Co do Maszki — tak! Sądzę, że taki jest jego zamiar, ale Marynia, to dziwna dziewczyna. Przykro to mówić, ale człowiek prędzej potrafi zrozumieć obcego, niż własne dziecko. Jeśli ona sobie jednak powie: „Paris vaut la messe,” jak to powiedział Talleyrand...

— A? Ja myślałem, że to powiedział Henryk IV?

— Bo ty jesteś „aferzysta,” człowiek nowych czasów. Wam, młodym, historia i stare dzieje nie w smak, wolicie robić pieniądze... Wszystko tedy zależy od Maryni, a ja nie będę przynaglał; nie będę, bo ostatecznie, przy naszych stosunkach, może się jej jeszcze lepsza partya trafić. Trzeba będzie trochę wejść między ludzi i odszukać dawnych znajomych. Trud to tylko i umęczenie, ale co trzeba, to trzeba. Myślisz, że ja z przyjemnością idę na to śniadanie? Nie! ale muszę trochę i młodzieży przyjmować. Spodziewam się też, że nie będziesz o nas zapominał...

— Nie, nie będę...

— Wiesz, co mi o tobie powiedzieli? że ty dyabło robisz pieniądze. No! no! nie wiem w kogo się wdajesz — nie w ojca! W każdym razie, nie ja ci to będę ganił, nie, nie!... Dusileś mnie bez miłosierdzia, obszedłeś się ze mną, jak wilk z jagnięciem, ale jest w tobie coś, co mi się podoba, mam do ciebie jakąś słabość.

— I wzajemnie! — rzekł Połaniecki.

Rzeczywiście, pan Pławicki nie kłamał. Miał on instynktowną cześć dla majątku i ten młody człowiek, który go robił, wzbudzał w nim pewien podziw, graniczący z sympatią. To nie był pierwszy lepszy biedny krewniak, któryby potrzebował pomocy, i dlatego pan Pławicki, choć na razie nie miał względem niego żadnych wyrachowań, postanowił zachować z nim stosunki.

Pod koniec wizyty począł się jeszcze oglądać po pomieszkaniu.

— Pięknie mieszkasz! — rzekł.

Była to także prawda. Połaniecki miał tak przygotowane mieszkanie, jakby się miał żenić. Samo urządzenie go w ten sposób sprawiało mu przyjemność, albowiem dawało jakiś pozór rzeczywistości jego pragnieniom.

Pławicki też, rozejrzawszy się po salonie, za którym widać było drugi, mniejszy, urządzony nader wykwintnie, spytał:

— Czemu ty się nie żenisz?

— Zrobię to, jak będę mógł najprędzej.

Pan Pławicki uśmiechnął się domyślnie i, klepiąc po kolanie Połanieckiego, począł powtarzać:

— I wiem z kim, i wiem z kim!...

— To mi głowa! — zawołał Połaniecki — ukrywajże tu co przed takim dyplomata.

— Aha! co... Z wdówką? z wdówką — co?

— Kochany wujaszek!...

— Co? Niech ci Bóg błogosławi, jak ja błogosławię. A teraz ruszam, bo czas na śniadanie, a wieczorem koncert w Dolinie.

— W kompanii z Maszką?

— Nie, z Marynią — ale i Maszko będzie.

— Wybieram się i ja z Bigielem.

— A to się zobaczymy. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze może.

— Jak powiedział Talleyrand...

— Więc do widzenia.

Połaniecki lubił czasem muzykę, ale nie wybierał się wcale na koncert, gdy mu jednak Pławicki o tem wspomniał, chwyciła go chęć zobaczenia Maryni. Po odejściu Pławickiego, namyślał się jeszcze czas jakiś, czy iść, czy nie iść, ale, możnaby rzec, dla formy, albowiem z góry wiedział, że nie wytrzyma i pójdzie. Bigiel, który przyszedł do niego na konferencyę handlową po południu, z łatwością dał się namówić i koło czwartej znaleźli się w Dolinie. Dzień, jakkolwiek wrześnieowy, był tak ciepły i pogodny, że ludzie zgromadzili się licznie i całe zgromadzenie miało pozór letni. Wszędy mnóstwo jasnych sukien, jasnych parasolek i młodych kobiet, które wyroiły się, jak kolorowe motyle, przygrzane słońcem. Między tym rojem, przeznaczonym do kochania, albo też kochanym i kochającym, zgromadzonym tu zarówno dla muzyki, jak w poszukiwaniu miłości, miała się znajdować i Marynia. Połanieckiemu przypomniały się czasy studenckie, gdy kochał się w nieznanym i wyszukiwał ich w tłumie, myśląc się co chwila z powodu podobieństwa kapeluszy, włosów, ogólnej postawy. I teraz zdarzyło mu się wziąć z daleka za Marynię kilka osób, mniej lub więcej do niej podobnych; i teraz, jak dawniej, za każdym razem, w którym sobie mówił: „To ona!” doznawał tych dziwnych drgań koło serca, tego niepokoju, jakiego doświadczał dawniej. Dziś jednak brała go złość, bo wydawało mu się to śmiesznem, a przytem czuł, że takie poszukiwania spotkań i widzeń, pochłaniając człowieka i skupiając jego myśl na jednej istocie, zwiększają zajęcie, jakie ona budzi i tem bardziej do niej przykuwają.

Tymczasem orkiestra poczęła grać, zanim mógł odnaleźć tę, której w tłumie upartywał. Trzeba było się i słuchać, co czynił z przymusem, niecierpliwiać się w duszy na Bigiela, który słuchał bez ruchu, z przymkniętymi oczyma. Po skończeniu numeru, dojrzał wreszcie błyszczący cylinder i czarne wąsiki pana Pławickiego, a za nimi profil Maryni. Trzeci siedział Maszko, spokojny, pełen dystynkcji, z miną angielskiego lorda. Chwilami przemawiał do Maryni, a ona zwracała się ku niemu, potakując lekko głową.

— Pławiccy tu są — rzekł Połaniecki — trzeba się pójść przywitać.

— Gdzie ich widzisz?

— Ot, tam, z Maszką.

— A prawda. Pójdźmy.

I poszli. Panna Marynia, która lubiła panią Bigielową, powitała Bigiela bardzo serdecznie, Połanieckiemu zaś skinęła głową nie tak zimno, by to mogło zwrócić czyjąkolwiek uwagę, lecz poczęła rozmawiać z Bigielem, wypytując o zdrowie żony i dzieci. On, w odpowiedzi, ją zapraszał i ją i ojca bardzo gorąco, żeby odwiedzili ich w przyszłą niedzielę na letniem mieszkaniu.

— Moja żona będzie szczęśliwa, bardzo szczęśliwa! — powtarzał. — Może też i pani Emilia przedtem przyjedzie...

Marynia próbowała odmówić, ale pan Pławicki, który chciał się bawić, a z poprzedniego pobytu w Warszawie wiedział, że Bigielowie żyją dostatnio — przyjął. Stało na tem, że przyjadą na obiad, a powrócą wieczorem. Była to wycieczka łatwa, bo willa Bigielów leżała o jedną stację kolei.

— Tymczasem siadajcie koło nas — rzekł pan Pławicki — właśnie obok nas jest kilka krzeseł próżnych.

Przedtem jednak Połaniecki zwrócił się do Maryni:

— Pani nie miała wiadomości od pani Chwastowskiej?

— Chciałam właśnie spytać, czy pan nie miał — odrzekła.

— Nie, ale jutro spytam depeszą o Litkę.

I rozmowa urwała się. Bigiel usiadł koło pana Pławickiego, Połaniecki zaś na kraju. Marynia zwróciła się znów do Maszki, tak że Połaniecki mógł widzieć tylko jej profil i to niezupełny. Zdawało mu się, że nieco zmizerniała, a przynajmniej cera jej stała się po kilku tygodniach pobytu w mieście bledszą i delikatniejszą, przez co długie jej rzęsy wydawały się cienistsze i bardziej wyraźne. Cała jej postać była jakby bardziej wykwintną, do czego przyczyniał się staranny ubiór i równie staranne uczesanie, którego sposób był inny, niż dawniejszy. Dawniej nosiła włosy związane niżej, teraz były one upięte modniej, to jest

wysoko pod kapeluszem. Połaniecki ogarniał oczyma jej wysmukłą postać, podziwiając całą duszą jej wdzięk, widny we wszystkim, nawet w trzymaniu ręki na kolanach. Wydała mu się bardzo piękna. Odczuł znów z wielką siłą, że jeśli każdy mężczyzna nosi w sobie swój typ kobiecego uroku, który jest miarą wrażenia, jakie dana kobieta na nim sprawia — to ona jest tak bliską tego typu, że prawie z nim tożsamą. I patrząc na nią, mówił sobie w duszy:

— Ach, taką mieć żonę, taką mieć żonę!

Lecz ona zwracała się do Maszki. Może nawet zwracała się zanadto, i gdyby Połaniecki zachował całą zimną krew, mógłby pomyśleć, że czyni to umyślnie, dlatego, by jemu czynić na złość. I prawdopodobnie tak było. Rozmowa musiała być ożywiona, gdyż przez jej twarz przelatywały od czasu do czasu lekkie kolory.

— Ależ ona go po prostu kokietuje!... — myślał, ściskając zęby, Połaniecki.

I chciał koniecznie usłyszeć, co mówią. Było to jednak trudno. Publiczność w czasie długiej pauzy zachowywała się dość gwarnie. Maryni Połaniecki, przedzielony dwiema osobami, nie mógł wcale słyszeć, natomiast po skończonym nowym numerze usłyszał urwane słowa i zdania Maszki, który miał zwyczaj mówić z przyciskiem, chcąc przez to nadać większą wagę każdemu słowu.

— Ja go lubię — mówił Maszko. — Każdy ma swoje słabości — jego słabością są pieniądze... Wdzięczny mu jestem, bo on mnie namówił... do Krzemienia... Myślę przytem, że jest pani szczerze życzliwy, bo nie szczędził... — ...I wyznaję, że pobudził moją ciekawość...

Marynia odpowiedziała coś na to z wielkim ożywieniem, poczem Połaniecki znów dosłyszał koniec odpowiedzi Maszki:

— Charakter jeszcze niewyrobinony i inteligencja może mniejsza, niż energia, ale natura raczej dobra...

Połaniecki doskonale rozumiał, że to o nim mówią — i również dobrze zdał sobie sprawę z taktyki Maszki. Sądzić niby wyrozumiale i bezstronnie, raczej chwalić, lub przynajmniej przyznawać różne przymioty, a jednocześnie obdzierać z wszelkiego uroku, był to znany sposób młodego adwokata. Przez to wznosił się sam na stanowisko sędziego, wyjątkowe i wyższe. Połaniecki wiedział też, że Maszko mówił to nie tyle w chęci poniżenia jego, ile wywyższenia siebie, i że, prawdopodobnie, mówiłby tak samo o każdym innym młodym człowieku, w którym podejrzewałby możliwego współzawodnika.

Była to ostatecznie taktyka, którą może sam Połaniecki byłby się w danym razie posługiwał, co nie przeszkadzało, że w tej chwili poczytał ją Maszce za szczyt przewrotności i postanowił mu za nią zapłacić, byle zdarzyła się sposobność.

Pod koniec koncertu mógł jeszcze zauważyć, jak dalece Maszko wchodzi w rolę starającego się. Gdy panna Marynia, chcąc zawiązać woalkę, zdjęła rękawiczki, a te stoczyły się z jej kolan, Maszko podniósł je i zatrzymał, wraz z parasolką, przyczem zdjął z poręczy krzesła jej pelerynkę i przewiesił sobie przez ramię, by ją jej podać w chwili wyjścia z ogrodu — słowem, całkowicie był nią zajęty, jakkolwiek i w tem zachowywał zimną krew i takt człowieka prawdziwie światowego.

Zdawał się przytem pewny siebie i szczęśliwy. Jakoż Marynia, prócz krótkiej rozmowy, poświęconej Bigielowi, przez resztę czasu, o ile nie słuchała muzyki, rozmawiała tylko z Maszką. Gdy ruszyli ku wyjściu, szła przed ojcem z nim razem, i znów Połaniecki widział uśmiechnięty jej profil, zwracający się ku Maszce. Rozmawiając, patrzyli sobie w oczy. Twarz jej była ożywiona, a jej uwaga skupiona wyłącznie na tem, co on mówił. Rzeczywiście kokietowała Maszkę. On sam widział to, nie przypuszczając zresztą, mimo swego sprytu, ani na chwilę, że mogła tak czynić tylko dla drażnienia Połanieckiego.

Przed wejściem czekał powóz, do którego Maszko podsadził ją i starego Pławickiego, sam zaś począł się żegnać. Lecz Marynia, przechyliwszy się ku niemu, rzekła:

— Jakże? Papa przecie prosił pana? Prawda, papo?

— Takeśmy się umówili — rzekł pan Pławicki.

Maszko siadł — i odjechali, zamieniwszy ukłony z Bigielem i Połanieckim. Dwaj przyjaciele szli dość długi czas w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł, udając spokój w głosie:

— Ciekawym, czy oni już są narzeczeni?

— Nie przypuszczam — rzekł Bigiel — ale do tego idzie.

— To i ja widzę.

— Myślałem, że Maszko będzie szukał majątku. Ale on jest rozkochany. To się może nawet trafić takiemu, który myśli tylko o karierze... Maszko jest rozkochany. Przytem, wzięwszy ją, uwolni się od wyplat za Krzemień. Nie! to nawet i interes nie jest tak zły, jak się zdaje... A panna jest bardzo ładna, co prawda, to prawda!...

I znów umilkli. Połanieckiemu jednak było tak ciężko, że nie mógł wytrzymać.

— Powiem ci otwarcie — ozwał się — to jest dla mnie po prostu męka ta myśl, że ona za niego wyjdzie... I ta bezradność! Wolę wszystko, niż taką bezradność. Jaką ja śmieszną i głupią rolę odegrałem w całej tej sprawie!

— Zapędziłeś się, a to się każdemu może trafić. To jest raczej wina tego dziwnego zbiegu okoliczności, że byłeś wierzycielem jej ojca. Ty masz zupełnie inne pojęcia o takich sprawach, niż on... jesteście ludzie z dwóch różnych planet — więc nieporozumienie było gotowe. Tyś może postawił rzecz za ostro, ale jak się zastanowię nad wszystkim, to nie mogłeś być zbyt miękkim, nawet ze względu na pannę Pławicką. Czyniąc zbyt wielkie ustępstwa, czyniłbyś je dla niej — nieprawda? Więc cóżby z tego wypadło? Oto, że ona pomaga ojcu w wyzyskiwaniu ciebie. Nie, tę sprawę należało skończyć.

Tu roztropny Bigiel przystanął na chwilę, zastanowił się i rzekł:

— A co do twojej roli to jest jedno wyjście: usunąć się zupełnie, zostawić rzeczy ich biegowi i powiedzieć sobie, że wszystko idzie po twojej myśli.

— Co mi pomoże — zawołał gwałtownie Połaniecki — że sobie to powiem, kiedy nie idzie! nie idzie! Idzie przeciw myśli... A że mi jest głupio, niema i na to rady. Jakże? Naprzód sam to wszystko zrobiłem, a teraz chciałbym odrobić? Ja całe życie wiedziałem, czego chciałem, a w tym razie działałem, jakbym nie wiedział.

— To są przejścia, o których się zapomina.

— Dobrze, mój kochany, ale tymczasem upada interes do życia. Myślisz, że mnie to obchodzi dzisiaj, tak jak dawniej, czy będę zdrow, czy chory, bogaty lub goły? Czczo mi się robi na samą myśl o przyszłości. Ty jesteś ustalony i związany z życiem, ale co ja? Ot, był widok, i już go niema. Przecie to ogromnie zniechęca!

— Ostatecznie, nie jedna panna Pławicka na świecie.

— Co tu gadać! Teraz ona jedna, bo żeby była jaka druga, tobym o tej drugiej myślał. Co tu gadać! Cała rzecz i cała zgryzota w tem, że ona jedna. Za rok może mi dachówka na głowę zlecieć, albo może znajdzie inną, ale tego, co będzie jutro — nie wiem, a że mnie dziś licho bierze, to wiem. To się wiąże we mnie i z innymi rzeczami, o których dziś nie chcę mówić. W życiu zewnętrznym trzeba mieć spokojny chleb — prawda? Otóż w życiu wewnętrznym tak samo. I to pilna sprawa, ale widzisz, ja ją odkładam do ożenienia się, bo to rozumiem, że nowe warunki wyrabiają nowy sposób myślenia, i zresztą chcę skończyć z jednym, nim zacznę drugie. A tu się wszystko tak gmatwa! — i nietylko gmatwa, ale znika! Ledwo się coś zjawi, już niknie. Tak jest i teraz. Żyje się w niepewności. Ot, wolałbym, żeby już byli narzeczonymi, bo w takim razie wszystkoby się skończyło samo przez się.

— Ja ci tylko powiem jedno — rzekł Bigiel — jakem był dzieckiem i zdarzyło mi się czasem wbić sobie drzazgę, to mnie daleko mniej bolało, gdy ją sobie sam wyciągnąłem, niż gdy mi to zrobił ktoś drugi.

— W tem masz słuszność! — rzekł Połaniecki.

Lecz po chwili dodał:

— Tylko, widzisz, drzazgę można wyciągnąć, jeśli nie za głęboko wlaźła i jeśli się da uchwycić. Zresztą, co są porównania! Z wyciągniętą drzazgą nic nie tracisz, a mnie się widok na przyszłość psuje.

— To prawda, ale jeśli niema innej rady...

— Kto nie jest niedołęgą, na to właśnie ciężko mu się zgodzić.

Rozmowa ustała. Dopiero z chwilą, gdy się zaczęli żegnać, Połaniecki rzekł:

— Wiesz co? Wolę nie być u was w niedzielę.

— Może i dobrze zrobisz — odpowiedział Bigiel.

XI

W domu czekała Połanieckiego niespodzianka, zastał bowiem depeszę od pani Chwastowskiej, zawierającą następujące słowa: „Wracam jutro rano, Litka dobrze!” Powrót ten był niespodziany, a przynajmniej nadzwyczaj przyspieszony, że zaś depesza zawierała zapewnienie co do zdrowia Litki, Połaniecki więc zrozumiał, że pani Emilia wraca tylko dlatego, by się zająć jego sprawą. I na tę myśl serce wezbrało mu wdzięcznością. „Ot, to jest pocziwa natura — mówił sobie — to przyjaciółka!...” I obok wdzięczności wezbrała mu w sercu taka nadzieja, tak, jakby pani Emilia posiadała czarodziejski pierścień, lub magiczną laskę, za pomocą której mogła zmienić w jednej chwili serce panny Maryni. Połaniecki nie widział jasno, jak się to robi, ale wiedział, że przynajmniej ktoś, bardzo życzliwy, będzie za nim przemawiał, będzie go usprawiedliwiał, będzie podnosił jego serce i charakter, a zmniejszał uprzedzenia przeciw niemu, nagromadzone biegiem zdarzeń. Liczył, że pani Emilia będzie w tem bardzo wytrwała, i że będzie to dla niej kwestią obowiązku. Człowiek, któremu coś dokucza, rad szuka tych, na którychby mógł złożyć za to odpowiedzialność. Tak i Połanieckiemu, zwłaszcza w chwilach wezbrania goryczy, wydawało się, że pani Emilia jest także odpowiedzialną za jego stosunek do panny Maryni, gdyby bowiem nie była pokazała owego listu, z którego widać było gotowość panny Maryni do pokochania go — to on byłby jeszcze zdołał odczepić od niej i myśl i serce. Może poniekąd i było tak, gdyż w historii jego uczucia list ten odegrał rzeczywiście ważną rolę. On mu pokazał, jak szczęście było blizkie i prawie już realne, jak dalece ona w myśli oddawała mu już serce i duszę. Najtrudniej jest porzucić szczęście, które nietylko jest upragnione, ale i zaczęte — i gdyby nie ów list, może istotnie Połaniecki mniejby żałował przeszłości, łatwiej zapomniał i łatwiej się zgodził z położeniem. Teraz nie pamiętał, że to on sam wymógł na pani Chwastowskiej pokazanie owego listu, uważał tylko, mimo całej przyjaźni i wdzięczności dla niej, że ona powinna go wspomagać ze wszystkich sił. Zresztą rozumiał, że tak się będzie działo samo przez się; spodziewał się często widywać pannę Marynię, i to w warunkach dla siebie najkorzystniejszych, albowiem w domu, w którym go kochano, ceniono i w którym podobne uczucia musiały się udzielać każdemu z gości. Wszystko to wzmogło nadzieję Połanieckiego z nową siłą, ale wzmagając nadzieję, dodało nowe ogniwa do tych, które łączyły jego myśli z Marynią. Poprzednio był sobie obiecał, że nie będzie u Bigielów, teraz zmienił postanowienie, przypuszczając, że jeśli tylko zdrowie pozwoli, pani Emilia także weźmie udział w tej wycieczce. A swoją drogą, poza tymi wszystkimi powodami, związanymi z panną Marynią, rad był z całej duszy, że zobaczy te kochane twarze, tak pani Emilii, jak i Litki, która dotychczas była największym jego przywiązaniem w życiu.

Tegoż jeszcze wieczora napisał parę słów do pana Pławickiego o przyjeździe, przypuszczając, że mu panna Marynia będzie wdzięczna za tę pośrednią wiadomość; dał znać do mieszkania pani Emilii, by nazajutrz czekali z herbatą, i zamówił wygodny powóz, by odwieźć nim te panie do domu. Nazajutrz o piątej był już na kolei.

W oczekiwaniu na pociąg, począł biegać szybkim krokiem wzdłuż peronu, by się nieco rozgrzać, albowiem ranek był chłodny. Dał, budynki kolejowe i wagony, stojące na bliższych liniach, tonęły w mgłę, która, bardzo gęsta przy ziemi, w górze czyniła się różowa i świecąca, zwiastując, że dzień będzie pogodny. Na peronie, prócz urzędników i służby, nie było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, nikogo; zwolna jednak ludzie poczynali napływać. Nagle przed Połanieckim wysunęły się z mgły dwie postacie, z których w jednej poznał z biciem serca Marynię, która z panną służącą pośpieszyła powitać panią Emilię. Nie spodziewając się takiego spotkania, w pierwszej chwili zmieszał się mocno. Ona również zatrzymała się, jakby zdziwiona lub zakłopotana. Po chwili jednak zbliżył się i wyciągnął ku niej rękę.

— Dzień dobry pani! — rzekł — i prawdziwie będzie dla nas obojga dobry, jeśli nasze podróżniczki przyjadą.

— Więc to jeszcze niepewne? — spytała Marynia.

— Jakto? chybaby zaszło coś niespodziewanego. Miałem wczoraj depeszę i posłałem wiadomość panu Pławickiemu, w tej myśli, że pani ucieszy się z nowiny.

— Dziękuję. Taka miła niespodzianka!...

— Najlepszy dowód, że pani tak rano wstała.

— Jeszczem się nie odzwyczała.

— I oboje przyszliśmy zawczasie. Pociąg nadejdzie dopiero za pół godziny. Tymczasem radzę pani nie stać, ale chodzić, bo ranek chłodny, choć dzień zapowiada się śliczny.

— Mgła opada — rzekła Marynia, podnosząc ku górze swoje niebieskie oczy, które Połanieckiemu wydały się w porannem świetle fioletowe.

— Zechce pani przejść się po peronie?

— Dziękuję panu. Wolę zaczekać w sali.

I skinąwszy głową, odeszła. Połaniecki począł znów latać śpiesznymi krokami po peronie. Było mu nieco przykro, że nie chciała z nim zostać, ale tłómaczył sobie, że to może nie wypadalo, a jeszcze większą pociechę napelniała go myśl, jak dalece przyjazd pani Emilii będzie sam przez się ich zbliżał i ile sprowadzi spotkań. Dziwna jakaś otucha i dobry humor wzrastały w nim z każdą chwilą. Myślał o fioletowych oczach Maryni, o jej twarzy, zaróżowionej porannym chłodem, i przelatując koło okien sali, w której ona siedziała, mówił sobie prawie wesoło:

— Aha! siedź tam, chowaj się! Znajdę ja cię!

I czuł z większą siłą, niż kiedykolwiek, jak bardzo mogłaby mu być drogą, gdyby chciała być choć trochę dobrą.

Tymczasem zadzwoniono i po kilku minutach we mgle, która jeszcze przy ziemi trzymała się gęsto, choć niebo nad nią było już błękitne, ukazały się mętne zarysy pociągu, który, w miarę zbliżania się, czynił się coraz wyraźniejszy. Lokomotywa, oddychając przerywanymi kłębami dymu, wtoczyła się coraz wolniejszym ruchem na stację i, stanąwszy, poczęła z szumem i sykiem wyrzucać niepotrzebną już resztę pary pod przednie koła.

Połaniecki skoczył do sleepingu — pierwsza bowiem twarz, jaka mignęła mu w szybie, była twarz Litki, która na jego widok rozjaśniła się, jakby na nią padł promień słońca. Rączki dziewczynki poczęły też poruszać się radośnie, kiwając na Połanieckiego, który w jednej chwili był w wagonie.

— Moje kociątko najmilsze! — zawołał, chwytając dłonie Litki — a wyspane? a zdrowe?

— A zdrowam! i wróciliśmy! I będziemy razem — i dzień dobry, panie Stachu!

Tuż za nią stała pani Emilia, której „pan Stach” ucałował rękę bardzo serdecznie i począł mówić tak prędko, jak się zwykle mówi w chwilach powitania:

— Dzień dobry drogiej pani. Mam powóz. Mogą panie zaraz jechać; mój służący odbierze rzeczy, proszę tylko o kwit. W domu czekają z herbatą. Proszę o kwit. Panna Pławicka jest tu także.

Panna Pławicka czekała istotnie przed wagonem i obie z panią Emilią poczęły ściskać sobie ręce z twarzami pełnymi uśmiechów. Litka patrzyła przez chwilę na pannę Marynię, jakby wahając się, potem jednak i ona rzuciła się jej na szyję ze zwykłą dawniejszą serdecznością.

— Maryniu, pojedziesz z nami na herbatę — mówiła pani Emilia. — Nas czekają, a ty musisz być naczco. Dobrze? prawda?

— Jesteście pewno zmęczone, jechałyście całą noc.

— I spałyśmy od granicy, jak zabite, a zbudziwszy się, miałyśmy czas ubrać się i umyć. W każdym razie musimy wypić herbatę, więc nam nic nie przeszkodzi.

— Zatem dobrze. Z największą radością.

Lecz Litka poczęła ciągnąć za suknię matki.

— Mamusiu, a pan Stach?

— Ale naturalnie, że i pan Stach także. On myślał o wszystkim, dzięki jemu znajdziemy wszystko przygotowane, więc musi z nami jechać.

— Musi! musi! — zawołała Litka, zwracając się ku niemu.

A on począł się przekamarzać:

— Otóż nie musi, ale chce.

I po chwili wszyscy czworo siedzieli w powozie. Połaniecki był w wybornym humorze, mając naprzeciw Marynię, a przy sobie małą Litkę. Zdawało mu się, że jasność poranku wchodzi w niego i że zaczynają się dla niego lepsze dni. Czuł, że odtąd będzie należał do małego kółka istot, związanych z sobą życiem towarzyskiem i przyjaźnią, w tem zaś kółku będzie i Marynia. Oto już teraz siedziała naprzeciw niego, bliska jego oczu, i bliska przyjaźnią, jaką oboje czuli dla pani Emilii i Litki.

Tymczasem wszyscy czworo rozmawiali wesoło.

— Co się stało, Emilko — pytała Marynia — żeś przyjechała wcześniej?

— Litka tak codzień prosiła, żeby wracać!

— Nie lubisz zagranicy? — pytał Połaniecki.

— Nie.

— Tęskniłaś za Warszawą?

— Tak.

— A za mną? co? Mów zaraz, bo będzie źle!

Litka spojrzała na matkę, na Marynię, na Połanieckiego i wreszcie odrzekła:

— I za panem Stachem także.

— Masz za to! — rzekł Połaniecki.

I, porwawszy jej rączkę, usiłował ją pocałować, a ona broniła się, jak mogła.

Wreszcie pochowała rączki, on zaś, zwróciwszy się do Maryni i okazując swoje zdrowe, białe zęby, rzekł:

— Bo widzi pani, my ciągle wojujemy, ale się lubimy.

— Tak zwykle bywa — odrzekła panna Marynia.

A on popatrzył jej w oczy szczerze i prosto:

— Ej, żeby to tak zwykle bywało!

Panna Marynia zarumieniła się zlekka i spoważniała, lecz nie odrzekła nic i poczęła rozmawiać z panią Emilią.

Połaniecki zaś zwrócił się do Litki:

— A gdzie profesor Waskowski? Pojechał do Włoch?

— Nie. Został w Częstochowie i pojutrze wraca.

— Zdrows?

— Zdrows.

Tu dziewczynka popatrzyła na swego przyjaciela i rzekła:

— Ale pan Stach schudł, mam, prawda?

— Istotnie pan zmizerniał — rzekła pani Emilia.

Połaniecki był nieco zmieniony, bo źle spał, a przyczyna jego bezsenności siedziała przed nim w powozie. Lecz począł się tłómaczyć kłopotami i pracą w biurze. Tymczasem zajechali przed mieszkanie pani Emilii.

Przez chwilę, gdy pani Emilia poszła witać się ze służącymi, a Litka wybiegła za nią, Połaniecki i panna Marynia zostali sami w salce jadalnej.

— Pani tu chyba nie ma bliższej znajomości, niż pani Emilia? — spytał Połaniecki.

— Ani bliższej, ani tak kochanej.

— W życiu potrzeba jest dobroci, a ona jest bardzo dobra i życzliwa. Ja, naprzykład, który nie mam rodziny, uważam ten dom za rodzinny. Inaczej mi wygląda Warszawa, gdy te panie tu są...

Poczem, mniej już pewnym głosem, dodał:

— Tym razem cieszę się także z ich przyjazdu dla pani i dlatego, że wreszcie będzie między nami coś wspólnego i zgodnego.

Tu począł patrzeć na nią z prośbą w oczach, jakby jej chciał powiedzieć: „Ja tak nie mogę żyć! Podaj mi rękę na zgodę, bądź dobrą i dla mnie, skoro nam się zdarzył dzień tak miły.”

Lecz ona, właśnie dlatego, że nie mogła być dla niego zupełnie obojętną, szła coraz bardziej w kierunku niechęci. Im okazywał większą dobroć serca, im bardziej był sympatyczny, tem jego postępowanie z nią wydawało jej się bardziej niesłychanem i tem bardziej uraza zwiększała się w jej sercu.

Mając naturę delikatną, a przytem raczej lękliwą, i odczuwając rzeczywiście, że odpowiedź zbyt niechętna popsułaby harmonię dnia, wolała milczeć; lecz on nie potrzebował odpawy w słowach, albowiem w oczach jej wyczytał, co następuje:

— Im mniej będziesz się starał naprawić nasze stosunki, tem one będą lepsze, a będą najlepsze wówczas, gdy będą jak najdalej.

I radość jego zgasła w jednej chwili, zastąpił ją tylko gniew i żal, jeszcze od gniewu silniejszy, bo płynący jednocześnie z tego niezwalzonego niczem uroku, któremu Połaniecki poddawał się coraz silniej, i z przeświadczenia, że istotnie rozdział między nim a Marynią staje się codzień głębszy.

I ot, patrząc teraz na jej słodką i dobrą twarz, czuł, że staje ona mu się równie drogą, jak niepowrotnie straconą.

Przybycie Litki położyło koniec tej chwili ciężkiej dla niego nad wyraz. Dziewczynka wbiegła z wielką radością, z czupryną w nieładzie, ze śmiechem na ustach, lecz, spostrzegszy ich, stanęła nagle i poczęła spoglądać to na jedno, to na drugie, swemi ciemnymi oczyma — i wreszcie siadła cicho przy stoliku z herbatą. Weselość jej znikła także, chociaż Połaniecki, zamknąwszy ból w sercu, starał się być w czasie śniadania rozmowny i wesoły.

Prawie jednak nie zwracał się już do Maryni. Zajmował się wyłącznie panią Emilią i Litką — i dziwna rzecz: Marynia odczuła to jednak, jak przykrość. Do szeregu uraz przybyła jedna więcej.

Nazajutrz pani Emilia z Litką były wieczorem na herbach u Pławickich. Pan Pławicki zaprosił i Połanieckiego, który nie przyszedł. I taka jest natura ludzka, że to znów dotknęło Marynię. Niechęć, tak jak miłość, potrzebuje mieć blisko osobę, przeciw której się zwraca. Marynia mimowoli spoglądała cały wieczór ku drzwiom, gdy zaś nadeszła godzina, w której stało się już pewnem, że Połaniecki nie przyjdzie, poczęła kokietować Maszkę, tak, że przejęła zdziwieniem panią Emilię.

XII

Maszko był człowiekiem bardzo sprytnym, ale zarazem pełnym miłości własnej; nie miał zresztą żadnego powodu nie brać wprost za dobrą monetę uprzejmości, jaką okazywała mu Marynia. Niejednokrotnie jej stopień przypisywał trochę kokieteryi, trochę zmiennemu usposobieniu panny, i jakkolwiek to ostatnie przejmowało go pewnym niepokojem, nie było jednak dość silne, by powstrzymać go od stanowczego kroku.

Bigiel odgadywał istotny stan rzeczy, twierdząc, że Maszko był zakochany. Tak istotnie było. Przedtem już panna Pławicka podobała mu się w wysokim stopniu; następnie, uczyniwszy rachunek wszystkich *za* i wszystkich *przeciw*, doszedł do przekonania, że kategoria *za* przeważa. Młody adwokat cenił wprawdzie majątek, ale, obdarzony przytem wielką trzeźwością umysłu i znając doskonale stosunki, w których się obracał, doszedł do przekonania, że panny bardzo majątnej nie znajdzie i nie dostanie. Zupełnie majątne panny znajdowały się albo między arystokracją rodową i to były dla niego progi zbyt wysokie, albo wśród świata finansów, który ze swej strony szukał znowu związków z rodzinami, noszącemi mniej więcej znane nazwiska. Maszko wiedział doskonale, że jego malowani biskupi i pancernicy, z których podrwiwał Bukacki, nie potrafią mu otworzyć ogniotrwałych kas bankierskich. Rozumiał, że gdyby nawet byli mniej fantastyczni, sam jego zawód adwokacki stanowiłby pewną „deminutionem capitis” w oczach grubych ryb finansowych. Z drugiej strony czuł naprawdę pewien rasowy wstręt do tego rodzaju związków, podczas gdy dobrze wylegitymowane dziewczyny miały dla niego ten niepospolity urok, jaki miewają zwykle dla parweniuszów.

Panna Pławicka nie miała posagu — a przynajmniej bardzo nieznaczny — prawda. Biorąc ją jednakże, uwalniał się tem samem Maszko od wszelkich zobowiązań, jakie zaciągnął względem Pławickich, kupując Krzemień. Powtóre, połączywszy się z dobrą szlachecką rodziną, postarałby się zagarnąć całą klientelę szlachecką — i to mogłaby już być korzyść bardzo realna; a nakoniec, przez rodzinne stosunki Maryni, mógłby z czasem objąć interesa kilku, lub kilkunastu rodzin prawdziwie zamożnych — co było od dawna celem jego zabiegów.

Pławiccy, jak wszystkie nieco więcej niż średnie rodziny wiejskie, mieli wprawdzie takich krewnych, do których nie bardzo się przyznawali, ale mieli też i takich, którzy do nich nie bardzo się przyznawali, co zresztą działo się nie tyle z powodów dumy, ale samo przez się, na podstawie pewnego doboru towarzyskiego, z mocy którego każdy poszukuje w życiu ludzi, znajdujących się mniej więcej w takich samych warunkach życia. Większe jednak uroczystości rodzinne związują chwilowo takie rozluźnione stosunki i Maszce nietylko przyjemnie było myśleć o tem, że na ślubie miałby zupełnie donośnie brzmiące nazwiska, ale widział w tem w przyszłości różne możliwe korzyści. Byłoby bowiem tylko rzeczą zręczności, poddać tego rodzaju ludziom myśl, że będzie z ich strony ładnie, a dla nich samych dobrze i bezpiecznie, gdy swoje interesa powierzą człowiekowi, znanemu z energii, a zarazem więcej niż jednemu ze swoich, bo powinowatemu. Byłby

to niejako posag, jaki mogliby dać niebogatej kuzynce. Maszko, obliczając się z siłami, ufał, że potrafi im się narzucić, a z czasem i opanować ich. Wiedział, że ten i ów przyjdzie z początku o radę, taką, jakiej można zaczerpnąć w pogawędce ze znajomym, lub z dalekim krewnym, który wypadkowo zna się na rzeczy; później, o ile rady okażą się dobre, będzie przychodził częściej, a w końcu odda mu wszystko w ręce. W ten sposób, pomagając innym, mógł sam wypłynąć na szerokie wody, oczyścić z czasem Krzemień, dojść do znacznego majątku, porzucić wreszcie adwokaturę, której nie lubił i którą uważał tylko za środek dojścia do celu, i ustalić się wreszcie w wysokich sferach towarzyskich, jako człowiek niezależny, a zarazem przedstawiciel większej i opartej na silnej podstawie własności ziemskiej.

To wszystko przewidział, wyrachował i obliczył, zanim postanowił starać się o rękę panny Pławickiej.

Nie przewidział jednak jednej rzeczy, oto, że się zakocha w takim stopniu, jak się zakochał.

Poniekąd gniewało go to, sądził bowiem, iż uczucie zbyt silne jest czemś przeciwnem tej równowadze, jaką człowiek z wysokiego towarzystwa powinien umieć zawsze zachować. Ta równowaga była jednym z jego złudzeń. Gdyby do tego świata nie potrzebował się wdzierać, ale gdyby się był w nim urodził, byłby sobie pozwolił kochać się, na ile serca wystarczy. Mimo całego swego sprytu, nie zrozumiał, że jednym z największych przywilejów tego świata, który uważa się za uprzywilejowany, jest swoboda. Z tego powodu nie był zupełnie kontent, gdy serce nadto mu topniało w obecności panny Maryni. Ale z drugiej strony, sam cel, do którego dążył, coraz bardziej utożsamiał się w nim z osobistym szczęściem, graniczącym niemal z upojeniem.

Były to dla niego rzeczy nowe, tak nowe, że jasność tych nieznanych widnokręgów oślepiła go. Maszko doszedł do trzydziestu kilku lat życia, nie znając, co jest zachwyty. Teraz zrozumiał, ile uroków i szczęścia mieści się w tem słowie, zachwycał się bowiem panną Marynią z całej duszy. Gdy zdarzało się, że pan Pławicki przyjmował go w swoim pokoju, a ona była w sąsiednim, Maszko tak dalece był myślami przy niej, iż z trudnością pojmował, co pan Pławicki mówi. Gdy wchodziła, powstawały mu w sercu zupełnie nieznane przedtem uczucia, tkliwe i miękkie, które czyniły go lepszym, niż był zwykle. Niebieskie jego oczy zmieniały wówczas swój zwykły stalowy i zimny blask na wyraz słodczy i upojenia, wypieki na twarzy, którymi przypominał profesora Waskowskiego, stawały się jeszcze silniejsze, cała postać traciła pozory sztywności, i rozczesywał palcami swoje ciemne baki, nie jak angielski lord, ale jak zwykły zakochany śmiertelnik. Podniósł się w końcu do tego stopnia, że chciał nietylko swego dobra, ale i jej dobra, nie pojmując go oczywiście inaczej, jak przez siebie i w sobie.

Był tak zakochany, że odrącony, mógł się stać niebezpiecznym, zwłaszcza ze względu na brak wyrobienia moralnego, przy wielkiej rzeczywistości energii i bezwzględności. Do tej pory nie kochał tak nigdy i pierwsza Marynia rozbudziła w nim wszystko to, co było zdolne do kochania. Nie była ona świetną pięknoscią, ale posiadała w najwyższym stopniu wdzięk kobiecy i ta jej kobiecość była powodem, że pociągała ku sobie szczególniejszej natury energiczne. W jej delikatnych kształtach było coś z pnącej się rośliny; twarz miała spokojną, oczy przezroczyste i trochę zmysłowe usta — wszystko to razem na pierwszy rzut oka nie czyniło wielkiego wrażenia, ale po chwili każdy najobojętniejszy nawet człowiek spostrzegał, że jest w niej coś szczególnego, co nakazuje pamiętać, że ma się przed sobą kobietę, która mogłaby być kochana.

Zresztą, o ile Maszko czuł się i był rzeczywiście lepszym w tym okresie swego życia, niż zwykle, o tyle poziom duchowy Maryni obniżył się od czasu zamieszkania Pławickich w Warszawie. Sprzedaż Krzemienia odjęła jej pracę i moralną podstawę życia. Zbrakło jej podnioslejszego celu. Przytem przebieg zdarzeń nagromadził w niej dużo goryczy i niechęci, które zawsze zmieniają się w skazy na sercu. Panna Marynia sama odczuwała to wyraźnie i w kilka dni po owym wieczorze, na który Połaniecki nie przyszedł, pierwsza zaczęła o tem mówić z panią Emilią, gdy szarą godziną zostały sam na sam w saloniku, przytykającym do pokoju Litki.

— Ja to widzę — mówiła — że my nie jesteśmy z sobą tak szczerze, jak dawniej. Chciałam z tobą mówić otwarcie i nie mogłam się zebrać, bo mi się zdawało, że nie jestem już warta twojej przyjaźni.

A pani Emilia zbliżyła swoją słodką twarz do głowy panny Maryni i poczęła całować jej skroni.

— Oj, ty Maryniu, Maryniu! co też ty mówisz, ty, taka zawsze rozsądna i spokojna?

— Bo w Krzemieniu byłam więcej warta, niż teraz. Ty nie uwierzysz, jaka ja byłam do tego kąta przywiązana. Miałam wszystkie dni zajęte i w sobie jakąś dziwną nadzieję, że z czasem przyjdzie coś bardzo szczęśliwego. Dziś to wszystko przeszło i sama siebie nie mogę odnaleźć w tej Warszawie, a co gorzej, i mojej dawnej uczciwości. Widziałam, jakie się dziwiła, że kokietowała pana Maszkę. Nie mów mi, żeś tego nie spostrzegła. A myślisz, że ja sama wiem, dlaczego to robiłam? Chyba dlatego, że jestem gorsza, chyba z jakiejś złości na siebie, na niego i na cały świat. Nie kocham go, nie pójdę za niego; więc postępuję nieuczciwie i ze wstydem się do tego przyznaję, ale przychodzą chwile, w których chciałabym komuś wyrządzić umyślną krzywdę. Tyś powinna zerwać ze mną dawną przyjaźń, bo ja naprawdę jestem inną, niż byłam.

Tu po twarzy panny Maryni poczęły się toczyć łzy, skutkiem czego pani Emilia tem bardziej jęła ją pieścić i uspokajać; wreszcie rzekła:

— Pan Maszko stara się o ciebie najwidoczniej i przyznaję, iż myślałam, że masz zamiar go przyjąć. Powiem ci teraz szczerze, że mnie to zmartwiło, bo to nie jest człowiek dla ciebie; ale, wiedząc, jak kochałaś Krzemień, przypuszczałam, że chcesz do niego w taki sposób wrócić...

— Z początku, prawda! miałam takie myśli... Chciałam w siebie wmówić, że mi się pan Maszko podoba; nie chciałam go odpychać... Chodziło mi także o co innego, ale chodziło i o Krzemień. Jednak nie mogłam się przekonać. Za taką cenę nie chcę nawet Krzemienia, ale w tem właśnie leży zło. Bo w takim razie, czemu ja wprowadzam w błąd pana Maszkę, czemu go łudzę? Przez prostą nieuczciwość...

— Nie dobrze, że go łudzisz, ale zdaje mi się, że rozumiem, skąd to wypływa. Z niechęci i urazy dla kogoś innego — czy nie tak? Pociesz się jednak tem, że zło nie jest jeszcze niepowetowane, bo przecie postępowanie swoje z panem Maszką możesz zmienić zaraz od jutra... I trzeba, Maryniu, zmienić, póki czas, póki nic nie było przyrzeczone.

— Ja wiem, Emilko, ja to rozumiem; tylko widzisz kiedy jestem przy tobie i czuję, jak dawniej, jak prawa i uczciwa dziewczyna, to rozumiem, że nietylko słowo, ale i postępowanie obowiązuje. I on może mi to powiedzieć...

— To mu odpowiesz, że chciałaś się do niego przekonać i nie mogłaś. W każdym razie jest to jedyna droga...

Nastała chwila milczenia, ale i Marynia i pani Emilia czuły, że nie rozpoczęły jeszcze rozmawiać o tem, o co, jeśli nie obu, to przynajmniej pani Emilii, najmocniej chodziło. Jakoż, wzięwszy ręce Maryni, rzekła:

— Teraz przyznaj się, Maryniu, że kokietowałaś Maszkę także i z urazy dla pana Stanisława?

Ta zaś odrzekła głucho:

— Tak jest.

— A czy to nie znaczy, że owo wrażenie pierwszego jego przyjazdu do Krzemienia i pierwszych waszych rozmów jeszcze się nie zatarło?

— Lepiejby było, żeby się zatarło.

Pani Emilia poczęła gładzić jej ciemne włosy.

— Ty nie uwierzysz, jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek. Dla nas ma on trochę przyjaźni; zawsze lubił Litkę, za co mu jestem z całej duszy wdzięczna. Ale ty wiesz, jakie to bywa nie gorące i nawet nie ciepłe, ale letnie uczucie ta przyjaźń. On jednak i pod tym względem stanowi wyjątek. Czy uwierzysz, że kiedy Litka zachorowała w Reichenhallu, on sprowadził z Monachium sławnego lekarza, a nam, nie chcąc mnie przestraszać, powiedział, że doktor przyjechał do innego chorego, że więc trzeba tylko korzystać z okazji. Pomyśl, co to za troskliwość i dobroć. To jest człowiek bardzo pewny, na którym można się oprzeć, i energiczny i prawy. Bywają ludzie inteligentni, ale bez energii; inni mają energię, ale bez delikatności serca. On łączy jedno i drugie. Zapomniałam ci powiedzieć, że gdy majątek Litki był zachwiany i gdy brat mojego męża wziął się do ratowania go, największą pomoc znalazł w panu Połanieckim. Gdyby Litka była dorosłą, nikomu w świecie nie oddałabym jej z taką ufnością, jak jemu. I nie potrafię ci nawet wyliczyć, ile myśmy doznały od niego dobrego.

— Jeśli tyle, ile ja złego, to bardzo dużo.

— Maryniu, on tego nie chciał. Żebyś wiedziała, jak on cierpi nad swoją nierozważą i jak szczerze przyznaje się do winy względem ciebie.

— Sam mi to powiedział — odrzekła Marynia. — Ja, moja Emilko, dużo myślałam nad tem; prawdę powiedziawszy, nie myślałam o niczym innym i nie sędzę, żeby on względem mnie zawinił. W Krzemieniu był dla mnie dobry, tak dobry, że mi się zdawało... Tobie jednej to powiem, bom ci to już zresztą pisała, że wieczorem tej niedzieli, którą on spędził u nas, poszłam spać z głową i sercem tak nim przepelnionem, że aż mi wstyd dziś o tem mówić... I czułam, że jeden dzień dłużej, jedno przyjazne słowo więcej z jego strony, a pokocham go na całe życie... Zdawało mi się, że i on... Na drugi dzień wyjechał zagniewany... Była wina ojca, była i moja, więc potrafiłam to zrozumieć i pamiętasz, jaki list napisałam do ciebie do Reichenhallu? Widzisz, zupełnie taką samą ufność, jaką ty w nim masz, miałam i ja... Pojechał. Sama nie wiem, dlaczego myślałam, że wróci lub napisze. Nie wrócił i nie napisał. Coś mi mówiło, że on mi Krzemienia nie odbierze — odebrał... I potem... Ja wiem, że pan Maszko mówił z nim otwarcie, a on go zachęcał i zaręczył mu, że sam o niczym nie myśli... Oj, moja Emilko!... Jeśli chcesz, to on nie zawinił, ale ile złego mi wyrządził! Przez niego straciłam nietylko kochany kąt, w którym pracowałam, ale i coś więcej: bo wiarę w życie, w ludzi... w to, żeby rzeczy lepsze i szlachetniejsze były w świecie górą nad złemi i płaskimi... I sama stałam się gorsza. Ja ci szczerze mówię, że nie mogę się odnaleźć. Miał prawo tak postąpić, jak postąpił? — dobrze. Sama to mówię i winy nie uznaję. Tylko, widzisz, połamał we mnie jakąś sprężynę życiową. I na to niema rady, to się nie da naprawić. Bo jak? Co mi z tego, że w nim zaszła potem zmiana, że żałuje tego, co uczynił i że gotów byłby się nawet ze mną ożenić? Co mi z tego, skoro ja, która go już prawie kochałam, teraz nietylko nie kocham, ale muszę bronić się od wstretu. To gorzej, niż gdyby mi był obojętny... Ja wiem, o co tobie idzie, ale przecie życie można budować tylko na miłości, nie na niechęci. Jak ja mu mogę podać rękę z tą urazą w duszy i z tym żalem, że przez niego — winien, czy nie winien — tyle się popsulo? Myślisz, że ja nie widzę jego zalet, ale cóż na to poradzę, kiedy im więcej widzę, tem bardziej właśnie mnie od niego odtrąca, i gdybym musiała wybierać, wybrałabym pana Maszkę, choć on mniej wart. Na wszystko, co mi możesz powiedzieć o nim dobrego, zgadzam się, ale na wszystko odpowiadam ci: nie kocham go i nigdy nie pokocham...

Teraz oczy pani Emilii zasły łzami.

— Biedny pan Stach! — rzekła, jakby sama do siebie.

A po chwili milczenia spytała:

— I nic ci go nie żal?

— Żal mi go, gdy myślę o takim, jakim był w Krzemieniu, żal mi go także, gdy go nie widzę, ale z chwilą, gdy go zobaczę, mam dla niego tylko... niechęć.

— Bo nie wiesz, jaki on już był w Reichenhallu nieszczęśliwy, a teraz jeszcze jest nieszczęśliwszy. On nie ma nikogo na świecie...

— Ma swoją przyjaźń i ma to, że kocha Litkę...

— Moja Maryniu, to jest co innego! Ja z całej duszy mu jestem wdzięczna za to przywiązanie do Litki, ale to zupełnie co innego, i sama to rozumiesz, że on cię kocha inaczej i sto razy mocniej, niż Litkę...

W pokoju było już zupełnie ciemno, ale po chwili służący wniósł lampę i, postawiwszy ją na stole, wyszedł. Przy jej blasku pani Emilia spostrzegła nagle jakiś białawy kształt, skulony na kozetce przy drzwiach, prowadzących do dzieciennego pokoju.

— Kto tam jest? czy to Litka?

— Ja, mamusiu.

W głosie jej było coś niezwykłego. Pani Emilia wstała i podeszła śpiesznie ku niej.

— Kiedy tu weszłaś? Co tobie jest?

— Tak mi jakoś smutno i niedobrze.

Pani Emilia siadła na kozetce i, przygarnawszy do siebie dziewczynkę, spostrzegła w jej oczach łzy.

— Lituś, ty płaczesz? co tobie jest?

— Tak smutno, tak smutno!

I, przytuliwszy głowę do ramienia matki, poczęła płakać. Było jej istotnie smutno, dowiedziała się bowiem, że „pan Stach” jeszcze jest nieszczęśliwszy, niż w Reichenhallu i że Marynię sto razy więcej kocha, niż ją.

Tegoż wieczora, idąc spać, wspięła się, już tylko w koszulce, do ucha matki i poczęła szeptać:

— Bo, mamusiu, ja mam jeden bardzo wielki grzech na sumieniu...

— Moje biedactwo, cóż ci tam dokucza?

A ona szepnęła jeszcze ciszej:

— Bo ja nie Kocham panny Maryni...

XIII

Pani Emilia z Litką i Marynią, a z niemi pan Pławicki, jechali na obiad do Bigielów, do letniego ich domu, położonego w lesie, o półtrzeciej godziny drogi od miasta. Dzień był wrześnieowy, pogodny, pełen błyszczących pajęczyn w powietrzu i na rżyskach. Na drzewach trzymała się jeszcze zieleń dość świeża, gdzieniegdzie jednak, wśród liściastych zagajen, widać było jakby fontanny lub bukiety żółte i czerwone. Pannie Maryni owa blada i złotawa jesień przypominała zajęcia wiejskie, zapach zbóż w sąsiedkach, pola w brogach i przejrzyste przestrzenie łąk, zakończone aż hen gdzieś na widnokręgu wstążkami olszyn. Zrobiło jej się tęskno po tem życiu i po tym spokoju, wobec których miasto, mimo pracy, która kipi w jego codziennym byciu, ale której panna Marynia nie umiała odczuć, wydało jej się czczem i próżniaczem. Czują teraz, że to życie, w którym odnajdywała swoją wartość i swoją zasługę, jest dla niej bezpowrotnie stracone — a natomiast nie zarysowało się przed nią nic, coby jej zdołało je zastąpić i wynagrodzić. Mogła wprawdzie poniekąd wrócić do niego, zostawszy panią Maszkową, ale na samą tę myśl, serce zalało się jej goryczą i Maszko, wraz ze swą warszawską pewnością siebie, wraz ze swymi wypiekami i faworytami, wraz ze swem małpowaniem angielskiego lorda, wydał się jej wprost wstrętny. Nigdy też nie czuła większej niechęci do Połanieckiego, który jej odjął Krzemień, a podsunął na to miejsce Maszkę. Tym brzydziła się w tej chwili, tamtego, zdawało jej się, że nienawidzi. Widziała przed sobą życie z ojcem, na warszawskim bruku, bez celu, bez pracy, bez ideału — z zalem za przeszłością i do przeszłości, a z pustką w przyszłości. Z tej przyczyny, ów pogodny, jesienny dzień, zamiast ją uspokoić, przejął jej duszę smutkiem i goryczą. Droga wogóle nie odbywała się wesoło. Litka siedziała nachmurzona, ponieważ „pana Stacha” nie było w powozie. Pani Emilia zaś całą uwagę zwracała na nią w obawie, czy jej posępny humor nie stoi w związku ze zdrowiem. Tylko pan Pławicki był w prawdziwym dobrym humorze, zwłaszcza w początku drogi. Naprzód, w swoim zapiętym surducie z czerwonym gwoździkiem w dziurce, w jasnym paletocie i z nastawionymi jak igły wąsikami, czuł się pięknym, a że reumatyzmy, które czasem odczuwał, nie dokuczały mu z powodu pogody, więc i rzeźkim; powtóre, naprzeciw niego siedziała jedna z najprzystojniejszych kobiet w Warszawie, o której przypuszczał, że nie pozostanie obojętna na tyle powabów, o tyle przynajmniej, że potrafi je zauważyć i ocenić. Niechby przynajmniej powiedziała sobie: „Ach, jaki to uroczy musiał być mężczyzna!” — byłby się pan Pławicki w najgorszym razie zadowolił choćby takim, obowiązującym wstecz uznaniem. W tej nadziei był istotnie czarujący, bo naprzemian to wzniosły i ojcowski, to figlarny; wychodząc zaś ze stanowiska, że dzisiejsza młodzież nie umie być grzeczną dla kobiet, w grzecznościach, jakie prawil pani Emilii, zawadzał aż o mitologię, co było nawet pod pewnym względem usprawiedliwione, patrzył bowiem na nią, jak satyr.

Lecz wszystko to było przyjmowane z błędym uśmiechem i ze zbyt małą uwagą, więc w końcu zraził się i począł mówić o czem innym, mianowicie, że dzięki stosunkom córki, pozna „burżuazję,” z czego zresztą jest poniekąd rad, bo dotychczas widywał tego rodzaju towarzystwo tylko na scenie, a przecie w życiu trzeba się stykać z najrozmaitszego rodzaju ludźmi, albowiem od wszystkich można się czegoś nauczyć. Dodał wreszcie, że jest obowiązkiem pewnych sfer nie odpychać od siebie ludzi, lecz przeciwnie, przygarniać ich, by tym sposobem wdrażać w nich zdrowe zasady, więc i on, który starał się zawsze spełniać obowiązki społeczne, nie cofnie się przed tą misją. Tu szlachetny wyraz jego twarzy przybrał pewien rodzaj melancholii i w ten sposób zajechali przed willę Bigielów.

Stała ona w szczerym lesie sosnowym, w sąsiedztwie innych, wśród starych sosen, które miejscami wycięto, miejscami pozostawiono w grupach po kilka lub kilkanaście. Zdawały się one nieco dziwić, co robi między nimi, wśród dawnej leśnej zaciszy, dom tak świeży, ale osłaniały go jednak gościnnie przed wiatrem, w dni zaś pogodne otaczały go balsamicznym powietrzem, przesiąkniętem wonią igliwa i żywicy.

Bigielowie, wraz z czeredą dzieci, wyszli na spotkanie gości. Pani Bigielowa, która Marynię bardzo lubiła, witała ją z wielką serdecznością, pragnąc prócz tego ująć ją tem dla Połanieckiego, rozumowała bowiem sobie w ten sposób, że im lepiej panna Marynia pozna, jak mogłoby być jej między nimi dobrze, tem mniej będzie robiła trudności. Pan Pławicki, który za poprzednią bytnością z Marynią w Warszawie, poznawszy Bigielów u pani Emilii, poprzestał być tylko na złożeniu im kart wizytowych, okazał się teraz tak łaskawym księciem, jakim tylko mógł okazać się człowiek najbardziej wykwiniony, a przytem spełniający misję przygarniania „burżuazyj”. Panią Bigielową pocałował w rękę, Bigielowi zaś rzekł ze wspaniałomyślną dobrocią:

— W dzisiejszych czasach każdemu jest przyjemnie znaleźć się pod dachem człowieka, jak pan, a mnie tem bardziej, skoro mój kuzyn, Połaniecki, wszedł na drogę handlową i jest pańskim współnikiem.

— Połaniecki, to tęgi człowiek — odpowiedział z prostotą Bigiel, ściskając uręczką wycznioną dłoń pana Pławickiego.

Panie weszły na chwilę do pokojów zdjęć kapelusze, poczem, ponieważ ciepło było zupełnie, wróciły na werandę.

— A pana Połanieckiego niema jeszcze? — spytała pani Emilia.

— Pan Stanisław jest tu od rana — odpowiedziała Bigielowa — ale teraz poszedł odwiedzić panią Krasławską. To tuż obok — dodała, zwracając się do Maryni — niema nawet pół wiorsty... Tu wszędzie pełno letnich mieszkań, a te panie, to nasze najbliższe sąsiedztwo.

— Pamiętam pannę Terkę Krasławską z karnawału — odrzekła Marynia. — Była zawsze bardzo blada.

— O, ona dotychczas bardzo anemiczna. Przeszłą zimę spędzała w Pau.

Tymczasem małe Bigielęta, które kochały na zabój Litkę, wyciągnęły ją przed dom na zabawę. Dziewczynki pokazywały jej swoje ogródki, pozakładane na piasku między sosnami, na których po prawdzie nic nie chciało rosnąć. Oględziny te były przerywane co chwila ze strony dziewczynek wspinaniem się na palce i całowaniem policzków Litki, która, pochylając swą płową, śliczną główkę, oddawała je z wielką tkliwością.

Ale chłopcy chcieli mieć także swój udział. Naprzód spustoszyli do szczytu gieorginie rosnące pod domem, wybierając dla Litki najpiękniejsze okazy, poczem pokłócili się o to, w co się Litka lubi bawić i poszli na sprawę do pani Emilii. Edzio, który miał zwyczaj mówić bardzo głośno, a przytem zamykać oczy, począł krzyczeć:

— Proszę pani, ja mówię, że ona najlepiej lubi serso, tylko nie wiemy, czy pani pozwoli na serso.

— Byle nie biegała, bo to jej szkodzi.

— Nie, proszę pani. Będziemy tak rzucali, żeby wszystkie kółka prosto szły do niej, to wtedy nic nie będzie biegała. A jeśli Józio nie umie, to niech rzuca do kogo innego.

— Ja chcę do niej! — odpowiedział żałośnie Józio.

I na samą myśl, że go pragną pozbawić tej przyjemności, usta jego przybrały kształt podkówki i poczęły drgać, jednakże Litka zapobiegła wybuchowi żalu, mówiąc:

— I ja będę do ciebie rzucała, Józiu, będę bardzo często do ciebie rzucała.

A wilgotne już oczy Józia poczęły się zaraz uśmiechać.

— Nie zrobią jej oni krzywdy — mówił Bigiel do pani Emilii. — Dziwna rzecz: chłopczyska urwisy, co się zowie, a z nią ogromnie uważni! Ale to Połaniecki wychował ich w takim kulcie dla niej.

— Takie kochane dzieci, jak mało na świecie! — odrzekła pani Emilia.

Dzieci zaś zbiły się przez chwilę w kupkę, dla rozebrania między siebie kótek i pałeczek. W środku tej kupki stała najstarsza wiekiem i najwyższa Litka, a jakkolwiek Bigielęta należały do dzieci raczej przystojnych, ona ze swą słodką i poetyczną twarzyczką, o rysach prawie nadto delikatnych, wyglądała wśród tych czerstwych pucołowatych twarzyczek, jak istota z innej planety. Pierwsza pani Bigielowa zwróciła na to uwagę.

— Patrzcie — rzekła — czy to nie istna królowna? Szczerze mówię, że jej się napatrzeć nigdy nie mogę.

— Takie to jakieś szlachetne — dodał Bigiel.

A pani Emilia patrzyła na swoją jedynaczkę wzrokiem, w którym było morze miłości. Dzieci rozbiegły się teraz i ustawiły w wielkie koło, tworząc na szarem tle igliwa różnobarwne plamki, przyczem pod ogromnymi sosnami wydawały się tak małe, jak kolorowe grzybki.

Panna Marynia zeszła z werandy i stanęła przy Litce, żeby jej pomagać w łapaniu kółek, pod które trzeba było podbiegać i by w ten sposób ochraniać ją od zmęczenia.

W tej chwili na szerokiej drodze leśnej, prowadzącej do willi, ukazał się Połaniecki. Dzieci nie dostrzegły go od razu, lecz on ogarnął wzrokiem werandę, podwórze i ujrawszy jasną suknię Maryni pod sosną, przyśpieszył kroku. Litka, która wiedziała, że mama niepokoi się każdym jej żywszym ruchem, a nie chcąc niepokoić mamy za nic w świecie, stała z kolankami przy sobie, prawie nie poruszając się z miejsca i chwytając na paleczkę tylko te kółka, które spadały wprost na nią, panna Marynia zaś biegła za wszystkimi dalszemi. Z powodu tej bieżaniny włosy jej rozluźniały się co chwila, tak, że musiała je poprawić, i w chwili, gdy Połaniecki wchodził w bramę, stała pochylona nieco w tył, z podniesionymi ku głowie ramionami.

On nie spuszczał z niej oczu i ją jedną tylko widział: wydawała mu się na tym obszer- nym dziedzińcu młodsza i mniejsza niż zwykle, a przytem tak dziewicza, tak niesłychanie ponętna, tak stworzona do tego, by ją otoczyć ramionami i przycisnąć do piersi, jako kobietę i jako najdroższe w świecie stworzenie, że nigdy dotąd nie odczuł z równą siłą, jak dalece już ją kocha.

Dzieci na jego widok porzucały kółka, paleczki i z krzykiem ruszyły na spotkanie. Zabawa przerwała się. Litka w pierwszej chwili skoczyła również ku niemu, ale nagle wstrzymała się i poczęła spoglądać swemi wielkimi oczyma, to na Połanieckiego, to na Marynię.

— A ty nie lecisz powitać pana Połanieckiego? — spytała panna Marynia.

— Nie...

— Czemu Lituś?

— Bo...

I policzki jej przeczzerwieniały nieco, choć biedne dziecko nie umiało, czy nie śmiało wypowiedzieć swej myśli, którą mogłoby wyrazić w słowach:

— Bo on już nie mnie najwięcej kocha, tylko ciebie i na ciebie tylko patrzy.

On zaś zbliżał się, opędzając się od dzieci i powtarzając im:

— Nie czepiajcie się, smyki, bo poprzewracam!

I wyciągnął rękę ku Maryni, patrząc jej w oczy z prośbą o przyjazny uśmiech, o powitanie choćby odrobinę mniej obojętne niż zwykle — poczem dopiero zwrócił się do Litki:

— A kociątko najmilsze, zdrowe?

Ona zaś, zapomniawszy na jego widok i pod wpływem jego głosu o całym strapieniu swego małego serduszka, podała mu obie rączki, mówiąc:

— A tak! a zdrowe, a wczoraj pan Stach nie przyszedł do nas i było smutno, a teraz zaprowadzę pana Stacha do mamy na sprawę.

I po chwili wszyscy znaleźli się na werandzie.

— Jak się mają panie Krasławskie? — spytała pani Emilia.

— Zdrowe i wybierają się tu po obiedzie — odpowiedział Połaniecki.

Przed samym obiadem przyjechał profesor Waskowski i przywiózł z sobą Bukackiego, który w wigilię tego dnia przyjechał był do Warszawy. Jego zażyłe stosunki z Bigielami pozwalały mu przybyć do nich bez zaproszenia, a obecność u nich pani Emilii była dla niego zbyt silną pokusą, aby się miał jej oprzeć. Zresztą witał się z nią bez śladu sentymentu, w sposób żartobliwy, jak zwykle, ona zaś rada go widziała, bo ją bawił oryginalnym i dziwnym sposobem wyrażania myśli.

— Miał pan jechać do Monachium i do Włoch? — spytała go, gdy siedli do obiadu.

— Tak pani — odpowiedział — ale zapomniałem w Warszawie nożyka do rozciniwania kartek w drodze i wróciłem po niego.

— O! to ważny powód.

— Zawsze mnie to niecierpliwiło, że ludzie wszystko robią z ważnych powodów. Co za przywilej mają ważne powody, by każdy musiał się do nich stosować? Zresztą, oddałem niechcący ostatnią przysługę przyjacielowi, albowiem wczoraj byłem zaraz na pogrzebie Lisowicza.

— To ten, taki mały, chudy sportsman? — spytał Bigiel.

— Ten — odparł Bukacki — i wyobraźcie sobie, że dotychczas nie mogę wyjść ze zdumienia, jak człowiek, który całe życie błaznował, mógł się zdobyć na rzecz tak poważną, jak śmierć. Po prostu nie poznaję mego Lisowicza! Na każdym kroku ma człowiek zawody.

— Ale — rzekł Połaniecki — opowiadały mi panie Krasławskie, że Płoszowski, ten, w którym to wszystkie kobiety w Warszawie się kochały, zastrzelił się w Rzymie.

— To mój krewny — rzekł pan Pławicki.

Wiadomość poruszyła jednak głównie panią Emilię. Samego Płoszowskiego prawie nie знаła, lecz kilka razy w życiu widziała jego ciotkę, u której starszy brat jej męża, po stracie osobistego znacznego majątku, był plenipotentem. Wiedziała też o ślepem przywiązaniu tej ciotki do siostrzeńca.

— Mój Boże, co za nieszczęście! — rzekła. — Czy to tylko prawda? Człowiek młody, taki zdolny, taki bogaty... Biedna panna Płoszowska.

— I jaki wielki majątek bez spadkobiercy — dodał Bigiel. — Ja te stosunki znam, bo to tak blisko Warszawy. Stara panna Płoszowska miała dwoje krewnych: panią Kromicką — choć ta była dalsza — i Leona Płoszowskiego, który był najbliższy. Dziś oboje nie żyją.

Te słowa poruszyły znów pana Pławickiego. Był on istotnie jakimś dalekim krewnym panny Płoszowskiej i nawet niegdyś widział ją dwa czy trzy razy w życiu, ale zostało mu po niej tylko wspomnienie strachu, za każdym bowiem razem wypowiadała mu gorzkie prawdy bez ogródek, a raczej, mówiąc po prostu, za każdym razem wylażała go, ile się zmieściło. Z tego powodu w dalszym ciągu życia unikał jej najstaranniej i wszelkie stosunki były między nimi zerwane, choć przy sposobności lubił dla świata wtrącić słówko o swem pokrewieństwie z rodziną tak znaną i możną. Należał on do tej, licznej w naszym kraju, kategorii ludzi, która jest przekonana, że Pan Bóg łatwą drogę dojścia do majątku za pomocą spadku umyślnie dla niej stworzył, i która każdą nadzieję tego rodzaju uważa za pewność. To też powiódł uroczystym wzrokiem po zgromadzeniu i rzekł:

— Może też Opatrzność postanowiła, żeby te majątki przeszły na inne głowy, które potrafią lepiej ich użyć.

A Połaniecki rzekł:

— Ja Płoszowskiego spotkałem też raz zagranicą i uczynił na mnie wrażenie zupełnie niepospolitego człowieka. Przypominam go sobie doskonale.

— Taki był podobno świetny i sympatyczny — dodała pani Bigielowa.

— Niech Bóg okaże mu miłosierdzie — rzekł profesor Waskowski — znałem go i ja: to był prawdziwy Arya!

— Ozorya — rzekł pan Pławicki.

— Arya — powtórzył profesor.

— Ozorya... — poprawił z naciskiem i godnością pan Pławicki.

I dwaj starzy ludzie poczęli spoglądać na siebie ze zdumieniem, nie wiedząc, czego wzajem od siebie chcą i ku wielkiej uciesze Bukackiego, który, nałożywszy monokl, rzekł:

— Jakże: arya czy ozorya?

Nieporozumieniu położył koniec Połaniecki, wyjaśniając, że Ozorya jest to nazwa herbu rodziny Płoszowskich, że więc można być razem Aryą i Ozoryą, na co zresztą pan Pławicki zgodził się niechętnie, czyniąc przytem nawiasową uwagę, że kto nosi porządne nazwisko, ten nie potrzebuje się go wstydzic, ani przekręcać.

Bukacki zaś, zwróciwszy się do pani Emilii, począł mówić swym zwykłym zimnym tonem:

— Jedno jedyne samobójstwo uważam za usprawiedliwione, a mianowicie samobójstwo z miłości, skutkiem czego namawiam się na nie od kilku lat — zawsze napróżno!

— Mówią, że samobójstwo, to tchórzostwo — wtrąciła Marynia.

— To też ja nie odbieram sobie życia ze zbytku odwagi.

Lecz Bigiel rzekł:

— Mówmy o życiu, nie o śmierci, i o tem, co w niem najlepsze, to jest o zdrowiu. Za zdrowie pani Emilii!

— I Litki! — dodał Połaniecki.

Poczem zwrócił się do panny Maryni:

— Za zdrowie naszych wspólnych przyjaciółek!

— Najchętniej — odrzekła panna Marynia.

On zaś zniżył nieco głos i mówił dalej:

— Bo widzi pani, ja uważam je nietylko za swoje przyjaciółki, ale także... jakby to powiedzieć?... za orędowniczki. Litka to jeszcze dziecko, ale pani Emilia wie przecie, komu ofiarować przyjaźń, więc gdyby ktoś miał do mnie jakieś uprzedzenia, choćby słuszne, gdybym z kimś postąpił nie tak, jak powinienem, ale wprost źle — i gdyby widział, że ja się tem męczę, to przecie powinien pomyśleć, że jednak nie jestem najgorszym z ludzi, skoro taka pani Emilia ma dla mnie szczerą życzliwość.

Panna Marynia zmieszała się, ale jednocześnie uczyniło się jej go żal, on zaś kończył jeszcze ciszej:

— A ja się naprawdę męczę. Mnie o to bardzo, bardzo chodzi!

Zanim odpowiedziała, pan Pławicki wznosił zdrowie pani Bigielowej i wypowiedział całą mowę, której treścią było, że królową stworzenia jest właściwie nie kto inny, tylko kobieta, zatem przed kobietą, jako królową, powinny się wszelkie głowy pochylać i z tej przyczyny on pierwszy skłaniał swoją całe życie przed wszystkimi kobietami wogóle, a obecnie skłania ją przed panią Bigielową w szczególności.

Połaniecki życzył mu w duszy, żeby się udławił, czuł bowiem, że mógłby być uzyskać jakie dobre słowo od panny Maryni i czuł, że chwila minęła. Jakoż panna Marynia poszła uściskać panią Bigielową, a wróciwszy, nie podniosła więcej zaczętej rozmowy, on zaś nie śmiał spytać jej wprost o odpowiedź.

Zaraz po skończonym obiedzie nadjechały panie Krasławskie: matka, kobieta lat pięćdziesięciu, żywa, pewna siebie, wielomówna — i panna, w zupełnem przeciwstawieniu do matki, sztywna, sucha, zimna, wymawiająca: „tek” zamiast „tak”, ale zresztą z twarzą przystojną, choć bladą, przypominającą nieco twarze holbeinowskich madon.

Połaniecki począł ją ze złości bawić, ale, spoglądając od czasu do czasu na świeżą twarz i niebieskie oczy Maryni, mówił sobie w duchu: „Żebyś też choć słowo dobre dała! ty... ty, bezlitosna!...”

I złościł się coraz bardziej, a gdy panna Krasławska wymówiła raz: „meme” zamiast „mama”, spytał jej szorstko:

— Kto taki?

„Meme” zaś wyładowywała cały zapas swych wiadomości, a raczej domysłów o samobójstwie Płoszowskiego.

— Wyobraźcie sobie państwo — mówiła z zapalem — mnie zaraz przyszło do głowy, że on się zastrzelił z powodu śmierci Kromickiej. Panie, świeć nad jej duszą, to była kokietka — i nie lubiłam jej nigdy. Kokietowała go tak, że m bała się Terki prowadzić tam, gdzie oni razem byli, bo to dla takiej młodej dziewczyny po prostu zły przykład. Co prawda, to prawda!... Panie, świeć nad jej duszą... Terka także nie miała dla niej sympatii.

— Ach, pani — rzekła pani Emilia — ja zawsze słyszałam, że to był anioł.

A Bukacki, który nigdy w życiu nie widział pani Kromickiej, zwrócił się do pani Krasławskiej i rzekł z flegmą:

— *Madame, je vous donne ma parole d'honneur*, że to był archanioł.

Pani Krasławska umilkła na chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, następnie, zapezrywszy się, byłaby odpowiedziała coś ostrego, gdyby nie to, że Bukacki, jako człowiek zamożny, mógł w danym razie być dobrą partyą dla panny Terki. Równymi względami cieszył się w jej oczach i Połaniecki — i dla nich to wyłącznie utrzymywała w lato stosunki z Bigielami, których zresztą, gdy jej tak wypadło, nie poznawała na ulicy.

— U panów — rzekła — każda przystojna kobieta to zaraz anioł, albo archanioł. Ja nawet i wówczas tego nie lubię, kiedy mi o Terce to mówią. A pani Kromicka mogła być dobrą osobą, ale nie miała taktu — i cała rzecz!

W ten sposób rozmowa o Płoszowskim upadła, tem bardziej, że uwaga pani Krasławskiej zwróciła się wyłącznie na Połanieckiego, który bawił pannę Terkę. On bawił ją trochę na złość sobie, trochę na złość pannie Maryni i starał się sam w siebie wmówić,

że mu jest przy niej dobrze; starał się nawet znaleźć w niej wdzięk i odkrył, że ma za cienką szyję i oczki, jakby zgasłe, które ożywają się i zwracają pytająco do niego wówczas, gdy na pytanie niema miejsca. Zauważył także, że mogła być cichą despotką, gdy bowiem matka poczyniała mówić zbyt głośno, panna Terka przykładła lornetkę do oczu i spoglądała na nią uważnie, matka zaś pod wpływem tego wzroku zniżała głos lub milkła zupełnie. Wogóle panna Terka nudziła go niepomieranie, i jeśli zajmował się nią pilnie, niż kiedykolwiek, to czynił to tylko jako desperat, dla obudzenia choćby cienia zazdrości w pannie Maryni. Nawet zupełnie rozumni ludzie chwytają się takich marnych środków, gdy ich uczuciowa bieda zbyt przycisnie. Wywołują one zresztą zwykle wprost odwrotny skutek, bo z jednej strony utrudniają później zbliżenie i rozwikłanie nieporozumień, z drugiej potęgują tylko uczucie w sercu tego, kto ich używa. Połaniecki w końcu tak był stęskniony za Marynią, że zgodziłby się nawet na usłyszenie niechętnego słowa z jej ust, byle się do niej zbliżyć i przemówić, a tymczasem wydało mu się to trudniejsze teraz, niż przed godziną.

Odetchnął też głęboko, gdy wieczór się skończył i gdy goście poczeli się zabierać do odjazdu. Przedtem jednak Litka zbliżyła się do matki i, objawszy rękami jej szyję, poczęła coś do niej szeptać. Pani Emilia skinęła głową, poczem, zbliżywszy się ku niemu, rzekła:

— Panie Stanisławie, jeśli pan nie ma zamiaru nocować, to niech pan jedzie z nami. My z Marynią weźmiem Litkę między siebie i miejsca będzie dosyć.

— Dobrze; nie mogę nocować i bardzo jestem wdzięczny — odpowiedział Połaniecki.

I domyśliwszy się łatwo, kto był autorem projektu, zwrócił się do Litki i rzekł:

— Ty kociątko moje najlepsze, ty!...

Ona zaś, trzymając się przy sukni matki, podniosła ku niemu swe oczy, nawpół smutne, nawpół uradowane, pytając cicho:

— Dobrze, panie Stachu?

W kilka chwil później ruszono. Po dniu pogodnym nastąpiła jeszcze pogodniejsza noc, trochę chłodna, ale cała rozjaśniona i srebrna od księżycy. Połaniecki, któremu dzień zeszedł marnie i ciężko, odetchnął teraz pełną piersią i czuł się prawie szczęśliwy, mając przed sobą dwie istoty, które kochał bardzo głęboko, a jedną, którą kochał nad wszystko w świecie. Przy blasku księżycy widział teraz jej twarz, i wydała mu się ona spokojna i łagodna. Pomyślał, że i uczucia Maryni muszą być w tej chwili takie same i że może niechęć jej dla niego taje wśród tego ogólnego spokoju.

Litka zasunęła się w głąb siedzenia i zdawała się spać. Połaniecki przyrzucił szaleem wziętym od pani Emilii jej nóżki i jechali czas jakiś w milczeniu.

Poczem pani Emilia poczęła mówić o Płoszowskim, wiadomość bowiem o jego śmierci uczyniła na niej silne wrażenie.

— Tkwi naprawdę w tem wszystkim jakiś bardzo smutny dramat — rzekł Połaniecki — i pani Krasławska może mieć trochę słuszności, utrzymując, że te dwie śmierci stoją z sobą w związku.

Na to panna Marynia rzekła:

— Jest w samobójstwie to okropnego, że powinno się je potępić, a potępiając, ma się także wrażenie, jakby się nie miało żadnego współczucia dla nieszczęścia.

Połaniecki zaś odpowiedział:

— Współczucie trzeba mieć dla tych, którzy jeszcze czują, a więc dla żywych.

Rozmowa urwała się i czas jakiś jechali znów w milczeniu. Po chwili Połaniecki ukazał na oświecone okna domu, stojącego w głębi leśnego parku, i rzekł:

— To willa pani Krasławskiej.

— Nie mogę jej darować tego — rzekła pani Emilia — co mówiła o tej nieszczęśliwej pani Kromickiej.

— To jest kobieta wprost drapieżna — odpowiedział Połaniecki — a wiecie panie dlaczego? Oto z powodu córki. Cały świat uważa za tło, któreby chciała uczynić jak najczarniejszem, żeby panna Terka odbiła się na niem tem jaśniej. Być może, że matka kroila niegdyś na Płoszowskiego — być może, że panią Kromicką uważała za przeszkodę i stał jej nienawiść do niej.

— To ładna panienka — rzekła Marynia.

— Są istoty, dla których poza światem form towarzyskich zaczyna się inny, daleko obszerniejszy — dla niej nie zaczyna się nic — a raczej kończy wszystko. To jest zupeł-

ny automat, w którym serce uderzy wówczas dopiero, kiedy matka je kluczem nakręci. Zresztą, dużo jest podobnych panien na świecie, a i te nawet, które wydają się inne, często są takie właśnie... Wieczna historia Galatei... Czy panie uwierzą, że w tej lalce, w tej zgaszzonej świeczce, zakochał się przed paru laty, bez pamięci, jeden młody lekarz, mój znajomy. Dwakroć się oświadczał i dwakroć został odrzucony, bo te panie patrzyły wyżej. Zaciągnął się następnie do służby holenderskiej — i zapewne umarł tam gdzieś na febrę, bo z początku pisywał do mnie, dopytując się o swój automat, a później listy ustały.

— Czy ona wie o tem?

— Wie, bo ilekroć ją zobaczę, tylekroć o nim mówię. I co jest charakterystyczne, to to, że jego wspomnienie nie mąci ani na sekundę jej pogody. Mówi o nim, jak o każdym innym. Jeśli spodziewał się od niej choć pośmiertnego żalu, to i w tem się zawiódł... Muszę paniom pokazać kiedyś jeden jego list. Ja mu próbowałem wytłumaczyć to uczucie, on zaś odpisał mi: „Ja ją sądzę trzeźwo, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć...” Był to zresztą sceptyk, człowiek pozytywny — dziecko ostatnich czasów... Ale pokazuje się, że uczucie drwi sobie ze wszystkich filozofii, ze wszystkich prądów... Wszystko mija, a ono było, jest i będzie... Przytem tamten mówił mi kiedyś tak: „Wolałbym być nieszczęśliwy z nią, niż szczęśliwy z inną...” I co tu gadać. Człowiek patrzy trzeźwo, ale nie może duszy odedrzeć — i skończyło się.

Rozmowa skończyła się również. Wjechali teraz na drogę, wysadzoną kasztanami, których pnie migotały różowo w świetle powozowych latarni.

— A jak komu bieda, to musi cierpieć! — dorzucił naostatek Połaniecki, idąc widocznie za biegiem własnych myśli.

Tymczasem pani Emilia pochyliła się nad Litką:

— Śpisz dziecinko? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

XIV

— O majątek nie ubiegałem się nigdy — mówił pan Pławicki — ale jeśli Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach tak pokierowała, żeby choć część tej wielkiej fortuny przeszła w nasze ręce, to nie chcę jej dróg krzyżować... Mnie z tego wiele już nie przyjdzie, mnie potrzebne wkrótce będą cztery deski i cicha łza dziecka, dla którego żyłem, ale tu idzie o Marynię.

— Zwracam pańską uwagę — rzekł zimno Maszko — że, po pierwsze, to są widoki bardzo niepewne...

— Ale czy godzi się nie brać ich pod uwagę?...

— Po wtóre, że pani Płoszowska żyje jeszcze...

— Ale z babinki trociny już się sypią... stara jak grzyb!

— Po trzecie, że może zapisać majątek na cele publiczne...

— Ale czyby nie można przeciw temu wystąpić?

— Po czwarte, że wasze pokrewieństwo jest niezmiernie dalekie. W ten sposób wszyscy w Polsce są sobie krewni.

— Jednakże bliższych krewnych niema.

— Połaniecki to przecie także wasz krewny?

— Żaden! dalibóg, żaden! On jest krewny pierwszej mojej żony, nie mój!

— A Bukacki?

— Dajże pan spokój. Bukacki jest kuzynem żony mojego szwagra.

— Innych krewnych pan nie ma?

— Przyznawali się do nas Gątowscy z Jałbrzykowa. Jak to pan wie... Ludzie to mówią, co im pochlebia... Z Gątowskim zresztą nie potrzebuję się liczyć.

Maszko umyślnie przedstawiał trudności, by potem ukazać brzeżek nadziei, więc rzekł:

— U nas ludzie są chciwi na spadki — i niech się spadek jaki otworzy — zlatują się ze wszystkich stron, jak wróble na pszenicę... Wszystko w takich razach polega na tem, kto się prędzej zgłosi... Pamiętaj pan, że człowiek sprężysty i znający się na rzeczy może z niczego coś zrobić, gdy przeciwnie, człowiek bez energii i znajomości interesów, mając nawet pewne podstawy działania, może nic nie wskórać...

— To wiem z doświadczenia. Całe życie miałem póty interesów.

Tu pan Pławicki przeciągnął ręką po gardle, Maszko zaś dodał:
— Prócz tego możesz się pan stać igraszką adwokatów i być wyzyskiwanym bez granic...

— Liczyłbym w takim razie na osobistą pańską z nami przyjaźń...

— I nie zawiódłbyś się pan — odrzekł z powagą Maszko. — I dla pana i dla panny Maryni mam tak głęboką przyjaźń, jak gdybyście należeli do mojej rodziny.

— W imieniu sieroty, dziękuję — odpowiedział pan Pławicki.

I wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej.

Maszko zaś spoważniał i rzekł:

— Ale jeśli chcecie, bym bronił waszych praw i w tym wypadku, który, jak powiedziałem, może się okazać złudzeniem — i w innych — to mi te prawa dajcie...

Tu młody adwokat chwycił rękę pana Pławickiego.

— Szanowny panie — rzekł — pan domyślasz się, o czym chcę mówić, więc zechciej wysłuchać mnie cierpliwie do końca.

Poczem niżył głos i, choć nikogo nie było w pokoju, jął mówić prawie cicho. Mówił z siłą, powagą a zarazem z wielkim umiarkowaniem, jak przystało na człowieka, który nigdy nie zapomina, kim jest i co przynosi. Pan Pławicki przymykał chwilami oczy, chwilami ścisnął rękę Maszki, wreszcie po ukończonej konferencji rzekł:

— Przejdź pan do salonu, ja tam przyślę Marynię. Nie wiem, co ona panu odpowie, w każdym razie niech się stanie to, czego Bóg chce... Ja umiałem pana zawsze cenić, teraz cenię jeszcze więcej — i ot!

Ramiona pana Pławickiego otworzyły się szeroko — i Maszko pochylił się ku nim, powtarzając nie bez wzruszenia, choć zawsze z wysoką godnością:

— Dziękuję, dziękuję!

I po chwili znalazł się w salonie.

Panna Marynia wyszła z twarzą mocno pobladłą, ale spokojną. Maszko podsunął jej krzesło, sam siadł na drugim i począł mówić:

— Jestem tu z upoważnienia ojca pani. Słowa moje nie powiedzą pani już nic takiego, czegoby przedtem nie wypowiedziało milczenie, które pani odgadywała. Ale ponieważ przyszła chwila, w której powinienem nazwać po imieniu moje uczucia, czynię więc to z całą ufnością w serce i charakter pani. Jestem człowiekiem, który panią kocha, na którym się oprzeć można, więc składam w ręce pani moje życie — i proszę z głębi serca, by pani zgodziła się iść razem ze mną.

Panna Marynia milczała przez chwilę, jakby szukając słów, poczem rzekła:

— Winnam panu jasno i szczerze odpowiedzieć; wyznanie to jest dla mnie ciężkie, bardzo ciężkie, ale nie chcę, by się taki człowiek, jak pan, ludził; nie kochałam pana, nie Kocham i żonę pańską nie zostaną nigdy, choćby mi przyszło nigdy niczyją nie zostać.

Tu zapanowało milczenie jeszcze dłuższe. Wypieki na twarzy Maszki zapłonęły silnie, a oczy jego poczęły rzucać zimne stalowe blaski.

— Odpowiedź jest równie stanowcza — rzekł — jak dla mnie bolesna i nieoczekiwana. Czy jednak pani nie zechce, zamiast odtrącać mnie w tej chwili stanowczo, dać sobie kilka dni czasu do namysłu?

— Sam pan powiedział, że odgadywała uczucia pana, więc miałam czas zastanowić się nad sobą i odpowiedź, jaką panu daję, daję po zupełnym namyśle.

Głos Maszki stał się teraz suchy i ostry:

— Czy pani sądzi przytem, że na mocy zachowania się pani ze mną, nie miałam prawa zanieść takiej prośby, jaką zaniósłem?

I pewien był w tej chwili, że panna Marynia odpowie mu, iż to zachowanie się źle zrozumiał, że nie było w niem nic, coby mogło go upoważniać do jakiegokolwiek nadziei, słowem, że pójdzie drogą wykrętów, jak zwykle czynią kokietki, które kokieteryę zmuszone są okupywać kłamstwem — lecz ona podniosła na niego oczy i rzekła:

— Postępowanie moje z panem nie było chwilami takie, jak być powinno; przyznaję się do winy i z całej duszy za nią przepraszam.

Maszko zamilkł. Kobieta, która się wykręca, budzi pogardę, kobieta, która przyznaje się do winy, wytrąca broń z ręki każdego przeciwnika, w którego naturze, lub choćby tylko w wychowaniu, leży iskra uczuć rycerskich. Prócz tego, jedynym, ostatnim sposobem poruszenia serca kobiety jest w takim razie: nie uznać wspaniałomyślnie jej występku.

Maszko, jakkolwiek widział przed sobą przepaść, zrozumiał to — i postanowił postawić wszystko na ostatnią kartę.

Każdy nerw dygotał w nim z gniewu i obrażonej miłości własnej, jednakże opanował się, wziął kapelusz i, zbliżywszy się do panny Maryni, podniósł do ust jej rękę.

— Wiedziałem, że pani kocha Krzemień — rzekł — i kupiłem go po to jedynie, by go złożyć u nóg pani. Widzę, że szedł błędną drogą i cofam się, chociaż czynię to z żalem bez granic. To ja panią przepraszam. Winy ze strony pani nie było i niema żadnej. Spokój pani droższy mi jest od własnego szczęścia, dlatego proszę, jak o jedyną łaskę: niech pani nie czyni sobie wyrzutów. A teraz żegnam panią.

I wyszedł.

Ona zaś siedziała długi czas nieruchoma, z bladą twarzą i uczuciem zniechęcenia w duszy. Nie spodziewała się znaleźć w nim tyle szlachetnych uczuć. Obok tego przyszła jej do głowy następna myśl: „Tamten odebrał mi Krzemień, by uratować swoje — ten go kupił, by mi go zwrócić!” I nigdy dotąd Połaniecki nie był tak dalece zgubiony w jej myślach. W tej chwili nie pamiętała, że Maszko kupił Krzemień nie od Połanieckiego przecie, tylko od jej ojca, po wtóre, że kupił go korzystnie, po trzecie, że wprawdzie chciał go zwrócić, ale zarazem i zabrać go na nowo wraz z jej ręką, uwolniwszy się w dodatku od wypląt, które na nim ciążyły, a na koniec, że, właściwie biorąc, Krzemienia nie wydzierał jej ani Połaniecki, ani nikt inny, tylko pan Pławicki sprzedał go dobrowolnie, ponieważ znalazł kupca. Ale ona patrzyła w tej chwili po kobiecemu na tę sprawę i przeciwstawiała Połanieckiemu Maszkę, wywyższając nad miarę ostatniego, potępiając nad winę pierwszego. Postępowanie Maszki wzruszyło ją tak dalece, że gdyby nie czuła ku niemu wprost odrazy, byłaby go odwołała. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że powinna to uczynić — ale zbrakło jej sił.

Nie wiedziała też, że Maszko schodził ze schodów z wściekłością i rozpaczą w duszy. Rzeczywiście, otworzyła się przed nim przepaść.

Wszystkie rachuby go zawiodły; kobieta, którą istotnie pokochał, nie chciała go i odrzuciła — i jakkolwiek starała się go w słowach oszczędzać, czuł się upokorzony, jak nigdy w życiu. Cokolwiek dotychczas w życiu przedsiębrał, zawsze przeprowadzał to w poczuciu własnej siły i własnego rozumu, z niezachwianą pewnością, że mu się uda. Odmowa Maryni odebrała mu i tę pewność. Pierwszy raz zwątpił o sobie, pierwszy raz miał poczucie, że jego gwiazda zaczyna błędnąć i że może rozpocząć się dla niego okres klęsk na wszystkich polach, na których dotychczas działał. Okres ten już się nawet rozpoczął. Maszko kupił Krzemień w warunkach wyjątkowo korzystnych, był to jednak majątek zbyt wielki w stosunku do jego środków. Gdyby Marynia nie odrzuciła go, byłby sobie dał rady, w takim bowiem razie nie potrzebowaliby myśleć ani o dożywotnej rencie dla pana Pławickiego, ani o spłaceniu tej sumy, która, według układu, przypadła Maryni za Magierówkę. Obecnie miał do spłacenia Marynię, Połanieckiego i długi na Krzemieniu, które trzeba było spłacić co prędzej, albowiem, z powodu lichwiarskich procentów, rosły one z dnia na dzień i groziły zupełną ruiną. Na to wszystko był tylko kredyt — dotąd wprawdzie nie zachwiany, ale wyciągnięty, jak struna; Maszko zaś czuł, że gdyby ta struna kiedykolwiek pękła, byłby zgubiony bezpowrotnie.

Dlatego chwilami, obok żalu za Marynią, obok bólu, jakiego doznaje człowiek po stracie szczęścia, porywał go gniew bez granic, niemal szalony — i również niepohamowana chęć zemsty. Był to człowiek z duszą energiczną, w którego naturze leżała chęć zapłacenia złem za krzywdę. Dlatego, wchodząc do siebie, mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Jeśli nie zostaniesz moją żoną, nie daruję ci tego, coś mi uczyniła; jeśli zostaniesz — nie przebaczę ci również.

Tymczasem pan Pławicki wszedł do pokoju, w którym siedziała Marynia, i rzekł:

— Odmówiłaś mu, bo inaczej byłby wstąpił do mnie, wychodząc.

— Tak, papo.

— Nie dałaś mu żadnej nadziei na przyszłość?

— Nie, papo... Szanuję go, jak nikogo w świecie, ale nie dałam mu nadziei.

— Co ci odpowiedział?

— Wszystko, co mógł odpowiedzieć taki szlachetny człowiek.

— Nowe nieszczęście — rzekł — i kto wie, czy nie pozbawiłaś mnie kawałka chleba na starość... Ale wiedziałem, że z tem nie będziesz się liczyła.

— Nie mogłam, nie mogłam inaczej postąpić.

— Nie chcę też cię zmuszać, a swoje zmartwienie idę ofiarować tam, gdzie każda łza starego będzie policzoną.

I poszedł do Loursa patrzeć na grających w bilard. Byłby się zgodził na Maszkę, ale w gruncie rzeczy nie uważał go za partycję zbyt świętą i, sądząc, że Maryni może się trafić lepsza, nie martwił się zbyt bardzo tem, co się stało.

Marynia zaś w pół godziny później wpadła do pani Emilii.

— Jeden przynajmniej ciężar spadł mi z serca — rzekła na wstępie — odmówiłam dziś stanowczo panu Maszce.

Pani Emilia uściskała ją w milczeniu.

Marynia zaś mówiła dalej:

— Żal mi go... Postąpił ze mną tak szlachetnie i delikatnie, jak tylko taki człowiek mógł postąpić, i gdybym miała dla niego choć małą iskierkę uczucia, wróciłabym do niego dziś jeszcze.

Tu powtórzyła pani Emilii całą rozmowę z Maszką. Istotnie, nie można mu było nic zarzucić i pani Emilia nie mogła oprzeć się pewnemu zdziwieniu, posądzała bowiem Maszkę o charakter gwałtowny i nie spodziewała się, żeby w tak ciężkiej dla siebie chwili potrafił się zdobyć na tyle umiarkowania i szlachetności. A panna Marynia rzekła:

— Moja Emilko, znam twoją przyjaźń dla pana Połanieckiego, ale sądz tych dwóch ludzi z ich uczynków, nie ze słów, i porównaj ich z sobą.

— Nigdy nie będę ich porównywała — odrzekła pani Emilia. — Tu nie można robić porównań. Pan Stanisław jest dla mnie naturą stokroć wyższą od Maszki, ty zaś sądzisz go niesłusznie. Ty, Maryniu, nie masz prawa mówić: „Jeden odebrał mi Krzemień, drugi chciał mi go zwrócić”. Tak nie było. Pan Połaniecki nie odbierał ci go nigdy, a dziś, gdyby mógł, zwróciłby ci go z całego serca. To uprzedzenie mówi przez ciebie.

— Nie uprzedzenie, ale rzeczywistość, której nic zmienić nie może.

A pani Emilia posadziła ją przed sobą i rzekła:

— Owszem, Maryniu: uprzedzenie, i powiem ci, dlaczego. Oto ty nie jesteś dotychczas dla niego obojętna.

Panna Marynia drgnęła, jakby ktoś dotknął bolącej ją rany, i po chwili odpowiedziała zmienionym głosem:

— Pan Połaniecki nie jest mi obojętny... Masz słuszność... Wszystko, co mogło być we mnie sympatyą dla niego, zmieniło się w niechęć — i słuchaj, Emilko, co ci teraz powiem: gdybym miała wybór między tymi ludźmi, wybrałabym bez żadnego wahania Maszkę.

Pani Emilia spuściła głowę — po chwili ramiona panny Maryni oplotły jej szyję.

— Jakie to dla mnie zmartwienie, że ja tobie sprawiam taką przykrość, ale ja muszę mówić prawdę. Wiem, że w końcu i ty przestaniesz mnie kochać i zostanę zupełnie sama na świecie.

I rzeczywiście poczęło się stawać coś podobnego. Obie młode kobiety rozstały się w uściskach i pocałunkach, a jednak, gdy się znalazły zdala od siebie, uczuły obie jednocześnie, że coś naderwało się między nimi i że wzajemny ich stosunek nie będzie tak serdeczny, jak był dotąd.

Pani Emilia wahała się przez kilka dni, czy powtórzyć Połanieckiemu słowa Maryni, lecz on prosił ją tak usilnie o całą prawdę, iż w końcu pomyślała, że i trzeba i lepiej będzie ją wypowiedzieć. On zaś, wysłuchawszy wszystkiego, rzekł:

— Dziękuję pani. Jeśli panna Pławicka mną pogardza, muszę się na to zgodzić, nie mogę się tylko na to zgodzić, bym sam sobą zaczął pogardzać. Zaszedłem i tak zadaleko. Pani droga wie, że jeśliś względem niej zawinił, to się starał to naprawić, a ją przebłagać. Do dalszych obowiązków się nie poczuwam. Będę miał ciężkie chwile, tego pani nie ukrywam, ale niedołągą nie byłem, nie jestem, i potrafię zdobyć się na to, by wszystko, co dla panny Pławickiej czuję, wyrzucić przez okno, jako rzecz w moim pokoju niepotrzebną. To pani święcie przyrzekam!

— Wierzę panu, ale się przytem bardzo cierpi.

On zaś odrzekł prawie wesoło:

— Co tam! jak mi zbyt sparzenie dokuczy, poproszę pani o opatrunek, a wiem, że gdy mi go takie pocziwe ręce zrobią, to będzie skuteczny. Lituś pani pomoże i ani syknę.

Poczem wrócił do siebie, pełen wewnątrz poczucia woli i energii. Zdawało mu się, że potrafi wziąć to uczucie i złamać je, jak się łamie łaskę o kolano. Tym zapędem żył kilka dni następnych. Nie pokazywał się przez ten czas nigdzie, prócz w biurze, gdzie rozmawiał z Bigielem wyłącznie o interesach. Pracował od rana do wieczora i nie pozwalał sobie w dniu nawet myśleć o Maryni.

Ale nie mógł się od tego obronić podczas bezsennych nocy. Wówczas przychodziło na niego wyraźne poczucie, że Marynia mogła go kochać, mogła wyjść za niego, że byłaby mu najlepszą żoną, że mógł być z nią szczęśliwy, jak nigdy z nikim nie będzie, i że kochałby ją, jak swoje najwyższe dobro.

Żal, który narodził się z tych rozmyślań, wniknął w jego całe istnienie i nie opuszczał go więcej, że zaś żal pożera duszę i zdrowie, jak rdza żelazo, więc Połaniecki począł marnieć. Spostrzegł, że łamanie uczucia daje jeden niewątpliwy skutek: złamanie szczęścia. Nigdy nie widział przed sobą takiej pustki i nigdy nie odczuwał z równą siłą, że nic mu jej zapęlić nie zdoła. Spostrzegł także, że można kobietę kochać nie taką, jak jest, ale taką, jakby być mogła. I wreszcie tęsknił bez miary.

Ale, mając nad sobą dużo władzy, unikał Maryni. Wiedział zawsze, kiedy ma być u pani Emilii i wówczas zamykał się w domu.

Dopiero gdy Litka zachorowała, począł chodzić do pani Emilii codziennie, przesiadywać u niej po całych dniach i spędzać godziny razem z Marynią przy chorem dziecku.

XV

A biedna Litka po nowym, groźniejszym niż poprzednio, ataku, nie mogła już przyjść do zdrowia. Dnie spędzała teraz, leżąc na szezlongu w saloniku, albowiem na jej prośbę lekarze i pani Emilia zgodzili się nie trzymać jej cały czas w łóżku. Lubiała też, gdy Połaniecki siedział przy niej i rozmawiała z nim i z matką o wszystkim, co jej przechodziło przez główkę. Z Marynią bywała zwykle milcząca, natomiast czasem wpatrywała się w nią długo, a potem podnosiła oczy do sufitu, jakby namyślając się nad czemś, jakby chcąc coś zrozumieć i zdać sobie z czegoś sprawę. Nieraz te zamyślenia się jej zdarzały się i wówczas, gdy zostawała z matką sam na sam, pewnego zaś popołudnia zbudziła się jakby ze snu i, zwróciwszy się do matki, rzekła:

— Mamusiu, niech mamusia siądzie przy mnie, tu, na sofie.

Pani Emilia siadła; dziecko otoczyło ręką jej szyję i, wsparłszy głowę na jej ramieniu, poczęło mówić pieszczotliwym, osłabionym nieco głosem:

— Bo ja się chciałam mamusi spytać o jedną rzecz, tylko nie wiem, jak to powiedzieć.

— O co ci idzie, dziecinko?

Litka milczała przez chwilę, zbierając myśli, poczem spytała:

— Jeżeli się, mamusiu, kogo kocha, to co?

— Jeśli się kogoś kocha, Lituś?

Pani Emilia powtórzyła pytanie, nie rozumiejąc zrazu dobrze, o co dziewczynka pyta, ona jednak nie umiała pytać dokładniej.

— To co, mamusiu?...

— To chciałoby się, żeby ten ktoś był zdrow, tak, jak ja chcę, żebyś ty była zdrowa.

— I co jeszcze?

— I chciałoby się, żeby był szczęśliwy, żeby mu na świecie było dobrze, a jeśli trafi mu się co złego, to chciałoby się samemu za niego cierpieć.

— I co jeszcze?

— I chciałoby się mieć go zawsze przy sobie, tak, jak ty jesteś przy mnie — i chciałoby się, żeby on tak kochał, jak ty mnie kochasz.

— To teraz rozumiem — rzekła po chwili zamyślenia się Litka. — I ja sama myślałam, że to tak.

— Tak, kotku.

— Bo, widzi mamusia, ja jeszcze w Reichenhallu, pamięta mama? w Thumsee, słyszałam, że pan Stach kocha pannę Marynię, i teraz wiem, że on musi być nieszczęśliwy, chociaż nigdy o tem nie mówi.

Pani Emilia, bojąc się wzruszeń dla Litki, rzekła:

— Czy ciebie, kotku, nie męczy ta rozmowa?

— O, nic a nic! Już teraz rozumiem. Onby chciał, żeby ona jego kochała, a ona nie kocha, i chciałby być zawsze przy niej, a ona mieszka z ojcem i nie chce się z nim ożenić.

— Wyjść za niego...

— Wyjść za niego. On się tem martwi, mamusiu? prawda?

— Pewnie, moje dziecko.

— Bo ja to wszystko wiem. A żeby ona wyszła za niego, czyby go kochała?

— Pewnie, kotku, on taki dobry człowiek.

— To ja już teraz wiem.

Dziewczynka przymknęła oczy, i pani Emilia sądziła przez chwilę, że usypia, ale ona po jakimś czasie znów poczęła pytać:

— A jakby on się ożenił z Marynią, czyby nas przestał kochać?

— Nie, Lituś. Onby nas zawsze tak samo kochał.

— Ale Marynię lepiej?

— Marynia byłaby mu wtedy bliższą, niż my. Czemu się ty, kotku, o to dopytujesz?

— To źle?

— Nie; niema w tem nic złego, nic a nic! Tylko boję się, że się zmęczysz.

— O nie! ja i tak ciągle o panu Stachu myślę. Ale niech mamusia nic o tem Maryni nie mówi.

Na tem skończyła się rozmowa, po której Litka przez kilka następnych dni była milcząca, tylko jeszcze uporczywiej, niż przedtem, wpatrywała się w Marynię. Czasem brała ją za rękę i zwracała ku niej oczy, jakby chciała ją o coś zapytać. Czasem, gdy oboje z Połanieckim byli przy niej, przenosiła ustawicznie wzrok to na nią, to na niego, a potem przymykała powieki. Oni zaś przychodzili często, codziennie, czasem i kilka razy na dzień, chcąc ulżyć pani Emilii, która, nie pozwalając się nocami nikomu przy Litce zastąpić, spędzała je od tygodnia bezsennie, śpiąc nieco tylko w dzień, gdy sama Litka ją o to uprosiła. Pani Emilia nie zdawała sobie jednak sprawy z całego niebezpieczeństwa, jakie malej groziło, lekarz bowiem, sam nie wiedząc, jak się obróci ten okres choroby, czy będzie tylko krokiem naprzód, czy końcem, uspokajał matkę tem bardziej stanowczo, że Połaniecki jak najusilniej go o to prosił.

Miała jednak przeczucie, że stan dziecka nie jest pomyślny i, mimo uspokojień lekarza, serce zamierało w niej nieraz z trwogi. Litce ukazywała wprawdzie twarz zawsze uśmiechniętą i wesołą, również jak Połaniecki i panna Marynia, ale dziewczynka nauczyła się obecnie tak uważać na wszystko, że najstaranniej ukrywany niepokój nie uszedł jej baczenia.

Więc też pewnego rana, gdy Połaniecki, zostawszy sam z nią, zajęty był nadymaniem dla niej wielkiego globusa z tafty jedwabnej, który przyniósł jej w darze, dziewczynka rzekła:

— Panie Stachu, ja czasem widzę, że mamusia okropnie się martwi, że ja chora.

Połaniecki przestał nadymać balon i odpowiedział:

— Ani jej się śni. Co tam się roi pod tą czupryną! Zresztą, naturalnie, że się martwi, bo wołałaby, żebyś była zdrowa...

— Dlaczego to wszystkie inne dzieci są zdrowe, tylko ja jedna ciągle choruję?

— Ładnie zdrowe! A Bigielęta nie chorowały, jedno w drugie, na koklusz? Przez kilka miesięcy cały dom był, jak owczarnia. A Józio nie miał odry? Wszystkie dzieciśka wiecznie chorują i tyle z nich pociechy.

— To pan Stach tylko tak mówi, bo one chorują, a potem są zdrowe...

Tu poczęła trząść główką.

— Nie; to co innego. I teraz ciągle muszę leżeć, bo mi zaraz serce bije. I jak onegdaj zaczęli śpiewać na ulicy, a mamusi nie było w pokoju, to poszłam trochę do okna i zobaczyłam pogrzeb — i pomyślałam, że ja także pewno umrę...

— Plecie Litka! — zawołał Połaniecki.

I począł prędko znów nadymać globus, żeby pokryć wzruszenie, a zarazem pokazać dziewczynce, jak mało znaczą jej słowa.

Lecz dziecko szło dalej za swoją myślą:

— Mnie tak czasem duszno i tak mi serce bije... Mamusia powiedziała, żebym ja wtedy mówiła: „Pod twoją obronę” — i ja zawsze mówię, bo ja się okropnie boję umrzeć!

Ja wiem, że w niebie dobrze, ale nie byłabym z mamusią, tylko sama na cmentarzu... Tak, i w nocy...

Połaniecki położył nagle globus, siadł przy kanapce i, wzięwszy rękę Litki, rzekł:

— Mój Lituś, jeśli mamę kochasz, jeśli mnie kochasz, nie myśl o takich rzeczach. Tobie nic nie będzie, ale dopieroby się mama martwiła, gdyby wiedziała, czym dziecko sobie główkę zaprzęta! Bo pamiętaj, że sobie tem szkodzisz...

A Litka złożyła ręce:

— Mój panie Stachu, już tylko o jedno zapytam, tylko o jedno — nic więcej!

On pochylił ku niej głowę.

— No, pytaj, kocie. Byle o co mądrego.

— Czy pan Stach bardzoby mnie żałował?

— A, widzisz, jakaś niepocziwa!

— Mój panie Stachu!... powiedzieć!

— Ja? co za niegodziwe dziecko! Lituś wie, że ją kocham... ogromnie kocham! Niech Bóg broni... Nikogo na świecieby tak nie żałował... Będzieszże ty mi cicho nareszcie, ty mucho utrapiona! ty... najmilsze drogie stworzenie!...

A dziewczynka zwróciła ku niemu rozjaśnione oczy:

— Już będę cicho... Dobry pan Stach!

I w chwili, gdy weszła pani Emilia, a on zabierał się do odejścia, spytała jeszcze:

— Ale pan Stach nie gniewa się na mnie?

— Nie, Lituś! — odrzekł Połaniecki.

Wyszedłszy do przedpokoju, usłyszał lekkie stukanie we drzwi, pani Emilia bowiem kazała zdjąć dzwonki. Otworzył i spostrzegł Marynię, która zwykle przychodziła wieczorami. Przywitawszy się z nim, spytała:

— Jak dziś Litka?

— Jak zwykle.

— Był doktor?

— Był. Nic nowego nie znalazł. Pozwolił pani sobie pomódz?

To powiedziawszy, chciał zdjąć z niej paletot, lecz ona odmówiła, nie chcąc przyjmować jego usług. Wówczas, mając serce wezbrane poprzednią rozmową z Litką, napadł na nią najniespodzianie:

— To jest prosta grzeczność, nic więcej, a choćby było czems więcej, mogłaby wreszcie pani zostawić swoją niechęć do mnie za tym progiem, bo tam jest dziecko chore, które nietylko ja, ale i pani niby kocha. W tem po prostu niema nietylko dobroci, ale i miary. Zdjąłbym tak samo paletot z każdej innej kobiety, i niech pani wie, że teraz myślę o Litce i o niczem więcej.

I mówił to z wielką zapalczywością, tak, że zaskoczona nią nagle panna Marynia trochę przestraszyła się naprawdę, trochę straciła głowę, tak, że pozwoliła pokornie zdjąć z siebie paletot, i nietylko nie znalazła w sobie siły, by się obrazić, ale uczuła, że tak może przemawiać człowiek szczerze i głęboko dotknięty niepokojem, zmartwieniem, zatem człowiek prawdziwie czujący i z gruntu dobry.

Może wreszcie ta niespodziana jego energia przemówiła do jej natury kobiecej, dość, że Połaniecki ujął ją w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek od czasu widzenia się w Krzemieniu, i nigdy dotychczas nie przypomniał jej tak silnie owego dzielnego, młodego człowieka, którego oprowadzała niegdyś po krzemienieckim ogrodzie. Było to wprawdzie wrażenie przelotne, które nie mogło stanowić o wzajemnym ich do siebie stosunku, ale na razie podniosła na niego oczy nieco zdziwione, lecz nie gniewne, i rzekła:

— Przepraszam pana...

On zaś pohamował się przez ten czas i zawstydzil:

— To ja przepraszam. Litka gadała mi dziś o swojej śmierci i taki jestem wzburzony, że rady sobie dać nie mogę... Pani powinna to zrozumieć i przebaczyć mi.

To rzekłszy, ścisnął silnie jej rękę i wyszedł.

XVI

Następnego dnia Marynia ofiarowała się pani Emilii zamieszkać u niej aż do zupełnego wyzdrowienia Litki, Litka zaś poparła jej prośbę, na którą pani Emilia po krótkim oporze

była zmuszona się zgodzić. Rzeczywiście upadała ze znużenia; zdrowie chorej wymagało nieustającej i wyjątkowej czujności, nowy atak bowiem mógł przyjść lada chwila. Trudno było liczyć, żeby służąca, choćby najbardziej przywiązana, nie zdrzemnęła się w takiej właśnie chwili, w której śpieszny ratunek mógł stanowić o życiu dziecka — więc obecność Maryni była prawdziwą pomocą i uspokojeniem dla stroskanej matki.

Co do pana Pławickiego, ten wołał jadać w restauracji, niż w domu, nie robił więc trudności. Marynia zresztą wpadała codzień dowiedzieć się o jego zdrowie i przyprowadzić do porządku domowe rachunki, potem wracała do pani Emilii, by połowę nocy przesiedzieć przy małej.

W ten sposób Połaniecki, który wszystkie chwile wolne od zajęć spędzał u pani Emilii i przyjmował a raczej odprawiał z podziękowaniami wszystkich, którzy przychodzili dopytywać się o zdrowie dziewczynki, widywał Marynię codziennie.

I podziwiał ją szczerze. Sama pani Emilia nie okazywała więcej troskliwości dla chorej i nie umiała lepiej koło niej chodzić. Po tygodniu twarz panny Maryni pobladła z niewyczasu i obawy, oczy podkrzały się ciemno, ale siły jej i energia zdawały się wzrastać z każdą chwilą. Było w niej przytem tyle słodyczy i dobroci, coś tak cichego i delikatnego w usługach, jakie oddawała Litce, że dziewczynce, mimo owej urazy, którą dla Maryni żywiła w głębi swej małej duszki, poczęło być z nią dobrze, i gdy oddaliła się na kilka godzin do ojca, chora wyglądała jej z utęsknieniem.

Zresztą zdrowie małej raczej się poprawiło w ostatnich czasach. Doktor pozwolił jej wstawać, przechadzać się po pokoju i siadywać w fotelu, który w słoneczne dni przysuwano jej do drzwi, prowadzących na balkon, aby mogła spoglądać na ulicę i rozrywać się ruchem ludzi i powozów.

Połaniecki, pani Emilia i panna Marynia otaczali ją często wówczas, a przedmiotu do rozmów i pogadarek dostarczało to, co się działo na ulicy. Czasem dziecko było znużone i jakby zadumane, czasem jednak dziecinna natura brała górę i bawiło ją wszystko, więc i październikowe słońce, obrzucające dachy, ściany i szyby sklepów bladem złotem, i stroje przechodniów, i nawoływania przekupniów. Zdawało się, że owe potężne pierwiastki życia, pulsujące w wirze miejskim, wchodzą w dziecko i ożywiają je. Czasem przychodziły jej też do głowy dziwne myśli, i raz, gdy przed balkonem przesuwał się ciężki wóz, wiozący drzewa cytrynowe w donicach, które, lubo skrzepowane łańcuchami, chwiały się zgodnie z ruchem wozu, mała rzekła:

— Im serce nie bije.

A potem, podnosząc oczy na Połanieckiego, spytała:

— Panie Stachu, czy drzewa długo żyją?

— Bardzo długo, niektóre żyją tysiące lat.

— O, to ja chciałabym być drzewem. A mamusia jakie najlepiej lubi?

— Brzozę.

— To ja chciałabym być małą brzoźką, a mamusia byłaby dużą i rosłybyśmy razem.

A pan Stach chciałby także być brzozą?

— Bylem rósł gdzie niedaleko od małej brzoźki.

Litka zaś popatrzyła na niego i, potrząsając trochę smutno główką, rzekła:

— O, nie! ja teraz wiem wszystko. Ja wiem przy kimby pan Stach chciał rosnąć.

Panna Marynia zmieszała się i spuściła oczy na robotę, Połaniecki zaś począł gładzić lekko dłonią płową główkę i powtarzać:

— Moje kociątko kochane, moje miłe! moje, moje!...

Litka umilkła; następnie z pod długich jej rzęs wypłynęły dwie łzy i stoczyły się cicho po policzkach.

Po chwili podniosła jednak swoją słodką twarzyczkę, rozjaśnioną uśmiechem.

— Ja mamusię bardzo kocham — rzekła — i pana Stacha kocham i Marynię kocham...

XVII

Profesor Waskowski dowiadywał się codziennie o zdrowie małej i choć najczęściej go nie przyjmowano, przysyłał jej kwiaty. Połaniecki, spotkawszy go kiedyś na obiedzie, począł mu dziękować w imieniu pani Emilii.

— Astry tylko, astry! — odrzekł profesor. — Jak ona się dziś ma?

— Dziś nieźle, a wogóle niedobrze. Gorzej, niż w Reichenhallu. Strach zawsze ogarnia przed każdym następnym dniem, a gdy się pomyśli, że tego dziecka może zabraknąć!...

Tu Połaniecki urwał, bo zbrakło mu w gardle dalszych słów; wreszcie, chcąc się sam przełamać, począł kłąć:

— Co tu się oglądać za jakimś zmiłowaniem! Jest tylko logika, która powiada, że kto ma chore serce, ten musi umrzeć — i niechże piorun trzaśnie takie życie!

Na to nadszedł Bukacki, który, dowiedziawszy się o co chodzi, napadł również na profesora Waskowskiego, i on bowiem, kochając Litkę, buntował się w duszy na myśl o grożącej jej śmierci.

— Jak można ludzić się dobrowolnie przez tyle lat i wygłaszać zasady, które obracają się w niwecz wobec ślepego przeznaczenia.

Lecz stary człowiek odpowiedział łagodnie:

— Jak wy możecie, moi kochani, mierzyć waszą własną miarą mądrość boską i miłosierdzie boskie? Kto wszedł w podziemie, tego otacza ciemność, ale ten nie ma jeszcze prawa przeczyć, że ponad sklepieniem istnieje niebo i słońce, światło i ciepło...

— Oto mi pociecha! — przerwał Połaniecki — mucha nie wyżyje na tej filozofii, a cóż dopiero matka, której jedyne i kochane dziecko umiera.

Lecz niebieskie oczy profesora były już jakby za światem; przez chwilę wpatrywał się uporczywie przed siebie, poczem ozwał się, jak człowiek, który coś widzi, ale nie jest pewny, czy widzi dokładnie:

— A mnie się zdaje, że to dziecko zanadto wszczepiło się w serce ludzkie, żeby tak ot przejść i odejść bez śladu. Coś w tem jest... Coś jej było przeznaczone, ona musi coś spełnić — i przedtem nie umrze.

— Mistycyzm! — rzekł Bukacki.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Oby tak było! Mistycyzm, nie mistycyzm, ale, oby tak było! Człowiek w biedzie chwytą się nawet za cień nadziei. Mnie też nigdy się w głowie nie mieściło, żeby ona miała umrzeć.

A profesor dodał:

— Kto wie! może ona nas wszystkich jeszcze przeżyje!

Połaniecki był w tej fazie sceptycyzmu, w której człowiek w niczem nie uznaje pewności, ale wszystko uznaje za możliwe, zwłaszcza to wszystko, czego w danym wypadku pragnie serce; odetchnął więc lżej i nabrał jakoś otuchy.

— Niech Bóg zmiłuje się nad nią i nad panią Emilią — rzekł. — Dałbym na sto mszy, gdybym wiedział, że jej to pomoże.

— Daj na jedną, byle ze szczerą intencją.

— A dam! a dam! Co do szczerości intencji, nie byłbym szerszy, gdyby o własną moją skórę chodziło.

A Waskowski uśmiechnął się i rzekł:

— Ty jesteś na dobrej drodze, bo umiesz kochać.

I jakoś lżej uczyniło się wszystkim. Bukacki, jeśli myślał w duszy coś przeciwnego temu, co mówił Waskowski, nie śmiał się z tem odezwać, bo sceptycyzm, choćby najbardziej wkorzeniony, gdy ludzie wobec prawdziwego nieszczęścia szukają ratunku w wierze, nakłada czapkę na uszy i nie tylko tchórzy, ale wydaje się sam sobie marnym i małym.

Bigiel, który nadszedł w tej chwili, ujrzał weselsze twarze i rzekł:

— Widzę po was, że mała nie gorzej.

— Nie, nie! — rzekł Połaniecki — i profesor mówił nam takie pocziwe rzeczy, że tylko go do rany przyłożyć.

— Chwała Bogu! Żona moja dała dziś na mszę, a potem poszła do pani Emilii. Dziś będę jadł z wami, bo mam urlop, i skoro Litce lepiej, to powiem wam drugą wesołą nowinę.

— Co takiego?

— Spotkałem przed chwilą Maszkę, który zresztą zaraz tu przyjdzie, a jak przyjdzie, to mu powinszujcie, bo się żeni.

— Z kim? — spytał Połaniecki.

— Z moją sąsiadką.

— Z panną Krasławską?
 — Tak.
 — Rozumiem — rzekł Bukacki — skruszył na proch te panie swoją wielkością, swoim urodzeniem, swoim majątkiem i z tego prochu ulepił sobie żonę i teściową.
 — Wytłómaczcie mi jedną rzecz — rzekł profesor Waskowski — Maszko jest człowiekiem religijnym...
 — Jako konserwatysta — przerwał Bukacki — dla przyzwoitości.
 — I te panie także — ciągnął dalej Waskowski.
 — Ze zwyczaju...
 — Dlaczego oni nie zamyślają się nigdy o życiu przyszłym?
 — Maszko! czemu ty nie zamyślasz się nigdy o życiu przyszłym? — zawołał Bukacki, zwracając się do wchodzącego w tej chwili adwokata.
 Maszko zaś zbliżył się do nich i spytał:
 — Jak powiadasz?
 — Powiadam: Tu felix, Maszko, nube!
 Wówczas wszyscy poczęli mu składać życzenia, on zaś przyjmował je z pełną godnością powagą, w końcu przemówił:
 — Moi drodzy, dziękuję wam z całego serca, a ponieważ wszyscy znacie moją narzeczoną, więc nie wątpię o szczerości waszych życzeń.
 — Nie pozwól sobie na to! — rzekł Bukacki.
 A Połaniecki dorzucił:
 — W porę ci przyszedł Krzemień.
 Krzemień istotnie przyszedł Maszce w porę, bez niego bowiem może nie zostałyby przyjęte. Ale właśnie dlatego ta uwaga nie była mu przyjemną, więc skrzywił się i rzekł:
 — Ułatwiłeś mi to kupno i czasem ci jestem za to wdzięczny, a czasem cię przeklinam.
 — Dlaczego?
 — Bo twój wujaszek Pławicki jest najnudniejszą i najnieznośniejszą figurą na świecie, nie mówiąc o twojej kuzynce, która jest bardzo miła panna, ale odmienia od rana do wieczora swój nieodżałowany Krzemień przez wszystkie siedm przypadków, dodając do każdego łezkę. Ty tam mało bywasz, ale wierz mi, że to jest także niepospolicie nudne.
 A Połaniecki począł mu patrzeć w oczy i odpowiedział:
 — Słuchaj Maszko. Ja wygadywałem na mojego wujaszka, co weszło, ale nie idzie za tem, żebym miał słuchać cierpliwie, gdy ktoś na niego wygaduje, zwłaszcza ktoś, kto zrobił na nim dobry interes. Co do panny Maryni, wiem, że jej żal Krzemienia, ale to dowodzi, że nie jest pustą lalką, nie jest manekinem, tylko kobietą z sercem, rozumiesz mnie!
 Nastąpiła chwila milczenia. Maszko doskonale zrozumiał, kogo Połaniecki miał na myśli, mówiąc o pustej lalce i manekinie, więc wypieki na twarzy przybrały barwę cegły, a usta poczęły drgać. Jednak pohamował się. Nie był on wcale tchórzem, ale nawet najzuchwalszy człowiek ma zwykle kogoś, z kim woli nie zadzierać, i dla Maszki takim kimś był właśnie Połaniecki.
 Więc wzruszywszy ramionami, rzekł:
 — Czego ty się gniewasz? Jeśli ci to robi przykrość...
 Lecz Połaniecki przerwał:
 — Ja się nie gniewam, tylko radzę ci pamiętać moje słowa.
 I patrzył mu dalej w oczy, Maszko zaś pomyślał: „Jeśli chcesz koniecznie awantury, to będziesz ją miał.”
 — Twoje słowa — odrzekł — mogę pamiętać, tylko przyjmijże i ty odemnie radę: nie pozwalaj sobie do mnie mówić tym tonem, bo mógłbym go także zapamiętać i wezwać cię do obrachunku.
 — Co u licha! — zaczął Bukacki. — Co wam jest!?
 Lecz Połaniecki, w którym rozdrażnienie na Maszkę zbierało się od dawna, byłby posunął niechybnie rzeczy do ostateczności, gdyby nie to, że w tej chwili wpadł do gabinetu służący pani Emilii.
 — Proszę pana — rzekł zdyszonym głosem — panienka umiera!
 Połaniecki zbladł i, porwawszy za kapelusz, skoczył do drzwi. Nastąpiło głuche, długie milczenie, które przerwał wreszcie Maszko:

— Zapomniałem — rzekł — że jemu wszystko trzeba teraz wybaczyć...

A Waskowski, zakrywszy oczy rękoma, począł się modlić.

Wreszcie podniósł głowę i ozwał się:

— Bóg jeden okiełznał śmierć i potrafi ją powstrzymać.

Jakoż w kwadrans później Bigiel odebrał od żony kartkę ze słowami:

— „Atak minął.”

XVIII

Połaniecki pędził do pani Emilii w trwodze, czy zastanie jeszcze Litkę przy życiu, służący bowiem powiedział mu podczas drogi, że panienka dostała konwulsji i była konająca. Gdy jednak przybył na miejsce, pani Emilia sama wybiegła na jego spotkanie i jednym tchem, z głębi piersi, rzuciła mu słowa:

— Lepiej! lepiej!

— Doktor jest? — spytał Połaniecki.

— Jest.

— A mała?

— Śpi.

W twarzy pani Emilii resztki przerażenia walczyły z nadzieją i radością. Połaniecki zauważył, że usta jej były prawie białe, oczy suche i zaczerwienione, a twarz w wypiekach. Była śmiertelnie znużona, albowiem nie spała od dwudziestu czterech godzin.

Lekarz jednak, człowiek młody i energiczny, uważał, że niebezpieczeństwo na razie minęło. Panią Emilię pokrzepiło szczególnie to, co powiedział jej przy Połanieckim:

— Nie powinniśmy dopuścić do następnego ataku i nie dopuścimy.

Była w tych słowach istotnie otucha, widocznie bowiem doktor uważał za rzecz możliwą niedopuszczenie do następnego ataku, ale było i ostrzeżenie, że następny mógłby być śmiertelnym. Lecz pani Emilia czepiała się teraz każdej nadziei, jak człowiek spadający w przepaść czepia się gałęzi drzew, rosnących nad jej krawędzią.

— Nie dopuścimy! nie dopuścimy! — powtarzała, ściskając gorączkowo rękę doktora.

Połaniecki spojrział mu nieznacznie w oczy, jakby chcąc wyczytać w nich, czy mówi to dla uspokojenia matki, czy na podstawie lekarskiego przeświadczenia, poczem spytał na próbę:

— Pan nie odstąpi jej dzisiaj?

— Nie widzę tego najmniejszej potrzeby — odpowiedział doktor. — Dziecko jest wyczerpane i prawdopodobnie będzie spało długo i mocno. Jutro przyjdę, ale dziś z zupełnym spokojem mogę iść do domu.

Poczem zwrócił się do pani Emilii:

— Pani również powinna wypocząć. Wszelkie niebezpieczeństwo minęło, trzeba zaś, żeby chora nie widziała na twarzy pani ani zmęczenia, ani niepokoju, albowiem sama mogłaby się tem zaniepokoić, a na to jest zbyt słaba.

— Nie mogłabym zasnąć — odpowiedziała pani Emilia.

Lecz doktor zwrócił na nią swoje blado-niebieskie oczy i, wpatrzywszy się w nią jakby z pewnym natężeniem, rzekł z wolna:

— Za godzinę położy się pani i zaraz zaśnie. Sześć do ośmiu godzin będzie pani spała nieprzerwanym snem. Powiedzmy ośm... Jutro będzie się pani czuła silna i wypoczęta. A teraz, dobranoc.

— A krople na wypadek, jeśli się mała obudzi?

— Krople da kto inny. Pani będzie spała. Dobranoc.

I począł się żegnać. Połaniecki chciał iść za nim, by wypytać go na cztery oczy o Litkę, pomyślał jednak, że dłuższa tego rodzaju rozmowa mogłaby zaniepokoić panią Emilię, więc wołał jej zaniechać, przyrzekłszy sobie natomiast, że nazajutrz pójdzie do mieszkania doktora i tam się z nim rozmówi.

Po chwili, gdy zostali sam na sam z panią Emilią, rzekł:

— Niech pani uczyni, jak doktor mówi. Trzeba odpocząć. Zapowiadam, że idę teraz do pokoju Litki i nie ruszam się całą noc.

Lecz jej wszystkie myśli były przy małej, więc zamiast odpowiedzieć mu wprost, rzekła:

— Czy pan wie, że po ataku, przedtem nim usnęła, pytała się o pana kilka razy... i o Marynię także. Usnęła z zapytaniem: „Gdzie pan Stach?”

— Moja biedaczka kochana! Ja byłbym i tak przyszedł zaraz po obiedzie. Leciałem tu ledwie żywy. Kiedy się atak rozpoczął?

— Przed południem. Od rana była smutna, jakby coś przeczuwała. Pan wie, że ona przede mną zawsze zaręcza, że jest zdrowa, musiała się jednak czuć niedobrze, bo przed samym atakiem siadła przy mnie i prosiła, żeby ją trzymać za rączkę. Wczoraj jeszcze — zapomniałam panu powiedzieć — zadawała mi takie dziwne pytania: czy prawda, że jak chore dziecko o co prosi, to mu się nigdy nie odmawia? Ja powiedziałam, że tak, chyba by prosiło o rzeczy niemożliwe do spełnienia. Coś jej chodziło widocznie po główce, bo wieczorem, jak Marynia wpadła na chwilkę, znów zadawała nam podobne pytania. Poszła spać wesoło, ale dziś od rana skarżyła się na duszność. Szczęściem, że posłałam po doktora przed samym atakiem i że zaraz przyszedł.

— Największe szczęście to, że odszedł z taką pewnością, iż atak się nie powtórzy. Jestem zupełnie pewny, że takie jest jego przekonanie — odpowiedział Połaniecki.

Pani Emilia podniosła oczy w górę:

— Pan Bóg taki miłosierny! taki dobry! że...

I, mimo wszelkich wysiłen, poczęła lkać, albowiem stłumiona trwoga i rozpacz zmieniły się w niej teraz w radość i znalazły ujście we łzach. W tej szlachetnej i uduchowionej naturze wrodzona egzaltacja psuła wiecznie spokojny rozmyśl, skutkiem czego pani Emilia nie zdawała sobie w niczem sprawy z istotnego stanu rzeczy, i teraz naprzykład nie miała najmniejszej wątpliwości, iż choroba Litki skończyła się raz na zawsze tym ostatnim atakiem i że odtąd pocznie się dla niej okres zupełnego zdrowia.

Połaniecki zaś nie miał ani ochoty, ani serca wskazywać jej pośredniej drogi między rozpaczą a radością. Serce wezbrało mu dla niej wielką litością i przyszła na niego jedna z takich chwil, w której odczuwał wyraźniej, niż zwykle, jak głęboko, chociaż bezinteresownie, jest przywiązany do tej egzaltowanej i idealnej kobiety. Gdyby była jego siostrą, byłby ją objął i przycisnął do piersi, tymczasem ucałował jej delikatne, wychudłe ręce i rzekł:

— Chwała Bogu, chwała Bogu! Niech droga pani teraz o sobie pomyśli, a ja idę do małej i nie ruszę się, póki się nie obudzi.

I poszedł. W pokoju Litki panował mrok, bo żaluzje były spuszczone, a na dworze słońce już zachodziło, więc tylko przez szpary pomiędzy deszczułkami przedzierało się nieco czerwonych promieni, które niedostatecznie rozświecały pokój i które wkrótce znikły, albowiem niebo poczęło się chmurzyć. Litka spała głębokim snem. Połaniecki, siadłszy przy niej, począł wpatrywać się w jej uspioną twarz i w pierwszej chwili serce mu się ścisnęło bolesnym uczuciem. Litka leżała na wznak, z główką zwróconą do sufitu; biedne, cienkie jej rączka leżały bezwładnie na kołdrze, oczy były zamknięte, a pod oczyma głębokie cienie od rzęs. Jej bladość, która w tym czerwonym półmroku wydawała się jak woskowa i otwarte usta, a wreszcie głębokie uspienie, nadawały jej twarzyczce pozór takiego spokoju, jaki mają twarze umarłych. Lecz ruch szlerek, którymi obszyty był jej nocny kaftanik, wskazywał, że dziecko żyje i oddycha. Oddech był nawet spokojny i bardzo regularny. Połaniecki długi czas wpatrywał się w tę chorą twarz i raz jeszcze odczuł z całą siłą to, co odczuwał często, gdy o sobie rozmyślał: mianowicie, że natura stworzyła go na ojca, że obok wybranej kobiety, dzieci mogłyby być niezmierną miłością jego życia, jego głównym celem i powodem jego istnienia. Zrozumiał to przez litość i miłość, jaką w tej chwili odczuwał dla Litki, która, obca pochodzeniem, była mu w tej chwili tak droga, jak rodzone dziecko. „Gdyby mi ją oddano na własność — pomyślał — gdyby jej zbrakło matki, wziąłbym ją na zawsze i uważałbym, że mam dla czego żyć.”

I czuł również, że gdyby można było wejść w targ ze śmiercią, oddałby jej siebie bez wahania, byle wykupić to „kociątko,” nad którym teraz ta śmierć zdawała się unosić, jak drapieżny ptak nad gołębiem. Ogarnęła go tkliwość, jakiej dotychczas nie doświadczał, i ów człowiek, z charakteru raczej szorstki i prędko, gotów był całować ręce i główkę tego dziecka, w najtkliwszej pieśczości, takiej, na jaką nie każde nawet serce kobiece zdobyćby się mogło.

Tymczasem pociemniało. Po chwili weszła pani Emilia, osłaniając dłońią błękitną lampkę nocną.

— Śpi? — spytała cicho, stawiając lampkę na stoliku za głową Litki.

— Śpi — odpowiedział równie cicho Połaniecki.

Pani Emilia wpatrzyła się w uśpioną.

— Widzi pani — szepnął dalej Połaniecki — jak oddycha równo i spokojnie. Jutro będzie zdrowsza i silniejsza.

— Tak! — odpowiedziała z uśmiechem.

— Teraz na mamę kolej. Spać! spać! bo inaczej zacznę zrzędzić okropnie.

Jej oczy śmiały się ciągle do niego z wdzięcznością. W łagodnym, błękitnym świetle lampki nocnej wyglądała, jak zjawisko. Twarz miała zupełnie anielską i Połaniecki mimowoli pomyślał, że i ona, i Litka, wyglądają istotnie jak jakieś zaziemskie postacie, które przez czysty wypadek zabląkały się na ten świat.

— Tak — odpowiedziała. — Teraz odpocznę. Przyszła Marynia Pławicka i profesor Waskowski. Marynia chce koniecznie zostać.

— To tem lepiej. Ona tak dobrze chodzi koło małej. Dobranoc pani.

— Dobranoc.

Połaniecki został znów sam i zaczął myśleć o pannie Maryni. Na samą wiadomość, że ją za chwilę zobaczy, nie mógł już myśleć o czym innym, i teraz oto stawiał sobie pytanie, w czym leży ta dziwna tajemnica natury, na mocy której on naprzykład nie pokochał pani Emilii, stanowczo piękniejszej od Maryni, prawdopodobnie lepszej, słodszej, zdolniejszej do kochania — tylko tamtą dziewczynę, którą bez porównania mniej znał i słusznie, lub niesłusznie, mniej czcił. A jednak przy każdym zbliżeniu się z Marynią budziły się w nim natychmiast te wszystkie porywy, które mężczyzna odczuwać może na widok wybranej kobiety, podczas gdy tak prawdziwie kobieca postać, jak pani Emilii, nie czyniła na nim innego wrażenia, niż gdyby była malowidłem lub rzeźbą... Dlaczego tak jest i dlaczego, im więcej w człowieku kultury, im bardziej nerwy jego stają się subtelne a wrażliwość większa, tem większą czyni różnicę między kobietą a kobietą? Połaniecki nie miał na to innej odpowiedzi, jak owa, którą dał ów doktor, zakochany w pannie Krasławskiej: „Ja patrzę na nią trzeźwo, tylko nie mogę od niej duszy oderwać.” Było to raczej stwierdzenie zjawiska, niż odpowiedź, na którą zresztą nie miał czasu, gdyż w tejże chwili panna Marynia wsunęła się do pokoju.

Skinęli sobie wzajem głowami, poczem on podniósł fotel i postawił go cicho przy łóżku Litki, dając na migi pannie Maryni znać, żeby siadła. Ona pierwsza poczęła mówić, a raczej szeptać:

— Niech pan pójdzie teraz na herbatę. Profesor Waskowski tam jest.

— A pani Emilia?

— Nie mogła już wysiedzieć. Mówiła, że aż jej samej dziwno, ale musi iść spać.

— Ja wiem, dlaczego. Doktor ją zahipnotyzował i dobrze zrobił. Mała naprawdę lepiej.

Panna Marynia spojrzała mu w oczy, lecz on powtórzył:

— Naprawdę lepiej... jeśli atak nie wróci, a jest nadzieja, że nie wróci.

— Ach! Bogu chwała. Niech pan teraz pójdzie na herbatę.

Lecz on wołał tak oto szeptać do niej z blizka i poufnie, więc odrzekł:

— Dobrze, dobrze, ale później. Umówmy się przytem tak, by i pani mogła wypocząć. Słyszałem, że ojciec pani był chory. Pewno pani i nad nim czuwała.

— Ojciec zdrów już, a ja chcę koniecznie zastąpić Emilkę. Mówiła mi, że jej służba nie spała także całą zeszłą noc, bo stan małej był już przed atakiem niepokojący... Trzeba, żeby teraz ktoś ciągle czuwał, więc jabym chciała tak to urządzić, żebyśmy — ja, pan i Emilka — zastępowali się kolejno.

— Dobrze. Ale dziś już zostanie. Jeśli nie tu, to będę w sąsiednim pokoju na podorędziu. Kiedy pani dowiedziała się o ataku?

— Nie wiedziałam nic. Przyszłam, jak zwyczajnie wieczorem, dowiedzieć się, co sły-
chać.

— A do mnie przybiegł służący pani Emilii w czasie, gdy jadłem obiad. Wyobrazi sobie pani łatwo, jakem tu leciał; nie byłem pewny, czy ją znajdę jeszcze przy życiu. Co jest przytem dziwnego, to, że w czasie obiadu rozmawialiśmy prawie ciągle o Litce z Bukackim i Waskowskim, zanim przyszedł Maszko z oznajmieniem o swoim małżeństwie.

— Pan Maszko się żeni?

— Tak. Jeszcze nowina się nie rozeszła, ale on sam oznajmił nam ją uroczyście. Żeni się z panną Krasławską, pamięta pani? z tą, która to była wówczas u Bigielów. To dobra partya dla Maszki — panna Krasławska...

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Marynia, która, nie kochając Maszki, odrzuciła jego rękę, ale która niejednokrotnie wyrzucała sobie względem niego postępowanie, w przypuszczeniu, iż naraziło go ono na zawód i cierpienia, mogła znaleźć tylko pociechę w wiadomości, że młody adwokat przeniósł cios tak łatwo. Jednakże wiadomość o tem zdziwiła ją na razie i ubodła. Kobiety, gdy z kimś współczują, chcą po pierwsze, by ów ktoś był naprawdę nieszczęśliwy, a powtóre, chcą same łagodzić nieszczęście; gdy się okaże, że potrafi to uczynić i kto inny, doznają pewnego rozczarowania. Miłość własna panny Maryni została także podwójnie dotknięta. Nie sądziła, by tak łatwo było o niej zapomnieć, a przytem musiała przyznać, że wyobrażenie jej o Maszce, jako o wyjątkowym człowieku, nie miało żadnej podstawy. Był on dla niej dotychczas rodzajem tuza w partyi przeciw Połanieckiemu — teraz przestał nim być. Czuli się więc, bądźco bądź, nieco upokorzona. Nie przeszkodziło jej to wprawdzie oświadczyć z pewnym akcentem prawdy Połanieckiemu, że jego nowina sprawia jej szczerą i głęboką radość, ale w gruncie rzeczy odczuwała i ku niemu jakby rodzaj urazy za to, że ją powiedział.

Połaniecki od pewnego czasu postępował z nią bardzo powściągliwie i w niczem nie zdradzał się z tem, co się w nim działo. Nie udawał zbytniego chłodu; ponieważ musieli się spotykać, więc w obejściu się z nią zachował nawet pewną życzliwą swobodę, ale ona właśnie dlatego sądziła, że przestał ją kochać. I taka jest natura ludzka, że, jakkolwiek dawna uraza ciągle żyła, a nawet zwiększała się w duszy panienki, jakkolwiek pierwsze rozczarowanie zmieniło się jakby w źródło, sączące coraz nową gorycz, przecie ta myśl, że niechęć jej jest mu już obojętną, drażniła pannę Marynię. Teraz zdawało jej się, że Połaniecki musi jednak tryumfować nad jej pomyłką co do Maszki i nad tem, że, bądźco bądź, ona, która przed niedawnym czasem miała wybór między Maszką a nim, obecnie go nie ma i że zostaje w pewnem opuszczeniu, trochę upokarzającym.

On zaś daleki był od takich myśli. Rad był wprawdzie, że Marynia pozna, iż, wywyższając nad niego Maszkę, myliła się gruntownie, ale ani mu się śniło cieszyć, albo tryumfować z powodu jej osamotnienia, bo w każdej chwili więcej niż kiedykolwiek gotów był otworzyć jej ramiona, przycisnąć ją do piersi i kochać. Pracował on wprawdzie nad złamaniem w sobie uczucia wytrwale i nawet z zawziętością, ale czynił to wyłącznie dlatego, że nie widział przed sobą żadnej nadziei, a poczytywał za rzecz uchybiającą swojej godności męskiej wkładać wszystkie siły duszy i serca w uczucie nieodwzajemnione. Chciał wedle własnego wyrażenia „nie dać się” i nie dawał się, jak umiał, ale pojmował to doskonale, że taka walka nuży, wyczerpuje, i że, gdy nawet kończy się zwycięstwem, przynosi, zamiast szczęścia, pustkę. A oprócz tego, daleko mu było do zwycięstwa. Po wielkich wysileniach doszedł wreszcie do tego tylko, że jego uczucie pomieszało się z goryczą. Ferment taki rozkłada wprawdzie miłość, z tej prostej przyczyny, że ją zatruią, i z czasem mógł ją rozłożyć w sercu Połanieckiego. Ale na razie, co za znikomy rezultat! Teraz oto, siedząc nieopodal Maryni i patrząc na jej twarz i głowę, oświeconą bladem światłem lampki, mówił sobie w duszy: „Gdyby tylko chciała!” Myśl ta złościła go, ale, chcąc być z sobą szczerzy, musiał przyznać, że gdyby tylko chciała, pochyliliby się do jej nóg z największą gotowością. Więc co za znikomy rezultat, a zarazem co za bezdroże! Jednocześnie bowiem czuł, iż nieporozumienie między nimi tak już wyrosło, iż gdyby Marynia nawet chciała powrotu takich chwil, jakie spędzili w Krzemieniu, to miłość własna i obawa, by nie stanąć względem siebie samej w sprzeczności, zamknęłyby jej usta. Stosunek ich tak się już powikłał, że prędzej jeszcze mogliby pokochać się, niż porozumieć.

Po krótkiej rozmowie zapadła między nimi cisza, przerywana tylko oddechem chorego dziecka i lekkim a posępnym dźwiękiem szyb, w które zaczął drobny deszcz. Na dworze uczyniła się noc wilgotna jesienna, niosąca z sobą ucisk, smutek, pesymizm i zniechęcenie. Równie smutno wyglądał ów pokój, w którego mrocznych kątach zdawała się czaić śmierć. Godzina płynęła za godziną, coraz wolniej. Połanieckiego ogarnęły nagle złe przeczucia. Spojrzał na Litkę i naraz wydało mu się szaleństwem przypuszczenie, że ona może wyżyć. Próżne czuwanie! próżne nadzieje! próżne złudzenia! To dziecko musi umrzeć! musi, tem bardziej, im jest droższe, słodsze, im bardziej kochane! Za nią pójdzie pani Emilia — i potem będzie pustka prawdziwie beznadziejna! Co za życie! Oto on, Połaniecki, ma te

dwie jedyne istoty na świecie, które go kochają, dla których jest czemś, więc oczywiście musi je stracić! Przy nich byłoby się o coś zahaczyć w życiu, bez nich — zostaje jedna nicość i jakaś przyszłość ślepa, głucha, bezrozumna, z twarzą idyoty...

Najenergiczniejszy człowiek potrzebuje, by go ktoś kochał. Inaczej czuje w sobie śmierć i jego energia zwraca się przeciw życiu. Taka chwila przyszła na Połanieckiego. „Nie wiem ostatecznie, dlaczego bym nie miał sobie w łeb palnąć — pomyślał — nie z rozpaczy za nimi, ale z powodu nicości bez nich. Jeśli życie ma być bezsensem, niema dobrej racji, by na bezsens pozwolić — chyba przez ciekawość, do jakiego stopnia dojść może.”

Lecz ta myśl nie zjawiała się w nim, jako zamiar. Było to raczej targnięcie za łańcuch nieszczęść człowieka, który się zżyma: chwila gniewu, szukającego przeciw komu by się zwrócić. W Połanieckim zwrócił się on nagle na Marynię. Sam on nie wiedział, dlaczego wydało mu się nagle, że wszystko, co się dzieje złego, dzieje się z jej powodu, że ona wniosła w ich kółko niechęć, której nie było, zmartwienie, którego nie było, że rzuciła jakby jakiś kamień w ich gładką wodę, i teraz fale, rozszerzając się coraz bardziej, ogarniają nietylko jego, ale i panią Emilię i Litkę. Jako człowiek, rządzący się rozsądkiem, nie nerwami, rozumiał całą czczość tego rodzaju zarzutów, a jednak nie mógł oprzeć się wspomnieniu, że nim Marynia przyjechała, było wszystko lepiej, że ową przeszłość mógł uważać jako szczęśliwy okres życia. Kochał oto wówczas tylko Litkę, takim jasnym, ojcowiskim uczuciem, które nie przyniosło i nie mogło przynieść jednej chwili goryczy. Kto wie przytem, czy z czasem nie byłby potrafił pokochać pani Emilię! Ona wprawdzie nie miała dla niego innych uczuć, tylko przyjazne, ale może jedynie dlatego, że innych nie pragnął. Nieraz szlachetne kobiety wyrzekają się uczuć, wychodzących poza granicę przyjaźni, by nie utrudniać i nie plątać życia komuś, kto mógłby być drogim, ale nie chce. Wówczas w głębi ich duszy leży cichy, ukryty smutek, znajdują jednak słodycz i pociechę w tkliwości, na jaką przyjaźń pozwala.

Połaniecki, poznawszy Marynię, oddał jej zaraz najlepszą część uczuć. Po co? dlaczego? Tylko na zgrzyotę sobie. Teraz, na domiar nieszczęścia, ta Litka, która była jedynym promykiem jego życia, umierała lub mogła umrzeć każdej chwili. Połaniecki znów wpatrzył się w nią i w duszy mówił jej:

— Zostań choć ty, dziecinko! ty nie wiesz, jakaś potrzebna i mnie i matce. Niech Bóg broni, co za życie będzie bez ciebie, drogie stworzenie!

Nagle spostrzegł, że oczy dziewczynki patrzą na niego.

Przez chwilę myślał, że się ludzi i nie śmiało się poruszyć, lecz mała poczęła się uśmiechać i wreszcie wyszeptwała:

— Pan Stach...

— To ja, Lituś! Jak się czujesz?

— Dobrze, a gdzie mama?

— Zaraz przyjdzie. Wojowaliśmy z nią ogromnie, żeby poszła spać i ledwieśmy ją namówili.

Litka zwróciła głowę i, spostrzegłszy pannę Marynię, rzekła:

— A, to ciocia Marynia?

Od pewnego czasu mała mówiła jej: ciociu.

Panna Marynia wstała i wzięwszy flaszeczkę, stojącą na szafce nocnej, poczęła nalewać pod światło lampki krople na łyżeczkę, następnie podała je Litce, a gdy dziewczynka skończyła pić, przycisnęła usta do jej czoła.

Nastała chwila milczenia, poczem dziecko rzekło, jakby samo do siebie:

— Nie trzeba mamy budzić.

— Nie; nikt nie będzie budził — odpowiedział Połaniecki. — Wszystko tak będzie, jak Lituś chce.

I począł gładzić jej rączkę, leżącą na koldrze.

Ona zaś patrzyła na niego, powtarzając, jak miała zwyczaj:

— Pan Stach... pan Stach...

Przez chwilę zdawało się, że usnie, ale dziecko widocznie rozmyślało o czemś z wielkim wysileniem, albowiem brwi jego podnosiły się do góry; wreszcie, otworzywszy oczy, jęła spoglądać kolejno to na Połanieckiego, to na pannę Marynię.

W pokoju słychać było tylko dźwięk deszczu o szyby.

— Co ci jest, dziecinko? — spytała panna Marynia.

Ona zaś, złożwszy ręce, wyszeptała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Bo ja mam wielką, wielką prośbę do cioci Maryni, ale... nie śmiem powiedzieć.

— Mów, moje kochanie! Wszystko zrobię, co zechcesz...

Wówczas dziewczynka, chwyciwszy jej dłoń i przycisnąwszy do niej usta, wyszeptała:

— Żeby ciocia Marynia kochała pana Stacha.

W ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, słychać było tylko przyspieszony nieco oddech dziewczynki; wreszcie ozwał się spokojny głos panny Maryni:

— Dobrze, kochanie.

Połanieckiego schwycił nagle za gardło spazm płaczu. Wszystko, nie wyłączając panny Maryni, znikło mu z oczu wobec tego dziecka, które w takiej chwili, chore, bezsilne i wobec śmierci, myślało tylko o nim.

Litka zaś pytała dalej:

— I ciocia wyjdzie za pana Stacha?

W świetle błękitnej lampki twarz panny Maryni wyglądała bardzo blado, usta jej drżały, ale odrzekła bez wahania:

— Tak jest, Lituś.

Dziewczynka podniosła po raz wtóry do ust jej rękę. Główka jej opadła znów na poduszkę, i czas jakiś leżała z zamkniętymi powiekami, po chwili jednak dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Nastąpiła teraz jeszcze dłuższa cisza. Deszcz bił w szyby. Połaniecki i panna Marynia siedzieli bez ruchu, bez spojrzenia na siebie, jakby posnęli. Czuli tylko oboje, że losy ich przeważały się tej nocy, ale byli jakby ogłuszeni tem, co zaszło. W chaosie myśli i uczuć żadne z nich nie umiało ni uświadomić, ni określić, co się w niem dzieje.

I w tem milczeniu, w tem instynktowym milczeniu, by wypadkiem nie spojrzeć sobie w oczy, godzina poczęła płynąć za godziną. Zegary wybiły północ, potem pierwszą; koło drugiej pani Emilia wsunęła się, jak cień, do pokoju.

— Śpi? — spytała.

— Nie, mamusiu — odpowiedziała Litka.

— Dobrze ci jest?

— Dobrze, mamusiu.

I gdy pani Emilia usiadła przy niej na łóżku, mała objęła rączkami jej szyję i tuląc swoją płową główkę do jej piersi, rzekła:

— Ja teraz, mamusiu, wiem, że jak chore dziecko o co prosi, to mu nigdy nie odmawiają.

I czas jakiś przytulała się jeszcze do matki w milczeniu, poczem, przeciągając każde słowo, jak czynią dzieci senne, lub bardzo osłabione, rzekła:

— Pan Stach nie będzie więcej smutny i powiem mamusi, dlaczego...

Lecz tu główka jej poczęła ciążyć na piersiach matki i pani Emilia uczuła zimny pot, występujący zarówno na ręce dziecka, jak na jego skronie.

— Lituś! — zawołała cichym, przerażonym głosem.

A dziewczynka poczęła mówić:

— Tak mi dziwnie! tak słabo!...

Myśli jej poczęły się widocznie mącić, gdyż po chwili mówiła dalej:

— O! morze płynie! Takie duże morze, i my wszyscy po niem płyniemy. Mamo, mamo!...

I przyszedł znowu atak, straszny, niemiłosierny. Ciało dziewczynki wyprężyło się w konwulsyi, a źrenice jej uciekły w tył głowy. Nie było się już co łudzić: nadchodziła śmierć, czuć ją było w bladym świetle lampki i w mrocznych kątach pokoju, w dźwięku szyb, bitych deszczem, i w szumie wiatru, pełnym przerażających głosów i wołań.

Połaniecki zerwał się i pobiegł po doktora; po kwadransie wrócili obaj, niepewni wobec zamkniętych drzwi pokoju, czy dziecko żyje jeszcze, i znikli w nich natychmiast, naprzód Połaniecki, potem doktor, powtarzający od chwili, gdy go wyciągnięto z łóżka, jeden frazes:

— Chyba wzruszenie, czy przestrah?

Kilkoro ludzi ze służby o twarzach sennych i przerażonych zgromadziło się pode drzwiami, nasłuchując — i w całym mieszkaniu nastąpiła cisza, długa, ciężka, jak ołów.

Przerwała ją wreszcie Marynia, która pierwsza wyszła z zamkniętego pokoju, z twarzą bladą, jak płótno, i trzęsącym się głosem rzekła śpiesznie:

— Wody dla pani! Panienska nie żyje!

XIX

Jesień w ostatnich swych dniach uśmiecha się jeszcze czasem do ludzi ogromnie smutno, ale zarazem i pogodnie, jak umierająca na suchoty kobieta. W taki pogodny dzień wypadł właśnie pogrzeb Litki. Jest w tem boleść pomieszana z pewną pociechą, że ludzie, którzy zostają, myślą i czują w dalszym ciągu za swoich zmarłych. Połanieckiego, który zajmował się pogrzebem, ów pogodny i smutny dzień przejął jeszcze większym smutkiem, ale, podstawiając się w uczucia Litki, pomyślał, że dziecko właśnieby sobie takiego dnia życzyło — i znalazł w tem pewną ulgę. Aż do tej chwili nie umiał wprost zmierzyć głębi swojego żalu. Taka świadomość przychodzi później, a zaczyna się dopiero wówczas, gdy kochana istota zostaje na cmentarzu, a człowiek wraca sam do pustego domu. Prócz tego, zajęcia pogrzebowe pochłonęły Połanieckiemu wszystkie czas. Życie otoczyło sztucznymi formami i utrudniło nawet tak prosty akt, jakim jest śmierć. Połaniecki chciał oddać Litce jeszcze tę ostatnią usługę, którą zresztą nie miał się kto zająć. Wszystkie te sprzężyny życia, na mocy których człowiek myśli, postanawia i działa, zostały w pani Emilii przez śmierć dziecka podcięte. Wiatr okazał się tym razem zbyt silny na wełnę jagnięcia. Na szczęście jednak, zbyt wielka boleść zabija samą siebie, albowiem odrętwia serce ludzkie. To stało się z panią Emilią. Połaniecki zauważył, że panującym wyrazem jej twarzy i oczu było bezmierne, zastygłe przerażenie. Jak w oczach jej nie było łez, tak w ustach słów, tylko jakiś szept tragiczny i zarazem dziecinny, dowodzący, że myśl jej nie ogarnia nieszczęścia, lecz krąży wokół towarzyszących mu drobiazgów, czepia się ich i otacza je troskliwością taką, jakby dziecko żyło jeszcze. W pokoju, zmienionym w żalobną świetlicę, Litce, uspiętej wśród kwiatów na atlasowej poduszce, nie mogło braknąć niczego; tymczasem zdzieciniałe z bólu serce matki zwracało się ustawicznie do tego, czego dziecku mogło braknąć. Gdy ją próbowano oderwać od ciała, nie stawiała oporu, tylko traciła resztę przytomności i poczyniała jęczeć, jakby jej zadawano ból nad siły.

Połaniecki i Chwastowski, brat męża, który przybył przed samym pogrzebem, usiłowali ją wyprowadzić w chwili, gdy Litkę przykrywano wiekiem; lecz gdy pani Emilia zaczęła wołać małej po imieniu, obydwom nie stało odwagi. Kondukt ruszył wreszcie, wśród pochodni, liczny, ciągnący za sobą ogon karet, poprzedzany przez księży i posępny śpiew, a z miejsca otoczony gromadą ciekawych, którzy w nowożytnych miastach tak pasają oczy ludzką boleścią, jak w starożytnych pasiono je ludzką krwią po cyrkach. Pani Emilia, prowadzona przez brata męża, mając obok siebie Marynię, szła tuż za karawanem, z twarzą suchą i bezduszną. Oczy jej widziały teraz tylko jeden szczegół i myśl zajmowała się nim wyłącznie. Oto zdarzyło się, że jedno pasemko płowych, niezmiernie obfitych włosów Litki zostało na zewnątrz trumny. Pani Emilia przez całą drogę nie spuszczała z niego oczu, powtarzając co chwila: „O Boże, Boże! przycięli dziecku włosy!”

W Połanieckim żal, zmęczenie, nerwowy rozstrój z powodu bezsenności — zmieniły się w poczucie tak nieznośnego ciężaru, że chwilami chwytala go nieprzewyciężona chęć zawrócić z pół drogi, pójść do siebie, rzucić się na jaką sofę, nie myśleć o niczem, nie chcieć niczego, nie kochać nikogo, nie czuć nic. I jednocześnie ten odruch samolubstwa dziwił go i oburzał przeciw sobie samemu; jednocześnie wiedział, że nie zawróci, że wypije ten kielich aż do dna, pójdzie aż do końca, nie tylko dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że żal za Litką i przywiązanie do niej będą silniejsze od egoizmu. Czuł też teraz doskonale, że wszystkie inne jego uczucia skurczyły się, zwiędły i że dla całego świata ma w sercu, w tej przynajmniej chwili, wielkie nic. Zresztą jego myśli i uczucia wpadły w zupełny bezład, złożony z wrażeń zewnętrznych, uświadamianych bardzo pobieżnie, ze spostrzeżeń czynionych niewiadomo dlaczego i pomieszanych zupełnie mechanicznie z uczuciem żalu i zmartwienia. Chwilami patrzył na domy, koło których przechodził kondukt, i rozróżniał ich kolory; chwilami wpadał mu w oczu jakiś szyld sklepowy, który odczytywał, nie wie-

dząc, z jakiego powodu to czyni; to znów myślał, że oto księża przestali śpiewać, ale zaraz zaczęła i czekał tylko ponownego zerwania się żałobnych głosów, jakby z pewną obawą. Czasem rozumował tak, jak człowiek, który, budząc się ze snu, chce sobie zdać sprawę z rzeczywistości: „To są domy — mówił sobie — to szyldy, to zapach smoły z pochodni, a tam w górze leży Litka i idziemy na cmentarz...” I nagle zrywała się w nim fala żalu za tem słodkim, kochanym dzieckiem, za tą drogą główką, która tyle razy uśmiechała się do niego. Przypominał ją sobie z dawniejszych i z ostatnich czasów; przypominał z Reichenhallu, gdy ją niósł, wracając z Thumsee; a dalej na wsi u Bigielów, i w mieszkaniu pani Emilii, gdy mówiła, że chciałaby być brzoźką — i wreszcie, gdy na kilka godzin przed śmiercią prosiła Maryni, by za niego wyszła. Połaniecki nie mówił sobie wprost, że Litka kochała się w nim, jak dorosła kobieta, i że, zaręczając go z Marynią, uczyniła akt ofiary, bo i w rzeczywistości nieświadomione uczucia dziewczynki nie dałyby się może tak ściśle określić; czuł jednak doskonale, że było to coś podobnego i że ofiara miała miejsce, wypłynęła zaś z tego głębokiego i wyjątkowego przywiązania, jakie dziecko dla niego czuło. Ponieważ stratę najdroższych nawet osób odczuwa się przeważnie za pomocą szkody, jaką się osobiście ponosi, więc Połaniecki jął teraz powtarzać sobie: „To była jedyna dusza prawdziwie mnie kochająca! Nie mam teraz nikogo na całym świecie”... I podniósłszy oczy na trumnę, ku temu pasemku płowych włosów, które kołysało się w powietrzu, począł wołać w duszy na Litkę tymi wszystkimi tkliwymi wyrazami, którymi przemawiał do niej za życia. Wreszcie uczuł, że łączy duszą go, gdyż to jest wołanie bez echa. Jest coś rozdzierającego w obojętności zmarłych. Gdy istota, która odczuwała każde spojrzenie, staje się obojętną, kochającą — lodowatą, bliska w codziennym życiu i najbliższa w sercu — uroczystą i daleką, nic nie pomoże powtarzać sobie: „Śmierć! śmierć!”; obok całej boleści, płynącej ze straty, czuje się jeszcze jakby rozdzierający zawód, jakby serdeczną krzywdę, wyrządzoną przez to martwe ciało, które pozostaje głuchem na naszą boleść, nasze wołanie. Połaniecki miał również na dnie duszy uczucie, że Litka, odejmując mu się i idąc w kraj śmierci, wyrządziła mu jakby krzywdę, a przytem z istoty blizkiej stała się daleką, z poufałej uroczystą — czemś odległym, wysokim, świętem, a zarazem zupełnie obojętnem na rozpacz matki i na głębokie osamotnienie najbliższego przyjaciela. Było w tych uczuciach Połanieckiego wiele egoizmu, ale gdyby nie ów egoizm, który przedewszystkiem własną stratę i własne opuszczenie ma na myśli — ludzie, zwłaszcza wierzący w zagrobowe życie i w zagrobowe szczęście, nie żalowałiby umarłych.

Kondukt wyszedł wreszcie z miasta na otwartzsze, widniejsze przestrzenie, i za rogatką posuwał się wzdłuż cmentarnego muru, przybranego w girlandy żebraków i w girlandy z nieśmiertelników i z choiny, przeznaczone na groby. Szeregi księży w białych komżach, służba pogrzebowa z pochodniami, karawan z trumną i ludzie idący za nim zatrzymali się przed bramą, poczem zdjęto Litkę i Połaniecki, Bukacki, Chwastowski i Bigiel ponieśli ją do grobu ojca.

Ta cisza i pustka, która po każdym pogrzebie czeka dopiero w domu na ludzi wracających od świeżych grobów, zdawała się tym razem poczynać już na cmentarzu. Dzień był pogodny, bład; z drzew tu i owdzie spływały bez szelestu ostatnie żółte liście; orszak pogrzebowy zmalował wśród tych rozległych białych przestrzeni, które, usiane krzyżami, zdawały się nie mieć końca, jakby naprawdę cmentarz ów otwierał się na nieskończoność. Czarne, bezlistne drzewa, o wierzchołkach złożonych z cienkich i jakby roztopionych w świetle gałązek, podobne do widziadeł szare i białe pomniki, zwiędłe liście pokrywające długie i proste aleje, wszystko to razem czyniło istotnie wrażenie jakichś pól elizejskich, pełnych głębokiego spokoju, ale i głębokiej sennej melancholii, jakichś „miejsc zimnych i smutnych,” o których marzyła posępna głowa Cezara i którym miała teraz przybyć jedna więcej „animula vagula.”

Trumna stanęła wreszcie nad otwartym grobem. Ozwało się rozdzierające: „Requiem aeternam” a następnie: „Anima ejus.” Połaniecki, przez chaos swych myśli i wrażeń, oraz przez zasłonę własnego żalu, widział, jak we śnie, skamieniałą twarz i szklane oczy pani Emilii, łączy Maryni, które go drażniły w tej chwili, blade policzki Bukackiego, z którego rysów widać było wyraźnie, że jego życiowa filozofia, nie mając nic do roboty na tym cmentarzu, opuściła go przed bramą — i trumnę z Litką. Gdy na wieko rzucono garść piasku — on poszedł za przykładem innych, gdy zaś po spuszczeniu na pasach trumny

w głąb grobu, zamykano kamienne drzwi, znów porwało go coś za gardło, tak, że wszystko, o czym myślał i co uświadamiał dzisiaj, zmieniło się w jedną nicość. W duszy powtarzał proste słowa: „Do widzenia, Lituś!” — które później, gdy je sobie przypominał, wydały mu się również niczem w stosunku do jego męczącej duchowej burzy — i na tem koniec. Orszak pogrzebowy zaczął się zmniejszać i topnieć. Połanieckiego rozbudził po jakimś czasie wiatr, który nadciągał zdala, z pomiędzy krzyżów. Przy grobie spostrzegł teraz panią Emilię z Marynią, Bigielową, Waskowskim i stryjem Litki. Powiedział sobie, że wyjdzie ostatni — i czekał, powtarzając znów w duszy słowa: „Do widzenia, Lituś!” — i myśląc o śmierci, o tem, że on także przyjąć musi do tego miasta nagrobków i że to jest ocean, w który spłyną wszystkie myśli, zabiegi, uczucia... Wydało mu się teraz, jakby on i wszyscy, co tam stali przy tym grobie lub odeszli, byli na okręcie, który dąży wprost do przepaści. O życiu pozagrobowym w tej chwili nie myślał.

Tymczasem nadszedł prędko jesienny zmrok. Krzyże stały się jeszcze bledsze. Stary profesor i Chwastowski poprowadzili panią Emilię ku drzwiom cmentarnym, bez żadnego z jej strony oporu. Połaniecki powtórzył raz jeszcze: „Do widzenia, dziecińko!” — i wyszedł.

Za bramą pomyślał:

— Szczęściem, że matka nieprzytomna, bo co za straszna myśl, że dziecko zostało tam samo! Zmarli opuszczają nas, ale i my ich opuszczamy.

Jakoż zdala ujrzał karetę, w której odjeżdżała pani Emilia — i wydawało mu się, że taki porządek rzeczy na świecie ma w sobie coś oburzającego.

Sam jednak, wsiadłszy do doróżki, doznał chwili egoistycznej ulgi, płynącej z poczucia, że skończył się jakiś akt męczący i ciężki, po którym nastąpi odpoczynek. Po powrocie, własne mieszkanie wydało mu się *czcze*, bez promyka wesołości, bez otuchy i nadziei; ale gdy przy herbacie wyciągnął się na sofie, ogarnęło go zwierzęce zadowolenie z wypoczynku po trudzie — uczucie ulgi, a nawet jakby zadowolenie z tego, że pogrzeb skończony i Litka pochowana, ogarnęło go po raz drugi. Przypominał sobie wówczas zdanie jakiegoś myśliciela: „Nie znam zbrodniarzy, znam tylko ludzi uczciwych — i ci są ohydni.” Połaniecki wydawał się sobie w tej chwili obrzydliwym.

Wieczorem przypominał sobie, że trzeba dowiedzieć się jednak o panią Emilię, którą Marynia miała zabrać na kilka tygodni do siebie. Wychodząc, spostrzegł na stole fotografię Litki i ucałował ją. W kwadrans później zadzwonił do Pławickich.

Służący powiedział mu, że pan wyszedł, ale prócz pani Chwastowskiej, jest profesor Waskowski i ksiądz Chylak. W saloniku przyjęła go Marynia, źle uczesana, z czerwonymi oczyma, prawie brzydka. Natomiast dawniejszy sposób jej obejścia się z nim zmienił się zupełnie, jakby Marynia zapomniała o wszystkich urazach wobec rzeczy bardziej nieszczęsnych.

— Emilka jest u mnie — poczęła szeptać. — Źle się ma, ale zdaje się, że przynajmniej rozumie, co się do niej mówi. Jest przy niej profesor Waskowski... On tak z serca mówi... Czy pan chce koniecznie widzieć Emilkę?

— Nie, pani. Przyszedłem tylko dowiedzieć się, jak się ma i zaraz idę.

— Nie wiem... może ona zechce pana zobaczyć. Niech pan chwilę odpocznie, a ja pójdę tam i wspomnę, że pan przyszedł. Litka tak pana kochała, że dla tego samego może Emilce będzie miło widzieć pana.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Marynia odeszła do przyległego pokoju, ale widocznie nie mogła zaraz zacząć rozmowy, Połanieckiego bowiem doszedł przez odemknięte drzwi nie jej głos, lecz głos Waskowskiego, pełen akcentów głębokiego przekonania, a przytem jakby wysilenia, starającego się przebić pancierz nieczułości i boleści.

Stary profesor mówił:

„..... To tak, jakby wyszła do drugiego pokoju po zabawkę — i jakby miała zaraz wrócić... Ona nie wróci, ale pani pójdziesz do niej. Moja droga pani, patrz na śmierć nie od strony ziemi, ale od strony Boga. Dziecko żyje i szczęśliwe, bo samo będąc w wieczności, patrzy na to rozłączenie się wasze, jak na jedno mgnienie oka. Litka żyje — mówił dalej z naciskiem — żyje i szczęśliwa. Ona widzi, że pani idziesz ku niej i wyciąga do ciebie ręce, i wie, że za chwilę nadejdiesz, bo ze strony Boga życie i boleść to mniej, niż mgnienie oka

— a potem wieczność, razem — z Litką, pomyśl najdroższa pani — z Litką, w spokoju, w weselu... bez chorób, bez śmierci. Światy miną, a wy będziecie razem”...

A Połaniecki pomyślał z goryczą:

— Dobrzeby było, gdyby to było pewne...

Po chwili zaś:

— Gdybym tak czuł, tobym miał po co tam wchodzić. Inaczej nie!

Jednakże, wbrew tej myśli, wszedł, nie czekając nawet na powrót Maryni, bo wydało mu się, że jeśli nie miał powodu, to miał powinność, i że nie wolno mu tchórzyc przed cudzą boleścią. Egoizm jest „bawełną w uszach od ludzkiego jęku,” a tłómaczy się sam przed sobą, że wielkiej boleści nie można powiedzieć nic takiego, coby ją pocieszyło. Połaniecki rozumiał, że tak jest, i wstyd mu było cofać się wygodnie, zamiast pójść naprzeciw żalowi matki. Wszedłszy, spostrzegł panią Emilię siedzącą na sofce; nad sofką stała lampa, a poniżej palma, która rzucała na tę nieszczęsną głowę cień, jakby olbrzymich rozpostartych nad nią palców. Przy pani Emilii siedział Waskowski i, trzymając ją za ręce, patrzył w jej twarz. Połaniecki odjął mu te ręce i, pochyliwszy się ku nim, począł je w milczeniu do ust przyciskać.

Pani Emilia mrugała chwilę oczami, jak ktoś usiłujący rozbudzić się ze snu, poczem nagle zawołała z niespodzianym wybuchem:

— Pamięta pan, jak ona...

I porwał ją płacz ogromny, przy którym ściskają się ręce, usta nie mogą tchu złapać i piersi pękają od łkań. W końcu zabrakło jej sił i zemdlała. Gdy przyszła znów do siebie, Marynia wyprowadziła ją do swego pokoju. Połaniecki wraz z Waskowskim wyszli do przyległego saloniku, gdzie ich zatrzymał Pławicki, który tymczasem wrócił z miasta.

— Taka smutna osoba w domu — rzekł im — to bardzo psuje życie; należałoby mi się trochę spokoju i swobody, ale cóż robić, cóż robić! — muszę zejść na drugi plan, i gotów jestem...

Po upływie pół godziny przyszła na chwilę Marynia z doniesieniem, że pani Emilia położyła się na jej prośby i że jest nieco spokojniejsza. Połaniecki i Waskowski poczuli się żegnać i wyszli.

Szli w gęstej mgłę, która nocą wstała od ziemi po dniu pogodnym, przesłaniając ulice i czyniąc koło latarni różnobarwne kręgi. Obaj rozmyślali o Litce, która spędzała pierwszą noc zdala od matki, wśród zmarłych. Połanieckiemu wydało się to wprost straszne, nie dla Litki, ale dla pani Emilii, która musiała o tem myśleć. Rozwahał sobie również słowa Waskowskiego, mówione do niej, i w końcu ozwał się:

— Słyszałem, co pan mówił... Jeśli jej to sprawiło ulgę, to dobrze; ale widzi pan, żeby to był pewnik, to powinniśmy sobie teraz... bo ja wiem?... chyba ucztę wyprawic i cieszyć się, że Litka umarła.

— A skąd wiesz, że się nie będziemy cieszyli po śmierci?

— To pan powiedz, skąd wiesz, że tak będzie?

— Ja nie wiem; ja wierzę.

Na to nie było co rzec — więc Połaniecki mówił, jakby do siebie:

— Miłosierdzie, empiryjskie światło, wieczność — połączenie — a w rzeczywistości co? — trup dziecka na cmentarzu i matka, która wije się z bólu... Niechby śmierć rodziła przynajmniej tę pańską wiarę, ale ona rodzi zwątpienie. Bo panu jednak tego dziecka żal, a mnie jeszcze więcej, i ten żal wprost narzuca mi pytanie: dlaczego ona umarła? po co takie okrucieństwo? Wiem, że to głupie pytanie, i że miliardy ludzi je sobie zadawały; ale jeśli to ma być pociecha, to niechże ją piorun trzaśnie! Wiem także, że nie znajdę odpowiedzi, ale dlatego chce mi się zgrzytać i kłąć... Nie rozumiem — i buntuję się — ot i wszystko! To cały skutek, którego i pan nie możesz uznać za pożądany.

Waskowski odpowiedział również, jakby mówił sam do siebie:

— Chrystus zmartwychwstał, bo był Bogiem, ale jako człowiek i on przeszedł przez śmierć. Cóż ja, lichy robak, mogę innego uczynić, jak wielbić wolę i mądrość bożą w śmierci?

Na to Połaniecki odrzekł:

— Z panem niema co mówić.

— Ślizko jest — odrzekł Waskowski — podaj mi rękę.

I wzięwszy Połanieckiego pod ramię, wsparł się na nim i mówił dalej:

— Mój drogi! ty masz poczciwe i kochające serce, ty bardzo kochałeś tę małą, byłbyś wiele dla niej uczynił — nieprawda? — zróbże jeszcze to jedno: wierzysz, czy nie wierzysz, zmów za nią: „Wieczny odpoczynek..” Jeśli myślisz, że jej się to na nic nie przyda, powiedz sobie: „Więcej jednak nic już dla niej nie mogę, a to jedno mogę...”

— Daj mi pan spokój! — odpowiedział Połaniecki.

— Jej to może być niepotrzebne, ale jej będzie miła pamięć twoja, ona będzie ci wdzięczna i wyprosi ci łaskę bożą.

Połaniecki wspomniał, jak Waskowski, na wieść o ostatnim ataku Litki, mówił, że życie dziecka nie może być bezcelowe i że jeśli ono ma umrzeć, to prawdopodobnie przeznaczonemu mu jest przed śmiercią coś spełnić. I teraz chciał napaść z tego powodu na Waskowskiego, gdy nagle uderzyła go myśl, że jednak Litka przed śmiercią połączyła go z Marynią.

I mimowoli nasunęło mu się pytanie: „A może ona dlatego żyła?” Lecz w tejże chwili poczył się buntować przeciw tej myśli. Chwytał go nagły gniew na Marynię, pełen zawziętości i niemal pogardy.

— Ja nie chcę tamtej za taką cenę — pomyślał, ścisnąwszy zęby. — Nie chcę! Dość sam się przez się namęczyłem. Oddałbym takich dziesięć za jedną Litkę!

A tymczasem Waskowski, drepcąc koło niego, mówił:

— Nie widać nic na krok i kamienie oślizły od mgły. Żeby nie ty, byłbym się już dawno przewrócił.

A Połaniecki ochłonął i odrzekł:

— Bo widzisz, panie profesorze, kto chodzi po ziemi, musi na dół patrzeć, nie do góry.

— Ty masz dobre nogi, mój kochany.

— I oczy, które widzą jasno, nawet w takiej mgłę, która nas otacza. Bo my wszyscy żyjemy we mgłę, a za nią licho wie co jest. Wszystko, coś pan mówił, robi mi takie wrażenie, jakby ktoś kruszył suche gałązki, rzucał je w potok i mówił, że z tego będą kwiaty. Będzie zgnilizna i nic więcej... Mnie także coś ten potok porwał, z czego myślałem, że będzie kwiat. Głupstwo!... Ale, ot, pańska brama! — dobranoc!

I rozstali się. Połaniecki wrócił do siebie ledwie żywy ze zmęczenia, i położywszy się, poczył się w dalszym ciągu męczyć myślami a raczej widzeniami. Naprzód stanęła mu przed oczyma ubezwładniona bólem postać pani Emilii, siedząca w saloniku Maryni, pod liściem palmowym, który zwieszał się nad jej głową, jak ogromna, złowroga ręka, z rozpostartymi, drapieźnymi palcami, i rzucał cień na jej twarz. „Mógłbym nad tem filozofować do jutra rana — mruczał do siebie. — Wszystko, z czego się składa życie, to taka ręka, od której pada cień — nic więcej! Bo gdyby przytem było jeszcze trochę miłosierdzia, toby to dziecko nie umarło — a tem, co mówi Waskowski, i wróbel się nie nakarmi”.

Tu jednak przypomniał sobie, iż Waskowski nietylko mówił o śmierci, ale prosił go jeszcze, by zmówił za Litkę „Wieczny odpoczynek”. Połaniecki poczył teraz walczyć z sobą. Brak głębszej wiary, by Litka mogła słyszeć jego „Wieczny odpoczynek” i by mógł on się jej na co przydać, zamykał mu usta. Czuł przytem jakby pewien wstyd mówić słowa, które nie płynęły z głębi jego przekonania, a jednocześnie czuł taki sam wstyd nie uczynić tego. „Bo wreszcie, co ja wiem? — myślał. — Nic. Naokół mgła i mgła. Prawdopodobnie nic jej z tego nie przyjdzie, ale, bądźco bądź, jest to istotnie jedyna rzecz, którą mogę jeszcze uczynić dla mojego „kociątka”, dla tego drogiego dziecka, które w dniu śmierci myślało o mnie”.

I czas jakiś wahał się jeszcze, poczem jednak klęknął na łóżku i mówił: „Wieczny odpoczynek”.

Nie przyniosło mu to wszelako żadnej pociechy, bo rozbudziło tylko tem większy żal za Litką, a jednocześnie złość na Waskowskiego za to, że go zapędził w położenie, w którym musiał albo wpaść w sprzeczność z samym sobą, albo zdradzić niejako Litkę. Poczul wreszcie, że ma dość tego rodzaju szarpaniny, i postanowił nazajutrz pójść od rana do biura i zająć się wraz z Bigielem pierwszą lepszą sprawą handlową, byle tylko oderwać myśl od tego bolesnego, błędnego koła, w którym się od kilku dni kręcił.

Lecz nazajutrz Bigiel uprzedził go i przyszedł sam do niego, może także w tym celu, by go zająć czem innym. Połaniecki rzucił się z pewną chciwością do rozpatrywania bieżących interesów — nie mogli jednak obaj z Bigielem długo się nimi zajmować, bo w godzinę później zjawiał się Bukacki z pozęgnaniem.

— Jadę dziś do Włoch i Bóg wie, kiedy wrócę — rzekł — chciałem wam powiedzieć: Bądźcie zdrowi! Śmierć tego dziecka dotknęła mnie więcej, niżem się spodziewał...

— I dlatego wyjeżdżasz?

— Dużoby o tem mówić. U nas, widzisz, to się tak powiada, że się jest buddystą, czy też czem ci się podoba — a w gruncie rzeczy trochę się wierzy, trochę ufa w... jakieś miłosierdzie... i tem się żyje. Tymczasem co? Oto rzeczywistość bije nas codzien po fizyognomii — i wprowadza w duchową rozterkę, w zmartwienie, w moralny ucisk. Tu się wiecznie coś albo kogoś kocha, wiecznie się cudzem nieszczęściem martwi, a ja tego nie chcę. To mnie męczy...

— W czem ci pomogą Włochy?

— W czem mi pomogą? Bo tam mam słońce, którego tu nie mam; mam sztukę, której tu nie mam, a do której czuję słabość; mam *chianti*, które mi dobrze robi na katar żołądka, i w końcu mam ludzi, którzy mnie nic a nic nie obchodzą i którzy mogą sobie setkami umierać bez żadnej dla mnie przykrości. Będę patrzył na obrazy, będę sobie kupował, co mi potrzeba, pielęgnował swoje reumatyzmy, swój ból głowy, i będę sobie mniej więcej wykwiłtnem, mniej więcej sytem i mniej więcej zdrowem zwierzęciem — co, wierz mi, jest jeszcze najbardziej pożądanym rodzajem i stanem życia. Tu nie mogę być dostatecznie bydlęciem, a z duszy chcę niem być.

— Masz rację, Bukacki. My oto, widzisz, siedzimy w rachunkach, także trochę dlatego, żeby się skretynizować i nie myśleć o czem innym. Jak zrobimy taki majątek, jaki ty masz, to — nie wiem, jak Bigiel — ale ja pójdę twoim śladem.

— Zatem, do widzenia w czasie i przestrzeni! — rzekł Bukacki.

W chwilę po jego wyjściu Połaniecki rzekł:

— On ma słusność. Ile jabym był naprzykład szczęśliwszy, gdybym się nie był przywiązał do tego dziecka i do pani Emilii. My jesteśmy pod tym względem nieuleczalni i psujemy sobie dobrowolnie życie. On ma słusność. Tu zawsze się coś lub kogoś kocha. To dziedziczna choroba... Wieczny romantyzm, wieczny sentymentalizm — i wieczne kolki w sercu...

A Bigiel rzekł:

— Kłania ci się stary Pławicki. Ten nie kocha nikogo, prócz siebie.

— W rzeczywistości może tak jest, ale jemu brak i rozumu i odwagi, żeby sobie powiedzieć, że tak wolno i tak trzeba. Owszem. Jest przekonany, że trzeba inaczej i przez to jest w ciągłej niewoli. Tu, choć ktoś ma taką naturę, jak on, to jeszcze musi udawać, nawet przed sobą samym, że coś lub kogoś kocha.

— A będziesz dziś u pani Emilii? — spytał Bigiel.

— Naturalnie! Gdybym ci naprzykład powiedział, że mam malaryę, to tem samem jeszczebym się z niej nie wyleczył.

I rzeczywiście, nietylko tego dnia był u pani Emilii, ale był dwa razy, albowiem za pierwszą bytnością nie zastał tych pań w domu. Pławicki, na zapytanie, gdzie jest córka, odpowiedział mu z odpowiednim patosem i rezygnacją: „Ja nie mam teraz córki!” — Połaniecki, nie chcąc mu nawymyślać, do czego uczuł nagłą ochotę, wyszedł i powrócił dopiero wieczorem.

Tym razem wyszła znów do niego sama Marynia i oznajmiła mu, że pani Emilia zasnęła po raz pierwszy od pogrzebu Litki. Mówiąc to, trzymała czas jakiś rękę w jego dłoni. Połaniecki, mimo całej rozterki, w jakiej były jego myśli, nie mógł tego nie zauważyć, a gdy spojrzał wreszcie pytającym wzrokiem w jej oczy, dostrzegł, że policzki panienki zarumieniły się lekko. Tymczasem siedli obok siebie i poczęli rozmawiać:

— Byłyśmy na Powązkach — rzekła Marynia — i obiecałam Emilce, że będziemy tam jeździły codziennie.

— Czy to dla niej dobrze, tak sobie co dnia przypominać dziecko i rozdzierać rany?

— Ach, alboż one zaschły? — odpowiedziała Marynia — i czy jest możliwość powiedzenia jej: „Nie jedź!” Ja sama myślałam, że to będzie niedobrze, ale przekonałam się,

że przeciwnie. Na Powązkach płakała bardzo, ale było jej lepiej. Wracając, przypomniała sobie, co jej mówił profesor Waskowski — i ta myśl, to dla niej jedyna pociecha — jedyna!

— Niechże ma choć taką — odpowiedział Połaniecki.

— Widzi pan, ja nie śmiałam jej z początku wspomnieć o Litce, ale ona ciągle o niej mówi. Niech pan także nie obawia się mówić jej o niej, bo to jej sprawia widocznie ulgę...

Tu panienka poczęła opowiadać jeszcze bardziej zniżonym i jakby niepewnym głosem:

— Ona sobie ciągle wyrzuca, że tej ostatniej nocy posłuchała zapewnień doktora i poszła spać. Jej żal tych straconych chwil, które mogła spędzić z Litką, i ta myśl nurtuje ją. Dziś, gdy wróciliśmy z cmentarza, poczęła mnie wypytywać o najdrobniejsze szczegóły: jak dziecko wyglądało, jak długo spało, czy brało lekarstwo i co przytem mówiło, czy odzywało się do nas?... Przytem zaklinała mnie, żebym sobie przypomniała wszystko i żebym nie opuściła żadnego słowa.

— I pani nie pominęła niczego?...

— Nie.

— ...Jak ona to przyjęła?

— Bardzo, bardzo płakała.

Oboje umilkli i milczeli dość długo, poczem Marynia rzekła:

— Pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje.

Po chwili wróciła:

— Śpi — rzekła. — Chwała Bogu!

Jakoż Połaniecki nie widział tego wieczora pani Emilii, która zapadła jakby w letargiczny sen. Przy pożegnaniu Marynia znów uściśnieła długo i silnie jego rękę i niemal z pokorą spytała:

— Pan mi nie ma za złe tego, że ja powtórzyłam Emilce ostatnie życzenie Litki?

— W takich chwilach — odpowiedział Połaniecki — nie umiem myśleć o sobie. Mnie chodzi tylko o panią Emilię i jeśli słowa pani sprawiły jej ulgę, to pani za nie dziękuję.

— Więc do jutra? prawda?

— Do jutra.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł, a schodząc ze schodów, myślał:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

I nie mylił się. Marynia uważała go za narzeczonego. Nie był on jej nigdy obojętnym; owszem, siła urazy była w niej miarą tego niezwykłego zajęcia, jakie w niej obudził. A przytem, w czasie choroby i pogrzebu Litki mógł on sam odkrywać w sobie niezgłębione pokłady egoizmu — jej wydał się tak dobrym, że po prostu nie miała go z kim porównać. Reszty dokonały słowa Litki. W istocie rzeczy jej serce pragnęło przede wszystkim kochać — i teraz — skoro raz przyrzekła Litce w chwili jej śmierci, skoro raz zobowiązała się do kochania i do zamążpójścia, wydało się jej, że gdyby nawet nie kochała, powinna to sobie nakazać — i że nie wolno jej już nie kochać. Połaniecki wszedł w sferę jej obowiązku, należała zaś do tych prostych kobiecych natur, dotychczas wcale jeszcze nie rzadkich, dla których życie i obowiązki znaczą jedno i to samo, i które dlatego do obowiązku wnoszą dobrą wolę, i nie tylko dobrą, ale bardzo wytrwałą.

Taka zaś wola prowadzi za sobą miłość, która świeci jak słońce, grzeje jak jego ciepło i koi jak błękitne, pogodne niebo. W ten sposób życie nie staje się suchym krzakiem cierniowym, który kole, tylko kwiatem, który kwitnie i upaja.

Ta, prawa w myślach a zarazem prosta i delikatna w uczuciach, wiejska panna, posiadała ową zdolność do życia i do szczęścia w najwyższym stopniu.

To też, gdy Połaniecki odszedł, ona, rozmyślając o nim, nie nazywała go już w duszy inaczej, tylko: „Pan Stach!” Bo też to już i był jej „Pan Stach.”

Połaniecki zaś, kładąc się spać, powtórzył sobie nieco mechanicznie:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

Śmierć Litki i przejścia ostatnich dni odsunęły nie tylko w myślach, ale i w jego sercu, Marynię na dalsze, a nawet bardzo dalekie plany.

Teraz znów począł myśleć o niej i zarazem o swej przyszłości. I nagle ujrzał jakby chmurę niezliczonych pytań, na które w tej chwili przynajmniej nie miał żadnej odpowiedzi.

Czuł tylko przed niemi strach; czuł, że na razie brakuje mu zarówno sił i ochoty, żeby podjąć ten trud. Znów zacząć żyć dawnym życiem, znów wpaść w to sentymentalne koło błędne, znów niepokoić się, znów wysilać, zabiegać o rzeczy, które przynoszą tylko gorycz, porać się z sobą z uczuciowych powodów? Czy nie lepiej pilnować rachunków z Bigielem, zbijać pieniądze, by kiedyś ruszyć, jak Bukacki, do Włoch lub gdzieindziej, gdzie jest słońce, sztuka, wino dobre na żołądek i przede wszystkim ludzie obojętni, których szczęście serca przybysza nie rozpromieni, ale za to śmierć lub niedola nie wycisną ani jednej łzy.

TOM II

I

Podczas tych wszystkich rozterek duchowych, przez które przechodził Połaniecki, interesa Domu handlowego rozwijały się jednak pomyślnie. Dzięki zdrowemu rozsądkowi, pilności i czujności Bigiela, bieżące sprawy były załatwiane zawsze z jednaką dokładnością, która ze strony klientów Domu usuwała wszelką możliwość zawodu, niezadowolenia, skarg. Dom zyskiwał z każdym dniem na opinii, rozszerzał zwolna i stopniowo działalność, porastał w pierze. Połaniecki zresztą pracował nie z takim wprawdzie spokojem, jak dawniej, ale nie mniej od Bigiela. Ranne godziny spędzał codziennie w biurze, im zaś większe były jego duchowe frasunki, im nieporozumienia z Marynią stawały się od chwili jej przyjazdu do Warszawy głębsze, tem pracował gorliwiej. Ta robota, najczęściej ciężka i chwilami wymagająca nawet dość natężonego myślenia, ale nie stojąca w żadnym związku z tem, co go bolało, i nie mogąca przyczynić żadnej wewnętrznej troski, stała mu się w końcu rodzajem przystani, w której się chował przed burzą. Połaniecki począł ją lubić. „Tu przynajmniej wiem, co robię i do czego dążę (mówił Bigielowi), tu wszystko jest bardzo jasne: jeśli nie znajdę szczęścia, znajdę przynajmniej to rozszerzenie życia i tę swobodę, którą daje pieniądź, i tem lepiej dla mnie, jeśli potrafię na tem poprzestać”. Ostatnie wypadki utwierdziły go tylko w tych myślach. Rzeczywiście, od strony uczuć przychodziły nań wyłącznie zmartwienia. Ta siejba dawała gorzkie żniwo, podczas gdy jedyne powodzenia, których doznał, a które bądźco bądź, krzepią i bronią w życiu od nieszczęścia, dał mu ów Dom handlowy. Sam Połaniecki myślał z pewnem zdziwieniem, że tak jest, ale tak nie było. Sam czuł ciasnotę tego zadowolenia, które mógł dać Dom; ale jednocześnie mówił sobie, że skoro nie można inaczej, to trzeba i bezpieczniejszemu jest na tem poprzestać, albowiem lepiej jest być wyłącznie kupcem, któremu się powodzi, niż romantykiem, którego wszystko zawodzi. Więc od śmierci Litki postanowił tem bardziej stłumić w sobie wszystkie te porywy, którym rzeczywistość nie umiała odpowiedzieć i które nie przynosiły nic, prócz zgryzot. Oczywiście Bigiel rad był z takiego usposobienia swego współnika, które Domowi mogło przynieść tylko korzyść.

Połaniecki nie mógł jednak stać się w ciągu kilku tygodni człowiekiem zupełnie obojętnym na to wszystko, z czem niegdyś związane było jego serce. Skutkiem tego od czasu do czasu odwiedzał Litkę, której kamień grobowy pokrywały już rankami białe, zimowe szrony. Dwukrotnie spotkał na cmentarzu panią Emilię z Marynią. Raz odwoził je do miasta i wówczas pani Emilia począła dziękować mu za pamięć o małej. Połaniecki zauważył, że czyniła to ze względnym spokojem, zrozumiał zaś ten spokój, gdy przy pożegnaniu rzekła mu: „Ja teraz ciągle myślę, że ona, żyjąc sama w wieczności, uważa to rozłączenie za tak krótkie, jak jedno mgnienie oka — i pan nie wie, co to za pociecha, że przynajmniej nie tęskni”. Połaniecki powiedział sobie w duszy: „No, że nie wiem, to nie wiem!” Jednakże głębokie przekonanie, z jakim mówiła pani Emilia, uderzyło go: „Jeśli to są złudzenia — pomyślał — to są prawdziwie żywotne złudzenia, skoro potrafią nawet z piwnicy grobowej wyciągnąć soki dla życia...”

Marynia potwierdziła zresztą, w pierwszej rozmowie z Połanieckim, że pani Emilia żyje tylko tą myślą. To jedno łagodziło jej żal. Po całych dniach nie mówiła z Marynią o niczem innem i powtarzała tak uporczywie w kółko, iż śmierć widziana od strony Boga jest rozłączeniem na jedno mgnienie oka, że ta uporczywość począła Marynię niepokoić.

— Mówi też o Litce — rzekła w końcu panna Pławicka — jakby dziecko nie umarło i jakby je miała jutro zobaczyć.

— To i szczęście — odpowiedział Połaniecki. — Waskowski oddał jej rzetelną usługę. Taki gwóźdź w głowie nie boli.

— A przecież ona ma słuszność, bo to tak jest...

— Nie będę pani zaprzeczał.

Marynię niepokoiła wprawdzie uporczywość, z jaką pani Emilia wracała ciągle do jednej myśli; z drugiej strony jednak sama patrzyła na śmierć nie inaczej, więc ów odcień sceptycyzmu, widoczny w słowach Połanieckiego, dotknął ją nieco i zabolał.

Nie chcąc wszelako zdradzić się z tem, zmieniła rozmowę.

— Kazałam powiększyć fotografię Litki — rzekła. — Wczoraj mi odniesiono trzy egzemplarze. Jeden dam Emilce. Bałam się poprzednio, że to ją nadto wzruszy, ale teraz widzę, że można. Owszem: będzie jej bardzo miłe.

To powiedziawszy, wstała i poszła do półek z książkami, na których leżały obwiniete w bibułkę fotografie, następnie siadła obok Połanieckiego przed małym stolikiem i poczęła je rozwijać.

— Opowiadała mi Emilka — rzekła — jakąś waszą rozmowę, na krótko przed śmiercią małej, w której Litka powiedziała, że życzyłaby sobie, żebyście we troje byli brzozaami i rośli blisko siebie. Pamięta pan tę rozmowę?

— Tak, przypominam sobie. Dziwiła się, że drzewa tak długo żyją, a potem namyślała się, jakiemby chciała być i najlepiej jej się podobała brzoza.

— Tak. A pan powiedział, że także chciałby rosnąć blisko... Więc ja teraz naokół tych fotografii, na passe-partout, chciałam wymalować brzozy. O, tu, widzi pan, zaczęłam, ale nie bardzo mi idzie, bo naprzód dawno nie miałam farb w ręku, a powtóre, nie umiem malować z pamięci.

To rzekłszy, wydobyla jedną z fotografii i poczęła pokazywać Połanieckiemu podmalowane akwarelą brzozy, że zaś wzrok miała nieco krótki, więc pochyliła się nad swoją robotą, tak, że skroń jej znalazła się przez chwilę tuż przy skroni Połanieckiego.

Nie była mu już ona dawną Marynią, o której marzył, wracając wieczorami od pani Emilii, i która wypełniała mu wówczas całą duszę. Ten czas minął. Myśli jego odeszły w inną stronę. Natomiast Marynia nie przestała być typem kobiecym, czyniącym wyjątkowo silne wrażenie na jego męskie nerwy, i teraz, gdy skroń jej dotykała niemal jego skroni, gdy jednym rzutem oczu objął jej matową twarz, zarumienione nieco policzki i pochyloną nad malowidłem postać, odczuł ów pociąg z dawną siłą i żartka krew poczęła mu napędzać równie żartkie myśli do głowy.

— Gdybym jej teraz zaczął całować oczy i usta — powiedział sobie — ciekawym, jakby postąpiła?

I na jedno mgnienie oka porwała go chęć, by to uczynić, choćby przytem obrazić śmiertelnie Marynię. Za to długie odpychanie go, za tyle niepokoju, trosk i zmartwień, chciałby był mieć taką chwilę zapłaty i — może zarazem — zemsty.

Tymczasem Marynia, przypatrując się robocie, mówiła dalej:

— Dziś mi się to wydaje gorsze jeszcze, niż wczoraj. Na nieszczęście, drzewa nie mają teraz liści i nie będą mogła znaleźć modelu.

— Nie — rzekł Połaniecki — to wcale niezła grupa. Tylko jeśli te drzewa mają wyobrażać panią Emilię, Litkę i mnie — to czemu pani zrobiła cztery brzozy?

— Czwarta, to ja — odrzekła z pewną nieśmiałością Marynia. — Ja także chciałabym kiedyś tak rosnąć razem...

Połaniecki spojrzął na nią bystro, ona zaś, obwijając nanowo fotografie, poczęła mówić, jakby się śpiesząc:

— Tyle się rzeczy dla mnie związało ze wspomnieniem tej dziecinki... Byłam w ostatnich czasach prawie ciągle z nią i z Emilką... Emilka, to dziś dla mnie jedna z najbliższych w świecie osób... Ja tak samo należałam do nich, jak i pan... Nie wiem dobrze, jak to powiedzieć... Było nas czworo, a teraz zostało troje — związanych przez Litkę... Bo ona nas związała. Ja teraz, jak o niej myślę, to zarazem myślę o Emilce i o panu... Dlatego postanowiłam wymalować cztery brzozy, a widzi pan, że jest trzy fotografie: jedna dla Emilki, jedna dla mnie, a jedna dla pana.

— Dziękuję pani — odrzekł Połaniecki, wyciągając ku niej rękę.

Marynia oddała mu uścisk bardzo serdecznie i rzekła:

— Dla jej pamięci też powinniśmy zapomnieć o wszystkich dawnych urazach.

— To się już stało — odpowiedział Połaniecki — a co do mnie, to chciałem, żeby tak było jeszcze na długo przed śmiercią Litki.

— To też odtąd zaczęła się moja wina, za którą pana przepraszam.

I znów podała mu rękę. Połaniecki zawahał się przez chwilę, czy ma ją podnieść do ust, nie uczynił tego jednak, tylko rzekł.

— A więc zgoda?

— I przyjaźń? — odpowiedziała Marynia.

— I przyjaźń.

W oczach jej odbiła się głęboka spokojna radość, która opromieniła całą jej twarz łagodnym światłem. Było w niej teraz tyle dobroci i ufności, że Połanieckiemu mimowoli przypomniała się owa dawna Marynia, którą widział w Krzemieniu, gdy siedziała na ganku ogrodowym, w promieniach zachodzącego słońca.

Jednakże od śmierci Litki był on w takim nastroju, że podobne wspomnienia uważał za niegodne siebie, więc wstał i począł się żegnać.

— Nie zostanie pan z nami na cały wieczór? — spytała Marynia.

— Nie, pani, muszę wracać.

— Powiem Emilce, że pan wychodzi — rzekła, idąc ku drzwiom przyległym.

— Ona teraz albo rozmyśla o Litce, albo się modli, inaczej byłaby tu sama przyszła. Niech jej pani nie przerywa, a ja i tak jutro przyjdę.

Na to Marynia zbliżyła się ku niemu i, patrząc mu w oczy z wielką serdecznością, rzekła:

— I jutro i codziennie. Wszak prawda? Niech pan pamięta, że pan jest teraz dla nas „pan Stach.”

Od śmierci Litki drugi raz Marynia nazwała go w ten sposób, to też, idąc do siebie, Połaniecki myślał:

— Jej stosunek do mnie jest zupełnie zmieniony. Ona się poczuwa po prostu do przynależności do mnie, bo się do tego zobowiązała obietnicą, daną umierającemu dziecku, gotowa nawet pokochać się we mnie i nie pozwoli sobie nie pokochać się... Takich u nas na tuziny.

I nagle począł się złościć:

— Znam te rybie natury z zimnem sercem, a natomiast egzaltowaną głową, pełną tak zwanych zasad. Wszystko dla zasady, wszystko dla obowiązku — nic samorzutnego w sercu! Mógłbym zdechnąć przy jej nogach i nic nie wskórać, dopiero gdy *obowiązek* każe jej mnie pokochać, to będzie kochała nawet rzeczywiście.

Widocznie Połaniecki przywykł w swoich włóczęgach za granicą do innego rodzaju kobiet, a przynajmniej o innych zapewne naczytał się w książkach. Ponieważ jednak miał przy tem trochę i zdrowego rozsądku, więc ten rozsądek począł do niego także przemawiać:

— Słuchaj Połaniecki — (mówił) — toż to są właśnie dlatego wyborowe natury, nadzwyczaj pewne, na których można budować, na których można oprzeć życie. Czyś ty zwaryował! Tobie przecie chodziło o żonę, nie o przemijającą awanturę miłosną.

Ale Połaniecki nie przestawał się zżymać i odpowiadał rozsądkowi:

— Jeśli mam być kochany, chcę być kochany dla samego siebie.

Rosądek próbował jeszcze tłumaczyć mu, że wszystko jedno, jak się miłość zaczyna, bo potem nie może być inaczej kochany, jak dla samego siebie, w tym zaś wypadku, po owych pracach i rozdrażnieniach, to jest rzeczą i zarazem naturalną i niemal cudowną, niemal opatrnościową, że zaszło coś takiego, co od razu złamało zapory. Ale Połaniecki nie przestawał się dąsać.

Rosądkowi przyszedł wreszcie na pomoc i ów pociąg, i owo upodobanie w Maryni, na mocy którego Połaniecki widział w niej więcej uroku, niż w każdej innej kobiecie. Ten pociąg mówił z kolei:

— Nie wiem, czy ją kochasz, czy nie, i mniejsza o to, ale dziś, gdy się zbliżyła do ciebie ramieniem i twarzą, małoś ze skóry nie wyskoczył. Czemu cię taki dreszcz nie przejmuje, gdy siedzisz koło innej kobiety? Pomyśl, co za różnica!

Ale Połaniecki odpowiadał na to wszystko:

— Ryba! Obowiązkowa ryba!...

I znowu przyszła mu myśl: Łapże ją, skoro ten gatunek wolisz, niż każdy inny. Ludzie się jednak żenią i na ciebie czas. Czego będziesz więcej szukał? Czy takiej jakiejś miłości, z której pierwszy gotów jesteś się wyśmiewać... Miłość twoja zgasa — dobrze! ale został pociąg i to przekonanie, które jednak masz, że to uczciwa i pewna kobieta.

— Tak — myślał dalej — ale z miłości, czy głupiej, czy mądrej, płynie wola, a czy ja ją teraz mam? Nie, bo się waham, podczas gdy poprzednio nie wahałem się. Powtóre, trzeba zważyć, co lepsze: czy panna Pławicka, czy „*ma*” i „*winien*” w Domu pod firmą Bigiel i Połaniecki. Pieniądz daje potęgę i swobodę, a ze swobody najlepiej się korzysta, gdy się nikogo nie dźwiga ani na ramionach, ani w sercu.

Tak rozmyślając, przyszedł do domu i położył się spać. W nocy śniły mu się brzozy na wydmach, spokojne niebieskie oczy i czoło ocienione ciemnymi włosami, od którego biło ciepło.

II

W kilka dni później, rano, zanim wyszedł do biura, przyszedł do niego Maszko.

— Przychodzę do ciebie w podwójnym interesie — rzekł — ale zaczynam od pieniężnego, żeby ci zostawić swobodę powiedzenia: „Tak, lub nie.”

— Mój drogi, pieniężne interesa załatwiam w biurze, więc zacznij od drugiego z kolei.

— To nie jest sprawa waszego Domu, tylko prywatna, dlatego wolę mówić o niej prywatnie. Wiesz, że się żenię, potrzebuję pieniędzy. Wydatków mam, jak włosów na głowie, a przytem spłat co niemiara. Przychodzi termin wypłacenia ci pierwszej raty z owej sumy na Krzemieniu, którą od ciebie nabyłem. Czy nie możesz odłożyć mi terminu jeszcze na kwartał?

— Będę z tobą szczery — rzekł Połaniecki — mogę, ale nie chcę.

— No, to ja będę równie szczery i spytam, co zrobisz, jeśli ci jej nie zapłacę?

— I to się zdarza na świecie — odpowiedział Połaniecki — ale tym razem masz mnie za głupszego niż jestem, bo wiem, że zapłacisz.

— Skąd masz tę pewność?

— Żeniąc się, i to żeniąc bogato, nie możesz narazić się na opinię niewypłacalnego. Z pod ziemi wydusisz, a zapłacisz.

— Z próżnego i Salomon nie należy.

— Bo nie brał u ciebie lekcji. Mój drogi, nikt nas nie słyszy, więc powiem ci, że ty przecie całe życie nic innego nie robisz.

— Więc jesteś pewny, że zapłacę?

— Tak.

— Masz słuszność. Chciałem od ciebie grzeczności, do której nie mam prawa. Tylko, że nareszcie i ja czuję się tem wszystkim zmęczony... Tu brać, tam zatykać — wiecznie żyć w takim kołowrocie — to nareszcie przechodzi siły ludzkie!... Zawijam niby do portu. Za dwa miesiące stanę na innych nogach, ale tymczasem dopływam resztą pary... Nie możesz — trudno!... Jest trochę lasu na Krzemieniu — wytnę go i zapłacę, skoro nie można inaczej.

— Co tam za lasy na Krzemieniu! Stary Pławicki wygoilił, co się dało.

— Jest duża dąbrowa za dworem ku Niedziałkowu.

— Prawda. Jest.

— Wiem, że wy z Bigielem robicie i takie interesa. Kupcie odemnie tę dąbrowę. Oszczędzi mi to szukania kupca, a wy możecie wyjść z zyskiem.

— O tem pomówię z Bigielem.

— Więc z góry nie odmawiasz?

— Nie. Jeśli oddasz tanio... możebym nawet i sam... Ale w takich rzeczach potrzebuję obliczyć możliwe zyski lub straty. Chcę także wiedzieć twoje warunki. Oblicz się i ty. Przyślij mi wykaz, ile tam tego jest — i jakie sztuki. Ja tego nie pamiętam.

— Przyślę ci za godzinę.

— W takim razie wieczór dam ci odpowiedź.

— O jednym warunku z góry cię uprzedzam: nie będziesz miał prawa wyciąć dąbrowę przed dwoma miesiącami.

— Dlaczego?

— Bo Krzemień ogromnie traci bez tej ozdoby, więc po ślubie zaproponuję ci odprzedaż, naturalnie z odpowiednim zyskiem.

— Zobaczymy.

— Prócz tego mam na Krzemieniu margiel. Pamiętaj, żeś sam mi o tem mówił. Pławicki obliczał to na miliony — i to głupstwo! — ale w rękach sprytnych ludzi to naprawdę może być niezły interes. Pomyślcie i o tem z Bigielem; ja przyjąłbym was do spółki.

— Jeśli interes okaże się dobry — po to jest nasz Dom, żeby dobre robił.

— Więc o tem pomówimy później, a teraz wracam do dąbrowy. Ogólny zarys naszego układu niech będzie taki, że ja, zamiast przypadającej raty, daję ci dąbrowę, lub jej część, stosownie do obliczenia; daję ci ją niejako w zastaw, ty zaś zobowiążesz się nie wycinać dębów przed upływem następnego kwartału.

— To mogę zrobić — rzekł Połaniecki. — Oczywiście przyjdą następnie takie kwestye, jak dostawy dębów do kolei etc., o których będziemy mówili przy spisaniu kontraktu, jeśli wogóle będziemy go spisywali.

— Więc przynajmniej jeden ciężar z głowy — rzekł Maszko, trąc ręką czoło. — Wyobraź sobie, że mam takich dziesięć lub piętnaście na dzień, nie licząc rozmów o interesach z panią Krasławską, które są cięższe od wszystkiego, i służby przy narzeczonej, która...

Tu Maszko zaciął się na minutę, lecz nagle machnął ręką i dodał:

— Która także nie jest lekka...

Połaniecki spojrział na niego ze zdziwieniem. W ustach Maszki, tak przestrzegającego światowych względów w każdym słowie, było to coś niesłychanego.

A Maszko mówił dalej:

— Lecz mniejsza o to. Pamiętasz, jak przed śmiercią Litki omal raz nie przyszło między nami do kłótni... Nie policzyłem się z tem, żeś ty bardzo kochał tę małą, żeś był niespokojny, rozdrażniony i postąpiłem po grubijańsku... Wina była zupełnie po mojej stronie, zatem przepraszam cię.

— To rzecz zapomniana — odpowiedział Połaniecki.

— Przypomniałem ją dlatego, że mam cię prosić o usługę. Jest rzecz taka: Ja nie mam przyjaciół; krewnych, albo nie mam, albo mam takich, z którymi nie warto się popisywać. Teraz muszę szukać друзbów i dalebóg nie bardzo wiem, gdzie się zwrócić... Wiesz, że miałem w ręku interesa rozmaitych paniczyków... Ale prosić pierwszego lepszego pajaca, dlatego, że ma tytuł — nie idzie i nie chce mi się. Chodzi mi o to, bym miał друзbów porządnych ludzi, a powiem otwarcie — i porządne nazwiska... Te panie również bardzo na to uważają, więc — czy zechcesz mi družbować?

— Tegobym ci nie odmówił, gdybyś przyszedł w innych okolicznościach. Ale powiem ci, jak jest. Patrz: nie noszę krepy na kapeluszu, ni białych tasiemek przy surducie, więc nie jestem w żałobie, a mimo tego daję ci słowo, że jestem w większej żałobie, niż gdyby mi własne dziecko umarło...

— Tak, nie policzyłem się z tem — rzekł Maszko. — Przepraszam cię.

Połanieckiego ujęły te słowa:

— Jeśli zresztą bardzo ci na tem zależy... jeśli prawdziwie nie będziesz mógł znaleźć nikogo innego — to niechże będzie, jak chcesz, ale szczerze ci mówię, że po takim pogrzebie ciężko mi być na weselu.

Połaniecki nie powiedział wprawdzie: „na takim weselu”, ale Maszko odgadł jego myśl.

— Przytem — mówił dalej Połaniecki — jest i druga okoliczność. Tyś musiał o tem słyszeć, że było jakieś biedaczysko, doktorzyna... który kochał się na śmierć w twojej narzeczonej. Wolno jej było nie być wzajemną i nikt jej z tego powodu nie może robić zarzutu, ale tamten swoją drogą pojechał gdzieś, gdzie pieprz rośnie, i lichy go wzięło... rozumiesz? — a ja byłem z nim w przyjaźni, zwierzał mi się ze swoich nieszczęść i wypłakiwał mi się w kamizelki — rozumiesz?... W tych warunkach družbować innemu — sam powiedz?

— I tamten naprawdę umarł z miłości dla mojej narzeczonej?

— Toś ty o tem nie słyszał?

— Nie tylko nie słyszał, ale uszom nie wierzę...

— Wiesz co, Maszko, małżeństwo zmienia człowieka, ale widzę, że i narzeczeństwo. Ja cię wprost nie poznaję.

— Bo jak ci powiedziałem, jestem tak zmęczony, że już mi tchu nie staje, a w takich razach maska spada.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że są dwie kategorie ludzi: jedni nie robią sobie z niczego nic i sposób postępowania stosują przygodnie do każdej okoliczności, drudzy mają pewien system, którego się mniej więcej konsekwentnie trzymają. Ja należę do tych drugich. Przywykłem

do ochraniań pozorów, i co więcej, przyzwyczałem się do tego tak bardzo, że w końcu zmieniło się to w moją naturę. Ale widzisz, gdy się naprzykład podróżuje samowtór w wielki upał — wówczas na człowieka najbardziej „comme il faut” może przyjść chwila, w której rozepnie nietylko surdut, ale i kamizelkę. Na mnie przyszła taka chwila, więc się rozpinam.

— To się znaczy?

— To się znaczy, iż zdumieniem mnie przejmuje wiadomość, iż ktoś mógł się na śmierć zakochać w mojej narzeczonej, która jest, jak mi to kiedyś w złości dałeś do zrozumienia, zimna, sztywna i tak mechaniczna w ruchach, słowach i myślach, jakby była nakręcana kluczem. To wszystko jest zupełną prawdą — i ja to potwierdzam. Nie chcę, żebyś mnie miał za większego nicponia, niż jestem. Ja jej nie Kocham i moje małżeństwo będzie równie sztywne, jak moja narzeczone. Kochałem pannę Pławicką, która mnie odrzuciła. Pannę Krasławską biorę dla jej majątku. Jeśli powiesz, że to jest niegodziwość, odpowiem ci, że tę niegodziwość spełniło lub spełni tysiące tak zwanych porządných ludzi, którym podajesz rękę i którym, co więcej, życie nie upływa w rozkoszy, ale też i nie w tragedii. Kuleje, ale idzie... Później pomaga im przyzwyczajenie, przeżyte lata, które przynoszą jakiś rodzaj przywiązania, dzieci, które się rodzą — i jakoś idzie! Takich małżeństw jest większość, bo większość ludzi woli chodzić po ziemi, niż wspinać się na szczyty. Często nawet insze małżeństwa są gorsze — bo gdy naprzykład kobieta woli latać, a mężczyzna pełzać, lub odwrotnie — to niema widoków na porozumienie. Co do mnie, napracowałem się jak wół. Pochodząc z rodziny podupadłej, chciałem wypłynąć — do tego się przyznaję. Gdybym chciał być zostać nieznanym kauzyperdą i zbijać tylko pieniądze, mógłbym je zbić i otworzył mojemu synowi na rozcież wrota do życia. Ale ja nie Kocham moich dzieci przed ich przyjściem na świat — więc chciałem sam mieć nietylko pieniądze — ale być czemś, coś znaczyć, zając jakieś stanowisko, zaważyć, jak u nas można zaważyć, więc przynajmniej w życiu towarzyskim. Z tego wynikło, że co adwokat zarobił, to grand seigneur pochłonił. Stanowisko obowiązuje. Zatem nie mam pieniędzy, znudziła mi się szarpanina, polegająca na wrywaniu dziury w jednym miejscu, żeby ją zatkać w drugim — i dlatego biorę pannę Krasławską, która znów dlatego idzie za mnie, że, jeśli nie rzeczywiście, to pozornie jestem wielkim panem, a raczej udaję wielkiego pana, bawiącego się w adwokaturę... Partye są równe, niczyjej krzywdy niema i nikt nikogo nie oszukuje, albo, jeśli wolisz, oboje oszukujemy się w jednakiej mierze. Oto jest cała prawda, a teraz, jeśli chcesz, to mną pogardzaj.

— Dalibóg, że nigdy nie szanowałem cię więcej — odpowiedział Połaniecki — bo teraz podziwiam nietylko twoją szczerość, ale odwagę.

— Przyjmuję komplement za szczerość, ale w czym widzisz odwagę?

— W tem, że mając tak mało złudzeń co do panny Krasławskiej, żenisz się z nią jednak.

— Bo jestem więcej mądry, niż głupi. Szukałem pieniędzy — prawda, ale czy myślisz, że dla pieniędzy ożeniłbym się z pierwszą z brzegu, która je posiada. Bynajmniej, mój Kochany. Ja biorę pannę Krasławską i wiem, co robię. Panna Krasławska ma swoje wielkie przymioty, niezbędne w warunkach, w jakich ja ją biorę, a ona za mnie wychodzi. Panna Krasławska będzie żoną zimną, nieprzyjemną, kwaśną — a nawet pogardliwą, o ile nie będzie się mnie bała. Ale natomiast panna Krasławska, tak jak i jej matka, ma cześć religijną dla pozorów, dla tego, co wypada lub nie wypada, a ogólnie mówiąc, dla tak zwanej przyzwoitości. To raz. Dalej, niema w niej ani jednego takiego ziarenka, z którego wyrastają awanturnice — i pożycie z nią, tak nieprzyjemne jak być może, nie skończy się nigdy skandalem. To dwa. A po trzecie, jest we wszystkim pedantką, zatem zarówno w pobożności, jak i w spełnianiu tych wszystkich zobowiązań, które na siebie weźmie. To już istotnie wielki przymiot. Nie będę z nią szczęśliwy, ale będę mógł być spokojny, kto wie zaś, czy to nie jest maximum, którego w życiu można żądać. I to ci, mój Kochany, powiadam: gdy będziesz brał żonę, przedewszystkiem myśl o przyszłym spokoju. W Kochance szukaj sobie czego chcesz: dowcipu, temperamentu, poetycznego nastroju, wrażliwości, ale z żoną trzeba żyć lata — więc szukaj w niej tego, na czym się można oprzeć — szukaj zasad.

— Nie miałem cię nigdy za głupiego — rzekł Połaniecki — ale widzę, że masz więcej rozumu, niżem myślał.

— Bo widzisz, nasze kobiety, ot naprzykład ze świata pieniężnego, kształcą się na prawdę na francuskiej powieści, a wiesz, co z tego wynika?

— Mniej więcej wiem, ale dziś jesteś tak wymowny, że rad wysłucham twego określenia.

— Oto, że kobieta staje się sama dla siebie Bogiem i prawem.

— A dla męża?

— Kameleonem i dramatem.

— To się tak trochę dzieje w świecie bardzo pieniężnym, a pozbawionym tradycji. Tam wszystko jest pozorem i toaletą, pod którą siedzi nie dusza, ale mniej więcej kwintne zwierzątko.

— Ale ten świat bogaty i strojny, bawiący się, przesiąknięty dyletantyzmem artystycznym, literackim, a nawet i religijnym, trzyma batutę i kieruje chórem.

— U nas jeszcze nie.

— U nas jeszcze nie zupełnie. Zresztą, są wyjątki nawet w tym świecie, tem bardziej muszą być poza nim. Tak, u nas są inne kobiety, naprzykład panna Pławicka. Ach, co za spokój, co za bezpieczeństwo, a przytem co za wdzięk życia z taką, jak ona! Niestety — ona nie dla takich, jak ja!

— Maszko! Spryt gotów ci byłem od biedy przyznać, ale nie wiedziałem, że jest w tobie i entuzjazm.

— Co chcesz: bom się w niej kochał, a teraz żenię się z panną Krasławską!

Ostatnie słowa Maszko wymówił jakby z pewną złością. Poczem nastąpiła chwila milczenia.

— Więc nie będziesz mi družbował? — spytał Maszko.

— Daj mi czas do namysłu.

— Za trzy dni wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Petersburga. Mam tam interesa. Zabawię ze dwa tygodnie.

— To ci po przyjeździe odpowiem.

— Dobrze. Dziś ci przyślę wykaz moich dębów w trzech rozmiarach... Byle raty nie płacić!

— A ja warunki, pod którymi je kupię.

Tu Maszko pożegnał się i wyszedł, a wkrótce za nim podążył do biura Połaniecki. Po naradzie z Bigielem, postanowił, jeśli rzecz się okaże możliwa i korzystna, kupić dąbrowę na własną rękę. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego czuł jakąś dziwną chęć zahaczyć się o Krzemień. Po godzinach biurowych myślał także o tem, co mu mówił Maszko o pannie Pławickiej. Czulił doskonale, że mówił prawdę — i że z tego rodzaju kobietą życie może być nie tylko bezpieczne, spokojne, ale i pełne wdzięku. Spostrzegł się jednak, że w tych rozmyślaniach oddaje sprawiedliwość raczej już tylko typowi, którego Marynia była okazem, niż Maryni samej. Spostrzegł również tysiące niekonsekwencji w sobie. Bo oto było w nim jakieś zniechęcenie, a nawet gniew przeciw kochaniu kogokolwiek lub czegokolwiek, przeciw zapędzaniu serca w jakieś więzy i węzły, tak zwykle poplątane, że aż bolesne. Na samą myśl o tem burzył się i w duchu powtarzał: „Nie chcę! mam tego dosyć! — to jest niezdrowa wybujałość, która prowadzi tu ludzi tylko do zboczeń i cierpień.” Jednocześnie zaś miał naprzykład za złe Maryni, że nie pokochała go jakąś wybujałą bezwzględnością, a poczęła otwierać mu serce dopiero wówczas, kiedy poniekąd nakazał jej to obowiązkiem. Następnie, nie chcąc kochania, dziwił się jednak, że mu ono tak łatwo poczęło wędznąć i że daleko więcej pragnął Maryni wówczas, gdy ona go nie chciała, niż teraz, gdy okazywała mu się skłonniejszą. „Ostatecznie — myślał — to wszystko prowadzi do tego, że człowiek sam nie wie, czego chce i czego się ma trzymać, to jest do stanu, który niech piorun trzaśnie! Panna Pławicka ma więcej przymiotów, niż się sama domyśla, panna Pławicka jest obowiązkowa, prawa, cicha, piękna, zmysły moje ciągną mnie do panny Pławickiej, a jednocześnie czuję, że panna Pławicka nie jest mi tem, czem była, i że coś we mnie dyabli wzięli.”

— Ale co?

— Jeśli zdolność do kochania — monologował dalej Połaniecki — to ponieważ doszedłem do wniosku, że kochanie jest najczęściej głupstwem, a zbytne kochanie zawsze głupstwem, więc powinienem być kontent — tymczasem nie jestem kontent.

Lecz po chwili przyszło mu na myśl, że to jest tylko rodzaj osłabienia taki, jaki przychodzi naprzykład po chirurgicznej operacji, lub po przebytej chorobie — i że życie pozytywne wypełni mu czasem ową czczość, którą odczuwał.

Życiem pozytywnym zaś był dla niego „Dom handlowy.”

Przyszedłszy na obiad, zastał Waskowskiego i dwóch służących, którzy mrugali na siebie, widząc, jak staruszek podnosi chwilami widelec z kawałkiem mięsa do góry i zamysła się na śmierć, lub rozmawia sam z sobą. Profesor Waskowski od niejakiego czasu ustawicznie rozmawiał z sobą, i to tak głośno, że ludzie oglądali się za nim na ulicy. Niebieskie jego oczy patrzyły teraz chwilę bezprzytomnie na Połanieckiego, poczem zbudził się jakby ze snu i rzekł, kończąc poczętą w głowie myśl:

— Ona powiada, że ją to zbliży do dziecka.

— Kto powiada? — spytał Połaniecki.

— Pani Emilia.

— W jaki sposób się zbliży?

— Bo chce zostać Siostrą miłosierdzia.

Połaniecki zamilkł pod wrażeniem tej wiadomości. Mógł on sobie myśleć, co mu przez głowę przeszło, rugować z siebie uczuciowość, filozofować o niezdrowych wybujałościach całego społeczeństwa, w którym żył — w duszy miał jednak dwie jakby świętości: Litkę i panią Emilię. Litka była już tylko drogiem wspomnieniem — natomiast panią Emilię kochał żywym, braterskim i najtkliwszym uczuciem, którego w rozmyślaniach nigdy nie tykał.

To też przez jakiś czas nie mógł się zdobyć na odpowiedź, następnie spojrział surowo na Waskowskiego i rzekł:

— Pan, profesorze, namawiasz ją do tego. Ja się w pańskie mistycyzmy i pańskie idee z pod ciemnej gwiazdy nie wdaję, ale wiedz o tem, że bierzesz na swoje sumienie jej życie, bo ona po prostu nie ma sił fizycznych na Siostrę miłosierdzia i w rok umrze — rozumiesz pan?

— Mój drogi — odpowiedział Waskowski — ot i skazałeś mnie sądem doraźnym, nie wysłuchawszy. Czyś ty się zastanawiał nad tem, co znaczy wyrażenie: „mąż sprawiedliwy?”

— Gdy mi chodzi o kogoś blizkiego, drwię z wyrażeń.

— Mnie ona wczoraj powiedziała o tem najniespodzianie, a ja ją spytałem: „Moje dziecko, ale czy ty będziesz miała dość siły, bo to ciężka praca?” Wówczas uśmiechnęła się do mnie i powiada tak: „Nie odmawiajcie mnie, bo to moja ucieczka i moje szczęście. Jeśli się pokaże, że nie mam sił, to mnie nie przyjmą, a jeśli przyjmą, a siły mi nie starczą, to pójdę wcześniej do Litki, a ja tak tęsknię!” Co ja miałem powiedzieć na taką wolę i taką prostotę? Co ty potrafisz powiedzieć? Kto, nawet niewierzący, śmiałyby powiedzieć, że może Litki wcale niema, i że życie w pracy, w miłosierdziu, w poświęceniu, a śmierć w Chrystusie, może do Litki nie doprowadzić? Wymyśl jej inną pociechę, ale jaką wymyślisz? Daj inną nadzieję, ukój ją czem innem, ale czem ukoisz? Będziesz ją przeciw widział — więc powiedz szczerze: czy ośmielisz się jej odradzać?

— Nie — rzekł krótko Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Nic, tylko zmartwienia ze wszystkich stron!

— Jednoby można — mówił dalej Waskowski — namawiać ją, żeby zamiast Sióstr miłosierdzia, u których praca jest nad jej siły, wybrała jaki zakon kontemplacyjny. Są takie, gdzie biedny atom ludzki rozplywa się tak w Bogu, że przestaje żyć życiem osobistem, więc przestaje i cierpieć...

Połaniecki machnął ręką.

— Ja się na tych rzeczach nie rozumiem — rzekł szorstko — i nie wdaję się w nie.

— Właśnie mam tu gdzieś książeczkę włoską o Nazaretankach — rzekł Waskowski, rozpinając surdut. — Nie wiem, gdzie mi się podziała... Wychodząc, gdzieś ją schowałem.

— Co mnie mogą obchodzić pańskie Nazaretanki?

Lecz Waskowski za surdudem rozpiął następnie w poszukiwaniu i kamizelkę, poczem zamyślił się i rzekł:

— Czegóż ja szukałem? A wiem, tej włoskiej książeczki. Za parę dni jadę do Rzymu — na długo, na bardzo długo. Pamiętasz, com ci mówił, że to przedsionek do innego świata. Już mi czas do bożej sieni. Emilkę bardzobym namawiał, żeby jechała do Rzymu, ale ona

od dziecka nie odjedzie. Jako Siostra miłosierdzia zostanie tutaj. Możeby się jej jednak podobała reguła Nazaretanek... Taka pogodna i prosta, jak pierwsze chrześcijaństwo... A ja jadę wkrótce... Nie z głową, mój drogi, bo tam lepiej wiedzą, czego się trzymać, ale z sercem — małuczki, ale miłujący.

— Zapnij profesor kamizelkę — rzekł Połaniecki.

— Dobrze, zapnę. Ja, widzisz, mam coś pod sercem i powiedziałbym ci, boś ty wartki, jak woda, ale ty masz duszę... Widzisz, chrześcijaństwo nie tylko się nie kończy, jak się niektórym filozofującym wartogłowom zdaje, ale zrobiło dopiero połowę drogi...

— Kochany profesorze — rzekł łagodniej Połaniecki — wysłucham tego, co mi pan chcesz powiedzieć, chętnie i cierpliwie, ale nie dziś, bo dziś myślę tylko o pani Emilii i po prostu za gardło mnie ściska... To przecie katastrofa!

— Dla niej, nie. Życie jej się przyda — i śmierć również.

Połaniecki zaś począł mrużyć:

— Dalibóg, nie tylko każde mocniejsze uczucie, ale prosta przyjaźń kończy się zgryzotą... Nigdy żadne przywiązanie nie przyniosło mi nic, prócz zmartwień. Bukacki ma słuszność... Z ogólnych przywiązań tylko bieda, z osobistych tylko bieda — i żyj tu w takim otoczeniu!...

Rozmowa urwała się, a raczej zmieniła w monolog profesora Waskowskiego, który począł rozprawiać z sobą o Rzymie i chrześcijaństwie. Po obiedzie wyszli razem na ulicę, pełną brzęku dzwonek od sanek i wesołego zimowego ruchu, albowiem zrana dnia tego spadł dość obficie śnieg, a pod wieczór uczyniło się pogodnie, cicho i mroźno.

— Zapnijże profesor kamizelkę — rzekł nagle Połaniecki, spostrzegłszy rozpięte ubranie Waskowskiego.

— Dobrze, zapnę — odpowiedział Waskowski.

I począł ciągnąć dziurki kamizelki do guzików surduta.

— Lubię jednak tego Waskowskiego — mówił sobie Połaniecki, wracając do domu. — Gdybym się do niego na dobre przywiązał, pewnieby go lichy wzięło, bo taki już mój los. Na szczęście, dotychczas dość mi to obojętne.

I tak mówiąc, Połaniecki wmawiał w siebie rzecz nieistniejącą, albowiem miał szczerą przyjaźń dla profesora Waskowskiego i los jego nie był mu bynajmniej obojętny.

Gdy wrócił do domu, na wstępie uśmiechnęła się do niego twarzyczka Litki z dużej fotografii, którą podczas jego niebytności przysłała Marynia. Jej widok wzruszył Połanieckiego do głębi duszy. Często zresztą doznawał on tego rodzaju wzruszeń, gdy niespodzianie przypomniawszy sobie Litkę, lub nagle spostrzegł jeden z jej portretów. Zdawało mu się wówczas, że miłość do tego dziecka, pochowana gdzieś w głębi serca, wstawała nagle z dawną żywotnością i siłą, przejmując całą jego istotę ogromną tkliwością i ogromnym żalem. To odświeżanie się żalu było nawet tak bolesne, że go unikał, jak zwykle człowiek unika prawdziwego cierpienia. Teraz jednak było w jego wzruszeniu coś słodkiego. Litka uśmiechała się do niego przy blasku lampy, jak gdyby chciała powiedzieć: „Pan Stach”. Naokół jej główki, na białym obramowaniu, zieleniły się cztery brzozy, namalowane przez Marynię.

Połaniecki stał i patrzył przez długi czas, nakoniec pomyślał:

— Wiem, w czym może być szczęście życia — w dzieciach.

Lecz po chwili rzekł sobie:

— Tylko ja moich własnych nie będę nigdy tak kochał, jak kochałem to biedactwo.

Tymczasem wszedł służący i oddał mu list od Maryni, który przyszedł razem z fotografią. Marynia pisała, co następuje:

— „Ojciec polecił mi prosić pana na wieczór. Emilka przeniosła się już dziś do siebie i woli, żeby do niej tego dnia nie przychodzić. Posyłam panu fotografię Litki i proszę koniecznie o przyjście, chcę bowiem pomówić z panem o Emilce. Papa prosił i pana Bigiela, którego obiecał bawić, będziemy więc mogli pomówić spokojnie”.

Połaniecki po przeczytaniu listu ubrał się i, poczytawszy czas jakiś, poszedł do Pławickich.

Bigiel bawił tam już od kwadransu i grał w pikietę z panem Pławickim; Marynia siedziała opodal, przy małym stoliku, zajęta jakąś robotą. Połaniecki, przywitawszy się ze wszystkimi, siadł przy niej i począł mówić:

— Dziękuję pani najmocniej za fotografię. Zobaczyłem ją niespodzianie i Litka tak mi stanęła przed oczyma, że nie mogłem ochłonąć. Wie pani, że takie chwile są miarą żalu, z którego człowiek sobie nawet sprawy nie zdaje. Dziękuję najmocniej! I za cztery brzozy także... Co do pani Emilii, wiem już wszystko od Waskowskiego. Czy to zamiar tylko, czy nieodwołalne postanowienie?

— Prędeż, że to nieodwołalne postanowienie — odpowiedziała Marynia.

— I co pani myśli?

Marynia podniosła na niego oczy, jakby czekając od niego jakiejś rady.

— Ona nie ma na to sił — rzekła wreszcie.

Połaniecki milczał przez chwilę, następnie rozłożył bezradnie ręce.

— Mówiliśmy o tem z Waskowskim — rzekł — ja na niego napadłem, bo myślałem, że to jego myśl, ale on mi przysięgał, że w niczem się do tego nie przyczynił. Pytał natomiast, jaką inną pociechę jej wymyślimy — i nie umiałem mu na to odpowiedzieć. Co jej naprawdę w życiu zostało?

— Tak — odrzekła cicho Marynia.

— I myśli pani, że ja nie rozumiem, skąd się wzięło to postanowienie? Ona po prostu nie chce w niczem swoich zasad religijnych obrazić, a chce wcześniej umrzeć. Wie, że to obowiązki nad jej siły i dlatego je na siebie bierze.

— Tak — powtórzyła Marynia.

I schyliła głowę tak nisko nad robotą, że Połaniecki widział tylko rozbiór jej ciemnych włosów na małej główce. Miała przed sobą pełne pudełko perełek, które naszywała na rozmaite przedmioty, przeznaczone na dobroczynną loteryę, i teraz do owych perełek poczęły się sypać łzy, które płynęły z jej oczu.

— Ja widzę doskonale, że pani płacze — rzekł Połaniecki.

A ona podniosła na niego załzawione oczy, jakby mu chciała powiedzieć: „Przed tobą nie będę skrywała łez” — i odrzekła:

— Wiem, że Emilka dobrze robi — ale tak żal!...

Na to Połaniecki, trochę ze wzruszenia, a trochę dlatego, że sam nie wiedział, co ma powiedzieć, pocałował ją, po raz pierwszy w życiu, w rękę. Perły z oczu Maryni poczęły się potem sypać jeszcze gęściej, tak, że musiała wstać i odejść.

Połaniecki zbliżył się do grających w chwili, gdy pan Pławicki mówił kwaśno uprzejmym tonem do swego partnera:

— Rubikon za Rubikonem. Ha, trudno! Pan przedstawiasz nowe czasy, a ja starą tradycję, zatem muszę być pobity.

— Co to się ma do pikiety? — odrzekł spokojnie Bigiel.

Marynia wróciła po chwili z oznajmieniem, że herbata gotowa. Oczy miała nieco czerwone, ale twarz jasną i spokojną. Gdy później Bigiel z panem Pławickim zasiedli znowu do kart, rozmawiała z Połanieckim takim cichym, poufnym tonem, jakim rozmawiają ludzie bardzo sobie bliscy, mający mnóstwo wspólnych spraw w życiu. Wprawdzie wspólność ową wytworzyła między nimi śmierć Litki i nieszczęście pani Emilii, więc też rozmowa ich nie mogła być wesołą, ale, mimo tego, oczy, jeśli nie usta Maryni, uśmiechały się do Połanieckiego, zarazem smutno i pogodnie.

Późnym zaś wieczorem, gdy Połaniecki odszedł, Marynia, rozmyślając o nim, nie nazywała go w myśli inaczej, jak „pan Stach”.

Połaniecki również wrócił do domu w usposobieniu o wiele łagodniejszym, niż był dotąd od czasu śmierci Litki. Chodząc po pokoju, zatrzymywał się co chwila przed fotografią małej, patrząc zarazem na cztery brzozy, malowane przez Marynię, i myślał, że jednak ten węzeł, jaki zawiązała między nim a Marynią Litka, staje się codziennie niemal ściślej, sam przez się — jakby bez niczyjej woli i wprost jakąś tajemniczą siłą rzeczy.

I myślał także, że jeśli brak mu już dawnej, pierwotnej ochoty do utrwalenia tego węzła — to również brakłoby mu prawie odwagi, by go stanowczo przeciąć, zwłaszcza tak prędko po śmierci Litki.

Późną nocą zasiadł nad wykazami, przysłanymi przez Maszkę. Chwilami jednak czynił pomyłki w rachunkach, bo widział przed sobą pochyloną głowę Maryni i jej łzy, spadające do pudełka ze szklanymi paciorkami. Nazajutrz zakupił dąbrowę na Krzemieniu — bardzo zresztą korzystnie.

III

Maszko powrócił po dwóch tygodniach z Petersburga, dość zadowolony z obrotu własnych spraw kredytowych, i przywiózł ważne wiadomości, które doszły go, jak utrzymywał, drogą czysto poufną i nie były dotąd nikomu znane. Oto zeszłego roku zbiory w całym państwie były bardzo niepomyślne. Tu i owdzie poczęło się pokazywać widmo głodu, łatwo zaś było odgadnąć, że do wiosny zapasy wyczerpią się w całych okolicach i że klęska głodowa może stać się powszechną. Wobec tego ludzie świadomszy rzeczy zaczęli przebąkiwać o prawdopodobieństwie zakazu wywozu zboża za granicę — i tego to rodzaju echa przywiózł Maszko, zaręczając przytem, że doszły do jego uszu przez osoby bardzo rzeczy świadome. Połanieckiego wiadomość ta uderzyła tak silnie, że zamknął się na kilka dni z ołówkiem w ręku, poczem udał się do Bigiela z propozycją, żeby tak rozporządzalną gotowizną, jak i kredyt Domu, obrócić na hurtowe zakupy zboża.

Bigiel złąkł się — ale on od tego zaczynał wobec każdego nowego interesu. Połaniecki nie ukrywał mu zresztą, że to będzie operacja na wielką skalę, od której powodzenia lub niepowodzenia mogą ich losy zależeć. Zupełne niepowodzenie było jednak mało prawdopodobne, powodzenie zaś mogło uczynić z nich jednym zamachem ludzi prawdziwie zamożnych. Było do przewidzenia, że wobec braku zboża, ceny pójdą w każdym razie w górę — było również do przewidzenia, że prawo ograniczy wprawdzie możliwość robienia nowych kontraktów z kupcami innych krajów, ale uszanuje kontrakty, zawarte przed jego ogłoszeniem; gdyby zaś i to chybiło, podniesienie się cen w samym kraju było rzeczą niemal pewną. Połaniecki wszystko, o ile było w mocy ludzkiej, przewidział, wszystko obliczył — i Bigiel, który, mimo swej ostrożności, był człowiekiem rozsądnym, musiał przyznać, że widoki powodzenia są istotnie znaczne, i że szkoda pomijać sposobności.

Jakoż po kilku jeszcze naradach, podczas których opozycja Bigiela słabła coraz bardziej, stanęło na tem, czego Połaniecki chciał — i po pewnym czasie, główny komisant Domu, Abdulski, wyjechał z upoważnieniem czynienia kontraktów w imieniu Domu, tak na gotowe już zboże, jak i na mające przyjść z przyszłych omlotów.

Wślad za Abdulskim wyjechał do Prus Bigiel. Połaniecki został sam na czele Domu i pracował od rana do wieczora, skutkiem czego nie pokazywał się prawie u nikogo.

Ale czas nie dłużył mu się, bo ożywiła go nadzieja wielkich zysków i obfitszej w działalność przyszłości. Połaniecki, rzucając się na ową spekulację i wciągając do niej Bigiela, uczynił to przedewszystkiem dlatego, że uważał ją za dobrą. Ale miał przytem i inną myśl. Oto Dom handlowy, razem ze wszystkimi swemi sprawami, był za ciasnem polem dla jego fachowego wykształcenia, dla zdolności i dla energii — i Połaniecki to czuł. Ostatecznie o co chodziło w tego rodzaju sprawach, jakie prowadził Dom? Kupić tanio, sprzedać drożej — i schować do kasy zysk — to był jedyny cel. Zakup na własną rękę, albo pośrednictwo — nic więcej. Połanieckiemu było ciasno w tej uprzęży: „Chciałbym coś kopać lub coś fabrykować — mówił w chwilach zniechęcenia i niesmaku do Bigiela — bo my, w gruncie rzeczy, staramy się tylko o to, by z tego potoku pieniędzy, jaki w obrotach ludzkich płynie, zwrócić choć jaką taką strugę do naszej kieszeni, ale nie produkujemy nic”. I to była prawda. Połaniecki pragnął dojść do majątku, zdobyć kapitał, a następnie wziąć się do jakiej roboty, bardziej walnej, dającej szersze pole do pracy i twórczości.

Sposobność, jak mu się zdawało, nadeszła, więc chwycił ją oburącz.

— Potem pomyślę o wszystkim innem — mówił sobie.

Przez „wszystko inne” rozumiał swoje sprawy ducha i serca, to jest swój stosunek do wiary, do ludzi, do ziemi, do kobiety. Rozumiał, że chcąc być w życiu spokojnym, trzeba te stosunki wyjaśnić i stanąć na pewnych nogach. Są ludzie, którzy całe życie nie wiedzą, czem są względem tych podstaw, i których każdy wiatr kieruje w inną stronę. Połaniecki czuł, że tak nie powinno być. W obecnem swem usposobieniu przewidywał, że te pytania mogą być rozstrzygnięte w sposób tak trzeźwy, że aż suchy, i tak pozytywny, że aż materialistyczny, a wogóle ujemny; ale rozumiał, że rozstrzygnięte być muszą.

— Chcę wiedzieć jasno, czym coś powinien, czy nie — mówił sobie.

Tymczasem pracował i ludzi mało widywał. Nie mógł się jednak całkowicie od nich usunąć. Przekonał się też, że najbardziej osobiste pytania nie mogą być rozstrzygane tylko wewnętrznie, tylko we własnym mózgu lub sercu, zamkniętem na cztery spusty, ale że

najczęściej jakieś wpływy zewnętrzne, jacyś ludzie dalsi lub bliżsi, przyspieszają tak koniec rozmyślań, jak i płynących z rozmyślenia postanowień. Stało się to przy pożegnaniu pani Emilii, która codziennie teraz i niemal gorączkowo skracala termin wstąpienia do nowicyatu Sióstr miłosierdzia.

Połaniecki nie przestawał wśród swych zajęć chodzić do niej, ale kilkakrotnie nie zastał jej w domu, raz zaś znalazł u niej panią Bigielową, a zarazem i panią i pannę Krasławską, których obecność kępowała go w wysokim stopniu. Następnie, gdy Marynia doniosła mu, że pani Emilia rozpoczyna nowicyat za kilka dni, poszedł, by ją pożegnać.

Zastał ją spokojną i niemal wesołą, ale na jej widok ścisnęło mu się serce. Twarz miała przezroczystą, miejscami jakby uczynioną z perłowej masy; błękitne żyły przeglądały jej przez skórę na skroniach. Była bardzo piękna, w sposób prawie nadziemski, ale Połaniecki pomyślał: „Żegnam ją na dobre, bo ona i miesiąca nie wytrzyma: z jednego więcej przywiązania, jedna więcej zgryzota i nieszczęście!”

Ona poczęła z nim mówić o swoim postanowieniu, jako o rzeczy najzwyczajszej, która się sama przez się rozumie — i jest naturalnem następstwem tego, co się stało, naturalną ucieczką przed życiem, pozbawionem wszelkiej podstawy. Połaniecki zrozumiał, że odradzać jej byłoby z jego strony wprost rzeczą niesumiennej i zupełnie bezmyślną.

— Pani tu zostanie? w Warszawie? — spytał.

— Tak. Bo chciałabym być blisko Litki — i Matka przełożona obiecała mi, że będę, naprzód w domu, a potem, jak się czegoś nauczę, to przy którym z tutejszych szpitalów. Chybaby zaszły jakieś nadzwyczajne wypadki... Póki będę w domu, co niedziela będzie mi wolno odwiedzać Litkę.

Połaniecki zacisnął zęby i milczał; patrzył tylko na delikatne, jakby woskowe, ręce pani Emilii, myśląc w duszy:

— Ona chce temi rękoma opatrywać chorych...

Ale jednocześnie odgadywał, że ona chce przedewszystkiem czego innego. Pod jej pogodą i rezygnacją odczuwał niezmierny ból, mocny jak śmierć i wołający o śmierć ze wszystkich sił duszy i serca. Chciała tylko, by ta śmierć przyszła bez jej winy, nie jako jej grzech, ale jako zasługa, której nagrodę miało stanowić połączenie się z Litką...

I teraz dopiero Połaniecki zrozumiał różnicę między bólem a bólem, żalem a żalem. I on kochał Litkę, ale w nim, obok żalu za nią i wspomnień o niej, było jeszcze coś innego, jakiś życiowy interes, jakaś ciekawość przyszłości, jakieś chęci, myśli, dążenia. Pani Emilii nie zostało nic, tak, jakby umarła razem z Litką, i jeśli zajmowało ją coś jeszcze na świecie, jeśli kochała tych, którzy jej byli bliscy, to tylko dla Litki, przez Litkę i o tyle, o ile byli z nią związani.

Połanieckiemu ciężkie były te odwiedziny i to pożegnanie. Przywiązał się był do pani Emilii głęboko, a teraz miał poczucie, że nić łącząca ich przysła raz na zawsze — i że drogi ich rozchodzą się w tej chwili, bo on idzie dalej, drogą życia, ona zaś chce, by jej życie wypaliło się jak najprędzej i wybiera trud — wprawdzie błogosławiony — ale nad siły, by przyspieszyć śmierć.

Ta myśl zamykała mu usta. W ostatniej jednak chwili, przywiązanie, jakie miał z dawną dla niej, przemogło, i począł mówić z prawdziwym wzruszeniem, całując jej rękę:

— Droga pani, bardzo droga! niech panią Bóg strzeże i pociesza!

Tu zabrakło mu słów, lecz ona, nie puszczając jego ręki, rzekła:

— Do śmierci nie zapomnę panu, że pan Litkę tak kochał. Wiem od Maryni, że ona was połączyła i dlatego wiem, że będziecie szczęśliwi, bo inaczej Bóg nie byłby jej tak natchnął. Ile razy was w życiu zobaczę, tyle razy pomyślę sobie, że wasze szczęście — to dzieło Litki. Niechże jej wola spełni się jak najprędzej i niech was Bóg błogosławi oboje.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko, wracając do domu, myślał:

— Wola Litki!... Ona ani przypuszcza, że wola Litki może być nie spełniona — i jakże jej miałem powiedzieć, że tamta nie jest już tem dla mnie, czem była...

A jednak czuł coraz wyraźniej, że dłużej nie powinno tak być i że owe węzły, łączące go z Marynią, należy w krótkim czasie albo ścieśnić, albo zerwać, by położyć koniec dziwnemu położeniu, nieporozumieniom i troskom, jakie stąd mogły wyniknąć; czuł, że trzeba to uczynić prędko, by postąpić uczciwie. I ogarnął go nowy niepokój, wydało mu się bowiem, że jakkolwiek postąpi, nie przyniesie mu to szczęścia.

Wróciwszy do domu, zastał list Maszki, który brzmiał, jak następuje:

— „Byłem u ciebie dziś dwa razy. Jakiś waryat zelżył mnie wobec moich dependentów, z powodu dąbrowy, którą ci sprzedałem. Nazywa się Gątowski. Potrzebuję z tobą pomówić i będę raz jeszcze przed wieczorem”.

Jakoż przybiegł przed upływem godziny i nie zdejmując paletota, począł pytać:

— Ty znasz tego Gątowskiego?

— Znam. To sąsiad i krewny Pławickich. Skąd to poszło i co się stało?

Maszko zdjął paletot i rzekł:

— Nie rozumiem nawet, skąd wieść o tej sprzedaży mogła się rozejść, bo ja nie mówiłem o tem nikomu i nawet zależało mi na tem, by się nie rozeszła.

— Nasz agent, Abdulski, jeździł do Krzemienia obejrzeć dąbrowę. Gątowski musiał się od niego dowiedzieć o sprzedaży.

— Słuchajże, co się stało. Dziś w biurze przynoszą mi kartę Gątowskiego. Nie wiedząc, kto to jest — przyjmuję. Wchodzi jakiś chłystek i pyta mnie, czy prawda, że sprzedałem dąbrowę i że chcę rozkolonizować część Krzemienia? Oczywiście, odpowiadam także pytaniem, co go to może obchodzić? Ten mówi, że obowiązałem się płacić z Krzemienia dożywotnią rentę staremu Pławickiemu i że jeśli, prowadząc rabunkowe gospodarstwo, zrujnuję Krzemień, nie będzie mnie na czem poszukiwać. Rozumiesz, że na to poradziłem mu, żeby wziął kapelusz, zapiął się dobrze ze względu na mróz i żeby poszedł, skąd przyszedł. Wówczas począł wrzeszczeć, nazwał mnie wobec moich dependentów szachrajem, oszustem, wreszcie powiedział mi, że mieszka w Saskim hotelu — i poszedł. Czy ty nie masz do tego klucza? Czy nie możesz powiedzieć mi, co to znaczy?

— Owszem! Po pierwsze: ten Gątowski jest ograniczony i z natury gbur; po drugie: Gątowski jest od lat całych zakochany w pannie Pławickiej i chciało mu się zostać jej rycerzem.

— Wiesz, że mam dość zimnej krwi — ale istotnie, chwilami zdaje mi się, że to sen. Żeby ktoś pozwolił sobie zelżyć mnie za to, że sprzedaję swoją własność — to wprost przechodzi ludzkie pojęcie.

— Co myślisz robić? Gątowskiemu pierwszy stary Pławicki natrze uszu i zmusi go, by cię przeprosił.

Na to twarz Maszki przybrała taki wyraz zimnej i zawziętej złości, że Połaniecki mimowoli pomyślał:

— No, „niedźwiadek” nawarzył piwa, jakiego się nie spodziewał — i musi je wypić.

— Mnie nikt nigdy w życiu bezkarnie nie ubliżył i nie ubliży — rzekł Maszko — a ten człowiek nie tylko mnie zelżył, ale zrobił mi taką krzywdę, jakiej się nie domyśla.

— To jest chłystek, po prostu niepoczytalny.

— Wściekły pies jest niepoczytalny, a mimo tego w łeb mu się strzela. Widzisz, że mówię chłodno, więc słuchaj, co ci powiem: spotkała mnie katastrofa, z pod której się nie podniosę.

— Mówisz chłodno, ale złość cię dusi, więc przesadzasz.

— Bynajmniej. Bądź cierpliwy i wysłuchaj mnie do końca. Położenie jest takie: jeśli moje małżeństwo nie dojdzie do skutku, albo nawet odwlecze się na jakie kilka miesięcy, dyabli wezmą mnie, moje stanowisko, mój kredyt, mój Krzemień, i wszystko, co mam. Powiedziałem ci, że jadę resztką pary — i muszę stanąć. Panna Krasławska nie wychodzi za mnie z miłości, tylko dlatego, że ma dwadzieścia dziewięć lat, i że wydają się jej, jeśli nie wymarzoną, to przynajmniej dostateczną partycją. Jeżeli się tylko pokaże, że nie jestem taką, jak myśli, to zerwie ze mną. Gdyby te panie dziś dowiedziały się, że sprzedałem dąbrowę na Krzemieniu z potrzeby — jutro miałbym rekuzę. Teraz pomyśl: awantura była publiczna, bo przy moich dependentach. Rzecz nie utai się. Mógłbym im może sprzedaż dąbrowy wytłómaczyć — ale pozostaję prócz tego człowiekiem zelżonym. Gdybym nie wyzwiał Gątowskiego, mogą ze mną zerwać, jako z szują bez honoru, jeśli go wyzwę — pamiętaj, że to są dewotki, a prócz tego kobiety tak przestrzegające pozorów, jak drugich nie znam — więc zerwą ze mną, jako z awanturnikiem. Jeśli Gątowskiego postrzele, zerwą ze mną jako z zabójcą; jeśli on mnie, zerwą, jako z niedołęgą, który się pozwolił zelżyć i poturbować. Na sto danych jest dziewięćdziesiąt, że tak postąpią. Rozumiesz teraz, dlaczego ci powiedział, że dyabli wezmą mnie, mój kredyt, moje stanowisko i w dodatku Krzemień.

Połaniecki machnął ręką, z całym bezmyślnym egoizmem, na jaki zdobyć się może tylko mężczyzna w stosunku do drugiego mężczyzny, który go w gruncie rzeczy mało obchodzi.

— Ba! — rzekł — Krzemień może ja od ciebie kupić. Ale położenie jest ciężkie. Co tedy myślisz robić z Gątowskim?

Na to Maszko rzekł:

— Dotychczas płacę długi. Nie chciałeś mi družbować, czy zechcesz być moim świadkiem?

— Tego się nie odmawia — rzekł Połaniecki.

— Dziękuję. Gątowski mieszka w Saskim hotelu.

— Jutro będę u niego.

Zaraz po wyjściu Maszki, Połaniecki wybrał się na spędzenie wieczoru do Pławickich, po drodze zaś myślał:

— Z Maszką niema żartów — i rzecz nie skończy się byle jak; ale co mnie to może obchodzić? Co oni wszyscy mnie obchodzą, albo ja ich? Jednakże jaki człowiek jest dyabelnie sam na świecie!

I nagle uczuł, że jedyną na świecie istotą, którą on coś obchodzi i która o nim myśli, nie jak o rzeczy, jest Marynia.

I rzeczywiście, gdy wszedł, z samego uścisku jej ręki poznał, że tak jest; ona zaś rzekła mu na powitanie swoim łagodnym i spokojnym głosem:

— Miałam przecucie, że pan przyjdzie. Niech pan patrzy: jest gotowa dla pana filiżanka.

IV

Połaniecki, przybywszy do Pławickich, zastał tam Gątowskiego. Młodzi ludzie przywitali się od razu z widocznym chłodem i niechęcią. Dnia tego nie było w całym świecie nieszczęśliwszego człowieka, niż Gątowski. Stary Pławicki z niego drwił, jak zwykle, a nawet więcej niż zwykle, był bowiem w wybornym humorze z powodu swej krewnej, po której spodziewał się znacznego spadku; Marynię krępowała jego obecność, i przymus ów napróżno starała się pokryć uprzejmem obejściem się i dobrocią. Nakoniec Połaniecki udał niemal, że go nie widzi. Widocznem także było, że Gątowski nie przyznał się do niczego przed starym Pławickim i że drży teraz o to, by Połaniecki nie uczynił o jego zajściu z Maszką jakiejś wzmianki, lub żeby go nie opowiedział.

Połaniecki rozumiał to od razu, jak również i przewagę, jaką mu jego milczenie daje nad „niedźwiadkiem”; chcąc zaś jej użyć w interesie Maszki, do czasu milczał, lecz nie umiał sobie odmówić chęci ukarania Gątowskiego w inny sposób. Oto przez cały wieczór zajmował się tak Marynią, jak nigdy od czasu śmierci Litki, co Marynię przejmowało widoczną radością. Zostawiwszy Gątowskiego staremu Pławickiemu, chodzili oboje w poufnej rozmowie po pokoju, potem zaś siedli pod ową palmą, pod którą Połaniecki widział po powrocie z pogrzebu panią Emilię — i rozmawiali właśnie o jej blizkiem wstąpieniu do Sióstr miłosierdzia. Lecz Gątowskiemu zdawało się chwilami, że tak mogą rozmawiać tylko narzeczeni i czuł wówczas to, co musi czuć dusza, nie w czyścju, bo czyścjowa ma jeszcze przed sobą nadzieję, lecz taka, która przestępuje bramę z napisem: „Lasciate ogni speranza”. Widząc ich tak razem, wyobrażał sobie również, że może Połaniecki kupił dąbrowę z gruntem, żeby choć część Krzemienia odzyskać dla Maryni, a zatem z jej wolą i wiedzą. I na samą myśl, jak w takim razie zabrnął, uczyniwszy awanturę Maszce, włosy powstawały mu na głowie; Pławicki zaś, słysząc jego nawpół przytomne, albo i całkiem niedorzeczne odpowiedzi, bawił się coraz lepiej kosztem „prowincyała”, który na bruku miejskim traci resztę rozumu. Pan Pławicki miał się już za wzór człowieka „stołecznego”.

Przyszła jednak chwila, że, gdy Marynia zajęła się w drugim pokoju herbatą, a pan Pławicki poszedł do siebie po cygara, młodzi ludzie zostali sam na sam; wówczas Połaniecki zwrócił się do Gątowskiego i rzekł:

— Wyjdźmy po herbacie razem; chcę z panem pomówić w sprawie pańskiego zajścia z panem Maszką.

— I owszem — odrzekł ponuro Gątowski, zrozumiawszy, że Połaniecki jest świadkiem Maszki.

Tymczasem trzeba było jeszcze zostać na herbacie, a potem siedzieć dość długo, gdyż stary pan Pławicki nie lubił kłaść się wcześniej i wzywał Gątowskiego na partyę szachów. Podczas partyi panna Marynia z Połanieckim siedzieli znów osobno i rozmawiali z ożywieniem, ku serdecznej męce „niedźwiadka”.

— Przyjazd pana Gątowskiego — rzekł nagle Połaniecki — musi być pani miły, bo pani przypomniał Krzemień.

Przez twarz Maryni przemknęło zdziwienie, że Połaniecki pierwszy wspomina Krzemień. Ona sądziła, że na mocy milczącej ugody, sprawę tę pokryje wiekuiste milczenie. Po chwili też odrzekła:

— Ja już więcej nie myślę o Krzemieniu.

I mówiąc to, mówiła nieprawdę, bo w głębi serca było jej serdecznie żal i miejsca, w którym się wychowała, i pracy kilku lat, i zburzonych nadziei; ale sądziła, że tak jej nakazuje mówić zarówno obowiązek, jak i budzące się dla Połanieckiego coraz silniejsze uczucie.

— Krzemień — dodała nieco wzruszonym głosem — był powodem naszej kłótni, a ja chcę teraz zgody i zgody na zawsze.

I mówiąc to, patrzyła Połanieckiemu w oczy z taką pełną słodczy kokieterią, na jaką umie się zdobyć licha kobieta zawsze, a uczciwa wówczas tylko, gdy poczyna kochać; Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednakże ona jest ogromnie dobra.

I zaraz powiedział głośno:

— Paniby miała przeciw mnie bajeczną broń, bo mnie dobrocią do piekłaby można zaprowadzić...

A ona odrzekła:

— Ja tam nie chcę pana prowadzić.

I na znak, że nie chce, poczęła trząść z uśmiechem swoją ciemną, śliczną główką, a Połaniecki patrzył w jej twarz, w śmiejące się, nieco za szerokie usta, i mówił sobie w duchu:

— Kocham ją, czy nie kocham, ale żadna mnie tak nie ciągnie, jak kleszczami!

Jakoż nigdy nie ujęła go i nie podobała mu się więcej, nawet wówczas, gdy nie miał ani cienia wątpliwości, że ją kocha, i gdy borykał się z tem uczuciem.

Począł się jednak żegnać, gdyż uczyniło się późno — i po chwili obaj z Gątowskim znaleźli się na ulicy.

Wówczas Połaniecki, który nigdy nie umiał uchronić się od popędliwości, zatrzymał nieszczęśliwego „niedźwiadka” i spytał niemal w sposób wyzywający:

— Czy pan wiedziałeś, że dąbrowę na Krzemieniu kupiłem ja?

— Wiedziałem — odpowiedział Gątowski — bo wasz komisant, ten, co powiada, że pochodzi z Tatarów.... zapomniałem jak mu tam!... był u mnie w Jałbrzykowie i mówił mi, że to pan.

— Dlaczego tedy zrobiłeś pan awanturę panu Maszce, nie mnie?

Na to Gątowski odrzekł:

— Niech mnie pan tak nie przyciska do muru, bo ja tego nie lubię. Awanturę zrobiłem tamtemu jegomości, nie panu, bo państwu Pławickim nic się od pana nie należy, a tamten ma im płacić rocznie z Krzemienia tyle, ile się zobowiązał, a jak zdewastuje Krzemień, to nie będzie miał z czego. Chciałeś pan wiedzieć, dlaczego tamtemu nawymyślałem, to pan wiesz.

Połaniecki musiał przyznać w duchu, że w odpowiedzi Gątowskiego jest pewna słuszność, począł też natychmiast rozmowę z innej strony.

— Pan Maszko prosił mnie na świadka — rzekł — dlatego mieszam się do tej sprawy. Jako świadek, będę u pana jutro, dziś zaś, jako człowiek prywatny, i jako krewny, choć daleki, pana Pławickiego, mogę panu powiedzieć tylko to: oddałeś najgorszą usługę panu Pławickiemu, i jeśli i on, i panna Marynia, zostaną bez kawałka chleba, to panu będą to zawdzięczali. Tak jest!

Oczy Gątowskiego stały się zupełnie okrągłe.

— Bez kawałka chleba?... mnie będą zawdzięczali?...

— Tak jest — powtórzył Połaniecki. — Słuchajże pan dobrze. Bez względu na to, jaki będzie rezultat zajścia... okoliczności są takie, że może ono mieć najfatalniejsze skutki. Mówię to panu pod słowem — pan prawdopodobnie zrujnował pana Pławickiego i odjąłeś i jemu, i córce, sposób, a raczej środki do życia.

Jeśli Gątowski istotnie nie lubił, gdy go przyciskano do muru, to teraz była pora do okazania owego wstrętu. Lecz Gątowski stracił zupełnie głowę i stał w przerażeniu, z otwartymi ustami, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi i dopiero po chwili zaczął:

— Co? jak? jakim sposobem? Bądź pan pewny, że do tego nie przyjdzie, choćbym miał im Jałbrzyków oddać.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Panie Gątowski, szkoda słów! Ja waszą okolicę znam od małego dziecka. Co to jest Jałbrzyków — i co pan masz na Jałbrzykowie?

Była to prawda. Jałbrzyków był wioszczyną o dziewięciu włókach, a przytem Gątowski miał, jak to bywa, odziedziczonych długów wyżej uszu na Jałbrzykowie — więc ręce opadły mu zupełnie.

Przyszło mu jednak do głowy, że może rzeczy tak nie stoją, jak je przedstawia Połaniecki i chwycił się tej myśli, jak deski zbawienia.

— Ja tego nie rozumiem, co pan mówi — rzekł. — Bóg mi świadek, że wolałbym własną zgubę, niż zgubę państwa Pławickich, i to pan wiedz, że chętniebym nadkręcił karku panu Maszce, ale jeśli trzeba, jeśli chodzi o państwa Pławickich, to niech mnie pierwej dyabli wezmą. Ja byłem zaraz po tem zajściu u pana Jamisza, który teraz jest na kadencji, i przyznałem mu się do wszystkiego. Powiedział mi, że głupstwo zrobił i zwymyślał mnie — prawda! Żeby o moją skórę chodziło — co mi tam! palcembym nie ruszył; ale skoro to co innego, więc co mi powie pan Jamisz, to zrobię, choćby mnie miał potem piorun trzasnąć. Pan Jamisz mieszka w Saskim hotelu i ja też.

Na tem rozstali się i Gątowski poszedł do swego hotelu, klnąc Maszkę, siebie i Połanieckiego. Czuł, że musiało tak być, jak Połaniecki mówił, że stało się jakieś nieszczęście niepowetowane i że wyrządził ciężką krzywdę tej samej pannie Maryi, za którą oddałby ostatnią kroplę krwi; czuł, że ostatecznie, jeśli była dla niego jakakolwiek nadzieja, to ją zniszczył. Pławicki zamknie mu drzwi. Panna Marya wyjdzie za Połanieckiego — chyba by on sam jej nie chciał. Ale kto by jej nie chciał? I jednocześnie biedny Gątowski ujrzał jasno, że między tymi, którzyby mogli pożądać jej ręki — on, w każdym razie, byłby ostatnim, za którego by wyszła. — „Co ja mam? — nic — mówił sobie — ten parszywy Jałbrzyków i nic więcej: ani rozumu, ani pieniędzy. Każdy coś wie, tylko ja nic nie wiem! Każdy coś znaczy, tylko ja nic nie znaczę. Taki Połaniecki ma i naukę i pieniądze, a że ja ją lepiej kocham — dyabli mi z tego i tyle jej, skorom taki dureń, że jeszcze jej przez to szkodzę, nie pomagam”.

Połaniecki, wracając do domu, myślał o Gątowskim to samo i wogóle nie miał dla niego ani iskry współczucia. W domu zastał Maszkę, który go czekał od godziny i który rzekł mu na powitanie:

— Drugim świadkiem będzie Kresowski.

Połaniecki skrzywił się nieco i odpowiedział:

— Widziałem Gątowskiego.

— I co?

— To dureń.

— Przedewszystkiem. Czy mówiłeś mu co w moim imieniu?

— W twojem nic. Mówiłem mu jako krewny pana Pławickiego, że oddał mu najgorszą w świecie usługę.

— Nie dałeś żadnych wyjaśnień?

— Żadnych. Słuchaj Maszko, tobie chodzi o pełną satysfakcję — mnie także nic na tem nie zależy, żebyście sobie we łby postrzelali. Na mocy tego, com Gątowskiemu powiedział, gotów jest przystać na wszystkie twoje warunki. Na szczęście, udał się do radcy Jamisza, a to jest rozsądny i łagodny człowiek, który także rozumie, że Gątowski postąpił jak dureń — i rad będzie dać mu lekcję.

— Dobrze — rzekł Maszko. — Daj mi pióro i kawałek papieru.

— Masz na biurku.

Maszko siadł i zaczął pisać, a gdy skończył, podał zapisaną ćwiartkę Połanieckiemu.

Połaniecki czytał, co następuje:

„Oświadczam niniejszem, że napadłem na pana Maszkę po pijanemu, w stanie nieprzytomnym, i nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię. Dziś wytrzeźwiony, wobec moich świadków i świadków pana Maszki, oraz osób, które były przy napaści obecne, uznaję mój postępek za grubijański i bezrozumny, i z największym żalem i pokorą odwołuję się do wyrozumiałości i łaski pana Maszki, prosząc go o przebaczenie i wyznając publicznie, że jego postępowanie było i jest we wszystkim wyższe nad sądy ludzi do mnie podobnych”.

— Gątownski ma to wydeklamować, a następnie podpisać — rzekł Maszko.

— To jest dyabło nielitościwe. Na to się nikt nie zgodzi.

— Uznajesz, że ten błazen dopuścił się względem mnie czegoś niesłychanego?

— Uznaję.

— Rozumiesz, jakie skutki ta awantura dla mnie pociągnie?

— Tego nie można wiedzieć.

— To ja wiem — i powiem ci tylko tyle: te panie żałują w duszy, że się związały i skorzystają z lada pozorów, który je osłoni przed światem. To jest pewne. Jestem zgubiony, niemal bez ratunku.

— Do licha!

— Rozumiesz teraz, że to, co mnie nurtuje, musi się na kimś skupić — i że Gątownski musi mi w taki lub owaki sposób za krzywdę zapłacić.

Połaniecki ruszył ramionami.

— Nie rozczulam się i ja nad nim. Niech tak będzie.

— Kresowski przyjdzie po ciebie jutro o dziewiątej.

— Dobrze.

— Zatem do widzenia. Ale! jeśli zobaczysz jutro Pławickiego, powiedz mu, że w Rzymie umarła jego krewna, Płoszowska, po której spodziewał się spadku. Testament był tu u regenta Podwójnego i ma być jutro otwarty.

— Dobrze, Pławicki już o tem wie, bo ona umarła przed pięciu dniami.

Połaniecki został sam. Przez czas jakiś myślał o swojej sumie, nie przewidując sposobu, w jaki ją będzie mógł od zbankrutowanego Maszki wydobyć — i myśl ta zaniepokoiła go. Przypomnił sobie jednak, że suma ta nie mogła być przed całkowitą splatą wykreślona z hipoteki Krzemienia, że więc w ostatecznym razie zostanie, jak był dawniej, wierzycielem Krzemienia. Krzemień nie był wprawdzie wiele lepszym dłużnikiem od Maszki, nie była to więc wielka pocięcha — ale na razie należało na niej poprzestać.

Później też przyszło mu do głowy co innego. Począł wspominać Litkę, panią Emilię, Marynię i uderzyło go to, jak tego rodzaju świat kobiecy, czysto uczuciowy, którego główny interes polega na kochaniu, na szczęściu blizkich, różny jest od świata męskiego, pełnego współzawodnictw, walki, czubienia się, gniewów, pojedynków, wysiłków dla zrobienia majątku i zmęczenia. I uznał w tej chwili, czego już nie czuł dawno, że jeśli jest na świecie spoczynek, szczęście, ukojenie, to należy ich szukać u kochającej kobiety. Było to poczucie wprost przeciwne jego filozofii z dni ostatnich, dlatego zaniepokoiło go. Ale porównywając dalej te dwa światy, nie mógł się jednak oprzeć uznaniu, że ten kobiecy, kochający, ma swoją zasadę i swoją rację bytu.

Gdyby Połaniecki był biegły w Piśmie Św., byłyby mu niechybnie przyszły do głowy słowa: „Marya lepszą cząstkę obrała”.

V

Kresowski spóźnił się nazajutrz blisko o godzinę. Był to, według znanego u nas określenia, jeden z administratorów świeżego powietrza w mieście, to jest jeden z ludzi nie robiących nic. Miał dość znane nazwisko i stracił dość znaczny majątek. Na tych dwóch podstawach stał, żył, bywał wszędzie i uznawany był powszechnie za porządnego człowieka. Jak powyższe tytuły mogą na to wszystko wystarczyć, to jest tajemnica wielkich miast, dość, że nietylko stanowisko Kresowskiego było uznane i zapewnione, ale uważano go nadto za człowieka, do którego w delikatnych sprawach można się bezpiecznie udać. W sądach honorowych używano go za arbitra, w pojedynkach na świadka. Wysokie sfery finansowe zapraszały go rade na obiady, śluby, chrzciny i tym podobne uroczystości,

albowiem miał patrycyuszowską łysinę i bardzo polską fizygnomię, doskonale więc stół ubierał.

Był to człowiek w gruncie rzeczy ogromnie rozczarowany do ludzi, trochę suchotnik i bardzo zgryźliwy; posiadał jednak pewną dozę humoru, która pozwalała mu widzieć śmieszne strony rzeczy zwłaszcza bardzo drobnych, w czym przypominał nieco Bukackiego — i drwić z własnej zgryźliwości. Pozwalał także żartować z niej innym, ale pod miarę. Gdy ją przebrano, wyprostowywał się nagle i przyciskał ludzi aż nadto, wskutek czego uważano go za niebezpiecznego. Opowiadano o nim, że w kilku wypadkach znalazł odwagę tam, gdzieby wielu jej brakło i że wogóle umiał „wysoko nos nosić”. Nie szanował nikogo i niczego, prócz swojej, istotnie bardzo szlachetnej fizygnomii, nie szanował zwłaszcza czasu, albowiem spóźniał się zawsze i wszędzie.

Wszedłszy obecnie do Połanieckiego, począł też zaraz po przywitaniu tłómaczyć swoje opóźnienie.

— Czy pan nie zauważył — rzekł — że jeśli się człowiekowi bardzo śpieszy i bardzo na pośpiechu zależy, wówczas najniezbędniejsze do wyjścia rzeczy giną umyślnie, jakby w wodę wpadły. Służący szuka kapelusza — niema kapelusza, szuka kaloszy — niema kaloszy; szuka się portmonetki, niema portmonetki. O zakład, zawsze!

— Bywa tak — rzekł Połaniecki.

— Ja nawet wynalazłem na to sposób. Gdy mi coś tak jak w wodę wpadnie, siadam, uśmiecham się i mówię głośno: „Pasyami lubię tak coś zgubić; człowiek szuka, ożywia się, rusza, zapełnia czas — to niezmiernie zdrowe i przyjemne”. I co pan powiesz? Wtedy od razu znajduje się to, co zginęło.

— Można by wziąć patent na taki wynalazek — odpowiedział Połaniecki. — Ale mówmy o sprawie Maszki.

— Mamy iść do radcy Jamisza. Maszko przysłał mi cyrograf, który napisał dla Gątowskiego. Nie chce ani słowa zmienić — ale to niemożliwe, zbyt ostre — to nie może być przyjęte... Rozumiem, że czeka nas pojedynek, nic więcej — innego wyjścia nie widzę.

— Gątowski zdał się ze wszystkim na pana Jamisza i zrobi wszystko, co mu pan Jamisz każe, a pan Jamisz jest, naprzód, także oburzony na Gątowskiego, a powtóre człowiek chory, łagodny, spokojny, tak, że kto wie, czy nawet takich warunków nie przyjmie.

— Pan Jamisz jest safandula — odparł Kresowski — ale chodźmy, bo późno.

I wyszli. Po chwili sanki zatrzymały się przed Saskim hotelem. Pan Jamisz czekał na nich, ale przyjął ich w szlafroku, był bowiem istotnie niezdrów. Kresowski, patrząc na jego twarz inteligentną, ale pognębną i nalaną, pomyślał:

— Ten istotnie gotów się zgodzić na wszystko.

— Siadajcież panowie — rzekł pan Jamisz. — Przyjechałem dopiero od trzech dni — i choć nie czuję się dobrze, rad jestem, bo może się uda awanturę załagodzić. Wierzcie mi, że pierwszy natarłem uszu mojemu paliwodzie.

Tu począł ramionami ruszać, a następnie, zwróciwszy się do Połanieckiego, spytał:

— Co tam u Pławickich? Nie byłem dotąd u nich, a tęskno mi do mojej złotej Maryni...

— Panna Marya zdrowa — odrzekł Połaniecki.

— A staruszek?...

— Umarła przed kilku dniami daleka jego krewna, bardzo bogata, więc liczy na spadek. Wczoraj mi to mówił, ale ja słyszałem, że cały majątek zapisała na dobroczynność... Testament dziś, albo jutro będzie otwarty...

— Bógby ją natchnął, żeby Maryni co zapisała. Ale przystąpmy do sprawy. Moi panowie, nie potrzebuję wam mówić, że naszym obowiązkiem jest skończyć ją, o ile można, zgodnie.

Kresowski skłonił się. Nudziły go podobne wstępy, które już słyszał Bóg wie ile razy w życiu, więc przerwał:

— Jesteśmy tym obowiązkiem głęboko przejęci...

— Tak się też spodziewałem — odrzekł dobrodusznie pan Jamisz. — Ja sam przyznaję, że pan Gątowski nie miał najmniejszego prawa postąpić, jak postąpił; uznaję nawet za słuszne, żeby był za to ukarany, więc skłonię go do wszelkich, nawet bardzo znacznych ustępstw, mogących zapewnić panu Maszce należyłą satysfakcję.

Kresowski wydobyl z kieszeni złożony arkusik listowego papieru i podał go z uśmiechem panu Jamiszowi, mówiąc:

— Pan Maszko nie wymaga też niczego więcej, jak żeby pan Gątowski naprzód odczytał ten mały dokumencik wobec swoich i jego świadków, oraz wobec dependentów, obecnych przy awanturze, a następnie, by podpisał pod nim swoje szanowne nazwisko.

Pan Jamisz, znalazłszy między papierami okulary, nałożył je na nos i począł czytać. Lecz w miarę, jak czytał, twarz jego zaczerwieniła się, następnie pobladła, następnie zaczął sapać, następnie i Połaniecki i Kresowski prawie oczom nie chcieli wierzyć, że to jest ten sam pan Jamisz, który przed chwilą gotów był do wszelkich ustępstw.

— Moi panowie — rzekł przerywanym głosem — pan Gątowski postąpił jak paliwoda, narwaniec, ale pan Gątowski jest... szlachcic, i oto, co w jego imieniu odpowiadam panu Maszce.

To rzekłszy, przedał arkusik na cztery części i rzucił go na ziemię.

Rzecz nie była przewidziana. Kresowski począł się namyślać, czy pan Jamisz postępkim swym nie ubliżył jego godności, jako świadka — i twarz poczęła mu w jednej chwili lodowacieć i ściągać się, jak u złego psa; ale Połanieckiemu, który pana Jamisza lubił, podobalo się to jego oburzenie.

— Panie radco — rzekł dobitnie — pan Maszko jest pokrzywdzony w tak niebywały sposób, że nie może mniej wymagać, ale i ja, i pan Kresowski, przewidywaliśmy pańską odpowiedź, i zwiększa ona tylko szacunek, jaki dla pana mamy.

Radca Jamisz usiadł — i będąc nieco astmatykiem, oddychał czas jakiś ciężko; poczem uspokoił się i rzekł:

— Mógłbym panom zaofiarować przeproszenie ze strony pana Gątowskiego, ale całkiem w innych wyrazach; widzę jednak, że tracilibyśmy tylko czas, więc mówmy po prostu o zadośćuczynieniu z bronią w ręku. Za chwilę przyjdzie tu pan Wilkowski, drugi świadek Gątowskiego, i jeśli możecie poczekać, to ułożymy zaraz warunki.

— To się nazywa iść prosto do celu — rzekł Kresowski, całkiem pogodzony z panem Jamiszem.

— Ale się idzie z konieczności i ze smutnej konieczności — odpowiedział pan Jamisz.

Połaniecki spojrział na zegarek.

— Ja muszę o jedenastej być w biurze — rzekł — ale jeśli pan radca pozwoli, wpadnę tu koło pierwszej, dla przejrzania i podpisania warunków.

— Dobrze. Z góry pana uprzedzam, że rozumiem, iż warunki nie mogą być ułożone tak, by budziły śmiech ludzki, ale liczę też na to, że i pan Kresowski i pan, panie Połaniecki, nie zechcecie ich posuwać do ostateczności.

— Nie; możesz pan być pewny, że nie myślę być nadto zapalczywy kosztem cudzej skóry.

To rzekłszy, Połaniecki wyszedł i udał się do biura, gdzie istotnie czekało go kilka spraw dość ważnych, o których pod niebytność Bigiela musiał stanowić własną głowę. W południe podpisał warunki, które były poważne, ale nie nadto ostre, następnie udał się na obiad, spodziewał się bowiem zastać w restauracji Maszkę.

Maszko jednak widocznie musiał być u pań Krasławskich, natomiast pierwszą osobą, jaką Połaniecki ujrzał, był pan Pławicki, przybrany jak zwykle starannie, ogolony, opięty, wyświeżony, ale posępny, jak noc.

— Co tu szanowny wujaszek porabia? — spytał Połaniecki.

— Jak mam jakie zmartwienie, nie jadam zwykle w domu, by nie zasmuć Maryni — odparł pan Pławicki. — Idę gdziekolwiek i ot — skrzydełko kapłona, łyżeczka kompotu — to wszystko, czego mi potrzeba. Siadaj, jeśli nie znajdziesz weselszego towarzystwa.

— Co się stało? — pytał Połaniecki.

— Giną stare tradycje — to się stało!

— Ba! to nie osobiste wujaszka nieszczęście.

Pan Pławicki spojrział na niego zarazem ponuro i uroczyście i rzekł:

— Dziś było otwarcie testamentu.

— No i co?

— I co? I gadają teraz po Warszawie: „Pamiętała o najdalszych krewnych!” Ładnie pamiętała! Marynia ma zapis — tak? — a wiesz jaki? Czteryście rubli dożywotnie. I to milionerka!! Pannie służącej się taki legat zostawia — nie krewniej.

— A wujaszek?
 — A ja nic. Rządca zapisała piętnaście tysięcy rubli, a o mnie ani dudu.
 — Cóż robić?
 — Giną stare tradycje! Ilużto ludzi dawniej dochodziło przez testamenta do majątków, a dlaczego? Bo istniała miłość i solidarność w rodzinach.
 — I dziś jeszcze znam takich, którym tysiące spadły na głowę z zapisów.
 — Tak. Są tacy, są! Jest takich pełno, ale ja do nich nie należę.
 Pan Pławicki wsparł głowę na rękę i z ust jego wyszło coś w rodzaju monologu:
 — Że też zawsze i wszędzie gdzieś, komuś, ktoś, coś...
 Tu westchnął i po chwili dodał:
 — A mnie nigdy i nigdzie, nikt, nic...
 A Połanieckiemu przysła nagle równie okrutna jak pusta myśl do głowy, by rozwelelić pana Pławickiego, więc rzekł:
 — E, ona umarła w Rzymie, a tutejszy testament dawniej pisany, przedtem zaś także istniał, jak słyszałem, całkiem inny. Kto wie, czy z Rzymu nie nadejdzie jaki kodycyłek i czy się wujaszek nie obudzi którego dnia milionerem.
 — Nie przyjdzie! — odpowiedział pan Pławicki.
 Lecz słowa Połanieckiego poruszyły go; począł na niego spoglądać, począł się kręcić, jakby krzesło, na którym siedział, było łóżem madejowem — wreszcie rzekł:
 — I ty uważasz, że to jest możliwe?
 A Połaniecki odrzekł z prawdziwie szelmowską powagą:
 — Nie widzę w tem nic niepodobnego.
 — Gdyby wola Opatrzności...
 — I to być może.
 Pan Pławicki spojrział po sali: byli sami; nagle odsunął krzesło i rzekł, wskazując na kamizelkę:
 — Chłopcze! chodź tu...
 Połaniecki pochylił głowę, którą pan Pławicki dwukrotnie ucałował, mówiąc przytem ze wzruszeniem:
 — Dodałeś mi otuchy, pokrzepiłeś mnie... Niech będzie, jak Bóg chce, ale pokrzepiłeś mnie. Przyznam ci się teraz, że do niej pisałem. Nic, tylko żeby się przypomnieć, że żyjemy. Pytałem, kiedy się kończy termin dzierżawy jednego folwarku. Nie miałem, rozumiesz, zamiaru brać tej dzierżawy, ale pozór był dobry... Niech ci Bóg zapłaci za to, żeś mnie pokrzepił... Ten testament mógł być zrobiony przed moim listem, potem pojechała do Rzymu, po drodze musiała myśleć o moim liście, a więc i o nas — i — powiadasz że to być może? — niech ci Bóg zapłaci.
 Po chwili twarz jego rozjaśniła się zupełnie; nagle położył dłoń na kolanie Połanieckiego i, klasnąwszy językiem, zawołał:
 — Wiesz co, chłopcze? Może w szczęśliwą godzinę powiedziałeś! A żebyśmy tak wypili buteleczkę Mouton-Rotschild, na rachunek tego kodycyłka — co?
 — Dalibóg, nie mogę — rzekł Połaniecki, który poczynał się trochę wstydzic swego konceptu — nie mogę i nie będę.
 — Musisz.
 — Pod słowem, nie mogę. Mam pełno roboty i nie będę sobie czupryny zaproszał za nic w świecie.
 — Kozieł uparty — czysty kozieł! To ja sam wypiję pół na szczęśliwą godzinę.
 I kazał podać, poczem spytał:
 — Co ty masz takiego do roboty?
 — Rozmaite rzeczy. Zaraz po obiedzie muszę być u profesora Waskowskiego.
 — Co to za figura ten Waskowski?
 — A prawda — rzekł Połaniecki — na tego także spadł po bracie, który był górnikiem, majątek, i to znaczny. Ale on wszystko biednym rozdaje.
 — Biednym rozdaje, a chodzi do porządnej restauracji — lubię takich filantropów! Ja, gdybym miał co biednym rozdawać, to sobie wszystkiogobym odmawiał.
 — On długo chorował i doktor kazał mu zdrowo jadać. Ale on i tu jada tylko to, co tanio kosztuje. Mieszka w ciupie i hoduje ptaki, a obok ma dwa wielkie pokoje — i wie wuj, kto w nich nocuje? — oto dzieci, które zbiera po ulicach.

— Mnie się też od razu zdawało, że on ma coś tu!...

Tu pan Pławicki począł się stukać palcem w czoło.

Waskowskiego Połaniecki nie zastał, więc po widzeniu się poprzedniem z Maszką, koło piątej po południu wpadł do Maryni, bo jednak sumienie go gryzło z powodu bzdurstw, których nagadał Pławickiemu. „Stary — mówił sobie — będzie spijał wysokie wina na rachunek tego kodycyłu, a oni podług mnie i tak nad stan żyją. Nie trzeba, żeby żart trwał zbyt długo”.

Marynię zastał w kapeluszu. Miała iść do Bigielów, ale zatrzymała go, on zaś, ponieważ i tak nie przyszedł na długo, więc został.

— Winszuję pani spadku — rzekł.

— I ja rada jestem — odpowiedziała — bo to coś pewnego, a w naszym położeniu, to ważna rzecz. Zresztą chciałabym być jak najbogatsza.

— Dlaczego?

— A pamięta pan, co pan raz mówił, że chciałby mieć tyle, żeby założyć fabrykę i nie prowadzić domu handlowego. Ja to zapamiętałam, a że każdy ma jakieś swoje pragnienia, więc i ja chciałabym mieć dużo, dużo pieniędzy.

Tu, myśląc, że może powiedziała zbyt wiele i zbyt wyraźnie, poczęła rozprostowywać fałdy sukni, bo to pozwalało schylić jej głowę.

— Ja przychodzę jeszcze, żeby panią przeprosić — rzekł Połaniecki. — Dziś przy obiedzie nagadałem głupstw panu Pławickiemu, że panna Płoszowska może zmieniła testament i zapisała mu cały majątek. Nad moje spodziewanie wziął to poważnie. Nie chciałbym, żeby się łudził, i jeśli pani pozwoli, to zaraz pójdę do jego pokoju, by jakoś mu to wytłómaczyć.

A Marynia poczęła się śmiać.

— Ja już to tłómaczyłam — i wyłajał mnie, i to bardzo! Widzi pan, co pan nabroił. Naprawdę, ma pan za co przepraszać.

— Więc przepraszam.

I chwyciwszy jej rękę, począł ją okrywać pocałunkami, a ona zostawiła mu ją zupełnie, powtarzając niby żartobliwie, ale ze wzruszeniem:

— A niedobry pan Stach, niedobry pan Stach!

Połaniecki dnia tego czuł na ustach, aż do chwili snu, ciepło ręki Maryni i nie myślał ani o Maszce, ani o Gątowskim, powtarzał sobie natomiast z wielką uporczywością:

— Czas to rozstrzygnąć...

VI

Kresowski z doktorem i z pudełkiem, zawierającym pistolety, siedział w jednej karetkce, a Połaniecki z Maszką w drugiej — i jechali na Bielany. Dzień był jasny i mroźny, pełen na dole różowej mgły. Koła obracały się ze skrzypieniem po zmarzłym śniegu, konie dymiły i okrywały się szronem; na drzewach leżała okiść obfita.

— Mróz, bo mróz — rzekł Maszko. — Palce poprzymarzają nam do cyngłów.

— I miła rzecz zdejmować futra.

— To też zmiłujcie się, nie marudźcie. Mój drogi, powiedz Kresowskiemu, żeby od razu przystąpił do rzeczy.

Tu Maszko począł przecierać zapocone binokle i dodał:

— Nim dojedziemy, słońce pójdzie w górę i będzie ogromny blask od śniegu.

— To się prędko skończy — odpowiedział Połaniecki. — Skoro Kresowski stawiał się na czas, na tamtych nie będziemy czekali, bo przywykli rano wstawać.

— Wiesz, co mnie w tej chwili zastanawia? — rzekł Maszko — że jest w świecie jeden czynnik, z którym się nikt w swoich planach i w swoim działaniu nie liczy, a przez który wszystko się może rozbić, zawieść, popsuć — to głupota ludzka. Dajmy na to, że ja mam dziesięć razy więcej rozumu niż mam, że nie mam na celu interesów pana Maszki, tylko, że jestem, przypuśćmy, jakimś wielkim politykiem, jakimś Bismarckiem lub Cavourem, który potrzebuje zdobyć majątek dla przeprowadzenia swoich planów i który oblicza każdy krok, każde słowo — cóż? Przychodzi takie bydlę, nieobliczalne dla żadnego umysłu — i wszystko od razu w łeb bierze. To coś bajecznego! Zastrzeli mnie, czy nie zastrzeli — mniejsza na teraz z tem, ale bestya popsuła mi robotę całego życia.

— Któż to może obliczyć — rzekł Połaniecki. — To tak samo, jakby ci dachówka na głowę spadła.

— Właśnie dlatego wściekłość bierze.

— A co do tego, żeby cię miał zastrzelić — daj spokój.

Maszko ochłonął, przetaił znowu binokle i począł mówić:

— Mój drogi, widzę, że od chwili wyjazdu trochę mnie obserwujesz, a teraz chcesz mi dodać animuszu. I to jest naturalne. Z mojej strony, muszę cię także uspokoić i zaręczam ci pod słowem, że nie zrobię wam wstydu. To jest prosta rzecz, że czuję trochę niepokoju, ot tu — w dołku, ale wiesz dlaczego? To, co stanowi niebezpieczeństwo życia, samo strzelanie do siebie, to jest nic! Niech mnie i jemu dadzą strzelby, niech nas puszczą w las, dalebóg pół dnia będę walił do tego durnia i pół dnia wytrzymał jego strzały. Ale ja już miałem jeden pojedynek w życiu i wiem, co to jest. To ta komedia niepokoju człowieka, to przygotowania, to świadkowie, to myśl, że będą na ciebie patrzyli i obawa, jak się znajdziesz, jak się popiszesz. To jest po prostu wystąpienie publiczne — i kwestya miłości własnej — nic więcej. Dla natur nerwowych prawdziwe przejście. Ale ja nie jestem zbyt nerwowym. Rozumiem także, że pod tym względem mam wyższość nad przeciwnikiem, bom więcej przywykłem do ludzi, niż on. Taki osieł ma wprawdzie mniej wyobraźni i nie potrafi, na przykład, wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał jako trup, jak zacznie się psuć i tak dalej. Ale panować nad sobą ja jednak lepiej potrafię... Przytem powiem ci to jeszcze. Filozofia filozofią, ale w takich razach rzecz rozstrzyga temperament i namiętność. Mnie ten pojedynek do niczego nie prowadzi, w niczem nie ratuje, przeciwnie, może mnie wpędzić w kłopoty. A jednak nie umiem go sobie odmówić... Tyle mi się w duszy zebrało oburzenia, tak tego osła nienawidzę, takbym go chciał zgnieść, zdeptać, że w tym razie przestaję rozumować. I tego możesz być pewny, że jak tylko zobaczę tę bałwańską twarz, zapomnę o niepokoju, zapomnę o komedii, a będę widział tylko jego.

— To dość rozumiem — rzekł Połaniecki.

A na twarzy Maszki wypieki powiększyły się i stały się sine od mrozu, przyczem wyglądał zarówno zawzięcie, jak szpetnie.

Tymczasem nadjechali. Jednocześnie prawie zaskrzypiała i karetą, wioząca Gątowskiego, pana Jamisza i Wilkowskiego, którzy wysiadłszy, poczęli się kłaniać przeciwnikom, poczem, w siedmiu, licząc z doktorem, udali się w głąb lasu, na miejsce upatrzone już poprzedniego dnia przez Kresowskiego.

Furmani, spoglądając na owe siedm paletotów, rysujących się czarno i dziwacznie na śniegu, poczęli na siebie mrugać:

— Wiecie, co to będzie? — spytał jeden.

— Albo mi to pierwszyczna — odpowiedział drugi.

— Niech się świat poleruje, niech się kpy biją!

Tamci w tym czasie, człapiąc ciężkimi kaloszami i wyrzucając z nozdrzy słupy białej pary, szli ku drugiemu brzegowi lasu. Po drodze, pan Jamisz, trochę wbrew regułom obowiązującym w podobnych okolicznościach, zbliżył się do Połanieckiego i począł mówić:

— Chciałem szczerze, by mój paukant przeprosił pana Maszkę, ale w takich warunkach niepodobna.

— Ja proponowałem Maszce także, żeby złagodził to, co napisał — i nie chciał...

— To i niema wyjścia. Wszystko to bardzo głupie, ale niema wyjścia!

Połaniecki nie odpowiedział i szli w milczeniu. Pan Jamisz znów począł mówić:

— Ale! Słyszałem, że Marynia Pławicka ma jakiś zapis?

— Mały, ale ma.

— A stary?

— Zły, że cały majątek nie jemu zapisany.

Pan Jamisz uderzył się rękawiczką po czole.

— On ma trochę tu, ten Pławicki.

Potem, obejrzawszy się naokół, rzekł:

— Jakoś daleko idziemy.

— Zaraz będziemy na miejscu.

I szli dalej. Słońce podniosło się nad zarośla. Od drzew kładły się na śniegu błękitnawe cienie, ale coraz więcej światła wnikało w las. Pochowane gdzieś po wierzchołkach wrony

i kawki strząsały suchy jak puch śnieg, który sypał się bez szelestu na ziemię, tworząc pod drzewami małe, śpiczaste kopce. Wszędzie była wielka cisza i spokój. Ludzie tylko zmacili ją na to, by do siebie strzelać.

Stanęli wreszcie na skraju lasu, gdzie było widno. Krótkiej przemowy pana Jamisza o wyższości zgody nad wojną, Maszko i Gątowski wysłuchali z uszami zakrytymi przez futrzane kołnierze; następnie, gdy Kresowski nabił pistolety, wybrali je i, zrzuciwszy futra, stanęli naprzeciw siebie, z lufami zwróconymi ku górze.

Gątowski oddychał pośpiesznie, twarz miał czerwoną i wąsy w soplach. Z całej jego postawy i twarzy widać było, że rzecz sprawia mu niezmierny przymus, że trzyma się przez wstyd i siłę woli i że, gdyby poszedł za naturalnym porywem uczuć chwili, to wołałby skoczyć na przeciwnika i wyłomotać go kolbą od pistoletu a choćby pięścią. Maszko, który poprzednio udawał, że go nie widzi, patrzył teraz na niego z twarzą pełną nienawiści, zawziętości i pogardy. Policzki jego całe były w plamach. Panował nad sobą jednak więcej od Gątowskiego i — przybrany w długi surdut, w wysokim kapeluszu na głowie, ze swojemi długimi bokobrodami — wyglądał aż nadto sztywnie, aż zbyt podobnie do aktora, grającego rolę pojedynkującego się dżentlemana.

— Zastrzeli niedźwiadka, jak psa — pomyślał Połaniecki.

Rozległy się słowa komendy, i dwa strzały wstrząsnęły ciszą leśną, poczem Maszko zwrócił się do Kresowskiego i rzekł zimno:

— Proszę nabić pistolety.

Lecz jednocześnie przy nogach jego ukazała się na śniegu plama krwi.

— Pan jesteś ranny — rzekł, zbliżając się szybko, doktor.

— Być może... proszę nabić...

I w tej chwili zachwiał się, albowiem istotnie był ranny. Kula zniosła mu sam wierzchołek kości w kolanie.

Pojedynek został przerwany. Tylko Gątowski stał jeszcze czas jakiś na miejscu z wytrzeszczonymi oczyma, zdumiony tem, co się stało.

Po pierwszym opatrunku zbliżył się jednak, popchnięty przez pana Jamisza, do Maszki i rzekł zarówno niezgrabnie, jak szczerze:

— Teraz przyznaję, że nie miał prawa nachodzić pana — i odwołuję wszystko, com powiedział, i przepraszam. A że pan jesteś ranny, to ja tego nie chciałem.

I po chwili, gdy odchodził z panem Jamiszem i Wilkowskim, słychać było, jak mówił:

— Jak Boga najszczerzej kocham, czysty przypadek — to pistolety takie, bo ja chciałem mu nad głowę...

Maszko tego dnia nie otworzył ust — na pytanie zaś doktora, czy rana bardzo mu dokucza, potrząsał tylko głową na znak, że nie.

Bigiel, który był dniem pierwiej powrócił z Prus, z kieszeniami pełnemi kontraktów, dowiedziawszy się o wszystkim, co zaszło, mówił do Połanieckiego:

— Maszko jest niby inteligentny człowiek, ale, dalibóg, między nami każdy ma jakiegoś ćwieka... On na przykład: ma wzięcie, ma mnóstwo doskonałych spraw; mógłby mieć znaczne dochody, robić majątek! Nieprawda! Woli się rzucać, wyciągać kredyt do ostatka, kupować majątki ziemskie, udawać wielkiego właściciela, lorda, być Bóg wie kim, byle nie być tym, kim jest. Jakie to wszystko dziwne i tem dziwniejsze, że takie powszechne! Nieraz myślę, że życie samo w sobie jest niezłe, ale tu wszyscy je sobie psują brakiem równowagi w głowie i tą jakąś dyabelską fantazją, jakimś bzikiem, którego każdy ma za kołnierzem. Bo ja rozumiem, że człowiek chce mieć więcej niż ma i znaczyć więcej niż znaczy, ale niech nie dąży do tego w fantastyczny sposób. Maszce ja pierwszy przyznaję i spryt i energię, ale, wzięwszy wszystko na uwagę — dalibóg, on ma coś tu.

Tu Bigiel stuknął kilkakrotnie palcem w czoło.

Maszko tymczasem cierpiał z zaciśniętymi zębami, albowiem rana jego, nie będąc niebezpieczną dla życia, była jednak nadzwyczaj bolesna. Wieczorem zemdlął dwukrotnie w obecności Połanieckiego. Potem przyszło osłabienie, podczas którego owa hardość duszy, która przez cały dzień podtrzymywała młodego adwokata, wyczerpała się zupełnie. Po opatrunku, gdy doktor odszedł, leżał czas jakiś spokojnie, poczem rzekł:

— Ależ bo ja mam i szczęście!

— Nie myśl o tem — odpowiedział Połaniecki — dostaniesz większej gorączki.

Maszko zaś mówił dalej:

— Żelżony, ranny, zrujnowany — wszystko na raz!

— Powtarzam ci, że nie pora o tem myśleć.

Maszko wsparł się łokciem na poduszce, syknął z bólu i rzekł:

— Daj spokój. To ostatni mój czas, w którym mogę się wygadać z porządnym człowiekiem. Za tydzień lub dwa będę należał do ludzi, których się unika... Co mi tam gorączka! Jest coś nieznośnego w takiej zupełnej ruinie, w takim zarwaniu się ludzkiej doli, mianowicie, że potem pierwszy lepszy kretyn, pierwsza lepsza gęś, będą mówili: „Ja to oddawna wiedziałem” — „Ja to z góry przewidywałam”. Tak! wszyscy zawsze wszystko przewidują... po fakcie — i z człowieka, w którego piorun trzasł, robią w dodatku głupca lub waryata.

Połaniecki przypomniał sobie w tej chwili słowa Bigiela, Maszko zaś, dziwnym trafem mówił w dalszym ciągu tak, jakby chciał na nie odpowiedzieć:

— A myślisz, że ja nie zdawał sobie sprawy, że szedł za ostro, że się pchał za gwałtownie, że chciałem być czemś więcej niż byłem, że za wysoko nos nosił... Tej sprawiedliwości mi nikt nie odda, ale ty wiedz o tem, że ja to sobie mówiłem... Tylko mówiłem sobie jednocześnie: tak potrzeba — to jedyna droga, żeby wypłynąć — i co? — może stosunki są krzywe, może ogólne życie idzie na opak, ale jednak, gdyby nie ta bezdennie głupia a nieprzewidywana i nieobliczalna awantura, byłbym wypłynął — właśnie dlatego, że taki byłem, jak byłem... Gdybym był skromnym człowiekiem, nie byłbym dostał panny Krasławskiej... U nas trzeba zawsze coś udawać — i jeśli mnie dyabli biorą, to nie przez moją pychę, tylko przez tamtego kpa.

— Przecie, u licha, nie możesz napewno wiedzieć, czy twoje małżeństwo nie dojdzie do skutku.

— Mój kochany, nie znasz tych kobiet. One w braku czego lepszego zgodziły się na pana Maszkę, bo panu Maszce dobrze się wiodło... Gdy byle cień padnie na mój majątek, moje położenie, moje stanowisko — porzucą mnie bez miłosierdzia, a potem góry będą na mnie waliły, by siebie osłonić przed światem... Co ty o nich wiesz? Panna Krasławska, to nie panna Pławicka!

Nastała chwila milczenia, poczem Maszko mówił dalej słabnącym głosem:

— Ta mogła mnie uratować... Byłbym dla niej wszedł na inną drogę, daleko spokojniejszą... Krzemień w takich warunkach byłby uratowany... Od razu odpadał dług jej, renta Pławickiego... Byłbym wybrnął... Przytem, czy ty wiesz, że ja kochałem się w niej, jak student?... Ot, tak przyszło, niewiadomo skąd... Ale ona wolała się na ciebie gniewać, niż mnie kochać... Teraz to rozumiem. Na to niema rady...

Połaniecki, któremu nie w smak była ta rozmowa, przerwał ją i rzekł z odcieniem niecierpliwości:

— Dziwi mnie, że człowiek z twoją energią uważa wszystko za stracone, podczas gdy wszystko nie jest stracone. Panna Pławicka, to jest przeszłość, nad którą sam zrobiłeś krzyżyk, oświadczając się o pannę Krasławską. Co do teraźniejszości — zostałeś napadnięty — prawda, aleś się pojedynkował, jesteś ranny, ale tak, że za tydzień będziesz zdrow — i ostatecznie te panie jeszcze ci nie oświadczyły, że z tobą zrywają. Póki tego nie będziesz miał czarno na białem, nie masz prawa o tem mówić... Jesteś chory i dlatego przedwczesnie odprawiasz nad sobą egzekwie. Ale ja ci powiem co innego. Trzeba tamtym paniom dać znać, co się stało. Czy chcesz, żebym jutro do nich poszedł? Zrobią potem, co chcą, ale niechże wiadomość mają z ust świadka, nie zaś przez miejscowych plotkarzy.

Maszko pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Ja i tak chciałem do mojej narzeczonej napisać, ale jeśli ty pójdziesz, to będzie jeszcze lepiej. Nie mam nadziei, żeby mi ona dotrzymała — trzeba jednak zrobić co należy. Dziękuję ci. Ty potrafisz rzecz przedstawić z lepszej strony... Tylko ani słowa o jakichkolwiek kłopotach... Tę sprzedaż dąbrowy musisz zmniejszyć do zera — do grzeczności, jaką ci chciałem wyświadczyć... Szczerze ci dziękuję. Powiedz, że Gątowski mnie przeprosił...

— Masz kogo, coby przy tobie siedział?

— Mój służący i jego żona. Doktor przyjdzie jeszcze i przyprowadzi z sobą felczera. Mnie to dyabło dolega, ale nie czuję się źle.

— Zatem do widzenia.

— Bądź zdrow. Dziękuję ci. Ty jesteś...

— Śpij dobrze.

I Połaniecki wyszedł. Po drodze myślał o Maszce i myślał z pewnym gniewem: „Ten nie jest romantykiem — niczem mniej — ale jednak i ten poczuwa się do udawania czegoś w tym rodzaju... Panna Pławicka! kochał ją... byłby wszedł na inną drogę... mogła go uratować... ot, podatek płacony romantyzmowi — i w dodatku fałszywą monetą, bo w miesiąc jednak oświadczył się tamtej lalce — dla pieniędzy. Możem ja głupszy, ale tego nie rozumiem i w szczerść takich zawodów, które się tak łatwo pocieszają, nie wierzę... Gdybym jedną kochał i doznał zawodu, tobym się z drugą w miesiąc nie ożenił. Niech mnie licho weźmie, jeśli bym to zrobił! On ma jednak rację, że Marynia to inny gatunek, niż Krasławska... To niema i gadania: zupełnie inny! zupełnie inny!...”

I ta myśl była mu jednak ogromnie przyjemna. Wróciwszy do domu, zastał list Bukackiego z Włoch i kartkę Maryni, pełną niepokoju i pełną pytań z powodu wieści o pojedynku. Była w niej prośba o przysłanie wiadomości nazajutrz rano: co się stało, o co poszło, a zwłaszcza o wiadomość, czy wszystko naprawdę skończone i czy żadne nowe zajścia nie grożą.

Połaniecki, pod wpływem myśli, że to „inny gatunek, niż panna Krasławska” — odpisał serdeczniej, niż sam chciał, i oddawszy odpowiedź swemu służącemu, rozkazał, by została oddana nazajutrz o dziewiątej rano. Następnie wziął się do czytania listu Bukackiego, przyczem od samego początku począł wzruszać ramionami.

Bukacki pisał, co następuje:

— „Niech Sakya-Muni wyprosi ci błogosławioną Nicość. Prócz tego powiedz Kapanerowi, by należnych mi trzech tysięcy rs. nie wysyłał do Florencji, ale zatrzymał u siebie do mego rozporządzenia. W tych dniach postanawiam pomyśleć o powzięciu zamiaru (czy uważasz, jakie to stanowcze?) zostania wegeteryaninem. Jeśli ta myśl mnie nie zmęczy, jeśli zamiar zmieni się w postanowienie, a postanowienie nie będzie nad moje siły, to przestanę być zwierzęciem mięsożernem i życie będzie mnie mniej kosztowało. To cała sprawa. Co do ciebie, proszę cię na wszystko uspokój się, albowiem życie nie warte jest fatygi.

„Wiesz? Doszedłem, dlaczego Słowianie wolą syntezę od analizy. Bo są próżniakami, a analiza to pracowita rzecz. Syntetyzować można, paląc po obiedzie cygaro. Zresztą, mają słusność, że są próżniakami. We Florencji jest dość ciepło, zwłaszcza na Lung-Arno. Chodzę sobie i robię syntezę szkoły florenckiej. Poznałem tu jednego zdolnego akwarelistę, także Słowianina, który żyje ze sztuki, ale dowodzi, że sztuka — to jest świństwo, wykwitłe z mieszczańskiej chęci rozkoszy i z nadmiaru pieniędzy, które jedni nagromadzają kosztem drugich. Jednym słowem: sztuka, podług niego, to podłość i krzywda! Napadł na mnie, jak na psa, twierdząc, że być buddystą i zajmować się sztuką jest szczytem niekonsekwencji; ale ja jeszcze bardziej napadłem na niego i odpowiedziałem mu, że poczytywać konsekwencję za coś lepszego od niekonsekwencji jest szczytem mieszczańskiego obskurantyzmu, mieszczańskich przesądów i podłości. Człowiek był zdumiony i stracił mowę. Namawiam go, żeby się powiesił, ale nie chce. — Powiedz mi, czy ty jesteś pewny, że ziemia naprawdę kręci się koło słońca i czy to wszystko nie żarty? Mnie zresztą jest to wszystko jedno! — W Warszawie żal mi było tego dziecka, które umarło. Tu często także o niem myślę. Jakie to głupie! Co robi pani Emilia? Ludzie mają z góry przeznaczone role na świecie, a jej przypadła rola ze skrzydłami i z cierpieniem. Poco ona była cnotliwa? Byłoby jej inaczej, weselej. Co do ciebie, człowieku, zrób mi jedną łaskę. Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, żeby mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem, ja zaś jestem bardzo miłym chłopcem, ale mam pewne wątpliwości, czy nieodzownym. Bądź zdrowa, zapalczywa energio, bądź zdrow, Domie handlowy, spółko komisowa, formo przechodnia, praco nałogowa, wysiłku pieniężny, przyszły ojczyste rodziny, hodowco dzieci i kłopotów! Uściskaj odemnie Waskowskiego. To także syntetyk. Niech Sakya-Muni otworzy ci oczy, abyś poznał, że na słońcu jest ciepło, a w cieniu zimno i że leżeć jest lepiej, niż stać. Twój *Bukacki*”.

— Bigos! — pomyślał Połaniecki.

A następnie począł sobie mówić:

— Wszystko to jest sztuczne, wszystko to jest oszukiwanie siebie samego przez jakąś ostateczność. Ale gdy się człowiek do tego przyzwyczai, zmienia mu się to poniekąd w na-

turę, przyczem dyabli biorą rozum, energię i dusza rozkłada się, jak trup. Można rzucić się łbem w taką przerwę, w jaką rzucił się Maszko, lub w taką, jak Bukacki. W obu razach idzie się pod lód. Co u licha! musi być jednak jakieś zdrowe i normalne życie — trzeba mieć tylko trochę oleju w głowie. Takiemu Bigielowi jest jednak nieźle na świecie. Ma żonę, którą kocha, dzieci, które kocha, pracuje jak wół, ale ma zarazem w duszy wielkie przywiązanie do ogółu i swoją wiolonczelę, na której wygrywa przy księżycu, zadzierając głowę do pułapu. Nie można powiedzieć, by to był człowiek zmaterializowany. Nie. W nim jakoś godzi się jedno z drugim. I dobrze mu!

Połaniecki począł chodzić po pokoju i spoglądać od czasu do czasu na śmiejącą się z pośród brzoź twarz Litki. Potrzeba przystąpienia z samym sobą do ścisłego obrachunku ogarniała go coraz silniej. Jako kupiec, wziął się do rozpatrywania swego: „credit i debet”, co zresztą nie było trudne. W rubryce dodatnich stron jego życia niegdyś główne miejsce zajmowało jego uczucie dla Litki. Była ona mu w swoim czasie tak drogą, że gdyby mu przed rokiem naprzykład powiedziano: „bierz ją, jako swoje dziecko na własność”, byłby ją wziął i uważał, że ma dla czego żyć. Ale teraz ten stosunek był tylko wspomnieniem i z rubryki szczęścia przeszedł do rubryki nieszczęścia. Co więc pozostawało? Naprzód samo życie, powtóre, ten dyletantyzm umysłowy, który, bądźco bądź, jest rozkoszą, dalej przyszłość, która zaciekawia, dalej użycie materialne i wreszcie Dom handlowy. Miało to swoją wartość, ale Połaniecki spostrzegł, że brak w tem celu. Co do Domu handlowego, Połanieckiemu podobały się powodzenia, jakich doznał, nie zaś rodzaj pracy, jakiej Dom wymagał. Przeciwnie: rodzaj pracy nie wystarczał mu, był mu za ciasny, za liche i gniewał go. Z drugiej strony dyletantyzm, książki, świat umysłowy, wszystko to miało znaczenie, jako okrasa życia, ale nie mogło stać się jego podstawą. — „Bukacki (mówił sobie Połaniecki) — wlaź w to po uszy, tem chciał żyć — i zwichnął się, zniedołężniał, wyjałowiał. Kwiaty są same w sobie rzeczą dobrą, ale ktoby chciał wyłącznie oddychać ich zapachem, ten się otruje”. I istotnie, nie potrzebował być wielkim mędrce, by naokoło spostrzedz mnóstwo ludzi zwichniętych, których zdrowie duchowe właśnie ów dyletantyzm umysłowy podkopał tak, jak morfina podkopuje zdrowie fizyczne.

I jemu samemu wyrządził on już dużo szkód, choćby dlatego, że zrobił z niego sceptyka. Od ciężkiej choroby uratował go tylko zdrowy organizm, odczuwający konieczną potrzebę wydania zbytku energii — i praca. Ale co będzie dalej — i czy może tak iść dalej? Na to pytanie odpowiedział sobie teraz stanowczo: nie! Skoro sprawy Domu handlowego nie były w stanie wypełnić mu życia i skoro było wprost niebezpiecznie wypełniać je dyletantyzmem, więc należało wypełnić je czem innem, stworzyć sobie nowe światy, nowe obowiązki, otworzyć nowe widnokreśli, a na to była jedna rada — ożenić się.

Niegdyś, gdy sobie to mówił, widział przed sobą jakąś nieokreśloną postać, łączącą wszystkie przymioty moralne i fizyczne, ale bez ciała i bez imienia. Teraz była to postać rzeczywista. Miała spokojne niebieskie oczy, ciemne włosy, nieco za szerokie usta i nazywała się Marynia Pławicka. O kim innym nie mogło być nawet mowy, a tę Połaniecki przedstawił sobie tak realnie, że aż tętna w skroniach poczęły mu bić żywiej. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że teraz czegoś brakło w tem jego uczuciu dla Maryni, mianowicie tego, naokoło czego snuje się marzenie; tego, co nie śmie pożądać niczego, a spodziewa się wszystkiego; tego, co się boi, co drży, co klęczy, co mówi kochanej kobiecie: „do twoich nóg”; co z miłości, która jest żądzą, robi zarazem kult, który jest czcią, wprowadzając jakiś mistyczny odcień w stosunek mężczyzny do kobiety, robi z mężczyzny nie tylko kochanka, ale i wyznawcę. To przeszło. Połaniecki, myśląc teraz o Maryni, myślał trzeźwo, niemal zuchwale. Czuł, że może przyjść, wziąć ją i mieć, i że, gdy to uczyni, to z dwóch powodów: raz dlatego, że Marynia jest dla niego kobietą pociągającą więcej od wszystkich innych, a powtóre, że rozum nakazuje mu się żenić i żenić z nią.

— Bo ona — (myślał) — jest jednak ogromnie pewna. Nic w niej niema wyjałowionego, nic zeszlęgo. Egoizm nie zabił w niej serca — i to jest niezawodne, że taka nie będzie myślała tylko o tem, co jej się należy. To jest wcielona uczciwość, wcielony obowiązek — i w życiu trzeba będzie tego chyba pilnować, żeby nie zamało myślała o sobie. Jeśli rozum nakazuje mi się żenić, to uczyniłbym głupstwo, szukając innej.

Poczem zadał sobie pytanie, czy, poniechawszy Maryni, nie uczyniłby zarazem nieuczciwości. Litka połączyła ich. Coś w jego sercu podnosiło się na samą myśl sprzeciwienia się woli i ofierze tego drogiego dziecka. Gdyby jednak chciał postąpić wbrew tej

woli, czy tak powinien się być zachowywać? Nie. W takim razie powinien był od śmierci Litki nie pokazywać się u Pławickich, nie widzieć Maryni, nie całować jej rąk, nie dać się unosić tej fali, która poniosła, być może siłą wypadków, ale zaniósła tak daleko, że dziś uczyniłby zawód Maryni i spadł w jej oczach do lichej roli człowieka, który sam nie wie czego chce. Bo musiałby być ślepy, żeby nie spostrzedz, że Marynia uważała się za jego narzeczoną i że, jeśli nie niepokoiła się dotychczas jego milczeniem, to tylko dlatego, że przypisywała je żalobie, jaką w sercu nosili oboje po Litce.

— Więc patrząc od strony rozumu, trzeba się z nią żenić — mówił sobie Połaniecki — od strony instynktu zachowawczego — trzeba, od strony zmysłów — trzeba, od strony uczuciowości — trzeba! Zatem co? Zatem byłbym niedołągą i szuja, gdybym się wahał i nie uważał sprawy za rozstrzygniętą. To rzecz skończona!

Poczem odetchnął i począł chodzić po pokoju. Pod lampą leżał list Bukackiego. Połaniecki wziął go i począł czytać od miejsca, na które przypadkiem padły jego oczy:

„Proszę cię na wszystko, nie żęń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, że jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, by mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem...”

— Otóż, miły mydłku — odpowiedział z pewną zawziętością Połaniecki — ożenię się, ożenię się z Marynią Pławicką; słyszysz? Będę robił majątek, a jeśli będę miał syna, to nie zrobię z niego dekadenta — rozumiesz?

I rad był z siebie.

W chwilę później spojrzął na Litkę i uczył, że go ogarnia nagłe wzruszenie. Fala żalu za nią i uczucia dla niej podniosła się z nową siłą w jego sercu. Począł rozmawiać z dzieckiem, jak zwykle w ważniejszych chwilach życia rozmawia się z drogimi zmarłymi.

— Kociątko zadowolone? prawda? — pytał.

A ona śmiała się do niego z pośród brzoź wymalowanych przez Marynię; zdawało się, że mruga oczyma i odpowiada:

— Tak, panie Stachu! tak!

Połanieckiemu oczy zaszyły łzami.

Tego wieczora, przed pójściem do łóżka, odebrał od służącego list, który nazajutrz rano miał być oddany Maryni i napisał drugi, jeszcze serdeczniejszy, w następujących słowach:

„Droga pani. Gątownski zrobił Maszce awanturę dość niedorzeczną, z której wypadł pojedynek. Maszko jest lekko ranny. Przeciwnik przeprosił go na miejscu. Żadnych dalszych skutków nie będzie, chyba ten, że się raz jeszcze przekonał, jaka pani jest dobra, troskliwa, najlepsza i że jutro, jeśli pani pozwoli, przyjdę z podziękowaniem ucałować drogie i kochane ręce pani. Przyjdę po południu, bo rano po biurze muszę być u pani Krasławskiej, a potem pożegnać profesora Waskowskiego, choć, gdyby można, wolałbym dzień zacząć nie od nich. *Połaniecki?*”

Po napisaniu tych słów spojrzął na zegarek, i jakkolwiek była już jedenasta, kazał list odnieść, nie nazajutrz, ale natychmiast.

— Wejdiesz przez kuchnię — rzekł służącemu — i gdyby panienka spała, to zostawisz.

Poczem, zostawszy sam, miał do panienki następującą przemowę:

— Byłabyś chyba bardzo niedomyślna, gdybyś się nie domyśliła, dlaczego jutro przyjdę.

VII

Pani Krasławska przyjęła Połanieckiego mocno zdziwiona z powodu wczesnej godziny, ale jednak przyjęła go, domyślając się, że przychodzi w jakiejś niezwykłej sprawie. On też, bez długich wstępów, opowiedział jej co zaszło, kłamiąc przytem o tyle, o ile było trzeba, by osłonić Maszkę przed podejrzeniem o bankructwo lub złe interesa.

Zauważył przytem, że podczas opowiadania stara dama trzymała utkwione w niego swoje zielone, wykute jakby z kamienia i pozbawione blasku oczy — i że żaden muskuł jej twarzy nie drgnął.

Dopiero gdy skończył, rzekła:

— W tem wszystkim nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego pan Maszko sprzedawał te dęby. To przecie jest niemała ozdoba każdej rezydencji.

— Te dęby leżą opodal od domu — odpowiedział Połaniecki — i psują pole, bo pod ich cieniem nie chce się nic rodzić, a pan Maszko jest praktyczny człowiek. Zresztą, mówię szczerze, my jesteśmy dawni znajomi i zrobił to dla mnie przez przyjaźń. Pani wie, że ja jestem kupcem; potrzebna mi była dębina i Maszko odstąpił mi, ile mógł.

— Nie rozumiem w takim razie, dlaczego tamten młody człowiek...

— Jeśli pani zna radcę Jamisza — przerwał Połaniecki — to on, jako blizki sąsiad Krzemienia i Jałbrzykowa, objaśni panią, że ten młody człowiek jest niespełna rozumu — i znany z tego w całej okolicy.

— W takim razie pan Maszko nie powinien się był pojedynkować.

— Pani — rzekł z odcieniem niecierpliwości Połaniecki — w takich razach my mamy inne pojęcia od pań.

— Pan pozwoli, że powiem parę słów mojej córce.

Połaniecki pomyślał, że byłaby pora wstać i pożegnać się, ponieważ jednak przyszedł niejako na rekonesans i chciał przynieść jaką wiadomość Maszce, więc rzekł:

— Jeśli panie mają jakieś polecenia do pana Maszki, to wprost stąd idę do niego.

— Za chwilę — odrzekła pani Krasławska.

Połaniecki został sam i czekał dość długo, tak nawet długo, iż począł się niecierpliwić. Wreszcie weszły obie panie Krasławskie.

Panna, ubrana w białą „szmizetkę” z marynarskim krawatem i uczesana nie dość starannie, wydała się jednak Połanieckiemu, mimo lekkiego zapalenia oczu i mimo kilku pryszczyków na czole, pokrytych pudrem, wcale ładna. Była w niej jakaś ponętna ociężałość, z której, wstając widocznie bardzo późno, nie zdołała się jeszcze otrząsnąć, i jakieś równie ponętne poranne zaniedbanie. Zresztą na anemicznej jej twarzy nie malowało się żadne wzruszenie.

I po ukłonach, zamienionych z Połanieckim, rzekła zimnym, spokojnym głosem:

— Niech pan będzie łaskaw powiedzieć panu Maszce, że bardzo się zmartwiłam i przestraszyłam. Czy naprawdę rana jest lekka?

— Bezwarunkowo.

— Uprosiłam mamy, żeby pojechała doglądać pana Maszkę, a ja mamę odwiozę i będę w powozie czekała na wiadomość. Potem znów po mamę przyjadę — i tak codzień, póki pan Maszko nie będzie zupełnie zdrow. Mama taka dobra, że pozwala. Niech pan to powie panu Maszce.

Tu lekki, ledwo dostrzegalny rumieniec przemknął po jej bladej twarzy. Połanieckiemu, dla którego słowa jej były zupełną niespodzianką i przejęły go zdziwieniem, wydała się teraz zupełnie ładną, i w chwilę później, idąc do Maszki, mówił sobie:

— No, jednak kobiety są lepsze, niż się wydają... To przecie zupełnie dwie karafki zmrożonej wody, a jednak ta dziewczyna ma trochę serca. Maszko się na niej nie poznał i będzie miał przyjemny zawód. Stara pojedzie do niego, zobaczy tych wszystkich biskupów i kasztelanów z krzywymi nosami, z których tak cieszył się Bukacki, i do reszty uwierzy w wielkość Maszki.

Tak rozmyślając, znalazł się w mieszkaniu Maszki i musiał czekać, albowiem trafił na chwilę opatrunku. Zaledwie jednak doktor wyszedł, Maszko kazał go prosić — i nie przywitawszy się nawet, spytał:

— Cóż, byłeś?

— Jak się masz, jak spałeś?

— Dobrze. Mniejsza z tem... Byłeś?

— Byłem. Powiem ci krótko: za kwadrans pani Krasławska przyjedzie cię doglądać. Panna kazała ci powiedzieć, że odwiezie tu matkę i będzie czekała na wiadomość, jak się masz. Kazała ci powiedzieć, że się bardzo przestraszyła, że jest bardzo nieszczęśliwa, ale Bogu dziękuje, że niema nic gorszego. Widzisz Maszko!... Jeszcze ci dodam, że jest ładna, że mnie ujęła — i idę sobie, bo nie mam czasu.

— Zmiłuj się, zaczekaj chwilę. Czekaj! mój kochany; ja nie mam gorączki — i jeśli to mówisz z obawy...

— Nudny jesteś! — przerwał Połaniecki. — Daję ci słowo, że mówię prawdę — i żeś przedwcześnie obgadywał własną narzeczoną.

Maszko opuścił głowę na poduszki i czas jakiś milczał, poczem rzekł, jakby do siebie:

— Jabyłem ją gotów naprawdę pokochać...

— To dobrze — rzekł Połaniecki — bądź zdrow! Idę pożegnać Waskowskiego.

I zamiast do Waskowskiego, poszedł do Pławickich, których zresztą nie zastał. Pławicki nigdy w domu nie siedział, a o Maryni powiedziano mu, że wyszła przed godziną. Zwykle, gdy się idzie do kobiety, która budzi żywe zajęcie, gdy się przez drogę układa, co się jej powie, a potem nie zastaje się jej w domu, ma się dość głupią minę. Połaniecki to czuł i był zły. Wstąpił jednak do sklepu ogrodniczego i zakupiwszy mnóstwo kwiatów, kazał je odesłać do Pławickich. Myśl, z jaką radością Marynia je przyjmie i z jak bijącym sercem będzie czekała wieczoru, sprawiła mu jednak tak wielką przyjemność, że, zjadłszy po drodze obiad, w najlepszym humorze wpadł do Waskowskiego.

— Przyszedłem pożegnać profesora — rzekł — kiedy profesor wyjeżdża?

— Jak się masz, kochany — odrzekł Waskowski — musiałem odłożyć na parę dni, bo, widzisz, ja tu zimuję rozmaitych malców...

— Młodych Aryjczyków, którzy w wolnych chwilach wyciągają portmonetki z kieszeni?

— Nie... To jest, widzisz, to dobre dusze, ale bez dozoru nie można ich zostawić. Musiałem wystarać się o zastępcę, który będzie tu mieszkał na moim miejscu.

— I który się tu upiecze. Jak profesor może wytrzymać w takim gorącu?

— Bo siedzę bez surduta i pozwolił, że go nie włożę. Trochę tu ciepło, ale transpiracja zdrowa rzecz, a już ten skrzydlaty drobiazg to przepada za gorącem.

Połaniecki obejrzał się naokoło. W pokoju było przynajmniej z pół tuzina trznadli, śmieciuszek, sikerek i czyżów, nie licząc wróbli, które, przyzwyczajone widać do karmienia, tłumami zaglądały przez okno. Profesor utrzymywał w pokoju tylko te ptaki, które wykupywał od ptaszników, wróbli zaś nie puszczał do środka, twierdząc, że „nie byłoby końca, a byłaby krzywda kilku przyjąć, a innym odmówić.” Pokojowe miały klatki, poprzyczepiane do murów i wewnętrznej framugi okna, ale szły do nich tylko na noc, w dzień zaś latały wolno po całym pokoju, napędzając go świegotem i zostawiając ślady na książkach i rękopismach, któremi założone były stoły i wszystkie kąty.

Niektóre z ptaków, bardziej oswojone, siadały nawet na głowie Waskowskiego. Na podłodze trzeszczały pod nogami łuskwiny konopnego siemienia. Połaniecki, który to mieszkanie znał doskonale, wzruszył ramionami i rzekł:

— Wszystko to bardzo dobre, ale że profesor pozwala im czubić się, lub świadczyć sobie na własnej głowie, to dalibóg zanadto! Przytem tu jest zaduch.

— To wina świętego Franciszka z Assyżu — odpowiedział Waskowski — bo ja od niego nauczyłem się lubić ten drobiazg. Mam nawet i parę gołębi, ale to piecuchy.

— Profesor pewnie zobaczysz się z Bukackim — rzekł Połaniecki — miałem od niego list. Oto jest.

— Można przeczytać?

— Właśnie dlatego daję.

Waskowski przeczytał i gdy skończył, rzekł:

— Ja go zawsze bardzo kocham tego Bukackiego, to dobra dusza, ale... widzisz... on ma trochę tu!

I Waskowski począł stukać palcami w czoło.

— To już zaczyna mnie bawić! — zawołał Połaniecki. — Wyobraź sobie profesor, od kilku dni ciągle ktoś stuka się w czoło i mówi o kimś ze znajomych: „On ma tu!” Miłe społeczeństwo!

— Kiedy to trochę tak jest! trochę tak jest — odpowiedział z uśmiechem Waskowski. — A wiesz ty, co to jest? Oto zwyczajnie, aryjski niepokój ducha, w nas zaś, jako w Słowianach, więcej tego, niż na zachodzie, bośmy najmłodszy z Aryów i wskutek tego, ni rozum, ni serce, nie ułożyły się w nas jeszcze do równowagi. My, najmłodszy z Aryów, czujemy najżywiej, bierzem wszystko do serca najgoręcej i stosujemy do praktyki życia najzapalczywiej... Ja dużo widziałem, jam to dawno spostrzegł... Co za dziwne natury!... Ot, na przykład, studenci niemieccy knajpują — i co? — i nie przeszkadza im to ani pracować, ani wyrabiać się na praktycznych ludzi. Ale niechże Słowianin przejmie się tą modą i zacznie knajpować, to zginął, to zaknajpuje się na śmierć! I tak we wszystkim. Niemiec będzie pesymistą, będzie pisał tomy o tem, że życie jest rozpaczą — i będzie

przytem pił piwo, hodował dzieci, zbijał pieniądze, polewał ogród i sypiał pod pierzyną. Słowianin się powiesi, albo się zgubi szalonym życiem, rozpustą; zdusi się błotem, w które będzie wlaził umyślnie... Ja, mój drogi, pamiętam ludzi, którzy się na śmierć zabajronizowali... Ja dużo widziałem... Widziałem ludzi, którzy, kochając np. chłopów, kończyli na tem, że się spijali wódką po karczmach. Niema u nas miary i nie może być, bo u nas do zbytniego przejmowania się każdą ideą dołącza się jeszcze lekkomyślność i wiesz co? — oto próżność. Ach Boże, jacy my wszyscy próżni! jak my chcemy wysunąć się zawsze naprzód, by nas widziano i podziwiano! Weź takiego Bukackiego: wlaż — naprawdę wlaż — po uszy w sceptycyzm, w pesymizm, w buddaizm, w dekadentyzm — bo ja wiem w co wreszcie? — przecie teraz i w tem panuje chaos — wlaż tak głęboko, że go miazmy naprawdę zatruwają; ale czy myślisz, że on przytem nie pozuje? Co za dziwne natury! — zarazem najszczerze, najżywiej czujące, najmocniej wszystko biorące do serca — i komedyanckie. Kiedy się o tem myśli, to się je kocha, ale jednocześnie chce się śmiać i płakać.

Połaniecki przypomniał sobie, jak za pierwszą bytnością w Krzemieniu opowiadał Maryni o swoich czasach belgijskich, gdy, bawiąc się na wspólną z kilkoma młodymi Belgami w pesymizm, spostrzegł wreszcie, że on te wszystkie teorie bierze daleko więcej od nich do serca i że tem samym więcej mu one psują życie. Więc teraz rzekł:

— To, co profesor mówi, to jest prawda. Takie rzeczy widziałem i ja — i dlatego wszystkich nas dyabli wezmą.

Lecz Waskowski wlepił w zamarznęte szyby swoje mistyczne oczy i rzekł:

— Nie, nas wszystkich przygarnie kto inny. Ta gorącość krwi, ta zdolność przejmowania się ideą, to są wielkie podstawy do misyi, którą Chrystus słowiańskiemu światu wyznaczył.

Tu Waskowski wskazał na poplamiony przez ptaki rękopism i rzekł tajemniczo:

— Widzisz, ja z tem jadę. To praca mojego życia... Chcesz, żebym ci to przeczytał?

— Dalibóg, nie mam czasu. Późno już.

— Prawda. Mroczy się. Więc ci powiem w krótkich słowach... Nietylko myślę, ale i najgłębiej wierzę, że Słowianie mają wielką misję do spełnienia.

Tu Waskowski przerwał, począł trzeć ręką czoło i rzekł:

— Co to za dziwna liczba: „trzy...” Coś w tem jednak jest tajemniczego!

— Miał profesor mówić o misyi — rzekł niespokojnie Połaniecki.

— Nie bój się: to ma związek jedno z drugim. Bo, widzisz, są trzy światy w Europie: romański, germański i słowiański. Tamte już spełniły, co miały spełnić. Przyszłość — to ten trzeci.

— I co ten trzeci ma zrobić?

— Stosunki społeczne, prawo, stosunek człowieka do człowieka, życie pojedynczych ludzi i to, co się nazywa życiem prywatnym, jest, bądźco bądź, oparte na nauce chrześcijańskiej. Ułomności ludzkie wykrzywają ją, ale jednak wszystko na niej stoi. Ale to dopiero połowa zadania spełniona — pierwszy okres!... Są ludzie, którzy myślą, że chrześcijaństwo się kończy. Nie. Dopiero drugi okres ma się zacząć. Chrystus jest w życiu pojedynczych ludzi, ale go niema w historii — rozumiesz? Wprowadzić go do historii, oprzeć na nim stosunki dziejowe, stworzyć miłość bliźniego i w znaczeniu dziejowym — oto misya, którą ma spełnić świat słowiański... Tylko, brak mu jeszcze świadomości i trzeba mu na tę misję oczy otworzyć.

Połaniecki milczał, bo nie miał co odpowiedzieć. Waskowski zaś mówił dalej:

— Oto, nad czem całe życie myślałem — i tom wypowiedział w tej oto pracy... (Tu wskazał na rękopism). To robota całego mojego życia. To ta wskazana misya.

— Na którą tymczasem trznadle... — pomyślał Połaniecki — i zapewne tak jeszcze będzie długo.

Głośno zaś rzekł:

— I profesor spodziewa się, że jak taka rzecz wyjdzie z druku...

— Nie, ja się niczego nie spodziewam. Ja mam trochę miłości, ale ja za lichy człowiek, za marny umysł... To zginie, jakby kto kamień rzucił w wodę, ale będą fale, będą koła. Niech potem przyjdzie jaki wybraniec... Bo ja wiem?... Co przeznaczone, to nie minie. Oni nie potrafią wyrzec się misyi, choćby sami chcieli... I widzisz, natur ludzkich nie trzeba odciągać od ich przeznaczenia, ani przemocą zmieniać. Co dobre gdzieindziej, to

może być złe u nas, bo nas do czego innego Bóg stworzył. Zresztą, próżna robota. I ty próżno w siebie wmawiasz, że chcesz tylko pieniądze robić, i ty musisz pójść za głosem przeznaczenia i natury...

— Ja nawet idę, bo się żenię... To jest: żenię się, jeśli mnie zechcą.

A Waskowski objął go przez pól:

— Bodajże cię! A to doskonale! Niech cię Bóg błogosławi... Wiem! Wam to nakazała ta dziecinka... A pamiętasz, jakem ci mówił, że i ona ma coś do spełnienia, że nie umrze, póki tego nie spełni? Niechże jej Bóg da światło, a wam obojgu błogosławieństwo... Marynia to przecie złoto!...

— A kochanemu profesorowi szczęśliwej drogi i szczęśliwej misyi.

— I tobie, i tobie — czego sobie sam życzysz.

— Ja? czego sobie życzę? — mówił wesoło Połaniecki. — A tak z pół tuzina małych misyonarzy...

— A urwis! zawsze był urwis! — odpowiedział Waskowski. — No leć, leć, ja tam do was jeszcze przyjdę...

Połaniecki wyleciał, wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Pławickich. Po drodze układał sobie, co powie Maryni i ułożył sobie mówkę, w miarę uczuciową, w miarę trzeźwą, jak przystoi na pozytywnego człowieka, który znalazł wprawdzie to, czego szukał, ale który żeni się także i przez rozum.

Marynia spodziewała się go widocznie o wiele później, bo światła w pokojach nie były pozapalane, chociaż ostatnie blaski zachodu gasły już na dworze.

Połaniecki począł na powitanie całować jej obie ręce i zapomniawszy zupełnie o rozumnej przemowie, spytał trochę niepewnym i wzruszonym głosem:

— Odebrała pani kwiaty i list?

— Tak...

— I domyśla się pani, dlaczegom przysłał?

Maryni serce biło tak mocno, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Więc Połaniecki pytał dalej, coraz bardziej przerywanym głosem:

— Czy pani zgadza się na wolę Litki? Czy pani mnie chce?

— Tak — odpowiedziała Marynia.

Teraz on, w poczuciu, że wypada jej dziękować, napróżno szukał słów. Przyciskał tylko coraz mocniej do ust jej ręce i zarazem trzymając je obie, przyciągał ją zlekka, coraz bliżej i bliżej. Nagle, owionął go płomień; objął ją i począł ustami szukać jej ust. Lecz ona odwróciła głowę, tak, że mógł tylko całować włosy na jej skroniach. Przez chwilę, w mroku, słychać było tylko ich przyśpieszone oddechy, wreszcie Marynia wyrwała mu się z ramion.

W kilka minut później służąca wniosła światło. Połaniecki, ochłonawszy, przestraszył się teraz własnego zuchwalstwa i począł z niepokojem spoglądać w oczy Maryni. Był pewien, że ją obraził i był gotów przeproszać. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że w jej twarzy nie było żadnych śladów gniewu. Oczy miała spuszczone, policzki palające, włosy nieco w nieładzie; znać było, że jest pomieszana i jakby odurzona — ale przytem przejęta tylko takim pełnym słodczy strachem kobiety zakochanej, która, przestępując nowy próg, czuje, że trzeba coś na nim poświęcić, ale która przestępuje go i ulega dlatego, że chce, że kocha i że powinna wobec praw, które mężczyźnie przyznaje.

Połanieckiego jednak przejęło na jej widok żywe uczucie wdzięczności. Zdawało mu się teraz, że kocha Marynię tak, jak ją kochał dawniej, przed śmiercią Litki. Uczuł też, że w tej chwili nie może być dla niej zbyt delikatnym, ani zbyt wspaniałomyślnym, więc wzięwszy znowu jej rękę, podniósł ją do ust z wielką czcią i rzekł:

— Ja wiem, że pan nie wart — to niema i gadania! Ale Bóg widzi, że co będzie w moich siłach, to zawsze dla pani zrobię.

A Marynia spojrziała na niego wilgotnemi oczyma:

— Byle pan był szczęśliwy...

— Czy z panią można nie być? Ja to widziałem od pierwszej chwili w Krzemieniu. Ale potem, pani wie: wszystko się popsło. Myślałem, że pani wyjdzie za Maszkę, i com się nagryzł!...

— To ja byłam zła i przeproszam... mój drogi — panie Stachu!...

Połaniecki zaś zawołał z wielkim zapałem:

— Jeszcze dziś profesor mówił: „Marynia to złoto!” I prawda! wszyscy to mówią — nietylko złoto, ale skarb — bardzo drogi!

A jej dobre oczy poczęły się do niego śmiać:

— Może i bardzo ciężki...

— Niech panią o to głowa nie boli; ja mam dość sił i potrafię go na rękę nosić... Teraz przynajmniej mam po co żyć.

— I ja — odpowiedziała Marynia.

— Czy pani wie, że ja już tu byłem? Przysłałem potem te chryzantemy. Po wczorajszym liście pani powiedziałem sobie: to po prostu anioł i trzeba nie mieć ani serca, ani piątej klepki, żeby dłużej zwlekać.

— Taka byłem niespokojna o ten pojedynek — i nieszczęśliwa. Ale to już naprawdę skończone?

— Daję pani słowo — najzupełniej.

Marynia chciała dalej wypytywać, ale tymczasem nadszedł pan Pławicki; chwilkę słychać było, jak, pokaszując trochę, stawiał laskę i zdejmował paletot w przedpokoju, potem otworzył drzwi i ujrawszy ich samych, rzekł:

— Tak we dwoje sobie siedzicie?

A Marynia, podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach i nadstawiając czoło do pocałunku, odrzekła:

— Jak narzeczeni, papo.

Pan Pławicki cofnął się nieco i spytał:

— Jak powiadasz?

— Mówię — odpowiedziała, patrząc mu spokojnie w oczy — że pan Stanisław chce mnie wziąć i że jestem bardzo szczęśliwa...

Połaniecki przybliżył się, uściskał z całej siły pana Pławickiego i rzekł:

— Chcę wziąć, za zgodą i pozwoleniem wujaszkowem.

Lecz pan Pławicki zawołał: „Dziecko moje!” i podążywszy chwiejnym krokiem do kanapy, siadł na niej ciężko.

— Pozwólcie — mówił — wzruszenie... Nic to — nie zważajcie na mnie... Moje dzieci!... Jeśli wam to potrzebne — błogosławię z całego serca...

I błogosławił, przyczem opanowało go jeszcze większe wzruszenie, bo Marynię kochał jednak rzeczywiście. Głos wiązał mu co chwila w gardle i oboje młodzi słyszeli tylko takie oderwane zdania lub wyrazy, jak na przykład: „jakiś kąt przy was — dla starca, który całe życie pracował...”, „jedyne dziecko...”, „sierota...”.

Oni zaś uspakajali go na wspólną i uspokoili tak dobrze, że w pół godziny potem pan Pławicki uderzył nagle po ramieniu Połanieckiego i rzekł:

— Ach rozbójniku! Toś ty myślał o Maryni, a ja myślałem, żeś ty trochę...

I resztę dokończył do ucha Połanieckiego, który zaczerwienił się z oburzenia i odpowiedział:

— Jak wuj może przypuszczać! Gdyby mi to kto inny śmiał powiedzieć...

— No, no, no! — odparł, śmiejąc się, Pławicki. — Niema dymu bez ognia.

Tegoż jeszcze wieczora Marynia, żegnając się z Połanieckim, spytała:

— Czy mi pan nie odmówi jednej rzeczy?

— Co tylko pani rozkaże.

— Bo ja sobie dawno powiedziałam, że jeśli przyjdzie taka chwila, jak dziś, to potem pojedziemy razem do Litki.

— A moja droga pani! — odpowiedział Połaniecki.

A ona mówiła dalej:

— Nie wiem, co tam ludzie powiedzą, ale co nam do świata — prawda?

— Naturalnie! Mielibyśmy też na ludzi się oglądać. Z duszy serca jestem pani wdzięczny za tę myśl. Moja droga pani, moja... Maryniu.

— Bo ja myślę, że ona patrzy na nas i modli się za nas.

— Tak, to nasza mała patronka.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Do jutra.

— Do jutra — rzekł, całując jej ręce — do pojutrze, codzień, i do...

Tu dodał ciszej:

— I do ślubu.

— Tak! — odpowiedziała Marynia.

Połaniecki wyszedł. W głowie i w sercu czuł wielki zamęt myśli, uczuć, wrażeń, nad którymi panowało jedno główne pojęcie, że stało się coś niesłychanie stanowczego, że los jego został rozstrzygnięty, że czas namysłów, wahań się i zmian przeszedł, i że trzeba zacząć nowe życie. I to poczucie nie było mu nieprzyjemne, a nawet graniczyło z pewnym upojeniem, zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak całował skroń i włosy Maryni. To *coś*, czego w jego uczuciu brakło, malało i ginęło w owym przypomnieniu prawie zupełnie — i Połanieckiemu zdawało się, że znalazł wszystko, czego do zupełnego szczęścia trzeba. „Tem się nie przesyć, nigdy!” — myślał sobie i wprost zdawało mu się, że to jest niepodobieństwo. Przytem myślał o dobroci Maryni, o tem, jaka ona jest *pewna*, jak na takim sercu i charakterze można budować, jak w życiu z nią nigdy nic nie może grozić, jak ona nic w niem nie zdepcze, nic nie zmarnuje, jak przyjmie za złoto to, co jest w nim złotem, jak będzie żyła dla niego, nie dla siebie — i tak myśląc, zadawał sobie w duszy pytanie, co mógł lepszego znaleźć? — i prawie dziwił się swoim dawnym wahaniom.

Jednakże czuł jednocześnie, że to, co ma przyjść, jest zmianą tak olbrzymią, czemś tak bez miary stanowczem, że gdzieś, na dnie, w najgłębszym zakątku duszy, budził się w nim jakby niepokój przed owym szczęściem nieznanem.

Lecz nie wahał się: „Nie jestem ani tchórzem, ani niedołągą — (myślał). — Trzeba teraz iść naprzód — i pójść”.

Wróciwszy do domu, spojrzął na Litkę i natychmiast otworzył się przed nim jakby nowy jasny widnokrąg. Pomyślał, że może mieć dzieci. Taką oto jasną, drogą główkę — i to z Marynią! Na samą myśl o tem serce poczęło mu bić żywiej — i do porywu zmysłów dołączyła się taka jakaś otucha życiowa, jakiej od dawnych lat nie zaznał. Czuł się prawie zupełnie szczęśliwy. Spojrzawszy wypadkiem na list Bukackiego, który przy rozbieraniu się wydobyl z kieszeni, poczał się śmiać tak szczerze, że aż służący zajrzał ze zdziwieniem do pokoju. Połaniecki miał ochotę powiedzieć mu, że się żeni.

Zasnął dopiero nad ranem, ale wstał rześwy, wypoczęty i ubrawszy się, poleciał do biura, by jak najprędzej zwiastować nowinę Bigielowi.

Bigiel uściskał go, następnie poczał ze zwykłą sobie powolnością rozważać sprawę i wreszcie rzekł:

— Biorąc na rozum — to jest najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś.

Poczem, ukazawszy na biurko z papierami, dodał:

— Te kontrakty powinny być korzystne — ale tamten jeszcze lepszy.

— Co? nieprawda? — zawołał chełpliwie Połaniecki.

— Lecę powiedzieć żonie — rzekł Bigiel — bo nie mogę wytrzymać, a ty sobie także idź i idź na dobre. Będę cię zastępował do dnia ślubu i przez miodowy miesiąc.

— Dobrze — odpowiedział Połaniecki — lecę odwiedzić Maszkę, a potem jedziemy z Marynią do Litki.

— To jej się od was należy.

Połaniecki zakupił znów po drodze kwiatów, dołączył do nich wiadomość, że zaraz przychodzi i wpadł do Maszki.

Maszko miał się pod opieką pani Krasławskiej znacznie lepiej i lada chwila spodziewał się jej przybycia. Tymczasem, wysłuchawszy nowiny, ścisnął rękę Połanieckiego z pewnym wzruszeniem i rzekł:

— Powiem ci tylko jedno: nie wiem, czy ona będzie z tobą szczęśliwa — ty z nią napewno.

— Bo kobiety są lepsze od nas — odpowiedział Połaniecki — spodziewam się, że po tem, co cię spotkało, i ty jesteś tego zdania.

— Wyznaję, że dotąd nie mogę ochłonąć ze zdumienia. Są zarazem i lepsze od nas i bardziej tajemnicze. Wyobraź sobie...

Tu Maszko zaciął się, jak gdyby się wahał, czy ma mówić dalej.

— Co? — spytał Połaniecki.

— Tak! ty jesteś dyskretny człowiek, a przytem dałeś mi takie dowody przyjaźni, że może nie być między nami tajemnic: wyobraź więc sobie, że wczoraj po twojem odejściu

odebrałem anonim — tu, jak wiesz, panuje ten szlachetny obyczaj pisania anonimów — a w nim wiadomość, że papa Krasławski istnieje, żyje i ma się dobrze.

— Co znowu? Może być plotka.

— Ale może i nie być. Żyje podobno w Ameryce. List odebrałem podczas bytności pani Krasławskiej. Nie mówiłem jej nic, ale po pewnym czasie, gdy, po obejrzeniu tych oto portretów, poczęła mnie wypytywać o dalsze stosunki rodzinne, spytałem i ja ją z kolei, jak dawno jest wdową? Odpowiedziała mi na to: „Jesteśmy z córką same na świecie od dziewięciu lat, ale to są smutne dzieje, o których dziś nie chcę mówić”. Uważ że nie odpowiedziała wprost, kiedy jej mąż umarł.

— I co ty na to?

— Ja myślę, że jeśli papa żyje, to musi być tego rodzaju figura, o której się nie mówi i że to naprawdę mogą być „smutne dzieje”.

— Tajemnica dawnoby się wydała.

— Te panie siedziały kilkanaście lat za granicą. Kto wie? Zresztą w niczem to moich zamiarów nie zmienia. Jeśli pan Krasławski siedzi w Ameryce i nie przyjeżdża tu, to musi mieć do tego dobre powody, więc tak, jakby go nie było. Owszem, teraz nabieram otuchy, że moje małżeństwo dojdzie do skutku, bo rozumiem, że gdy ludzie muszą coś ukrywać, wówczas mniej są wymagający.

— Wybacz mi moją ciekawość — rzekł Połaniecki, biorąc kapelusz — ale mnie chodzi o moją sumę, a teraz o Pławickich: czy ty wiesz napewno, że te panie mają pieniądze?

— Powiem ci otwarcie: zdaje się, że i grube, ale jednak stawiam na kartę trochę zakrytą. Prawdopodobnie mają znaczną gotówkę. Matka powiedziała mi kilkakrotnie, że córka jej nie potrzebuje się oglądać na majątek męża. Kasę żelazną widziałem. Dom prowadzi duży. Znam w Warszawie prawie wszystkich żydów i nieżydów, którzy pożyczają pieniądze; i wiem napewno, że nikomu grosza nie winne. Jak sam wiesz, mają ładną willę niedaleko od Bigielów. Z kapitału nie żyją, bo są na to za mądre.

— Pozytywnej cyfry jednak nie wiesz?

— Próbowałem wypytywać, ale z daleka. Nie będąc zbyt pewnym stosunku z niemi, nie mogłem bardzo naciskać. Dano mi do zrozumienia, że będzie ze dwieście tysięcy rubli, a kiedyś więcej.

Połaniecki pożegnał się i, idąc do Pławickich, myślał:

— Wszystko to są jakieś tajemnice, jakieś mroki, jakieś ryzyka. Wolę Marynię.

I w pół godziny później jechali z Marynią na cmentarz, do Litki. Dzień był ciepły, jak na wiosnę, ale szaro: miasto wyglądało ponuro i brudno. Na cmentarzu topniejący śnieg opadał płatami na ziemię z grobów i odsłaniał żółtką, nawpół przegniłą murawę. Z ramion krzyżów i z bezlistnych gałęzi drzew spadały duże krople, które zrywający się od czasu do czasu podmuch ciepłego wiatru rzucał w twarz Połanieckiemu i Maryni. Podmuchy owe szarpały jej suknię, tak, że musiała ją tłumić. Stały wreszcie u grobu Litki.

I tu wszystko było mokre, oślizłe, posępne, nawpół obnażone z topniejącego śniegu. Myśl, że to dziecko, którego niegdyś tak strzeżono, takie kochane i pieszczone, leży teraz w tej wilgoci i piwnicznym mroku, nie chciała się Połanieckiemu prawie w głowie pomieścić. „Wszystko to może naturalne — myślał — jednak ze śmiercią niepodobna się pogodzić”. I rzeczywiście tak było, że ilekroć odwiedzał Litkę, wracał z tego cmentarza z jakimś niepohamowanym buntem, z jakimś namiętym protestem w duszy. Te myśli poczęły go targać i w tej chwili; wydało mu się wprost strasznie kochać Litkę i pogodzić kochanie ze świadomością, że o kilka stóp poniżej ona tam leży, czarna i rozkładająca się. „Ja tu nie powinienem przychodzić — mówił sobie — bo tu wściekam się, tracę głowę i wszelkie podstawy do życia”. Przedewszystkiem jednak męczył się, bo jeśli o śmierci niepodobieństwem jest nie myśleć, równem niepodobieństwem jest coś wymyślić i dlatego wszystko, co o niej przychodzi do głowy, jest, o ile człowiek nie wyciągnie rąk do prostej wiary, zarazem rozpaczliwem i płytkiem, oklepanem, pospolitem. „Mnie tu chodzi więcej jak o samo istnienie, a umiem sobie odpowiedzieć tylko komunalem. Zupelne koło błędne!” I to była prawda. Jeśli bowiem myślał na przykład, że na pierwsze wspomnienie o śmierci wszystko staje się dymem i czuł, że, niestety, tak jest, czuł przytem, że tysiące ludzi zdobyły się na to pojęcie przed nim i że nikt nie znalazł w tem ani otuchy, ani nawet takiego zadowolenia, jakie daje wykrycie prawdy. Wszystko, co mógł sobie powiedzieć,

było zarazem straszne i miłątkie. Łatwo mu było rozumieć, że całe życie ludzkie, dzieje powszechne, wszelkie filozofie, są w gruncie rzeczy tylko walką ze śmiercią nieustanną, rozpaczliwą, zupełnie zrozumiałą i jednocześnie bezdennie głupią i bezcelową, bo z góry straconą. Ale takie rozumienie nie mogło mu przynieść żadnej ulgi, było ono bowiem tylko stwierdzeniem nowego koła błędnego. „Bo gdy jedynym celem wszelkich wysiłków ludzkich jest życie, a jedynym rezultatem śmierć, to bezsens przechodzi miarę i po prostu nie możnaby go przypuścić, gdyby nie owa oczywistość obmierzała i niemiłosierna, która istoty żywe i kochane zmienia w rzecz zgniłą”.

Połaniecki za każdą bytnością na cmentarzu zatrzymał się podobnymi myślami. Dziś, jadąc, sądził, że obecność Maryni uwolni go od nich, tymczasem stało się raczej przeciwnie. Śmierć Litki, poderwawszy w nim ufność w sens i moralną celowość życia, podkopała właśnie w nim i tę pierwszą, dawną miłość do Maryni, tak naiwną i pozbawioną zwątpień; teraz więc, gdy wraz z Marynią stanął przy grobie Litki, gdy ta śmierć, która zaczęła być już tylko wspomnieniem, stała się znów czemś niemal dotykającym, zatrzymujące jej działanie spotęgowało się znowu. Znowu mu się wydało, że całe życie, zatem i miłość, jest tylko obłudą, a zabiegi życiowe czemś zupełnie czczym i marnym. Jeśli nad życiem nie ma ani rozumu, ani miłosierdzia — to po co się trudzić, po co kochać, po co się żenić? Czy po to, żeby mieć dzieci, przywiązać się do nich każdą kroplą krwi, a potem patrzeć bezradnie, jak je owa ślepa, głupia, oburzająca i brutalna siła dusi, jak wilk jagnięta — i przychodzić do ich grobu z myślą, że pleśnią w ciemności i wilgoci. Ot, Litka tam przecie leży!

Dziwnie posępny dzień potęgował tylko gorycz tych poczuc. Czasami, za poprzednich bytności, cmentarz wydawał się Połanieckiemu jakąś wielką nicością, w której rozplywa się życie, ale rozplywa się i wszelka niedola, czemś ogromnie sennym i kojącym. Dziś nie było na nim spokoju. Płaty śniegu osuwały się z pni i grobów; wśród mokrych drzew tłukły się z krakaniem wrony. Nagle i potężne podmuchy wiatru rzucały kroplami wilgoci, oderwanymi od gałęzi i, gnąc je, tworzyły jakąś rozpaczliwą szarpaninę wśród nieruchomych, kamiennych i obojętnych krzyżów.

Wtem Marynia przestała się modlić i rzekła takim stłumionym głosem, jakim się mówi na cmentarzach:

— Teraz jej dusza musi być między nami.

Połaniecki nie odpowiedział nic, ale naprzód pomyślał, że on i Marynia są istotami, jakby z dwóch odrębnych światów, a następnie, że gdyby w tem, co ona mówi, była choć cząstka prawdy, to wszystkie jego duchowe rozterki byłyby mniej warte, niż ten topniejący śnieg. W takim razie, mówił sobie, istnieje umiowanie i istnieją cmentarze, ale śmierci po prostu nie ma.

Marynia poczęła układać teraz wianki z nieśmiertelników, które kupili przed bramą, on zaś myślał śpiesznie, raczej za pomocą poczuc, niż za pomocą myśli:

— W moim świecie nie ma na nic odpowiedzi, są tylko koła błędne, które się staczają w przepaść.

I uderzyło go to, że gdyby takie pojęcia o śmierci, jakie miała Marynia, nie wypływały z wiary, albo gdyby były zupełnie nieznanymi i gdyby niespodzianie postawił je jaki filozof, jako hipotezę — toby tę hipotezę uznano za najgenialniejszą z genialnych — ona bowiem wszystko tłómaczy, na wszystko daje odpowiedź, rozświeca nietylko życie, ale i śmierć, która jest ciemnością. Ludzkość klękałaby z podziwu przed takim mędrcom i taką naukową teorią.

Z drugiej strony czuł, że jednak było coś z Litki między nimi. Ona sama rozsypywała się w proch, ale coś ją przeżyło; zostały jakieś fale jej myśli, jej woli, jej uczucia. To, że on zbliżył się z Marynią, że byli narzeczonymi, że teraz stali przy grobie Litki, że się połączyli, że życie pójdzie im razem, że będą mieli dzieci, które z kolei będą żyły, kochały i mnożyły się — czemże było, jeśli nie taką falą, która, wyszedłszy z tego dziecka, mogła iść i iść w nieskończoność, odradzając się w nieśmiertelnym łańcuchu zjawisk. Jakże tedy zrozumieć, by z istoty śmiertelnej wyszła nieśmiertelna i nieskończona energia? Marynia w prostocie swej wiary znalazła na to odpowiedź — Połaniecki nie.

A jednak Marynia miała słuszność. Litka była między nimi. Połanieckiemu przeleciało teraz przez głowę jakieś niejasne i niezwykłe w ścisłą myśl przypuszczenie, że może

wszystko to, co człowiek za życia pomyśli, wszystko, czego chce, wszystko, co przekocha, jest taką, stokroć bardziej nieuchwytną, stokroć subtelniejszą od eteru materią, z której powstaje jakaś astralna istota, świadoma siebie i albo wieczna, albo przegradzająca się w istnienie coraz doskonalsze, subtelniejsze, aż do nieskończoności. I zdawało mu się, że atomy myśli i uczuć mogą się skupiać w odrębną jednostkę właśnie dlatego, że wychodząc z jednego mózgu lub serca, są sobie pokrewne, zatem dążą ku sobie z tej samej tajemniczej zasady, z jakiej skupiają się pierwiastki fizyczne, by wytworzyć fizyczną jednostkę. Obecnie nie miał czasu nad tem myśleć, ale zdawało mu się, że czegoś dostrzegł, że w zasłonie, którą miał na oczach, utworzyła się jakaś mała szpara. Mogło się to okazać złudzeniem, ale w tej chwili, gdy czuł, że Litka jest jednak między nimi, mniemał, że obecność jej w taki tylko sposób może być zrozumiałą.

Tymczasem nadszedł jakiś pogrzeb, bo w dzwonnicy, stojącej na środku cmentarza, poczęto dzwonić. Połaniecki podał Maryni rękę i poszli ku bramie. W drodze Marynia, myśląc widocznie w dalszym ciągu o Litce, rzekła:

— Teraz jestem zupełnie pewna, że będziemy szczęśliwi.

I przytuliła się silniej do ramienia Połanieckiego, bo zresztą i uderzenia wiatru stały się tak potężne, że trudno jej było im się oprzeć. Jeden z podmuchów obwinął jej woalkę naokoło szyi Połanieckiego. Rzeczywistość poczęła go wołać. Przyciskał oto do boku ramię kochającej kobiety i czuł, że kochanie, jeśli nie jest zdolne przesłonić śmierci, to przynajmniej godzi z życiem.

Wsiadłszy do karety, wziął dłoń Maryni i nie wypuszczał jej przez całą drogę. Chwilami wracała mu niemal zupełna otucha, myślał bowiem, że owe braki, jakie istniały w jego uczuciu, ta słodka i dobra do gruntu dziewczyna potrafi wypełnić i wskrziesić wszystko, co zmarniało. „Moja żona! moja żona!” — powtarzał sobie w duszy, patrząc na nią, a jej pocziwe jasne oczy odpowiadały mu: „twoja!”

Gdy zajechali do domu, pan Pławicki nie powrócił jeszcze z przedobiedniej przechadzki, znaleźli się więc sam na sam. Połaniecki siadł koło Maryni i pod wpływem tych myśli, które przechodziły mu przez głowę podczas drogi, rzekł:

— Pani powiedziała, że Litka była między nami — i to prawda! Ja zawsze wracałem jak ścięty z cmentarza, a jednak dobrze, żeśmy tam byli.

Marynia zaś odrzekła:

— Bo to tak, jakbyśmy jeździli po błogosławieństwo.

— Ja mam to samo wrażenie, i prócz tego, tak mi się wydaje, jakbyśmy już byli połączeni, a przynajmniej bliżsi sobie, niż przedtem.

— Tak — i to będzie i smutne i dobre wspomnienie.

Wtedy on wziął znowu jej rękę i rzekł:

— Więc jeśli pani ufa, że będziemy szczęśliwi, po co szczęście zwlekać? Moja dobra, moja najlepsza, i ja ufam, że nam będzie dobrze; nie zwłóczmy ślubu. Mamy zacząć nowe życie, to je zaczynamy prędko.

— To niech pan postanowi. Ja całą duszą jestem pana.

Na to on przyciągnął ją, jak pierwszego dnia, i po chwili znów poczęł szukać ustami jej ust, ona zaś, czy to pod wpływem myśli, że jego prawa są dziś już większe, czy pod wpływem budzących się zmysłów, nie odwracała już głowy, ale, zmrużywszy oczy, sama podała mu usta, jakby spragnione od dawna.

VIII

Dla Połanieckiego rozpoczął się teraz czas przedślubnych zabiegów i przygotowań. Mieszkanie miał wprawdzie gotowe przeszło od roku, to jest jeszcze zanim Marynię poznał. W swoim czasie, gdy Bukacki wyśmiewał się z tego mieszkania, widząc w niem dowód, do jakiego stopnia Połaniecki pała chęcią żenienia się, Połaniecki nie zaprzeczał:

— Tak jest — mówił. — Mam tyle, że mogę sobie na to pozwolić, a tymczasem wydaje mi się, że już zaczynam coś w tym celu robić i że moje zamiary stają się czemś rzeczywistym.

Bukacki nazywał to przezornością godną pochwały, przyczem wyrażał zdziwienie, że człowiek, tak przewidujący przyszłość, nie zamawia od razu akuszerki i niańki. Czasem tego rodzaju rozmowy kończyły się kłótnią. Połaniecki bowiem nie znoślił, gdy mu ktoś

odmawiał trzeźwego na świat poglądu. Bukacki zaś utrzymywał, że to jest ptasi, godny trznadla romantyzm, poczynąć od budowy poetycznego gniazdko. Jeden twierdził, że nie może być nic rozsądniejszego, jak przygotować klatkę, chcąc mieć ptaka; drugi odpowiadał, że gdy ptak jeszcze nieupatrzony i połów niepewny, klatka jest oszukiwaniem własnego apetytu. Kończyło się aluzjami do cienkich nóg Bukackiego, uniemożliwiających pogoń za wszelkiego rodzaju ptakami, choćby bez skrzydeł. Bukacki wpadał wówczas w wyśmienity humor.

Teraz jednak, gdy klatka była gotowa i ptak nietylko złowiony, ale chętny, pozostawało jeszcze tyle do roboty, że Połanieckiego ogarniało nieraz zdziwienie, że akt, tak z natury prosty, jak ożenienie się, stał się w ucywilizowanych społeczeństwach tak złożonym. Zdawało mu się, że jeśli nikomu nie przysługuje prawo wglądać w moralną stronę związku, ponieważ jest on wypływem czystej wolnej woli — formalna strona winna być również mniej dozorowaną.

Ale myślał tak naprzód dlatego, że nie był prawodawcą, powtóre, że był człowiekiem prędkim, którego niecierpliwiła konieczność wyszukiwania „papierów,” a po trzecie, że, raz postanowiwszy się żenić, przestał się stanowczo namyślać, analizować — i dążył do tego, jak człowiek czynu. Napęliło go to nawet nieraz dumą, gdy się porównywał z takim naprzykład Płoszowskim, którego historia, zanim zaczęła być znaną z jego własnego pamiętnika, krążyła już z ust do ust między ludźmi: „Jednakże ja jestem z innego metalu” — myślał z pewnem zadowoleniem Połaniecki. — Chwilami znów, gdy sobie przypominał postać Płoszowskiego, jego szlachetny i delikatny, a zarazem silnie zarysowany profil, jego wykształcenie, subtelność i giętkość umysłową, jego niesłychany dar jednania sobie ludzi, a zwłaszcza kobiet, przychodziło mu na myśl, że jednak on, Połaniecki, jest typem mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i wogóle człowiekiem, wyciosanym z grubszego materiału. Wszelako odpowiadał sobie, że widocznie, wobec warunków życia i odporności, jakiej ono wymaga, jest rzeczą wprost zgubną być zbyt filigranem, tak pod względem umysłowym, jak i fizycznym. Widział w sobie również daleko większą zdolność życiową: „Ostatecznie — myślał — ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibelotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem, i dobrze umiem, farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece. A jaka ogromna między nami różnica w stosunku do kobiety! Ten człowiek przeanalizował swoje życie i życie kochanej kobiety, zgubił ją i siebie, nie mogąc wyjść z wątpliwości, czy ją dość kocha; ja mam też wątpliwości, czy moja miłość jest zupełna, a jednak swoją kobiecinę biorę — i niedołągą byłbym, nie mężczyzną, gdybym się miał naprzód bać przyszłości i gdybym nie potrafił wycisnąć z niej w prosty sposób tyle dobra i szczęścia, ile się da wycisnąć.”

Tu Połaniecki, jakkolwiek zarzekał się analizy, poczynął analizować, wprawdzie nie siebie, ale Marynię. Pozwalał sobie zresztą na to tylko dlatego, że z góry był pewien pomyslnych wniosków. To jednak rozumiał, że, w obliczaniu przyszłości dwojga ludzi, dobra wola jednej strony nie wystarcza i staje się niczem na wypadek braku dobrej woli z drugiej strony. Ale był pewien, że biorąc Marynię, nie bierze martwego serca. Marynia nietylko przyniosła na świat prawą naturę, ale od młodych lat zetknęła się z pracą i z warunkami, w których musiała zapominać o sobie, by myśleć o drugich. Prócz tego, było nad nią, równe jakby nieustającemu zagrobowemu błogosławieństwu, wspomnienie matki, której spokój, prostotę i prawość, a zarazem życie pełne smutków, wspomniano dotąd z największą czcią w całej okolicy Krzemienia. Połaniecki wiedział o tem i był przekonany, że budując na sercu i charakterze Maryni, buduje na niewzruszonej niemal podstawie. Nieraz przychodziły mu na myśl słowa jednej znajomej i przyjaciółki jego matki, która, zapytana, czy więcej się troszczy o przyszłość synów, czy córek, odpowiedziała: „Wyłącznie o synów, bo moje córki, w najgorszym razie, mogą być tylko nieszczęśliwe.” Tak! synów chowa szkoła i świat — i oboje mogą z nich zrobić łotrów — córki, którym dom wszczepia poczciwość — „w najgorszym razie mogą być tylko nieszczęśliwe.” Połaniecki rozumiał, że tak było i z Marynią. To też, jeśli ją analizował, była ta analiza raczej rozpatrywaniem się i lubowaniem jubilera w swoich klejnotach, niż metoda uczonego, który pragnie dojść do nieznanych i niedających się przewidzieć wniosków.

Jednakże raz pokłócili się z Marynią bardzo poważnie, z powodu listu Waskowskiego, który Połaniecki otrzymał z Rzymu, w kilka tygodni po wyjeździe profesora, i który odczytał w całości Maryni. List ten brzmiał, jak następuje:

„Mój drogi. Mieszkam via Tritone, pension Française. Odwiedź moje warszawskie mieszkanie; zobacz, czy Snopczyński dobrze dozoruje moich malców i czy drobiazg świętego Franciszka ma podostatkiem wody i siemienia. Jak przyjdzie wiosna, trzeba otworzyć okna i klatki — kto chce, niech zostanie, a kto chce, niech leci. Malcy z rodzaju *homo sapiens* powinni mieć dobre pożywienie, bom na to zostawił, a prócz tego, mało morałów, a dużo miłości. Snopczyński jest dobry człowiek, ale melancholik. Powiada, że to skutkiem śniegów. Jak go napadnie, tak zwana przez niego „chandra,” po całych tygodniach patrzy na własne buty i milczy — a z dziećskami trzeba gadać, by nabrały zaufania. Otóż i wszystko co do Warszawy.

„Tę pracę mojego życia, o której ci mówiłem, drukuję tu po francusku w drukarni „L'Italie.” Trochę się śmieję z mojej francuzczyzny i ze mnie, alem ja do tego przywykł. Przyjechał tu Bukacki. Dobrze, kochane chłopczyśko, zdziwaczał do reszty, i powiada, że powłoczy nogą, choć ja tego nie zauważyłem. On bardzo kocha i ciebie, i Marynię, a naprawdę to i wszystkich, pomimo, że się tego wypiera. Za to, jak zacznie wygadywać — uszy wędną. Niech ci Pan Bóg błogosławi, drogi chłopcze i ciebie i twoją pocziwą Marynię. Chciałbym być na waszem weselu, ale nie wiem, czy mi tu skończą do Wielkiejnocy moją robotę; więc tymczasem posłuchaj, co ci powiem, i wiedz, że w tym celu piszę ten list. Nie myśl, że stary gada, byle gadać, bo przecież wiesz, że ja był nauczycielem, że od tego zajęcia uwolnił mnie dopiero spadek po bracie, że doświadczył i widział. Jeśli będziecie mieli dzieci — nie zamęczaj ich nauką, daj im rosnać wedle woli bożej. Mógłbym na tem skończyć, ale ty lubisz cyfry, więc dam ci cyfry. Małe dziecko ma godzin pracy tyle, ile dorosły człowiek-urzędnik, z tą różnicą, że urzędnik gawędzi podczas biurowych godzin z kolegami lub pali papierosy, dziecko zaś musi przez cały czas wytyczać uwagę, bo inaczej zgubi wątek i przestanie rozumieć, co do niego mówią. Urzędnik po skończonej pracy idzie do domu, dziecko musi się przygotowywać na dzień następny, co zdolnemu zabiera cztery godziny, mniej zdolnemu — sześć. Dodaj do tego, że uboższe dzieci często dają lekcye, bogatsze je biorą — co razem wyniesie godzin dwanaście. Dwanaście godzin pracy dla dziecka! — czy ty to rozumiesz, mój drogi? Czy sobie zdajesz sprawę, jakie to z tego muszą wyrastać natury chore, zwichnięte, skłonne do najdziwniejszych manii — krzywe, odporne? Czy ty rozumiesz, jak my posiewamy naszemi dziećmi cmentarze — i dlaczego najpotworniejsze idee znajdują wyznawców? Ach, dziś ograniczają nawet pracę dorosłych po fabrykach — ale o tem filantropia milczy. O! to przecie pole — to gotowa zasługa — to przyszła świętość i sława! Nie zamęczaj mi swoich nauką — proszę cię o to! I proszę Maryni — przyrzeczcie mi to oboje. Ja nie gadam byle gadać, jak czasem mówi Bukacki, bo mówię z serca i to jest największa reforma, jaka czeka wieki przyszłe, największa po wprowadzeniu Chrystusa do dziejów. Zdarzyło mi się też kilka dni temu w Perugii coś dziwnego, ale o tem kiedyś ci opowiem, a teraz ściskam was oboje.”

Marynia słuchała tego listu, patrząc za przykładem owego Snopczyńskiego, o którym wspominał profesor, na końce swych bućków. Połaniecki zaś począł się śmiać i rzekł:

— Czy pani słyszała coś podobnego? Jeszcze do naszego ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszemi dziećmi i wstawia się za niemi. To trochę historia mego gniazodka.

Po chwili zaś dodał:

— Co prawda, to moja wina, bom mu poczynił rozmaite obietnice.

I pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać:

— A co pani mówi na ów list?

Połaniecki, pytając w ten sposób, miał taką nieszczęśliwą chwilę, w której człowiek nie jest sam sobą — i postępuje niezgodnie z własną naturą. Był on wogóle charakterem raczej szorstkim, ale nie grubijańskim, a nawet zdolnym chwilami do prawdziwie kobiecych delikatności. Tymczasem teraz, zarówno w jego spojrzeniu, jak i w pytaniu, skierowanym do dziewczyny, tak przypominającej mimozę, jak Marynia, było wprost coś brutalnego. Ona wiedziała również, że za małżeństwem idą dzieci, ale przedstawiało jej się to, jako coś nieokreślonego, o czem się nie mówi, a jeśli się mówi, to albo w aluzji, tak delikatnej jak koronka, albo w chwili jakiegoś wzruszenia, z bijącym sercem, z rozkochanemi ustami przy uchu, w nastroju niemal uroczystym, jak o jakimś sanc-

tissimum wspólnej przyszłości. Więc też niedbały ton, z jakim mówił o tem Połaniecki, zarówno ją zabolął, jak oburzył. Mimowoli przyszło jej na myśl: „Dlaczego on tego nie rozumie?” I z kolei ona postąpiła niezgodnie ze swoją naturą, bo, jak się to często zdarza osobom nieśmiałym w chwilach przykrości i zmieszania, udała większy gniew, niż czuła rzeczywiście.

— Pan nie powinien się tak ze mną obchodzić — zawołała z oburzeniem. — Pan nie powinien tak do mnie mówić!

Połaniecki śmiał się jeszcze, chcąc nadrobić sztuczną wesołością.

— Czemu się pani gniewa? — spytał.

— Pan postępuje ze mną nie tak, jak powinien.

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— To tem gorzej.

A jemu śmiech znikł z ust, twarz pociemniała z gniewu i począł mówić prędko, jak człowiek, który nagle przestaje się rachować ze słowami:

— Być może, że jestem głupi, ale wiem, co jest dobroć, a co nie. W ten sposób życie staje się niemożliwe. Kto z niczego robi wielkie rzeczy, niechże sam siebie wina, a ponieważ obecność moja jest pani przykra, więc sobie idę.

I porwawszy za kapelusz, ukłonił się i wyszedł. Marynia nie próbowała go zatrzymać. Przez chwilę jeszcze obraza i gniew przytłumiły w niej wszelkie inne uczucia, poczem pozostało jej tylko wrażenie, jakby ciosu obuchem. Myśli jej rozproszyły się jak stado ptaków, nad nimi zaś górowało tylko jedno niejasne pojęcie: „stało się! nie wróci!” W ten sposób zapadał się nad nią gmach, który już począł był wiązać się w tak piękne linie. Pustka, nicność, męczące, bo bezcelowe życie i ścięte serce — oto, co jej pozostawało. A było już tak blisko do szczęścia!... Jednakże to, co się stało, stało się tak nagle, było czemś tak niezrozumiałem, że nie umiała na razie zdać sobie z tego sprawy. Zbliżywszy się do biurka, zaczęła na niem porządkować mechanicznie papiery, z jakimś bezmyślnym pośpiechem, jakby od uporządkowania ich mogło coś w tej chwili zależeć. Potem spojrziała na fotografię Litki i siadła nagle z dłońmi na oczach i skroniach. Po pewnym czasie jednak przyszło jej na myśl, że wola Litki musi być silniejsza od woli ich obojga — i zaświtał jej nagle promyk nadziei. Poczęła chodzić po pokoju i rozpamiętywać, co zaszło, przytem przypominała sobie Połanieckiego, nietylko jakim był w ostatniej chwili, ale i przedtem, dwa, trzy dni, tydzień temu. Żal jej był teraz już większy od urazy i powiększał się coraz bardziej — wraz z uczuciem dla Połanieckiego. Po niejakiem czasie poczęła sobie mówić, że nie wolno jej było się unosić, że obowiązkiem jej było przyjąć i kochać Połanieckiego takim, jakim był, nie zaś wymagać, żeby się dostosowywał do jej pojęć. „To przecie żywy człowiek, nie lalka” — powtórzyła kilkakrotnie. I ogarniało ją coraz większe poczucie winy, a zatem i skruchy. Z natury potulne i bardzo zdolne do kochania serce, występowało do walki z trzeźwym rozumem, który posiadała niewątpliwie i który teraz próżno jej mówił, że słuszność nie była po stronie Połanieckiego, i że przecie nie powiedziała mu nic takiego, coby było nie do przebaczenia. Mówiła sobie: „Jeśli ma choć trochę dobre serce, to wróci”, ale zarazem zdejmowała ją obawa przed miłością własną mężczyzn wogóle, a Połanieckiego w szczególności, była bowiem zbyt inteligentną, żeby nie spostrzedz, iż on dbał wielce o to, by uchodzić za człowieka nieugiętego. Ale tego rodzaju uwagi, które niechętnie serce czyniłoby na jego niekorzyść, roztkliwiały ją już tylko dla niego.

I w pół godziny później była już do głębi duszy przekonana, że wina leży tylko li po jej stronie i że „tyle go już w życiu namęczyła”, że teraz powinna ustąpić, to jest pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Ustępstwo owo równało się w jej pojęciu napisaniu do niego kilku słów pojednawczych. „On się tak nacierpiał z powodu tej sprawy Krzemienia, że mu się to należy”. I gotowa była choćby płakać nad jego losem. Spodziewała się przytem, że on, ten niegodziwy, brzydki człowiek, oceni to, ile ją kosztuje pisać do niego i przyjdzie jeszcze tego wieczora.

Zdało jej się, że nic łatwiejszego, jak skreślić kilka serdecznych wyrazów, takich, któreby, idąc od serca, szły wprost do serca. Ale co za trudność! List nie ma oczu, które zachodzą łzami, nie ma twarzy, która się uśmiecha zarazem smutno i słodko, nie ma głosu, który drga, nie ma rąk, które się wyciągają. List można czytać i rozumieć, jak się chce, bo to tylko czarne litery, na obojętnym jak śmierć papierze.

Marynia darła właśnie trzeci arkusik, gdy pomarszczona jak pieczone jabłko twarz pana Pławickiego, z świeżo ufarbowanymi wąsikami, ukazała się w uchylonych drzwiach.

— Niema Połanieckiego? — spytał.

— Niema, papo.

— A czy przyjdzie jeszcze?

— Nie wiem, papo — odpowiedziała z westchnieniem.

— Moje dziecko, jeśli przyjdzie, powiedz mu, że najdalej za godzinę wrócę i że chcę z nim pomówić.

— Och! i ja chcę z nim pomówić — pomyślała Marynia.

I przedarłszy trzeci arkusik, wzięła czwarty i poczęła się zastanawiać, czy całą kłótnię obrócić w żart, czy też po prostu przeprosić? Żart mógł mu się nie podobać; w przeproszeniu było coś cieplejszego, tylko — to takie trudne! Gdyby on nie był sobie polecał — dość było wyciągnąć rękę, ale on wyleciał jak z procy, ten złośnik, taki kochany...

I podniósłszy oczy do góry, poczęła usilnie pracować swoją ciemną główką, gdy nagle w przedpokoju ozwał się dzwonek. Maryni poczęło bić serce jak młotem, a przez głowę przelatowały jej jak błyskawice pytania:

— On? czy nie on?

Drzwi się otworzyły — to był on.

Wszedł jak wilk, z głową spuszczoną, z twarzą ponurą i widocznie bardzo niepewny, jak zostanie przyjęty; ale ona na jego widok zerwała się z bijącym jak u ptaka sercem, z rozpromienionym wzrokiem, szczęśliwa, ujęta niezmiernie tem, że wrócił — i pierwsza podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach.

— A jaki dobry! jaki pocziwy! — poczęła mówić. — A czy pan wie, że ja chciałam już pisać do pana?

Połaniecki, przycisnąwszy jej ręce do ust, milczał przez czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Pani mnie powinna kazać zrzucić ze schodów.

I w uniesieniu wdzięczności, przycisnąwszy ją do siebie, począł całować jej usta, oczy, skronie i włosy, które rozwiązały się w uścisku. W takich chwilach zdawało mu się zawsze, że odnajduje wszystko, co stanowi zupełną i wielką miłość. Wreszcie puścił ją i mówił dalej:

— Pani jest za dobra. Chociaż to lepiej, bo to mnie ogromnie podbija. Przyszedłem panią przeprosić — nic więcej. Ja zaraz ochłonąłem... Nawymyślałem sobie od ostatnich słów i nie umiem powiedzieć, jak mi było żal. Chodziłem po ulicy, myślałem, że może panią zobaczę w oknie i że z twarzy pani poznam, czy mogę wrócić. Potem nie mogłem wytrzymać i przyszedłem...

— To ja przepraszam, to moja wina. Widzi pan podarty papier — pisałam i pisałam.

Ale on pożerał teraz oczyma jej włosy, które upinała pośpiesznie. Z zarumienioną twarzą, od której biła radość, ze śmiejącymi się od szczęścia oczyma, wydała mu się pięknieszą, niż kiedykolwiek i tak pożądaną, jak nigdy.

Marynia spostrzegła też, że patrzy na jej włosy i zmieszanie jej walczyło z czysto kobiecą kokieterią. Upinała je umyślnie niezręcznie, tak, że coraz większą falą pokrywały jej ramiona, a jednocześnie mówiła:

— Niech pan nie patrzy, bo sobie pójde.

— To przecie moje bogactwo — odrzekł Połaniecki — a przytem w życiu nic podobnego nie widziałem!

I wyciągnął znów ku niej ręce, ale ona poczęła się wykręcać.

— Nie wolno, nie wolno — powtarzała — mnie i tak wstyd. Powinnam była odejść.

Włosy jednak zwolna przysły do ładu, poczem siedli oboje i poczęli rozmawiać spokojniej, chociaż z oczyma w oczach.

— I pani naprawdę chciała pisać? — spytał Połaniecki.

— Widzi pan podarty papier.

— Szczerze mówię, że pani zbyt dobra.

Ona podniósłszy oczy i wpatrzywszy się w półkę przybitą nad biurkiem, odrzekła:

— Dlatego, że to była moja wina. Tak! tylko moja!

I sądząc, że nie może być dość wspaniałomyślną, dodała po chwili, zaczerwieniwszy się po uszy i spuszcżając oczy:

— Bo jednak profesor Waskowski ma słuszość w tem, co pisze o... nauce.

Połaniecki miał w tej chwili ochotę klęknąć i ucałować jej nogi. Jej wdzięk i dobroć nie tylko rozbrajały go, ale i naprawdę podbijały zupełnie.

— Żem zginął, tom zginął! — zawołał, jakby kończąc jakąś niewypowiedzianą słowami myśl. — Pani zawojuje mnie zupełnie.

A ona poczęła trząść wesoło główką.

— Oj, nie wiem! Taki tchórz ze mnie.

— Tchórz z pani? Powiem pani jedną anegdotę. W Belgii znałem dwie panny Wauters, które miały faworyta kota. Pocziwe stworzenie, zdawałoby się, że go można do rany przyłożyć. Potem jedna z nich dostała w podarku oswojonego zająca. Cóż pani powie! Kot się go tak bał, że ze strachu skakał na wszystkie szafy i piece. Raz poszły panny Wauters na spacer i nagle przypomniały sobie, że kot został z zającem. „A czy „Matou” nie zrobi jakiej krzywdy zającowi?” „Matou? on się go przecie tak boi, że ze skóry wyłazi!” I poszły spokojne. W godzinę potem wracają — i niech pani zgadnie, co się stało? Oto zastały tylko uszy z zająca. To zupełnie stosunek pań do nas. Niby się boicie, a potem zostają z nas tylko uszy!

I Połaniecki począł się śmiać, a Marynia z nim; po chwili zaś dodał:

— Wiem, że i ze mnie zostaną tylko uszy.

Mówił zresztą nieprawdę, bo miał poczucie, że będzie inaczej. Marynia też, pomyślniejszy, odrzekła:

— Nie. Ja nie mam takiego charakteru.

— To i lepiej — odpowiedział Połaniecki — bo powiem pani szczerze, jaki wniosek wyprowadzam z moich życiowych obserwacji: oto większy egoizm bierze zawsze górę nad mniejszym.

— Albo też większa miłość poddaje się mniejszej — odpowiedziała Marynia.

— To na jedno wyjdzie. Co do mnie, wyznaję, że jakiegoś Heroda miałbym ochotę ot tak w rękę trzymać (tu Połaniecki otworzył palce, a potem ścisnął je w pięść), ale z takim gołębiem, jak pani — to rzecz całkiem inna. Z panią, myślę, trzeba będzie wojować o to, żeby pani nie zanadto wyrzekła się siebie, a nie za dużo oddawała. Taka już pani natura i ja wiem, kogo biorę. Zresztą wszyscy to mówią i nawet taki Maszko, który nie jest żadnym Salomonem, powiedział mi tak: Ona z tobą może być nieszczęśliwa, ty z nią — nigdy. I miał słuszność. Oto ciekawym, jaki będzie Maszko dla swojej żony. To twarda ręka.

— A bardzo zakochany?

— Nie tak, jak był przed pewnym czasem, gdy go trochę kokietowano.

— Bo nie był taki niegodziwy, jak pewien „pan Stach”.

— To będzie dziwne małżeństwo. Ona nie jest brzydka, choć jest blada i ma zawsze czerwone oczy. Ale Maszko żeni się dla majątku. Przypuszczał, że ona go nie kocha, i gdy była ta awantura z Gątowskim, (to także rycerz!) był pewien, że te panie skorzystają ze sposobności, by zerwać. Tymczasem stało się wprost przeciwnie — i niech pani sobie wyobrazi, że Maszko jest teraz znów niespokojny, że wszystko idzie tak, jak po maśle. Wydaje mu się to podejrzanym. To są jakieś dziwne rzeczy. Istnieje jakoby i pan Krasławski... Bóg wie co!... Wszystko to razem jest głupie. Tam nie będzie szczęścia, przynajmniej takiego, jak ja sobie wyobrażam.

— A jak pan sobie je wyobraża? — spytała Marynia.

— Ja myślę, że szczęście jest w tem, żeby wziąć kobietę pewną — tak jak pani — i jasno widzieć przyszłość.

— A ja myślę, że w tem, żeby być kochaną, ale to jeszcze nie dość.

— Cóż jeszcze?

— Żeby być tego wartą i żeby...

Tu panna Marynia nie umiała przez jakiś czas znaleźć słów, w końcu jednak rzekła:

— I żeby wierzyć w męża... i żeby z nim razem pracować.

IX

Połaniecki nie mylił się. Maszce szło wszystko tak pomyślnie, pani i panna Krasławska zapowiadały się tak wzorowo, że był coraz niespokojniejszy. Chwilami sam się śmiał z tego, a ponieważ przed Połanieckim nie miał od pewnego czasu nic skrytego, więc któregoś dnia rzekł mu z całym cynizmem:

— Mój drogi — to są po prostu anioły, a mnie włosy na głowie powstają, bo w tem coś jest.

— Podziękuj lepiej Panu Bogu!

— Kiedy są za idealne, bez żadnej wady, nawet bez próżności. Wczoraj, na przykład, dałem im do zrozumienia, że jestem adwokatem tylko dlatego, iż mojem zdaniem synowie lepszych rodziców powinni się teraz do czegoś brać i czemś być. Zgadnij, co mi odpowiedziały? Oto, że to jest takie dobre stanowisko, jak i każde inne, że dla nich, byle praca, każda dobra, i że tylko liche i próżne natury mogą się pracy wstydzić. Wystrzelały tyle ładunków nabitych komunałami, że miałem im ochotę odpowiedzieć jakąś sentencją z wzorów kaligraficznych: „Honor jest jak przepaścista skała” — lub coś podobnego! Połaniecki, ja ci powiadam, że w tem coś tkwi. Myślałem, że papa, ale nie papa. Mam już o nim wiadomość, mieszka w Bordeaux, nazywa się tam Mr de Langlais — i ma swoje ognisko rodzinne, nie tyle legalne, ile licznie otoczone, które utrzymuje za pensję, otrzymywaną od pani Krasławskiej.

— Co ci to szkodzi?

— Nic a nic.

— Jeśli tak, to są nieszczęśliwe kobiety — i cała rzecz.

— Tak, ale czy dochody ich odpowiadają nieszczęściom? Pamiętaj, że mam ciężary. Przytem, widzisz, jeśli to są takie kobiety, jak się wydają, a w dodatku bogate, to gotówem się naprawdę zakochać i to będzie głupio; jeśli się pokaże, że nie mają nic, albo mało, to gotówem się także zakochać i to będzie jeszcze głupiej. Ona ma dla mnie urok.

— Nie. To będzie jedyna rzecz mądra, w każdym razie. Ale ty jednak myśl o sobie, Maszko, a trochę o mnie i o Pławickich. Wiesz, że ja nie mam zwyczaju w tych rzeczach folgować, a terminy się zbliżają.

— Jeszcze palę w kotle — kredytem. Wy zresztą siedzicie na hipotece Krzemienia. Za parę dni będzie u pani Krasławskiej wieczór zaręczynowy, po którym mam nadzieję, że się czegoś pewnego dowiem.

Tu Maszko począł monologować:

— Że jednak tak pozytywny człowiek, jak ja, wszedł jak w las, to nie do pojęcia. Z drugiej strony niema tu człowieka, między tymi nawet, co najlepiej wiedzą, jak kto stoi, któryby pozwolił sobie wątpić o majątku pani Krasławskiej. A jednak, one są takie szlachetne!!!...

— Twoje obawy są też prawdopodobnie płonne — przerwał z pewną niecierpliwością Połaniecki. — Ale ty, mój kochany, nie jesteś wcale pozytywny człowiek, boś zawsze udawał i jeszcze coś udajesz, zamiast patrzeć tego, co ci dawało chleb.

W kilka dni później odbył się rzeczywiście zaręczynowy raut Maszki, na którym była i Marynia, albowiem pani Krasławska, której się pan Pławicki podobał i którego koligacje były jej wiadome, nie unikała z nim stosunków, tak, jak z Bigielami. Maszko sprowadził wszystkich swych znajomych o rozgłosnych nazwiskach, ze szklami na oczach i z rozdzielonemi na dwie połowy głowami, po większej części bardzo młodych i przeważnie niezbyt lotnych. Było między nimi pięciu braci Wyżów, których zwano: Mizio, Kizio, Bizio, Breloczek i Tatuś. Dawano im nazwę pięciu braci śpiących, gdyż, odczuwając pobudki życiowe wyłącznie w nogach, ożywiali się tylko w karnawale, a drętwieli zupełnie, przynajmniej pod względem umysłowym, na post. Bukacki kochał ich i cieszył się nimi. Był baron Kot, który, zasłyszawszy coś od kogoś o jakimś starożytnym Kocie z Dębna, dodawał zawsze, gdy go przedstawiano: „z Dębna”, a który na wszystko, co do niego mówiono, odpowiadał stale: „Quelle drôle d'histoire!” Maszko był z nimi wszystkimi na: „ty”, chociaż traktował ich z pewnym rodzajem lekceważenia, również jak i Kopowskiego, młodzieńca o przepysznej, idealnej głowie i tak samo przepysznych jak bezmyślnych oczach. Kategorję rozumniejszych przyjaciół Maszki przedstawiali Połaniecki i Kresowski. Pani Krasławska zaprosiła również kilkanaście dam z córkami, koło których kręcili się z niedbałością i flegmą Wyże, a których panięńskie serduszka były za zbliżeniem się Kopowskiego, mniej zważając na jego duchowe podobieństwo z Hamletem, polegające na tem, że jeśli nie on, to mózg jego mógłby się zmieścić „w skorupie od orzecha”. Kilka poważnych łysin stanowiło dopełnienie salonu.

Panna Krasławska, ubrana białą, mimo zaczerwienionych oczu, wyglądała nader powabnie. Był w niej istotnie jakiś kobiecy urok, polegający na dziwnym, prawie sennym

spokoju. Przypominała nieco postaci Perugina. Chwilami ożywiła się, jak alabastrowa lampka, w której nagle rozbłyśnie światło — po chwili znów gasła, ale gasła nie bez wdzięku. Tego wieczora, przybrana w lekką białą suknię, wydawała się ładniejszą, niż zwykle. Połaniecki, patrząc na nią, myślał, że może mieć dość oschłe serce i dość oschłą głowę, ale może być przyzwoitą żoną, zwłaszcza dla Maszki, który, w gruncie rzeczy, nad wszystko cenił przyzwoitość światową. Pożycie ich zapowiadało się jak chłodny i błady dzień, w którym słońce nie dopieka, ale też i burza nie grozi. Teraz oto siedzieli w końcu salonu, nie za blisko, ale też nie za daleko od reszty towarzystwa; zajmowali się sobą nie więcej i nie mniej, niż wypadło; w jego obejściu się z nią widać było tyle uczucia, ile było trzeba, ale przedewszystkiem chęć, żeby się wydać narzeczonym „correct” — ona zaś odpłacała mu tą samą monetą. Uśmiechali się do siebie przyjaźnie; on mówił więcej od niej, jako przyszyły przewodnik i głowa domu, czasem patrzyli sobie w oczy, słowem, tworzyli najbardziej poprawną i najbardziej wzorową parę narzeczonych, jak sobie można było w znaczeniu światowym wyobrazić. „Jabym nie wytrzymał” — mówił sobie Połaniecki. — I nagle przypomniał sobie, że podczas, gdy ona tu sobie siedzi, konwencjonalnie uśmiechnięta, spokojna, biała, ten ów doktorzyna, który nie mógł „duszy od niej odedrzeć” — próchniej gdzieś, między zwrotnikami, równie spokojnie pod ziemią, zapomniany, tak jakby nigdy nie istniał. I porwała go złość. Odczuł nietylko pogardę dla serca panny Krasławskiej, ale ten jej spokój wydał mu się czemś w złym smaku, jakąś duchową martwością, która niegdyś była w modzie i na którą wówczas, widząc w niej coś demonicznego, piorunowali poeci, ale która z czasem spospolociała i stała się równą moralnej nicości i głupocie. „To przedewszystkiem jest gęś, a w dodatku gęś bez serca” — pomyślał Połaniecki. — I w tej chwili niepokój Maszki z powodu szlachetnego zachowywania się tych pań, stał mu się zrozumiałym, do tego stopnia, że Maszko urósł w jego opinii, jako człowiek przenikliwy i sprytny.

Potem począł porównywać własną narzeczoną z panną Krasławską i z wielkiem wewnętrznym zadowoleniem powiedział sobie: „Maryśka, to zgoła inny gatunek.” Czuł, że wypoczywa duchowo, patrząc na nią. O ile tamta była jakby sztuczną rośliną, wyhodowaną nie w szerokich zdrowych powiewach, ale pod szkłem, o tyle od tej biło życie i ciepło, a pomimo tego porównanie wypadło na korzyść Maryni nawet pod względem światowym. Połaniecki nie lekcewał zupełnie tak zwanej „dystynkcji,” rozumiejąc, że jeśli nie zawsze, to często odpowiada ona pewnemu duchowemu wykończeniu, zwłaszcza u kobiet. Owóż, patrząc to na jedną, to na drugą, doszedł do przekonania, że owo wykończenie, które u panny Krasławskiej jest czemś nabytem i krępującem, u Maryni czemś wrodzonym. W tamtej było to narzuconą zewnętrzną suknią, w tej duszą i jakby naturalną cechą gatunku, uszlachetnionego przez długie wieki kultury. Biorąc z poglądów Bukackiego tyle, ile mu było potrzeba, to jest, ile w nich było trafnego, Połaniecki przypomniał sobie, co tenże nieraz powtarzał, że kobiety, bez względu na pochodzenie, dzielą się na patrycyuszki, mające kulturę, zasady i duchowe potrzeby wprowadzone w krew, i na parweniuszki, które ubierają się w nie, jak w mantylki, tylko do gości. Obecnie, spoglądając na szlachetny profil Maryni, Połaniecki myślał z chępliwością małomieszczanina, żeniącego się z księżniczką, że bierze patrycyuszkę w całem znaczeniu tego wyrazu.

I do tego patrycyuszkę bardzo ładną. Nieraz kobietom potrzeba tylko trochę pola i trochę szczęścia, by zakwitnąć. Marynia, która Połanieckiemu, w chwili, gdy wrócił z pogrzebu Litki, wydała się prawie brzydka, teraz dziwiła go czasami swoją urodą. Panna Krasławska wyglądała przy niej, jak spłowiła suknia przy nowej, i gdyby fortuna panny Pławickiej była na wysokości jej urody, uchodziłaby niewątpliwie za piękność. I tak, Wyże, nakładając binokle na swoje końskie nosy, spoglądali na nią z pewnym podziwem, zaś baron Kot z Dębna oświadczył poufnie, iż prawdziwe szczęście, że już narzeczona, bo gdyby tak nie było, to kto wie, czy by nie „wdepnął.”

Połaniecki też mógł zauważyć tego wieczora jeden rys swego charakteru, którego się nie domyślał. Oto był zazdrosny. Ponieważ był jednocześnie przekonany, że Marynia jest kobietą zupełnie pewną, której można ślepo zaufać, przeto zazdrość ta była prostą niekonsekwencją. W swoim czasie zazdrosny był o Maszkę, i to rozumiało się samo przez się; ale teraz sam nie umiał sobie zdać sprawy, dlaczego naprzykład taki Kopowski, ze swoją głową archaniola, a ptasim mózgiem, może go drażnić dlatego tylko, że siedzi koło Maryni i zadaje jej zapewne mniej lub więcej niedorzeczne pytania, na które ona mniej

lub więcej uprzejmie odpowiada. Początkowo począł sam sobie robić wyrzuty. „Trudno jednak wymagać od niej, żeby mu pokazała język!” Później wszelako osądził, że Marynia zanadto często zwraca się ku Kopowskiemu, że patrzy na niego zbyt ciekawie i odpowiada mu zbyt uprzejmie. Przy kolacyi, siedząc koło niej, był zły i milczący, a gdy go spytała o powód, odpowiedział najniedorzeczniej:

— Nie chcę psuć wrażenia, jakie sprawił pan Kopowski.

A jej podobało się to, że był o nią zazdrosny, więc ścisnąwszy kąciki ust dla stłumienia uśmiechu i spoglądając na niego uważnie, rzekła:

— Czy pan także sądzi, że w panu Kopowskim jest coś nadzwyczajnego?

— Owszem, owszem! On nawet, jak idzie ulicą, to zdaje się, że niesie głowę na świeże powietrze, z obawy, żeby mu jej móle nie zjadły.

Kąciki ust Maryni wytrzymały próbę, ale oczy śmiały się widocznie, wreszcie, nie mogąc wytrzymać, rzekła cicho:

— Szkaradny zazdrośnik.

— Ja? Bynajmniej!

— No, to powiem panu wyjątek z naszej rozmowy. Pan wie, że wczoraj był na estradzie w czasie koncertu wypadek katalepsy. Dziś mówiono o tem koło nas, więc tak, między innymi, spytałam pana Kopowskiego, czy widział kataleptyka? Wie pan, co mi odpowiedział? Że każdy może mieć inne przekonania. A co? czy nie nadzwyczajny człowiek?

Połaniecki udobruchał się i począł się śmiać.

— Ale ja pani powiadam, że on wprost nie rozumie, co się do niego mówi, i odpowiada byle co.

I resztę wieczora spędzili już przy sobie, w dobrej zgodzie. W chwili rozstania, gdy Pławicy, mając tylko podwójną karetkę, nie mogli zabrać Połanieckiego, Marynia pochyliła się ku niemu i spytała:

— Czy brzydki grymaśnik przyjdzie jutro na obiad?

— Przyjdzie, bo kocha — odpowiedział Połaniecki, otulając jej nogi futrem.

Ona zaś odszepnęła mu do ucha, jakby wielką nowinę:

— I ja także.

A jakkolwiek on, w chwili gdy to mówił, był zupełnie szczery, ona jednak mówiła większą prawdę.

Maszko odprowadzał Połanieckiego do domu. Po drodze rozmawiali o dzisiejszym wieczorze. Maszko opowiadał, że przed przybyciem gości próbował mówić z panią Krasławską o interesach, ale mu się powiodło.

— Była chwila — rzekł — że chciałem postawić kwestyę jasno, ubrawszy ją oczywiście w możliwie delikatne formy. Ale bałem się. Ostatecznie, dlaczego ja wątpię o posagu mojej narzeczonej? Tylko dlatego, że te panie obchodzą się ze mną przyzwoiciej, niżem się spodziewał. Jako humor, to jest bardzo dobre, ale boję się za daleko posuwać, bo nuż moje obawy okażą się płonne, nuż one mają rzeczywiście pieniądze — i oburzą się, gdy moja ciekawość okaże się zbyt interesowną. Trzeba się i z tem liczyć, bo mogą się rozbić u portu.

— Więc dobrze — odpowiedział Połaniecki — dajmy na to — i to zresztą jest prawdopodobne, że mają, ale gdyby się pokazało, że nie — co zrobisz wówczas? Czy masz gotowy plan? Zerwiesz z panną Krasławską, czy się z nią ożenisz?

— Nie zerwę w żadnym razie, bo nic na tem nie zyskam. Jeśli moje małżeństwo nie przyjdzie do skutku, zbankrutuję i tak. Ale powiem wówczas jasno, jakie jest moje położenie finansowe i przypuszczam, że panna Krasławska ze mną zerwie.

— Jeśli zaś nie?

— Zakocham się w niej i zacznę układać się z wierzycielami. Przestanę, jak mówisz, „udawać” — i będę się starał zarobić na chleb dla nas obojga. Jestem niezłym adwokatem. O tem wiesz.

— To jest dość przyzwoite — odpowiedział Połaniecki — ale mnie to nie uspokaja co do Pławickich i co do mnie.

— Wy jesteście w lepszym położeniu od innych, bo siedzicie na Krzemieniu. W danym razie ty weźmiesz wszystko w swoje twarde łapy i coś tam wyciśniesz. Gorzej z tymi, którzy mi wierzyli na słowo, i powiem ci w oczy, że mi więcej o nich chodzi. Miałem,

a nawet mam, ogromne zaufanie... To dziś moja bolączka. Ale jeśli mi dadzą czas, to jakoś wylatam... Gdybym zaś miał trochę szczęścia w domu, a w niem sprężynę do roboty...

Tu doszli do mieszkania Połanieckiego, więc Maszko nie dokończył myśli. W chwili jednak, gdy się mieli pożegnać, rzekł nagle:

— Słuchaj. Ty mnie masz trochę za szuję — a ja mniej nią jestem, niż myślisz. *Udawalem* — jak powiadasz — prawda! musiałem się wykręcać, jak piskorz, i w tych wykrętach schodziłem czasem z bitej drogi... Ale się zmęczyłem i powiem ci otwarcie, że chce mi się trochę szczęścia, bom go nie miał. Dlatego chciałem się żenić z twoją dzisiejszą narzeczoną, choć jest niemajątna. A co do panny Krasławskiej, czy ty wiesz, że są czasem chwile, w których wołałbym, żeby się okazało, że nic nie ma, ale żeby w zamian nie opuściła mnie, gdy się dowie, że i ja nic nie mam. To ci szczerze mówię — a teraz: dobranoc!

— No! — mówił sobie Połaniecki — to coś w Maszce nowego.

I wszedł do bramy. Stanąwszy u drzwi, usłyszał ze zdziwieniem w swoim mieszkaniu fortepian. Służący powiedział mu, że to Bigiel czeka na niego od dwóch godzin.

Połaniecki zaniepokoił się, ale pomyślał, że gdyby powodem bytności Bigiela było co niepomyślnego, toby nie wygrywał na fortepianie. Jakoż okazało się, że Bigielowi potrzeba było pilno tylko podpisu Połanieckiego do sprawy, która musiała być załatwiona nazajutrz rano.

— Mogłeś mi zostawić papiery i iść spać — rzekł Połaniecki.

— Ja też wyspałem się u ciebie na sofie, a potem siadłem do fortepianu. Niegdyś grałem tak dobrze, jak i na wiolonczeli, ale teraz już palce ciężkie. Twoja Marynia podobno gra: to taka miła rzecz w domu!

A Połaniecki począł się śmiać swoim szczerym, życzliwym śmiechem.

— Moja Marynia? Moja Marynia posiada talent ewangeliczny: „nie wie lewica, co robi prawica”. Biedactwo kochane! Nie ma też żadnej pretensyi i grywa tylko wówczas, kiedy ją o to proszą.

Na to rzekł Bigiel:

— Niby się to wyśmiewasz, ale tak się wyśmiewają tylko zakochani.

— Bo też jestem zakochany najzupełniej. Przynajmniej teraz tak mi się wydaje, a wogóle muszę powiedzieć, że mi się to wydaje coraz częściej. Chcesz, Bigiel, herbaty?

— Dobrze. Wracasz od pani Krasławskiej?

— Tak.

— Cóż Maszko? Dobija do brzegu.

— Przed chwilą się z nim rozstałem. Odprowadzał mnie do bramy. Jednakże on mówił czasem takie rzeczy, którychby się po nim nikt nie spodziewał.

I Połaniecki rad, że ma z kim pogawędzić i czując potrzebę poufnej rozmowy, począł opowiadać, co słyszał od Maszki i jak dalece zdziwił się, znalazłszy romantyka pod skórą człowieka tego rodzaju.

— Maszko nie jest szują — rzekł Bigiel. — On jest tylko na drodze do rozmaitych zbroczeń, a powodem tego jest jego próżność i cześć dla pozorów. Ale z drugiej strony, ta cześć dla pozorów chroni go od ostatecznego upadku. Co zaś do romantyka, którego w nim odkryłeś...

Tu Bigiel obciął koniec cygara, zapalił je z wielką uwagą, marszcząc przytem brwi, i siadłszy wygodnie, mówił dalej:

— Bukacki powiedziałby na ten temat z dziesięć ironicznych paradoksów o naszym społeczeństwie... To mi utkwilo w głowie, coś mi mówił, jak on napadał na nas za to, że tu się zawsze coś, albo kogoś kocha. Jemu się zdaje, że to głupie i do niczego, a ja w tem widzę wielki przymiot. Trzeba czemś na świecie stać, a co my mamy? Pieniądzy nie mamy, rozumu o tyle o ile, daru orientowania się w położeniu niewiele, gospodarności — mało; my naprawdę mamy to jeszcze, że tu się prawie mimowoli, przez jakiś ogólny nastrój, coś, albo kogoś kocha, a jeśli się nawet nie kocha, to się czuje tego potrzebę. Ty wiesz, że ja jestem rozsądny człowiek i kupiec, więc mówię trzeźwo. Ja się nad tem zastanawiałem z powodu Bukackiego... Taki Maszko naprzykład gdzieindziej byłby szelmą z pod ciemnej gwiazdy. I takich znam wielu. Tu jednak nawet pod szują możesz się doskrobać człowieka — i to jest prosta rzecz! Bo ostatecznie, póki się w brzuchu ma jeszcze jakąś iskrę, póty się nie jest zupełnem bydłem — a tu się ją ma, właśnie dlatego, że się coś kocha.

— Przypominasz mi Waskowskiego. To, co mówisz, to niedalekie od jego poglądów na misję najmłodszych z Aryów.

— Co mi tam Waskowski! Mówię to, co myślę. Wiem jedno: odejmij nam to — a rozlecimy się, jak beczka bez obręczy.

— Więc słuchaj, co ci powiem. Jest to rzecz we mnie dość dawno rozstrzygnięta. Kochać, lub nie kochać kogoś, to kwestya osobista, ale rozumiem, że coś trzeba w życiu kochać. I ja także zastanawiałem się nad tem. Po śmierci tego oto dziecka, czułem, że pewne strony we mnie licho wzięło — czasem czuję to jeszcze. Dziś nie, ale mówiam chwile — jakby ci powiedzieć: odpływu, wyczerpania, zwątpień — i jeśli się pomimo tego żenię, to dlatego, iż rozumiem, że trzeba dać życiowy i silny podkład pod ogólniejszą miłość...

— Dlatego i nie dlatego — odpowiedział nieubłagany w swym rozsądku Bigiel — bo ty się żenisz wcale nie z powodów czysto rozumowych. Bierzesz ładną i pocziwą dziewczynę, do której cię ciągnie i nie wmawiaj w siebie, że jest inaczej, bo i ty zaczniesz udawać... To, mój kochany, te wątpliwości przed ożenieniem się ma każdy. Ja, jak mnie widzisz — nie żaden filozof, a dziesięć razy na dzień pytałem siebie przed ślubem, czy ja dość kocham moją przyszłą, czy tak jak potrzeba, czy nie za mało duszą, a nie za wiele zmysłami? Bóg wie co! Potem ożeniłem się, wziąłem dobrą kobietę i jest nam dobrze. Wam również będzie dobrze, byleście po prostu rzeczy brali, bo to ciągle zachodzenie w głowę i rozpatrywanie jakichś tajników serca — to dalibóg głupstwo.

— Może i głupstwo — odpowiedział Połaniecki. — Ja też nie mam zamilowania do leżenia do góry brzuchem i analizowania się od rana do wieczora, ale nie mogę nie widzieć faktów.

— Jakich faktów?

— Takich, jak na przykład, że moje uczucie nie jest tem, czem było na początku. Myślę, że tem będzie, przynaję, że do tego idzie. Żenię się mimo tych spostrzeżeń tak, jakby one nie istniały, ale je robię.

— To wolno.

— I widzisz, co jeszcze prócz tego myślę: że trzeba jednak, by okna domu wychodziły na słońce, inaczej będzie w mieszkaniu zimno.

— Toś dobrze powiedział — odrzekł Bigiel.

X

Tymczasem zima poczęła się przełamywać, nadchodził koniec postu, a tem samem zbliżał się termin ślubu tak Połanieckiego, jak Maszki. Bukacki, zaproszony na druźbę, odpisał mu między innymi, co następuje: „Wytrącać wszechsiłę twórczą ze stanu ogólnego, to jest ze stanu doskonałego spoczynku, i zmuszać ją za pomocą zawieranych na ziemi małżeństw do wcielenia się w mniej więcej wrzaskliwe szczegóły, wymagające kołysek i zabawiające się trzymaniem wielkiego palca od nogi w ustach, jest zbrodnią. Przyjadę jednak, ponieważ piece są u was lepsze, niż tu.” Jakoż na tydzień przed świętami przyjechał i przywiózł w darze Połanieckiemu misternie ozdobną pergaminową kartę, w rodzaju klepsydry pogrzebowej, na której był napis: „Stanisław Połaniecki, po długim i ciężkim kawalerstwie etc.”

Połaniecki, któremu karta się podobała, poniósł ją nazajutrz koło południa Maryni. Zapomniał jednak, że to niedziela, i ułożywszy sobie z góry miłe spędzenie czasu do obiadu, doznał jakby rozczarowania, zastawszy Marynię w kapeluszu:

— Pani wychodzi? — spytał.

— Tak. Do kościoła. Dziś niedziela.

— A, niedziela!... Prawda! A ja myślałem, że sobie posiedzimy razem. Takby było przyjemnie.

A ona podniosła na niego swoje pogodne niebieskie oczy i rzekła z prostotą:

— A służba boża?

Połaniecki na razie przyjął te słowa tak, jakby był przyjął każde inne, nie przewidując, że w duchowym procesie, jaki mu później przyszło przechodzić, odegrają one, właśnie z powodu swej prostoty, pewną rolę. Tymczasem odrzekł, jakby powtarzając je mechanicznie:

— Mówi pani: służba boża. Owszem! Ja mam czas; pójdziemy razem.

Marynia przyjęła to oświadczenie z wielkiem zadowoleniem. Po drodze rzekła:

— Ja, to im jestem szczęśliwsza, tem bardziej Pana Boga kocham.

— To także znak dobrej natury, inni tylko myślą o Bogu, jak bieda.

I w kościele przyszło mu znów na myśl to, o czym myślał w czasie pierwszej swej bytności w Krzemieniu, gdy razem ze starym Pławickim byli na nabożeństwie w Wątorach: „Wszystkie filozofie i systemy lichy bierze, jeden po drugim, a msza po staremu się odprawia.” Zdawało mu się, że jednak jest w tem coś niepojętego. On, który z powodu Litki zetknął się ze śmiercią w sposób tak bolesny, wracał ustawicznie do tych ciemnych zagadnień, ilekroć zdarzyło mu się być czy na cmentarzu, czy w kościele na mszy, czy w jakichkolwiek okolicznościach, w których odbywało się coś, nie mającego związku z bieżącymi realnymi potrzebami życia, ale obliczonego na pozagrobową przyszłość. Uderzyło go, jak jednak w życiu wiele się robi dla tej przyszłości, i jak, mimo wszelkich filozofowań, zwątpień, żyje się tak, jakby ona była zupełnie niewątpliwą, ile się dla niej poświęca z osobistych małych egoizmów, ile się spełnia filantropijnych czynów, jak się wznosi ochrony, szpitale, kościoły, a wszystko na ten rachunek, płatny dopiero poza grobem.

Jeszcze bardziej uderzyła go myśl, że naprawdę, żeby się pogodzić z życiem, trzeba naprzód pogodzić się ze śmiercią, a bez wiary w coś zagrobowego, jest to wprost niemożliwe. Natomiast, gdy się ją ma, kwestya upada, jakby jej nie było. „Niech dyabli wezmą żalobę — włóżmy sobole!” Bo jeśli tak, to czegoż można chcieć więcej? Ma się przed sobą tylko widok jakiegoś nowego istnienia, w najgorszym razie, ogromnie ciekawego — i ta pewność równa się spokojowi i ciszy. Przykład tego miał teraz Połaniecki w Maryni. Z powodu nieco krótkiego wzroku, trzymała głowę schyloną nad książką, ale gdy chwilami podnosiła ją, Połaniecki widział twarz tak pogodną, tak pełną roślinnego niemal spokoju, i tak ukojoną, że po prostu anielską. — „To jest szczęśliwa kobieta, i będzie zawsze szczęśliwa! — mówił sobie — i w dodatku ma rozum, bo gdyby po stronie przeciwnej była przynajmniej pewność — byłaby zarazem i ta pociecha, jaką daje prawda — ale mordować się dla rozmaitych znaków zapytania — to czyste głupstwo.”

Po drodze do domu, Połaniecki, myśląc ciągle o tym wyrazie Maryni, rzekł:

— W kościele wyglądała pani jak jakiś profil Fra Angelica. Miała pani twarz istoty zupełnie szczęśliwej.

— Bo też ja teraz jestem szczęśliwa. A wie pan dlaczego? Oto dlatego, że jestem lepsza, niż byłam. Miałam wówczas w sercu urazę i niechęć, nie miałam przed sobą żadnej nadziei i wszystko to razem złożyło się na taką gorycz, że strach! Powiadają, że nieszczęście uszlachetnia wybrane dusze, ale ja nie jestem wybraną duszą. Zresztą, może nieszczęście uszlachetnia, ale gorycz, ale uraza, ale niechęć — psuje... To jak trucizna.

— Bardzo mnie pani wówczas nienawidziła?

Marynia spojrzała na niego i odrzekła:

— Tak nienawidziłam, że po całych dniach myślałam tylko o panu.

— Maszko ma spryt — odpowiedział Połaniecki — on kiedyś określił mi to tak: „Wolała ciebie nienawidzić, niż mnie kochać.”

— Oj, że wolałam, to wolałam!

Tak rozmawiając, doszli do domu. Połaniecki miał wtedy czas rozwinąć swoją pergaminową klepsydre i pokazać ją Maryni. Ale jej koncept ten się nie podobał. Brała ona małżeństwo nietylko od strony serca, ale od strony religii. „Z takich rzeczy się nie żartuje” — rzekła — i po chwili przyznała się Połanieckiemu, że czuje urazę do Bukackiego.

Po obiedzie nadszedł Bukacki. Przez te kilka miesięcy pobytu we Włoszech stał się jeszcze cieńszym, co było dowodem przeciw skuteczności „chianti” na katar żołądka. Nos jego przypominał subtelnością ostrze noża, a humorystyczna, ironicznie uśmiechnięta twarzyczka uczyniła się jakby porcelanową i nie większą od pięści dorosłego mężczyzny. Był on krewnym i Połanieckiego, i Maryni, i dlatego mówił przy nich, co mu się podobało. Od progu niemal oświadczył im, że wobec coraz częstszych obecnie na świecie zbrodni umysłowych, może tylko ubolewać, ale nie dziwi się, iż się zaręczyli. Przyjechał wprawdzie w nadziei, że potrafi ich jeszcze uratować, ale widzi teraz, że się spóźnił i że nie pozostaje mu nic innego, jak rezygnacja. Marynia, słysząc to, poczęła się oburzać, ale Połaniecki, który go lubił, rzekł:

— Zachowaj koncepta na mowę weselną, którą musisz powiedzieć, a teraz powiedz nam tylko, jak się ma nasze profesorzysko?

Na to Bukacki odpowiedział poważnie:

— Dostał pomieszania zmysłów.

— Niech pan nie żartuje w ten sposób — rzekła Marynia.

A Połaniecki dodał:

— I tak marnie.

Lecz Bukacki ciągnął z równą powagą:

— Profesor Waskowski ma pomieszanie zmysłów, a oto są moje dowody: po pierwsze, chodzi po Rzymie bez kapelusza, a raczej chodził, bo obecnie jest w Perugii; powtóre, napadł na młodą i przystojną Angielkę, dowodząc jej, że Anglicy są tylko w prywatnym życiu chrześcijanami, ale że stosunek Anglii do Irlandyi nie jest chrześcijański; po trzecie: drukuje broszurę, że misya ożywienia i odrodzenia dziejów duchem chrześcijańskim powierzona została najmłodszemu z Aryów. Pozwólcie, że to są dowody.

— Wiedzieliśmy to przed wyjazdem profesora, i jeśli nic więcej mu nie grozi, to mam nadzieję, że zobaczymy go w dobrym zdrowiu.

— On nie myśli o powrocie.

Lecz Połaniecki wydobyl notes, napisał kilka słów ołówkiem i podawszy Maryni, rzekł:

— Niech pani przeczyta i powie, czy dobrze?

— Skoro przy mnie piszą, usuwam się — rzekł Bukacki.

— Nie, nie! — to nie sekret!

A Marynia zaczerwieniła się jak wiśnia z radości, i jakby nie chcąc oczom wierzyć, poczęła pytać:

— Czy to naprawdę? Nie?...

— To zależy od pani.

— Ach, panie Stachu!... Anim o tem marzyła. Muszę powiedzieć papie, muszę!

I wybiegła z pokoju.

— Gdybym był poetą, tobym się powiesił — rzekł Bukacki.

— Dlaczego?

— Bo jeśli parę słów, skreślonych ręką współnika Domu Bigiel i S-ka, może zrobić więcej wrażenia, niż najpiękniejszy sonet, to lepiej jest być chłopcem młynarskim, niż poetą.

Ale Marynia w uniesieniu radości zapomniiała książeczki notatkowej, więc Połaniecki pokazał ją Bukackiemu, mówiąc:

— Czytaj.

Bukacki przeczytał:

„Po ślubie Wenecya, Florencyja, Rzym, Neapol — czy dobrze?”

— Więc to podróż do Włoch?

— Tak. Wyobraź sobie, że to biedactwo nie było nigdy w życiu za granicą, a Włochy wydawały jej się zawsze zaczarowanym krajem, o którego widzeniu ani marzyła. To wielka radość dla niej — a u licha, cóż dziwnego, że ja trochę myślę o jej przyjemnościach.

— Miłość i Włochy! O Boże, ileś ty już razy na to patrzył! Wszystko to stare, jak świat.

— Nieprawda! Zakochaj się, a obaczysz, że znajdziesz w tem coś nowego.

— Mój kochany, nie o to chodzi, że ja się jeszcze nie kocham, tylko o to, że się już nie kocham. Dawno wygrzebałem z piasku tego Sfinxa i nie jest już on dla mnie zagadką.

— Bukacki, ożeń się.

— Nie mogę. Mam za słaby wzrok i za słaby żołądek.

— Cóż to za przeszkoda?

— Bo widzisz, kobieta jest jak papierowa karta. Anioł pisze z jednej strony, dyabeł z drugiej, papier przebija, słowa się mieszają i robi się bigosik, którego ja nie mógłbym ani przeczytać, ani strawić.

— Że też ty możesz całe życie żyć konceptami!

— Tak samo umrę, jak i ty, który się żenisz. Nam się zdaje, że my myślimy o śmierci: ona o nas lepiej myśli.

Tymczasem Marynia wróciła z ojcem, który uściskał Połanieckiego i rzekł:

— Mówiła mi Marynia, że chcecie jechać do Włoch po ślubie.
— Jeśli moja przyszła pani się zgodzi.
— Przyszła pani nietylko się zgadza — odpowiedziała Marynia — ale straciła głowę z radości, i ma ochotę skakać po pokoju, jakby miała dziesięć lat.

Na to pan Pławicki rzekł:

— Jeśli krzyżyk samotnego starca może się wam przydać w daleką podróż, to was żegnam.

I wznosił oczy i rękę ku górze, ku niewymownej radości Bukackiego, lecz Marynia ściągnęła w dół wzniesioną rękę pana Pławickiego i, pocałowawszy ją, rzekła, śmiejąc się:

— Papiusiu, będzie czas, toż my się dopiero tam kiedyś po ślubie wybieramy.

— I właściwie mówiąc — dodał Bukacki — to kupuje się bilety, oddaje się na wagę rzeczy i jedzie się — nic więcej.

Na to pan Pławicki zwrócił się do młodego cynika i odpowiedział z pewnym namaszczaniem:

— Czy jużście do tego doszli, że błogosławieństwo samotnego starca i ojca uważacie za zbyteczne?

Lecz Bukacki, zamiast odpowiedzi, objął w pól pana Pławickiego, pocałował go w okolice kamizelki i rzekł:

— A czyby „samotny starzec” nie zagrał w pikietę, żeby tym dwom szalonym głowom dać się wygadać?

— Ale z rubikonem? — odpowiedział pan Pławicki.

— Ze wszystkim, czego pan chce.

To powiedziawszy, zwrócił się do młodej pary:

— Najmijcie mnie za przewodnika po Włoszech.

— Ani myślę — odpowiedział Połaniecki. — Byłem tylko w Belgii i we Francji, Włoch nie znam, ale chcę widzieć to, co nas będzie interesowało, nie to, co ciebie. Widziałem takich, jak ty, i wiem, że wy przez prerafinowanie dochodzicie do tego, że nie kochacie sztuki, tylko własne znawstwo.

Tu Połaniecki mówił dalej do Maryni:

— Tak, oni do tego dochodzą. Tracą poczucie wielkiej i prostej sztuki, a szukają czegoś, co może zająć jeszcze ich przesyty — i dowieść znawstwa. Nie widzą drzewa, tylko wyszukują sęków. Nie obchodzą ich najwięksi, których my pojedziemy oglądać, tylko jacyś najmniejsi, o których nikt nie słyszał; wydobywają jakieś nazwiska z pod ciemnej gwiazdy; zajmują się tą lub ową manierą, wmawiają w siebie i w drugich, że rzeczy gorsze, bardziej niedołążne, są ciekawsze od lepszych i doskonalszych. My za jego przewodem mogliśmy nie zobaczyć całych kościołów, a widzielibyśmy rozmaite rzeczy, które przez lupę trzeba oglądać. Mówię pani, że wszystko to przesyty, nadużycie i prerafinowanie — a my sobie prości ludzie.

Marynia patrzyła na niego z dumą, jakby chciała powiedzieć: „O to, to się nazywa mówić!” Duma zaś jej wzrosła jeszcze, gdy Bukacki rzekł:

— Masz wszelką słuszność.

Lecz oburzyła się, gdy po chwili dodał:

— A powtóre, gdybyś jej nie miał, przed tym oto trybunałem nie wygrałbym sprawy.

— Przepraszam, ja wcale nie jestem zaślepiona.

— A ja wcale nie jestem znawcą sztuki.

— Owszem, pan jest.

— Jeśli jestem, tedy oświadczam, że znawstwo obejmuje tylko więcej szczegółów, wcale zaś nie przeszkadza kochaniu wielkiej sztuki, i niech pani wierzy nie Połanieckiemu, ale mnie.

— Nie! Wolę wierzyć panu Połanieckiemu.

— Co było do przewidzenia — odpowiedział Bukacki.

Marynia poczęła spoglądać to na jednego, to na drugiego, z trochę zakłopotaną miną, ale tymczasem pan Pławicki nadszedł z kartami. Narzeczeni chodzili pod rękę po pokojach, Bukacki zaś wkrótce poczał się nudzić i nudził się coraz bardziej. W końcu wieczora, humor, który go ożywiał, zgasł, mała twarzyczka stała się jeszcze mniejszą, nos jeszcze ostrzejszym i wyglądał jak zwiędły liść. Wieczorem, gdy wyszli razem z Połanieckim, ten spytał:

— Coś ci zbrakło animuszu?

— Bo ja jestem jak maszyna — odrzekł Bukacki — póki mam w sobie paliwo, póty jadę, ale jak wieczorem ranny zapas się wyczerpie, to stoję.

A Połaniecki spojrział na niego uważnie:

— Czemu ty w sobie palisz?

— Są rozmaite rodzaje węgla. Chodź do mnie, dam ci filiżankę dobrej kawy, to nas ożywi.

— Słuchaj, to jest delikatna rzecz, ale mnie ktoś mówił, że ty się od dawna morfinizujesz.

— Od bardzo niedawna — odrzekł Bukacki — żebyś ty wiedział, jakie to horyzonty otwiera.

— I zabija. Bójże ty się Boga!

— I zabija. Powiedz mi tak szczerze, czy tobie kiedy przyszło do głowy, że można mieć po prostu nostalgię śmierci?

— Nie — rzekł Połaniecki — ja rozumiem rzecz przeciwną.

Na chwilę umilkli.

— Ale ja ci nie dam ani morfiny, ani opium — rzekł wreszcie Bukacki — tylko dobrej kawy i butelkę uczciwego Bordeaux. Będzie to niewinna orgia.

Po niejakiem czasie doszli do mieszkania Bukackiego. Było to mieszkanie prawdziwie zamożnego człowieka, trącające nieco pustką, ale pełne drobiazgów, mających związek ze sztuką, obrazów i rycin. Lampy paliły się w kilku pokojach, bo Bukacki nie znosił ciemności nawet podczas snu.

„Bordeaux” znalazło się w pogotowiu, a pod maszynką od kawy zapłonął po chwili błękitny płomyk. Bukacki wyciągnął się na sofie i rzekł nagle:

— Bo może ty jednej rzeczy nie przypuszczasz, że, jak mnie widzisz takiego filigranowego, jak jestem, ja nic a nic nie boję się śmierci.

— To jedno czasem przypuszczałem — odpowiedział Połaniecki — że ty dowcipkujesz i dowcipkujesz, ludzisz sam siebie i drugich, a w gruncie rzeczy w tobie tego niema — i że to wszystko jest sztuczne.

— Głupota ludzka bawi mnie trochę.

— Ale ty, jeśli się masz za mądrego, jak mogłeś sobie tak marnie życie urządzić?

Tu Połaniecki obejrzał się na bibeloty, obrazy i dodał:

— Bo w całym tem otoczeniu, ty jednak marnie żyjesz.

— Dostyc marnie.

— Ty także należysz do tych, którzy *udają!* Co za choroba w tem społeczeństwie! Pozujesz i cała rzecz!

— Czasem. Ale zresztą to się zmienia w naturę.

Bukacki zwolna, pod wpływem „Bordeaux”, ożywił się i stawał się rozmowniejszym, jakkolwiek nie powracała mu wesołość.

— Widzisz — rzekł — jednej rzeczy nie udaję. Oto wszystko, co sam mogłem sobie powiedzieć, lub co ktoś może mi powiedzieć, pomyślałem i powiedziałem sobie od dawna. Prowadzę najgłupsze i najbardziej czcze życie, jakie można prowadzić. Naokoło mnie jest ogromna nicość, której się boję i którą zarzucam takimi oto gratami, jakie widzisz w tym pokoju, żeby się mniej bać. Nie lękać się śmierci, to co innego, bo się po śmierci nie czuje, ani myśli. Wtedy ja będę stanowił także cząstkę nicości, ale czuć ją, żyjąc, uświadamiać ją, zdawać sobie z niej sprawę, dalibóg, nie może być nic podlejszego. Przytem stan mego zdrowia jest zły naprawdę i odejmuje mi wszelką energię. Nie mam w sobie paliwa, więc go sobie dodaję. Mniej w tem jest pozy i udawania, niż przypuszczasz. Że poddawszy sobie paliwa, biorę życie ze strony humorystycznej, to naśladowuję w tem chorego, który leży na tym boku, na którym mu leżeć najdogodniej. Tak mi najdogodniej, a że pozycja jest sztuczna, zgadzam się; każda inna jednak byłaby dokuczliwsza. I oto przedmiot wyczerpany.

— Gdybyś ty się wziął do jakiej roboty.

— Dajże spokój. Naprzód, ja mnóstwo rzeczy wiem, a nic nie umiem; powtóre, jestem chory; po trzecie, radźże paralitykowi, żeby dużo chodził, kiedy on nie włada nogami. Przedmiot wyczerpany! Napij się oto wina i mówmy o tobie. To dobra panna,

panna Pławicka, i dobrze robisz, że się z nią żenisz. Co ja tam gadam sobie w dzień, to się nie liczy. To dobra panna i ona ciebie kocha...

Tu Bukacki, ożywiony i podniecony widocznie winem, począł pospiesznie mówić:

— Bo co ja po dniu gadam, to się nie liczy. Teraz jest noc, pijemy wino i przychodzi szersza chwila. Chcesz jeszcze wina, czy kawy? Lubię ten zapach: trzeba zawsze mieszać mokkę i ceylon w równych częściach... Przychodzi teraz szersza chwila! Wiesz, co ja w gruncie rzeczy myślę. Nie mam dobrego pojęcia, ile szczęścia może dać sława, bom jej nie posiadam, a że świątynia w Efezie już spalona, więc niema przedemną widoków... Przypuszczam jednak, ot tak sobie, że tę ilość mogłaby zjeść mysz, i to nietylko na czczo, ale po dobrem śniadaniu w spiżarni... Wiem natomiast, co jest dostatek, bo go trochę mam; wiem, co są podróże, bom się włóczył; wiem, co swoboda, bom swobodny; wiem, co kobiety — oj, u diabła! aż nadto! — i wiem, co książki. Prócz tego, w tym pokoju mam trochę obrazów, trochę rycin i trochę porcelany... A teraz słuchaj, co ci powiem: wszystko to nic! wszystko marność! głupstwo! próchno! w porównaniu z jednym sercem, które kocha! Ot, rezultat moich spostrzeżeń — tyłkom ja doszedł do tego na końcu, co dla normalnych ludzi jest początkiem.

Tu począł gorączkowo mieszać łyżeczką w kawie, a Połaniecki, który był bardzo żywy, zerwał się i rzekł:

— A ty bestyo jedna! A cóżes to gadał przed kilku miesiącami, że pyrgasz do Włoch, bo tam ciebie nikt nie kocha, ani ty nikogo nie kochasz. Pamiętasz, może się będziesz wypierał?

— A cóżem gadał dziś rano tobie i twojej narzeczonej? żeście powaryowali? A teraz tobie mówię, że dobrze robisz! Cóż ty chcesz odemnie logiki! Gadać a mówić, to dwie rzeczy różne. A teraz jestem szerszy, bom wypił dwie butelki wina.

Lecz Połaniecki począł chodzić po pokoju i powtarzać:

— No, dalibóg! to coś bajecznego. Ot, jaki jest grunt rzeczy i co oni wszyscy mówią, gdy się ich przyciśnie.

Bukacki nalał trochę drżącą ręką drugą filiżankę kawy i mówił dalej:

— Kochać — to już dobrze, ale jest jeszcze coś lepszego — to być kochanym. Nadto już niema nic! Co do mnie, oddałbym te wszystkie... Ale o mnie nie warto mówić. Życie jest to lichy i bez talentu napisana komedia — nawet to, co ogromnie boli, bywa czasem jak lichy melodramat; ale jeśli w życiu jest co dobrego, to tylko być kochanym. Wyobraź sobie, że tego nie zaznał — a tyś to znalazł, nie szukając...

— Tego nie mów, bo nie wiesz, jak mi to przyszło.

— Wiem. Mówił mi Waskowski... To zresztą wszystko jedno. Rzecz w tem, żebyś to umiał cenić.

— A czegoż ty chcesz? Rozumiem także, że mnie trochę kochają, więc żenię się i koniec.

Na to Bukacki położył mu rękę na ramieniu.

— Nie, Połaniecki. Ja jestem głupcem względem siebie samego, ale niezłym obserwatorem tego, co się koło mnie dzieje. To nie koniec — to początek... Większość mężczyzn mówi tak, jak ty: „żenię się — i koniec!” — i większość się myli.

— Tej filozofii ja nie rozumiem.

— A to widzisz o to chodzi: nie dość kobietę wziąć — trzeba jej się także dać — i trzeba, żeby to czuła. Rozumiesz?

— Nie bardzo.

— No, to udajesz naiwnego: trzeba, żeby się czuła nietylko własnością, ale i właściwie. Dusza za duszę! — inaczej można kark skrócić. Małżeństwa bywają dobre, albo złe. Maszki będzie złe dla dwudziestu powodów, a między innymi i dla tego, o którym chcę mówić.

— On jest innego zdania, ale dalibóg szkoda, żeś ty się nie ożenił, skoro tak dobrze rozumiesz, jak powinno być.

— Gdyby rozumieć i działać zgodnie z rozumem znaczyło toż samo, nie byłoby rozmaitych — przeróżnych — upadków, od których nas wszystkich kości bolą. Zresztą wyobraź sobie mnie żeniącego się!

Tu Bukacki począł się śmiać swoim cienkim głosikiem. Wróciła mu nagle wesołość, a z nią i widzenie rzeczy ze strony komicznej.

— Ty będziesz śmieszny, a cóż dopiero ja!... Boki zrywać, co to za chwila! Obaczysz za dwa tygodnie... Naprzykład, jak się będziesz ubierał do kościoła. Tu miłość, bicie serca, poważne myśli, nowa epoka... w życiu; tam ogrodnik z bukietami, frak, zgubione spinki, zawiązywanie krawata, wciąganie lakierów — wszystko razem, jeden chaos, jeden bigos... Ratujcież mnie anieli niebiescy! Lituję się nad tobą, mój kochany — i proszę, byś nie brał na seryo tego, com mówił. Zdaje się, że to nów', a ja na nowiu miewam manię mówienia sentymentalnych komunałów. Wszystko głupstwo!... To nów' — nic więcej! Byłem tkliwym, jak owca, która straciła pierworodne — i niech mnie kaszel porwie, jeśli nie mówił komunałów.

Lecz Połaniecki napadł na niego:

— Widziałem mnóstwo rzeczy marnych, ale wiesz, co mi się wydaje najmarniejszym w tobie i w tobie podobnych? Oto, że wy, którzy wyzwalacie się ze wszystkiego, nie uznajecie nad sobą nic, boicie się jak ognia każdej uczciwej prawdy, dlatego tylko, że ktoś kiedyś mógł ją już wypowiedzieć. Jakie to liche, to dalibóg słów brak! Co do ciebie, mój kochany, szczerzy byłeś przed chwilą, niż teraz... Teraz znów jesteś pudlem, który tańczy na dwóch nogach — ale ja ci powiadam, że dziesięciu takich, jak ty, nie wytlómaczy mi, żem nie wygrał wielkiego losu na loteryi.

I pożegnał Bukackiego z pewnym gniewem — w drodze jednak uspokoił się i powtarzał ustawicznie:

— Ot, gdzie prawda! Ot, co mówi taki Maszko i nawet taki Bukacki, gdy chce być szczerym — a ja wygrałem po prostu wielki los — i nie strwonię tego, com wygrał.

Poczem, wróciwszy do domu i spojrzawszy na fotografię Litki, rzekł głośno: „Moje kociątko kochane!...” Aż do chwili zaśnięcia myślał następnie o Maryni ze słodyczą i zarazem ze spokojem człowieka, który czuje, że jakieś wielkie zadanie życiowe zostało stanowczo rozwiązane i dobrze rozwiązane.

Bo jednak, mimo słów Bukackiego, był przekonany, że gdy się ożeni — to tem samem wszystko będzie rozstrzygnięte i skończone.

XI

„Katastrofa,” jak mówił Bukacki, wreszcie nadeszła. Połaniecki doświadczył też, że jeśli jest w życiu wiele takich dni, w których człowiek nie może połapać własnych myśli, do takich należy przedewszystkiem dzień ślubu. Chwilami kilkanaście naraz kręciło się w jego mózgu, tak niewyraźnych, że podobnych raczej do nieuświadomionych dokładnie wrażeń, niż do myśli. Czuł więc, że w życiu jego zaczyna się nowa epoka, że bierze na siebie wielkie obowiązki, które spełnić trzeba sumiennie i poważnie, a jednocześnie, ale to zupełnie jednocześnie, dziwił się, że kareta dotąd nie zajeżdża i zdziwienie swoje wyrażał w kształcie groźby: „Niech mi się szelmy spóźnią, to im karki pokręcę.” Opanowywał go chwilami nastrój uroczysty i jakby uczciwa bojaźń przed tą przyszłością, za którą brał na siebie odpowiedzialność — czuł w sobie pewną podniosłość i w tem uczuciu podniosłości poczynał mydlić brodę i namyślał się, czy na dzień tak wyjątkowy nie wartoby wyjątkowo sprowadzić fryzjera do swej nieco niesfornej czupryny. Marynia podstawiała się współcześnie we wszystkie jego wrażenia. Widział ją tak, jakby była przed nim. Myślał, że się w tej chwili także ubiera, że stoi w swoim pokoju przed lustrem, że mówi ze służącą, a dusza jej leci ku niemu i serce bije niespokojnie. Wówczas chwytalo go rozczulenie i monologował: „Tylko ty się tam nie bój, moje poczciwe stworzenie, bo, dalibóg, ja ci krzywdy nie zrobię” — i widział się w przyszłości dobrym, wyrozumiałym, tak, że z pewnem wzruszeniem począł spoglądać na lakierki, stojące obok fotelu, na którym leżało ślubne ubranie. Powtarzał sobie także od czasu do czasu: „Kiedy się żenić, to się żenić!” Mówił sobie, że był głupi, wahając się, bo takiej drugiej Maryni niema na świecie; czuł że ją kocha, a zarazem myślał, że pogoda jest niezła, ale że może i deszcz upaść, że w kościele Wizytkowskim może być chłodno, że za godzinę będzie klęczał przy Maryni, że bezpieczniej jest wziąć biały krawat wiązany, niż przypinany; że jednak ślub jest chyba najważniejszym w życiu obrządkiem, że jest w tem chyba coś świętego i że nie trzeba, u licha, głowy tracić w żadnych okolicznościach, bo za godzinę to się skończy, nazajutrz wyjadą, a potem zacznie się normalne i spokojne życie męża z żoną.

Te myśli jednak rozlatywały się chwilami jak stado wróbli, w które ktoś nagle z za płotu strzeli — i w głowie Połanieckiego robiła się próżnia. Mechanicznie wówczas przychodziły mu na usta tego rodzaju frazesy, jak na przykład: „Ósmy kwietnia, jutro środa! jutro środa! mój zegarek! jutro środa!” — Później budził się, powtarzał sobie: „Trzeba być idyotą!” — i rozproszone ptaki wracały znowu całem stadem do jego głowy i poczynaly w niej wicherzyć.

Tymczasem nadjechał Abdulski, komisant Domu „Połaniecki, Bigiel i S-ka,” który, obok Bukackiego, miał być drugim druhną. Będąc z pochodzenia Tataram i człowiekiem smagłym, chociaż przystojnym, wyglądał we fraku i białym krawacie tak pięknie, iż Połaniecki wyraził nadzieję, że zapewne także wkrótce się ożeni. Abdulski odpowiedział: „Chciałaby dusza do rajy,” poczem rozpoczął pantominę, mającą przedstawiać liczenie pieniędzy i począł mówić o Bigielach. Wszystkie dzieci chciały być na ślubie i na weselu, Bigielowie zaś postanowili wziąć tylko dwoje starszych, z czego powstały niesnaski i różnica zdań, wypowiedana ze strony pani Bigielowej za pomocą klapsów. Połaniecki, który był wielki dzieciarz, oburzył się tem nadzwyczajnie i rzekł:

— Ja Bigielom figła zrobię. Czy oni już pojechali?

— Zaraz mieli wyjeżdżać.

— To dobrze, to ja wpadnę do nich, po drodze do państwa Pławickich, zabiorę wszystkie dzieciśka i wysypię je przed panią Bigielową u mojej narzeczonej.

Abdulski wyraził przekonanie, że Połaniecki tego nie robi, ale tem bardziej utwierdził go tylko w zamiarze. Jakoż, siadłszy do karety, pojechali wprost po dzieci. Nauczycielka Bigielów, wiedząc, jakie stosunki łączą Połanieckiego z domem, nie śmiała się sprzeciwiać, tak, że w pół godziny później, Połaniecki, ku wielkiemu przerażeniu pani Bigielowej, wszedł do państwa Pławickich na czele całego stadka Bigieląt, ubranych w codzienne sukienki, z poprzekrzywianymi kołnierkami, z czuprynami po większej części w nieładzie i z minami nawpół uszczęśliwionemi, a nawpół przestraszonymi.

I podbiegłszy do Maryni, rzekł, całując jej ręce, przybrane już w białe rękawiczki:

— Chcieli dzieciśka pokrzywdzić. Niech pani powie, żem dobrze zrobił!

A Marynię ujął i ucieszył naprawdę ten dowód jego dobrego serca, więc rada była dzieciom z całej duszy, a nawet rada i z tego, że zebrani goście poczytali jej przyszłego za oryginała, i że pani Bigielowa, poprawiając pośpiesznie przekrzywione kołnierzyki, powtarzała z zakłopotaniem:

— No i co z takim waryatem robić!

Trochę tego samego zdania był i pan Pławicki. Ale Połaniecki i Marynia zajęli się po chwili tak wyłącznie sobą, że wszystko inne znikło im z oczu. Obojgu serca były trochę niespokojnie. On spoglądał na nią z pewnem zdziwieniem. Cała w bieli, poczawszy od trzewików aż do rękawiczek, z zielonym wiankiem na głowie i z długim welonem, wydała mu się inna, niż zwykle. Było w niej coś niezwykle uroczystego, tak jak w zmarłej Litce. Połaniecki nie uczynił wprawdzie tego porównania, czuł jednak, że w tej chwili ta biała Marynia, jeśli nie jest mu dalszą, to więcej onieśmiela go od wczorajszej, przybranej w codzienny ubiór. Wydawała mu się przytem brzydszą, niż zazwyczaj, bo wianek ślubny wyjątkowo tylko bywa kobietom do twarzy, a w dodatku niepokój i wzruszenie zacerwieniły jej twarz, która przy białym kolorze wyglądała jeszcze czerwiejsza, niż była rzeczywiście. Ale dziwna rzecz! Ta właśnie okoliczność wzruszyła Połanieckiego. W jego sercu, z natury raczej dobrem, powstało jakieś uczucie podobne do rozczulenia lub litości. Zrozumiał, że w tej Maryni musi teraz serce bić, jak w schwytanym ptaku, i począł ją uspokajać, począł mówić do niej tak dobrymi i uczciwymi słowami, że aż sam się dziwił, skąd mu się tyle ich bierze i jakim sposobem przychodzą mu z taką łatwością. Ale przychodziły mu one z łatwością właśnie z powodu Maryni. Tak w niej znać było, że ona oddaje mu się z biciem serca, ale zarazem z ufnością, że oddaje mu serce, duszę i całą istotę, całe życie, i to nietylko na dobre, ale na każde chwile życia — i aż do końca życia, że pod tym względem żaden cień nie powstał w umyśle Połanieckiego, a ta pewność uczyniła go w tej chwili lepszym, tkliwszym i wymowniejszym, niż bywał zwykle. W końcu trzymali się za ręce i patrzyli sobie w oczy nietylko z miłością, ale z największą przyjaźnią i otuchą na przyszłość. Oboje odczuwali wzajemną rzetelność. Jeszcze kilka chwil — i ta przeszłość miała się rozpocząć. Ale teraz myśli obojga poczęły się wyjaśniać

i ten niepokój wewnętrzny, od którego nie byli wolni, ustępował coraz bardziej i zmieniał się, w miarę zbliżania się obrzędu religijnego, w poważne skupienie. Myśli Połanieckiego nie rozlatywały się już jak wróble, pozostało mu tylko jakby pewne zdziwienie, że on, przy całym swym sceptycyzmie, tak odczuwa nawet religijną doniosłość mającego się spełnić aktu. W gruncie rzeczy nie był on sceptykiem. W duszy tkwiła mu nawet tęsknota za uczuciami religijnymi — i jeśli do nich nie wracał, to jedynie przez pewne odzwyczajenie się i przez duchową opieszałość. Sceptycyzm, co najwyżej, wstrząsał powierzchnię jego umysłu, tak jak wiatr marszczy powierzchnię toni, której głąb pozostaje spokojna. Odwykł również od form — ale była to rzecz przyszłości i Maryni — tymczasem jednak już ten obrzęd, któremu miał się poddać, wydał mu się tak podniosłym, tak pełnym powagi i świętości, że gotów był przystąpić do niego ze schyloną głową.

Przedtem wszelako trzeba było się poddać innemu obrządkowi, który, sam w sobie również uroczysty, był Połanieckiemu dość przykry: mianowicie, trzeba było klęknąć przed panem Pławickim, którego Połaniecki uważał za durnia, przyjąć jego błogosławieństwo i wysłuchać przemówienia, do którego sposobności, wiadomo było, iż pan Pławicki nie pominie. Połaniecki jednak już poprzednio powiedział sobie: „Skoro się chcę żenić, to muszę przejść przez wszystko, co ślub poprzedza, i to z dobrą miną, a jaką minę będzie miała w takich chwilach ta małpa, Bukacki, to mnie mało obchodzi”. Wskutek tego klęknął teraz z całą gotowością koło Maryni przed panem Pławickim i wysłuchał jego błogosławieństwa oraz przemówienia, które zresztą niedługo trwało. Pan Pławicki sam był także naprawdę wzruszony, głos mu drżał, ręce również i zaledwie zdołał wypowiedzieć coś w rodzaju zaklęcia do Połanieckiego, by choć czasem nie bronił Maryni w przyszłości przyjść i pomodlić się na jego grobie, zanim zupełnie trawą nie porośnie.

Zresztą uroczystość tej chwili zmaćił poniekąd Józio Bigiel, widząc bowiem z jednej strony łzy pana Pławickiego, a z drugiej Marynię i Połanieckiego na klęczkach, co w domu Bigielów bywało nietylko karą, ale częstokroć i wstępem do jeszcze sprężystszych środków pedagogicznych, dał wyraz swemu współczuciu i obawom za pomocą zamknięcia oczu, otworzenia ust — i uderzenia w płacz tak donośny, na jaki tylko umiał się zdobyć. Gdy przytem pozostałe rodzeństwo poszło w znacznej części za jego przykładem i gdy wszyscy zaczęli się poruszać, chwila bowiem wyjazdu do kościoła nadeszła, porosły trawą grób pana Pławickiego nie mógł wywołać należycie elegicznego wrażenia.

Siedząc w karecie między Abdulskim a Bukackim, Połaniecki ledwie półsłówkami odpowiadał na ich pytania; nie mieszał się do rozmowy, natomiast monologował sam z sobą. Myślał, że za parę minut stanie się to, o czym marzył całymi miesiącami i czego aż do śmierci Litki najmocniej w życiu pragnął. Tu po raz ostatni wstrząsnęło nim poczucie różnicy między tą niedawno ubiegłą przeszłością a chwilą obecną. Była jednak różnica. Dawniej dążył i pragnął, dziś tylko chciał i zgadzał się. Myśl ta przejęła go jak zamróz, przemknęło mu bowiem przez głowę, że może w nim samym brak tych podstaw, na których wolno budować. Ale był to człowiek, który umiał krótko trzymać swoje niepokoje, a w danym razie rozganiać je na cztery wiatry. Powiedział więc sobie: „Naprzód, nie czas o tem myśleć, a powtóre, że rzeczywistość nie zawsze odpowiada rojeniom, to rzecz prosta”. Potem przesuwało mu się jeszcze przez pamięć to, co powiedział Bukacki: „Nie dość wziąć, trzeba i dać” — ale pomyślał, że to jest jakieś przedzenie nitki tak cienkiej, że jej wcale niema i że życie trzeba brać prościej, nie jest ono bowiem obowiązane zgadzać się z uprzednio powziętymi teoryjami. Tu powtórzył, co sobie często powtarzał: „Żenię się — i koniec!” Poczem objęła go rzeczywistość, a raczej chwila obecna, nic innego nie miał już w głowie, jak tylko Marynię, kościół i ślub.

Ona tymczasem, jadąc, prosiła po cichu Boga żeby jej dopomógł i pozwolił uszczęśliwić męża; dla siebie prosiła także o trochę szczęścia, będąc zresztą pewna, że to jej zmarła matka wyprosi.

Potem szli oboje prowadzeni pod ręce przez szpaler zaproszonych i ciekawych, widząc trochę jak przez mgłę: w dali świece migocące przy ołtarzu, a obok twarze znajome i nieznanne. Oboje dojrżeli wyraźniej twarz pani Emilii, przybraną w biały kwef Siostry miłosierdzia, i jej oczy, zarazem uśmiechnięte i zalane łzami. Obojgu przypomniawszy Litkę i przyszło im na myśl, że to ona właściwie prowadzi ich do ołtarza. Po chwili klęczyli, mając przed sobą księdza, wyżej zaś płomyki świec, blaski pozłocień i święte twarze głównego obrazu. Ceremonia się rozpoczęła. Poczęli powtarzać za księdzem zwykle wy-

razy przysięgi ślubnej, i Połanieckiego, trzymającego rękę Maryni, ogarnęło nagle takie wzruszenie, jakiego się nie spodziewał i jakiego nie doznał od czasu, gdy matka zaprowadziła go do pierwszej komunii. Oto poczuł, że to nie jest tylko zwykły, prawny obrządek, na mocy którego mężczyzna zyskuje prawo do kobiety; ale że w tem związaniu rąk, w tej przysiędze, jest jakaś tajemnicza, zaświatowa moc — jest po prostu Bóg, przed którym uchyla się dusza i serce drży. O uszy obojga odbijały się teraz wśród ciszy uroczyste słowa: „Quod Deus junxit, homo non disjungat” — a Połaniecki odczuwał, że ta Marynia, którą brał, staje się jego ciałem i krwią i częścią jego duszy, i że dla niej również on ma być tem samem. Tymczasem na chórze wybuchnął chór głosów: „Veni Creator” i w kilka chwil później Połanieccy wyszli z kościoła. Po drodze przedtem objęły jeszcze Marynię ręce pani Emilii: „Niech was Bóg błogosławi!” — i gdy oni jechali do domu na weselne przyjęcie, ona poszła na cmentarz, by powiedzieć Litce nowinę, że „pan Stach” ożenił się dziś z Marynią.

XII

W dwa tygodnie później, w Wenecyi, portyer hotelu Bauera oddał Połanieckiemu list ze stemplem warszawskim. Było to w chwili, gdy oboje z żoną siadali do gondoli, by pojechać do Santa Maria della Salute, gdzie tego dnia, jako w rocznicę śmierci matki Maryni, miała się odprawić msza za jej duszę. Połaniecki, który się nic ważnego z Warszawy nie spodziewał, włożył list do kieszeni i spytał żony:

- A czy to trochę na mszę nie zawczesnie?
- Tak jest; całe pół godziny.
- To może chcesz się przejechać przedtem w stronę Rialto?

Marynia zawsze była na to gotowa. Nie będąc przedtem nigdy w życiu za granicą, żyła wprost w nieustającym upojeniu i zdawało jej się, że wszystko, co ją otacza, jest snem. Nieraz, z nadmiaru zachwyty, rzucała się mężowi na szyję, tak jakby to on zbudował Wenecję i jakby jemu wyłącznie należało się podziękowanie za jej piękność; nieraz także powtarzała:

- Patrzę, widzę i nie wierzę, że to prawda!

Pojechali więc ku Rialto. Ruchu było jeszcze, z powodu wczesnej godziny, mało, woda jakby śpiąca, dzień cichy, przezroczysty, ale niezbyt słoneczny, jeden z takich, w których Canale Grande przy całej swej piękności ma spokój cmentarza; pałace zdają się puste i zapomniane, a w nieruchomem ich odbiciu w toni jest jakiś głęboki smutek rzeczy martwych. Patrzy się wówczas na nie w milczeniu i jakby z obawą, by słowami nie zamącić ogólnej ciszy.

Tak też patrzyła Marynia. Ale Połaniecki, mniej wrażliwy, przypomniał sobie, że ma w kieszeni list, więc go wydobył i począł czytać, a po chwili rzekł:

- A! — Maszko także już żonaty. Ich ślub odbył się w trzy dni po naszym.

Marynia zaś, jakby zbudzona ze snu, spytała, mrugając oczyma:

- Co mówiłeś?
- Mówiłem, rozmarzona głowo, że ślub Maszki już się odbył.

Ona zaś wsparła głowę na jego ramieniu i patrząc mu w oczy, odpowiedziała:

- Co mi tam Maszko, ja mam swojego Stacha.

Połaniecki uśmiechnął się, jak człowiek, który łaskawie pozwala się kochać, ale się temu nie dziwi, poczem pocałował żonę w czoło z pewną dystrakcją, gdyż list począł go jednak zajmować, i czytał dalej. Nagle rzucił się, jakby ukłuty i zawołał:

- O to, prawdziwa katastrofa!

— Co się stało?

- Panna Krasławska ma dziewięć tysięcy rubli dożywocia, które zapisał jej wuj.

Zresztą ani grosza posagu.

- Ale to i tak dużo.

— Dużo? To posłuchaj, co pisze Maszko: „Wobec tego moje bankructwo jest rzeczą spełnioną, a ogłoszenie niewypłacalności kwestyą czasu.” Zawiedli się oboje, rozumiesz? — bo on liczył na jej majątek, a ona na jego.

- Przynajmniej mają z czego żyć.

— Mają z czego żyć, ale Maszko nie ma czym pospłacać długów, a to trochę i nas obchodzi — mnie, ciebie i twego ojca... Wszystko może przepaść.

Teraz Marynia zaniepokoiła się na dobre.

— Mój Stachu — rzekła — może twoja obecność tam potrzebna, to wracajmy... Co to będzie za cios dla papy!

— Napiszę zaraz do Bigiela, by mnie zastąpił i ratował, co można... Nie bierz przytem, dziecko, zanadto do serca tej sprawy. Ja mam na kawałek chleba dla nas obojga i dla twego ojca.

Marynia objęła ręką jego szyję.

— Mój ty dobry!... Z takim człowiekiem, jak ty, można być spokojną.

— Przytem coś się da uratować... Jeśli Maszko znajdzie kredyt, to nas pospłaca. Może też znajdzie kupca na Krzemień. Ale! Pisze mi, żebym spytał Bukackiego, czyby nie kupił Krzemienia i żebym go do tego namawiał. On dziś wieczór jedzie do Rzymu i zaprosiłem go na śniadanie... Spytam go. On ma znaczny majątek — i miałby coś do roboty. Ciekawym, jak Maszkom życie pójdzie. On mi pisze w końcu listu: „Żonie odkryłem stan moich interesów, wobec czego zachowała się biernie, ale matka nie posiadała się z oburzenia.” Wreszcie dodaje, że się w ostatnich czasach w żonie pokochał i że gdyby się rozstali, byłoby to dla niego największym w życiu nieszczęściem. Ta liryka mało mnie obchodzi — ale ciekawym jednak, jak się to wszystko skończy.

— Ona go nie opuści — rzekła Marynia.

— Nie wiem; sam nawet myślałem w swoim czasie, że nie — ale mam ochotę się sprzeczać. Chcesz pójść o zakład?

— Nie, bo nie chcę wygrać. Ty brzydki człowieku, nie znasz kobiet.

— Owszem, znam je i dlatego wiem, że nie wszystkie są takie, jak ta mała, która płynie teraz gondolą...

A ona odpowiedziała:

— W Wenecyi, gondolą i obok swojego Stacha!

Tymczasem dojechali do kościoła. Wróciwszy po mszy do hotelu, zastali już Bukackiego, przybranego jak do drogi w kraciaste szare ubranie, które na jego wątłe ciało wydawało się za obszerne, w żółte trzewiki i fantastyczny krawat, zawiązany z równą fantazyą, jak niedbałością.

— Jadę dzisiaj — rzekł, przywitawszy się z Marynią. — Czy pani każe przygotować mieszkanie we Florencyi? Mogę nająć jaki pałac.

— To pan zatrzymuje się po drodze do Rzymu?

— Tak jest. Naprzód dlatego, żeby dać znać w Galeryi, że przyjedziecie — i żeby położono dywan na schodach, powtóre dla czarnej kawy, która wogóle we Włoszech jest zła, a we Florencyi u Giacosa wyjątkowo doskonała... via Tornabuoni... To zresztą jedyna rzecz coś warta we Florencyi...

— Co pan ma za przyjemność mówić zawsze co innego, niż pan myśli...

— Owszem, myślę szczerze nająć wam jakie ładne mieszkanko na Lung-Arno.

— My się zatrzymujemy w Weronie.

— Dla Romea i Julii? Owszem, owszem! Póki jeszcze nie wżruszacie ramionami, myśląc o nich — jedźcie. Za jaki miesiąc byłoby już może zapóźno.

Marynia fuknęła na niego jak kotka, poczem zwróciwszy się do męża, rzekła:

— Stachu, nie pozwól temu panu tak mi dokuczać.

— Dobrze — odpowiedział Połaniecki. — Utnę mu głowę, ale po śniadaniu.

Bukacki zaś począł deklamować:

«.....Nie! Jeszcze nie świta!

To nie skowronek — to jest głos słowika.»

I następnie, zwróciwszy się do Maryni, spytał:

— Napisał Połaniecki dla pani jaki sonet?

— Nie.

— O, to zły znak!... Macie balkon od ulicy... Czy nie przyszło mu do głowy ani razu stanąć pod balkonem pani z mandoliną?

— Nie.

— O, bardzo źle!...

— Przecie tu niema gdzie stanąć, bo woda.

— Mógł podjechać gondolą. Widzi pani, u nas co innego; ale tu, we Włoszech, takie już jest powietrze, że jeśli kto prawdziwie kocha, to albo pisze sonety, albo staje z mandoliną pod balkonem. To jest rzecz zupełnie pewna, wypływająca z położenia geograficznego, prądów morskich, składu chemicznego powietrza i wody — i jeśli ktoś nie pisze sonetów, ani nie staje z mandoliną, to najniezawodniej nie kocha. Mogę pani przytoczyć bardzo znakomite dzieła, traktujące o tym przedmiocie.

— Zdaje się, że będę zmuszony uciąć mu głowę przed śniadaniem — rzekł Połaniecki.

Do egzekucyi jednak nie przyszło z tego powodu, że właśnie pora była na śniadanie. Siedzieli przy osobnym stole, ale w tej samej sali, w której był stół ogólny, co dla Maryni, którą wszystko zajmowało, było także źródłem rozkoszy, widziała bowiem *prawdziwych* Anglików. Czyniło jej to wrażenie, że zajęła gdzieś, do krajów tak już egzotycznych, że jak Krzemień Krzemieniem, żaden z jego mieszkańców nie zapuścił się w taką drogę. Dla Bukackiego, a nawet i dla Połanieckiego, to jej upojenie było powodem nieustających żartów, ale też i prawdziwej przyjemności. Pierwszy mówił, że przypomina mu to jego młodość, drugi nazywał żonę polną stokrotką — i mówił, że takiej nie żał świat pokazywać.

Sam Bukacki zauważył jednak, że „polna stokrotka” miała dużo poczucia sztuki i dużo szczerości. Wiele rzeczy było jej wiadomych z książek lub rycin; nie umiając się na niektórych poznać, przyznawała się do tego otwarcie, ale nie było w jej wrażeniach nic sztucznego, ani nic wmówionego. Gdy jej co przypadło do serca, zachwyty jej nie miał natomiast granic, tak, że oczy jej stawały się wilgotne. Bukacki czasem żartował z niej bez miłosierdzia, czasem wmawiał w nią, że wszyscy tak zwani znawcy mają gwoździe w głowie, i że ona, jako natura wrażliwa i wykwinna, a dotychczas niezbałamucona, jest dla niego największą w rzeczach sztuki powagą, byłaby zaś jeszcze większą, gdyby miała lat dziesięć.

Przy śniadaniu nie było jednak mowy o sztuce, albowiem Połaniecki przypomniał sobie nowiny warszawskie i rzekł:

— Miałem list od Maszki.

— I ja — odpowiedział Bukacki.

— I ty? To jednak tam naprawdę pilno. Maszko musi być przyciśnięty nie żartem. Wiadomo ci tedy, o co chodzi.

— Namawia, a raczej zaklina mnie, żebym kupił — wiesz co?

Bukacki umyślnie nie wymienił Krzemienia, wiedząc doskonale, jakiej rozterki był on powodem między Połanieckim a Marynią — i przez delikatność dla Maryni.

Lecz Połaniecki, zrozumiałwszy jego intencję, ozwał się:

— Ach Boże! Niegdyś unikaliśmy tego wyrazu, jak dotknięcia bolączki, ale teraz — przy żonie — to przecie co innego... Trudno się całe życie krępować.

Bukacki spojrział na niego bystro, Marynia zaś zarumieniła się i rzekła:

— Staś ma zupełną słuszność. Zresztą wiem, że chodzi o Krzemień.

— A tak, chodzi o Krzemień.

— No i cóż? — spytał Połaniecki.

— Nie kupiłbym go, choćby dla tego samego, żeby pani nie miała wrażenia, że tak nim ludzie rzucają, jak piłką.

Marynia zarumieniła się jeszcze więcej i rzekła:

— Kiedy ja już wcale nie myślę o Krzemieniu.

I spojrziała na męża, on zaś kiwnął na znak zadowolenia i pochwały.

— To dowód — odpowiedział — że jesteś rozsądne dziecko.

— Przyczem — mówiła dalej Marynia — jeśli pan Maszko się nie utrzyma, to Krzemień albo się rozpadnie, albo pójdzie w lichwiarskie ręce, a to jednak byłoby mi przykro...

— Aha! — rzekł Bukacki — skoro jednak pani *wcale* nie myśli już o Krzemieniu?

Marynia spojrziała znów na męża i tym razem już z niepokojem, on zaś począł się śmiać.

— Złapała się Marynia — rzekł.

Poczem zwrócił się do Bukackiego:

— Widocznie Maszko widzi w tobie jedyną deskę ratunku.

— Ale ja nie jestem deska... patrz na mnie... raczej słomka. Kto się zechce ratować przez schwytywanie takiej słomki, zginie, utonie... Zresztą sam Maszko nieraz mi mówił: „Masz przytępione nerwy”. Może i mam! Ale właśnie dlatego potrzebuję silnych wrażeń... Gdybym Maszce pomógł, wygrzebałby się, stanąłby na nogach, udawałby dalej lorda, żona jego udawałaby wielką panią, byłiby okropnie „comme il faut...” — i miałbym nudną komedię, którą już widziałem i na której ziewałem. Przeciwnie, jeśli mu nie pomogę, zrujnuje się, zginie, zdarzą się jakieś zajmujące a niespodziewane wypadki, zdarzyć się może coś tragicznego, co mnie więcej zajmie. Teraz pomyślcie państwo: za lichą komedię musiałbym zapłacić, i to drogo — tragedię mogę mieć darmo. Jak tu się wahać?

— Fe! jak pan może mówić takie rzeczy! — zawołała Marynia.

— Nietylko mogę mówić, ale je napiszę Maszce. Przytem on mnie zawiódł w najniegodziwszy sposób.

— W czym?

— W czym? W tem, że ja myślałem: oto prawdziwy snob! to materyał na czarny charakter! to człowiek naprawdę bez skrupułu i serca! Tymczasem cóż się pokazuje: że on na dnie duszy ma jakąś uczciwość, że chciałby pospłacać wierzycieli, że mu tej lalki z czerwonymi oczyma żal, że ją kocha, że rozłączenie z nią byłoby dla niego straszną klęską... Sam mi to pisze najbezcenzuralniej... Słowo daję, że w tem społeczeństwie na nic liczyć nie można!... Przesiaduję za granicą, bo tego znieść nie mogę.

Tym razem pani Połaniecka rozgniewała się na dobre:

— Jak pan będzie takie rzeczy mówił, to poproszę Stasia, żeby zerwał z panem stonsunki.

A Połaniecki wzruszył ramionami i dodał:

— Że też ty naprawdę zagadujesz dla konceptu siebie i drugich, a nigdy nie myślisz rozsądnie i po ludzku. Rozumiesz, że ja cię nie namawiam do kupna Krzemienia, a to tem bardziej, że mógłbym w tem mieć pewien interes, ale jednak — miałbyś jakieś zajęcie, miałbyś coś do roboty...

Na to Bukacki począł się śmiać, po chwili zaś odrzekł:

— Ja ci już niegdyś powiedziałem, że przedewszystkiem lubię robić to, co mi się podoba, a że mi się najwięcej podoba nic nie robić, więc nic nie robiąc, robię to, co mi się najwięcej podoba. Jeśliś mądry, dowiedz mi, że powiedziałem głupstwo. Powtóre: ja hreczkosiejem!... To przecie wprost przechodzi imaginację! Ja, dla którego deszcz i pogoda jest tylko kwestyą wzięcia laski lub parasola, miałbym na stare lata wystawać na jednej nodze, jak żóraw i patrzeć, czy się podoba słońcu świecić, czy chmurom kropić? Jabym miał palpitować, czy mi pszenica nie porośnie, czy mi się rzepak nie wysypie, czy zaraza nie padnie na kartofle, czy się uwinę z grochem, czy potrafię dostawić Ickowi do Psiej Wólki tyle korcy, na ile zawarłem kontrakt, czy mi fornalki nie dostaną nosaczyny, a owce motylic? Ja miałbym na starość dojść do tego, żeby z powodu stępienia umysłowego mówić co trzy słowa: „Panie Dobrodzieju” albo: „Co to ja chciałem powiedzieć?” Voyons! pas si bête! Ja, człowiek wolny, miałbym zostać glebae adscriptus? — mościpanem, somsiadem, bratem Łatą, panem Maciejem, Lechitą?

Tu, podniecony nieco winem, począł cytować półgłosem słowa *Ślaza z Lilii Wenedy*:

Czy ja Lechita? Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, glist do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?

— Gadajże tu z nim — rzekł Połaniecki — tem bardziej, że w gruncie rzeczy ma trochę słuszności!

Ale Marynia, która od chwili, gdy Bukacki zaczął mówić o kłopotach wiejskich, zamysliła się nieco, teraz strząsnęła z czoła zamyślenie i rzekła:

— Ja, gdy papa był niezdrów (a nigdy w Krzemieniu nie był tak zdrów, jak w ostatnich czasach) wyręczałam go trochę w gospodarstwie — i później weszło mi to w zwyczaj. Chociaż, Bóg widzi, że kłopotów nie brakło, robiło mi to taką przyjemność, że nie umiem tego wypowiedzieć. Ale nie rozumiałam, dlaczego to tak jest i zrozumiałam dopiero, gdy mi to wytłómaczył pan Jamisz. On mi mówił, że to jest ta istotna praca, na której świat

stoi, a wszelka inna jest albo dalszym jej wynikiem, albo czemś sztucznym... Później też zrozumiałam nawet takie rzeczy, o których on nie wspominał. Nieraz, jak na wiosnę wyszłam w pole i widziałam, że wszystko rośnie, to czułam, że i serce przytem rośnie. I wiem teraz dlaczego: bo w każdych innych stosunkach ludzkich może być kłamstwo, a ziemia — to prawda... Ziemi nie można oszukać, ale i ona: da albo nie da, ale nie oszuka... Dlatego ziemię kocha się tak, jak prawdę — a że się ją kocha, więc i ona uczy kochać... I rosa pada nietylko na zboża, nietylko na łąki, ale jakby i na duszę, i człowiek staje się lepszym, bo jak ma do czynienia z prawdą i kocha, to jest bliżej Boga... Dlatego ja tak kochałam mój Krzemień.

Tu pani Połaniecka przestraszyła się i swojej wymowy, i tego, co tam pomyśli „Staś” — a jednocześnie wzruszyła ją wspomnienia; wszystko to zaś odbiło się jakby zorzą w jej oczach, na jej młodej twarzy — i sama była jak zorza.

Bukacki patrzył na nią, jakby patrzył na jakieś nieznanne, świeżo odkryte arcydzieło szkoły weneckiej, następnie przymknął oczy, pochował do połowy swą małą twarzyczkę w ogromny fantastyczny krawat i szeptał:

— Delicieuse!...

Poczem, wysunąwszy brodę z krawata, rzekł:

— Pani ma najzupełniejszą słuszność...

Ale logiczna kobietka nie pozwoliła się pozbyć komplementem.

— Jeśli ja mam słuszność, to pan jej nie ma.

— To inna rzecz. Pani ma słuszność dlatego, że jej z tem do twarzy, a kobieta zawsze wówczas ma słuszność.

— Stasiu! — rzekła Marynia, zwracając się do męża.

Lecz tyle było w niej w tej chwili uroku, że on patrzył na nią również z zachwytem, oczy mu się śmiały, nozdrza poruszały się szybkim ruchem, na chwilę nakrył jej rękę dłonią i rzekł:

— Oj, dziecko! dziecko!

A potem, pochyliwszy się ku niej, szepnął:

— Gdyby nie to, że jesteśmy w sali, tobym zacałował te oczy kochane i te usta.

I mówiąc tak, Połaniecki popełniał wielką omyłkę, w tej chwili bowiem nie dość było odczuć fizyczne ponęty Maryni, zapłonąć do kolorów na jej twarzy, do oczu lub ust, ale należało zrozumieć i odczuć w niej duszę; jak zaś dalece on jej nie odczuł, dowodziły najlepiej jego pobłażliwe słowa: „Oj, dziecko! dziecko!” Była mu w tej chwili tylko uroczem dzieckiem-kobietą — i o niczem innem nie myślał.

Tymczasem przyniesiono kawę. Na zakończenie rozmowy Połaniecki rzekł:

— Tak tedy Maszko wyszedł na liryka — i to po ślubie.

Bukacki zaś, połknąwszy filiżankę wrzątku, odpowiedział:

— W tem głupstwo, że to Maszko, ale nie w tem, że po ślubie... Trochę liryzmu, właśnie po ślubie... Ale przepraszam! Tylko com nie powiedział czegoś rozsądnego... Przepraszam panią najmocniej i przyrzekam, że więcej nie będę!... Sparzyłem się widocznie w język gorącą kawą, ale piję tak gorącą dlatego, że mi powiedziano, iż to dobrze na ból głowy, a mnie głowa boli, boli...

Tu Bukacki położył dłoń na karku i potylicy, przyczem zamrużył oczy i przez kilka sekund pozostał bez ruchu, poczem rzekł:

— Gada się i gada, a głowa boli. Poszedłbym już sobie, ale ma tu przyjść do mnie malarz Świrski, z którym jadę razem do Florencji, znakomity akwarelista, prawdziwie znakomity... Nikt nie wydobyl z akwareli większej siły. Ale oto właśnie nadchodzi.

I istotnie Świrski, jakby wywołany zaklęciem, zjawił się w tej chwili i począł się rozglądać, upatrując Bukackiego. Dostrzegłszy go wreszcie, zbliżył się do stołu.

Był to krępy, niski człowiek, o grubym karku, potężnej piersi, cerze nadzwyczaj smągłej i czuprynie tak czarnej, jakby był Włochem. Twarz miał pospolitą, ale spojrzenie rozumne i głębokie, a przytem łagodne. Idąc, kiwał się nieco na obie strony z powodu szerokości bioder.

Bukacki przedstawił go w następnych słowach pani Połanieckiej:

— Przedstawiam pani pana Świrskiego, malarza, rodzaj geniusza, który nietylko ma talent, ale miał najniezwyklejszą ideę niezamarnowania go, co mógł zrobić tak dobrze

i z równym dla ludzi pożytkiem, jak każdy inny... Ale on woli wypełniać świat akwarelami i rozgłosem.

Świrski uśmiechnął się, ukazując dwa szeregi dziwnie drobnych, ale zdrowych i białych jak kość słoniowa zębów, i rzekł:

— Chciałbym, żeby to była prawda.

— I powiem państwu, dlaczego on nie zmarnował talentu — ciągnął dalej Bukacki — oto z powodów tak parafialnych, że porządnemu artyście wstydby było do czegoś podobnego się przyznać: kocha Pogńębin — gdzieś koło Poznania — czy tak? a kocha dlatego, że się tam urodził. Gdyby się urodził na Gwadelupie, toby kochał Gwadelupę — i miłość do Gwadelupy byłaby go także ratowała w życiu. Ten człowiek oburza mnie — i niech pani powie, czy nie słusznie?

Na to Marynia rzekła, podnosząc swoje błękitne oczy na Świrskiego:

— Pan Bukacki nie jest taki niegodziwy, jak się wydaje, bo jednak powiedział o panu wszystko, co można było najlepszego.

— Umrę zapoznany — szepnął Bukacki.

A Świrski patrzył tymczasem na Marynię tak, jak sobie może pozwolić bez obrażenia kobiety tylko malarz. W oczach jego malowało się widoczne zajęcie; w końcu mruknął:

— Tu w Wenecji zobaczyć niespodzianie taką głowę — to przecie coś bajecznego!

— Co takiego? — spytał Bukacki.

— Mówię, że pani ma ogromnie swojski typ: o to, o! naprzykład (tu pociągnął sobie wielkim palcem przez nos, usta i brodę). I jaka przytem czystość linii!

— Co? nieprawda? — rzekł z zapałem Połaniecki — zawsze to samo myślałem!

— Założę się, żeś tego nigdy nie myślał — odparł Bukacki.

Lecz Połaniecki rad był i dumny z tego zajęcia, jakie w słynnym artyście wzbudziła Marynia, więc rzekł:

— Gdyby tak panu zrobiło jakąkolwiek przyjemność malowanie jej portretu, mnieby zrobiło jeszcze większą przyjemność mieć go.

— Z duszy serca — odpowiedział z prostotą Świrski — ale ja jadę dziś do Rzymu. Tam mam też zaczęty portret pani Osnowskiej.

— I my właśnie, najdalej za dziesięć dni, będziemy w Rzymie.

— A więc zgoda!

Marynia dziękowała, czerwieniąc się po uszy. Lecz Bukacki począł się żegnać i pociągnął za sobą Świrskiego. Wyszedszy, rzekł mu:

— Mamy jeszcze czas. Chodź do Florianiego na kieliszek koniaku.

Bukacki nie umiał i nie lubił pić, ale od czasu gdy się morfinizował, czynił to w wyższym stopniu, niż mógł znieść, albowiem ktoś mu powiedział, że to jedno drugie zobojętnia.

— Co za miła para ci Połanieccy! — rzekł Świrski.

— Niedawno się pobrali.

— I widać, że on ją ogromnie kocha. Jakem ją pochwalił, aż mu się oczy śmiały i rósł jak na drożdżach.

— Ona jego sto razy więcej kocha.

— Skąd ty się na tych rzeczach znasz?

Bukacki nie odpowiedział, tylko podniósłszy swój spiczasty nos do góry, mówił jakby do siebie:

— To mi brzydziło małżeństwo i miłość, że to zawsze z jednej strony wyzysk, z drugiej ofiara. Taki Połaniecki — dobry człowiek, ale cóż? ona ma tyle samo rozumu, tyle samo charakteru — tylko więcej kocha, więc im się życie ułoży tak: że on będzie słońcem, będzie łaskawie świecił, łaskawie grzał, uważał ją za swoją własność, za planetkę, która się powinna koło niego kręcić. To się już wszystko dziś zaznacza... Ona już weszła w jego sferę. Jest w nim jakaś pewność siebie, która mnie gniewa. On będzie miał ją — i resztę, ona tylko jego — bez reszty. On się będzie pozwał kochać, uważając ze swojej strony kochanie jako swoją cnotę, dobroć i łaskę, ona będzie kochała, uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek... Patrzcie mi go, bożka promienistego!... Mam ochotę wrócić i powiedzieć im to, w nadziei, że staną się mniej szczęśliwi.

Ale tymczasem siedli przed Florianim i po chwili podano im koniak. Świrski myślał czas jakiś o Połanieckich, poczem spytał:

— No! a jeśli jej będzie z tem dobrze?

— Wiem, że ma krótki wzrok, więc mogłoby jej być równie dobrze nosić okulary.

— Idźże do licha! do takiej twarzy!...

— Więc ciebie to oburza, a mnie tamto.

— Bo ty masz w głowie jakiś młynek od kawy, który wszystko miele i miele, póki nie zmiele na drobny pył. Czego ty wogóle chcesz od miłości?

— Ja, od miłości? Ja nic nie chcę od miłości! Niech tego dyabeł weźmie, kto czegoś chce od miłości! Ja mam od niej strzykanie w łopatkach. Ale gdybym był inny, niż jestem, gdybym miał określić, czem miłość być powinna, gdybym od niej czegoś chciał, tobym chciał..

— Czego? Hop! przeskocz!

— Żeby się składała w równej ilości: z żądy i czci!

Poczem wypił kieliszek koniaku i po chwili dodał:

— Zdaje się, że powiedziałem coś, co może być mądre, jeśli nie jest głupie... Ale mi to wszystko jedno!...

— Nie! to nie jest głupie.

— Dalibóg, to wszystko jedno!

XIII

Po tygodniowym pobycie we Florencji, odebrał Połaniecki pierwszy list od Bigiela w sprawach Domu, a w nim wiadomości tak pomyślne, że przechodzące niemal oczekiwanie. Prawo wzbraniające wywozu zboża z powodu głodu zostało ogłoszone. Ale Spółka miała ogromne zapasy zakupione i wywiezione poprzednio, że zaś ceny w pierwszych zwłaszcza chwilach podskoczyły za granicą nadzwyczajnie — więc Bigiel i Połaniecki poczęli robić doskonale interesa. Spekulacja, pomyślana i przeprowadzona na wielką skalę, okazała się tak korzystną, iż z ludzi zamożnych, jakimi byli poprzednio, stawali się niemal bogatymi. Połaniecki zresztą od dawna był pewien swego i nie żywił żadnych obaw; wiadomość jednakże ucieszyła go zarówno ze względów finansowych, jak i ze względu na miłość własną. Powodzenie upaja i wzmacnia ufnosć do siebie samego. To też w rozmowie z żoną niezupełnie potrafił się wstrzymać od tego, by jej nie dać do zrozumienia, że jest niepospolitą głową, wyższą bezwarunkowo od całego otoczenia, jakby drzewem najbardziej wybijającym w lesie, człowiekiem, który dochodzi zawsze tam, dokąd zamierzył, słowem: rodzajem Fenixa we własnym społeczeństwie, obfitującym w ludzi, którzy nie mogą sobie dać rady na świecie. Na świecie też całym nie mógł być znaleźć wdzięczniejszego i gotowego przyjąć wszystko z głębszą wiarą słuchacza.

— Ty jesteś kobieta — mówił jej nie bez pewnego odcienia wyższości — więc cóż ci mam tam opowiadać sprawę od początku i wdawać się w szczegóły. Jako kobiecie, najlepiej wszystko wyjaśnię, gdy ci powiem tak: tego medalionu z czarną perłą, który ci pokazywałem u Godoniego, wczoraj nie byłem w stanie kupić — dziś jestem — i kupię.

Marynia poczęła mu dziękować i prosić, żeby tego nie czynił, ale on uściskał ją, zapowiedział, że nic go nie wstrzyma, że to rzecz postanowiona i że „Maryś” ma się uważać za właścicielkę czarnej wielkiej perły, która na takiej białej szyjce będzie ślicznie wyglądała. Potem ją całował tę szyjkę, a gdy się wreszcie nasycił, czując jednak potrzebę jakiegokolwiek słuchacza, począł chodzić po pokoju, uśmiechać się do żony, do samego siebie i mówić:

— Nie wspominam już o takich, którzy nic nie robią: Bukacki na przykład, wiadomo, że do niczego... nie mówię o osłach — taki Kopowski, wiadomo że kocia głowa; ale weźmy nawet ludzi, którzy coś robią i którzy niby mają rozum: taki Bigiel nigdyby sposobności w lot nie pochwylił, zacząłby namyślać się, ociągać, dziśby się decydował, jutroby się bał — i poraby przeszła. A tu o co chodzi? Naprzód, żeby mieć głowę, a powtóre, żeby sięś i porachować. I jak działać, to działać!... Trzeba mieć przytem trzeźwość i nie pozować. Maszko niby nie głupi, a patrz co wymędrkował!... Ja tam nie chodziłem i nie pójdę jego śladem.

Tak mówiąc, chodził dalej i potrząsał swoją obfitą czarną czupryną, a Marynia któraby w każdym razie słuchała z wiarą jego słów, przyjmowała je teraz jako niezbity pewnik, tem bardziej, że miały one podstawę w istotnem powodzeniu.

On zaś zatrzymał się wreszcie przed nią i rzekł:

— Wiesz, co ja myślę? — że trzeźwość to rozum. Można mieć inteligentną głowę, to jest i wsiąkającą wiedzę jak gąbka, i wrażliwą, a nie mieć przytem swego własnego trzeźwego rozumu. Dowodem dla mnie Bukacki. Nie bierz mnie za zarozumialca, ale gdybym ja na przykład wiedział tyle o sztuce, ile on, tobym miał o niej lepszy sąd. On się tyle naczytał i tyle pochwytał opinii, że wreszcie nie ma żadnej. Doprawdy, ja z tego materiału, który on nagromadził, cośbym jednak własnego wycisnął.

— O to! — odpowiedziała Marynia — z największą pewnością!

Połaniecki mógł mieć pod pewnym względem słuszność. Nie był on wcale człowiekiem głupim, i może być, że jego inteligencja była bardziej zwartą i tęższą od inteligencji Bukackiego; ale natomiast była i mniej giętka i mniej obszerna — to zaś nie przyszło mu na myśl. Nie pomyślał również, że w tej chwili, pod wpływem chełpliwości, mówi przed Marynią rzeczy, od których wypowiedzenia wobec obcych, bardziej sceptycznych ludzi, wstrzymałaby go obawa śmieszności i krytyki. Ale on już z Marynią nie krępował się. Sądził, że jeśli wobec kogo mógł sobie na taką chełpliwość pozwolić, to wobec żony. Przecie, jak sam się wyrażał: „wziął ją i skończyło się” — przecie ona była jego.

Wogóle nie czuł się nigdy tak szczęśliwy i tak zadowolony z życia, jak teraz. Doznał powodzenia materyalnego i przyszłość uważał za zabezpieczoną. Wziął kobietę młodą, ponętną dla siebie i rozumną, dla której został dogmatem, co i nie mogło być inaczej, gdy usta jej po całych dniach nie osychały od jego pocałunków, a zdrowe i uczciwe serce było przepełnione wdzięcznością za kochanie. Czego mu mogło braknąć, czego mógł jeszcze pożądać? Był przytem zadowolony z siebie, bo przypisywał w znacznej części swemu rozumowi i swojej zasłudze to, że tak potrafił urządzić sobie życie, iż zapowiadało się i pomyślnie i spokojnie. Widział, że innym jest źle, jemu dobrze — i tłómaczył tę różnicę na własną korzyść. Niegdyś myślał, że człowiek, chcąc być spokojnym, potrzebuje uregulować swój stosunek do siebie samego, do ludzi, do Boga. Dwa pierwsze uważał za uregulowane. Miał żonę, pracę i przyszłość; więc dał i zapewnił sobie to, co mógł dać i zapewnić. Co do ogółu, pozwalał sobie na jego krytykę, czasem na wymyślanie, ale czuł, że go na dnie duszy kocha rzeczywiście, że nawet, choćby chciał, nie potrafiłby inaczej, że gdyby w danym razie trzeba było pójść w wodę lub ogień — toby poszedł, więc uważał, że i z tej strony wszystko jest załatwione. Pozostał stosunek do Boga. Czuł, że gdyby i ten stał się jasnym i pewnym, mógłby wszystkie zadania życia uważać za załatwione, a w końcu powiedzieć sobie: wiem, dlaczego żyłem, czego chciałem i dlaczego muszę umrzeć. Nie będąc uczonym, zetknął się jednak o tyle z nauką, iż wiedział, że wyjaśnień i odpowiedzi niema co szukać w tak zwanej filozofii, raczej we własnem widzeniu rzeczy, a przedewszystkiem w uczuciu, o ile jedno i drugie jest proste, inaczej bowiem prowadzi do dziwactw. Tymczasem, ponieważ nie był pozbawiony zupełnie wyobraźni, widział przed sobą jakby obraz uczciwego i zrównoważonego człowieka, który jest dobrym mężem, dobrym ojcem, pracuje a modli się, w święta prowadzi dzieci do kościoła i żyje życiem ogromnie pod względem moralnym zdrowem. Obraz taki uśmiechał mu się, a w życiu tyle się robi dla obrazów! Myślał również, że ogół, któryby posiadał wielką ilość takich obywateli, byłby tęższym i zdrowszym od społeczeństwa, które u dołu składa się z ciemnych głów, a u góry z mędrków, dyletantów, dekadentów i wszelkich tego rodzaju zakazanych figur ze zwichniętym mózgiem. Niegdyś, wkrótce po poznaniu Maryni, zapowiadał sobie i Bigielowi, że jak skończy z własną osobą i z ludźmi, to się zabierze tego i do tego trzeciego stosunku. Otóż czas nadszedł, lub przynajmniej nadchodził. Połaniecki rozumiał, że do tego potrzebny jest większy spokój, niż ów, jaki daje podróż poślubna, wrażenia nowego życia, nowego kraju i ta krętanina między hotelami a galeryami, w jakiej z Marynią żyli. Ale, pomimo tych warunków, w rzadkich chwilach, w których zostawał z własnymi myślami — zwracał je natychmiast do tego głównego dziś dla siebie zadania. Ulegał przytem rozmaitym wpływom, które, same przez się drobne, wywierały jednak pewne działanie, choćby dlatego, że im się już umyślnie nie opierał. Takim był wpływ Maryni. Połaniecki nie zdawał sobie z niego sprawy i nie byłby go przyznał, a jednak ciągle obecność przy nim tej duszy pogodnej, szczerze i bardzo po

prostu religijnej, bardzo obowiązkowej w stosunku do Boga, dawała mu mimowolnie poczucie spokoju i pogody, jakie w wierze znaleźć można. Ilekroć też prowadził żonę do kościoła, przypominał sobie te słowa, jakie mu powiedziała w Warszawie: „Jakże? to służba boża!” I wciągał się w nią, chodził bowiem zawsze z żoną do kościoła, z początku dlatego, by jej nie puszczać samej, a później i dlatego jeszcze, że sprawiało mu to pewne wewnętrzne zadowolenie, jakie na przykład uczonemu może sprawić przypatrywanie się objawom, które go szczególnie zajmują. W ten sposób, mimo nieodpowiednich warunków, mimo podróży i roztarganego wszelkiego rodzaju wrażeniami umysłu, szedł ciągle naprzód po nowej drodze. Myśli jego w tym kierunku miały chwilami wielką energię i stanowczość: „Ostatecznie — mówił sobie — ja Boga czuję! Czulem go u grobu Litki, czulem, chociażem nie przyznawał, w słowach Waskowskiego o śmierci, czulem go u nas na równinach, i tu w górach nad śniegami, a tylko pytam jeszcze, jak go mam sławić, czcić i kochać? Czy tak, jak się spodoba mnie osobiście, czy tak, jak to czyni moja żona i jak mnie uczyła moja matka?”

W Rzymie jednak przestał z początku o tych rzeczach myśleć. Tyle wrażeń zewnętrznych gromadziło się naraz w jego umyśle, że na żadne refleksje nie było miejsca. Przytem przychodzili wieczorem z Marynią tak zmęczeni, że prawie ze strachem przypominali sobie słowa Bukackiego, który czasem służąc im dla własnego zadowolenia za „cicerone,” mawiał im za każdym razem: „Nie widzieliście tysięcznej części tego, co widzieć warto, ale to wszystko jedno, bo wogóle nie warto i tu przyjeżdżać — tak samo jak nie warto siedzieć w domu.”

Bukacki był teraz w okresie przeczenia w każdym następnym zdaniu temu, co zdawał się twierdzić w poprzednim.

Profesor Waskowski przyjechał też na powitanie z Perugii, co Marynię tak ucieszyło, iż przywitała go, jakby był jej najbliższym krewnym. Ale po uspokojeniu się pierwszych wybuchów radości, zauważyła jakby jakiś smutek w oczach profesora.

— Co panu jest — pytała — czy panu nie dobrze we Włoszech?

— Moje dziecko — odpowiedział profesor — i w Perugii dobrze, i w Rzymie dobrze... Ach! jak dobrze! Wiedz o tem, że tu, chodząc po ulicach, depczesz pył świata... To, jak zawsze powtarzam, przedsiónek do innego życia — tylko...

— Tylko co?

— Tylko ludzie... widzicie... to nie ze złego serca — bo tu, jak i wszędzie, więcej dobrych, niż złych — ale mi czasem smutno, że jak u nas, tak i tu, mają mnie trochę za waryata.

Bukacki, który słyszał rozmowę, rzekł:

— Więc nie ma profesor większego powodu do smutku tu, niż u nas.

— Tak — odpowiedział Waskowski — tylko że tam mam blizkich, jak wy, którzy mnie kochają, a tu nie... I przytem tęsknię.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— Dzienniki tutejsze pomieszczały sprawozdania z mojej rozprawy. Niektóre zupełnie sztydzą — Bóg z nimi! Niektóre godzą się, że nowa epoka powinna się rozpocząć przez wprowadzenie Chrystusa i jego ducha do dziejów. Jeden przyznał, że pojedynczy ludzie żyją z sobą po chrześcijańsku, a narody jeszcze po pogańsku — nazwał nawet tę uwagę wielką, ale i ten, i wszystkie inne, gdy przechodzą do tego, co twierdzą, iż to jest misja, którą Bóg przeznaczył nam i innym najmłodszym z Aryów — biorą się za boki od śmiechu... A to mnie boli... Dają też do zrozumienia, że ja mam trochę tu...

I biedny Waskowski począł stukać palcem w czoło.

Po chwili jednak podniósł głowę i rzekł:

— Człowiek rzuca ziarno w smutku i nieraz w zwątpieniu, ale ziarno pada na rolę i da Bóg, żezejdzie.

Potem jął wypytywać o panią Emilię, w końcu zaś zwrócił ku nim swoje jakby rozbudzone ze snu oczy i spytał naiwnie:

— A dobrze wam ze sobą?

Marynia, zamiast odpowiedzieć, poskoczyła do męża i przytuliwszy mu głowę do ramienia, rzekła:

— O, widzi profesor! — ot, tak nam ze sobą! tak!...

A Połaniecki począł gładzić ręką jej ciemną główkę.

XIV

Po tygodniu zawiózł Połaniecki żonę na via Margutta do Świrskiego, z którym poprzednio widywali się niemal codziennie, z którym się żyli, polubili i który miał rozpocząć teraz jej portret. Zastali tam państwa Osnowskich i zrobili z nimi znajomość, tem łatwiej, że panie te były niegdyś, przed kilku laty, razem na jakimś wieczorze, a Połaniecki był nawet w swoim czasie przedstawiony w Ostendzie pani Osnowskiej, potrzebował się więc teraz tylko przypomnieć. Nie pamiętał wprawdzie Połaniecki, czy w owej epoce, w której po zobaczeniu każdej młodej i przystojnej kobiety pytał się siebie: „czyby nie ta?” — zadawał sobie takie pytania i co do dzisiejszej pani Osnowskiej — mogło to jednak być, miała bowiem wówczas opinię ładnej, chociaż nieco narwanej panny. Dziś była to kobieta lat dwudziestu sześciu lub ośmiu, bardzo wysoka, o świeżej lubo smagłej cerze, wiśniowych ustach, rozwianej grzywce i nieco skośnych fiołkowych oczach, które nadawały jej twarzy podobieństwo do twarzy chińskich, a zarazem wyraz pewnej złośliwości i sprytu. Miała dziwny zwyczaj trzymania się, polegający na zasuwaniu w tył ramion, a wysuwaniu naprzód figury, wskutek czego Bukacki mówił o niej, że nosi biust „en offrande.” W jednej niemal chwili powiedziała Maryni, iż ponieważ pozują w jednej pracowni, więc się powinny uważać za koleżanki; Połanieckiemu, że go sobie przypomina z balu w Ostendzie, jako dobrego tancerza i dobrego „causeur,” i że z tego nie omieszka i teraz korzystać; obojgu, iż jej bardzo przyjemnie, że się upaja Rzymem, że czyta „Cosmopolis,” że jest zakochana w willi Doria, w widoku z Pincio, że ma nadzieję, iż razem zobaczą katakumbę, i że zna dzieła Rossiego w przekładzie Allarda. Poczem uściskawszy ręce Świrskiemu i uśmiechnawszy się z kokieterią do Połanieckiego, wyszła, oświadczając, że ustępuje miejsca godniejszej od siebie, i zostawiając wrażenie zawieruchy, Chinki i kwiatu. Pan Osnowski, człowiek bardzo młody, z nic nie znaczącą, ale dobrą twarzą jasnego blondyna, wyszedł za nią, nie zdolawszy prawie przemówić słowa.

Świrski odetchnął głęboko.

— O to burza! — rzekł — mam z nią tysiąc trudności, by ją utrzymać dwie minuty w spokoju.

— A jaka interesująca twarz — rzekła Marynia. — Czy wolno przyjrzeć się portretowi?

— Już mu niewiele brak, więc wolno — odrzekł Świrski.

Marynia i Połaniecki zbliżyli się do papieru i mogli, bez potrzeby sadzenia się na grzeczności, wyrazić swój podziw Świrskiemu. Ta głowa, malowana akwarelą, miała siłę i ciepło olejnego obrazu, a zarazem była w niej cała istota duchowa pani Osnowskiej. Świrski słuchał spokojnie pochwał i znać było, że sam jest rad z własnej roboty. Następnie zakrył go i odniósłszy w ciemny kąt pracowni, usadził Marynię na przygotowanym krześle i począł się w nią wpatrywać.

Ją mieszał cokolwiek ów uparty wzrok i policzki jej poczęły się rumienić, ale Świrski uśmiechał się z zadowoleniem, mruczając:

— Tak! to inny typ... ziemia i niebo!

Chwilami przymykał jedno oko, co Marynię jeszcze bardziej mieszało, chwilami zbliżał się do papieru, to znów odstępował, znów się w nią wpatrywał, i znów mówił, jakby sam do siebie:

— Tam trzeba było wydobyć dyabła, a tu kobiecość.

Na to Połaniecki rzekł:

— Skoro pan to tak od razu spostrzegł, to już jestem pewny arcydzieła.

Świrski przestał nagle spoglądać na papier i na Marynię — i zwróciwszy się ku Połanieckiemu, uśmiechnął się wesoło, ukazując swoje zdrowe zęby.

— Co, panie! kobiecość — i swojska kobiecość, to główny charakter pani twarzy.

— I chwyci go pan, tak jak w tamtym portrecie chwycił pan dyabła.

— Stasiu!! — rzekła Marynia.

— To nie ja wymyśliłem — to pan Świrski.

— Jeśli pan sobie życzy, to powiedzmy: dyabełek — nie dyabeł... I ładny dyabełek, ale niebezpieczny. Ja, malując, obserwuję sobie rozmaite rzeczy. To ciekawy typ, pani Osnowska.

— Dlaczego?

— Czy pani zauważyła jej męża?

— Jakoś tak byłam nią zajęta, że nie miałam kiedy.

— Otóż, widzi pani, ona go tak zasłania, że go prawie nie widać, a co gorzej, to i ona go nie widzi, tymczasem jest to najpocziwszy w świecie chłopiec, ogromnie dobrze wychowany, niesłychanie delikatny, bardzo bogaty i wcale nie głupi, a w dodatku kocha ją do szaleństwa.

Tu Świrski począł rysować i powtórzył jakby przez dystrakcję:

— Ko-cha ją sza-lenie... Niech pani trochę poprawi włosy koło ucha... Jeśli mąż pani także gawędziarz, to będzie w rozpacz, bo Bukacki utrzymuje, że jak się wezmę do roboty, to mi się usta nie zamykają i nikomu nie dam przyjść do słowa... Ona, widzi pani, może być sobie dotychczas czysta, jak lza, ale jest kokietka... To zimne serce a ognista głowa... Niebezpieczny rodzaj! o! niebezpieczny! Całymi tuzinami zjada książki — naturalnie francuskie... Uczy się z nich psychologii, dowiaduje się o temperamentach kobiecych, o kobiecej zagadkowości, szuka w sobie zagadek, których wcale w niej nie ma, odnajduje aspiracje, o których wczoraj nie wiedziała, deprawuje się umysłowo i tę deprawację uważa za rozum, a męża lekceważy.

— Ale pan straszny człowiek! — zauważyła Marynia.

— Panie, panie — rzekł Połaniecki — żona mi się jutro schowa ze strachu, jak nadejdzie chwila posiedzenia.

— Niech się nie chowa. To inny typ... Osnowski wcale nie jest głupi, ale ludzie, a zwłaszcza, za przeproszeniem, kobiety, są tak niemądre, że jeśli czyjś rozum nie bije nikogo po głowie, jeśli mu trochę brak pewności siebie, jeśli nie drapie jak kot i nie rozcina jak nóż, to go nie cenią. Dalibóg, widziałem to sto razy w życiu!...

Po chwili przymknął znów jedno oko, popatrzył na Marynię i mówił dalej:

— Wogóle, jakie społeczeństwo ludzkie jest głupie! Ja nieraz zadawałem sobie pytanie, dlaczego uczciwość charakteru, serce i taka rzecz jak dobroć, bywają mniej cenione, niż tak zwany rozum? Dlaczego w życiu społecznym istnieją dwie przeważnie etykiety: rozumny lub głupi, a na przykład niema zwyczaju mówić: cnotliwy i niecnotliwy — tak dalece niema zwyczaju, że już same wyrazy wydałyby się śmieszne.

— Bo — rzekł Połaniecki — rozum to jest latarka, którą sobie musi świecić i cnota i dobroć i serce — inaczej mogą sobie porozbijać nosy, a co gorzej, porozbijać nosy drugim.

Marynia nie rzekła wprawdzie ani słowa, ale z twarzy jej można było wyraźnie wyczytać:

— Jaki ten Staś mądry, to strach!

„Mądry Staś” tymczasem dodał:

— Ja zresztą nie mówię o Osnowskim, bo go nie znam.

— Osnowski — odrzekł Świrski — kocha żonę, jak swoją żonę, jak swoje dziecko i jak swoje szczęście, a ona ma głowę zawróconą Bóg wie czym i nie odpląca mu wzajemnością. Mnie, jako człowieka nieżonatego, zajmują bardzo kobiety, to też nieraz po całych dniach mówimy, a zwłaszcza mówiliśmy o nich z Bukackim, póki i jego więcej interesowały, niż dziś. Bukacki dzieli kobiety na duchowe plebejuszki, przez które rozumie liche i płaskie dusze — i na duchowe patrycyuszki, to jest natury wyszlachetnione, pełne wyższych aspiracji i wsparte na zasadach, nie na frazesach. Jest w tem pewna słuszność, ale ja wolę mój podział, bo jest prostszy: na wdzięczne serca i niewdzięczne.

Tu na chwilę oddalił się od szkicu, przymrużył oczy, poczem wzięwszy małe lusterko, nastawił je ku obrazowi i począł patrzeć na odbicie.

— Pani pyta, co ja rozumiem przez wdzięczne i niewdzięczne serca? — rzekł, zwracając się do Maryni, jakkolwiek o to nie pytała. — Otóż wdzięczne serce jest takie, które czuje, gdy jest kochane, i wzrusza się miłością, i za kochanie coraz bardziej kocha i coraz bardziej się oddaje i ceni je i czci. Niewdzięczne — wyzyskuje tylko miłość i im jest pewniejsze, tem mniej sobie z niej robi, więcej ją lekceważy i depce... Kobiętę o niewdzięcznym sercu dość jest pokochać, by ona przestała kochać. Rybak nie troszczy się o rybę w matni — więc i pani Osnowska nie troszczy się o pana Osnowskiego. W gruncie rzeczy jest to najgrubsza forma egoizmu, jaka istnieje — po prostu murzyńska! — i dlatego niech Bóg

strzeże pana Osnowskiego, a ją niech lichy porwie z jej chińskimi oczyma koloru fiołków i fryzowaną grzywką. Malować taką — dobrze! — ale ożenić się z taką — niema głupich! Czy pani uwierzy, że ja się tak boję niewdzięcznego serca, że się dlatego dotąd nie ożenił, choć mi dobrze wydzwoniła czterdziestka.

— Przecie to tak łatwo poznać — rzekła Marynia.

A Świrski odrzekł:

— Licha tam! zwłaszcza gdy ktoś straci zmysły i rozum.

I przegiąwszy swoją atletyczną figurę, patrzył czas jakiś na szkic, poczem rzekł:

— No, dosyć na dziś! Nagadałem się też tak, że chyba muchy popadały ze ścian. Jutro, jak pani będzie miała tego nadto, to niech pani tylko w dłonie kłaśnie... Ja zresztą tyle z panią Osnowską nie gadam, bo i ona lubi gadać... A co ja się nasłucham tytułów książek! No, mniejsza z tem! Coś jeszcze chciałem powiedzieć i zapomniałem... Aha! — że pani jest wdzięczne serce!

Połaniecki począł się śmiać i zaprosił Świrskiego na obiad, obiecawszy mu towarzystwo Bukackiego i profesora Waskowskiego.

— Z wielką radością — odpowiedział Świrski — ja jestem taki samotny, jak dzik. A że jest pogoda i pełnia, więc potem pojedziemy oglądać Koloseum przy księżycu.

Obiad jednak odbył się bez umysłowych koziołków Bukackiego, albowiem ten czuł się niezdrów i napisał, że nie przyjdzie. Natomiast Świrski i Waskowski przystali do siebie wybornie i zaprzyjaźnili się od razu. Świrski tylko przy robocie nie pozwalał nikomu przyjść do słowa, wogóle zaś lubił i umiał słuchać, a jakkolwiek profesor wraz ze swymi poglądami wydawał mu się czasem komiczny, jednak znać było w staruszkach taką szczerą i dobroć, że trudno mógł sobie kogo nie zjednać. Artystę też uderzyła jego mistyczna twarz i wyraz oczu. Trochę go sobie w duszy szkicował, i słuchając o Arych, myślał: jakby też wyglądała taka głowa, gdyby dobrze uchwycić wszystko, co w niej jest?

Pod koniec obiadu profesor jął rozpytywać Marynię, czyby nie chciała widzieć Papieża, i oświadczył, że za trzy dni ma przybyć belgijska pielgrzymka, do której możnaby się przyłączyć. Świrski, który znał cały Rzym i wszystkich monsiniorów, zaręczył, że potrafi to z łatwością przeprowadzić. Usłyszawszy to, profesor patrzył na niego i spytał:

— To pan prawie Rzymianin?

— Od szesnastu lat.

— Proszę!...

Tu profesor zmieszał się nieco, z obawy, czy nie popełnia niedyskrecyi, ale chcąc jednak wiedzieć, co ma sądzić o człowieku tak sympatycznym, przemógł nieśmiałość i spytał:

— A... czy z Kwirynału, czy z Watykanu?

— Z Pognębina — odpowiedział Świrski, marszcząc nieco brwi.

Zakończenie obiadu przerwało dalsze objaśnienia i dalszą rozmowę. Marynia ledwie mogła dosiedzieć na myśl, iż zobaczy przy księżycu Kapitol, Forum i Koloseum. Jakoż w chwilę później pojechali przez oświetlone elektrycznością Corso ku ruinom.

Noc była cicha i ciepła, a koło Forum i Koloseum pusto zupełnie, jak zresztą czasem bywa i we dnie. W okolicach kościoła Santa Maria Liberatrice ktoś grał w otwartym oknie na flecie, i w ciszy słychać było każdą nutę. Na przednią część Forum padał głęboki cień od wzgórza i gmachu kapitolńskiego, ale dalsze plany były oblane jasnym, zielonawym światłem, również jak i Koloseum, które zdawało się jak srebrne. Gdy powóz zatrzymał się przy arkadach olbrzymiego cyrku, Połanieccy, Świrski i Waskowski weszli do wnętrza i poczęli się posuwać ku środkowi areny, omijając nagromadzone bliżej arkad gruz, odłamy kolumn, fryzów, stopy cegieł, kamieni i niskie, stojące tu i owdzie cokoły. Pod wpływem milczenia i pustki słowa nie cisnęły się im do ust. Przez łuki arkad wchodziły do wnętrza snopy miesięcznego światła, które zdawało się spać cicho na podłożu areny, na przeciwległych murach, w szczerbach, rozpadlinach ścian, w załamaniach, na osrebrzonych mchach i bluszczach, pokrywających tu i owdzie zwalisko. Inne części gmachu, pogrążone w nieprzebitym mroku, czyniły wrażenie czarnych i tajemniczych czeluści. Z położonych nisko kunikułów szło surowe tchnienie pustki. Rzeczywistość zacierala się wśród tego labiryntu i tej mieszaniny murów, arkad, świetlistych pasem i głębokich cieniów. Olbrzymia ruina zdawała się tracić swój byt realny i stawać się sennem

widziałem, albo raczej jakimś dziwnym wrażeniem, złożonym z ciszy, nocy, księżycy, ze smutku i ze wspomnień wielkiej a pełnej cierpienia i krwi przeszłości.

Świrski pierwszy zaczął mówić przyciszonym głosem:

— Ile tu bólu, ile łez, jaka niezmierna tragedia!... Niech sobie mówią, co chcą — w chrześcijaństwie tkwi coś nadludzkiego — i tej myśli nie można się oprzeć.

Tu zwrócił się do Maryni i szeptał dalej:

— Niech pani sobie wyobrazi tamtę potęgę: cały świat, miliony ludzi, żelazne prawo, siłę, jakiej nigdy przedtem i potem nie widziano, organizację, jakiej nigdy nie było, wielkość, sławę, setki legionów, olbrzymie miasto, władające światem — i ten tam oto Palatyn, władający miastem; zdawałoby się, że żadna moc ziemską tego nie obali — tymczasem przychodzi dwóch żydów: Piotr i Paweł — nie z bronią, lecz ze słowem — i patrz pani: tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże, krzyże i krzyże...

Znów nastąpiła cisza, tylko od strony Santa Maria Liberatrice zachodził ciągle głos fletu.

Po chwili profesor Waskowski rzekł, wskazując na arenę:

— I tu był krzyż — ale oni go znieśli...

Lecz Połaniecki rozmyślał o słowach Świrskiego, miały one bowiem dla niego żywotniejsze znaczenie, niż mogłyby mieć dla człowieka, który walkę duchową z sobą ukończył. Wreszcie, idąc za biegiem własnych myśli, rzekł:

— Tak, w tem tkwi coś nadludzkiego. Jakaś prawda świeci tu w oczy, jak ten księżyc.

Zwolna mieli się ku wyjściu, gdy wtem na zewnątrz zaturkotał powóz, potem w ciemnej niszy, prowadzącej do środka cyrku, dały się słyszeć kroki i jakieś dwie wysokie postacie wychyliły się z cienia na światło.

Jedna z nich, przybrana w szarą suknię, która w blasku miesięcznym lśniła jak stal, zbliżywszy się na kilka kroków, by lepiej przypatrzeć się zwiedzającemu, rzekła nagle:

— Dobry wieczór! Noc taka śliczna, że i my wybraliśmy się do Koloseum. Co za noc!

Połaniecki rozpoznał głos pani Osnowskiej.

Ona zaś, podając mu rękę, mówiła głosem tak miękkim, jak ów głos fletu, dochodzący od strony kościoła:

— Zaczęłam wierzyć w przecucia, bo doprawdy coś mi mówiło, że znajdę tu znajomych. Jaka noc śliczna!...

XV

Wróciwszy do hotelu, Połanieccy znaleźli z pewnym zdziwieniem karty wizytowe państwa Osnowskich, a zdziwienie ich pochodziło stąd, że im-to pierwszym, jako młodemu małżeństwu, należało składać wizyty. Na uprzejmość, i tak niezwykle, trzeba było odpowiedzieć równą uprzejmością, nazajutrz więc pokwapili się z rewizytą. Bukacki, który ich przedtem widział, jakkolwiek mocno niezdrów i ledwie włączając nogi, zdobył się wszelako na jeden ze swych zwykłych konceptów i rzekł Połanieckiemu, gdy na chwilę zostali sam na sam:

— Ona będzie cię kokietowała, ale jeśli przypuszczasz, że się w tobie zakocha, to się mylisz. W niej jest trochę podobieństwa do brzytwy — potrzeba jej paska do ostrzenia się — i w najlepszym razie będziesz dla niej paskiem.

— Naprzód, nie chcę być jej paskiem — odpowiedział Połaniecki — a powtóre, jeszcze na to za wcześnie.

— Zawcześnie? To się znaczy, że sobie zabezpieczasz przyszłość.

— Nie, to znaczy, że myślę o czem innym, a także, że coraz więcej kocham swoją Marynię, tak, że gdy skończy się: zawcześnie, będzie: zapóźno — i że pani Osnowska mogłaby się na mnie poszczerbić, ale nie wyostrzyć.

I Połaniecki, mówiąc to, był szczerym: myśli miał istotnie zajęte czem innym, w każdym zaś razie było na to zawcześnie.

Był zaś tak dalece pewny siebie, że jednocześnie czuł pewną gotowość poddania się próbie. Inaczej mówiąc, sprawiłoby mu to pewne zadowolenie, gdyby pani Osnowska na nim poszczerbiła.

Tymczasem po śniadaniu pojechali z Marynią na posiedzenie do Świrskiego, które jednak krótko trwało, artysta bowiem był sędzią w jakimś konkursie artystycznym

i musiał spieszyć na posiedzenie. Gdy wrócili do siebie, w kwadrans później nadszedł pan Osnowski.

Połaniecki, po rozmowie ze Świrskim, wyniósł dla niego pewne politowanie, ale zarazem jakby lekceważenie, Marynia jednak czuła dla niego żywą sympatyę. Ujęło ją to, co słyszała o jego dobroci, delikatności i przywiązaniu do żony. Teraz zdawało jej się, że te wszystkie przymioty są jakby wypisane na jego twarzy, wcale zresztą niebrzydkiej, chociaż tu i owdzie pokrytej pryszczami.

Pan Osnowski, powitawszy ich, począł mówić z pewną swobodą człowieka, przywykłego do dobrych towarzystw:

— Ja tu przychodzę z polecenia żony, z pewną propozycją. Chwała Bogu, że ceremonie wizytowe między nami skończone, chociaż za granicą nie warto się zbyt ściśle z tem rachować. Jest rzecz taka: chcemy dziś jechać do Świętego Pawła, a następnie do Tre Fontane. To już za miastem; ciekawy klasztor i śliczny stamtąd widok. Otóż byłoby nam bardzo przyjemnie, gdyby państwo zgodzili się razem odbyć tę wycieczkę.

Marynia zawsze gotowa była na wszelkie wycieczki, zwłaszcza w towarzystwie i przy miłej pogawędce, skutkiem czego poczęła spoglądać na męża, czekając, co powie. Połaniecki zaś spostrzegł, iż ona ma ochotę, a prócz tego pomyślał w duchu: „Chcesz się trochę poszczerbić, to się poszczerb!”

I odrzekł:

— Ja zgodziłbym się chętnie, ale to zależy od mojej władzy wyższej.

Władza wyższa jeszcze nie była pewna, czy pokorny podwładny mówi to szczerze, ale widząc na jego twarzy uśmiech i dobry humor, ośmieliła się wreszcie zawyrokować:

— Z wielką wdzięcznością — tylko czy nie narobimy kłopotu?

— Nie kłopotu, ale przyjemności — odpowiedział Osnowski. — W takim razie doskonale! Za kwadrans tu będziemy.

Jakoż za kwadrans ruszyli. Chińskie oczy pani Osnowskiej pełne były zadowolenia i pogody. Ubrana w fularową suknię koloru irys i w jakieś okrycie, mogące uchodzić za ósmy cud świata, wyglądała rzeczywiście jak rusalka. I nim dojechali do Św. Pawła, Połaniecki sam nie wiedział, jakim sposobem pani Osnowska, która nic w tym przedmiocie nie mówiła, potrafiła mu jakoś powiedzieć, a przynajmniej dać do zrozumienia, co następuje:

— Twoja żona, to sobie ot, miła, wiejska kobiecinka, o moim mężu niema co i mówić. Rozumieć się i dzielić wrażeniami możemy tylko my dwoje.

Ale on ją postanowił drażnić.

Gdy dojechali do Św. Pawła, którego zresztą pani Osnowska nie nazywała inaczej, jak „San Paolo fuori le Mura,” mąż jej chciał zatrzymać powóz, lecz ona rzekła:

— Zatrzymamy się z powrotem, bo wówczas będziemy wiedzieli, ile nam czasu zostaje, a teraz jedźmy prosto do Tre Fontane.

Poczem, zwróciwszy się do Połanieckiego, mówiła dalej:

— Są też tu, w tem sławnym podwórzu, rozmaite rzeczy, o które chciałabym pana zapytać.

— To pani źle trafi — odpowiedział Połaniecki — bo ja się na tych rzeczach nic a nic nie znam.

Pokazało się wkrótce, przy mijaniu rozmaitych pamiątkowych miejscowości, że w całym towarzystwie zna się najlepiej pan Osnowski. Biedaczysko studyował od rana do wieczora przewodniki, dlatego, by sam mógł być przewodnikiem żonie, a po części dlatego, żeby jej się przez swoją wiedzę podobać. Ale ona lekceważyła objaśnienia, jakich mógł udzielić, właśnie dlatego, że pochodziły od niego. Więcej jej przypadła do smaku zuchwała pewność siebie, z jaką Połaniecki przyznał się, iż o starożytnościach nie ma pojęcia.

Za Świętym Pawłem odkrył się widok na Kampanię, wraz z jej akweduktami, zdającymi się biedz jakby z pośpiechem do miasta, i na góry Albańskie, przesłonięte błękitną mgłą oddalenia, zarazem spokojne i świetliste. Pani Osnowska patrzyła na nie czas jakiś rozmarzonym wzrokiem, poczem spytała:

— Czy państwo byli w Albano i w Nemi?

— Nie — odpowiedział Połaniecki — posiedzenia u Świrskiego przecinają nam dzień tak, że nie możemy czynić większych wycieczek przed ukończeniem portretu.

— Myśmy już byli, ale jak państwo wybiorą się tam, weźcie mnie jeszcze raz z sobą — weźcie mnie z sobą... Dobrze? Pani pozwoli? — dodała, zwracając się do Maryni. — Będę trochę piątem kołem, ale to nic... Zresztą będę cichutko, cichutko, siedzieć w kącie powozu i ani się odezwę — ani mrumru! Dobrze...

— Oj, mała, mała! — rzekł pan Osnowski.

A ona mówiła dalej:

— Mąż mój nie chce wierzyć, że zakochałam się w Nemi. A ja się zakochałam. Jak tam byłam, to mi się zdawało, że tam jeszcze chrześcijaństwo nie doszło, że nocami wychodzą jacyś kapłani i odprawiają nad jeziorem pogańskie obrzędy. Krótko powiem: cisza i tajemnica — oto Nemi. Czy pan uwierzy, że jak tam byłam, to mi ochota przyszła zostać pustelnicą — i dotąd nie przeszła. Zbudowałabym sobie pustelnię nad brzegiem jeziora — i chodziłabym w długiej szarej sukni, podobnej do habitu Św. Franciszka z Assyżu — i boso. Cobym dała, żeby zostać pustelnicą... Widzę siebie nad jeziorem...

— Anetko, a co by się ze mną stało? — spytał pół żartem, pół poważnie, pan Osnowski.

— Tybys się pocieszył — odpowiedziała krótko.

Połaniecki zaś pomyślał:

— Byłabys pustelnicą, pod warunkiem, żeby na drugim brzegu jeziora stało parę tuzinów frantów i przypatrywało się przez lornetki, co pustelnica robi i jak wygląda.

Był zbyt dobrze wychowanym, żeby powiedzieć jej wprost to, co pomyślał, ale powiedział jej coś podobnego i co można było tak zrozumieć, a ona poczęła się śmiać i odrzekła:

— Naturalnie. Żyłabym z jałmużny, więc czasem musiałabym ludzi widywać, i gdybyście państwo przyjechali do Nemi, przyszedłabym także do pana i powtarzałabym po cichutku: „un soldo! un soldo!”

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu swe drobne ręce i poczęła nimi potrząsać, powtarzając z pokorą:

— Un soldo per la povera! un soldo!...

I patrzyła mu w oczy.

Pan Osnowski zaś mówił tymczasem Maryni:

— To się nazywa Tre Fontane, bo tam są trzy źródła. Tam był święty Św. Paweł i jest podanie, że głowa jego podskoczyła trzykrotnie i że na tych miejscach wytrysły źródła. To teraz należy do Trapistów. Dawniej tam nie mogli nocować, taka była febra, ale teraz mniejsza, bo zasadzili na wzgórzach cały las eukaliptów. O! widać już stąd!

A pani Osnowska, przechylona nieco w tył, przymknęła na chwilę oczy i mówiła Połanieckiemu:

— Mnie to powietrze rzymskie upaja. Jestem jak nieprzytomna. W domu nie wymagam więcej od życia nad to, co mi daje, a tu się demoralizuję, tu czuję, że mi czegoś brak. Czy ja wiem czego? Tu się coś przeczuwa, coś odgaduje, za czemś tęskni... Może to źle. Może niepotrzebnie to mówię? Ale ja zawsze mówię to, co mi przez myśl przejdzie. W domu, jak byłam mała, nazywali mnie Szczerotką. Poproszę męża, żeby mnie stąd wywiózł. Może najlepiej żyć w swojej ciasnej skorupce, jak żółw, albo jak ślimak.

Na to Połaniecki odrzekł poważnie:

— W skorupie może być dobrze ślimakom lub żółwiom, ale nie ptakom i do tego rajskim, o których jest podanie, że nie mają nóg i z tej przyczyny nie mogą nigdy spocząć, tylko muszą latać i latać.

— Jakie śliczne podanie... — odpowiedziała pani Osnowska.

I podniósłszy dłonie, poczęła nimi poruszać, udając ruch skrzydeł i powtarzając:

— Tak ciągle w powietrzu, w powietrzu!

Pochlebilo jej porównanie, a zarazem zdziwiło ją to, że Połaniecki mówił z powagą w głosie, a zarazem z twarzą niedbałą i jakby ironiczną. Począł ją zajmować, bo wydał jej się bardziej inteligentnym i trudniejszym do opanowania, niż się spodziewała.

Tymczasem dojechali do Tre Fontane. Zwiedzili ogród, kościół i kaplicę, w której podziemiem biją trzy źródła. Pan Osnowski objaśniał swoim dobrym, trochę jednostajnym głosem, co przedtem wyczytał. Marynia słuchała go z zajęciem, Połaniecki zaś pomyślał:

— Jednak żyć z nim trzysta sześćdziesiąt pięć dni na rok, musi być trochę ciężko!

Usprawiedliwiała to poniekąd w jego oczach panią Osnowską, która, wzięwszy teraz na się nową rolę rajskiego ptaka, nie spoczęła na chwilę nietylko na ziemi, ale na żadnym przedmiocie. Naprzód napiła się likieru z eukaliptów, który klasztor wyrabia jako środek przeciw febrze, następnie oświadczyła stanowczo, że gdyby była mężczyzną, toby została Trapistą; potem jednak przypomniała sobie, że uśmiechałby się jej zawód żeglarski, „ciągle między morzem a niebem — jakby za życia w nieskończoności;” wreszcie jednak nad wszystkimi innymi wzięła w niej górę chęć zostania wielkim, bardzo wielkim pisarzem, który maluje najdrobniejsze poruszenia duszy, pół-świadome uczucia, niedopowiedziane pragnienia, wszystkie kształty, wszystkie kolory, wszystkie cienie. Zgromadzeni dowiedzieli się też pod sekretem, że pisze swój pamiętnik, który „ten poczciwy Józio” uważa za arcydzieło, ale ona wie, że to jest nic, nie ma najmniejszych pretensji i wyśmiewa się i z Józia i z pamiętnika.

„Józio” zaś patrzył na nią rozkochanymi oczyma, z wielką miłością na popryszczonej twarzy i powtarzał, protestując:

— A co do pamiętnika, to przepraszam, bardzo przepraszam!

Wyjechali już pod zachód. Od drzew kładły się długie cienie, słońce stało się wielkie i czerwone. Dalekie akwedukty i góry Albańskie świeciły różowo. Byli w połowie drogi, gdy z wieży Św. Pawła zadzwoniono na „Anioł Pański” — i wnet za tym dzwonem ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty. Każdy kościół podawał głos następnemu i zrobił się chór tak ogromny, tak rozdźwięczało się całe powietrze, jakby na „Anioł” dzwoniło nietylko miasto, ale cała okolica, równiny i góry.

Połaniecki spojrział na oświeconą złotym blaskiem twarz Maryni. Był w niej wielki spokój i skupienie. Widać było doskonale, że tak sobie teraz odmawia „Anioł Pański,” jak odmawiała w Krzemieniu, gdy dzwoniono w Wątorach. Zawsze i wszędzie jednak. Połanieckiemu przypomniawszy się znów: „służba boża.” Wydało mu się to tak proste i uspakajające, jak nigdy. Ale zarazem, teraz, zbliżając się do miasta, zrozumiał trwałość, żywotność i ogrom tych wierzeń. „To wszystko — pomyślał — przecie tak trwa od półtora tysiąca lat i nie w czym innym moc i niepożytość tego miasta, tylko w tych wieżach, dzwonach, w tej stateczności krzyża, który trwa i trwa.” Tu znów przypomniały mu się słowa Świrskiego: „Tu ruina, na Palatynie ruina, na Forum ruina, a nad miastem krzyże, krzyże i krzyże!” I wydało mu się niewątpliwem, że w samej tej trwałości jest coś nadludzkiego. Tymczasem dzwony biły, a niebo nad miastem oblewało się zorzą. Pod wrażeniem modlącej się Maryni i dzwonów, i tego nieszpornego nastroju, który zdawał się unosić nad miastem i całą ziemią, w Połanieckim, który miał wiele duchowej prostoty, poczęła się wyłaniać następująca myśl: „Jakim musiałbym być głupcem i pyszałkiem, gdybym wobec tej potrzeby wiary i tego poczucia Boga miał szukać jakich swoich własnych form czci i miłości, zamiast przyjąć te, które Marynia nazywa „służbą bożą,” i które muszą być jednak najlepsze, skoro świat żyje w nich od blisko dwóch tysięcy lat..” Później, jako człowieka praktycznego, uderzyła go rozsądna strona tej myśli i jął dalej mówić sobie, niemal wesoło: „Z jednej strony tradycja tysięcy lat, życie Bóg wie ilu pokoleń, Bóg wie ilu społeczeństw, którym było i jest w tych formach dobrze, powaga Bóg wie ilu głów, które uważają je za jedyne — z drugiej strony kto taki? — ja! współnik Domu komisowego pod firmą Bigiel i Połaniecki! — i ja miałbym mieć pretensję, że wymyślę coś lepszego, w co się Pan Bóg lepiej pomieści? Toż trzeba chyba być durniem! Ja przecie jestem z sobą szczerzy człowiek i nie zniósłbym, gdyby mi przychodziło od czasu do czasu na myśl, że jednak jestem kiep. A do tego, tak wierzyła moja matka i tak wierzy moja żona — a nie widziałem w nikim więcej spokoju, jak w nich.”

Tu spojrział raz i drugi na Marynię, a ona widocznie skończyła swój „Anioł Pański” — bo uśmiechnęła mu się na odpowiedź i spytała:

— Coś ty taki milczący?

— Wszyscy milczymy — odpowiedział.

I tak było, ale z różnych przyczyn. W czasie, gdy Połaniecki był zajęty swymi myślami, pani Osnowska zagabnęła go kilkakrotnie i oczyma i słowami. On jednak na słowa odpowiadał coś piąte przez dziesiąte — spojrzeń zaś wcale nie zauważył — i po prostu obraził ją; mogła mu przebaczyć, a nawet mogło jej się podobać, gdy na oznajmienie, że pragnęłaby być zakonnicą, odpowiedział jej ukrytem w grzecznych słowach zuchwał-

stwem, ale dotknęło ją śmiertelnie, gdy po prostu przestał na nią zważać — i za karę również przestała na niego zważać.

Ale, jako osoba dobrze wychowana, stała się tem grzeczniejszą dla Maryni. Poczęła ją wypytywać o jutrzejsze zamiary i dowiedziawszy się, że mają być w Watykanie, oświadczyła, że i oni z mężem mają karty wstępu i że również skorzystają ze sposobności.

— Pani wie, jak trzeba być ubraną? — spytała — czarna suknia i na głowie czarna koronka. Trochę się staro w tem wygląda, ale to nieodzowne.

— Wiem, przestrzegał mnie pan Świrski — odpowiedziała pani Połaniecka.

— Pan Świrski ciągle mi w czasie posiedzeń o pani opowiada. On ma dla pani ogromną sympatyę.

— I ja dla niego — rzekła Marynia.

W czasie tej rozmowy zajęchali przed hotel. Połaniecki otrzymał od pięknej pani tak lekki i oziębły uścisk ręki, że, jakkolwiek głowę miał zajętą czem innym, jednak to zauważył.

— Czy to jest nowy sposób — pomyślał — czy też ja powiedziałem coś, co jej się nie podobało?

I wieczorem spytał Marynię:

— Co myślisz o pani Osnowskiej?

— Myślę — odrzekła — że pan Świrski może mieć trochę słuszności.

A Połaniecki odpowiedział:

— Ona w tej chwili pisze pamiętnik, który „Józio” uważa za arcydzieło...

XVI

Nazajutrz, gdy Marynia wyszła ubrana do męża, ów ledwie ją poznał. Ubrana w czarną suknię i w czarnej koronce na głowie, wydawała mu się wyższą, szczuplejszą, smaglejszą i starszą. Ale podobała mu się pewna w niej powaga, która przypomniała mu chwilę ślubu. W pół godziny później wyjechali. Marynia przyznała mu się po drodze do strachu i do bicia serca, on zaś uspokajał ją, żartując, chociaż także był nieco wzruszony, a gdy po krótkiej drodze wjechali w olbrzymie półkole przed Św. Piotrem, czuł, że i jemu pulsa nie biją jak codziennie, a prócz tego miał takie dziwne wrażenie, jakby był mniejszy niż zwykle. U schodów, przy których stało kilku szwajcarów, przybranych w przepyszne, obmyślane przez Michała Anioła, ubiory, znaleźli Świrskiego, który wprowadził ich na górę, wraz z tłumem ludzi, przeważnie Belgów. Marynia, trochę ogłuszona, sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w bardzo obszernej sali, w której tłum był jeszcze większy, z wyjątkiem w środku, gdzie szwajcarowie, ustawieni w szpaler, utrzymywali szerokie wolne przejście. Tłumy, między którymi słyhać było język francuski i flamandzki, szepcząc między sobą zniżonymi głosami, zwracały głowy i oczy ku temu przejściu, w którym zjawiały się od czasu do czasu przez drzwi przyległej sali postacie w dziwnych kostyumach, przenoszących Połanieckiego myślą do galeryi antwerpskich lub brukselskich. Zdawało mu się, że średnie wieki zmartwychwstają: czasem więc był to jakby jakiś rycerz średniowieczny, w innym wprawdzie hełmie niż na dawnych obrazach, ale ze stalą na piersiach; czasem niby herold w krótkiej czerwonej dalmatyce i w czerwonym na głowie berecie; chwilami przez uchylone drzwi migały purpury kardynalskie, lub fiolety biskupie, strusie pióra, koronki na czarnych aksamitach i głowy niezmiernie sędziwe, o białych włosach, lub twarze jakby z sarkofagów. A jednak znać było, że spojrzenia tłumów padają na te osobliwe stroje, na te barwy i na te twarze, jakby mimochodem, że oczy szukają czegoś innego, wyższego, i czegoś innego serca, że uwaga skupia się w myślach, a uczucie w duszach, w oczekiwaniu jakiejś chwili, którą się w życiu raz ma, a na zawsze pamięta. Połaniecki, trzymając Marynię za rękę, by jej nie zgubić w tłumie, czuł, jak ta ręka drży ze wzruszenia, sam zaś, wśród tych cichych tłumów, wśród tej powagi historycznej i jakby zmartwychwstałych prastarych czasów, wśród tego skupienia i oczekiwania — doznał znów tego dziwnego wrażenia, że staje się coraz mniejszy i mniejszy, i tak mały, jak nigdy w życiu.

Wtem jakiś głos cichy i nieco zdyszany szepnął przy nich:

— Upatrywałem was i ledwie znalazłem. Zdaje się, że to już będzie zaraz.

Ale to nie miało być jeszcze zaraz. Świrskiego tymczasem powitał znajomy Monsinior i pomówiwszy z nim kilka słów, wprowadził uprzejmie całe towarzystwo do przyległej sali, obitej czerwonym adamaszkiem. Połaniecki ze zdziwieniem spostrzegł, że i tu już było pełno ludzi, z wyjątkiem jednego końca sali, który osłaniała straż honorowa, a w którym stało na podwyższeniu krzesło, przed nim zaś kilku prałatów i biskupów, rozmawiających z sobą poufnie. Tu oczekiwanie i skupienie wpadało w oczy jeszcze wyraźniej. Widać było, że ludzie wstrzymują oddechy i że wszystkie twarze mają uroczysty i tajemniczy wyraz. Błękitna jasność dnia, pomieszana z purpurowymi odbłaskami obicia, napelniała tę salę jakimś niezwykłym światłem, w którym promienie słońca, wdzierające się tu i owdzie przez szyby, wydawały się bardziej rumiane i jakby czerwieńsze.

Czekali jeszcze przez czas jakiś, nakoniec w pierwszej sali dał się słyszeć szmer, potem pomruk, potem okrzyk, nakoniec w otwartych bocznych drzwiach ukazała się biała postać, niesiona przez gwardzistów szlacheckich. Ręka Maryni ścisnęła nerwowo dłoń Połanieckiego, ów zaś oddał jej ten uścisk i wrażenia szybkie, zlewające się w jedno ogólne poczucie jakiejś wyjątkowej i uroczystej chwili, poczęły cisnąć się tak do jego umysłu, jak w czasie ślubu.

Jeden z kardynałów począł przemawiać, lecz Połaniecki nie słyszał i nie rozumiał jego przemowy. Jego oczy, myśl i cała dusza były przy przybranej białej postaci. Nic z niej nie uchodziło jego uwagi. Uderzyło go jej niesłychane wycieńczenie, szczupłość, chudość i twarz tak blada a zarazem tak przeźrocza, jak bywają twarze umarłe. Było w niej coś bezcielesnego, a przynajmniej wydała mu się nawpół tylko ciałem, a nawpół tylko zjawiskiem; jakby tylko światłem, przeświecającem przez alabaster, jakby duchem, wszczepionym w jakąś przeźroczą materię, jakby pośredniem ogniwem między dwoma światami, ogniwem ludzkim jeszcze, lecz już i nadludzkim, ziemskim dotąd, ale zarazem nadziemskim. I przez dziwną antytezę materya w niej wydawała się czemś widziadłowem, duch czemś realnem.

Potem, gdy ludzie poczęli zbliżać się do niej po błogosławieństwo, gdy Połaniecki zobaczył w stóp jej swoją Marynię, gdy uczuł, że do tych kolan, nawpół już empirejskich, można zarazem pochylić się jak do ojcowskich, ogarnęło go silniejsze nad wszystko wzruszenie, oczy mu zaszyły mgłą i prawda! — nigdy w życiu nie czuł się tak małym ziarnkiem piasku, ale zarazem uczuł się ziarnkiem piasku, w którym bije wdzięczne serce dziecka.

Po wyjściu wszyscy byli milczący. Marynia miała oczy jakby rozbudzone ze snu; profesorowi Waskowskiemu trzęsły się ręce; na śniadanie przywłókł się Bukacki, ale sam będąc chory, nie potrafił nikogo rozgadać; nawet Świrski mało gawędził podczas posiedzenia — i tylko, wracając ciągle do tego samego przedmiotu, od czasu do czasu powtarzał:

— Tak, tak! Kto tego nie widział, ten nie może mieć o tem żadnego pojęcia. To zostaje.

Wieczorem Połaniecki z Marynią poszli oglądać zachód słońca z Trinità dei Monti. Dzień kończył się bardzo pogodnie. Miasto całe pogrążone było jakby w rozpylonym złotym blasku; pod ich stopami, hen, w dole, na Piazza d'Espagna, poczynał się już zmierzch, ale zmierzch jeszcze świetlisty, w którego łagodnych tonach widać było bzy, irysy i białe lilie w wystawach kwiatowych po obu stronach Condotti. W całym obrazie był jakiś wielki i niezmacony spokój, jakby kojąca zapowiedź nocy i snu. Potem plac Hiszpański począł coraz bardziej zanurzać się w cień, tylko Trinità świeciła ciągle purpurowo.

I Połaniecki i Marynia odczuli ten spokój w sobie. Zstępowali teraz z olbrzymich schodów z jakimś dziwnym uczuciem ciszy w duszach. Wszystkie wrażenia dnia układały się w nich w linie tak wielkie i spokojne, jak owe pasma zorzy, która świeciła jeszcze nad nimi. Połaniecki wreszcie rzekł:

— Wiesz, co ja pamiętam jeszcze z dziecinnych lat? — że u nas w domu mówiło się pacierz wieczorny zawsze razem.

I począł patrzeć pytającym wzrokiem w jej oczy.

— A, mój Stachu! — odrzekła głosem, w którym drgało wzruszenie — ja ci tylko nie śmiałam o tem mówić — mój najlepszy!

On zaś odrzekł:

— „Służba boża!” — czy pamiętasz?

Lecz ona powiedziała to niegdyś z taką prostotą i jako rzecz, która tak bardzo rozumiała się sama przez się, że teraz nie pamiętała nic a nic.

XVII

Połaniecki ciągle jednak był w niełasce u pani Osnowskiej. Spotykając się z nim u Świrskiego między jednym posiedzeniem a drugim, mówiła z nim tylko tyle, ile nakazywało jej dobre wychowanie i grzeczność. Połaniecki widział to doskonale, czasem pytał się siebie: „Czego ona ode mnie chce”? — i niewiele sobie z tego robił, a byłby jeszcze mniej robił, gdyby jednak pani Osnowska, zamiast dwudzieściu ośmiu, miała pięćdziesiąt ośm lat, gdyby nie posiadała tak fiołkowych oczu i tak wiśniowych ust. I taka jest natura ludzka, że pomimo, iż rzeczywiście niczego od niej nie chciał i nie wyglądał, nie mógł wstrzymać się od myślenia, coby być mogło, gdyby istotnie starał się o jej łaski i do czego ona byłaby zdolna się posunąć.

Odbyli we czworo jeszcze jedną przejażdżkę do katakumb Św. Kalixta, Połaniecki bowiem chciał się wyplącić grzecznością za grzeczność, to jest powozem za powóz. Ale wycieczka ta nie przyniosła zgody. Rozmawiali tylko o tyle, żeby nie zwrócić na siebie uwagi — i jego wreszcie zaczęło to gniewać. Rzeczywiście, to zachowanie się pani Osnowskiej wytwarzało między nimi szczególny stosunek, niby niechętny, ale im tylko wiadomy, zatem coś wyłączonego między nimi, jakiś rodzaj tajemnicy, do której nikt inny nie był dopuszczany. Połaniecki sądził, że wreszcie wszystko to urwie się z chwilą, gdy koło jej portretu nic już nie będzie do roboty, ale tymczasem, choć twarz była już dawno skończona, pozostawało dużo innych drobnych szczegółów, dla których obecność uroczej modelki okazywała się niezbędną.

Składało się zaś znowu tak choćby z tej prostej przyczyny, że Świrski nie chciał tracić czasu, że gdy Połanieccy przychodzili, państwo Osnowscy byli jeszcze w pracowni. Czasem też przystawiali nieco, dla powitania się i krótkiej pogawędki o wczorajszych wrażeniach, czasem pan Osnowski bywał wysyłany przez żonę za jakąś sprawą, lub po jakiejś wiadomości — wówczas wychodził naprzód, zostawiając jej powóz przed pracownią.

I raz zdarzyło się, że gdy Marynia już zasiadła do pozowania, pani Osnowska jeszcze nie była wyszła; przez chwilę, dowiedziawszy się, że Połanieccy byli zeszłego wieczora w teatrze, wypytywała się, nakładając przed lustrem kapelusz i rękawiczki, o śpiewaków i operę — poczem, zwróciwszy się do Połanieckiego, rzekła:

— A teraz poproszę o odprowadzenie mnie do powozu.

I zarzuciwszy okrycie, poczęła szukać wstążek, przyszytych z tyłu do podszewki, żeby je zawiązać w pasie, ale w przedpokoju zatrzymała się nagle.

— Nie mogę przez rękawiczki znaleźć wstążek — rzekła — niech się pan zmiłuje nademną!

Połaniecki począł szukać, ale przytem musiał ją niemal objąć. Przez chwilę oblał go war żądz, tem bardziej, że pochyliła się ku niemu, tak, że ciepło od jej twarzy i ciała poczęło na niego bić.

Ona zaś zapytała półgłosem:

— Czemu się pan gniewa na mnie. To źle! Ja tak potrzebuję przyjaznych dusz! Co ja panu zrobiłam?

On tymczasem znalazł wstążki, odsunął się, ochłonął i z tem nieco grubem zadowoleniem człowieka szorstkiego, który chce wyzyskać swój tryumf i zaznaczyć, że się nie dał — odpowiedział jej po prostu impertynencyą:

— Pani mi nic nie zrobiła — i nic nie może zrobić.

Lecz ona odbiła niegrzeczność, jakby piłkę w tenisie:

— Bo tak mało czasem zważam na ludzi, że ich prawie nie widzę.

Poczem poszli w milczeniu aż do powozu.

— A więc to tak? — myślał, wracając do pracowni Połaniecki — więc tamby się można posunąć tak daleko, jak się podoba!

I znów przebiegł go dreszcz od stóp do głowy.

— ...Tak daleko, jak się podoba... — powtórzył.

Przyczem nie zdał sobie sprawy, że popełnia omyłkę, jaką popełniają codziennie tuziny mężczyzn, miłośników polowania na cudzych gruntach. Pani Osnowska była kokietką,

miała oschłe serce i znieciały już umysł, ale była jeszcze o sto mil od zupełnego fizycznego upadku.

Tymczasem wrócił do pracowni z uczuciem, że uczynił dla Maryni jakąś ogromną ofiarę i z pewnym żalem w sercu, naprzód z tego powodu, że ona o tem wiedzieć nie będzie, a powtórę, że choćby się dowiedziała, toby jego postępek uważała za zupełnie prosty. To poczucie gniewało go, i gdy spojrzął na nią, na czyste jej oczy, na twarz jej spokojną i piękną uczciwą pięknnością, mimowoli porównanie tych dwóch kobiet nasunęło mu się na myśl i w duszy powiedział sobie:

— Ach, Marynia! taka wołałaby się w ziemię zapaść! tej można być pewnym!

I rzecz szczególna. Było w tem niewątpliwie uznanie, ale był zarazem odcień politowania i jakby rozdrażnienia. Była to dusza, tak bardzo jego, iż nie czuł się w obowiązku do ustawicznego podziwu nad jej wartością.

I przez resztę posiedzenia wracał ustawicznie myślą do pani Osnowskiej. Przypuszczał, że w przyszłości przestanie mu po prostu rękę podawać i pokazało się, iż się znów omylił. Przeciwnie, chcąc mu dowiedzieć, że nie przywiązuje żadnej wagi do niego, ani do jego słów, była z nim grzeczniejsza niż przedtem. Tylko pan Osnowski miał minę obrażoną i stawał się dla niego z każdym dniem bardziej lodowaty — zapewne wskutek rozmów z „Anetką”.

Lecz w kilka dni później, innego rodzaju wrażenia zatarły to zajście w pamięci Połanieckiego. Bukacki od dawna ciągle był niezdrów; narzekał coraz bardziej na ból głowy z tyłu czaszki i na jakieś dziwne uczucie, jakby rozbratu z własnymi mięśniami. Humor jego odzywał się jeszcze czasem, ale wybuchał i gasł, jak ogniotrysk. Coraz rzadziej przychodził na wspólne obiady w hotelu. Nakoniec któregoś ranka Połaniecki odebrał jego kartkę, skreśloną bardzo niepewną ręką, a w niej słowa:

„Mój drogi, zdaje się, że od dzisiejszej nocy jestem na wsiadanem. Jeśli chcesz widzieć odjazd, to przyjdź do mnie, zwłaszcza w braku czego lepszego do roboty”.

Połaniecki zataił kartkę przed Marynią, ale poszedł natychmiast. Zastał Bukackiego w łóżku, a przy nim lekarza, którego zresztą Bukacki natychmiast odprawił.

— Przestraszyłeś mnie okropnie — rzekł Połaniecki — co ci jest?

— Nic wielkiego: małe paraliżki lewej części ciała.

— Bóże się Boga!

— Rozumnie mówisz! Jeśli kiedy była pora po temu, to teraz. Nie mam władzy w lewej ręce, w lewej nodze — i nie mogę wstać. Takem się obudził dziś rano. Myślałem, że stracił i mowę i zacząłem sobie deklamować: „Per me si va” — ale jak widzisz — nie! Język został — a teraz pracuję nad odzyskaniem pogody myśli.

— Czyś ty tylko pewny, że to paraliż? Może to chwilowe odrętwienie.

— „Czem jest życie? ach, chwilką tylko!” — począł deklamować Bukacki. — Nie mogę się ruszać i skończyło się — albo jeśli wolisz: zaczęło się!

— Toby była okropna rzecz, ale ja w to nie wierzę. Każdy może na czas jakiś zdrętwieć.

— Bywają chwile w życiu nieco przykre, jak mówił karaś, którego kucharka oskrobywała nożem z łuski. Przyznaję ci się, że w pierwszej chwili strach mnie zdjął. Czy ty miałeś kiedy uczucie podnoszenia się włosów na głowie? Niezupełnie ono się da policzyć do uczuć rozkosznych. Ale teraz przyszedłem już do równowagi i po trzech godzinach wydaje mi się, że mam sobie żył z moim paraliżem od dziesięciu lat. Kwestya przyzwyczajenia! — jak mówił rydz na patelni. Dużo gadam, bo nie mam wiele czasu. Czy ty wiesz, mój drogi, że ja za parę dni umrę?

— Prawdziwie gadasz! Ludzie sparaliżowani żyją po trzydzieści lat.

Bukacki odpowiedział:

— Nawet po czterdzieści! Paraliż jest to poniekąd luksus, na jaki sobie mogą niektórzy pozwolić — ale nie tacy, jak ja. Dla tęgiego człowieka, który ma porządny kark, porządne plecy i porządne łydki, to może być nawet rodzajem wypoczynku, rodzajem wywczasu po wesołej młodości — i sposobnością do rozmyślań — ale dla mnie! Pamiętasz, jak się wyśmiewał moje łydki? Otóż powiadam ci, że miałem wówczas elephantiasis w porównaniu z tem, co dziś jest. To nieprawda, że każdy człowiek jest bryłą — ja jestem tylko linią — i do tego linią, idącą — bez żartów — w nieskończoność!...

Połaniecki począł się zżymać, zaprzeczać, powoływać się na znane sobie przykłady, lecz Bukacki odparł:

— Daj pokój! ja czuję i wiem, że za parę dni przyjdzie paraliż mózgu. Nie mówiłem nikomu, że ja się od roku tego spodziewałem i od roku czytałem medyczne książki... Przyjdzie drugi atak i będzie koniec!

Tu umilkł, lecz po chwili począł znów mówić:

— I czy myślisz, że ja tego nie wolę! Pomyśl, że ja jestem samotny, jak odcięty od ręki palec. Nie mam nikogo... Tu, a nawet w Warszawie, mogliby mnie pilnować tylko ludzie płatni. To ogromnie podle życie, bez ruchu i bez żywego ducha bliźniego. Gdy stracę mowę, jak straciłem ruch, to pierwsza lepsza dozorczyńca, albo pierwszy lepszy dozorca będzie mnie mógł po fizyognomii bić, ile mu się podoba. A trzeba ci wiedzieć jedną rzecz. Złakłem się w pierwszej chwili paraliżu, ale w moim marnem ciele siedzi harda dusza — przypomnij sobie, com ci mówił, że się śmierci nie boję — i nie boję się!

Tu w oczach Bukackiego mignął jakiś płowy odblask odwagi i energii, ukrytej gdzieś na dnie tej zwichniętej i rozmiękczonej duszy.

Lecz Połaniecki, który miał dobre serce, położył rękę na jego sparaliżowanej dłoni i rzekł z wielką serdecznością:

— Mój Adziu! Nie przypuszczaj tylko, że cię tak zostawimy, jak jesteś — i nie mów, że nie masz nikogo. Masz mnie, a oprócz mnie i moją żonę, i Świrskiego, i Waskowskiego, i Bigielów. Dla nas nie jesteś obcym. Przewiozę cię do Warszawy, umieszczę w domu zdrowia i będziemy cię doglądali, a po pysku żaden dozorca nie będzie cię bił — naprzód dlatego, że jabym każdemu kości połamał, a powtóre, że u nas są Szarytki, a między niemi pani Emilia.

Bukacki umilkł i trochę pobladł. Był i on więcej wzruszony, niż chciał okazać. Przez oczy przeszedł mu cień. Po dłuższym milczeniu rzekł:

— Ty jesteś dobry chłopak. I sam nie wiesz, że dokazałeś cudu, boś dokazał, że jeszcze czegoś chcę... Tak, ogromniebym chciał do Warszawy — między was wszystkich. Ogromniebym się cieszył na Warszawę!...

— Trzeba, żebyś i tu zaraz przeniósł się do jakiego domu zdrowia pod stały nadzór. Świrski powinien wiedzieć, gdzie najlepiej. Tymczasem oddaj mi się w łapy — dobrze? Pozwól, że ja się za ciebie rozporządzę.

— Rób, co chcesz — odpowiedział Bukacki, w którego, na widok nowych planów i energii Połanieckiego, poczęła wstępować otucha.

Połaniecki napisał do Świrskiego, do Waskowskiego i wysłał natychmiast posłańców. W pół godziny zjawili się obaj, a Świrski ze słynnym miejscowym lekarzem — i jeszcze przed południem Bukacki znalazł się w domu zdrowia, w jasnym i wesołym pokoju.

— Jaki to łagodny i ciepły ton — rzekł, spoglądając na złotawy kolor ścian i pułapu. — To ładne.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— Przyjdź do mnie wieczorem — rzekł — a teraz idź do żony.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Przyszedszy do domu, opowiedział ostrożnie Maryni cały wypadek, nie chciał jej bowiem przestraszać nagłą wieścią, przypuszczając, że może być w stanie odmiennym. Marynia poczęła go prosić, by zabrał ją do Bukackiego, jeśli nie wieczorem, to nazajutrz rano — co przyrzekł uczynić. Wybrali się też zaraz po śniadaniu, gdyż posiedzenia tego dnia nie było.

Ale przedtem profesor Waskowski nie odstępował Bukackiego ani na chwilę. Gdy chory zagospodarował się już w nowym łóżku, w domu zdrowia, staruszek począł mu opowiadać, jak raz myślał już, że umrze, ale po spowiedzi i po przyjęciu sakramentów zrobiło mu się jakby cudem lepiej.

— Znana metoda, kochany profesorze — odpowiedział z uśmiechem Bukacki — i wiem, o co panu chodzi.

A profesor zmieszał się, jakby złapany na złym uczynku — i złożył ręce.

— Bo ja się założę, że toby ci pomogło! — odrzekł.

Bukacki zaś odpowiedział z odblaskiem dawnego humoru:

— Dobrze. Za parę dni przekonam się, o ile mi to pomoże — z tamtej strony rzeki.

Przybycie Maryni ucieszyło go tem bardziej, że było dla niego niespodzianką. Począł mówić, że nie spodziewał się już po tej stronie rzeki zobaczyć żadnej kobiety, a do tego swojej. Trochę przytem na wszystkich zrzędził, ale z widocznym wzruszeniem.

— Co to za romantycy! — mówił. — To jest wprost brak rozsądku zajmować się takim kościanym dziadkiem, jak ja. Wy nigdy nie potraficie być rozsądni. POCO to? naco? Oto jeszcze przed śmiercią muszę być wdzięczny — i jestem wdzięczny — szczerze — bardzo szczerze!...

Ale Marynia nie dała mu mówić o śmierci, natomiast z wielkim spokojem mówiła o konieczności przeniesienia się do Warszawy, między swoich; mówiła o tem, jak o rzeczy, której możliwość wykonania nie podlega najmniejszej wątpliwości i potrafiła zwolna wszczepić to przekonanie w Bukackiego. Dawała mu rady, jak ma się urządzić, a on w końcu słuchał ich chciwie. Myśli jego przeszły w jakiś stan folgi, w którym dały sobą powodować. Czuł się jakby dzieckiem i do tego biednym dzieckiem.

Tegoż samego dnia odwiedził go jeszcze pan Osnowski i ten również okazał mu tyle zajęcia i serca, ile mógł okazać rodzony brat. Bukacki wprost się tego wszystkiego nie spodziewał i na nic podobnego nie liczył. To też, gdy późnym, wieczorem przyszedł jeszcze raz Połaniecki i gdy zostali sam na sam, rzekł:

— Powiem ci teraz szczerze: nigdy lepiej nie czułem, że z życia zrobiłem głupią farsę i że je zmarnowałem, jak pies.

Po chwili zaś dodał:

— I gdybym był chociaż znajdował prawdziwe upodobanie w tej metodzie, według której żyłem — ale i to nie. Jaka głupia ta nasza epoka! Człowiek się rozdwaja: wszystko, co w nim lepsze, chowa i zatyka gdzieś w kąty, a staje się jakąś małpą, czy pajacem, i to gorzkim pajacem, a w dodatku często nieszczerym. Więcej wmawiać w siebie marność życia, niż ją odczuwać — jakie to dziwne! Jedna rzecz mnie pociesza, że czemś naprawdę rzeczywistym w życiu jest tylko śmierć — chociaż z drugiej strony, to znów nie racya, żeby przedtem, nim ona przyjdzie, mówić na wino, że to ocet...

— Mój kochany — odpowiedział Połaniecki — tyś się zawsze męczył tem ciąglem nawijaniem myśli na byle motek. Nie czyniż tego teraz.

— Masz słuszność. Ale nie mogę o tem nie myśleć, że pókim chodził i był jako tako zdrow, drwiłem z życia, a teraz — powiem ci to pod sekretem — ja mam ochotę jeszcze żyć.

— I będziesz.

— Ej, daj spokój. Żona twoja mi to wmówiła — ale teraz znów nie wierzę. I ciężko mi. Zmarnowałem się. Ale słuchaj, dlaczego chciałem z tobą mówić. Nie wiem, czy czeka mnie jaki obrachunek, czy nie? Szczerze ci mówię: nie wiem! — a jednak mam jakiś dziwny niepokój, jakbym się czegoś bał — i powiem ci czego: oto, że ja tam, dla swoich, nic nie zrobiłem, a mogłem! mogłem!... Przed tą myślą strach mnie bierze — daję ci słowo! To jest niegodna rzecz! Nic nie zrobiłem: zjadałem darmo chleb, a teraz... śmierć. Jeśli są jakie baty i jeśli mnie czekają, to za to — i słuchaj Stachu — ciężko mi!...

Tu jakkolwiek mówił zwykłym sobie, niedbałym tonem, twarz jego poczęła wyrażać istotny niepokój — usta pobladły mu nieco, a na czole osiadło kilka kropel potu.

— Dajże pokój! — rzekł Połaniecki — ot, co mu do głowy przychodzi! Szkodzisz sobie!

Lecz Bukacki mówił dalej:

— Słuchaj, czekaj! Ja mam dość znaczny majątek — niech choć on coś zrobi za mnie. Ja tobie zostawię część, ale ty resztą rozporządź na coś pożytecznego! Ty jesteś praktyczny i Bigiel także. Namyślcie się, bo ja nie wiem, czy będę miał czas. Zrobisz to?

— I to, i co chcesz!

— Dziękuję ci. Jaki to dziwny tego rodzaju niepokój i tego rodzaju wyrzuty? A jednak nie mogę się pozbyć poczucia winy. Takie warunki, że nie godzi się! Trzeba zrobić coś uczciwego, chociaż przed śmiercią. To jednak nie żarty! — Śmierć. Żeby to było coś widnego, ale to takie ciemne!... I trzeba rozpadać się, psuć i gnić *po ciemku*. Czy ty jesteś człowiek wierzący?

— Tak jest.

— A ja ani tak, ani nie. Bawiłem się w nirwanę, tak jak w inne rzeczy. Wiesz, żeby nie poczucie tej winy, tobym był spokojniejszy. Nie miałem pojęcia, że to tak może dokuczać. Mam wrażenie, że jestem pszczołą, która ograbiła swój ul, i że to jest rzecz podła. Ale przynajmniej po mnie zostanie majątek. Co? prawda? Trochę straciłem, ale bardzo

niewiele — i to na obrazy, które także zostaną — prawda? Ach, jakbym ja chciał teraz jeszcze żyć, choćby z rok, choćby tyle, by nie umrzeć tu...

Na chwilę zamyślił się i potem rzekł:

— Ja teraz rozumiem jedno: życie może być złe, bo je człowiek może sobie głupio urządzić — ale istnienie, to dobra rzecz.

Połaniecki odszedł późną nocą. Przez tydzień następny zdrowie chorego wahało się. Lekarze nie umieli nic przewidzieć, sądzili jednak, że podróż w żadnym razie nie może spowodować niebezpieczeństwa. Świrski i Waskowski podjęli się odwiedzić chorego, który tęsknił coraz bardziej i codziennie prawie wspominał panią Emilię — Siostrę miłosierdzia. Ale w wigilię dnia, w którym mieli wyjechać, stracił nagle mowę. Połanieckiemu serce się krajało, gdy patrzył na jego oczy, w których chwilami malował się straszny niepokój, a chwilami, jakby jakaś wielka, niema prośba. Próbował pisać, ale nie mógł. Wieczorem przyszło porażenie mózgu — i umarł.

Pochowano go na Campo Santo tymczasowo. Połaniecki bowiem domyślał się, iż jego spojżenia wyrażały prośbę o przewiezienie go do kraju, a Świrski potwierdził domysł.

Tak znikła ta bańka mydlana, czasem połyskująca barwami tęczy, ale czcza i nietrwała, jak prawdziwa bańka...

Połaniecki szczerze strapiony był jego śmiercią i następnie całymi godzinami rozmyślał o tem dziwnym życiu. Myślami temi nie dzielił się z Marynią, bo jakoś dotąd nie weszło mu w zwyczaj dzielić się z nią z tem, co się w nim działo. Ostatecznie, jak to się często zdarza ludziom, którzy myślą o umarłych, wyprowadził z tych rozmyślań rozmaite wnioski na własną korzyść.

— Bukacki — mówił sobie — nigdy nie umiał przyjść do ładu z własnym rozumem; brakło mu zmysłu życiowego, nie umiał rozpoznawać się w tym lesie i szedł zawsze według chwilowej fantazyi. I gdyby mu było z tem dobrze, gdyby był z życia coś wycisnął — przyznałbym mu jeszcze rozum. Ale jemu było źle. Istotnie, głupią jest rzeczą wmawiać w siebie, zanim śmierć przyjdzie, że wino jest octem. Jednak patrzę jaśniej na rzeczy, a oprócz tego, byłem z sobą daleko szczerzy. Bądźcobańdz, ja prawie zupełnie jestem w porządku i z Bogiem i z życiem.

Było w tem nieco prawdy, ale były i złudzenia. Połaniecki nie był w porządku z własną żoną.

Sądził, że dając jej opiekę, chleb, dobre obchodzenie się i miażdżąc od czasu do czasu jej usta pocałunkami, spełnia wszelkie możliwe obowiązki, jakie względem niej zaciągnął. Tymczasem stosunki między nimi zaznaczały się coraz wyraźniej w ten sposób, że on tylko raczył kochać i raczył przyjmować miłość. W ciągu jego spostrzeżeń życiowych uderzało go niejednokrotnie dziwne zjawisko, że gdy naprzykład człowiek, znany z uczciwości, spełnił jakiś szlachetny postępek; ludzie kiwali rękoma, jakby z pewną niedbałością, mówiąc: „Ach, ten, pan X. To zupełnie naturalne!” Gdy jednak wypadkiem zdarzyło się uczynić coś uczciwego szui — ci sami ludzie mówili z wielkiem uznaniem: „A jednak w nim coś jest”. Sto razy Połaniecki widział, że grosz, dany przez skąpca, więcej czyni wrażenia, niż dukat, dany przez człowieka hojnego. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że w stosunku do Maryni sam trzyma się takiej samej miary sądu i uznania. Oddawała mu całą swą istotność, całą duszę? — „Ach, Marynia! to naturalne!” I kiwał również ręką. Gdyby jej miłość nie była tak bezwzględna, gdyby przychodziła mu z większą trudnością, gdyby w przeświadczeniu, że jest skarbem, oddawała się jako skarb, gdyby w przeświadczeniu, że jest bóstwem, wymagała schylonej głowy i czci — Połaniecki byłby ją przyjmował ze schyloną głową i czcił. Takie jest ogólnie serce ludzkie i tylko najbardziej wyborowe natury, utkane z promieni, umieją wznieść się nad ten poziom. Marynia oddawała Połanieckiemu swoją miłość, jako jego prawo — więc i przyjmował ją, jako swoje prawo. Jego miłość uważała za szczęście, więc też on dawał ją jako szczęście — sam zaś czuł się bożkiem w ołtarzu. Jeden jego promień padał na serce kobiece i rozjaśniał je — resztę promieni bożek chował dla siebie. Biorąc wszystko — oddawał tylko część. W jego miłości nie było tej bojaźni, która wypływa ze czci — i nie było tego, co w każdej pieszczocie mówi kochanej kobiecie: „Do twoich stóp!”

Ale nie rozumieli jeszcze tego oboje.

XVIII

— Nawet się nie pytam — mówił Bigiel do Połanieckiego, po jego powrocie do Warszawy — czy jesteś szczęśliwy. Z taką osobą, jak twoja żona, nie można być nieszczęśliwym.

— Tak — odpowiedział Połaniecki. — Marynia taka pocziwa kobiecina, że trudno o lepszą.

Poczem zwrócił się do pani Bigielowej:

— Obojgu nam dobrze — rzekł — i nie może być inaczej. Pamięta droga pani nasze dawne rozmowy o małżeństwie i miłości? Pamięta pani, jak ja się bałem, żeby nie trafić na kobietę, któraby chciała zasłonić sobą mężowi cały świat, zająć wszystkie jego myśli, wszystkie jego uczucia, być jedynym celem jego życia? Pamięta pani, jak dowodziłem i pani i pani Emilii, że jednak miłość dla kobiety nie może i nie powinna być dla człowieka wszystkim i że poza nią są inne sprawy na świecie?

— Tak, ale pamiętam także, co ja panu mówiłam, iż mnie naprzykład zajęcia domowe nic a nic nie przeszkadzają kochać dzieci... Bo ja wiem! ale tak mi się jakoś zdaje, że te rzeczy nie są, jak naprzykład pudełka, których jak się kilka na stole postawi, to na inne niema już miejsca.

— Moja żona ma słuszość — rzekł Bigiel. — To zauważyłem, że ludzie często się myślą, przenosząc w warunki fizyczne uczucia, albo idee. Gdy o nich mowa, niema co mówić o miejscu...

Na to Połaniecki rzekł wesoło:

— Cicho, ty kraju podbity!

— A kiedy mi z tem dobrze — rzekł roztropnie Bigiel. — Przytem i ty będziesz podbity.

— Ja?

— Tak. Pocziwością, dobrocią, sercem.

— To co innego. Można być podbitym i nie być pantoflem. Nie przeszkadzajcie mi państwo chwalić Maryni. Trafiłem tak, że lepiej nie mogłem, i właśnie dlatego, że ona zadawalnia się takim uczuciem, jakie dla niej mam — i nie chce być mojem wyłącznym bożyszczem. Za to ją kocham! Bóg mnie ustrzegł od żony wymagającej poświęcenia dla siebie całej duszy, całego rozumu, całej istoty et caetera — i szczerze mu za to dziękuję, bo takiejbym nie zniósł. Prędeż rozumiem, że to wszystko można dać z dobrej woli, a mianowicie wówczas, gdy to nie jest wymaganiem.

— Niech mi pan wierzy, panie Stanisławie — odrzekła pani Bigielowa — że my bez wyjątku jesteśmy pod tym względem jednako wymagające, tylko z początku bierzemy często tę cząstkę, którą nam dają, za całość, a potem...

— A potem co? — przerwał nieco drwiąco Połaniecki.

— Potem te, które mają w sercu prawdziwą pocziwość, zdobywają się na coś, co dla was jest słowem bez znaczenia, a dla nas często podstawą życia.

— Cóż to za talizman?

— Rezygnacja.

Połaniecki zaczął się śmiać.

— Nieboszczyk Bukacki mawiał — rzekł — że kobiety ubierają się często w rezygnację, tak jak w kapelusz, dlatego, że im z tem do twarzy. Kapelusz z rezygnacyi, woalka z lekkiej melancholii — alboż to brzydkie?

— Nie, to nie brzydkie. Co pan chce! może to strój, ale w takim stroju łatwiej się dostać do nieba, niż w innym.

— To moja Marynia skazana w takim razie do piekła, bo mam nadzieję, że go nie będzie nigdy nosiła. Zresztą za chwilę ją pani zobaczy, gdyż obiecała mi, że po naszych godzinach biurowych przyjdzie do państwa. Spóźnia się maruda, ale już tu powinna być.

— Ojciec pewnie jej nie puszcza. Ale zostanieie państwo u nas na obiedzie, bez żadnej ceremonii — prawda?

— Zostaniemy na obiedzie. Zgoda!

— I tak ktoś się nam dziś obiecał, więc się tylko towarzystwo powiększy. Tymczasem pójdę zapowiedzieć, żeby przygotowano dla was nakrycia.

To rzekłszy, pani Bigielowa wyszła. Połaniecki zaś spytał Bigiela:

— Kogo macie mieć na obiedzie?

— Zawilowskiego, przyszłego korespondenta naszego Domu.

— Jaki to Zawilowski?

— Ten, ten sam, znany już — poeta.

— Z Parnasu do kantorka? jakże to?

— Bo już nie pamiętam, kto powiedział, że społeczeństwo nasze trzyma swoich geniuszów na dyecie. Mówią, że to bardzo zdolny człowiek, ale wierszami nie można na chleb zarobić. Wiesz, nasz Ciskowski przeszedł do Towarzystwa ubezpieczeń — posada zawakowała i zgłosił się Zawilowski. Miałem trochę skrupułów, ale on mi powiedział, że to dla niego kwestya chleba i możliwości pracy. Przytem podobał mi się, bo się przyznał od razu, że w trzech językach pisze, ale żadnym dobrze nie mówi, a powtóre, że nie ma najmniejszego pojęcia o korespondencji handlowej.

— E, to głupstwo — odrzekł Połaniecki — w tydzień się nauczy. Tylko czy to na długo będzie tej posady i czy korespondencyja nie będzie zalegała... Z poetą sprawa!

— To się pożegnamy. Ale rozumiesz, że gdy sam się zgłosił, wołałem dać miejsce takiemu Zawilowskiemu, niż komu innemu. Za trzy dni ma zacząć robotę. Tymczasem wypłaciłem mu naprzód miesięczną pensję, bo było trzeba.

— Goły był?

— Zdaje się. Jest tu stary Zawilowski, ten, co ma córkę, bardzo bogaty człowiek. Pytałem się naszego, czy nie jego krewny. Powiedział, że nie, ale się przytem zaczerwienił, więc myślę, że tak. Ale jak to u nas! w niczem równowagi: jedni wypierają się krewnych dlatego, że biedni, drudzy dlatego, że bogaci. Wszystko dla fantazyi — i przez tę szelmowską pychę. On ci się zresztą spodoba. Żonie mojej się podobał.

— Kto się podobał twojej żonie? — spytała wchodząc pani Bigielowa.

— Zawilowski.

— Bom czytała jego taki ładny wiersz, pod tytułem: *Na progę*. Przytem Zawilowski wygląda, jakby coś chował przed ludźmi.

— Chował biedę, a raczej bieda jego chowała.

— Nie, on wygląda jakby przeszedł przez jakiś ciężki zawód.

— Widziałeś romantyczkę! Mówiła mi już, że on dużo przecierpiał i obraziła się, gdym wyraził przypuszczenie, że może na robaki w dziecinnym wieku, albo na ognipiór. To dla niej nie dość poetyczne.

Lecz Połaniecki począł spoglądać na zegarek i począł się niecierpliwić.

— Nie popisuje mi się Marynia — rzekł — co za maruda!

Lecz „maruda” właśnie w tej chwili nadeszła, a raczej nadjechała. Powitanie odbyło się bez wybuchów, albowiem z Bigielową widziały się już poprzednio na kolei. Połaniecki zapowiedział żonie, że zostają na obiad, na co zgodziła się chętnie, a następnie począła witać się z dziećmi, które hurmem wpadły do pokoju.

Tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Bigiel przedstawił Połanieckim. Był to jeszcze zupełnie młody człowiek, lat około dwudziestu siedmiu lub ośmiu, i Połaniecki, patrząc na niego, zauważył, że bynajmniej nie ma miny człowieka, który dużo cierpiał w życiu. Był tylko widocznie zakłopotany w towarzystwie, którego przez pół wcale nie znał. Twarz miał nerwową, z wystającą silnie naprzód, jak u Wagnera, brodą, z wesołemi czarnemi oczyma i z niezmiernie delikatnem, bielszem niż reszta twarzy, czołem, na którem wydadne żyły formowały literę Y. Był przytem dość wysoki i dość niezgrabny.

— Słyszałem, — rzekł mu Połaniecki — że za trzy dni zacznie pan z nami kolegować.

— Tak jest, panie pryncypale — odpowiedział młody człowiek — raczej służyć w biurze.

Połaniecki zaczął się śmiać.

— Tylko pan daj spokój z pryncypalowaniem. U nas niema zwyczaju tak się mościć mościami, albo pryncypalować... Nie wiem, czybaby mojej żonie podobał się taki tytuł, dlatego, że dodałby jej powagi we własnych oczach.

Tu zwrócił się do Maryni:

— Słuchajno, pani pryncypalowo: czy chcesz, żeby cię nazywano pryncypalową? Będzie nowa zabawa!

Zawilowski zmieszał się, ale począł się równie śmiać, gdy pani Połaniecka odrzekła:

— Nie, bo mi się zdaje, że „pryncypalowa” powinna nosić ot taki ogromny czepek (tu pokazała rękoma, jak wielki) a ja niecierpię czepek.

Zawiłowskiemu uczyniło się różnie wśród wesołej dobroduszości tych ludzi, zmieszał się jednak znowu, gdy Marynia mu rzekła:

— A pan to mój dawny znajomy. Teraz nic nowego nie czytałam, bośmy dopiero co wrócili; czy przybyło co przez ten czas?

— Nie, pani — odpowiedział — ja się tak tem zajmuję, jak pan Bigiel muzyką: w wolnych chwilach i dla własnej rozrywki.

— Nie wierzę — odpowiedziała pani Połaniecka.

I miała słuszość nie wierzyć, bo wcale tak nie było. W odpowiedzi Zawiłowskiemu brakło też prostoty, ale on chciał dać poznać, że przedewszystkiem pragnie uchodzić za korespondenta Domu handlowego i być traktowanym jako urzędnik, nie jako poeta. Tytułował też Bigiela i Połanieckiego, bynajmniej nie przez potulność, tylko, by okazać, że podjąwszy się pracy biurowej, uważa ją za tak dobrą, jak każda inna, że się do tej roli stosuje i będzie się stosował w przyszłości. Było w tem również i co innego. Zawiłowski, jakkolwiek młody, spostrzegł, ile jest śmieszności w ludziach, którzy, napisawszy jeden lub drugi wierszyk, przybierają pozy wieszczów i każą się za takowych uważać. Jego wygórowana miłość własna drżała przed obawą śmieszności — wpadł więc w drugą ostateczność i prawie wstydził się swojej poezji. W ostatnich czasach, w których przytem znosił wielki niedostatek, stało się to niemal dziwactwem i najlżejsza wzmianka z czyjejkolwiek strony o tem, że jest poetą, wprowadzała go w tłumiony gniew.

Czuł zaś jednocześnie, że jest nielogicznym, wobec tego bowiem najprostszą rzeczą było nie pisywać wierszy i nie ogłaszać ich; ale od tego nie mógł się powstrzymać. Głowa jego nie była otoczona jeszcze aureolą, ale padło już na nią kilka promyków, które to rozświetlały mu czoło, to gasły, w miarę jak tworzył lub się zaniedbywał. Po każdym nowym wierszu promyk poczynał na nowo drgać — i Zawiłowski, zarówno zdolny jak ambitny, cenił w gruncie rzeczy te odbłyski sławy więcej niż wszystko w świecie. Chciał jednak, by ludzie między sobą tylko o nim mówili, ale nie jemu w oczy. Gdy przeczuwał, że o nim zaczynają zapominać, cierpiał skrycie. Było w nim jakby rozdwojenie miłości własnej, która chce sławy i zarazem odpycha ją przez pewną dzikość i dumę, z obawy, by ktoś nie powiedział, że jej za dużo. A prócz tego tkwiło w nim mnóstwo sprzeczności, jak w człowieku młodym i wrażliwym, który przejmuje się i odczuwa wyjątkowo, a wśród tych odczuwań nie umie częstokroć własnego *ja* odnaleźć. Z tego powodu artyści wogóle wydają się częstokroć sztuczni.

Tymczasem jednak podano obiad, podczas którego rozmowa toczyła się oczywiście o Włoszech i o ludziach, jakich Połanieccy tam spotkali. Połaniecki opowiadał o Bukackim i o jego ostatnich chwilach, a zarazem ostatniej woli, wskutek której stał się spadkobiercą po nim dość znacznej sumy. Daleko większa część miała być użytą na cele publiczne — i o tem mieli się z Bigielem naradzić. Lubiono jednak Bukackiego i wspomniano go ze współczuciem, a pani Bigielowa miała nawet łzy w oczach, gdy Marynia wspomniała, że się przed śmiercią wyświadczył i że umarł jak chrześcijanin. Ale współczucie to było tego rodzaju, że można było przy niem jeść obiad, i jeśli Bukacki wdychał kiedykolwiek naprawdę za Nirwaną, to obecnie miał, czego chciał, został bowiem dla ludzi, nawet sobie blizkich i którzy go lubili, wspomnieniem zarówno lekkim, jak nie-trwałym. Jeszcze tydzień, miesiąc lub rok — i nazwisko jego miało się stać dźwiękiem bez echa. Istotnie, na niczyją głębszą miłość nie zarobił, niczyjej nie miał, i życie spłynęło mu w ten sposób, że nawet po takim dziecku, jak Litka, zostało nietylko stokroć więcej żalu, miłości, ale i pamiętnych śladów. Zawiłowskiego, który go nie znał, zaciekało z początku jego życie, gdy jednak wysłuchał wszystkiego, co Połaniecki opowiadał, pomyślawszy, rzekł: „To w dodatku kopia!” — Bukackiego, który ze wszystkiego żartował, byłby jednak zabolął taki nagrobek.

Lecz Marynia, chcąc nadać weselszy zwrot rozmowie, zaczęła opowiadać o wycieczkach, które czynili po Rzymie i jego okolicach, bądź to sami, bądź ze Świrskim, bądź z Osnowskimi. Bigiel, który był kolegą Osnowskiego i od czasu do czasu jeszcze go widywał, rzekł:

— On ma jedną miłość, to jest własną żonę, i jedną nienawiść, to jest własną otyłość, a raczej skłonność do niej. Zresztą najlepszy w świecie człowiek.

— Ależ on wygląda zupełnie szczupły — rzekła Marynia.

— Dwa lata temu był prawie gruby, ale jak począł jeździć na welocypedzie, fechtować się, zażywać kuracyi Bettinga, latem pić Karlsbad a zimą jeździć do Włoch lub Egiptu dla transpiracyi — tak napowrót zrobił się cienki. Zresztą, źle powiedziałem, że on ma nienawiść do otyłości — to jego żona! A on to czyni przez kokieteryę dla niej. Tańcowywał też po całych nocach na balach, także z tego samego powodu.

— To „sclavus saltans” — rzekł Połaniecki. — Świrski już nam o tem opowiadał.

— Bo rozumiem, że można żonę kochać — rzekł Bigiel — że można ją uważać, jak się to mówi: za żrenicę oka. Dobrze! Ale ja, jak Boga kocham, slyszalem, że on do swojej wiersze pisuje, że otwiera z zamkniętymi oczyma książki, zaznacza palcem wiersz i wróży sobie z tego, co przeczyta, czy jest kochany. Jeśli mu źle wypadnie, to wpada w melancholię. On się kocha jak student. Liczy wszystkie jej spojrzenia, usiłuje odgadnąć, co miało za znaczenie takie lub owakie jej słowo; całuje nietylko jej nogi i ręce, ale gdy myśli, że nikt na niego nie patrzy, to i jej rękawiczki... Bóg wie co! i tak już przez całe lata.

— A jaki kochany! — rzekła Marynia.

— Chciałabyś, żebym taki był? — spytał Połaniecki.

Ona pomyślała chwilkę i odrzekła:

— Nie, bo w takim razie byłbyś inny, niż jesteś.

— O to Machiawel! — rzekł Bigiel. — Warto by taką odpowiedź zapisać, bo to zarazem i pochwała, i trochę krytyki, i zaświadczenie, że tak jak jest, jest najlepiej, i że możnaby żądać jeszcze czegoś lepszego. Dajże tu sobie, człowieku, z tem radę.

— Ja to biorę, jako pochwałę — rzekł Połaniecki — choć pani (tu zwrócił się do Bigielowej) powie zapewne, że to rezygnacya.

Pani Bigielowa odrzekła, śmiejąc się:

— Wierch jest z miłości, rezygnacya może przyjść z czasem jako podszewka, jeśli zaczniesz być chłodno.

Lecz Zawilowski patrzył z ciekawością na Marynię. Sama ona wydawała mu się i ładna, i sympatyczna, a odpowiedź jej zastanowiła go. Pomyślał jednak, że tak mogła mówić tylko kobieta bardzo zakochana, której nigdy nie dość uczucia. I począł spoglądać na Połanieckiego z pewną zazdrością, że zaś był wielkim samotnikiem, więc przyszyły mu zarazem do głowy słowa piosenki: „U sąsiada żonka miła”.

Tymczasem, ponieważ cały czas milczał, lub przemówił zaledwie parę słów, wydawało mu się, że trzeba by jakoś wtrącić się do rozmowy. Ale powstrzymywała go nieśmiałość i przytem przemijający ból zębów, który, po przejściu większego paroksyzmu, odzywał się jeszcze dość silnie. Odbierało mu to resztę animuszu — wreszcie jednak, zdobywszy się na odwagę, spytał:

— A pani Osnowska?

— A pani Osnowska — odrzekł Połaniecki — ma męża, który kocha za dwoje, więc się nie potrzebuje fatygować. Tak przynajmniej utrzymuje Świrski. Przytem ma chińskie oczy, ma imię Aneta, plombę w górnych ząbkach, którą widać, jak się bardzo śmieje — więc woli się uśmiechać — i wogóle jest jak synogarliczka: kręci się w kółko i woła: „Cukru! cukru!”

— To złośliwy człowiek — odrzekła Marynia. — Jest śliczna, żywa, sprytna — a pan Świrski nie może wiedzieć, o ile ona męża kocha, bo z pewnością o tem z nią nie rozmawiał. To wszystko są tylko przypuszczenia.

Połaniecki pomyślał dwie rzeczy: naprzód, że to nie są przypuszczenia, a powtóre, że ma żonę równie naiwną, jak pocziwą.

Zawilowski zaś rzekł:

— Ciekawym, coby to było, gdyby ona tak samo kochała się w nim, jak on w niej?

— Byłby to największy dwuosobowy egoizm, jaki świat widział — odpowiedział Połaniecki. — Byliby tak zajęci sobą, że nie widzieliby nic i nikogo obok siebie.

Zawilowski uśmiechnął się i odrzekł:

— Światło nie przeszkadza ciepłu, ale je rodzi.

— Ściśle biorąc, to jest porównanie więcej poetyczne, niż fizyczne — odrzekł Połaniecki.

Ale obydwom paniom podobała się odpowiedź Zawilowskiego i obie poparły go gorąco, a gdy do nich przyłączył się i Bigiel, Połaniecki został przegłosowany.

Potem poczęto mówić o Maszce i jego żonie. Bigiel opowiadał, że Maszko dostał w ręce ogromną sprawę o zwalenie milionowego testamentu po panie Płoszowskiej, z którą wystąpiło kilkunastu spadkobierców dość dalekich. Pan Pławicki donosił o tem Maryni do Włoch, ale uważała całą sprawę za takie marzenie, jakim niegdyś były miliony, oparte na marglu w Krzemieniu, i zaledwie o tem wspomniała mężowi, który też od razu kiwnął na wszystko ręką. Teraz sprawa, skoro Maszko się jej podjął, zapowiadała się poważnie. Bigiel przypuszczał, że muszą być jakieś nieformalności w testamencie, i twierdził, że gdyby Maszko wygrał, mógłby od razu stanąć na nogach, wymówił sobie bowiem olbrzymie honorarium. Połanieckiego cała rzecz zaciękała mocno.

— Maszko ma jednak sprężystość kota — rzekł — zawsze padnie na nogi.

Bigiel zaś odpowiedział:

— I tym razem powinniście prosić Boga, żeby krzyża nie złamał, bo to dla pani i dla jej ojca chodzi o niemalą rzecz. Sam Płoszów ze wszystkimi folwarkami oceniono na siedmset tysięcy rubli. A prócz tego jest gruba gotówka.

— Toby było dziwne, taka niespodziana gratka — rzekł Połaniecki.

Lecz Marynia dowiedziała się z przykrością, że ojciec jej wystąpił wraz z innymi spadkobiercami o zwalenie testamentu. Jej „Stach” był człowiekiem zamożnym i miała ślepą wiarę, że od niego tylko zależy zrobić miliony; ojciec miał rentę, a prócz tego ona odstąpiła mu dożywocie na sumie, która się należała z Magierówki, więc bieda nikomu nie groziła. Miłoby wprawdzie było pani Połanieckiej mózdz odkupić Krzemień i wozić tam na lato swojego „Stacha”, ale nie za takie pieniądze.

Poczęła więc mówić z wielkiem ożywieniem:

— Ja się tem tylko martwię. To były pieniądze użyte tak pocziwie! Nie godzi się zmieniać woli zmarłych, nie godzi się odejmować chleba biednym, albo szkołom. Synowiec pani Płoszowskiej zastrzelił się: może jej chodziło o ratunek duszy jego, o przedjednanie bożego miłosierdzia. To się nie godzi!... Powinno się inaczej myśleć i inaczej czuć!...

I aż zapłoniła się nieco, a Połaniecki rzekł:

— A jaka rezolutna!

Lecz ona wysunęła naprzód swoje nieco za szerokie usta z wyrazem zadąsanego dziecka, i poczęła powtarzać:

— No, Stachu, powiedz, że ja mam słuszość, powiedz, że ja mam słuszość!! Tyś to powinien powiedzieć!

— Bez wątpienia — rzekł Połaniecki — ale Maszko może sprawę wygrać.

— Życzę mu, żeby przegrał — odpowiedziała.

Połaniecki zaś powtórzył:

— A jaka rezolutna!

— I jaka pocziwa, jaka szlachetna natura — pomyślał Zawilowski, nadając zarazem w swym plastycznym umyśle pojęciom o dobroci i szlachetności kształt kobiety o ciemnych włosach, niebieskich oczach, wysmukłej postawie i ustach nieco za szerokich.

Po obiedzie Bigiel z Połanieckim wyszli na cygara i czarną kawę do pokoju biurowego, gdzie mieli zarazem odbyć pierwszą naradę, na jakie cele rozporządzić spadkiem po Bukackim. Zawilowski, jako niepalący, został z paniami w salonie. Wówczas Marynia, która, jako pani „pryncypałowa”, poczuwała się do obowiązku ośmielenia przyszłego urzędnika „Domu”, zbliżyła się do niego i rzekła:

— Ja, tak jak pani Bigielowa, chciałabym, żebyśmy wszyscy uważali się za jedną wielką rodzinę, dlatego niech pan zaliczy i nas do swoich dobrych znajomych.

— Z największą chęcią, jeśli pani pozwoli — odpowiedział Zawilowski. — Ja i tak byłbym złożył moje uszanowanie...

— Poznałam wszystkich panów z biura tylko na ślubie, potem zaraz wyjechaliśmy, ale teraz przyjdzie do bliższej znajomości. Mąż mi mówił, że chciałby, żebyśmy się zbierali jednego tygodnia u państwa Bigielów, a drugiego u nas. To bardzo dobry zamiar, tylko ja robię jedno zastrzeżenie.

— Jakie? — spytała pani Bigielowa.

— Żeby nie wolno było mówić na tych zebraniach o żadnych interesach handlowych. Będzie trochę muzyki, bo spodziewam się, że o tem pomyśli pan Bigiel — a czasem odczytamy coś takiego, jak *Na progę*.

— To chyba nie przy mnie — rzekł z przymuszonym uśmiechem Zawilowski.

A ona poczęła mu patrzeć w oczy ze zwykłą sobie prostotą:

— Czemu nie? — spytała. — Wobec ludzi szczerze przyjaznych? Myśmy o panu nieraz i mówili i myśleli, zanim przyszło do poznania, a cóż dopiero teraz.

Zawilowski czuł się ogromnie rozbrojony. Zdawało mu się, iż wpadł między wyjątkowych ludzi, a przynajmniej, że pani Połaniecka jest wyjątkową kobietą. Obawa, która paliła go jak ogień, żeby nie wydać się śmiesznym, razem ze swoją poezją, ze swoją długą szyją i śpiczastymi łokciami, poczęła się w nim zmniejszać. Było mu przy niej jakoś swobodnie. Odczuwał, że ona nigdy nie mówi dlatego tylko, by coś powiedzieć, lub ze względów towarzyskich, ale wypowiada najściślej tylko to, co płynie z jej dobroci i wrażliwości. Przytem zachwycała go jej twarz i postać, tak jak w Wenecyi zachwycała Świrskiego. A ponieważ przywykł szukać dla każdego wrażenia określeń, więc począł szukać wyrazów i dla niej — i czuł, że one powinny być nie tylko szczerze, ale zarazem wykwintne, wdzięczne i polne, tak jak piękność jej była współcześnie wykwintna i polna. Uznał, że ma przed sobą temat i zbudził się w nim artysta.

Tymczasem ona poczęła go wypytywać z wielką życzliwością o stosunki rodzinne, na szczęście jednak wejście do salonu Bigiela i Połanieckiego uwolniło go od dokładniejszych odpowiedzi, które musiałyby mu być przykre. Ojciec jego, znany niegdyś karciarz i hulaka, od kilku lat cierpiał na pomieszanie zmysłów i był w zakładzie dla obłąkanych.

Muzyka miała przerwać tę drażliwą rozmowę. Połaniecki kończył z Bigielem naradę, ów zaś mówił:

— Zdaje się, że to doskonały projekt, ale trzeba się jeszcze będzie namyślić.

Potem wsparł się na wiolonczeli, począł się rzeczywiście namyślać, a wreszcie rzekł:

— To dziwna rzecz! Ja, jak gram, to niby nic innego mi nie w głowie, a tymczasem nieprawda! Jakaś cząstka mózgu zastanawia się wtedy nad innymi rzeczami, i co szczególne, to, że najlepsze pomysły wówczas przychodzą.

To rzekłszy, siadł, chwycił wiolonczelę między kolana, przytknął oczy i rozpoczął *Pieśń wiosenną*.

Zawilowski odszedł tego dnia do siebie, zachwycony domem, ludźmi, ich prostotą, *Pieśnią wiosenną*, a szczególnie panią Połaniecką.

Ona zaś ani się domyślała, że z czasem może wzbogacić „nowym dreszczem” poezję.

XIX

Państwo Maszkowie odwiedzili Połanieckich w tydzień po ich przyjeździe. Ona, przybrana w szarą suknię, obszytą takiejże barwy marabutem, wyglądała tak ładnie, jak nigdy. Zapalenie oczu, na które dawniej cierpiała, przeszło. Twarz jej posiadała dawniejszą obojętną, prawie senną łagodność, ale obecnie podnosiło to tylko jej artystyczny wyraz. Dawniejsza panna Krasławska była starsza około pięciu lat od Maryni i jako panna wyglądała starzej, teraz jednak zdawało się, że odmłodziła. Wysmukła i rzeczywiście nader zgrabna jej postać rysowała się w obcisłej sukni, jak dziecinna. Szczególną było rzeczą, że Połaniecki, który jej nie lubił, znajdował w niej coś pociągającego, i ilekroć ją widział, mówił sobie: „Wszelako w niej coś jest.” Nawet jej głos monotony i nieco dziecinny miał dla niego pewien urok. Obecnie wprost powiedział sobie, że wygląda wyjątkowo wdzięcznie i że więcej się zmieniła na korzyść od Maryni.

Sam Maszko zakwitł również, jak słonecznik. Dystynkcya aż biła od niego, a obok niej pewność siebie i duma, łagodzona łaskawością. Zdawaćby się mogło, że jednego dnia nie jest w stanie objechać swych włości — słowem *udawał* więcej niż kiedykolwiek. Nie udawał tylko miłości do żony, znać bowiem było z każdego jego spojrzenia, że ją pokochał rzeczywiście. Naprawdę trudno byłoby znaleźć kobietę, któraby lepiej odpowiadała jego pojęciom o dobrym smaku, wykwintności i wielkoświatowym polorze. Jej obojętność, jej jakby zamrożone obejście się z ludźmi, uważał za coś wprost nieporównanego. Ona tej „dystynkcji” nie traciła nigdy i w żadnej chwili, nawet sam na sam z nim. On zaś, jak

prawdziwy parweniusz, który posiadał księżniczkę, pokochał ją właśnie dlatego, że mu się wydawała księżniczką i że ją posiadał.

Marynia poczęła wypytywać, gdzie spędzili czas poślubny, na co pani Maszkowa odrzekła: „w majątku męża” — takim tonikiem, jak gdyby ów „majątek męża” był majora-tem od dwudziestu pokoleń — przyczem dodała, że za granicę wybierają się dopiero za rok, gdy mąż pokonczy interesa, tymczasem na letnie miesiące wyjadą znów do „majątku męża.”

— Pani lubi wieś? — spytała Marynia.

— Mama lubi wieś — odrzekła pani Maszkowa.

— A Krzemień podobał się mamie pani?

— Tak. Tylko okna w domu jak w oranżeryi. Tyle szyb!

— To trochę konieczne — odrzekła, śmiejąc się, pani Połaniecka — bo jak się taka szyba stłucze, to ją każdy szklarz naprawi, a po wielkie trzebawy posyłać aż do Warszawy.

— Mąż mówi, że wybuduje nowy dom.

Pani Połaniecka westchnęła po cichu i zmieniła przedmiot rozmowy. Poczęły mówić o wspólnych znajomych. Pokazało się, że pani Maszkowa brała niegdyś z „Anetką” Osnowską i z jej młodszą krewną, Linetą Castelli, lekcye tańca, że znają się doskonale i że Lineta jeszcze ładniejsza od Anety, a przytem maluje i ma cały album własnych wierszy. Pani Maszkowa słyszała, że Anetka już wróciła i że Lineta zamieszka w tej samej willi aż do czerwca, razem ze swoją ciotką, panią Broniczową... „i to będzie bardzo dobrze, bo one takie miłe!”

Połaniecki zaś z Maszką wynieśli się zwolna do przyległego saloniku i rozmawiali o testamencie panny Płoszowskiej.

— Mogę ci powiedzieć, że prawie wypłynął — mówił Maszko. — Byłem niemal nad przepaścią, ale ta sprawa postawiła mnie na nogi, przez to samo, że ją zaczął. Bo też od lat całych nie było podobnej. Tu chodzi o miliony. Płoszowski, sam przez się, bogatszy był od ciotki — i zanim sobie w łeb strzelił, zapisał majątek matce pani Kromickiej, a gdy ta go nie przyjęła, cała fortuna przeszła na starą pannę Płoszowską. Rozumiesz teraz, ile babulka musiała zostawić.

— Bigiel wspominał o siedmiuset tysiącach rubli.

— Powiedźże twemu Bigielowi, skoro tak lubi liczyć, że jest przeszło dwa razy tyle. No, muszę sobie jednak oddać tę sprawiedliwość, że się umiem ratować, i że łatwiej mnie wrzucić do wody, niż utopić. Ale co ci osobliwego powiem: wiesz, komu to zawdzięczam? — twemu teściowi. On mi kiedyś o tem wspominał, ale zrazu machnąłem ręką. Potem wpadłem w te tarapaty, o których ci pisałem. Miałem nóż na gardle. Otóż trzy tygodnie temu spotykam wypadkiem twego teścia, który mi, między innemi, zaczyna mówić o pannie Płoszowskiej i wymyśla na nią ile wlezie. Nagle uderzyłem się w czoło. Co mam do stracenia? Nic. Kazałem regentowi Wyszyńskiemu pokazać sobie testament — i widzę, że nieformalności są. Małe, ale są. W tydzień miałem już plenipotencję od spadkobierców i rozpocząłem sprawę. I co powiesz? Na samą wieść o honoraryum, jakie mam dostać w razie wygranej, wróciła ludziom ufność, wróciła moim wierzycielom cierpliwość, wrócił kredyt — i trzyma się... Pamiętasz? był czas, że spuścił z tonu, że mi po głowie chodziły sielankowe zamiary wyrobienia się mrówczą pracą, ograniczeniem życia. Głupstwo! To trudno, mój kochany! Tyś mi zarzucał, że *udaję*, ale u nas trzeba. Ja muszę dziś udawać człowieka, który jest zarówno pewny swego majątku, jak i wygranej!

— Powiedz mi otwarcie, czy jest dobra sprawa?

— Jakto czy dobra?

— Po prostu, czy nie zbyt ją trzeba będzie ciągnąć za uszy, przeciw słuszności?

— Wiedz o tem, że w każdej sprawie jest coś do powiedzenia na jej korzyść, i uczciwość adwokacka polega właśnie na tem, żeby to powiedzieć. Właściwie tu jest kwestya, kto ma być spadkobiercą i czy testament jest tak napisany, żeby się mógł ostać wobec prawa — a prawo nie ja wymyśliłem.

— Masz widoki wygranej?

— Gdy chodzi o zwalenie testamentu, niemal zawsze się je ma, dlatego, że atak jest zawsze prowadzony sto razy energiczniej, niż obrona. Kto się będzie przeciw mnie bronil? Instytucje, to jest ciała same przez się ociężałe, mało zaradne, których przedstawiciele nie mają w obronie żadnego osobistego interesu. Wezmą adwokata, dobrze! ale co mu

dadzą? co mogą dać? Tyle, ile z prawa wypada. Otóż i ten adwokat będzie miał raczej większe widoki zysku w razie, jeśli ja wygram — bo to może zależeć od osobistego mego z nim układu. Wogóle powiem ci, że w sprawach sądowych, tak jak i w życiu, wygrywa ta strona, która bardziej chce wygrać.

— Ale opinia publiczna zmiele cię na otręby, jeśli poobalasz takie zapisy. Widzisz! moja żona jest poniekąd interesowaną....

— Jakto: poniekąd? — przerwał Maszko. — Będę waszym prawdziwym dobroczyńcą.

— Więc dobrze. Otóż żona moja oburzała się i oburza na całą tę sprawę.

— Żona twoja jest wyjątkiem.

— Niezupełnie. Bo i mnie to nie w smak.

— Cóż to? Przerobili i ciebie na romantyka?

— Mój drogi! my się z dawna znamy. Mów tym językiem do kogo innego.

— Dobrze. Będę więc mówił tylko o opinii. Naprzód powiem ci, że pewna niepopularność człowiekowi prawdziwie „comme il faut” raczej pomaga, niż szkodzi. Powtóre, trzeba te rzeczy rozumieć. Zmielonoby mnie, jak się wyraziłeś, na otręby, gdybym tę sprawę przegrał, ale gdy ją wygram, będę tylko uważany za tęgą głowę — a ja ją wygram!

Po chwili zaś mówił dalej:

— A ze stanowiska ekonomicznego, o co tu chodzi? Pieniądze zostaną w kraju i dalebóg, nie wiem, czy zostaną gorzej użyte. Bo, że mogłoby się za nie wyhodować kilkanaścioro chuderlawych dzieci, które wyrosną na niedołęgów i będą się przyczyniały do skarlania rasy, albo że kilkanaście szwaczek mogłoby dostać maszyny do szycia, albo że kilkadziesiąt bab lub dziadów mogłoby żyć o parę lat dłużej, to krajowi niewiele z tego przyjdzie. To są cele nieprodukcyjne. Trzeba, żebyśmy się raz nauczyli ekonomii... Wreszcie krótko powiem: miałem nóż na gardle. Moim pierwszym obowiązkiem jest zabezpieczyć byt sobie, mojej żonie i mojej przyszłej rodzinie. Jeśli kiedykolwiek będziesz w takim położeniu, jak ja byłem — to mnie zrozumiesz. Woląłem wypłynąć, niż utonąć — a takie prawo każdy ma. Żona moja, jak ci pisałem, ma znaczną rentę, ale majątku prawie nic, a przynajmniej niewiele. Do tego z tej renty płaci jeszcze coś swemu ojcu. Tę pensję powiększyłem, bo mi groził, że tu zjedzie, a tegom sobie nie życzył.

— Tak więc wiesz już teraz na pewno, że pan Krasławski istnieje? Pamiętam, żeś mi o tem wspominał.

— Właśnie dlatego, że ci niegdyś wspominałem, nie robię z tego tajemnicy i dziś. Zresztą wiem, że ludzie gadają o tem z krzywdą mojej teściowej i mojej żony, że rozpowiadają Bóg wie co, więc, jako przyjacielowi, wolę ci powiedzieć, jak jest. Pan Krasławski żyje w Bordeaux; był pośrednikiem w handlu sardynkami i zarabiał dobre pieniądze, ale posadę tę stracił, bo się zapijał i zapija absyntem, a prócz tego stworzył sobie nielegalną rodzinę. Te panie posyłają mu trzy tysiące franków rocznie, ale mu to nie wystarcza i między ratą a ratą gniecie go bieda, wskutek czego zapija się coraz bardziej i gnębi te biedne kobiety listami, w których grozi, że ogłosi w pismach, jak się z nim obchodzą. A one obchodzą się z nim lepiej, niż wart. Pisał i do mnie zaraz po ślubie, prosząc o podniesienie pensji o tysiąc franków. Oczywiście, dowodzi mi, że go te kobiety „zjadły,” że nie miał za grosz szczęścia w życiu, że stoczył go ich egoizm — i ostrzega mnie przed niemi...

Tu Maszko począł się śmiać:

— A ma bestya fantazyę szlachecką. Raz z biedy chciał się wziąć do sprzedawania afiszów na korytarzu teatralnym — ale kazali mu się ubrać w jakiś kaszkiet i tego nie mógł przenieść. Pisz do mnie tak: „Wszystkoby, panie, dobrze poszło, ale kaszkiet!! jak mi dali kaszkiet — nie mogłem!...” I wołał z głodu umrzeć, niż włożyć kaszkiet! Podoba mi się mój teść! Byłem niegdyś w Bordeaux, ale dalebóg zapomniałem, jakie kaszkiety noszą ci, co sprzedają afisze, a chciałbym taki kaszkiet widzieć... Rozumiesz zresztą, że woląłem dodać tysiąc franków, byle go trzymać z daleka, razem z jego absyntem i kaszkietem... Co mnie boli, to to, że ludzie mówią, że on i tu był jakimś woźnym, czy pisarzem, a to jest podła potwarz, bo dość otworzyć pierwszy lepszy herbarz, żeby wiedzieć, kto byli Krasławscy. Tu koligacje są wiadome i Krasławskim ich nie brak. Człowiek upadł — ale rodzina była i jest znakomita. Te panie mają tu na tuziny krewnych nie bylejakich — i jeśli ci całą tę historię opowiadam to dlatego, że chcę, byś wiedział, jaka jest prawda.

Ale prawda, dotycząca rodu Krasławskich, mało obchodziła Połanieckiego, więc wrócili do pań, tem bardziej, że tymczasem nadszedł Zawilowski, którego Połaniecki zaprosił na poobiednią herbatę, aby mu pokazać fotografie, przywiezione z Włoch. Jakoż całe ich zwoje leżały już przygotowane na stole, ale Zawilowski trzymał w ręku ramkę z główką Litki i zachwycał się tak, że zaraz po zapoznaniu się z Maszką, znów począł patrzeć na portrecik i mówić o nim w dalszym ciągu.

— Myślałbym prędzej, że to jakiś pomysł artystyczny — rzekł — niż portret żywego dziecka. Co za cudna główka i co za wyraz! To pani siostrzyczka?

— Nie — odpowiedziała pani Połaniecka — i to jest dziecko, które już nie żyje.

W oczach Zawilowskiego, jako poety, ów tragiczny cień podniósł jeszcze współczucie i podziw dla tej istotnie anielskiej twarzy. Przez jakiś czas przypatrywał się jej w milczeniu, to odsuwając, to zbliżając do oczu fotografię, poczem rzekł:

— Ja się dlatego pytałem, czy to nie pani siostra, bo jednak jest coś... w rysach, raczej w oczach... doprawdy coś jest!

Zawilowski zdawał się szczerze mówić, ale Połaniecki miał taką, religijną niemal, cześć dla zmarłej, że mimo całego uznania dla urody Maryni, porównanie wydało mu się jakimś rodzajem profanacji, więc, wyjąwszy fotografię z rąk Zawilowskiego, ustawił ją napowrót i począł mówić z pewną szorstką żywością:

— Ale bynajmniej! bynajmniej! Niema jednego rysu wspólnego. Jak można nawet porównywać! Ani jednego rysu wspólnego!

A Marynię dotknęła nieco ta jego żywość.

— Ja także jestem tego zdania — odrzekła.

Lecz jemu nie dość było jej zdania.

— Czy pani знаła Litkę? — spytał, zwróciwszy się do pani Maszkowej.

— Tak!

— Prawda! widziała ją pani u Bigielów.

— Tak.

— No, przecie niema śladu podobieństwa?

— Nie.

Zawilowski, który adorował szczerze panią Połaniecką, począł patrzeć na Połanieckiego z pewnym zdziwieniem — on jednak spoglądał teraz na wydłużoną postać pani Maszkowej, rysującą się przez popielatą suknię — i myślał:

— Jaka ona zgrabna!

Po chwili Maszkowie poczęli się żegnać. Maszko, całując na odchodnym rękę pani Połanieckiej, rzekł:

— Mnie może wypadnie wkrótce wyjechać do Petersburga — niech pani pamięta trochę przez ten czas o mojej żonie.

W czasie herbaty, Marynia przypomniała Zawilowskiemu obietnicę, jaką jej uczynił za pierwszą bytnością, że jej przyniesie i odczyta wariant wiersza *Na progu* — on zaś tak przylgnął od razu do Połanieckich, że odczytał nietylko wariant, ale i drugi wiersz, który był poprzednio napisał. Znać było po nim, że sam dziwi się własnej odwadze i ochoście — to też po odczytaniu i wysłuchaniu pochwał, które były naprawdę szczerze, rzekł:

— Ja równie szczerze mówię, że z państwem, za trzecim widzeniem się, to się tak jakoś jest, jakby się od dawna znało. Aż mi to dziwne.

Połaniecki przypomniał sobie, że niegdyś powiedział coś podobnego Maryni w Krzemieniu — ale przyjął to teraz, jakby należało się i jemu.

Zawilowski zaś ją wyłącznie miał na myśli: po prostu zachwycała go i swoją prostą dobrocią i twarzą.

Gdy odszedł, Połaniecki rzekł:

— To bestya naprawdę zdolna. Czyś ty uważała, że on jakby się trochę zmienił na twarzy?

— Przystrzygł włosy — rzekła Marynia.

— Aha! i broda jeszcze więcej mu wystaje.

To mówiąc, Połaniecki wstał i począł układać zwoje fotografii na półeczce nad stołem, wreszcie zabrał portret Litki i rzekł:

— Przeniosę ją do mego gabinetu.

— A tam masz tę z brzózkami, kolorowaną.

— Tak, ale nie chcę, żeby i ta stała tu, tak na widoku. Każdy robi uwagi, a czasem mnie to gniewa. Pozwolisz?

— Dobrze, mój Stachu — odpowiedziała Marynia.

XX

Bigiel usilnie namawiał Połanieckiego, by nie związać Domu i nie rzucać się zbyt pośpiesznie w innego rodzaju przedsiębiorstwa. „Stworzyliśmy uczciwy kupiecki dom — (mówił) — jakich u nas mało — i dlatego jesteśmy pożyteczni”. Utrzymywał, że przez samą wdzięczność należy prowadzić dalej interes, za pomocą którego podwoili niemal majątki, przyczem wypowiadał przekonanie, iż okażą największy rozum, gdy teraz właśnie będą prowadzili rzecz ostrożnie, gruntownie, i gdy pierwsza śmiała spekulacja, jakkolwiek szczęśliwa, nietylko nie zachęci ich do innych, ale będzie ostatnią. Połaniecki zgadzał się na to, że umiarkowanie trzeba okazać właśnie w powodzeniu, ale narzekał, iż w Domu nie może się pomieścić i pragnąłby coś produkować. Miał on tyle zmysłu praktycznego, że o fabryce na własną rękę jeszcze nie myślał. „Małej nie chcę prowadzić — mówił — bo mnie wielkie, produkujące *en gros*, pochłona, a na wielką nie mam, w akcyjnej zaś pracowałbym nie na siebie, ale na innych”. Rozumiał też, że o akcyonaryuszów, złożonych z miejscowych żywołów, nie łatwo, a obcych nie chciał, wiedząc przytem, że nie potrafi wzbudzić w nich zaufania, i że samo jego nazwisko będzie mu w tem przeszkodą. Bigiel, któremu chodziło o „Dom”, szczerze rad był z tej trzeźwości poglądu.

W Połanieckim zaś zbudziła się jeszcze inna chęć, mianowicie odwieczna, stara jak ludzkość, chęć posiadania. Po szczęśliwej spekulacji i po zapisie Bukackiego stał się on człowiekiem zupełnie zamożnym, ale przy całej swej istotnej trzeźwości, miał jakieś dziwne poczucie, że ta zamożność, polegająca choćby na najpewniejszych, zamkniętych w kasie ogniotrwalej papierach, jest również papierową i pozostanie nią dopóty, dopóki nie będzie posiadał czegoś realnego, o czemby mógł powiedzieć: „To moje!” Ta dziwna żądza ogarniała go coraz silniej. Nie chodziło mu o nic wielkiego, ale o jakikolwiek kąt, byle własny, gdzieby mógł czuć się u siebie. Próbował nad tem filozofować i tłumaczył Bigielowi, że ta chęć posiadania musi być jakąś namiętnością wrodzoną, którą można potłumić, ale która w wieku dojrzałym odzywa się z nową siłą. Bigiel uznawał, że tak może być, i mówił mu:

— To i słuszne. Jesteś żonaty, więc chcesz mieć własne, a nie najęte ognisko, a że masz po temu wszelkie środki, więc sobie takie ognisko stwórz.

Połaniecki myślał czas jakiś o wybudowaniu dużego domu w mieście, któryby czynił zadość chęci posiadania i zarazem przynosił dochody. Ale któregoś dnia spostrzegł, że ten praktyczny zamiar ma jedną złą stronę — mianowicie nie posiada żadnego wdzięku. Coś, o czem się mówi: „To moje” — trzeba lubić, a jak tu lubić kamienicę, w której mieszka każdy, kto najmie mieszkanie? Z początku wstydział się tej myśli, bo mu się wydała romantyczną, ale potem powiedział sobie: „Nie! skoro posiadam środki, przeto użycie ich w ten sposób, któryby mi zapewnił przyjemność, nietylko nie jest romantyzmem, ale dowodem rozsądku”. Bardziej poczęła go pociągać myśl o jakimś mniejszym domu w mieście, lub za miastem, o takim, w którymby sam tylko z żoną mieszkał. Ale chciało mu się przytem choć kawałek ziemi, na którejby coś rosło. Czuł, że naprzykład widok drzew, któreby rosły w jego ogrodzie, przed jego domem, na jego gruncie, sprawiałby mu wielką przyjemność. Sam się dziwił, że tak jest, ale tak było. W końcu doszedł do przekonania, że najmilej byłoby mu posiadać jakąś kolonijkę tuż pod miastem, coś w rodzaju takiego letniego domu, jaki posiadał Bigiel, ale z kawałkiem ziemi, kawałkiem lasu, jakiemiś kilku morgami warzywnego ogrodu, wreszcie z sadem i z bocianiem gniazdem gdzieś na starej lipie.

— Skoro na to mam, to wolę, żeby to było takie, niż inne, to jest ładne, nie brzydkie — mówił sobie.

I począł rzecz rozważać ze wszystkich stron. Rozumiał, że gdy chodzi o gniazdo, w którym się ma mieszkać przez resztę życia, trzeba wybrać rozważnie, więc nie spieszył się. Tymczasem myślenie o tem zajęło mu wszystkie godziny wolne od pracy biurowej i sprawiało mu rzetelną przyjemność. Ci i owi dowiedzieli się wkrótce, że Połaniecki szuka czegoś za gotowy grosz, nadeszły więc z różnych stron propozycje, często dziwaczne,

ale niekiedy dość ponętne. Trzeba było czasem jeździć, oglądać wille, położone w mieście lub za miastem. Często kroć, po powrocie z biura, i po obiedzie, Połaniecki zamykał się z listami, z planami i pokazywał się dopiero wieczorem. Marynia miała wówczas dużo wolnego czasu. Spostrzegła wreszcie, że coś zajmuje go niezwykle i próbowała dopytywać, lecz on odpowiedział:

— Moje dziecko, jak będzie rezultat, to ci powiem, ale póki sam nic nie wiem, trudno, żebym się rozgadywał o niczem. To takie przeciwne mojej naturze.

Dowiedziała się wreszcie o co chodzi od pani Bigielowej, ta zaś wiedziała od męża, którego naturze nie było przeciwnem rozgadywać się z żoną o wszelkich przedsięwzięciach i zamiarach na przyszłość. Dla pani Połanieckiej byłoby również ogromną przyjemnością rozmawiać z mężem o wszystkim, a zwłaszcza o wyborze gniazda. Oczy śmiały jej się na samą myśl o tem, ale skoro „usposobienie Stacha” stało temu na przeszkodzie, więc wolała nie dopytywać przez delikatność.

On zaś nie miał złych chęci, ale wprost nie przyszło mu do głowy wtajemniczać ją w jakieśkolwiek sprawy, w których chodziło o pieniądze. Może byłoby inaczej, gdyby mu była wniosła znaczny posąg i gdyby zmuszony był rozporządzać i jej majątkiem: był człowiekiem w takich razach nader skrupulatnym. Ale ponieważ rozporządzał tylko swoim, nie czuł, tak jak i za dawnych kawalerskich czasów, żadnej potrzeby spowiadania się z tego, póty szczególnie, póki nic nie było postanowione. Z Bigielem jednym rozmawiał, dlatego, że przywykł z nim rozmawiać o interesach.

Z żoną mówił o takich rzeczach, które podług niego „do niej należały” — więc między innymi o kółku znajomych, które należało sobie stworzyć. Pod koniec swego kawalerstwa Połaniecki nie bywał prawie nigdzie — czuł jednak, że obecnie nie może tak być. Oddali więc wizytę Maszkom i któregoś wieczora poczęli rozważać, czy wypada im być u Osnowskich, którzy w tym czasie wrócili z zagranicy i mieli do połowy czerwca zostać w Warszawie. Marynia mówiła, że wypada, dlatego, że się będą widywali u pani Maszkowej, i miała ochotę, albowiem lubiła pana Osnowskiego, który ją wzruszał. Połaniecki okazał mniej chęci, i początkowo stanęło na tem, czego chciał, ale w kilka dni później Osnowscy spotkali Marynię i powitali ją tak serdecznie, pani Osnowska powtarzała tak często: „my Rzymianki”, oboje zaś kładli taki nacisk na nadzieję widywania i spotykania się, że niepodobna było uniknąć złożenia im wizyty.

Jednak gdy Połanieccy przybyli w odwiedzin, wszelkie uprzejmości okazywano przedewszystkiem Maryni. Mąż prześcigał się pod tym względem w grzecznościach z żoną. Dla Połanieckiego byli, jako ludzie dobrze wychowani, równie uprzejmi bez zarzutu, ale zimniej. On rozumiał, że Marynia gra pierwszą, on zaś dopiero następną rolę, i trochę go to jednak drażniło. Pan Osnowski zresztą nie potrzebował się wysilać na grzeczności dla pani Połanieckiej, albowiem czując, że ona ma dla niego szczerą sympatyę, odplacał jej z nawiązką, gdyż mu tego wogóle brakło.

Maryni wydał się jeszcze bardziej zakochany w żonie, niż był poprzednio. Wprost znać było, że serce mu bije żywiej, gdy na nią patrzy. Mówiąc do niej, zdawał się podsuwać wyrazy, jakby z pewną obawą, by jej czemkolwiek nie zrazić. Połaniecki patrzył na niego z pewnem politowaniem, ale było to zarazem i wzruszające. W walce z otyłością natomiast pan Osnowski odniósł tak walne zwycięstwo, że ubranie wydawało się na nim za szerokie. Czerwone wyrzuty, które okrywały jego twarz blondyna, znikły i wogóle był przystojniejszy, niż przedtem.

A pani miała zawsze swoje nieporównane skośne oczy koloru fiołków i myśli, które, jak rajskie ptaki, ciągle bujały w powietrzu.

Ale Połanieccy zrobili u Osnowskich nową znajomość, mianowicie poznali panią Broniczową i jej siostrzenicę, pannę Castelli, które przybyły na „letni karnawał” do Warszawy i zamieszkały w tej samej willi, którą nieboszczyk Bronicz sprzedał Osnowskiemu, z wymówieniem jednego pawilonu dla żony. Pani Broniczowa była wdową po panu Broniczu, o którym wspominała, jako o ostatnim krewnym książąt Ostrogskich, zatem ostatnim z Rurykowiczów. Znano ją także w mieście pod nazwą „Słodyczki”; przezwisko to zawdzięczała temu, że, mówiąc, zwłaszcza do osób, o które jej chodziło, przymilała się tak, iż zdawać się mogło, że mówi przez trzymany w ustach kawałek cukru. Opowiadano dziwy o jej kłamstwach. Panna Castelli była córką jej siostry, która w swoim czasie, ku wielkiemu zgorzzeniu rodziny i świata, wyszła za Włocha, nauczyciela muzyki i zmarła

przy słabości, pozostawiając córkę. Gdy w rok potem i pan Castelli utopił się na Lido, pani Broniczowa wzięła i wychowała siostrzenicę.

Panna Lineta była prawie zupełną piękną, o rysach bardzo regularnych, czarnych oczach, złotawych włosach i cerze aż zbyt pięknej, bo niemal porcelanowej. Miała jednak przyciężkie powieki, co jej nadawało senny wyraz, ale ta senność mogła się wydawać także skupieniem. Można było mniemać, że to jest istota, która żyła bardzo rozwiniętym życiem wewnętrznym i dlatego zachowuje się nieco obojętnie względem tego, co ją otacza. Ktoby zresztą sam nie wpadł na ów domysł, mógł być pewien, że mu pani Broniczowa do tego dopomoże. Pani Osnowska, która przechodziła przez okresy zachwyty nad kuzynką, mówiła o oczach panny Linety, że są „głębokie jak jeziora”, kwestyą było tylko, co jest na dnie, ale właśnie ta tajemnica dodawała paninie Linecie uroku.

Państwo Osnowscy przyjechali z zamiarem bawienia się w Warszawie, ale pani Aneta nie napróżno była w Rzymie. „Sztuka i sztuka! — mówiła do pani Połanieckiej — o niczem więcej nie chcę wiedzieć”. Zamiarem jej jawnym było otworzyć salon „ateński”, a skrytym zostać Beatryczą jakiegoś Danta, Laurą jakiegoś Petrarcki, lub przynajmniej czemś w rodzaju Vittorii Colonna dla jakiegoś Michała Anioła.

— Mamy ładny ogród przy willi — mówiła — wieczory będą śliczne, i będziemy się schodzili na takie pogadanki rzymskie, florenckie... Pani wie (tu podniosła do poziomu z ramionami dłonie i poczęła niemi poruszać), szara godzina, trochę zorzy, trochę księżycy, kilka lamp, trochę cieniów od drzew: siedzi się i rozmawia półgłosem o wszystkim: o życiu, uczuciach, o sztuce. Przecie to doprawdy więcej warte, niż plotki! Mój Józiu, może się będziesz nudził, ale nie gniewaj się, zrób to dla mnie, i wierz mi, że to będzie bardzo ładne.

— Ale, moja Anetko, czy mnie to może nudzić, co ciebie bawi? — odpowiedział Osnowski.

— Teraz zwłaszcza, póki Lineta jest z nami, to przecie artystka w każdej kropli krwi! Tu zwróciła się do niej:

— Jaką tam niteczkę przedzie ta główka? Co mówisz o takich wieczorach rzymskich?

Panna Lineta uśmiechnęła się, a „ostatnia z Rurykowiczów” poczęła mówić z wyrazem nieopisaną słodyczy do Połanieckich:

— Państwo nie wiedzą, że ja Wiktor Hugo błogosławił, gdy była jeszcze mała.

— To panie znały Wiktora Hugo? — spytała Marynia.

— My? nie! Nie byłabym chciała go znać za nic w świecie, ale raz przejeżdżaliśmy przez Passy, gdy on stał na balkonie i — nie wiem, czy przez jakieś przecucie, czy przez natchnienie, jak zobaczył Linetkę, tak podniósł rękę i przeżegnał ją.

— Ciociu! — rzekła panna Castelli.

— Kiedy prawda, moje dziecko, a co prawda, to prawda! Zaraz na nią zawołałam: Patrz! patrz! podnosi rękę — i pan Cardyn, konsul, który siedział na przodzie, widział także, że on podniósł rękę, a potem przeżegnał cię. Owszem, ja to chętnie opowiadam, bo może za to przeżegnanie Pan Bóg odpuścił mu jego grzechy, których miał tyle. On, taki przewrotny umysł, a jednak, zobaczywszy Linetkę, przeżegnał ją!

Było w tem tyle prawdy, że panie te, przejeżdżając przez Passy, istotnie widziały na balkonie Wiktora Hugo. Co do błogosławieństwa, jakiego miał udzielić Linetce, zle języki warszawskie dowodziły, że podniósł rękę, albowiem w tej chwili ziewał.

Lecz tymczasem pani Osnowska mówiła dalej:

— Stworzymy tu sobie małe Włochy, a jeśli się próba nie uda, to na przyszłą zimę uciekniemy do wielkich. Już mi to chodziło po głowie, żeby otworzyć w Rzymie dom. Tymczasem Józiu przywiózł kilka ładnych kopii obrazów i posągów. To tak pocziwie z jego strony, bo jego to niewiele obchodzi, więc zrobił to tylko dla mnie. Są tam bardzo dobre rzeczy, bo Józiu miał ten rozum, że sobie nie ufał i prosił o pomoc pana Świrskiego. Szkoda, że go tu niema. Szkoda także, że pan Bukacki jak na złość umarł, bo i onby się nam przydał. Czasem bywał bardzo miły. Miał taką jakąś giętkość, jak wąż, a to w rozmowie dodaje życia. Ale (tu zwróciła się do pani Połanieckiej) czy pani wie, że pani całkiem podbiła pana Świrskiego? Po pani wyjeździe o nikim innym nie mówił i zaczął Madonnę, która ma pani rysy. Zostanie pani Fornariną! Pani ma widocznie szczęście

do artystów — i jak się moje wieczory florenckie zaczną, musimy się trzymać z Linetą, inaczej pójdziemy w ką.

A pani Broniczowa, rzuciwszy niechętnie spojrzenie Maryni, rzekła:

— Ach, pan Świrski! Pamiętasz Linetko?... Ale jeśli chodzi o twarze, które robią wrażenie na artystów, to powiem państwu, co się raz zdarzyło w Nizy... —

— Ciociu!... — przerwała panna Castelli.

— A kiedy prawda, moja Niteczko, a co prawda, to prawda... Rok temu... Nie! dwa lata temu... Jak to ten czas leci...

Lecz pani Osnowska, która zapewne słyszała już nieraz co się zdarzyło w Nizy, poczęła wypytywać pani Połanieckiej:

— A państwo dużo mają znajomości w świecie artystycznym?

— Mąż mój, zapewne — odpowiedziała Marynia — ja nie; ale znamy pana Zawilowskiego.

Pani Osnowska wpadła na tę wiadomość w prawdziwy entuzjazm. Jej marzenie było poznać pana Zawilowskiego, i niech Józio powie, czy to nie było jej marzenie? Niedawno czytały z Linetą jego wiersz pod tytułem: *Ex imo* — i Lineta, która czasem tak umie jednym słowem określić wrażenie, jak nikt inny, powiedziała... Co to ona takiego charakterystycznego powiedziała?...

— Że w tem jest coś śpiżowego — poddała pani Broniczowa.

— A tak, że w tem jest coś śpiżowego. Ja sobie wyobrażam pana Zawilowskiego także, jak jakiś odlew. Jak on naprawdę wygląda?

— Nizki — odrzekł Połaniecki — gruby, lat pięćdziesiąt i żadnego włosa na głowie.

Na to twarze pani Osnowskiej i panny Linety przybrały taki wyraz rozczarowania, że Marynia poczęła się śmiać i odrzekła:

— Niech panie mu nie wierzą, to zły człowiek i lubi martwić. Pan Zawilowski jest młody, trochę dziki i trochę podobny do Wagnera.

— To znaczy, że ma brodę, jak poliszynel — dodał Połaniecki.

Lecz pani Osnowska nie brała już w uwagę słów Połanieckiego i wymogła na Maryni, że ułatwi jej poznanie z panem Zawilowskim — i to prędko, „bardzo prędko, bo lato za pasem!”

— Postaramy się przytem, żeby mu było dobrze między nami i żeby nie był dziki — choć, jeśli jest trochę dziki, to nic nie szkodzi, bo on powinien być trochę dziki i trochę najeżać się, gdy ludzie się do niego zbliżają... jak orzeł w klatce! Zresztą porozumieją się z Linetką, bo i ona zamknięta w sobie i tajemnicza jak Sfinx.

— Mnie się zdaje, że każda niepospolita dusza... — zaczęła ciocia „Ślodyczka”.

Lecz Połanieccy poczęli się żegnać. W sieni spotkali cudnego Kopowskiego, któremu służący okurzał trzewiki, a który tymczasem przeczesywał swą posagową i twardą jak marmur głowę. Wyszedszy, Połaniecki rzekł:

— Ten im się także przyda na „florenckie” wieczory. To także Sfinx!

— Gdyby stał w niszy! — rzekła Marynia. — Jakie to jednak ładne kobiety.

— Dziwna rzecz — odpowiedział Połaniecki. — Niby pani Osnowska jest ładna, a ja wolę, jako urodę, panią Maszkową. Co do Castelli, to naprawdę ładna, choć za wysoka. Czyś ty uważała, że się tam ciągle o niej mówi, a ona ani mru-mru!

— Ma opinię bardzo inteligentnej — odpowiedziała Marynia — ale może trochę nieśmiała, jak Zawilowski. Trzeba będzie pomyśleć o tem poznaniu.

Ale tymczasem wypadek pomieszał plany poznania. Pani Połaniecka, na drugi dzień po wizycie, poślizgnąwszy się na schodach, zbiła kolano tak silnie, że przez kilka dni musiała leżeć w łóżku. On, wróciwszy z biura i dowiedziawszy się co zaszło, naprzód przestraszył się, następnie, uspokojony przez lekarza, zburczał żonę dość żywo:

— Powinnaś pamiętać, że tu może nie tylko o ciebie chodzi! — rzekł jej.

Ona cierpiała dość mocno i z powodu uderzenia, i z powodu tych słów, które wydały się jej jakieś nadto bezwzględne, sądziła bowiem, że jemu powinno przedewszystkiem o nią chodzić, zwłaszcza, że inne obawy nie były jeszcze na niczem oparte. Poza tem jednak okazał jej wielką troskliwość i ani nazajutrz, ani następnego dnia, nie poszedł do biura, by jej pilnować. W godzinach przedpołudniowych czytywał jej, po śniadaniu zaś pracował w przyległym pokoju, przy otwartych drzwiach, tak, aby go mogła w każdej

chwili zawołać. Ona, przejednana tą troskliwością, dziękowała mu za nią bardzo gorąco, wskutek czego ucałował ją i rzekł:

— Moje dziecko, to przecie prosty obowiązek. Widzisz, że nawet i obcy dowiadują się o ciebie codziennie.

Obcy rzeczywiście dowiadawali się codziennie. Zawilowski wypytywał w biurze: „jak się pani ma?” Bigielowa przychodziła po południu, a Bigiel wieczorem, i nie wchodząc do pokoju chorej, wygrywał w przyległym na fortepianie, by ją rozerwać. Państwo Maszkowie i pani Broniczowa zostawili dwukrotnie karty wizytowe, pani Osnowska zaś, zostawiwszy męża w powozie na dole, wdarła się do Maryni trochę przemocą i siedziała u niej koło dwóch godzin, rozmawiając ze zwykłym sobie darem przerzucania się z przedmiot u na przedmiot, o Rzymie, swoich zamierzonych wieczorach, o Świrskim, mężu, o Linecie i o Zawilowskim, który jej spać nie dawał. Pod koniec odwiedzin oświadczyła pani Połanieckiej, że powinny sobie mówić „ty” — i że wzywa ją, by jej pomogła w jednym planie: „to jest nie w planie, ale w spisku”, czyli raczej w czemś takim, co jak jej wpadło do głowy, tak się pali i pali, do tego stopnia, że cała głowa się pali!

— Tak mi utkwiał w myśli ten Zawilowski, że aż Józio zaczął być o niego zazdrosny, ale Józio z tylu rzeczy, biedaczysko, nie umie sobie zdać sprawy! Ja jestem pewna, że oni z Linetą są dla siebie stworzeni, to jest, nie Józio z Linetą, ale Zawilowski. I to poezya, i to poezya! Nie śmieję się, Maryniu, i nie myśl, że ja jestem postrzelona. Ty Linety nie znasz. Jej trzeba jakiego nadzwyczajnego człowieka. Ona za takiego Kopowskiego za nic w świecie by nie wyszła, choć Kopowski wygląda jak cherubin. Takiej twarzy, jak ma Kopowski, nigdy w życiu nie widziałam... Może we Włoszech na jakim obrazie, ale i to nie. A wiesz, co Lineta o nim mówi: „c'est un imbécile!” Może, ale jednak i ona na niego patrzy! Pomyśl, jakby to ślicznie było, żeby oni się poznali, pokochali i pobrali — to jest, nie Kopowski z Linetą, ale Zawilowski! To dopiero byłaby para! A Lineta ze swojemi aspiracyami, kogo ona znajdzie? Gdzie dla niej jest mąż? A cobyśmy się napatrzyły, tobyśmy się napatrzyły! Wyobrażam sobie, jakby się oni kochali. Na świecie tak nudno, że jak można mieć taki widok, to warto popracować. Zresztą wiem, że to nie pójdzie trudno, bo i ciocia Broniczowa ręce łamie, gdzie ona znajdzie męża dla Linety. Boję się, czym cię nie zmęczyła, ale to tak miło pogadać, zwłaszcza, gdy się coś układa.

Rzeczywiście, po wyjściu pani Osnowskiej, Marynia czuła jakby zawrót głowy. Jednakże, gdy Połaniecki nadszedł, poczęła mu opowiadać o przygotowanych na Zawilowskiego planach, trochę się śmiejąc z zapału pani Osnowskiej, a wreszcie rzekła:

— Ona musi mieć dobre serce i podoba mi się, ale jaka egzaltowana! Co jej przez głowę nie przechodzi!

— Raczej narwana, niż egzaltowana — odpowiedział Połaniecki — a to, widzisz, jest różnica, bo egzaltacja idzie niemal zawsze w parze z dobrem sercem, a narwanie często godzi się z oschłością serca i często nawet wypływa z tego, że głowa się pali, a serce śpi.

— Ty nie lubisz pani Osnowskiej — rzekła Marynia.

Połaniecki nie lubił jej istotnie, ale tym razem, zamiast potwierdzić lub zaprzeczyć, począł na żonę spoglądać z pewną ciekawością. Uderzyła go w tej chwili jej piękność. Włosy jej rozplynęły się w nieładzie po poduszce i drobna jej twarz wychylała się z tej ciemnej fali po prostu jak kwiat. Oczy jej wydawały się błękitniejsze, niż zwykle, przez rozchylone usta widać było brzożek drobnych i białych zębów. Połaniecki zbliżył się do niej i rzekł półgłosem:

— Jakaś ty dziś ładna!

I pochyliwszy się nad nią, ze zmienioną twarzą, począł całować jej oczy i usta.

Lecz każdy pocałunek wstrząsał nią, a każde wstrząśnięcie sprawiało jej ból. Prócz tego przykro jej było, że on jakby tylko wypadkiem spostrzegł jej piękność, przykrym był dla niej jego wyraz twarzy i jego nieuwaga, więc poczęła odwracać głowę.

— Stasiu! nie całuj mnie tak mocno, wiesz, że jestem cierpiąca.

Wówczas Połaniecki wyprostował się i rzekł z tłumionym gniewem:

— Prawda! przepraszam!

I wyszedł do swego pokoju rozpatrywać plan jakiegoś letniego domu z ogrodem, który mu dzisiaj rana przysłano.

Lecz choroba pani Połanieckiej nie trwała długo i w tydzień później mogli już oboje pojechać do Bigielów, którzy tymczasem przenieśli się na letnie mieszkanie; pogoda bowiem, mimo wczesnej pory, uczyniła się piękna i w mieście zaczęły się prawie upały. Zawilowski, który był się już oswoił, przyjechał także, wraz z ogromnym latawcem, którego mieli puszczać na wspólną z Połanieckim i dziećmi. Bigielowie polubili Zawilowskiego również, ponieważ był człowiekiem prostym i poza swoją dzikością wesołym, a chwilami nawet dziecinnym. Pani Bigielowa utrzymywała przytem, że ma szczególną głowę, co było o tyle prawdą, że posiadał bliznę na powiece i że wystająca broda nadawała mu wyraz energii, której całkowicie przeczyła górna część twarzy, tak delikatna, że prawie kobieca. Z początku pani Bigielowa doszukiwała się w nim oryginała, ale on zbyt uświadamiał wszystko, a zatem i samego siebie, by mógł być oryginałem. Był tylko nierównym przez nieśmiałość, wielkim entuzyastą i człowiekiem nie bez ukrytej pychy.

Przy obiedzie rozprowadano mu o Osnowskich, o zamierzonych wieczorach ateńsko-rzymsko-florenckich, o pannie Castelli i o ciekawości, jaką w paniach wzbudził.

Usłyszawszy o tem, rzekł:

— No, to dobrze wiedzieć, to nie pójdę tam za nic w świecie.

— Naprzód pozna się pan z niemi u nas — rzekła Marynia.

A on złożył ręce:

— Pani, ucieknę z przedpokoju!

— Dlaczego? — spytał Połaniecki — trzeba mieć odwagę nie tylko swoich przekonania, ale i swoich wierszy.

— A oczywiście — rzekła pani Bigielowa. — Co tu się wstydzicie! Powinien pan śmiało ludziom w oczy patrzeć i mówić im: piszę, bo piszę!

— Piszę, bo piszę! — powtórzył rezolutnie Zawilowski, podnosząc głowę i śmiejąc się.

Lecz Marynia mówiła dalej:

— Pozna się pan z niemi u nas, potem złoży im pan kartę, a następnie pojedziemy kiedy do nich wieczorem.

On zaś rzekł:

— Nie mogę schować głowy w śnieg, bo go niema, ale jednak wynajdę sobie jaką kryjówkę.

— A jeśli pana będę bardzo prosiła?

— To pójdę — odpowiedział po chwili Zawilowski, czerwieniąc się zlekka.

I spojrzął na nią. Przybladłszy nieco przez dłuższe leżenie w łóżku, twarz jej zdrobniała jeszcze i wyglądała na twarz szesnastoletniej dziewczyny. Zawilowskiemu wydała się tak cudną, że nie mógł jej niczego odmówić.

Wieczorem Połanieccy mieli go zabrać z powrotem do miasta, ale przedtem Marynia rzekła mu:

— Trzeba teraz używać z panem przemocy, bo pan nie widział Linety Castelli, a jak ją pan zobaczy, to się pan zakocha.

— Ja, pani!? — zawołał Zawilowski, przyłożywszy dłoń do piersi. — Ja, w pannie Castelli?

I tyle było szczerości w jego pytaniu, że znów zmieszał się; ale tym razem zmieszała się również nieco i pani Połaniecka.

Tymczasem Połaniecki skończył z Bigielem rozmowę o niebezpieczeństwach lokaty kapitału w ziemi i pojechali. Marynia przypomniała sobie, jak niegdyś wracali tak z ojcem, panią Emilią, Litką i Połanieckim od Bigielów, w taką samą miesięczną noc. Jak wówczas ten „pan Stanisław” kochał się w niej i jaki był nieszczęśliwy; jaka ona była dla niego surowa — i serce poczęło jej bić litością dla tego „pana Stanisława,” który wówczas tyle wycierpiał. Chciało się jej teraz przytulić do niego i przeprosić za owe dawne złe chwile — i gdyby nie obecność Zawilowskiego, byłaby to uczyniła.

Lecz ów dawny pan Stanisław siedział sobie teraz spokojny i pewny siebie koło niej, i palił cygaro. Przecie ona była jego, przecie ją wziął i miał, więc wszystko się skończyło.

— O czem ty tak rozmyślasz, Stachu? — spytała.

— O interesach, o których mówiliśmy z Bigielem.

I otrząsnąwszy popiół z cygara, włożył je do ust i pociągnął, tak, że czerwone światełko rozświeciło mu wąsy i część twarzy.

A Zawilowski, patrząc na twarz Maryni, pomyślał w swojej młodej duszy, że gdyby ona była jego żoną, toby nie palił teraz cygara, ani nie rozmyślał o interesach, o których się mówi z Bigielem, ale chyba klęczałby przed nią i adorował ją na kolanach.

I zwolna, pod wpływem nocy i tej słodkiej twarzy kobiecej, którą uwielbiał, poczęła go ogarniać egzaltacja. Po niejakej chwili jął deklamować, z początku cicho, jakby sam do siebie, a potem coraz głośniej, swój wiersz, pod tytułem *Śniegi w górach*. Była w tym wierszu jakby ogromna tęsknota za czemś niedostępnym i niepokalanym. Zawilowski sam nie wiedział, kiedy znaleźli się w mieście i kiedy latarnie poczęły migać po obu stronach ulicy.

— Więc pojutrze, na „five o'clock?”

— Tak jest — odpowiedział, całując ją w rękę.

Pani Połaniecka była trochę rozmarzona pod wpływem przejażdżki, nocy, a może i wiersza. Lecz od czasu pobytu w Rzymie, oboje z mężem odmawiali razem pacierz wieczorny. I po tym pacierzu ogarnęła ją nagle wielka tkliwość, jakby przyływ uczucia, pokrytego przez chwilę innymi wrażeniami. Zbliżywszy się, objęła ramionami szyję Połanieckiego i poczęła szeptać:

— Mój Stachu! tak nam jednak ze sobą dobrze? Prawda?

On zaś przyciągnął ją do siebie i odpowiedział z pewną niedbałą chełpliwością:

— A czy ja się skarżę?

I ani w głowie mu nie postąpiło, że w pytaniu jej był jakby odcień żalu i zwątpienia, którego nie chciała do duszy dopuścić — i że pragnęła, by ją uspokoił i upewnił.

Nazajutrz Zawilowski oddał w biurze Połanieckiemu wycinek z jakiejś gazety ze *Śniegami w górach*. Połaniecki przeczytał go przy obiedzie, ale przy brzęku widelców wiersz wydał się mniej piękny, niż wśród ciszy nocnej, przy świetle księżyca.

— Zawilowski mówił — rzekł Połaniecki — że wkrótce wyjdzie tom, ale obiecał, że przedtem pozbiera wszystko, co było w różnych pismach, i przyniesie ci.

Marynia zaś odrzekła:

— Nie; trzeba, żeby to zachował dla Linety.

— Ach! jutro się mają spotkać po raz pierwszy. Chcecie koniecznie urządzić epokę w życiu Zawilowskiego?

— Chcemy — odpowiedziała z pewną stanowczością Marynia. — Aneta z początku mnie zdziwiła — ale dlaczegożby nie!

Jakoż spotkanie nastąpiło nazajutrz. Państwo Osnowscy, pani Broniczowa i panna Castelli przyjechali nader punktualnie o piątej, ale Zawilowski przyszedł jeszcze wcześniej, by uniknąć wchodzenia do salonu przy całym towarzystwie. A i tak był nietylko nastraszony, ale niezgrabniejszy niż zwykle i nigdy własne nogi nie wydawały mu się tak długie. Była jednak pewna dystynkcja nawet w jego niezgrabności i pani Osnowska umiała się na tem poznać. Rozpoczęły się pierwsze sceny komedii ludzkiej, w których te panie, jako osoby dobrze wychowane, wystrzegając się wszelkiej natarczywości w przypatrywaniu się Zawilowskiemu, nie czyniły jednak nic innego; on zaś, udając, że tego nie widzi, nie myślał jednak o niczym innym, tylko, że mu się przypatrują i że go sądzą. Sprawiało mu to wielki przymus, który starał się pokryć przez sztuczną swobodę, miał bowiem tyle miłości własnej, że mu chodziło o to, by sąd wypadł dobrze. Ale panie te były tak z góry nastrojone, że sąd nie mógł wypaść źle, i gdyby nawet Zawilowski okazał się głupim i płaskim, byłoby to wzięte za mądrość i poetyczną oryginalność. Najobojętniej zachowywała się panna Lineta, którą poniekąd dziwiło, że w tej chwili nie ona jest słońcem, a Zawilowski księżycem, lecz że dzieje się odwrotnie. Pierwsze wrażenie, jakie na nią uczyniła twarz Zawilowskiego, było: „Co za porównanie z tym głupcem Kopowskim!” I nieporównana, cudna twarz tego „głupca” — stanęła jej jak żywa przed oczyma, skutkiem czego powieki jej stały się jeszcze cięższe, a wyraz twarzy przypominał jeszcze bardziej niż zwykle Sfinxa... z porcelany. Drażniło ją to jednak, że Zawilowski nie zwraca żadnej niemal uwagi ani na jej postać Junony, ani na „coś tajemniczego i poetycznego,” co, jak utrzymywała pani Broniczowa, przykuwało od pierwszego rzutu oka. Zwolna też zaczęła na niego spoglądać i, mając, obok poetycznego usposobienia, rozwinięty silnie

zmysł światowej obserwacji, zauważyła, że wprawdzie on ma dużo wyrazu, ale że surdut na nim źle leży i że musi się ubierać u byle krawca, a szpilka w jego krawacie jest wprost „mauvais genre.” On tymczasem, rzucając niekiedy spojrzenia na Marynię, jako na jedyną bliską i przyjazną duszę, rozmawiał z panią Osnowską, która, uważając za najwyższy takt nie mówić za pierwszym razem o poezji, a dowiedziawszy się, iż Zawilowski pierwsze lata dzieciństwa spędził na wsi, poczęła szczebiotać o swoim pociągu do życia wiejskiego. Mąż jej wołał zawsze miasto, mając w mieście swoje przyjemności i przyjaciół, ale co do niej!... „Och, ja jestem szczerą i przyznam się od razu, że nie cierpię folwarku, gospodarstwa i rachunków, za które nieraz byłam łajaną... Przytem, trochę ze mnie próżniak, więc lubiłabym taką robotę, przy której można próżnować: zaraz! co to jabym lubiła?”

Tu rozłożyła swe wydłużone paluszki, żeby na nich łatwiej wyliczyć zajęcia, któreby jej przypadły do smaku:

— Naprzód, lubiłabym paść gęsi!

Zawilowski roześmiał się; wydała mu się naturalną, a przytem zabawił go obraz pani Osnowskiej pasącej gęsi.

Jej fiołkowe oczy poczęły się także śmiać i wpadła w ton swobodnej i wesołej dziewczynki, która mówi o wszystkim, co jej przez głowę przejdzie.

— A panby lubił? — spytała nagle Zawilowskiego.

On zaś odpowiedział:

— Pasyami!

— A widzi pan!... Co to jeszcze? Aha! lubiłabym być rybakiem. Rano na wodzie muszą się zorze odbijać ślicznie... Przytem mokre sieci przed chatą, z błonkami wody w oczkach, to takie ładne... Chciałabym być przynajmniej, jeśli nie rybakiem, to czapłą i medytować na jednej nodze nad wodą, albo czajką nad łąkami. Ale nie! czajka to jakiś smutny ptak! — prawda? — jakby w żalobie!

Tu zwróciła się do panny Castelli:

— A ty, Linetko, czem chciałabyś być na wsi?

Panna Castelli podniosła powieki i po chwili rzekła:

— Pajęczyną.

Wyobraźnia Zawilowskiego, jako poety, poruszyła się tą odpowiedzią. Nagle stanęły mu przed oczyma wielkie płowe przestrzenie rżysk i srebrne nitki, pływające się w spokojnym błękicie i w słońcu.

— A jaki to ładny obraz! — rzekł.

I spojrział uważniej na pannę Linetę, a ona uśmiechnęła się, jakby z podziękowaniem za to, że odczuł piękność obrazu.

Lecz w tej chwili nadeszli Bigielowie. Zawilowskiego zaś wzięła w obroty pani Broniczowa i zastawiła go krzesłem tak, że się nie mógł poruszyć. Łatwo było odgadnąć, co stanowiło przedmiot ich rozmowy. Zawilowski bowiem podnosił od czasu do czasu oczy na pannę Castelli, jakby chcąc sprawdzić, czy wygląda na to, co o niej słyszy. Wreszcie, jakkolwiek rozmowa prowadzona była przyciszonym głosem, obecni usłyszeli wkrótce słowa, jakby przecedzone przez kawałek cukru:

— Czy pan wie, że ją Napoleon... to jest, chciałam powiedzieć: Wiktor Hugo... błogosławił...

Wogóle Zawilowski nasłuchiwał się tyle rzeczy niezwykłych, że mógł z pewną ciekawością przypatrywać się pannie Castelli. Była ona, według tych opowiadań, najdziwniejszym w świecie dzieckiem, zawsze bardzo łagodnym, ale nieobliczalnym. Mając lat dziesięć, była bardzo chora. Kazano jej oddychać morskim powietrzem i te panie mieszkały długo na Stromboli...

— Dziecko patrzyło na wulkan, na morze i klaskało w rączęta, powtarzając: „ładnie! ładnie!” Zajechaliśmy tam przypadkiem, błakając się w najętym jachcie bez celu; trudno było zostać dłużej, bo to pusta wysepka i nie było gdzie mieszkać, i nie bardzo co jeść, ale ona za nic nie chciała wyjeżdżać, jakby w przecuciu, że tam przyjdzie do zdrowia. Jakoż w miesiąc, a jeśli nie w miesiąc, to we dwa, poczęła do siebie przychodzić, i niech pan patrzy, że wyrosła mi, jak trzcina!

Rzeczywiście panna Castelli, lubo kształtna i nie rażąca wzrostem, wyższą była nieco nawet od pani Osnowskiej. Zawilowski patrzył na nią ze wzrastającym zajęciem. Przed rozejściem się gości, wypuszczony wreszcie z niewoli, zbliżył się do niej i rzekł:

— Nie widziałem nigdy wulkanu i nie mam pojęcia, jakie to może sprawić wrażenie.
— Ja znam tylko Wezuwiusz — odpowiedziała — ale jakeśmy go widziały, nie było wybuchu.

— A Stromboli?

— Nie znam.

— Tom się tylko przesłyszał, bo — ciotka pani...

— Tak — odpowiedziała panna Castelli — nie pamiętam! Byłam widocznie zbyt mała.

I na twarzy jej odbiła się przykrość i zmieszanie.

Pani Osnowska, nie wychodząc do końca z roli czarującej terkotki, zaprosiła przed wyjazdem Zawilowskiego do siebie, „któregokolwiek wieczora, bez ceremonii i bez fraka, bo taką wiosnę można uważać za lato, a w lecie najprzyjemniejsza swoboda.” Oświadczyła przytem, iż rozumie, że ludzie tacy, jak on, nie lubią nowych znajomości, ale jest na to prosty sposób, a mianowicie: uważać ich za starą. Najczęściej siedzą sami: Linetka coś czyta, albo mówi, co jej przez głowę przechodzi, a jej takie różne rzeczy przez głowę przechodzą, że warto je słyszeć, zwłaszcza komuś, kto jest w stanie lepiej je odczuć i zrozumieć, niż kto inny.

Panna Castelli uściśniła na pożegnanie dość silnie jego rękę, jakby potwierdzając, że mogą i powinni się zrozumieć. Zawilowski, nieprzywykły do ludzi, był trochę odurzony: słowami, szelestem sukien, oczyma i zapachem irysowym, który te panie zostawiły po sobie. Czuł przytem trochę zmęczenia, bo w tej rozmowie, jakkolwiek swobodnej i pozornie pełnej prostoty, brakło takiego spokoju, jaki był zawsze w słowach pani Połanieckiej i pani Bigielowej; Zawilowskiemu zostało poniekąd wrażenie bezładnego snu.

Bigielowie mieli zostać na obiedzie, więc Połaniecki zatrzymał i Zawilowskiego. Tymczasem poczęli mówić o tych paniach.

— Cóż panna Castelli? — spytała Marynia.

— Obie mają dużo wyobraźni — odpowiedział po chwili zastanowienia Zawilowski.

— Czy pani zauważyła, jak im łatwo mówić obrazami?

— Ale prawda, jaka Lineta interesująca panna?

Połaniecki, na którym panna Castelli nie czyniła wielkiego wrażenia, a który był głodny i pilno mu było do obiadu, odezwał się z pewną niecierpliwością:

— Co wy tam upatrujecie! Interesująca, dopóki nie spowszednieje.

Pani Połaniecka zaś odrzekła:

— Nie! Lineta nie spowszednieje... Powszednieją tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego, tylko kochać.

Zawilowskiemu, który spojrział na nią w tej chwili, wydało się, iż dostrzegł w niej odcień smutku. Była może przytem jeszcze osłabiona, bo twarz jej miała tony po prostu liliowe.

— Pani się zmęczyła? — spytał.

— Trochę — odpowiedziała, uśmiechając się.

Jego zaś młode, wrażliwe serce zabiło dla niej wielkim współczuciem. „To jest naprawdę lilia” — pomyślał — i, w porównaniu z jej słodkim urokiem, pani Osnowska przedstawiła mu się jak krzykliwa sójka, a panna Castelli, jak martwa głowa posągu. Poprzednio, po każdym widzeniu pani Połanieckiej, marzył, bywało, o takiej kobiecie, jak ona; tego wieczora począł marzyć nie o takiej jak ona, ale o niej samej. A ponieważ uświadamiał szybko wszystko, co się w nim działo, więc spostrzegł, że ona zaczyna mu być kwiatem nie tylko „polnym”, ale i kochanym.

Połaniecki zaś, spotkawszy go na drugi dzień w biurze, pytał:

— Cóż, śpiąca królewna? Sniła się panu? co?

— Nie! — odpowiedział Zawilowski, czerwieniąc się.

Połaniecki, spostrzegłszy jego rumieniec, począł się śmiać i rzekł:

— Ha! trudno! każdy musi przez to przejść: przeszedłem i ja!

XXII

Marynia nie skarżyła się nawet sama przed sobą na męża. Nie było dotąd między nimi najmniejszego nieporozumienia. Musiała tylko przyznać, że prawdziwe, bardzo wielkie

szczęście, a zwłaszcza bardzo wielką miłość, taką, o jakiej marzyła, gdy Połaniecki był jej narzeczonym, wyobrażała sobie inaczej. O tem przekonywał ją każdy niemal dzień. Inne były nadzieje, inną pokazywała się rzeczywistość. Prawa natura Maryni nie poczęła się przeciw tej rzeczywistości buntować, ale padł na nią cień smutku, wraz z poczuciem, że ów cień może się stać z czasem tłem życia. Mając pełną duszę dobrej woli, próbowała sobie z początku dowieść, że to są jej własne urojenia. Czego jej brakło i w czem Połaniecki mógł ją zawieść? Nie wyrządził jej nigdy umyślnej przykrości; ilekroć przyszło mu do głowy, że coś mogłoby być jej przyjemne, starał się jej to zapewnić: był dla niej hojny, dbał o jej zdrowie, chwilami zacałowywał jej twarz i ręce — słowem, był raczej dobrym, niż złym. A jednak czegoś w tem brakło. Maryni trudno było to określić w jednym lub kilku słowach, ale umysł jej był zbyt jasnym, żeby nie rozumieć tego, co serce odczuwało codziennie żywiej i codziennie smutniej. Czegoś brakło! Po wielkiem i uroczystem święcie miłości zaczynał się szereg dni powszednich, a jej żal było święta; chciałaby była rozciągnąć je na całe życie, widziała zaś ze zmartwieniem, że mężowi jej ta powszedniość wydawała się właśnie czemś normalnem i pożądanem. Tak jak było, nie było źle, ale to nie było owo wysokie szczęście, które „taki człowiek” powinien być zdolny czuć, stworzyć i dać. Ale prócz tego chodziło i o inne rzeczy. Oto ona czuła, iż jest więcej jego, niż on jej — i że gdy ona oddaje mu całą duszę, on zwraca jej ze swojej tylko tę cząstkę, którą z góry przeznaczył na użytek domowy. Mówiła sobie wprawdzie, że on jest mężczyzną, że ma po za nią cały świat pracy i myśli; ale nigdy nie spodziewała się, że on ją weźmie za rękę i w ten świat wprowadzi, że przynajmniej w domu będzie się nim z nią dzielił, tymczasem nie mogła się nawet ludzić, żeby tak było. I rzeczywistość gorsza była, niż sobie wyobrażała. Połaniecki — jak sam się wyrażał — wziął ją i miał, i gdy wzajemne ich uczucie stało się zarazem prostym wzajemnym obowiązkiem, sądził, iż nie potrzebuje inaczej się o nie troszczyć, ani inaczej o nie zabiegać, jak o wszelkie inne obowiązki codziennego życia. Nie przyszło mu wprost do głowy, że do takiego ogniska nie dość jest dokładać zwyczajnych dREW, jak się dokłada do komina, ale że trzeba sypać w nie bursztyn i myrrę, tak jak się je sypie przed ołtarzem. Gdyby mu ktokolwiek coś podobnego powiedział, wzruszyłby ramionami i uznał go za romantyka. Dlatego była w nim może troskliwość męża, ale nie było nic troski kochanka, ani przejęcia się, ani czuwania, ani takiej bojaźni, która w mniejszym zakresie ziemskich uczuć jest tem, czem bojaźń boża w uczuciu religijnem. Niegdyś, gdy po sprzedaży Krzemienia Marynia była względem niego obojętna, on czuł i przeszedł przez to wszystko, ale teraz, a nawet od czasu śmierci Litki, gdy począł być zupełnie pewnym, że ona jest jego własnością, nie myślał o niej więcej, niż wypada myśleć o własności. Uczucie jego, oparte przeważnie na jej uroku fizycznym, posiadało to, czego chciało — i było spokojne, a czas mógł je tylko w przyszłości spowszedniać, ochładzać, stępieć.

Tymczasem teraz już, jakkolwiek było jeszcze żywe, brakło mu takiej naprzykład czujnej i pieśczołliwej tkliwości, jaka była w uczuciu dla Litki. I Marynia to spostrzegła. Dlaczego tak było? — na to nie umiała odpowiedzieć, nie mniej jednak wyraźnie czuła, że była dla tego człowieka, któremu chciała być wszystkim, czemś pospolitszem i mniej cennem, niż tamto zmarłe dziecko.

Nie przyszło jej to do głowy i nie mogłoby się żadną miarą w niej pomieścić, iż jedyny powód był ten, że tamto dziecko nie było jego, a ona zaś oddała mu i ciało i duszę. Sądziła, że im się więcej oddaje, tem się więcej powinno otrzymać i mieć. Ale czas przyniósł jej pod tym względem dużo zawodów. Oto nie mogła również nie dostrzedz, że wszyscy ją cenią, chwala, że Świrski, Bigiel, Zawilowski i nawet pan Osnowski, patrzą na nią nietylko z podziwem, ale niemal z zachwytem, i że najmniej ze wszystkich robi sobie z tych przymiotów — on — „Stach.” Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, by on nie był zdolny się na niej poznać i ocenić tego, co inni w niej dostrzegali i ocenili z taką łatwością. Więc co był za powód? Te pytania dręczyły ją teraz dniem i nocą. To, iż spostrzegła, że Połaniecki we wszystkim trochę udaje charakter zimniejszy i bardziej trzeźwy, niż ma rzeczywiście, nie wydało się jej dostateczną odpowiedzią. Pozostawała jej, niestety, odpowiedź tylko jedna: „On mnie nie kocha tak, jakby mógł, i dlatego nie ceni, jak cenią inni.” Było w tem tyle samo prawdy, ile goryczy i smutku.

Instykt kobiecy, który w takich razach nigdy nie zawodzi, ostrzegł Marynię, że uczyniła na Zawilowskim niezwykle wrażenie, i że to wrażenie powiększało się za każdym spotkaniem. I myśl ta nie oburzyła jej, nie wybuchnęła w gniewnym pytaniu: „Jak on śmie?!” — bo zresztą on na nic się nie ośmielał — przeciwnie, dodała jej pewnej otuchy, pewnego zaufania we własny urok, które chwilami poczyniała tracić, ale zarazem wzbudziła tem większy żal, że taką tkliwą cześć, taki zachwyt okazywał jej ktoś obcy, a nie „Stach.” Co do Zawilowskiego, nie czuła dla niego nic, prócz wielkiej sympatii i przychylności, więc myśli jej pozostały czyste. Nie byłaby zdolną bawić się przez próżność cudzem cierpieniem, i z tego powodu, nie chcąc, by zaszedł zadaleko, przyłączyła się chętnie do planu pani Osnowskiej zbliżenia Zawilowskiego z panną Castelli, jakkolwiek ten plan wydał się jej tak nagłym, że aż niezrozumiałym. Zresztą i serce jej i umysł były zajęte całkowicie pytaniami: czemu ten dobry, ten rozumny i ten kochany „Stach” nie chce wstępować z nią na wysokości, czemu on nie ceni jej tak, jakby mógł, czemu on ją tylko kocha, ale nie kocha się w niej, czemu jej miłość uważa tylko za coś przynależnego sobie, ale nie za coś drogiego? Skąd to poszło i gdzie leży tego przyczyna?

Każda płaska, samolubna natura znalazłaby całą winę w nim — Marynia Połaniecka znalazła ją w sobie. Wprawdzie odkrycie to uczyniła z cudzą pomocą, ale tak była zawsze gotowa zdjąć wszelką odpowiedzialność ze swego „Stacha,” a wziąć na siebie, że obok przestrachu, sprawiło ono jej niemal radość.

Raz po południu siedziała sama i z rękoma złożonymi na kolanach, gubiła się w myślach i pytaniach, na które nie umiała znaleźć odpowiedzi, gdy wtem drzwi się otworzyły i ukazał się w nich biały kwef i ciemna suknia Siostry miłosierdzia.

— Emilka! — zawołała z radością pani Połaniecka.

— Tak, to ja — odpowiedziała Siostra — mam dziś wolny dzień i chciałam was odwiedzić. Gdzie pan Stanisław?

— Stach jest u państwa Maszków, ale myślę, że niedługo wróci. Ach, jaki będzie rad! Siadaj, odpocznij!

Pani Emilia siadła i poczęła mówić:

— Jabym częściej do was wpadała — tylko że nie mam czasu. Ale dziś wolny dzień: byłam u Litki. Żebyś wiedziała, jak tam zielono i co ptaków!

— Byliśmy tam kilka dni temu. Wszystko kwitnie — i taki spokój. Jaka szkoda, że Stacha niema.

— Tak. On ma przytem kilka listów Litki: chciałam go prosić, żeby mi ich pożyczył. Na przyszłą niedzielę wpadnę znowu i odniosę mu je.

Pani Emilia mówiła już spokojnie o Litce. Może było tak dlatego, że z niej samej został tylko cień żywej istoty, który miał się wkrótce rozwiać — ale tymczasem była w niej niezmacona pogoda. Myśl jej nie była już także pochłonięta wyłącznie nieszczęściem i owa dawna obojętność dla wszystkiego, co nie było Litką, przeszła. Zostawszy Siostrą miłosierdzia, zstąpiła znów między ludzi i nauczyła się odczuwać wszystko, co stanowiło ich dół lub niedolę, wesołość lub smutek, a nawet przyjemność lub przykrość.

— A jak tu u was zawsze ładnie! — rzekła po chwili — po naszych białych ścianach, takie mi się tu wszystko wydaje bogate. Pan Stanisław był niegdyś wielki leniuch; był u państwa Bigielów i u nas; nigdzie więcej nie chciało mu się bywać, ale teraz pewno się rozruszał i przyjmujecie dużo ludzi?

— Nie — odpowiedziała Marynia. — Bywamy tylko u państwa Maszków, u pani Broniczowej i u państwa Osnowskich.

— A, poczekaj! Ja znam panią Osnowską. Znałam ją jeszcze panną. Znałam także oboje państwa Broniczów i ich siostrzenicę, ale ona nie była wtedy jeszcze dorosłą. Pan Bronicz umarł sześć lat temu. Widzisz, jak ja wszystko wiem!

Marynia poczęła się śmiać.

— Doprawdy więcej odemnie. Ja poznałam państwa Osnowskich dopiero w Rzymie.

— Przecie tyle lat mieszkałam w Warszawie, więc wszystko obijało mi się o uszy. Niby to przesiadywałam ciągle w domu, ale świat mnie zajmował. Taki to był ze mnie lekkoduch! Zresztą i twój dzisiejszy pan Stach znał panią Osnowską...

— Mówił mi o tem. Spotykali się na balach publicznych.

— Ona miała wówczas wychodzić za pana Kopowskiego. Były i łzy, i rozpacz, bo jej ojciec się sprzeciwił. Ale dobrze trafiła? — nieprawda? Pan Osnowski zawsze uchodził za bardzo dobrego człowieka.

— I jest dla niej jak najlepszy. Ale o tem nie wiedziałam, że ona miała wyjść za pana Kopowskiego, i dziwi mnie to — taka inteligentna!

— Chwała Bogu, że szczęśliwa; byle chciała to cenić. To rzadka rzecz szczęście i tak się trzeba umieć z tem dobrze obchodzić! Ja się nauczyłam teraz patrzeć na świat bardzo bezstronnie, jak mogą tylko ludzie, którzy dla siebie niczego już nie wyglądają — i wiesz, co mi nieraz przychodzi do głowy? Że szczęście, to jak oczy: lada prószynka — i zaraz poczynają łzy płynąć.

Marynia uśmiechnęła się trochę smutno i odrzekła:

— Oj to, to wielka prawda!

Nastała chwila milczenia, poczem pani Emilia, spojrzawszy uważnie na Marynię, położyła łagodnie swoją przezroczystą rękę na jej dłoni i spytała:

— Ale ty, Marylko, jesteś szczęśliwa? — tak?

Marynię chwyciła nagle taka chęć do płaczu, że oparła się jej tylko z największym wysiłkiem. Ale trwało to jedno mgnienie oka. Cała jej prawa dusza wzdrygnęła się nagle na myśl, że jej łzy lub smutek byłyby niejako skargą na męża, więc siłą woli opanowała wzruszenie i odrzekła:

— Byle tylko Stach był szczęśliwy!

I podniosła pogodnie już zupełnie oczy na panią Emilię, która rzekła:

— Litka wam to wyprosi! Spytałam tylko dlatego, że jakem weszła, wydałaś mi się jakaś zaszepiona. Ale ja wiem najlepiej, jak on cię kochał i jaki był nieszczęśliwy wówczas, gdyś się na niego gniewała z powodu Krzemienia.

Maryni twarz rozjaśniła się uśmiechem. Tak miłe jej było każde słowo o jego dawnej miłości, że gotowa była słuchać tego rodzaju opowiadań bez końca.

Pani Emilia zaś mówiła dalej, dotykając jej ręki.

— A ty, brzydkie dziecko! takieś było niemilosierne, tak nie umiałaś ani ocenić, ani uszanować prawdziwego przywiązania, że czasem byłam na ciebie zła. Czasem bałam się o pocziwego pana Stanisława, żeby się nie zraził do życia, żeby się nie zwichnął, żeby nie zdziwaczał. Bo to, widzisz, zdarza się, że jak się zrobi jakaś fałdka gdzieś w głębi serca, to całe życie nie można jej potem wyprostować.

Marynia podniosła głowę i poczęła mrugać, jakby oczy jej poraziło jakieś nagłe światło:

— Emilko, Emilko! — zawołała — jak ty rozumnie mówisz!

Pani Emilia nazywała się teraz „Siostra Aniela,” ale Marynia nazywała ją zawsze dawnym imieniem.

— Ej, co tam rozumnego! — rzekła. — Ot, tak sobie zrzedzę za dawne czasy. Ale Litka wyprosi wam szczęście i Bóg wam je da, boście go oboje warcii.

I poczęła się zbierać. Marynia zatrzymywała ją do przyjścia męża, ale napróżno, gdyż w zakładzie czekało ją zajęcie. Jednakowoż pogawędziły jeszcze, według zwyczaju kobiecego, z kwadrans we drzwiach; wreszcie pani Emilia odeszła, obiecując odwiedzić ich znów na przyszłą niedzielę.

Marynia Połaniecka wróciła na swój fotel pod oknem i wsparłszy się na rękę, poczęła myśleć nad słowami pani Emilii, po chwili zaś rzekła półgłosem:

— Tak, to moja wina!...

Zdawało jej się teraz, że ma klucz do zagadki.

Oto nie umiała uszanować siły tak prawdziwej i tak wielkiej, jak miłość. I teraz w jej struchlałym sercu wydała się ta miłość jakimś obrażeniem bóstwem, które karze. Wówczas Połaniecki był przed nią na kolanach. Ilekroć się spotkali, patrzył jej w oczy, wyglądając zmiłowania od jej serca i od tych wspomnień błahych, nikłych, ale drogich, które ich łączyły. Gdyby wtedy była zdobyła się na prostotę i na wspaniałomyślność, gdyby była wyciągnęła do niego ręce, jak nakazywało jej tajone uczucie — byłby jej wdzięczny przez całe życie, byłby czcił ją, czcił i kochał z tem większą tkliwością, im bardziej odczuwałby własną winę, a jej dobroć. Ale ona wówczas wołała pielęgnować i rozdmuchiwać swoją urazę, a jednocześnie przyciągać Maszkę. Gdy było trzeba zapomnieć, nie umiała zapomnieć; gdy trzeba było przebaczyć, nie umiała przebaczyć. Wołała sama cierpieć, byle i on

cierpiał. Połanieckiemu oddała rękę wówczas dopiero, kiedy nie mogła inaczej, kiedy nie oddać jej, byłoby wprost niecną i bezrozumną zatwardziałością. Prawda, że wówczas tłumione kochanie powstało w całej swej nieprzewyciężonej mocy i że pokochała sercem i duszą — ale to było zapóźno. Miłość została obrażona. Coś się złamało, coś zginęło; w jego sercu powstała taka złowroga fałda, o jakiej wspomniała pani Emilia — i teraz ona, Marynia, zbiera tylko to, co posiadała.

On tu nic nie winien — i jeśli kto komu, to nie on jej, ale ona jemu popsowała życie.

Zdjął ją na tę myśl taki strach i taki żal, że przez chwilę patrzyła w przyszłość z zupełnym przerażeniem. A zarazem chciało się jej płakać i płakać, jak małemu dziecku. Gdyby pani Emilia nie była odeszła, byłaby to uczyniła w jej ramionach. Była tak przejęta ciężarem własnych przewinień, że gdyby w tej chwili ktoś nadszedł i próbował zdjąć z niej ten ciężar, gdyby jej powiedział: „Tys tyle winna, ile gołąb” — byłaby uważała, iż mówi rzecz niegodziwą. Najstraszniejszym w tej rozterce duchowej było to, że w pierwszej chwili klęska wydała jej się niepowetowaną, i że jej się zdawało, iż w przyszłości może być tylko gorzej i gorzej, że „Stach” będzie ją coraz mniej kochał — i że będzie miał prawo coraz mniej kochać, słowem: nie widziała przed sobą ratunku.

Logika mówiła jej: dziś jeszcze jest dobrze w porównaniu z tem, co może być jutro, pojutrze, za miesiąc, za rok... A tu przecie chodzi o całe życie!

I poczęła wysilać swą biedną, strapioną głowę, by wynaleźć, jeśli nie drogę, to przynajmniej jaką ścieżynę, którąby można wyjść z tych manowców nieszczęścia. Nakoniec, po długim wysileniu, po Bóg wie ilu połkniętych łzach, zdawało jej się, że widzi przed sobą jakieś światło.

I to światło, w miarę, jak mu się ją przyglądać, rosło coraz bardziej.

Było jednak coś potężniejszego od logiki nieszczęścia, potężniejszego od win spełnionych i obrażonego bóstwa, umiającego się tylko mścić — miłosierdzie boże!

Ona zawiniła, więc do niej należy winy naprawić. Trzeba oto „Stacha” kochać tak, żeby odnalazł wszystko to, co mu zginęło w sercu. Trzeba mieć cierpliwość i nietylko nie narzekać na swoją dzisiejszą dolę, ale jeszcze dziękować Bogu i „Stachowi,” że jest taka, jak jest. Gdyby przyszły większe smutki i trudności, trzeba je po cichutku pochować w sercu — i wytrwać długo, bardzo długo, choćby lata całe, póki nie przyjdzie miłosierdzie boże.

Ścieżynka poczęła się teraz zmieniać w gościniec. „Nie zabłądź!” — mówiła sobie Marynia. Chciało się jej i teraz płakać z wielkiej radości, ale sądziła, że nie może sobie na to pozwolić. Zresztą lada chwila Stach mógł wrócić i trzeba, żeby ją zastał z suchemi oczyma.

Jakoż niebawem wrócił. Marynia chciała w pierwszej chwili rzucić mu się na szyję, ale czuła się względem niego tak winną, że wstrzymała ją jakaś nagła nieśmiałość.

On zaś, pocałowawszy ją w czoło, spytał:

— Nie był tu nikt?

— Była Emilka, ale nie mogła dłużej zostać. Przyjdzie w przyszłą niedzielę.

Wówczas zniecierpliwił się:

— Ach, Boże! Wiesz, że to taka dla mnie przyjemność ją widzieć — czemuś nie dała mi znać? Wiedziałaś przecie, gdzie jestem; czemuś nie pomyślała o mnie?

A ona, jak dziecko, które się tłómaczy, poczęła mówić głosem, w którym drgały łzy, ale zarazem i jakaś otucha:

— Nie, Stachu! — owszem! — jak ciebie kocham, tak ciągle myślałam o tobie!

XXIII

— A widzicie państwo, że byłem — mówił wesoło u Bigielów Zawilowski — patrzyli na mnie trochę jak na jakąś panterę, albo na wilka, ale ja okazałem się bardzo oswojonym stworzeniem; nikogo nie podrapałem, nic nie rozbiłem, odpowiadałem mniej więcej przytomnie. Nie, ja to przecie dawno zauważyłem, że z ludźmi łatwiej żyć, niż się wydaje — i tylko w pierwszych chwilach mam zawsze ochotę zmykać. Ale te panie naprawdę bardzo są swobodne.

— Proszę nas nie zbywać i opowiedzieć nam dokładnie wszystko, jak było — rzekła pani Bigielowa.

— Jak było? Otóż naprzód wszedłem za kratę willi i nie wiedziałem, co dalej uczynić, ani gdzie mieszkają państwo Osnowscy, a gdzie pani Broniczowa — i czy im się razem składa wizytę, czy trzeba być osobno u jednych i u drugich.

— Osobno — rzekł Połaniecki. — Pani Broniczowa ma oddzielne mieszkanie, chociaż mają jeden salon, który uważają za wspólny.

— Otóż znalazłem wszystkich w tym salonie i pani Osnowska pierwsza wyprowadziła mnie z kłopotu, bo mi powiedziała, że się mną dzieli z panią Broniczową i że za jednym razem składam dwie wizyty. Zastałem tam panią Maszkową i pana Kopowskiego — i to jest jakiś pan, taki piękny, że powinien mieć na głowę takie pudełko z aksamitem w środku, jakich używają jubilerowie. Kto to jest pan Kopowski?

— Duren! — odpowiedział Połaniecki. — W tem się mieści imię, sposób utrzymania, zajęcie i znaki szczególne. Innego rysopisu nie potrzebuje nawet w paszporcie.

— Teraz rozumiem — rzekł Zawilowski — i niektóre słowa, jakie słyszałem, stały mi się jasne. Otóż ten pan pozował, a młode panie malowały go: pani Osnowska olejno wprost, a panna Castelli akwarelą z profilu. Obie były ubrane w perkalowe fartuszki na wierzchu sukien i obie były śliczne. Pani Osnowska widocznie dopiero zaczęła się uczyć, ale panna Castelli ma dużo wprawy.

— O czymżeście mówili?

Zawilowski zwrócił się do Maryni:

— Naprzód te panie pytały o zdrowie pani, ja zaś powiedziałem, że pani coraz lepiej wygląda.

Nie wspomniał jednak, że przy tej okazji zacerwienił się był jak student i że obecnie pocieszał się tylko myślą, że wszyscy tak byli zajęci malowaniem, iż nikt tego nie zauważył, w czym zresztą mylił się.

Zmieszał się nawet nieco teraz jeszcze i chcąc to pokryć, począł mówić dalej:

— Później, oczywiście, mówiliśmy o malowaniu i portretach. Ja zauważyłem, że panna Castelli ujęła nieco głowy panu Kopowskiemu, ona zaś odpowiedziała mi: „To nie ja, to natura!”

— To sprytna dziewczyna!

— I powiedziała to zupełnie głośno. Ja się zacząłem śmiać, wszyscy inni także, a ze wszystkimi i pan Kopowski. To musi być łatwy charakter. Oświadczył następnie, że jeśli dziś gorzej wygląda, niż zwykle, to dlatego, że się nie wyspał i że mu pilno w objęcia Orfeusza.

— Orfeusza?

— Tak. Pan Osnowski poprawił go bez ceremonii, ale on się nie zgodził na poprawkę, mówiąc, że przynajmniej z dziesięć razy był na Orfeuszu — i że pamięta dobrze. Te panie trochę się nim bawią, ale on taki ładny chłopiec, więc go radę malują. Jaka to jednak artystka ta panna Castelli! Jak mi zaczęła pokazywać pędzelkiem rozmaite płaszczyzny i linie na zaczętych portrecie pana Kopowskiego, to aż dostała kolorów: „co to za linia!” — „a jakie tu tony!” Muszę jej oddać sprawiedliwość, że wyglądała przytem jak muza. Mówiła mi, że przedewszystkiem lubi malować portrety, że o każdej twarzy myśli naprzód, jak o modelu, i że te głowy, w których jest coś niepospolitego, śnią się jej.

— Oho! będzie i pan naprzód się jej śnił, a potem pozował — jestem pewna! — odrzekła Marynia. — I to będzie dobrze.

Zawilowski zaś odpowiedział trochę niepewnym głosem:

— Powiedziała mi wprawdzie, że to jest podatek, który lubi ściągać od dobrych znajomych, sama jednak wprost nie zwróciła się do mnie z żądaniem — i, żeby nie pani Broniczowa, nie byłoby o tem mowy.

— Pani Broniczowa wyręczyła mężę? — rzekł Połaniecki.

Marynia zaś powtórzyła:

— Owszem, to będzie dobrze.

— Dlaczego, pani? — spytał Zawilowski.

I spojrzął na nią wzrokiem zarazem pokornym i niespokojnym. Myśl, że ona może chce umyślnie popchnąć go do innej, dlatego, iż odgadła, co dzieje się w jego sercu, pociągała go i zarazem przejmowała strachem.

— Bo — odpowiedziała Marynia — ja wprawdzie panny Linety prawie nie znam i sądzę tylko z pierwszych wrażeń i z tego, co o niej słyszę, ale mi się wydaje, że to niepospolita natura, i że jest coś głębokiego w jej sercu — więc dobrze, że się poznacie.

— Ja także sądzę z pierwszych wrażeń — odpowiedział uspokojony Zawilowski — i prawda, że mnie równie panna Castelli wydaje się mniej powierzchowną, niż pani Osnowska. Wogóle to są ładne i miłe kobiety — tylko — może ja nie umiem tego określić, bo nie znam dość świata, ale oto, wyszedwszy od nich, miałem takie uczucie, jakbym jechał w wagonie z ogromnie miłymi cudzoziemkami, które bawią się, rozmawiają bardzo sprytnie — ale nic więcej. Czuje się jednak w nich coś obcego. Pani Osnowska na przykład, to zupełnie jak storczyk. Kwiat, bardzo szczególny i ładny, ale jakiś obcy. Panna Castelli — także. Tak!... i w niej niema nic swojskiego. Z niemi nie ma się uczucia, że się wyrosło z jednego pola, na jednym dżdżu i pod jednym słońcem...

— Jaką ten poeta ma intuicję! — rzekł Połaniecki.

Zawilowski zaś ożywił się tak, iż na jego delikatnem czole zarysowały się wyraźniej żyły w kształcie Y. Czuł, że w jego przyganie dla tamtych pań jest zarazem pochwała dla Maryni, i to czyniło go wymownym.

— Przytem — mówił dalej — istnieje jakiś instynkt, który odgaduje prawdziwą życzliwość ludzką. Tam się tego nie odgaduje. One są miłe, uprzejme — ale to wygląda tylko na formę i dlatego myślę, że tam człowiek szczery, który łatwo łączy się do ludzi, mógłby doznać wielu zawodów. To taka przykra i upokarzająca rzecz brać towarzyszką plewę za ziarno! Co do mnie, to dlatego właśnie boję się ludzi; bo choć pan Połaniecki powiada, że ja mam intuicję, ale ja wiem doskonale, że w gruncie rzeczy jestem naiwny. A bolą mnie takie rzeczy ogromnie. Po prostu, nie znoszą tego moje nerwy. Pamiętam, że gdy, będąc jeszcze dzieckiem, zauważyłem, że ludzie są inni dla mnie przy rodzicach, a inni, gdy ich niema, była to jedna z większych przykrości mego dzieciństwa. Wydawało mi się to nikczemne i gryzło mnie tak, jakbym się sam czegoś nikczemnego dopuszczał.

— Bo pan ma pocziwą naturę — rzekła pani Bigielowa.

On zaś wyciągnął swoje długie ręce, któremi miał zwyczaj wymachiwać, gdy, zapomniawszy o swej nieśmiałości, mówił swobodnie, i zawołał:

— Ach, szczerść! to i w sztuce i w życiu — jedyna rzecz!

Lecz pani Połaniecka poczęła bronić tamtych pań. Ludzie, a zwłaszcza panowie, są często niesprawiedliwi i własne posądzenia, a nawet przypuszczenia, biorą za rzeczywistość. Co do pani Osnowskiej i panny Castelli, jak można je podejrzewać za drugim widzeniem? Są wesole, dobre, uprzejme, i z czegoż miałyby płynąć ta uprzejmość, jeśli nie ze szczerego serca.

Poczem, zwróciwszy się do Zawilowskiego, poczęła się z nim przekomarzać, trochę żartami, trochę naprawdę:

— A pan nie ma takiej pocziwej natury, jak mówi pani Bigielowa, bo te panie pana chwałą, a pan je obmawia!...

Lecz Połaniecki przerwał jej ze zwykłą sobie żywością:

— Ach, ty jesteś także naiwna i wszystkich mierzysz własną miarą. Wiedźże o tem, że zdawkowa dobroć i uprzejmość mogą płynąć także z egoizmu, który chce, żeby mu wesoło było i spokojnie.

Poczem rzekł do Zawilowskiego:

— Jeśli pan tak uwielbia szczerść — to ot! tu siedzi! — masz pan prawdziwy typ!

— Wiem! wiem! — rzekł z zapalem Zawilowski.

— A chciałbyś, żeby było inaczej? — pytała, śmiejąc się, Marynia.

— Nie; nie chciałbym, ale swoją drogą, jakie to naprzykład szczęście, że nie jesteś za mała i że nie potrzebujesz nosić korków, bo gdybyś je nosiła, miałybyś ustawiczne zapalenie sumienia, że oszukujesz ludzi.

A Marynia, widząc, że wzrok Zawilowskiego skierował się do jej stóp, pochowała je mimowolnie pod stół, i zmieniając przedmiot rozmowy, rzekła:

— A pański tom wyjdzie już podobno w tych dniach?

— Byłby już wyszedł — odpowiedział Zawilowski — ale dodałem jeden wiersz — i to wydanie opóźni.

— A można wiedzieć tytuł wiersza?

— Lilia.

— Czy nie Lilia-Lineta?

— Nie, pani. Nie Lilia-Lineta.

Twarz Maryni spoważniała. Łatwo jej było z odpowiedzi odgadnąć, że to jest wiersz do niej i o niej, więc nagle uczyniło się jej przykro, że to rozumie tylko ona sama a drugi Zawilowski i że skutkiem tego powstaje między nimi rodzaj tajemnicy, im tylko wiadomej. Zdawało jej się, że to jest czemś niezgodnym z tą jej szczerością, o której przed chwilą była mowa, i że jest jakimś grzechem względem „Stacha”. Po raz pierwszy dostrzegła, w jakie duchowe trudności może wpaść kobieta, choćby najbardziej zakochana w mężu i najniewinniejsza, jeśli tylko padnie na nią nieobojętny wzrok obcego mężczyzny. Bo jednak wtajemniczyć męża w swoje przypuszczenia wydało się jej niepodobieństwem. Po raz pierwszy zdjął ją pewien gniew na Zawilowskiego, ten zaś odczuł to natychmiast swymi nerwami artysty, tak jak barometr odczuwa zmiany pogody, jako zaś człowiek pozbawiony wszelkiego doświadczenia, wziął rzecz tragicznie. Wyobraził sobie, że Marynia zamknie mu drzwi, że go znienawidzi, że nie będzie mógł jej widywać — i cały świat przedstawił mu się od razu w żalobnych barwach. W jego artystycznej naturze istniała prawdziwa mieszanina egoizmu, fantazy i istotnej tkliwości, niemal kobiecej, która potrzebowała ciepła i kochania. Poznawszy panią Połaniecką, przylgnął do niej z prawdziwym egoizmem sybaryty, któremu takie uczucie jest miłe i który o niczym więcej nie myśli; następnie jego fantazyza wyniosła ją na poetyckie wyżyny i, spotęgowawszy stokrotnie rzeczywisty jej urok, uczyniła z niej nadziejską niemal istotę, a wreszcie wrodzona tkliwość, dla której osamotnienie i brak blizkiego serca były rzeczywistym bólem, wzruszyła się tak tą dobrocią, z jaką został przygarnięty, że z tego wszystkiego zrodziło się coś, mającego wszelkie pozory miłości. Brakło jednak temu uczuciu realnych podstaw. Zawilowski, jak zresztą większość artystów, obok zdolności do porywów tak idealnych, jak idealną jest sama dusza, miał zmysły satyra. Otóż zmysły te tym razem spały. Przybrał Marynię w tyle blasków, w tyle świętości, że nie pożądał jej. Gdyby, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, rzuciła mu się niespodzianie na szyję, przestałaby estetycznie dla niego być tem, czem była i czem ją chciał mieć, to jest istotą bez skazy. Tem bardziej też sądził, że na takie uczucie może sobie pozwolić i tem bardziej było mu teraz żal tego upojenia, które w tak wdzięczny sposób kołysało myśl i zapełniło mu pustkę życia. Tak mu było z tem dobrze, że, wróciwszy do siebie, widział jakąś postać kobiecą, do której nóg kładł duszę, że miał o kim marzyć i do kogo pisywać wiersze. Teraz zrozumiał, że jeśli pani Połaniecka domyśli się wyraźnie, co się w nim dzieje i jeśli on sam nie potrafi lepiej tego ukryć, niż dotąd, to stosunek ich nie będzie mógł się ostać i dawna pustka, tym razem jeszcze dotkliwsza, otoczy go znowu. Począł więc wysilać głowę, jakby temu zapobiedz i jakby nie tylko nie utracić nic z tego, co dotąd miał, ale widywać Marynię jeszcze częściej. W bujnej jego wyobraźni nie brakło sposobów, jakoż uczyniwszy ich pobieżny przegląd, znalazł i wybrał jeden, który, jak mu się zdawało, prowadził najprostszą drogą do celu.

— Zakochem się niby w pannie Castelli — rzekł sobie — a jej będę się zwierzał z moich udręczeń. To nas nie tylko nie oddali, ale zbliży. Uczynię z niej moją patronkę.

I natychmiast począł układać rzecz, tak, jakby układał sztukę. Wyobraził sobie, że się naprawdę kocha w tamtej „sennej królowie”, że jest nieszczęśliwy i że wyznaje swoją tajemnicę Maryni, która go słucha pochylona, z wilgotnymi z litości oczyma i, jak prawdziwa siostra, kładzie mu rękę na czoło. Ta gra fantazyi wydała mu się tak oczywistą, a wrażliwość jego była tak wielką, że komponował wyrażenia, jakimi będzie spowiadał się Maryni — wynajdywał proste a rozdzierające — i czynił to z takim przejęciem, że się niemal wzruszał zupełnie szczerze.

Marynia zaś, wracając z mężem do domu, rozmyślała o tym wierszu, zatytułowanym *Lilia*, który opóźnił wydanie książki. Jako prawdziwa kobieta, trochę go była ciekawa, a trochę się go bała. Bała się też wogóle trudności, jakie mogła zrodzić w stosunku z Zawilowskim przyszłość.

I pod wpływem tych obaw rzekła:

— Wiesz, o czem ja myślę? że taka Lineta, to byłby jednak wielki los dla Zawilowskiego.

— Powiedz mi — odpowiedział Połaniecki — co wam strzeliło do głowy z tym Zawilowskim i z tamtą włoską gidyą?

— Ja, mój Stachu, przecie nie swatam, tylko mówię, że nie byłoby to źle. Anettec Osnowskiej trochę się pali w głowie, to prawda, ale ona taka żywa, jak iskra.

— Narwana, nie żywa, ale wierz mi, że nie taka naiwna, jak się wydaje, i we wszystkim ma swój osobisty planik. Czasem myślę, że ją panna Castelli tyle obchodzi, ile mnie, i że na dnie tego wszystkiego jest coś innego.

— Cóżby mogło być?

— Nie wiem, a nie wiem może dlatego, że i to mnie mało obchodzi. Wogóle nie mam zaufania do tych kobiet.

Dalszą rozmowę przerwał im Maszko, który zajeżdżał właśnie dorożką przed ich dom, i ujrawszy ich, pośpieszył powitać Marynię, następnie rzekł do Połanieckiego:

— Dobrze, żeśmy się spotkali, bo jutro wyjeżdżam na parę dni, a że dziś termin, więc przynoszę ci pieniądze.

Poczem zwrócił się do Maryni:

— Byłem właśnie u ojca pani. Pan Pławicki doskonale wygląda, ale mówił mi, że tęskni za wsią i za gospodarstwem, dlatego namyśla się, czy nie kupić jakiego mająteczku pod miastem. Powiedziałem mu, że jeśli wygramy sprawę, to może się utrzymać przy Płoszowie.

Maryni nie w smak była ta rozmowa, w której przebijała zresztą lekka ironia, więc nie chciała jej podtrzymywać. Po chwili też Połaniecki zabrał Maszkę do swego gabinetu.

— Wszystko więc dobrze idzie? — rzekł.

— Oto jest rata — odpowiedział Maszko — jaka przypada od twojej sumy. Bądź łaskaw pokwitować.

Połaniecki siadł do biurka i napisał pokwitowanie Maszko zaś rzekł:

— A teraz inna sprawa. Sprzedałem ci niegdyś dąbrowę na Krzemieniu, z warunkiem, że będę mógł ją odkupić, zwróciwszy cenę i umówiony procent. Oto cena i umówiony procent. Spodziewam się, że nie masz nic do nadmienienia, ja zaś mogę ci tylko podziękować, boś mi oddał wówczas rzeczywistą usługę i — jeśli kiedyś będziesz potrzebował czegoś odemnie — proszę cię — bez żadnej ceremonii! — proszę do mnie jak w dym — usługa za usługę! Wiesz, że lubię być wdzięczny!

— Ta mała poczyła mnie protegować! — pomyślał Połaniecki.

I gdyby nie był u siebie, może wypowiedziałby głośno tę cichą uwagę, lecz się pohamował i rzekł:

— Nic nie mam do nadmienienia, ponieważ taki był kontrakt. Nie traktowałem też tego nigdy jako interesu.

— Tem bardziej umiem to cenić — odpowiedział łaskawie Maszko.

— A wogóle, co u ciebie słychać? — spytał Połaniecki. — Widzę, że płyniesz wszystkim żaglami. Jak sprawa?

— Ze strony instytucji dobroczynnych występuje jakiś młody adwokacina, nazwiskiem Śledź. Piękne nazwisko, prawda? Gdybym kota tak nazwał, toby trzy dni miauczał. Ale ja tego śledzia opieprzę i zjem. Pytasz, jak sprawa? Sprawa stoi tak, że po jej ukończeniu będę się mógł prawdopodobnie wycofać z adwokatury, która zresztą nie jest zajęciem odpowiednim dla mnie — i osiąść stale w Krzemieniu.

— Z gotówką w kieszeni?

— Z gotówką w kieszeni — i to z grubą! Mam dosyć adwokatury. Ostatecznie kto wyszedł z ziemi, tego do ziemi ciągnie. To się dziedziczy razem ze krwią. Ale na teraz dość o tem. Jutro, jak ci powiedziałem, wyjeżdżam i polecam wam moją panią, tembardziej, że pani Krasławska pojechała w tej chwili do okulisty do Wiednia. Wybieram się jeszcze do Osnowskich prosić, żeby również o niej pamiętali.

— Chętnie, owszem! — odpowiedział Połaniecki.

Potem przyszła mu na pamięć rozmowa z Marynią, więc spytał:

— Ty dawno znasz Osnowskich?

— Dość dawno. Chociaż żona moja zna ich jeszcze lepiej. On grubo bogaty człowiek; miał jedynaczkę siostrę, która umarła, i skąpca stryja, po którym wziął ogromną fortunę. Co do niej — cóż ci powiedzieć? — czytywała jeszcze jako panna co jej w rękę wpadło, miała pretensje do rozumu, do artyzmu — słowem do wszystkiego, do czego można mieć pretensje, a swoją drogą kochała się w Kopowskim — ot, masz ją całą.

— A pani Broniczowa i panna Castelli?

— Panna Castelli podoba się lepiej kobietom, niż mężczyznom, zresztą nic o niej nie wiem, prócz tego, co mówiono, że tenże Kopowski starał się, czy stara o nią, a pani Broniczowa...

Tu Maszko począł się śmiać:

— Panią Broniczową khedyw wprowadzał osobiście na piramidę Cheopsa, nieboszczyk Alfons hiszpański mówił jej codziennie w Cannes: „Bonjour, madame la comtesse!” Musset pisywał jej w 56 roku wiersze w albumie, a Moltke przesiadywał u niej na kufierku w Karlsbadzie — słowem: przez imaginację jeździła na wszelkie koronacje. Teraz, od czasu gdy panna Castelli dorosła, a raczej wybujała na pięć stóp i coś tam cali, ciocia „Słodyczka” odbywa te imaginacyjne podróże, już nie na własny rachunek, ale siostrzenicy, w czym jej od pewnego czasu pomaga pani Osnowska tak gorliwie, że aż trudno zrozumieć, jaki ma w tym cel. Oto wszystko, chyba, że chcesz wiadomości o nieboszczyku panu Broniczu, który umarł sześć lat temu, nie wiadomo na jaką chorobę, bo pani Broniczowa za każdym razem wynajduje inną, dodając prócz tego, że był to ostatni z Rurykowiczów, nie dodając zaś, że przedostatni, to jest jego ojciec, był w swoim czasie rządcą u Rdultowskich, i że na nich dorobił się fortuny. No, skończyłem... Vanity’s fair!... Bądź mi teraz zdrów, trzymaj mi się dobrze, i w razie potrzeby licz na mnie. Gdybym był pewien, że taka potrzeba prędko zajdzie, zmusiłbym cię do przyrzeczenia, że się do nikogo innego nie udasz, tylko do mnie. Do widzenia!

To rzekłszy, Maszko uściśnął rękę Połanieckiego z nieopisaną łaskawością — i wyszedł, Połaniecki zaś, wzruszywszy ramionami, rzekł:

— Dobrze, że mnie nie poklepał po ramieniu!... Vanity’s fair! vanity’s fair! Taki niby sprytny człowiek, a nie widzi takiej samej próżności w sobie, jaką wyśmiewa w innych. Jaki on był inny tak jeszcze niedawno! Omal nie przestał udawać, ale jak bieda przeszła, dyabeł wziął górę.

Tu przypomniało mu się, co Waskowski mówił niegdyś o próżności, o komedyjanczynie, poczem pomyślał:

— A jednak takim ludziom u nas się powodzi!

XXIV

Pani Osnowska zapomniała tak zupełnie o swoich „floreńsko-rzymskich” wieczorach, że była zdziwiona, gdy jej je kiedyś mąż przypomniał. Jakies wieczory! ani jej w głowie! Ona ma teraz inne zajęcie, które się nazywa „oswajaniem orła.” „Jeśli kto nie widzi, że *orzeł* i Lineta dla siebie stworzeni, to z przeproszeniem męża i pana, ma bardzo krótki wzrok, ale na to niema rady. Mężczyźni wogóle wielu rzeczy nie rozumieją, bo im brak poczuć! Zawilowski może być pod tym względem wyjątkiem, ale gdyby Marynia Połaniecka powiedziała mu po przyjaźni, żeby się staranniej ubierał i zapuścił brodę, toby było doskonale! Castella taka nawskróś estetyczna, że ją byle co razi, choć z drugiej strony on ją porywa — mało powiedzieć! — wprost hipnotyzuje!... I przy jej naturze — niema w tem nic dziwnego!”

Pan Osnowski, słuchając takiego szczebiotania, rozplywał się z zachwytem i korzystając ze sposobności, starał się opanować rękę żony, by je pokrywać pocałunkami aż do łokci; raz jednak zadał jej to zupełnie naturalne pytanie, które i Połaniecki zadał Maryni:

— Powiedz mi, co ci na tem zależy?

A pani Aneta odrzekła z kokieterią:

— La reine s’amuse! To nie sztuka pisać książki. Byle trochę talentu — to i dosyć; ale przeprowadzić w życiu to, o czym mówią książki, daleko większa sztuka, a przytem, co za zabawa!...

Po chwili zaś dodała:

— Może też i mam jakiś osobisty cel, a jeśli mam, to niech się go Józio domyśli.

— Powiem do ucha — odpowiedział Osnowski.

Ona zaś nadstawiła ucho z figlarną miną, mrugając przytem z ciekawości swemi fiołkowemi oczyma.

Lecz Osnowski po to tylko zbliżył usta do jej ucha, by je ucałować, za całą zaś tajemnicę powtórzył jedynie:

— La reine s’amuse!

I była w tem słuszność. Pani Osnowska mogła mieć swoje osobiste cele w zbliżaniu Zawilowskiego do „Castelki,” a swoją drogą to wytwarzanie romansu w życiu i rola małej Opatrzności zajmowały ją i bawiły ogromnie.

W tych opatrznościowych zamiarach wpadała też często i do Maryni Połanieckiej, by się czegoś o „orle” dowiedzieć, i najczęściej wracała z dobrą otuchą, Zawilowski bowiem, chcąc uśpić podejrzenia Maryni, coraz więcej mówił z nią o pannie Linecie. Dyplomacya jego okazała się tak skuteczną, że gdy raz pani Osnowska zapytała wprost Marynię, czy się Zawilowski w niej nie kocha, ta odpowiedziała, śmiejąc się:

— Musimy się z tem pogodzić, moja Anetko, ale ani we mnie, ani w tobie. Jabłko zostało przyznane Linecie, a nam nie pozostaje nic, jak albo płakać, albo się pocieszyć.

Z drugiej strony panna Castelli żyła w ustawicznym wmawianiu i poddawaniu tak uczuć, jak myśli, których sama miłość własna nakazywała jej się nie zapierać. Od rana do wieczora słyszała, że ten „orzeł” o szerokich skrzydłach kocha się w niej, że jest u jej nóg i że taka wybrana, taka wyjątkowa istota, jak ona, nie może być na to nieczułą. Zbyt jej to pochlebiało, by mogła być nieczułą. Malując Kopowskiego, podziwiała wprawdzie zawsze „przepyszne płaszczyzny” na jego twarzy — i lubiła go, bo jej dostarczał pola do rozmaitych *powiedzeń*, które powtarzano potem jako dowód sprytu i dowcipu; lubiła go z różnych powodów, ale wszakże i Zawilowski nie był brzydkim chłopcem, choć nie nosił brody i nie ubierał się dość starannie. A przytem tyle mówiono o jego skrzydłach i o tem, że taka dusza, jak jej, powinna go zrozumieć. Mówili to wszyscy, nietylko Anetka! Pani Broniczowa, która nie rozumiała niegdyś, jak się mógł ktoś w niej nie kochać, przeniosła później tę nieszczęśliwą pewność siebie na siostrzenicę — i tem samem przyłączyła się do zdania pani Osnowskiej, haftując przytem kanwę rzeczywistości kwiatami własnego pomysłu. Wreszcie i pan Osnowski zapisał się do chóru. Z miłości dla żony, kochał on „Castelkę”, panią Broniczową i gotów był kochać wszystko, co miało dalszy lub bliższy związek z „Anetką,” więc wziął sprawę do serca. Zawilowski był mu sympatyczny; wiadomości zaś, jakie o nim zebrał, brzmiały pomyślnie. Dowiedział się wogóle o nim tylko tyle, że był odludek, ambitny i uparty we wszystkim, co zamierzy... a oprócz tego skryty i bardzo zdolny; gdy zaś paniom przypadło to wszystko do smaku, jął pan Osnowski zupełnie poważnie rozmyślać: „Czyby to nie było dobrze?” Zachowanie się Zawilowskiego usprawiedliwiała poniekąd poważny pogląd na rzeczy, począł bowiem od niejakięgo czasu częściej nawiedzać „wspólny salon” i więcej rozmawiać z panną Linetą. Czynił wprawdzie to pierwsze zawsze na uprzejme zaproszenia pani Osnowskiej, ale drugie płynęło z jego tylko woli. Pani Aneta zauważyła też, że wzrok jego zatrzymuje się coraz uważniej na złotawych włosach i sennych powiekach Castelki, a oczy jego odprowadzają ją, gdy przechodzi przez salon. On zaś rzeczywiście począł jej się przypatrywać, trochę przez dyplomacyę, a trochę przez ciekawość.

Rzecz jednak stała się o wiele więcej poważną, gdy wyszedł pierwszy tom jego poezyi. Wiersze już poprzednio zwracały na siebie uwagę i mówiono o nich dużo, wszelako wrażenie rozdrabniało się przez to, że wychodziły w znacznych odstępach czasu i w rozproszeniu. Teraz książka uderzyła ludzi w oczy. Był w niej blask, siła i szczerść. Język miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego giął się posłusznie i przybierał wszelkie najsubtelniejsze kształty. Wrażenie rosło. Wkrótce pochwalny pomruk zmienił się w pełen podziwu gwar. Ze zwykłą w takich razach przesadą, wynoszono teraz dzieło nad wartość, a w młodym pocięto przewidywać przyszłego spadkobiercę wielkiej sławy i wielkich buław. Nazwisko jego przeszło z redakcyjnych gabinetów do publiczności. Poczęto o nim mówić wszędzie, zajmować się nim i szukać go, ciekawość zaś stała się tem większa, że osobiście był mało znany. Stary, bogaty pan Zawilowski, ojciec panny Heleny, który miał zwyczaj mawiać, że istnieją może dwie największe plagi na świecie, to jest podagra i ubodzy krewni, powtarzał teraz każdemu, kto go spytał: „Mais oui, mais oui — c’est mon cousin!” — i takie oświadczenie miało również swą towarzyską wagę dla wielu osób, a między innymi pierwszorzędną dla pani Broniczowej. Pani Osnowska wraz z panną Castelli przestały cierpieć nawet z powodu mało „gustownej” szpilki w krawacie Zawilowskiego, bo teraz wszystko w nim mogło już uchodzić za oryginalność. Bolało je jeszcze skrycie, że mu było na imię Ignacy. Woląłyby, żeby miał inne, jakoś bardziej odpowiednie do sławy i poezyi; gdy jednakże pan Osnowski który z Metz wyniósł trochę

łaciny, wytłómaczył im, że to znaczy „Ognisty,” oświadczyły, że jeśli tak, to co innego — i pogodziły się z Ignacym.

Szczerza i wielka radość panowała z powodu rozgłosu książki u Bigielów, u Połanieckich i w biurze. W biurze nie było ludzi zazdrosnych. Stary kasyer, Wałkowski, agent Abdulski i drugi buchhalter, Późniakowski, dumni byli z kolegi, jakby jego sława opromieniała również i Dom. Wałkowski mówił nawet: „Ależ zadaliśmy ludziom szyku!” Bigiel rozważał przez dwa dni, czy Zawilowski może wobec tego wszystkiego poprzestać na skromnej posiadzie w Domu handlowym pod firmą „Połaniecki i Bigiel,” ale Zawilowski, zapytany przez niego, odpowiedział:

— A to dobre! panie drogi! To za to, że trochę ludzie gadają, chcecie mnie pozbawić kawałka chleba i najmilszego w świecie koleżeństwa. Nakładcy nie znalazłem i żebym nie był waszym buchalterem, nie mógłbym być książki wydać.

Na taki argument nie było co odpowiedzieć — i Zawilowski został w biurze. Bywał tylko coraz częściej gościem w domu i u Bigielów i u Połanieckich. U Osnowskich nie pokazał się po wyjściu książki cały tydzień, jak gdyby coś zbroił. Ale pani Bigielowa i Marynia namawiały go, żeby poszedł, on zaś miał skrytą ochotę, więc któregoś dnia wybrał się tam na wieczór.

Zastał jednak panie w chwili wyjazdu do teatru. Chciały koniecznie zostać, ale nie zgodził się i w końcu stanęło na tem, co i pani Anecie i pannie Castelli sprawiło widoczną radość, mianowicie, że pojedzie razem z niemi. Tak się też stało: „Józio, jeśli zechce, weźmie sobie bilet do krzesel.” I Józio wziął bilet do krzesel. W czasie przedstawienia Zawilowski siedział na przodzie łoży, razem z panną Linetą, bo pani Osnowska uparła się, że razem z panią Broniczową będzie im „matkowała.” — „Wy sobie rozmawiajcie o czem chcecie, a jeśli kto przyjdzie, to już ja go tak zaterkoczę, że nie będzie wam mógł przeszkodzić.” Oczy ludzkie zwracały się często na tę łożę, gdy się dowiedziano, kto w niej siedzi. I panna Castelli czuła, że otacza ją jakby światło; czuła, że ludzie nietylko na niego patrzą, ale zarazem pytają się: kto jest ta głowa o złotawych włosach i sennych powiekach, do której on się pochyla i mówi? Sama zaś, spoglądając chwilami na niego, mówiła sobie, że gdyby nie ta zanadto wystająca broda, toby był zupełnie ładny, bardzo delikatny profil, i że tę brodę mógłby przykryć zarost... Pani Osnowska ze swojej strony dzielnie wywiązywała się z obietnicy, i gdy nadszedł Kopowski, zaterkotała go tak, że zaledwie miał czas przywitać się z panną Castelli i rzec do Zawilowskiego:

— A pan, to pisuje wiersze.

Po dokonaniu zaś tego szczęśliwego odkrycia, zdołał jeszcze dodać, ale raczej pod postacią monologu:

— Jabym ogromnie lubił wiersze, ale dziwna rzecz, jak tylko czytam wiersze, to zaraz myślę o czem innym.

Panna Castelli, odwróciwszy ku niemu twarz, rzuciła mu długie spojrzenie — i niewiadomo, co przeważało w tem spojrzeniu: złośliwość kobiety, czy nagły podziw artystki — albowiem ta pozbawiona mózgu głowa, wychylająca się z głębi łoży, wyglądała jednak na czerwonym tle ścian, jak jakiś mistrzowski pomysł malarski.

Po przedstawieniu pani Osnowska nie chciała puścić Zawilowskiego — i pojechali razem na herbatę. Zaledwie jednak stanęli w domu, pani Broniczowa poczęła mu robić wyrzuty:

— Pan jest niegodziwy człowiek, i jeśli Linetce się co stanie, to będzie na pańskim sumieniu. Dziecko mi nie je, nie śpi, tylko czyta pana i czyta...

Pani Osnowska zaś natychmiast dodała:

— Tak! Mam i ja się o co skarżyć: zagrabiła pańską książkę i nie chce nikomu ani na chwilę jej dać, a jak się gniewamy, to, wie pan, co odpowiada? — „To moje! to moje!”

A panna Castelli, jakkolwiek nie miała w tej chwili w ręku książki, przycisnęła je do piersi, jakby chcąc czegoś bronić, i odrzekła cichym, miękkim głosem:

— Bo to moje! moje!...

Zawilowski spojrzał na nią i uczuł, że coś w nim jakby zadrżało.

Ale wracając późno, przechodził koło okien Połanieckich, w których się jeszcze świeciło. Po przedstawieniu i rozmowie u Osnowskich czuł jakiś zawrót głowy. Teraz widok tych okien oprzytomnił go. Doznał nagle takiego błogiego wrażenia, jakiego się doznaje, gdy się myśli o czemś bardzo dobrem i bardzo drogiem. Ogromnie czyste uwielbienie

dla Maryni ozwało się w nim z dawną siłą. Ogarnęła go taka łagodna egzaltacja, w której zmysły usypiają, a człowiek staje się niemal wyłącznie duszą — i wrócił do domu, szepcząc ustępy z wiersza „Lilia”, najbardziej egzaltowanego, jaki kiedykolwiek w życiu napisał.

A u Połanieckich świeciło się jeszcze dlatego, że zaszło coś, co Maryni wydało się owem wyglądanem miłosierdziem bożem.

Wieczorem, po herbacie, siedziała, łamiąc jak zwykle głowę nad dziennymi rachunkami, gdy nagle złożyła ołówek. Po chwili przybladła — ale zarazem twarz jej stała się jasna — i trochę zmienionym głosem rzekła:

— Stachu!...

Jego zdziwił trochę jej głos, więc zbliżył się i spytał:

— Co tobie jest? Trochęś blada.

— Chodź bliżej, mam ci coś powiedzieć.

I objąwszy rękoma jego głowę, poczęła mu coś szeptać do ucha — a on słuchał, następnie zaś, pocałowawszy ją w czoło, rzekł:

— Tylko się nie wzruszaj, bo sobie możesz zaszkodzić...

Ale i w jego słowach czuć było pewne wzruszenie... Przez czas jakiś chodził po pokoju — przypatrując się żonie — w końcu pocałował ją znów w czoło:

— Ludzie zwykle sobie życzą pierwszego syna — rzekł — ale ty mi pamiętaj, żeby była córka. Damy jej na imię Litka.

Oboje nie mogli jednak długo usnąć tej nocy — i oto dlaczego Zawilowski widział światło w ich oknach.

TOM III

I

Po tygodniu, gdy prawdopodobieństwo stało się pewnością, Połaniecki zwiastował nowinę Bigielom. Pani Bigielowa poleciała jeszcze tegoż dnia do Maryni, która rozplakała się z radości w jej pocziwych ramionach.

— Zdaje mi się — rzekła — że mnie teraz i Stach będzie więcej kochał?

— Jakto więcej? — spytała pani Bigielowa.

— Chciałam powiedzieć jeszcze więcej! — odrzekła Marynia. — A zresztą, widzisz, mnie nigdy nie dosyć!

— Miałby ze mną do czynienia, gdyby było nie dosyć!

Tymczasem lzy oschły na słodkiej twarzy pani Połanieckiej — i pozostał tylko uśmiech.

Po chwili złożyła ręce jak do pacierza i rzekła:

— Ach, Boże, żeby tylko była córka, bo Stach sobie życzy córki!

— A ty cobyś wołała?

— Jabym... tylko nie mów tego Stachowi... jabym wołała chłopca, ale niech będzie córka!

Następnie zamyśliła się i spytała:

— Na to jednak niema rady, prawda?

— Nie! — odpowiedziała, śmiejąc się, pani Bigielowa. — Na to jeszcze nie wynaleźli sposobu.

Bigiel zaś ze swojej strony opowiadał nowinę każdemu, kogo napotkał, w biurze zaś rzekł przy Połanieckim, z pewnem namaszczeniem w głosie:

— No, moi panowie, zdaje się, że Dom się powiększy o jednego współnika.

Urzędnicy zwrócili na niego pytające spojrzenia, on zaś dodał:

— Dzięki panu Połanieckiemu — i pani Połanieckiej.

Wówczas wszyscy rzucili się do Połanieckiego z życzeniami, z wyjątkiem Zawilowskiego, który, pochyliwszy się nad biurkiem, począł pilnie przeglądać kolumny cyfr — i dopiero po chwili, czując, że jego zachowanie się może zwrócić uwagę, odwrócił się ze zmienioną twarzą ku Połanieckiemu i uściskawszy mu rękę, począł powtarzać:

— Winszuję, winszuję...

Poczem wydało mu się, że jest komiczny, że coś zapadło mu się na głowę, że mu jest czczo i bezbrzeżnie głupio i że cały świat jest bajecznie płaski. Najgorszem było jednak uczucie własnej komiczności; bo przecie rzecz była tak naturalna i łatwa do przewidzenia, że byłby ją zdolny przewidzieć nawet taki Kopowski. Tymczasem on, człowiek inteligentny, pisujący wiersze, przyjmowane z zapalem, uświadamiający wszystko, co się wokół dzieje, zapędził się w takie złudzenia, iż mu się teraz zdawało, że w niego piorun trzasł. Co za upokarzająca śmieszność! Ale on poznał Marynię, jako panią Połaniecką, i mimowolnie wyobraził sobie, że ona zawsze była panią Połaniecką, że będzie nią na przyszłość, jak jest w terażniejszości, i wprost nie przyszło mu do głowy, że mogły nadejść jakieś zmiany. I oto, zobaczywszy kiedyś liliowe tony na jej twarzy, nazwał ją sobie Lilią i pisywał do niej liliowe wiersze. A teraz ten utrapiony zmysł, który do każdej przykrości dorzuca jeszcze drwiny, szeptał mu do ucha: „A dobra lilia!...” I Zawilowski czuł się coraz bardziej zgnieciony i coraz bardziej śmieszny. On pisał wiersze, a Połaniecki ich nie pisał. W tem zestawieniu była zarazem i gryząca gorycz i coś błazeńskiego; Zawilowski zaś pił z tego kielicha pełnemi ustami, umyślnie tak, by nie uronić jednej kropli. Gdyby jego uczucia były się wydały, gdyby je był wyznał Maryni, gdyby go odepchnęła była z największą pogardą, a Połaniecki zrzucił ze schodów — byłoby jeszcze w tem coś zakrawającego na dramat. Ale takie zakończenie! — „takie płaskie!...” Miał on naturę odczuwającą wszystko dziesięć razy silniej, niż zwykle natury ludzkie, więc położenie wydało mu się wprost nie do wytrzymania, a te godziny biurowe, które musiał jeszcze przesiedzieć — męką. Uczucie jego dla Maryni nie tkwiło głęboko w sercu, ale zajęło całkowicie jego wyobraźnię, teraz zaś rzeczywistość uderzyła go nielitościwie dłonią po głowie, uderzenie zaś wydało mu się nie tylko bolesne i grubijańskie, ale zarazem szydercze. Przychodziła mu do głowy desperacka myśl: wziąć kapelusz, wyjść i nie wrócić

więcej. Na szczęście, nadeszła zwykła godzina zakończenia pracy — i wszyscy zaczęli się rozchodzić.

Zawiłowski, idąc przez korytarz, w którym przy wieszadłach było lustro, i ujrawszy swą długą postać i wystającą brodę, powiedział sobie: „Tak wygląda błazen!” Tegoż dnia nie poszedł, jak zwykle, na obiad z drugim buchhalterem, Poźniakowskim. Radby był uciec nawet sam przed sobą. Tymczasem zamknął się w domu i z przesadą prawdziwego artysty potęgował do niemożliwych granic swoje nieszczęście i swoją śmieszność. Po kilku dniach jednak uspokoił się, czuł tylko jakąś dziwną pustkę w sercu, tak zupełnie, jakby ono było mieszkaniem, z którego się ktoś wyprowadził. U Połanieckich nie pokazał się przez dwa tygodnie, ale po upływie tego czasu zobaczył Marynię na letnim mieszkaniu u Bigielów i zdumiał się.

Wydała mu się prawie brzydka. Nie było to zupełnie jego uprzedzenie, albowiem, jakkolwiek w postaci jej trudno było jeszcze dopatrzeć różnicy, zmieniła się jednak mocno. Usta miała nabrzmiałe, wyrzuty na czole i straciła świeżość cery. Była przytem spokojna, ale nieco smutna, tak jakby spotkał ją jaki zawód. Zawiłowskiego, który w istocie rzeczy miał dobre serce, wzruszyła ta jej brzydota. Poprzednio zdawało mu się, że nią pogardza. Teraz wydało mu się to głupie.

Zresztą zmieniła się tylko jej twarz, nie dobroć, ani życzliwość. Owszem, czując się teraz zabezpieczoną od zbytniego z jego strony zachwyty, okazywała mu więcej serdeczności, niż dawniej. Wypytywała go z wielkiem zajęciem o pannę Castelli, i gdy spostrzegła, że jest to przedmiot, o którym i on chętnie już rozmawia, poczęła się uśmiechać dawnym, pełnym niewypowiedzianej słodczy uśmiechem, i rzekła prawie wesoło:

— Dobrze, dobrze! Tam się dziwią, że pan znów dawno nie był — i wie pan, co mi mówiła i Anetka i pani Broniczowa? Mówiły mi...

Ale tu przerwała i po chwili:

— Nie — tego nie mogę głośno powiedzieć. Pójdziemy trochę do ogrodu...

I podniosła się, ale niedość uważnie, tak, że potknąwszy się na pierwszym kroku, omal nie upadła.

— Uważaj! — zawołał z niecierpliwością Połaniecki.

A ona poczęła spoglądać na niego prawie ze strachem i pokorą — i zaczerwieniwszy się, odrzekła:

— Stachu, to niechcący, jak ciebie kocham!...

— Pan także niech jej nie przestrasza! — rzekła z żywością pani Bigielowa.

Było bowiem tak widocznem, że Połanieckiemu chodziło w tej chwili więcej o przyszłe dziecko, niż o Marynię, że nawet Zawiłowski to zrozumiał.

Co do Maryni, było jej to wiadome nie od dzisiejszego dnia. Przeszła z tego powodu przez całą walkę duchową z sobą, o której na razie nie mówiła nikomu, a walka ta była tem trudniejsza, im bardziej stan jej zdrowia wyradzał rozdrażnienie, niepokój i skłonność do posępnych myśli. Przeszła przez ciężkie chwile, zanim powiedziała sobie, że tak musi być, jak jest.

Połaniecki byłby wprost zdumiony, gdyby mu ktoś powiedział, że nie kocha, a zwłaszcza, że nie ocenia żony tak, jak powinien. Kochał ją po swojemu, a zarazem sądził, że jeśli kiedy, to teraz, im obojgu powinno przedewszystkiem chodzić o dziecko. Będąc z natury żywym i porywczym, posuwał chwilami tę troskliwość za daleko, ale nie poczytywał sobie tego za grzech. Nad tem, co się może dzieć w duszy Maryni, nawet się nie zastanawiał. Zdawało mu się, że między innymi jej obowiązkami jednym z pierwszych jest obowiązek dostarczenia mu dzieci, że zatem prostą jest rzeczą, iż go spełnia. Był jej za to wdzięczny i wyobrażał sobie, że będąc troskliwym o dziecko, jest tem samem troskliwy i o nią, i tak troskliwy, jak mało który mąż. Gdyby był uznał za stosowne wezwać się do obrachunku co do postępowania z żoną, uważałby również, że jest rzeczą zupełnie naturalną, iż jej urok czysto kobiecy pociąga go teraz mniej, niż przedtem. Z każdym dniem stawała się brzydsza i chwilami raziła jego zmysł estetyczny, on zaś mniemał, że, ukrywając to przed nią i starając się jej okazać współczucie, jest tak delikatnym, jak tylko mężczyzna dla kobiety być może.

Ona zaś miała wrażenie, że ta nadzieja, na którą najbardziej liczyła, zawiodła ją; czuła, że schodzi na drugi plan, że będzie schodziła coraz bardziej. I mimo całego uczucia dla męża, mimo skarbów tkliwości, które już zbierały się w niej dla przyszłego dziecka,

w pierwszej chwili ogarnął jej duszę bunt i żal. Ale trwało to niedługo. Poczęła z tem walczyć i zmgła się. Powiedziała sobie, że tu niema niczyjej winy, że takie jest życie i że to wypada z naturalnego porządku rzeczy, który znów jest wynikiem woli bożej. Potem zaczęła sama siebie oskarżać o egoizm i kruszyć się pod ciężarem tej myśli. Czy ona ma prawo myśleć o sobie, nie o Stachu i nie o przyszłym dziecku? Co może Stachowi zarzucić? Co w tem dziwnego, że on, który nawet cudze dzieci tak kochał, ma duszę zajętą teraz przedewszystkiem swoim, że mu serce naprzód do niego bije? Czy niema w tem obrazy boskiej, że ona pozwala sobie dochodzić przedewszystkiem jakichś swoich praw, jakiegoś swego szczęścia, ona, która tyle zawiniła? Kto ona jest i co ma za prawo do jakiegoś wyjątkowego losu? I gotowa była bić się w piersi. Bunt przeszedł; zostało tylko gdzieś, na samem dnie serca, trochę żalu, że życie takie dziwne, i że każde nowe uczucie, zamiast potęgować dawniejsze, odsuwa je w głąb... Ale gdy ten żal cisnął się jej z serca do oczu pod postacią łez, lub poczynał drżeć na ustach, już mu nie pozwalała i na takie ujęcie: „Cicho mi zaraz!” — mówiła sobie w duszy — „tak jest, tak będzie i tak trzeba, bo takie jest życie i taka wola boska, z którą musisz się zgodzić.” I wreszcie zgodziła się.

Powoli odzyskała nawet spokój, nie zdając sobie sprawy, że podkładem jego jest rezygnacja i smutek. Był to zresztą smutek, który się uśmiecha. Jako młodej kobietce, było jej także chwilami przykro, gdy w oczach męża, lub nawet kogoś obcego, wyczytywała nagle wyrażnie: „Ach, jakieś ty zbrzydła!” Ale że pani Bigielowa zapewniła ją, że „potem” będzie jeszcze ładniejsza, więc odpowiadała im w duszy: „Poczekajcie!” — i to była jej pociecha.

Odpowiedziała też coś podobnego i Zawilowskiemu. Była zarazem rada i nierada z wrażenia, jakie na nim uczyniła, gdyż jeśli z jednej strony cierpiała na tem trochę jej miłość własna, z drugiej czuła się zupełnie zabezpieczona i mogła z nim swobodnie rozmawiać. Chciała zaś pomówić i to zupełnie poważnie, albowiem przed kilkoma dniami pani Aneta Osnowska powiedziała jej wprost, że „Kolumienka” po uszy zakochana, i że Zawilowski ma wszelkie przed sobą widoki.

Ją zaś zaniepokoiło cokolwiek to kucie żelaza na gorąco. Nie umiała sobie zdać sprawy, dlaczego tak jest, nawet biorąc w rachubę wrodzoną porywczosć pani Anety. Dla Zawilowskiego, który stał się niejako Benjaminem obu domów, miała, również jak Bigielowie i Polaniecki, ogromnie wiele przyjaźni — a prócz tego była mu wdzięczna, bądźco bądź bowiem poznał się na niej. Owóż radaby była mu dopomóc w tem, co zdawało się być dla niego wielkim losem, ale jednocześnie przychodziło jej na myśl: „A nuż to będzie dla niego źle?” Złękła się trochę i odpowiedzialności i swojej własnej poprzedniej polityki. Teraz więc chciała naprzód dowiedzieć się, co też on naprawdę myśli, powtórę dać mu do zrozumienia, jak rzeczy stoją, a nakoniec poradzić mu, by w danym razie sam dobrze patrzył i rozważał.

— Tam się już dziwią, że pan dawno nie był — powtórzyła, gdy wyszli do ogrodu.

Zawilowski zaś spytał:

— Co pani mówiła pani Osnowska?

— Powiem panu tylko jedno, choć nie wiem, czy powinnam to powtarzać. Pani Osnowska mówiła mi, że... Ale nie! Naprzód muszę wiedzieć, czemu pan tak dawno u nich nie był?

— Byłem niezdrów i miałem zmartwienie. Nie bywałem nigdzie. Nie mogłem! Pani sobie przerwała...

— Tak, bo chciałam wiedzieć, czy się pan naprawdę nie pogniewał o co na te panie. Otóż pani Osnowska mówiła mi, że Lineta przypuszcza, że tak jest, i że kilka razy widziała z tego powodu łzy w jej oczach.

Zawilowski zaczerwienił się, poczem na jego młodej wrażliwej twarzy odbiło się prawdziwe rozczulenie.

— Ach Boże! — odpowiedział — jaby mi się miał gniewać, i jeszcze na taką pannę Linetę! Czy ona może kogo obrazić?

— Ja to powtarzam, co mi powiedziano, choć pani Osnowska jest tak żywa, że — nie śmiem ręczyć, czy wszystko, co ona mówi, jest ściśle. Wiem, że nie kłamie — ale pan rozumie, że osoby bardzo żywe widzą czasem rzeczy, jak przez powiększające szkło. Niech pan sam sprawdzi, jak to jest. Lineta wydaje mi się miłą, bardzo niepospolita i bardzo dobra — ale niech pan sam sprawdzi. Pan ma tyle zmysłu obserwacyjnego.

— Że jest dobra i niepospolita, to niema wątpliwości. Pamięta pani, jakem mówił, że one czynią mi wrażenie cudzoziemek, ale to nieprawda! Pani Osnowska — może! ale nie panna Lineta!

A Marynia odrzekła:

— Trzeba samemu patrzeć i patrzeć! Rozumie pan, że ja pana do niczego nie namawiam... Bałabym się nawet trochę Stacha, który nie lubi tych pań... Ale szczerze powiem, że jak usłyszałam o łzach Linetki, tak mnie to chwyciło za serce... Biedactwo!...

— Nawet nie umiem pani powiedzieć, jak mnie wzrusza sama myśl o tem! — odpowiedział Zawilowski.

Dalszą jednak rozmowę przerwał Połaniecki, który, zbliżywszy się, rzekł:

— Cóż? ciągle swaty! Te kobiety są jednak niepoprawne! Wiesz, Maryniu, co ci powiem? że byłbym najszczęśliwszy, gdybyś się w takie rzeczy nie wdawała.

Pani Połaniecka poczęła się tłumaczyć, lecz on, zwróciwszy się do Zawilowskiego, rzekł:

— Ja się tam w nic nie wdaję, ale wiem tylko, że nie mam do tych pań najmniejszego zaufania.

Zawilowski jednak powrócił do domu rozmarzony. Poruszyły się w nim wszystkie struny wyobraźni i poczęły dźwięczeć, tak, że ochota do snu odleciała od niego zupełnie. Nie zapalił światła, by mu nic nie przeszkadzało grać na tych rozegranych strunach — i siedząc w blasku księżycy, myślał, a raczej tworzył. Nie kochał się jeszcze, ale ogarniała go już wielka tkliwość, gdy myślał o pannie Castelli — i układał obrazy takie, jakby się już kochał. Widział ją tak wyraźnie, jakby stała przed nim; widział jej czarne oczy i złotawą głowę, pochylającą się jak podcięty kwiat aż — na jego piersi. I wydawało mu się, że kładzie palce na skroniach tej głowy, że czuje jedwabne dotknięcie jej włosów i przechylając się nieco w tył, patrzy, czy pieszczota nie osuszyła łez, a jej oczy śmieją się do niego, jak niebo, jeszcze mokre po deszczu, ale już słoneczne... Potem wyobraźnia poczęła porywać jego zmysły. Wydało mu się, że jej wyznaje miłość, że ją przyciska do piersi i wyczuwa śpieszne bicie jej serca, że klęczy z głową na jej kolanach, od których przez jedwab bije ciepło na jego twarz. I począł naprawdę drzeć. Dotychczas była dla niego obrazem, teraz wyczuł ją po raz pierwszy jako kobietę. Nie było w nim ani jednej myśli, któraby nie była przy niej — i zapamiętał się w niej tak, że stracił poczucie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Jakiś ochrypliwy śpiew na ulicy zbudził go. Wówczas zapalił światło i począł myśleć trzeźwiej. Zdjął go teraz pewien niepokój, albowiem jedna rzecz wydała mu się niewątpliwą, mianowicie, że jeśli nie zaprzestanie bywać zupełnie u pani Broniczowej i u Osnowskich, to się zakocha w tamtej dziewczynie bez pamięci.

— Trzeba więc wybrać! — mówił sobie.

I nazajutrz poszedł ją zobaczyć — bo począł tęsknić — a teje jeszcze nocy próbował napisać wiersz pod tytułem *Pajęczyna*.

Nie śmiał jednak pójść do pani Broniczowej, więc czekał aż do godziny, w której można było zastać wszystkich we wspólnym salonie na herbacie. Pani Osnowska przyjęła go z nadzwyczajną serdecznością i z wybuchami wesołego śmiechu, lecz on, przywitawszy się, począł patrzeć na twarz panny Castelli i serce zabiło mu żywiej, gdy ujrzał, że bije z niej wielka i głęboka radość.

— Wie pan, co ja myślałam? — zawołała ze zwykłą sobie żywością pani Aneta — nasza „Topółka” tak lubi brody u panów, że myślałam, że pan zapuszcza brodę i dlatego się nie pokazuje.

„Topółka” zaś odrzekła:

— Nie, nie! niech pan zostanie tak, jak pana poznałam.

Lecz pan Osnowski otoczył w pół ramieniem Zawilowskiego i rzekł z tą poufałością dobrze wychowanego człowieka, który umie postawić od razu stosunki na bliższej i serdeczniejszej stopie:

— A, pochował nam się pan Ignasz, prawda? Ale ja mam na niego sposób: niech Linetka zacznie jego portret, to musi codzień przychodzić.

Pani Osnowska klasnęła w ręce:

— Jaki ten Józio rozumny, to aż dziwi!

Jemu zaś rozpromieniła się cała twarz, że powiedział coś, co podobało się żonie, i począł powtarzać:

— Prawda? co! Moja droga Anetko, prawda?

— Ja już się przymawiałam — odpowiedziała miękkiem głosem panna Castelli — ale bałam się naprzykrzać.

— Kiedy tylko pani rozkaże — odpowiedział Zawilowski.

— Teraz dzień taki długi: to może o czwartej, po panu Kopowskim. Zresztą niedługo już skończę tego nieznośnego pana Kopowskiego.

— Wie pan, co ona powiedziała o panu Kopowskim? — zaczęła pani Broniczowa.

Lecz panna Castelli za nic nie pozwoliła jej powiedzieć, zresztą przeszkodził temu pan Pławicki, który właśnie w tej chwili nadszedł i rozbił towarzystwo. Pan Pławicki, poznawszy panią Anetę u Maryni, stracił dla niej głowę, do czego otwarcie się przyznawał, ona zaś kokietowała go, ku wielkiej swojej i innych uciesze, bez miłosierdzia.

— Niech tatuś siada, tu koło mnie — rzekła — będzie nam przy sobie dobrze? — co?

— Jak w niebie! jak w niebie! — odpowiedział pan Pławicki, uderzając się raz po raz dłońmi po kolanach i wysuwając z zadowolenia koniec języka.

Zawilowski zaś przysiadł się do panny Castelli i rzekł:

— Taki jestem szczęśliwy, że będę mógł tu codzień przychodzić... Czy tylko naprawdę nie zajmę pani czasu?

— Owszem, zajmie pan — odpowiedziała, patrząc mu w oczy — ale zajmie pan tak, jak nikt inny zająćby nie potrafił. Ja naprawdę bałam się tylko naprzykrzać — bo ja się pana boję.

Teraz on zajął jej w głąb źrenic i odpowiedział z naciskiem:

— Niech się mnie pani nie boi.

Panna Lineta spuściła powieki i nastąpiła chwila dość kłopotliwego milczenia; potem panienska spytała trochę przyciszonym głosem:

— Czemu pan tak długo nie przychodził?

On miał na języku odpowiedź: „To ja się boję,” ale nie śmiał posunąć się tak daleko, więc odpowiedział:

— Pisałem.

— Wiersz?

— Tak, pod tytułem: *Pajęczyna!* Jutro go przyniosę. Pamięta pani, co pani powiedziała, kiedy panią poznał? że chciałaby pani być pajęczyną. Jam to zapamiętał i od tej pory ciągle widziałem obraz takiej śnieżnej nitki, która buja po powietrzu.

— Buja, ale nie o własnej sile — odpowiedziała panna Castelli — i nie może zalecieć wysoko, chyba...

— Co? czemu pani nie kończy?

— Chyba że się owinie koło skrzydeł jakiego wielkiego Latawca...

To rzekłszy, panna Lineta nagle wstała i odeszła, by pomódz panu Osnowskiemu, który w tej chwili otwierał okno.

A Zawilowski został sam — z mgłą na oczach. Zdawało mu się przytem, że słyszy, jak mu tętna biją w skroniach.

Oprzytomnił go dopiero miodowy głos pani Broniczowej:

— Parę dni temu mówił mi stary pan Zawilowski, że pan jego krewny, ale, że pan u niego bywać nie chce, a on u pana nie może, bo ma pedogę. Czemu pan u niego nie bywa? to taki miły i dystyngowany człowiek. Niech pan do niego pójdzie. Jemu to nawet przykro. Pójdzie pan?

— Dobrze, pani, mogę pójść — odpowiedział Zawilowski, który w tej chwili gotów był na wszystko się zgodzić.

— Jaki pan musi być dobry i łatwy. Pozna pan tam swoją kuzynkę, pannę Helenę. Tylko niech się pan nie zakocha, bo to także bardzo dystyngowana panienska.

— Nie, pani, niema niebezpieczeństwa — rzekł, śmiejąc się, Zawilowski.

— Mówią zresztą o niej, że ona się kochała w tym Płoszowskim, który to się zastrzelił, i że nosi wieczną żalobę w sercu. A kiedy pan do nich pójdzie?

— Jutro, pojutrze. Kiedy się pani podoba.

— Bo widzi pan, oni wyjeżdżają. Lato za pasem! Gdzie pan będzie w lecie?

— Nie wiem, pani. A panie?

Panna Castelli, która przez ten czas wróciła i siadła niedaleko, przerwała rozmowę z Osnowskim i, dosłyszawszy zapytanie Zawilowskiego, odrzekła:

— Nie mamy jeszcze projektu.

— Wybierałyśmy się do Scheveningen — mówiła pani Broniczowa — ale z Linetką to tak trudno...

I po chwili dodała ciszej:

— Ona taka zawsze otoczona — takie ma szczęście do ludzi, że pan nie uwierzy! Choć, dla czegożby pan nie miał uwierzyć? Dość na nią spojrzeć. Mój nieboszczyk mąż przepowiadał mi to jeszcze wówczas, gdy ona miała dwanaście lat: „Obaczysz — mówił — co to będzie za kłopot, jak ona dorośnie!” I jest kłopot, drogi panie, jest kłopot! Mój mąż dużo rzeczy naprzd przewidział... Ale!... Czy ja mówiłam panu, że on był ostatnim z Rur... A tak! mówiłam! Dzieciśmy własnych nie mieli, bo pierwsze nie doszło, a on był czterdzieści lat starszy odemnie — i później był mi raczej... ojcem.

— Cóż mnie to może obchodzić! — pomyślał Zawilowski.

Pani Broniczowa zaś mówiła dalej:

— Mój nieboszczyk mąż zawsze bolał nad tem, że nie ma syna. To jest — był syn, ale przyszedł o połowę drogi zawczasem... (Tu w głosie pani Broniczowej zadrgały łzy). Trzymaliśmy go czas jakiś w spirytusie... Ach!! co to za smutne wspomnienia! Ile się mąż nacierpiał, że umrze ostatnim z Rur... Mniejsza zresztą z tem! dość, że w końcu przywiązał się do Linetki, jak do rodzonej, i oczywiście, to była najbliższa krewna — i co po nas zostanie, to będzie jej. Może i dlatego ją tak ludzie otaczają... Chociaż — nie! Ja im się nie dziwię. Żeby pan wiedział, co to jednak za męka, i dla niej i dla mnie! Dwa lata temu w Nizzy, jeden Portugalczyk, hrabia Jao Colimação, krewny Alkantarów, tak stracił głowę, że aż śmiech brał. Albo ten Grek zeszłego roku w Ostendzie!... Syn bankiera z Marsylii, milioner... Jakże to się nazywał?... Linetko, jak to nazywał się ten Grek milioner — ten, co to wiesz?

— Ciociu! — rzekła z widoczną niechęcią panna Lineta.

Lecz ciocia była już w pełnym biegu, jak pociąg puszczony całą siłą pary.

— Aha! przypominam sobie — rzekła — Kanafaropulos, sekretarz ambasady francuskiej w Brukselli.

Panna Lineta wstała i odeszła do pani Osnowskiej, rozmawiającej przy głównym stole z panem Pławickim, ciocia zaś, odprowadzając ją wzrokiem, rzekła:

— Gniewa się dziecko!... Ona ogromnie nie lubi, jak mówić o jej powodzeniach, a ja nie mogę wytrzymać. Pan mnie rozumie? Patrz pan, jaka ona wysoka! Tak mi wybujała!... Anetka nazywa ją czasem Kolumienką a czasem Topólką — i prawdziwa z niej Topółka! Cóż dziwnego, że ją ludzkie oczy widzą! Nie wspominałam jeszcze o panu Ufińskim. To nasz wielki przyjaciel. Mój nieboszczyk mąż bardzo go lubił. Pan przecie musiał słyszeć o panu Ufińskim? To ten, co tak sławnie wycina sylwetki z papieru. Cały świat go zna. Nie wiem na ilu dworach wycinał sylwetki, a ostatnim razem wycinał księcia Walii. Był także jeden Węgier...

Pan Osnowski, który siedząc niedaleko, bawił się ołówczkiem przy breloku, to wysuwając go, to zasuważąc napowrót, zniecierpliwił się wreszcie i rzekł:

— Jeszcze ze dwóch takich, kochana ciociu, a będzie wieczorek kostiumowy.

— Właśnie, właśnie! — odpowiedziała pani Broniczowa. — Jeśli o nich wspomynam, to dlatego, że Linetka nie chciała ani słyszeć o żadnym. To taka szowinistka! Pan nie ma pojęcia, jaka z tego dziecka szowinistka!

— Niechże jej Bóg da zdrowie — rzekł Zawilowski.

Poczem wstał i począł się żegnać. Na pożegnanie długo zatrzymał dłoń panny Linety, która zresztą odpowiedziała mu równie długim uściskiem.

— Do jutra! — rzekł, patrząc jej w oczy.

— Do jutra... po panu Kopowskim. A nie zapomni pan o *Pajęczynie*?...

— Nie, pani, nie zapomnę... nigdy — odpowiedział nieco wzruszonym głosem Zawilowski.

Wyszli razem z panem Pławickim, ale zaledwie znaleźli się na ulicy, gdy staruszek uderzył go zlekka w ramię i, zatrzymawszy się, rzekł:

— Panie młodziku, czy pan wie, że ja wkrótce zostanę dziadkiem?

— Wiem — odpowiedział Zawilowski.

— Tak! tak! — powtórzył z rozkosznym uśmiechem Pławicki — a mimo tego powiem panu tylko tyle: niema, jak młode mężatki!!...

I śmiejąc się, począł go klepać raz po raz po ramieniu, poczem przyłożył końce palców do ust, pożegnał się i odszedł. Zawilowskiego doszedł tylko zdaleka jego trochę drżący głos:

— Niema nad młode...

Resztę zgłuszył turkot na ulicy.

II

Od tego czasu Zawilowski przychodził codziennie do cioci Broniczowej. Często zastawał jeszcze Kopowskiego, albowiem w ostatnich czasach coś popsulo się w portrecie „Antinousa”. Panna Lineta mówiła, że nie zdołała jeszcze wszystkiego z tej twarzy wydobyć, że może wyraz jest nie taki, jak być powinien — słowem: potrzebowała czasu do namysłu. Z Zawilowskim szło jej łatwiej.

— W takiej głowie, jak pana Kopowskiego — rzekła raz — dość jest zmienić najmniejszą linię, dość położyć niewłaściwie światło, żeby wszystko przepadło. Tymczasem w panu Zawilowskim trzeba chwycić przedewszystkiem charakter.

Słyszac to, obaj byli zadowoleni. Kopowski oświadczył nawet, iż to nie jego wina, że go takim pan Bóg stworzył. Pani Broniczowa opowiadała później, że panna Lineta rzekła z tego powodu: „Bóg go stworzył, Syn Boży odkupił, ale Duch Święty zapomniał go oświecić”. Dowcip ten powtarzano o biednym panu Kopowskim w całej Warszawie.

Zawilowski dość go lubił. Po kilku spotkaniach wydał mu się tak bezdennie ograniczony, iż nie przyszło mu do głowy, żeby można być o niego zazdrosnym. Natomiast, zawsze miło było na niego patrzeć. Te panie lubiły go również, chociaż często pozwalały sobie z niego żartować, a czasem służył im wprost za piłkę, którą przerculowały sobie z rąk do rąk. Głupota Kopowskiego nie była zresztą ani posępną, ani podejrzliwą. Humor posiadał jednostajny i istotnie precudny uśmiech, o czym może wiedział, więc wolał się uśmiechać, niż marszczyć. Był dobrze wychowany, obyty w świecie, a przytem ubierał się wyśmienicie i pod tym względem mógł Zawilowskiemu służyć za mistrza.

Zadawał też od czasu do czasu zdumiewające pytania, które napelniały uciechą młode panie. Raz, słyszac panią Broniczową mówiącą o poetyckich natchnieniach, spytał Zawilowskiego: „Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?” — i w pierwszej chwili zmieszał go, albowiem ten nie wiedział, co mu odpowiedzieć.

Kiedys znów pani Aneta rzekła mu:

— Czy pan pisał kiedy wiersze? Niech pan dobierze jaki rym!

Kopowski zażądał, żeby mu zostawiono czas do jutra. Ale nazajutrz zapomniał, albo też i nie znalazł, te panie zaś były tak dobrze wychowane, że mu nie przypomniały obietnicy. Tak zawsze przyjemnie było na niego patrzeć, że nie chciały mu robić przykrości.

Tymczasem kończyła się wiosna a nadchodziły wyścigi. Zawilowski był zaproszony na cały ich czas do powozu państwa Osnowskich; dawano mu miejsce naprzeciw panny Linety. I podziwiał ją z całej duszy. W jasnych toaletach, w jasnych kapeluszach, z uśmiechem w czarnych oczach, ze swoją spokojną twarzą, zarumienioną nieco pod tchnieniem świeżych powiewów, wydawała mu się wiosną i rajem. Wracając do domu, miewał jej pełne oczy, pełną myśl i pełne serce. W tym świecie, w którym one żyły, w towarzystwie tych młodych ludzi, którzy zbliżali się do powozu, by bawić te panie, bywało mu nie swojo, ale jej widok wynagradzał mu wszystko. Pod wpływem słonecznych dni, pogody, szerokich letnich powiewów i tej młodej dziewczyny, która poczynala mu być drogą, żył jakby w ciągłym upojeniu. Czuł w sobie młodość i siłę. W twarzy jego bywało czasem istotnie coś orlego. Chwilami zdało mu się, że jest rozbujanym dzwonem, który bije i bije i głosi radość życia, radość miłości, radość szczęścia — wielki odpust kochania. Pisywał też dużo i pracował tak łatwo, jak nigdy, a w wierszach jego był jakby czerstwy zapach świeżo zoranych zagonów, jakby bujność młodych liści, jakby szum skrzydeł ptaków nadlatujących na ugory — i ogromna szerokość łąk i pól. Poczul się w swej mocy i przestał się wstydzic poezyi nawet przed obcymi, bo zrozumiał, że w nim coś jest, że coś tkwi i że ma co podłożyć pod kochane stopy.

Połaniecki, który, mimo swego kupiectwa, miał niepohamowaną namiętność do koni i nie opuszczał nigdy wyścigów, widywał go przez wszystkie dni w towarzystwie Osnowskich i panny Castelli, zapatrzonego w nią jak w tęczę, i kiedyś w biurze począł go przesładować, że się kocha, na co Zawilowski odpowiedział:

— To nie ja, to moje oczy; ale państwo Osnowscy wkrótce wyjadą, te panie także — i wszystko minie jak sen.

Nie mówił jednak prawdy, bo już nie wierzył sam, by wszystko mogło minąć jak sen. Przeciwnie, czuł, że zaczęło się dla niego nowe życie, które wyjazd panny Castelli może złamać.

— A dokąd wybiera się pani Broniczowa z panną Castelli? — pytał dalej Połaniecki.

— Przez resztę czerwca i przez lipiec zabawią u państwa Osnowskich, a potem jadą jakoby do Scheveningen, ale to jeszcze niepewne.

— Przytułów Osnowskich o trzy mile od Warszawy — rzekł Połaniecki.

Zawilowski od kilku już dni zadawał sobie z biciem serca pytanie, czy go zaproszą, czy nie; gdy go jednak zaprosili i w dodatku bardzo uprzejmie, nie obiecał im i przy wszelkich zapewnieniach wdzięczności począł się drożyć, tłómacząc się zajęciami i brakiem czasu. Panna Castelli słuchała z boku, podnosząc w górę swoje złotawe brwi, a gdy wychodził, zbliżyła się ku niemu i rzekła:

— Czemu pan nie chce przyjechać do Przytułowa?

On zaś, spostrzegłszy, że nikt ich nie słucha, odrzekł, patrząc jej w oczy:

— Boję się.

Wówczas poczęła się śmiać i, powtarzając słowa Kopowskiego, spytała:

— Czy na to co trzeba, czy nie trzeba?

— Na to trzeba — odpowiedział nieco drżącym głosem — by mi pani powiedziała: przyjeźdź!

Ona zawahała się jeszcze przez chwilę; może nie śmiała mu powiedzieć tak wprost i w tej formie, jak on tego żądał, nagle jednak zarumieniła się i wyszeptwała:

— Przyjeźdź!

Potem uciekła, jakby wstydząc się tych kolorów, które pomimo mroku były coraz widoczniej jej na twarzy.

Zawilowskiemu, gdy wracał do domu, zdawało się, że pada deszcz gwiazd.

Wyjazd Osnowskich miał jednak nastąpić dopiero za dziesięć dni. Przedtem malowanie portretu szło zwykłym trybem i miało tak iść aż do ostatniego dnia, albowiem panna Lineta nie chciała tracić czasu. Pani Osnowska namówiła ją, by wyłącznie malowała Zawilowskiego, ponieważ Kopowski potrzebuje już tylko kilku posiedzeń, które będzie można urządzić w Przytułowie, przed samym ich wyjazdem do Scheveningen. Dla Zawilowskiego owe posiedzenia stały się teraz jakby pierwszą potrzebą życia — jeśli wypadkiem zaszła jaka przeszkoda, uważał taki dzień za stracony. Pani Broniczowa bywała najczęściej obecna przy malowaniu. Zawilowski odgadywał w niej jednak duszę przyjazną i w końcu sposób, w jaki mówiła o pannie Linecie, począł mu być miły. Oboje układali wprost hymny na cześć panny Linety, którą w poufnej rozmowie pani Broniczowa nazywała „Niteczką”. Zawilowskiemu podobało się to miano tem bardziej, im wyraźniej czuł, jak ta „Niteczka” obwija mu się koło serca.

Częstokroć jednak wydawało mu się, iż pani Broniczowa opowiada rzeczy nieprawdopodobne. Że panna Lineta była i mogła być najzdolniejszą uczenicą Świrskiego, że Świrski mógł ją nazywać „La Perla”, że mógł się w niej, jak pani Broniczowa dawała do zrozumienia, kochać — w to wszystko było łatwo uwierzyć; ale żeby ów Świrski, znany w całej Europie i nagradzany wielkimi medalami na wszystkich wystawach, miał oświadczyć ze łzami na widok jakiegoś szkicu panny Linety, że poza techniką — onby raczej mógł brać od niej lekcje, o tem nawet Zawilowski pozwalał sobie wątpić. I gdzieś, w jakimś kącie duszy, w którym zataiło się jeszcze trochę trzeźwości, dziwił się, że panna „Niteczka” wprost temu nie zaprzecza i poprzestaje na zwykłych w takich razach słowach: „Ciociu! wiesz, że ja nie lubię, jak takie rzeczy powtarzasz!” Wreszcie jednak stracił i te ostatnie przebłyki trzeźwości, począł się rozczulać nad nieboszczykiem Broniczem, a panią Broniczową niemal pokochał, za to tylko, że mógł rozmawiać z nią od rana do wieczora o pannie Castelli.

Wskutek powtarzających się nalegań pani Broniczowej, odwiedził także w tych czasach starego pana Zawilowskiego, owego Krezusa, u którego przedtem nie bywał. Stary szlachcic, o białych jak mleko wąsach, rumianej cerze i obciętych krótko siwych włosach, przyjął go z nogą na fotelu i z pewną wielkopańską poufałością człowieka, który przywykł do tego, że się ludzie więcej z nim liczą, niż on z nimi.

— Przepraszam, że nie wstaję — rzekł — ale pedogra, nie żarty.. Ha, cóż robić! Spuścizna! Zdaje się, że to już będzie po wiek wieków przywiązane do nazwiska. A ty, miewasz czasem łupania w wielkim palcu?

— Nie — odpowiedział Zawilowski, cokolwiek zdziwiony zarówno sposobem przyjęcia, jak i tem, że stary szlachcic mówi mu od pierwszego widzenia: ty.

— Poczekaj, przyjdzie starość!

Poczem, zawoławszy na córkę, przedstawił jej Zawilowskiego i począł rozmawiać o stosunkach rodzinnych, wykazując młodemu człowiekowi, w jaki sposób są krewni. W końcu rzekł:

— No, ja tam wierszy nie pisywałem, bom na to za głupi, ale muszę ci powiedzieć, żeś mi się popisał — i żem się nie wstydił, chociażem wyczytał moje nazwisko pod wierszami.

Odwiedziny nie miały się jednak skończyć pomyślnie. Panna Zawilowska, osoba lat niespełna trzydziestu, ładna, ale jakby przedwcześnie zwiędła i posepna, chcąc wziąć udział w rozmowie, poczęła wypytywać „kuzyna”, kogo zna i gdzie bywa, a stary szlachcic do każdego wymienionego nazwiska dodawał w jednym lub dwóch słowach swoją opinię. Przy wymienieniu Połanieckich powiedział: „dobra krew!” — przy Bigielach spytał: „jak?”, a gdy Zawilowski powtórzył ich nazwisko, dodał: „connais pas!” — panią Osnowską określił jednym słowem: „dzierlatka!” — przy pani Broniczowej mruknął: „furfantka!” — nakoniec, gdy młody człowiek wymienił z pewnym zmieszaniem pannę Castelli, szlachcic, którego w tej chwili łupnęło widocznie w nodze, skrzywił się okropnie i zawołał:

— Aj! Póldyablę weneckie!

Na to Zawilowskiemu, który, mimo swej nieśmiałości, był człowiekiem popędliwym, zaczęło się w oczach, wystająca i tak dolna szczeka wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, począł starego człowieka mierzyć wzrokiem od chorej nogi, aż do głowy — i rzekł:

— Pan masz sposób wydawania doraźnych sądów, który mi się nie podoba, dlatego miło mi go pożegnać.

I skłoniwszy się, porwał za kapelusz i wyszedł.

Stary pan Zawilowski zaś, który przywykł sobie na wszystko pozwalać i któremu wszystko uchodziło, patrzył czas jakiś z osłupieniem na córkę i dopiero po długim milczeniu zawołał:

— Co on się „wścik?”

Młody człowiek nie opowiedział pani Broniczowej tego, co zaszło. Wspomniał tylko, że był z wizytą i że ojciec i córka zarówno mu się nie podobali. Dowiedziała się jednak o wszystkim od samego starego Zawilowskiego, który zresztą nawet w oczy nie nazywał panny Castelli inaczej, jak „Póldyablę weneckie”.

— Nasłałaś mi pani za to całego dyabła — rzekł jej — dobrze, że mi głowy nie rozbił.

W głosie jego przebijało jednak jakby pewne zadowolenie, że to *Zawilowski* okazał się taki czupurny, ale pani Broniczowa, nie zauważywszy tego odcienia, wzięła rzecz nieco do serca i ku wielkiemu zadziwieniu „całego dyabła”, rzekła mu:

— On przepada za Linetką i to jest u niego rodzaj pieszczoty, a przytem człowiekowi, mającemu taką pozycję i w tym wieku, dużo trzeba przebaczyć. Pan musiał nie czytać powieści Kraszewskiego: „Póldyablę weneckie...” To jest przezwanie, w którym jest od tego czasu pewna poezja... Jak się staruszek udobrucha, niech pan do niego parę słów napisze — dobrze? Takie stosunki trzeba podtrzymywać...

— Pani — odpowiedział Zawilowski — nie napiszę za nic w świecie!

— Nawet gdybym nietylko ja o to prosiła?

— To jest... kamieniem znów nie jestem.

Panna Castelli uśmiechnęła się, słuchając tych słów. W duszy podobało się jej jednak, że Zawilowski po jednym słowie o niej, które wydało mu się ubliżającym, skoczył tak,

jakby usłyszał bluźnierstwo. To też, przy pozowaniu, gdy na chwilę zostali sami, rzekła mu:

— Dziwna rzecz, jak ja mało wierzę w szczerść ludzką... Tak mi trudno uwierzyć, żeby ktoś, prócz cioci, był mi prawdziwie życzliwy.

— Czemu pani?

— Nie wiem. Sama nie umiem sobie zdać z tego sprawy.

— A naprzykład państwo Osnowscy? Pani Aneta?

— Pani Aneta? — powtórzyła panna Castelli.

I poczęła pilnie malować, jakby zapomniała o pytaniu.

— A ja, pani? — spytał ciszej Zawilowski.

— Tak! — odrzekła — pan, tak! Pan jeden, jestem pewna, nie pozwoliłby o mnie nikomu źle mówić. Ja czuję, że pan mi jest szczerze życzliwy, choć nie wiem dlaczego, bo ja wogóle tak mało jestem warta...

— Pani mało warta! — zawołał, zrywając się, Zawilowski. — Niechże pani pamięta, że ja naprawdę nie pozwalam nikomu o pani źle mówić, nawet jej samej.

Panna Castelli uśmiechnęła się i rzekła:

— Dobrze, ale niech pan siada, bo nie mogę malować.

On siadł, lecz patrzył na nią wzrokiem tak pełnym miłości i zachwytu, że poczęło ją to mieszać.

— Co za nieposłuszny model! — rzekła — niech pan odwróci głowę trochę na prawo i nie patrzy na mnie.

— Nie mogę! nie mogę! — odpowiedział Zawilowski.

— A ja, doprawdy nie mogę malować. Głowa zaczęta w innej pozycji... Niechże pan poczeka...

To rzekłszy, zbliżyła się i dotknawszy palcami jego skroni, poczęła odwracać mu zlekka głowę na prawo. Lecz jemu serce jęło bić jak młotem, wszystko zakręciło mu się w oczach i przytrzymawszy rękę panny Castelli, przycisnął do ust jej ciepłą dłoń.

— Co pan robi? — szepnęła panna Lineta.

On wciąż trzymał jej dłoń na ustach — i nie odpowiadał nic — tylko przyciskał ją coraz silniej.

Wówczas ona rzekła spiesznie:

— Niech pan pomówi z ciocią... My jutro wyjeżdżamy.

I nie mogli sobie powiedzieć nic więcej, albowiem w tej chwili Osnowski, Kopowski i pani Aneta, którzy poprzednio siedzieli w przyległym saloniku, wrócili do pracowni.

Pani Aneta, spostrzegłszy zarumienione policzki panny Castelli, spojrzała bystro na Zawilowskiego i rzekła:

— Jakże państwu dziś idzie?

— Gdzie ciocia? — spytała panna Castelli.

— Wyjechała z wizytami.

— Dawno?

— Kilka minut temu. Jakże państwu dziś poszło?

— Dobrze, ale na dziś już dosyć.

To rzekłszy, panna Lineta złożyła pędzle i po chwili poszła do siebie, by umyć ręce. Zawilowski zabawił jeszcze czas jakiś, odpowiadając mniej więcej przytomnie na pytania, które mu zadawano, ale miał ochotę odejść. Bał się rozmowy z panią Broniczową i, zwyczajem tchórzów, pragnął ją odłożyć do jutra. Chciał przytem zostać na chwilę sam ze swymi myślami, uładzić je, ocenić lepiej doniosłość tego, co się stało, w tej chwili bowiem miał w głowie tylko jakby chaos mętnych pojęć, że stało się coś niesłychanego, coś, od czego zacznie się nowa epoka w jego życiu. Na samą myśl o tem, przejmował go dreszcz szczęścia, ale zarazem i strach, czuł bowiem, że teraz nie czas się już cofać, że trzeba iść naprzód przez miłość, przez wyznania, przez oświadczenie się pannie i rodzinie, aż do ołtarza. Pragnął tego całą duszą, ale tak przywykł wszystko, co jest szczęściem, uważać za poetyczne urojenie, za coś należącego wyłącznie do świata myśli, sztuki i marzeń, że prawie nie śmiał uwierzyć, by panna Castelli została naprawdę jego żoną. Tymczasem ledwie mógł dosiedzieć i gdy Lineta wróciła, począł się żegnać.

Ona podała mu swą ochłodzoną w zimnej wodzie rękę i rzekła:

— Nie zaczeka pan na ciocię?

— Muszę odejść, a jutro pożegnam się z panią i panią Broniczową.

— Więc do widzenia!

Pożegnanie to wydawało się Zawilowskiemu, po tem co zaszło, tak nieodpowiednie i chłodne, że ogarniała go rozpacz. Ale nie śmiał żegnać się przy ludziach inaczej, tem bardziej, że pani Aneta patrzyła na niego z niezwykłą uwagą. Na odchodnym pan Osnowski rzekł mu:

— Czekaj pan. Mam coś do załatwienia w mieście, więc pójdziemy razem.

I wyszli. Ale zaledwie znaleźli się przed bramą willi, pan Osnowski zatrzymał się, położył mu rękę na ramieniu i z przekorną miną zapytał:

— Panie Ignasiu! a czy nie pokłóciliście się trochę z Linetą?

Zawilowski spojrział na niego wielkimi oczyma:

— Ja? z panną Linetą?

— Bo tak jakoś pożegnaliście się chłodno. Myślałem, że ją pan przynajmniej w łapkę pocałuje!

Oczy Zawilowskiego stały się jeszcze większe, pan Osnowski zaś począł się śmiać i rzekł:

— No, to powiem panu prawdę! Żona moja, jako to kobietka ciekawa, podglądała was i widziała, co się stało. Mój panie Ignasiu, masz pan we mnie ogromnego przyjaciela, który prócz tego wie, co to znaczy kochać. I jedno tylko panu mogę powiedzieć: daj ci Boże być tylko tak szczęśliwym, jak ja jestem!

To rzekłszy, począł potrząsać jego dłonią, a Zawilowski, chociaż zmieszany do najwyższego stopnia, ledwie się powstrzymał, żeby mu się nie rzucić na szyję.

— Czy pan naprawdę masz dziś coś do roboty? Dlaczegoś odszedł?

— Otwarcie panu powiem, potrzebowałem myśli zebrać, a przytem zdjął mnie strach przed panią Broniczową.

— To pan cioci nie znasz. Jej także się w głowie pali. Odprowadźże mnie kawałek drogi, a potem wracaj do nas bez ceremonii. Wracając, zbierzesz właśnie myśli, przez ten czas wróci pani Broniczowa i powiesz do niej mówkę, przy której się rozplacze. Nic innego ci nie grozi. Pamiętaj także, że jeśli ci będzie dobrze, to będziesz głównie winien wdzięczność mojej Anetce, bo dalibóg, że tak *montowała* głowę Castelce, jakby była pańską rodzoną siostrą. To już taka szalona główka, a zarazem takie pocziwe serce! Równie dobre kobiety może istnieją, ale lepszej niema na świecie... Nam się trochę zdawało, że ten głuptas Kopowski ma się ku Castelce i Anetkę gniewało to ogromnie. One lubią Koposia, ale pozwolisz, że wyjść za takiego — toby było nadto.

Tak gawędząc, wziął Zawilowskiego pod rękę i po chwili począł znów mówić:

— Dajmy też sobie pokój z tytułowaniem się per pan. Mamy przecie zostać krewnikami. Muszę ci jeszcze to powiedzieć: nie wątpię, że Castelka kocha cię najserdeczniej, bo to też pocziwe stworzenie. Ale swoją drogą, tak jej zawracano tobą głowę, a ona taka jeszcze młoda, że dorzucaj dREW na ten ogień... dorzucaj!... Rozumiesz!... Trzeba, żeby się to wkorzeniło — co powinno łatwo przyjść, bo to istotnie niezwykła natura. Nie myśl, żebym cię chciał przestrzegać, albo straszyć. Nie! Chodzi tylko o ugruntowanie rzeczy. Że ona cię kocha, to nie ulega wątpliwości. Żebyś ty ją był widział, jak ona nosiła się z twoją książką, albo co się z nią działo wówczas, gdy wróciliście z teatru! Przyszła mi wtedy do głowy głupia myśl. Powiedziałem, żem słyszał, iż stary Zawilowski dlatego tak chciałby cię poznać, że ma zamiar ożenić cię ze swoją córką, żeby majątek nie wyszedł z nazwiska — i, wyobraź sobie, że to biedactwo, jak to usłyszało, tak zrobiło się blade, jak papier. Ażem się przestraszył i co prędzej odwołałem. Cóż ty na to?

Zawilowskiemu chciało się śmiać i płakać, tymczasem przyciskał tylko z całej siły do boku rękę trzymającego go pod ramię Osnowskiego i po chwili rzekł:

— Anim ja jej wart, ani...

— No — i co po tem drugim: „ani?” — może chciałeś powiedzieć: „ani jej tak kocham!”

— Bogdaj tak! — odpowiedział Zawilowski, podnosząc w górę oczy.

— No, to wracajże teraz i ulóż sobie mówkę do cioci Broniczowej. Nie bój się być nadto patetycznym. Ona to lubi!... Do widzenia, Ignas! Ja za jaką godzinę wrócę i będziemy mieli zaręczynowy wieczorek.

Tu poczęli się ściskać za ręce z uczuciem istotnie braterskim, przyczem pan Osnowski rzekł:

— Powtarzam ci jeszcze raz: daj ci Boże znaleźć w Castelce taką tylko żonę, jak moja Anetka!

Zawiłowski, wracając, myślał, że pan Osnowski jest jeden anioł, pani Osnowska drugi, pani Broniczowa trzeci, a panna Lineta unosi się nad nimi wszystkimi na archanielskich skrzydłach, jak świętość, jak coś bożego. Zrozumiał teraz, że serce kochać może aż do bólu. W duszy klęczał u jej kolan, bił głową u jej nóg, kochał ją, ubóstwiał, a jednocześnie do tych wszystkich uczuć, które w nim grały, jakby jeden wielki hejnał, dołączyło się uczucie takiej tkliwości, jak gdyby ta uwielbiona kobieta była zarazem dzieckiem, jedynem i ogromnie kochanem, ale jeszcze malutkiem i potrzebującym opieki. Przypominał sobie opowiadanie Osnowskiego, jak pobladła, gdy jej powiedziano, że chcą go ożenić z inną — i w duszy powtarzał sobie: „A moja ty, a moja!...” I rozczulał się bez miary, a wdzięczność zalewała mu tak serce, iż zdawało mu się, że życiem całym nie wypłaci się jej za tę jedną chwilę bladeści. Czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy, i chwilami ogrom tego szczęścia niemal przerazał go. Przedtem był teoretycznym pesymistą, obecnie zaś rzeczywistość zadawała tak dalece kłam tym naleciałym teoryjom, iż trudno mu było uwierzyć, by się mógł do tego stopnia omylić.

Tymczasem wracał do willi, wciągając po drodze w nozdrza zapach kwitnących jaśminów i mając jakieś mętne poczucie, że ta upajająca woń nie jest niczem zewnętrznym, ale po prostu częścią i składnikiem jego szczęścia. Po drodze mówił sobie: „Co to za ludzie, co to za dom, co za rodzina! Tylko między nimi mogła się wychować ta moja Biała!” Patrzył przytem na zachodzące wśród wieczornego spokoju słońce, na złociste firanki zórz, poprzewiązywane taśmami z purpury, i ten spokój poczał go ogarniać. W tych niezmiernych światłach uczył niezmierną łaskę i dobroć, które patrzą na świat, koją go i błogosławią. Nie modlił się wprawdzie słowami, ale wszystko śpiewało mu w duszy jakby jedną dziękczynną modlitwę.

Przy bramie willi, ocknąwszy się jak ze snu, spostrzegł starego służącego Osnowskich, który patrzył sobie na przejeżdżające powozy.

— Dobry wieczór, Stanisławie — rzekł — a pani Broniczowa nie wróciła?

— Właśnie wyglądam: tylko co starszej pani nie widać.

— Panie są jeszcze w salonie?

— Są — i pan Kopowski też.

— A kto mi otworzy?

— Tam otwarte, ja ino na chwilę zeszedłem.

Zawiłowski poszedł na górę — ale nie znalazłszy we wspólnym salonie nikogo, przeszedł do pracowni. Tam było jednak również pusto, natomiast z przyległego mniejszego pokoiku doszły go przez portyerę, przedzielającą ów salonik od pracowni, jakieś ciche głosy.

W przypuszczeniu, że znajdzie tam obie panie wraz z Kopowskim, uchylił portyerę — i spojrzawszy, skamieniał.

Panny Castelli nie było w saloniku, natomiast Kopowski klęczał przed panią Osnowską, która, trzymając ręce zanurzone w jego bujnych włosach, odchyłała mu w tył głowę, zniżając jednocześnie swą twarz, jakby dla złożenia na jego czole pocałunku.

— Aneto! jeśli mnie kochasz! — mówił zdławionym przez namiętność głosem Kopowski.

— Kocham! Ale nie! ja tego nie chcę! — odpowiedziała pani Osnowska, odsuwając go nieco od siebie.

Zawiłowski mimowolnym ruchem zapuścił portyerę; przez chwilę stał przed nią, jakby nogi jego stały się naraz ołowiane, wreszcie, nie zdając sobie dobrze sprawy, co robi, przeszedł pracownię, której gruby dywan zgłuszył, tak jak i poprzednio, jego kroki, przeszedł główny salon, przedpokój, schody i znalazł się w bramie willi.

— Jaśnie pan wychodzi? — spytał stary służący.

— Tak — odrzekł Zawiłowski.

I poczał iść tak szybko, jakby uciekał. Po chwili jednak stanął i rzekł głośno do siebie:

— Czym ja nie oszalał?

I nagle wydało mu się to możliwym, poczuł bowiem, że traci wątek myśli, że nie umie zdać sobie z niczego sprawy, że nic nie rozumie i niczemu nie wierzy. Coś zaczęło się w nim rwać, coś walić. Jakto? więc ten dom, o którym przed chwilą myślał, że jest jakimś błogosławionym przybytkiem wyjątkowych dusz, kryje zwykły fałsz, zwykłą lichotę, zwykle brudy życiowe — nędzną i zarazem haniebną komedię? I taką atmosferą oddycha, w takim żyje otoczeniu, z takimi istotami przestaje jego Lineta — jego „Biała”? Tu przypomniały mu się słowa Osnowskiego: „Daj ci Boże znaleźć w Castelle taką tylko żonę, jaką ja znalazłem w mojej Anecie!” „Dziękuję!” — pomyślał Zawilowski — i mimowoli zaczął się śmiać. Zło, ni brud, nie były mu nowiną: widział je i wiedział, że istnieją; ale po raz pierwszy życie ukazywało mu je z taką niemiłosierną ironią, przez którą ów pan Osnowski, człowiek, który mu okazał serce brata, człowiek uczciwy, człowiek prawy, dobry, jak mało ludzi w świecie, wydał mu się zarazem błaznem, rodzajem wzniesłego durnia — wzniesłego przez wiarę i uczucie — durnia przez kobietę. I po raz pierwszy również ujrzał jasno, co może licha i nędzna kobieta zrobić z człowieka — bez jego winy. Otworzyły się przed nim nowe, straszliwe widnokreśli życiowe — całe krainy, których istnienia nie przypuszczał, rozumiał bowiem dotąd, że zła kobieta może człowieka wyssać jak pajak i zabić — wydawało mu się to demonicznym, ale nie przypuszczał, że może go przytem zblaznić. Z tą myślą nie umiał sobie dać rady. A jednak ów pan Osnowski, życzący mu, by był szczęśliwym ze swoją przyszłą, jak on z Anetą — był śmieszny. Na to także nie było rady. Nie wolno tak kochać, by aż do tego stopnia się zaślepić.

Tu myśli Zawilowskiego przeniosły się do Linety. W pierwszej chwili miał poczucie, że od tego brudu w domu Osnowskich i od tego zwątpienia, które zrodziło się w jego sercu, padł jakiś cień i na nią. Po chwili zaczął sobie jednak wyrzucać to wrażenie, jako profanację, jako zbrodnię obrażonej niewinności, jako pokalanie myślą równie czystej jak kochanej istoty i jej anielskich piór. Chwyciło go oburzenie na siebie samego. „Czy taki gołąb domyśla się nawet złego?” — pytał w duszy. I miłość jego wzmogła się jeszcze bardziej na myśl, że „takie przezczyste dziecko” musi ocierać się o zepsucie. Chciałby był odsunąć ją jak najprędzej od pani Osnowskiej, osłonić ją od jej wpływu, porwać na ręce i wynieść z tego domu, w którym niewinne jej oczy mogły się otworzyć na zło i zepsucie. Demon jakiś szeptał mu wprawdzie chwilami do ucha, że i pan Osnowski tak wierzy, jak on, że dałby krew własną w zakład za uczciwość żony, że każde zwątpienie poczytałby także za profanację swej świętości. Lecz Zawilowski odpędzał ze zgrozą te podszepty. „Dość spojrzeć w jej oczy” — mówił sobie. I na samo wspomnienie o tych oczach, gotów był bić się w piersi, jakby ciężko zgrzeszył. Był też zły na siebie, że wyszedł, że nie doczekał pani Broniczowej i nie pokrzepił się widokiem Linety. Wspomnił teraz, jak przyciskał usta do jej dłoni, i jak ona, mieniąc się ze wzruszenia, mówiła mu: „Niech pan pomówi z cicią.” Ile było anielskiej prostoty i czystości w tych słowach! jaka prawość duszy, która, kochając, chce, by wolno jej było wobec całego świata kochać! Zawilowskiego, gdy o tem myślał brała ochota wrócić, czuł jednak, że nadto był wzburzony i że poprzedniej swej bytności, jeśli służący o niej wspomnieli, nie potrafiłby usprawiedliwić.

Potem znów mu stanął przed oczyma obraz Kopowskiego, klęczącego przed panią Osnowską, i zaczął się siebie pytać, co ma wobec tego robić i jak postąpić. Przestrzedz Osnowskiego? — myśl tę odepchnął od razu z oburzeniem. Zamknąć się z panią Anetą — i powiedzieć jej na cztery oczy kazanie? — wskaże mu drzwi. Przez chwilę przyszło mu do głowy zagrozić Kopowskiemu i wymóżyć na nim przyrzeczenie, że przestanie bywać w domu Osnowskich. Ale po chwili uznał, że i to na nic. Kopowski, jeśli ma choć trochę odwagi, zelży go, wyzwie — w takim razie on będzie musiał milczeć, a ludzie pomyślą, że awantura powstała z powodu panny Castelli. Zawilowskiemu było żal Osnowskiego, albowiem powziął dla niego szczerą przyjaźń, a z drugiej strony zbyt był młodym, by zgodzić się od razu z myślą, że zło i krzywda ludzka mają pozostać bezkarne. Ach, gdyby w tym razie mógł się kogo poradzić, naprzykład takiego Połanieckiego, albo Maryni! Ale nie mogło to być. I po dłuższym namyśle doszedł do przekonania, że należy mu wszystko pochować w sobie i milczeć.

Przytem, z namiętnej prośby Kopowskiego i z odpowiedzi pani Anety, wnosił, że zło mogło jeszcze nie przejść w zupełny upadek. Kobiet nie znał — ale naczytał się o nich niemało. Wiedział, że istnieją i takie, dla których forma złego ma więcej ponęty od jego istoty — to jest kobiety pozbawione zmysłu moralnego, ale też i temperamentu, mające

tyle samo pociągu do zakazanego romansu, ile niechęci do zupełnego upadku, słowem takie, które, niezdolne kochać nikogo, zawodzą zarówno mężów, jak i kochanków. Przypomniały mu się słowa jakiegoś Francuza: „Gdyby Ewa była Polką, byłaby urwała jabłko, ale nie byłaby go zjadła”. Podobnym typem wydała mu się pani Osnowska. Zło mogło być w niej równie płytkie, jak i dobro, i w takim razie zakazany stosunek mógł jej się prędko znudzić, zwłaszcza z takim Kopowskim.

Tu jednak Zawilowski tracił osnowę rozumowań i klucz do duszy pani Anety. Rozumiałby stosunek z każdym innym, ale nie z Kopowskim, z takim Cherubem o mózgu idyoty. „Pudel więcej rozumie, co się do niego mówi — myślał Zawilowski — i kobieta z takimi aspiracjami do rozumu, do wiedzy, do arcyzmu, do rozumienia wszelkich odcieni myśli i uczuć, może się poniżyć dla takiej pałuby!” Tego nie umiał sobie wytłumaczyć nawet tem, co o kobietach czytał.

A jednak rzeczywistość mówiła wyraźniej niż wszystkie książki, że tak było. Nagle przyszło na pamięć Zawilowskiemu, co mu mówił Osnowski, że bali się, iż „ten głup-tas może się mieć ku Castelce,” że panią Osnowską ogromnie to gniewało i że dlatego *montowała* jej głowę innym uczuciem. Więc jednak pani Osnowskiej chodziło o to, by Kopowski nie starał się o pannę Castelli — i by go zachować dla siebie. Tu Zawilowski drgnął nagle, bo uderzyła go myśl, że jeśli tak, to jednak Kopowski miał jakieś widoki powodzenia. I cień znowu przesłonił mu jasną postać Linety. Gdyby tak było, spadłaby w jego oczach do poziomu pani Osnowskiej. Przez chwilę uczuł gorycz w ustach, a ogień w mózgu. Zerwał się w nim gniew, jak wichur. Tego nie mógłby jej przebaczyć i samo podejrzenie otruloby go. Zatrzymawszy się znów na ulicy, czuł, że musi zdusić tę myśl w sobie, bo inaczej chyba oszaleje.

Jakoż zdusił ją tak dokładnie, że uznał się za ostatniego głupca, tylko dlatego, że mu mogła przyjść do głowy. Że panna Lineta nie była zdolna pokochać takiego Kopowskiego, najlepszy dowód był w tem, że pokochała jego — a obawy i podejrzenia pani Osnowskiej wypływały tylko z miłości własnej kobiety lekkiej i próżnej, która lęka się, by nie uznano innej za piękniejszą i bardziej ponętną od niej. Zawilowski miał teraz uczucie, że zepchnął kamień z piersi, który go gniótł. Począł też w duszy przepraszać znów na klęczkach swoją niepokalaną, i myśli jego o niej były już odtąd pełne miłości, uwielbienia i skruchy.

Uczył sobie jednak uwagę, jak zło, choćby przez kogo innego spełnione, rodzi zło — i ile szkaradnych myśli przeszło mu przez głowę dlatego tylko, że widział durnia u nóg wietrznicy. Uwagę tę zanotował sobie w pamięci.

W pobliżu domu spotkał Połanieckiego pod rękę z panią Maszkową, i tak już był zatruty dniem dzisiejszym, że przeszło mu przez myśl nagle podejrzenie. Ale Połaniecki poznał go przy świetle księżycy i latarni i widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, bo go zaczepił.

— Dobry wieczór — rzekł. — Co tak wcześniej dziś do domu?

— Byłem u pani Broniczowej, a teraz, ot tak, włóczę się, bo noc piękna.

— To wstąpcze pan do nas. Ja tylko odprowadzę panią — i wracam. Żona dość dawno pana nie widziała.

— Dobrze — rzekł Zawilowski.

I istotnie wzięła go ochota zobaczyć panią Połaniecką. Tyle się przez niego przewalilo uczuć i myśli, że czuł się zmęczony, a wiedział, że dobra i spokojna twarz pani Maryni podziela na niego w sposób kojący.

Po chwili też zadzwonił do Połanieckich i, wszedłszy, począł się po przywitaniu tłumaczyć, że przychodzi zaproszony przez męża, na co ona rzekła:

— Ale owszem, bardzo rada. Mój mąż odprowadza w tej chwili panią Maszkową, która mnie odwiedziła, ale wróci na herbatę. Pewno i państwo Bigielowie przyjdą, a może i mój ojciec, jeśli się nie wybrał do teatru.

To rzekłszy, wskazała mu miejsce przy stole, sama zaś, poprawiwszy ciemnik na lampie, zabrała się do roboty, którą była zajęta poprzednio, mianowicie do szycia kokardek z wąskich różowych i błękitnych wstążek, których pełno leżało przed nią.

— Co pani robi? — spytał Zawilowski.

— Kokardki. To się przyszywa na rozmaite ubrania.

Po chwili zaś dodała:

— Ale daleko ciekawsze jest, co pan robi? Czy pan wie, że już cała Warszawa żeni pana z Linetką Castelli. Widzieli was w teatrze, na wyścigach, widują na spacerach i ani ludziom wytłumaczyć, że to jeszcze nie zdecydowane.

— Bo — mówiłem zawsze z panią tak otwarcie — że i teraz powiem szczerze, że to już prawie zdecydowane.

A ona podniosła na niego ożywione uśmiechem i ciekawością oczy:

— Tak? A, to doskonała nowina! Niechże Bóg da panu takie szczęście, jakiego panu oboje życzymy.

Tu wyciągnęła do niego rękę, a potem, rozciekawiona, spytała:

— Mówił pan z Linetką?

Zawiłowski począł opowiadać, jak było, i przyznał się do swojej rozmowy z panną Castelli i z panem Osnowskim; potem, unosząc się stopniowo w opowiadaniu, wypowiadał się ze wszystkiego, co się w nim działo: jak z początku przypatrywał się, krytykował, walczył ze sobą, nie śmiał się spodziewać; jak starał się sam sobie wybić z głowy, a raczej z serca to uczucie — i jak nie mógł jednak mu się oprzeć. Zapewniał, że kilka razy obiecywał sobie przeciąć od razu znajomość, bywanie, ale za każdym razem sił mu brakło, za każdym razem spostrzegał ze strachem, że już cały świat, cały cel życia tam; że bez niej, bez panny Linety, nie wiedziałby, co z tem życiem zrobić — i wracał.

Zawiłowski nie mniej wprawdzie przypatrywał się, ale mniej krytykował i walczył z sobą, niż opowiadał. Mówił to jednak szczerze. Dodał w końcu, że obecnie wie już z pewnością, że kocha, nie swoje własne uczucie, uwięzione w pannie Linecie, ale ją samą, dla niej samej, i że to jest jego najdroższa w świecie głowa.

— Niech pani pomyśli — rzekł — inni mają rodziny, matki, siostry, braci; ja, poza moim nieszczęśliwym ojcem, nie mam nikogo — i dlatego wszelkie ludzkie miłości skupiły mi się w niej jednej.

— Tak! — rzekła Marynia. — To się musiało stać.

On zaś mówił dalej z coraz większym uniesieniem:

— Ale ciągle jeszcze zdaje mi się, że to sen, i nie może mi się w głowie pomieścić, żeby ona naprawdę została moją żoną. Czasem zdaje mi się, że to nie może być i że zajdzie coś takiego, że wszystko przepadnie.

Rzeczywiste uczucie potęgowało się w nim jeszcze przez egzaltację, do której więcej od innych ludzi był skłonny, i wreszcie począł drżeć nerwowo, a potem zakrył oczy ręką i mówił:

— Ot, widzi pani! muszę oczy zasłonić, żeby sobie to dobrze wyobrazić. Takie szczęście! takie bajeczne szczęście! Czegoż człowiek szuka i w życiu i w małżeństwie? — właśnie szczęścia! — a swoją drogą, to aż siły przerasta. Nie wiem, czym ja taki słaby, czy co? — ale szczerze mówię: czasem mi tchu nie staje.

Marynia położyła kokardkę na stole i złożony na niej ręce, przez chwilę patrzyła na niego, poczem rzekła:

— Bo pan jest poeta i nadto się unosi. Powinien pan patrzeć spokojniej. Niech pan posłucha, co powiem. Ja mam książeczkę po matce, w której, będąc chora i nie spodziewając się długo żyć, spisywała dla mnie, co uznała za dobre. O małżeństwie napisała mi coś, czego później nie słyszałam od nikogo i nie czytałam w żadnej książce: że nie po to powinno się wychodzić za mąż by być szczęśliwą, tylko po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada — i że szczęście, to tylko przydatek i podarek boży. Widzi pan, jakie to proste, a jednak doprawdy, że nietylko tego później nie słyszałam, ale nie widziałam, żeby ktoś, żeniąc się, albo wychodząc za mąż, więcej o tem myślał, niż o szczęściu. Niech pan o tem pamięta i niech pan powtórzy to Linetce — dobrze?

A Zawiłowski popatrzył na nią ze zdziwieniem:

— Wie pani, że to jest tak proste, iż istotnie nie przychodzi nikomu na myśl.

Ona zaś uśmiechnęła się — trochę smutno — i wzięwszy swoją kokardkę, poczęła ją zszywać znowu. Po chwili zaś powtórzyła:

— Niech pan to powie Linetce.

I szła dalej, wyciągając szybkim ruchem swoją wychudłą nieco rękę, wraz z igłą.

— Rozumie pan: jak się taką zasadę ma w sercu, to się ma wieczny spokój — weselszy, albo smutniejszy — jak Bóg da! — ale jednakowo głęboki. A bez tego, to tylko jakaś

gorączka szczęścia — i gotowe zawsze zawody, choćby dlatego tylko, że to szczęście może być insze, niż je sobie wyobrażamy.

I szyla dalej.

A on patrzył na jej pochyloną głowę, na jej migającą rękę, na jej robotę, słuchał jej głosu i zdawało mu się, że ten spokój, o którym mówiła, unosi się nad nią, napęnia całe powietrze, zwiesza się nad stołem, pali się łagodnie w lampie — i wreszcie wstępuje w niego.

Był tak zajęty sobą, swoją miłością, że ani mu w głowie nie powstało, że serce jej może być przytem smutne; natomiast przejmowało go jakby podwójne zdziwienie: naprzód, że te prawdy, które ona mówi, są takim a, b, c, iż powinny leżeć na samym wierzchu każdego umysłu, a powtóre, że, mimo to, jego własny umysł nie wydobyl ich jednak z siebie, a przynajmniej na nie nie baczył. „Co to jest — pomyślał — mądrość nasza, książkowa, w porównaniu z tą prostą mądrością prawego kobiecego serca!” Potem, przypomniawszy sobie panią Osnowską i spoglądając na Marynię, począł monologować: „Tamto kobieta i to kobieta!” I nagle przyszła na niego ogromna ulga; wszystkie rozkołysane myśli ułożyły się do poziomu. Czuł, że wypoczywa, patrząc na tę szlachetną istotę. „W Linecie — mówił sobie — jest taka sama cisza, taka sama prostota i taka sama prawość”.

Tymczasem nadszedł Połaniecki, a wkrótce potem Bigielowie, za którymi przyniesiono wiolonczelę. Przy herbacie Połaniecki mówił o Maszce. Sprawę o zwalenie testamentu prowadził Maszko z całą energią i postępowała naprzód, choć trudności jeżyły się na każdym kroku. Adwokat, stojący ze strony instytucji dobroczynnych, ów młody Śledź, którego Maszko obiecywał opieprzyć, podlać oliwą i zjeść — okazał się nie tak łatwym do zjedzenia, jak się zdawało. Połaniecki słyszał o nim, jako o człowieku zimnym, upartym, a jednocześnie jak o biegłym prawniku.

— Co jest przytem zabawne — rzekł — że Maszko, jak to Maszko, uważa się za jakiegoś patrycyusza, który walczy z plebejuszem i mówi, że to będzie próba: jaka krew tęższa. Szkoda, że Bukasio nie żyje, bo sprawiłoby mu to uciechę.

— A Maszko ciągle jeszcze w Petersburgu? — spytał Bigiel.

— Dziś wraca. Ona dlatego nie mogła zostać na wieczór — odpowiedział Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Ja miałem do niej w swoim czasie uprzedzenie, ale przekonywam się, że to niezła kobiecina, a przytem biedna.

— Czemu biedna? Jeszcze pan Maszko sprawy nie przegrał — rzekła pani Bigielowa.

— Ale on ciągle przesiaduje za domem. Matka pani Maszkowej jest w zakładzie oftalmicznym w Wiedniu i podobno całkiem oczy traci, a ona siedzi po całych dniach sama, jak pustelnica. Mówię, że miałem do niej uprzedzenia, ale teraz mi jej żal.

— Prawda — rzekła Marynia — że ona, od czasu jak wyszła za mąż, stała się daleko sympatyczniejsza.

— Tak — odpowiedział Połaniecki — i przytem nic nie straciła wdzięku. Szpeciły ją dawniej czerwone oczy, a teraz jej to przeszło — i zawsze taka panienkowata, jak była.

— Niewiadomo tylko, czy Maszko z tego równie zadowolony — odrzekł Bigiel.

Lecz Marynię korciło, by powiedzieć obecnym nowinę o Zawilowskim; ponieważ jednak nie był jeszcze urzędownie zaręczonym, więc nie wiedziała, czy można. Ale, gdy po herbacie pani Bigielowa poczęła go wypytować, jak „sprawa” stoi, a on sam odrzekł, że jest prawie ukończona, wtrąciła i pani Marynia swoje słówko, oznajmiając obecnym, że sprawa stoi w ten sposób, iż mogą składać panu Zawilowskiemu życzenia. Wówczas wszyscy poczęli go ścisnąć za ręce, z tą prawdziwą przyjaźnią, jaką dla niego mieli — i wszystkich ogarnęła szczerą wesołość. Bigiel pocałował z radości panią Bigielową, Połaniecki rozkazał przynieść kieliszki i butelkę szampana, by wypić zdrowie „najwybijalszej pary” w Warszawie, pani Bigielowa poczęła przekomarzać się z Zawilowskim, przewidując naprzód, co to będzie za gospodarstwo poety i malarki; Zawilowski śmiał się, ale zarazem był naprawdę wzruszony tem, że jego marzenia poczynają być czemś realnem.

W chwilę później, Połaniecki, trącając się z nim, rzekł:

— Szczęść Boże, a ja dam panu tylko jedną radę: co masz w sobie poezji, to kładź w dzieło, w robotę, a w życiu bądź realistą i pamiętaj, że małżeństwo, to nie rom...

Lecz nie mógł dokończyć, bo pani Marynia położyła mu nagle rękę na ustach i rzekła, śmiejąc się:

— Cicho, ty mądra głowo!

A potem do Zawilowskiego:

— Niech pan nie słucha tego sensata, niech pan nie tworzy sobie żadnych teorii z góry, tylko niech pan kocha.

— Tak, pani, tak! — odpowiedział Zawilowski.

A Połaniecki, drażniąc się, dodał:

— To kup pan sobie w takim razie harfę...

Ale, na wspomnienie o harfie, Bigiel chwycił swoją wiolonczelę, mówiąc, że taki wieczór trzeba skończyć muzyką; Marynia siadła do fortepianu i po chwili poczęła serenadę Händla. Zawilowski miał wrażenie, że dusza z niego wychodzi, bierze te łagodne tony w siebie i leci wśród nocy, kołysać nimi do snu Linetę. Późnym wieczorem wyszedł, jakby pokrzepiony widokiem tych zacnych ludzi.

III

A Marynia miała już spokój — „taki, jaki Bóg dał” — ale rzeczywiście głęboki. Wielką pomocą w odzyskaniu jego był ów zagrobowy głos, owa poźółkła już przez lata książeczka, w której wyczytała: „Nie po to powinno się wychodzić za mąż, by być szczęśliwą, ale po to, by spełnić te obowiązki, które Bóg wówczas wkłada”. Marynia, która często zaglądała do tej książeczki, nieraz poprzednio odczytywała te słowa, ale prawdziwego znaczenia nabrały one dla niej dopiero w ostatnich czasach, wśród tego procesu duchowego, przez który przechodziła od powrotu z Włoch. Skończył się on w ten sposób, że nietylko pogodziła się z losem, ale obecnie nie dopuszczała nawet myśli, że jest nieszczęśliwa. Powtarzała sobie, że jest to szczęście inne wprawdzie, niż sobie wyobrażała, ale nie mniej rzeczywiste. Zapewne, że gdyby jej Bóg dał moc rządzenia sercami ludzkiemi, toby chciała, żeby „Stach” okazywał jej — nie więcej czci — ale więcej takiej tkliwości, do jakiej był zdolny i jaką okazywał był w swoim czasie Litce; żeby uczucie jego dla niej mniej było trzeźwe, żeby było w niem to jakieś ziarno poezji, którą miała jej miłość. Ale z drugiej strony, naprzód, gdzieś, w jakimś kąciку serca żywiła zawsze nadzieję, że to przyjsć może, a powtóre, myślała w duszy, że gdyby nawet nie przyszło, to i tak powinna Bogu dziękować, że jej dał człowieka dzielnego i prawego, którego mogła nietylko kochać, ale i cenić. Nieraz zastanawiała się, z kimby go tu porównać — i nie umiała znaleźć nikogo, ktoby porównanie wytrzymał. Bigiel był zacny człowiek, ale nie miał tego polotu; Osnowskiemu, przy całej jego dobroci, brakło tej dzielności życiowej i brakło pracy; Maszko był istotą we wszystkim stokroć niższą; Zawilowski wydawał jej się raczej genialnym dzieckiem, niż mężczyzną — słowem: z porównań Stach wychodził zawsze zwycięsko — i jedynym ich rezultatem zawsze było, że czuła do niego coraz większe zaufanie życiowe i coraz więcej go kochała. Przytem, ograniczając siebie, poddając mu swoje ja, przynosząc na ofiarę swoje rojenia i swój egoizm, miała poczucie, że coraz więcej wyrabia się duchowo, że się doskonali, że staje się lepszą, że nie schodzi na żaden niż, ale wstępuje na jakieś wyżyny, skąd duszy bliżej do Boga — i nagle spostrzegła, że w takim poczuciu leży cały świat szczęścia. Połaniecki często bywał teraz za domem, więc ona często zostawała sama i nieraz rozumowała z wielką prostotą uczciwej kobieciny: „Przecież człowiek powinien się starać, by być coraz lepszy, a jeżeli ja nie jestem gorsza, niż byłam — to i dobrze! Gdyby było inaczej, tobym się może popsuka!” Nie przychodziło jej jednak na myśl, że jest w tem więcej mądrości, niż naprzykład we wszystkich myślach i powiedzeniach pani Osnowskiej. Wydało jej się też naturalnem, że tymczasem ma dla „Stacha” mniej powabu, niż przedtem. Od tego miała duże lustro, w które spoglądając, mówiła sobie: „No, oczy się nie zmieniają, ale co to za figura! co za twarz! Ja, żebyym była Stachem, tobym uciekla z domu!” I myślała nieprawdę, bo nie byłaby uciekla, ale zdawało jej się, że w ten sposób powiększa zasługę Stacha. Dodawały jej też otuchy słowa pani Bigielowej, że potem będzie jeszcze ładniejsza, „zupełnie, jak jaka dziewczyna”. I chwilami wzbierała w jej sercu radość i wdzięczność, że tak wszystko mądrze urządzone, iż z początku jest się trochę brzydszą, potem trzeba trochę przecierpieć, a jeszcze potem, nietylko, że wszystko wraca, ale w nagrodę ma się jeszcze „bobo” kochane, które i z życiem wiąże, i nowy węzeł

między żoną a mężem wytwarza. W ten sposób miewała chwile nietylko spokoju, ale i wprost wesołości — i kiedyś rzekła pani Bigielowej:

— Wiesz, co ja myślę, że zawsze można być szczęśliwą, tylko trzeba się Boga bać.

— Co to się ma jedno do drugiego? — spytała pani Bigielowa, która od męża przejęła się zamiłowaniem jasności w rozumowaniu.

— A to — odpowiedziała Marynia — żeby poprzestawać na tem, co On daje i nie dręczyć Go, że nie dał tego, co nam się zdawało najlepsze.

Potem dodała wesoło:

— Nie nudzić, nie nudzić!

I obie poczęły się śmiać.

Nieraz też, w troskliwości, niemal przesadnej, jaką Połaniecki okazywał żonie, znać było wyraźnie, że mu głównie chodzi o dziecko; ale Marynia nie miała mu już tego za złe. Poprawdzie, nie miała nigdy; obecnie jednak gotowa była uważać to za jego zasługę, albowiem powiedziała sobie, że teraz jest obowiązkiem ich obojga dbać przedewszystkiem o dziecko, jako o przyszłe wspólne kochanie. Tak zrzekając się z każdym dniem czegoś z własnego egoizmu, zyskiwała coraz większy spokój, coraz większą pogodę, która odbijała się w jej oczach, tak cudnych, jak nigdy przedtem. Gotowa była i pod tym względem zgodzić się z wolą boską, ale trochę się bała Stacha — i pewnego dnia spytała go, żartując:

— Stachu, a nie wybijesz, jak będzie syn?

— Nie — odpowiedział, śmiejąc się i całując ją w rękę — ale wolałbym, żeby była córka.

— A ja słyszałam od pani Bigielowej, że panowie zawsze wolą chłopców.

— A ja jestem taki pan, który woli dziewczynę.

Nie zawsze jednak myśli jej były tak wesołe. Chwilami przychodziło jej do głowy, że może umrzeć, bo wiedziała, że się to zdarza, i modliła się gorąco, żeby się tak nie stało; bo naprzód bała się śmierci, powtóre żalby jej było odchodzić, choćby do nieba, wówczas, gdy zapowiadało jej się tyle kochania, a nakoniec wyobrażała sobie, że Stach ogromnieby jej jednak żałował. I na tę myśl rozczuła się nad nim tak, jakby już obecnie był człowiekiem najgodniejszym politowania ze wszystkich nieszczęśliwców na świecie. Nigdy też nie mówiła z nim o tem, chociaż zdawało jej się, że on sam czasem się tego obawia.

I myliła się najzupełniej. Doktorka, która odwiedzała co tydzień Marynię, zapewniała za każdym razem i ją i Połanieckiego, że wszystko jest i postępuje najprawidłowej, skutkiem czego Połaniecki nie miał żadnej obawy o życie żony. Powodem jego niepokoju było zgoła co innego, czego Marynia, na szczęście dla siebie, ani się dotąd domyślała, a czego sam Połaniecki nie śmiał wyraźnie nazwać. Oto od niejakiego czasu poczęło mu się coś psuć w życiowych rachunkach, z których był tak dumny i które dawały mu taką wewnętrzną pewność siebie. Przed niedawnym jeszcze czasem uważał, że jego teorye życiowe są jak dom, zbudowany z tegich bierwion i wsparty na potężnych fundamentach. W duszy pysznił się tym domem, a po cichu wywyższał się nad tych, którzy nie umieli sobie nic podobnego zbudować. Krótko mówiąc, uważał się za lepszego życiowego majstra od innych. Sądził także, że robota jest skończona od góry do dołu — tylko wejść, zamieszkać i wypoczywać! Zapomniał, że dusza ludzka, jak ptak: gdy wzbije się na pewną wysokość, nietylko nie wolno jej spocząć, ale musi tego skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać. Inaczej pierwsza lepsza pokusa przyciągnie ją ku ziemi.

Im zaś pokusa była lichsza i marniejsza, tem większa brała się na siebie złość, że jednak jej ulega. Poziomy przedmiot i płaska żądza! — nie było się nawet czem przed sobą wytłómaczyć. A pomimo tego ściany domu poczęły się rysować. Połaniecki był obecnie człowiekiem religijnym — i to z przekonania, miał zaś za dużo szczeroci wobec siebie samego, by wejść w układ ze swemi zasadami i powiedzieć sobie, że nawet najbardziej wierzącym ludziom, zdarzają się podobne sprawki. Nie! Był on z natury człowiekiem dość bezwzględny i logika mówiła mu: „albo, albo!” — czuł zaś, że tak mówi słusznie. Pokusie dotąd nie uległ, lecz gniewało go już to samo, że ją ma, albowiem prowadziło go do zwątpienia o własnym charakterze. Uważając się za lepszego od innych, nagle stanął wobec pytania, czy nie jest lichszym od innych, bo jednak pokusę nietylko miał, ale czuł, że w danym razie mógłby się jej poddać.

Nieraz, patrząc na panią Osnowską, powtarzał sobie zdanie Konfucjusza: „Kobieta zwyczajna ma tyle rozumu, co kura; kobieta nadzwyczajna — tyle, ile dwie kury” — na widok zaś pani Maszkowej przychodziło mu do głowy, że są kobiety, względem których ta oburzająca prawda chińska jest jeszcze pochlebstwem. Gdybyż przynajmniej można było powiedzieć o pani Maszkowej, że jest szczerze głupia, stanowiłoby to pewien jej rys indywidualny. Ale ona była żadna. Kilkanaście lub kilkadziesiąt formułek uczyniło z niej przyzwoitą nicłość. Równie jak dwieście lub trzysta wyrazów stanowi cały język mieszkańców Nowej Gwinei i zaspakaja wszystkie ich potrzeby, tak owe formułki wystarczały pani Maszkowej do stosunków towarzyskich, do myślenia i życia. Zresztą była bezdennie bierna, z tym odcieniem automatycznej powagi, jaką wytwarza ciasnota umysłowa i ślepa wiara, że gdy się zachowuje odpowiednie formy, nie można błędzić. Połaniecki taką ją znał i taką nieraz wyśmiewał, jeszcze jako pannę. Nazywał ją lalką, manekinem, miał do niej złość za owego lekarza, który dla niej zmarniał gdzieś, gdzie pieprz rośnie — lekceważył ją i nie lubił jej. Ale nawet i wówczas, ilekroć ją widział, czy to u Bigielów, czy gdy w sprawie Maszki chodził do pani Krasławskiej, zawsze wracał pod fizycznym jej wrażeniem, z którego doskonale zdawał sobie sprawę. Ta zgaszona twarz, ów bierny, roślinny spokój jej wyrazu, ów chłód w zachowaniu się, owe zaczerwienione częstokroć oczy, owe wysmukłe kształty, miały w sobie coś, co go niezwykle pociągało. Tłómaczył to sobie wtedy jakimś prawem naturalnego doboru, i określiwszy rzecz technicznie, poprzestawał na tem, albowiem wrażenie, jakie czyniła na nim Marynia, było jeszcze większe, więc za niem poszedł. Ale obecnie Marynia była jego i oswoił się z jej pięknnością, która zresztą na czas pewien znikła; złożyło się zaś tak, że z powodu częstych wyjazdów Maszki, widywał panią Maszkową prawie codziennie, skutkiem czego dawne wrażenia nietylko odżyły, ale, w warunkach, w jakich znajdował się Połaniecki ze względu na Marynię, odżyły z niespodzianą potęgą. I stało się wreszcie, że on, który nie zgodził się być paskiem do ostrzenia się dla dziesięć razy piękniejszej i bardziej uroczej pani Osnowskiej, on, który się oparł jej rzymskim fantazyom, on, który uważał się za człowieka zasad, silniejszego charakterem i tęższego umysłem od innych ludzi, spostrzegł teraz, że gdyby pani Maszkowa chciała trącić nóżką w ów gmach, to wszystkie jego wiązania mogłyby się rozluźnić, i pułap mógł mu spaść na głowę. Zapewne — nie przestałby żony kochać, bo się do niej szczerze i głęboko przywiązał — ale czuł, że byłby w stanie ją zdradzić — i to nietylko ją, ale siebie samego, swoje zasady, swoje pojęcia o tem, jakim uczciwy i moralny człowiek być powinien. Z pewnym przestachem, a zarazem i ze złością, odnalazł w sobie nietylko zwierzę ludzkie, ale i słabe zwierzę. Niepokoił się tem, buntował się przeciw owej słabości, a jednak nie mógł jej zmódrz. Prostą rzeczą było wobec tego nie widywać pani Maszkowej, lub widywać ją jak najrzadziej — on tymczasem wynajdywał powody, by ją widywać jak najczęściej. Z początku chciał się sam nimi uspić, ale wobec wrodzonej mu szczerości wewnętrznej, było to niemożliwe i kończyło się na tem, że tylko sobie wymyślał. Natomiast oszukiwał nimi żonę i kogo wypadło. Gdy był razem z panią Maszkową, nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią, od obejmowania wzrokiem jej twarzy i całej postaci. Brała go chorobliwa ciekawość, jakby ona znalazła się w razie, gdyby wobec niej wydał się z tem, co się w nim działo, coby wówczas rzekła — i lubował się mimowoli w przypuszczeniach, że zachowałyby się zupełnie biernie. Z góry nią za to pogardzał, ale tem bardziej stawała mu się pożądaną. Odkrywał w sobie całe góry zepsucia, które przypisywał swemu długiemu pobytowi zagranicą i, mając się dotychczas za niepożytą i zdrową naturę, poczynął się niepokoić, czy się na sobie nie pomylił i czy owo dziwne wrażenie, jakie czyniła na nim istota tak mało ponętna, nie jest objawem jakiejś newrozy, toczącej go mimo jego wiedzy. Nie przyszło mu do głowy, że mogą istnieć takie nawet stany, w których dusza męska kobietą wprost pogardza, a zwierzę ludzkie tęskni do niej.

W niej zaś instynkt zastępował bystrość; nie była już zresztą dość naiwną, by nie rozumieć, co znaczył jego ślizgający się po jej postaci wzrok, lub co wyrażały jego oczy, gdy rozmawiając z nią, zwłaszcza gdy byli sami, patrzył z pewnym uporem w jej twarz. I naprzód doznała pewnego zadowolenia miłości własnej, jakiemu trudno się oprzeć nawet kobiecie uczciwej, gdy widzi wywierane przez siebie wrażenie, gdy czuje się wyróżnioną, bardziej pożądaną od innych — słowem: zwycięską. Poza tem gotowa była nie uznawać i nie widzieć niebezpieczeństwa, jak nie chce go widzieć kuropatwa, gdy chowa głowę

w śnieg, czując krążącego nad sobą jastrzębia. Tym śniegiem były dla pani Maszkowej pozory. I Połaniecki to czuł. Wiedział jeszcze z kawalerskiego doświadczenia, że są kobiety, którym przedewszystkiem chodzi o ocalenie pewnych, często nawet dziwaczkich, pozorów. Pamiętał takie, które wybuchły oburzeniem, gdy mówił do nich po polsku to, czego słuchały z uśmiechem po francusku; spotykał i takie, które były jak nieprzystępne twierdze u siebie w domu i w mieście, a jak wolne miasta na letnich mieszkaniach, na wodach, lub w kąpielach — i takie, które znosiły zamach, a nie znosiły słów — i takie, dla których rozstrzygającą rzeczą było światło i ciemność. Wszędzie, gdzie uczciwość nie płynęła z duszy i z zasad, wszczepionych jak ospa w krew, opór lub upadek zależały od przypadku, od otoczenia, od zewnętrznych, nieraz błahych, warunków, od osobistych pojęć o pozorach przyzwoitości. Sądził, że takby być mogło i z panią Maszkową, i jeśli nie wszedł dotychczas na drogę prób i doświadczeń, to tylko dlatego, że walczył sam z sobą, że się nie chciał poddać i że, pogardzając nią na dnie duszy, pragnął uniknąć pogardy dla siebie. Hamowało go też przywiązanie do Maryni i współczucie, jakby pomieszane z czcią dla jej stanu, i wdzięczność dla niej, i nadzieja ojcowstwa, którą się wzruszał, i pamięć na krótkość czasu, który ze sobą przeżyli, i uczciwość, i uczucia religijne. Były to niby łańcuchy, na których trzymał jeszcze szarpiące się zwierzę ludzkie.

Nie trzymał jednak z równą zawsze siłą. Raz, a mianowicie tego wieczora, w którym spotkał ich Zawilowski, o mało się nie zdradził. Na myśl, że Maszko wraca i że pani Maszkowa dlatego śpieszy do domu, ogarnęła go nagle niska, czysto fizyczna zazdrość, i rzekł z pewną złością, tłumioną, ale wyraźną:

— Tak! rozumiem pani pośpiech! Ulisses wraca, więc Penelopa musi być w domu, ale...

Tu uczuł ochotę kłąć.

— Ale co? — spytała pani Maszkowa.

Połaniecki zaś odrzekł bez żadnego zastanowienia:

— Właśnie dziś chciałbym panią dłużej zatrzymać!

— Nie wypada! — odpowiedziała krótko, swoim jakby precedzonym przez drobne sitko głosikiem.

I w tem: „nie wypada!” była cała jej dusza.

On wrócił, klęcząc naprawdę ją i siebie, a wróciwszy, zastał w jasnym, spokojnym pokoju Marynię z Zawilowskim, dowodzącą, że w małżeństwie winno się szukać nie jakiegoś urojonego szczęścia, ale obowiązków, które Bóg wówczas wkłada.

IV

— Co mi pani Osnowska i co mi jej wszystkie sprawki? — mówił sobie nazajutrz Zawilowski, idąc do pani Broniczowej — ja nie żenię się z panią Osnowską, tylko z *tą moją!* Po com ja się wczoraj tak szarpał i dręczył?

I rzekłszy to do „swojej duszy wyniosłej”, począł już tylko myśleć o tem, co powie pani Broniczowej, albowiem, mimo upewnień Osnowskiego, mimo wszelkiej nadziei, że ta rozmowa będzie tylko jakąś formą, którą trzeba wypełnić, mimo zaufania do serca Linety i dobroci pani Broniczowej, „wyniosła dusza” była w strachu. Został obie panie razem — i już, ośmielony dniem wczorajszym, przycisnął do ust rękę Castelki, która spłoniwszy się leciuchno, rzekła:

— A ja uciekam!

— Niteczko, zostań! — rzekła pani Broniczowa.

— Nie — odpowiedziała — boję się i tego pana, i cioci.

Tak mówiąc, poczęła się ocierać swoją złotawą główką, jak rozpieszczona kotka, o ramię pani Broniczowej, powtarzając:

— Ciociu, nie zrób mu krzywdy! nie zrób mu krzywdy!

I spojrzawszy na niego, uciekła rzeczywiście. Zawilowski ze wzruszenia i nadmiaru miłości błady był jak płótno, a pani Broniczowa miała łzy na rzęsach.

I widząc, że on gardło ma tak ściśnięte, że łatwiejby mu było płakać, niż mówić, rzekła:

— Ja wiem, po co pan przychodzi. Widziałam ja od dawna, co się w was dzieje, moje dzieci...

Zawilowski chwycił jej ręce i począł je kolejno do ust przyciskać, ona zaś mówiła dalej:

— Och, ja sama w życiu zbyt wiele czułam, żebym się nie miała znać na prawdziwych uczuciach — powiem więcej: to moja specyalność! Kobiety żyją tylko sercem i umieją serce odgadywać. Wiem, że pan Niteczkę prawdziwie kocha i jestem pewna, że, gdyby ona pana nie kochała, lub gdybym ja jej panu odmówiła, toby pan tego nie przeżył — prawda?

Tu poczęła patrzeć na niego pytającym wzrokiem, on zaś rzekł z wysileniem:

— Niechybnie pani! Nie wiem, co by się ze mną stało!

— A co? ja to zaraz odgadłam! — odrzekła z rozpromienioną twarzą. — Ach, mój drogi panie, mnie dość spojrzeć! — to też nie będę złym duchem dla pańskiego geniuszu. Nie! ja tego nie zrobię, ja nie mogę tego zrobić! Kogo ja znajdę dla Niteczki? gdzie człowiek, któryby jej był wart? któryby miał w sobie to wszystko, co ona głównie kocha i ceni? Ja jej nie mogę oddać za takiego Kopowskiego i nie oddam, panie! Pan Niteczki może tak dobrze nie zna, jak ja, ale ja nie mogę i nie oddam!

Zawiłowskiego, mimo całego wzruszenia, zdziwiła ta energia, z jaką pani Broniczowa odmawiała ręki „Niteczki” Kopowskiemu, tak, jak gdyby on właśnie Kopowskiego, nie siebie, oświadczał, ciocia zaś mówiła dalej, wzruszona, ale widocznie lubująca się we własnych słowach i w położeniu:

— Nie! o Kopowskim mowy być nie mogło! Pan jeden potrafi uszczęśliwić Niteczkę. Pan jeden potrafi jej dać to, czego ona potrzebuje. Ja już od wczoraj wiedziałam, że pan będzie ze mną dziś mówił... Przez całą noc ani oka nie zmrzyłam. Niech się pan nie dziwi. Tu przecież o Niteczkę chodzi! — więc wahałam się jeszcze! Strach mnie brał przed dzisiejszą rozmową, bom z góry wiedziała, że się panu nie oprę, że pan porwie mnie swoim uczuciem i swoją wymową, tak jak wczoraj porwał pan Niteczkę...

Zawiłowski, który ani wczoraj, ani dziś, nie umiał słowa wybąkać, nie mógł jakoś zdać sobie sprawy, w czym właściwie leżała siła jego wymowy i kiedy miał czas z nią się popisać; lecz pani Broniczowa nie pozwoliła mu zastanowić się dłużej nad tem pytaniem:

— I wie pan, co zrobiłam? Oto, co zawsze czynię w najważniejszych chwilach życia. Rozmówiwszy się wczoraj z Niteczką, poszłam dziś rano na grób męża. On tu leży, w Warszawie... (Nie wiem, czy panu mówiłam, że on był ostatnim z Rury... a tak! mówiłam!) Ach, drogi panie, co to dla mnie za ucieczka ten grób — i ile już wyniosłam stamtąd dobrych natchnień!... Czy chodziło o edukację Niteczki, czy o jaką podróż, czy o lokatę kapitałów, które mąż mi zostawił, czy o pożyczkę, której ktoś z krewnych, albo znajomych żądał, ja zawsze tam, jak w dym! I da pan wiarę? Nieraz, hipoteka, zdaje się, dobra, interes doskonały, nieraz nawet serce nakazuje dać, lub pożyczyć — a mąż, tam z głębi wiekuistego spoczynku, powiada: „Nie daj!” — i nie dawałam! I nigdy źle na tem nie wyszłam! Ach, drogi panie! pan, który wszystko czuje i rozumie, pan pojmie, jak się dziś modliłam, jak ze wszystkich sił duszy pytałam: „Dać Niteczkę, czy nie dać Niteczki?”

Tu chwyciła go rękoma za skronie i zawołała przez łzy:

— Ale mój Teodor odpowiedział: „Dać!” — więc ci ją daję — i moje błogosławieństwo w dodatku!

Łzy zgasiły istotnie dalszą wymowę pani Broniczowej. Zawiłowski klęknął przy niej, panna „Niteczka”, która weszła, jakby na umówioną chwilę, rzuciła się przy nim na kolana, pani Broniczowa zaś, wyciągnąwszy ręce, mówiła, łkając:

— Ona twoja! twoja! Daję ci ją ja — i daje Teodor!

Potem wstali we troje. Ciocia nakryła oczy chustką i pozostała bez ruchu; zwolna jednak poczęła nieco uchylać chustki, spoglądać z boku na oboje młodych; nagle rozśmiała się i, grożąc im palcem, rzekła:

— Oj, wiem ja, czego by się wam teraz chciało! Chcielibyście zostać sami. Pewno macie sobie teraz coś do powiedzenia — prawda?

I wyszła. Zawiłowski wziął wówczas ręce panny Castelli i patrzył z upojeniem w jej oczy.

Poczem siedli, i ona, pozostawiwszy swoje dłonie w jego rękach, oparła skroń na jego ramieniu. Była to jakby pieśń bez słów. Zawiłowski począł pochylać głowę ku jej jasnej twarzy, Lineta przymknęła oczy, ale on był zbyt młody, zbyt nieśmiały, nadto czcił i kochał, więc nie odważył się jeszcze dotknąć ustami ust, tylko całował jej złotawe włosy — a i tak, pokój, w którym siedzieli, począł się z nim kręcić, ziemia poczęła się kręcić; potem wszystko znikło mu z przed oczu, stracił pamięć, gdzie jest, co się z nim dzieje,

słyszał tylko bicie własnego serca, czuł woń tych jedwabnych włosów, które muskały jego wargi, i zdało mu się, że w tem jest świat.

Lecz to był tylko sen, z którego trzeba się było zbudzić. Po pewnym czasie ciocia poczęła uchylać lekko drzwi, jakby chcąc jak najmniej stracić z romansu, w którym odegrała, przy pomocy Teodora, rolę opiekuńczego ducha; w przyległym pokoju ozwały się głosy państwa Osnowskich i w chwilę później panna Castelli znalazła się w ramionach cioci, z których przeszła w objęcia pani Anety, Osnowski zaś, ściskając ze wszystkich sił ręce Zawilowskiego, mówił:

— A jaka radość w domu, jaka radość! — bośmy cię tu wszyscy szczerze pokochali: ja, i ciocia, i Anetka, nie mówiąc już o tej malej.

Poczem zwrócił się do żony i rzekł:

— Wiesz, Anetko, czego ja Ignasiowi jeszcze wczoraj życzyłem? — żeby im tak było ze sobą, jak nam!

I chwyciwszy jej ręce, począł je namiętnie całować. Zawilowski, jakkolwiek wogóle nie wiedział, co się z nim dzieje, odzyskał jednak o tyle przytomność, że spojrzał w twarz pani Anety; lecz ona odrzekła wesoło, odbierając mężowi ręce:

— Nie! Im będzie lepiej, bo Castelka nie taki trzpiot, jak ja, a pan Zawilowski nie będzie jej tak natarczywie całował rąk przy ludziach. No, Józiu, puść!

— Niech ją tylko tak kocha, jak ja ciebie, mój skarbie, moja dziecinko! — odpowiedział rozpromieniony Józio.

Zawilowski tego dnia został aż do wieczora u pani Broniczowej i nie poszedł wcale do biura. Po śniadaniu wyjechali powozem wraz z ciocią i panną Linetą, pani Broniczowa bowiem chciała ich koniecznie światu pokazać. Przejazdzka w Aleje niezupełnie się jednak udała z powodu krótkiego, nawalnego dżdżu, który rozpędził powozy. Po powrocie, pan Osnowski, poczciwy jak zawsze, postawił nowy wniosek, który Zawilowskiego uszczęśliwił:

— Przytułów nam nie ucieknie — rzekł — mieszkamy tu i tak, jakby w pół na wsi, a że dosiedzieliśmy do końca czerwca, więc możemy posiedzieć jeszcze parę dni. Niechże ta zakochana para zamieni pierścionki przed wyjazdem, a przytem, niech nam z Anetką wolno będzie wyprawić im zaręczynowy wieczorek. Dobrze, ciociu? Widzę, że oni nic nie mają przeciw temu, a Ignasiowi będzie pewno przyjemnie mieć na zaręczynach swoich blizkich, państwa Połanieckich, państwa Bigielów... u tych ostatnich wprawdzie nie bywamy, ale to nie! Jutro będziemy u nich z wizytą i rzecz się załatwi. Dobrze, Ignasiu? dobrze, ciociu?

Ignas był oczywiście w siódmym niebie; co do cioci, nie wiedziała wprawdzie, jakiego zdania byłby pod tym względem Teodor — i poczęła się wahać. Ale naprzód, można było Teodora jeszcze o to zapytać, a powtóre, przypomniała sobie, że tak wielkim głosem odpowiedział ze swego miejsca wiekuistego spoczynku: „Dać!” że niepodobna było mieć wątpliwości co do jego dobrych chęci — w końcu więc zgodziła się na wszystko.

Po obiedzie nadszedł codzienny niemal gość, Kopowski — i okazało się, że był jedyną istotą w willi, której wieść o uczuciach i zaręczynach młodej pary nie sprawiła radości. Twarz jego wyrażała przez jakiś czas niewypowiedziane osłupienie, w końcu zaś rzekł:

— A ja, tobym się nigdy nie był domyślił, że panna Lineta pójdzie za pana Zawilowskiego.

Pan Osnowski zaś, trąciwszy łokciem Zawilowskiego, przymrużył oko i rzekł mu po cichu z wielce przebiegłą miną:

— Uważałeś? Ja ci wczoraj jeszcze mówiłem, że on się podkochuje w Castelce.

Zawilowski opuścił późnym wieczorem willę Osnowskich. Wróciwszy do siebie, nie zabrał się jednak do wierszy — choć zdawało mu się teraz, że jest jakąś harfą, której struny dźwięczą same przez się — ale do biurowej korespondencji i do rachunków, których we dnie nie mógł odrobić.

W biurze ujęło to wszystkich tak dalece, że gdy państwo Bigielowie po wizycie Osnowskich byli u nich z rewizytą, a zarazem z pierwszemi odwiedzinami u pani Broniczowej, Bigiel rzekł:

— Co są warte wiersze pana Zawilowskiego, to paniom wiadomo, ale może panie nie wiedzą, jaki to sumienny człowiek. Ja mówię dlatego o tem, że to u nas rzadka rzecz. Wtedy, jak tu u pań bawił cały dzień i nie mógł być w biurze, to je sobie kazał w nocy

otworzyć dyżurnemu, zabrał książki i listy do domu i odrobił, co do niego należało. To miło pomyśleć, że się ma z takim człowiekiem do czynienia, bo takiemu można ufać.

Tu jednak zacny spółnik Domu pod firmą Bigiel i Połaniecki, zdziwił się, że tak wysoka pochwała z jego ust tak małe uczyniła wrażenie i że pani Broniczowa, zamiast okazać radość, odrzekła:

— Ach, mamy nadzieję, że w przyszłości pan Zawilowski będzie się mógł oddać pracy odpowiedniejszej jego pozycji i zdolnościom.

Wogóle wrażenie, jakie obie strony odniosły z poznania się, dowodziło, że obydwom było ze sobą jakoś nieswojo. Bigielom podobala się wprawdzie panna Lineta, ale on, odchodząc, szepnął żonie: „Jak oni tu sobie wygodnie żyją”. Miał poczucie, że duszą tej całej willi jest jakby ciągle świętowanie, czyli próżniactwo, ale nie miał daru prędkiego wyrażania swych myśli.

Pani Broniczowa, po ich odejściu, mówiła do panny Castelki:

— Zapewne, zapewne!... To muszą być wyśmienici ludzie — tak!... Doskonali ludzie! jestem pewna... Tak!... zapewne!...

I jakoś nie kończyła swej myśli, ale „Niteczka” musiała ją jednak zrozumieć, albowiem odrzekła:

— Przecie to nie żadni jego krewni.

Ale w kilka dni później odezwali się i krewni. Zawilowski, który dotąd, mimo życzenia pani Broniczowej, nie był z przeprosinami u starego pana Zawilowskiego, odebrał od niego list następujący:

— „Panie Żbiku! Podrapałeś mnie niesłusznie, bo ja cię nie chciał obrazić, a że mówię zawsze to, co myślę, to mi wolno, bom stary. Musieli ci też powiedzieć, że ja twojej pannie w oczy nie mówię inaczej, jak „Póldyablę weneckie”. Ale Bóg cię tam wiedział, że się kochasz i żenisz. Ja się o tem wczoraj dopiero dowiedział i teraz dopiero rozumiem, czemuś mi skoczył do oczu; ale że wołę paliwodów, niż ciemiągów, a nie mogę przez tę dyablą pedogrę przyjść sam do ciebie, żeby ci powinszować, przeto przyjdź ty do starego, który ci jest życzliwszy, niż myślisz”.

Po takim liście Zawilowski poszedł tego samego dnia i został przyjęty z serdecznością cokolwiek mrukliwą, ale tak szczerą, że tym razem stary weredyk podobał mu się naprawdę i że naprawdę poczuł w nim krewnego.

— Niech cię Bóg błogosławi i Najświętsza Panna — rzekł stary. — Ja cię mało znam, ale tyłem o tobie słyszał, że chciałbym, żebym o wszystkich Zawilowskich mógł tak słyszeć.

I począł ścisnąć jego rękę, poczem, zwróciwszy się do córki, rzekł:

— I jeniałna bestya, co?

Na odchodnem zaś spytał:

— A cóż „Teodor?” Nie bruździł ci tam zanadto? co?

Zawilowski, który, jako artysta, posiadał w wysokim stopniu poczucie śmieszności i któremu w duszy wydał się także ów Teodor komiczny, roześmiał się i odpowiedział:

— Nie. Przeciwnie: był za mną.

A stary począł kręcić głową:

— To dyabło wygodny Teodor! Miej się na bacności, bo to wyga!

Pani Broniczowa miała jednak tyle prawdziwej czci dla majątku i towarzyskiego położenia starego pana Zawilowskiego, że zaraz na drugi dzień poszła do niego w odwiedzinę i poczęła mu niemal dziękować za tak uprzejme przyjęcie krewniaka. Ale szlachcic niespodzianie rozgniewał się:

— Cóż to pani myślisz, że ja jaki furfant? — rzekł. — Pani słyszałaś ode mnie, że ubodzy krewni, to plaga — i myślisz, że ja mam im to za złe, że goli. Nie!... Pani mnie nie znasz! Tylko, wiedz pani o tem, że jak szlachcic straci wszystko i robi się goły, to najczęściej staje się szuja. Takie nasze charaktery, albo raczej, taki ich brak. A ten Ignacy — słyszę zewsząd — porządny człowiek, choć goły, i dlatego go kocham.

— I ja go kocham — odrzekła pani Broniczowa. — Wszakże pan będzie na zaręczynach?

— C'est décidé. Choćbym się miał kazać zanieść!...

Pani Broniczowa wróciła rozpromieniona i przy śniadaniu nie mogła się powstrzymać od wypowiedzenia przypuszczeń, które jej bujna fantazyja poczęła tworzyć:

— Pan Zawilowski — rzekła — to milionowy człowiek i bardzo przywiązany do nazwiska. Zupełniebym się nie dziwiła, gdyby naszego Ignasia zrobił swoim spadkobiercą, jeśli nie w głównej, to przynajmniej w znacznej części, albo gdyby który ze swych majątków w Poznańskim zmienił dla niego na ordynację. Zupełniebym się nie zdziwiła.

Nikt nie zaprzeczył, bo widziano i takie wypadki na świecie; dlatego po śniadaniu pani Broniczowa, uściskawszy Niteczkę, szepnęła jej do ucha:

— Oj, ty, ty! przyszła pani ordynatowo!

Wieczorem zaś rzekła Zawilowskiemu:

— Niech się pan nie dziwi, że ja się tak do wszystkiego mieszam, ale ja przecie wazsa mama. Otóż mama ogromnie ciekawa, jaki pierścionek pan przygotowuje dla Niteczki? Prawda, że to będzie coś ładnego? Tyle ludzi będzie na tych zaręczynach! A przytem nie ma pan pojęcia, co to za malec wybredny! Ona taka nawet w drobiazgach estetyczna — i ma swój własny gust, ale jaki! ho! ho!

— Ja, chciałbym, pani — odpowiedział Zawilowski — żeby w kamieniach były kolory, oznaczające wiarę, nadzieję i miłość, bo w niej moja wiara, moja nadzieja i moja miłość.

— Bardzo śliczna myśl! Mówił pan już o tem z Niteczką? Wie pan co? W środku niech będzie perła, na znak, że ona perła. Teraz symbole w modzie. Czy ja panu mówiłam, że pan Świrski, jak jej dawał lekcye, to ją nazywał: „La perla?” A tak, mówiłam panu! Pan nie zna pana Świrskiego? On także... Mówił mi Józio Osnowski, że on dziś-jutro przyjeżdża. Więc to szafir, rubin, szmaragd i w środku perełka?... O tak! pan Świrski także... Czy pan będzie na pogrzebie?

— Na czym, pani?

— Pana Bukackiego. Bo Józio Osnowski mówił mi, że pan Świrski przywiózł jego ciało.

— Nie znałem go, nigdy go w życiu nie widział.

— To lepiej. Niteczka będzie wołała, że pan go nie zna! Bóg w miłosierdziu swoim może mu przebaczyć, pomimo, że dla mnie nie był nigdy sympatyczny, a Niteczka nie mogła go znościć. Ale mała będzie rada z pierścionka, a jak ona rada, to i ja rada.

A „Mała” nie tylko była rada z pierścionka, ale z życia wogóle. Rola narzeczonej nabierała dla niej coraz większego uroku. Przyszły śliczne, bardzo widne noce, w czasie których przesiadywali z Zawilowskim na balkonie i przytulając się do siebie, patrzyli na drganie światła na liściach, albo gubili wzrok w srebrnej kurzawie drogi mlecznej i w rojach gwiazd. Od rosnącej pod balkonem akacyi szedł w górę zapach mocny i odurzający, jak z wielkiej kadzielnicy. W nich zmysły zdawały się usypiać, dusze zaś, ukołysane ciszą, same zmienione w czyste światło, rozpraszały się niejako wśród nocnych głębin, stapiały się w jedność z łagodnym blaskiem księżyca — i tak, oboje, siedząc z dłonią w dłoni, w pół-zapamiętaniu, w pół-śnie, zatracali prawie poczucie odrębnego bytu i życia, zachowując tylko pół-świadomość jakiegoś powszechnego szczęścia i powszechnego „sursum corda”.

Zawilowski, gdy się potem rozbudził i wracał do rzeczywistego życia, rozumiał, że takie chwile, w których serce topnieje w owym panteizmie miłości i bije tem samem tętnem, jakim drga wszystko, co kocha się, łączy i łądzi we wszechświecie, są najwyższem szczęściem, jakie miłość dać może, i tak niezmiernem, że gdyby trwało dłużej, musiałoby zniszczyć ludzką jednostkę. Lecz, mając duszę idealisty, przypuszczał, że gdy przychodzi śmierć i oczyszcza z materii monadę ludzką, wówczas te chwile zmieniają się w wieczność — i w ten sposób wyobrażał sobie niebo, w którym nic nie jest pochłoniętem, lecz wszystko tylko złączonem i zładzonem z ogólną harmonią.

Panna Lineta nie mogła wprawdzie szybować jego lotem, lecz odczuwała jakby pewien zawrót głowy, jakby pewne upojenie od jego pędu i czuła się także szczęśliwą. Kobieta, nawet niezdolna kochać człowieka, kocha jednakże miłość, a co najmniej, siebie i swoją w niej rolę, i dlatego najczęściej z radością przestępuje próg narzeczeństwa, czując zarazem wdzięczność dla mężczyzny, który otwiera przed nią nowe widnokreśli życia. Przytem, w pannę Linetę wmawiano miłość tak mocno, że w końcu uwierzyła w nią zupełnie.

I raz, gdy Zawilowski spytał jej, czy jest pewna siebie i swego serca, podała mu obie ręce, jakby z wylaniem i odrzekła:

— O tak; teraz już wiem, że kocham.

On przycisnął wysmukłe jej palce do ust, do czoła, do oczu, jak coś świętego, ale zaniepokoił się jednak jej słowami i spytał:

— Czemu dopiero „teraz” Niteczko? Czy była chwila w której myślałaś, że nie będziesz mnie mogła pokochać?

Panna Castelli podniosła w górę swe czarne oczy i zamyśliła się nieco; po chwili w kącikach jej ust i w dołkach twarzy począł się zbierać uśmiech:

— Nie — rzekła — ale ja jestem wielki tchórz, więc się bałam. Ja rozumiem, że kochać pana, to inna rzecz, niż kochać pierwszego z brzegu.

I nagle poczęła się śmiać:

— Och! z panem Kopowskim to byłoby simple comme bonjour! Ale z panem!... Może ja nie umiem tego dobrze wyrazić, ale nieraz mi się zdawało, że to tak, jakby wstępować na jakąś górę, albo na jakąś wieżę. Gdy się raz stanie na wierzchołku, widać świat cały, przedtem jednak trzeba iść i iść, i trudzić się, a ze mnie — taki leniuszek!...

Zawiłowski, jak był długi i kościsty, wyprostował się i rzekł:

— Jak mi się mój drogi leniuszek zmęczy, to go wezmę na ręce, jak dziecko i poniosę choćby najwyżej.

— A ja się będę przytulała, żeby jak najmniej ciążyć — odpowiedziała Castelka, ścisnąwszy ramionka i wchodząc w rolę małego dziecka.

Zawiłowski zaś ukląkł przed nią i począł całować brzeżki jej sukni.

Zdarzały się jednak na tem niebie i chmurki, ale nie oni temu byli winni. Młodemu człowiekowi zdawało się czasem, że jego uczucie nadto jest dozorowane, że i pani Broniczowa i pani Osnowska zanadto sprawdzają, czy kocha, zanadto rozpatrują, jak kocha. Tłómaczył to sobie wprawdzie ciekawością kobiecą i wogóle zajęciem, jakie w kobietach wzbudza miłość, ale wolałby być mieć więcej swobody i wolałby być, żeby mu nie pomagano kochać. Uczucie swe uważał za świętość i przykro mu było czynić z niego wystawę dla niepowołanych oczu, a tymczasem śledzono każdy jego ruch i każde słowo. Przypuszczał także, że się muszą potem odbywać kobiece sesje, na których pani Broniczowa z panią Osnowską wydają swoje „approbatur”, i ta myśl gniewała go, bo sądził, że obie nie są nawet w stanie zrozumieć jego uczucia.

Gniewało go również, że Kopowski został zaproszony do Przytułowa i że wybierał się tam razem ze wszystkimi, ale w tym wypadku chodziło mu tylko o Osnowskiego, którego szczerze polubił. Pozorem do tych zaprosin był niedokończony przez pannę Linetę portret Kopowskiego. Zawiłowski zrozumiał teraz jasno, że wszystko stało się tak za namową pani Osnowskiej, która doskonale umiała ludziom podsuwać swoje życzenia, jako ich własne. Chwilami przychodziło mu nawet do głowy prosić pannę Linetę, by zaniechała kończenia tego portretu, ale wiedział, że ją zasmuci tem żądaniem, jako artystkę, a przytem bał się, by go nie posądzono o zazdrość o takiego mydlka, jak „Koposio”.

V

Świrski przyjechał istotnie z Włoch z ciałem Bukackiego i zaraz na drugi dzień po przyjeździe poszedł do Połanieckich. Zastał jednak tylko Marynię, mąż jej bowiem wyjechał był za roгатki dla oglądania jakiejś wystawionej na sprzedaż kolonii. Marynię znalazł tak zmienioną, że z trudnością ją poznał, ale że w Rzymie polubił ją ogromnie, więc się tylko tem bardziej rozczulił jej widokiem; po chwili zresztą wydała mu się tak wzruszająca i tak w swoim rodzaju piękna w aureoli przyszłego macierzyństwa, a prócz tego tyle mu nasunęła artystycznych porównań z rozmaitemi „primitiwami” rozmaitych szkół włoskich, że, wedle zwyczaju, zaczął głośno swoje zachwyty wypowiadać. Ona śmiała się z jego oryginalności, ale jednak dodał jej pewnej w biedzie otuchy i rada była, że przyjechał — naprzód dlatego, że czuła szczerą sympatyę dla tej krzepkiej i zdrowej natury, a powtóre, iż była pewną, że się będzie nad nią zachwycał i przy „Stachu”, a tem samem podnosił ją w jego oczach.

Zatrzymała go też dość długo, chcąc, by doczekał powrotu Połanieckiego; ten jednak wrócił dopiero późnym wieczorem, a tymczasem nadszedł Zawiłowski, który teraz, potrzebując kogoś, przed kimby mógł wylewać swój nadmiar szczęścia, odwiedzał panną Połaniecką dosyć często. Przez chwilę obaj ze Świrskim spoglądali na siebie z pewną ostrożnością, jak się zwykle zdarza ludziom wybitnym, którzy wzajem obawiają się wy-

górowanych pretensji, a natomiast tem łatwiej przystają do siebie, gdy spostrzegą, że obaj są prości. Tak stało się i z nimi. Do złamania lodów przyczyniła się także i Marynia, przedstawiając Zawilowskiego, jako narzeczonego znajomej Świrskiemu panny Castelli.

— Jakże! — zawołał Świrski — znam doskonale. To moja uczenica!

I począł ścisnąć ręce Zawilowskiego, poczem mówił:

— Pańska narzeczona ma Tycyanowskie włosy... Trochę za wysoka, ale i pan wysoki. Takiego osadzenia głowy ze świecą szukać! Pan naturalnie musiał zauważyć, że ona ma w ruchach coś łabędziego. Ja nawet nazywałem ją Łabędziem.

— „La perla” — pamięta pan?

Świrski spojrział na niego z pewnym zdziwieniem:

— To jest taki obraz Rafaela w Madrycie — odpowiedział — w Museo del Prado. Skąd panu przyszła na myśl „La perla?”

— Zdaje mi się, że o niej coś od tych pań slyszal — rzekł zbity nieco z tropu Zawilowski.

— A tak, być może, bo ja mam u siebie w pracowni, na via Margutta, kopię własnej roboty.

Zawilowski powiedział sobie w duchu, że jednak trzeba być więcej ostrożnym w powtarzaniu słów pani Broniczowej, i po jakimś czasie począł się zbierać, szedł bowiem na wieczór do narzeczonej. Świrski podążył wkrótce za nim, zostawiwszy Maryni adres swojej warszawskiej pracowni i prosząc, by Połaniecki zobaczył się z nim w sprawie pogrzebu jak najprędzej.

Jakoż Połaniecki wybrał się do niego nazajutrz rano. Pracownia Świrskiego stanowiła rodzaj szklanej hali, przyczepionej jak gniazdo jaskółcze do dachu jednego z kilkupiętrowych domów, i trzeba było do niej iść osobnymi krętymi schodami, jak na wieżę. Natomiast artysta miał w niej zupełną swobodę i widocznie nie zamykał drzwi, albowiem Połaniecki, idąc do góry, usłyszał tępy dźwięk żelazniwa i basowy głos, śpiewający:

«Wiosna ciepłem na świat chucha,
«Kwitną ciernie i rzezucha,
«A ja śpiewam, zamiast szlochać,
«Bom cię także przestał kochać!
Hu-ha-hu!!

— Dobrze — pomyślał Połaniecki, przystając dla nabrania tchu — ma bas, bo ma! Ale czym on, u licha, tak szczęka?

Lecz przeszedłszy resztę schodów, a następnie mały korytarzyk, zrozumiał powód, ujrawszy przez odemknięte drzwi Świrskiego, przybranego do pasa tylko w siatkową koszulkę, z pod której przeglądał jego herkulesowy tors — i z hantlami w ręku.

— O! jak się pan ma! — począł wołać Świrski, kładąc hantle na widok gościa. — Przepraszam, że nieubrany, ale to nic; przytem się trochę hantlowałem. Wczoraj zaraz byłem u państwa, ale zastałem tylko panią. Cóż panie! przywozłem naszego biednego Bukacyusza! A chata dla niego gotowa?

Połaniecki odrzekł, ściskając ręce malarza:

— Grób skończony od dwóch tygodni — i krzyż już stoi. Serdecznie witamy tu pana w Warszawie! Mówiła mi żona, że ciało jest już na Powązkach.

— Tymczasem w krypcie kościelnej. Jutro go pochowamy.

— Dobrze. Ja dziś jeszcze zamówię księży i dam znać znajomym. Co tam porabia profesor Waskowski?

— Miał pisać do was. Upały wypędziły go z Rzymu i wiesz pan, gdzie pojechał? Oto między najmłodszych Aryjczyków. Mówił, że podróż zajmie mu ze dwa miesiące. Chce się przekonać, o ile gotowi są do jego historycznej misji. Pojechał na Ankonę i Fiume, a potem dalej i dalej!...

— Biedny profesorzysko! Myślę, że go czekają nowe zawody.

— To być może. Ludzie się z niego śmieją. Ja, wiesz pan, nie wiem, o ile najmłodszy z Aryów są zdolni do spełnienia jego idei — ale sama idea jest, dalibóg, tak niepospolita i chrześcijańska i prawdziwa, że trzeba być takim Waskowskim, żeby się na nią zdobyć.

Pozwolisz pan, że się ubiorę. Upały tu u was bez mała, jak we Włoszech i gimnastykować się lepiej w samym kaftaniku.

— A najlepiej wcale się nie gimnastykować w takie gorąco.

Tu Połaniecki spojrział na ramiona Świrskiego i rzekł:

— No, ale pan, to mógłbyś się za pieniądze pokazywać.

— Co? — rzekł Świrski — bicepsy niezłe. A obacz pan te deltoidey! To moja próżność. Bukacyusz zawsze powtarzał, że może mi każdy powiedzieć, iż maluję, jak idyota, ale nie wolno nikomu, że nie podniosę stu kilo jedną łapą, albo, że nie zrobię dziesięciu musz w dziesięciu strzałach.

— I taki człowiek nie przekaże swoich bicepsów, ani deltoideów potomstwu!

— Ha! cóż robić!... Boję się, panie, niewdzięcznego serca; jak Boga kocham, tak się boję! Znajdź mi pan taką drugą, jak pani Połaniecka, to nie będę się i dnia namyślał. Ale!... Czego mam życzyć? syna czy córki?

— Córki, córki!... potem niech będą synowie, ale pierwsza, niech będzie córka.

— A kiedy się spodziewacie?

— Jakoby w grudniu.

— Daj Boże szczęśliwie! Pani zresztą zdrowa kobieta, więc niema się czego bać.

— Ogromnie się zmieniła, prawda?

— Ona jest inna, niż była, ale daj Boże najpiękniejszym tak wyglądać. Co to za wyraz! Czysty Botticeli! daję słowo! Czy pan pamięta ten jego obraz, w willi Borghese? Madonna col Bambino e angeli? Tam jest jedna głowa anioła, trochę pochylona, ubrana w lilie: zupełnie pani, zupełnie ten sam wyraz! Wczoraj mnie to od razu uderzyło — i ażem się wzruszył.

To rzekłszy, poszedł za parawan, by wdziac koszulę i z za parawana mówił dalej:

— Pan pytasz, czemu ja się nie żenię! A wie pan, czemu? Bo nieraz mi się przypomina, co Bukacyusz także powtarzał, że ja mam ostry język i twarde bicepsy, a maślane serce — takie głupie, że gdybym miał taką żonę, jak pańska, i gdyby ta żona była w tym stanie, to, dalibóg, nie wiem, cobym zrobił? Czy chodziłbym przed nią na kolanach, czy czołem bił, czy stawiał gdzie w kącie na stole i adorował z podniesionymi rękoma — dalibóg, nie wiem!

Połaniecki począł się śmiać:

— Ej! — odrzekł — to się tylko tak zdaje... przed ślubem, a potem samo przyzwyczajenie miarkuje zbyt czułości.

— Nie wiem. Może ja taki głupi.

— Wie pan co? Jak już moja Marynia będzie wolna, trzeba, żeby dla pana znalazła żonę taką, jak sama.

— Zgoda!! — huknął z za parawana Świrski. — Verbum! Oddam się pani w ręce i jak mi powie: „Żeń się!” — tak się żenię z zamkniętymi oczami.

I wyszedłszy jeszcze bez surduta, począł powtarzać:

— Zgoda! zgoda!... Bez żartów! Byle pani zechciała.

— Kobiety zawsze to lubią! — odpowiedział Połaniecki. — Żebyś pan był widział naprzykład, co taka Osnowska wyrabiała, żeby naszego Zawilowskiego ożenić z panną Castelli! A i Marynia jej pomagała — tyle, ile pozwoliłem. I ona uszkami strzygła. Kobietom w to graj!

— Poznałem wczoraj u państwa tego Zawilowskiego. Ogromnie miły chłopak. I to po prostu genialny łeb. Dość na niego spojrzeć. Co to za profil, z tem kobiecem czołem i z tą zuchwałą szczęką. Ma za długie piszczele i kolana musi mieć grubo wiązane, ale głowa pyszna!

— To nasz Benjaminek w biurze i naprawdę ogromnie go kochamy, bo to przytem poczciwa natura.

— Aha! To on jest waszym urzędnikiem? A ja myślałem, że to z tych bogatych Zawilowskich, bom zagranicą widywał dość często jakiegoś starego oryginała bogacza.

— To jego krewny — rzekł Połaniecki — ale ten nasz nie ma złamanego szeląga.

A Świrski począł się śmiać:

— Jakże! stary Zawilowski z córką, milionową jedynaczką! pyszna figura! Koło panny kręciło się tam we Florencyi i w Rzymie z pół tuzina porujnowanych książąt włoskich,

a stary gadał, że córki za obcego nie da — *bo to, panie, kiepsiejsza rasa*. Wyobraź pan sobie, że on nas uważa za pierwszą na świecie rasę, a między nami pewno Zawilowskich — i kiedyś dowodził tego tak: „Niech sobie — (powiada) — gadają co chcą! ja się dosyć najechałem po świecie i ilu to Niemców, Włochów, Francuzów, czyściło mi buty, a ja — (powiada) — butów nikomu nie czyścił, i nie będę!”

— Dobry! — odpowiedział, śmiejąc się, Połaniecki — to czyszczenie butów uważa, nie za kwestię pozycyi w świecie, tylko narodowościową.

— Tak, i zdaje mu się, że Pan Bóg po to wyłącznie stworzył inne „nacye”, żeby szlachcicowi z pod Kutna miał kto wyczyścić buty, jak mu się podoba wyjechać za granicę. A czy on nie kręci nosem na małżeństwo młodego, bo to wiem, że on Broniczów uważał za hetkę-pętelkę.

— Może i kręci, ale on się z naszym Zawilowskim niedawno poznał, przedtem nie widywali się, bo nasz to harda dusza i nie chciał pierwszy szukać starego.

— To go lubię. Byle tylko dobrze trafił, bo to...

— Co? Pan zna pannę Castelli, co to za dziewczyna?

— Ja znam pannę Castelli, ale, widzisz pan, nie znam się na pannach. Ba! żebym się na nich znał, tobym nie doczekał czterdziestki w kawalerskim stanie... One wszystkie dobre i wszystkie mi się podobają; tylko jak kilka z tych, które mi się podobały, widziałem potem mężatkami — tak teraz żadnej nie wierzę. I złości mnie to — bo, żebym nie miał ochoty się żenić — no! to powiedziałbym: mniejsza z tem! — ale mam! Co ja mogę wiedzieć? Wiem, że każda ma gorset, ale jakie tam serce w tym gorsecie — lichy wie! A w pannie Castelli się kochałem, bo zresztą, ja się we wszystkich kochałem, którem spotkał. W tej może nawet więcej, niż w innych.

— I co? I jakoś jednak żeniaczka nie przyszła panu do głowy?

— Licha tam nie przyszła! Tylko wówczas nie miałem tych pieniędzy, co dziś, ni tego rozgłosu — byłem na dorobku, a wierz mi pan, że ludzi na dorobku nikt się tak nie boi, jak dorobkiewiczze. Bałem się, że mi pan Bronicz albo pani Broniczowa minę zrobi, a że panny nie byłem pewny, więc dałem spokój.

— Zawilowski też przecie nie ma pieniędzy.

— Ale głośno o nim i przytem jest stary Zawilowski — a to koligacya nie żartem. Kto o starym u nas nie słyszał? Zresztą co do mnie, mówiąc szczerze, nie smakowali mi Broniczowie do tego stopnia, żem w końcu machnął ręką.

— To pan i nieboszczyka znał? Niech pan się nie dziwi, że ja tak wypytuję, bo mi idzie o naszego Zawilka.

— Panie, kogo ja nie znałem? Znałem i siostrę pani Broniczowej, panią Castelli. Przecie ja od dwudziestu czterech lat siedzę we Włoszech — a o czterdziestce to się tak mówi dla okrągłości. Naprawdę to mam czterdziesty piąty. Znałem i pana Castellego, który był zresztą dobry człowiek; znałem wszystkich. Cóż panu powiedzieć? Pani Castelli była egzaltowana kobieta, a odznaczała się tem, że nosiła krótkie włosy, że była zawsze nieumyta i miała newralgię w twarzy. Co do pani Broniczowej, tę pan znasz.

— A kto był pan Bronicz?

— „Teodor?” — Pan Bronicz był dubeltowy dureń, raz dlatego, że był durniem, a po wtóre, że się za niego nie miał! Zresztą milczę, bo: „de mortuis nihil, nisi bene” — był o tyle tłusty, o ile ona chuda; ważył podobno przeszło sto pięćdziesiąt kilo i miał rybie oczy. Wogóle to byli ludzie przedewszystkiem próżni. Co tu się rozwodzić! Jak człowiek długo żyje na świecie i dużo ludzi widuje, a gada z nimi tak, jak ja gadam przy malowaniu, to się przekonywa, że istnieje prawdziwy wielki świat, który się wspiera na tradycyi, a prócz tego istnieje kanalia, która, mając trochę grosiwa, udaje wielki świat. Otóż nieboszczyk Bronicz i jego dzisiejsza wdowa zawsze mi trochę trącili tym gatunkiem, dlatego wołałem się trzymać z daleka. Ot, żeby Bukacki żył, tenby dopiero rozpuścił język ich kosztem. On wiedział, że ja się kochałem w Castelli, i co się ze mnie nadrzył, niech mu Bóg nie pamięta — a kto wie, czy słusznie, bo kto jest panna Lineta, to się dopiero pokaże.

— Mnie najbardziej chodziło — odrzekł Połaniecki — żeby się właśnie o niej coś dowiedzieć.

— Wszystkie dobre, wszystkie dobre, tylko ja ich się boję, razem z ich dobrocią. Chyba mi pańska żona za którą zaręczy.

Na tem rozmowa się urwała i zaczęli mówić o Bukackim, a raczej o jutrzejszym jego pochówku, do którego Połaniecki porobił już poprzednio wszelkie przygotowania. Wyszedszy od Świrskiego, zamówił jeszcze księży, a następnie dał znać znajomym o jutrzejszej godzinie.

Kościelny obrządek pogrzebowy był już odprawiony w swoim czasie w Rzymie, więc Połaniecki wezwał tylko kilku duchownych, jako człowiek religijny, by modlitwy swoje połączyli z modlitwami obecnych. Uczynił też to także przez przywiązanie i wdzięczność dla Bukackiego, który mu zostawił znaczną część swego majątku.

Prócz obojga Połanieckich, przybyli państwo Maszkowie, Osnowscy, Bigielowie, Świrski, pan Pławicki i pani Emilia, która chciała odwiedzić zarazem Litkę. Dzień był prawdziwie letni, słoneczny i znojny. Cmentarz wyglądał zupełnie inaczej, niż za poprzednich bytności Połanieckiego. Wybijały ogromnie drzewa stanowiły jakby zbitą, gęstą, złożoną z ciemniejszych i jaśniejszych liści, zasłonę, pokrywającą głębokim zielonym cieniem białe i szare pomniki. Miejscami cmentarz wydawał się wprost lasem, pełnym mroku i chłodu. Na niektórych grobowcach drgała świetlista sieć promieni słonecznych, przedczonych przez liście akacyi, topoli, grabów, bzów i lip; inne krzyże, zatulone w gąszcz, zdawały się drzemać w chłodzie, nad mogiłami. W gałęziach i wśród liści rojno było od ptasiego drobiazgu, który odzywał się ze wszystkich stron nieustannym świegotem, łagodnym i jakby umyślnie przyciszonym, by śpiących nie budzić.

Świrski, Maszko, Połaniecki i Osnowski wzięli na ramiona wąską trumnę ze szczątkami Bukackiego i poczęli ją nieść do przygotowanego grobu. Księża, w białych komzach, które to rozbłyskały w słońcu, to gasły, szli przed trumną, za nią czarno ubrane młode kobiety i cały ten orszak posuwał się zwolna przez cieniste aleje, cicho, spokojnie, bez lkań i łez, towarzyszących zwykle pogrzebom, tylko z powagą i smutkiem, który tem był na ich twarzach, czem cień od drzew na grobowcach. Była w tem wszystkim jednak jakaś pełna melancholii poezya — i wrażliwa dusza Bukackiego potrafiłaby odczuć wdzięk tego żalobnego obrazu.

W ten sposób przyszli do grobowca, który miał kształt sarkofagu i cały był wzniesiony nad ziemię, Bukacki bowiem mówił był za życia Świrskiemu, że nie chce leżeć w piwnicy. Trumnę łatwo wsunęto przez żelazne drzwi do środka, poczem oczy kobiet wzniosły się ku górze, usta poczęły szeptać modlitwy i po chwili zostawiono Bukackiego cmentarnej samotności, drzewom szumiącym, świegotowi ptactwa i bożemu miłosierdziu.

Pani Emilia i Połanieccy poszli następnie do Litki; reszta towarzystwa czekała na nich w powozach przed kościołem, bo tak sobie życzyła pani Osnowska.

Połaniecki miał sposobność przekonać się przy grobie Litki, jak dalece ta, tak bardzo niegdyś kochana dziecina, zbłąkitniała mu już w duszy i rozwiła się w cień. Niegdyś, ilekroć odwiedzał jej grób, tylekroć buntował się przeciw jej śmierci i nie zgadzał się na nią, z całą namiętnością świeżego żalu. Dziś wydało mu się rzeczą prawie naturalną, że ona tu sobie leży w cieniu tych drzew, na tym cmentarzu; miał niemal poczucie, że tak musiało się skończyć; przestała być dla niego prawie zupełnie realną istotą, a stała się tylko słodką mieszkanką pamięci, westchnieniem, światłem, rodzajem jeno takiego wspomnienia, jakie zostawia muzyka.

I byłby się może oburzył na siebie, gdyby nie to, że spostrzegł, iż pani Emilia wstała po odmówionej modlitwie z twarzą pogodną, z wyrazem wielkiej tklivości w oczach, ale bez łez. Zauważył przytem jednak, że wygląda jak osoby chore, że z trudnością podniosła się z klęczków i że, idąc, wspiera się na lasce. Jakoż ona była już w początkach ciężkiej choroby krzyża, która później na kilka lat przykuła ją do łóżka i puściła dopiero do trumny.

Przed bramą cmentarną czekali na nich Osnowscy; pani zaprosiła ich na jutro na wieczorek zaręczynowy Zawilowskiego, a potem „kto łaskaw”, do Przytułowa.

Świrski siadł wraz z panią Emilią do powozu Połanieckich i przez czas jakiś zbierał w milczeniu wrażenia, a wreszcie rzekł:

— Jakie to dziwne! Dziś byliśmy na pogrzebie, jutro będziemy na zaręczynach: co śmierć wykosi, miłość posieje i to jest życie!

VI

Zawiłowski życzył sobie, by jego zaręczyny odbyły się nie wieczorem, przy ludziach, tylko przedtem, i stało się zadość jego woli, tem bardziej, że Castelka, która chciała przed ludźmi ukazać się już jako narzeczona, poparła go wobec cioci Broniczowej. Było im tak swobodniej i gdy ludzie poczuli się schodzić, oboje występowali już, jako młoda para. Od panny Linety bił blask szczęścia. Sama znajdowała urok w roli narzeczonej i rola dodawała jej uroku. W wysmukłej jej postawie było coś skrzydlatego; powieki nie zapadały jej dziś sennie na oczy; źrenice były świetliste, usta w uśmiechach, twarz w rumieńcach. Była tak ładna, że Świrski, ujrawszy ją, nie mógł się jednak wstrzymać od kilku cichych westchnień za rajem utraconym, i odzyskał pogodę duszy dopiero wówczas, gdy przypomniał sobie swoją ulubioną piosnkę:

«A ja śpiewam, zamiast szlochać,
«Bom cię także przestał kochać!
Hu-ha-hu!

Zresztą wszystkich dziś uderzała jej piękność. Stary pan Zawiłowski, który się kazał na swoim fotelu wnieść do salonu, zatrzymał jej ręce i przez jakiś czas patrzył na nią, poczem, oglądając się za córką, rzekł:

— No! że takie „półdyablę weneckie” może głowę zawrócić, to może, a zwłaszcza pocie, bo to, panie, jak powiadają, u nich w głowach: fu! fu!

Poczem zwrócił się do młodego i spytał:

— A co? nie skęcisz mi dziś karku, żem na nią powiedział: „półdyablę weneckie?”

Zawiłowski zaś rozśmiał się i, pochyliwszy głowę, pocałował w ramię staruszka:

— Nie; dziśbym nie mógł nikomu skęcić karku.

— No! — rzekł stary, widocznie uradowany z tej oznaki czci. — Niech wam Bóg i Najświętsza Panna błogosławi. Mówię: i Najświętsza Panna, bo Jej opieka, to grunt!...

To rzekłszy, począł szukać za sobą w fotelu i wydobywszy duże jubilerskie pudełko, mówił do Linety:

— A to od rodziny Zawiłowskich: daj ci Boże długo nosić.

Castelka, wzięwszy pudełko, przegięła swą wdzięczną postać, by również pocałować go w ramię, on zaś objął ją za szyję i rzekł do młodego:

— Chodźże i ty!

I ucałował oboje w czoło, z większem wzruszeniem, niż chciał okazać, mówiąc przytem:

— A kochajcieże się i szanujcie, jak uczciwi ludzie.

Panna Lineta otworzyła następnie pudełko, w którym na szafirowej aksamitnej podścieli rozbłysła wspaniała rywiera. Stary powtórzył raz jeszcze z naciskiem: „Od rodziny Zawiłowskich” — chcąc widocznie okazać, że panna, która wychodzi za Zawiłowskiego, nawet nie mającego majątku, nie robi złego interesu. Ale nikt go nie słuchał, gdyż głowy młodych pań: pani Linety, pani Osnowskiej, pani Maszkowej, pani Bigielowej i nawet Maryni, pochyliły się zwartym wiankiem nad migotliwymi kamieniami i usta wstrzymywały czas jakiś oddech, nim wreszcie szmer podziwu i pochwał przerwał milczenie.

— Nie o te brylanty chodzi! — wołała pani Broniczowa, rzucając się niemal w objęcia starego pana Zawiłowskiego — ale jaki dar, takie serce!

A staruszek bronił się i powtarzał:

— Daj pani spokój! daj pani spokój!...

Poczem towarzystwo rozbiło się na pary, lub małe gromadki. Narzeczeni zajęli się tak sobą, że cały świat zginął im z oczu; Osnowski ze Świrskim przysunęli się do Maryni i pani Bigielowej; Kopowski jął zabawiać panią domu, a Połaniecki panią Maszkową. Co do samego Maszki, chodziło mu widocznie o bliższe poznanie się ze starym Krezusem, bo zastawił go tak krzesłem, że nikt nie mógł się do niego zbliżyć, i począł z nim rozmowę o czasach dawnych i dzisiejszych, która, jak łatwo odgadł, stanowiła ulubiony temat dla staruszka.

Był jednak nadto sprytny, by być we wszystkim jego zdania. Pan Zawiłowski zresztą nie zawsze napadał na nowe czasy, owszem, w części je podziwiał, w części uznawał, że pod

wielu względami idą ku lepszemu, ale swoją drogą nie chciały mu się w głowie pomieścić, Maszko zaś tłumaczył mu, że wszystko na świecie musi się zmieniać, zatem, tak dobrze szlachta, jak inne warstwy ludzi.

— Ja, szanowny panie — mówił — trzymam się roli przez jakieś dziedziczne instynkta, przez to coś, co człowieka, który z ziemi wyszedł, do ziemi ciągnie — ale, administrując własnym majątkiem, jestem przytem adwokatem i jestem poniekąd z zasady, bo trzeba, żebyśmy mieli swoich w tej gałęzi. Inaczej zostaniemy na łasce i niełasce ludzi, pochodzących z innej sfery i często wprost przeciw nam uprzedzonych. I muszę naszym ziemianom oddać tę sprawiedliwość, że po większej części rozumieją to dobrze i dlatego wolą swoje interesa powierzać mnie, niż innym. Niektórzy poczytują to sobie poniekąd za obowiązek.

— To tam, panie, w palestrze zawsze bywali nasi — odpowiedział pan Zawilowski — ale w innych fachach, czy szlachcic da sobie radę — dalibóg, nie wiem! Słyszę ja to, słyszę, żeśmy się powinni do wszystkiego brać, tylko ludzie zapominają, że brać się, a wskórać, to dwie różne rzeczy. Pokaż mi pan takiego, coby wskórał.

— A ot, masz szanowny pan takiego Połanieckiego: ten na Domu komisowo-handlowym zrobił wcale duży majątek i co ma, to w gotowiźnie, tak, że jutro mógłby wszystko na stół położyć. Sam on szanownemu panu nie zaprzeczy, że rady moje często były mu przydatne, ale jednak co zrobił, to zrobił przez handel — głównie zbożem.

— Proszę! proszę! — rzekł pan Zawilowski, patrząc na Połanieckiego i wytrzeszczając trochę ze zdziwienia oczy — naprawdę zrobił majątek? Proszę... Jeśli z prawdziwych Połanieckich — to dobra rodzina.

— A tamten, brunet, krępy — to malarz Świrski.

— To wiem, bom go za granicą widywał. I Świrscy, panie, w piecach nie palili... Ale on może sobie tylko wymalował pieniądze, bo przecie chyba ich nie zrobił?

— Licha tam, nie zrobił! — rzekł poufałym tonem Maszko. — Niejeden gruby majątek podolski tyle nie daje, ile jemu akwarele.

— Co takiego?

— Obrazy, wodną farbą...

— Proszę! nawet nie olejne!... I ten także?... Ha! to może i mój krewniak dorobi się na wierszach... Niech pisze, niech pisze! Ja mu tego nie będę brał za złe... Pan Zygmunt był szlachcic i pisywał — i to, panie, nie od parady. Pan Adam był także szlachcic — a głośno o nim — głośniejszy, niż o tym trzecim furfancie, co to się bawił w demokrację... Jakże mu tam? Mniejsza z tem! Mówisz pan, że się czasy zmieniają? Hm, proszę!... Niech się tam zmieniają, byle z pomocą bożą, na lepsze.

— Główna rzecz — rzekł Maszko — by nie więzić ni zdolności w głowach, ni kapitałów w kasach, bo kto tak czyni, ten wprost grzeszy przeciw społeczeństwu.

— A, to za pozwoleniem! Jakże to pan rozumiesz? To mi nie wolno zamknąć na klucz tego, co moje, tylko mam zostawić szufladę otworem dla złodziei?

Maszko uśmiechnął się z odcieniem wyższości, i położywszy rękę na poręczu fotelu, rzekł:

— Nie o to chodzi, szanowny panie.

I następnie zaczął wyklądać panu Zawilowskiemu zasady ekonomii politycznej, których stary szlachcic słuchał, kiwając głową i powtarzając od czasu do czasu: „Proszę! to coś nowego! — ale ja i bez tego rady sobie dawałem!”

Pani Broniczowa zaś wodziła rozrzuwionemi oczyma za parą narzeczonych, a jednocześnie opowiadała panu Pławickiemu (który znów wodził niemniej rozrzuwionemi oczyma za panią Osnowską), swoje lata młodości, pożycie z Teodorem i nieszczęście, jakie ich spotkało z powodu przedterminowego przyjścia na świat jedyne go ich potomka. Pan Pławicki słuchał z roztargnieniem, lecz ona w końcu, wzruszywszy się własnym opowiadaniem, mówiła nieco drżącym głosem:

— Tak więc cała moja miłość, nadzieja i wiara w Linetce! Pan to zrozumie, bo pan ma także córkę! A co do Lola, niech pan pomyśli, jakim błogosławieństwem byłoby to dziecko, gdyby żyło.

— Ogromnie wzruszające! ogromnie wzruszające! — przerwał pan Pławicki.

— O, tak! — mówiła dalej pani Broniczowa — o tak! I to była tem większa strata, że to była ostatnia nadzieja! Mój mąż był człowiek w wieku — i mogę rzec, że był dla mnie najlepszym opiekunem, ale po tem nieszczęściu — tylko opiekunem.

— Tu go przestaję rozumieć — rzekł pan Pławicki. — He! he! zupełnie go nie rozumiem!...

I otworzywszy usta, spojrział figlarnie na panią Broniczową, ta zaś uderzyła go zlekka wachlarzem i rzekła:

— Nieznośni są ci mężczyźni: dla nich niema nic świętego!

A Świrski pytał tymczasem Maryni:

— Co to za istny Perugino — ta blada osoba, z którą rozmawia mąż pani!

— To nasza znajoma, pani Maszkowa. Czy pan jej nie był przedstawiony?

— Owszem. Poznałem ją jeszcze wczoraj na pogrzebie, ale zapomniałem nazwiska. Wiem, że to żona tego pana, który rozmawia ze starym panem Zawilowskim. Czysty Vannuci!... Ten sam kwiatyizm i trochę żółtawa. Ale ona ma bardzo piękne linie.

I popatrzawszy jeszcze chwilę, dodał:

— Twarz zgaszona, ale nadzwyczajne linie całej figury. Niby szczupła, niech jednak pani zauważy rysunek ramion i pleców.

Ale Marynia nie patrzyła na rysunek ramion i pleców pani Maszkowej, tylko na męża — i na twarzy jej odbił się nagle niepokój. Połaniecki pochylał się właśnie w tej chwili do pani Maszkowej i mówił do niej coś, czego Marynia nie mogła dosłyszeć, siedzieli bowiem z daleka, ale wydało się jej, że on spogląda na tę zgaszoną twarz i w te blade oczy takim wzrokiem, jakim w czasie ich podróży poślubnej spoglądał chwilami na nią. Ach! ona знаła ten wzrok! I serce poczęło teraz bić w niej, jakby w poczuciu jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Natychmiast jednak powiedziała sobie: „To nie może być! to byłoby niegodne Stacha”. Nie mogła się wszelako powstrzymać, żeby na nich nie patrzeć. Połaniecki mówił coś bardzo żywo, czego pani Maszkowa słuchała ze zwykłą sobie obojętnością. Marynia zaś pomyślała znowu: „Co mi się uwidziało! — mówi żywo, jak on zawsze, ale nic więcej”. Resztę jej wątpliwości rozproszył Świrski, który, czy to dlatego, że zauważył jej niepokój i badawczy wzrok, czy nie poznawszy się istotnie na wyrazie twarzy Połanieckiego, rzekł:

— Z tem wszystkim ona nic nie mówi. Mąż pani musi podtrzymywać rozmowę i wygląda jakby się razem nudził i złościł.

Twarz Maryni rozpromieniła się w jednej chwili:

— O, to pan ma słuszność! Stach z pewnością trochę się nudzi, a on jak tylko się nudzi, to zaraz zły.

I wpadła w doskonały humor. Oddałaby teraz taką rywierię brylantową, jaką pan Zawilowski podarował Castelce, by ten Stach zbliżył się w tej chwili do niej i żeby mu mogła powiedzieć i usłyszeć od niego jakie dobre słowo. Jakoż w kilka minut później stało się zadość jej życzeniu, albowiem do pani Maszkowej przybliżył się pan Osnowski, Połaniecki zaś wstał, po drodze rzekł parę słów do pani Osnowskiej, rozmawiającej z Kopowskim i wreszcie siadł przy żonie.

— Czy ty chcesz mi co powiedzieć? — spytał.

— Jakie to dziwne, Stachu! — rzekła Marynia — bo ja w tej chwili wołałam na ciebie, ale tylko w myśli, a tyś to jednak odczuł i przyszedłeś.

— A widzisz, jaki ze mnie mąż! — odpowiedział z uśmiechem. — Ale naprawdę, to przyczyna jest bardzo prosta: zauważyłem, że na mnie patrzysz, zląkłem się, czy ci co nie jest i przyszedłem.

— Ja patrzę, bo — bo mi tęskno.

— A ja przychodzę, bo mi tęskno. Jak ty się czujesz? Powiedz szczerze; może chciałabyś do domu?

— Nie, Stachu, doskonale mi jest, jak cię kocham. Mówiliśmy z panem Świrskim o pani Maszkowej i bawiłam się doskonale.

— Domyślam się, żeście ją obmawiali. Ten oto artysta sam o sobie mówi, że ma zły język.

— Przeciwnie — odpowiedział Świrski. — Tym razem podziwiałem tylko jej figurę. Na zły język może przyjść kolej później.

— O tak — rzekł Połaniecki — pani Osnowska mówi, że ona ma właśnie niedobrą figurę i to jest dowód, że ma dobrą. Ale! Marychna, powiem ci coś o pani Osnowskiej.

Tu pochyliwszy się do żony, rzekł po cichu:

— Wiesz, co po drodze słyszałem z ust Kopowskiego, idąc tu do ciebie?

— Co? coś zabawnego?

— Jak kto uważa: słyszałem, jak mówił do pani Anety: „ty”.

— Stachu!

— Jak ciebie kocham! Powiedział jej: „Tyś zawsze taka!”

— Może cytował jakie cudze słowa.

— Nie wiem! Może, ale może i nie. Oni się przecież niegdyś podobno kochali.

— Fe! wstydz się!

— Powiedz to im — a raczej pani Anecie.

Marynia, która wiedziała doskonale, że przeniewierstwo istnieje, ale uważając je raczej za jakąś książkową francuską teorię, ani się spodziewała, by je można było napotkać na każdym kroku i w praktyce, poczęła teraz spoglądać na panią Anetę ze zdziwieniem, a przytem z taką ogromną ciekawością, z jaką kobiety uczciwe spoglądają na te, które miały odwagę zejść z gościńca na boczne ścieżki. Miała jednak zbyt prawą naturę, by uwierzyć od razu w zło — i nie chciało się jej jakoś w głowie pomieścić, żeby mogło coś być naprawdę między tą parą, choćby ze względu na niesłychaną głupotę Kopowskiego. Zauważyła wszelako, że rozmawiają ze sobą bardzo żywo.

A oni, siedząc nieco zasunięci między wielki porcelanowy wazon a fortepian, nietylko rozmawiali, ale kłócili się od kwadransa.

Po przejściu Połanieckiego, pani Aneta rzekła z pewnym niepokojem:

— Boję się, czy czego nie dosłyszał. Ty nigdy nie uważasz.

— Tak! zawsze moja wina! A kto ciągle powtarza: bądź ostrożna!

I rzeczywiście, pod tym względem oboje byli sobie warci, on bowiem nie umiał nic przewidzieć z powodu swej głupoty, ona zaś była nieostrożna aż do zuchwalstwa. Dwie już osoby wiedziały ich tajemnicę; inne mogły ją już odgadywać i trzeba było całego zaślepienia Osnowskiego, żeby się niczego nie domyślać. Ale ona właśnie na to liczyła.

Lecz tymczasem Kopowski spojrział na Połanieckiego i rzekł:

— Nic nie słyszał.

Poczem wrócił do zaczętej rozmowy, ale tym razem począł mówić ciszej i po francusku:

— Bo, żebyś mnie kochała, tobyś była inna, ale skoro mnie nie kochasz, to cóż ci to mogło szkodzić?

To rzekłszy, zwrócił na nią swoje cudne, bezmyślne oczy, a ona odpowiedziała z niecierpliwością:

— Kocham, czy nie kocham, a z Castelką nigdy! rozumiesz? nigdy! Raczej wolałabym z każdą inną! — choć, gdybyś ty naprawdę mnie kochał, tobyś o małżeństwie nie myślał.

— Jaby nie myślał, żebyś była inna.

— Patientez!

— Tak! do śmierci? Gdybym się był z Castelką ożenił, tobyśmy właśnie byli blisko.

— Nigdy! powtarzam ci!

— No, ale dlaczego?

— Tybyś tego nie zrozumiał. Zresztą Castelka jest narzeczona i szkoda czasu o tem mówić.

— Samaś mi kazała udawać, że się o nią staram, a teraz mi robisz wyrzuty. Ja z początku o niczem nie myślałem, ale później podobała mi się — i tego się nie wypieram; ona się wszystkim podoba, a oprócz tego to dobra partya.

Pani Osnowska poczęła targać w palcach chusteczkę.

— I ty mi śmiesz w oczy mówić, że ona ci się podobała, więc nareszcie: czy ja, czy ona?

— Ty, ale się z tobą przecie nie mogę ożenić, a z nią mogłem, bom to widział doskonale, że jej się też podobałem.

— Gdybyś lepiej rozumiał kobiety, tobyś się cieszył z tego, że do małżeństwa nie dopuściła. Ty jej nie znasz. Ona jest cała jak patyk, a przytem ma zły charakter. Czy i tego

nie rozumiesz, że ci kazała starać się o nią, przez wzgląd na ludzi i na Józia. Inaczej, czemuś mógł usprawiedliwić codzienne prawie bywanie?

— Jabyś rozumiał, gdybyś była inna.

— Nie przeszkadzaj mi. Widzisz, że wszystko tak urządziłam, żeby twój portret nie był skończony i żebyś mógł przyjechać do Przytułowa. Potem przyjedzie tam Stefcia Ratkowska, krewna daleka Józia. Rozumiesz? Musisz udawać, że ci się podoba, a ja w Józia wzmówię, co chcę. W ten sposób będziesz mógł zostać w Przytułowie. Do panny Ratkowskiej już pisałam. Jest nieładna, ale miła.

— Ciągłe udawać i za to nic.

— Chciałabym ci powiedzieć: to sobie nie przyjeżdżaj.

— Anetko!

— Więc bądź cierpliwy. Nie mogę się na ciebie długo gniewać. Ale teraz już idź sobie. Idź, zabaw panią Maszkową.

I po chwili pani Osnowska została sama. Oczy jej odprowadzały przez minutę Kopowskiego, z resztkami gniewu, ale zarazem z pewną czułością. W białym krawacie, przy swej smagłej cerze, był tak zabójczo piękny, że nie mogła mu się dosyć napatrzeć. Lineta była już narzeczoną innego, a jej jeszcze wydała się nieznośną myśl, że ta jej codzienna rywalka mogła go nie tylko pojąć, jako męża, ale nawet jako kochankę. Pani Aneta, mówiąc Kopowskiemu, że zgodziłaby się dla niego raczej na każdą inną, niż na Castelkę, mówiła szczerą prawdę. Była to dla niej kwestya zarazem ogromnej słabości dla tego głupiego Endymiona i kwestya miłości własnej. Nie zgadzały się na to wprost jej nerwy. Pewne zamiłowania estetyczne, które sama uważała za wzniosłe i płynące z greckiej natury, a które w gruncie rzeczy były płaskie, zastępowały w niej moralność i sumienie. Z powodu tych zamiłowań zostawała pod nieprzepartym urokiem Kopowskiego, ale mając tylko zapalną głowę, a zimny, jak u ryby, temperament, wołała, jak to intuicyjnie odgadł Zawilowski, igraszkę ze złem, niż samo zło. Swoją drogą, trzymając się zasady: „jeśli nie ja, to nikt inny!” — byłaby gotowa posunąć się do ostateczności, by nie dopuścić małżeństwa Kopowskiego z Linetą, tem bardziej, że spostrzegła, iż Lineta, mimo wszystkich swoich „powiedzeń” o Kopowskim, mimo ironii, z jaką się o nim odzywała, i żartów z niego, jest także pod urokiem jego wyjątkowej urody, że te wszystkie żarty są tylko drażnieniem się, w którym tkwi pociąg, i że wogóle upodobania jej własne i upodobania Linety są jednakowe. Nie spostrzegła natomiast, że z tego powodu na dnie duszy ma rodzaj pogardy dla Linety.

Chciała ją przede wszystkim zwyciężyć i przez Zawilowskiego udało się jej to znakomicie. Wiedziała, że dziewczyna przez samą próżność nie oprze się jej wmawianiu i hołdom człowieka o rozgłosnem imieniu. W ten sposób zachowała dla siebie Kopowskiego, a nadto wyprawiała sobie pyszne widowisko, na jakie zawsze z chciwością patrzą wszystkie kobiety, żadne bardziej wrażeń, niż uczuć. Gdyby przytem ów sławny Zawilowski, gdy mu żona z czasem spowszednieje, chciał sobie gdzieindziej szukać Beatryczy — to możeby ją znalazł... Ludziom, którzy mają moc przekazać pamięci ludzkiej i uwielbieniu wieków kochane imię, mało się czego odmawia. Tych zamiarów na przyszłość pani Aneta nie określała dotąd wyraźnie, miała jednak jakby mgliste poczucie, że wówczas tryumf jej byłby jeszcze zupełniejszy.

Tryumfowała jednak już i teraz, albowiem wszystko poszło podług jej woli. Gniewał ją tylko Kopowski. Sądziła, że on jest niemal jej rzeczą, tymczasem spostrzegła, że, o ile był zdolny do wyrozumowania czegośkolwiek, wyrozumował sobie, że od przybytku głowa nie boli i że Aneta mogłaby nie przeszkadzać Linecie. Drażniło ją to tak mocno, że chwilami myślała, czemu mu za to dokuczyć; tymczasem rada była, że Lineta zdawała się być naprawdę zakochana duszą i sercem w swoim Zawilowskim, co dla Kopowskiego było zarazem i niezrozumiałe i przykre.

Myśli te przelatywały jej teraz, jak błyskawica, przez głowę i przeleciały wszystkie przez krótką chwilę samotności. Przerwało je wreszcie podanie kolacyi. Osnowski, który chciał, by żonę otaczało takie powszechne uwielbienie, jakim on ją otaczał, a któremu wydawało się przytem nader trafnem to, co mówił Zawilowskiemu o pożyciu małżeńskim, miał nieszczęśliwą myśl powtórzyć znów przy pierwszym toaście życzenie, by Zawilowskiemu było tak dobrze z Linetą, jak jemu z Anetą. Na to oczy Zawilowskiego i Połanieckiego zwróciły się mimowoli na piękną panią, która spojrzała bystro na Po-

łanieckiego i wątpliwości obojga pierzchy w jednej chwili, to jest ona nabrała zupełnej pewności, że Połaniecki ich słyszał, on zaś, że Kopowski nie cytował obcych słów, ale mówił „ty” wprost do niej. Pani Aneta odgadła nawet, iż Połaniecki musiał mówić o tem z Marynią, widziała bowiem, jak w chwilę po jego przejściu, oboje rozmawiając, spoglądali czas jakiś na nią z wielką ciekawością. Ta myśl napelniła ją gniewem, chęcią zemsty i dystrakcją, tak, że bez żadnej uwagi słuchała dalszych toastów, które wznosił jej mąż, pan Zawilowski i pan Pławicki, a w końcu Bigiel.

Lecz po kolacy przyszło jej nagle do głowy, by urządzić „dancing-party” — i „Józio” — posuszny, jak zawsze, na każde skinienie, a przytem rozochocony po kolacy, poparł gorąco tę myśl. Marynia nie mogła tańczyć, ale było prócz niej pięć młodych pań: panna Lineta, pani Osnowska, pani Bigielowa, pani Maszkowa i panna Zawilowska. Ta ostatnia oświadczyła wprawdzie, że także nie tańczy, ale ponieważ i tak mówiono o niej, że ona nie tańczy, nie mówi, nie je i nie pije, więc odmowa jej nie popsowała ochoty. Osnowski, który był w rozkosznem usposobieniu, oświadczył przytem, że „trzeba, aby Ignas mógł wziąć w ramiona Linetkę, bo pewno się dotąd nie ośmielił”.

Pokazało się jednak, że Zawilowski nie był w możności skorzystania z dobrych chęci pana Osnowskiego, albowiem nigdy w życiu nie tańczył i nie miał o tem najmniejszego pojęcia, co panią Broniczową i pannę Linetę nietylko zdziwiło, ale i cokolwiek dotknęło. Natomiast Kopowski posiadał tę sztukę w wysokim stopniu, on więc rozpoczął tańce z panną Linetą, jako bohaterką wieczoru. Tworzyli razem śliczną parę i oczy mimowoli zwracały się za nimi. Zawilowski musiał patrzeć, jak jej złota główka pochyla się ku ramieniu Kopowskiego, jak piersi ich są blisko — i jak oboje, wirując w takt Bigielowego walca, łączą się w harmonii ruchów, zlewając się niejako w jeden ład i w jedną całość. I patrząc na to, był zły, rozumiał bowiem, że jest coś, czego on nie umie i co będzie łączyło Linetę z innymi, a rozłączało z nim. Na dobitkę mówiono koło niego o urodzie tańczącej pary, a siedzący obok Świrski rzekł:

— Co to za śliczny pan! Gdyby istnieli hurysowie, tak jak istnieją huryski, to on mógłby być hurysiem w damskim raju Mahometa.

Oni zaś walcowali długo i była w tych tonach walca, a zarazem w ich poruszeniach, jakby jakaś upajająca i upojona omdłałość, co jeszcze bardziej drażniło Zawilowskiego, przypomniał sobie bowiem, równie cyniczny jak prawdziwy, wiersz Byrona o walcu. Wreszcie począł sobie mówić z zupełną niecierpliwością: „Kiedyż ten osiel ją puści!” Bał się także, by mu się nie zmęczyła.

„Osiel” puścił ją wreszcie na drugim końcu salonu i wziął zaraz panią Osnowską. Lecz Lineta przybiegła do narzeczonego i, siadłszy przy nim, rzekła:

— On dobrze tańczy, ale lubi się z tem popisywać, bo zresztą nie ma z czem innym. Za długo mnie trzymał. Zdyszałam się trochę i serce mi bije... Chciałabym, aby pan przyłożył rękę i zobaczył, jak bije... Ale nie wypada! Jakie to dziwne! bo przecie to pana własność...

— Moja! — rzekł Zawilowski, wyciągając ku niej rękę, — Linetko, nie mów mi dziś „pan”.

— Twoja własność — odszepnęła.

I nie bronila mu dłoni, opuściła ją tylko trochę wzdłuż sukni, tak, aby ludzie mniej widzieli.

— Zazdrościłem mu — rzekł Zawilowski, ściskając namiętnie jej palce.

— Czy chcesz, żebym więcej dziś nie tańczyła? Ja lubię, ale wolę być przy tobie...

— Moja uwielbiona!

— Ja jestem głupia, światowa dziewczyna, ale ja chcę być ciebie wartą. Widzisz, ja bardzo lubię muzykę... nawet walce, nawet polki. Tak to na mnie dziwnie działa. Jak ten pan Bigiel ładnie gra!... Ja przecie wiem, że są rzeczy wyższe od walców. Potrzyj mi chusteczkę i puść na chwilę rękę. To twoja ręka, ale muszę poprawić włosy. Czasem potańczyć, to przecie nic złego? — prawda? Ale jeśli ty nie będziesz sobie życzył — to nie będę, bo ze mnie pokorne stworzenie. Nauczę się czytać w twoich oczach i potem będę jak woda, która odbija i chmury i pogodę. Tak mi przy tobie dobrze. Patrz, jak tamci doskonale tańczą!

Zawiłowskiemu nie starczyło słów: mógł tylko w jeden sposób okazać, co czuje dla niej, to jest klęknąć przed nią. Ale ona tymczasem ukazywała mu Połanieckiego, tańczącego z panią Maszkową, i poczęła ich szczerze podziwiać:

— Doprawdy, że on lepiej tańczy od pana Kopowskiego — mówiła z błyszczącymi oczyma — i ona, jaka zgrabna! O! chciałabym choć raz z nim zatańczyć... jeśli pozwolisz.

Zawiłowski, w którym Połaniecki nie wzbudzał najmniejszej zazdrości, odrzekł:

— Mój skarbie, ile zechcesz. Sam ci go zaraz przyślę.

— Ach i jak doskonale tańczą, jak doskonale! I ten walc, to jakby jakiś miły dreszcz. Oni płyną, nie tańczą.

Tegoż zdania była i Marynia, która, wodząc oczyma za tańczącą parą, doznawała jeszcze większego uczucia przykrości, niż przed chwilą Zawiłowski, albowiem wydało jej się kilkakrotnie, że Połaniecki spogląda znów na panią Maszkową takim wzrokiem, jakim spoglądał na nią wówczas, gdy Świrski uczynił przypuszczenie, że albo się nudzi, albo jest zły. Tylko teraz przypuszczenie takie byłoby już niemożliwe. Chwilami oboje tańczący przesuwali się tuż koło Maryni i wówczas widziała doskonale, jak jego ręka silnie obejmuje stan pani Maszkowej, jak jego oddech oblewa jej szyję, jak rozdymają mu się nozdrza, a spojrzenia ślizgają się po obnażonym gorsie. Mogło to być niewidoczne dla wszystkich innych, ale nie dla Maryni, która umiała czytać w jego twarzy, jak w książce. I nagle światło lamp zmierzchno w jej oczach. Zrozumiała, że co innego jest nie być szczęśliwą, a co innego byłoby być nieszczęśliwą. Trwało to krótko, tak krótko, jak jeden takt walca, lub jak minuta, w której serce ściska się i przestaje bić, ale starczyło na przecucie, że życie w przyszłości mogłoby się zupełnie poplątać, a dzisiejsza miłość zmienić się w gorzki i pogardliwy żal. I przecucie to nappełniło ją przerażeniem. Uchyliła się na chwilę przed nią jakby zasłona, z poza której ukazała się niespodzianie cała nędza i lichota natur ludzkich, cały szych życia. Nic się jeszcze nie stało, nic zupełnie, tylko przyszło na panią Połaniecką widzenie, że może nadejść czas, w którym ufność jej do męża może rozwiać się jak dym.

Ale próbowała się jeszcze bronić zwątpieniom. Pragnęła w siebie wmówić, że on jest pod wrażeniem tańca, nie tancerki. Woląла nie wierzyć oczom. Zdejmował ją wstyd za tego „Stacha”, z którego dotychczas była tak dumna, i walczyła ze wszystkich sił z tem uczuciem, rozumiejąc, że chodzi o rzeczy ogromnie ważne i że z tej małej rzeczy, z tej jego winy, dotąd prawie żadnej, mogą wypłynąć następstwa, które odbiją się na całej ich przyszłości.

A wtem ozwał się koło niej żartobliwy głosik pani Osnowskiej:

— Ach, Maryniu! twojego męża i panią Maszkową chyba natura umyślnie stworzyła, żeby ze sobą walcowali. Co to za para!

— Tak! — odpowiedziała z wysileniem pani Połaniecka.

Pani Aneta zaś szczebiotała dalej:

— Doskonale do siebie przystają. Doprawdy, że na twojem miejscu byłabym trochę zazdrosna... A ty, jesteś zazdrosna? Nie? Ja jestem szczerą i przyznaję się otwarcie, że tak. Przynajmniej niegdyś tak było. Och! wiem przecie, że Józio mnie kocha, ale ci panowie, nawet kochając, miewają swoje małe fantazyje. Ich o to głowa ani trochę nie boli, a że nas trochę boli serce — to tego nie widzą, lub nie chcą widzieć. Najlepsi nie są inni. Józio? — tak! wzorowy mąż — a czy myślisz, że ja go nie znam? Teraz już przyzwyczałam się i często śmiech mnie zbiera, bo oni przytem tacy niezgrabni!... Ja natychmiast wiem, jak tylko Józio poczyna się bałamucić — i wiesz, po czem poznaję?

Marynia wciąż patrzyła na męża, który przez ten czas przestał tańczyć z panią Maszkową, a wziął pannę Linetę. I nagle doznała wielkiej ulgi, wydało jej się bowiem, że Stach tańczy z panną Linetą z tym samym wyrazem twarzy. Podejrzenia jej zaczęły blednąć, natomiast pomyślała, że jeśli posądzała go niesłusznie, to sama jest niegodziwą. Nigdy nie widziała go przedtem tańczącego i przyszło jej do głowy, że może on zawsze tak tańczy.

Tymczasem pani Osnowska powtórzyła:

— Wiesz, po czem poznaję, gdy Józio poczyna się bałamucić?

— Po czem? — spytała raźniej Marynia.

— Nauczę cię tego sposobu. Otóż, jak tylko sam ma nieczyste sumienie, natychmiast podejrzewa innych i udziela mi tych swoich spostrzeżeń, żeby odwrócić uwagę od siebie. Poczciwy Józisko! To ich metoda. Jak oni wszyscy kłamią, nawet najlepsi!

To rzekłszy, odeszła, z przekonaniem, że na towarzyskiej szachownicy uczyniła nader zręczne posunięcie. I było ono poniekąd zręczne. W głowie Maryni powstał jakby chaos. Nie wiedziała, co wreszcie ma o wszystkim myśleć. Ogarnęło ją też wielkie zmęczenie fizyczne. „Ja jestem niezdrowa — rzekła sobie — rozdrażniona, i może mi się Bóg wie co wydawać”. I poczucie zmęczenia powiększało się w niej z każdą chwilą. Cały ów wieczór przedstawiał jej się teraz jakoś gorączkowo. Mąż jej mówił o pani Osnowskiej, jak o kobiecie wiarołomnej, ona mówiła to samo o wszystkich mężach; on patrzył nieuczciwymi oczyma na panią Maszkową, a pani Aneta mówiła do Kopowskiego „ty”. Do tego mieszały się tańczące pary, jednostajny takt walca, głowy zakochanych — i wreszcie burza, która ozwała się na dworze. Co za mieszanina wrażeń, co za fantasmagorya! „Ja jestem niezdrowa” — powtórzyła w myśli Marynia. Ale czuła zarazem, że ją opuszcza spokojność i że to był zły wieczór jej życia. Chciało jej się ogromnie do domu, ale, jak na złość, na dworze była ulewa. „Do domu! do domu!” Gdyby tak jeszcze Stach powiedział jakie dobre i serdeczne słowo! Niechby nie mówił ani o pani Osnowskiej, ani o pani Maszkowej, tylko o czymś, co ich samych dotyczy, a jest im drogiem.

„Ach, jaka ja zmęczona!”

Tymczasem Połaniecki zbliżył się do niej i na widok jej biednej bladej twarzy, ozwało się w nim współczucie dla niej, na jakie zresztą łatwo zdobywało się jego dobre z natury serce.

— Moje biedactwo — rzekł — czas na ciebie do łóżka; niech tylko ulewa trochę przejdzie. Nie boisz się grzmotów?

— Nie; siądź przy mnie.

— To letnia burza, zaraz minie. Jakaś ty senna!

— Możem niepotrzebnie przyjechała. Mnie bardzo potrzeba spokoju, Stachu.

On sumienie miał niezbyt czyste i był zły na siebie. Ani mu przez myśl nie przeszło, by to, co ona mówi o spokoju, mogło odnosić się do niego, do jego pokus i postępowania z panią Maszkową, ale uczył nagle, że gdyby się czegoś domyśliła, spokój jej byłby z jego winy zabity raz na zawsze — i — ponieważ nie był człowiekiem zepsutym, ogarnęła go bojaźń i skrucha.

— Do licha z wszystkimi tańcami! — rzekł. — Będę siedział w domu i pilnował swojego dobra.

I mówił to tak szczerze, że jej, która go znała doskonale, nie mógł przejść przez głowę ani cień zwątpienia. To też ogarnęło ją uczucie ogromnej ulgi.

— Jak ty jesteś przy mnie — rzekła — to ja zaraz mniej się czuję zmęczona. Przed chwilą było mi jakoś niedobrze. Aneta siedziała koło mnie, ale cóż ja ją mogę obchodzić! Gdy człowiek jest niezdrowy, potrzebuje koło siebie kogoś swojego i pewnego. Może mnie wyląjesz za to, co ci powiem, bo to dziwne, żeby takie rzeczy mówić na wieczorze, u obcych, i tak dawno po ślubie, więc sama rozumiem, że trochę dziwaczę, ale mi ciebie naprawdę potrzeba, bo — ja cię bardzo kocham.

— I ja ciebie kocham, drogie stworzenie — odpowiedział Połaniecki, który w tej chwili miał uczucie, że jedynie miłość do niej może być w nim uczciwą i spokojną.

Tymczasem ulewa zmniejszyła się, tylko błyskało jeszcze tak, że okna willi stawały się co chwila jasnosine. Bigiel, który był na zakończenie wieczoru odegrał preludium Szopenowskie, rozmawiał teraz z panną Linetą i Zawilowskim o muzyce i, zastanowiwszy się dobrze nad swoją ideą, rzekł:

— To tam Bukacki wymyślał rozmaite podziały i typy kobiet, a ja mam swoje kryterium muzyczne. Są kobiety, które lubią muzykę duszą, a są takie, które ją lubią skórą — i takichbym się bał.

W kwadrans później, krótka letnia burza przeszła i wypogodziło się zupełnie; goście państwa Osnowskich poczęli zbierać się do domów. Tylko Zawilowski pozostał dłużej od innych, by ostatni mógł powiedzieć pannie Linecie: dobranoc!

Połaniecki, z obawy o Marynię, kazał powozowi jechać noga za nogą. W jej zmęczonej głowie przesunął się ciągle obraz męża tańczącego z panią Maszkową, a w uszach

brzmiały słowa pani Osnowskiej: „Ach, jak oni kłamią, nawet najlepsi!” Ale Połaniecki otoczył ją tymczasem ramieniem i trzymał opartą o siebie przez całą drogę — więc stopniowo niepokój jej począł tajać. Chciało jej się z całej duszy zadać mu takie jakieś pytanie, z którego mógłby się domyśleć jej obaw i uspokoić ją. Ale po chwili pomyślała: „Gdyby mnie nie kochał, nie okazywałby troskliwości. On prędzej mógłby być okrutny, niż udawać. Nie spytam go dziś o nic”.

Połaniecki zaś, widocznie pod wpływem myśli, które snuł w głowie, i pod wpływem wrażenia, że ona jedna może być jego prawą miłością i prawdziwym szczęściem, pochylił się i pocałował z lekka jej twarz.

— Nie spytam go o nic i jutro — pomyślała Marynia, opierając głowę o jego ramię.

A po chwili jeszcze:

— Nigdy mu nic nie powiem.

I utrudzenie, zarazem duchowe i fizyczne, zaczęło przemagać jej siły, tak, że nim dojechali do domu, oczy jej się przymknęły i usnęła na ramieniu Połanieckiego.

Pani Broniczowa siedziała tymczasem w salonie, spoglądając ku szklanym drzwiom balkonu, na który narzeczeni wyszli na chwilę, by odetchnąć odświeżonym przez deszcz powietrzem i powiedzieć sobie bez świadków: dobranoc. Po burzy zrobiła się przejrzysta noc, pachnąca mokrymi liśćmi, pełna gwiazd, jakby wykąpanych w dżdżu i uśmiechniętych przez łzy. Oni stali czas jakiś w milczeniu, potem począł sobie mówić, że się z całej duszy kochają, a wreszcie Zawilowski wysunął rękę, na której połyskiwał pierścionek, i rzekł:

— Moja, bardzo kochana! Patrzę na ten pierścionek i nie mogę mu się napatrzeć. Dotychczas zdawało mi się, że to wszystko sen, i teraz dopiero śmiem myśleć, że ty będziesz moją naprawdę.

A Lineta przyłożyła dłoń do jego ręki, tak aby dwa pierścionki były obok siebie, i odrzekła rozmarzonym głosem:

— Tak! Już niema dawnej Linety, tylko twoja narzeczona; już całe życie musimy do siebie należeć — i aż mi dziwnie, że w tych pierścionkach jest taka siła, jakby w nich było coś świętego.

Zawilowskiemu zalewało serce szczęście i spokojna słodycz.

— Bo — rzekł — w pierścionku jest dusza, która się oddaje, a w zamian bierze drugą duszę... I w taką złotą obietnicę wszczepia się wszystko, co w człowieku mówi: chcę, kocham i przyrzekam!...

Panna Lineta powtórzyła jak ciche echo:

— Chcę, kocham i przyrzekam...

Wówczas on objął ją i trzymał długo przy piersiach, a potem począł się z nią żegnać. Lecz porwany siłą miłości i polotem własnej swej duszy, uczynił z tego pożegnania jakiś religijny akt czci i adoracyi.

Więc dawał dobranoc tym błogosławionym rękom, które mu dały tyle szczęścia, i dobranoc sercu, które go pokochało, i dobranoc ustom, które wypowiedziały miłość, i dobranoc przeczystym oczom, przez które patrzyła na niego wzajemność — a wreszcie dusza wyszła z niego i zmieniła się jakby w świetlisty krąg, koło tej droższej nad świat i uwielbionej głowy...

— Dobranoc!...

Po chwili pani Broniczowa i panna Castelli zostały same w salonie.

— Zmęczyłaś mi się, dziecko? — spytała pani Broniczowa, patrząc na jakby zbudzoną ze snu twarz Linety.

A panna Castelli odrzekła:

— Ach, ciociu, wracam z gwiazd, a to taka daleka droga!

VII

Zawilowski mógł sobie powiedzieć, że i poetom przyświeca czasem szczęśliwa gwiazda. Od chwili zaręczyn z panną Castelli, przychodziło mu wprawdzie często do głowy, że trzeba będzie teraz pomyśleć o środkach na urządzenie domu i opędzenie wydatków, tak ślubu, jak i wesela, ale, będąc przedewszystkiem zakochanym i nie mając wogóle jasnego pojęcia o podobnych rzeczach, przedstawiał sobie to wszystko tylko jak jakąś nową trudność

życiową, którą należy przewyciężyć; złamał zaś ich już tyle w życiu, że, ufając w swe siły, mniemał, że złamie i tę, ale nad sposobami dotychczas nie rozmyślał.

Natomiast rozmyślali za niego inni. Stary pan Zawilowski, w którym, obok całego uznania dla geniuszów, nic nie mogło zachwiać wiary, iż każdy poeta musi mieć w głowie: „fiu, fiu!” — wezwał Połanieckiego na osobną naradę i rzekł mu:

— Ja powiem otwarcie, że mi się ten chłopak spodobał, bo ojciec jego był z przeproszeniem wielki hultaj: nic, panie, tylko karty, kobiety i konie!... Doczekał się też za życia pokuty. A młody się w niego nie wdał — i nietylko ujmy nazwisku nie przyniósł, ale chlubę. No, inni nie bardzo mnie do tego przyzwyczaili, to też o nim, da Pan Bóg pożyć, nie zapomnę, ale i zaraz chciałbym dla niego coś zrobić, bo choć to daleki krewny, ale krewny i nazwisko to samo, a to grunt!

Na to Połaniecki odrzekł:

— Myśmy już o tem myśleli, tylko to trudna rzecz. Byłe wspomnieć o pomocy, to mu ambicya tak bije do głowy, że najcierpliwszego może do złości doprowadzić.

— Proszę... Taką to harda sztuka! — przerwał z widocznym zadowoleniem pan Zawilowski.

— Tak jest. On prowadzi księgi i korespondencję w naszym Domu od niedawna, ale szczerześmy go pokochali, więc obaj ze współnikami sami zaofiarowaliśmy mu kredyt; powiedzieliśmy tak: weź kilka tysięcy rubli na wydatki i urządzenie domu, a oddasz nam w ciągu trzech lat z tego, co ci wpłynie za książkę. Nie chciał. Powiedział nam, że ufa swojej narzeczonej, że jest pewny, iż ona zastosuje się do niego — i nie chciał. Osnowski miał też ochotę ofiarować mu pomoc, aleśmy go powstrzymali, wiedząc, że to na nic... To będzie trudna sprawa.

— Może też on coś ma?

— Ma i nie ma. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się, że mu po matce zostało kilkanaście tysięcy rubli, ale on z procentu utrzymuje ojca w domu dla obłąkanych i kapitał uważa za nienaruszalny. Że z niego nic nie weźmie, to pewna, bo, nim zaczął u nas urzędować, znosił taką biedę, że wprost głód marł, a nie ruszył ani grosza. To taki charakter. I zrozumie szanowny pan, dlaczego go tak cenimy. On, zdaje się, coś teraz pisze i liczy, że z tego opędzi kosztu urzędowania. Może być. Teraz jego nazwisko dużo znaczy.

— Gruszki na wierzbie! — rzekł pan Zawilowski. — Mówisz pan, że jego nazwisko dużo znaczy? — proszę!... Ale to gruszki na wierzbie!

— Niekoniecznie — tylko, że to nie przyjdzie prędko.

— To z wami robił ceremonie, boście mu obcy, ale ja krewny.

Połaniecki potrząsnął głową:

— My mu obcy, ale dawniejsi znajomi od pana — i znamy go lepiej.

Pan Zawilowski, nieprzywykły, żeby mu się ktokolwiek sprzeciwiał, począł ruszać swymi białymi wąsami i sapać z niezadowolenia. Pierwszy też raz w życiu przyszło mu biedzić się o to, czy ktoś, komu on chce dać pieniędzy, raczy je przyjąć. Razem go to dziwiło, podobało mu się i gniewało go. Przypomnił sobie teraz to, o czym Połanieckiemu nie wspominał, ile to razy płacił był weksle za ojca młodego człowieka — i jakie weksle! A oto jabłko padło tak daleko od jabłoni, że teraz był nowy i niespodziewany kłopot.

— No — rzekł po chwili — może to Bóg miłosierny daje, że młodsze pokolenia tak się zmieniają, bo dyabłu do nich: ani przystąpi!...

Tu twarz rozjaśniła mu się nagle ogromnie pocziwą radością. Niewyczerpany optymizm, leżący na dnie jego duszy, znalazł realny dowód na swe usprawiedliwienie, napelnił mu serce wesołemi widzeniami.

— Zgryźże go tu, panie dyable — rzekł — kiedy to bestya jak z kamienia!... Zdolne szelmy! zawzięte w robocie! — i charaktery! — ot co! charaktery!

Tu wytrzeszczył oczy i, kręcąc głową, usta złożył na znak podziwu, jak do gwizdania, a potem dodał:

— Proszę! i to w szlachcie! Dalibóg, takim się nie spodziewał.

— Zdaje się też — rzekł Połaniecki — że nie będzie innej rady, tylko panna Castelli musi się do niego zastosować.

Lecz stary szlachcic skrzywił się nagle:

— To niby się gada! hm! Zastosuje się, nie zastosuje? — lichy ją wie! Młoda, jak to młoda, może i gotowa na wszystko, ale kto zaręczy, na jak długo? A prócz tego, jest

tam ciotka i ten usłużny nieboszczyk, co to, jak panie huknie z pod ziemi, to i gadajże z nim!... Ja, dalibóg, cenię takich, co się dorobili majątku, ale, jak kto wylazł z folwarku, nie ze dworu, a udaje, że mieszkał zawsze w pałacach, to mu się chce pałaców. I tak było ze starym Broniczem. Na próżności tam nie zbywało im obojgu i w takiej szkole chowała się młoda. Nic, panie, tylko wygody i zbytek. Ignacy ich pod tym względem nie zna — i pan nie znasz. Taka, ot! (tu wskazał głową na córkę) poszłaby na poddasze, jakby raz dała słowo, ale tam, to może nie pójść łatwo.

— Ja ich nie znam — rzekł Połaniecki — i różnie o nich słyszałem, a przez życzliwość dla Ignasia chciałbym wiedzieć wreszcie, co o nich sądzić.

— Co o nich sądzić? Ja znam je dawniej, a też nie bardzo wiem. A no! sądząc z tego, co gada sama Broniczowa — święte kobiety, panie, najzacniejsze!... I pobożne! — ho! za życia je kanonizować!... Ale to, widzisz pan, jest tak: są u nas kobiety, które Boga i przykazania wiary noszą w sercu, a są też i takie, które sobie z naszej katolickiej religii robią katolicki sport — i takie najgłośniej gadają i wyrastają, gdzie ich nie posiał. Ot, co jest!

— A, jaką pan ma słuszność! — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki.

— Co? nieprawda? — spytał Zawilowski. — Ja się napatrzył różnym rzeczom w życiu... Ale wróćmy do materii. Masz tedy pan jaki sposób, żeby ten żbik przyjął pomoc, czy nie masz?

— Trzeba będzie coś obmyśleć, ale w tej chwili nic mi do głowy nie przychodzi.

Wtem panna Helena Zawilowska, która, zajęta wyszywaniem na kanwie, milczała do tej chwili, jakby nie słysząc rozmowy, podniosła nagle swe stalowe, zimne oczy i rzekła:

— Jest sposób bardzo prosty.

Stary szlachcic spojrział na nią:

— Ot i znalazła! Cóż to za taki prosty sposób?

— Niech papa złoży dostateczny kapitał dla ojca pana Ignacego.

— To lepiej było ci nie radzić. Już ja dosyć w życiu zrobił dla ojca pana Ignacego, choć go nie chciałem na oczy widzieć, a teraz chciałbym coś zrobić dla samego pana Ignacego.

— Tak, ale jeśli jego ojciec będzie miał zabezpieczony do śmierci procent, to on sam będzie mógł rozporządzać tem, co ma po matce.

— A jak mi Bóg miły, prawda! — rzekł ze zdumieniem pan Zawilowski. — Patrzą pan! Tośmy obaj napróżno głowy łamali, a ona znalazła! Jak mi Bóg miły, prawda!

— Pani ma zupełną słuszność — rzekł Połaniecki.

I spojrział na nią z ciekawością, lecz ona już pochyliła swą obojętną i jakby przedwczesnie zwiędłą twarz nad robotą.

Wiadomość o takim obrocie sprawy ucieszyła mocno panią Połaniecką i Bigielów, a przytem dała powód do rozmów o pannie Helenie Zawilowskiej. Niegdyś miała ona opinię panny zimnej i ceniącej nad wszystko formy; lecz opowiadano, że później przez ten chłód przedarło się do jej serca wielkie uczucie, które, zmieniawszy się w tragedję, zmieniło również i tę niegdyś światową istotę na kobietę dziwną, oderwaną od ludzi, zamkniętą w sobie, zazdrosną o swój ból. Niektórzy wynosili jej wielką dobroczynność, ale jeśli istotnie była dobroczynną, to tak skrycie, że nikt nic dobrze nie wiedział. Trudno też było komukolwiek się do niej zbliżyć, gdyż obojętność jej zbyt była podobną do dumy. Mężczyźni utrzymywali, że w obejściu jej jest wprost coś pogardliwego, jakby nie mogła darować im, że żyją.

Zawilowski był w Przytułowie i wrócił dopiero w tydzień po rozmowie starego z Połanieckim, to jest wówczas, gdy szlachcic złożył już na imię jego ojca dwa razy większy kapitał, niż ten, który służył dotychczas naopłatę domu zdrowia. Dowiedziawszy się o tem, polecał dziękować i bronić się przed przyjęciem, lecz stary, czując pewny grunt pod nogami, zburczał go z miejsca:

— A ty co masz tu do gadania — rzekł — kiedy ja dla ciebie nic nie zrobił?... Tobie nic nie dałem, więc nie masz prawa przyjmować, albo nie przyjmować, a że mi się spodobało przyjść z pomocą choremu krewnemu, to każdemu wolno.

I rzeczywiście nie było na to nic do odpowiedzenia, więc skończyło się na uściskach i wrzuceniu, w którym obaj ci, niedawno obcy sobie ludzie, poczuli się naprawdę krewnymi.

Nawet i panna Helena okazywała „panu Ignasiowi” życzliwość, co zaś do starego pana Zawilowskiego, ten, bolejąc skrycie nad tem, że nie ma syna, pokochał młodego człowieka serdecznie, i gdy w tydzień później pani Broniczowa, wpadłszy dla jakiegoś sprawunku do Warszawy, przyszła dowiedzieć się, co słyhać z pedogrą, a zarazem, mówiąc o młodej parze, powtórzyła kilkakrotnie na większą chwałę „Niteczki”, że wychodzi za człowieka bez majątku, staruszek zniecierpliwiał się i zawołał:

— Co mi tam pani mówisz! Bóg to raczy wiedzieć, kto robi lepszą partycję nawet pod względem majątkowym, nie mówiąc już o innych.

I pani Broniczowa, która zresztą znosiła wszystko od starego wedyka, zniosła gładko nawet wzmiankę o „innych względach”. Natomiast w pół godziny później rozpuściła dowoli skrzydła wyobraźni. Odwiedziwszy po drodze Połanieckich, opowiedziała im, że pan Zawilowski formalnie przyrzekł jej uczynić ze swoich majątków pruskich ordynację dla „tego kochanego Ignasia”. Sama wyznała również, że pokochała „tego kochanego Ignasia” tak niepohamowanym macierzyńskim uczuciem, iż chwilami zastępował w jej sercu Lola. W końcu wyraziła niezachwianą pewność, iż Teodor pokochał go nie mniej od niej i że dla obojga pamięć Lola stałaby się przez to mniej bolesną.

Zawilowski nie wiedział ani o tem, że w sercu pani Broniczowej zastąpił Lola, ani o wynalezionej przez nią ordynacji. Spostrzegł jednak, iż jego stosunek do ludzi poczyna się zmieniać. Wiadomość o owej ordynacji musiała się rozejść z piorunującą szybkością po mieście, albowiem znajomi witali go jakoś inaczej, a nawet koledzy biurowi, ludzie uczciwi, poczuli z nim być mniej poufali. Wróciwszy z Przytułowa, musiał pójść w odwiedziny do wszystkich, którzy byli obecni na wieczorze zaręczynowym u Osnowskich, i szybkość, z jaką mu oddał wizytę taki na przykład Maszko, świadczyła również o tej zmianie stosunku. Maszko w pierwszych chwilach znajomości traktował go trochę z góry. Teraz nie przestał wprawdzie być protekcyjnym, ale ileż było życzliwej i przyjacielskiej poufności w jego obejściu, jaka wyrozumiałość — nawet dla poezji. Nie! Maszko nic nie miał przeciw poezji; wolałby może, żeby wiersze Zawilowskiego były w duchu odpowiedniejszym obozowi prawdziwie dobrze myślących ludzi, ale wogóle na istnienie poezji się zgadzał, a nawet ją pochwałł. Łaskawe jego usposobienie i dla poezji i dla poety widać było w jego spojrzeniu, w jego uśmiechu, w powtarzaniu co chwila: „Ale owszem, owszem, ale bardzo!” Zawilowski, który był pod wieloma względami naiwny, lecz przytem wyjątkowo inteligentny, zrozumiał jednak, że w tem wszystkim jest jakieś udawanie czegoś i pomyślał:

— Dlaczego ten, niby rozumny człowiek, tak pozuje, że to widać?

I tego samego dnia poruszył to pytanie w rozmowie u Połanieckich, u nich bowiem poznał był Maszkę.

— Ja, gdybym pozował — rzekł — starałbym się tak robić, żeby się na tem nie poznali.

— Ci, którzy pozują — odpowiedział Połaniecki — liczą na to, że choć się ludzie na pozie poznają, w końcu przez samo lenistwo, lub brak odwagi cywilnej, zgodzą się na to, co poza ma wyrażać. To zresztą trudna rzecz. Czyś pan uważał, że kobiety, które się różują, tracą zwolna miarę w oku? Z pozowaniem jest tak samo. Najinteligentniejsi tracą miarę.

— Prawda — odpowiedział Zawilowski — jak również prawda i to, że ludziom można wszystko narzucić.

— Co do Maszki — mówił dalej Połaniecki — wie przytem, że się żenisz z panną, która uchodzi za zamożną; wie, żeście się połubili ze starym panem Zawilowskim, i może chciałby za pańską protekcją zbliżyć się z nim. Maszko musi myśleć o przyszłości, bo mówiono mi, że sprawa o zwalenie testamentu, od której zależy jego los, nie stoi zbyt pomyślnie.

Jakoż tak było. Ów młody adwokat, występujący w obronie testamentu, okazywał aż nadto wiele zręczności, energii i uporu.

Lecz na tem skończyła się rozmowa o Maszce, albowiem pani Marynia zaczęła się wypytywać o Przytułów i jego mieszkańców, dla Zawilowskiego zaś był to przedmiot niewyczerpany. W wyrazistym opowiadaniu ukazał się dwór przytułowski, z lipami przy drogach, dalej cienisty ogród, stawy, trzciny, olszyny i na widnokręgu pas sosnowego

lasu. Krzemień, który był już zbladł w pamięci Maryni, stanął przed nią teraz, jak żywy, i w tem chwilowym odzyciu tęsknoty pomyślała, że kiedyś, kiedyś poprosi Stacha, by ją zawiózł choć do Wątorów, do tego kościółka, w którym ją chrzcili i w którym pochowana była jej matka. Może w tej chwili Krzemień przypominał się i Połanieckiemu, albowiem, machnąwszy ręką, rzekł:

— To wszędzie na wsi tak samo. Pamiętam, co mawiał Bukacki, że on lubiłby namiętnie wieś, ale pod warunkiem, żeby w domu był doskonały kucharz, duża biblioteka, ładne i inteligentne kobiety — i żeby nie potrzebował dłużej tam siedzieć na rok, jak dwa dni. I ja go rozumiem.

— A jednak — rzekła Marynia — tak ci się chce mieć swój kawałek ziemi pod miastem?

— Żeby latem mieszkać u siebie, nie u Bigielów, jak musimy uczynić w tym roku.

— A we mnie — rzekł Zawilowski — jak tylko jestem na wsi, odzywają się jakieś polne instynkta. Zresztą moja narzeczona nie lubi miasta, a to dla mnie dosyć.

— Linetka naprawdę nie lubi miasta? — spytała z zajęciem Marynia.

— Bo to urodzona artystka. Ja przecie także patrzę na naturę i odczuwam ją, ale ona pokazuje mi takie rzeczy, których sam nie umiałbym dostrzedz. Przed paru dniami wybraliśmy się wszyscy do lasu, gdzie pokazywała mi naprzykład paprocie w słońcu. To takie ładne! Nauczyła mnie także, że pnie sosen mają, zwłaszcza w wieczornem oświetleniu, ton fioletowy. Ona otwiera mi oczy na kolory, których przedtem nie widziałem, i jak jakaś wróżka, chodząc po lesie, pokazuje mi nowe światy.

Połaniecki pomyślał, że wszystko to może być dowodem arcyzmu, ale może być również objawem mody i tego wmawianego w siebie powszechnie zamiłowania do malarstwa, a w niem do kolorytu, którem wojuje dziś byle panna, nie z miłości dla sztuki, ale dla popisu. Sam on nie zajmował się malarstwem, spostrzegł jednak, że dla światowych gąsek stało się ono w ostatnich czasach towarem, chętnie wystawianym na jarmarku próżności, albo, inaczej mówiąc, frazesem, mającym dowodzić artystycznej kultury i artystycznej duszy.

Ale zachował te myśli dla siebie, Zawilowski zaś mówił dalej:

— Ona przytem ogromnie lubi dzieci wiejskie! Mówi, że to takie doskonałe modele i mniej spospolitowane, niż młode Włoszeta. Jak pogoda, cały dzień jesteśmy na świeżem powietrzu i opaliliśmy się oboje. Uczę się też grać w tennis i robię wielkie postępy. To się zdaje łatwo, a z początku idzie bardzo trudno. Pan Osnowski grywa zapalczywie, żeby nie utyć. Trudno wypowiedzieć, co to za dobry i delikatny człowiek.

Połaniecki, który za czasów swego pobytu w Belgii uprawiał tennis niemniej zapalczywie od pana Osnowskiego, począł się teraz chełpić swem doświadczeniem i rzekł:

— Żeby tam był, pokazałbym wam, jak się gra w tennis.

— Mnie, tak! — odpowiedział Zawilowski — ale oni tam zresztą dobrze grają, zwłaszcza Kopowski.

— A, to pan Kopowski jest w Przytułowie? — spytał Połaniecki.

— Jest — odpowiedział Zawilowski.

I nagle obaj, spojrzawszy sobie w oczy, w jednej chwili odgadli, że obaj coś wiedzą — i umilkli. Nastąpiła chwila ciszy i nawet zakłopotania, albowiem pani Marynia zacerwieniła się niespodzianie, a nie umiejąc tego ukryć, czerwieniła się coraz mocniej.

Zawilowski, który rozumiał dotąd, że jest wyłącznym posiadaczem tajemnicy, spostrzegł ze zdziwieniem jej rumieńce i zmieszał się również, następnie zaś, chcąc zakłopotanie zagadać, począł mówić spiesznie:

— Tak, Kopowski jest w Przytułowie. Pan Osnowski zaprosił go dlatego, że panna Lineta nie skończyła jego portretu, a później nie będzie na to czasu. Prócz tego, bawi tam krewna pana Osnowskiego, panna Ratkowska, i myślę, że Kopowski o nią się stara. To bardzo miła i cicha panienska. W sierpniu wyjeżdżamy wszyscy do Scheveningen, bo te panie nie lubią Ostendy... Gdyby pan Zawilowski nie był przyszedł z taką serdeczną pomocą memu ojcu, ja nie byłbym mógł pojechać, ale teraz mam rozwiązane ręce...

To rzekłszy, począł mówić z Połanieckim o swem stanowisku w biurze, którego nie chciał porzucić. Prosił natomiast, by, ze względu na wyjątkowe okoliczności, mógł otrzymać kilkumiesięczny urlop. Poczem pożegnał się i wyszedł, albowiem pilno mu było do

pisania listu do narzeczonej. Za parę dni miał znów jechać do Przytułowa, ale tymczasem pisywał, niekiedy nawet po dwa razy dziennie.

I przez drogę do swego mieszkania układał sobie słowa listu, wiedział bowiem, że panna Lineta będzie czytała go na wspólnie z panią Broniczową, że obie będą szukały w nim nietylko serca, ale skrzydeł, i że piękniejsze ustępy będą czytane pod sekretem pani Anecie, panu Osnowskiemu, a nawet pannie Ratkowskiej. Ale nie brał tego za złe swojej ukochanej „Niteczce” — owszem, był jej wdzięczny, że się nim chlubi i dokładał wszystkich sił, by odpowiedzieć jej wysokiemu o nim wyobrażeniu. Nie gniewała go również myśl, że ludzie będą wiedzieli, jak ją kocha. „Niech wiedzą, że jest kochana tak, jak nikt w świecie!”

Obok tego, myślał teraz trochę i o Maryni. Rumieńce jej wzruszyły go, widział w nich bowiem dowód przezystej natury, która nietylko sama nie byłaby zdolną do złego, ale którą nawet zło cudze zawstydza, uraża i trwoży. I porównywając ją z Osnowską, rozumiał, jaka jednak przepaść może dzielić kobiety, pozornie bliskie sobie przez położenie towarzyskie i poziom umysłowy.

Połaniecki zaś rzekł po wyjściu Zawilowskiego:

— Widziałeś, że i Zawilowski musiał czegoś dopatrzeć. Teraz nie mam już wątpliwości. Ślepy ten Osnowski! ślepy!

Pani Marynia zaś odpowiedziała:

— Właśnie jego zaślepienie powinno ją ująć i powstrzymać. To byłoby okropne!

— To nie „byłoby” — to jest. Widzisz, szlachetne dusze płacą za ufność wdzięcznością, podle — pogardą.

VIII

Dla pani Maryni słowa te były wielką otuchą, myśląc bowiem o swoich poprzednich niepokojach, mniemała zarazem, że Połaniecki nie powiedziałby nic podobnego, gdyby był zdolnym zawieść jej ufność. Nie przypuszczała też, że człowiek inną może mieć miarę ogólną, inną osobistą, i że w życiu co krok napotyka się takie dwie różne miary. Mówiła sobie, że dość jest okazywać mężowi ufność bez granic, by go od wszystkiego powstrzymać, i z mniejszą obawą myślała teraz o blizkiem sąsiedztwie letniego domu pani Krasławskiej z domem Bigielów, w którym oboje z mężem mieli przepędzić lato. Łatwo bowiem było odgadnąć, że pani Maszkowa, która już się była przeniosła do domu matki, będzie z samych nudów częstym gościem u Bigielów. Maszko nie wysłał jej do Krzemienia, nie chcąc się z nią na letnie miesiące rozłączać. Z Warszawy, w której musiał zostać dla interesów, łatwo mu było codziennie dojeżdżać do żony, mieszkającej o godzinę od rogatek, tymczasem odległy Krzemień wyłączał możliwość podobnych wypraw. Maszce, zakochanemu szczerze w żonie, obecność jej była potrzebna, jako pokrzepienie, albowiem nadchodziły znów na niego ciężkie czasy. Sama sprawa o zwalenie testamentu nie była jeszcze wcale stracona, nie brała jednak, z powodu sprężystości obrony pomyslnego obrotu; poczyniała się przewlekać i ludzie poczuli o niej wątpić — już zaś to samo było dla Maszki niemal klęską. Kredyt jego, który z początku sprawy tak był odżył i rozkwitł, jak jabłoń na wiosnę, począł się powtórnie chwiać. Śledź, który był osobistym Maszki wrogiem i człowiekiem wogóle zawziętym, nietylko nie poprzestał na rozpuszczaniu wieści o złem położeniu swego współzawodnika, lecz postarał się, by wątpiwości co do pomyslnego zakończenia sprawy przedarły się i do prasy. Poczęła się bezlitosna wojna prawna i osobista, Maszko bowiem starał się również szkodzić wszelkimi siłami nieprzyjacielowi, a przy spotkaniach się z nim zachowywał się wprost wyzywająco. Nie przynosiło mu to jednak korzyści. Kredyt stawał się coraz trudniejszym a wierzyciele, lubo spłacani dotąd regularnie tracili ufność. Zaczęło się znów gorączkowe poszukiwanie pieniędzy w tym celu, by jednym długiem zepchnąć drugi i podtrzymać opinię natychmiastowej wypłacalności. Maszko zużywał na to tyle inteligencji i energii, że, gdyby nie zasadniczy fałsz w jego życiowych stosunkach, byłby z tymi przymiotami doszedł do sławy i wielkiego majątku.

Zwalenie testamentu mogło wszystko uratować, ale na to trzeba było czekać, a tymczasem wiązać rwące się tu i owdzie nici, co było równie nie łatwym, jak upokarzającym. Przyszło do tego, że w dwa tygodnie po przeniesieniu się Połanieckich do Bigielów, gdy

państwo Maszkowie przybyli do nich w odwiedzin, Maszko zmuszony był zażądać od Połanieckiego „przyjacielskiej usługi” — to jest, podpisania wekslu na kilka tysięcy rubli.

Połaniecki był z natury człowiekiem uczynnym i raczej hojnym, ale miał swoją teorię, która w sprawach pieniężnych nakazywała mu być trudnym — i skutkiem tego podpisu odmówił, natomiast zaś uczył Maszkę swymi poglądami na kwestye pieniężne między przyjaciółmi.

— Gdy chodzi, nie o obustronny korzystny interes — rzekł mu — ale o usługę prywatną, odmawiam podpisu z zasady; natomiast służę gotówką, o ile znajomy lub przyjaciel potrzebuje jej z powodu chwilowego kłopotu, nie zaś z powodu rozpaczliwego położenia. W tym ostatnim razie wolę zachować moją usłużność na później.

— To się znaczy — odrzekł sucho Maszko — że dajesz mi lekką nadzieję wsparcia, gdybym zbankrutował?

— Nie. To się znaczy, że jeśli przyjdzie katastrofa, wówczas, zaciągnąwszy u mnie pożyczkę, będziesz mógł schować to, co pożyczysz, lub rozpocząć z owym kapitałem coś na nowo. Obecnie, rzucisz go jak w przepaść, ze szkodą dla mnie, bez pożytku dla siebie.

Maszko obraził się.

— Mój drogi — rzekł — widzisz moje położenie w gorszym świetle, niż ja sam i niż jest rzeczywistość. Właśnie jest to chwilowy kłopot i mały kłopot. Cenię twoje dobre chęci, ale dziś jeszcze nie oddałbym może moich widoków za twój gotowy majątek. Teraz zaś mam jedną przyjacielską prośbę, mianowicie: żebyśmy nie mówili o tem więcej.

I obaj wrócili do pań: Maszko zły na siebie, że czegośkolwiek żądał, Połaniecki, że żądaniu odmówił. Jego teoria, iż w interesach pieniężnych należy być nieużytym, nieraz sprawiała mu podobne przykrości, nie mówiąc o szkodach, które mu w życiu przyniosła.

Przy paniach jego zły humor powiększył się jeszcze z powodu porównania między panią Maszkową a Marynią. Ku wielkiemu umartwieniu Maszki, nic dotąd nie zwiastowało, by pani Maszkowa miała zostać matką, a co większa, zaufany lekarz, który znał ją od dzieciństwa, począł wątpić, czy to kiedykolwiek nastąpi. Natomiast zachowała całą wyszukłość panieńskich kształtów i teraz zwłaszcza, w perkalowej letniej sukni, wyglądała przy bardzo zmienionej i ociążonej Maryni, nietylko jak dziewczyna, ale jak osoba młodsza o kilka lat. Połaniecki, któremu się zdawało, że się już uporał z tym dziwnym pociąganiem, jaki na niego wywierała, uczył nagle, że tak nie jest i że z powodu blizkiego sąsiedztwa, widując ją często, będzie coraz bardziej poddawał się jej fizycznemu urokowi.

Stosunek jego do żony stał się jednak od czasu zaręczynowego wieczoru Zawilowskiego cieplejszy i Marynia była śmielsza, niż poprzednio, to też teraz, po wyjściu Maszków, spostrzegłszy, że Połaniecki pożegnał się z Maszką zimniej, niż zwykle, i że wogóle był zły, spytała, czy się nie poróżnili.

Połaniecki nie miał zwyczaju mówić z nią o interesach, ale w tej chwili był niezadowolony ze siebie i uczył taką potrzebę wypowiedzenia tego, co mu ciążyło, jaką zawsze odczuwa człowiek, trochę egoista, mający pewność, że znajdzie współczucie w oddanem mu sercu, więc rzekł:

— Odmówiłem Maszce pożyczki i szczerze ci powiem, że mi teraz przykro. On ma przed sobą jeszcze widoki ratunku, ale położenie jego jest takie, że nim dojdzie do celu, może się przez lada przeszkodę przewrócić. Ostatecznie, nigdy nie byliśmy z nim w przyjaźni, prawie go nie lubię; razi mnie, gniewa, ale jednak życie stykało nas ustawicznie, a oprócz tego, on oddał nam raz wielką przysługę. Wprawdzie oddawałem i ja jemu usługi, ale teraz on znów ma nóż na gardle.

Marynia słuchała z przyjemnością tych słów, pomyślała bowiem, że gdyby Stach był naprawdę pod urokiem pani Maszkowej, to nie byłby pożyczki odmówił, a powtóre, widziała w jego żalu dowód dobrego serca. Żal było i jej Maszków, ale, nie wniósłszy mężowi prawie żadnego posagu, nie śmiała go wprost prosić, by przyszedł im w pomoc, więc tylko spytała:

— Czy myślisz, że to musiałyby być stracone?

— Może tak, może nie, odpowiedział Połaniecki.

Poczem dodał z pewną chępliwością:

— Odmówić to ja umiem. Bigiel ma miększe serce.

— Tylko nie mów! Tyś taki poczywy! Najlepszy dowód, że ci to takie przykre.

— Naturalnie, że nie może być przyjemnie pomyśleć, że człowiek, choćby obcy, wije się tam, jak wąż, z powodu kilku tysięcy rubli. Ja wiem, o co chodzi. Maszko dał ostateczny termin na jutro, przedtem szukał wszędzie pieniędzy, ale szukał ostrożnie, nie chcąc robić hałasu i przestraszać wierzycieli, a w ostateczności licząc na mnie. Otóż, widzisz, jutro nie zapłaci. Przypuszczam, że za kilka dni znajdzie jeszcze tyle, ile mu potrzeba, ale tymczasem opinia jego akuratności zachwieje się, a w położeniu, w jakim jest, wszystko może być dla niego zgubą.

Pani Marynia poczęła patrzeć na męża, wreszcie rzekła z pewną nieśmiałością:

— A tobie byłoby to naprawdę trudno?

— Jeśli chcesz prawdy, to wcale nie. Ja mam tu nawet ze sobą książeczkę czekową, a wziąłem ją dlatego, żebym mógł zaraz zadatkować, jeśli jakąś kolonijkę upatrzę.

Potem zaczął się śmiać:

— O! — rzekł — protekcja i współczucie dla dawnego adoratora! Zaczyna mi to dawać do myślenia.

Pani Marynia również poczęła się śmiać, bo rada była, że rozjaśniła twarz męża, lecz przecząc swoją wdzięczną główką, rzekła:

— Nie! to nie współczucie dla adoratora, tylko brzydki egoizm, bo sobie myślę, czy te parę tysięcy rubli warte przykrości mojego Stacha.

Wówczas Połaniecki począł gładzić dłonią jej włosy.

— Ty jednak — rzekł — jesteś poczciwa kobiecinka z kośćcami.

Poczem spytał:

— No, więc decyduj: raz, dwa, trzy! — dać?

Ona nie odrzekła nic, tylko, jak rozpieszczone dziecko, poczęła mrugać oczami na znak, żeby dać. Obojgu uczyniło się naraz wesoło, jednakże Połaniecki jął udawać, że narzeka, i mruzczyć:

— Oto, co jest być pod pantoflem. Włóczy się tu człowieku po nocy i proś pana Maszki, żeby przyjął twoje pieniądze, dlatego, że tej oto rozpieszczonej figurze tak się podoba.

A jej serce zalewało się po prostu radością, że ją nazwał „rozpieszczoną figurą”. Wszystkie jej dawne smutki, wszelkie niepokoje znikły, jakby zakłęte temi słowami. Rozpromienione jej oczy patrzyły na męża z nieopisaną miłością.

Po chwili spytała:

— Czy to koniecznie zaraz musisz tam iść?

— Naturalnie. Maszko jutro o ósmej jedzie do miasta i będzie cały dzień latał.

— To każ sobie zaprządz biedkę Bigiela.

— Nie! Księżyc świeci i niedaleko. Pójdę piechotą...

To rzekłszy, pożegnał żonę i, zabrawszy ze sobą książeczkę z czekami, poszedł. Po drodze myślał:

— Jednakowoż tę Marynię możnaby do rany przyłożyć. To takie złote stworzenie, że choćby człowiek chciał czasem zrobić jakie szelmowstwo, po prostu nie ma serca. Dał mi Bóg taką żonę, jakich mało na świecie.

I czuł w tej chwili, że ją kochał naprawdę. Czuł również, że miłość sama w sobie, jako wzajemny pociąg istot odmiennej płci, nie jest jeszcze szczęściem, a źleskierowana może być nawet niedołą; ale że natomiast nawet wyobraźnia ludzka nie potrafi wymarzyć większego szczęścia na świecie, jak wielka i zarazem prawa miłość w małżeństwie. — „Nad to nie masz nic — mówił Połaniecki — i pomyśleć, że to leży pod ręką, że to jest przystępne dla każdego, że to rzecz jedynie dobrej i uczciwej woli, a ludzie depcą po tym gotowym skarbie i poświęcają spokój dla targaniny, a cześć dla bezczci!”

Tak rozmyślając, doszedł do willi Maszków, której okna błyszczwały, jak wielkie latarnie na ciemnym tle lasu. Wszedłszy przez furtkę na oświetlone księżycem podwórze i zbliżywszy się do ganku, ujrzał przez szyby przyległego do sieni pokoiku oboje Maszków, siedzących na niskiej skręconej w ósemkę kanapce, przy której znajdował się stolik z lampą. Maszko obejmował ramieniem stan żony, drugą zaś ręką trzymał jej dłoń, którą to podnosił do ust, to zniżał, jakby za coś dziękował. Nagle objął obu ramionami młodą kobietę, przyciągnął ją ku sobie i, przechyliwszy, począł namiętnie całować jej usta, ona zaś z rękoma, opuszczonemi bezwładnie na kolana, nie oddając mu pieszczot, ale też nie broniąc się, poddawała im się tak biernie, jakby była istotą pozbawioną zarówno woli, jak

krwi. Przez chwilę Połaniecki widział tylko wierzch głowy Maszki, jego długie faworyty, poruszające się od pocałunków — i na ten widok krew uderzyła mu do głowy. Oblął go taki sam ukrop żądz, jak wówczas, gdy szukał tasiemek do okrycia pani Osnowskiej — i tem bardziej pałący, że spotęgowany całym szeregiem poprzednich pokus. Ten dziwny dla samego Połanieckiego, czysto fizyczny pociąg, z którym od dawna walczył, odżył teraz z niepohamowaną siłą. Przez mgnienie oka zbudziły się w nim dzikie instynkta pierwotnego człowieka, który, na widok pożądanej kobiety w cudzem objęciu, wpada we wściekłość i gotów się o nią porwać za bary ze szczęśliwym współzawodnikiem. Wraz z żądzą, zapiekła go zazdrość, nieprawa, nędzna i najniższa ze wszystkich rodzajów zazdrości, bo czysto fizyczna, a jednak tak nieokiełznana, że on, który dopiero rozumował, iż tylko uczciwa miłość do żony może być prawdziwym szczęściem, podeptałby w tej chwili to szczęście i tę miłość, byle móżdżek podeptać Maszkę, a samemu chwycić w ramiona to wysmukłe ciało kobiece i pokrywać pocałunkami tę twarz lalki, bezmyślną i mniej piękną od twarzy jego własnej żony.

Tymczasem ów widok przez szyby nie tylko wzburzył go, ale stał mu się nieznośnym, więc poskoczywszy do drzwi, pociągnął gorączkowo za dzwonek — i myśl, że ów dźwięk, który nagle rozległ się wśród ciszy, musiał przerwać małżeńskie pieszczoty, sprawiła mu jakąś dziką i złośliwą radość. Gdy służący otworzył drzwi, kazał się oznajmić, sam zaś usiłował uspokoić się i ułożyć jako tako to, co miał powiedzieć Maszce.

Po chwili Maszko wyszedł do niego, z twarzą nieco zdziwioną.

— Wybacz, że przychodzę tak późno — rzekł Połaniecki — ale żona zburczała mnie za to, że ci odmówił usługi, że zaś wiem, iż wyjeżdżasz jutro rano, przyszedłem dziś jeszcze, by tę sprawę załatwić.

Na twarzy Maszki odbiła się tajemna radość. Domyślił się on od razu, że tak późne odwiedziny Połanieckiego mają jakiś związek z ich poprzednią rozmową, nie spodziewał się jednak, że rzecz od razu pójdzie tak gładko.

— Proszę cię — rzekł. — Żona moja jeszcze nie śpi.

I wprowadził go do tegoż samego pokoju, w którego wnętrzu Połaniecki spoglądał przed chwilą przez szyby. Pani Maszkowa, siedząc na tej samej kanapce, trzymała w ręku nóż do rozcinania kartek i książkę, którą widocznie przed chwilą wzięła ze stolika. Zgaszona jej twarz wydawała się spokojną, ale na policzkach widać było ślady świeżych pocałunków i usta miała wilgotne, a oczy mgliste. W Połanieckim znów zawrzała krew i, mimo wszelkich wysiłków, by zachować się obojętnie, ścisnął tak silnie podaną sobie rękę, że usta pani Maszkowej ściągnęły się, jakby z bólu.

Jego zaś, z chwilą gdy dotknął jej ręki, mrowie przebiegło od stóp do głów. Było w samym jej podaniu dłoni coś tak biernego, że mimowoli przeleciało mu przez głowę, że ta kobieta nie jest zdolną do żadnego oporu względem kogokolwiek, kto będzie miał odwagę i zuchwałość zdobyć się na prosty zamach.

Tymczasem Maszko począł mówić:

— Wyobraź sobie, żeśmy obaj dostali burę: ty, żeś mi usługi odmówił, a ja, żeś jej zażądał. Ty masz pocziwą żonę, ale i moja nie gorsza. Twoja wzięła mnie w obronę, a moja ciebie. Przyznałem jej się otwarcie do chwilowego kłopotu, a ona wylała mnie, żeś tego od razu nie uczynił. Oczywiście nie mówiła do mnie jak prawnik, bo o tem nie ma pojęcia, ale koniec końcem powiedziała mi, że pan Połaniecki słusznie mi odmówił, że trzeba wierzytelności dać jakąś pewność i że tę pewność ona gotowa jest dać na swoim dożywociu i wogóle na wszystkim, co jest jej... Właśnie dziękowałem jej za jej pocziwość w chwili, gdyś nadszedł.

Tu Maszko położył rękę na ramieniu Połanieckiego.

— Mój kochany — rzekł — zgodzę się z tobą, że twoja pani jest najlepsza w świecie istota, a zgodzę się tem bardziej, że mam świeży tego dowód, pod warunkiem jednak, iż mi przyznasz, że moja nie gorsza. Nie powinno cię też dziwić, że chowam przed nią moje kłopoty, bo dalibóg, dobrem gotów jestem się z takim kochanem stworzeniem zawsze podzielić, ale złe, tem bardziej chwilowe, zachowuję tylko dla siebie, i gdybyś ją znał, tak jak ja, tobyś się temu nie dziwił.

Połaniecki, który poza całą pokusą, jaką dla niego była pani Maszkowa, nie miał wcale o niej wygórowanego pojęcia i bynajmniej nie uważał jej za zdolną do ofiar, pomyślał:

— Albo to jest naprawdę dobra kobieta, i ja się mylę, albo Maszko okłamał ją tak, iż istotnie uważa jego położenie za świetne, a kłopot za zupełnie chwilowy.

I głośno rzekł do niej:

— Ja jestem człowiek ścisły w interesach, ale za kogo mnie pani ma, przypuszczając, że żądałbym jakiejś pewności na majątku pani. Odmówiłem jedynie przez lenistwo i ogromnie się wstydzę — odmówiłem dlatego, by w danym razie nie potrzebować jeździć do Warszawy po nowe zapasy. W lecie człowiek robi się leniuchem i egoistą. Ale wogóle chodzi o małą rzecz, i ludziom, którzy, jak mąż pani, zajmują się interesami, takie kłopoty zdarzają się codziennie. Nieraz potrzebuje się pożyczki dlatego tylko, że własnych pieniędzy nie można na czas podnieść.

— I właśnie to mi się trafiło — rzekł Maszko, widocznie zadowolony, że Połaniecki tak przedstawia sprawę jego żonie.

— Mama zajmowała się interesami, więc ja się na tem nie znam — wtrąciła pani Maszkowa — ale dziękuję panu.

Połaniecki zaś począł się śmiać:

— Wreszcie, co mi po pani poręczeniu. Przypuszczam na chwilę, że zbankrutujecie, a przypuszczam właśnie dlatego, że nic podobnego państwu nie grozi: czy pani wyobraża sobie w takim razie *mnie*, procesującego panią i zabierającego jej dochody?

— Nie! — rzekła pani Maszkowa.

Połaniecki podniósł jej rękę do ust, ale przy wszelkich pozorach światowej grzeczności, wpił w nią usta ze wszystkich sił, a jednocześnie we wzroku, którym na nią patrzył, była taka namiętność, że żadne wyznanie słowami nie zdołałoby jej więcej powiedzieć.

Ona zaś nie chciała dać poznać, że to rozumie, chociaż rozumiała dobrze, że ów pozor grzeczności był dla męża, a moc pocałunku dla niej, rozumiała również, że się Połanieckiemu podoba, że jej piękność pociąga go — najlepiej jednak rozumiała, że w tej chwili tryumfuje nad Marynią, o której urodę była jeszcze, jako panna, zazdrosna, więc czuła przedewszystkiem głębokie zadowolenie miłości własnej.

Spostrzegła zresztą już od dawna, że Połaniecki płonie przy niej — nie była zaś naturą, ani tak uczciwą, ani tak delikatną, by to mogło ją urazić lub zabołec. Przeciwnie: budziła się w niej ciekawość, zajęcie i próżność. Instynkt ostrzegał ją wprawdzie, że to jest człowiek zuchwały, który w danym razie gotów jest posunąć się za daleko — i myśl ta przejmowała ją czasem obawą; ale gdy dotąd nie zdarzyło się jeszcze nic podobnego, sama nawet obawa miała dla niej pewien urok.

Tymczasem zaś rzekła Połanieckiemu:

— Mama zawsze mówiła o panu, jak o człowieku, któremu w każdym wypadku możnaby zaufać.

Mówiła to zwykłym sobie, wycudzonym głosikiem, co Połaniecki nieraz poprzednio wyśmiewał, ale teraz wszystko było w niej dla niego tem większą ponętą, więc, patrząc jej ciągle w oczy, rzekł:

— Niech i pani tak myśli o mnie.

— Ufajcież sobie nawzajem — wtrącił żartobliwie Maszko — a ja pójdę do siebie przygotować co potrzeba i za chwilę sprawę załatwimy.

Połaniecki i pani Maszkowa zostali sami. Na jej twarzy odbiło się pewne zakłopotanie, dla pokrycia którego poczęła poprawiać ciemnik na lampie, on zaś zbliżył się szybko do niej i począł mówić:

— Będę szczęśliwy, jeśli i pani zechce tak myśleć o mnie. Ja jestem człowiek bardzo pani oddany, bardzo!... Chciałbym mieć choć przyjaźń pani... Czy mogę na nią liczyć?

— Tak.

— Dziękuję.

To rzekłszy, wyciągnął ku niej rękę, bo zresztą wszystko to, co mówił, zmierzało tylko do tego, by opanować jej dłoń. Jakoś pani Maszkowa nie śmiała mu jej odmówić, on zaś, chwyciwszy ją, oparł na niej usta po raz drugi, ale tym razem, nie poprzestając na jednym pocałunku, począł ją niemal pożerać. W oczach mu się zaćmiło. Chwila jeszcze, a byłby w zapamiętaniu chwycił i przyciągnął ku sobie tę pożądaną istotę — tymczasem jednak w przyległym pokoju ozwały się skrzypiące buty Maszki, co usłyszawszy pierwsza pani Maszkowa, poczęła mówić śpiesznie:

— Mój mąż wraca.

W tej chwili Maszko otworzył drzwi i rzekł:

— Proszę cię.

Poczem, zwróciwszy się do żony, dodał:

— Każ tymczasem przynieść herbaty, my zaraz wrócimy.

Jakoż sama sprawa nie zajęła wiele czasu. Połaniecki wypełnił czek i był koniec. Ale Maszko poczęstował Połanieckiego cygarem i poprosił siedzieć, gdyż miał ochotę pogawędzić.

— Znów walą się na mnie kłopoty — rzekł — wybrnę, bo wybrnę. Miałem nieraz do czynienia z większymi. Chodzi tylko o to, by słońce uprzedziło rosę i bym otworzył sobie jakiś nowy kredyt, lub jakieś nowe źródło dochodu przed ukończeniem sprawy i dla jej poparcia.

Połaniecki, cały wzburzony wewnątrz, słuchał tego początku zwierzeń z nieuwagą i żuł niecierpliwie cygaro. Nagle przyszła mu jednak niegodziwa myśl, że gdyby Maszko zginął z kretesem, żona jego stałaby się łatwiejszym jeszcze łupem.

Więc spytał szorstko:

— Czyś ty pomyślał nad tem, co uczynisz, jeśli sprawę przegrasz?

— Nie przegram — rzekł Maszko.

— Wszystko się zdarza — i sam najlepiej o tem wiesz.

— Nie chcę o tem myśleć.

— A jednak powinienes — rzekł Połaniecki z akcentem pewnej radości, której Maszko nie zauważył. — Co w takim razie zrobisz?

Maszko wsparł dłoń na kolanach i patrząc ponuro w ziemię, rzekł:

— W takim razie muszę opuścić Warszawę.

Nastała chwila milczenia. Twarz młodego adwokata stawała się coraz posępniejszą — wreszcie zamyślił się i począł mówić:

— Niegdyś, za moich najlepszych czasów, znałem w Paryżu barona Hirscha. Zetknęliśmy się kilkakrotnie i raz nawet wzięliśmy udział w jakiejś sprawie honorowej. Czasem teraz, gdy mnie opadną zwątpienia, przypominam go sobie, bo on pozornie wycofał się z interesów, a w gruncie rzeczy ma ich mnóstwo, zwłaszcza na Wschodzie. Znam takich, którzy porobili przy nim majątki, bo tam pole otwarte na każdym kroku.

— Myślisz więc, że mógłbyś się do niego udać?

— Tak. Ale prócz tego mogę sobie także w łeb strzelić...

Lecz Połaniecki nie wziął tej groźby poważnie. Z krótkiej tej rozmowy przekonał się o dwóch rzeczach: naprzód, że Maszko, mimo swej pozornej pewności, myśli często o możliwej ruinie, a powtóre, że na taki wypadek ma nawet plan, może fantastyczny, ale gotowy.

Lecz Maszko otrząśł się nagle z posępnych widzeń i rzekł:

— Moja siła zawsze leżała w tem, że nigdy nie myślałem o dwóch rzeczach na raz. Dla tego myślę wyłącznie o sprawie. Wiem, że tamten łotr robi wszystko, żeby mnie zgubić w opinii, ale ja drwię z opinii i chodzi mi tylko o sądy. Gdybym się zarwał przedwcześnie, mogłoby to i na nie źle wpłynąć. Rozumiesz? Uważanoby wówczas całą sprawę za rozpaczliwy wysiłek tonącego, który się chwyta, czego może. Otóż tego nie chcę. Dlatego muszę uchodzić za człowieka, stojącego na silnych nogach. Jest to smutna konieczność, ale nie wolno mi być teraz nawet oszczędnym, nie wolno zmniejszyć skali życia. Jak mnie widzisz, mam kłopotów po uszy, zresztą któż o tem lepiej wie od ciebie, który mi dajesz pożyczkę. A jednak wczoraj jeszcze targowałem Wybórz, znaczny majątek w Rawskiem, jedynie dlatego, by moim wierzycielom i przeciwnikom zasypać piaskiem oczy. Powiedz mi, ty znasz dobrze starego Zawilowskiego?

— Od niedawna. Poznałem go przez młodego.

— Aleś mu się podobał, bo on ogromnie podziwia ludzi ze szlacheckimi nazwiskami, którzy robią majątki. Wiem, że on sam jest własnym plenipotentem, ale się starzeje i gnębi go pedogra. Ja mu podsunąłem kilka myśli — więc, gdyby ciebie o coś spytał — poleć mu mnie. Rozumiesz, że nie chcę dobrać się do jego kasy, chociaż jako pełnomocnik miałbym jakieś dochody, ale głównie chodzi mi o to, by się rozgłosiło, że zostałem pełnomocnikiem takiego milionera. Czy prawda, że on dla młodego chce zrobić ordynację z majątków poznańskich?

— Tak opowiada pani Broniczowa.

— To byłby dowód, że to nieprawda, ale wszystko na świecie jest możliwe. W każdym razie i ten młody weźmie za żonę jakiś posag, a jako poeta nie ma pewno najmniejszego pojęcia, jak się z takimi rzeczami obchodzić. Mógłbym mu również posłużyć radą i pomocą.

— Muszę ci w jego imieniu stanowczo odmówić, albowiem jego interesami przyrzekliśmy się zająć w przyszłości, my, to jest ja i Bigiel.

Maszko zmarszczył się nieznacznie i odrzekł:

— Mnie też nie chodzi o jego interesa, tylko o to, bym mógł ludziom powiedzieć, że jestem pełnomocnikiem Zawilowskiego, bo rozumiesz, że nim się wyjaśni, którego Zawilowskiego, mój kredyt może na tem tylko zyskać.

— Wiesz, że ja się nigdy nie wdaję w cudze sprawy, ale powiem ci szczerze, że dla mnie to byłaby straszna rzecz tak istnieć tylko kredytem.

— Spytaj się największych milionerów w świecie, czy porobili majątki na innej podstawie.

— A ty spytaj wszystkich bankrutów, czy się nie zarwali z takiejże przyczyny.

— Co do mnie — przyszłość to pokaże.

— Tak — rzekł wstając Połaniecki.

Maszko podziękował mu jeszcze za pożyczkę i przeszli na herbatę do pani, która spytała:

— Cóż? sprawa już załatwiona?

A Połaniecki, którego znów wstrząsnął jej widok i który nagle przypomniał sobie, że przed chwilą powiedziała mu: „Mąż wraca!” jakby już współwinna, odpowiedział jej, nie zważając na Maszkę:

— Między mężem pani a mną już załatwiona, między nami dwojgiem — jeszcze nie.

Pani Maszkowa, jakkolwiek miała krew chłodną, zmieszała się jednak, jakby przestraszona jego zuchwalstwem, Maszko zaś spytał:

— Jakto?

— Takto — odpowiedział Połaniecki — że pani przypuszczała, iżbym był zdolny żądać poręczenia na jej majątku — i tego nie mogę jej dotąd darować.

Pani Maszkowa spojrzała na niego swemi niewyraźnemi, szaremi oczyma, jakby z pewnym podziwem. Zaimponowała jej jego śmiałość i przytomność umysłu, z jaką umiał nadać przyzwoity towarzyski obrót swym słowom. Wydał jej się przytem w tej chwili urodziwym mężczyzną, bez porównania urodziwszym od jej męża.

— Przepraszam — rzekła.

— To nie pójdzie łatwo. Ani pani wie, jaki ze mnie zawzięty człowiek.

Wówczas odpowiedziała z pewną kokieterią, jak istota świadoma swego uroku i swej mocy:

— Nie wierzę.

On zaś siadł koło niej, i wzięwszy nieco niepewną ręką filiżankę, począł poruszać łyżeczką herbatę. Ogarniał go coraz większy niepokój. Nieraz przedtem nazywał panią Maszkową, jeszcze za jej panieńskich czasów, rybą, a teraz czuł ciepło, bijące przez lekkie ubranie od jej ciała i doznawał takiego wrażenia, jakby go ktoś obsypał skrami. Znów przypomniły mu się jej słowa: „Mąż wraca!” — i serce poczęło mu zapływać falami krwi, gdyż zdało mu się, że tak mogła ozwać się kobieta, już gotowa i przygotowana na wszystko. Jakiś głos mówił mu w duszy: „To jest tylko kwestya sposobności!” — i na tę myśl, rozkiełznana jego żądza zmieniła się zarazem w jakąś rozkiełznaną radość. Przestał do reszty nad sobą panować. Przez chwilę począł szukać stopą jej stopy, lecz nagle samemu wydało się to zbyt grubem i prostackiem. Powiedział sobie wreszcie, że gdy chodzi już tylko o czas i sposobność, trzeba umieć czekać. Przewidywał, że czas przyjdzie, sposobność się znajdzie — i w dreszczach, jakie go przejmowały na samą tę myśl, odnajdywał zapowiedź przyszłych pałających uniesień.

Tymczasem było mu ciężko, musiał bowiem podtrzymywać rozmowę zupełnie niezgodną ze swym nastrojem i odpowiadać Maszce, który wypytywał o przyszłe zamiary Zawilowskiego, co do urządzenia sobie życia i o rozmaite tym podobne rzeczy. Wreszcie począł się żegnać, ale przed odejściem, zwróciwszy się do Maszki, rzekł:

— Jakieś psy opadały mnie po drodze, a zapomniałem laski; pożycz mi swojej.

Żadne psy nie opadały go po drodze, ale chodziło mu o pozostanie choć przez minutę sam na sam z panią Maszkową, to też, gdy Maszko wyszedł, zbliżył się do niej szybko i ozwał się jakimś przytłumionym, nieswoim głosem:

— Pani widzi, co się ze mną dzieje?

Ona widziała istotnie jego wzburzenie, jego świecące żądzą oczy i rozdęte nozdrza — ogarnął ją nagle niepokój i obawa, lecz on pamiętał tylko jej słowa: „Mąż wraca!” i jedno tylko miał poczucie: niech się stanie co chce! — i ten sam człowiek, który przed chwilą mówił sobie, że trzeba umieć czekać, teraz, stawiając wszystko w mgnieniu oka na jedną kartę, szepnął:

— Ja panią kocham!

A ona stała przed nim ze spuszczonei oczyma, jakby ogłuszona i zmieniona w słup, pod wpływem tych słów, od których musiało się już zacząć proste przeniewierstwo, a zatem nowa epoka w jej życiu. Odwracała tylko nieco głowę, jakby pragnąc uniknąć jego wzroku. Nastąpiło milczenie; słychać było tylko zdyszany nieco oddech Połanieckiego. Lecz w przyległym pokoju ozwały się znów skrzypiące buty Maszki.

— Do jutra! — szepnął Połaniecki.

I w tym szepcie było niemal coś rozkazującego. Pani Maszkowa stała ciągle bez ruchu, ze spuszczonei oczyma, jak słup.

— Oto jest laska — rzekł Maszko. — Ja jutro rano wyjeżdżam do miasta i wrócę dopiero wieczorem. Jeśli będzie pogoda, to może państwo zechcecie odwiedzić moją pustelnicę.

— Dobranoc! — rzekł Połaniecki.

I po chwili znalazł się na pustej, oświeconej przez księżyc, drodze. Zdawało mu się, że wyskoczył z płomieni. Cisza nocy i lasu była czemś tak sprzecznym z jego wzburzeniem, że uderzyła go jakby coś nadzwyczajnego. Pierwszem wrażeniem, jakie potrafił uświadomić, było poczucie, że skończyła się jego wewnętrzna walka, skończyły się wahania, że mosty już spalone i że stało się. Jakiś głos wewnętrzny począł mu krzyczeć w duszy, iż stało się przedewszystkiem to, iż jest nędznikiem, ale właśnie w tej myśli tkwiła jakaś desperacka ulga, albowiem mówił sobie, że skoro tak jest, więc musi zgodzić się na siebie, jako na nędznika, a w takim razie „niech wszystko przepada i niech wszystko dyabli biorą!” Nędznik nie potrzebuje przynajmniej walczyć ze sobą i może dać sobie folę. Tak jest! stało się i mosty spalone! Sprzeniewierzy się Maryni, zdepcze jej serce, zdepcze uczciwość, zdepcze zasady, na których budował życie, ale wzamian będzie miał panią Maszkową! Teraz jedno z dwojga: albo ona oskarży go przed mężem i jutro nastąpi pojedynek — co jeśli się stanie, to niech się stanie! — albo będzie milczała, a w takim razie zostanie jego współniczką. Jutro Maszko wyjedzie, on zaś posiadzie wszystko, czego pragnie, choćby potem miał się świat zapaść. Ona, jeśli go nie oskarży, to lepiej jej nie próbować oporu. Wyobrażał też sobie, że go nie będzie próbowała, albo uczyni to tylko dla zachowania pozorów. I poczęło w nim wrzeć na nowo. Ta jej bezwładność, która budziła w nim niegdyś tyle pogardy, stała mu się teraz jedną więcej ponętą. Wyobrażał sobie dzień jutrzejszy i bierność tej kobiety. Mimo całego zamętu myśli, rozumiał doskonale że ona właśnie w tej bierności będzie później szukała dla siebie wymówki, że powie sobie, iż nie przyłożyła się do winy, że ją do niej zmuszono — i w ten sposób będzie okłamywała własne sumienie, Boga, a w razie potrzeby męża. I tak myśląc, pogardzał nią tyle samo, ile jej pożądał, ale czuł jednocześnie, że on sam niewiele więcej wart, i że na mocy jakiegoś doboru, nietylko naturalnego, ale i moralnego, powinni do siebie należeć.

Pojmował również, że dla niego zapóźno już cofać się z tej drogi, i że gdy raz te same jego usta, które zaprzysięgły wierność i miłość Maryni, powiedziały innej kobiecie: „kocham” — to największe zło zostało spełnione. Reszta była już tylko prostą konsekwencją, której nie należało odrzucać, choćby dlatego, że była przynajmniej zarazem rozkoszą. Wyobrażał sobie, że tak muszą rozumować wszyscy, którzy, wyrzucając za okno uczciwość, decydują się na szelmstwo, ale samo rozumowanie wydało mu się równie słusznym, jak niemoralnym. I w miarę jak poczynął myśleć trzeźwiej, zdumiewał się nad własnym zepsuciem. Widywał dużo zła i brudu ukrytego w świecie pod pozorami poluru i oglady, wiedział, że owo zepsucie wyrobiło sobie niejako, pod wpływem lichych ksiązek, prawo obywatelstwa; ale pamiętał, że oburzał się tem, że chciał dla swego społeczeństwa prostoty i surowości obyczajów, w przekonaniu, że tylko na takich podstawach może rozwinąć

się społeczna tęgość i oporność. Nic nie wzbudzało w nim tyle obaw o przyszłość, ile to wykwiłtne zło zachodu, posiane na dziką słowiańską glebę i wyrastające na niej chorobliwym kwiatem dyletantyzmu, rozpusty, bezsilności i wiarołomstwa. Przypomniał sobie, że nieraz oskarżał o taki posiew, to wysokie sfery finansowe, to arystokrację rodu, i nieraz napadał na nie z tego powodu bez miłosierdzia. A teraz zrozumiał, że kto żyje w atmosferze przesyconej kwasem węglowym, ten musi się zacządzać. W czymże on był lepszy od innych? O ile raczej był gorszym od tych, którzy, pławiąc się w zepsuciu, jak kijanki w wodzie, nie bawili się przynajmniej w hipokryzyę, nie oszukiwali samych siebie, nie przepisywali innym praw i nie stawiali ideału zdrowego duchowo człowieka, uczciwego męża, uczciwego ojca — jako obowiązującego wzoru. I prawie nie chciał wierzyć sobie, by był tym samym człowiekiem, który niegdyś umiał kochać idealną przyjaźnią panią Emilię, który szczerze przyrzekł Maryni uczciwość małżeńską, i który wreszcie uważał się za umysł jasny, a charakter bardziej prawy i silniejszy od innych.

On, silniejszy? Siła jego była tylko złudzeniem, płynącym z braku pokus. Jeśli kochał idealnym uczuciem brata panią Emilię, jeśli oparł się kokieteryi pani Osnowskiej, to tylko dlatego, że nie wzbudziły w nim tego zwierzęcego pociągu, jaki wzbudziła ta lalka z czerwonymi oczyma, którą odpychała jego dusza, a do której rwały się od dawna jego zmysły. Myślał też teraz, że jego uczucie dla Maryni nie było także nigdy uczciwym, bo w gruncie rzeczy nie było również czem innym, jak takim samym zwierzęcym pociągiem. Przyzwyczajenie stępiło go, więc powstrzymany prócz tego i przez stan Maryni, zwrócił się tam, dokąd mógł — i zwrócił się bez żadnego hamulca, ni skrupułu, ledwie w pół roku po ślubie.

I Połaniecki, który, wyszedłszy od Maszków, miał poczucie, że jest nędznikiem, poczuł nagle miarkować, że jest większym nędznikiem, niż zrazu myślał, albowiem przypomniał sobie także, że ma zostać ojcem.

W domu, w oknach Maryni, światła nie były jeszcze pogaszone. Połaniecki byłby dał wiele za to, by ją zastać już śpiącą. Przyszło mu nawet na myśl pójść dalej i nie wrócić, póki w oknach nie będzie ciemno. Ale nagle zobaczył jej sylwetkę na szybie. Musiała go wyglądać i, ponieważ przed domem było jasno, musiała go dostrzedz. Pomiarkowawszy to, wszedł.

Przyjęła go już w białym nocnym kaftaniku i z rozwiązanymi włosami. Była w tych rozwiązanych włosach pewna umyślna kokieterya, bo wiedziała, że ma piękne i że on lubi się z nimi bawić.

— Czemuś ty się nie położyła? — spytał, wchodząc.

A ona zbliżyła się ku niemu senna, ale uśmiechnęta i rzekła:

— Czekalam na ciebie z pacierzem.

Od czasów pobytu w Rzymie odmawiali pacierz razem. Ale obecnie Połanieckiemu sama myśl o tem wydawała się nie do zniesienia.

Marynia tymczasem zaczęła pytać:

— Cóż, Stachu, kontent jesteś, żeś go poratował? Prawda, żeś kontent?

— Tak — odpowiedział Połaniecki.

— A ona, czy wie o jego położeniu?

— Wie i nie wie. Późno już. Pójdźmy spać.

— Dobranoc! Wiesz, o czem tu sama rozmyślałam: żeś ty taki pocziwy i dobry!

I wyciągnąwszy ku niemu twarz, objęła go za szyję, on zaś ucałował ją, czując jednocześnie i czystą prawość tego pocałunku i swoją podłość i całe szeregi podłości, które przyjdzie mu spełnić następnie.

Jedną spełnił zaraz, klękąwszy do pacierza, który Marynia poczęła głośno odmawiać. Nie mógł tego nie uczynić, a czyniąc, odgrywał tylko nędzną komedię, bo nie mógł się modlić.

Po skończonym pacierzu i powtórnem dobranoc nie mógł również usnąć. Zdawało mu się, że, idąc od Maszków, objął myślą i swój postępek i wszelkie jego moralne wyniki. Tymczasem okazało się, że nie. Przyszło mu teraz do głowy, że w Boga można nie wierzyć, ale nie wolno z niego drwić. Spełnić naprzykład wiarołomstwo, wrócić jutro lub pojutrze, po dokonaniem cudzołóstwie, do domu i klęknać do pacierza — to byłoby nadto. Czuł, że trzeba wybrać. Albo uczucie religijne i szczerą wiarą, albo pani Maszkowa! Godzić tego nie można. I nagle spostrzegł, że wszystko, co przez lata rozmyślał wyrobił

i wypracował w sobie, że cały ten ogromny spokój, płynący z rozwiązania głównej zagadki życia, słowem to, co stanowiło istotę jego duchowego bytu, trzeba po prostu odepchnąć. Z drugiej strony rozumiał również, że od jutra trzeba będzie zacząć kłamać swoim zasadom społecznym, swemu uznaniu rodziny, jako podstawy społecznego bytu. Nie wolno również głosić takich zasad, a prywatnie — uwodzić cudze żony. Trzeba także wybrać. Co do Maryni, kłamstwo w stosunku do niej już zostało spełnione. Tak więc za jednym zamachem szedł w ruinę jego stosunek do Boga, do społeczeństwa, do kobiety, słowem, pułap owego pracowicie dźwigniętego duchowego domu, w którym dotychczas mieszkał, walił mu się na głowę. I to zazębianie się złego przejęło go pewnym zdumieniem. Nie spodziewał się, żeby po przecięciu jednej nitki, cały szew pruł się tak nagle i z pewnym zdziwieniem począł sobie zadawać pytanie, jakim sposobem może istnieć na świecie tego rodzaju oportunizm, który wiarołomstwo godzi w życie z uczciwością i honorem? Bo jednak tak było. Znał wielu, tak zwanych porządnymi ludźmi, żonatych, kochających żony, niby religijnych — i zarazem uganiających się za każdą spotkaną kobietą. Ci sami, którzyby żonom swoim wszelkie zбочenie z drogi obowiązku poczytywali za zbrodnię, pozwalali sobie na małżeńską niewiarę bez żadnego skrupułu. Przypomniał sobie, jak ktoś z jego znajomych, przyparty z tego powodu do muru, wykręcił się wesoło znanym brukowym dowcipem, iż nie jest szwedzką zapalką. Ostatecznie wiarołomstwo utarło się i między mężczyznami uchodziło za coś dozwolonego, niemal za zwyczaj. Połanieckiemu myśl ta przyniosła chwilę ulgi, ale krótką, był bowiem człowiekiem logicznym, jeśli nie w postępkach, to przynajmniej w rozumowaniu. Tak! Świat nie składa się z samych łotrów i hipokrytów, ale w znakomitej części składa się z ludzi lekkich i bezmyślnych — i ten oportunizm, godzący cudzołóstwo z pojęciem honoru i uczciwości, nie jest niczem innym, jak bezmyślnością. W czym bowiem może rozgrzeszać zwyczaj człowieka, który uznaje niemoralność i głupotę tego zwyczaju? Dla durnia — myślał Połaniecki — wiarołomstwo może być wesołym wypadkiem; dla człowieka, umiającego poważnie myśleć, jest lotrostwem, tak dobrze przeciwnem etyce, jak złodziejstwo, jak podpisywanie cudzych nazwisk na wekslach, jak łamanie przysięgi, jak łamanie słowa, jak oszustwo w handlu lub kartach. Religia może odpuszczać grzech cudzołóstwa, jako chwilowy upadek, ale cudzołóstwo, które się samo z góry rozgrzesza, wyłącza religię, wyłącza obywatelskość, wyłącza uczciwość, wyłącza honor. Połaniecki, który w rozumowaniach ze sobą był zawsze szczerym, a wogóle ogromnie bezwzględny, nie cofnął się i przed tym ostatecznym wnioskiem.

Natomiast zląkł się, jakby ujrzał przepaść. Jeśli się nie cofnie, skręci kark. Ale jednocześnie począł gryźć się własną słabością. Już znał się dostatecznie — i z żalem, a zarazem z pogardą dla tej własnej słabości z góry był przekonany, że gdy zobaczy panią Maszkową — zwierzę ludzkie weźmie w nim górę nad duszą. Cofnąć się? — wszak on powtarzał to sobie i postanawiał po każdej pokusie, a potem wobec każdej następnej namiętność unosiła na złamanie karku jego wolę, tak jak dziki koń unosi jeźdźca. Na samo to wspomnienie chciało mu się kłąć. Gdyby w domu był nieszczęśliwym, gdyby jego namiętność wyrosła na tle wielkiej miłości — miałby coś na jej usprawiedliwienie; ale on pani Maszkowej nie kochał, tylko jej pragnął. Z tego rozdwojenia natury ludzkiej nie umiał sobie nigdy zdać sprawy, wiedział tylko, że pragnął i że będzie pragnął za każdym widzeniem, za każdą myślą o niej.

Więc pozostawałaby jedna rada: nie widywać jej — rada niemożliwa, nietylko ze względu na wszelkiego rodzaju stosunki znajomości, ale choćby ze względu na to, że w takim razie Marynia poczęłaby coś podejrzewać. Połaniecki ani przypuszczał, że to już miało miejsce i że ona ukryła tylko przed nim cierpienie — zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby zdrada jego wyszła w jakikolwiek sposób na jaw, byłby to dla tej słodkiej i pełnej wiary kobiety cios wprost nad siły. I wyrzuty jego wzrosły jeszcze. Chwylił go ogromny żal i litość nad nią, a zarazem tem większa pogarda dla siebie. Mimo ciemności, krew przypłynęła mu do twarzy na wspomnienie, iż Maszkowej powiedział: „kocham,” że fatalne słowo już padło, że zawiódł i zdradził to poczciwe, prawe stworzenie i że byłby zdolny zawieść jej ufność i podeptać serce.

Przez chwilę wydało mu się to czystem niepodobieństwem, lecz sumienie odpowiedziało mu: Byłbyś zdolny! Jednakże w tym żalu i litości nad nią znalazł pewną pociechę,

gdyż poznał, że uczucie jego dla niej było i jest czemś więcej, niż zwierzęcym pociąganiem, i że tkwiły w nim jakieś węzły, płynące ze wspólności pożycia, z wzajemnej przynależności, ze ślubu, ze stowarzyszenia się na złą i dobrą dolę, z wielkiego szacunku i z przywiązania, które w przyszłości miało być spotęgowane przez dziecko. Nigdy też nie kochał jej więcej, jak w tej chwili wewnętrznej rozterki, i nigdy nie budziła w nim większej tkliwości. Poczęło dnieć. Przez szpary okienicy wchodził brzask i napełniał pokój bładem światłem, przy którym widać było niewyraźnie jej ciemną, wgłębioną w poduszki głowę; Połanieckiemu zaś serce przepęliło się poczuciem, że to jest jego jedyne i najwyższe dobro, że tam śpi jego bardzo kochana towarzyska, najlepsza przyjaciółka, żona i przyszła matka jego dziecka. I żadne wywody, żadne rozumowania nad religijną i społeczną niecnością cudzołóstwa nie napełniły go takim ku niemu i ku sobie obrzydzeniem, jak widok tej słodkiej, uśpionej twarzy. Światła przez szpary wchodziło coraz więcej i główka jej coraz wyraźniej wychylała się z cienia. Widać już było półkola jej ciemnych rzęs na policzkach — i Połaniecki, wpatrując się w nią, począł sobie mówić: „Twoja poczciwość mnie pomoże!” Nagle lepsze uczucia wzięły w nim górę: zwierzę ustąpiło duszy — i ogarnęła go pewna otucha, pomyślał bowiem, że gdyby był takim nędznikiem, jak sobie wyobrażał, byłby z złejsem sercem poszedł za głosem namiętności i nie przechodził takich zgryzot.

Nazajutrz zbudził się późno, zmęczony i nieco chory. Czuł jakieś zniechęcenie i wyczerpanie, którego przedtem nie doświadczał. Przy świetle dziennem a w dodatku przy świetle dnia dżdżystego i posępnego, cała sprawa przedstawiła mu się inaczej, trzeźwiej, pospoliej — i ani przyszłość nie przedstawiła mu się tak groźną, ani wina tak wielką. Wszystko zmalowało w jego oczach. Począł teraz myśleć głównie nad tem, czy pani Maszkowa przyznała się do wszystkiego mężowi, czy nie. Chwilami przypuszczał, że tak, i na tę myśl doznawał takiego uczucia, jakiego doznaje człowiek, który niepotrzebnie zalał w wielki i przykry kłopot. Zwolna jednak to uczucie zmieniało się w coraz większy i żywszy niepokój. „Położenie jest głupie — mówił sobie. — Maszce wszystko można zarzucić, ale nie jest ani niedołągą, ani tchórzem — i podobnej obelgi nie schowa do kieszeni. Więc wyjaśnienia, awantura — może pojedynek? Niechże to piorun trzaśnie! Co za fatalna historia, jeśli rzecz dojdzie do Maryni!” I począł się złościć na cały świat. Oto dotąd miał zupełny spokój, o nikogo nie dbał, z nikim się nie liczył, dziś zaś obracał na wszystkie strony w głowie wyrazy: „powiedziała? — nie powiedziała?” — i od rana nie mógł o niczem innem myśleć. Przyszło do tego, że wreszcie zadał sobie pytanie: „Co u licha, czy ja się Maszki boję? — ja?” Ale on się nie Maszki bał, tylko Maryni, co było również dla niego czemś i nowem i zdumiewającym, albowiem przed paroma jeszcze dniami byłby raczej wszystko przypuścił, niż to, że się jej będzie kiedykolwiek bał. I w miarę, jak zbliżało się południe, sprawa, która rano przedstawiła mu się w zmniejszonych rozmiarach, poczęła znów rosnąć w jego oczach. Chwilami pokrzepiał się nadzieją, że pani Maszkowa będzie milczała, chwilami ją tracił — i wówczas czuł, że nie tylko Maryni, ale nikomu nie będzie śmiało spojrzeć w oczy, i bał się także Bigiela, bał się Bigielowej, pani Emilii, Zawilowskiego, słowem wszystkich znajomych. „Oto, co jest nabroić!” — myślał sobie. — „Ile jedno głupstwo kosztuje!” Niepokój jego zwiększył się do tego stopnia, że wreszcie, pod pozorem odesłania laski, wysłał służącego chłopaka do pani Maszkowej z ukłonem i zapytaniem o zdrowie.

Służący wrócił w pół godziny. Połaniecki widział go przez okno, i zeszedłszy spieszenie na jego spotkanie, dowiedział się, że przyniósł list od pani Maszkowej do Maryni. Odebrawszy list, oddał go Maryni i serce biło mu jeszcze niespokojniej, gdy śledził jej twarz, podczas gdy czytała.

Lecz Marynia, skończywszy, podniosła na niego swe spokojne oczy i rzekła:

— Prosi nas pani Maszkowa dziś na podwieczorek... i Bigielów także.

— Aa! — odpowiedział Połaniecki, odetchnąwszy pełną piersią.

I w duszy dodał:

— Nie powiedziała!

— Pójdziemy? prawda? — pytała Marynia.

— Jak chcesz... To jest... idź z Bigielami, ja po obiedzie muszę jechać do miasta.

Muszę się widzieć ze Świrskim. Może go tu przywiozę.

— To może się wymówić?

— Nie, nie! idź z Bigielami. Może po drodze wstąpię do niej i wytłómaczę się. Ale i to nie! Ty mnie wytłómacz.

I wyszedł, bo potrzebował zostać sam ze swemi myślami.

— Nie powiedziała!

Połanieckiego ogarnęło uczucie ulgi i radości. Nie powiedziała mężowi, nie obraziła się, zaprosiła ich, zatem zgadza się na wszystko, gotowa iść dalej — i dojsć wszędzie, dokąd ją będzie chciał zaprowadzić. Czemże jest samo to zaproszenie, jeśli nie chęcią uspokojenia go — jeśli nie odpowiedzią na jego: „do jutra!” Teraz więc, wszystko zależy tylko od niego. I mrowie poczęło go znów przechodzić od stóp do głów. Niema już przeszkód, chyba w nim samym. Ryba połknęła haczyk. Pokusy opadły go z nową potęgą, bo nie hamowała już ich niepewność. Tak jest! ryba połknęła haczyk. Nie oparła się. Tu chwyciło go uczucie tryumfu i zadowolenia miłości własnej, a jednocześnie, myśląc o pani Maszkowej, poczał ją niemal przeproszać w duszy, że chwilami mógł wątpić o niej i — poczytać ją choćby przez pięć minut za uczciwą kobietę... Teraz przynajmniej wiedział, co o niej sądzić i był jej za to wdzięczny. Po chwili poczał się śmiać ze swoich poprzednich obaw. W ten sposób składał jej pierwszy przynależny hołd — pogardy. Przestała być dla niego czems niedostępnem, czems, o co się toczy walka między obawą a nadzieją. Mimowoli wyobrażał ją sobie teraz jak coś swego, jako rzecz własną, zawsze ponętną, ale tem samem mniej cenną. Sprawiała mu także przyjemność myśl, że jeśli się pokusie oprze, to będzie już czysto jego zasługa. Teraz, gdy drzwi stały otworem, spostrzegł ze zdziwieniem, że zwiększa się w nim chęć oporu. Raz jeszcze przeleciało mu przez myśl wszystko, co sobie o wiarołomstwie mówił w czasie bezsennej nocy — raz jeszcze serce przypomniło mu Marynię, jej prawość, uczciwość, blizkie macierzyństwo — i ten ogromny spokój, to jedyne prawdziwe szczęście, które tylko przy niej mógł znaleźć — i w końcu tych wszystkich rozmyślań postanowił jechać do miasta i nie być u pani Maszkowej.

Po obiedzie kazał zaprządz. Siedząc już na Bigielowej bidce, przechylił się, uściskał Marynię i powiedziawszy jej na pożegnanie: „baw się dobrze” — pojechał. Poranne jego wyczerpanie minęło. Odzyskał nawet humor, czuł się bowiem zadowolony sam ze siebie. Wracała mu ufność we własne siły i własny charakter. Sprawiała mu przytem pewną drażniącą przyjemność myśl o zdziwieniu pani Maszkowej, gdy się dowie, że sobie pojechał i że nie ma zamiaru być u niej. Czuł jakąś potrzebę zemsty nad nią za to fizyczne wrażenie, które na nim wywierała. Od chwili tego listu z zaprosinami, który napisała do Maryni, pogarda jego dla niej zwiększyła się tak bardzo, iż po chwili zaczął przypuszczać, iż byłby w stanie wyjść zwycięsko nawet, gdyby teraz do niej wstąpił.

— A gdybym rzeczywiście wstąpił i nadał inne znaczenie wczorajszym słowom? — rzekł sobie.

Lecz zaraz pomyślał:

— Nie bądź oszustem przynajmniej względem siebie samego!

Był jednak pewny, że ona nie zdziwiłaby się jego przybyciem. Po tem, co jej wczoraj powiedział, mogła przypuszczać, że on znajdzie jakikolwiek powód do odwiedzenia jej przed przybyciem Maryni i Bigielów, lub do pozostania po ich wyjściu.

Natomiast, jeśli go zobaczy przejeżdżającego, pomyśli, że się jej boi, albo poczyta go za błazna i gbura.

— Niema wątpliwości — monologował dalej — że człowiek, który sam nie uważa się za błazna, lub ciemięę, niezdolnego oprzeć się byle lalce, wstąpiłby i starał się naprawić jakim bądź sposobem wczorajsze głupstwo.

Lecz jednocześnie chwytął go strach.

Ten sam głos, który wczoraj wieczór krzyczał mu w duszy, że jest nędznikiem, poczał mu to powtarzać z podwójną energią.

— Nie wstąpię — pomyślał Połaniecki. — Rozumieć, a umieć się powściągnąć, to dwie rzeczy różne.

Zdała widać już było willę pani Krasławskiej.

Nagle przyszło mu do głowy, że pani Maszkowa, w poczuciu zniewagi, przez obrażoną miłość własną, przez zemstę, może Maryni powiedzieć coś takiego, co jej otworzy oczy. Może to uczynić jednym słowem, jednym uśmiechem, dając choćby najdalej do zrozumienia, że jakieś zuchwałę jego nadzieje rozbiły się o uczciwość kobietą — i w ta-

ki sposób objaśnić jego nieobecność. Kobiety rzadko kiedy odmawiają sobie podobnych małych zemst, a rzadziej jeszcze są jedna względem drugiej miłosierne.

— Gdybym miał odwagę wstąpić...

W tej chwili bryczka zrównała się z bramą willi.

— Zatrzymaj się — rzekł do powożącego chłopaka Połaniecki.

Na ganku zobaczył panią Maszkową, która jednak cofnęła się zaraz do wnętrza domu.

Połaniecki przeszedł dziedziniec; we drzwiach przyjął go służący.

— Pani na górze — rzekł.

Połaniecki czuł, że nogi drżą pod nim, gdy wchodził na piętro, tymczasem zaś przez głowę przelatowały mu następujące myśli:

— Kto życie bierze lekko, ten może sobie na wszystko pozwolić, ale ja go nie biorę lekko. Gdybym po tem wszystkim, com uświadomił, com przemyślał i com sobie powiedział, nie umiał nad sobą zapanować, byłbym ostatnim człowiekiem.

Tu, stanąwszy we drzwiach pokoju, który mu wskazał służący, spytał:

— Można?

— Proszę — ozwał się precedzony głosik.

I po chwili znalazł się w buduarce pani Maszkowej.

— Wstąpiłem — rzekł, podając jej rękę — by się wytłómaczyć, że nie mogę być na podwieczorku. Muszę jechać do miasta.

Pani Maszkowa zaś stała przed nim z pochyloną nieco głową, ze spuszczonej oczyma, zmieszana, pełna widocznej obawy, mając w postawie i wyrazie twarzy coś zrezygnowanej ofiary, która widzi, że stanowcza godzina nadeszła — i że nieszczęście stać się musi.

Nastrój ten ogarnął w jednej chwili i Połanieckiego, więc przysunąwszy się nagle, począł pytać stłumionym głosem:

— Pani się boi... Czemu pani się boi?

IX

Nazajutrz pani Połaniecka odebrała list od męża, że tego dnia nie wróci, jedzie bowiem oglądać kolonię, położoną z drugiej strony miasta. Następnego za to dnia wrócił i przywiózł ze sobą Świrskiego, który od dawna był obiecał Bigielom i Połanieckim, że ich na letniem mieszkaniu odwiedzi.

— Wyobraź sobie — rzekł po przywitaniu się z żoną Połaniecki — że ten Buczynek, który oglądałem, leży o miedzę od Jaśmienia starego Zawilowskiego; dowiedziawszy się o tem, odwiedziłem staruszkę, który ma się niedobrze — i niespodzianie znalazłem w Jaśmieniu pana Świrskiego. Pomógł mi oglądać Buczynek i dom bardzo mu się podobał. Jest też ładny ogród, duży staw i trochę lasu. Niegdyś był to znaczny majątek, ale grunta rozsprzedano, tak, że przy dworze mało się pozostało.

— Ładna, bardzo ładna rezydencya — rzekł Świrski. — Dużo cienia, dużo powietrza i dużo spokoju.

— Kupisz? — spytała Marynia.

— Być może. Tymczasem chciałbym nająć. Zamieszkalibyśmy tam przez resztę lata i przekonali się, czy nam dobrze. Właściciel tak jest pewien, że nam się tam pobyt spodoba, iż zgadza się na wynajęcie. Byłbym mu zaraz dał zadatek, ale wolałem wiedzieć, co o tem myślisz.

Maryni żał było trochę towarzystwa Bigielów, ale, zauważywszy, że mąż patrzy pilnie w jej oczy i że ma widocznie ochotę zamieszkać przez resztę lata u siebie, oświadczyła, że zgadza się najchętniej.

Bigielowie poczęli się sprzeczać i kłaść veto, lecz gdy Połaniecki przedstawił im, że tu chodzi o wypróbowanie domu, w którym prawdopodobnie oboje z Marynią będą mieszkali każdego lata, do końca życia, musieli przyznać, że powód jest słuszny.

Połaniecki zaś rzekł:

— Jutro tedy najmę i co potrzeba jeszcze ze sprzętów przeniosę z Warszawy, a pojutrze będziemy się mogli przenieść.

— To zupełnie, jakby pan chciał stąd jak najprędzej uciec — odpowiedziała pani Bigielowa — po co taki pośpiech?

Ostatecznie stanęło na tem, że państwo Połanieccy przeniosą się za cztery dni do Buczynka. Tymczasem podano obiad, w czasie którego Świrski począł opowiadać, jakim sposobem Połaniecki znalazł go w Jaśmieniu u Zawilowskich.

— Panna Helena chciała — rzekł — żebym malował portret ojca i życzyła sobie, żeby to mogło odbywać się w Jaśmieniu. Pojechałem, bo mi i tęskno za robotą, a przytem staruszek ma ciekawą głowę. Ale nie mogło z tego nic być. Oni tam we dworze mają dwułokciowe mury, przez co w pokojach złe światło. W tych warunkach nie chciałem malować, a następnie znalazła się i druga przeszkoda, bo model dostał ataku pedogry. Doktor, którego wzięli ze sobą na wieś, mówił mi, że to stan nie jest dobry i że się może źle skończyć.

— Żał mi pana Zawilowskiego — rzekła Marynia — bo to widocznie zacny człowiek. I panna Helena biedna. W razie jego śmierci zostanie zupełnie sama. A czy on zdaje sobie sprawę ze swego stanu?

— I zdaje i nie zdaje, jak to on: zawsze oryginał. Niech pani spyta męża, jak go przyjął.

Połaniecki uśmiechnął się i rzekł:

— Zwiedzając Buczynek, dowiedziałem się, że Jaśmień tuż, i postanowiłem tam pojechać. Panna Helena zaprowadziła mnie do ojca, ale on kończył sobie właśnie różaniec i nie przywitał się ze mną, póki nie odmówił ostatniej zdrowaśki. Potem zaczął mnie przeproszać i powiada tak: „Bo to tam matadory niebieskie swoją drogą, a z Nią człek śmielszy i po staremu, jak Ona się zmiłuje, to i dobrze, bo Jej niczego nie odmówią”.

— Co to za typ! — zawołał Świrski.

Bigielowie poczęli się śmiać, pani Marynia rzekła jednak, że jest w takiej ufności coś wzruszającego, na co Świrski zgodził się, Połaniecki zaś mówił dalej:

— Potem wspomniał mi, że mu czas myśleć o testamencie, a ja nie zaprzeczałem, jak się zwykle robi, bo mi chodziło o naszego Zawilka. Powiedziałem mu natomiast, że to jest kwestya czysto prawna, na którą nigdy nie zawczasie — i że nawet zupełnie młodzi ludzie powinni o tem myśleć.

— To i moje zdanie — wtrącił Bigiel.

— Mówiliśmy też i o młodym Zawilowskim — rzekł Połaniecki — staruszek pokochał go serdecznie.

— Jakże! — zawołał Świrski. — Jak się dowiedział, że byłem w Przytułowie, zaraz zaczął się o niego dopytywać.

— To pan był w Przytułowie? — spytała pani Połaniecka.

— Cztery dni, pani — odrzekł malarz. — Ogromnie lubię Osnowskiego.

— A panią Osnowską?

— O niej wypowiedziałem moje zdanie w Rzymie i, o ile pamiętam, rozpuściłem język, jak bicz.

— Pamiętam i ja. Był pan bardzo niegodziwy. Cóż młoda para?

— A nic. Szczęśliwa. Ale jest tam panna Ratkowska: ogromnie miła panna! Bez mała, żem się w niej nie zakochał.

— Masz tobie! A mówił mi Staś, że pan się we wszystkich kocha.

— Stale, pani. To jest: stale we wszystkich, a zatem stale.

Bigiel, usłyszawszy to, zastanowił się dobrze i rzekł:

— To jest sposób, żeby się nigdy nie ożenić.

— Niestety, drogi panie! — zawołał Świrski. — To też i jest.

Poczem, zwróciwszy się do Maryni, rzekł:

— To może pan Stanisław mówił pani i o dalszej naszej umowie? Jak mi pani powie: żeń się — żenię się! Taki był układ z pani mężem i dlatego chciałbym, żeby pani zobaczyła pannę Ratkowską. Jej na imię Stefania, to znaczy: Uwieńczona. Ładne imię, prawda? Ciche jakieś stworzenie, nieśmiałe, bojące się pani Anety i panny Castelli, ale widocznie pocziwe. Miałem tego dowód. Jak chodzi o jaką pannę, to wszystko uważam i notuję w pamięci. Przyszedł raz przy mnie do Przytułowa żebrak, z twarzą, jak jaki pustelnik z Tebaidy. Pani Osnowska i panna Castelli powypadały do niego z aparatami fotograficznymi i nuż go fotografować z boków, z przodu — ile wlaźło, a staremu może się chciało jeść. Poddawał się w nadziei jałmużny, ale było mu widocznie przykro. Prości ludzie mają tego rodzaju pojęcia. Otóż żadna z tych pań tego nie spostrzegła, a przynajmniej na to

nie zważała. Obchodziły się z nim, jak z rzeczą — i dopiero panna Ratkowska powiedziała im, że starego upokarzają i męczą. To mała rzecz, ale dowodzi serca i delikatnych uczuć. Kręci się tam koło niej ten piękny Kopowski, ale ona nie zachwyca się nim tak, jak te panie, które się nim bawią, malują go, wymyślają dla niego kostyумы, przebierają i nieledwie na rękę noszą, jak lalkę. Nie. Ona mi sama powiedziała, że ją Kopowski nudzi i to mi się także podoba, bo on ma tyle rozumu, ile gąłka u laski.

— Pan Kopowski — rzekł Bigiel — potrzebuje, o ile slyszalem, pieniędzy, a panna Ratkowska niebogata. Wiem, że jej ojciec, umierając, został dłużny bankowi sumę, która z procentami wyniosłaby do dnia ostatniego ubiegłego miesiąca...

— Co nam do tego? — przerwała pani Bigielowa.

— Właściwie, to masz słuszność; to nie nasza sprawa.

— A jak wygląda panna Ratkowska? — spytała Marynia.

— Panna Ratkowska? Ona nie jest piękna, ale ma słodką twarz, bladą cerę i ciemne oczy. Pani ją zobaczy, bo te panie mówiły, że mają chęć wpaść tu któregokolwiek dnia. A ja namawiałem, bo mi chodziło o to, żeby ją pani zobaczyła.

— Dobrze! — odpowiedziała, śmiejąc się, Marynia. — Zobaczę i wydam wyrok. Ale jeżeli będzie pomyslny?

— Oświadczam się, słowo daję! W najgorszym razie dostanę odkosza. Jeśli pani powie: „nie” — to pojadę na kaczki! W końcu lipca można już strzelać...

— O to poważne zamiary! — rzekła pani Bigielowa — żona albo kaczki! Pan Zawilowski takby się nie wyraził.

— Bo i po co rozumować, skoro się kocha — rzekła Marynia.

— Ma pani słuszność, to też ja mu zazdrozczę — nie panny Castelli, chociaż sam się w niej kochałem — o nie! — ale właśnie tego stanu, w którym się już nie rozumuje.

— A cóż pan ma przeciw pannie Castelli?

— Nic, pani. Winienem jej wdzięczność, bom dzięki jej miał swoją porę złudzeń. Dlatego nie będę o niej nigdy źle mówił, chyba mnie ktoś bardzo pociągnie za język — więc niech mnie panie nie ciągną.

— Ale owszem — rzekła pani Bigielowa. — Musi nam pan o obojgu opowiadać. Proszę tylko na werandę, bo kazałam tam podać kawę.

I po chwili znaleźli się na werandzie. Bigielęta rozbiegły się różnokolorowem stadkiem między drzewami, kręcąc się naksztalt jasnych motyli. Bigiel częstował Świrskiego cygarami, Marynia zaś, korzystając z chwili, przysunęła się do męża, który stał nieco z boku, i podniósłszy na niego swoje dobre oczy, spytała:

— Coś ty taki milczący, Stachu?

— Zmęczony jestem — odpowiedział. — W mieście upał, a w naszym mieszkaniu można się udusić. Nie mogłem spać, bo i Buczynek załaził mi do głowy.

— A ja ciekawam tego Buczynka — wiesz? naprawdę ciekawam. Dobrześ zrobił, żeś go zobaczył i najął — bardzo dobrze.

I patrzyła na niego z przymileniem, lecz, widząc, że wyglądał istotnie nie swój, rzekła:

— My tu zagadamy pana Świrskiego, a ty może pójdziesz trochę odpocząć.

— Nie... nie mógłbym zasnąć — odpowiedział Połaniecki.

Tymczasem Świrski mówił:

— Niema nic wiatru. Żadna gałązka ani się poruszy. Prawdziwy letni dzień! Czy państwo uważają, że w czasie upału i w chwilach takiej ciszy cały świat wydaje się jakby zamysłony. To, pamiętam, Bukacki zawsze mawiał, że jest w tem coś mistycznego — i że chciałby umierać w taki słoneczny dzień... ot, tak sobie: siedzieć w fotelu, potem zasnąć i wsiąknąć w światło...

— I nie umarł w lato — zauważył Bigiel. — Ale na wiosnę... i w pogodę. Przytem na ogół biorąc, nie męczył się, a to nadewszystko.

Tu umilkł na chwilę, poczem dodał:

— Bo śmierć — z tem się można i trzeba pogodzić i to mnie nigdy nie oburzało — ale po co istnieje cierpienie, to dalibóg, przechodzi ludzkie pojęcie.

Nikt nie podniósł tej uwagi, więc Świrski, strzepnąwszy popiół z cygara, rzekł:

— Ale mniejsza z tem. Po obiedzie i przy czarnej kawie można znaleźć weselszy temat.

— O Zawilku, niech nam pan powiada o Zawilku! — zawołała pani Bigielowa.

— Zawilek podoba mi się. Widać we wszystkim, co on robi i mówi, lwi pazur — i wogóle to niepospolita organizacja... ogromnie bujna. Przez te parę dni w Przytułowie poznaliśmy się trochę bliżej i zaprzyjaźnili. Nie macie państwo pojęcia, jak Osnowski go pokochał. I z nim, z Osnowskim, mówiłem otwarcie, że się boję, czy taki Zawilek może być szczęśliwy z temi paniami.

— Ale dlaczego, panie? — spytała Marynia.

— To tak trudno określić, gdy się nie ma żadnych faktów. Ale to się czuje. Dlaczego?... Bo one to są natury zupełnie odmienne. Widzi pani, te wszystkie wyższe aspiracje, które dla Zawilowskiego są duszą życia, dla tych pań są tylko przyborem, czemś w rodzaju koronki przy sukni. To się wkłada od gości, a na codzień chodzi się w szlafroku — i to już jest ogromna różnica. Boję się, czy zamiast poszybować jego lotem, one nie będą chciały, by dreptał przy nich ich gęsim truchcikiem — i czy tego, co w nim jest, nie rozmieniają na drobne dla opędzenia swoich codziennych towarzyskich wydatków. A przecież w nim coś jest! Nie przypuszczam, żeby miały nastąpić jakieś katastrofy, bo nie mam prawa odmawiać im zwykłej, zdawkowej uczciwości, ale może nie być szczęścia. Powiem państwu tylko tyle: znacie przecie wszyscy Zawilka i wiecie, że jest ogromnie prosty, a jednak, podług mnie, jego miłość jest dla Castelli za trudna i zanadto wyłączna. On kładzie w to całą duszę, a ona... cząsteczkę gotowa oddać — tak!... ale resztę radaby zachować na stosunki towarzyskie, na wygody, na toalety, na bywanie, na luksus, na „five o'clocki”, na „lawn-tennisa” z panem Kopowskim, słowem, na ów młynek, w którym się życie pytluje na otręby...

— To może się nie stosować do panny Castelli, i jeśli się nie stosuje, to tem lepiej dla Zawilowskiego — rzekł Bigiel — ale wogóle to jest trafne.

— Nie — odpowiedziała pani Bigielowa — to przedewszystkiem jest niegodziwe: pan naprawdę nienawidzi kobiet.

— Ja nienawidzę kobiet! — zawołał Świrski, wznosząc obie ręce ku niebu.

— To chyba pan nie widzi, że pan z panny Castelli robi zwyczajną gąskę.

— Ja, pani, dawałem jej tylko lekcje malowania, ale wychowaniem jej nie zajmowałem się nigdy.

A pani Marynia, słysząc to wszystko, rzekła, pogroziwszy Świrskiemu:

— To aż dziwne, żeby taki dobry człowiek miał taki zły język.

— W tem jest pewna słuszność — odpowiedział Świrski — ja sam to czuję i nieraz zadawałem sobie pytanie, czy ja naprawdę jestem dobry człowiek? Ale myślę, że jestem. Bo są ludzie, którzy obmawiają bliźnich przez zamilowanie do grzebania w błocie — i to jest plugawe; są inni, którzy to czynią przez zazdrość — i to jest równie plugawe. Taki jednak Bukacysz obgadawał dla konceptu, a ja... ja, naprzód jestem gadatywus, powtóre, człowiek, a zwłaszcza kobieta, zajmuje mnie więcej, niż wszystko inne, a nakoniec, lichota, płaskość i małe marności natury ludzkiej ogromnie mnie gryzą. I dalibóg, że to z tego idzie. Jabym chciał, żeby wszystkie kobiety miały skrzydła, więc, jak widzę, że niektóre mają tylko ogony, tak z samego zdziwienia poczynam krzyczeć w niebogłosy.

— A czemu pan tak samo nie krzyczy na mężczyzn? — spytała pani Bigielowa.

— A niech ich tam! Co oni mnie obchodzą! Przyczem, mówiąc poważnie, może nam się należy więcej, niż paniom.

Tu i pani Bigielowa i Marynia napadły na nieszczęśliwego malarza, lecz on począł się bronić i mówił dalej:

— Niech panie wezmą takiego Zawilowskiego i taką pannę Castelli. On napracował się od dzieciństwa, nałamał się z trudnościami, namyślał się, dał już coś światu, a ona co? Czysty kanarek w klatce!... Dadzą mu wody, cukru, muchotrzepu i siemienia, a on ma tylko rozczesywać dziobkiem swoje żółte piórka i świegotać. Alboż tak nie jest? My ogromnie pracujemy, pani! Cywilizacja, nauka, sztuka, chleb i wszystko, na czem świat stoi, to ostatecznie nasze dzieło. A to przecie bajeczny trud! O tem się łatwo mówi, ale się ciężko dźwiga. Czy to jest słuszne, albo naturalne, że was od tego odsuwają, nie wiem i w tej chwili nie o to mi chodzi, ale, na ogół biorąc, wam się został tylko jeden dział: kochanie — więc umiejcie przynajmniej kochać.

Tu smągła twarz jego przybrała wyraz wielkiej łagodności, a zarazem jakby melan-
cholii.

— Ot, ja naprzykład, pracuję niby dla tej naszej sztuki. Dwadzieścia pięć lat mażę tam i mażę tym pędzlikiem po papierze, albo po płótnie, i Bóg jeden wie, com się napiłował, nimem z siebie coś wydobył; tymczasem czuję się samotny na świecie, jak palec. A czegoż chcę? Oto żeby mi Pan Bóg za całą tę piłę dał jakie pocziwe kobieciątko, któreby mnie trochę kochało i było wdzięczne za moją miłość!

— To czemuż się pan nie żeni?

— Czemu? — odparł z pewnym wybuchem Świrski — bo się boję, bo z was jedna na dziesięć umie kochać, choć nie macie nic innego do roboty.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana Pławickiego z panią Maszkową, która w fu-larowej, ciemnoniebieskiej sukni, w białe kropki, wyglądała z daleka jak motyl. Pan Pławicki wyglądał jak drugi motyl i, zbliżywszy się do ganku, począł wołać:

— Porwałem, porwałem panią Maszkową i przyprowadzam. Dobry wieczór państwu, dobry wieczór, Maryniu! Jadę tu sobie do was dorożką, aż patrzę: pani stoi na ganku — więc porwałem i przyszedłszy piechotą. Dorożkę odprawiłem, bo myślę, że mnie odeślecie.

Obecni poczęli witać panią Maszkową, ona zaś, zarumieniona przechadzką, poczęła tłumaczyć się wesoło, zdejmując kapelusz ze swych popielatych włosów, że istotnie pan Pławicki porwał ją niemal przemocą, gdyż, spodziewając się powrotu męża, nie chciała opuszczać domu. Pan Pławicki uspokajał ją, że mąż, nie znalazłszy jej w domu, domyśli się, gdzie jest, a za porwanie i za przechadzkę sam na sam nie będzie się gniewał, bo to przecie nie jest miasto, gdzie ludzie robią plotki z lada powodu — (tu począł pociągać swoją białą kamizelkę z miną człowieka, który nie dziwiłby się, gdyby robiono o nim plotki) — ale wieś, która ma swoje prawa i pozwala nie oglądać się na etykietę.

To rzekłszy, spojrzął filuternie na panią Maszkową, zatarł ręce i dodał:

— He, he! wieś ma swoje prawa... Dobrzem powiedział: ma swoje prawa, tak! — i dlatego dla mnie niema jak wieś.

Pani Maszkowa śmiała się, czując, że jej z tem ładnie i że ktoś może ją podziwiać. Lecz Bigiel, który, sam będąc w rozumowaniu ścisłym, wymagał od wszystkich logiki, zwrócił się do Pławickiego i rzekł:

— Jeśli niema jak wieś, to czemu pan dobrodziej nie chce na lato z miasta wyruszyć?

— Jak pan powiada? — spytał pan Pławicki. — Czemu nie chcę wyruszyć? Chciałem się wybrać do Karlsbadu, ale...

Tu umilkł na chwilę i, zapomniawszy, że dopiero co dawał do zrozumienia, iż mógłby jeszcze młodą kobietę narazić na złe języki ludzkie, spojrzął z posępną rezygnacją i dodał:

— Czy warto dbać o te parę lat życia, o które ani mnie, ani nikomu nie chodzi.

— Masz tobie! — zawołała wesoło Marynia. — Jeśli tatuś nie pojedzie do Karlsbadu, to będzie pił Millbrun u nas w Buczynku.

— W jakim Buczynku? — spytał Pławicki.

— Prawda, trzeba ogłosić „la grande nouvelle!”

I poczęła opowiadać, że Buczynek został wyszukany, najęty, że prawdopodobnie będzie kupiony i że za cztery dni oboje z mężem przenoszą się do tego Buczynka na całe lato.

Lecz pani Maszkowa, wysłuchawszy opowiadania, podniosła ze zdziwieniem swoje oczęta na Połanieckiego i, patrząc na niego, spytała:

— Więc państwo naprawdę nas opuszczają?

— Tak jest — odrzekł, jakby z pewną opryskliwością.

— Aa!

I przez chwilę patrzyła na niego wzrokiem osoby, która nic nie rozumie i która pyta, co to wszystko znaczy; lecz nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zwróciła się do Maryni i poczęła obojętną rozmowę.

Była tak wdrożona w formy światowe, że sam tylko Połaniecki mógł poznać, że wiadomość o Buczynku przenikła przez te pokłady, które tworząc jakby pokrowiec na jej mózgu, przytępiły jego czułość. Domyśliła się jednak, że jej osoba może tu wchodzić w grę i że te nagłe przenosiny mogą stać z nią w związku. Z każdą minutą prawda ta przedstawiała jej się coraz jaśniej — i chłodna jej twarz przybrała wyraz jeszcze chłodniejszy. Stopniowo ogarniało ją uczucie upokorzenia. Zdawało się jej, że Połaniecki zrobił coś wprost przeciwnego temu, czego miała prawo od niego oczekiwać — i że uchybił

ciężko nietylko jej, ale tym wszystkim względem, jakie człowiek pewnej sfery winien kobiecie. I cała jej dusza odmalowała się w tem, że zabolą ją to mocniej, niż jego odjazd. W pewnych razach kobiety wymagają tem więcej względów, im mniej im się należy, i tem więcej czci, im mniej na nią zasługują, bo potrzeba im tego do oszukiwania samych siebie; a równie często zaślepienie, delikatność lub komedianctwo mężczyzn przyznaje im wszystko, czego żądają — przynajmniej do czasu. Jednakże, w tym zamiarze przeprowadzenia się za kilka dni, we wprost przeciwną stronę miasta, była jakby godna gburą zapowiedź zerwania stosunku. Wiarołomstwo miewa swoje tego rodzaju *zapowiedzi* a posteriori — i miewa zawsze, albowiem niema w świecie przykładu, by stosunek, oparty na wiarołomstwie, ostał się. Ale tym razem grubiaństwo przeszło wszelką miarę i siejba wydała zbyt wczesnie właściwe żniwo. Mało lotna z natury myśl pani Maszkowej nie potrzebowała zbyt wysiłku, by dojść do wniosku, że to, co ją spotkało, nazywa się po prostu pogardą.

A w tym samym czasie i Połaniecki myślał:

— Jak ona bajecznie musi mną pogardzać!

Oboje zaś nie zdawali sobie w tej chwili sprawy, że to, w najlepszym razie, była tylko kwestya czasu. Lecz pani Maszkowa chwyciła się jeszcze nadziei, że to może być jakieś nieporozumienie, jakiś chwilowy gniew, jakaś drażliwość fantasty, jakaś obraza, której nie umiała sobie wytłómaczyć, słowem, coś takiego, co może być mniej stanowczem, niż się pozornie wydaje. Jedna rozmowa, jedno słowo, rzucone odpowiednio, mogło jeszcze wszystko wyjaśnić. Sądząc, że i Połaniecki może odczuwać potrzebę takiej rozmowy, postanowiła mu ją ułatwić.

Więc po herbacie poobiedniej poczęła się zbierać do domu i, spojrzawszy na Połanieckiego, rzekła:

— A teraz muszę prosić którego z panów, by mnie odprowadził.

Połaniecki wstał. Zmęczona, a zarazem gniewna jego twarz, zdawała się mówić pani Maszkowej: „Jeśli chcesz szczerą prawdę, będziesz ją miała”, lecz niespodzianie Bigiel pomieszał im szyki, rzekłszy:

— Wieczór taki pogodny, że możemy wszyscy panią odprowadzić.

I tak się stało. Pan Pławicki, uważając się dziś za rycerza pani Maszkowej, podał jej z wielką galanterią rękę i przez całą drogę zabawił ją rozmową, tak, że do Połanieckiego, który prowadził panią Bigielową, nie miała sposobności ani słowa przemówić, prócz „dobranoc” przy bramie.

Temu „dobranoc” towarzyszył uścisk ręki, który był nowem pytaniem — bez odpowiedzi. Połaniecki zresztą rad był, że nie potrzebuje dawać objaśnień. Mógł dać tylko mętne, a przedewszystkiem przykre. Pani Maszkowa już obecnie budziła w nim tyleż duchowego niesmaku, ile fizycznego pociągu i z obu tych przyczyn uważał, że pozostawszy w domu Bigielów, będzie ją miał zbyt blisko. Zresztą wyszukał Buczynek i wynajął go głównie z tego powodu, że natury sprężyste, naciśnięte zbyt silnie, instynktowo muszą coś przedsiębrać i działać, choćby owo działanie nie było w bezpośrednim związku z tem, co im dolega. Nie miał jednak bynajmniej poczucia, że ucieczka od niebezpieczeństwa równa się powrotowi na uczciwą drogę, lub nawet prowadzi do niej; w tej chwili zdawało mu się, że na to zapóźno, że to jest rzecz przepadła raz na zawsze. „Uciekać — mówił sobie — był na to czas. Obecnie jest to tylko egoizm zwierzęcia, które, zaniepokojone w jednym legowisku, szuka sobie drugiego”. Zdradziwszy oto poprzednio Marynię, zdradza teraz panią Maszkową, z obawy, by stosunek z nią nie stał się zbyt męczącym — i zdradza w sposób zarówno nędzny, jak gruby, depcąc po niej. To tylko nowa podłość, której dopuszcza się jak desperat, w przekonaniu, że, jakkolwiekby się wysiłał, stoczy się zawsze w przepaść.

Na dnie tych myśli kryło się jednak niezmierne zdumienie. Gdyby to wszystko zdarzyło się komu innemu, biorącemu życie lekko, taki mógłby machnąć ręką i uważać, że spotkał go jeden więcej wesoły wypadek. Połaniecki rozumiał, że wielu patrzyłoby na sprawę w ten właśnie sposób. Ale on wyrobił był w sobie zasady, miał je — i spadł z całej ich wysokości, zatem jego upadek był tem większy. „Więc — myślał sobie — to, com zdobył, do czego doszedł, ostatecznie od niczego nie broni. Mając to, kręci się kark, tak jakby się niczego nie miało”. I rzecz ta wydawała mu się wprost nie do pojęcia. Dlaczego? z jakiej przyczyny? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć i, zwątpiwszy poprzednio

o swej uczciwości i honorze, poczył teraz wątpić o rozumie, czuł bowiem, że nie może tu czegoś uchwycić i uświadomić.

Wogóle zaś czuł się człowiekiem straconym w jakąś duchową pustkę, który nie może niczego odnaleźć, nawet przywiązania do żony. Wydało mu się, że, zatraciwszy w sobie wszystkie ludzkie strony, zatracił zarazem zdolność i prawo do kochania jej. Z niemniejszym też zdziwieniem spostrzegł, że w głębi serca żywi jakby urazę do niej za swój własny upadek. Dotychczas nie skrzywdził nikogo w życiu, nie mógł więc wiedzieć, że zwykle czuje się urazę, a nawet nienawiść, do tego, komu się czyni krzywdę.

Tymczasem towarzystwo, po pożegnaniu pani Maszkowej, wracało do domu. Marynia szła teraz obok męża, ale, przypuszczając, że jest zajęty obliczeniami, tyczącami kupna kolonii, i pamiętając, że w takich razach nie lubił, gdy mu przeszkadzano, nie przerywała milczenia. Wieczór był tak ciepły, że po powrocie zostali jeszcze na ganku. Bigiel poczył zatrzymywać Świrskiego na noc, żartując przytem, że taki Herkules nie pomieści się w jego bryczuszcze obok pana Pławickiego. Połaniecki, któremu obecność kogoś obcego była na rękę, poparł nalegania Bigiela.

— Niech pan zostanie — rzekł — ja jutro rano jadę do miasta, więc zabierzemy się razem.

— Pilno mi tylko do malowania — odpowiedział Świrski. — Jutro chciałem się zabrać od rana do roboty, a w ten sposób będzie marudztwo.

— Czy pan ma jaką terminową robotę? — spytała Marynia.

— Nie, pani, ale ręka wychodzi z wprawy. To jest tego rodzaju rzemiosło, że w niem nigdy nie wolno odpoczywać; straciłem już tyle dni na włóczędze, to do Przytułowa, to do państwa, a farby tymczasem schną.

Obie panie poczęły się śmiać, że to mówi sławny mistrz, który przecie powinien być wolny od obawy, że zapomni malować. Lecz Świrski odrzekł:

— To się tak zdaje, że gdy się dojdzie do pewnej doskonałości, to się ją posiada. To dziwna rzecz ten ludzki organizm, który ma tylko do wyboru: albo iść naprzód, albo się cofać. Nie wiem, czy tak we wszystkim, ale w artyzmie nie wolno powiedzieć sobie: „już dobrze!” — nie wolno stanąć. Jak przez tydzień nie maluję, nietylko tracę biegłość łapy, ale nie czuję się w mocy. Ręka tępieje — to jeszcze rozumiem! — ale przytem tępieje i zmysł artystyczny, tępieje po prostu talent. Myślałem, że to tak jest tylko w moim zawodzie, bo w nim ogromnie dużo znaczy technika; ale dacie państwo wiarę, że ten Śniatyński, który pisuje do teatru, mówił mi to samo. A w takiej literaturze na czemże polega technika? Na tem chyba, żeby jej nie mieć, albo przynajmniej, żeby jej nie było widać. Jednak i tamten gadał, że nie może stanąć, że cofa się lub postępuje w miarę wysilenia. Służba sztuce! — to ładnie brzmi. Ach, co za psia służba, w której nigdy niema spoczynku i nigdy spokoju! Nic, tylko mozól i strach! Czy to już przeznaczenie całego ludzkiego pogłowia, czy tylko my jesteśmy takie zamęczone figury.

Świrski wprawdzie nie wyglądał wcale na zamęczoną figurę, nie wpadał też w ton patetyczny, narzekając na swoje rzemiosło; ale w rozmachanych słowach jego była jakaś szczerść, która czyniła je zajmującymi. Po chwili podniósł pięść i, wygrażając nią księżycowi, który właśnie ukazał się nad lasem, zawołał nawpół wesoło, nawpół ze złością:

— Ot, taka pyza! Jak raz nauczyła się kręcić koło ziemi, tak już jest pewna swojej sztuki. Żeby choć jedną taką chwilę mieć w życiu!

Pani Marynia poczęła się śmiać i, podniósłszy mimowoli oczy w kierunku ręki Świrskiego, rzekła:

— Niech pan nie narzeka. To nietylko artystom nie wolno stanąć. Czy się pracuje nad obrazem, czy nad samym sobą, to wszystko jedno, a pracować trzeba, każdej godziny, bo inaczej byłoby źle.

— Ogromnie trzeba pracować! — przerwał z westchnieniem pan Pławicki.

Lecz ona mówiła dalej, szukając z pewnem wysileniem jakiegoś porównania i podnosząc przytem brwi:

— I widzi pan, gdyby ktoś choć na chwilę powiedział sobie: jestem dostatecznie mądry i dość dobry, to już to samo nie byłoby ani mądre, ani dobre. Oto mnie się wydaje, że my wszyscy płyniemy przez jakąś głębinę, gdzieś do lepszego brzegu, ale kto tylko chce odpocząć i przestanie poruszać rękoma, tego zaraz własny ciężar ciągnie na dno.

— Frazesy! — rzekł nagle Połaniecki.

Ona zaś, rada z trafności porównania, odpowiedziała:

— Nie, Stachu! jak ciebie kocham, tak to nie frazesy!

— Dałby Bóg tylko zawsze takie słyszeć — rzekł żywo Świrski. — Pani ma zupełną słuszność.

Lecz Połaniecki w gruncie rzeczy również był przekonany, że ona ma słuszność — i, co więcej, w tych ciemnościach, które go otaczały, poczęło coś błyszczeć nakształt światełka. Oto on właśnie powiedział był sobie: jestem dostatecznie mądry, dostatecznie dobry — i mogę odpocząć — oto on właśnie zapomniał o konieczności ciągłego wysiłku, on zaprzestał poruszać rękoma na głębinie i wnet własny ciężar pociągnął go na dno. Tak było! Wszystkie te wysokie religijne i moralne zasady, które zdobył, zamknął w swej duszy tak, jak zamykał w kasie pieniądze — i uczynił z nich martwy kapitał. Miał je, ale jakby na składzie. Wpadł w zaślepienie skąpca, który cieszy się nagromadzonem złotem, ale żyje, jak nędzarz. Miał je, ale z nich nie żył — i zaufawszy swemu bogactwu, wyobraził sobie, że jego życiowe rachunki są pokończone i że może spocząć. A teraz poczynął się jakby brzask wśród tej nocy, która zalegała jego umysł, i z cienia poczęła się wychylać ku niemu mglista jeszcze i niewyraźna prawda, że tego rodzaju rachunki nie mogą być nigdy zamknięte — i że to jest ogromna, codzienna i nieustanna praca, która, jak mówi Marynia, kończy się dopiero tam, gdzieś, na drugim, lepszym świecie...

X

— Mój drogi panie, czemu pan się tak nie ubiera, jak pan Kopowski? — mówiła do Zawilowskiego pani Broniczowa. — Naturalnie, że Niteczka ceni więcej pańskie poezye, niż wszelkie na świecie ubrania, ale pan nie uwierzy, jaki to malec estetyczny i jak ona się doskonale zna nawet na takich rzeczach. Wczoraj biedactwo przyszło do mnie i pyta z taką śliczną minką, że gdyby ją pan widział, toby się pan rozplynął: „Ciociu — pyta — czemu pan Ignaś nie ma na rano białego flanelowego kostiumu? Wszystkim panom tak ładnie w tych kostiumach”. Niech pan sobie coś podobnego sprawi, ona będzie rada. Widzi pan, że i Józio Osnowski ma flanelowy kostium — on nawet ma kilka, przez kokieterę względem Anetki. To są małe rzeczy — wiem! — ale kobiety to ogromnie ujmują, gdy się zważa na ich wymagania. Pan nie ma pojęcia, jak ona wszystko widzi. W Scheveningen wszyscy do południa chodzą w takich kostiumach i jej byłoby przykro, gdyby ktoś pomyślał, że pan nie należy do towarzystwa, które wie, jak się ubierać. Pan taki dobry, pan sobie kupi taki kostium — prawda? Pan to dla niej zrobi — i nie weźmie mi za złe, że ja mówię o tem, co Niteczka lubi?

— Ach, pani — rzekł Zawilowski — najchętniej!

— Jaki pan pocziwy! Ale! co to jeszcze chciałam powiedzieć?... Aha! — i ładny nécessaire podróżny z złotej skóry? — dobrze? — mój drogi panie! Niteczka ogromnie lubi ładne sakwojaże u panów; a za granicą, jak kogo widzą, tak go piszą... Wczoraj — (powiem panu w sekrecie) — oglądałyśmy nécessaire pana Kopowskiego! Bardzo ładny i w dobrym guście... kupiony w Dreźnie. Niteczce bardzo się podobał. Niech go pan zobaczy i niech pan sobie kupi coś w tym rodzaju. Przepraszam, że ja się w to wdaję, ale to bagatela. Widzi pan, ja znam i kobiety wogóle, i Niteczkę. Z nią niema lepszej metody, jak ustępstwa w małych rzeczach. Gdy chodzi o wielkie rzeczy, ona się potrafi wszystkiego wyrzec. Przecie pan słyszał, jakie ona miała partye do wyboru, a jednak wybrała pana. Niechże jej pan za to okazuje wdzięczność choć w drobiazgach. Czy pan, jako psycholog, nie zauważył, że natury, zdolne do wielkich poświęceń, zachowują się właśnie na wyjątkowe okazyje, a w życiu codziennem lubią, żeby im dogadzano?

— Być może, pani; dotąd jakoś nie zastanawiałem się nad tem.

— O, z pewnością tak jest i taka jest właśnie natura Niteczki. Pan nie jest jeszcze w stanie ocenić, co to za natura, choć powinienby pan ocenić, przez to samo, że pana wybrała. Ale wy, mężczyźni, nie umiecie odczuć tylu odcieni! Jakby przyszło co do czego, zobaczyłby pan dopiero, jak w niej nic niema egoizmu. Niech ją Pan Bóg ochroni od wszelkich prób, ale, gdyby przyszło co do czego, zobaczyłby pan!

— Pani — odparł z pewną żywością Zawilowski — wiem, że pani ceni pannę Niteczkę, ale jednak i pani nie myśli o niej tyle dobrego, ile ja.

— Ach! jak ja pana kocham, gdy pan takie rzeczy mówi — zawołała z radością pani Broniczowa. — Mój drogi panie! Ale jeśli tak, to mama jeszcze coś szepnie panu do ucha: oto ona pasyami lubi u panów czarne jedwabne pończoszki, ale jedwabne! Niech pan zapamięta! Jej dość spojrzeć, żeby odróżnić, co jedwab', a co fil d'Ecosse! Mój Boże! niech mnie pan nie posądza, że ja się do wszystkiego chcę mieszać. Nikt się tak nie potrafi usuwać, jak ja, tylko chodzi o to, by Niteczka nigdy nie pomyślała, że pan pod jakimkolwiek względem nie dorównywa innym. Co pan chce! Bierze pan prawdziwą artystkę, która lubi, żeby wszystko, co ją otacza, było ładne. I doprawdy, ona przecie wcale nie będzie tak biedna, żeby nie miała do tego prawa. Cóż, panie?

Zawiłowski wydobyl książeczkę do notatek i rzekł:

— Zapiszę sobie zlecenia pani, żebym czego nie zapomniał.

W słowach jego był odcień ironii. Pani Broniczowa swym nadmiarem słów, sposobem mówienia, a zwłaszcza swym zbyt widocznym zamilowaniem w rzeczach powierzchownego zbytku, niecierpliwiła go częstokroć. Zawiłowskiego raziło w niej jakby pewne parweniuszowstwo natury. Ponieważ nie wiedział, jakie gmachy pobudowała już na majątku starego pana Zawiłowskiego, nie mógł wprost zrozumieć, jak kobieta delikatna mogła tak mało krępować się z nim w wymaganiach dla Niteczki, gdy szło o skalę ich przyszłego życia. Sądził przedtem, że będzie wprost przeciwnie, że te panie będą okazywały aż nazbyt wiele skrupułów i delikatności — i to było pierwsze jego rozczarowanie. Z drugiej strony bolał go zły smak, z jakim niemal codziennie pani Broniczowa wspominała o wielkich partyach, jakie Niteczka mogła porobić, i o wyrzeczeniach się, które dla niego uczyniła. Te *wyrzeczenia się* jeszcze nie miały miejsca. Zawiłowski nie był zarozumiałcem, ale też nie nosił niżej głowy, niż było trzeba — i z tem, co w nim było, uważał się nie za gorszą, ale za lepszą partycję od takich Kopowskich lub od rozmaitych Colimaćców, Kanafaropulosów i tym podobnych zakazanych operetkowych figur. Wzburzała go sama myśl, że go śmiano z nimi porównywać, zwłaszcza na jego niekorzyść. Mając w duszy miłość i poezję, sądził, że ma to, czem i książęta tej ziemi nie zawsze rozporządzają. Jakie będzie praktyczne ich życie z Niteczką, o tem niewiele dotąd myślał, lub myślał tylko ogólnie, ale, czując w sobie siłę i gotowość do wzięcia się za czuby z wszelkim losem, ufał, że będzie bujne. Targować się o ową bujność nie miał zamiaru i, gdy pani Broniczowa zdradzała podobne chęci, musiał się powstrzymać, by jej nie powiedzieć, że wydaje mu się to płaskiem.

Świrski, bawiąc w Przytułowie, wypowiedział raz dziwne zdanie, że miłość nie jest całkowicie ślepą, ale cierpi na daltonizm. Zawiłowski sądził, że malarz, mówiąc to, miał na myśli Osnowskiego, nie przypuszczał zaś, że i sam jest doskonałym okazem człowieka, podległego temu cierpieniu. Oślepl jednak tylko w stosunku do panny Linety — poza nią widział wszystko i dostrzegał wszystko z większą jeszcze niż zazwyczaj bystrością. I niektóre spostrzeżenia przejmowały go zdziwieniem. Nie licząc obserwacji nad panią Anetą, jej Józiem i Kopowskim, zauważył na przykład, że jego własny stosunek do pani Broniczowej poczyna się zmieniać — i że od czasu, jak stał się jej blizkim, jak oswajała się i spoufalała z nim, jako z przyszłym krewnym i przyszłym mężem Niteczki, poczynała mniej cenić jego osobę, jego dzieła, jego talent. Było to może dla zwykłego oka niewidoczne, ale dla Zawiłowskiego wyraźne — nie umiał zaś odpowiedzieć sobie, dlaczego tak jest. Przyszłość dopiero miała go nauczyć, że pospolite natury, zetknąwszy się z ludźmi lub rzeczami wyższymi, przez samo spoufalenie się, tracą dla nich szacunek, jakby okazując mimowoli, że to, co stało się im blizkiem, musiało tem samem zarazić się płaskością i lichotą i tem samem nie mogło pozostać wysokiem. Tymczasem pani Broniczowa rozczarowywała go coraz bardziej. Niecierpliwił go ów „wygodny” Teodor, mający w danym wypadku osłonić swą zagrobową powagą wszelki postęp. Zdumiewała go jakaś ptasia ruchliwość tego umysłu, który, chwytając wszystko w lot z dziedziny dobra i piękności, zmieniał zarazem wszystko w nieobowiązujące i puste słowa.

Dziwiła go nakoniec jej ogromna nieżyczliwość dla ludzi. Pani Broniczowa, niemal pokorna wobec starego Zawiłowskiego, poufnie mówiła o nim z niechęcią; panny Heleny wprost nie lubiła; o pani Krasławskiej i pani Maszkowej odzywała się z wiecznym przekąsem, o Bigielach z lekceważeniem, szczególnie zaś solą w oku była jej pani Połaniecka. Pochwał, oddawanych Maryni przez Świrskiego, Zawiłowskiego i Osnowskiego słucha-

ła z taką niecierpliwością, jakby były one zarazem ujmą dla panny Castelli. Zawilowski przekonał się, że naprawdę pani Broniczowa nie lubi nikogo na świecie, prócz „Niteczki”.

Ale to właśnie wynagradzało w jego pojęciu wszystkie jej ujemne właściwości. Nie pojął dotąd, że takie uczucia zawistne i wyłączne, które, zamiast rozszerzać serce dla ludzi, czynią je ciasnym i oschłym, są tylko dwugłowym egoizmem, i że taki egoizm może być równie grubym i nieużyтым, jak jednogłowy. Sam, kochając z całej duszy Linetę i czując się, od czasu, jak ją pokochał, lepszym i pobłażliwszym, sądził, że istota, która kocha prawdziwie, nie może być w gruncie rzeczy złą — i w imię wspólnej miłości, przebaczał pani Broniczowej wszelkie jej braki.

Natomiast, w stosunku do panny Linety, bystry ten obserwator nie umiał niczego dostrzedz. Potężniejsze dusze męskie czynią dlatego tyle nieszczęsnych omyłek w miłości, że przybierają kochane kobiety we wszystkie swoje promienie, nie zdając sobie następnie sprawy, że ten blask, od którego olśniewają, jest ich własny. Tak było i z Zawilowskim. Panna Lineta oswajała się codziennie więcej i z nim, i ze swoją rolą narzeczonej. Ta myśl, że on ją wyróżnił, przeniósł nad inne, wybrał i pokochał, będąca niegdyś nieustannym żywem źródłem zadowolenia miłości własnej i dumy, poczyniała tracić dla niej urok nowości i powszednieć. Wszystko, co było z niej można wydobyć na chwałę własną, już z pomocą pani Broniczowej wydobyła. Podziw ludzki został również, jak się wyraził Świrski — „zeskamotowany”, a posąg był teraz tak blisko jej oczu, że, zamiast ogarniać jego całość, jęła wykrywać skazy na marmurze. Chwilami jeszcze, pod wpływem cudzych zdań, lub cudzych podziwów, odzyskiwała pamięć i świadomość jego miary, ale wówczas ogarniało ją jakby zdziwienie, że ten, pełen prostoty, rozkochany, patrzący w jej oczy i powolny na każde jej skinienie człowiek, jest owym Zawilowskim, nad którym nawet Świrski kręci głową, a którego taki Osnowski uważa za jakąś cenną własność publiczną. Ona przecie mogła go posłać w każdej chwili naprzykład po świeże truskawki, albo po włóczkę. I poczucie to sprawiało jej pewną przyjemność, a tem samem czyniło go jeszcze potrzebnym. Podziwiała w nim własną moc i czasem spowiadała mu się z tego rodzaju wrażeń bardzo szczerze.

Raz, gdy zaszli na wilgotne łąki, Zawilowski wrócił się dla niej po kalosze. Następnie, klękając przy olsze, nakładał je jej na nogi, które przytem całował. Wówczas ona, spoglądając na tę schyloną do swych stóp głowę, rzekła:

— Pana mają za wielkiego człowieka, a pan mi kalosze nakłada!

Zawilowski zaś podniósł na nią oczy i, rozbawiony zestawieniem, odpowiedział wesoło, nie wstając z klęczek:

— Bo ogromnie kocham!

— To dobrze, ale ciekawam, coby też ludzie na to powiedzieli?

I ta ostatnia kwestya zdawała się ją najbardziej zajmować. Zawilowski jednak poczył z nią w tej chwili kłótnię za to, że powiedziała mu: pan — i nie zauważył, że w tem jej „To dobrze!” było jakby pewne roztargnienie, z jakim się pomija rzeczy mniejszej wagi, lub zbyt znane. Z podobnem też półbaczeniem słuchała tego, co mówił dalej, że nie będąc zarozumiałcem, uważa się za zwykłego człowieka, ale szanuje swój zawód i że za największe szczęście poczytuje właśnie takie życie, w którym można służyć wysoko, a kochać po prostu. W poczuciu tego szczęścia otoczył jej stan ramieniem, tak, aby to swoje proste kochanie mieć jak najbliżej piersi. Ale gdy przytem wystająca jego broda wysunęła się jeszcze bardziej naprzód, co zdarzało się zawsze, ilekroć mówił z uniesieniem, Castelka poczęła go prosić, by się od tego odzwyczaił, bo mu to nadaje surowy wyraz, a ona lubi koło siebie wesołe twarze. Za jedną drogą przypomniawszy mu także, że wczoraj, wożąc ją po stawie i zmęczony się wiosłowaniem, oddychał przy niej bardzo głośno. Nie chciała mu tylko od razu powiedzieć, jak jej to „dawało na nerwy”. Jej byle co „daje na nerwy” — ale nic tak, jak gdy kto przy niej zmęczy się i głośno oddycha.

To mówiąc, zdjęła kapelusz i poczęła wachlować twarz. Powiew podnosił jej jasne włosy i w zielonawym cieniu olch, obrzucona tu i owdzie słońcem, wdzierającym się przez liście, wyglądała jak zjawisko. Zawilowski poił nią oczy, a w słowach jej podziwiał przedewszystkiem wdzięk rozpieszzonego dziecka. Było może w nich coś więcej, ale on niczego więcej nie szukał i nie znalazł, właśnie dlatego, że miłość jego była, przy całej swej mocy, prosta.

Prostota jednak nie wyłącza lotu. Panna Niteczka przyczepiła się istotnie jak pajęczyna do skrzydeł ptaka, który też mimowoli unosił ją na wysokości, gdzie każdy ruch serca trzeba odczuć, wszystko odgadnąć, wszystko zrozumieć, i gdzie myśl nawet musi się natężyć, aby dać wyraz uczuciu. A z panny Niteczki był „taki leniuszek!” Sama to niegdyś mówiła swemu Latawcowi, który teraz ani domyślał się, że owe wyżyny sprawiają jej tylko zawrót głowy i zmęczenie.

Zdarzało się teraz coraz częściej, iż, budząc się rano i myśląc o tem, że trzeba będzie spotkać się z narzeczonym i nastroić się od rana na jego wysoką nutę, doznawała takiego uczucia, jak dziecko, na które czeka trudna lekcya. Ona już tę lekcję wydała; już wypowiedziała mniej więcej wszystko, czego ją nauczono, i sądziła, że narzeczeństwo powinno jej przynieść wakacje. Miała nakoniec dosyć tych wszystkich swoich i cudzych niepospolitości, tych oryginalnych określeń, tych trafnych odezwań się, któremi wojowała dotąd na świecie. Czula zresztą, że zapas wyczerpywał się i że w studni już dno widać. Pozostawały jej tylko jeszcze jakieś odczuwania artystyczne i ten nieznośny „pan Ignas” mógł przecie poprzestać na tem, że od czasu do czasu pokazywała mu to jakąś rozległą łąkę, to kawałek lasu, to skrawek pola z płowem, jakby rozpierzchnęłam w świetle, zbożem, i mówiła: „Ładne! ładne!” To było łatwiejsze! On wprawdzie nie umiał znaleźć dość słów i podziwu, ile głębokiej artystycznej duszy kryje się w takim jednym wyrazie: „ładne” — ale jeśli tak, to czegoż chciał więcej — i dlaczego w rozmowie, w uczuciu, w sposobie kochania, zmuszał ją do jakichś niepotrzebnych wysileń? Jeśli zaś nie zmuszał, jeśli to przychodziło bez jego wiedzy, to tem gorzej dla niego, że, będąc z natury takim stromym, jeszcze w dodatku o tem nie wiedział. — Niech sobie w takim razie gada ze Stefcią Ratkowską!

Z „Koposiem” natomiast nie potrzeba było żadnych wysileń, to też towarzystwo jego było prawdziwym dla panny Castelli wypoczynkiem. Sam jego widok rozweselał ją, wywoływał uśmiech na jej twarzy i usposabiał do żartów. Taki Połaniecki był wprawdzie raz w życiu zazdrosny o Kopowskiego, ale Zawilowskiemu, jako człowiekowi, który żył daleko wyłączenie życiem umysłowem, a zatem i mierzył wszystko miarą czysto umysłową, ani przez myśl nie przeszło, by dziewczyna, tak „uduchowiona” i tak „mądra,” jak Niteczka, mogła choć przez chwilę patrzeć inaczej na Kopowskiego, jak na przedmiot do wesołych żartów, na jakie sobie ustawicznie pozwalała. Czyż sama pani Broniczowa, pomimo całej powierzchowności swego umysłu, nie oburzała się na samo przypuszczenie oddania Niteczki Kopowskiemu? To, co Zawilowski widział między nim a panią Anetą, nie było dla niego żadną nauką, uważał bowiem swoją Niteczkę za przeciwległy biegun Anety. Niteczka przecie wybrała jego, on zaś był znów antytezą Koposia. To jedno usuwało wszelką wątpliwość. Niteczka bawiła się Koposiem, malowała go, prowadziła z nim takie rozmowy, że Zawilowski wydziwić się nie mógł, jak przy nich mogła nie usnąć, żartowała z niego, wodziła za nim rozweselonym wzrokiem — ale tylko dlatego, że była jeszcze dzieckiem, które potrzebowało mieć swe chwile zabawy, a nawet i pustoty. Natomiast nikt lepiej od niej nie widział całej jego bezdennej głupoty — i nikt tak często o niej nie mówił. Ileż razy wyśmiewała się z niej przed Zawilowskim!...

Nie wszystkie jednak oczy patrzyły na tę zabawkę jednakowo — a przedewszystkiem patrzyła inaczej pani Aneta, która od czasu do czasu mówiła wprost mężowi, że Castella kokietuje Kopowskiego. „Józiowi” wydawało się również niekiedy, że tak jest, i miał ochotę wyprawić grzecznie Koposia z Przytułowa, na to jednak pani Aneta nie chciała zezwolić. — „Skoro stara się o Stefcię, to nie mamy prawa zawiązywać tak biednej dziewczynie losu.” — Osnowskiemu żal było tej słodkiej Stefci dla Koposia, ale, ponieważ rzeczywiście nie miała żadnego majątku i ponieważ Anetka życzyła sobie, żeby to przyszło do skutku, więc nie śmiał się przeciwzić.

Ale za to nie posiadał się ze zdziwienia i oburzenia na Castellkę: „Mając takiego Ignasia, kokietować takiego durnia — na to trzeba chyba być zupełnie bezduszną lalką.” Z początku nie chciało mu się to w głowie pomieścić. W przypuszczeniu, że jednak Anetka chyba się musiała omylić, począł pilniej przypatrywać się młodej dziewczynie — i ponieważ, poza osobistym swym stosunkiem do żony, nie był wcale człowiekiem głupim, dostrzegł mnóstwo rozmaitych rzeczy, które go, ze względu na przyjaźń, jaką miał dla Zawilowskiego, mocno zaniepokoiły. Nie przypuszczał wprawdzie, by zdarzył się jakikolwiek wypadek, mogący zmienić położenie, ale zadawał sobie pytanie, jaka będzie

przyszłość Ignasia z kobietą, tak mało umiejącą go ocenić i tak mało duchowo rozwiniętą, że nietylko znajdowała upodobanie w towarzystwie takiego bezgłowego pięknisia, ale pozwalała sobie pociągać go i bałamucić. „Anetka sądzi wszystkich po sobie (myślał Osnowski) — i rzeczywiście omyliła się, przypisując Castelce jakieś głębsze poczucia: to marynetka, na którą, jeśli nie wpłynęły podobne dusze, jak Anetka i Ignas, to już jej nic nie rozbudzi.” W ten sposób ów nieszczęsny, chory na daltonizm miłości człowiek, odkrywając z jednej strony prawdę, z drugiej popadał w błąd coraz grubszy. Na „Castelkę” za to patrzył z każdym dniem trafniej i nie potrzebował zbyt wielu wysiłków, by dojść do pewności, że w stosunku tej „idealnej” Niteczki do Koposia są wprawdzie żarty, jest dużo przekory, drażnienia się, nawet drwin, ale jest i taka nieprzeparta słabość, i taki pociąg, jaki kobiety z duszami modniarek czują do ładnych i ładnie ubranych chłopców. Fenomenalna głupota Kopowskiego zdawała się jeszcze wzrastać na świeżym powietrzu, ale za to słońce pozłociło jego delikatną cerę, przez co oczy stały się wyrazistsze, zęby białe, zarost na twarzy pojaśniał i lśnił się jak jedwab. Rzeczywiście, że blask bił nietylko od jego młodości i urody, ale od jego bielizny, krawatów, od jego wyszukanych a zarazem prostych kostiumów. Rano, przybrany do lawn-tenisa w angielskie flanele, miał w sobie jakąś świeżość poranku i rozmarzenie snu. Wymukłe a zarazem wytoczone jego kształty rysowały się jakby pieszczotliwie przez miękkie tkaniny — i gdzie ten kościsty Zawilowski mógł się porównać w oczach tych pań, razem ze swoją zuchwałą wagnerowską szczęką i długimi nogami, z tym „mignonem,” przypominającym jednocześnie bogi greckie i żurnale mód, jednocześnie włoskie glyptoteki i tabldoty Biarritz lub Ostendy. Trzeba było być takim cudakiem, jak ta cicha woda, Stefcia Ratkowska, żeby utrzymywać (chyba na złość), że to jest nieznośna lala. Castelka śmiała się wprawdzie, gdy Świrski wyraził się kiedyś, iż Kopowski, zwłaszcza zapytany o coś zniecka, miewa takie spojrzenia, w których widać szesnaście „quartiers” głupoty po mieczu i po kądzieli. Rzeczywiście on miewał trochę nieprzytomne spojrzenia i zwykle nie od razu mógł pojąć, czego od niego chcą. Ale za to taki był wesoły, taki wydawał się łagodny i, mimo niezbyt lotnej myśli, tak dobrze wychowany, a wreszcie taki śliczny i wyświeżony, że wszystko można mu było przebaczyć.

Zawilowski mylił się, sądząc, że tylko pani Broniczowa przepada za rzeczami powierzchownego zbytku i że jego narzeczona nie wie o tych wszystkich żądaniach, z którymi ciocia występuje. Castelka wiedziała o nich. Straciwszy nadzieję, by „pan Ignas” mógł kiedykolwiek dorównać Kopowskiemu, chciała, żeby przynajmniej się do niego zbliżył. Do rzeczy powierzchownego zbytku miała wrodzony pociąg — i „ciocia,” prosząc Zawilowskiego, by sobie kupił to lub owo, spełniała tylko jej żądania. Dla niej, rzeczywiście, dość było spojrzeć, żeby odróżnić jedwab od fil d'Ecosse, i cała jej dusza instynktownie rwała się do jedwabiu. Kopowski był zaś dla niej tem wśród ludzi, czem jedwab wśród tkanin. Gdyby nie pani Aneta, która powstrzymywała młodego człowieka, i gdyby nie rozmaite górne uczucia, które wzmówiła w Castelkę, Castelka byłaby niechybnie za niego wyszła. Osnowski, nie wiedząc o tem wszystkim, dziwił się nawet, że się tak nie stało, doszedł bowiem w końcu swych spostrzeżeń do wniosku, że i dla Linety, i dla Zawilowskiego, byłoby tak może lepiej.

I któregoś dnia zwierzył się z tych myśli żonie, lecz ona rozgniewała się i odrzekła z wielką żywością:

— Nie stało się, bo się stać nie mogło. Nikt nie jest obowiązany stosować się do Józia pomysłów. Ja pierwsza spostrzegłam, że Castelka kokietuje Kopowskiego. Któż mógł wiedzieć, że to taka natura. Być narzeczoną i już kokietować innych — to przechodzi ludzkie pojęcie. Ale ona to robi przez próżność, na złość Stefci Ratkowskiej, a może dlatego, by wzbudzić zazdrość w Zawilowskim. Kto ją tam wie! Łatwo teraz Józiovi mówić i zwać całą winę na mnie, że to ja zrobiłam to małżeństwo; niech sobie Józio lepiej przypomni, ile razy sam zachwycał się Castelką, ile razy mówił, że to niezwykła natura i że taka właśnie uszczęśliwiłaby pana Ignasia! Ładnie niezwykła natura!! Teraz kokietuje Kopowskiego, a gdyby była jego narzeczoną, toby kokietowała Zawilowskiego. Jak ktoś jest próżny, to pozostanie zawsze próżny. Józio mówi, że ona byłaby odpowiedniejsza dla Kopowskiego. Trzeba było mieć pierwaj ten rozum, nie dopiero wówczas, gdy ona jest

narzeczoną Zawilowskiego. Ale Józio umyślnie tak mówi, dlatego tylkożeby mi pokazać, jakie głupstwo zrobiłam, pomagając panu Ignasiowi.

I cała sprawa została obrócona w ten sposób, iż Zawilowski i Castelka zeszli na drugi plan, na pierwszy zaś wystąpiło okrucieństwo i złośliwość Józia. Ale Osnowski począł się usprawiedliwiać i, rozłożywszy ręce, mówił:

— Anetko! Jak ty możesz nawet przypuścić, że ja ci chciałem zrobić przykrość? Przecie ja wiem, jakież ty pocziwie miała chęci; tylko widzisz, mnie strach bierze o przyszłość Ignasia, bo go kocham. Chciałbym z duszy serca, żeby mu Bóg dał taką istotę, jak ty jesteś. Moja ptaszynko najdroższa, ty wiesz, że jabym wolał język stracić, niż powiedzieć ci coś przykrego. Przyszedłem, ot tak, pogadać z tobą i naradzić się, bo wiem, że w tej kochanej główce zawsze znajdzie się na wszystko sposób.

To rzekłszy, począł całować jej ręce, a następnie ramiona i twarz, z ogromną miłością i coraz większym uniesieniem, lecz ona odwracała głowę, wykręcając się od pocałunków i mówiąc:

— Ach, jaki Józio spocony!

On zaś rzeczywiście był niemal zawsze spocony, bo po całych dniach grywał w tenisa, jeździł konno, wiosłował, włóczył się po polach i lasach, byle schudnąć do miary jej wymagań.

— Powiedz tylko, że się nie gniewasz! — rzekł, puszczając jej rękę i patrząc z tkliwością w oczy.

— No, nie! — Ale jakąż ja mogę dać radę. Oto niech sobie jada jak najprędzej do tego Scheveningen, a Kopowski niech tu zostanie ze Stefcją.

— Widzisz, że znalazłaś sposób. Niech jada z początkiem sierpnia. Ale czy ty zauważyłaś, że Stefcja jakoś niebardzo... jakoś jej Koposio nie przypadł dotąd do serca?

— Stefcja skryta, jak mało kto. Józio nie zna kobiet.

— Pewno masz i w tem słuszność. A nawet widzę, że ona nie lubi Castelki. Może też gniewa się w duszy i na Kopowskiego.

— Albo co? — spytała żywo pani Aneta. — Czy Józio widział coś takiego z jego strony względem Castelki?

— Koposio, jak to Koposio. Śmieje się do niej, bo ma ładne zęby, ale gdybym coś zobaczył, jużby go nie było w Przytułowie. Może też i Castelka kokietuje go dlatego tylko, że taka jej natura... sans le savoir... Już to samo jest złe, ale żeby aż było coś do podpatrywania — tego nie przypuszczam.

— Trzeba jednak wybać Kopowskiego, co do Stefcji. Wie Józio co? Oto dziś zaraz pojedę z nim konno ku Leśniczówce i pomówię trochę seryo... Wy sobie jedźcie w inną stronę.

— Dobrze dziecinko. Patrz, że jednak główka zaczyna radzić!

I począł zbierać się do wyjścia, lecz w progu stanął, pomyślał chwilę i rzekł:

— Jakie to jednak dziwne i niepojęte: ten Ignas, zdaje się, wszystko w lot chwytą — a tymczasem uwielbia tę Castelkę, jak jakie bóstwo i nic a nic nie widzi.

Po południu zaś, gdy Kopowski z panią Anetą odjeżdżali cienistym gościńcem do leśnego domku, Zawilowski, odprowadzając ją oczyma i patrząc na jej postać, rysującą się na koniu w obcisłej amazonce nakształt wysmukłego dzbanka, myślał:

— Jaka ona jednak zgrabna i ponętna! Jest w tem jakaś ironia życia, że ten pocziwy i serdeczny Osnowski niczego się nie domyśla!

I była rzeczywiście w tem ironia życia — ale nietylko w tem.

XI

Od czasu wspólnej wycieczki pani Anety i Kopowskiego do Leśniczówki, coś się zmieniło w towarzyskim nastroju mieszkańców Przytułowa. Zawilowski patrzył wprawdzie po dawnemu w oczy narzeczonej i zachwycał się nią bez miary, natomiast w obejściu się jej z nim i z innymi, był jakiś leciuchny odcień złego humoru. Kopowski czuł się jakby skrępowany; na Castelkę spoglądał tylko ukradkiem, zbliżał się do niej skwapliwie, ale tylko w nieobecności pani Anety, a natomiast przysiadł się częściej do panny Ratkowskiej, z którą rozmawiał jakby w roztargnieniu. Pani Aneta była jeszcze rezolutniejsza niż zwykle i ku wielkiemu zadowoleniu „Józia” rozciągnęła teraz tak baczną opiekę

nad wszelkimi sprawami w Przytułowie, że dwukrotnie jeszcze brała Kopowskiego na osobną rozmowę. Wzrok Castelki nie gonił za Kopusiem z taką pół wesołą, pół ironiczną swobodą, jak dawniej — natomiast chmurne oczy panny Ratkowskiej zwracały się na Zawilowskiego z pewnym współczuciem, słowem: coś się zmieniło zarówno w spojrzeniach, jak w stosunkach. Były to jednak zmiany, dostrzegalne chyba dla oka bardzo bystrego i przywykłego patrzeć w tego rodzaju życie, w którym, w braku większych celów i tegiej codziennej pracy, najmniejsze odcienia uczuć, najbardziej subtelne ruchy myśli, a nawet usposobień, nietylko przybierają pozory doniosłych wypadków, ale częstokroć kryją w sobie rzeczywiste ich zarody. Zewnętrznie, życie to pozostało tem, co było, to jest jakby codziennem świętowaniem, majówką, wiejskim wywczasem, splecionym z miłości, estetycznych wrażeń, mniej więcej subtelnych rozmów i wreszcie zabaw. Ułożenie całego szeregu tych zabaw, tak, aby dzień został zapelniony, było jedynem zadaniem obciążającym umysły, a i to, największą jego część brał na siebie, jako gospodarz, pan Osnowski.

Pewnego jednak poranku, jednostajną pogodę tego życia przerwał grom, pod postacią dwóch listów z czarnymi obwódkami pod adresem Osnowskiego i Zawilowskiego. W chwili, gdy je przyniesiono, całe towarzystwo było przy poobiedniej kawie — i oczy pań zwróciły się z ciekawością i niepokojem na czytających, którzy, wydobywszy karty z otwartych kopert, zawołali niemal jednocześnie:

— Pan Zawilowski umarł!

Wiadomość uczyniła wielkie wrażenie. Pani Broniczowa, jako osoba dawnej szkoły, pamiętająca czasy, w których przybycie sztafety na wieś obowiązywało tkliwsze istoty do zemdlenia, zanim nawet pokazało się, co sztafeta przywiozła — wpadła w rodzaj odrętwienia, połączonego z utratą mowy; panna Ratkowska, która czas jakiś spędziła w domu Zawilowskich i miała dla nich wielką przyjaźń, pobladła naprawdę; panna Castelli, chwyciwszy rękę pani Broniczowej, starała się przyprowadzić ją do przytomności, szepcząc półgłosem: „Voyons, chère, tu n'es pas raisonnable!” Pani Aneta zaś, jakby chcąc sprawdzić własnymi oczyma treść zawiadomienia, wyjęła je z rąk męża i poczęła czytać:

— Ś. p. Eustachy Zawilowski rozstał się z tym światem w dniu 25 lipca etc. Pograżona w żalu córka zaprasza krewnych i przyjaciół na pogrzeb w kościele parafialnym w Jaśmieniu, w dniu 28 b. m., etc.

Poczem nastąpiła chwila milczenia, którą przerwał pierwszy Zawilowski:

— Mało go znałem — rzekł — i niegdyś byłem do niego uprzedzony, ale teraz szczerze mi go żał, bom się przekonał, że to był z gruntu zacny człowiek.

— I on cię też szczerze pokochał — odpowiedział Osnowski. — Miałem tego dowody.

Pani Broniczowa, która przez ten czas przyszła do siebie, oświadczyła, iż dowody teraz dopiero mogą pokazać się w całej pełni i że serce pana Eustachego prawdopodobnie okaże się jeszcze większe, niż przypuszczają. „Pan Eustachy zawsze bardzo kochał Niteczkę, a taki człowiek nie mógł być zły”. Jej, to jest pani Broniczowej, chwilami przypominał Teodora, i dlatego tak się do niego przywiązała. Był wprawdzie czasem o tyle szorstki, o ile Teodor był zawsze łagodny, ale obaj mieli jednaką prawość duszy, którą Pan Bóg najlepiej potrafi osądzić.

Poczem zwróciła się do Niteczki, przypominając jej, że najmniejsze wzruszenie nabawia ją ściskania w dołku, i prosząc, żeby się tym razem starała nie poddać wrodzonej tkliwości. Zawilowski też w poczuciu, że i jego, i Niteczkę, po raz pierwszy dotknął jakiś wspólny smutek, począł całować jej ręce. Nastrój ów przerwał dopiero Kopowski, który rzekł, jakby w zamyśleniu nad znikomością rzeczy ludzkich:

— Ciekawym, co panna Helena robi z fajkami po panu Zawilowskim?

Rzeczywiście stary szlachcic miał słynny na całe miasto zbiór fajek i w swoim czasie, przez niechęć do papierosów i cygar, urządzał nawet u siebie zebrania dla miłośników cybucha. Troska Kopowskiego o te fajki nie została jednak zaspokojona, raz dlatego, że Zawilowskiemu przynieśli w tej chwili list od Polanieckiego, zawierający również wiadomość o śmierci staruszka i wezwanie na pogrzeb, a powtóre z tej przyczyny, że Osnowski począł naradzać się z żoną nad wyjazdem do Jaśmienia.

Stanęło na tem, że wszyscy wyruszą zaraz do miasta, gdzie panie zdążą jeszcze pokupować rozmaite żałobne drobiazgi, a nazajutrz, w dzień pogrzebu, będą w Jaśmieniu. Tak się też i stało. Zawilowski, zaraz po przyjeździe wstąpił do siebie, by odwieźć rzeczy i przy-

gotować na jutro czarne ubranie, a następnie poszedł do Połanieckich, w przypuszczeniu, że może i oni przyjechali od Bigielów. Służący powiedział mu, że wczoraj był tylko pan, ale zaraz odjechał do Jaśmienia, koło którego państwo od dwóch tygodni wynajęli, czy nawet kupili, dom.

Usłyszawszy to, wrócił do willi Osnowskich, by wieczór spędzić z narzeczoną. W przedpokoju zdziwiły go dochodzące z głębi domu tony Strausowskiego walca, więc spotkawszy w następnym saloniku pannę Ratkowską, począł ją wypytывать, kto gra.

— Niteczka gra z panem Kopowskim — odrzekła panna Ratkowska.

— To pan Kopowski już tu jest?

— Przyszedł przed kwadransem.

— A państwo Osnowscy?

— Jeszcze nie wrócili z miasta. Anetka robi sprawunki.

Zawiłowski po raz pierwszy w życiu uczuł pewne niezadowolenie z Niteczki. Rozumiał, że stary zmarły szlachcic nie był jej niczem, niemniej jednak chwila do grania walca na cztery ręce z Kopowskim, wydała mu się nieodpowiednią. Miał poczucie, że tkwi w tem jakiś brak smaku. I pani Broniczowa, której nie brakło światowej domyślności, odgadła widocznie to wrażenie z jego twarzy.

— Niteczka była ogromnie i wzruszona i zmęczona — rzekła na wstępie — a jej nic tak nie uspakaja, jak muzyka. Zaniepokoiłam się też bardzo, bo już ją zaczęło ściskać w dołku, więc, gdy nadszedł pan Kopowski, sama zaproponowałam, żeby coś zegrali.

Oni jednak przestali grać — i niemile wrażenie Zawiłowskiego poczęło się zwolna rozpraszać. W tej willi było dla niego mnóstwo świeżych, drogich wspomnień. O zmroku począł chodzić z Niteczką pod rękę po pokojach i zatrzymując się w różnych miejscach, co chwila coś sobie przypominał.

— Pamiętasz? — mówił w pracowni — tu przy malowaniu wzięłaś mnie za skronie, by mi odwrócić głowę, a ja pierwszy raz w życiu pocałowałem cię w rękę. Jakiś powiedziała: „niech pan pomówi z cicią” — straciłem nietylko przytomność ale oddech... Moja ty wybrana, moja najdroższa...

Ona zaś odpowiedziała:

— A jakiś ty był wtenczas błady!

— Trudno nie być bladym, jak komuś serce zamiera ze wzruszenia. Przecie ja już cię kochałem bez pamięci.

Panna Castelli podniosła oczy w górę i po chwili rzekła:

— Jakie to wszystko dziwne!

— Co, Niteczko?

— Że to się tak jakoś zaczyna i zaczyna, jak jakieś próbowanie, jak jakaś gra... potem się coraz bardziej w to wchodzi — i nagle: klamka zapada.

Zawiłowski począł przyciskać jej ramię do piersi i odrzekł:

— A tak! klamka zapadła! Mam moją jasną dziewczynę i nie puszcę.

Potem, chodząc ciągle pod rękę, przeszli do wielkiego salonu. Zawiłowski wskazał na oszklone drzwi i rzekł:

— Nasz balkon i nasza akacya.

Mroczyło się coraz bardziej. Przedmioty w pokoju pogrążyły się w cień; gdziekolwiek tylko na złożonych ramach obrazów połyskiwały światełka, jakby jakieś oczy, podglądające młodą parę. — Kochasz ty mnie? — spytał nagle Zawiłowski.

— Ty wiesz!

— Powiedz: tak!

— Tak.

Wówczas przycisnął jeszcze silniej jej ramię i począł mówić zmienionym przez wzbie-
rające uczucie głosem:

— Ty po prostu nie masz pojęcia, ile w tobie jest szczęścia. Słowo ci daję: nie masz pojęcia! Ty nie wiesz, jak ja cię kocham. Jabym za ciebie życie oddał. Jabym świat oddał za twój jeden włos! Tyś mój świat, moje życie, moje wszystko! Jabym bez ciebie teraz umarł.

— Siądźmy — szepnęła panna Castelli. — Takam zmęczona.

I siedli, wsparci o siebie ramionami, ukryci w mroku. Nastąpiła chwila milczenia.

— Co tobie? Ty cały drżysz? — szepnęła panna Lineta.

Lecz i sama, czy to rozkołysana wspomnieniami, czy porwana jego uczuciem, lub bliskością, poczęła oddychać śpieszniej, i przymknąwszy oczy, pierwsza podsunęła mu usta.

A tymczasem Kopowski nudził się widocznie w przyległym pokoju z panną Ratkowską i panią Broniczową, albowiem w tejsze chwili rozległy się tony tego walca, którego przedtem grali z Linetą.

Zawiłowskiemu, gdy wrócił do siebie, własne kawalerskie mieszkanie wydało się obrazem pustki i smutku, jakimś bezcelowem koczowiskiem, po którym nie zostaje nawet wspomnienie — i pomyślał, iż ta złota Niteczka już tak obwinęła mu się koło serca, że naprawdę żyćby bez niej nie chciał i nie mógł.

Pogrzeb pana Zawiłowskiego odbył się nazajutrz niezbyt tłumnie. Majątki okoliczne, jako leżące bliżej miasta, należały po większej części do ludzi zamożnych, którzy lato spędzali za granicą, a z tej samej przyczyny niewielu znajomych pana Zawiłowskiego pozostało i w mieście. Nadciągnęły tylko liczne gromady włościan, które, tłocząc się w kościele, spoglądały na trumnę, jakby ze zdziwieniem, że pan tak możny, mający w bród gruntów, pieniędzy i statku, idzie do ziemi, jak pierwszy lepszy chłop, siedzący gdzieś na komornem na wyczołkach. Inni patrzyli z zazdrością na pannę, na którą „tyle dobra” spaść miało. I taka jest natura ludzka, że nietylko chłopci, ale i ludzie wykwiłtni, dalsi lub bliżsi znajomi pana Zawiłowskiego, nie mogli nawet w czasie samej ceremonii pogrzebowej powstrzymać się od rozmyślenia, co też panna Helena uczyni z temi milionami, które jej pozostaną do otarcia łez. Byli i tacy, którzy, odgadując w młodym Zawiłowskim, jako w ostatnim krewnym tegoż nazwiska, spadkobiercę znacznej części majątku, zadawali sobie po cichu pytanie, czy ten szczęśliwy poeta, a jutro może milioner, nie przestanie wierszy pisywać. I myśleli, jakby z pewnem niewytłómaczonym zadowoleniem, że prawdopodobnie przestanie.

Główną jednak uwagę zwracała panna Helena. Podziwiano powszechnie poddanie się, z jakim zniosła tę stratę, tem boleśnieszszą, że po śmierci ojca pozostawała sama jedna na świecie, bez bliższych krewnych, jak młody poeta — i nawet bez przyjaciół, o których przestała się od dawna starać. Szła za trumną z twarzą, po której spływały łzy, ale spokojną, tym zwykłym u niej, trochę martwym i kamiennym spokojem, wróciwszy zaś z pogrzebu, opowiadała o śmierci ojca tak, jakby od niej upłynęło przynajmniej kilka miesięcy. Panie z Przytułowa nie mogły zrozumieć, że mówi przez nią ogromna wiara, i że, na mocy owej wiary, śmierć ta, wobec innej, którą przeżyła i która poszarpała jej duszę, wydała jej się czemś smutnem wprawdzie, ale zarazem błogosławionem, wyciskającym łzy żalu, ale nie rozpaczy. Jakoż stary pan Zawiłowski umarł bardzo pobożnie, choć prawie nagle. Od czasu przybycia do Jaśmienia, miał zwyczaj spowiadać się dwa razy na tydzień, więc nie brakło mu pociechy religijnej. Umarł z różańcem w ręku, na swoim fotelu, zasnąwszy poprzednio lekkim snem, bez żadnych cierpień, gdyż codzienne jego dolegliwości opuściły go na kilka dni przedtem, tak, że już począł nabierać nadziei zupełnego wyzdrowienia. Panna Helena, opowiadając o tem swym zaciszonym i monotonnym głosem, zwróciła się wreszcie do Zawiłowskiego i rzekła:

— O panu też wspominał bardzo często. Może na godzinę jeszcze przed śmiercią mówił, że jeśli pan przyjedzie do Buczynka do państwa Połanieckich, żeby mu zaraz dać znać, bo się chce koniecznie z panem widzieć. Ojciec bardzo, bardzo pana kochał i cenił.

— Droga pani — rzekł Zawiłowski, podnosząc do ust jej rękę — żałuję go też serdecznie razem z panią.

Było coś szlachetnego i szczerego zarówno w jego tonie, jak w słowach, więc oczy panny Heleny zasły łzami, płacząc zaś pani Broniczowej rozległ się tak głośno, że, gdyby nie flakonik z solami, podany przez pannę Castelli, byłby prawdopodobnie przeszedł w atak nerwowy.

Lecz panna Zawiłowska, jakby nie słysząc tych łkań, poczęła dziękować Połanieckiemu za pomoc, jakiej od niego doznała, on bowiem zajął się pogrzebem i tymi kłopotami, jakimi śmierć blizkich obarcza, w dodatku do nieszczęścia, tych, którzy blizkich tracą. On zaś wziął to wszystko na siebie i przez uczynność, i dlatego, że obecnie chwycił każdą sposobność, by się czemś zająć, zagłuszyć i wyjść z męczącego koła rozmyślań.

Marynia nie była na pogrzebie, gdyż mąż nie życzył sobie, by się narażała na tłok i zmęczenie, natomiast dotrzymywała pannie Zawiłowskiej towarzystwa w domu, niosąc

jej pociechę, jaką było można. Obecnie chciała ją zabrać wraz z przytułowskimi paniami do Buczynka, a nawet zatrzymać u siebie kilka dni. Połaniecki popierał jej prośbę, ale panna Helena, mając w domu starą swą nauczycielkę, odmówiła, zapewniając panią Marynię, że w Jaśmieniu nie będzie jej wcale przykro i że, zwłaszcza w pierwszych dniach, nie chciałaby go porzucać.

Zato panie z Przytułowa, które i tak za namową Świrskiego miały zamiar odwiedzić Połanieckich, pojechały chętnie wraz ze znajomymi panami do Buczynka — tem bardziej, że pani Broniczowa czuła ochotę dowiedzieć się od Połanieckiego bliższych szczegółów o ostatnich chwilach zmarłego. Pani Marynia, która z wielką ciekawością przypatrywała się pannie Ratkowskiej, zabrała ją teraz do swego powozu — i stało się to, co się czasem zdarza na świecie: oto obie młode kobiety od razu poczuły ku sobie nieprzepartry pociąg. W smutnych oczach panny Ratkowskiej, w jej wyrazie, w jej twarzy „zacziszonej”, wedle wyrażenia Świrskiego, było coś takiego, że pani Marynia niemal od pierwszego wejrzenia odgadła naturę nieśmiałą, przywykłą do zamykania się w sobie, ale delikatną i tkliwą. Z drugiej strony panna Ratkowska tyle nasłuchiwała się od młodego Zawilowskiego o Maryni (a nasłuchiwała się dlatego, że inne panie w Przytułowie nie rade podawały ucha pochwałom bliźnich), iż widząc w jej oczach zajęcie i sympatyę, do których w swem ubóstwie i samotności nie przywykła, przyłgnęła do niej całym sercem. W ten sposób przyjechały do Buczynka, jako dobre przyjaciółki, i Świrski, który wraz z Połanieckim, Osnowskim i Kopowskim, przybył tuż za nimi, nie potrzebował wielkiej domyślności, by odgadnąć, że sąd Maryni będzie dla panny Stefcy pochlebny.

Chciał jednak go usłyszeć. Marynia poczęła pokazywać gościom swoją nową rezydencję, która miała zostać jej własnością. Połaniecki bowiem już był postanowił kupić Buczynek. Oglądano zwłaszcza ogród, w którym rosły nadzwyczaj stare białodrzewy. Świrski, korzystając z tej przechadzki, podał rękę Maryni i w powrotnej drodze do domu, gdy towarzystwo rozproszyło się nieco po wszystkich alejach, spytał z wielkim impetem:

— Cóż pani? jakie pierwsze wrażenie?

— Jak najlepsze. Ach, jakie to musi być dobre i tkliwe dziecko! Niech pan stara się ją poznać.

— Ja? A to na co? Ja się dziś oświadczam. Czy pani myśli, że tego nie zrobię? Pod słowem, że dziś jeszcze — i to w Buczynku. Ja już nie mam czasu na przypatrywania się i namysły. W tych rzeczach musi być trochę hazardu. Dziś się oświadczam, tak, jak tu przed panią stoję.

Pani Połaniecka poczęła się śmiać, sądząc, że żartuje, on zaś odpowiedział:

— Ja się także śmieję, bo w tem niema nic smutnego. Nic nie szkodzi, że to w dzień pogrzebu: nie jestem przesądny. A raczej owszem! jestem — i wierzę, że z pani ręki nie może być źle.

— Ależ to nie z mojej ręki. Ja ją przecie dziś dopiero poznałam.

— Wszystko mi jedno. Całe życie bałam się kobiet, a tej jakoś nic a nic! To po prostu nie może być niewdzięczne serce.

— Nie. I ja myślę, że nie.

— A widzi pani. Na mnie ostatni czas. Przyjmie mnie, to będę ją całe życie, ot, tu nosił! — (tu wsunął rękę w zanadze surduta) — a nie, to...

— To co?

— To się zamknę i będę jaki tydzień od rana do wieczora malował. Mówiłem, że pojedę na kaczki — ale nie! To poważniejsza rzecz, niż pani myśli. Sądzę jednak, że powinna mnie przyjąć. Wiem, że ona tego damskiego papilota, tego Koposia, nie kocha; jest na świecie sama i sierota, a mnie zrobi dobrodziejstwo, za które potrafię być jej wdzięczny przez całe życie, bo ze mnie w gruncie rzeczy dobry człowiek — a boję się, żebym nie zgorzkniał.

Marynia teraz dopiero spostrzegła się, że Świrski może mówić poważnie — i odrzekła:

— Pan naprawdę dobry człowiek, więc pan nigdy nie zgorzknieje.

On zaś odrzekł z wielkiem ożywieniem:

— Owszem. Mogłoby się na tem skończyć. Z panią będę szczerzy. Czy pani myśli, że ja jestem tak szczęśliwy, jak się wydaje. Dalibóg, że nie! Zdobyłem trochę pieniędzy i sławy — prawda. Ale może nie było pomiędzy mężczyznami drugiego, któryby tak wyciągał ręce

do jakiegoś kobiecego ideału, jak ja. I co? Spotkałem panią, spotkałem panią Bigielową, może jeszcze dwie, trzy — zacne, prawe, rozumne, czyste jak lzy... Niech pani pozwoli! Ja nie chcę mówić pani grzeczności, a w tem, co powiem następnie, nie chcę wygłaszać krytyki, tylko odkrywam mój ból: widziałem między naszymi kobietami tyle szychu, tyle płaskich i płytkich natur, taki egoizm, tyle mielizn, tyle niewdzięcznych serc, tyle lalek z kartonu, tyle nieszczerych aspiracji, że od tego widoku mogło zgorzknieć dziesięciu takich jak ja.

Po chwili zaś dodał:

— To dziecko wydaje się inne: ciche, słodkie i bardzo uczciwe. Dajże Boże, żeby taka była — i żeby mnie chciała.

Tymczasem pani Broniczowa, wzięwszy otwarcie Połanieckiego na bok, mówiła z wzniesionymi oczyma:

— O tak! on mi przypominał moje młode lata — i jak pan widzi, pomimo tego, że przez dłuższy czas stosunki między nami były zerwane, dochowałam mu do końca życia przyjazni. Pan musiał słyszeć... Ale nie! nie mógł pan słyszeć, bom nigdy nikomu o tem nie wspominała, że odemnie tylko zależało zostać... matką Helenki. Teraz już niema potrzeby tajemnicy. Dwukrotnie oświadczał się o moją rękę i dwukrotnie mu odmówiłam. Szanowałam i lubiłam go zawsze, ale pan zrozumie, że gdy się jest młodym, szuka się czego innego, szuka się tego, co znalazłam w moim Teodorze... O tak! Raz było to w Ischii, a drugi raz w Warszawie. Cierpiał bardzo — ale cóż ja mogłam poradzić? Czy pan w mojem położeniu postąpiłby inaczej? Niech pan szczerze powie?

Połaniecki, nie mając najmniejszej chęci odpowiadać ani szczerze, ani nieszczerze, jakby postąpił w położeniu pani Broniczowej, rzekł:

— Pani życzyła sobie o coś mnie zapytać?

— Tak! o tak! Chciałam pana zapytać o jego ostatnie chwile. Helenka mówiła, że on umarł nagle, ale pan, mieszkając tak blisko, musiał go odwiedzać, więc może pan pamięta, co on mówił, może wie, jakie były jego ostatnie zamiary i myśli? Osobiście nie mam w tem przecie najmniejszego interesu. Mój Boże! chyba trudno było postępować bezinteresowniej. Pan Niteczki nie zna! Ale pan Zawilowski dał mi słowo, że zapisze panu Ignasiowi swoje poznańskie majątki. Jeśli słowa nie dotrzymał, lub nie zdążył dotrzymać, niech mu to Pan Bóg przebaczy, tak jak ja przebaczam. Majątek! — zapewne! to nic nie stanowi! Któż dał lepszy od Niteczki przykład nieogładania się na majątek? Gdyby było przeciwnie, nie byłaby odrzuciła takich partyi, jak markiz Jao Colimação, lub pan Kanafaropulos. Pan musiał słyszeć także o panu Ufińskim? (To ten, co za swoje sławne sylwetki kupił już sobie pałac w Wenecyi. Ostatnim razem wycinał księcia Walii). Jeszcze tego roku oświadczał mi się o Niteczkę. Och tak, drogi panie! jeśli kto szukał majątku — to chyba nie my. Ale nie chciałabym, żeby Niteczka kiedykolwiek mogła pomyśleć, że zrobiła ofiarę — bo jednak... między nami, ona robi ofiarę, a biorąc po światowemu — wielką ofiarę!

Na to Połaniecki, który był człowiek żywy, i którego rozgniewały ostatnie słowa pani Broniczowej, odrzekł:

— Nie znałem ani markiza Jao Colimação, ani pana Kanafaropulosa, ale na tutejszym gruncie to są nazwiska trochę... dziwne. Przypuszczam też, że panna Castelli wychodzi za Zawilowskiego z miłości, a w takim razie wszelka ofiara jest wykluczona. Ja, pani, jestem człowiek otwarty i mówię to, co myślę. Czy Zawilowski jest człowiekiem praktycznym, to inna rzecz, ale Zawilowski nie wie i nie chce pytać, co przynosi mu panna Castelli; panie zaś doskonale wiedzą, co on przynosi, nawet pod względem światowym.

— Ach, to pan, widzę, nie słyszał, że Castellowie pochodzą od Marino Falieri...

— Właśnie pani, zem nie słyszał, ani ja, ani nikt inny. Przypuśćmy, że dla mnie i dla pani takie względy nie mają znaczenia, skoro jednak pani pierwsza wspomniała, że, biorąc po światowemu, panna Lineta robi wielką ofiarę — ośmielę się temu zaprzeczyć i powiedzieć, że, nie mówiąc już o talencie Zawilowskiego i jego stanowisku — partye są równe.

Z jego tonu i twarzy widać było, że jeśli pani Broniczowa nie poprzestanie na tem, co powiedział, to gotów mówić jeszcze otwarciej; ale pani Broniczowa, mając widocznie niejedną strzałę w swoim kołczanie, chwyciła rękę Połanieckiego i wstrząsając nią silnie, zawołała:

— Ach, jaki pan poczciwy, że pan tak gorąco ujmuje się za Ignasiem, i jak ja pana za to Kocham! Ale przeciw mnie nie trzeba go bronić, bo i ja jego pokochałam, jak własnego syna. Kogóż ja mam na świecie, jeśli nie tych dwoje, i jeśli wypytuję, czy pan czego nie wie o jakim rozporządzeniu pana Zawilowskiego, to jedynie przez miłość dla Ignasia. Wiem, że starzy ludzie lubią odkładać i odkładać, tak jakby przez to i śmierć dała się odłożyć. Ach, panie, śmierć nie da się odłożyć!... nie! nie! Ale Helence nic po tych wszystkich milionach, a Ignas... mógłby dopiero prawdziwie rozwinąć skrzydła... Mnie i Niteczkę chodzi przedewszystkiem o jego talent. Ale gdyby przyszło co do czego...

— Cóż ja pani mogę powiedzieć — odrzekł Połaniecki. — Że pan Zawilowski myślał o Ignasiu, to dla mnie rzecz niewątpliwa i powiem pani dlaczego. Z jakie dziesięć dni temu kazał przynieść jakieś stare bronie, żeby mi je pokazać, przyczem zwrócił się do córki i słyszałem, jak do niej mówił tak: „Tęgo nie warto w testamencie wyliczać, ale po mojej śmierci oddaj to Ignasiowi, bo tobie nic po tem”. Z tego wnoszę, że albo już był zrobił jakiś zapis dla Ignasia, albo o nim myślał. Więcej nic nie wiem — bom go o nic nie pytał. Jeśli jakiś nowy testament jest, to za parę dni będzie wiadomo, a panna Helena z pewnością go nie ukryje...

— Czy pan zna dobrze tę pocziwą Helenkę? Ale tak! tak! Pan jej nie zna tak, jak ja — a ja za nią mogę ręczyć. Niech pan jej nigdy przy mnie nie podejrzewa! Helena miałaby ukrywać testament? — nigdy, mój panie!

— Zechciej pani łaskawie nie przypisywać mi myśli, których nie miałem i przed którymi się zastrzegam. Testamentu w żadnym razie nie można ukryć, bo się go robi przy świadkach.

— A widzi pan, że tego nawet nie można ukryć, bo się to robi przy świadkach. Byłam pewna, że tego nie można ukryć. Zresztą pan Zawilowski tak kochał Niteczkę, że choćby przez wzgląd na nią, nie mógł zapomnieć o Ignasiu. On ją na ręku nosił, jeszcze jak była taka, ot...

Tu pani Broniczowa umieściła jedną dłoń powyżej drugiej, by w ten sposób dać Połanieckiemu pojęcie, jaką mogła być wówczas Niteczka, po chwili jednak rzekła:

— A może nawet i nie była taka!

Poczem wrócili do reszty towarzystwa, które skończywszy oglądać ogród, zabierało się do śniadania. Połaniecki, patrząc na wdzięczną twarz panny Castelli, pomyślał, że wówczas, gdy stary pan Zawilowski nosił ją na ręku, mogła być istotnie ślicznem i miłym dzieckiem. Nagle przypomniała mu się Litka, którą on także na ręku nosił i zapytał:

— Więc to pani tak dawna znajoma nieboszczyka?

— O tak! — odpowiedziała panna Niteczka. — Będzie temu ze cztery... lata... Ciociu, jak to dawno poznałyśmy pana Zawilowskiego?

— O czym ta zakochana główka myśli! — zawołała pani Broniczowa. — Ach, mój dobry panie! Co to za szczęśliwy wiek i co za szczęśliwa epoka!

Tymczasem Świrski, siedząc przy pannie Ratkowskiej, czuł, że nie tak łatwo będzie mu wywiązać się z obietnicy danej Maryni, jak się zdawało. Przeszkadzali mu świadkowie, a jeszcze bardziej jakaś niespokojność koło serca, w połączeniu z utratą zwykłej przytomności i swobody. „Pomyśleć — mówił sobie — że ja jestem większy tchórz, niż przypuszczałem!” I nie szło mu. Chciał przynajmniej przygotować grunt, a mówił o czym innym, niż sobie życzył. Zauważył teraz, że panna Ratkowska ma ładną szyję, z perłowymi tonami koło uszu, i bardzo ładny dźwięk głosu — lecz zauważył z pewnem zdziwieniem, że to onieśmiela go jeszcze bardziej. Po śniadaniu, całe towarzystwo trzymało się, jakby naprzekór, razem. Panie były pomęczone pogrzebem, a gdy w godzinę później pani Aneta oświadczyła, że trzeba wracać, doznał razem uczucia przykrości i ulgi. „Nie moja wina (pomyślał), ja miałem stanowczy zamiar”.

Lecz gdy panie były już na wsiedanem, uczucie ulgi zmieniło się w nim w żal nad samym sobą. Pomyślał o swej samotności, o tem, że nie ma komu oddać ani sławy, ani dostatku; pomyślał o swoim współczuciu dla panny Ratkowskiej, o ufności, jaką w nim budziła, o szczerej sympatii, którą od pierwszego wejrzenia dla niej powziął — i w ostatniej chwili zdobył się na odwagę.

Podawszy więc panience ramię do powozu, rzekł:

— Prosił mnie pan Józef, żebym znów wpadł kiedy do Przytułowa — i dobrze! Wpadnę, ale z paletą i pędzlami. Ja tak chciałbym mieć pani głowę!...

I uciał, szukając w jaki sposób przejść od tego, co powiedział, do tego, o co mu chodziło, a zarazem czując, że trzeba się ogromnie spieszyć, bo niema czasu. Lecz panna Ratkowska, widocznie nieprzyzwyczajona, by ktoś się nią zajmował, spytała z nieudaniem zdziwieniem:

— Moją?

Na to Świrski rzekł prędko, nieco przyciszonym głosem:

— Niech mi pani pozwoli być echem i powtórzyć ten wyraz.

Panna Ratkowska spojrzała na niego, jakby nie rozumiejąc o co chodzi, ale w tej chwili pani Aneta zawołała ją do powozu, tak, że Świrski miał zaledwie czas ścisnąć jej rękę i rzec:

— Do widzenia.

Powóz ruszył. Rozpięte parasolki wnet przysłoniły twarz panny Ratkowskiej, malarz powiódł wzrokiem za odjeżdżającymi i wreszcie zadał sobie samemu pytanie:

— Czym ja się oświadczył, czy nie?

Był jednak pewny, że panna Ratkowska będzie teraz myśleć przez całą drogę o tem, co jej powiedział. Mówił sobie również, że znalazł się zręcznie i że dobrze skorzystał z jej pytania; pod tym względem był z siebie zadowolony, ale jednocześnie dziwił się, że nie doznaje ani wielkiej radości, ani niepokoju, i że ma jakieś głuche poczucie, jakby w tem wszystkim czegoś brakło.

Zdawało mu się, że, jak na chwilę tak doniosłą, jest za mało wzruszony. I w zamyśleniu zawrócił od bramy ku domowi. Pani Połanieckiej, która widziała z daleka pożegnanie, uszki czerwieńły się z ciekawości, pomimo jednak, że męża nie było w tej chwili w pokoju, nie śmiała pierwsza pytać, lecz za to Świrski w oczach jej wyczytał tak wyraźnie pytanie: „czy się pan oświadczył?” że uśmiechnął się i odrzekł, tak jakby je zadała:

— Tak pani!... prawie. Niezupełnie... Nie było sposobności do obszerniejszej rozmowy, więc nie mogłem mieć odpowiedzi; nie wiem nawet, czy zostałem zrozumiany.

Marynia, nie widząc w nim tego ożywienia, z jakim mówił z nią przedtem, i przypisując to niepokoju, chciała mu dodać otuchy, lecz przeszkodziło jej wejście Połanieckiego. Świrski też począł się zaraz żegnać, ale, pragnąc widocznie zaspokoić dokładnie przed wyjazdem jej ciekawość, rzekł, nie zważając na obecność Połanieckiego:

— W każdym razie jutro będę w Przytułowie, albo napiszę list; mam nadzieję, że odpowiedź będzie pomyślna.

Poczem ucałował z wielką przyjaźnią jej ręce i po chwili znalazł się sam w swojej dorożce, pogrążony w kłębach płowej kurzawy i we własnych myślach.

Jako malarz, tak był przyzwyczajony do chwytania po malarsku rozmaitych nasuwających się oczom szczegółów, że czynił to nawet i teraz, ale mimowoli, bez należytego uświadomienia, jakby tylko powierzchwnię mózgu. W głębi zaś zastanawiał się nad wszystkim, co zaszło.

— Co u dyabła, Świrsiu! — mówił sobie. — Co się z tobą dzieje? Czyś się nie rozpedzał dwadzieścia pięć lat, żeby przeskoczyć ten rów? Czy nie stało się to, do czego piałeś jeszcze dziś rano? Gdzie twój impet? Gdzie twoja radość? Czemu nie krzyczysz: nareszcie! Żenisz się! — rozumiesz, stary dziku? Nareszcie! nareszcie!

Ale było to próżne podniecanie się. Człowiek wewnętrzny pozostał chłodny: rozumiał, że to, co go spotkało, powinno być szczęściem, ale tego nie odczuwał.

Poczęło go ogarniać coraz większe zdziwienie. Postąpił, zdaje się, z wszelką świadomością i wolą. Nie był dzieckiem, ani lekkoduchem, ani histerykiem, który sam nie wie, czego chce. Wyrozumowawszy raz, że tak będzie dobrze — nie zmienił zdania. Panna Ratkowska była przecie zawsze tą samą słodką, „zaciszoną”, bardzo pewną istotą — czemuż myśl, że ona zostanie tem jego upragnionem od dawna „kobieciątkiem”, nie rozgrzewała go silniej? Dlaczego nadzieja, zmieniona już niemal w pewność, nie zmieniała się zarazem w radość, a na dnie duszy zostało mu poczucie jakby jakiegoś zawodu?

— To, co jej powiedziałem — pomyślał — mogło być zręczne, ale było suche. Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli to nie było suche, a przytem i niezupełne. Po prostu nie mam jeszcze pewności i nie odczuwam rzeczy, jakby już spełnionej.

Tu wrażenia malarskie przerwały mu wątek myśli. Owce, rozproszone na przyległej pochyłej łące, przesłonięte oddaleniem i zarazem skąpane w słońcu, wydawały się na zilonem tle, jak jasne plamy, z odcieniem mocno błękitnym, obramowane złotem.

— Te owce są niebieskie; impresyoniści mają trochę racji — mruknął Świrski — ale niech ich dyabli porwą! Ja żenię się!

I wrócił do swoich rozmyślań. Tak!... Skutek nie odpowiedział nadziei i oczekiwaniom. Bywają różne myśli, których człowiek nie chce sobie wypowiedzieć, ale bywają i poczucia, których nie chce zmienić w wyraźne myśli. Tak było ze Świrskim. Nie kochał panny Ratkowskiej — i oto była gotowa, prosta odpowiedź na wszystkie pytania, które sobie zadawał. Ale on ją omijał, póki mógł. Nie chciał przyznać, że bierze tę dziewczynę tylko dlatego, że ma ogromną ochotę się żenić. Pragnął wytłumaczyć sobie, że nie odczuwa rzeczy, jako już spełnionej, co było wykrętem. Nie kochał! Inni przez kobietę dochodzili do miłości, on zaś do swojej ogólnej, wewnętrznej potrzeby kochania chciał dostosować kobietę, to jest, poszedł drogą wprost od zwykłej odmienną. Inni, mając bóstwo, budowali dla niego kościół, on, mając gotowy kościół, wprowadzał sobie do niego bóstwo, nie dlatego, że je poprzednio z całej mocy uwielbił, ale że mu się wydało niezłe do architektury świątyni dopasowaniem. I teraz zrozumiał, czemu jeszcze dziś rano okazywał tyle zapału i stanowczości, a teraz pozostał taki chłodny. Tem tłumaczył się i ów ogromny impet w przeprowadzeniu zamiaru, i ów brak duchowego „alleluja.” po jego przeprowadzeniu.

Zdziwienie Świrskiego poczęło przechodzić w smutek. Pomyślał, że byłby może lepiej zrobił, gdyby, zamiast tyle rozmyślać o kobiecie, zamiast tworzyć teorie, jaką kobieta być winna, złapał za pierwszą lepszą dziewczynę, któraby mu przypadła do serca i zmysłów. Teraz pojął, że kocha się tę kobietę, którą się kocha i nie dopasowywa się do niej żadnych z góry powziętych pojęć o miłości, bo te pojęcia — jak dzieci — dopiero z kobiety mogą się rodzić. Wszystko to było mu tem dotkliwsze, że jednak czuł, iż mógłby ogromnie kochać i uświadamiał coraz dokładniej, że nie kocha, jakby mógł. Przypomnił sobie, co mu w swoim czasie opowiadał jeszcze w Rzymie Połaniecki o jakimś młodym lekarzu, który podeptany przez jakąś bezmyślną lalkę, mówił: „Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę duszy od niej odedrzeć” Oto była miłość mocna jak śmierć — oto ten kochał!... Nie wiadomo, dlaczego naraz przyszła Świrskiemu na myśl panna Castelli i Zawilowski? Przypomnił sobie również jego zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz, którą widywał w Przytułowie.

I znów zbudził się w nim artysta, który wskutek całych lat nawyknięcia, podstawił się w człowieka nawet wówczas, gdy człowiek myślał o rzeczach najbardziej osobistych. Na chwilę zapomniał o sobie, o panie Ratkowskiej, a począł myśleć o twarzy Zawilowskiego i o tem, co właściwie stanowiło najistotniejszy jej wyraz? Jakaś skupiona egzaltacja? — tak! — ale było i coś innego — coś jeszcze istotniejszego.

I nagle drgnął:

— Dziwna rzecz — pomyślał — to jest głowa tragiczna!

XII

W kilka dni później Zawilowski, wezwany przez Połanieckiego, pojechał do miasta. Młodemu człowiekowi bardzo nie chciało się opuszczać Przytułowa, ale panna Helena życzyła sobie, by koniecznie był obecny przy otwarciu testamentu ojca. Obaj z Połanieckim i z prawnikiem starego pana Zawilowskiego, adwokatem Kononowiczem, udali się w tym celu do Jaśmienia. Gdy jednak przez dwa następne dni, w listach do „Niteczki”, Zawilowski wylewał tylko swoje uczucia na papier, nie czynił zaś najmniejszej wzmianki o testamencie, pani Broniczowa, którą przedtem wprowadzały w zachwyt te wylewy, wyznała teraz pod sekretem pani Anecie, że po pierwsze: jest to głupi sposób pisywania do narzeczonej, a powtóre, że jest „quelque chose de louche” w takim, jakby umyślnem, milczeniu. Wprawdzie, pierwszy z tych listów pisany był z miasta, drugi natychmiast po przyjeździe do Jaśmienia; stara dama twierdziła jednak, że w każdym razie Zawilowski powinien był w nich wspomnieć przynajmniej o swoich nadziejach, milcząc bowiem, okazywał „Niteczce” brak zaufania i po prostu ją obrażał.

Osnowski twierdził przeciwnie, że Zawilowski zamilczał o swych nadziejach przez delikatność względem panny Linety i z tego powodu przyszło do małej sprzeczki między nim a panią Broniczową, która przy tej sposobności wygłosiła pewnik psychologiczny, że mężczyźni wogóle mają nader słabe pojęcie o dwóch rzeczach, mianowicie: o logice i delikatności. „Och, tak! — i o logice! może nie wasza wina, że tacy jesteście, ale tacy jesteście, mój Józiu, wszyscy!” Nie mogąc jednak usiedzieć na miejscu, po dwóch dniach, pod pierwszym lepszym pozorem, wyjechała do miasta, aby zasięgnąć w sprawie testamentu języka.

Wróciwszy nazajutrz, przywiozła ze sobą naprzód panią Maszkową, z którą spotkała się na przytułowskiej stacyi, a która chciała już od dawna „tę kochaną Anetkę” odwiedzić, a powtórę, wiadomość, że nie znaleziono żadnego nowego testamentu pana Zawilowskiego i że jedyną i wyłączną spadkobierczynią ogromnego majątku została panna Helena Zawilowska. Wiadomość znaną już była w Przytułowie z trzeciego listu pana Ignasia, który przez ten czas odebrała panna Lineta, niemniej jednak potwierdzenie jej przez panią Broniczową sprawiło nadzwyczajne wrażenie, tak, iż przyjazd pani Maszkowej przeszedł, jak niepostrzeżony. Było to wszystko ogromnie dziwne. Zawilowskiego poznały te panie, jako człowieka bez majątku. Panna Lineta została jego narzeczoną wówczas, gdy nie było jeszcze żadnych widoków na testament. Stało się to naprzód pod wpływem pani Anety, która „paliła pod kotłami, tak, iż trzeba było jechać i jechać prędko;” stało się tak pod wpływem ogólnego zapachu, jaki wzbudziły poezye Zawilowskiego, pod wpływem jego sławy; przez miłość własną panny Linety i pani Broniczowej, która to miłość własna czuła się nietylko zadowoloną, ale porwaną tem, że ów sławny i rozgłośny Zawilowski, zwracający na siebie wszystkie oczy, klęknął u nóg, nie żadnej innej — tylko „Niteczki”. Stało się wreszcie dla opinii ludzkiej, która mogła tylko wysławić pannę, szukającą nie majątku, ale takich bogactw, jakie posiadał Zawilowski. Prawda, że rozpoczynając się w ten sposób, wszystko poszło dalej także i siłą tego życiowego pędu, który, raz porwawszy ludzi, niesie ich tak, jak fale rzek niosą porwane przez się przedmioty — mimo ich woli. Bądźco bądź, jednak panna Castelli została narzeczoną człowieka bez majątku — i gdyby nie owe nadzieje, które otworzyły się później, ani ona sama, ani pani Broniczowa, ani nikt inny nie mógłby brać i nie brałby Zawilowskiemu za złe braku dziedzicznej fortuny. Ale taka jest natura ludzka, iż właśnie dlatego, że te nadzieje powstały i, powstawszy, uczyniły z Zawilowskiego nadomiar wszystkiego znakomitą partyę — teraz, gdy rozwiał je wiatr rzeczywistości, nikt nie mógł oprzeć się poczuciu pewnego zawodu. Jedni martwili się tem szczerze, drudzy, jak Kopowski i pani Maszkowa (która sama nie wiedziała dlaczego), czuli pewne zadowolenie z takiego obrotu rzeczy, ale poczuciu pewnego zawodu nie mógł się oprzeć nawet tak serdeczny przyjaciel Zawilowskiego, jak Osnowski.

Zawilowski, w ostatnim liście do panny Linety, pisał między innemi: „Chciałbym być jak najbogatszy — dla ciebie, ale co mi tam to wszystko znaczy wobec ciebie. Szczerze ci mówię, żem przestał o tem myśleć, a wiem, że ty, która nie chodzisz po ziemi, mogłabyś się zmartwić tem tylko o tyle, o ile ja bym się zmartwił. A ja nic! jak ciebie kocham! To wielkie zakłęcie, ogromnie dla mnie święte, więc powinnaś mi wierzyć. Ludziom grożą w życiu rozmaite braki i niedostatki, ale ja ci po prostu mówię, że cię nie dam żadnemu. Moja ty złota! moja jedyna dziecińo i pani” — i t. d. Panna „Niteczka” pokazała ten list pani Anecie, panie Ratkowskiej, a po przyjeździe cioci — oczywiście i cioci. Jakoż Zawilowski nie mylił się co do niej, przynajmniej pod tym względem, że gdy w całym Przytułowie nie było mowy o czem innem, jak tylko o testamencie starego pana Zawilowskiego, panna Lineta wśród tych rozmów milczała. Może tylko oczy jej przybrały do pewnego stopnia dawniejszy senny wyraz, może przy samych kącikach jej ust, gdy mówiono o Zawilowskim, zbierało się coś naksztalt małej pogardliwej faldki, może wreszcie rozmawiała wieczorami bardzo obszernie z „ciocią”, gdy po ogólnem dobranoc odchodziły do siebie; nigdy jednak, prawdziwie jak istota, która „nie chodzi po ziemi”, nie zabrała głosu w tej sprawie przy ludziach.

„Koposio” raz w chwili, gdy na minutę zostawiono ich sam na sam, począł z nią o tem mówić, ale ona naprzód położyła paluszek na własnych ustach, a potem odwróciła go z daleka ku jego ustom, na znak, że sobie tego nie życzy. Co więcej, nawet pani Broniczowa odzywała się przy niej o swoich zawodach mało i ostrożnie. Natomiast, gdy

jej nie było w pokoju, nie mogła zatamować przyływu do ust nagromadzonej w sercu goryczy, który to przyływ uniósł ją kilkakrotnie tak dalece, że o mało nie pokłócili się z Osnowskim.

Osnowski bowiem, wyrzucając sobie w duchu owo poczucie zawodu, od którego i on nie mógł się obronić, starał się teraz wszelkimi siłami zmniejszyć znaczenie katastrofy i dowieść, że Ignas jest wogóle wyjątkową partycją, a nawet i pod względem finansowym wcale niezłą.

— Nie myślę — mówił — że byłby przestał pisać, odziedziczywszy po starym panu Zawilowskim, ale sama administracja tak ogromnego majątku byłaby mu zajęła tyle czasu, że jego talent mógłby na tem ucierpieć. Jak chodzi o Ignasia, to, widzi ciocia, mimowoli przypomina się, co Henryk VIII powiedział, gdy któryś z książąt zagroził Holbeinowi: „Z dziesięciu chłopów zrobię, gdy mi przyjdzie fantazyja, dziesięciu lordów, ale z dziesięciu lordów nie zrobię jednego Holbeina”. Ignas jest wyjątkowy człowiek. Niech mi ciocia wierzy, że zawsze uważałem Niteczkę za urocze i poczciwe dziecko i zawsze ją lubiłem, ale prawdziwie dopiero urosła w moich oczach od czasu, jak potrafiła się poznać na Ignasiu... Być czemś w życiu takiego człowieka, to przecie jest zadanie, którego każda kobieta mogłaby jej pozazdrościć. Prawda Anetko?

— Naturalnie — odrzekła pani Osnowska — że kobiecie jest przyjemniej, gdy należy do człowieka, który jest czemś.

Osnowski zaś odrzekł, w pół śmiejąc się, w pół poważnie:

— A myślisz, że mnie to nieraz nie trapi, że taka istota, jak ty, należy do takiego zera, jak pan Józef Osnowski. Ale trudna rada! stało się! A przytem to zero bardzo kocha...

Poczem zwrócił się do pani Broniczowej:

— Niech też ciocia pomyśli — rzekł — że Ignas ma kilkanaście tysięcy rubli swoich, a przytem po śmierci ojca weźmie to, co mu stary pan Zawilowski zapewnił. Biedny on nie będzie...

Pani Broniczowa ruszyła pogardliwie głową:

— Ach, naturalnie — odrzekła. — Niteczka, zgodziwszy się na pana Zawilowskiego, nie szukała przecie pieniędzy, bo, gdyby była szukała pieniędzy, dość nam było ręką kiwnąć na pana Kanafaropulosa...

— Ciociu! litości! — zawołała, śmiejąc się, pani Aneta.

— A więc nic się nie stało — rzekł Osnowski. — Panna Helena z pewnością za męża nie pójdzie, więc i tak majątek kiedyś przejdzie, jeśli nie na Ignasia, to na jego dzieci — ot i cała rzecz!

Widząc jednak pogrzebianą ciągle twarz pani Broniczowej, po chwili dodał:

— No, ciociu! więcej zgody na wolę Boską! więcej pogody! Ignas ani na cal nie mniejszy!...

— Ach, naturalnie — odrzekła z odcieniem złego humoru. — Naturalnie, że to wszystko nic nie zmieni. Zawilowski swoją drogą ma talent, a swoją drogą, każdy musi przyznać, że robi partycję nad swoje spodziewanie. O tak! o tem nie może być dwóch zdań. Naturalnie, że mniejsza o ten majątek, tem bardziej, że ludzie różnie mówią o sposobach, jakimi go pan Zawilowski tak bardzo powiększył. Niech mu tam Bóg będzie łaskaw i niech mu przebaczy, że mnie zwiódł, nie wiadomo dlaczego... Jeszcze dziś modliłyśmy się z Niteczką za niego... Trudna rada!... Naturalnie wolałabym, żeby nie miał tej skłonności do mówienia nieprawdy, bo to może być familijne; wolałybyśmy także obie z Niteczką, żeby pan Ignacy mniej był dawał do zrozumienia, że zostanie spadkobiercą pana Zawilowskiego...

— Przepraszam najmocniej! — przerwał żywo Osnowski — nigdy nie dawał!... Pozwoli ciocia! to już nadto! Nie chciał tam iść, ciocia go sama przy mnie wyprawiała.

Lecz pani Broniczowa była już w biegu i nic jej nie mogło zatrzymać, więc odrzekła ze wzrastającym rozdrażnieniem:

— To Józiowi nie dawał, a mnie dawał. Niteczka może zaświadczyć. Powiedziałam zresztą Józiowi, że mniejsza z tem. Naturalnie, że nic się nie zmieni, i jeżeli mam trochę zmartwienia, to bynajmniej nie z tego powodu. Józio nie był nigdy matką i, jako mężczyzna, nie potrafi zrozumieć, ilu my, matki, doznajemy obaw w ostatnich chwilach przed oddaniem dziecka w obce ręce. Dowiedziałam się dopiero teraz oto, że Zawilowski, przy wszystkich swych przymiotach, ma gwałtowny charakter... I ma! Ja go zawsze o coś

podobnego podejrzewałam... A jeśli tak jest, to byłaby to wprost śmierć dla Niteczki... Sam pan Połaniecki nie zaprzeczył, że on ma gwałtowny charakter... Sam Połaniecki, niby jego przyjaciel (o ile mężczyźni zdolni są do przyjaźni) dał do zrozumienia, że ojciec jego miał także gwałtowny charakter i że wskutek tego dostał pomieszania zmysłów, które może być dziedziczne. Wiem, że pan Ignacy niby Niteczkę kocha (o ile mężczyźni zdolni są naprawdę kogoś kochać), ale czy to na długo będzie tej miłości? Że on jest trochę egoista — temu sam Józio nie zaprzeczy (zresztą, wy wszyscy jesteście egoiści); więc niechże Józio nie dziwi się, że mnie w ostatnich chwilach strach bierze, gdy pomyślę, że moja dziecinka może się dostać w ręce okrutnika, waryata i egoisty...

— Nie! — zawołał Osnowski, zwracając się do żony — jak ciebie kocham, tak po prostu uszy wiedz! Po prostu można głowę stracić!

Lecz pani Aneta zdawała się bawić tą rozmową, jak w teatrze. Sprzeczki pani Broniczowej z mężem bawiły ją zawsze, teraz zaś zanosilo się na większą, niż zwykle, albowiem pani Broniczowa, spojrzawszy na Osnowskiego, jakby z politowaniem, mówiła dalej:

— Przytem ta sfera!... Ci wszyscy Świrscy, Połanieccy, Bigiele! Wszyscyśmy byli i jesteśmy zaślepieni w Zawilowskim, ale, prawdę mówiąc, czy to sfera odpowiednia dla Niteczki?... To trudno! różnice między ludźmi sam Pan Bóg postanowił i stąd płyną różnice w wychowaniu. Józio może nie zdaje sobie dokładnie z tego sprawy, (bo wogóle mężczyźni z takich rzeczy nie umieją sobie zdać sprawy), ale ja Józiovi powiem, że są odcienia i odcienia, które w życiu mogą ogromnie dużo stanowić. Józio chyba zapomniał, kto jest Niteczka, i że jeśli taką Niteczkę raz coś zaboli, coś zrazi, to może to życiem przypłacić. Niech Józio pomyśli, kto są, między nami mówiąc, tacy Połanieccy, taki Świrski i cała ta kompania, z którą żyje Zawilowski i z którą będzie może zmuszał żyć Niteczkę!

— A! z tego stanowiska rzecz bierzemy? — przerwał Osnowski. — Dobrze! Niech będzie z tego! Przedewszystkiem tedy, kto był stary pan Zawilowski, to ciocia wie dobrze, choćby ze względu na swój własny do niego stosunek. Jeśli ciocia chodzi o sferę, to mam zaszczyt powiedzieć, że my wszyscy, w stosunku do takich Połanieckich, jesteśmy parweniuszami, i że to my poufaliśmy się z nimi. Ja się nigdy w żadne rodowody nie wdaję, ale skoro ciocia ich chce, to niechże je ciocia ma. O Świrskich musiała ciocia słyszeć, że są kniaziami. Ta linia, która przeniosła się do Wielkopolski, porzuciła tytuł, ale prawo do niego posiada. Oto, czem są oni. A co do nas, mój dziad był plenipotentem na Ukrainie i tego nie myślę się wypierać, skąd zaś wyrosli Broniczowie, ciocia wie lepiej odemnie. Ja nie poruszałem tej materii, ale ponieważ jesteśmy sami, więc możemy mówić otwarcie. O Castellich także ciocia wie.

— Castellowie pochodzą od Marino Falieri!... — zawołała z uniesieniem pani Broniczowa.

— Kochana ciociu! przypominam, że jesteśmy sami.

— Ale od Niteczki tylko zależało zostać margrabiną Colimaçao.

— „La vie parisienne!” — odpowiedział Osnowski. — Zna ciocia tę operetkę? Jest w niej także admirał szwajcarski.

Pani Aneta bawiła się doskonale, Osnowskiemu jednak uczyniło się nagle przykro, że we własnym domu poruszył niemiłe dla pani Broniczowej wspomnienia, więc dodał:

— Ale na co to wszystko? Ciocia przecie wie, jak ja Niteczkę zawsze kochałem i jak z duszy serca chciałbym, żeby się okazała godną Ignasia.

Lecz było to tylko dolaniem oliwy do ognia, pani Broniczowa bowiem, usłyszawszy bluźnierstwo, straciła do reszty zimną krew i zawołała z nowym wybuchem:

— Niteczka?... żeby się okazała godną Ignasia?... takiego...

Na szczęście, wejście pani Maszkowej przerwało dalszą rozmowę. Ciocia Broniczowa umilkła, jak gdyby oburzenie uwięziło jej słowa w ustach, pani Aneta zaś poczęła zaraz wypytywać panią Maszkową, co się dzieje z resztą towarzystwa i gdzie ich zostawiła.

— Pan Kopowski, Niteczka i Stefcia zostali w oranżeryi — odpowiedziała pani Maszkowa — one obie rysują storczyki, a pan Kopowski nas bawił.

— Czem? — spytał Osnowski.

— Rozmową... i uśmiełyśmy się serdecznie. Opowiadał nam, że jego znajomy, pan Wyż, który podobno jest wielkim heraldykiem, zaręczał mu zupełnie poważnie, że jedna rodzina w Polsce jest herbu „Stołowe nogi.”

- Czy jedna?... — mruknął wesoło Osnowski — rodzina Kopowskich z pewnością!
- A Stefcia została także w oranżeryi? — zapytała pani Aneta.
- Tak. Razem rysują.
- Chcesz iść do nich?
- Dobrze.

Lecz w tej chwili służący przyniósł listy, które pan Osnowski, odebrawszy od niego, przeglądał i oddawał. „Dla Anetki, dla Anetki! — mówił — ta mała literatka ma zawsze ogromną korespondencję... Dla pani (dodał, zwracając się do pani Maszkowej), dla cici... a to do Stefci... Znajomy jakiś charakter... całkiem znajomy... Panie pozwolą, że jej odniosę ten list.”

— Owszem, idź tam — rzekła żywo pani Aneta. — My tymczasem przeczytamy nasze.

Osnowski wziął list i poszedł w stronę cieplarni, przypatrując mu się i powtarzając przez drogę:

— Skądś znam ten charakter... to jakby... Wiem, że już widział to pismo!

W cieplarni znalazł troje młodych ludzi, siedzących pod wielkim arumem, przy żelaznym żółtym stoliku, na którym stał storczyk. Obie panny przerysowywały go w malarskich albumach. Kopowski zaś, nieco za nimi, przybrany we flanelowy biały kostium i czarne pończochy, zaglądał przez ramiona pańienek do albumów, paląc przytem cieniutkiego papierosa, którego przed chwilą wydobyl z wykwintnej, leżącej koło doniczki, papierośnicy.

— Dzień dobry! — rzekł Osnowski. — Cóż moje storczyki? Pyszne, prawda? Co to za osobliwe kwiaty! Stefciu, jest tu do ciebie list... Przeprós tych państwa i przeczytaj, bo mi się zdaje, że znam charakter, a nie mogę sobie żadną miarą przypomnieć, czyjby mógł być.

Panna Ratkowska otworzyła list i poczęła czytać. Po chwili zmieniła się na twarzy, po czole jej przeszedł płomień, potem bladeść i znów płomień. Osnowski patrzył na nią z zaciekawieniem, ona zaś, skończywszy czytać, pokazała mu podpis i rzekła trochę drżącym głosem:

— Oto od kogo list...

— A!... — rzekł Osnowski, który nagle wszystko zrozumiał.

— Czy mogę cię prosić o chwilę rozmowy?

— Natychmiast, moje dziecko — odrzekł jakby z pewnem rozrzewnieniem Osnowski. — Służę ci.

I wyszli z cieplarni.

— A nas to przecie zostawili choć raz samych! — ozwał się naiwnie Kopowski.

Panna Lineta nie odpowiedziała nic, tylko wzięwszy leżącą na stole irchową papierośnicę Kopowskiego, poczęła się nią gładzić zlekka po twarzy. On zaś patrzył na tę piękną twarz swemi cudnemi oczyma, pod którymi po prostu tajała... Panna Lineta wiedziała od dawna, co o nim sądzić, jego bezgraniczna głupota nie miała już dla niej tajemnic, a jednak wykwintność i niezrównana uroda tego głuptaka wprawiała w jakiś niezwykły ruch jej nawpół włoską krew. Każdy włos w jego brodzie miał dla niej jakiś dziwny i nieprzeparty urok.

— Bo czy pani uważa, że nas, to od jakiegoś czasu tak doglądają, jak nie wiem kogo? — mówił dalej Kopowski.

A ona, udając, że nie słyszy, ciągle gładziła papierośnicą swoją delikatną twarz, i zbliżając ją coraz bardziej ku ustom, rzekła:

— Jaka ta ircha przyjemna w dotknięciu! Niech pan zobaczy, jakie to przyjemne...

Kopowski wziął papierośnicę, ale przyłożył ją do ust i począł całować zlekka miejsce, które przed chwilą dotykało twarzy Linety.

Wówczas nastąpiło między nimi milczenie.

— Musimy stąd odejść — rzekła panna Castelli.

I wzięwszy doniczkę ze storczykiem, chciała ją założyć na cieplarniane schodki, czego jednak, z powodu ich pochyłości, nie mogła uczynić.

— Niech pani pozwoli — rzekł Kopowski.

— Nie, nie! — odpowiedziała — upadnie i rozbije się. Założę z drugiej strony.

I to rzekłszy, z doniczką w ręku obeszła schodki i udała się na drugą ich stronę, gdzie między niemi a ścianą był wązki korytarzyk. Kopowski udał się za nią.

Tam, wstąpiwszy na kupkę cegieł, założyła doniczkę na najwyższy schodek, lecz w chwili, gdy chciała zejść, cegły poruszyły się pod jej stopami, tak, iż poczęła się chwiać. W tej również chwili, stojący za nią Kopowski chwycił ją wpół.

— Co pan robi... to źle! — poczęła szeptać z falującą piersią, oblewając go gorącym oddechem.

On zaś, zamiast odpowiedzieć, wpił wąsy w jej usta. Nagle ramiona jej objęły namiętym ruchem jego szyję i bez tchu poczęła mu zapamiętałe oddawać pocałunki.

I w uniesieniu nie spostrzegli oboje, że Osnowski, wróciwszy przez otwarte drzwi cieplarni, przeszedł po miękkim piasku na schodki i patrzył na nich z twarzą zmienioną i bladą ze wzruszenia, jak płótno.

XIII

Zawiłowski bawił tymczasem między Warszawą a Buczynkiem, przejeżdżając codziennie i bawiąc po kilka godzin to tu, to tam, w miarę, jak nakazywały mu jego sprawy i zajęcia. Ponieważ ślub jego miał nastąpić jesienią, zaraz po powrocie ze Scheveningen — Połaniecki powiedział mu, że czas już wyszukać mieszkanie i urządzić je choć jako tako. Obaj z Bigielem obiecali w tej sprawie wszelką pomoc, pani Bigielowa zaś miała się zająć gospodarską częścią urzędnictwa. W Buczynku obecność Zawiłowskiego była również potrzebna ze względu na stosunki z panną Heleną. Ta, jakkolwiek datowany z przed roku testament ojca uczynił ją jedyną spadkobierczynią całego ogromnego majątku, nie ukrywała bynajmniej, iż wie, że ojciec nie zrobił innego testamentu tylko dlatego, że, albo nie przewidywał tak prędkiej śmierci, albo, zwyczajem starych ludzi, z dnia na dzień odkładał. Nie miała jednak najmniejszej wątpliwości, iż ojciec chciał coś uczynić dla imiennika i krewnego — i mówiła otwarcie, że poczytuje sobie za obowiązek sumienia spełnić ojcowską wolę. Nikt nie umiał wprawdzie przewidzieć, w jakiej mierze postanawia to uczynić, i jej samej, przed spisaniem dokładnego inwentarza wszystkich majątków i kapitałów, trudnoby było na podobne pytanie odpowiedzieć; tymczasem jednak poczęła obdarzać Zawiłowskiego tem wszystkim, co, wedle jej mniemania, powinni byli mężczy spadkobiercy dziedziczyć. W ten sposób oddała mu część kredensu po nieboszczyku, znaczny i cenny zbiór broni, w której zmarły się kochał, zbytkowne, umiłowane przez starszka konie, które Połaniecki wziął w komis — i następnie ową kolekcję fajek, o której losy tak w swoim czasie troszczył się Kopowski.

Zimna i pozornie obojętna dla wszystkich, onieśmielająca ludzi surowym i skupionym wyrazem twarzy, miała dla jednego tylko Zawiłowskiego jakieś matczyne niemal odcienie w głosie i spojrzeniu, jakby razem z majątkiem odziedziczyła po starym ojcu i przychyłność dla młodego człowieka. Jakoż i rzeczywiście był on jedyną na świecie istotą, z którą łączyły ją pewne węzły krwi, a przynajmniej tożsamość nazwiska. Dowiedziawszy się od Połanieckich o zachodach Zawiłowskiego co do urzędnictwa mieszkania, prosiła Połanieckiego, by na wydatki tegoż urzędnictwa złożył od niej w banku sporą sumę na imię „pana Ignasia”, prosząc jednak, by mu od razu o tem nie wspominał.

Zawiłowski, który miał młode i wdzięczne serce, przywiązał się do niej prędko — jak do starszej siostry — i ona to czuła doskonale. Była to wzajemna sympatya dwóch natur, które życzą sobie dobra i mają do siebie ufność. Czas przeradza zwykle tego rodzaju początkowe sympatye w ogromnie trwałą przyjaźń, która w złych zmianach życia może być również ogromnem oparciem. Ale w tej chwili Zawiłowski mógł jej poświęcić drobniuchną zaledwie cząstkę duszy, gdyż i duszę, i serce, i wszystkie siły włożył z całą wyłącznością fanatyka w miłość dla ubóstwianej coraz bardziej „Niteczki”.

Tymczasem zaś kręcił się, jak mucha w ukropie, i między Buczynkiem a miastem czynił nawet nowe znajomości. Jedną z nich był profesor Waskowski, który wrócił ze swej pielgrzymki między „najmłodszych z Aryów”. Zwiedził wszystkie pobrzeża morza Adryatyckiego i cały półwysep Bałkański, ale stan jego zdrowia tak był oplakany, że Połanieccy zabrali go na stałe do Buczynka, by ochronić go od wyzyskiwania i dać mu odpowiednią opiekę, której w swoim osamotnieniu byłby gdzieindziej nie znalazł. Zawiłowski, który sam był człowiekiem egzaltowanym i gotowym odczuć wszelką szerszą

ideę, choćby wydawała się wszystkim rozsądnym głupcom niedorzeczną, pokochał od pierwszego dnia starego profesora, razem z jego teorią historycznej misji, przeznaczoną najmłodszym z Aryów. O teorii tej słyszał już poprzednio niejednokrotnie od Świrskiego i Połanieckich — i uważał ją za wspaniałe marzenie. Lecz i jego, i Świrskiego, i Połanieckich uderzyło teraz to, że profesor po powrocie ze swej podróży prawie o niej nie wspominał. Gdy go zapytywano o jego książkę i podróż, odpowiadał tylko: „Nikt nie może się uchylić od służby, którą mu Chrystus przeznaczył” — poczem wlepił przed siebie swoje mistyczne oczy, jakby czegoś szukał, lub czegoś upatrywał w nieskończoności — i stara twarz jego przybierała wyraz tak głębokiego smutku, a nawet takiego bólu, że nikt nie miał serca poruszać szczegółowej tej kwestyi. Wezwany przez Połanieckich lekarz oświadczył, że zbyt tłusta kuchnia najmłodszych z Aryów nabawiła starego człowieka ciężkiego kataru żołądka, do czego przyłączył się „marasmus senilis”. I profesor rzeczywiście miał ciężki katar żołądka, ale Zawilowski odgadywał w nim jeszcze co innego, mianowicie rozpaczliwą walkę między tem, w co wierzył i czemu, jak prawdziwy idealista-maniak, poświęcił całe życie, a zwątpieniem. Jeden Zawilowski rozumiał całą tragedję takiego końcowego: „ergo erravi” — i wzruszał się nią podwójnie, bo jako człowiek z sercem i jako poeta, który widział natychmiast temat do poematu: obraz starca, siedzącego w słońcu przed domem, na ruinie życia, wierzeń i czekającego ze słowami: „marność marność” na śmierć, której krok słysząc z oddalenia.

Z profesorem jednak może jeszcze nie było tak źle, jak sobie wyobrażał Zawilowski. „Najmłodsi z Aryów” mogli go wprawdzie zawieść, ale pozostała wiara, że chrześcijaństwo nie wypowiedziało jeszcze ostatniego swego słowa i że następna epoka w życiu ludzkości nie będzie czem innym, jeno rozszerzeniem ducha Chrystusowego i przeniesieniem go ze stosunków między jednostkami na stosunki ogólnoludzkie. „Chrystus w dziejach” nie przestał być dla niego widzeniem przyszłości. Wierzył nawet zawsze, że misja wprowadzenia miłości do dziejów przeznaczona została najmłodszym z Aryów — tylko od czasu podróży ogarnął go głęboki smutek, zrozumiał bowiem, że przedtem jeszcze nietylko on, ale całe pokolenia muszą pomrzeć na katar żołądka, spowodowany niestrawną kuchnią księstw naddunajskich.

Tymczasem zamknął się w sobie i w milczeniu, które miało raczej pozory goryczy życiowej, niż było nią rzeczywiście. O swojej „idei” wprost prawie nie mówił, widać jednak było, że, jak wskazówki zegara, zatrzymane na jednej godzinie, zawsze pokazują tylko tę jedną, tak i wskazówka jego umysłu nie schodziła z owej idei; na rozmaite bowiem pytania odpowiadał słowami, które były raczej w związku z nią, niż z rzeczą, o którą go pytano. Ilekroć chciano przywołać go do rzeczywistości, trzeba go było budzić! Zaniedbał się też do reszty w ubraniu i codziennie więcej zdawał się zapominać, że naprzykład guziki przy kamizelce służą do tego, by było na co ją zapiąć. Ze swoim wiecznym roztargnieniem, ze swemi oczyma zarazem krótkowidza i dziecka, odbijającymi niejako mechanicznie wrażenia zewnętrzne, z twarzą zamyśloną, na której wypieki stały się wskutek złego trawienia jeszcze silniejsze, nakoniec w zaniedbanem ubraniu i dziwacznych pantalonach, które, niewiadomo dlaczego, nosił dwa razy tak szerokie jak wszyscy, budził w obcych wesołość i stawał się często przedmiotem mniej lub więcej złośliwych żartów. Zdaje się, że podobne uczucia budził przedewszystkiem w „najmłodszych z Aryów”. Wogóle poczytywano go za człowieka, którego klepkom w głowie brak obręczy. Niektórzy okazywali mu nawet politowanie. Wyraz „nieszkodliwy” odbijał się często w jego uszach, ale on zdawał się go nie słyszeć.

Czuł jednak, że u Połanieckich jest mu dobrze, że nikt nie wyśmiewa się z niego, ani też nie okazuje mu takiej litości, jaką okazuje się idyocie. Zresztą, ani zbyt tłusta kuchnia „najmłodszych z Aryów,” ani katar żołądka nie odjęły mu jego niezmierniej wyrozumiałości i przychylności dla ludzi. Był to zawsze ten sam stary profesorzysko, który zapominał o sobie, ale odzyskiwał przytomność, gdy chodziło o innych. Po staremu kochał Marynię Połaniecką, Połanieckiego, panią Emilię, Świrskiego, Bigielów, nawet Maszkę, słowem wszystkich, z którymi zbliżyło go życie. W ogólności miał o ludziach jakieś dziwne pojęcie, że wszyscy, czy chcą, czy nie chcą, czemuś służą, i że są jakby pionkami, które posuwa ręka Boża w wiadomych sobie celach. Artystów takich, jakim był Świrski, uważał za posłanników, którzy „przejednywają.”

W taki sam sposób patrzył na Zawilowskiego, którego poezje czytał poprzednio. Poznawszy ich autora, przypatrywał mu się tak ciekawie, jakby jakiejsi osobliwości, nazajutrz zaś, gdy młody człowiek odjechał do miasta i gdy przy herbacie poczęto o nim mówić, podniósł palec i, zwróciwszy się do Maryni, rzekł z tajemniczą miną:

— O! to Boży ptak! Ani on wie, co mu Bóg na głowie napisał i do czego go przeznaczył.

Marynia poczęła mu opowiadać o blizkiem małżeństwie Zawilowskiego, o jego uczuciu dla panny Linety i o niej samej, wychwalając jej dobroć i piękność.

— Tak! — rzekł, wysłuchawszy, profesor. — Widzisz? I ona ma swoją misję i ona „wybrana.” Bóg jej kazał czuć nad takim płomieniem, a skoro została wybrana, to trzeba ją czcić, jak wybraną... Widzisz? Łaska jest nad nią.

Poczem zamyślił się i dodał:

— Wszystko to jest dla ludzkości droga w przyszłość.

Połaniecki spojrział na żonę, jakby jej chcąc powiedzieć wzrokiem, że profesor marzy bez związku, lecz on przymrużył nieco oczy i, patrząc przed siebie, mówił dalej:

— Bo jest na niebie droga mleczna, i jak Bogu potrzeba, to bierze z niej kurzawę i tworzy nowe światy. A widzicie, ja myślę, że jest taka sama droga mleczna duchowa, złożona ze wszystkiego, co ludzie myśleli i czuli. Wszystko w niej jest: i to, co zrobili geniusze, i dzieła talentów, i wysiłki myśli męskiej, i uczciwość kobiecych serc, i ludzka dobroć, i ludzkie bóle: nic nie ginie, choć wszystko się w pył obraca, bo z tego pyłu, za wolą Boską, tworzą się nowe duchowe światy dla ludzi.

Tu ją mrugając oczyma, rozważając to, co powiedział — poczem, jakby przebudziwszy się, począł szukać guzików u kamizelki i dodał:

— A ta panienka musi mieć duszkę czystą, jak łąza, skoro Bóg wskazał ją palcem i przeznaczył jej być stróżem tego ognia.

Przyjazd Świrskiego przerwał dalszą rozmowę. Dla Maryni nie był on niespodzianką, albowiem malarz zapowiedział jej, że albo sam przyjedzie, albo do niej napisze, jaki obrót wzięła jego sprawa. Marynia, ujrawszy go teraz przez okno, była prawie pewna, że wszystko skończyło się pomyślnie, lecz on, wszedłszy do pokoju i powitawszy się ze wszystkimi, spoglądał na nią z miną tak dziwną, że nie wiedziała, co z niej wywróżyć.

Widocznie chciał mu się mówić o sprawie i to zaraz, nie chciał jednak tego czynić przy Połanieckim i Waskowskim. Połaniecki też, przed którym Marynia wygadała się o co idzie, przyszedł mu w pomoc i, wskazawszy na żonę, rzekł:

— Jej trzeba dużo chodzić; niech ją pan weźmie do ogrodu, bo wiem, że macie ze sobą do pomówienia.

I po chwili oboje znaleźli się w alei wśród białodrzewów. Czas jakiś szli w milczeniu, on, kołysząc się na swych szerokich biodrach atlety i szukając od czegoby zacząć, ona, podana nieco naprzód, z twarzą dobrą i rozciekawioną. Obojgu pilno było do rozmowy, jednakże Świrski zaczął od czego innego.

— Pani powiedziała wszystko mężowi? — spytał nagle.

Marynia zaczerwieniła się, jakby złapana na występku, i odrzekła:

— ...Bo Stach taki dla pana życzliwy i ja nie chcę mieć dla niego tajemnic.

Świrski ucałował jej rękę.

— Ale owszem! dobrze! Ja się tego nie wstydzę, również jak i tego, że dostał kosza.

— Nie może być! Pan żartuje — rzekła, zatrzymując się, Marynia.

— Słowo pani daję!

I widząc przykróść, jaką jej sprawiła nowina, począł mówić, jakby z troskliwością:

— Tylko niech pani nie bierze tego do serca więcej odemnie. Stało się, co się miało stać. Ot, przyjechałem tu, stoję przed panią, nie strzeliłem sobie w łeb i nie myślę tego robić, ale swoją drogą, com dostał kosza, tom dostał.

— Ale dlaczego? co panu odpowiedziała?

— Dlaczego? co mi odpowiedziała? — powtórzył Świrski. — Widzi pani, w tem właśnie jest coś, od czego mi trochę gorzko w ustach. Ja przyznam się pani szczerze, że w pannie Ratkowskiej bardzo się nie kochałem. Podobala mi się (one mi się wszystkie podobają), myślałem, że to będzie wdzięczne i poczciwe serce i dlatego się niby tu oświadczyłem. Ale więcej przez rozum — i że mi czas! Potem miałem nawet trochę zgagi.

Była nawet chwila, żem sobie powiedział: „Twoje oświadczyły w Buczynku nie były zbyt wyraźne, lepiej puśćcie to jeszcze kantem.” Ale zrobiło mi się wstyd. Co u licha, myślę sobie, przestąpiłeś próg jedną nogą, przestąpże i drugą. I napisałem do niej list, tym razem już zupełnie wyraźny, a ot, co mi odpisano!

To rzekłszy, wyjął z kieszeni surduta list, lecz nim zaczął go czytać, rzekł jeszcze:

— Z początku są zwykle komunały... Jak to pani wie! Szanuje mnie ogromnie, byłaby dumna i szczęśliwa (ale woli nie być), żywi dla mnie szczerą sympatyę (jeśli tak będzie żywić męża, jak tę sympatyę, to nie będzie tłusty), w końcu zaś powiada tak:

„Nie jestem w możności oddać panu serca z taką radością, na jaką pan zasługuje. Wybrałam inaczej — i jeśli nie będę nigdy szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucać sobie później, że byłam nieszczerą. Wobec tego, co u nas zaszło, nie mogę pisać dłużej, niech mi pan jednak wierzy, że będę mu całe życie wdzięczna za zaufanie i że od dziś zacznę codziennie prosić Boga, by panu pozwolił znaleźć godne pana serce i w całym życiu błogosławił...”

Oto wszystko!

Nastąpiła chwila milczenia, potem Świrski rzekł:

— To są, co się mnie tyczy, puste słowa, ale to znaczy: kocham innego.

— Zdaje się, że tak jest — odrzekła ze smutkiem Marynia. — Biedna dziewczyna, bo to jednak pocziwy list.

— Pocziwy list! pocziwy list! — zawołał Świrski. — One wszystkie także pocziwe! Oto dlaczego trochę mi gorzko. Nie chce mnie? dobrze! To każdej wolno. Kocha się? To także każdej wolno. Ale w kimże się kocha? Przecie nie w Osnowskim, ani w Zawilowskim, więc w kim? Oto w tej galce od laski, w tej kukielce, w tym piękniśniu, w tym modelu krawieckim, w tym ideale panien służących. Widziała pani takich ślicznych pannów na sztukach perkalów? — to zupełnie on! Gdyby stał w oknie u fryzjera, to panny wygniotłyby szybę. Pamięta pani, com o nim powiedział: damski hurys! I to jest gorzkie! i to jest niesmaczne — (mówił z coraz większym rozdrażnieniem, akcentując ze szczególniejszą siłą wyraz: jest) — i to źle mówi o kobietach, bo, bądźże tu człowieku Newtonem, Rafaelem, Napoleonem — i chciej za całą nagrodę jednego serca, jednej kobiecej głowy. Nieprawda! Ona woli jakiegoś lukrowanego Bibisia. Ot, jakie one są!

— Nie wszystkie, panie, nie wszystkie! Zresztą pan, jako artysta, powinien wiedzieć, co to jest uczucie. Padnie coś na człowieka i skończyło się wszelkie rozumowanie.

— Nie — rzekł spokojniej Świrski — ja wiem, że nie wszystkie. A co do miłości, pani mówi: „Padnie coś i skończyło się.” Może! To niby jak choroba... Ale istnieją choroby, na które szlachetniejsze gatunki istot nie chorują. Istnieje np. choroba racic. Pozwoli pani powiedzieć, że trzeba mieć racice, żeby jej dostać. Nie było jednak chyba wypadku, żeby gołębicą zakochała się w dudku, choć to bardzo ładny ptak. Widzi pani, — na gołębicę to nie padnie... W dudkach kochają się dudkówy. I niech się sobie kochają, byle nie udawały gołębic. Mnie tylko o to chodzi... Niech pani sobie przypomni, jak kiedyś u państwa Bigielów wygadywałem na pannę Castelli. A jednak ta wolała ostatecznie Zawilowskiego. Mnie chodzi o te fałszywe aspiracje, o tę nieszczerłość, o ten frazes. Skoro jesteś dudkówą — miejże odwagę do tego się przyznać. Nie udawaj, nie kłam, nie zwodź. Przecie ja, człowiek doświadczony szyjębym był oddał za to, że taka panna Ratkowska nie jest po prostu w stanie zakochać się w takim Kuposiu, a jednak tak jest! Ja się pocieszę, tu mnie nie o siebie chodzi, tylko o tę komedię, o to konwencyjonalne kłamstwo — i nie o pannę Ratkowską, ale o to, że taki typ, jak Kuposia, zwycięża.

— Tak — rzekła Marynia. — Trzebaby tylko wiedzieć, dlaczego wszystko tak się jakoś poplątało.

Lecz Świrski machnął ręką: — Właściwie mówiąc — rzekł — to się raczej rozplątało. Gdyby była za mnie wyszła, byłbym ją pewno w końcu na ręku nosił. Daję pani słowo!... We mnie się nagromadziło ogromnie dużo tkliwości. Byłbym dla niej dobry i byłoby nam dobrze. Tego mi też trochę żal. Ale przecie nie ona jedna na świecie. Pani mi znajdzie jaką pocziwą duszę, która mnie zechce. I prędko, moja droga pani, bo doprawdy, że czasem już nie mogę wytrzymać. Dobrze?

Marynia poczęła się rozweselać, widząc, że sam Świrski nie bardzo bierze do serca utratę panny Ratkowskiej. Lecz, zastanawiając się teraz spokojniej nad jej listem, przy-

pomniała sobie jeden jego frazes, na który z początku, cała zajęta sprawą odmowy, nie zwróciła uwagi — i zaniepokoiła się nim.

— Czy pan zauważył — spytała — że ona w jednym miejscu mówi: „Po tem, co się u nas stało, nie mogę pisać dłużej.” Czy pan nie domyśla się, co się tam mogło stać?

— Może Kopusio już się oświadczył.

— Nie. W takim razie napisałaby to wyraźnie. Jeśli ona przywiązała się do niego, to naprawdę biedna dziewczyna, bo ona podobno nie ma żadnego majątku, a pan Kopowski także jakoby niebogaty, więc wątpliwa rzecz, czy się zdecyduje.

— Prawda — rzekł Świrski. — Wie pani, że mnie samemu przychodziło to na myśl. Ona się w nim kocha, to nie ulega kwestyi, ale on się z nią nie ożeni.

Nagle zatrzymał się i rzekł:

— W takim jednak razie, po co on tam siedzi?

— Bawią się nim i on się bawi — odpowiedziała pospiesznie Marynia, odwracając przytem nieco twarz, aby Świrski nie dostrzegł jej zmieszania.

I odpowiedziała nieszczerze. Od czasu, jak Połaniecki podzielił się z nią swemi spostrzeżeniami co do stosunku Kopowskiego z panią Osnowską, myślała o tem często i po-
byt młodzieńca w Przytułowie jej samej wydawał się nieraz podejrzanym, a upozorowanie go za pomocą panny Ratkowskiej niegodziwością. Niegodziwość stała się tem większą, jeśli panna Ratkowska naprawdę zakochała się w Kopowskim. Ale wszystkie te intrygi mogły jednak lada chwila wyjść na wierzch i Marynia rozmyślała teraz z niepokojem, czy słowa panny Ratkowskiej: „po tem, co się u nas stało” — nie mają takiego właśnie znaczenia. W takim razie byłoby to prawdziwą katastrofą, i dla tego pocziwego pana Osnowskiego i dla panny Stefci.

Istotnie, wszystko mogło się poplątać w tragiczny sposób.

— Ja jutro wybieram się do Przytułowa — rzekł Świrski. — Chcę umyślnie być u Osnowskich, żeby pokazać, iż nie żywię do nikogo urazy. Jeśli tam się co naprawdę stało, albo jeśli ktoś zachorował, to będę wiedział i dam państwu znać. Zawilka tam przecie w tej chwili niema.

— Nie, pan Ignas bawi w mieście. Jutro albo pojutrze pewnie wpadnie tu, albo do Jaśmienia. Stach dziś także wybiera się do miasta. Moja przyjaciółka, siostra Aniela, bardzo jest niezdrowa i chcemy ją do nas ściągnąć, a że ja nie mogę jechać, więc jedzie Staś.

— Siostra Aniela? To ta, którą mąż pani nazywa panią Emilią... Fra Angelico!... twarz zupełnie świętej. Śliczna twarz! Widziałem ją coś dwa razy u państwa. Ot, żeby taka nie była zakonnica...

— I chore biedactwo. Prawie już nie może chodzić... Dostała ze zbytnej pracy choroby krzyża.

— Oj, to bieda — rzekł Świrski. — Będą państwo mieli profesora i tę biedaczkę... Jacy wy jednak jesteście dobrzy ludzie!

— To Stach! — odpowiedziała Marynia.

W tej chwili na końcu alei pojawił się Połaniecki — i spieszonym krokiem podszedł ku nim.

— Słyszałem, że pan dziś jedzie? — rzekł Świrski — zabierzemy się razem.

— Dobrze.

I zwróciwszy się do żony, rzekł:

— Maryniu, a czy nie dosyć chodziłaś? Chcesz się na mnie oprzeć?

Marynia wzięła go pod ramię i razem podeszli do werandy, poczem weszła do pokoju, by kazać podać popołudniową herbatę.

Połaniecki zaś zbliżył się żywo do Świrskiego:

— Odebrałem dziwną depezę — rzekł — której nie chciałem pokazać przy żonie. Osnowski pyta mnie, gdzie jest Ignas i wzywa, bym w jego sprawie przyjechał jutro do miasta. Co to może być?

— To dziwna rzecz — odpowiedział Świrski. — Mnie panna Ratkowska pisała, że tam się coś stało.

— Czyby kto zachorował?

— Toby wezwano wprost Zawilowskiego... Gdyby panna Castelli, albo pani Broniczowa... wezwanoby go natychmiast...

— A gdyby go Osnowski nie chciał przestraszać, toby do mnie zatelegrafował.
I obaj poczuli patrzeć sobie z niepokojem w oczy.

XIV

Nazajutrz, w pół godziny po przyjeździe Połanieckiego, zadzwonił do niego Osnowski. Połaniecki, na odgłos dzwonka, poszedł sam otworzyć. Od wczoraj żył w wielkim niepokojem. Przypuszczał od dawna, że w Przytułowie może lada dzień bomba wybuchnąć, ale napróżno bił się z myślami, jaki związek może mieć jej wybuch z Zawilowskim.

Osnowski uściskał mu rękę na powitanie ze szczególniejszą siłą, jak się czyni w wyjątkowych okolicznościach życia, a gdy Połaniecki poprosił go do swego gabinetu, po drodze spytał:

— Pani bawi w Buczynku?

— Tak jest — odpowiedział Połaniecki — jesteśmy zupełnie sami.

W gabinecie, Osnowski, usiadłszy na wskazanem krześle, schylił głowę i przez chwilę milczał, oddychając przytem śpiesznie, albowiem, wskutek nadmiernego trenowania się, cierpiał trochę na rozednięcie płuc, teraz zaś wzruszenie i schody zatamowały mu jeszcze bardziej oddech. Połaniecki czekał jakiś czas cierpliwie, wreszcie wrodzona mu żywość przemogła i spytał:

— Co się stało, panie!

— Stało się nieszczęście — odrzekł z głębokim smutkiem Osnowski. — Małżeństwo Ignasia zerwane.

— Małżeństwo zerwane? Dlaczego?

— Są to rzeczy tak przykre, że lepiej dla Ignasia nie wiedzieć powodów. Czas jakiś wahałem się nawet, czy o nich nie zamilczeć, ale nie!... Trzeba, żeby się o wszystkim dowiedział, bo tu chodzi o coś ważniejszego, niż jego miłość własna. Może oburzenie i wstręt dopomogą mu do zniesienia nieszczęścia. Małżeństwo jest zerwane, bo panna Castelli nie jest warta ręki takiego, jak on, człowieka — i gdyby dziś jeszcze mogła być mowa o naprawieniu tego stosunku, ja pierwszy położyłbym stanowcze veto.

Tu pan Osnowski począł znów łowić oddech, Połaniecki zaś, który słuchał dotąd, jak wryty, jego słów, wybuchnął nagle:

— Ale na miły Bóg, co takiego zaszło?

— Zaszło to, że te panie od trzech już dni wyjechały za granicę z Kopowskim, jako narzeczoną panny Castelli.

Połaniecki, który przed chwilą zerwał się był z krzesła, siadł teraz napowrót. Na twarzy jego, przy całym wzruszeniu i niepokojem, odbiło się niewypowiedziane zdumienie. Czas jakiś patrzył na Osnowskiego, poczem, jakby nie mogąc zebrać myśli, rzekł:

— Kopowski?... także i z panną Castelli?...

Lecz Osnowski zbyt był zajęty samą sprawą, by mógł zwrócić uwagę na szczególną formę pytania Połanieckiego.

— Niestety! — rzekł — pan przecie wiesz, że ja jestem w pokrewieństwie z temi paniami; matka moja była cioteczną siostrą pani Broniczowej, a zatem także matki Linety, i czas jakiś chowały się razem. Rozumiesz pan, że raczej pragnąłbym je oszczędzić. Ale mniejsza z tem. Stosunki nasze są zerwane, a przytem choćby panna Castelli była moją rodzoną siostrą, powiedziałbym panu o niej to samo, co teraz powiem. Co do Zawilowskiego, ponieważ oboje z żoną wyjeżdżamy także — i to dziś, mogę go nie znaleźć. Powiem nawet otwarcie, że mi brak odwagi z nim mówić, ale panu powtórzę wszystko, com widział. Pan, jako bliższy jego przyjaciel, może potrafisz złagodzić cios; trzeba jednak, żeby Ignas wiedział o wszystkim, bo na tego rodzaju nieszczęścia niema lepszego lekarstwa, jak obrzydzenie.

Tu począł opowiadać Połanieckiemu, co widział w cieplarni, wzruszając się przytem, tracąc chwilami oddech, a zarazem nie mogąc się oprzeć pewnemu zdziwieniu na widok gorączki, z jaką go słuchał Połaniecki. Spodziewał się po nim więcej zimnej krwi, nie mógł zaś się domyślić, że Połaniecki ma osobiste powody, dla których tego rodzaju opowiadanie gra silniej na jego nerwach, niż mogłaby to uczynić nawet wiadomość o śmierci Zawilowskiego, lub panny Castelli.

— W pierwszej chwili straciłem głowę — mówił dalej Osnowski — nie jestem człowiekiem gwałtownym, ale jakim sposobem nie połamałem mu kości, nie wiem. Możem pamiętać, że jest moim gościem, może, że tu chodzi o rzeczy ważniejsze, niż on, może pomyślałem o Ignasiu, może nie myślałem o niczym. Straciłem głowę i wyszedłem. Po chwili, wróciwszy, powiedziałem mu, żeby poszedł za mną. Widziałem, że był blady, ale zdecydowany. U siebie powiedziałem mu, że postąpił niegodnie, że nadużył gościnności uczciwego domu i że Lineta jest nędznicą, dla której nie mam dość słów pogardy, że małżeństwo jej z Zawilowskim jest tem samym zerwane, ale że jego zmuszę do ożenienia się z nią, choćbym miał się uciec do wszelkich ostateczności... Tu się pokazało, że oni musieli się już naradzić przez ten czas, w którym zostawiłem ich samych, odpowiedział mi bowiem, że się od dawna w Linecie kocha i że gotów jest w każdej chwili z nią się ożenić. Co do Zawilowskiego — czułem, że Kopowski powtarza słowa, które mu podyktowała Lineta, gdyż powiedział mi to, na coby się sam nie zdobył: że gotów jest dać Zawilowskiemu wszelką satysfakcję, ale że nie potrzebował się z nim liczyć, bo nie ma dla niego żadnych obowiązków... „Że panna Lineta wybrała ostatecznie mnie, to — (powiada) — tem gorzej dla niego, ale to jej rzecz...” Co się tymczasem działo między ciotką a Linetą, nie wiem, dość, że nim skończyłem z Kopowskim, ciotka Broniczowa wpadła do mnie, jak furja, z wyrzutami, że to my oboje z żoną nie pozwoliliśmy Linecie pójść za naturalnym popędem serca, że narzuciliśmy jej Zawilowskiego, którego nigdy nie kochała, że Lineta płakiwała po całych nocach, że przypląciłaby to małżeństwo życiem, że to wszystko, co się stało, było wyraźną wolą boską... i tak z godzinę!... My winni, Zawilowski winien, tylko one bez skazy!

Tu Osnowski począł trzeć ręką czoło i rzekł:

— Ach, panie! Mam trzydziesty szósty rok i anim sobie wyobrażał, co to jest kobieca przewrotność. Wie pan, że taka niepojęta zdolność odwracania rzeczy na wierzch podszewką dotąd nie chce mi się w głowie pomieścić. Rozumiem przecie, jaka była sytuacja. Rozumiem, że pojęły, iż z Zawilowskim wszystko skończone, choćby dlatego, że ja przeszkodzę, i że nie pozostaje im nic — tylko Kopowski. Ale ta łatwość robienia czarnego białem, a białego czarnem!... ten brak zmysłu moralnego, zmysłu prawdy i sprawiedliwości... ten egoizm bez dna i miary!... Lichoby je wreszcie pobrało, gdyby nie to, że chodzi o Ignasia!... Byłby z nimi najnieszczęśliwszy, ale dla człowieka tak egzaltowanego i tak zakochanego, co to za cios!... co to za zawód!... A i ta Lineta!... Ktoby był przypuścił!... Taki dureń! taki dureń!... I to dziewczyna niby pełna porywów, która przed kilku tygodniami zamieniła pierścionki, dała słowo!... i to narzeczona takiego Zawilowskiego!... Dalibóg, można zmysły stracić!

— Można zmysły stracić — powtórzył jak echo Połaniecki.

Nastąpiła chwila milczenia.

— I to dawno się stało? — spytał wreszcie Połaniecki.

— Trzy dni, jak wyjechali razem do Scheveningen. Wyjechali zaś zaraz tego samego dnia. Kopowski miał paszport ze sobą. Patrz pan, jak największy osieł zdobędzie się jednak na chytrą! On miał gotowy paszport, bo udawał, że się stara o moją kuzynkę, Ratkowską, i zamierzał niby jechać razem z nami za granicę. Udawał, że się o tamtą starał, żeby tę mógł bałamucić. Aj, biedny ten Ignas, biedny! Daję panu słowo, że gdyby był moim bratem, nie miałbym dla niego więcej współczucia... Lepiej!... lepiej, że się nie związał z taką... Linetą, z taką półwłoszką, ale co to za rozdarcie!...

Tu Osnowski wydobyl chustkę i począł nią przecierać binokle, mrugając przytem oczyma, z twarzą strapioną i bezradną; Połaniecki zaś spytał:

— Czemu pan pierwaj nie dał znać?

— Czemu pierwaj nie dałem znać? Bo mi żona zachorowała. Ataki nerwowe... Bóg wie co!... Pan nie uwierzy, jak ona to do serca wzięła. I nic dziwnego!... Taka kobieta — i że to w naszym domu! Przy jej wrażliwości, to i dla niej był cios, bo i zawód ze strony Linety, którą tak kochała, i żal Ignasia, i to zetknięcie się ze złem, i obrzydzenie!... Na taką czystą i uczciwą naturę, to więcej, niż trzeba... W pierwszych chwilach myślałem, że mi ciężko zachoruje, a i teraz jeszcze mówię: daj Boże, żeby się to nie odbiło zgubnie na jej nerwach! My nie umiemy sobie po prostu zdać sprawy, co się dzieje w takiej duszy na sam widok złego.

Połaniecki popatrzył uważnie na Osnowskiego, przygryzł wąsy i milczał. Ten zaś po chwili mówił dalej:

— Posłałem po doktora i drugi raz straciłem głowę. Na szczęście była Stefcia Ratkowska i ta poczciwa pani Maszkowa. Obie tak się serdecznie zajęły Anetką, że im będę całe życie wdzięczny. Pani Maszkowa na pozór zdaje się zimna, a to takie serdeczne stworzenie!...

— Ja sędzę wprost — rzekł Połaniecki, chcąc odwrócić rozmowę od pani Maszkowej — że gdyby stary Zawilowski zostawił był Ignasiowi jaki majątek, toby to wszystko nie miało miejsca.

— Być może — odpowiedział Osnowski — ale dla mnie nie ulega wątpliwości, że gdyby Lineta wyszła za Ignasia, to choćby w dodatku posiadał jeszcze cały majątek pana Zawilowskiego, niemniej instynkt jej ciągnąłby ją w stronę wszystkich takich Kopowskich, jakichby jej przyszło w życiu spotkać. To tego rodzaju dusza. Ja jednak niektóre rzeczy rozumiem. Powiedziałem, że można zmysły stracić na myśl, że tak jest, jak jest, ale częściowo zdaję sobie sprawę z tego, co zaszło. To za płaska natura, by mogła pokochać naprawdę takiego Zawilowskiego. Jej potrzeba Kopowskich. Ale wmawiano w nią rozmaite wyższe porywy, a w końcu i ona sama wmówiła w siebie to, czego nie było. Ignasia pociągnęły przez próżność, przez miłość własną, dla opinii ludzkiej i przez nieznajomość siebie samych. Ale co jest nieszczerze, to i nie może trwać. Z chwilą, gdy ich próżność została zadowolona, Ignas przestał im wystarczać. Potem zlekły się, że może z nim nie będzie takiego życia, jakie one jedynie cenią, może obie począł utrudzać jego za wysoki dla nich nastrój. Dodaj pan do tego tę historię testamentu, która nie będąc zapewne główną przyczyną katastrofy, zmniejszyła jednak Ignasia w ich oczach, dodaj przedewszystkiem instynkt Linety, dodaj Kopowskiego, a będziesz miał na wszystko odpowiedź. Są kobiety, takie jak pańska żona, albo jak moja Anetka, a są i takie, jak one!...

Tu pan Osnowski zamilkł znów na chwilę, poczem rzekł:

— Widzę już i zmartwienie i oburzenie pańskiej żony, a żałuję, żeś pan nie widział, jak to przyjęła moja... albo nawet taka pani Maszkowa. Tak! są kobiety i kobiety... Aj, panie, panie! powinniśmy codzień na kolanach Bogu dziękować, że nam dał takie, jakie mamy!

I aż głos zadrgał mu wzruszeniem.

Połaniecki zaś, pomimo, iż na razie chodziło mu głównie o Zawilowskiego, wprost zdumiewał się, jakim sposobem człowiek ten, który przed kilku minutami rozumował tak trafnie i głęboko, mógł być zarazem tak naiwnym. Brał go też gorzki śmiech na wzmiankę Osnowskiego o oburzeniu Maszkowej. Wogóle ogarnęło go poczucie jakiejś przygniatającej ironii życia, której całego bezmiaru nigdy dotąd nie widział tak jasno.

— Pan nie będziesz widział Zawilowskiego? — spytał po chwili.

— Powtarzam panu otwarcie, że nie czuję w sobie dość odwagi; dziś wracam do Przytułowa i dziś z naszej stacyi wyjeżdżamy. Żonę muszę wywieźć, raz dlatego, że sama mnie o to ze łzami prosiła, a powtóre, że od zmiany wrażeń może zależeć jej zdrowie. Pojedziemy gdzieś nad morze, byle nie do Scheveningen, tam, gdzie pojechały one z Kopowskim. Ale mam do pana jedną wielką prośbę. Pan wie, jak ja Ignasia kocham i cenię. Niech mi pan napisze, jak on biedaczysko to przyjmie i co się z nim będzie działo. Prosiłbym o to Świrskiego, ale może go nie zobaczę.

Tu zakrył twarz i rzekł:

— Aj! jakie to wszystko smutne! jakie smutne!

— Dobrze — rzekł Połaniecki. — Przyślij mi pan adres, a ja doniosę panu, jak się rzeczy obróć. Skoro jednak na mnie spada ta ciężka misja powiedzenia Zawilowskiemu co się stało, zechciej mi ją pan ułatwić. Trzeba, żeby miał wiadomość nie od osoby trzeciej lub czwartej, ale od kogoś, co na wszystko patrzył. Usłyszawszy o zajściu odemnie, mógłby przypuścić, że rzecz przedstawiam niedokładnie. W takich razach człowiek chwytą się za każdy cień nadziei. Siądź pan i napisz do niego. Oddam mu pański list, na poparcie tego, co powiem. Inaczej, gotówby może polecić za niemi do Scheveningen. Uważam taki list za rzecz absolutnie potrzebną.

— Czy on tu tymczasem nie nadejdzie?

— Nie. Ojciec jego jest chory i on jest z nim razem. Mojego przyjazdu spodziewa się dopiero po południu. Napisz pan koniecznie.

— Masz pan słuszność, zupełną słuszność — rzekł Osnowski.

I siadł przy biurku.

— Ironia życia! ironia życia! — myślał tymczasem Połaniecki, chodząc w zburzeniu po przyległym pokoju. — Czemu, jeśli nie krwawą ironią jest to, co spotkało Zawilowskiego?.. Czem jest taka panna Castelli ze swoją postacią łabędzia, a instynktami pokojówki, ta „wybranka boża,” jak jeszcze wczoraj mówił Waskowski? Czem jest pani Broniczowa, i Osnowski ze swoją wiarą w żonę, i ataki nerwowe tej żony, spowodowane samem zętknięciem się ze złem *tak czystej* duszy i oburzenie pani Maszkowej?... Nic, tylko śmieszna komedia ludzka, w której jedni oszukują drugich, drudzy oszukują samych siebie; nic, tylko oszukani i oszukujący; nic, tylko pomyłki, zaślepienie, błędy, życiowe kłamstwa, ofiary pomyłek, ofiary oszustwa, ofiary złudzeń, płatanina bez wyjścia; pocieszna i zarazem rozpaczliwa ironia, pokrywająca ludzkie uczucia, namiętności, nadzieje, tak jak śnieg pokrywa zimą pola — i oto życie!

I myśli te były dla Połanieckiego tem cięższe że, powstając na podkładzie czysto osobistym, stawały się zarazem rodzajem obrachunku z własnem sumieniem. Był na to dość egoistą, by przystosowywać wszystko do siebie, a nie był dość głupim, by nie wiedzieć, że w tej przeironicznej komedii ludzkiej odegrał rolę ogromnie nędzną. Położenie było tego rodzaju, że chciałby całą siłą tchu wygwizdać taką pannę Castelli, a jednocześnie rozumiał, że jeśli komu, to jemu, nie wolno nawet jej sądzić. W czemże on był lepszy? w czem mniej ohydny? Ona zdradziła człowieka dla durnia — on zdradził żonę dla bezmyślnej lalki. Ona poszła za swymi instynktami modniarki, on za swymi — pawiana. Ale ona zdeptała tylko sztuczne frazesy, którymi oszukiwała siebie i drugich, on zdeptał zasady. Ona zawiodła ufność, ale złamała tylko słowo — on zawiodł tak samo ufność a złamał więcej niż słowo, bo przysięgę. A wobec tego co? Czy on ma prawo ją potępić? Jeśli zaś nie ma możliwości jej usprawiedliwić, jeśli gotów uznać, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą i oburzającą, żeby taka istota została żoną Zawilowskiego, to jakim prawem on jest mężem Maryni? Jeśli znajdzie choć jedno słowo potępienia dla panny Castelli (a niepodobna przecie go nie znaleźć), to w takim razie, chcąc być konsekwentnym, powinienby rozłączyć się z Marynią, czego jednak nie uczyni nigdy i nie byłby w stanie uczynić. Oto koło błędne! Połaniecki nieraz już przechodził przez gorzkie chwile, z powodu swego *sukcesu*, ale ta była tak ciężka, że aż przejęła go zdziwieniem. Stopniowo stawała się wprost męką. W końcu przez prosty instynkt zachowawczy począł szukać czegoś, coby mu przyniosło choćby doraźną ulgę. Ale próżno mówił sobie, że naprzykład tacy ludzie, jak Kopowski, nie braliby tak, w jego położeniu, rzeczy do serca. Byłoby mu taką samą pociechą, gdyby był pomyślał, że nie braliby tego także do serca kot, albo koń. Próżno przypomniał sobie słowa Balzaka: „Wiarołomstwo, gdy się nie wyda, jest niczem, gdy się wyda — błaźnię”. „Kłamstwo! — powtarzał, zaciskając zęby — dobre mi *nic*, które tak piecze!” Rozumiał wprawdzie, że poza samym faktem może być coś, co sam fakt robi więcej, albo mniej występny; ale rozumiał również, iż w jego wypadku wszystkie okoliczności są takie, że winę czynią niezmierną i nieodpuszczalną. „Oto już teraz — (myślał) — odejmuje mi ona prawo sądu, prawo posługiwania się sumieniem! Człowieka wyższego poświęcono dla durnia, zdeptano go, wepchnięto go w nieszczęście, w tragedję, która może go złamać; uczyniono to w sposób nędzny i płaski — a mnie zasię! nawet w duszy napiętnować taką pannę Castelli!” I nigdy dotąd nie stała mu się tak niemal dotykana prawda, że, jak za pewne występki można zostać pozbawionym udziału w życiu społecznem, tak on został pozbawiony udziału w życiu moralnem. Miał już dość zgryzot, ale teraz spostrzegł nowe jeszcze spustoszenia, których zrazu nie widział. W miarę, jak zastanawiał się nad tragedją Zawilowskiego i jak coraz lepiej ogarniał jej ogrom, poczynął go obejmować głuchy niepokój, podobny do przecucia, że na mocy jakiejś wyższej, tajemniczej logiki, i w jego losach musi zdarzyć się coś strasznego. Kto nosi w sobie zaród śmiertelnej choroby, dla tego śmierć jest tylko kwestją czasu.

Nakoniec jednak znalazł tę ulgę, że myśli jego zwróciły się wyłącznie do chwili obecnej i do Zawilowskiego. Jak on to przyjmie? jak przeniesie? Wobec egzaltacyi Zawilowskiego, wobec jego głębokiej, zaślepionej wiary w narzeczoną i miłości, jaką dla niej czuł, były to pytania wprost groźne. „Wszystko się w nim podrze i wszystko usunie mu się od razu

z pod nóg” — myślał Połaniecki. Wydało mu się, iż jest coś wstrętnego i potwornego w tem, że nawet takie stosunki życiowe, które nie noszą w sobie zarodków tragedji i które powinny się kończyć pomyślnie, kończą się bez dobrej przyczyny źle, i że życie jest jakby lasem, w którym nieszczęścia tropią człowieka, gorzej niż psy zwierza, bo tropią milczkiem. Połaniecki poczuł nagle, że prócz wiary w samego siebie, którą stracił od dawna, mogą się w nim zachwiać i rozmaite inne rzeczy, jeszcze ważniejsze, bo bardziej podstawowe. W tej chwili jednak myślał więcej o Zawilowskim, niż o czemkolwiek innym. Miał dobre serce i Zawilowski był mu blizkim, więc się szczerze wzruszał jego niedolą. „A tamten pisze mu po prostu jakby wyrok — myślał, słysząc z przyległego pokoju skrzywienie pióra Osnowskiego. — Biedne chłopczysko!... I takie to wszystko niezasłużone!”

Osnowski skończył wreszcie list — i otworzywszy drzwi, rzekł:

— Pisałem oględnie, ale napisałem całą prawdę. Niech mu teraz Bóg doda sił! Czy ja się spodziewałem, że taką muszę mu zwiastować nowinę!

Ale pod jego szczerym smutkiem widać było jakby pewne zadowolenie z własnej roboty. Widocznie sądził, że się potrafił wypisać lepiej, niż się sam po sobie spodziewał.

— A teraz raz jeszcze powtarzam gorącą prośbę — rzekł — byś mi pan doniósł choć parę słów o Ignasiu. Ach, gdyby to nie było tak irréparable! — dodał, wyciągając do Połanieckiego rękę — do widzenia! do widzenia!... Napiszę i do Ignasia, ale teraz muszę jechać, bo mnie żona czeka... Daj Boże zobaczyć się nam w szczęśliwszych czasach. Do widzenia! Pani najserdeczniejsze pozdrowienie.

I wyszedł.

— Co zrobić? — myślał Połaniecki. — Czy poprzestać na posłaniu listu Zawilowskiemu do jego mieszkania, czy szukać go, czy czekać tu? W takich chwilach wartoby go nie zostawiać samego, ale ja wieczór muszę wracać do Maryni, więc i tak zostanie sam. Zresztą, kto mu zabroni schować się przed ludźmi. Jabym się także na jego miejscu schował... Muszę być u pani Emilii...

Czuł się tak zmęczony i tą niespodziewaną tragedją, i myślami o sobie, i myślą o ciężkiej roli, jaką mu wypadnie odegrać z Zawilowskim, że z pewnem zadowoleniem przypomniał sobie o tem, że musi być u pani Emilii, a następnie odwiedzić ją do Buczynka. Przez chwilę miał pokusę odłożyć widzenie się z Zawilowskim i oddanie mu listu do następnego dnia, pomiarkował jednak, że Zawilowski, nie zastawszy go w domu, mógłby wybrać się do Buczynka.

— Niech się lepiej dowie wszystkiego tu — rzekł sobie — wobec stanu Maryni, trzeba zachować przed nią zupełną tajemnicę i o tem, co się stało, i o tem, co się stać może. Trzeba również uprzedzić wszystkich, by milczeli. Zawilowski najlepiejby zrobił, wyjeżdżając za granicę. Maryni powiedziałbym, że jest w Scheveningen, a później, że się tam rozmyślili i rozeszli.

Tu znów począł chodzić szerokimi krokami po pokoju i powtarzać:

— Ironia życia! ironia życia!

Poczem gorzyc i wyrzuty przyplęły mu nową falą do duszy. Ogarniało go dziwne uczucie, jakby jakiejś odpowiedzialności za to, co się stało. „Co u licha — powtarzał sobie — przecie ja w tem przynajmniej nie zawiniłem!” Lecz po chwili przyszło mu do głowy, że jeśli osobiście nie zawinił, to w każdym razie jest drzewem z tego samego lasu, co i panna Castelli, i że tacy, jak on, wytworzyli tę społeczno-moralną atmosferę, w której podobne kwiatki mogą wschodzić, rozwijać się i kwitnąć. Na myśl o tem porywała go dzika złość.

Tymczasem w przedpokoju ozwał się dzwonek. Połaniecki był człowiekiem odważnym, jednakże na odgłos tego dzwonka czuł, że serce poczyna mu bić niespokojnie. Zapomniał, że umówił się ze Świrskim, iż razem pójdą na śniadanie, i w pierwszej chwili był pewien, że nadchodzi Zawilowski. Ochłonął dopiero, usłyszawszy w przedpokoju głos malarza, lecz tak był zadowolony, iż przybycie jego sprawiło mu przykrość.

— Ten dopiero rozpuści język! — pomyślał z niechęcią — ten będzie gadał!

Postanowił jednak powiedzieć mu wszystko, bo rzecz i tak nie mogła utrzymać się w tajemnicy. Chodziło mu zaś o to, by Świrski, na wypadek przyjazdu do Buczynka, wiedział, jak zachować się względem Maryni. Omylił się zresztą, przypuszczając, że Świrski będzie go dobijał teoryjami o niewdzięcznych sercach. Malarz wziął rzecz nie od strony ogólnych wywodów, ale od strony Zawilowskiego. Na wywody miał przyjść czas później;

obecnie słuchając Połanieckiego, powtarzał tylko: „A nieszczęście! a niech Bóg broni” — chwilami zaś: „Niechże to piorun trzaśnie!...” — przyczem jego herkulesowe pięście zaciskały się z gniewu.

Połaniecki zaś unosił się stosunkowo i napadał na pannę Castelli bez miłosierdzia, zapominając, że tem samem wydaje wyrok i na siebie. Wogóle jednak rozmowa uczyniła mu ulgę. Odzyskał wreszcie i zwykłą zaradność. Pomyślał, że Zawilowskiego nie można jednak w takiej chwili opuszczać, począł więc prosić Świrskiego, by w zastępstwie odwiózł panią Emilię do Buczyńka i wytłómaczył Maryni jego nieobecność powodami biurowymi. Świrski, który już nie miał po co jechać do Przytułowa, zgodził się najchętniej i gdy zamówiony przez Połanieckiego powóz nadjechał, obaj udali się do pani Emilii.

Praca, nie będąca w żadnym stosunku do jej sił, którą jako Siostra miłosierdzia musiała spełniać, sprowadziła na nią chorobę krzyża. Znaleźli ją wychudłą i zmienioną, z twarzą przezroczywą i nawpół opadniętymi powiekami. Chodziła jeszcze, ale wspierając się na dwóch laskach i nie władając dokładnie ruchami nóg. Jak dawniej praca zbliżyła ją do życia, tak teraz choroba poczęła ją znów od niego oddalać. Żyła tylko w kole swych myśli i wspomnień, patrząc na sprawy ludzkie trochę jak przez sen, trochę już jakby z drugiego brzegu. Cierpiała bardzo mało, co lekarze uważali za zły znak; ale ona, poznawszy nieco jako Siostra miłosierdzia różne choroby, wiedziała, że niema dla niej ratunku, a przynajmniej, że ratunek nie w mocy ludzkiej i pozostała spokojna. Zapytana też przez Połanieckiego o zdrowie, odrzekła, podnosząc z wysileniem powieki:

— Żle chodzę, ale tak mi jest dobrze!

I było jej dobrze. Dokuczał jej jeden tylko moralny skrupuł. W duszy wierzyła najgłębiej, że gdyby pojechała do Lourdes, odzyskałaby z pewnością zdrowie, nie chciała zaś tego czynić i ze względu na odległość Lourdes od grobu Litki, i ze względu na swoją nostalgię za śmiercią. Nie wiedziała jednak, czy ma prawo poniechać czegokolwiek dla podtrzymania danego jej życia, a zwłaszcza, czy ma prawo przeszkadzać lasce i cudom — i niepokoiła się tem.

Obecnie uśmiechała się jej jednak myśl zobaczenia Maryni i była już gotowa do drogi; Świrski miał przyjechać po nią o piątej, tymczasem zaś obaj z Połanieckim poszli na umówiony obiad, Świrski bowiem, mimo całego przejęcia się sprawą Zawilowskiego, czuł się głodny jak wilk. Przyszedłszy, czas jakiś siedzieli w milczeniu, wreszcie Połaniecki rzekł:

— Chciałem pana prosić jeszcze o jedno, mianowicie: byś dał znać pannie Helenie o wszystkim, co zaszło, i zarazem powiedział jej, by nic nie mówiła mojej żonie.

— Dobrze — rzekł Świrski — pójdę jeszcze dziś do Jaśmienia, niby spacerem, i postaram się ją zobaczyć. Jeśli mnie nie przyjmie, napiszę jej na bilecie, że chodzi o Zawilowskiego. Jeśli będzie chciała przyjechać tu, to ją odwiozę, bo ja w każdym razie dziś jeszcze wrócę.

Po chwili zaś spytał:

— Nie mówił też panu Osnowski, czy panna Ratkowska jedzie z nimi, czy też zostaje w Przytułowie?

— Nie mówił nic — odrzekł Połaniecki — panna Ratkowska mieszka zwykle u swojej starszej krewnej, pani Mielnickiej. Jeśli pojedzie, to chyba dla towarzystwa pani Osnowskiej, której anielska natura dostała palpacyjny serca na widok tego, co się stało.

— Aa!! — rzekł Świrski.

— Tak. Innej racyi niema. Panna Ratkowska bawiła u Osnowskich dlatego, że niby Kopowski miał się o nią starać, a skoro Kopowski wystarał się o inną, więc dalszy jej pobyt nie miałby racyi bytu.

— Dalibóg, tak to coś bajecznego! — rzekł Świrski — to, z wyjątkiem Osnowskiej, one tam wszystkie kochały się w tym dudku!

Połaniecki uśmiechnął się ironicznie i kiwnął głową; na ustach uwięzły mu słowa: „bez wyjątku! bez wyjątku!...”

Lecz Świrski rozpoczął teraz swoje wywody o kobiecie, od których dotąd się postrzymywał.

— Ot, widzisz pan! ot, widzisz pan! — mówił. — Ja znam Niemki, Francuzki, a zwłaszcza Włoszki; Włoszki na ogół mniej mają porywów, mniej wykształcenia, więcej temperamentu, ale są szersze i prostsze. Niech tego makaronu nie dojem, jeśli widział gdzie tyle fałszywych aspiracyi i taką niezgodność między naturą, która jest płaska, a frazesem, który jest wysoki. Żebyś pan wiedział, co taka panna Ratkowska mówiła mi o Kopowskim! Albo weź pan tę „Topólkę,” tę „Kolumienkę,” tę „Niteczkę,” tę pannę Castelli. Lilia — co? byłbyś pan przysięgł? Mimoza — co? artystka? Sybilla? złotowłosa i czarnooki ideał na długich nogach? — co? A ot, masz ją pan! Pokazało się! Wybrała nie człowieka, ale mydłką, nie mężczyznę, ale lalę. Jak przyszło co do czego, Sybilla zmieniła się w garderobianę. A ja panu powiadam, że one wszystkie palpitują do modnych mydłków — i niechże je piorun zapali!

Tu Świrski złożył swoją olbrzymią pięść i chciał uderzyć nią w stół, lecz Połaniecki zatrzymał ją w drodze i rzekł:

— Pozwolisz pan, że stało się jednak coś wyjątkowego!

Świrski począł się sprzeczać i utrzymywać, że „one wszystkie takie” — i że wszystkie wolą krawiecką miarę od fidyaszowskiej; stopniowo jednak począł przychodzić do równowagi i przyznał, że panna Castelli może być wyjątkiem.

— Pamiętasz pan, co panu mówiłem, kiedyś pytał o Broniczów? — rzekł — ni zasad, ni charakterów, parweniuszostwo duchowe — nic więcej! On był dureń, a ja pan znasz... Bóg mnie ustrzegł, bo gdyby oni byli wówczas wiedzieli, że ja mam te jakieś głupie szpargały, których im brak, to nie byłoby mi robili min i mogłem się ładnie ubrać! Niechby mnie był las ogarnął!... Jak mnie pan widzisz, tak jadę z Zawilowskim za granicę, bo mam tego dość.

Zapłacili i wyszli. Na ulicy Świrski spytał:

— Co pan teraz robisz?

— Idę szukać Zawilowskiego.

— Gdzie go pan znajdziesz?

— Myślę, że u waryatów, u ojca, a jeśli nie, to będę na niego czekał w domu u siebie.

Lecz Zawilowski zbliżał się właśnie w tej chwili do restauracyi. Świrski spostrzegł go pierwszy z daleka.

— A ot, idzie! — rzekł.

— Gdzie?

— Po drugiej stronie ulicy. Jabym go o wiorstę poznał po jego szczęce. Powiesz mu pan wszystko zaraz? Jeśli tak, to odchodzę. Nie potrzeba wam świadków.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Zawilowski, spostrzegłszy ich również, przyspieszył kroku i stanął przed nimi, ubrany wykwintnie, prawie strojny, i z twarzą wesołą.

— Ojciec mój ma się lepiej! — zawołał nieco zdyszonym głosem, podając im ręce — mam czas i wpadam dziś do Przytułowa.

Lecz Świrski, uściskawszy silnie jego rękę, odszedł w milczeniu. Młody człowiek popatrzył za nim ze zdziwieniem i rzekł:

— Czy pan Świrski obraził się czem?

I spojrzawszy na Połanieckiego, spostrzegł dopiero, że i jego twarz ma jakiś poważny, niemal surowy wyraz.

— Co to znaczy? — spytał — czy co się stało?

Połaniecki zaś, wzięwszy go za rękę, rzekł głosem wzruszonym i serdecznym:

— Mój panie Ignasiu, uważałem pana zawsze nie tylko za wyjątkowy talent, ale i za wyjątkowy charakter. Mam panu oznajmić bardzo złe nowiny, ale jestem pewny, że znajdziesz w sobie dość siły i nie poddasz się nieszczęściu.

— Co się stało? — spytał, zmieniając się w jednej chwili na twarzy, Zawilowski.

Połaniecki skinął na dorożkę i rzekł:

— Siadaj pan!... Na most! — zawołał, zwracając się do woźnicy.

Poczem wydobył list Osnowskiego i oddał go Zawilowskiemu.

Młody człowiek rozerwał pośpiesznie kopertę i zaczął czytać. Połaniecki z wielką tkliwością otoczył go ręką wpół, nie spuszczać oczu z jego twarzy, na której w miarę czytania odbijało się zdumienie, niewiara w to, co czytał, ogłuszenie, a przedewszystkiem

przestrach bez granic. Policzki pobielaly mu jak plótno, widać jednak było, że, odczuwając nieszczęście, nie ogarnia go jeszcze i nie rozumie dokładnie, spojrzal bowiem na Połanieckiego, jakby bezmyślnie, i spytał zająkliwym, cichym głosem:

— Jakże?... jakże ona mogła?...

Następnie, zdjawszy kapelusz, począł wodzić ręką po włosach.

Połaniecki zaś rzekł:

— Nie wiem, co panu napisał Osnowski, ale tak jest!... Tu niema już co umniejszać rzeczy. Miej pan odwagę powiedzieć sobie, że to się stało i stało niepowrotnie. Pana było dla niej szkoda — boś wart więcej, niż to wszystko. Są ludzie, którzy pana prawdziwie cenią i kochają. Ja wiem, że to jest ogromne nieszczęście — i rodzony brat nie bolałby nad panem więcej, niż ja. Ale stało się!... Mój drogi panie Ignasiu! Oni pojechali, Bóg wie gdzie. Osnowsy także. W Przytułowie nikogo niema. Ja rozumiem, co się w panu musi dziać, ale pan masz przed sobą lepszą przyszłość, niż z panną Castelli. Bóg pana do większych rzeczy przeznaczył — i z pewnością dał panu większą niż innym siłę. Pan jesteś solą ziemi. Pan masz wyjątkowe obowiązki i względem siebie i względem ludzi... Ja wiem, że trudno jest machnąć od razu ręką na to, co się kochało — i tego od pana nie wymagam, ale panu nie wolno poddawać się, jak pierwszemu lepszemu, rozpaczy. Mój drogi, biedny panie!

Połaniecki mówił jeszcze długo i mówił z siłą, bo sam się wzruszył. Wypowiadał nawet w dalszym ciągu rzeczy nietylko serdeczne, ale i rozumne: że nieszczęście ma to do siebie, iż stoi, a człowiek czy chce, czy nie chce, musi iść w przyszłość, więc odchodzi od niego coraz dalej. Wlecze się wprawdzie za człowiekiem nic bólu i pamięci, ale coraz cieńsza, albowiem siła rzeczy jest taka, że żyje się jutrem. Wszystko to było prawdą, ale drugą, daleko bliższą, daleko realniejszą i bardziej dotykającą było to, o czym mówił list Osnowskiego. Poza tym faktem istniały tylko puste dźwięki, odbijające się zewnątrznie o uszy, ale tak niezrozumiale i — dla Zawilowskiego tak pozbawione wszelkiego sensu, jak turkot lub jak oddźwięk żelaznych krat mostu, przez który przejeżdżali obecnie z Połanieckim. Zawilowski mógł czuć i myśleć tylko w sposób ogromnie mętny, miał jednak poczucie, naprzód, że to, co się stało, jest wprost niemożliwym, a jednak jest, powtóre zaś, że on się żadną miarą na to zgodzić nie może i nigdy nie zgodzi — co jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Na nic innego nie było w jego głowie miejsca. Nie umiał nawet uświadomić ani tego wszystkiego, co tracił, oprócz panny Linety, ani swego bólu, ani żalu, ani ruiny, ani pustki, ani utraty wszystkich podstaw życia; wiedział tylko, że panny Linety już niema, że go nie kochała, że go opuściła, że wyjechała z Kopowskim, że małżeństwo jego zerwane, że został sam, że to wszystko już się stało — i że on tego nie chce, jako rzeczy nieprawdopodobnej, niemożliwej i strasznej.

A jednak to się stało.

Dorożka zaczęła jechać za mostem wolno, wymijali bowiem stado wołów pędzonych do miasta, a wśród ich ociężałego tupotu Połaniecki mówił dalej. O uszy Zawilowskiego odbijały się słowa: „Świrski, zagranica, Włochy, sztuka;” ale on nie rozumiał, że Świrski, to znaczy znajomy człowiek, zagranica — wyjazd, a Włochy — kraj... On teraz mówił pannie Linecie: „To dobrze, ale cóż ze mną będzie? Jak ty mogłaś o tem nie pomyśleć, że ja cię tak ogromnie kocham?” I przez chwilę wydało mu się, że gdyby ją zobaczył, że gdyby mógł jej powiedzieć, że z ludzkim bólem trzeba się liczyć, toby się rozpłakała i rzuciła mu się na szyję. „Nas jednak tyle rzeczy łączy — mówił jej — przecie ja jestem ten sam, twój...” I nagle wystająca szczeka zaczęła mu drgać, na czole ukazały się żyły, a oczy zaszyły mgłą łez. Połaniecki, który miał nadzwyczaj dobre serce, i który prócz tego sądził, że potrafił go wzruszyć, objął go nagle za szyję i, sam wzruszony, począł go całować w policzek. Lecz rozrzewnienie Zawilowskiego nie trwało długo, albowiem wrócił do poczucia rzeczywistości. „Ja jej tego nie powiem — pomyślał — bo jej nie zobaczę, gdyż odjechała ze swoim narzeczonym — z Kopowskim.” I na tę myśl twarz skamieniała mu na nowo. Począł teraz lepiej uświadamiać całą doniosłość swego nieszczęścia. Uderzyła go po raz pierwszy myśl, że gdyby Lineta umarła, strata jego byłaby mniejszą. Otchłań śmierci zostawia wierzącym nadzieję wspólnego życia na drugim brzegu, niewierzącym — wspólność nicości, a zatem nadzieję jakiegoś wspólnego losu i połączenia się. Przytem śmierć jest bezsilną wobec kochania, które idzie za grób; może drogą duszę zabrać,

ale nie może nam zabronić jej kochać i nie może jej skazić — owszem, przebóstwia ją i czyni nietylko kochaną, ale i świętą. A Lineta, odejmując Zawilowskiemu siebie, to jest najdroższą duszę, odjęła zarazem i nadzieję, i prawo kochania, i prawo żalu, i prawo tęsknoty, i prawo czci; odchodząc sama, zostawiła nadomiar skażoną pamięć. Zawilowski uczył teraz jasno, że jeśli nie potrafi przestać jej kochać, to tem samem będzie nędznikiem, a czuł, że nie potrafi! I z tą dopiero chwilą ogarnął cały ogrom spustoszenia, ruiny, męki. Z tą chwilą zrozumiał, że to jest więcej, niż można znieść.

Połaniecki zaś mówił:

— Jedź ze Świrskim do Włoch, przebolej, mój drogi, przecierp!... Inaczej nie może być. Ale świat jest szeroki! Tyle rzeczy do widzenia, do kochania! Przed tobą wszystko otworem. I przed nikim tak, jak przed tobą. Światu się od ciebie dużo należy, ale i tobie dużo od świata. Mój drogi! Jedź — życie jest naokoło, życie jest wszędzie; przyjdą nowe wrażenia, którym się nie oprzesz, i zajmą ci myśl, złagodzą ból. Nie będziesz się kręcił koło jednego wspomnienia. Świrski pokaże ci Włochy. Zobaczysz, co to za towarzysz i jakie ci horyzonty otworzy. Przytem powiem ci, że człowiek, jak ty, powinien mieć tę siłę, którą ma muszla perłowa, i wszystko zmieniać po prostu w perły. A teraz słuchaj, co ci mówi prawdziwy przyjaciel. Jedź i to zaraz. Przyrzecz mi, że pojedziesz. Da Bóg mojej żonie szczęśliwie przebyć słabość, to może i my się tam na wiosnę wybierzemy. Obaczysz, jak nam będzie doskonale. Cóż, Ignasiu, przyrzeczysz mi — dobrze?

— Dobrze — odpowiedział Zawilowski, usłyszawszy ostatni wyraz, a wogóle nie wiedząc, o co chodzi.

— No, to chwalić Boga! — zawołał Połaniecki. — Wrócimy teraz do miasta i spędzimy wieczór razem. Ja mam coś do roboty w biurze i wybrałem się na dwa dni.

To rzekłszy, kazał zawrócić, bo zresztą i słońce miało się pod zachód. Był śliczny dzień, taki, jakie zdarzają się w końcu lata. Nad miastem unosił się złotawy, delikatny pył; dachy, a zwłaszcza kościelne wieże, połyskiwały po brzegach jakby odbłaskiem bursztynu i, rysując się czysto w przezroczym powietrzu, zdawały się w niem lubować. Czas jakiś jechali w milczeniu.

— Gdzie wolisz zjechać, do mnie czy do siebie? — spytał Połaniecki, gdy wjechali do miasta.

Ruch miejski zdawał się Zawilowskiego otrzeźwiać, spojrzał bowiem zupełnie przytomnie na Połanieckiego i rzekł:

— Od wczoraj nie byłem w domu, bom nocowałem u ojca. Może tam są jakie listy, więc jedźmy do mnie.

I Zawilowski dobrze przewidział, w mieszkaniu bowiem czekał go list od pani Broniczowej z Berlina. Zawilowski gorączkowo rozerwał kopertę i począł czytać, Połaniecki zaś, patrząc na mieniącą się jego twarz, pomyślał:

— I powiedziec, że w nim tai się jeszcze coś nadziei.

Tu przyszedł mu nagle na pamięć ów młody doktor, który w swoim czasie mówił mu o pannie Krasławskiej:

— Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć...

Zawilowski skończył czytanie i, wsparłszy głowę na rękę, począł patrzeć bezmyślnie na stół i leżące na nim papiery. Wreszcie, ocknąwszy się, podał list Połanieckiemu.

— Czytaj pan — rzekł.

Połaniecki wziął list i czytał, co następuje:

„Wiem, że pan wierzył naprawdę w swoje uczucie dla Niteczki, i że w pierwszej chwili, to, co się stało, wyda się panu nieszczęściem; niech mi pan też wierzy, że i mnie, i jej, nie łatwo przyszło zdobyć się na krok stanowczy. Pan może nie potrafił dobrze ocenić Niteczki (mężczyźni tylu rzeczy nie umieją ocenić), ale powinien ją pan być poznać przynajmniej o tyle, żeby wiedzieć, ile ją kosztuje, gdy musi wyrządzić najmniejszą przykrość, nawet komuś obcemu. Ale trudno! taka jest wola boska, której grzech nie słuchać. Czynimy obie to, co nam sumienie nakazuje — i Niteczka zbyt jest prawa, żeby mogła oddać panu rękę, bez prawdziwego przywiązania. To, co się stało, stało się nietylko zgodnie z wolą boską, ale zgodnie z dobrem pana i jej; gdyby bowiem, nie kochając pana dostatecznie, została pańską żoną, jakżeby mogła oprzeć się pokusom, na które taka istota z pewnością będzie wobec światowego zepsucia narażona? Prócz tego, pan ma swój talent, więc pan ma

coś, Niteczka zaś tylko serce, które przymus złamałby w jednej chwili — i jeżeli się panu zdaje, że ona pana zawiodła, niech pan sumiennie pomyśli, czyja wina jest większa? Pan wiele złego wyrządził Niteczce, bo pan opętał jej wolę i nie pozwolił pójść za naturalnym popędem serca, a tem samem poświęcił pan, lub gotów był poświęcić przez egoizm jej szczęście, a nawet życie, jestem bowiem przekonana, że w takich warunkach nie przeżyłaby jednego roku. Niech to panu jednak Bóg przebaczy, tak jak my obie przebaczymy — i niech pan wie, że dziś jeszcze modliłyśmy się za pana, na umyślnie zamówionej na pańską intencję mszy u św. Jadwigi.

„Pierścionek zechciej pan odesłać do willi Osnowskich; pański, ponieważ Osnowscy także mieli zaraz wyjechać, dojdzie pana przez ręce panny Ratkowskiej. Raz jeszcze, niech panu Bóg wszystko przebaczy i zachowa go w swojej opiece.”

— To jest coś niesłychanego! — rzekł Połaniecki.

A Zawilowski odrzekł z rozdzierającym smutkiem:

— To widać z prawdy można toż samo zrobić, co z miłości, a jam się tego nie domyślał.

— Słuchaj mnie Ignasiu — odpowiedział Połaniecki, który pod wpływem współczucia począł mówić Zawilowskiemu *ty* — to już kwestya nietylko twojego nieszczęścia, ale twojej godności. Cierp, ile chcesz, ale powinienes znaleźć siłę do okazania, że o to wszystko nie dbasz.

Nastało długie milczenie. Tylko Połaniecki, przypominając sobie list, powtarzał od czasu do czasu:

— To przechodzi ludzkie pojęcie!

Wreszcie zwrócił się do Zawilowskiego:

— Świrski wraca dziś jeszcze z Buczynka i późnym wieczorem wpadnie do mnie. Chodź i ty. Spędzimy wieczór razem i pogadacie o podróży.

— Nie — rzekł Zawilowski — ja po powrocie z Przytułowa miałem spędzić noc u ojca — i muszę do niego iść. Jutro rano przyjdę do pana i zobaczę się ze Świrskim.

Mówił zaś tak, ponieważ chciał zostać sam. Połaniecki nie sprzeciwił się jego zamiarowi spędzenia nocy w zakładzie, sądził bowiem, że zajęcie przy chorym i opieka nad nim zajmą umysł Zawilowskiego, przytem zaś przyjdzie znużenie i potrzeba snu. Postanowił jednak odprowadzić go aż do zakładu.

Jakoż pożegnali się dopiero przy bramie. Zawilowski jednak, zabawiwszy kilka minut w zakładzie i wypytawszy się dozorczy o ojca, wyszedł i ukradkiem wrócił do domu.

Zapaliwszy świecę, odczytał raz jeszcze list pani Broniczowej, i zakrywszy twarz rękoma, począł rozmyślać. Mimo listu Osnowskiego i mimo wszystkiego, co mu powiedział Połaniecki, jakaś wątpliwość i jakaś nadzieja tały się istotnie w jego duszy. Wiedział, że *stało się*, ale chwilami miał takie uczucie, jakby to nie była rzeczywistość, tylko zły sen. Dopiero list pani Broniczowej dotarł do tego jakiegoś kącika duszy, który jeszcze nie chciał wierzyć — i wypalił w nim resztę złudzenia. Tak! nie było już Linety, nie było przyszłości, nie było szczęścia! Posiadł to wszystko Kopowski, jemu zaś została tylko samotność, upokorzenie i okropna nicość. Zostało mu także wrażenie, że gdyby „Niteczka” mogła mu wydrzeć i talent, o którym wspominała pani Broniczowa, to byłaby wydarła i oddała Kopowskiemu. Czemuż on był dla niej wobec Kopowskiego!? „Tego ja wprawdzie nigdy nie zrozumieć — pomyślał — ale tak jest!...” I począł się zastanawiać, co w nim jest tak nędznego, żeby go tak poświęcić bez miłosierdzia, bez najmniejszej uwagi, żeby się mniej liczyć z nim, niż z najlichszym robakiem. „Czemu ona kocha Kopowskiego, nie mnie, któremu mówiła, że kocha?” I przypomniał sobie, jak mu kiedyś drżała w ramionach, gdy po zaręczynowym wieczorze oddawał jej dobranoc. A teraz drży tak samo w ramionach Kopowskiego. I na tę myśl, porwawszy chustkę, począł ją ścisnąć w zębach, żeby nie krzyknąć z bólu i wściekłości. „Co to jest? dlaczego się to stało!” Był przecie czas, że on jej nie kochał, dlaczego wówczas nie wyszła za Kopowskiego? Co ona mogła mieć w tem, by go tak podeptać bez żadnej potrzeby?

I znów porwał za list pani Broniczowej, jakby spodziewając się znaleźć w nim odpowiedź na te straszne pytania. Przeczytał raz jeszcze ustęp o woli boskiej i o tem, że to on był winien, że on wyrządził wiele złego „Niteczce” — i o tem, że ona mu przebacza, i o mszy, która się odprawiła na jego intencję u św. Jadwigi, a skończywszy, począł patrzeć w świecę, mrugając oczyma i mówić:

— Jakto?... więc to tak można?... Co ja właściwie zawiniłem?...

I nagle uczuł, że poczyna go opuszczać pojęcie, co jest prawda a co fałsz, co krzywda a co dobro, co słuszość a co niesłuszość. Odeszła od niego Lineta, zabrała mu siebie, zabrała przeszłość, a teraz poczęły się usuwać, jedna po drugiej, wszystkie podstawy życia — i rozum, i zmysły, i samo życie... Wiedział jeszcze, że on tę swoją Niteczkę zawsze kochał nad życie i że żadną miarą nie mógł chcieć jej krzywdy, ale poza tem wrażeniem, wszystko, co stanowi istotę myślącą, kruszyło się w nim na proch i jak proch rozlatywało się w tym ogromnym wietrze nieszczęścia.

Jednakże kochał. Lineta rozdawała mu się teraz na dzisiejszą i dawną. Począł sobie przypominać jej głos, twarz, jasno-złote włosy, jej czarne oczy i usta, jej wysoką postać, ręce i to ciepło, które tylekroć wyczuwał od nich ustami. Potężna jego wyobraźnia odtworzyła ją niemal dotykalnie i poznał, że nie tylko tę swoją dawną kochał, ale kocha dotąd, że bez żadnej miary tęskni za nią i bez miary cierpi po jej stracie.

A poznawszy to, jął znów do niej mówić:

— Jakże ty mogłaś przypuszczać, że ja to potrafię przenieść?

W tej chwili nie miał też najmniejszej wątpliwości, że, naprzykład, Bóg wie to bardzo dobrze. Długi czas przesiedział jeszcze w milczeniu i świeca była niemal do połowy wypalona, gdy się ocknął.

Ale wówczas stało się w nim coś nadzwyczajnego.

Miał takie wrażenie, jakby odbijał statkiem od lądu — i zdawało mu się, co wówczas zawsze się zdaje, że to nie on się oddala, ale że od niego odsuwa się ten brzeg, na którym dotąd przebywał. Wszystko, co było nim i wogóle jego życiem, wszystkie myśli, nadzieje i ambicje, cele, zamiary, nawet miłość, nawet panna Lineta, nawet jej strata — i te koła błędne, i te męki, przez jakie przeszedł, wydały mu się nie tylko już od niego oddzielone, ale jakby obce i wyłącznie do tamtego lądu należące. I stopniowo nikły, stopniowo topniały — coraz mniejsze, coraz bardziej widziadłowe, coraz podobniejsze do snu; a on oddalał się, czując, że do tej obczyzny wrócić już nie chce, nie może — i że wszystko, co z niego zostało, należy do tego przestworu, który brał go w siebie i otwierał się przed nim — niezmierny i tajemniczy...

XV

W cztery dni później, w dzień Wniebowzięcia Najśw. Panny, który był zarazem dniem imienin pani Połanieckiej, Bigielowie i Świrski przyjechali do Buczynka. Maryni nie zastała w domu, była bowiem wraz z panią Emilią na niesporach w jaśmieńskim kościele. Pani Bigielowa, dowiedziawszy się o tem, udała się z całą gromadką Bigieląt za niemi. Mężczyźni, pozostawszy sami, rozmawiali o wypadku, o którym od kilku dni rozmawiało całe miasto, to jest o usiłowaniu samobójstwa Zawilowskiego.

— Byłem u niego dziś trzeci raz — rzekł Bigiel — ale służba panny Heleny Zawilowskiej ma rozkaz niedopuszczania nikogo, prócz lekarzy.

— I mnie — rzekł Połaniecki; — dziś pierwszy raz nie mogłem go odwiedzić, ale poprzednich dni spędzałem codziennie u niego po kilka godzin. Żonie mówię, że przesiaduję w biurze dla interesów.

— Powiedz mi, jak to się stało? — spytał Bigiel, który chciał wiedzieć wszystkie szczegóły, by je potem dokładnie po swojemu rozważyć.

— Stało się tak — odrzekł Połaniecki — że Ignas powiedział mi, iż idzie do zakładu obłąkanych do ojca. Byłem z tego rad, bom sądził, że go to oderwie od rozmyślań. Odprowadziłem go jednak aż do bramy i obiecał mi, że nazajutrz do mnie przyjdzie. Tymczasem pokazało się, że chciał się mnie pozbyć, by sobie spokojnie w łeb strzelić.

— Więc ty nie pierwszy go znalazłeś?

— Nie. Nie przypuszczałem nic podobnego i byłbym go czekał do jutra. Na szczęście, panna Helena przyjechała na samą wieść o zerwaniu małżeństwa...

— Ja jej dałem o tem znać — przerwał Świrski — i tak to wzięła do serca, że ażem się zdumiał — jakby przeczuwała co się stanie!

— To dziwna istota — rzekł Połaniecki. — Nie mogłem się wywieść, jak to było, dość, że ona pierwsza go znalazła, ona pierwsza dała mu ratunek, ona pierwsza wezwała całą czeredę doktorów — i wreszcie kazała go przenieść do siebie.

— Ale lekarze utrzymują, że będzie żył?

— Właściwie nic dotychczas nie wiedzą. On musiał przy strzale pochylić broń, tak, że kula, przebiwszy czoło, poszła ku górze i zatrzymała się pod czaszką. Znaleźli i wyjęli ją dość łatwo, ale czy będzie żył — a jeśli będzie, to czy umysł jego ocaleje — nie wiadomo. Jeden z lekarzy obawia się zaburzeń w mowie, ale teraz chodzi jeszcze o życie.

Wypadek, jakkolwiek ogólnie już znany i opisywany dotychczas codziennie przez gazety, czynił zawsze wrażenie tak wielkie, iż czas jakiś trwało milczenie. Świrski, który przy swych muskułach atlety miał kobiecą wrażliwość, przybladł nieco i wybuchnął:

— Przez takie — kabotenki!

Lecz siedzący obok profesor Waskowski rzekł z cicha:

— Zostaw je pan bożemu miłosierdziu.

— Proszę cię — rzekł Bigiel, zwracając się do Połanieckiego — a ty nie podejrzewałeś?

— Ani mi do głowy nie przyszło, żeby miał sobie w łeb strzelić. Oczywiście, widziałem, że się ze sobą łamie. Przez chwilę, gdyśmy jechali, poczęła mu się broda trząść, jakby chciał wybuchnąć płaczem, ale to harda dusza. Pohamował się zaraz i pozornie uspokoił. Głównie zwiódł mnie obietnicą, że nazajutrz przyjdzie.

Po chwili zaś mówił dalej:

— Wiecie, co mi się zdaje? Oto, że taką ostatnią kroplą, która przelała naczynie, był list Broniczowej. Ignas dał mi go do czytania: napisała mu, że to wola boska, a wina po jego stronie, że był egoistą, one zaś idą za głosem sumienia i prawości, że mu przebaczą i proszą Boga, żeby mu także przebaczył, słowem: niesłychane rzeczy! Widziałem, że to zrobiło na nim rozpaczliwe wrażenie — i wyobrażam sobie, co się musiało dziać z człowiekiem, tak skrzywdzonym i tak egzaltowanym, gdy w dodatku zobaczył, że to jemu przypisują krzywdę, gdy zrozumiał, że wszystko można sponiewierać, odwrócić, że można podeptać rozum, prawdę, najprostsze zasady słuszności — i zasłonić się Panem Bogiem. Mnie to przecie nie tyczyło, a gdym obaczył ten cynizm, czy też ten brak moralnego zmysłu, dalibóg, zadałem sobie pytanie, czy ja zwaryowałem, czy też na świecie prawda i uczciwość są tylko złudzeniem.

Tu Połaniecki począł targać gorączkowo brodę, tak wzburzało go samo wspomnienie listu pani Broniczowej, Świrski zaś rzekł:

— Rozumiem, że gdy nawet jest się człowiekiem wierzącym, w takich chwilach można plunąć na życie.

Lecz Waskowski począł trzeć ręką czoło i następnie ozwał się, jakby sam do siebie:

— Tak. Widziałem i takich... Bo są ludzie, którzy wierzą nie z miłości, ale jakby tylko dlatego, że ateizm zbankrutował... jakby z rozpaczy. Kto sobie wyobraża, że tam gdzieś, za zjawiskami, jest, nie Ojciec miłosierny, który kładzie rękę na każdej nieszczęsnej głowie, ale jakiś On, niedostępny, niezbadany i obojętny — wtedy wszystko jedno, czyby się powiedziało: absolut, nirwana — wtedy On jest tylko pojęciem, nie miłością — i nie można go kochać, a gdy przyjdzie nieszczęście, to się pluje na życie.

— To dobrze — odpowiedział opryskliwie Świrski — ale tymczasem Zawilowski leży z rozbitą czaszką, a one pojechały sobie gdzieś nad morze i dobrze im.

— Skąd pan wie, że im dobrze? — spytał Waskowski.

— Pał je licho!

— A ja panu mówię, że to są nieszczęśliwe kobiety. Niewolno bezkarnie deptać prawdy. One będą wmawiały jedna w drugą różne rzeczy, ale jednej wmówić nie potrafią, to jest szacunku dla siebie; poczną sobą po cichu pogardzać — i w końcu nawet to przywiązanie, jakie do siebie mają, zmieni się w skrytą niechęć. To musi nastąpić.

— Pał je licho! — powtórzył Świrski.

— Miłosierdzie boże jest dla złych, nie dla dobrych — zakończył Waskowski.

Tymczasem Bigiel rozmawiał z Połanieckim, podziwiając dobroć i odwagę panny Heleny Zawilowskiej.

— Bo to z tego będą ludzkie gadania, bajeczne — rzekł.

— Ona o to nie dba — odpowiedział Połaniecki. — Ze światem się nie liczy, bo nic od niego nie chce. To także harda dusza. Zawilowskiemu okazywała zawsze wyjątkowe przywiązanie, a jego postępek musiał ją okropnie wstrząsnąć. Wiecie?... Historia Płoszowskiego?...

— Znałem go osobiście — rzekł Świrski. — Ojciec jego przepowiedział mi pierwszy w Rzymie, że wypłynę... O pannie Helenie mówiono bogdaj, że była narzeczona Płoszowskiego.

— Nigdy nią nie była, ale podobno w skrytości serca kochała go ogromnie. Takie już miał szczęście... To pewna, że od jego śmierci zupełnie stała się inną. Dla kobiety, tak wierzącej, jego samobójstwo istotnie musiało być strasznym ciosem, bo co to jest, nie móż się nawet modlić za człowieka, którego się kochało!... A teraz znów Zawilowski!... Jeśli kto, to ona, zrobi wszystko, żeby go uratować. Wczoraj, jak tam byłem, wyszła do mnie ledwie żywa — blada, zmęczona, niewyspana. A tam przecie jest komu go pilnować. Panna Ratkowska mówiła mi o niej, że od czterech dni spała może godzinę.

— Panna Ratkowska? — zapytał żywo Świrski.

— Tak! Zapomniałem powiedzieć: dowiedziała się z gazet o wypadku i tego samego dnia przeniosła się do panny Heleny, żeby czuwać nad Zawilowskim. Biedactwo, także podobniejsze do cienia, niż do człowieka.

— Panna Ratkowska!... — powtórzył Świrski.

I począł mechanicznie szukać ręką w kieszeni od surduta pugilaresu, w którym nosił jej bilet.

Przypomniał sobie teraz jej słowa: „Wybrałam inaczej — i jeżeli nigdy nie będę szczęśliwa, nie chcę przynajmniej wyrzucić sobie później, że byłam nieszczerą”. Teraz dopiero zrozumiał i znaczenie, i rzeczywistą tragedię tych słów. Oto, wbrew wszelkim światowym względom, nie dbając na języki ludzkie, ta młoda dziewczyna poszła teraz pilnować tego samobójcy. Cóż to mogło znaczyć? Rzecz była jasna, jak słońce. Wprawdzie Kopowski wyjechał z inną, ale ona mówiła zawsze otwarcie, co myśli o Kopowskim, a gdyby Zawilowski był jej obojętny, nie szłaby teraz przecie czuwać u jego łóżka.

— Zdaje się, że ja jestem osieł! — mruknął Świrski.

Lecz nie był to jedyny wniosek, do którego po dojrzałszej rozwadze doszedł. Nagle objęła go tęsknota za panną Ratkowską, żal, że się to nie stało, co się mogło stać, i wielka, bezgraniczna litość nad nią: „Spudłowałeś znów, stary dziku — mówił sobie dalej — i dobrze ci tak! Ale dobry człowiek byłby czuł litość, a ty począłeś zgrzytać; posądzałeś ją o miłość dla durnia, o udawanie aspiracyi, o płaską naturę; obgadywałeś ją przed panią Połaniecką i przed nim; krzywdziłeś słodkie i nieszczęsne stworzenie, nie dlatego, by cię jej odmowa zbyt bolała, ale przez miłość własną. Dobrze ci tak! dobrze! Jesteś osieł, jesteś jej nie wart i będziesz się kołatał sam do śmierci, jak mandryl za kratą w menażeryi”.

Była w tych zarzutach część prawdy. Świrski nie kochał się na dobre w pannie Ratkowskiej, ale jej odmowa ubodła go głębiej, niż sam przyznawał — i nie umiając zapanować nad swą goryczą, wdawał się w ogólne wywody o kobietach, cytując pannę Ratkowską, jako przykład — z ujmą dla niej.

Teraz zaś poznał całą czczość podobnych wywodów. — „Te głupie syntezy gubiły mnie zawsze — myślał. — Kobiety są to indywidualia, jak wszyscy ludzie — i pojęcie ogólne: kobieta, nic nie objaśnia. Jest taka panna Castelli, jest taka pani Osnowska, w której przypuszczam rozmaite szelmowstwa, nie mając zresztą na to dowodów; ale z drugiej strony, jest pani Połaniecka, pani Bigielowa, jest siostra Aniela i panna Helena, i panna Stefcia. Biedne dziecko — i dobrze mi tak! Ona się tam po cichu martwiła, a jam zgrzytał. Jeżeli taka dziewczyna nie jest dziesięć razy więcej warta ode mnie, to to słońce nie jest warte mojej fajki. Miała świętą rację, dawszy odkosza takiemu bawołowi. Pojadę sobie na Wschód i basta! Takiego światła, jak w Egipcie, niema na świecie!... I co to jest uczciwa kobieta! Przecie ona zrobiła mi dobrze nawet swoją odmową, bom się przez nią przekonał, że moje teorye o kobietach można psu o grzbiet potluc. Ale żeby panna Zawilowska postawiła cały pułk dragonów przed drzwiami, to muszę tamtę biedaczkę zobaczyć i powiedzieć jej, co o niej myślę.

Jakoż nazajutrz udał się do domu panny Heleny. Nie chciano go wpuścić, ale nastawał tak, że wreszcie został przyjęty. Panna Helena, sądząc, że powoduje nim wyłącznie przyjaźń i troskliwość, wprowadziła go nawet do pokoju, w którym leżał ranny. Tam, w mroku zapuszczonych rolet, ujrzał Zawilowskiego, od którego bił zdala zapach jodoformu, z obwiązaną głową i z wystającą szczęką, a przy nim te dwie kobiety wymęczone, z gorączką od bezsenności w twarzach, i rzeczywiście do dwóch cieniów podobne. Zawilowski leżał

z otwartymi ustami, zmieniony, nic do siebie niepodobny, jakby bez porównania starszy, z opuchliną na powiekach, wychylających się z pod bandażu. Świrski polubił go był bardzo — i przy swej wrażliwości miał dla niego nie mniej współczucia od Połanieckiego lub Osnowskiego — jednakowoż uderzyła go teraz jego szpetność. — „Ten się dopiero urządził” — pomyślał, poczem, zwróciwszy się do panny Heleny, spytał półgłosem:

— Nie odzyskał przytomności?

— Nie — odpowiedziała szeptem.

— Cóż doktor mówi?

Panna Helena poruszyła swemi wychudłemi dłońmi, na znak, że wszystko jeszcze niepewne, poczem szepnęła znowu:

— Dziś piąty dzień...

— I gorączka mniejsza — dodała panna Ratkowska.

Świrski chciał ofiarować swoje usługi do pilnowania chorego, ale panna Zawilowska wskazała mu oczyma młodego lekarza, którego zrazu nie mógł w mroku dostrzedz, a który, siedząc w fotelu obok stołu z miednicą i stosami jodoformowej waty, drzemał ze zmęczenia, czekając, póki drugi go nie zmieni.

— Mamy dwóch — szeptała panna Ratkowska — a prócz nich, ludzi z domu zdrowia, którzy umieją obchodzić się z chorym.

— Panie ogromnie się jednak męczą.

— Tu chodzi o chorego!... — odpowiedziała, spoglądając w stronę łóżka.

Świrski poszedł za jej wzrokiem. Oczy jego przyzwyczyły się już lepiej do mroku i dojrzał teraz wyraźnie twarz Zawilowskiego, nieruchomą, z wargami prawie czarnymi. Długie jego ciało było również nieruchome, tylko palce wychudłej ręki, leżącej na kołdrze, poruszały się jednostajnym ruchem, jakby ją drapiąc.

— Wywiozą go za parę dni, jak Bóg na niebie! — pomyślał, wspominając swego kolegę, owego „Słowianina”, z którym droczył się swego czasu Bukacki, a który, strzelivszy sobie w głowę, zmarł dopiero po dwóch tygodniach męki.

Chcąc jednak dodać otuchy kobietom, rzekł wbrew temu, czego był pewien:

— Tego rodzaju rany, albo zaraz są śmiertelne, albo się leczą.

Panna Helena nie odpowiedziała nic, tylko twarz ściągnęła się jej kurczowo i usta pobladły. Widocznie w jej duszy taила się straszna myśl, że on *także* może umrzeć, a nie chciała jej dopuścić. Miała dość jednego tamtego samobójstwa — i zarazem chodziło jej o coś więcej, niż o uratowanie Zawilowskiemu życia.

Świrski począł się żegnać. Wchodził tu z przygotowaną przemową do panny Ratkowskiej, której postanowił się przyznać, że ją niesłusznie posądzał, wyrazić całą cześć, jaką dla niej żywił, i prosić o przyjaźń, ale wobec rzeczywistej tragedii tych dwóch kobiet, wobec tej grozy śmierci i tego pół-trupa, uznał natychmiast, że wszystko, co miał zamiar powiedzieć, było liche, małe, i że tu na takie marne, osobiste rzeczy nie pora.

Przycisnął tylko do ust w milczeniu rękę panny Heleny, a następnie panny Ratkowskiej — i wyszedłszy z tego pokoju przesyconego nieszczęściem i jodoformem, odetchnął głęboko.

W jego malarskiej wyobraźni przedstawił się teraz wyraźnie Zawilowski, zmieniony, o dziesięć lat starszy, z obwiązaną głową i czarnymi wargami.

I pomimo całego współczucia, jakie dla niego miał, chwyciło go nagłe oburzenie.

— Przedziurawił sobie czaszkę — mruknął — przedziurawił talent — i ani dbał! A tamte, niebogi, dusze z siebie wywłóczą i trzęsą się jak liście.

Poczem ogarnęło go jakby uczucie zazdrości, jakby żal nad samym sobą i jął monologować:

— Cóż, stary! A gdybyś ty naprzykład zapakował sobie w swój talent kawałek ołowiu, niktby przy tobie nie chodził tak na palcach!

Dalsze rozmyślenia przerwał pan Pławicki, który, spotkawszy go na skrócie ulicy, zatrzymał i począł rozmawiać.

— Ja dopiero z Karlsbadu — rzekł. — Panie! ile przystojnych kobietek! Dziś jadę do Buczynka... Widziałem już Połanieckiego i wiem, że córka zdrowa; ale on się jakoś ściągnął.

— Bo miał zmartwienie. Słyszał pan o Zawilowskim?

— Słyszałem! słyszałem! A cóż panie? — co pan na to?
— Niestety!
— Niestety, ale i to, że dziś niema zasad. Wszystko to te nowe wymysły, te wasze ateizmy, hipnotyzmy, socjalizmy. Młódzież nie ma zasad — ot, co!...

XVI

Połaniecki, pod wrażeniem katastrofy, zapomniał zupełnie o obietnicy uczynionej Osnowskiemu, że napisze mu, jak Zawilowski przeniósł zerwanie małżeństwa i odjazd panny Castelli. Osnowski jednak, dowiedziawszy się o wypadku z gazet, począł codziennie wypytywać depezbami o stan chorego — i niepokoił się nim ogromnie. W prasie i publiczności krążyły najsprzeczniesze wieści. Niektóre pisma donosiły, iż stan ów jest bez nadziei, inne przepowiadały rychłe wyzdrowienie. Połaniecki przez długi czas nie mógł też donieść nic pewnego, i dopiero po dwóch tygodniach przesłał depezbę, że chory przestał się wahać między życiem a śmiercią — i że lekarze ręką już stanowczo za jego ocalenie.

Osnowski odpowiedział obszernym listem, w którym donosił zarazem rozmaite nowiny z Ostendy.

— „Bóg panu zapłać za dobrą wiadomość. Więc to już stanowczo wszelkie niebezpieczeństwo minęło? Nie umiem panu wypowiedzieć, jaki ciężar spadł z serca nam obojgu. Powiedz pan Ignasiowi, że nietylko ja, ale i moja żona przyjęła ze łzami nowinę o jego ocaleniu. Ona o nikim innym teraz nie mówi i nie myśli, tylko o nim. Ach panie, co to są kobiety! — możnaby tomy o tem pisać! Anetka, to przecie wyjątek, a da pan wiarę, że, pomimo całego przerażenia, żalu i współczucia, Ignas urósł jeszcze w jej oczach przez ten nieszczęsny postępek. One szukają zawsze strony romantycznej, tak dalece, że nawet i w Kopowskim, Anetka, która zna całą jego głupotę, widzi teraz, jako w sprawie nieszczęścia, coś demonicznego. Ale przedewszystkiem, chwała Bogu za ocalenie Ignasia! Niech żyje na chwałę naszego społeczeństwa i niech znajdzie godną siebie istotę. Z depebzy pańskiej wnoszę, że jest pod opieką panny Heleny. Niech i jej da Bóg wszystko dobre za takie pocziwe serce. Ona istotnie nie ma nikogo bliższego na świecie — i wyobrażam sobie, że Ignas przez wspomnienie Płoszowskiego jest jej jeszcze droższy.

„Teraz gdy mnie pan już uspokoił o jego życie, mogę wam przesłać kilka wiadomości o ciotce Broniczowej i o Linecie. Może pan już słyszał, że one tu są, wraz z Kopowskim. Pojechały naprzód do Scheveningen, ale dowiedziały się, że tam ospa, więc uciekły do Ostendy, nie przypuszczając, że i my tu jesteśmy. Spotkaliśmy się kilkakrotnie w Kursalu — i udawaliśmy, że się nie znamy. Kopowski zostawił nawet u nas bilety, ale go nie rewizytowałem, pomimo, iż, jak słusznie mówi moja żona, on w tem wszystkim daleko mniej winien od nich. Dopiero po otrzymaniu tej depebzy, w której mi pan donosisz, że Ignas stanowczo uratowany, zdawało mi się, że sama ludzkość nakazuje im ją posłać — i tak zrobiłem. Im się i tak tu źle dzieje, bo znajomi odsuwają się od nich — chciałem więc, by przynajmniej to wiedziały, iż nie mają życia ludzkiego na sumieniu, tem bardziej, że Lineta jakoby jednak odczuła postępek Ignasia. Jakoż tego samego dnia były u nas z wizytą, i żona moja je przyjęła. Ona słusznie mówi, że zło jest chorobą moralną, a w chorobie nie godzi się krewnych opuszczać. Wogóle to pierwsze zetknięcie się było i ciężkie i kłopotliwe dla obu stron. O Ignasiu nie mówiliśmy ani słowa. Kopowski występuje tu jako narzeczony Linety, ale nie wydają się zbyt uszczęśliwieni, choć, co prawda, to ona stosowniejsza dla niego, niż dla Ignasia, i pod tym przynajmniej względem wszystko, co zaszło, można uważać za zrzędzenie boże. Wiem też od osób postronnych, że tak przedstawia rzecz i ciotka Broniczowa. Nie potrzebuję panu mówić, jak mnie złości to nadużywanie imienia boskiego. Wiem, że niektórym z bawiących tu znajomych próbowała wmówić, iż zerwały z Ignasiem z powodu jego braku uczuć religijnych; innym opowiadała historye o jego despotyzmie i niezgodności usposobień z Linetą. Wszystko to jest oszukiwanie, nietylko świata, ale i siebie. Ciotka, przez ciągle wmawianie sobie i innym, sama w końcu uwierzyła w podniosły charakter Linety — i pod tym względem doznała ogromnego zawodu. Poczująca się wprawdzie do obowiązku osłaniania jej, wymyśla Bóg wie co na jej obronę i miota się, jak szalona, ale poczucie zawodu w niej tkwi i myślę, że się tem gryzie, bo zmizerniała mocno. Chodzi też im widocznie o stosunki z nami; myślą, że je to niejako zwiąże napowrót ze światem, ale chociaż żona moja je

przyjęła, oczywiście, stosunki nasze nie mogą powrócić do dawnej normy. Ja pierwszy nie mógłbym na to pozwolić, ze względu na mój obowiązek dobierania dla żony odpowiedniego towarzystwa. Ślub Linety z Kopowskim ma się odbyć podobno za dwa miesiące w Paryżu. Naturalnie, że nie będziemy. Żona moja zresztą patrzy na to bardzo sceptycznie. Rozpisałem się obszernie, w nadziei, że w ten sposób zobowiązę pana do równie obszernej odpowiedzi ze wszelkimi szczegółami o Ignasiu. Gdy stan zdrowia jego na to pozwoli, niech go pan uściska odemnie i niech mu pan powie, że ma i zawsze będzie miał we mnie najserdeczniejszego, duszą i sercem oddanego mu przyjaciela.”

Pani Marynia, mimo spóźnionej pory, mieszkała jeszcze w Buczynku, więc Połaniecki, odebrawszy ten list w biurze, pokazał go najpierw Bigielom, u których był na obiedzie.

— Z jednej rzeczy się cieszę — rzekła, przeczytawszy list, pani Bigielowa — oto, że ona wychodzi sobie zaraz za tego Kopowskiego. Inaczej bałabym się, że w Ignasiu znów się coś odezwie i że, wyzdrowiawszy, gotówby do niej powrócić.

— Nie. Zawilowski ma dużo charakteru i myślę, że nie wróciłby w żadnym razie — rzekł Bigiel. — Jak myślisz, Stachu?

Bigiel tak był przyzwyczajony pytać w każdym wypadku o zdanie współnika, że i w tym nie umiał się bez niego obejść.

— Ja myślę, że one, gdy się rozpatrzą, co zrobiły, prędzejby gotowe były wrócić, a co do niego, żyłem już tyle lat i widziałem tyle nieprawdopodobnych rzeczy, że za nikogo nie ręczę.

W tej chwili Połanieckiemu znów przypomniały się słowa: „Ja wiem, jaka ona jest, ale nie mogę od niej duszy odedrzeć.”

— A tybyś wrócił na jego miejscu? — spytał Bigiel.

— Myślę, że nie, ale nie zaręczam i za siebie. Przedewszystkiem nie byłbym sobie w łeb strzelał. Zresztą, nic nie wiem.

I mówił to z wielkiem zniechęceniem, pomyślał bowiem, że jeśli kto, to on, nie miał prawa za siebie ręczyć.

Lecz pani Bigielowa zaczęła mówić:

— Dałabym nie wiem co, żeby Ignasia zobaczyć, ale doprawdy, że łatwiej fortecę zdobyć, niż się do niego dostać. I nie rozumiem, dlaczego panna Helena tak go broni przed ludźmi, nawet tak życzliwymi, jak my.

— Ona go broni przed ludźmi, bo mu doktor nakazał bezwzględny spokój. Zresztą jemu, od czasu jak odzyskał pamięć, widok ludzi, choćby najżyczliwszych, jest ogromnie przykry. I to się rozumie. Nie może przecie z nimi mówić o swoim postępku, a widzi, że każdy, kto się do niego zbliża, myśli nie o czem innym, tylko o tem.

— A pan bywa u niego codzień!

— Mnie dopuszczają, bo ja należałem poniekąd do sprawy od początku. Pierwszy przecie doniosłem mu o zerwaniu małżeństwa — i niby to go pilnowałem.

— Czy on tę dziewczynę jeszcze wspomina?

— Pytałem o to panny Heleny i panny Ratkowskiej: powiedziały mi, że nigdy. Sam przesiaduję także przy nim godzinami i nie słyszałem nigdy nic. To jest dziwna rzecz: on jest przytomny, wie że jest ranny, wie że chory, ale zdaje się przytem nic nie pamiętać rzeczy przeszłych, tak jakby przeszłość wcale nie istniała. Lekarze mówią, że rany w głowę powodują różne takie najszczególniejsze objawy. Zresztą poznaje każdego, kto się do niego zbliży; okazuje ogromną wdzięczność pannie Helenie i pannie Ratkowskiej. Szczególniej lubi pannę Ratkowską i widocznie tęskni za nią, gdy na chwilę od niego odejdzie. Ale też one obie — dalibóg! — słów na to niema — jakie pocziwe.

— Mnie szczególniej wzrusza panna Ratkowska — rzekła pani Bigielowa.

Bigiel zaś wtrącił:

— Ja, zastanowiwszy się dobrze nad wszystkim, doszedłem do wniosku, że ona musiała się w nim kochać.

— Niepotrzebnieś tracił czas na namysł — odpowiedział Połaniecki — bo to jasna rzecz, jak słońce. Biedactwo chowało w sobie uczucie, póki nie przyszło nieszczęście. Dlatego odrzuciła taką partyę, jak Świrski. Nie robię z tego tajemnicy, bo sam Świrski rozpowiada to na wszystkie strony. Jemu się zdaje, że winien jej zadośćuczynienie za to, iż posądził ją o miłość do Kopowskiego. Gdy Zawilowski strzelił do siebie, ona była po

odjeździe Osnowskich u swojej krewnej, pani Mielnickiej, ale dowiedziawszy się, że panna Helena zabrała Ignasia, przyszła do niej i uprosiła ją, by jej pozwoliła zostać. Wszyscy doskonale wiedzą, jak to rozumieć, ale ona się z takimi względami nie liczy, również jak i panna Helena.

Tu Połaniecki zwrócił się do pani Bigielowej:

— Ach pani! panią najbardziej wzrusza panna Ratkowska, ale niech pani pomyśli, co to za, dalibóg, tragiczna postać taka panna Helena. Zawilowski przynajmniej żyje, a Płoszowski lepiej wymierzył. I wedle jej pojęć, niema dla niego miłosierdzia nawet na tamtym świecie. A ona go kocha. Oto położenie! Wreszcie po takim jednym samobójstwie przychodzi to drugie, rozdziera wszystkie rany, odświeża wszystkie wspomnienia. Panna Ratkowska może być sobie wzruszająca, ale tamta ma życie złamane raz na zawsze, żadnej nadziei, tylko rozpacz.

— Prawda, prawda! Ale ona musiała przywiązać się do Ignasia, skoro nim się tak opiekuje...

— Ja rozumiem, dlaczego ona to robi. Oto za ratunek Zawilowskiego chce wyprosić u Pana Boga miłosierdzie dla tamtego.

— To być może — rzekł Bigiel. — A Zawilowski, kto wie, czy nie ożeni się z panną Ratkowską, jak wyzdrowieje.

— Jeśli zapomni o tamtej, jeśli się nie złamie i jeśli wyzdrowieje.

— Jakto, jeśli wyzdrowieje? Sam przecie mówiłeś, że to już niewątpliwe.

— Niewątpliwe, że będzie żył, ale pytanie, czy będzie dawnym Zawilowskim. Choćby sobie był w głowę nie strzelał, to i wówczas trudnooby było orzec, czyby takie przejście nie zламаło człowieka, tak egzaltowanego. A dodaj jeszcze rozbitą głowę! Za to się przecie płaci. Kto tam wie, co będzie dalej, ale teraz, na przykład, niby to przytomny, niby mówi z sensem, a czasem utnie i nie może sobie przypomnieć najprostszego wyrazu. Dawniej się nigdy nie zaciął. I to dziwne, że nazwy rzeczy pamięta dobrze, ale jak chodzi o jaką czynność, najczęściej staje — i albo sobie przypomni z wysileniem, albo wcale.

— A cóż doktor?

— W Bogu nadzieja, że to przejdzie — i doktor też jej nie traci. Jednak wczoraj jeszcze, jakem tylko wszedł, powiedział: „Pani...” i uciął. Widocznie chodziło mu o Marynię, którą sobie nagle przypomniał — ale nie umiał o nią spytać. Z każdym dniem więcej mówi — to prawda, tylko, nim przyjdzie do siebie, może jeszcze dużo czasu upłynąć, a jakieś ślady mogą na zawsze pozostać.

— A Marynia wie już o wszystkim?

— Póki nie było pewności, że będzie żył, trzymałem wszystko w tajemnicy, ale potem wołałem jej powiedzieć. Oczywiście zachowałem wszelkie ostrożności. Całkowitego sekretu trudno było dłużej utrzymać. Znadto ludzie o tem mówią i bałem się, żeby nie dowiedziała się z boku. Powiedziałem jej zresztą, że jest lekko ranny i że nic mu nie grozi, ale że lekarze zakazują go odwiedzać. I tak zmartwiła się ogromnie.

— Kiedy ją pan zabierze do miasta?

— Póki pogoda, wolę, żeby siedziała na wsi.

Dalszą rozmowę przerwał list, który Połanieckiemu oddał służący. List był od Maszki i zawierał następujące słowa:

— „W twoim własnym interesie chcę się z tobą widzieć. Będę cię czekał u siebie do piątej.”

— Ciekawym, czego ten chce? — rzekł Połaniecki.

— Kto taki?

— Maszko. Chce się ze mną widzieć.

— Interesa i interesa! — rzekł Bigiel. — Ten ma ich wyżej uszu. Czasem doprawdy dziwię się, skąd mu starczy sił i głowy na to wszystko. Czy wiesz, że pani Krasławska przyjechała i że całkiem straciła oczy? Nic już nie widzi — ale to, co się zowie — nic! Byliśmy u tych pań przed wyjazdem ze wsi. Gdzie się obrócić — bieda ludzka, aż litość bierze patrzeć.

— Ale też w nieszczęściu każdy się pokazuje tem, czem jest — odrzekła pani Bigielowa. — Pamięta pan, żeśmy uważali panią Maszkową za charakter trochę oschły, a tymczasem nie uwierzy pan, jaka ona jest dobra dla matki. Nie pozwala się służącej do niej zbliżyć, sama ją wszędzie oprowadza, posługuje jej, czyta. Prawdziwie, że mi sprawiła

miłą niespodziankę, a raczej obie, bo i pani Krasławska straciła całkiem dawną fanaberyę. Przyjemnie patrzeć, jak się te kobiety kochają. Pokazuje się, że w pani Maszkowej było jednak coś, na czym nie umieliśmy się poznać.

— Obie też ogromnie oburzały się postępkami panny Castelli — dodał Bigiel. — Pani Krasławska powiedziała nam: „Gdyby moja Terka tak postąpiła, to, jak jestem ślepa i potrzebująca opieki, takbym się jej wyparła.” Ale pani Maszkowa jaka jest taka jest, a takby nie postąpiła, bo to inny gatunek kobiety.

Połaniecki wypił swoją filiżankę czarnej kawy i począł się żegnać. Wszelka rozmowa o pani Maszkowej stała mu się od pewnego czasu nieznośną, a oprócz tego wydało mu się, że znów słyszy jakiś ustęp z tej dziwnej komedii ludzkiej, która rozgrywała się koło niego i w której on odgrywał także swą marną rolę. Nie przyszło mu na myśl, że natura ludzka jest tak złożona, iż nawet w najlichszej mogą się jeszcze znaleźć jakieś pierwiastki dobre, i że pani Maszkowa, mimo wszystkiego, może być jednak kochającą córką. Wogóle wolał o tem nie myśleć, a natomiast począł się zastanawiać nad pytaniem, czego może od niego chcieć Maszko. Zapomniawszy, iż Maszko napisał w liście, iż chce go widzieć, nie w swoim, ale w jego własnym interesie, przypuszczał z pewnym niepokojem, że znowu zechce od niego pieniędzy.

— A ja — pomyślał — teraz mu ich nie odmówię.

I przyszło mu do głowy, że życie jest podobne do maszyneryi zegarka. Gdy w jednym kółku coś się zwichnie, wszystkie poczynają działać nieprawidłowo. Co za związek mógł istnieć między jego zejściem z panią Maszkową, a jego interesami, jego kasą i jego kupiectwem? A jednak poczuł, że nawet jako kupiec nie ma — przynajmniej względem Maszki — takiej swobody, jaką miał dawniej.

Jednakże przypuszczenia jego okazały się mylne. Maszko nie przyszedł żądać pieniędzy.

— Szukałem cię w biurze i w domu — rzekł — wreszcie domyśliłem się, że musisz być u Bigielów i posłałem tam kartkę. Chcę z tobą pomówić w twojej własnej sprawie.

— Czem ci mogę służyć? — spytał Połaniecki.

— Przedewszystkiem, proszę cię, by to, co powiem, zostało między nami.

— Dobrze. Słucham cię.

Maszko patrzył przez chwilę w milczeniu na Połanieckiego, jakby chcąc go przygotować tem milczeniem do jakiejś ważnej wiadomości, wreszcie rzekł z dziwnym spokojem, odmierzając każdy wyraz:

— Chciałem ci powiedzieć, że jestem zgubiony bez ratunku.

— Przegrałeś sprawę?

— Nie. Sprawa przyjdzie dopiero za parę tygodni, ale wiem, że ją przegram.

— Skąd masz tę pewność?

— Pamiętasz, com ci kiedyś mówił, że sprawy o zwalenie testamentów prawie zawsze się wygrywa dlatego, że atak jest zwykle energiczniejszy, niż obrona, że na zwaleniu zwykle osobiście komuś zależy, a na utrzymaniu, nie. Na świecie do wszystkiego można się przyczepić, bo choć co jest zgodne z duchem prawa, zawsze niemal, w mniejszym lub większym stopniu, nie czyni zadość jego literze, a sądy muszą trzymać się litery.

— Tak. To wszystko mówiłeś.

— Otóż tak jest i z tą sprawą, której ja się podjąłem. Nie była ona tak awanturnicza, jak się zdaje. Mnie wszystko zależało na tem, żeby zwalić testament — i byłbym może potrafił wykazać pewne jego niezgodności z literą prawa, gdyby nie to, że ktoś, równie namiętnie, usiłuje wykazać, że ich niema. Długo ci o tem nie będę rozpowiadał, dość, żebyś wiedział, iż mam doczynienia nietylko z przeciwnikiem adwokatem — i to z kutym na cztery nogi, ale z osobistym nieprzyjacielem, któremu chodzi nietylko o sprawę, ale o to, by mnie zgubić. Niegdyś sponiewierałem go i teraz się mści.

— Ja wogóle nie rozumiem, jakim sposobem nie masz do czynienia wyłącznie z prokuraturą?

— Bo są i zapisy prywatne, w których obronie strona przeciwna udała się do tego Śledzia. Zresztą mniejsza z tem. Sprawę muszę przegrać, bo jest w tych warunkach do przegrania, i gdybym był Śledziem, tobym ją wygrał, tak jak ją wygra on. Z góry to wiem — i nie łudzę się. Dość już tego wszystkiego.

— To pójdziesz dalej; będziesz apelował.
— Nie, mój kochany. Ja już nie mogę iść dalej.
— Dlaczego?

— Dlatego, że mam długów więcej niż włosów na głowie, że po pierwszej przegranej wierzyciele rzucą się na mnie — i że (tu Maszko zniżył głos) ja muszę wyjechać...

Nastało milczenie. Maszko wsparł łokieć na kolanie, głowę na dłoni i czas jakiś siedział pochylony — po chwili zaś, nie podnosząc głowy, począł znów mówić, jakby sam do siebie:

— Urwało się. Wiązałem rozpaczliwie, póki mi ręce nie ustały; każdemu zbrakłoby sił, a ja jeszcze wiązałem. Ale już nie mogę! Bóg widzi, już nie mam sił. Każda rzecz musi mieć swój koniec — i niech się to raz skończy.

Tu odetchnął, jak człowiek ogromnie zmęczony. Poczem podniósł głowę i rzekł:

— To jednak tylko moja sprawa, a ja przyszedłem, by mówić o twoich. Słuchaj! Według kontraktu zawartego przy sprzedaży Krzemienia, miałem po rozparcelowaniu Magierówki spłacić twoją żonę; ty masz prywatnie u mnie kilka tysięcy rubli. Twojemu teściowi mam wypłacać dożywotnią rentę. Otóż przychodzę ci powiedzieć, że nie za tydzień, to za dwa, uciekam za granicę, jako bankrut — i że grosza z tego nie będziecie widzieli.

I Maszko, powiedziawszy to wszystko z całą dobitnością i zuchwałstwem człowieka, który nie ma już nic do stracenia, począł patrzeć w oczy Połanieckiego, jakby szukając burzy.

Lecz zawiódł się najzupełniej. Połanieckiego twarz pociemniała wprawdzie na jedno mgnienie oka, jakby z tłumionego gniewu, ale po chwili uspokoił się i rzekł:

— Ja się zawsze spodziewałem, że się to tak skończy.

Maszko, który, wiedząc z kim ma do czynienia, przypuszczał raczej, że Połaniecki chwyci go za kołnierz, popatrzył na niego ze zdziwieniem, jak gdyby chciał go spytać, co mu się stało?

A Połaniecki w tej chwili pomyślał:

— Gdyby chciał jeszcze ode mnie na drogę — tobym mu nie mógł odmówić.

Głośno zaś powtórzył:

— Tak! to było do przewidzenia.

— Nie! — odrzekł Maszko, z namiętnością człowieka, który nie chce rozstać się z myślą, że wszystkiemu winien tylko zbieg wyjątkowych okoliczności — tego nie masz prawa mówić. Ja, na godzinę przed śmiercią, gotówem powtórzyć, że mogło pójść inaczej.

A Połaniecki spytał, jakby z odcieniem niecierpliwości:

— Mój kochany, czego ty właściwie ode mnie chcesz?

Maszko ochłonął i odrzekł:

— Ja od ciebie niczego nie chcę. Przyszedłem tylko, jako do człowieka, który mi zawsze okazywał życzliwość i u którego, prócz długów pieniężnych, zaciągnąłem jeszcze dług wdzięczności — żeby ci wyznać otwarcie, jak rzeczy stoją i zarazem powiedzieć: ratuj co można i ile można.

Połaniecki zacisnął zęby. Sądził, że nawet w tej ironii życia, której zgrzyt słyszał ciągle od pewnego czasu wokół siebie, powinna być pewna miara. Tymczasem słowa Maszki o przyjaźni i długu wdzięczności wydały mu się czemś po prostu przechodzącym tę miarę: „Niech dyabli wezmą pieniądze i ciebie — byleś raz sobie poszedł!” — pomyślał w duchu.

Lecz, potłumiwszy w sobie chęć wypowiedzenia tego głośno, rzekł:

— Nie widzę sposobu.

— Jest tylko jeden — odpowiedział Maszko. — Póki jeszcze ludziom niewiadomo, że muszę się załamać, póki ze sprawą testamentu wiążą się nadzieje, póki moje nazwisko i mój podpis coś znaczą — możesz sprzedać sumę swojej żony. Powiesz nabywcy, że chcesz skapitalizować cały majątek, lub coś podobnego. O pozór łatwo. Nabywca znajdzie się zawsze, zwłaszcza, gdy zdecydujesz się sprzedać ze znacznem ustępstwem. W widokach zysku, kupi ją byle żyd. Wolę, żeby kto inny stracił, niż ty; a tobie wolno było nie słyszeć tego, com ci powiedział o mojem przyszłym bankructwie i wolno ci mieć nadzieję, że sprawę wygram. Możesz być przytem pewny, że ten, kto od ciebie tę sumę kupi, sprzedałby ci ją bez żadnego skrupułu, choćby wiedział, że jutro nie będzie warta złamanego

szeląga. Świat jest giełdą, a na giełdzie większość interesów robi się wedle tej normy. To się nazywa zręczność.

Na to Połaniecki odpowiedział:

— Nie. To się nazywa inaczej. Wspomniałeś żydów: otóż istnieją pewne interesa, które oni określają jednym wyrazem: „schmutzig!” — Sumę mojej żony będę ratował w inny sposób.

— Jak wola twoja. Ja, mój kochany, wiem także, co wart mój sposób, tylko widzisz, mimo wszystkiego, powiedziałem sobie, że ci go powinienem podać. Jest to może uczciwość przyszłego bankruta — ale ja już nie mogę mieć innej. Łatwo się domyślisz, jak mi lekko to mówić. Wiedziałem zresztą z góry, że się na to nie zgodzisz, więc chodziło mi tylko o to, by zrobić swoje. A teraz daj mi filiżankę herbaty i kieliszek koniaku, bo ledwie żyję.

Połaniecki zadzwonił o herbatę i koniak, Maszko zaś mówił dalej:

— Pewną ilość ludzi muszę zarwać — na to niema rady — więc wolę zarwać obojętnych, niż tych, którzy mi oddali jakąś usługę. Są położenia, w których trzeba być oportunistą względem własnego sumienia.

Tu Maszko uśmiechnął się z goryczą:

— Ja sam o tem nie wiedziałem — mówił dalej — ale teraz otworzyły się przede mną nowe horyzonty. Człowiek uczy się do śmierci. My, bankruci, mamy także pewien punkt honoru. Co do mnie, mniej mi chodzi o takich, którzyby mnie także w danym razie zarwali, niż o blizkich, którym winienem wdzięczność. Jest to może moralność Rinaldiniego, ale swego rodzaju moralność.

Tymczasem służący wniósł herbatę. Maszko, potrzebując się widocznie pokrzepić, dolał do swej filiżanki przez pół koniaku i ostudziwszy w ten sposób wrzątek, wypił jednym tchem.

Połaniecki zaś rzekł:

— Mój kochany, położenie znasz lepiej ode mnie. Wszystko, co mógłbym ci powiedzieć przeciw ucieczce, a za pozostaniem i za układem z wierzycielami, zapewne powiedziałeś sobie sam; więc wolę się spytać o co innego: Masz ty o co ręce zaczepić? masz ty choć na wyjazd?

— Mam. Czy się bankrutuje na sto tysięcy, czy na sto dziesięć — to wszystko jedno, ale dziękuję ci za pytanie.

Tu Maszko dolał znów koniaku do drugiej filiżanki herbaty — i rzekł:

— Nie myśl, że zaczynam pić z rozpacz, ale od rana dziś nie usiadłem — i jestem ogromnie zmęczony. Ach, jak mi to dobrze zrobiło! Powiem ci teraz otwarcie, że nie dałem jeszcze za wygranę. Widzisz, że nie strzeliłem sobie w łeb. To melodramat, to się już zużyło. Wiem wprawdzie, że tu wszystko dla mnie skończone, ale na tym gruncie i tak nie mógłbym wypłynąć. Tu są po prostu za małe interesa — i niema pola. Weź taki zachód, taki Paryż! Ot, tam ludzie robią fortuny, tam przewracają się i podnoszą. Co tu gadać, kiedy to tak jest. Czy ty wiesz, że taki Hirsch nie miał może trzystu franków, wychodząc z kraju. Wiem! wiem! ze stanowiska tutejszej stęchlizny i tutejszego safandulstwa to się wyda marzeniem, gorącą bankruta... A jednak tam gorsi ode mnie robią miliony — gorsi!... Przegram, albo wygram, ale jeśli tu kiedyś wrócę...

I widocznie herbata z koniakiem poczęła go podniecać, bo zacisnąwszy dłonie dodał:

— Obaczysz!...

Lecz Połaniecki ozwał się z większą jeszcze niż poprzednio niecierpliwością:

— Jeśli to nie są marzenia, to jest przyszłość. A teraz co?

— Teraz — rzekł po chwili Maszko — będą mnie mieli za szuję — nikt zaś nie pomyśli, że są upadki i upadki... Tobie powiem na przykład, że nie wziął od mojej żony ani jednego podpisu, ani jednego zaręczenia i że ona będzie miała to wszystko, co miała, nim za mnie wyszła... Wyjeżdżam teraz sam i póki się nie ustalę, ona zostanie tu z matką. Nie wiem, czyś słyszał, że pani Krasławska straciła wzrok. Nie mogę ich teraz zabierać, bo nie jestem nawet pewny, gdzie będę mieszkał... może w Paryżu, może w Antwerpii... Ale mam nadzieję, że nasze rozłączenie długo nie potrwa... One jeszcze nie wiedzą o niczem... Ot, w czym tkwi dramat, ot, co mnie męczy...

I Maszko położył dłoń na wierzchu głowy, zmrużywszy przytem jakby z bólu oczy.

— Kiedy ty wyjeżdżasz? — spytał Połaniecki.

— Nie wiem, dam ci znać. Tyś mi widocznie chciał ofiarować pomoc — i możesz mi ją dać, chociaż nie pieniężną. Od mojej żony będą się ludzie z początku odsuwali. Przygarnijcie ją trochę — weź ty ją w opiekę. Zgoda? — Tyś był prawdziwie dla mnie życzliwy, a wiem, że i dla niej jesteś życzliwy.

— Dalibóg, można zwaryować! — pomyślał Połaniecki.

Lecz głośno rzekł:

— Zgoda.

— Dziękuję ci z duszy serca. I jeszcze jedna prośba. Ty masz na obie te panie dużo wpływu. One wierzą wszystkiemu, co powiesz. Bronźże mnie trochę w pierwszych czasach wobec mojej żony. Wytlómacz jej, że co innego jest nieuczciwość, a co innego nieszczęście. Ja, dalibóg, nie jestem taki łotr, za jakiego mnie ludzie będą mieli. Ot widzisz — mogłem i żonę moją pociągnąć do ruiny, a jednak tego nie uczyniłem; mogłem z ciebie wydobyć jeszcze z jakie parę tysięcy rubli — a jednak wolę tego nie zrobić. Ty jej to wszystko potrafisz przedstawić — i ona ci uwierzy. Zgoda?

— Zgoda — powtórzył Połaniecki.

A Maszko raz jeszcze objął dłońmi głowę i jął powtarzać, że ściągniętą jakby od fizycznego bólu twarzą:

— Oto w czym prawdziwa ruina! ot, co najwięcej boli!

I po chwili zaczął się żegnać, a przytem ponownie dziękować za życzliwość dla żony i przysługę nad nią opiekę.

Połaniecki wyszedł z nim razem, wsiadł do powozu i ruszył do Buczynka.

Po drodze myślał o Maszce, o jego losach, ale zarazem powtarzał sobie: „Ja także jestem bankrut!” — I była to prawda. Prócz tego, od pewnego czasu dręczył go jakiś ogólny, niewyrozumowany niepokój, z którym nie mógł sobie dać rady. Naokół widział zawody, klęski, ruiny — i nie mógł się oprzeć poczuciu, że to wszystko jest i dla niego jakby jakąś zapowiedzią i groźbą na przyszłość. Dowodził sobie wprawdzie, że podobne obawy nie dadzą się logicznie usprawiedliwić, niemniej jednak obawy nie przestawały mu tkwić gdzieś na dnie duszy. I kiedyindziej mówił znów sobie: „Dlaczego ja jedynie miałbym stanowić wyjątek?” Wówczas serce ścisnęło mu się przeczuciem nieszczęścia. Było to jeszcze gorsze od tych szpilek, które mimowoli wbijali w niego, byle słowem, ludzie nawet najżyczliwsi. Wogóle nerwy jego ucierpiały w ostatnich czasach, tak, że stał się prawie przesądny. Codziennie wracał do Buczynka z niepokojem, czy podczas jego niebytności nie stało się w domu co złego.

Tym razem powrócił z powodu Maszki później niż zwykle i zająchał o zupełnym już mroku. Wsiadłszy przed gankiem na piaszczystej drodze, która tłumiała turkot powozu, ujrzał przez okno Marynię, panią Emilię i profesora, siedzących przy stole w pośrodku saloniku. Marynia układała pasyans i widocznie tłómaczyła go pani Emilii, miała bowiem zwróconą ku niej głowę i palec na karcie. Połaniecki na widok jej pomyślał to, co od niejakiego czasu ciągle sobie powtarzał i co napępniało go zarazem i uczuciem szczęścia i jeszcze większej dla siebie gorczy: „To jest najczystsza dusza, jaką w życiu spotkałem!” — I z tą myślą wszedł do pokoju.

— Spóźniłeś się dzisiaj — rzekła Marynia, gdy przy powitaniu podnosił jej rękę do ust — ale czekamy cię z kolacją.

— Maszko mnie zatrzymał — odpowiedział Połaniecki. — Co tu słyhać?

— Jak zawsze. Wszystko dobrze.

— A ty jak się czujesz?

— Jak ryba — odpowiedziała wesoło, podając mu czoło do pocałunku.

Następnie poczęła wypytywać o Zawilowskiego. Połaniecki, po przykrej rozmowie z Maszką, po raz pierwszy odetchnął swobodniej. „Zdrowa jest i wszystko dobrze!” — pomyślał, jakby ze zdziwieniem. I rzeczywiście było mu dobrze w tym jasnym saloniku, w tym ogromnym spokoju, wśród życzliwych dusz i obok tej najbliższej istoty, tak dobrej i pewnej. Czuł, że tu było wszystko, czego potrzeba do szczęścia, ale jednocześnie czuł, że on to szczęście dobrowolnie popsuł, że wniósł do czystej atmosfery domowej pierwiastki zepsucia i złego — i że pod takim dachem mieszka bezprawnie.

XVII

W połowie września dni nastaly tak zimne, że państwo Połanieccy przenieśli się z Buczynka do swego miejskiego mieszkania. Połaniecki na przybycie żony odświeżył je i przyozdobił kwiatami. Zdawało mu się wprawdzie, że stracił prawo do kochania jej, ale on stracił tylko dawną swoją względem niej swobodę; natomiast może właśnie wskutek tego, stał się z nią daleko bardziej uważnym i uprzedzającym. Prawa do kochania nikt nie daje i nic nie może go odebrać. Inna rzecz, że człowiek w upadku i wobec duszy nierównie szlachetniejszej może nie czuć się jej godnym. Wówczas kocha z pokorą i swego uczucia nie śmie nazwać właściwym mianem. Co Połaniecki stracił rzeczywiście, to swoją pewność siebie, swoją zamaszystość i swoją dawną bezceremonialność w stosunku z żoną. Teraz były czasem w jego obejściu się z nią takie odcienia, jakby ona była jeszcze panną Pławicką, a on niepewnym swego losu pretendentem.

Jednakże ta jego niepewność wyglądała niekiedy na chłód. Ostatecznie stosunek ich, mimo większej uwagi i staranności ze strony Połanieckiego, stał się dalszym, niż był przedtem. „Nie mam prawa!” — oto, co powtarzał sobie Połaniecki przy każdym żywszym poruszeniu serca. I Marynia w końcu spostrzegła, że oni żyją teraz ze sobą jakoś inaczej, ale tłómaczyła sobie to rozmaitymi powodami.

Naprzód, w domu byli goście, przy których, bądźco bądź, swoboda pożycia musiała się zmniejszyć. Powtórę, przyszło owo nieszczęście z Zawilowskim, które Połanieckim mogło wstrząsnąć i oderwać jego myśl w inną stronę, a wreszcie Marynia przywykła już do rozmaitych zmian w usposobieniu „Stacha” i przestała przywiązywać do nich tyle znaczenia, ile przywiązywała poprzednio.

Przeszedłszy przez długie godziny smutku i rozmyślań, doszła nakoniec do przekonania, że w pierwszych czasach, póki się pewne nierówności i zagięcia charakterów nie ułożą do jednej wspólnej linii, takie różne zmiany i odcienia w pożyciu są rzeczą konieczną, ale przejściową. Dopomógł jej także do wykrycia tej prawdy zdrowy rozsądek pani Bigielowej, która, gdy raz Marynia poczęła podnosić jej doskonały stosunek z mężem, rzekła:

— Ej, nie od razu do tego przyszło. Z początku kochaliśmy się niby to zapalczywiej, ale byliśmy daleko mniej dopasowani; czasem jedno ciągnęło w jedną, a drugie w drugą stronę. Tylko, że oboje mieliśmy uczciwość i dobrą wolę. Pan Bóg to widział i pobłogosławił. Po pierwszym dziecku wszystko poszło od razu jak najlepiej — i dziś nie oddałabym mojego starego kociska za wszystkie skarby świata, chociaż mi tyje, a jak namawiam na Karlsbad, to nie chce słuchać.

— Po pierwszym dziecku? — spytała z wielkim zajęciem Marynia. — Aha! zarazbym była zgadła, że to przyszło po pierwszym dziecku.

Pani Bigielowa poczęła się śmiać:

— A jaki on był zabawny, jak nam się pierwszy chłopak urodził! Bo przez pierwsze dni nie mówił nic a nic, tylko podnosił na czoło okulary, przypatrywał mu się, jak jakimś zamorskiemu dziwu, a potem szedł do mnie i całował mnie po rękach.

Nadzieja dziecka była także powodem, dla którego Marynia nie brała zbyt do serca tej nowej zmiany w Stachu. Naprzód obiecywała sobie oczarować go z kretesem — i dzieckiem (o którym była z góry przekonana, że będzie czemś po prostu fenomenalnym) — i swoją po słabości urodą, a powtórę sądziła, że teraz nie wolno jej myśleć o sobie, ani nawet wyłącznie o Stachu. Teraz była zajęta przygotowaniem miejsca dla przyszłego gościa, zarówno w domu, jak w duszy. Czuła, że trzeba obwinąć taką figurę nietylko w pieluszki, ale i w miłość. Więc gromadziła odpowiednie zapasy. Mówiła sobie zarazem, że życie we dwoje może być zmienne, ale we troje nie może być czem innym, jak szczęściem i wypełnieniem się owego oczekiwanego miłosierdzia i łaski bożej.

Wogóle patrzyła w przyszłość nadzwyczaj raźnie. Jeśli wreszcie Połaniecki był dla niej jakiś inny, jakby bardziej etykietalny i jakby dalszy, miewał natomiast takie delikatności, jakich nie okazywał dawniej. Troskę i zmęczenie, które widywała na jego twarzy, przypisywała przywiązaniu do Zawilowskiego, o którego zdrowie nie było już wprawdzie obawy, ale którego nieszczęście sama odczuwała kobiecym sercem, rozumiejąc, że może ono trwać póty, póki i życie. Rozumienie tego dało niejedną chwilę smutku i jej, i Bigielom, i wszystkim, którym Zawilowski stał się blizkim.

Przytem, wkrótce po przybyciu Połanieckich do miasta, nadeszły nagle z Ostendy wiadomości, grożące nowymi na przyszłość powikłaniami. Pewnego poranku Świrski wpadł jak bomba do biura i, wzięwszy Bigiela i Połanieckiego do osobnego pokoju, rzekł im z tajemniczą miną:

— Wiecie co się stało? Był u mnie Kresowski, który wczoraj wrócił z Ostendy. Osnowski rozstał się z żoną i połamiał kości Kopowskiemu. Skandal bajeczny! Cała Ostenda nie mówi o niczem innym.

Oni obaj umilkli pod wrażeniem wieści, wreszcie Połaniecki rzekł:

— To prędzej czy później musiało przyjść. Osnowski był ślepy.

— A ja nic nie rozumiem — dodał Bigiel.

— Niesłychana historia! — rzekł Świrski. — Ktoby coś podobnego przypuścił!

— Cóż mówi Kresowski?

— Kresowski opowiada, że Osnowski umówił się kiedyś z jakimiś Anglikami, że pojedzie z nimi do Blackenberga na strzelanie delfinów. Tymczasem spóźnił się na kolej, czy też na tramwaj. Mając przed sobą godzinę czasu, wrócił do domu i zastał u siebie Kopowskiego. Wyobraźcie sobie, co musiał zobaczyć, skoro człowiek tak łagodny uniósł się i stracił głowę do tego stopnia, że, bez pamięci na skandal, wygrzmocił Kopowskiego tak, że Kopowski leży.

— On tak był w żonie zakochany, że mógł nawet oszaleć, lub ją zabić — rzekł Bigiel. — Co za nieszczęście dla człowieka!

— Oto, co są kobiety! — zawołał Świrski.

Połaniecki milczał. Bigiel, któremu ogromnie żal było Osnowskiego, począł chodzić po pokoju. Nakoniec stanął przed Świrskim i, wsadziwszy ręce w kieszeń, rzekł:

— A jednak, ja nic nie rozumiem.

Świrski zaś, nie odpowiadając wprost, rzekł, zwróciwszy się do Połanieckiego:

— A pamiętasz pan, co ja o niej w Rzymie mówiłem — wtedy, gdy malowałem portret pańskiej żony? Stary Zawilowski nazywał Osnowską dzierlatką. Teraz rozumiem, jak to było słuszne; bo dzierlatka ma jeszcze drugą nazwę: „śmiecucha!” Co za kobieta! Wiedziałem, że niewiele warta, ale nie przypuszczałem, żeby mogła pójść tak daleko... I to z takim Kopowskim!... Teraz widzę jasniej rozmaite rzeczy! Kopowski tam przecie ciągle przesiadywał; niby to starał się o pannę Castelli, potem niby o pannę Ratkowską, a widocznie porozumieli się z panią i wynajdywali na wspólną pozory. Co za wesoły chłopcy! Castelka na obiad, a Osnowska na deser! Takiemu dobrze!... Między temi obiema musiała też być rywalizacja. Jedna przez drugą czyniły ustępstwa, żeby go do siebie pociągnąć. Myślicie, że tam miłość własna kobieca mało znaczyła?

— Masz pan zupełną słuszność — rzekł Połaniecki. — Osnowska była zawsze najprzeciwiejsza małżeństwu Kopowskiego z Castelli i dlatego prawdopodobnie tak gorliwie swatała ją Ignasiowi. Gdy tamci, mimo wszystkiego, potrafili się porozumieć, posunęła się do ostateczności, by Kopowskiego przy sobie zatrzymać. Stosunek ich, to stara historia.

— Trochę zaczynam rozumieć — rzekł Bigiel — ale jakie to smutne!

— Smutne?... — spytał Świrski. — Przeciwnie! Kopowskiemu było wesoło!... Chociaż — nie! „Miłe złego początki, lecz koniec żalony!” Niema mu czego zazdrościć. Wiecie wy, że Osnowski mało co słabszy ode mnie, bo on się bał utyć przez kokieterię dla żony i od rana do wieczora uprawiał wszelkie możliwe sporty. Ach, jak on ją kochał! jaki to dobry człowiek — i jak mi go żal! Wszystko ta kobieta w nim miała: serce, majątek, psie przywiązanie — i wszystko podeptała. Taka Castelli nie była przynajmniej jeszcze żoną.

— I oni się naprawdę rozstali?

— Tak dalece naprawdę, że ona już wyjechała. Co tam musiało być, skoro taki Osnowski ją opuścił — dalibóg, ciężko myśleć.

Lecz Bigiel, który lubił brać rzeczy ze strony praktycznej, rzekł:

— I ciekawym, co ona zrobi? Bo cały majątek jego.

— Jeśli jej od razu nie zabił, to pewno nie da jej z głodu umrzeć. To nie tego rodzaju człowiek. Kresowski mówił mi, że on został w Ostendzie, i że chce Kopowskiego jesz-

cze wyzwąć. Ale Kopowski z tydzień podobno musi poleżeć. Będzie i pojedynek. Pani Broniczowa z panną Castelli wyjechały także do Paryża.

— A małżeństwo z Kopowskim?

— Jakże pan chcesz? Samo się przez się rozumie, że wobec tak jawnej zdrady oblubienica — zerwane. Zło nie płuży. Osiedły i one na koszu. Ha! Niechże szukają za granicą jakiego księcia Crapulescu, bo po tem, co zrobiły z Ignasiem, tu mógłby taką Castelkę wziąć chyba szuja, albo dureń. Zawilowski przecie do niej nie wróci.

— Ja to samo mówiłem Połanieckiemu — rzekł Bigiel — a on mi na to odpowiedział: „kto wie!”

— E? — rzekł Świrski — czy pan naprawdę przypuszczasz?...

— Nie wiem! nic nie wiem! — odpowiedział jakby z wybuchem Połaniecki — za nic nie ręczę, za nikogo nie ręczę i za siebie nie ręczę!

Świrski spojrział na niego z pewnem zdziwieniem.

— Ha, może to i racya! — rzekł po chwili. — Gdyby mi kto był wczoraj powiedział, że Osnowscy kiedykolwiek rozstaną się ze sobą, miałbym go za bzik.

I poczył się żegnać, bo mu pilno było do roboty, a przytem, chcąc raz jeszcze usłyszeć o katastrofie Osnowskich ze wszelkimi szczegółami, umówił się z Kresowskim na obiad. Bigiel i Połaniecki zostali sami.

— Zło trzeba zawsze przyplącić — rzekł po namyśle Bigiel. — A wiesz, co mnie zastanawia? Oto, jak jednak u nas poziom moralny się obniża. Weź taką Broniczową, taką Castelli, taką Osnowską... Jakie to nieuczciwe, jakie popsute i jakie w dodatku głupie! Jakaś mieszanina, lichy wie czego, jakieś pretensje bez granic, a zarazem natury pokojówek! Aż ckliwo myśleć — prawda? I tacy ludzie, jak Ignaś, lub Osnowski, płacą za to.

— I tej logiki się nie rozumie — odpowiedział posępnie Połaniecki.

Bigiel poczył znów chodzić po pokoju, cmokać i kręcić głową — nagle stanął przed Połanieckim z rozjaśnioną twarzą i klepiąc go po ramieniu, rzekł:

— No, mój stary! ty i ja możemy sobie powiedzieć, żeśmy na loteryi życia wyciągnęli wielkie losy. Nie byliśmy także święci, ale może Pan Bóg dlatego nam poszczęścił, żeśmy się nie podkopywali po złodziejsku pod cudze domy.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko poczył zbierać się do wyjścia.

Tak się już złożyły warunki, że wszystko, co się naokół działo, i wszystko, co naokół słyszał, tworzyło jakby piłę, która szarpała jego nerwy. W dodatku miał poczucie, że to nie tylko jest okrutnie męczące i bolesne, ale poczyna być i śmieszne. Chwilami przychodziło mu do głowy zabrać Marynię i zakopać się z nią gdzieś na jakiej zapadłej wsi, byle daleko od tej nieznośnej komedii życia, która zarazem stawała się coraz więcej plugawą. Wiedział jednak, że tego nie zrobi, choćby z tej przyczyny, że stoi temu na przeszkodzie stan Maryni. Zerwał wszelako skończone już prawie układy o Buczynek, dlatego, by sobie upatrzeć jakąś dalszą i mniej przystępną letnią siedzibę. Wogóle stosunki z ludźmi poczęły mu ogromnie ciążyć, czuł zaś, że jest w wirze i że się z niego nie wydobędzie. Chwilami budził się w nim dawny, pełen energii i trzeźwości człowiek, który pytał sam siebie ze zdziwieniem: „Co u dyabła! czemu mi taka wina, jakich ludzie dopuszczają się codzień tysiące, tak narasta bez żadnej miary?” Ale zmysł prawdy odpowiadał mu wówczas, że jak w medycynie niemasz chorób, tylko są chorzy, tak w świecie moralnym niemasz win, tylko są winni. Co jeden łatwo znosi, to drugi przypląca życiem. I próżno usiłował się osłonić. Wina jego, jako człowieka zasad, jako człowieka, który poślubił za ledwie przed pół rokiem taką kobietę, jak Marynia, jako człowieka, którego wkrótce czekało ojcostwo, była bez miary — i tak niczem nieusprawiedliwiona, tak niesłychana, że czasem aż zdumiewał się, jak ją mógł spełnić. Teraz, wracając do domu pod wrażeniem nieszczęścia Osnowskiego, i obracając je w głowie na wszystkie strony, miał znów poczucie, jakby pewna część odpowiedzialności za to, co się stało, ciążyła i na nim. „Bo ja — mówił sobie — jestem akcyonaryuszem w tej fabryce, która wytwarza takie stosunki i takie kobiety, jak Castelli lub Osnowska.” Poczem przyszło mu do głowy, że Bigiel miał słuszość, mówiąc, iż poziom moralny się obniża — i że nastrój ogólny, który nie wyłącza możliwości podobnych postępów, jest wprost niebezpieczny. Rozumiał bowiem, że to wszystko nie płynęło ani z wyjątkowych nieszczęść, ani z nadzwyczajnych namiętności, ani ze zbytnej

wybujalności natur, ale ze społecznej swawoli, i że imię podobnych zbroceń jest: legion. „Ot — pomyślał — tylko w kółku moich znajomych jest Maszkowa, jest Osnowska, jest panna Castelli — a przeciw nim, kogo postawię? — jedną moją Marynię!” — I w tej chwili nie przyszło mu na myśl, że obok Maryni jest w jego kółku jeszcze i pani Emilia, i pani Bigielowa, i panna Helena Zawilowska, i panna Ratkowska. Natomiast Marynia przedstawiła mu się na tem tle zepsucia i lekkomyślności tak do tamtych niepodobna, tak czysta i tak pewna, że wzruszył się do głębi duszy na samo jej wspomnienie. „To inny świat, to inny gatunek!” — pomyślał. — Na chwilę przypomniał sobie, że i Osnowski nazywał swoją żonę wyjątkiem, ale wnet odrzucił precz od siebie tę złą myśl: — „To Osnowski się mylił, a ja się nie mylę.” — I uczuł, że sceptycyzm, któryby się nie cofnął przed Marynią, byłby nietylko głupim, ale i nędznym. W niej nie było wprost miejsca na zło. Na błocie siadać może tylko ptactwo błotne. — Sam on mówił jej niegdyś żartując, że gdyby nosiła korki, toby ze zgryzoty, że oszukuje świat, dostała zapalenia sumienia. I w tym żarcie była prawda. Widział ją teraz oto przed sobą tak wyraźnie, jak się zawsze widzi osobę, o której się rozmyśla ze skupionem uczuciem, widział jej zmienioną postać i zmienioną twarz, w której pozostały jednak zawsze te same śliczne, nieco za szerokie usta, i te same przezyste oczy — i wzruszał się coraz bardziej. „Ja naprawdę wygrałem wielki los na loteryi życia — myślał — alem nie umiał tego szczęścia ocenić.” — „Zło trzeba zawsze przypłacić” — mówił Bigiel. — I Połaniecki, któremu nieraz już przychodziła podobna myśl, uczuł teraz przed nią zabobonny strach. Jest — myślał — jakaś logika, z mocy której zło, jak fala odbita od brzegu, wraca się, musi więc wrócić i moje. I nagle wydało mu się zupełnem niepodobieństwem, żeby on mógł posiadać spokojnie taką kobietę i takie szczęście. Nie byłoby w tem właśnie tej logiki, która nakazuje wracać się fali złego. A zatem co? Zatem Marynia może naprzykład umrzeć przy słabości. Pani Maszkowa może przez zemstę nad nim powiedzieć jakieś słowo, które utkwi w Maryni — a wobec jej stanu wyjdzie potem pod postacią gorączki. Nie potrzeba nawet na to całej prawdy. Owszem, pani Maszkowa może się przytem nawet pochwalić, że oparła się jego zamachom, a kto wie — mówił sobie Połaniecki — czy w tej chwili Maszkowa nie jest z wizytą u Maryni, a w takim razie pierwsza lepsza rozmowa o mężczyznach — i kilka żartobliwych słów — wystarczy...

Tak rozmyślając, czuł, że mu czapka gore na głowie i przyszedł do domu z uczuciem trwogi. Ale w domu nie zastał pani Maszkowej, natomiast Marynia oddała mu kartkę od panny Heleny Zawilowskiej, proszącą, by po obiedzie przyszedł do niej.

— Boję się, czy panu Ignasiowi nie jest gorzej — rzekła Marynia.

— Nie. Ja tam wpadłem na minutę rano. Panna Helena była na jakiejś konferencji z prawnikiem Kononowiczem, ale widziałem i pannę Ratkowską i Zawilowskiego. Miał się zupełnie dobrze i rozmawiał ze mną prawie wesoło.

Przy obiedzie Połaniecki postanowił powiedzieć Maryni o nowinach, które słyszał, wiedział bowiem, że i tak nie ukryją się przed nią, a nie chciał, by doniesiono jej o nich zbyt nagle i nieostrożnie.

Więc gdy spytała go, co słyhać w biurze i na mieście — odrzekł:

— W biurze nic nowego, a na mieście mówią o jakichś nieporozumieniach między Osnowskimi.

— Między Osnowskimi?

— Tak. Coś tam zaszło w Ostendzie. Podobno powodem wszystkiego jest Kopowski.

Marynia zaczerwieńiła się i rzekła:

— Co też ty Stachu mówisz?

— Mówię, co słyszałem. Pamiętasz moje uwagi na wieczorze zaręczynowym Zawilowskiego? Pokazuje się, że miałem słuszność! Krótco ci powiem, że była jakaś awantura i że wogóle jest źle.

— Ale przecie mówiłeś, że Kopowski jest narzeczonym panny Castelli?

— Jest, albo przestał nim być. Tam się mogło wszystko pozrywać.

Na Maryni wiadomość sprawiła wielkie wrażenie. Chciała jeszcze dopytywać, ale gdy Połaniecki powiedział jej, że nic więcej nie wie, i że prawdopodobnie dopiero za kilka dni nadejdą dokładniejsze wieści, poczęła biadać nad dolą Osnowskiego, którego zawsze bardzo lubiła, i oburzać się na panią Anetę.

— Ja myślałam — mówiła — że on ją przejedna i pociągnie swoim przywiązaniem, ale ona jego nie warta, i pan Świrski ma słuszność w tem, co o kobietach mówi.

Lecz dalszą rozmowę przerwał pan Pławicki, który po wczesnym restauracyjnym obiedzie przyszedł, by powiedzieć „wielką nowinę”, o której także już słyszał, bo mówiło o niej całe miasto. Połaniecki pomyślał teraz, że dobrze zrobił, przygotowawszy do niej żonę, albowiem już w opowiadaniu pana Pławickiego rzecz przybrała barwy nader jaskrawe. Pan Pławicki wspominał wprawdzie w ciągu opowiadania o zasadach i o „dawnych matronach,” widocznie był jednak zadowolony, że zdarzyło się coś tak budzącego zajęcie — i widocznie brał także rzecz ze strony komicznej, bo w końcu rzekł:

— No! ale to rezolutna kobietka! to figlarka! Co na placu, to nieprzyjacieli! Nikomu nie przepuściła, nikomu, nikomu!... Biedny Osnosio, ale ona nikomu nie przepuściła!

Tu podniósł do góry brwi, a potem spojrzął na Marynię i Połanieckiego, jakby chcąc sprawdzić, czy pojęli, co miało znaczyć „nikomu.” Ale na twarzy Maryni odbił się niesmak.

— Fe! Stachu — rzekła — jakie to wszystko nietylko niegodziwe, ale brzydkie.

XVIII

Po obiedzie Połaniecki udał się do panny Heleny. Zawilowski nosił jeszcze na czole czarną przepaskę, z szerszym wpośrodku plastrem, zakrywającym ranę, zacinał się i, patrząc, nieco zezował, ale wogóle przychodził coraz bardziej do siebie i uważał się już za zdrowego, lekarz zaś zapewniał, że i te objawy, jakie jeszcze pozostały wskutek rany, miną bez śladu. W chwili, gdy Połaniecki wszedł, młody człowiek siedział przy stole, w głębokim fotelu, w którym niegdyś siadywał stary pan Zawilowski, i słuchał z przymkniętymi oczyma wierszy, które mu czytała panna Ratkowska.

Lecz ona na widok gościa złożyła książkę.

— Dobry wieczór pani! — rzekł Połaniecki. — Jak się masz Ignasiu? Widzę, że przerwał czytanie. W czym państwo się tak zaczytujecie?

Panna Ratkowska zwróciła ku książce swą krótko ostrzyżoną głowę (miała dawniej przepyszne włosy, ale ostrzygła je, by jej nie zabierały czasu, potrzebnego przy chorym) i odrzekła:

— To są wiersze pana Zawilowskiego.

— Swoich własnych wierszy słuchasz? — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki — no, i jak ci się podobają?

A Zawilowski odrzekł:

— Słucham, jak nie swoich.

Po chwili zaś dodał, mówiąc z wolna i trochę się zacinając:

— Ale ja znów będę pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie...

I widać było, że ta myśl bardzo go zajmuje, i że nieraz musiał już o tem mówić, bo panna Ratkowska rzekła, jakby mu chcąc dodać otuchy:

— I takie same śliczne, i już niezadługo.

A on uśmiechnął się do niej z wdzięcznością — i umilkł.

Lecz w tej chwili weszła do pokoju panna Helena i, uściśnawszy rękę Połanieckiego, rzekła:

— Jak to dobrze, że pan przyszedł; chciałam się pana poradzić...

— Służę pani.

— Nie. Proszę pana do siebie.

I przeprowadziwszy go do drugiego pokoju, wskazała na krzesło, poczem siadłszy naprzeciw, milczała jakby zbierając myśli.

Połaniecki, patrząc na nią pod światło, pierwszy raz dostrzegł kilka srebrnych nitok w jej jasnych włosach — i pomyślał, że ta kobieta nie ma jeszcze trzydziestu lat.

Ona zaś poczęła mówić swoim głosem zimnym i stanowczym.

— To właściwie nie jest prośba o radę, ale o pomoc dla mego krewnego. Wiem, że pan jest jego prawdziwym przyjacielem, a przytem i mnie okazał pan tyle serca przy śmierci ojca, że na resztę życia zachowam wdzięczność, a teraz będę mówiła z panem otwarcej, niżbym mówiła z kim innym... Z powodów osobistych, których nie chcę dotykać, a o których mogę panu tylko powiedzieć, że są bardzo bolesne, postanowiłam stworzyć sobie inne warunki życia, dla mnie znośniejsze. Byłabym to zrobiła dawniej, ale

póki ojciec żył — nie mogłam. Potem przyszło to nieszczęście! Zdawało mi się, że moim obowiązkiem jest nie opuszczać ostatniego krewnego, noszącego nasze nazwisko, dla którego przytem miałam szczerą i serdeczną przyjaźń. Ale teraz on, Bogu dzięki, uratowany. Lekarze odpowiadają za jego życie i jeśli Bóg dał mu wyjątkowe zdolności i przeznaczył go do wielkich rzeczy, nic nie staje na przeszkodzie jego przeznaczeniu.

Tu przerwała, jakby zamyśliwszy się nagle nad czemś przyszłym, poczem, zbudziwszy się, mówiła dalej:

— Ale tem samem moje ostatnie zadanie skończone i wolno mi wrócić do poprzednich zamiarów. Pozostaje tylko majątek, który mój ojciec pozostawił znaczny, a który mi jest do mojego przyszłego życia zupełnie niepotrzebny. Gdybym mogła uważać go za swoją osobistą własność, rozporządziłabym nim może inaczej; ponieważ jednak jest to majątek rodzinny, uważam, że nie mam prawa przekazywać go na inne cele, póki żyje ktoś z rodziny, noszący to samo nazwisko. Nie ukrywam panu, że powoduje mną i przywiązanie do mego kuzyna; sądzę jednak, że przedewszystkiem robię to, co mi sumienie nakazuje, a przytem spełniam wolę ojca, który jej spisać nie zdążył, ale który (wiem z wszelką pewnością) część majątku chciał Ignasiowi zostawić. Ja wyposażam siebie sama, nie w tym stopniu, jak ojciec myślał, ale biorę jednak więcej, niż mi potrzeba. Resztę niech dziedziczy Ignas. Akt darowizny spisał już, według wszelkich przepisów prawnych, pan Kononowicz. Obejmuje on ten dom, Jaśmień, majątek w Kutnowskim, majątki poznańskie i kapitały, z wyjątkiem tej części, którą sama siebie wyposażam, i jakiejś części, którą przeznaczam dla panny Ratkowskiej. Chodzi tylko o to, by ów akt Ignasiowi wręczyć. Pytałam dwóch lekarzy, czy to nie jest zawcześnie i czy wstrząśnienie nie mogłoby mu zaszkodzić. Zaręczają mi, że nie, i wszelka pomyślna nowina może tylko pomyślnie wpłynąć na jego zdrowie co jeśli tak jest, chcę to zaraz uczynić, bo mi pilno.

Tu uśmiechnęła się blade. Połaniecki zaś, uściśnawszy jej rękę, spytał z niekłamanem wzruszeniem:

— Droga pani, ja nie przez ciekawość pytam. Co pani zamierza?

Ona zaś, nie chcąc widocznie odpowiedzieć wprost, rzekła:

— Człowiek ma zawsze prawo schronić się pod opiekę boską. Co do Ignasia — on ma poczciwe serce i szlachetny charakter, który się nie popsuje majątkiem; ale to majątek jest bardzo znaczny, a on jest młody, niedoświadczony, zacznie życie w zupełnie zmienionych warunkach, więc chciałam pana, jako zacnego człowieka i jako jego przyjaciela, prosić o opiekę nad nim. Niech go pan strzeże, niech go pan ochrania przed złymi ludźmi, ale przedewszystkiem niech mu pan przypomina, że obowiązkiem jego jest pisać i pracować dalej. Mnie chodziło nietylko o uratowanie jego życia, ale i o uratowanie jego zdolności. Niech pisze, niech się wypłaci społeczeństwu nietylko za siebie, ale i za tych, których Bóg stworzył na chwałę i pomoc ludziom, a którzy zgubili i siebie i swoje zdolności.

Tu nagle wargi jej pobladły, ręce zacisnęły się i głos uwiązał w gardle. Zdawać się mogło, że nagromadzona w tej duszy rozpacz zerwie naraz wszystkie tamy; po chwili opanowała się jednak i tylko zacisnięte ręce świadczyły, z jakim jej to przyszło wysileniem.

Połaniecki, widząc jej mękę, sądził, że w tym razie najlepiej będzie zwrócić jej myśl w inną stronę, do rzeczy praktycznych i bieżących, dlatego też rzekł:

— Oczywiście, będzie to niesłychana zmiana w życiu Ignasia; spodziewam się jednak i ja, że mu wyjdzie tylko na dobre... Znając go, trudno przypuścić inaczej. Czyby jednak pani nie mogła odłożyć tej darowizny na rok, lub przynajmniej pół roku?

— Dlaczego?

— Dla przyczyn, które nie leżą w samym Ignasiu, ale które mogą mieć z nim związek. Nie wiem, czy doszła panią wiadomość, że małżeństwo panny Castelli z Kopowskim jest zerwane i że położenie tych pań jest wskutek tego ogromnie przykre. Przez zerwanie z Ignasiem oburzyły na siebie opinię, a teraz znów nazwiska ich są na językach ludzkich. Byłoby dla nich doskonałym wyjściem wrócić do Ignasia — i można przypuścić, że, dowiedziawszy się o darowiznie pani, będą z pewnością usiłowały to uczynić, a Ignas, zwłaszcza po tak krótkim czasie i tak osłabiony, jak zawsze jest — niewiedomo, czy nie da się pociągnąć...

Panna Helena patrzyła na Połanieckiego ze ściągniętymi z natężenia uwagi brwiami, poczem, zastanowiwszy się nad tem, co powiedział, odrzekła:

— Nie. Ja sądzę, że Ignas wybierze inaczej.

— Odgaduję pani myśl, ale niech pani pomyśli, że on do tamtej był przywiązany nad wszelką miarę, tak, że nie chciał przeżyć jej straty.

I tu stało się coś, czego Połaniecki nie spodziewał się, albowiem panna Helena, tak władająca sobą i niemal surowa, rozłożyła bezradnie swoje wychudłe ręce i rzekła:

— Ha! gdyby tak było... gdyby dla niego nie było innego szczęścia, tylko w niej... Och, panie, ja przecie wiem, że on nie powinien tego uczynić, ale są rzeczy od człowieka mocniejsze, i są takie, których koniecznie do życia potrzeba, a przytem...

Połaniecki spoglądał na nią ze zdziwieniem, ona zaś po chwili dodała:

— Przytem człowiek zawsze może wstąpić na lepszą drogę — póki żyje.

— Nie przypuszczałem, że coś podobnego od niej usłyszę — pomyślał Połaniecki.

I głośno rzekł:

— W takim razie pójdźmy do Ignasia.

Zawiłowski przyjął wiadomość naprzód ze zdumieniem, a potem z radością, ale była to radość, jakby tylko zewnętrzna. Można było przypuścić, że za pomocą mózgu rozumie, że spotyka go coś ogromnie pomyślnego, i mówi sobie, że trzeba się z tego cieszyć, ale tego sercem nie odczuwa. Serce to objawiło się tylko w trosce i zajęciu, z jakimi począł się wypytywać panny Heleny, co ona zamierza i co się z nią stanie. Panna Helena nie chciała mu odpowiedzieć i, wspomniawszy ogólnikowo, że zamierza usunąć się od życia i że postanowienie jej jest niezachwiane, zaklinała go o to, o co widocznie najwięcej jej chodziło, to jest, żeby nie zgubił swych zdolności i nie zawiódł przywiązanych do siebie ludzi. Mówiła do niego, jak matka, on zaś, powtarzając: „Będę znów pisał, tylko całkiem przyjdę do siebie” — całował jej ręce i miał łzy w oczach. Niewiadomo jednak było, czy były to łzy współczucia dla niej, czy żal dziecka, którego opuszcza dobra i słodka opiekunka; albowiem panna Helena powiedziała mu, że od tej chwili uważa się za jego gościa w tym domu i że za dwa dni zamyśla się usunąć.

Zawiłowski nie chciał się jednak na to zgodzić i wymógł na niej, że zostanie jeszcze przez tydzień, na co wreszcie przystała z obawy, by go nie drażnić i nie zaszkodzić jego zdrowiu. Wówczas, uspokoiwszy się, wpadł w wesołość małego chłopca, którego prośbie uczyniono zadość. W końcu wieczora zamyślił się jednak, jakby coś sobie przypominając, poczem powiódłszy zdziwionemi oczyma po obecnych, rzekł:

— Dziwna rzecz, ale tak mi się zdaje, jakby to wszystko już niegdyś się zdarzyło.

Połaniecki zaś, chcąc wprowadzić weselszy ton do rozmowy, spytał, śmiejąc się:

— Za poprzednich istnień, na innych planetach? Prawda?

— Tak, to już wszystko niegdyś było — powtórzył Zawiłowski.

— I te same wiersze już pisałeś — na księżycu?...

On zaś podniósł leżącą na stole książkę, popatrzył na nią, zamyślił się — i w końcu rzekł:

— Ja znów będę pisał — tylko całkiem przyjdę do siebie.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł. Tegoż jeszcze wieczora panna Ratkowska przeniosła się do swojego pokoiku u pani Mielnickiej.

XIX

Rozejście się Osnowskich, którzy w życiu towarzyskiem zajmowali dość wybitne stanowisko, i wielka fortuna, która nagle spadła na Zawiłowskiego, były to najważniejsze nowiny, któremi zajmowało się całe miasto. Ludzie, którzy przypuszczali, że panna Helena wzięła do siebie młodego krewnego dlatego, by się za niego wydać, osłupieli z podziwu. Powstały nowe plotki i przypuszczenia: poczęto szeptać sobie do uszu, iż Zawiłowski był synem starego bogacza i że zagroził siostrze procesem o ukrycie testamentu, która też wolała zrzec się wszystkiego i wyjechać za granicę, niż narazić się na skandaliczny proces. Inni wszelako twierdzili, że powodem jej wyjazdu była panna Ratkowska i że między temi paniami miały miejsce niesłychane i oburzające rzeczy, wskutek których szanujące się domy nie puszczają przez próg panny Ratkowskiej. Byli wreszcie i tacy, którzy, występując w imię publicznego dobra, odmawiali wprost panie Helenie prawa do rozporządzania w ten sposób majątkiem, dając przytem do zrozumienia, że sami, w danym razie, rozporządziliby nim inaczej i zgodniej z pożytkiem powszechności.

Słowem, mówiono wszystko, na co się może zdobyć plotkarstwo, wścibstwo, lekkomyślność i niecna złośliwość. Wkrótce atoli ciekawości ogólnej przybył nowy pokarm pod postacią wieści o pojedynku Osnowskiego z Kopowskim, w którym Osnowski został ranny. Kopowski wrócił też niebawem do miasta ze sławą bohatera nadzwyczajnych przygód miłosnych i orężnych — głupszy niż kiedykolwiek, ale zarazem piękniejszy niż kiedykolwiek i wogóle tak uroczy, że na sam jego widok młodsze i starsze serca poczynają bić przyspieszonym tętnem.

Osnowski, raniony dość lekko, leczył się w Brukseli. Świrski otrzymał od niego krótką wiadomość wkrótce po pojedynku, że ma się dobrze, że w połowie zimy wybiera się do Egiptu, ale, że przedtem wróci do Przytułowa. Z wiadomością tą przyszedł do Połanieckiego, wyrażając przytem obawę, czy Osnowski nie powróci tylko dlatego, by znów poszukiwać swej krzywdy na Kopowskim.

— Bo tego jestem pewny — rzekł — że jeśli on został ranny, to dlatego, że na to pozwolił. Podług mnie, on chciał po prostu zginąć. Ja się z nim nastrzelałem niemało u Brufniego i wiem, jak on strzela. Widziałem go, jak zbijał zapalki — i jestem przekonany, że gdyby był chciał Kopusia zdmuchnąć, to tylebyśmy go dziś widzieli.

— Być może — odpowiedział Połaniecki — ale skoro mówi o podróży do Egiptu, to widocznie nie ma zamiaru dać się zabić. Owszem, niech jedzie i niech zabierze ze sobą Zawilowskiego.

— Prawda, że i Zawilowski powinien trochę świata zobaczyć. Chciałbym stąd do niego zajrzeć. Jak on się ma?

— Pójdę razem z panem, bom go dziś nie widział. On się dobrze ma, ale jest jakiś dziwny. Pamiętasz pan, jaka to była harda i zamknięta w sobie dusza? Otóż teraz niby zdrow, ale zrobiło się z niego małe dziecko: przy najmniejszej przykrości lzy ma w oczach.

Po chwili wyszli razem. Po drodze Świrski spytał:

— Panna Helena jest jeszcze przy Zawilowskim?...

— Jest. On tak do serca bierze jej odjazd, że jej go żal. Miała wyjechać za tydzień, a teraz, jak pan widzisz, minął już i drugi.

— Co ona właściwie chce ze sobą zrobić?

— Nikomu wyraźnie nie mówi. Prawdopodobnie wstąpi do jakiego zakonu i będzie się całe życie modliła za Płoszowskiego.

— A panna Ratkowska?

— Panna Ratkowska jest u pani Mielnickiej.

— Czy bardzo Zawilek po niej tęsknił?

— Przez pierwsze dni. Potem jakby zapomniał.

— Jeśli w ciągu roku nie ożeni się z nią, to ja powtarzam swoje oświadczenie. Jak Boga kocham! Taka kobieta, jak raz zostanie żoną, to się do człowieka przywiąże.

— Wiem, że panna Helena w duszyby sobie tego życzyła, żeby on się z Ratkowską ożenił. Ale kto wie, jak się to obróci.

— E! jestem pewny, że się ożeni, a to, co ja mówię, to są marzenia głowy ściętej. Ja się już nie ożenię.

— Żona mi wspominała, że jej to pan wczoraj mówił; ale ona się śmiała z tej groźby.

— To nie groźba, tylko, że nie mam szczęścia.

Dalszą rozmowę przerwał im widok powozu, w którym siedziała pani Krasławska z panią Maszkową. Jechały w kierunku alei, chcąc widocznie zażyć powietrza. Dzień był jasny, ale chłodny — i pani Maszkowa tak była zajęta naciąganiem na matkę ciepłego płaszczka, że nie spostrzegła ich i nie oddała im ukłonu.

— Byłem u nich onegdaj — rzekł Świrski — to dobra kobiecina!

— Słyszę, że jest bardzo dobrą córką — odpowiedział Połaniecki.

— To to i ja spostrzegłem, będąc u nich, ale — jak to zwykle staremu sceptykowi — zaraz mi przyszło do głowy, że ona znajduje zarazem upodobanie w roli troskliwej córki. Czyś pan nie zauważył, że kobiety częstokroć robią coś dobrego dlatego, że myślą, iż im z tem ładnie?

I Świrski nie mylił się. Pani Maszkowa znalazła istotnie upodobanie w roli poświęcającej się córki, ale było to już bardzo wiele, bo takie upodobanie wypłynęło jednak z rzeczywistego jej przywiązania do matki i z tego, że na widok jej nieszczęścia coś w niej

zbudziło się i zadrgało. Przytem Świrski nie chciał, czy nie umiał uczynić ze swej myśli tego dalszego wywodu, że jak w zakresie toalety kobieta do nowego kapelusza potrzebuje nowego okrycia, nowej sukni i nowych rękawiczek, tak i w zakresie dobra, raz coś posiadłszy, lubi być także od stóp do głów na nowo odziana. W ten sposób odrodzenie się kobiety nie jest nigdy zupełnie niemożliwym.

Ale tymczasem doszli do Zawilowskiego, który przyjął ich z radością, albowiem od niejakiego czasu, jak zwykle powracającym do życia chorym, widok ludzi czynił mu przyjemność. Dowiedziawszy się od Świrskiego, że ten jedzie wkrótce do Włoch, począł się napierać, by go ze sobą zabrał.

— Aha — pomyślał Świrski — więc ci jakoś panna Ratkowska nie w głowie?

Zawilowski począł dowodzić, że od dawna marzył o Włoszech i że czuje, iż nigdzieby mu się tak nie pisało, jak tam, pod temi wrażeniami sztuki i tych wieków, rozsypujących się w ruiny, obwinięte w bluszcz. Śmiał się do tej myśli i unosił, więc pocziwy Świrski zgodził się bez trudności.

— Ale — rzekł — ja teraz tam długo nie zabawię, bo mam tu do roboty kilka portretów, a przytem obiecałem panu Połanieckiemu wrócić na chrzciny.

Poczem zwrócił się do Połanieckiego:

— No, cóż nareszcie: na chrzciny syna, czy córki?

A Połaniecki odrzekł:

— Niech już będzie co chce, byle Bóg dał szczęśliwie.

I gdy tamci poczeli układać plan podróży, pożegnał się i poszedł do biura. Miał do przejrzenia całą pocztę z dnia zeszłego, więc, zamknąwszy się w swym gabinecie, począł czytać listy i zapisywać do skorowidza te, które dotyczyły spraw, wymagających natychmiastowego załatwienia. Po jakimś jednak czasie, przerwał mu robotę świeżo przyjęty do biura woźny, który, wszedłszy, oświadczył, że jakaś pani chce się z nim widzieć.

Połaniecki zaniepokoił się. Przyszło mu niewiadomo dlaczego na myśl, że to nie może być kto inny, jak pani Maszkowa. I w przewidywaniu jakichś wyjaśnień i scen, serce poczęło mu bić niespokojnie.

Tymczasem we drzwiach ukazała mu się najniespodziewaniej uśmiechnięta, wesoła twarz Maryni.

— A co? zrobiłam ci niespodziankę? — rzekła.

Połaniecki zerwał się na jej widok z uczuciem nagłej i ogromnej radości i, chwyciwszy jej ręce, począł je kolejno całować.

— A moja droga! To rzeczywiście niespodzianka! — rzekł. — Skądże ci przyszło do głowy tu zajrzeć?

I tak mówiąc, począł przysuwać jej fotel i usadzać ją, jak miłego, a zarazem znakomitego gościa. Z rozpromienionej jego twarzy widać było, jaką jej obecność czyni mu przyjemność.

— Mam ci coś ciekawego do pokazania — rzekła Marynia — a że trzeba mi i tak dużo chodzić, więc tu zaszłam. A ty co myślałeś? że to kto? przyznaj mi się zaraz!

To rzekłszy, poczęła mu przegrażać, śmiejąc się, on zaś odrzekł:

— Tu się tyle interesów załatwia. W każdym razie nie myślałem, że to ty. Co masz mi do pokazania?

— Patrz, jaki list odebrałam. Połaniecki wziął list i począł czytać:

„Droga i kochana pani! Zdziwi to może panią, że się do niej udaję, ale pani, która masz zostać wkrótce matką, jedna na świecie zrozumiesz, co musi się dziać w sercu matki (choćby była tylko ciotką), która widzi nieszczęście swego dziecka. Niech mi pani wierzy, że nie chodzi mi o nic innego, jak o przyniesienie chwilowej chociaż ulgi nieszczęśliwemu dziecku, a chodzi mi o to tembardziej, że w tem wszystkim, co się stało, ja sama głównie zawiniłam. Może i te słowa panią zdziwią, ale tak jest! Ja zawiniłam, bo że zły i zepsuty człowiek, w chwili, gdy Niteczce zrobiło się źle i gdy straciła przytomność, ośmielił się dotknąć jej swojemi niegodziwemi ustami, to nie powinnam była z tego powodu głowy tracić i z dziecka czynić ofiary. Winien wprawdzie i Józio Osnowski, który kwestyę małżeństwa postawił na ostrzu noża — i, jeśli, podejrzewając już coś, chciał w ten sposób pozbyć się z domu Kopowskiego, to niech mu to Bóg przebaczy, bo nie godzi się bronić siebie kosztem cudzego szczęścia i życia. Ach, pani! mnie w pierwszej chwili także się

zdawało, że jedynym wyjściem jest małżeństwo z tym niegodziwcem i że Niteczka nie ma już prawa zostać żoną Ignasia. Pisałam nawet umyślnie do niego, że ona poszła za popędem serca i że oddaje tamtemu rękę z przywiązania, bo myślałam, że w ten sposób Ignas przeniesie łatwiej jej stratę i chciałam zmniejszyć jego boleść... Niteczka dla Kopowskiego! Bóg miłościwy tego nie dopuścił, a gdy i ja spostrzegłam, że byłoby to śmiercią dla Niteczki, obie myślałyśmy już tylko o tem, jak się uwolnić z tych więzów. Dziś nie chodzi też już o powrót do dawnych stosunków, bo i Niteczka tak straciła wiarę w ludzi i życie, że prawdopodobnie nigdyby się na to nie chciała zgodzić. Ona nawet nie wie, że piszę ten list. Gdyby kochana pani widziała, jak ona przypłaciła to wszystko zdrowiem i jak okropnie odczuła postępek pana Zawilowskiego, miałaby pani nad nią litość. On nie powinien był tego robić, choćby ze względu na nią; niestety! — mężczyźni, jak prawdziwi egoiści, w takich razach liczą się tylko z własną wolą. Ona tyle w tem wszystkim winna, ile nowonarodzone dziecko, ale ja patrzę na to, jak mi niknie w oczach i jak od rana do wieczora gryzie się tem, że stała się mimowolną przyczyną jego nieszczęścia i że mu mogła złamać życie. Wczoraj ze łzami w oczach prosiła mnie, bym, w razie jej śmierci, była matką dla Ignasia i opiekowała się nim, jak własnym synem. Codzień mówi o tem, że on musi ją przeklinać, a mnie serce pęka, bo doktor powiedział, że za nic nie ręczy, jeśli taki stan potrwa. Bóg miłosierny! Ale niech i pani przyjdzie z pomocą rozpaczycy matki: niech pani chociaż od czasu do czasu doniesie mi coś o Ignasiu, a raczej, niech pani napisze mi, że jest zdrow, spokojny, że o niej zapomniał i że jej nie przeklina, żebym mogła pokazać jej ten list i przynieść choć trochę ulgi w cierpieniu. Ja czuję, że piszę nawpół przytomnie, ale pani zrozumie, co się we mnie dzieje, jak patrzę na tę nieszczęśliwą ofiarę. Bóg to pani wynagrodzi, a ja się będę codziennie modliła, aby córka pani, jeśli Bóg da wam córkę, była szczęśliwsza od mojej biednej Niteczki”.

— Cóż ty o tem myślisz? — spytała Marynia.

— Ja myślę — rzekł Połaniecki — że wieść o zmianach w losie Zawilowskiego rozeszła się dostatecznie szeroko, a powtóre, myślę, iż ten list, przesłany pod twoim adresem, przeznaczony jest rzeczywiście dla Ignasia.

— To być może. To nie jest szczery list. Ale one jednak mogą być bardzo nieszczęśliwe.

— Pewno, że nie musi im być wesoło. Osnowski miał słuszość, pisząc, że w tem wszystkim jest jeszcze i dla Broniczowej ogromny zawód, i że ona naprózno chce samą siebie oszukać. A co do panny Castelli, wiesz, co mi powiedział Świrski? Nie powtórzę ci jego dosadnych słów, ale powiedział, że teraz może ją wziąć chyba albo głupiec, albo człowiek bez moralnej wartości. One same to rozumieją i pewno, że im nie wesoło. Być może, że i sumienie się odzywa, ale patrz jednak, ile w tym liście wykrętów. Nie pokazuj go Ignasiowi.

— Nie. Nie pokażę — odpowiedziała Marynia, której najgorętsze życzenia były po stronie panny Ratkowskiej.

A Połaniecki, idąc za myślą, która go nurtowała od dawna, powtórzył jej niemal dosłownie to, co powtarzał sobie samemu:

— Jest jakaś logika, która karze, i one zbierają to, co posiały. Zło, jak fala, odbija się od brzegu i wraca.

Na to Marynia poczęła kreślić parasolką figury po podłodze, jakby się nad czemś namyślając, potem zaś, podniósłszy na męża swoje jasne oczy, rzekła:

— Prawda, mój Stachu, że zło wraca, ale może także wrócić jako zgryzota i jako żal, a wówczas Pan Bóg poprzestaje na takiej pokucie i więcej nie karze.

Gdyby Marynia, wiedząc nawet, co mu dolega, chciała złagodzić jego udręczenia i dodać mu otuchy, nie potrafiłaby wynaleźć nic lepszego nad tych kilka prostych słów. Połaniecki żył od niejakiego czasu pod przeczuciem, że musi go spotkać jakieś nieszczęście, i pod ustawicznym przed nim strachem. Dopiero od niej dowiedział się, że ową powracającą falą może być sama jego zgryzota i żal. Tak! nagryzł się niemało i żalu w nim nie brakło, a czuł również, że gdyby to mogło być zadośćuczynieniem, byłby gotów przecierpieć jeszcze dwakroć mocniej. Tymczasem brała go ochota porwać w ramiona tę pełną prostoty i prawości kobietę, od której płynęło na niego tylko dobro — i jeśli tego nie

uczynił, to jedynie z obawy wzruszeń dla niej, ze względu na jej stan i ową nieśmiałość, która go w stosunku do niej krępowała. Natomiast podniósł do ust jej rękę i rzekł:

— Ty masz słuszność — i jesteś bardzo dobra.

A ona, rada z pochwały, uśmiechnęła się do niego i poczęła zbierać się do domu.

Gdy wyszła, Połaniecki zbliżył się do okna i odprowadzał ją oczyma. Z daleka widział jej przegiętą postać, posuwającą się ociężałym krokiem, oraz ciemne włosy, wyglądające z pod kapelusza — i w tej chwili odczuł z nową, większą niż kiedykolwiek siłą, że to jest jego najdroższa w świecie istota — i że ją jedną kocha i będzie kochał do śmierci.

XX

W dwa dni później Połaniecki odebrał od Maszki kartkę, zawierającą parę słów pożegnania. „Wyjeżdżam dziś — pisał Maszko. — Będę się starał koniecznie jeszcze wpaść do ciebie, ale na wszelki wypadek żegnam cię i dziękuję ci za wszystkie dowody przyjaźni jakie mi okazałeś. Niech ci Bóg szczęści lepiej, niż mnie dotąd szczęścił. Bardzobym chciał zobaczyć się z tobą choć na minutę — i jeśli będę mógł, wpadnę do ciebie koło czwartej do biura. Tymczasem powtarzam prośbę, byście pamiętali o mojej żonie i przygarnęli ją trochę, gdy ludzie ją opuszczą. Ciebie proszę również, byś mnie przed nią bronił przeciw ludzkim językom. Wyjeżdżam do Berlina — o dziewiątej wieczór — i zupełnie otwarcie. Do widzenia, a w każdym razie bądź zdrow — i raz jeszcze, dzięki za wszystko. — Maszko.”

Połaniecki poszedł koło czwartej do biura, ale przeszło godzinę czekał napróżno. — „Nie przyjdzie — pomyślał wreszcie — tem lepiej!” I poszedł do domu z poczuciem pewnego zadowolenia, że udało mu się uniknąć kłopotliwego spotkania. Wieczorem jednak poczęło się w nim budzić pewne politowanie dla Maszki. Pomyślał, że to jest człowiek, który wprowadził szedł złą i gorączkową drogą, ale się namęczył i naszarpał, a w końcu ciężko przypłacił — że to wszystko, co się stało, było dawno do przewidzenia, jeżeli zatem ci, którzy to przewidywali, żyli z nim i przyjmowali go u siebie, nie powinni teraz okazywać mu pogardy w chwili upadku. Rozumiał też, ile Maszce sprawi przyjemności swoim przybyciem na kolej — i po chwili wahania — poszedł.

Po drodze przypomniał sobie, że prawdopodobnie znajdzie na dworcu i panią Maszkową, lecz wiedział, że i tak musi ją spotykać, a sądził, że cofnąć się z tego powodu byłoby jakimś marnem tchórzostwem.

Z temi myślami wszedł na dworzec. W niewielkiej salce pierwszej klasy było już kilka osób i na stołach leżały całe stopy ręcznych tobołków, lecz nigdzie nie mógł dostrzedz Maszki, i dopiero rozejrzawszy się dokładnie, rozpoznał w młodej zakwefionej damie, siedzącej w kącie sali, panią Maszkową.

— Dobry wieczór — rzekł, zbliżywszy się ku niej. — Przychodzę pożegnać pani męża. Co się z nim dzieje?

Ona, skinąwszy mu lekko głową, odrzekła zwykłym sobie chłodnym głosikiem:

— Mój mąż kupuje bilety. Zaraz przyjdzie.

— Jakto bilety? Czyby i pani miała z nim jechać?

— Nie; mój mąż kupuje bilet.

Dalsza rozmowa w tych warunkach przedstawiała się dość trudno; po chwili jednak wszedł Maszko, w towarzystwie kolejowego służącego, któremu oddawał bilet i pieniądze z poleceniem wyeksperymentowania rzeczy. Przybrany w długi płaszcz z peleryną i w miękki filcowy kapelusz, wyglądał razem ze swymi długimi faworytami i ze złotymi binoklami na jakiegoś podróżującego dyplomatę. Połaniecki też ludził się, że Maszko okaże nadzwyczajną radość z jego przybycia. Maszko, ujrawszy go, rzekł wprawdzie: „Ach, jakżem ci wdzięczny, żeś przyszedł!” — ale jakby z pewną niedbałością i z pośpiechem, zwykłym u ludzi, którzy wyjeżdżają.

— No — ozwał się, rozglądając się po sali — wszystko załatwione! Ale gdzie to są moje ręczne pakunki! — A są! — Dobrze!

Poczem zwrócił się do Połanieckiego i powtórzył:

— Dziękuję ci, żeś przyszedł. Zróbże mi w takim razie jeszcze jedną łaskę i odwieź żonę do domu, albo przynajmniej wyjdź z nią razem i pomóż jej odnaleźć powóz. Tereniu,

pan Połaniecki odwiezie cię do domu. Mój drogi, choć na chwilę, mam ci jeszcze coś powiedzieć.

I wzięwszy Połanieckiego na bok, począł mówić gorączkowo:

— Odwieź ją koniecznie. Ja swój wyjazd upozorowałem, ale ty, tak, mimochodem, powiedz jej, że dziwisz się, iż na tak krótko przed terminem sprawy wyjeżdżam, bo gdyby mnie jaki wypadek zatrzymał, sprawa musiałaby być przegrana. Chciałem u ciebie być, żeby cię właśnie o to prosić, ale, jak to wiesz... w dniu wyjazdu! Termin za tydzień!... Ja zachoruję; stanie za mnie mój dependent, który jest poczynającym adwokatem — i oczywiście przegra. Ale rzecz będzie upozorowana przez wypadek. Żonę zabezpieczyłem. Wszystko jest na jej imię i nie zabiorą jej jednej szklanki. Sam też mam jeden pomysł, z którym udam się do Towarzystwa budowy okrętów w Antwerpii. Jeśli zrobię układ, lasy zadrżą w całym kraju, ale kto wie, czy w takim razie nie wrócę, bo cała sprawa o Płoszów jest wobec tego drobnostką. Nie mogę mówić obszerniej! Gdyby nie te ciężkie chwile, które przejść musi moja żona, bronilibym się zgryzocie, ale to mnie dusi tak!

Tu pokazał ręką na gardło, a potem mówił jeszcze spieszniej:

— Niestety na mnie spadło, ale nieszczęście może spaść na każdego. Zresztą za późno o tem mówić. Jak było, tak było, alem robił, co mógł, i jeszcze zrobię, co będę mógł. I to dla mnie ulga, że ty także swoje wydobędziesz — choćby z Krzemienia! Żeby miał czas powiedzieć ci, co mam za pomysł, sambyś przyznał, że lada komuby nie przyszedł do głowy. Być może, że będę miał interesa i z waszą spółką. Widzisz, że się nie daję... I żonę zabezpieczyłem zupełnie. Ha! stało się! stało! Inny na mojem miejscu gorzejby skończył. Czy nieprawda? Ale wracajmy teraz do żony.

Połaniecki słuchał z pewną przykrością słów Maszki. Podziwiał wprawdzie jego duchową niepożytość, ale jednocześnie czuł, że brak w nim jakiejś równowagi, która różni przedsiębiorczego człowieka od przedsiębiorczego awanturnika. I zdawało mu się, że w Maszce jest już coś z przyszłego wytartego wygi, który będzie się jeszcze długo rzucał, ale razem ze swymi pomysłami będzie spadał coraz niżej, aż skończy na wykrzywionych butach, drugorzędnej kawiarni i opowiadaniach wśród tak samo „załamanych” o swojej dawnej wielkości. Pomyślał także, że powód tego wszystkiego, to życie, oparte od początku na nieprawdzie, i że Maszko, przy całej swej inteligencji, nigdy nie potrafi się z pęt nieprawdy wydobyć.

Oto udawał jeszcze i teraz przy żonie. Poniekąd musiał to czynić, ale, gdy sala zaczęła się napępiać ludźmi, a między nimi niektórzy znajomi przychodzili ich witać i zamienić parę takich prędkich słów, jakie zamienia się na kolejach, Maszko odzywał się do nich z takim jakimś odcieniem wyższości i łaski, że Połanieckiego brała złość. „I pomyśleć — mówił sobie — że on ucieka przed wierzycielami; coby było, gdyby ten człowiek doszedł kiedykolwiek do fortuny!”

Ale tymczasem ozwał się dzwonek, a z za okien dał się słyszeć pośpieszny oddech lokomotywy. Ludzie poczęli się ruszać i spieszyć. „Ciekawym, co się w nim teraz dzieje?” — pomyślał Połaniecki. Lecz on i w takiej chwili nie mógł wydobyć się z więzów kłamstwa. Być może, że serce ścisnęło mu się złem przecuciem, że miał błysk jasnowidzenia, iż tej żony, którą kochał, więcej nie zobaczy, że jedzie na poniewierkę, na upadek, ale nie wolno mu było ni okazać tego, co czuł, ani nawet pożegnać żony tak, jakby chciał.

Ozwał się drugi dzwonek. Wyszli na peron i Maszko zatrzymał się jeszcze chwilę przed sleepingiem. Blask latarni padał prosto na jego twarz, na której pojawiły się około ust dwie zmarszczki. Lecz mówił spokojnie, tonem człowieka, którego interesa zmuszają do kilkodniowego wyjazdu i który jest pewien, że wróci.

— No, do widzenia, Tereniu. Ucałuj odemnie ręce mamy i bądź mi zdrowa. Do widzenia! do widzenia!

To mówiąc, podniósł jej rękę, którą jednak długo trzymał przy ustach.

A Połaniecki, usunąwszy się umyślnie nieco na bok, myślał:

— Oni się widzą ostatni raz. Za jakie pół roku nastąpi urzędowa separacja.

I uderzył go szczególnie los tych obydwóch kobiet, jednaki dla matki i córki. Obie wyszły za mąż z wszelkimi pozorami świetności — i obydwóch mężowie musieli odbieżeć od domowego ogniska, pozostawiając żonom tylko wstyd.

Lecz tymczasem zadzwoniono po raz trzeci. Maszko wsiadł do wagonu. Przez chwilę w szerokiej szybie sleepingu widać było jeszcze jego faworyty i złote binokle, poczem pociąg zasunął się w ciemność.

— Służę pani — rzekł Połaniecki.

I był prawie pewien, że pani Maszkowa podziękuje mu sucho za towarzystwo. Był nawet z tego powodu zły, albowiem postanowił powiedzieć jej coś nietylko o mężu, ale i od siebie. Lecz ona skłoniła głowę na znak zgody. Miała także swój plan. W sercu jej zebrało się tyle gorzkiej niechęci i urazy do Połanieckiego, iż w przypuszczeniu, że on może znowu zechce skorzystać z chwili, którą mieli spędzić samowtór, postanowiła mu dać odprawę, którąby długo popamiętał.

Lecz myliła się najzupełniej. Najprzód, on przez nią rozbił się, jak łódź o skałę, i z tego powodu przez jakiś czas czuł dla niej nietylko niechęć, ale i nienawiść. Powtóre, jeśli później, przez coraz wyraźniejsze poczucie, że wina jest wyłącznie po jego stronie, nienawiść ta przeszła, to zmienił się tak dalece, że był już niemal zupełnie innym człowiekiem. Kupiecki obrachunek z samym sobą nauczył go, że za podobne wybryki za drogo się płaci; był w fazie ogromnej tęsknoty za życiem bez oszustwa, a wreszcie zgryzota i żal tak przeżarły w nim żądzę, jak rdza przeżera żelazo. Pomagając jej teraz wsiadać do powozu i dotknąwszy jej ramienia, pozostał spokojny — i wsiadłszy, począł jej zaraz mówić o Maszce, sądził bowiem, że, przez samo uczucie ludzkości należy przygotować ją na przyszłą katastrofę i złagodzić jej znaczenie.

— Podziwiam odwagę męża pani — rzekł. — Niech w czasie jego pobytu w Berlinie runie jeden most na kolei, to nie będzie mógł wrócić na sprawę, od której — jak pani zapewne wiadomo — cały jego los zależy. Musiał wyjechać dla ważnych powodów, ale to zawsze hazard.

— Mosty są mocne — odpowiedziała pani Maszkowa.

Lecz on, niezrażony tą niezbyt zachęcającą odpowiedzią, mówił dalej, odchylając przed nią stopniowo zasłonę przyszłości i mówił tak długo, że tymczasem przybyli przed mieszkanie Maszków. Wówczas ona, nie rozumiejąc widocznie znaczenia jego słów, a może zła, że nie miała sposobności dania mu zamierzonej odprawy, rzekła, wysiadłszy już z karety:

— Czy pan ma jaki osobisty cel w tem, żeby mnie niepokoić?

— Nie, pani — odrzekł Połaniecki, który uznał, że nadszedł czas powiedzenia jej tego, co jej postanowił powiedzieć od siebie. — W stosunku do pani mam tylko jeden cel, oto oświadczyć, że względem pani niegodnie zawinił — i że panią z całej duszy przepraszam.

Lecz młoda kobieta, nie odpowiedziawszy ani słowa, weszła do sieni. Połaniecki do końca życia nie dowiedział się, czy to było milczenie nienawiści, czy przebaczenia.

Jednakże wracał do domu z pewną ulgą, albowiem zdawało mu się, że powinien był tak postąpić. Był to w jego oczach mały akt pokuty — było mu zaś wszystko jedno, jak pani Maszkowa go zrozumiała. „Może sądzi, mówił sobie, że ją przepraszam za moje późniejsze postępowanie, w każdym razie będę jej teraz śmieiej w oczy patrzył”.

I w tej jego myśli było niezawodnie trochę egoizmu, ale była i wola wyjścia z manowców.

XXI

Panna Helena odebrała również przed wyjazdem od pani Broniczowej list, w rodzaju tego, który odebrała Marynia, i również, jak Marynia, nie pokazała go Zawilowskiemu. Zresztą i Zawilowski wyjechał razem ze Świrskim w tydzień później, nie odwiedzwszy nikogo ze znajomych, z wyjątkiem panny Ratkowskiej. Sam Świrski odwiódł go od wszelkich odwiedzin i Połaniecki, w rozmowach z żoną, przyznawał mu zupełną słuszność. „Teraz — mówił — byłoby to przykre i dla Ignasia, i dla nas. Co innego ci, którzy go codzień odwiedzali, bo ci do niego przywykli, ale nikt z innych nie mógłby się powstrzymać, by mimo woli nie spoglądać na ślad, jaki mu na czole pozostał. Zresztą Ignas zmienił się bardzo. Przez podróż przyjdzie zupełnie do siebie i gdy wróci, my przyjmiemy go, jakby nic nie zaszło, a obcy będą w nim przede wszystkim widzieli bogatego panicza”.

I tak mogło być rzeczywiście. Ale tymczasem przez ów wyjazd wokół Połanieckich uczyniło się pusto. Kółko ich znajomych rozproszyło się na wszystkie strony. Osnowski bawił ciągle w Brukseli; o niej nikt dobrze nie wiedział, gdzie jest. Pani Broniczowa z panną Castelli siedziały w Paryżu; zbrakło również domu Zawilowskich; pani Krasławska z córką zamknęły się i żyły tylko jedna dla drugiej, a na koniec choroba przykuła biedną panią Emilię raz na zawsze do łóżka.

Pozostali tylko Bigielowie i profesor. Ale on był również chory, a przytem zdziwaczał tak bardzo, że dalsi mieli go wprost za waryata. Inni mówili z pewną ironią, iż człowiek, który spodziewa się, że duch chrześcijański przeniknie tak samo w dzieje, jak przeniknął w stosunki prywatne, nie może być chyba przy zdrowych zmysłach. On sam począł też myśleć o śmierci i czynić do niej przygotowania. Częstokroć powtarzał Połanieckiemu, że chciałby umrzeć w „sieni do innego świata” — i wybierał się w tym celu do Rzymu. Ale, kochając bardzo Marynię, pragnął doczekać się przedtem jej słabości.

W ten sposób czas upłynął Połanieckim w wielkiem osamotnieniu. Było ono zresztą potrzebne i dla Maryni, która w ostatnich dniach czuła się mocno niezdrowa, i dla jego usposobienia. Połaniecki pracował w biurze — i nad sobą; wyrabiał w sobie nowego człowieka i czuwał nad żoną, ona zaś również przygotowywała się do nowej w życiu epoki — i przygotowywała się wesoło, albowiem zdawało jej się, że sama jej zapowiedź wpływa doskonale na nich oboje. Połaniecki stawał się z każdym dniem jakiś mniej bezwzględny, wyrozumiały w sądach o ludziach i łagodniejszy, nietylko w stosunku do niej, ale w stosunku do wszystkich, z którymi go stykało życie. Ją otaczał wyjątkową, uprzedzającą troskliwością, a jakkolwiek przypuszczała, że troskliwość owa ma na celu nie tyle jej osobę, ile dziecko — uznała to za słuszne i była mu wdzięczna. Dziwiła ją czasem pewna nieśmiałość i jakby pewne wahanie się w jego obejściu, ale, nie mogąc odgadnąć, że to jest tylko powstrzymywanie uczucia dla niej, przypisywała podobne objawy obawie Stacha o to, czy wszystko odbędzie się szczęśliwie.

I w tych warunkach zaczęły uchodzić całe tygodnie. Jednostajność ich przerywały czasem listy Świrskiego, który, gdy mógł złapać wolną chwilę, donosił co mógł, o Zawilowskim i o sobie. W jednym z tych listów pytał w imieniu Zawilowskiego, czy pani Połaniecka pozwoli, by ten opisy swych wrażeń posyłał pod formą listów do niej. — „Mówiliśmy z nim o tem obszernie — pisał Świrski. — On utrzymuje naprzód, że i pani może będzie przyjemnie mieć echa z kraju, który pani pozostawił tyle miłych wspomnień, a powtóre, że to bardzo ułatwia robotę, gdy się pisze jakby prywatnie. — Jest zdrow, chodzi, jada i sypia doskonale. Co wieczór widuję go też, jak siada do biurka i zabiera się do pisania. Uważałem, że próbuje i wierszy. Jakoś to nie idzie, bo dotąd, o ile wiem, nic nie napisał — przypuszczam jednak, że powoli wszystko się odnajdzie, a tymczasem może forma listów istotnie ułatwić mu pracę. Dodaję na ostatek, że pannę Helenę wspomina z ogromną wdzięcznością, a na każde wspomnienie o pannie Ratkowskiej rozpromienia się w oczach. Ja zaś często mu o niej wspominam, bo cóż mam biedny robić. Jak co nie przeznaczone, to i niema rady, a jak komu pisane, że musi zostać kółkiem w płocie — to nie puści liści i na wiosnę”. W połowie listopada przyszedł jednak z Rzymu list, który obojgu Połanieckim dał dużo do myślenia. Świrski pisał co następuje:

— „Wyobraźcie sobie państwo, że jest tu pani Broniczowa i panna Castelli — i zem się z nimi widział. Ja w Rzymie, jak w domu, więc o ich przyjeździe dowiedziałem się zaraz na drugi dzień. I wiecie, com na razie zrobił? Oto namówiłem Ignasia do Sycylii, w czem zresztą nie miałem wiele trudności. Pomyślałem, że będzie siedział w Palermo, w Syrakuzach i w Taorminie, a gdyby wypadkiem wpadł w ręce „maffii”, mniej drogo zapłaci za wykup, niż już zapłacił za prawo noszenia przez pewien czas pierścionka panny „Niteczki”. — Mówiłem sobie, że jeśli się mają spotkać gdziekolwiek na świecie i gościć, niechże się sobie spotykają i godzą, ale nie chciałem brać tego na własne sumienie, zwłaszcza po tem wszystkim, co zaszło. — Ignas jest niby zdrow, ale umysłowo nie przyszedł jeszcze do siebie i w tym stanie mógłby łatwo być doprowadzony do czegoś, czego by potem całe życie żałował. Co do tych pań, domyśliłem się od razu, dlaczego one tu przyjechały, i cieszyłem się w duszy, że im pomieszał szyki — że zaś domysł mój był trafny, to dowód, że w kilka dni później przyszedł do Ignasia list, na którym rozpozna-

lem charakter szanownej wdowy po nieboszczyku Teodorze. Napisałem na kopercie, że Zawilowski wyjechał, niewiadomo dokąd, i list odesłano retro.

„To jednak dopiero początek historii. Nazajutrz odbieram list ja, z wezwaniem na rozmowę. Odpisuję, że z żalem muszę odmówić, ale moje zajęcia nie pozwalają mi na zrobienie sobie tej przyjemności. Na to odbieram drugą kartkę, już z odwołaniem się do mego charakteru, talentu, pochodzenia, serca, współczucia dla nieszczęśliwej kobiety — i z prośbą, bym, albo sam przyszedł, albo wyznaczył godzinę w pracowni. Nie było rady — poszedłem. Przyjęła mnie sama pani Broniczowa, ze łzami i z całym potokiem opowiadań, których nie będę powtarzał, ale w których „Niteczka” ukazuje się, jak Św. Agnieszka-męczennica. Pytałem, czem mogę służyć. Powiedziała mi, że tu nie chodzi o nic innego, jak o dobre słowo ze strony Zawilowskiego, że „dziecko jest chore, kaszle i prawdopodobnie roku nie przeżyje, ale chce umrzeć ze słowem przebaczenia”. Na to, wyznaję, że trochę zmięknął, ale się trzymał. Nie mogłem zresztą dać adresu Zawilowskiego, bom nie wiedział rzeczywiście, w którym hotelu się zatrzyma. Pocilem się, jak w łaźni, i w końcu przyrzekłem tam coś ogólnikowo, że, jeśli Ignas zacznie kiedy pierwszy ze mną mówić o panie Castelli, to go będę namawiał, by postąpił zgodnie z chęcią pani Broniczowej.

„Ale to wszystko jeszcze nic. W chwili, gdym myślał o odwrocie, weszła nagle sama panna Lineta i zwróciła się do ciotki z prośbą, by mogła ze mną sam na sam pomówić. Nawiasem powiem państwu, że wychudła i że wydała mi się jeszcze wyższa, niż zwykle, prawdziwie jak „topolka”, którą łada wiatr może złamać. Ledwośmy zostali sami, zwróciła się do mnie i powiedziała mi tak: „Ciotka próbuje mnie uniewinnić i robi to wszystko z miłości dla mnie, więc jestem jej wdzięczna, ale ja nie mogę tego przenieść i oświadczam panu, że jestem winna, że jestem zła, że jestem nic nie warta, i że, jeśli jestem nieszczęśliwa, to stokrotnie na to zasłużyłam”. — Ushyszawszy to, zdumiałem, ale widziałem, że mówi szczerze, bo jej się usta trzęsły i oczy zaćmiły. Mówcie sobie państwo, że mam maślane serce, ale wyznaję, że się grubo wzruszył i spytałem, co mogę dla niej uczynić. Na to odpowiedziała mi, że nic, ale prosiła, żebym wierzył przynajmniej w to, że ona w tych usiłowaniach cioci do nawiązania na nowo stosunku nie bierze żadnego udziału, że jej się po postępku Zawilowskiego otworzyły oczy na to, jaka ona jest, co zrobiła, i że tego nigdy w życiu nie zapomni. W końcu powtórzyła raz jeszcze, że ona jedna wszystkiemu winna i prosiła, żebym tę naszą rozmowę powtórzył Zawilowskiemu, ale nie teraz, tylko kiedyś, gdy jej już nie będzie mógł posądzać, że go chce wzruszyć.

„No i co? Dalibyście czemuś podobnemu wiare? Ja widzę jasno dwie rzeczy. Naprzód, że ją zamach Zawilowskiego na siebie musiał, bądźco bądź, okropnie wstrząsnąć, a powtóre, że jest bajecznie nieszczęśliwa i kto wie, czy rzeczywiście nie chora. Przychodzi mi też na myśl to zdanie panny Heleny Zawilowskiej, któreś mi pan powtórzył, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. W każdym razie jest to rzecz nadzwyczajna. Wierzę też, że gdyby nawet Zawilowski chciał teraz do niej wrócić, ona nie zgodziłaby się na to, tylko dlatego, że się go nie czuje godna. Co do mnie, myślę, że na świecie jest wiele lepszych i szlachetniejszych od niej natur kobiecych, ale niech mnie licho porwie, jeśli będę działał przeciw niej”.

W dalszym ciągu następowały zapytania o zdrowie i ukłony dla państwa Bigielów.

List ten uczynił wielkie na wszystkich wrażenie i dał powód do licznych rozpraw między Połanieckimi i Bigielami. Pokazało się też zarazem, jak dalece zmienionym człowiekiem jest Połaniecki. Dawniej nie znalazłby dość słów potępienia dla panny Castelli i nie byłby nigdy uwierzył, że w tego rodzaju kobiecie może się odezwać jakaś struna uczciwsza; obecnie zaś, gdy pani Bigielowa (która, jak i inne panie, ciałem i duszą należała do stronnictwa panny Ratkowskiej) wyraziła wątpliwość, czy nie jest to tylko odmienna taktyka ze strony panny Castelli — rzekł:

— Nie, ona na to zbyt młoda i wydaje mi się w tem szczerą. To już jest wielka rzecz, jeśli tak bezwzględnie uznaje swoją winę, bo to dowodzi, że jej zbrzydła życiowa nieprawda.

Po chwili zaś zastanowienia, dodał:

— Ja pamiętam, jak naprzykład taki Maszko — nieraz niby uznawał, że idzie błędną i fałszywą drogą, ale natychmiast szukał poza sobą przyczyn, któreby go mogły usprawiedliwić: „U nas tak trzeba”; „to wina naszego społeczeństwa”; „płacę takimi pieniędzmi,

jakie mają kurs!” — Com się tego nasłuchał! I to była również nieprawda. Tymczasem jest pewna odwaga w powiedzeniu: moja bezwzględna wina! — i kto tę odwagę ma, temu jeszcze coś zostało.

— Więc pan sądzi, że Zawilowski dobrzeby zrobił, wróciwszy do niej?

— Ani tak sądzę, ani przypuszczam, by się to stać mogło.

Lecz żywe zajęcie, rozbudzone wiadomościami z Rzymu, oraz troska o Zawilowskiego i pannę Castelli, przeszły wkrótce pod naciskiem poważniejszej troski, jaka zawisła nad domem Połanieckich. Pod koniec listopada zdrowie Maryni poczęło się psuć widocznie. Psuło się zresztą już od dawna, ale ona ukrywała to, póki mogła. Przychodziły na nią teraz ciężkie bicia serca i osłabienie tak wielkie, iż bywały dni, w których nie mogła poruszyć się z fotelu. Następnie dołączyły się do tego bóle krzyża i zawroty głowy. W ciągu tygodnia zmieniła się w oczach i wychudła do tego stopnia, że nawet lekarze, którzy aż dotąd uważali te objawy za zwykłą zapowiedź zbliżającej się słabości, poczęli się nimi niepokoić. Przejrzysta jej twarz przybierała teraz czasem odcień błękitnawy i, zwłaszcza w chwilach, gdy chora trzymała oczy zamknięte, stawała się podobną do twarzy umarłej. Nawet pani Bigielowa, największa optymistka w otoczeniu, nie mogła w końcu oprzeć się obawom, lekarz zaś oświadczył wprost Połanieckiemu, że w takich warunkach oczekiwane przejście może być niebezpieczne i samo w sobie i w następstwach. Naprawdę jedna tylko Marynia, lubo codzien słabsza i więcej wyczerpana, nie traciła otuchy.

Połaniecki zaś ją tracił. Przyszedł na niego czas tak ciężki, że wszystkie bóle i zmartwienia, jakie trafiło mu się w życiu przechodzić, wydały mu się niczem w porównaniu z tym straszliwym niepokojem, przechodzącym częstokroć w zupełną utratę nadziei. Niegdyś, po ożenieniu się z Marynią, w jego pojęciach o małżeństwie i nadziejach na przyszłość, dziecko było czemś głównym; teraz dopiero uczuł, że oddałby nie jedno, ale wszystkie dzieci, jakie kiedykolwiek mógł mieć, byle uratować tę jedyną, kochaną głowę. I serce krajało mu się, gdy czasem Marynia powtarzała swym osłabionym głosem pytanie, które i przedtem nieraz mu zadawała: „Stachu, a jeśli będzie chłopiec?” — Radby był upaść jej do nóg i, objąwszy je, powiedzieć: „Niech licho porwie chłopca, czy dziewczynę, byleś została mi ty!” — musiał zaś uśmiechać się do niej i zapewniać ją spokojnie, że mu to wszystko jedno. Opadły go znów dawniejsze strachy — i owa nadzieja, którą w nim wzbudziły słowa Maryni, że fala złego wraca przy łasce bożej tylko jako żal, rozwiła się bez śladu. Teraz chwilami miewał znowu poczucie, że choroba Maryni może być właśnie taką powracającą falą. Jakim sposobem tak mogło być, na to nie miał odpowiedzi, ale próżno rozum mówił mu, że na przykład, między występkiem pani Osnowskiej, lub panny Castelli, a karą, jaka je spotkała, istnieje bezpośredni związek, którego tu niemasz. Strach odpowiadał mu na to, że zło może się filtrować przez życie tak tajemniczemi drogami, iż rozum ludzki nigdy ich nie wysledzi. I na tę myśl ogarniała go jakaś wprost mistyczna bojaźń. Człowiek w nieszczęściu traci zdolność do ścisłych rozumowań i żyje pod uciskiem groźby — i pod takim uciskiem żył Połaniecki. Widział tylko przepaść i własną bezsilność. Nieraz, patrząc na wynędzniałą twarz Maryni, mówił sobie: „Trzeba być szalonym, żeby przypuścić, iż ona może nie umrzeć!” — a jednocześnie szukał rozpaczliwie na twarzach otaczających choć cienia nadziei, i każdą kroplą krwi, każdą cząstką mózgu, całą duszą i sercem, buntował się przeciw jej śmierci. Wydawało mu się to niepojętą krzywdą, żeby ona miała zamknąć na zawsze oczy, zanim on nie okaże jej, jak ją bez miary kocha, zanim jej nie wynagrodzi tych wszystkich chwil nieuwagi, szorstkiego obejścia, egoizmu i niewiary, zanim nie powie jej, że stała się duszą jego duszy, czemś nietylko nad wszystko w życiu umiłowaniem, ale i uczczonem. Powtarzał sobie, że jeśli Bóg tego dla niego nie uczyni, to powinien uczynić dla niej, żeby przynajmniej odeszła z uczuciem takiego szczęścia, na jakie zasłużyła. Od tych zuchwałych narzucania Bogu, jak powinien postąpić, przechodził znów do skrucy, pokory i prośby. Ale tymczasem Marynia była z każdym dniem bardziej i niebezpieczniej chora, on zaś, wśród dwóch rozpacz, z których jedna krzyczała: „to nie może być!” — a druga: „to musi być!” — wił się istotnie, jak w kleszczach.

Nadomiar, z konieczności, z obawy, by żonie nie odebrać otuchy, musiał wobec niej udawać, że z jej choroby niewiele sobie robi. I lekarz i pani Bigielowa przestrzegali go codzien, by jej nie przestraszał; wskazywał mu to również własny rozum, a jednocześnie było to dla niego nowem udręczeniem, przychodziło mu bowiem na myśl, że ona

może to wziąć za brak uczucia i umrzeć z myślą, że on jej nigdy nie kochał. Zmieniło się też w nim wszystko do dna. Bezsensowność, zmęczenie i trwoga wprowadziły go w stan jakiejś chorobliwej egzaltacji, w której samo nawet niebezpieczeństwo, i tak aż nadto rzeczywiste, widział w spotęgowanym stopniu. Zdawało mu się, że niema żadnej nadziei i chwilami myślał o Maryni, jakby już umarła. Po całych dniach rozpamiętywał wszystkie dodatnie strony jej charakteru, jej słowa, dobroć, spokój; przypominał sobie, jak wszyscy ją kochali i jednocześnie czynił sobie rozpaczliwe wyrzuty, że jej nigdy nie był wart, że ją nie dość kochał, nie dość cenił, że w końcu złamał jej wiarę, a zatem musi ją stracić — i traci słusznie.

I w tem poczuciu, że rzecz tak straszna jest zarazem zasłużoną i że na wszelką poprawę jest zapóźno, było po prostu coś rozdzierającego. Ci nawet, którzy za życia byli zawsze bardzo kochani, odchodząc, pozostawiają za sobą żal, że jeszcze nie dość byli kochani — ze wszystkich najcięższy.

Na początku grudnia wrócili po dwumiesięcznym pobycie we Włoszech Świrski i Zawilowski. Połaniecki tak wysechł i zmizerniał przez ten czas, że go ledwie poznali; ale i on, cały pogrążony w swem nieszczęściu, prawie nie zwrócił na nich uwagi i słuchał, jak przez sen, słów pociechy i otuchy ze strony obydwóch, również jak i opowiadań, któremi zacny malarz próbował rozerwać jego strapioną myśl. Co go teraz mógł obchodzić Zawilowski, pani Broniczowa lub panna Castelli, wobec tego, że jego Marynia mogła lada dzień skończyć. Świrski, który miał dla niej ogromną przyjaźń, chcąc zacerpnąć skądkolwiek trochę nadziei, udał się do pani Bigielowej, lecz i ta nie miała jej wiele. Lekarze sami nie wiedzieli dobrze, co chorej jest, bo do jej stanu przyłączyły się jeszcze rozmaite inne powikłania, nie dające się nawet określić. Wiadomo im było tylko, że serce chorej działa nieprawidłowo, obawiano się zaś przedewszystkiem, by, wskutek złego krążenia krwi, nie potworzyły się w żyłach skrzepy, grożące natychmiastową śmiercią. Lecz prócz tego, nawet w razie szczęśliwego rozwiązania, obawiano się mnóstwa rzeczy: i wycięczenia, i upadku sił, i wszelkiego rodzaju następstw, które dopiero później mogły się ukazać. Świrski przekonał się, że pani Bigielowa nie łudzi się już także, gdyż w końcu rozmowy rozplakała się i rzekła:

— Biedna Marynia, ale biedny i on! Żeby mu chociaż dziecko zostało, możeby znalazł siłę do zniesienia tego ciosu.

I wyplakawszy się, dodała:

— I tak ja nie rozumiem, jak on może to wszystko wytrzymać.

Była to prawda. Połaniecki nie jadł i nie spał. W biurze nie pokazywał się od dawna, z domu zaś wypadał tylko chwilami po kwiaty, które Marynia zawsze lubiła i których widok ją rozweselał. Ale była już tak chora, że on za każdym razem, niosąc pęki chryzantem, wracał ze straszną myślą, że może niesie je na trumnę. Maryni samej otworzyły się oczy, że to może zbliżyć się śmierć. Mężowi nie chciała o tem mówić, ale przed panią Bigielową płakała któregoś dnia z żalu za życiem i za „Stachem”. Martwiła się też myślą, jak on to przeniesie, bo chciała jej się, żeby jej bardzo żałował, a jednocześnie, żeby nie bardzo cierpiał. Przez długi czas udawała jednak przed nim, że jest pewna, iż wszystko skończy się szczęśliwie.

Ale później, gdy poczęły przychodzić na nią omdlenia, zebrała się na odwagę, by z nim mówić trochę otwarciej. Wydawało jej się to obowiązkiem, więc którejś nocy, gdy pani Bigielowa, zwyciężona bezsensownością, poszła spać, a on czuwał, jak zawsze, przy niej, przyciągnęła do siebie jego rękę i rzekła:

— Stachu, ja chciałabym z tobą pomówić i o jedną rzecz cię poprosić.

— Co chcesz, kochanie? — spytał Połaniecki.

Ona czas jakiś namyślała się widocznie, jakby wyrazić swoją prośbę, a potem poczęła mówić:

— Obiecuj mi... Ja wiem, że pewno wyzdrowieję... ale przyrzecz mi, że... choćby to był chłopiec, ty go będziesz kochał i będziesz dla niego dobry.

Połaniecki nadludzkim wysiłkiem pohamował łkanie, które chwyciło go za piersi i odrzekł spokojnie:

— Moje drogie kochanie! I ciebie będę zawsze kochał i jego. Bądź pewna!...

Na to Marynia spróbowała podnieść jego rękę do ust, ale z osłabienia nie mogła tego uczynić, więc poczęła się tylko uśmiechać do niego z wdzięcznością, a po chwili znów rzekła:

— I jeszcze jedno... Nie myśl, żebym przypuszczała zaraz jakie straszne rzeczy — wcale nic! — ale ja — chciałabym się wypowiedzieć...

Połanieckiego dreszcz przebiegł od stóp do głów.

— Dobrze, moje dziecko — odpowiedział zająkliwym i jakby nieswoim głosem.

Ona zaś, przypomniawszy sobie, że niegdyś podobało mu się jej wyrażenie „służba boża”, i chcąc mu dać poznać, że tu nie chodzi o nic innego, jak tylko o wypełnienie zwykłych religijnych obowiązków, powtórzyła z uśmiechem, niemal wesołym:

— Służba boża!

I spowiedź odbyła się nazajutrz. Połaniecki tak był już pewien, że to jest koniec wszystkiego, iż niemal dziwiło go, że Marynia żyje jeszcze, a nawet, że wieczorem uczyniło się jej nieco lepiej.

Nie śmiał już wpuścić nadziei do duszy. Ona jednak stała się rzeźwiejsza i mówiła, że jej lżej oddychać. Około północy poczęła z nim zwykłą wojnę o to, by poszedł odpocząć. Jakoż on, ze zmartwienia i trudu wyglądał już nie wiele lepiej od niej. Bronił się też i teraz z początku, utrzymując, że spał w dzień, co była nieprawda — i że jest wypoczęty; ale gdy nalegała koniecznie — ustąpił, tem bardziej, że była przy niej umyślna kobieta i Bigielowa, a lekarz, który od tygodnia sypiał w ich mieszkaniu, upewnił go, że na dziś nie należy się niczego gorszego spodziewać.

Wyszedszy jednak, uczynił to, co czynił zwykle, to jest siadł na fotelu przy drzwiach i począł nasłuchiwać, co dzieje się w jej pokoju.

Za najmniejszym szmerem zrywał się, lecz gdy szmer ustawał, siadał znowu i począł rozmyślać, prędko a chaotycznie, jak czynią ludzie, nad którymi wisi niebezpieczeństwo. Chwilami jednak myśli zachodziły mu ze znużenia jedna za drugą, tworząc jakąś zbitą gęstwinię, w której się plątał, nie mogąc nic rozeznąć. Morzył go też i sen. Siły miał niepospolite, ale od dziesięciu dni przebierał się tylko, nie rozbierał — i na nogach podtrzymywała go jedynie czarna kawa i gorączka. Nie poddawał się i teraz, choć głowa ciężyla mu ołowiem, a gęstwina myśli zmieniała się jakby w czarną chmurę, bez jednego jaśniejszego promyka. Mechanicznie tylko powtarzał sobie jeszcze, że Marynia chora i że on nie powinien usnąć; ale słowa te nie miały już dla niego najmniejszego znaczenia.

Wreszcie trud, wyczerpanie i bezsenne noce przemogły. Chwytał go nieprzearty, kamienny sen, w którym nic się nie śni, w którym ginie rzeczywistość, ginie cały świat i samo życie zdaje się drętwieć.

Nad ranem zbudziło go dopiero pukanie do drzwi.

— Panie Stanisławie! — ozwał się przytłumiony głos pani Bigielowej.

Połaniecki zerwał się na równe nogi i oprzytomniawszy w tejże chwili, wybiegł z pokoju. Jednym spojrzeniem objął łóżko Maryni i na widok zapuszczonych firanek nogi zachwiały się pod nim.

— Co się stało? — wyszeptał zbielełymi wargami.

A pani Bigielowa odpowiedziała równie cicho, głosem nieco zdyszany:

— Macie syna...

I położyła palec na ustach.

XXII

Były jeszcze dni ciężkie i bardzo ciężkie. Przyszło osłabienie tak wielkie, że życie Maryni poczęło się wahać, jak płomyk. Zgaśnię czy rozetleje? — na to nie umiał nikt odpowiedzieć. Chwilami wszyscy byli przekonani, że już, już gaśnie. Jednakże młodość i ulga, jaką organizmowi przyniosło przyjście na świat dziecka, przeważały szalę na stronę życia. Któregoś dnia chora po długim śnie obudziła się jakby rzeźwiejsza. Stary lekarz, który był przy niej i który to stwierdził, chcąc upewnić się lepiej, że owo polepszenie nie jest złudzeniem, zażądał wezwania drugiego, z którym przedtem składali konsylia. Połaniecki sam po niego pojechał i prawie odchodził od zmysłów, szukając go po mieście przez pół dnia, nie śmiał bowiem jeszcze mieć nadziei, że to już zwrot stanowczy w jej chorobie i w jego niedoli. Gdy nareszcie odnalazł utrapionego medyka i gdy przywiózł go

do domu, przyjęła ich w przedpokoju pani Bigielowa, z mokremi rzęsami, ale z twarzą rozpromienioną, i rzekła:

— Lepiej! stanowczo lepiej!

I nie mogła mówić więcej, bo łzy popłynęły z jej oczu. Połaniecki pobladł ze wzruszenia, ona zaś, opanowawszy po chwili swą radość, poczęła mówić, uśmiechając się przez łzy:

— Wie pan, wojuje już o jedzenie! Przedtem kazała sobie przynieść małego. Dopytywała także, czemu pan nie wraca. A teraz wojuje o jedzenie, ale jak wojuje! A, chwała Bogu! chwała Bogu!

I w uniesieniu uściskała Połanieckiego, a on przez długi czas nie odejmował ust od jej rąk; drżał tylko cały z wysilenia, żeby potłumić radość, ale zarazem i jęki, które, nagromadziwszy się w nim przez tyle dni trwogi i męczarni, chciały teraz koniecznie wybuchnąć.

Tymczasem lekarze poszli do Maryni i siedzieli przy niej dość długo. Gdy po skończonej naradzie ukazali się znowu, na twarzach ich widać było zadowolenie. Na gorączkowe zapytania Połanieckiego, ten, który stale był przy Maryni, stary impetyk, ze złotemi okularami na nosie i złotem sercem w piersiach, sam uszczęśliwiony, ale utrudzon bardzo, rzekł oburkliwie:

— Jak się ma? Idź pan, podziękuj Bogu!... ot co!

I Połaniecki poszedł. Gdyby był człowiekiem zupełnie niewierzącym, byłby w tej chwili poszedł tak samo — i z sercem, wezbranem łzami i wdzięcznością, byłby dziękował tak samo Bogu, że się nad nim zlitował i pozwolił wrócić fali złego tylko pod postacią żalu, zgryzoty, męki — nie pod postacią śmierci.

Poczem, uspokoiwszy się, wszedł na palcach do pokoju żony, przy której była już pani Bigielowa. Marynia raźnie spoglądała przed się rozweselonemi oczyma i na pierwsze wejrzenie znać było, że istotnie ma się daleko lepiej. Ujrawszy go, rzekła:

— A widzisz, Stachu... dobrze!

— Dobrze, kochanie — odpowiedział cicho Połaniecki.

Nie pora była jeszcze na głośne wybuchy, więc siadł w milczeniu przy jej łóżku. Lecz po chwili radość i ogromna miłość do niej zmożyły go tak, iż, przechyliwszy się, objął rękoma jej okryte kołdrą stopy, a następnie, przyłożywszy do nich twarz, pozostał w ten sposób bez ruchu.

Ona zaś, jakkolwiek bardzo jeszcze osłabiona, uśmiechała się z zadowolenia. Przez czas jakiś patrzyła na niego, poczem zupełnie jak dziecko, uszczęśliwione, że je pieszczą, rzekła do pani Bigielowej, ukazując swoim przezroczystym paluszkiem na tę ciemną czuprynę, przytuloną do jej nóg:

— Kocha!

Nazajutrz Marynia czuła się jeszcze zdrowszą i od owej chwili każda niemal godzina przynosiła polepszenie. W końcu był to już nie powolny powrót do zdrowia, ale jakby rozkwit, jakby nagły powrót wiosny po zimie, który zdumiewał samego lekarza. Połanieckiemu chciało się teraz chwilami krzyżeć z radości, która dusiła go tak, jak dawniej — męka. Trzymano Marynię jeszcze w łóżku, przez zbytek ostrożności; ale gdy wracały jej siły, rumieńce, ochota do życia, humor, poczęła sobie przykrzyć i codziennie wieczór zapowiadać, że nazajutrz wstanie. Pod jednym tylko względem długa choroba i bezsilność przyniosły zmianę w jej usposobieniu, która jednak wkrótce miała przejść razem z innymi śladami słabości. Oto tak spokojna i rozsądna niegdyś kobietka, stała się na pewien czas jakby rozpieszczonem dzieckiem, które często napierało się rozmaitych rzeczy bardzo usilnie i odczuwało prawdziwe zmartwienie, jeśli mu ich odmawiano. Połaniecki, rozmawiając z nią, wchodził mimowoli w jej ton, skutkiem czego owe „grymasy” były powodem do wesołości.

Raz poczęła się przed nim skarżyć, że pani Bigielowa nie chce jej dać czerwonego wina. Pani Bigielowa tłumaczyła się, że dała tyle, ile doktor pozwolił, ale musi czekać na jego pozwolenie, żeby dać więcej. Połaniecki ją zaraz Marynię pocieszać, mówiąc do niej tak zupełnie, jak niegdyś mawiał do Litki:

— Dadzą dziecku wina, zaraz dadzą!... Tylko doktor przyjdzie...

A Marynia na to:

— Czerwonego!...

— Ale jak czerwonego! — odpowiedział z zapalem Połaniecki.

Poczem oboje poczęli się śmiać, a z nimi razem i pani Bigielowa. Jak dawniej, w całym tym pokoju unosiła się trwoga śmierci i nieszczęścia, tak teraz często radość rozświecała go, jak słońce. Chwilami wpadali w doskonały humor, a do kompanii należał częstokroć i dziadzio Pławicki, który, od czasu przyścia na świat wnuka, stał się pełen patryarchalnej, ale dobrotliwej powagi, nie wyłączającej wesołości. Bywało zresztą różnie; czasem bowiem brał w nim górę nastrój wysoki i uroczysty. Pewnego dnia przyniósł testament i zmusił wszystkich do wysłuchania jego paragrafów od początku do końca. We wstępie żegnał się we wzruszających słowach z życiem, z córką, z Połanieckim i z wnukiem, nie szczędząc przytem wskazówek, tyjących jego wychowania na dobrego wnuka, dobrego syna, ojca i obywatela; następnie czynił go spadkobiercą wszystkiego, co posiadał — i, pomimo, że od bankructwa Maszki posiadał tylko tyle, ile mu dawał Połaniecki — niemniej czuł się wzruszonym swoją hojnością i niemniej cały wieczór miał minę pelikana, który nakarmił własną krwią pisklęta.

Człowiek, który się odradza na świat po ciężkiej chorobie, przechodzi poniekąd znów przez wszystkie okresy dzieciństwa i pierwszej młodości, z tą jedynie różnicą, że to, co dawniej liczyło się na lata, liczy się w takich warunkach na tygodnie, lub nawet na dni. Tak było z Marynią. Pani Bigielowa, która z początku nazywała ją „bébé”, mówiła, śmiejąc się, że stopniowo „bébé” zmienia się w małą dziewczynkę, a z dziewczynki w podlotka. Ale w podlotku poczęła się następnie odnajdować kobieca kokieterya. Teraz, gdy ją czesano, wymagała już koniecznie, by jej stawiano na kolanach niewielkie zwierciadło, które miała po matce, i pilnie badała w niem, czy też zapowiedź pani Bigielowej, że „potem jest się jeszcze ładniejszą”, sprawdza się na niej. W pierwszych czasach oględziny niezbyt ją zadawlały, później jednak coraz więcej. Nakoniec, któregoś dnia, kazała sobie zaraz po uczesaniu podać raz jeszcze zwierciadło — i jeszcze raz odbyła dokładny przegląd cery, oczu, ust, włosów, wyrazu, słowem wszystkiego, co było do obejrzenia.

I *rewia* musiała wypaść dobrze, albowiem poczęła się uśmiechać, rozpromieniać, wreszcie zwróciła się w stronę pokoju Połanieckiego i przegrażając wymizerowaną piąstką, z miną wielce zdobywczą, rzekła:

— A, poczekajno teraz, panie Stachu!

Rzeczywiście zaś nigdy nie była równie śliczna. Płeć jej, zawsze bardzo czysta, stała się jeszcze bardziej przezrocza i jeszcze więcej liliowa, niż wówczas, gdy Zawilowski tracił głowę i rymował z tego powodu od rana do wieczora. A obok tego, na policzkach jej świecił już pierwszy różowy blask zdrowia. Z oczu, z ust, ze zdrobniałej po chorobie twarzy, biło jakby światło, jakby odrodzenie się do życia i jakby wiosna. Była to po prostu cudna głowa, pełna barw jasnych, a leciuchnych, a zarazem subtelного rysunku — prawdziwie wytworna i, jak się niegdyś wyraził Zawilowski: polna — tak cudna, że chwilami, gdy leżała na poduszkach i na podścieli ciemnych włosów, nie można się jej było dość napatrzeć. To też tak zwany „Pan Stach”, który to wszystko widział doskonale, i który, wedle określenia Bigiela, nie mógł już z miłości „ani ręką, ani nogą ruszyć” — nie potrzebował wcale „czekać”. Nietylko ją teraz kochał jak kobietę i jak drogą głowę, ale czuł dla niej wdzięczność bez granic za to, że nie umarła — i okazywał swą wdzięczność w ten sposób, że starał się odgadywać jej myśli. Marynia ani przypuszczała kiedykolwiek, że stanie się do tego stopnia osią jego życia, źrenicą jego oka, duszą jego myśli i czynności. Nigdy nie było im ze sobą źle, ale teraz, wraz z powrotem do zdrowia Maryni, weszło do ich domu niebywale szczęście i niebywała radość.

Przyczyniał się do niej dzielnie i młody Połaniecki. Marynia nie mogła sama karmić i mąż, przewidując to, sprowadził do syna żywicielkę. Chcąc jednak sprawić chorej przyjemność, sprowadził dawną jej znajomą z Krzemienia. Służyła ona niegdyś u Pławickich, po ich wyjeździe zaś zgodziła się do Jałbrzykowa i tam zdarzyło się jej nieszczęście. Nigdy nie wiadano dobrze, kto był jego przyczyną; jeśli jednak któremu z większych właścicieli można było zarzucić brak miłości do ludu, to nie panu Gątowskiemu, albowiem w całym Jałbrzykowie pełno było dowodów, jak dalece pan Gątowski lud kochał. Nawet i przy układach o serwituty, współobywatele z Jałbrzykowa, między innymi kwestyami podnosili i tę, że: „pan dziedzic na białym koniu jeździ, z pistoletka se strzyla i dziewczkom w ślipia patrzy” — i jeśli z jednej strony nie łatwo było pojąć, jaki właściwie związek mają powyższe zwyczaje pana Gątowskiego z układami o serwituty, to natomiast z drugiej

stawalo się zupełnie jasnym, iż, dzięki tymże zwyczajom, Połaniecki znalazł z łatwością w Jałbrzykowie karmicielkę dla swego syna.

Że zaś była to silna, młoda i hoża Mazurka, przeto młody człowiek mógł tylko dobrze wyjść na jej opiece. Wogóle ów mały Połaniecki była to osoba, która od pierwszej chwili przyjścia na świat rozpanoszała się w domu codzien bardziej, nie licząc się z nikim i nie myśląc o niczem, tylko o własnych potrzebach i przyjemnościach. W myśl tej metody, w chwilach wolnych od uczt i snu, zajmował się ćwiczeniem i rozwojem swych małych płuc, za pomocą krzyku tak doniosłego, na jaki tylko poranny jego wiek umiał się zdobyć. Przynoszono go wówczas najczęściej do Maryni, przyczem rozpoczynały się nieskończone sesye, na których rozpatrywano szczegółowo wszystkie jego fizyczne i umysłowe zalety, oraz uderzające podobieństwo do życiodawców. Stwierdzono w ten sposób, że ma nos matki, odrzuciwszy z rzadką w głosowaniu jednomyślnością uwagę mamki, że ma nos jak „kociak”; stwierdzono również, że będzie miał niezmiernie ujmujący uśmiech, że będzie brunetem, że będzie niezawodnie wysoki, że jest bardzo żywy i że będzie się odznaczał zadziwiającą pamięcią. Pani Bigielowa, póki Marynia leżała jeszcze w łóżku, robiła przytem na swoją rękę rozmaite odkrycia, które zwiastowała wszem wobec. Raz też, wpadłszy do Maryni, poczęła mówić z radością i godnym wszelkiego uznania pośpiechem:

— Wyobraź sobie, rozłożył paluszki u jednej rączki, a drugą, przysięgłabyś, że je liczy. Będzie z pewnością matematyk!

Marynia zaś odrzekła z zupełną powagą:

— To będzie miał po ojcu.

I ona jednak zrobiła odkrycie, wcześniejsze nawet pod względem daty od wszystkich pani Bigielowej, mianowicie, że to jest „bardzo kochane stworzonko”. Co do Połanieckiego, ten w pierwszych chwilach patrzył na nowego znajomego ze zdziwieniem i pewną nieufnością. W swoim czasie bardzo sobie życzył mieć córkę, z tego głównie względu, iż, będąc z usposobienia i serca wielkim dzieciarzem, wyobraził sobie, że tę całą tkliwość, jaką się ma w sobie, można oddać tylko dziewczynce. Niewiadomo, dlaczego tkwiło w nim pojęcie, że syn, to będzie zaraz jakieś chłopisko, nieledwie z wąsami, mówiące basem, wierzgające jak żrebak, do którego z tkliwością nie warto i przystępować, bo on ją ma — w pogardzie. Stopniowo dopiero, przypatrując się tej drobnej, śpiącej w poduszkach, figurze, poczał dochodzić do przekonania, że to nietylko nie jest żadne „chłopisko”, ale po prostu godna litości bieda, taka mała, słaba, bezbronna, tak potrzebująca opieki i kochania, jak i wszystkie w świecie dziewczyny. Zresztą mówił sobie: „Taki on tam jeszcze i chłopiec!” — i od tej chwili rozczulał się dla niego coraz więcej, a po kilku dniach próbował go nawet sam nosić do Maryni, co zresztą czynił z takim nakładem zgoła zbytucznych ostrożności, a zarazem tak niezgrabnie, że doprowadzał do śmiechu nietylko Marynię i panią Bigielową, ale, z ujmą swej powagi — nawet i mamkę.

I śmiech rozlegał się teraz w mieszkaniu Połanieckich niemal od rana do wieczora. Oboje, budząc się rano, budzili się z tem błogiem poczuciem, że dzień przyniesie im nową radość. Bigiel, który od czasu jak Marynia wstała, dopuszczany bywał wieczorem razem ze swoją wiolonczelą, przypatrując się ich życiu, rzekł kiedyś, po chwili odpowiedniej rozwagi:

— Na dobrych ludzi, jak i na każdego, może przyjść nieszczęście; ale za to, jak im dobrze, tak, dalibóg, nikomu nie jest lepiej.

A im było rzeczywiście dobrze. Marynia, wedle tego, co słyszała w swoim czasie od pani Bigielowej i co myślała sama, sądziła, że przyczyną tego ponownego rozkwitu miłości męża jest dziecko, które ich związało nowymi węzłami... Któregoś dnia poczęła nawet o tem mówić z Połanieckim, lecz on odrzekł jej z całą prostotą:

— Nie! słowo ci daję! Jego swoją drogą kocham, ale ciebie kochałem już bajecznie, nim on na świat przyszedł — dla ciebie samej, dlatego, że jesteś taka, jak jesteś. Spójrzij na okół, pomyśl, co się na świecie dzieje i z kim ja ciebie mam porównać?...

Tu, wzięwszy jej ręce, poczał je całować nietylko z ogromną miłością, ale zarazem z największą czcią — i dodał:

— Ty sama nigdy nie będziesz wiedzieć, czem ty dla mnie jesteś i jak ja ciebie kocham!

Ona zaś, przytuliwszy się do niego, pytała z twarzą jasną od szczęścia, jak słońce:

— Nie? naprawdę, Stachu?... powiedz!...

XXIII

Przyszły chrzciny. Młody człowiek był już ochrzczony z wody, albowiem uczyniła to zaraz po jego przyjściu na świat pani Bigielowa, której, pod wrażeniem choroby matki, wydawało się, że i mały umrze lada minuta... Lecz on ani o tem myślał — i w najlepszym zdrowiu i apetycie czekał na termin uroczystości, w której miał odegrać główną rolę. Połaniecki pospraszał wszystkich znajomych: była więc, prócz domowych i dziadzi Pławickiego, pani Emilia, która na ten dzień zebrała resztę sił, byli oboje państwo Bigielowie z małemi Bigielętami, i profesor Waskowski, i Świrski, i Zawilowski, i panna Ratkowska. Pani Połaniecka, zdrowa już, wystrojona i szczęśliwa, wyglądała tak uroczo, że Świrski, ujrawszy ją, wziął się obu rękoma za włosy i, ze zwykłą sobie szczerością, rzekł:

— To przecie przechodzi wszelkie pojęcie! Dalibóg, oczy można stracić!

— Co! — zawołał Połaniecki, sapiąc z zadowolenia i z taką zarozumiałością, jakby zawsze utrzymywał to, o czem inni teraz dopiero się przekonali.

A Świrski odrzekł:

— Klękajcie narody! Nie powiem nic więcej!

Ona słuchała tego z zakłopotaniem, ale płonąć zarazem z radości w poczuciu, że Świrski ma słuszność. Musiała się jednak zająć gośćmi i ceremonią, a to tem bardziej, że z początku wkradło się pewne zamieszanie. W pierwszą parę miała trzymać małego Stasia pani Emilia i Bigiel, w drugą zaś malarz z panną Ratkowską. Tymczasem ten ostatni począł robić niespodzianie trudności, wynajdywać przeszkody i wykręcać się, niewiadomo dlaczego. „Radby bardzo — po to umyślnie z Włoch przyjechał... jakże! to rzecz ułożona; ale, że nigdy przedtem dziecka do chrztu nie trzymał, więc nie wie, czyby mu się chrześniak zdrowo chował, a zwłaszcza, czyby miał szczęście do kobiet”. Na to Połaniecki począł się śmiać i nazywać go przesadnym Włochem, lecz Marynia, która najprędzej domyśliła się o co chodzi, korzystając z chwili, w której chcąc się wymknąć, wycofywał się do okna, rzekła półgłosem:

— Kumostwo w drugą parę nie jest w danym razie przeszkodą.

Świrski powiódł za nią oczyma, następnie uśmiechnął się, ukazując swoje małe zdrowe zęby, i nagle rzekł, zwracając się do panny Ratkowskiej:

— Prawda, że to tylko w drugą parę, więc... służę pani!

I wszyscy otoczyli teraz małego Stasia, który na rękę niani, przybrany w powłóczyste muśliny i koronki, wyglądał dzielnie razem ze swoją łysiną i wytrzeszczonemi okrągłemi oczkami, w których świat zewnętrzny odbijał się tak mechanicznie, jak w zwierciadle. Bigiel wziął go teraz na ręce i rozpoczął się obrzęd.

Obecni słuchali w należytym skupieniu sakramentalnych słów, lecz młody poganin okazał wyjątkową zatwardziałość. Naprzód począł wierzcąc tak, że wysunął się nawpół z rąk Bigiela, poczem, gdy Bigiel wyrzekał się w jego imieniu czarta i jego nieprawości, uczynił wszystko, co było w jego mocy, żeby go zagłuszyć. Dopiero, ujrawszy niespodzianie wśród krzyku okulary Bigiela, uciał nagle, jakby chcąc dać do zrozumienia, że, jeśli na świecie istnieją tak zdumiewające przedmioty, to w takim razie co innego.

Zresztą obrzęd się skończył i zaraz potem oddano go w ręce niani, która po chwili ułożyła go w przepysznym łóżeczku, mającem kształt wózka, darze Świrskiego — i chciała go wytoczyć z pokoju. Lecz Świrski, który może dotąd nigdy w życiu nie widział z blizka tak małej osoby, i w którego piersiach biło stęsknione od dawna za ojcowstwem serce, zatrzymał nianię i, pochyliwszy się do kołyski, wziął dziecko w ramiona.

— Ostrożnie! ostrożnie! — zawołał, zbliżając się Połaniecki.

A malarz odwrócił się do niego i rzekł:

— Panie, ja miewałem w rękę wyroby Luca della Robbia.

I rzeczywiście, podniósł małe stworzenie i począł je huścić z taką zręcznością, jakby całe życie dzieci niańczył. Następnie przystąpił z nim do profesora Waskowskiego i spytał:

— Cóż? Co kochany profesor myśli o tym młodym Aryjczyku?

— A cóż — odpowiedział staruszek, spoglądając z rozczuleniem na malca — naturalnie, że Arya! najczystszej krwi Arya!

— I przyszły misyonarz? — dodał Połaniecki.

— Nie uchyli się od tego w przyszłości, nie uchyli, tak, jak i wy nie umiecie się uchylić! — odpowiedział profesor.

Jakoż przyszłości niepodobna było przesądzać, na razie jednak młody Aryjczyk uchylił się od wszelkich misyi w sposób tak niedwuznaczny, a nawet wprost obelżywy, że trzeba go było oddać niani. Pannie jednak nie przestały się nim bawić, cmokać na niego i zachwycać się nim, póki nie doszły do stanowczego wniosku, że to jest dziecko zupełnie wyjątkowe, że całe zachowanie się jego dowodnie o tem świadczy i że trzebaby chyba nie mieć oczu, żeby nie poznać, że to będzie najprzystojniejszy w kraju mężczyzna, a przytem geniusz.

Geniusz jednak usnął wreszcie, jak gdyby odurzony kadzidłami, a tymczasem podano śniadanie. Marynia, mimo całej przyjaźni dla malarza, posadziła jednak koło panny Ratkowskiej Zawilowskiego. Chciała, jak zresztą i wszyscy, nie wyjmując nawet Świrskiego, żeby się coś w ich stosunkach wyjaśniło. Zawilowskiego postępowanie było bowiem dziwne. Świrski utrzymywał, że on nie jest jeszcze zupełnie normalny. Był zdrow, sypiał i jadł dobrze, nawet nieco utył, mówił rozsądnie, choć powolniej, niż dawniej, ale pojawiała się w nim jakaś niemoc woli, jakiś brak inicjatywy, której przedtem było w nim tak pełno. We Włoszech rozpromieniał się na wspomnienie panny Ratkowskiej i, gdy o niej mówił, oczy czasem zachodziły mu łzami. Po powrocie, gdy mu ktoś czasem napomknął, że wartoby pójść z wizytą do panny Ratkowskiej, a zwłaszcza, gdy ofiarował się iść z nim razem, mówił: „A prawda!” — i szedł z radością. Poza tem jednak zdawał się jakby nie pamiętać o jej istnieniu. Widocznym czasem było, że jakieś inne myśli nurtują go w głębi duszy i pochłaniają wszystkie jego duchowe władze. Świrski przypuszczał przez jakiś czas, że to może pamięć o pannie Castelli — przekonał się jednak z pewnym zdziwieniem, że tak nie jest i wreszcie zaczął mniemać, że Zawilowski dlatego nigdy jej nie wspominał, iż stracił poczucie jej rzeczywistości, albo też, że wydawała mu się już czemś tak odległym, jakimś wrażeniem tak rozwianem, że wspomnień o niej nie mógł związać w żywą, realną całość. Nie był jednak smutny. Owszem, chwilami znać w nim było zadowolenie i radość z życia, jakby się dopiero po powtórnem odrodzeniu na niem poznał. Prawdziwie smutną, coraz bardziej zamkniętą w sobie i coraz cichszą była panna Ratkowska. Może, prócz braku wzajemności, niepokoiły ją w Zawilowskim i inne rzeczy, ale nie mówiła o swych niepokojach z nikim. Marynia i pani Bigielowa, sądząc, że wyłącznym powodem jej smutku jest zachowanie się Zawilowskiego w stosunku do niej, otaczały ją najserdeczniejszym współczuciem i gotowe były uczynić wszystko, by jej przyjść z pomocą. Marynia, od czasu powrotu Zawilowskiego z Włoch, widziała go po raz pierwszy, ale pani Bigielowa mówiła z nim codziennie o pannie Ratkowskiej, unosząc się nad nią, wspominając, ile jej winien wdzięczności, i dając mu coraz wyraźniej do zrozumienia, że powinien się jej jakoś z takiego długu uiścić. Poczciwy Świrski, wbrew własnym nadziejom, powtarzał mu toż samo — i Zawilowski wszystko przyznawał, tylko, jakby nie chcąc, lub nie umiejąc wyprowadzić ostatecznego wniosku, mówił o rychłym swym powtórnym wyjeździe, o planach jeszcze większych podróży na przyszłość, słowem, o rzeczach, które z natury swej wyłączały udział panny Ratkowskiej.

I teraz, siedząc obok, niewiele do siebie mówili. Zawilowski jadł obficie — i z zajęciem, a nawet pewną niecierpliwością, przeprowadzał oczyma nowe dania, które podawano naprzód starszym; panna Ratkowska, zauważywszy to, spoglądała na niego chwilami jakby z bolesnym współczuciem, a Marynię poczęło to trochę korcić, więc, chcąc zawiązać między nimi rozmowę, rzekła, przechyliwszy się przez stół:

— Pan tak świeżo z podróży, niechże pan coś opowie mnie i Stefci o Włoszech. Wszak ty, Stefciu, nie byłeś tam dotąd?

— Nie byłam — odpowiedziała panna Ratkowska — ale niedawno właśnie czytałam jakąś podróż... tylko, że czytać a widzieć, to co innego.

I zarumieniła się lekko, spostrzegła bowiem, iż się zdradziła, że czytywała o Włoszech właśnie wówczas, gdy Zawilowski tam bawił.

On zaś rzekł:

— Mnie pan Świrski namówił aż do Sycylii, ale tam były jeszcze upały; tamby trzeba teraz jechać!

— A! — rzekła Marynia — dobrze, że mi się przypomniało! A moje listy? Pytał pan przecie przez pana Świrskiego, czy chcę, by mi pan spisywał swoje wrażenia, a potem nie odebrałam ani literki!

Zawiłowski zaczerwienił się nagle, zmieszał, a potem rzekł jakimś dziwnym, niepewnym głosem:

— Bo... jeszcze nie mogłem... Ja będę ogromnie dużo pisał, ale później...

Świrski, posłyszawszy te słowa, zbliżył się po śniadaniu do Maryni i rzekł, ukazując na Zawiłowskiego oczyma:

— Wie pani, jakie on mi czasem robi wrażenie? — że to jest kosztowne naczynie — rozbite.

XXIV

W parę dni po chrzcinach, Świrski odwiedził Połanieckiego w biurze, by się dowiedzieć o zdrowie Maryni, a zarazem pogadać o rozmaitych rzeczach, które mu leżały na sercu. Widząc jednak, że się spóźnił i że Połaniecki zabierał się do wyjścia, rzekł:

— Niech pan dla mnie nie zostaje. Pogawędzimy na ulicy. Światło dziś tak ostre, że nie mogę nic robić, więc odprowadzę pana do domu.

— Musiałbym pana w każdym razie przeprosić — odpowiedział Połaniecki. — Moja Marynia dziś po raz pierwszy wychodzi i idziemy do Bigielów na obiad. W tej chwili musi być już ubrana, ale mam jeszcze ze dwadzieścia minut czasu.

— Skoro wychodzi, to widać, że zdrowa.

— Chwalić Boga, jak ptak! — odpowiedział z radością Połaniecki.

— A Aryjczyk?

— Aryjczyk także tęgo się trzyma.

— Ach, szczęśliwy człowieku — rzekł Świrski — ja, żebym miał w domu taką żabę, nie mówiąc już o takiej żonie, to nie wiem... chyba bym po dachach chodził!

— To też nie uwierzysz pan, jak mnie ten chłopak bierze za serce... Codziennie więcej — a wogóle tak, że nim się spodziewałem, bo trzeba wiedzieć, że ja sobie życzyłem córki.

— Jeszcze nie wieczór! przyjdzie i córka! — odrzekł Świrski. — Ale pan się śpieszysz, więc chodźmy.

Połaniecki wdział futro i wyszli na ulicę. Dzień był mroźny, jasny. Wokół rozlegał się pośpieszny brzęk dzwonek od sanek. Ludzie mieli kołnierze na uszach, szron na wąsach i z ust wyrzucali słupy pary.

— Wesoly jakiś dzień — rzekł Połaniecki. — Cieszę się dla mojej Marylki, że pogoda.

— Panu wesoło, więc wszystko bierzesz jasno — odrzekł Świrski, biorąc go pod rękę.

Lecz nagle puścił ramię Połanieckiego i, zastąpiwszy mu drogę, rzekł z taką miną, jakby się chciał z nim kłócić:

— Czy pan wiesz, że pan masz za żonę najpiękniejszą kobietę w Warszawie? To ja panu powiadam — ja!

I począł stukać się ręką w piersi, jakby chcąc powiększyć pewność, że to mówi on, nie kto inny.

— Ba! — rzekł, śmiejąc się, Połaniecki — i zarazem najlepszą, najpocziwszą w świecie; ale chodźmy, bo mróz.

Gdy zaś Świrski wziął go pod rękę, dodał z pewnym wzruszeniem:

— Com ja jednak przeszedł podczas jej choroby, to Pan Bóg jeden wie... Lepiej o tem nie wspominać... Zrobiła mi po prostu niespodziankę swoim powrotem do zdrowia, ale też jeśli Bóg da doczekać wiosny, zrobię i ja jej niespodziankę, z której będzie rada.

— Jej niema z kim porównać — odpowiedział Świrski.

Tu, zatrzymawszy się znowu, rzekł jakby z pewnym zdziwieniem:

— I, jak Boga kocham, ile w niej przytem prostoty!

Przez jakiś czas szli w milczeniu, następnie Połaniecki począł wypytować Świrskiego o wyjazd.

— Zatrzymam się ze trzy tygodnie we Florencyi — odrzekł malarz. — Mam tam jakąś robotę. Prócz tego, stęskniłem się do światła na San-Miniato, do Ginewry, w której się niegdyś kochałem, i do Cimabuego. Pamiętasz pan w Santa Maria Novella, w kaplicy

Rucellai?... Po trzech tygodniach pojedę do Rzymu. Właśnie chciałem o tem z panem pogadać, bo dziś rano był u mnie Zawilek z propozycją, żebyśmy znów jechali razem.

— A! — rzekł Połaniecki. — I zgodziłeś się pan?

— Nie miałem serca odmówić, choć — między nami — on bywa czasem ciężki. Pan przecie wiesz, jak go pokochałem i jak mu współczułem, więc samemu mi przykro to mówić, ale bywa bestya ciężka!... Co tu gadać: zmienił się ogromnie! Na chrzcinach powiedziałem pani, że on chwilami wydaje mi się, jak kosztowne naczynie — rozbite. I to prawda! Albo to ja raz widziałem, jak on się męczył nad tymi listami, w których chciał opisywać dla pani Włochy. Chodził całemi godzinami po pokoju, tarł swoje postrzelone czoło, siadał, wstawał, a papier, jak był czysty, tak i pozostał. Daj Boże, żeby odzyskał dawny lot! Teraz jednak on wszystkim wokoło powtarza, że będzie pisał, ale sam już zaczyna o sobie wątpić — i gryzie się. Wiem, że się gryzie.

— Byłoby to nieszczęście i dla niego i dla panny Heleny — odpowiedział Połaniecki. — Gdybyś pan wiedział, jak jej rozpaczliwie chodziło nietylko o jego życie, ale i o jego talent!

— Byłaby szkoda ogólna — odpowiedział Świrski. — Kogo mi jednak najbardziej żal, to panny Ratkowskiej. Ona też poczyna już wątpić, czy on będzie tem, czem był, i to ją dręczy, może więcej od innych smutków.

— To biedna dziewczyna — rzekł Połaniecki — i tem biedniejsza, iż z tych wszystkich jego zamiarów podróży jedno widać jasno: że on o niej ani myśli. Szczęście, że panna Helena zapewniła jej byt niezależny.

— Ja rok czekam — odpowiedział Świrski — a po roku oświadczam się powtórnie. Wzięła mnie! niema co gadać! Uważałeś pan, jak jej ślicznie z tymi krótkimi włosami. Powinna zawsze tak chodzić. Rok czekam i milczę, ale potem będę uważał, że mam rozwiązane ręce. Niepodobna też, żeby i w niej przez rok coś się nie zmieniło, zwłaszcza, jeśli tamten nie da znaku życia... Wszystko to jest ogromnie dziwne! Myślisz pan, że ja nie robię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby w nim rozdmuchać jakąś iskrę dla niej? Dalibóg, że człowiek nigdy chyba więcej nie robił przeciw własnemu sercu. Pani Bigielowa robi także, co może. Ale trudno! Nikt znowu nie ma prawa powiedzieć mu wyraźnie: żeń się, skoro on jej nie kocha. I to jest jeszcze dziwniejsze, że on i o tamtej, zdaje się, nie myśli. Jedna panna Ratkowska więcej jest warta, niż cały zagajnik takich „*Topolek*” — ale to inna rzecz! Mnie o to chodzi, żeby ona nie myślała, że ja umyślnie wywożę Zawilowskiego. Nie odmówiłem mu, bom nie mógł, ale, mój drogi panie, jeśli tam kiedy będzie mowa o naszym wyjeździe, wspomnijcież jej, że ja, dalibóg, nie namawiałem Zawilowskiego do podróży i że oddałbym więcej, niż ona przypuszcza, byle jej było dobrze, choćby kosztem starego brysia, jak ja.

— Oczywiście, że tak zrobimy — odpowiedział Połaniecki.

— To i dziękuję! Przed wyjazdem będę jeszcze u pani z pożegnaniem.

— Koniecznie — i to wieczorem, żebyśmy mogli dłużej posiedzieć. Myślę też, że jak pan latem wróci, to czas jakiś zabawicie u nas z Zawilowskim.

— W Buczynku?

— W Buczynku, albo i nie w Buczynku, to jeszcze niewiadomo.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Osnowskiego, który w tej chwili wychodził z owocarni, trzymając w ręku zwinięty w róg biały pakiet.

— Patrz pan: Osnowski! — rzekł Świrski.

— A jaki zmieniony — odrzekł Połaniecki.

I rzeczywiście. Osnowski był ogromnie zmieniony. Z pod futrzanej czapki wyglądała twarz chuda, pożółkła i jakby wiele starsza. Futro zdawało się na nim wisieć. Ujrawszy dwóch przyjaciół, stropił się; widocznym było przez chwilę, że się waha i namyśla, czy nie przejść koło nich, udając, że ich nie poznaje. Ale na chodniku były pustki i zeszli się nadto blisko; więc nagle zmienił zamiar — i zbliżywszy się, począł mówić z nienaturalnym pośpiechem, jakby w chęci zagadania tego, o czem wszyscy trzej wyłącznie myśleli:

— Dzień dobry panom! O, to wypadek, żeśmy się spotkali, bo ja siedzę w Przytułowie i w mieście rzadko bywam. Kupiłem sobie właśnie winogron, bo mi teraz każą jeść winogrona. Ale sprowadzają je w trocinach, więc wszystkie czuć trocinami; myślałem, że tu będą lepsze. Mróz dzisiaj — prawda? Na wsi doskonała sanna.

I poczęli iść razem — wszyscy trzej zakłopotani. Połaniecki wreszcie spytał:

— Pan podobno wybiera się do Egiptu?

— To dawny zamiar, ale teraz może się wybiorę. Na wsi w zimie niema roboty, a samemu nudno.

Tu urwał nagle, spostrzegłszy, że wchodzi na śliską drogę.

I szli dalej, w milczeniu jeszcze cięższem, czując tę niezmierną przykrość, jaką czuje się zawsze, gdy, na mocy jakiegoś milczącego układu, mówi się o rzeczach błahych, skrywając główne i zarazem bolesne. Osnowski radby był ich pożegnać. Ale ludziom, przywykłym przez całe lata do zachowywania pewnych form, chodzi mimowiednie, choćby w największem nieszczęściu, o pozory, więc też i on pragnął znaleźć jakiś łatwy i naturalny sposób do rozstania się z nimi. Tymczasem, nie mogąc nic znaleźć, przedłużał tylko trudne położenie. W końcu też poczał ich żegnać tak niespodzianie i nienaturalnie, jak człowiek, który traci głowę.

Lecz w ostatniej chwili postanowił nagle inaczej. Ta jakaś komedia wydała mu się nieznośną. Miał jej dosyć! Przyszło mu do głowy, że właśnie nie powinien robić z niczego tajemnicy i że w tem unikaniu każdej wzmianki o nieszczęściu, jest coś nędznego. Na twarzy jego znać było przymus i mękę, lecz, zatrzymawszy się, poczał mówić przerywanym głosem, tracąc co chwila oddech:

— Moi panowie... Przepraszam, że was jeszcze zatrzymuję... Ale panowie wiecie, żem się rozstał z żoną... Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym o tem mówić, zwłaszcza z ludźmi tak uczciwymi i blizkimi... Oświadczam więc panom, że to było... że stało się tak... to jest... to jest, że to ja sobie życzyłem i że żonie mojej nic...

Lecz głos uwiązał mu w gardle i nie mógł mówić dalej. Widocznie chciał wziąć winę na siebie, ale nagle uczuł całe nieprawdopodobieństwo, cały bezmiar i całą rozpaczliwą czczość tego kłamstwa, które musiałoby być tak pustym dźwiękiem słów, że nawet, ni poczucie jakiegoś obowiązku, ni żadne względy światowe, nie mogły go usprawiedliwić.

I straciwszy do reszty głowę, odszedł w męce, razem ze swemi winogronami i ze swem nieszczęściem — bez dna!

A Świrski i Połaniecki szli przez jakiś czas pod wrażeniem tego nieszczęścia — w milczeniu.

— Dalibóg! — rzekł wreszcie Połaniecki — serce się kraje.

A malarz odrzekł:

— Takiemu chyba śmierci życzyć.

— I przecie ten na podobny los nie zasłużył.

— On? — rzekł Świrski. — Daję panu słowo, ilekroć go sobie przypominam, tylekroć widzę go, całującego jej ręce. Czynił to tak ciągle, że inaczej nie umiem go sobie wyobrazić...

Po chwili zaś dodał:

— I, co mnie jeszcze zastanawia, to, że nieszczęście przecina stosunki ludzkie, podobnie jak śmierć, a jeśli nie przecina zupełnie, to rozluźnia. Wy się niedawno znacie, ale ja, na przykład, żyłem z nim blisko, a teraz on mi jakiś dalszy i ja mu bardziej obcy. I niema rady, a to takie smutne!

— Smutne i dziwne...

Lecz Świrski stanął nagle i zawołał:

— Wie pan co? Niechże tę panią Osnowską piorun zapali! Panna Helena mówiła, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje, ale tę niech piorun trzaśnie!

A Połaniecki odrzekł:

— Nie było może w świecie kobiety więcej ubóstwianej, niż ona.

— Ot, masz pan! — rzekł zapalczywie Świrski. — Kobiety, panie, biorąc wogóle...

Lecz nagle uderzył się rękawiczką po ustach.

— Nie! — zawołał. — Do dyabła ze starym nałogiem! Dałem sobie słowo nie robić żadnych ogólnych wywodów o kobietach.

— Ja wspomniałem dlatego, że on ją tak ubóstwiał — rzekł Połaniecki — że teraz po prostu nie rozumiem, jak on potrafi żyć bez niej.

— A musi! — zakończył Świrski.

Osnowski zaś rzeczywiście musiał, a nie umiał. W Przytułowie i w Warszawie, gdzie pełno było wspomnień o niej, życie stało mu się wkrótce niemożliwym, więc w miesiąc później wybrał się w podróż. Lecz, wyjechawszy niezdrów już z Warszawy, zaziębił się w zbyt ogrzonym wagonie — i w Wiedniu zapadł tak ciężko, że musiał się położyć. Zaziębienie, które początkowo było z powodu grypy, zmieniło się w gwałtowny tyfus. Po kilku dniach chory stracił przytomność i leżał w hotelu na łasce obcych lekarzy i obcych ludzi, daleko od domu i swoich. Lecz potem, w gorączce, która zwarzyła mu mózg i pomieszała zmysły, zdawało mu się, że widzi koło siebie jakąś twarz — najdroższą w życiu, kochaną zawsze, kochaną w osamotnieniu, kochaną w chorobie i wobec śmierci. Zdawało mu się to nawet i wówczas, gdy już odzyskał przytomność, lecz tak był osłabiony, że nie mógł jeszcze ni poruszyć się, ni mówić, ni nawet zładzić swych myśli.

Później widzenie znikło.

Ale on począł o nie wypytywać Sióstr miłosierdzia, które niewiadomo kto przysłał, a które otaczały go teraz najtroskliwszą opieką — i począł tęsknić bez miary.

XXV

Po uroczystości chrzcin i po wyjeździe Świrskiego i Zawilowskiego, Połanieccy zaczęli znowu żyć życiem zamkniętym i domowym, nie widując niemal nikogo, prócz Bigielów, pani Emilii i profesora Waskowskiego. Ale dobrze im było w tym ciasnym kółku blizkich przyjaciół, a najlepiej ze sobą. Połaniecki był w tych czasach mocno zajęty; przesiadywał w biurze i dużo za biurkiem, załatwiając jakieś sprawy, o których nikomu nie wspominał. Lecz po ukończonej robocie przybiegał teraz do domu z większą jeszcze skwapliwością, niż wówczas, gdy, jako narzeczony, latał każdego dnia do mieszkania Pławickich. Wróciła mu dawna żywość, dawny humor i dawne zaufanie do życia. Niebawem też uczynił odkrycie, które jemu samemu wydało się dziwnym: oto, że nie tylko żonę kocha z całych sił, jak żonę i najbliższą głowę, ale, że kocha się w niej, jako w kobiecie, bez niepokoju i targaniny, bez przeskoków od radości do rozpacz i zwątpień, ale ze wszelkimi wzruszeniami szczerego uczucia, z całym mrowiem pragnień, z wieczną jednaką, świeżą wrażliwością na jej kobiece uroki i z nieustającym baczeniem, które czuwa, przewiduje, jedna, uprzedza chęci i ustawicznie zabiega, by szczęścia nie zrazić i nie utracić. „Zmieniam się w Osnowskiego — mówił sobie wesoło — ale mnie jednemu wolno być Osnowskim, dlatego, że „moja mała” nigdy nie zostanie Osnowską!” Często też mówił teraz do niej „moja mała”, ale było w tym tyle czci, ile pieśczości. Rozumiał także, że nie byłby jej tak pokochał, gdyby była inna, że to wszystko jest dzieło jej ogromnej dobrej woli i tej jakiejś dziwnej prawości, która biła od niej tak naturalnie, jak ciepło bije od ogniska. Połaniecki wiedział, że jego rozum był sprężystszy, myślenie rozleglejsze i wiedza głębsza, niż wiedza jej, a jednak czuł, że przez nią — i jedynie przez nią — wszystko to, co było w nim, stawało się jakoś bardziej wykończone i szlachetniejsze. Przez jej również wpływ te wszystkie zdobyte przez niego zasady przechodziły z jego głowy, gdzie były martwą teorią, do jego serca, gdzie stawały się życiem. Pomiarkował, że nie tylko szczęście, ale on sam jest poniekąd jej dziełem. Było w tym nawet trochę rozczarowania do siebie, widział bowiem teraz bez żadnej wątpliwości, że gdyby był dostał byle jaką kobietę, to i sam mógłby być wyjść na byle kogo. Czasem dziwił się nawet, jak ona mogła go pokochać — przypominał sobie jednak wtedy jej wyrażenie „służba boża” — i to tłumaczyło mu wszystko. Dla takiej kobiety małżeństwo było także „służbą bożą”, a zatem i miłość nie jakąś dziką siłą, leżącą poza wolą ludzką, ale właśnie aktem dobrej woli, służbą przysiędze, służbą bożemu prawu, służbą obowiązkom. Marynia kochała go dlatego, że był jej mężem. Taka była — i skończyło się! Połaniecki długi czas nie mógł pomiarkować, że to wszystko, co w niej tak uwielbiał, nakazuje po prostu pierwszy lepszy katechizm, a w niej wychowanie nie zabiło katechizmu. Być może, że nie chowano jej dość starannie, nauczono ją jednak, że ma służyć Bogu, nie posługiwać się Bogiem.

Lecz Połaniecki, nie rozumiejąc dobrze powodów, dlaczego ona taka jest, jak jest, coraz bardziej ją podziwiał, czcił i kochał. Co do niej, biorąc rzecz bez przesady, nie wpadała w zbyt o sobie rozumienie; pojmowała jednak, że nie było zawsze tak dobrze, jak dziś, że przeszła przez pewne próby, że postępowała w czasie owych prób poczciwie, że je przetrwała z cierpliwością, i że Pan Bóg ją za to wynagrodził. I poczucie to napełniało

ją pogodą. Zdrowie jej wróciło zupełnie. Czula się przytem bardzo ładną i bardzo kochaną! Ów „Stach”, którego się dawniej trochę bała, pochylał teraz często swoją ciemną czuprynę do jej kolan, niemal z pokorą, a ona myślała z radością, że „ten pan wcale nie jest z natury pokorny, a jeśli tak robi, to dlatego, że *okropnie* kocha!” I aż rośła. Codzień zbierało się w niej więcej wdzięczności i płaciła mu za tę miłość całym sercem.

Młody „Aryczyk” spełniał też przednio swoją rolę promyka w domu. Czasem wprawdzie bywał to promyk wrzaskliwy, natomiast, gdy był w dobrym humorze i gdy, leżąc w ulubionej pozycji, z nogami podniesionymi pod kątem prostym, poczynął wydobywać z siebie okrzyki zadowolenia, cała męska i żeńska ludność w domu zgromadzała się koło jego łóżeczka. Marynia przykrywała mu nogi, nazywając go „brzydkim chłopcem”, on zaś skopywał co chwila kołderkę, uważając widocznie, że człowiek z charakterem, skoro raz postanowił wierzgać, powinien w przedsięwzięciu dzielnie wytrwać. Śmiał się też przytem, ukazując swoje malutkie bezzębne dziąsła, pokrzykując, ćwierkając jak wróbel, gruchając jak gołąb, miaucząc jak kot, lub piszcząc jak uistiti. Niania i matka rozmawiały z nim teraz po całych godzinach, profesor Waskowski zaś, który całkiem stracił dla niego głowę, utrzymywał z całą powagą, że to jest „mowa ezoteryczna”, która powinna być przez uczonych fonografowana, albowiem mogłaby albo zupełnie odsłonić tajemnice bytu astralnego, albo przynajmniej dostarczyć co do niego walnych wskazówek.

I w ten sposób spływały zimowe miesiące w domu Połanieckich. W lutym sam Połaniecki zaczął wyjeżdżać za jakimiś interesami, a po każdym powrocie odbywać długie narady z Bigielem. Ale od połowy lutego siedział stale w domu, nie wychodząc nigdzie, tylko do biura, albo wyjeżdżając czasem z Marynią i Stasiem na krótkie przejażdżki powozem. Jednostajność życia, a raczej jednostajność pogody i szczęścia przerywały tylko wiadomości z miasta o znajomych, które najczęściej przynosiła pani Bigielowa. W ten sposób Marynia dowiedziała się, że panna Ratkowska, która w ostatnich czasach nie pokazywała się nigdzie, założyła z dochodu, zapewnionego jej przez pannę Helenę, ochronkę dla dzieci, a następnie, że pan Osnowski wyjechał rzeczywiście do Egiptu, ale nie sam, tylko ze swoją „Anetką”, z którą po przyjeździe do zdrowia ostatecznie się połączył. Pan Kresowski, dawny sekundant Maszki, widział ich nawet w Tryeście i opowiadał ironicznie Połanieckiemu, że „pani ma minę kornej pokutnicy”. Ale Połaniecki, wiedząc z doświadczenia, jak człowiek kruszeje w nieszczęściu i ile może być szczerości w pokucie, odpowiedział zupełnie poważnie, że skoro panią Osnowską mąż przyjął, to żaden porządny człowiek nie ma prawa być surowszym od niego.

Ale później przyszła z Włoch wieść jeszcze dziwniejsza i tak niesłychana, że stała się przedmiotem rozmów nie tylko Połanieckich i Bigielów, lecz i całego miasta, mianowicie, że malarz Świrski oświadczył się w Rzymie o rękę panny Castelli i że ślub ich ma się odbyć zaraz po Wielkanocy. Marynia była tem tak poruszona, że namówiła męża, aby do Świrskiego napisał i zapytał się, czy to prawda. Odpowiedź przyszła po upływie dni dziesięciu i, gdy Połaniecki wszedł nareszcie do pokoju żony, trzymając za róg koperty i ze słowami: „list z Rzymu!” — poważna pani Połaniecka przybiegła z czerwonymi od ciekawości uszkami, poczem, z skronią przy skroni, czytali co następuje:

„Czy to prawda? — Nie, drodzy państwo — nieprawda! Ale żebyście zrozumieli, dlaczego nie mogło się to stać i nie stanie się nigdy, muszę wam mówić o Zawilowskim. Przyjechał tu przed trzema dniami, poprzednio namówiłem go, by został we Florencji, a potem zobaczył Sienę, Parmę, a zwłaszcza Rawennę. Stąd wyprawiam go do Aten i jutro wyjeżdża via Brindisi. Tymczasem przesiadywał u mnie od rana do wieczora, ja zaś widziałem, że mu coś dolega, i chcąc naprowadzić rozmowę na rzeczy, które go najbliżiej obchodzą, wczoraj spytałem niebacznie, czy czasem nie ma w tece z pół tuzina raweńskich sonetów. I wiecie co się stało? Z początku pobladł i odpowiedział, że jeszcze nie, ale że wkrótce zacznie pisać — a potem rzucił nagle kapelusz na ziemię i począł szlochać, jak małe dziecko. Nigdy chyba nie widziałem wybuchu podobnej boleści. Po prostu wił mi się w rękach, powtarzając, że zabił swój talent, że już w nim nic niema, że nigdy już nic nie napisze i że wolałby być sto razy, żeby panna Helena nie była go odratowała. Oto, co się z nim dzieje, podczas gdy ludzie powtarzają zapewne, że nie pisze, bo ma pieniądze. I to tak już zostanie. Zabili tego biedaka, zamordowali w nim duszę i talent — zgasili duży ogień, przy którym mogłoby być ludziom widno i ciepło. I tego — widzicie — ja

nie mógłbym zapomnieć. Bóg z panną Castelli! ale nie godziło się wrywać takich piór, by sobie zrobić z nich wachlarz, który się potem wyrzuca przez okno. Tak! tegobym nie mógł zapomnieć! Mniejsza o to, co tam gadałem w Warszawie, że teraz pozostaje jej tylko szukać księcia Crapulescu, bo nikt inny jej nie weźmie. Na świecie nie brak także i zaślepieńców. Co do mnie jednak, nie jestem ani księciem Crapulescu, ani zaślepieńcem. Wolno odpuszczać tylko *swoje* własne krzywdy, ale nie cudze, albowiem byłoby to zbyt łatwo. I oto wszystko, co w tej kwestyi mogę wam powiedzieć, gdyż resztę sami wiecie. Czekam do roku, a potem powtarzam moją prośbę pannie Ratkowskiej. Zechce mnie, czy odrzuci, niech ją w każdym razie Bóg błogosławi — jest to jednak moje nieodmienne postanowienie”.

— Tak — przerwała Marynia — ale skądże się takie wiadomości wzięły?

Lecz w dalszym ciągu listu Świrski dawał na to odpowiedź.

„Te wszystkie plotki — pisał — mogły powstać z tego powodu, iż widywano mnie dość często z temi paniami. Pamiętacie, że za poprzedniej bytności w Rzymie, pani Broniczowa pierwsza do mnie pisała, a następnie, gdym był u nich, panna Castelli, zamiast szukać wykrętów, sama oskarżyła się przedemną. Wyznaję, że mnie to ujęło. Niech co chcą mówią, jest jednak w otwartym wyznaniu winy jakieś rozbudzenie się uczciwości, jakaś odwaga, jakiś zwrot, jakiś jęk żalu, który, jeśli nie odkupuje winy, to przynajmniej może odkupić duszę. I wiercie mi, że w tem co mówię, tkwi coś więcej, niż moje maślane serce. Pomyślcie także, że im się naprawdę źle dzieje. Małoż to razy widziałem, z jakim one wahaniem zbliżają się do ludzi i jak ich przyjmują ci, którzy mają odwagę swych zasad. Zebrało się w nich tyle goryczy, że jak słusznie przepowiedział niegdyś Waskowski, same poczynają się na siebie rozgoryczać. To jest straszne położenie, w którym należy się jeszcze niby do świata, a dźwiga się już brzemię głośnej awantury. Bóg z niemi! Dużoby o tem pisać, ale ja pamiętam teraz zawsze, co powiedziała panna Helena, że o człowieku nie wolno wątpić, póki żyje. Ta biedna Lineta zmieniła się ze zgryzoty, schudła i zbrzydła, a mnie tem bardziej jej żal. Żal mi nawet i pani Broniczowej, która wprawdzie wyklamuje ludziom dziury w uszach, czyni to jednak z przywiązania do tej dziewczyny. Sam przecie dopiero co powiedziałem, że tylko własne krzywdy wolno odpuszczać, ale byłby człowiek chyba jakimś gorylem, nie chrześcijaninem, gdyby nie odczuł trochę litości nad ludzką biedą. Czy teraz, gdym świeżo zobaczył rozpacz Ignasia, będę miał jeszcze serce pójść do nich — nie wiem — nie żałuję jednak, że bywałem. Ludzie pogadają i przestaną, a za jaki rok — jeśli Bóg da doczekać mnie i tamtej słodkiej dziewczynie — poznają, że gadali głupstwa”.

List kończył się wzmianką o Osnowskich, o których połączeniu Świrski już wiedział i słyszał nawet rozmaite szczegóły nieznanne Połanieckim.

„Ja myślę — mówił — że Bóg jest mocniejszy, niż ludzka przewrotność a zarazem bajecznie miłosierny, i że czasem pozwala dlatego nieszczęściu bić w człowieka jak młotem, żeby z niego jakąś pocziwszą iskrę wykrzesać. Ja teraz wierzę nawet w odrodzenie się takiej Osnowskiej. Może to jest naiwne, ale chwilami przypuszczam, że całkiem złych ludzi niema na świecie! Patrzcie, że jednak coś zadrgało i w takiej pani Anecie i że go pilnowała w chorobie. Oj te kobiety! tak mi już przewróciły w głowie, że wkrótce nie będę miał zdania nietylko o nich, ale o niczem”.

Dalej były zapytania o Stasia i serdeczne słowa dla jego życiodawców, a nakoniec obietnica powrotu w pierwszych dniach wiosny.

XXVI

A wiosna rzeczywiście szła i w dodatku czyniła się zarówno ciepła, jak wczesna. Połaniecki w końcu marca i na początku kwietnia począł znowu wyjeżdżać i spędzać po kilka dni za domem. Obadwaj z Bigielem byli tak zajęci, że niekiedy do późnego wieczora siedzieli w biurze. Pani Bigielowa przypuszczała, że muszą coś przedsiębrać na wielką skalę, dziwiło ją to jednak, że mąż, który zawsze mówił z nią o wszystkich interesach i niemal myślał przy niej głośno, a nawet często się jej radził, tym razem milczał jak zakłęty. Marynia zauważyła również, że Stach ma zaprzątniętą głowę w niezwykły sposób. Tkliwszy był dla niej niż kiedykolwiek, ale jej się zdawało, że nawet w tej jego tkliwości, jak również w każdej rozmowie i w każdej pieszczocie, jest jakaś trzecia, inna myśl, która go zajmu-

je tak całkowicie, że ani na chwilę nie może się od niej oderwać. I ten stan jakowegoś roztargnienia powiększał się z każdym dniem, a z nadejściem maja przeszedł w coś gorącego. Marynia poczęła się teraz wahać, czy nie zapytać męża, co mu jest. Bała się trochę być natrętną, ale chodziło jej również i o to, by nie pomyślał, że ją jego sprawy zbyt mało obchodzą. W tej niepewności postanowiła czekać na sposobną chwilę, mając nadzieję, że on sam zacznie mówić o swoich zajęciach, choć z daleka.

Jakoż, wkrótce potem, zdawało jej się pewnego dnia, że stosowna chwila nadeszła. Połaniecki wrócił tym razem wcześniej z biura i wrócił z twarzą tak jakoś dziwnie rozpromienioną, choć poważną, że spojrzawszy mu w oczy, prawie mimowolnie spytała:

— Coś ci się musiało zdarzyć pomyślnego, Stachu?

On zaś siadł przy niej, i zamiast odpowiedzieć wprost, począł mówić jakimś trochę dziwnym głosem:

— Patrz, jaka pogoda i jak ciepło. Można by już okna otwierać. Wiesz, o czym ja ciągle myślałam w ostatnich czasach? — że i dla twego zdrowia, i dla Stasia, trzeba nam wcześniej z miasta wyjechać.

A Marynia rzekła:

— Jeśli Buczynek nie najęty?..

— Buczynek sprzedany — odpowiedział Połaniecki.

A następnie, wzięwszy jej obie ręce i patrząc jej w oczy z ogromną miłością, począł mówić:

— Słuchaj, moje drogie stworzenie, ja mam ci coś powiedzieć — i coś, co powinno cię ucieszyć, ale przyrzecz mi, że się nadto nie wzruszysz?

— Dobrze. Co Stachu?

— Widzisz, dziecinko, Maszko uciekł za granicę, bo miał więcej długów, niż majątku. Wierzyście rzucili się na wszystko, co po nim zostało, by choć cośkolwiek odzyskać. Poszło to na licytację Towarzystwa. Magierówka została rozparcelowana i przepadła, ale Krzemień, Skoki i Suchocin były do uratowania — więc — tylko się nie wzruszaj, kochanie — więc — ja to dla ciebie kupilem.

Marynia patrzyła na niego czas jakiś, mrugając oczyma i jakby uszom nie wierząc. Ale nie! Sam był tak wzruszony, że nie mógł żartować. Oczy zaćmiły się jej łzami, i nagle zarzuciła mu obie ręce na szyję.

— Stachu!!

I w tej chwili nie mogła się zdobyć na inne słowa, ale w tym jednym okrzyku było i podziękowanie, i wielka miłość, i kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać. Połaniecki zaś zrozumiał to i w poczuciu tak ogromnego szczęścia, jakiego nigdy dotąd nie doznał, począł mówić, trzymając ją ciągle przy piersiach:

— Ja wiedziałem, że cię to ucieszy, a Bóg jeden wie, że i dla mnie niema większej uciechy, jak twoja radość. Pamiętałem, żeś żałowała Krzemienia, i że to była krzywda dla ciebie — a że można ją było naprawić, więcem naprawił... Ale to nic! Gdybym ci dziesięć takich Krzemieni kupił, jeszczebym ci się nie wypłacił za to dobro, któreś mi wyrządziła i jeszczebym ciebie nie był wart.

I mówił szczerze, lecz Marynia oderwała głowę od jego ramienia i podnosząc na niego oczy, zarazem mokre i jasne, rzekła:

— To ja ciebie nie jestem warta, Stachu! i nawet nie spodziewałam się, że będę taka szczęśliwa!

Poczęli się więc sprzeczać, kto więcej wart, ale były w tej sprzeczce częste milczące przerwy, albowiem Marynia, co chwila obejmując go, podsuwała mu swoje śliczne, nieco za szerokie usta, a on wpijał się w nie, a następnie całował naprzemian jej oczy. Przez długi jeszcze czas chciało jej się to śmiać, to płakać z radości, gdyż rzeczywiście szczęście jej przeszło wszystko, czego się kiedykolwiek spodziewała. Oto matka napisała jej niegdyś słabnącą już ręką; „Nie dlatego powinno się wychodzić za męża, by być szczęśliwą, ale dlatego, by spełnić obowiązki, jakie Bóg wówczas nakłada, a szczęście, to tylko przydatek i podarek boży”. — Tymczasem tego przydatku było teraz więcej, niż się mogło w sercu pomieścić. Były próby, były chwile i smutku i nawet zwątpienia, ale to wszystko przeszło — i wreszcie ten „Stach” nietylko ją pokochał, jak żenicę własnego oka, ale spełnił więcej, niż kiedykolwiek przyrzekał.

I w tej chwili oto, chodząc wielkimi krokami po pokoju, wzruszony jeszcze, ale rad z siebie i z wyrazem pewnej chępliwości na swojej czarniawej twarzy, mówił:

— Cóż, Maryś! Teraz się dopiero zacznie robota! — co? Bo ja o gospodarstwie nie mam najmniejszego pojęcia, i to będzie twoja rzecz. Ale myślę, że administrator będzie ze mnie niezgorszy! Będziem oboje pracowali, bo to duża rzecz, ten Krzemień.

Ona zaś odrzekła, składając ręce:

— Mój Stachu złoty! ja wiem, żeś ty to dla mnie zrobił. Ale czy aby to tobie nie zaszkodzi w interesach?

— W interesach? Myślisz może, że ja się dałem obedrzeć. Ale gdzie tam! Tanio kupiłem! bardzo tanio! Bigiel, który się wszystkiego boi, przyznaje jednak, że to dobry interes. Zresztą zostają dalej w spółce... Ty się tylko, Maryś, nie bój biedy na Krzemieniu, ani dawnych kłopotów. Będzie za co gospodarować — i powiem ci szczerze, że gdyby się dziś cały Krzemień w ziemię zapadł, jeszczebyśmy mieli z czego żyć, razem ze Stasiem.

— Ja — rzekła Marynia, patrząc na niego tak, jak mniej więcej patrzyłaby na Napoleona, lub innego podobnej miary zdobywcę — jestem pewna, że ty potrafisz wszystko, co zechcesz, ale wiem, że to tylko dla mnie kupiłeś Krzemień.

— A spodziewam się! — odpowiedział Połaniecki. — Dlatego, że tam leży twoja matka, dlatego, że cię kocham, i dlatego, że ty kochałaś Krzemień. Ale swoją drogą, tyś mnie nawróciła do ziemi. Przypomniałem sobie, coś mówiła w Wenecyi, gdy Maszko chciał sprzedawać Krzemień Bukackiemu. Nie masz pojęcia, jak ja jestem pod twoim wpływem. Czasem coś powiesz, a ja na razie nic! — ale to we mnie zostaje i później się niespodzianie odzywa. Tak było i w tej sprawie. Teraz samemu mi się dziwnem wydaje, żeby mieszkać na tej planecie, niby coś mieć, a nie mieć trzech łokci kwadratowych tej ziemi, o których możnaby powiedzieć: „moje!” To już była rzecz postanowiona, to kupno. Możesz zauważyć, że od kilku miesięcy kręciłem się, jak mucha w ukropie. Nie chciałem ci tylko nic mówić, póki nie będzie wszystko skończone; wolałem, żebyś miała niespodziankę. I masz! To za to, żeś mi zdrowa i taka kochana!

Tu, chwyciwszy jej ręce, począł je znowu przyciskać do ust i do czoła; ona chciała również ucałować jego ręce, ale nie pozwolił na to i wreszcie poczęli biegać za sobą, jak dzieci, po pokoju, mówiąc przytem do siebie słowa dobre i jasne jak promienie. Maryni tak się chciało jechać zaraz do Krzemienia i tak nie mogła myśleć o czem innem, że on w końcu zagroził jej, że stanie się zazdrosny o Krzemień i że go sprzeda.

— Oj! nie sprzedasz! — odrzekła, kręcąc głową.

— Bo co?

Ona zaś, wspiąwszy mu się do ucha, szepnęła:

— Bo kochasz...

A on począł kiwać głową na znak, że tak!

Umówili się jednak, ku wielkiej radości Maryni, że w końcu tygodnia pojedą całym domem do Krzemienia, co było zresztą zupełnie możebne, gdyż Połaniecki urządził dom tak, aby był całkiem gotowy na przyjęcie „dziedziczki”. Zapewnił też ją, że prawie nic nie zmienił — i że starał się tylko, by pokoje nie trąciły zbyt pustką.

Nagle począł się śmiać.

— Ale! — rzekł — ciekawym, co też papa na to powie?

Przypuszczalne zdziwienie „papy” było nowym powodem radości dla Maryni. Nie trzeba było zresztą długo na pana Pławickiego czekać, gdyż po upływie pół godziny przyszedł na obiad. Ledwo się pokazał, Marynia, rzuciwszy mu się na ramiona, wypowiedziała jednym tchem szczęśliwą nowinę, a on istotnie zdumiał się nadzwyczajnie i nawet wzruszył. Może odczuł szczęście córki, może ozwało się w nim z nienacka przywiązanie do tego kąta, w którym tyle lat przeżył, dość, że oczy mu zwilgotniały; naprzód wspomniął o swoim pocie, którym ta ziemia była przesiąknięta, poczem począł mówić coś o „starcu” i o „przytulku na folwarku”, a wreszcie, ścisnąwszy za głowę Połanieckiego, rzekł:

— Daj ci Boże, przy większym szczęściu, tylko tak dawać sobie rady, jak ja dawałem — i bądź pewien, że ani pomocy, ani wskazówek nigdy ci nie odmówię.

Wieczorem zaś u Bigielów, Marynia, upojona jeszcze szczęściem, mówiła do pani Bigielowej:

— No i powiedz? Jak takiego człowieka nie kochać? Powiedz sama!

XXVII

Nazajutrz po przybyciu Połanieckich do Krzemienia wypadła niedziela. Sam Połaniecki wstał późno, gdyż wczorajszego dnia przyjechali po pierwszej w nocy. W Krzemieniu czekała na nich służba z chlebem i solą; potem Marynia, śmiejąc się i płacząc naprzemiany, oglądała wszystkie kąty w domu, a następnie nie mogła usnąć ze wzruszenia prawie do świtu. Z tych wszystkich przyczyn Połaniecki nie puścił jej z łóżka, ponieważ zaś chciała pojechać na sumę do Wątorów nieco wcześniej, aby pomodlić się przy kościele za matkę, obiecał, że każe zaprządź i da jej znać, gdy będzie czas. Tymczasem po śniadaniu wyszedł trochę popatrzeć na swoje nowe dziedzictwo. Była druga połowa maja i dzień wyjątkowo piękny. W nocy padał deszcz, a teraz słońce przeglądało się w małych kałużach na dziedzińcu i przy zabudowaniach folwarcznych, łamało się w brylantowe połyski w kropkach zawieszonych na liściach i rozświecało mokre dachy stodół, obór i owczarni. W tych blaskach i w jasnej majowej zieleni drzew, Krzemień przedstawiał się wcale ponętnie. Wśród zabudowań folwarcznych nie było z powodu niedzieli prawie żadnego ruchu, tylko przy stajni kręciło się kilku fernali, którzy mieli jechać do kościoła. Połanieckiego dziwnie uderzyła ta cisza i to uśpienie. Przed niedawnym czasem, zamierzwszy kupić Krzemień, był w nim kilkakrotnie i wiedział, że jest to majątek opuszczony. Maszko począł wprawdzie wznosić śpichlerz kryty czerwoną dachówką, ale go nie skończył. Sam nie mieszkał tu nigdy, i w końcu nie mógł nic w majątek wkładać — więc opuszczenie widne było na każdym kroku. Ale nigdy nie przedstawiło się ono Połanieckiemu tak wyraźnie, jak teraz, gdy już mógł sobie powiedzieć: „to moje!” Budynki były jakieś krzywe; ściany w nich niezbyt szczelne, płoty krzywe i rozgrodzone; pod ścianami wały się szczątki rozmaitych połamanych sprzętów gospodarskich; wszędy ziemia zdawała się chcieć wciągnąć w siebie to, co na niej stało, wszędy widoczne było jakieś bierne pozostawienie rzeczy samym sobie, wszędy widoczna niedbałość. Połaniecki o gospodarstwie wiedział tylko tyle, że trzeba być ostrożnym z wkładami — zresztą, prócz jakichś ogólnych wiadomości, które mu się obily o uszy jeszcze za lat dziecinnych, nie miał o niem najmniejszego pojęcia. Jednakże, spoglądając na swoje królestwo, domyślił się, że i pola muszą być uprawne w prostym stosunku do tego niedbalstwa, które naokół widział; miał wyraźne poczucie, że jeśli tu się coś robiło, to raczej ze zwyczaju, z rutyny, jakby dlatego tylko, że coś się robiło lat temu dziesięć, dwadzieścia i sto. Tego natężenia, tej nieustającej czujnej energii, która jest podstawą handlu, przemysłu i wogóle spraw miejskich, nie było tu ani śladu. „Gdybym nic więcej nie przyniósł do tej martwoty — myślał Połaniecki — to jużby było bardzo wiele, bo tu tego bezwzględny brak. A ja mam prócz tego pieniądze i przynajmniej tyle rozumu, że naprzód wiem, że nic nie wiem, a powtóre wiem, że się trzeba uczyć i pytać”. Pamiętał jeszcze ze swoich czasów belgijskich, że nawet tam, w Belgii, dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyło od najpotężniejszych maszyn. A pod tym względem liczył na siebie — i mógł liczyć. Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało. Czuł prócz tego, że w interesach ma głowę nie fantastyczną, ale ściśle rachunkową, i dzięki temu poczuciu, nietylko nie stracił otuchy na widok opuszczenia, które przed sobą widział, ale znalazł w niem coś na kształt bodźca. Ta martwota, to zaniedbanie, ta inercja i ta sennaść zdawały się go wyzywać, a on, wodząc naokół oczyma, mówił im niemal z uciechą: „To dobrze! to się spróbujemy!” I było mu nawet pilno do tej próby.

Te pierwsze oględziny i rozmyślenia nie popsuiły mu humoru, ale zabrały sporo czasu. Spojrzawszy na zegarek, spostrzegł, że jeśli chcą być przed sumą w Wątorach, to zaraz czas jechać; kazawszy więc zaprzęgać, wrócił śpiesznie do domu i zapukał do drzwi Maryni:

— Pani dziedziczko! — rzekł — „służba boża!”

— Można! można! — ozwał się przeze drzwi wesoły głos Maryni — jam już gotowa.

Połaniecki wszedł i ujrzał ją w jasnej wiosennej sukni, podobnej do tej, w jakiej ją widział za pierwszej bytności w Krzemieniu. Ubrała się tak umyślnie, on zaś, ku wielkiemu jej zadowoleniu, zrozumiał jej intencję, albowiem zawołał, wyciągnąwszy do niej rękę:

— Panna Pławicka!

A ona, zbliżywszy się, oparła, jakby zawstydzona, swój różowy nosek o jego policzek i ręką ukazała na łóżeczko, w którym spał Staś.

Poczem wraz z papą Pławickim pojechali do kościoła. Dzień był wiosenny, jasny, pełen ciepłych tchnień i radości. W zagajnikach odzywały się kukułki, a na łąkach widać było brodzące bociany. Wzdłuż drogi dudki i sroki przelatywały przed powozem z drzewa na drzewo. Od czasu do czasu zrywał się powiew i leciał po runi, jak po fali, pochylając żdźbła traw i tworząc chybkie cienie na zieleni pól. Naokół pachniało ziemią, trawą i wiosną. Oboje Połanieckich ogarnął rój wspomnień. W niej odzywała się, przytępią już nieco życiem miejskiem, miłość do ziemi i do wsi, do lasów, do zielonych grudzi, do grusz na polach, do zwężających się w oddaleniu zagonów, do szerokich powietrznych przestworów i do tej, daleko rozleglejszej niż w mieście, przestrzeni nieba. Wszystko to napępniało ją nawpół uświadomioną, ale graniczącą z upojeniem, rozkoszą. Połaniecki zaś wspominał, jak niegdyś jechał tak samo z panem Pławickim do kościoła i jak tak samo dudki i sroki przelatywały przed nimi z drzewa na drzewo. Tylko teraz czuł przy sobie to różowe stworzenie, które wówczas po raz pierwszy zobaczył, tę dawną pannę Marynię Pławicką. W jednej chwili uprzytomnił sobie w myśli wszystko, co między nimi było: i pierwszą znajomość, i ów czar, jakim go opętała, i dalsze nieporozumienia, i ten dziwny udział, jaki w ich życiu wzięła Litka, i ślub, i późniejsze pożycie, i wahania się szczęścia, i zmiany, jakie pod wpływem tej jasnej duszy w nim zaszły, i dzisiejsze wypogodzenie się życia. Miał zarazem błogie poczucie, że zło przeszło, że znalazł więcej, niż marzył, i że obecnie mogą wprawdzie przyjść na niego wszelkiego rodzaju nieszczęścia, ale pod względem stosunku z nią życie stało się już raz na zawsze pogodne, ogromnie cne, jednoznaczne niemal ze „służbą bożą”, i o tyle słoneczniejsze, niż dawne, o ile ten widnokrąg, który ich otaczał, słoneczniejszy był od miejskiego. Na tę myśl serce zalewało mu szczęście i miłość dla niej. Przyjechawszy do Wątorów, odmawiał „wieczny odpoczynek” za duszę tej matki, której zawdzięczał taką żonę, z niemniejszą gorliwością, niż sama Marynia. Zdawało mu się, że kocha ten proch, pochowany pod kościołem, takim samem synowskim uczuciem, jak prochy własnej matki.

Lecz tymczasem zadzwoniono na sumę. W kościele znów dawne wspomnienia poczęły się Połanieckiemu cisnąć do myśli. Wszystko, co go otaczało, było takie jakieś znane, iż chwilami miał złudzenie, że był tu wczoraj. W nawie tak samo pełno było szarych głów chłopskich i zapachu tataraku; ten sam ksiądz celebrował przy ołtarzu, te same gałęzie brzozy, poruszane wiatrem, biły od zewnątrz w okno — i Połaniecki znów tak samo myślał, że wszystko mija — mija życie, mijają bóle, nadzieje, porywy, mijają kierunki myśli i całe systemy filozofii — a msza po staremu się odprawia, jakby w niej jednej była wieczysta niepożytość. Nową postacią w starym obrazie była tylko Marynia. Połaniecki, spoglądając chwilami na jej spokojną twarz i podniesione ku ołtarzowi oczy, odgadywał, że się modli całą duszą za przeszłe ich życie na wsi, więc dostrajał się do niej i modlił się z nią razem.

Lecz po mszy, na dziedzińcu kościelnym otoczyli ich sąsiedzi, dawni znajomi pana Pławickiego i Maryni. Pan Pławicki jednak napróżno oglądał się za panią Jamiszową, albowiem od kilku dni bawiła w mieście. Natomiast radca Jamisz, wyleczony zupełnie z kataru żołądka, zatem zdrów i odmłodzony, wpadł na widok Maryni w prawdziwy zapal:

— Jest moja pupilka — wołał, całując jej ręce — jest moja gosposia! Jest „złota Marynia!” Aha! wróciły ptaki do starego gniazda. A jakie to zawsze ładne! Dalibóg, istna panienka, czysty podłotek, a przecie wiem, że jest chłopak na świecie!

Marynia czerwieniła się z zadowolenia, lecz w tej chwili zbliżyli się państwo Zazimscy ze swoim sześciorgiem dzieci, a wraz z nimi i pan Gątowski, vulgo „Niedźwiadek”, dawny nieszczęśliwy konkurent Maryni i niedoszły zabójca Maszki. Pan Gątowski zbliżył się niezgrabnie i z pewnem zmieszaniem, jakby olśniony Maryniną urodą i zdjęty żalem po szczęściu, które go ominęło. Jakoż i Marynia przywitała go z pewnem komicznym zakłopotaniem, natomiast Połaniecki wyciągnął do niego przyjaźnie rękę ze wspaniałomyślnością tryumfatora i rzekł:

— Ot, i ja tu znajduję znajomych jeszcze z lat dziecinnych. Jak się pan ma?

— Po staremu — odpowiedział pan Gątowski.

A pan Jamisz, który był w wybornym humorze, rzekł, spoglądając przekornie na młodego człowieka:

— Ma kłopoty z uregulowaniem serwitutów.

Pan Gątowski zmieszał się jeszcze bardziej, gdyż cała okolica mówiła o tych kłopotach. Od lat kilku biedaczysko ledwie dyszał na swoim Jałbrzykowie. Uregulowanie serwitutów i sprzedaż lasu mogły go jeszcze wyprowadzić na równą drogę, cóż, kiedy wpoprzek wszelkim, nieraz już blizkim zawarcia układom, stawał wiecznie jednaki zarzut ze strony jałbrzykowskich współsąsiadów: „ze pon dziedzic na biołem koniu jeździ, z pistolców se strzyło i dziewczkom w ślepia patrzy”.

Pan Gątowski, jakkolwiek przywykły od młodych lat do rozmaitych wiejskich korowodów, tracił jednak czasami cierpliwość i wołał z prawdziwą rozpaczą:

— No, co to — psia krew! — ma jedno do drugiego! A żeby was najjaśniejsze pioruny zatrzaskały!

Ale po tak przekonywującym „dictum” rajcy jałbrzykowscy składali zwykle nową dojrzałą naradę i, po statecznym rozpatrzeniu wszystkich *za* i *przeciw*, oświadczały znów, drapiąc się w potylicę, że wszystko byłoby dobrze:

„ino ze pon dziedzic na biołem koniu jeździ, z pistolców se strzyło i dziewczkom... etc.”

Ale tymczasem Marynia, która do pana Jamisza miała takie przywiązanie, jak do człowieka z rodziny, dowiedziawszy się, że jest słomianym wdowcem, zaprosiła go na obiad. Niespodzianie jednak pan Pławicki, zły, że nie znalazł w Wątorach pani radczyni, a razem pomny dawnych niedzielnych partyjek z „Gątosiem”, zaprosił i „Gątosia” — wskutek czego Połanieccy wyruszyli naprzód i bardzo śpiesznie, aby Marynia miała czas wydać odpowiednie rozporządzenia. Za nimi zabrał się pan Pławicki z radcą, Gątowski zaś pociągnął na ostatku na swojej bryczce, zaprzężonej w chudą jałbrzykowską fornalnę.

Po drodze pan Pławicki rzekł do radcy Jamisza:

— Nie mogę powiedzieć!... Córka moja jest szczęśliwa. On jest dobry człowiek i energiczna sztuka, ale...

— Ale co? — zapytał pan Jamisz.

— Ale narwany! Pamiętasz sąsiad, że on mnie tak przycisnął o jakieś marne dwadzieścia tysięcy rubli, że musiałem sprzedać Krzemień. A potem co? Potem odkupił ten sam Krzemień... Gdyby zaś był mnie nie przyciskał, nie potrzebowałby kupować Krzemienia, bo wziąłby go darmo po mojej śmierci za Marynię. Dobry człowiek, ale tu... (i mówiąc to, pan Pławicki stuknął się palcem w czoło)... szumi jeszcze! Co prawda, to nie grzech!

— Hm! — odpowiedział radca Jamisz, nie chcąc panu Pławickiemu czynić przykrości uwagą, że gdyby Krzemień pozostał dłużej w jego rękach, toby nic nie pozostało z Krzemienia.

Pan Pławicki zaś westchnął i rzekł:

— A dla mnie na starość nowy trud, bo i teraz wszystko tam musi pójść moją głową.

Pan Jamisz z trudnością powstrzymał okrzyk: „niechże Bóg broni!” — znał jednak Połanieckiego o tyle, iż wiedział, że naprawdę niema niebezpieczeństwa. Pan Pławicki też sam nie bardzo wierzył w to, co mówił, zięcia się trochę bał, i rozumiał dobrze, że teraz właśnie wszystko pójdzie inną głową.

Tak rozmawiając, zajechali przed ganek; Marynia, która już zarządziła, co było potrzeba do obiadu, przyjęła ich ze Stasiem na rękę.

— Chciałam panu przedstawić syna, nim siądziemy do stołu — rzekła — duży syn! ogromny syn! grzeczny syn!

I w takt do tych słów poczęła go huścić w stronę pana Jamisza, pan Jamisz zaś dotknął palcami Stasiowego policzka, na co „grzeczny syn” naprzód skrzywił się, potem uśmiechnął i wydał nagle okrzyk, który dla badaczy „ezoterycznej mowy” mógł mieć zapewne wyjątkowo doniosłe znaczenie, ale dla zwykłego ucha dziwnie przypominał skrzek sroki lub papugi.

Tymczasem nadszedł pan Gątowski i powiesiwszy okrycie w sieni na kołku, szukał w nim właśnie chustki do nosa, gdy dziwnym wypadkiem Rozulka, niania Stasiowa, znalazła się także w sieni i zbliżywszy się do pana Gątowskiego, naprzód podjęła go pod nogi, a potem pocałowała w rękę.

— Ano, jak się masz! jak się masz! A co powiesz? — spytał dziedzic Jałbrzykowa.

— Nic! chciałam się ino pokłonić — odrzekła pokornie Rozulka.

Pan Gątowski przechylił się nieco w bok i począł szukać czegoś palcami w kieszeni od kamizelki, lecz ona widocznie przysła się tylko pokłonić dawnemu dziedzicowi, bo, nie czekając na datek, pocałowała go znów w rękę i odeszła cicho do dzieciennego pokoju.

Pan Gątowski zaś ruszył z gęstą miną do reszty towarzystwa, podśpiewując sobie basem:

— Um-dry-dry! Um-dry-dry! Um-dramta-ta!!!

Poczem siedli wszyscy do stołu i rozpoczęła się rozmowa o powrocie państwa Połanieckich na wieś. Pan Jamisz, który sam przez się był człek inteligentny, a jako radca, musiał być z urzędu mądry i wymowny, zwrócił się do Połanieckiego i mówił co następuje:

— Pan przychodzisz na wieś bez znajomości gospodarstwa, ale z tem, czego ogółowi naszych ziemian głównie brak, bo ze znajomością administracji i z kapitałem. Dlatego ufam i jestem pewien, że nie wyjdiesz źle na Krzemieniu. Powrót wasz, to wielka radość dla mnie, nie tylko ze względu na was i na tę moją kochaną uczenicę, ale że to zarazem dowód na to, co ja zawsze mówię i twierdzę, iż większość nas starych musi wyjść z ziemi; synowie jednak nasi, a jeśli nie synowie, to wnuki — wrócą. I wrócą teżsi, bardziej wyrobieni w życiowej walce, z rachunkiem w głowie, z tradycją pracy. Pamiętasz pan, com ci kiedyś mówił, że ziemia ciągnie i że ona jedna jest prawdziwym bogactwem. Pan wówczas mi zaprzeczałeś, a dziś — patrz — jesteś właścicielem Krzemienia.

— To przez nią! — odpowiedział, wskazując na żonę, Połaniecki.

— Przez nią i dla niej! — powtórzył radca — a myślisz pan, że w mojej teorii niema miejsca dla kobiet i że ja nie wiem, co one warte? One sercem i sumieniem zgadują, gdzie jest prawdziwy obowiązek, i sercem popychają do niego. A prawdziwy obowiązek, równie jak prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Tu pan Jamisz, który, na obraz i podobieństwo wielu radców, miał tę słabość, że się sam lubił słuchać, przymknął oczy, żeby się słyszeć jeszcze lepiej i mówił dalej:

— Tak! wrócicieś przez żonę! Tak, to jej zasługa! i bodaj nam się takie kobiety na kamieniu rodziły; ale swoją drogą, wyście wyszli z ziemi i dlatego ziemia was przyciągnęła. My wszyscy powinniśmy się naprawdę pieczętować pługiem! I powiem wam jeszcze, że to nie tylko wrócił pan Stanisław Połaniecki, nie tylko pani Marya Połaniecka — to wróciła Rodzina Połanieckich, bo się w niej odezwał instynkt całych pokoleń, które z gleby wyrosły i których prochy tę glebę użyźniają.

To rzekłszy, pan Jamisz podniósł się i wzięwszy kieliszek, zawołał:

— W ręce pani Połanieckiej, zdrowie Rodziny Połanieckich!...

— Zdrowie Rodziny Połanieckich! — zakrzyknął pan Gątowski, który, mając serce czułe na wymowę, gotów był przebaczyć w tej chwili rodzinie Połanieckich wszystkie serdeczne męki, jakie z jej powodu przeszedł.

I wszyscy udali się z kieliszkami do pani Maryni, która dziękowała wzruszona, Połanieckiemu zaś, gdy się do niej zbliżył, szepnęła:

— Aj, Stachu, jaka ja szczęśliwa!

Lecz gdy całe towarzystwo znalazło się znowu za stołem, papa Pławicki dodał ze swojej strony:

— Trzymać się ziemi do ostatka — oto, co całe życie głosiłem!

— Bo pewno! — potwierdził pan Gątowski.

Ale w duszy pomyślał:

— Żeby tylko nie te psie krwie, korowody!

A w tymże czasie, w dzieciennym pokoju, Rozula śpiewała do snu małemu Stasiowi smutną wiejską piosenkę:

„Niesczęśliwe te pokoje,
Oj, Jasińku mój!..

Po obiedzie goście poczuli się zabierać, ale pan Pławicki zatrzymał ich na „partyjkę”, tak, że wyjechali dopiero pod zachód. Wówczas Połanieccy, nacieszywszy się naprzód ze Stasiem, wyszli na werandę i dalej do ogrodu, albowiem wieczór czynił się cichy i pogodny. Wszystko, co im przypominało ową pierwszą niedzielę, którą tu spędzili razem, wydawało się im jak jakiś sen cudny i słodki, a tego rodzaju wspomnień było tu na każdym kroku bez liku. Słońce zniżało się tak samo wielkie i promienne, drzewa stały nieporuszone w wieczornej ciszy, czerwieniąc się na czubach od zorzy; z drugiej strony domu klekotały tak samo na gnieździe bociany; ten sam był nastrój — kojący i nieszporny. Oni

poczęli chodzić wszędzie, przebiegać wszystkie aleje, zbliżyć się do sztachet, patrzeć na pola ginące w oddaleniu, na ciemne pasma lasów, zamykające widnokrąg, i mówić sobie rzeczy ciche, a zarazem tak spokojne, jak spokojny był ów wieczór. To wszystko, co ich otaczało, to miał być ich świat. Oboje czuli, że ta wieś bierze ich w siebie, że poczyna się zawiązywać jakiś stosunek między nią a nimi, i że odtąd życie musi im spłynąć tu, a nie gdzieindziej — pracowite, oddane „służbie bożej”, z ludem — na roli.

Gdy słońce zaszło, wrócili na werandę, lecz, jak niegdyś, tak i teraz, pozostali jeszcze na niej, by się zupełnego mroku doczekać. Tylko dawniej Marynia trzymała się daleko od Połanieckiego, a teraz przytuliła się całkiem do jego boku i po chwili milczenia rzekła:

— Będzie nam tu ze sobą dobrze, Stachu — prawda?

A on objął ją mocno, tak, aby ją czuć przy samym sercu, i począł powtarzać:

— Moja kochana! moja bardzo kochana!...

Tymczasem z ponad spowitych w tumany olszyn podniósł się rumiany księżyc — i żaby w stawach, zwiedziawszy się już widocznie, że wróciła ta panienka, którą niegdyś tak często widywały nad brzegiem, ozwały się wśród wieczornej ciszy jednym wielkim chórem:

— Rade! rade! rade! rade!...

I odtąd poczęło się obojgu snuć życie, nie wolne od trosk, ale w którym było jednak więcej miodu, niż piołunu.

Autor zaś niniejszej książki pił ów miód — mocą wyobraźni.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rodzina-polanieckich/>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, t. I-III, wyd. Gebethner i Wolff, druk W.L. Anczyk i Spółka, Warszawa 1897.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcja techniczna została wykonana przez Wojciecha Kotwicę, a korekta ze źródłem przez wikiskrybów. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0909-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).